

# Cherem



Karolina Mařecka  
22.02.2014

# Karolina Małecka

## CHEREM



*„Posłuchaj. Możesz być wszystkim, czym zechcesz być. Uważaj. To jest zaklęcie. To jest magia. Wsłuchaj się w te słowa. Możesz być wszystkim, możesz zrobić wszystko, możesz być wszystkim, możesz zrobić wszystko. Posłuchaj zaklęcia.”*

Melvin Burgess

Co Ty na to? Piękne słowa, prawda? I przerażające. Bo w chwili, kiedy w nie uwierzysz, tracisz prawo do zrzucania winy na innych. Niesprzyjające okoliczności, ślepy los, przypadek, Bóg, nieszczęśliwa miłość czy trudne dzieciństwo – wszelkie przeszkody, stojące pomiędzy Tobą, a celem, jaki sobie w życiu postawisz – przestają istnieć. Zostajesz tylko Ty i punkt, do którego dążysz. Bardziej lub mniej od Ciebie oddalony, z jakiegoś powodu nadal nieosiągalny. Przecież możesz wszystko, więc jak i dlaczego wciąż niezdobyty?

Mam w życiu dwie miłości.

Książki.

Mogłabym opowiadać o nich godzinami. Niemal zawsze w połączeniu z muzyką, która, moim zdaniem, najlepiej oddaje ich klimat. Wielokrotnie zdarzyło mi się zarywać noce, bo nie potrafiłam oderwać się od przygód bohaterów moich ukochanych dzieł. Czytanie, ale też pisanie. Do szuflady pisałam od zawsze. Jakiś czas temu postanowiłam odkurzyć tę historię, która jest adaptacją pomysłu sprzed dziesięciu lat. W zamyśle miała być krótką nowelką, ale rozrosła się w mojej głowie, przewyższając najśmielsze oczekiwania. Postanowiłam też przekazać ją w ręce każdego, kto zechce się z nią zapoznać, w pełni zdając sobie sprawę z tego, że wielu moja wizja może oburzyć.

Zwierzęta, a głównie psy.

Druga miłość, wcale nie mniej licząca się od pierwszej. Moim marzeniem jest stworzenie miejsca, do którego mogliby trafiać najstarsi lub nieuleczalnie chorzy rezydenci schronisk. Domowego hospicjum, gdzie w warunkach, często nigdy dotąd nie poznanych przez tych najbardziej skrzywdzonych, można będzie w spokoju i bez strachu spędzić ostatnie miesiące, dni, a czasem lata życia, by gdy przyjdzie czas, godnie umrzeć. Na czystym posłaniu, w ciepłe, będąc przez kogoś kochanym. Wierzę, że mi się uda i że pisanie pomoże mi zrealizować te marzenie. Przecież mogę być wszystkim i mogę zrobić wszystko.

W tej chwili nie jestem jeszcze w stanie otoczyć realną opieką zbyt wielu czworonogów. Mieszkam w Holandii, podróże pomiędzy Polską a moim obecnym domem ograniczają mnie dość mocno, a praca, w której spędzam niemal dziesięć godzin dziennie, zmusza do trzeźwej oceny tego, jak wiele (a raczej niewiele) czasu zostaje mi wieczorami i o potrzeby ilu stworzeń jestem w stanie zadbać. Mam zaszczyt być opiekunką dwóch cudownych suczek i fantastycznego kocura.

Połączenie tych dwóch miłości wyznaczyło taką a nie inną drogę mojej pierwszej książce. Nie będę szukała wydawcy i nie będę próbowała na niej zarobić. Jako autorka „Cherem” rzekam się jakichkolwiek korzyści majątkowych za sprzedaż czy innego rodzaju rozpowszechnianie mojej historii. Książka będzie dostępna w wersji elektronicznej, każdy kto zechce, może pobrać ją w całości i za darmo, by zapoznać się z losami Elpis – będącej w połowie Wampirzycą a w połowie Elfką nieśmiertelnej istoty, która kiedyś była Człowiekiem, a jeszcze wcześniej kimś o wiele potężniejszym od największego z czarnoksiężników.

W tym miejscu chciałabym skierować ogromną prośbę do Ciebie – człowieka, który czyta te słowa. Zaklęcie działa także w Twoim przypadku. Ty także możesz być wszystkim i możesz dokonać, czego tylko zechcesz. Jeśli dostrzeżesz w tym, co stworzyłam, wartość; jeśli chcesz

i jesteś w stanie; proszę, wspomóż dowolną kwotą konto stworzonej przez wolontariuszy organizacji Pies na Zakręcie. To jedyna zapłata, o jaką proszę za moja pracę nad historią, która oddaję w Twoje ręce.

Dlaczego właśnie Pies na Zakręcie? Współpracuję z nimi od około dwóch lat, na razie tylko na odległość – głównie ogłaszając potrzebujące nowego domu psiaki i koty w Internecie, czasem coś pisząc. Osobiście poznałam dwie z dziewcząt, rozmawiałam (telefonicznie, mailowo) z kilkoma. Mimo iż są niewielką organizacją, dawno już zyskali mój głęboki podziw i uznanie. Wiem, że wszelkie ofiarowane im środki, wykorzystają na pomoc najbardziej potrzebującym zwierzętom. Więcej o tym, czym jest Pies na Zakręcie możesz przeczytać na końcu książki.

Poznaj nas i pomóż, wspierając dowolną darowizną na konto:

„PIES NA ZAKRĘCIE”

Skrzydło FUNDACJI AZYLU POD PSIM ANIOŁEM

ul. Kosodrzewiny 7/9

04-979 Warszawa

30 1020 1042 0000 8702 0253 5086

dla przelewów zagranicznych:

Kod BIC (Swift): BPKOPLPW

IBAN: PL30 1020 1042 0000 8702 0253 5086

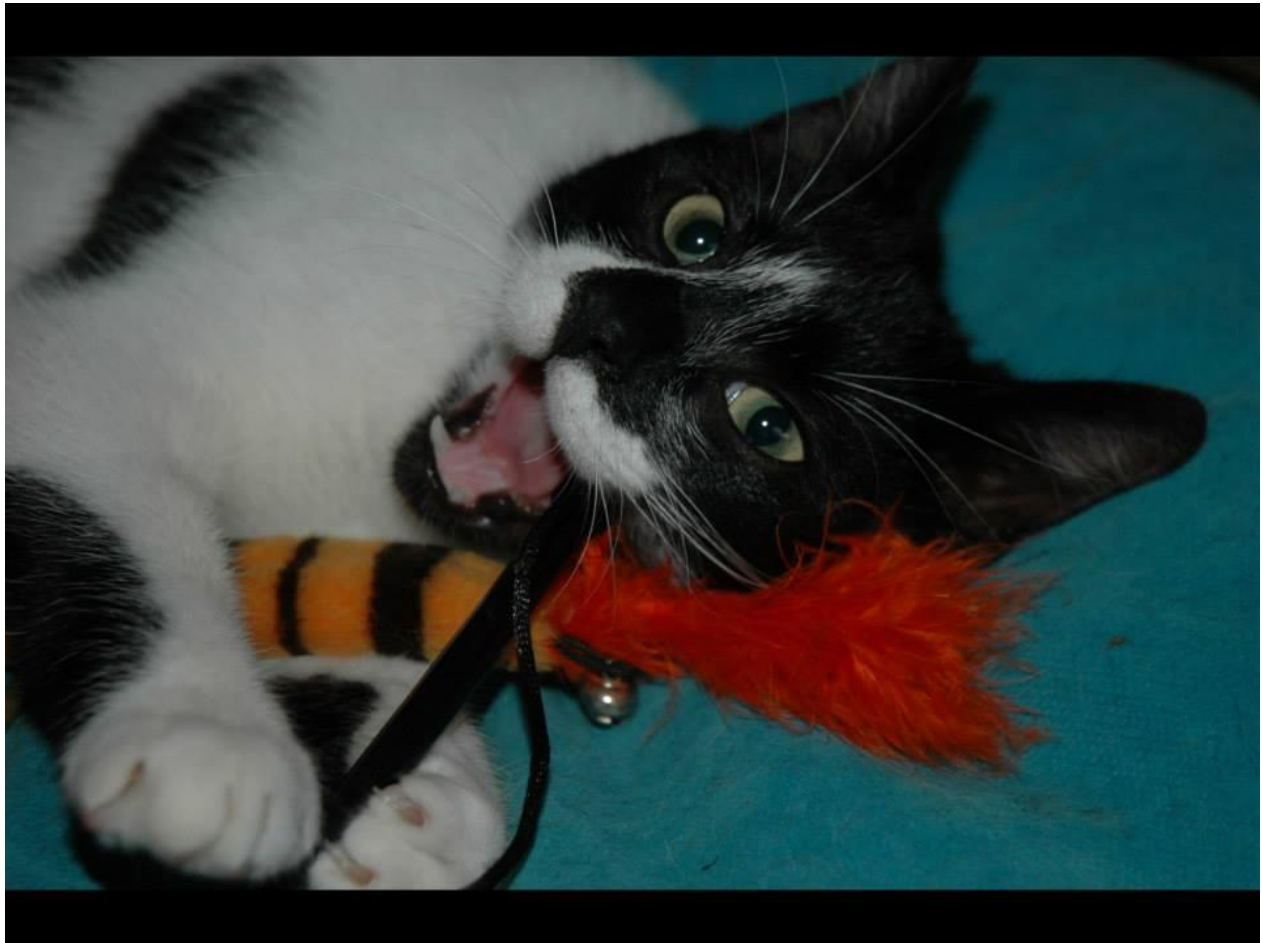
z dopiskiem "Cherem"

Serdecznie dziękuję za wszelkie wsparcie!

I nigdy nie zapomnij: możesz zrobić wszystko, możesz być wszystkim...



**Mrozia** (czarna) i **Yodka** (biała) – dawniej podopieczne Psa na Zakręcie, trafiły do wspólnego domu u jednej z wolontariuszek. Dziewczyny energia wprost rozpiera, czasem zdarzało im się zgodnie z własnym widzimisię zmieniać nieco wystrój mieszkania opiekunki:)  
Na zdjęciu moment wytchnienia podczas spaceru. (fot. Paulina Kurek)



**Pistis**, kocurek początkowo miał być po wykastrowaniu wypuszczony na wolność, ale domniemany dzikuszek zrobił nam wspaniałą niespodziankę, okazując się niezwykle przyjaznym i spragnionym kontaktu z człowiekiem pieszczochem. Znalazł kochający domek. (fot. Monika Wilk)



**Kasia i psy:** Jedna z wolontariuszek Psa na Zakręcie, otoczona przez byłych już podopiecznych. Niektóre z tych psiaków czekały bardzo długo, obecnie wszystkie są szczęśliwe w nowych domach. (fot. Mikołaj Tym)



**Baks**, piękny pies, który mimo życia na łańcuchu nie stracił wiary w człowieka. Baks nadal czeka na kogoś, kto wypatrzy go spośród innych i zabierze do siebie, by już nigdy nie opuścić. (fot. Katarzyna Kulka)

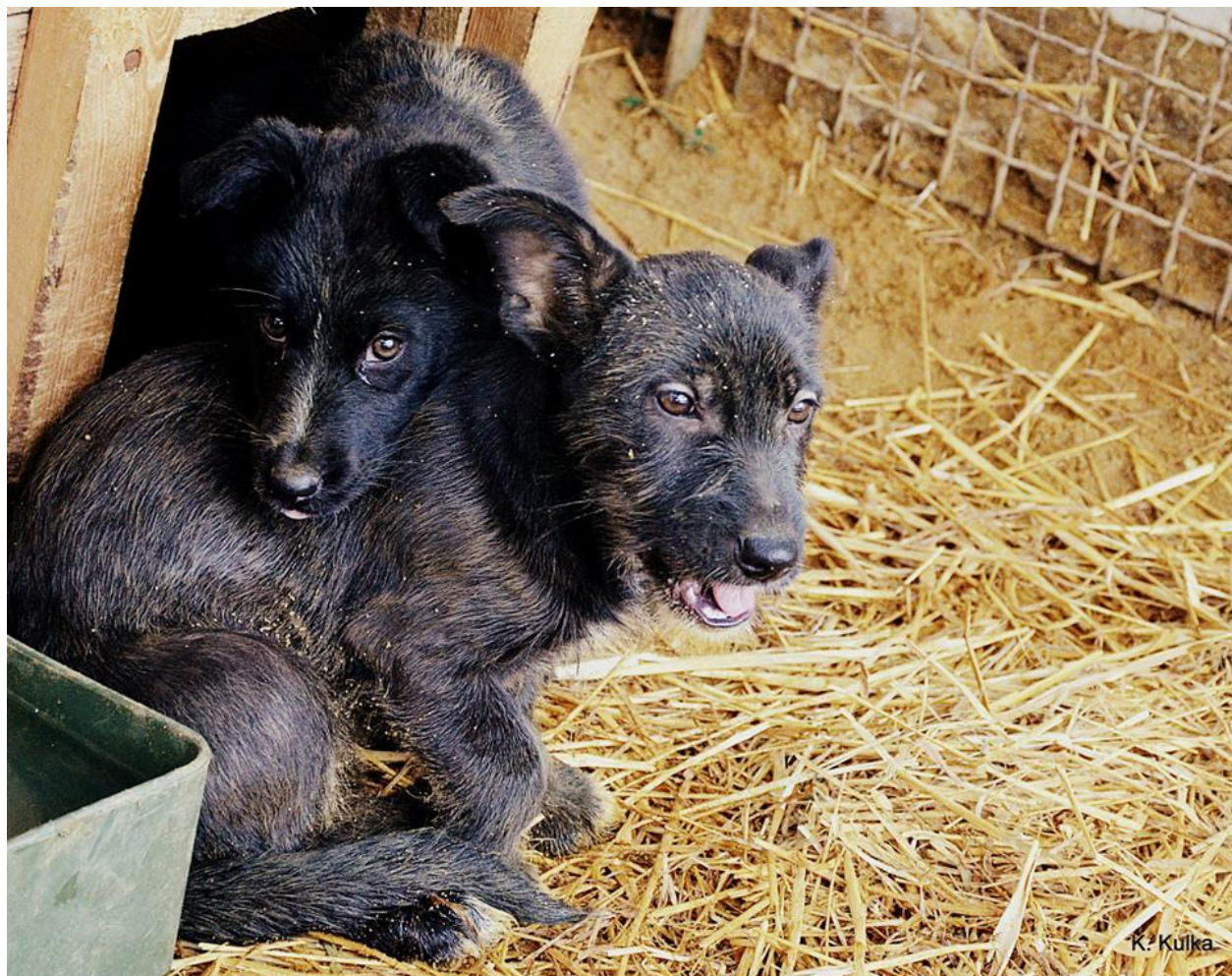




**Stivie** – niewidomy psiak, który udowadnia, że zwierzęta, nie mogąc polegać na wzroku, doskonale radzą sobie, wykorzystując inne zmysły. Na zdjęciu w objęciach Pani weterynarz, prowadzącej hotelik dla psów, miejsce, gdzie na drugie życie czekało wiele „zakrętowych” bezdomniaków. (fot. Aleksandra Sepelowska)



**Mrozia** już nie jest bez domku. Teraz grzeje łóżko dla swojej opiekunki, czekając na jej powrót i zabawę. (fot. Paulina Kurek)



**Skrzaciki:** Maluchy pojawiają się co roku. Zawsze powtarza się ta sama historia – przez nikogo nie kochane, bezdomne suczki, rodzą nowe pokolenie niechcianych szceniąt... Udaje się pomóc niewielu z nich, większość umiera od chorób, ginie pod kołami samochodów czy z ręki człowieka. Te, które przeżyją, często czeka ponura schroniskowa rzeczywistość. (fot. Katarzyna Kulka)

**Cherem** – hebrajskie „klątwa”, „odłączenie”. Rzeczownik hebrajski o następujących znaczeniach: 1) osoba lub rzecz ślubowana Bogu, albo świątynia oddana na zawsze na użytek sakralny; 2) osoba lub rzecz przeznaczona przez Boga na zagładę; 3) sam akt przeznaczający kogoś na zagładę, dokonany jako ślub.

*Babci i Dziadkowi,  
którzy jako jedyni z mojej rodziny  
przedostali się przez zawile meandry tej historii  
od początku aż do końca.*

# Część pierwsza

## Elpis

*Magia nie jest zła. Nie jest też dobra. To wielka, potężna moc a jej oblicze uzależnione jest od siły i czystości serca osoby, która jest jej powiernikiem. Potrafi niszczyć i budować, dawać i odbierać życie, ale ta moc jest w twoich rękach. Boisz się, że nie sprostasz, że nie udźwigniesz jej ciężaru, że zniszczy cię i pokona, ale ona nie chce cię zniszczyć. Nic od ciebie nie chce. Jest darem ofiarowanym bezinteresownie i na zawsze, twoim dzieckiem, które musisz oswoić i wychować, jego ostateczny, dojrzały kształt zależy od ciebie. Porzuć więc lęk przed samym sobą i nienawiść do samego siebie, bo nie jesteś zły, a od teraz nie jesteś też sam.*

# Rozdział 1

## Leviathan

W ukrytej przed każdym przedstawicielem każdego z pradawnych czterech plemion grocie Leviathan przebudził się ze snu. Jeździec nadchodził, wiedział to. Mówił mu o tym szum kropel, skapujących z kamiennych ścian jego tysiącletniego więzienia. Każda kropla z osobna i wszystkie razem śpiewały dla niego prawie już zapomnianą pieśń, starszą od początków świata legendę o nieśmiertelnej istocie, która nie wywodząc się z żadnego z czterech plemion, łączyć w sobie będzie cechy ich wszystkich. Legendę o Pierwszym i Ostatnim wojowniku, jedynym, który miał moc ich poprowadzić ku nieuniknionemu przeznaczeniu. Obiecany im wybawiciel z każdą chwilą znajdował się bliżej i bliżej, wysyłając sygnały do smoczego serca, budząc je i napędzając pragnieniem działania. Kamienne ściany jaskini zadrżały niecierpliwie, poruszane pierwszym od czasu rozpoczęcia pokuty oddechem bestii.

*Dawno temu podjęliśmy decyzję, nie znając jej konsekwencji, jednak godząc się na nie. Oto nadchodzi czas, kiedy można będzie przestać żałować za grzechy.*

*Niech się stanie...*

\*\*\*\*

Wiatr z każdą chwilą wznosił się, szarpiąc konarami wiekowych świerków i modrzewi, strząsając coraz to nowe czapy śniegu z ich udręczonych wierzchołków. Ogromne gałęzie jęczały w proteście, co jakiś czas rozlegał się trzask odłamywanej kończyny drzewa, z rzadka powietrze przesywał stłumiony grzmot, niczym daleki odgłos umierającej burzy, kiedy wiekowy pień nie wytrzymywał naporu rozszalałego żywiołu. To pękało serce drzewa.

Pośród śnieżnej zamieci, przyczajony zaraz na granicy ogromnej równiny i lasu, rozpościerał się stary, z pewnością bardzo stary świerk. Na jego korze czas wyłobił już wiele bruzd, potężne konary rozrosły się i poskręcały pod całkiem nieprawdopodobnymi kątami, tworząc fantazyjną koronę, która, jako jedyna z otaczających ją koron drzew, zachowała wszystkie igły. To nie ono polegnie w tej zamieci, nie ono runie podczas wielu, które nadejdą. Mimo, że inne drzewa rozpaczliwie opierały się sile wiatru, bijąc powietrze na oślep milionem długich i delikatnych palców, gałęzie świerku zaledwie drgały łagodnie. Drzewo z duszą Elfa...

Kiedy Elf umiera, jeśli tylko nie jest to śmierć gwałtowna i nagła, doskonale wie, że oto zbliża się jego czas. Wybiera więc drzewo. Jeśli w ostatnich chwilach swojego ziemskiego życia dotknie jego kory, nieśmiertelna dusza przenika właśnie do drzewa, łączy się z sokami odżywiającymi każdą jego komórkę, wnika aż do serca potężnego dębu, delikatnej brzozy czy kruchej olszyny. Tak wzmocnionemu drzewu wichura nie jest już straszna.

Niewielu o tym pamięta. Czas, kiedy Elfów było niemalże tylu, co Ludzi, to już historia. Mało było więc osób, które na widok potężnego świerku przystanąłyby i pomyślały choć chwilę o nieznanym lub nieznanym, który właśnie tu przeszedł na drugą stronę. Niewielu więc zatrzymałoby się, by oddać cichy hołd istocie, która podarowała drzewu dziesięciokrotną długość życia, jaka zazwyczaj jest udziałem drzewa. Wielu po prostu otuliłoby się ciaśniej płaszczem, obrało świerk jako doskonały punkt orientacyjny w tej zapomnianej przez Boga krainie i ruszyło dalej, chroniąc się za wszelką cenę przed sennością i zamarznięciem.

Ale nie wędrowiec, który dziś właśnie znalazł się na tej Ziemi Niczyjej. Zatrzymał konia i nie zsiadając z jego grzbietu, wpatrywał się w pobrużdżoną korę. Jeździec był Elfem, wskazywał na to brak jakiegokolwiek uprzęży. Siedział na oklep na czarnym rumaku z białą

strzałką na czole. Nie posiadał siodła, nie posiadał też żadnych toreb czy sakiewek do siodła przytroczonych, miał tylko konia i podróżny płaszcz.

Ręką o wyjątkowo długich i cienkich palcach gładził szyję konia, druga ręka skryta była pod szarym płaszczem. Było w nim coś niepokojącego. Postronny obserwator byłby zaskoczony nienaturalnym opanowaniem nieznanego – mała, szara figurka na tle szalejącej wichury, postać nie wyglądająca wcale na zbyt usilnie unikającą zamarznięcia podczas niepotrzebnego zupełnie postoju. Jeszcze bardziej zaskoczyło by go to, że postać ta tkwiła jakby w oku cyklonu, w delikatnej bańce, w środku której panował spokój. Płatki śniegu, docierając do granic tej bańki, kończyły swój szalony taniec, by delikatnie opaść na płaszczu wędrowca lub na ciele jego konia, tylko po to, by natychmiast zniknąć, nie pozostawiając na nich białego osadu. To świadczyło o czymś ważnym, o tym, że nieznanomy był czarodziejem i to potężnym, władającym żywiołem wiatru. Może nawet on sam rozpętał piekło burzy po to, aby ukryła jego kroki i uczyniła niewidzialnym dla kogoś, kto mógłby iść jego tropem i odgadnąć kierunek wędrówki.

Nie wiadomo jednak, czy postronny obserwator zdążyłby wysnuć te wszystkie wnioski. Możliwe, że już dawno leżałby w śniegu, z pustymi oczodołami, otwartymi już na zawsze i już nigdy nie mającymi zobaczyć nic prócz ciemności i tego, co ją zamieszkiwało; i sercem, które nigdy nie miało się zatrzymać i już nigdy nie miało zacząć bić. Nawet gdyby ktoś go odnalazł, po wielu dniach, miesiącach a może latach, nie potrafił by mu już pomóc, chociaż człowiek ten nie byłby martwy. Nawet mróz i wieloletni głód nie potrafiłyby go zabić, tak samo jak nic nie potrafiłoby przywrócić go do życia.

Bo wędrowiec nie był sam. Daleko z tyłu, utrzymywane tam potęgą jego magii, kłębiły się i pełzły Cienie. Cienie bez ciał, które mogłyby je rzucać, ale za to z tysiącem oczu, które nigdy nie przestawały patrzeć. Pokraczne dzieci Lilith, karmiące się przerażeniem i obłędem, potrafiące obłęd sprowadzić, kiedyś potrafiące opętać każdego, kto zapuścił się na ich terytorium, teraz już nie tak silne, od kiedy wypęły z mroków Gehenny – Doliny Jęku i ruszyły w pościg, ale nadal potrafiące wywołać szaleństwo.

Koń Elfa wyczuwał je. Zarżał niespokojnie i potrząsnął łbem, zaraz potem zrobił kilka nerwowych kroków do tyłu. Dłoń, gładząca jego szyję, zatrzymała się w pół ruchu, przekazując za pośrednictwem dotyku odżywcze ciepło i część magii, chroniącą przed demonami Gehenny, ale to nie wystarczyło. Wierzchowiec, urodzony i wychowany wśród Elfów, który nigdy jeszcze, aż do tej pory nie spotkał przed sobą Ciemności, był przerażony. Drżał na całym ciele, nerwowo przestępował z nogi na nogę i szeroko otwartymi, wielkimi oczyma wpatrywał się w miejsce, z którego pochodziło to obezwładniające uczucie. Cienie, świadome zbliżającego się zwycięstwa, jeszcze raz przypuściły atak. Koń wspiał się na tylne kopyta, przednimi bijąc na oślep to bezcielesne coś, co sprawiało, że czuł obezwładniający strach. Jeździec zareagował błyskawicznie, synchronizując ruchy swojego ciała z ruchami zwierzęcia, unikając upadku i utraty wierzchowca.

Pod wpływem gwałtownego szarpnięcia spadł kaptur, otulający do tej pory szczelnie głowę wędrowca. Z pod niego rozsypały się kaskadą kruczoczarne włosy, opadając niczym nieskrępowany wodospad aż do końca pleców Elfa, otulając go jakby nowym, połyskującym płaszczem. Szarpnięte delikatnymi powiewami wiatru włosy odsłoniły na moment charakterystyczne, lekko spiczaste elfie ucho. Odsłonięta była teraz też twarz nieznanego, twarz o delikatnych rysach, łagodnie zaznaczonych kościach policzkowych, niewielkich ustach i dużych jakby dla kontrastu, zielonych oczach. Tym samym jasny stał się jeszcze jeden istotny szczegół – samotny jeździec był kobietą. Elfią czarodziejką, która, nie wiedząc czemu, zapuściła się w tę groźną nawet dla silnych, potężnych mężczyzn krainę.

Dziewczyna była młoda, nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia kilka lat, chociaż

u Elfów sam wygląd bywał często niezwykle mylący, jeśli chodzi o określenie ich wieku. Nieznajoma poklepała uspokajająco szyję konia i przemówiła do niego dźwięcznym językiem jej plemienia. Wiatr zagłuszył słowa, ale nie zatarł ich kojącego i uspokajającego znaczenia. Na chwilę przyniosło to skutek.

Dziś czarne, bezcielesne Cienie podeszły bliżej niż wczoraj, bliżej niż kiedykolwiek, doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Z każdym dniem były bliżej. Wiedziała, że nie są w stanie jej osiągnąć, choć czasem słyszała ich głosy, przeraźliwe sylaby układające się w puste słowa, wypowiedane ustami, których nie było i może właśnie dlatego, że istoty, które te słowa do niej kierowały, nie żyły tak naprawdę, echo ich głosów rozbrzmiewało niczym krzyk w jej głowie. Teraz też, zwracając na nie uwagę z powodu zachowania konia, dopuściła je do głosu, niemalże wychytując sens słów. Przymknęła oczy, starając się je odpędzić. Była zmęczona. Od wielu już długich dni znajdowała się w drodze, z każdym kolejnym dniem zapuszczając się w coraz bardziej nieprzyjazną okolicę. Nie spała od czterech kolejnych wschodów i zachodów słońca, a to było wiele, nawet jak na Elfa.

Była potężna, ale podążające jej śladem upiory skutecznie osłabiały siłę jej magii. Dużą rolę odgrywało też to, że nie mogła chronić siebie w stopniu, w jakim tego potrzebowała. Dużą część mocy musiała przeznaczyć na osłonięcie konia, którego utrata kosztowałaby ją wiele, ale głównie chodziło o coś innego. Przede wszystkim musiała chronić skarbu, który skrywała pod płaszczem, tego, który stanowił sens i cel całej wyprawy, choć ona jeszcze tego celu i sensu nie poznała. Wkrótce miało się to jednak zmienić. Była już prawie na miejscu. Jeszcze jedna doba szalonych wysiłków i będzie mogła odpocząć, przynajmniej przez kilka godzin. Organizm Elfa regenerował się o wiele szybciej niż o wiele od niego słabszy ludzki, więc to by wystarczyło.

Nagle poczuła, że musi na niego spojrzeć, chociaż przez chwilę, że oszaleje, jeśli nie spojrzy. Pragnienie było tak przemożone, że niechętnie mu uległa. Nie lubiła tej nowej siebie, tej której nie było jeszcze kilka dni temu, tej która martwiła się o wiele bardziej, niż należało – o wszystko – o to, czy zaklęcie, którym go ogrzewa, jest wystarczająco silne, czy koń w kłusie nie jest dla niego zbyt szybki i niebezpieczny, oraz czy na pewno nie nadszedł jeszcze czas, kiedy trzeba się zatrzymać i poczekać na Szarą Wilczycę, jak codziennie rano i wieczorem od ostatnich czterech dni. Uśmiechnęła się z goryczą. Cztery dni... Dokładny czas, od kiedy nie zmrużyła oka, bo jej życie zostało wywrócone do góry nogami tylko dlatego, że Kain był przekonany, że właśnie ona potrafi dokonać tego, co musiało być zrobione. Czy Kain zawsze miał dla niej cholernie trudne misje dlatego, że tak bardzo, ślepo wręcz w nią wierzył, czy może dlatego, że jej nienawidził?

Delikatnie odsłoniła poły płaszcz, ukazując ukryte pod nim zawiniątko. Niemowlę spało spokojnie, nieświadome burzy, nieświadome jej zmęczenia i ścigających je Cieni, nie mając pojęcia nawet o tym, że oto cztery dni temu uniknęło śmierci na ołtarzu wyznawców Lucyfera, ocalone przez elfią czarodziejkę, na polecenie Kaina. Bezmyślne, małe i tak szalenie delikatne, że sama myśl o uczynieniu mu jakiegokolwiek krzywdy napawała ją odrazą. Ludzkie dziecko – Elfka nie miała pojęcia, dlaczego wyznawcy szatana mieliby pragnąć je zgładzić, nie wiedziała też, po co pożył go Kain, ani dlaczego mały chłopiec wyzwał w niej tyle nowych, zupełnie jej dotąd obcych uczuć. Wiedziała jedno – musiała go chronić i zrobi to, nawet jeśli ceną ma być śmierć jej i każdego, kto stanie jej na drodze.

*A właśnie, że będzie inaczej. Doskonale zdajesz sobie sprawę z tego, że twoja moc jest wielka, ale nie niewyczerpana. Ciemność cię pochłonie. Szaleństwo podpełza powoli, ale nieubłagane. Nigdy nie przyspieszy i nic go nie zatrzyma. Oddasz go nam, a my rozszarpiemy jego ciało, wypijemy krew i zawładniemy duszą, a wtedy wszystko się skończy. To nie potrwa długo, a dla ciebie Ostatnia, przeklęta przez Bogów, zawieszona między czterema światami –*



*Ludzi, Elfów, Wampirów i Wilków i nie należąca do żadnego z nich, to będzie jak wybawienie. Oddasz go nam, Przeklęta...*

*Dość! Precz!*

Elfka potrząsnęła głową i zamrugła powiekami, jakby przebudziła się ze snu. Szybko ukryła dziecko pod podróżnym płaszczem i zwróciła się w stronę przyzywających ją głosów. Znow to zrobiła. Dopuściła Cienie zbyt blisko.

*Przecież tego chcesz i zdajesz sobie sprawę, że to właśnie tak musi się skończyć. Sama przyniesiesz nam dziecko. Sama sprawisz, że jego oddech zamilknie, a serce się zatrzyma. Równie dobrze możesz zrobić to teraz, nie szarp się z nami, bo to nic nie da, to już zostało postanowione, nie zmienisz tego, nie potrafisz, wcale nie chcesz...*

*Precz!!!*

Wiedziała, że najlepszym i jedynym w tej chwili rozwiązaniem było ruszyć w drogę i zmusić bezcielesne upiory, które ją dręczyły, do mozolnego pełznięcia za nią, skupić się na drodze, odciąć od szeptów w jej głowie, zmusić je, by zamilkły. Cień nie potrafił jej dotknąć. Jeszcze nie...

Spróbowała podjąć wędrowkę. Koń potykał się w śniegu i z trudem udało jej się zapanować nad jego przerażeniem, zmusić go do spokojnego kroku i nie podejmowania galopu, do którego się rwał, a który w tych warunkach skończyłby się pewnie złamaniem w jednej z ukrytych pod białym puchem zdradliwych dziur. Jej wysiłki nie przyniosły jednak żadnych rezultatów. Wierzchowiec był zbyt przerażony, a Cienie zbyt się do nich zbliżyły. Jeśli chciała wygrać jeszcze jedną dobę podróży, musiała je zatrzymać, oddalić się od nich, uzyskać przewagę. Wiedziała, jaka będzie cena, wiedziała też, że musi to zrobić niezależnie od niej, bo inaczej wszystko zakończy się tu i teraz, bo jeśli zwierze, które ją niesie, oszaleje, on będzie skazany na zagładę. Westchnęła, jak przed skokiem na głęboką wodę. Była zmęczona...

Gwałtownym szarpnięciem zmusiła konia do zwrotu o sto osiemdziesiąt stopni i znalazła się twarzą w twarz z gęstniejącą Ciemnością. Cienie zakotłowały się i zamarły w oczekiwaniu, wiedziała to, choć nie potrafiła ich zobaczyć. Jej rumak z przerażającym świstem wciągnął w chrapy powietrze i wlepił w Ciemność straszne, szalone białka oczu. Dziewczyna przestała podtrzymywać dziecko i pozwoliła, by przed upadkiem chroniła je tylko chusta, dokładnie owinięta wokół jej ciała. Zdecydowanym ruchem wyszarpnęła z cholewy długiego buta mały, srebrny sztylet. Uniosła ostrze nad głowę, zmuszając konia do truchtu w lewą i prawą stronę, tylko po kilka metrów, sama nie spuszczała oczu z Ciemności.

– Wyzywam cię – wyszeptała. – Mocą, którą mi dano, przeklinam cię, Lilith i rozkazuję ci pozostać tam, gdzie jesteś. Nie zbliżaj się do mnie, nie wyciągaj rąk po dziecko, bo przysięgam każdą z nich odrąbać, choćby na jej miejsce wyrosnąć miało sto nowych.

Elfka wyciągnęła w górę drugą rękę i przejechała ostrzem sztyletu po otwartej dłoni, pozostawiając krwawą szramę. Wyciągnęła okaleczoną dłoń w stronę niewidzialnego wroga, pozwalając kroplom krwi skapywać i znaczyć szkarłatną linię. Rumak krążył coraz szybciej. Prawie bez udziału świadomości odebrała to, że końcówki jej palców rozbłysły srebrnym światłem.

– Wyzywam cię! – jej głos zabrzmiał teraz głośniejszym, zwielokrotnionym jeszcze przez ciszę, panującą na pustkowiu. – Mocą magii, która we mnie żyje, przeklinam cię, Lilith, utrzyj swoje szkaradne bachory z dala od nas! Każ im się wycofać i zaniechać pościgu, bo inaczej spotka je los gorszy od losu twoich pierwszych córek. Ty dałaś im straszną namiastkę życia, ja mogę im dać namiastkę wiecznej śmierci, wciąż od nowa i od nowa, nie potrafię ich zabić raz na zawsze, ale to dla nich gorzej. O stokroć gorzej!

Srebrzysta poświata unosiła się teraz nad całym ciałem czarodziejki. Powietrze wokół niej

wibrowało rykiem tysięcy gardeł, których nie było. Elfka była jak w transie, jak szamanka pradawnego plemienia, która przywołała duchy, nie potrafi się już zatrzymać, a jedynym wyborem, jaki jej pozostał, jest kontynuowanie obrzędu. Srebrne ostrze sztyletu po raz drugi przecięło gładką skórę, na śnieg pofrunęły kolejne krople, Ciemność zawirowała.

– Wyzywam cię! – krzyk jakby sam się z niej wydobywał. – Poprzez ziemię, która rodzi, poprzez wodę, która podtrzymuje życie, poprzez ogień, który niszczy i wiatr, który ogień podsyca, przeklinam cię, Lilith! Nakazuję tobie i twoim demonom pozostać tam, gdzie jesteście, nie ważcie się przekroczyć linii, nie będziecie nas ścigać, nie ruszycie się z miejsca. Przeklinam was!

Trzecie cięcie i kolejne krople krwi, kalające biel śniegu, ponura danina dla Ciemności. Na moment rozpełtało się inferno, Cienie wystrzeliły do przodu, gotowe kąsać i szarpać ciała jeźdźca, konia i dziecka, ale musiały zatrzymać się, natrafiając na niewidzialną przeszkodę zaledwie metr od twarzy dziewczyny. Aż do zachodu słońca tam właśnie miały pozostać. Taka była cena. Przez cały dzień miała widzieć bezkształtne monstra przed oczami, jednocześnie utrzymując je z dala od konia i niemowlęcia. Była wystarczająco silna, by nie pozwolić na opanowanie jej duszy przez Ciemność, musiała w to wierzyć. Upiory Gehenny wydały ostatni, przerażający wrzask i zamilkły, zawieszono mocą jej zaklęcia, nie mogąc jej dosięgnąć i nie mogąc odejść.

\*\*\*

Samotna Elfka siedziała na czarnym koniu z białą strzałką na czole, otulona delikatną bańką, której nawet rozgrywające się tu przed chwilą starcie nie uszkodziło, oddzielona od szalejącej wokół zamieci. Nie wiedziała, jak długo tu jest i dokąd zmierza. Ciemność przed jej oczami wypełniały wirujące i przelewające się wizje upiorów bez kształtów. W głowie pozostało jej tylko jedno imię – Lilith. Czy to ona była Lilith? Próbowwała zacisnąć powieki i dodatkowo ochronić oczy dłonią, ale upiory bez twarzy i ciał nie znikły. Z dłoni, po policzkach ściekło jej coś gorącego, o metalicznym zapachu. Poczula, jak panika ściska ją za gardło, nie pozwalając wydobyć głosu – strach, dawno nie czuła go tak intensywnie...

Próbując zobaczyć cokolwiek poza otaczającą ją nicością, powiodła wokół ślepyimi oczyma. Upiory, które wyczuwała, nie miały ciał, nie mogły więc mieć też oczu, a zdawały się widzieć wszystko, patrzeć poprzez jej ciało, poprzez duszę... Wiedziała, że jeśli dopuści je głębiej, dotrą do tych rejonów duszy, gdzie sama nie miała ochoty się zapuszczać i gdzie za nic w świecie nie chciała dopuścić nikogo i nigdy. Musiała wziąć się w garść. Tylko jak, jeśli jedynym, o czym mogła teraz myśleć, była Lilith, matka demonów, która nie zawsze była zła, która została zdradzona, jak oni wszyscy, jak ona sama... Potrząsnęła głową, ze wszystkich sił starając się skupić.

Gdzieś w oddali rozległo się wycie Wilka, jakby w odpowiedzi na jej usilne błagania o jakąkolwiek wskazówkę. Dziewczyna poderwała głowę i zwróciła niewidzące oczy w stronę pieśni szarego drapieźnika. Szara Wilczyca o dwóch głowach i czterech gorejących czerwienią ślepiach. Matka... Smak słodkiej krwi zmieszanej ze słodkim mlekiem, obietnica ciepła i odpoczynku. Wzywała ją, przyrzekając bezpieczeństwo, a ona jej wierzyła. Koń zrobił kilka kroków w kierunku nawoływania. Dziewczyna uśmiechnęła się i poklepała go po szyi. Wierzchowiec Elfów potrafił sam utrzymać kierunek marszu, musiał tylko wiedzieć, czego pragnie serce jeźdźca, a ona już wiedziała.

Nie traciła już też czasu na ucieczkę przed demonami w jej głowie, bo wiedziała, że ucieczki nie ma. Bezcielesne kształty będą jej towarzyszyć aż do zapadnięcia nocy, a potem znów zobaczy drzewa i śnieg i wzgórza i gwiazdy, których kształtów nie potrafiła sobie teraz przypomnieć. Musiała wytrwać.

\*\*\*\*

Po kilku godzinach przyspieszyła, wiedząc, że magia krwi już jej nie chroni. Przestała widzieć Mrok, a to oznaczało, że Mrok zobaczył ich i podjął pościg. Cienie znów rozpoczęły swój mozolny marsz, który nigdy miał nie ustać. Udało jej się je opóźnić, ale nie potrafiła ich tak naprawdę zatrzymać, nikt nie potrafił, nawet Kain nie był w stanie. Westchnęła. Kain... Już niedaleko.

Zew wilczego stada rozbrzmiał też przed nią. Kopyta konia darły ziemię w rozpaczliwej próbie uniknięcia konfrontacji, zwierzęciu udało się wyhamować i natychmiast zaczęło się cofać. Dziewczyna zeskoczyła z jego grzbietu i ujęła koński łeb w obie dłonie, na przemian delikatnie dmuchając w chrapy i przemawiając do rumaka w kojącym, elfickim języku. Było jednak za późno. Konie Elfów instynktownie boją się Wilków, ten strach jest wysysany z mlekiem matki i nie ma na niego lekarstwa. Wilk zawył po raz drugi, bliżej. Tego było dla wierzchowca za wiele, wspiął się na tylne nogi, wyrwał czarodziejce i co sił popędził w kierunku, z którego przyszli. Dziewczyna zdołała utrzymać moc zaklęcia ogrzewającego zwierze, mogła tylko mieć nadzieję, że uda mu się nie stać się łupem Ciemności i wrócić. Dokądkolwiek, gdzie mógłby przeżyć.

Zakłęła z bezsilnej złości na samą siebie. Powinna wcześniej zauważyć, że są tak blisko, powinna jak zawsze, przed spotkaniem z Szarą Wilczycą, zostawić konia w pewnym oddaleniu i dojsć do niej pieszo.

Instynktownie spojrzała przed siebie, mniej lub bardziej świadoma obserwujących ją ślepi. Jakieś dziesięć, piętnaście metrów przed nią stał nieruchomo, w pozycji gotowej do skoku wielki, czarny basior. Nie spotkała go nigdy wcześniej. Sierść miał zjeżoną, pazury white w ziemię, gotowe w każdej chwili poderwać ciężar ciała Wilka i zaatakować, żółte ślepią wpatrywały się nie w dziewczynę, ale w wypukłość pod jej płaszczem, którą tworzyło ciało dziecka, owiniętego chustą. Basior myślał o krwi i o delikatnych ścięgnach niemowlęcia, tak słodkich i kuszących, nawet jeśli by chciała, nie potrafiła nie usłyszeć jego myśli. Ale nie chciała zagłuszać jego głosu w swojej głowie. Była na niego wściekła – to nie jego miała spotkać i nie na jego wołanie odpowiedziała, on nie miał prawa dotknąć dziecka. Błyskawicznie zwróciła się do Wilka nieco bokiem, osłaniając niemowlę i w tej samej chwili poczuła, jak rozchylają się jej usta, robiąc miejsce dla powiększających się kłów. Oceniała odległość, w dwóch skokach mogła dosięgnąć basiora, jednym ruchem rozerwać tętnicę szyjną i złamać mu kręgosłup i pić. Na myśl o tym zakręciło jej się w głowie, dawno nie jadła, zbyt dawno...

Niemal automatycznie oblizała wargi i przygotowała się do skoku, ale nie skoczyła...

Nim którekolwiek z nich zdołało cokolwiek zrobić, pomiędzy nimi zmaterializowała się Szara Wilczyca o dwóch głowach. Była jeszcze większa od czarnego samca, z jej postaci bił spokój i opanowanie, a jednocześnie patrząc na nią wiedziało się, że nie zawaha się przed zadaniem śmierci za nie spełnienie jej woli. A teraz jej wolą był rozejm między jednym z jej synów a czarodziejką. Wilk ugiął przednie łapy jakby w ukłonie i wycofał się natychmiast, Elfka zrobiła krok w tył i zamknęła usta, kryjąc wracające do normalnych rozmiarów kły, nie spuściła jednak wzroku. Jakiś czas mierzyły się, walcząc na spojrzenia – Szara Wilczyca i ledwo już stojąca na nogach Elfka, potrzebująca snu i pożywienia. Potem wadera zrobiła krok w stronę dziewczyny.

– Witaj Elpis. Witaj, moja nieszczęsna córko.

\*\*\*\*

Elfka podążała za Szarą Wilczycą, a nieco z tyłu szła reszta watahy. Żaden z łbów wadery nie patrzył na nią, jednak dziewczyna czuła więź, jaka istniała między nią a drapieżnikiem. Kiedy wiele lat temu Kain doprowadził do jej ponownych narodzin, on i Wilczyca stali się jej

przybranymi rodzicami. Innych nie znała, istniała od wielu, wielu stuleci, tysiącleci, może dłużej, nie pamiętała początku. Kain sprawił, że znów stała się dzieckiem, nie wiedziała, ku czemu to prowadziło, uważała to za głupie i niepotrzebne. Ale nie sprzeciwiała się. Udało mu się nawet odebrać jej wspomnienia wiecznego istnienia, dorastała niemal jak normalne dziecko, aż do ukończenia sześciu lat, kiedy magia znów się o nią upomniała i kiedy wszystko powróciło. Coś było jednak nie tak, pamiętała strzępy informacji, nie wiedziała tak naprawdę, kim jest. Kain wiedział z pewnością, ale coś kazało mu utrzymywać to z dala od niej, czy wiedziała Szara Wilczyca? Elfka nie miała pojęcia, choć domyślała się, że jej matka nie jest zwykłym przedstawicielem swojego plemienia, Wilki żyły wiele lat, ale zmieniały się, dwugłowa wadera odkąd sięgała pamięcią była taka sama, może nieśmiertelna?

Kain i Wilczyca osiedli z dzieckiem właśnie na Ziemiach Niczyich, bardzo długo utrzymując ją w przekonaniu, że mała elfia czarodziejka, odżywiająca się krwią ojca zmieszaną z mlekiem matki to nic niezwykłego. Trwające sześć lat pranie mózgu, całkiem niezłe, jak na kogoś, kto żył już wcześniej i powinien pamiętać. Wściekła się, kiedy poznała prawdę. Uśmiechnęła się na to wspomnienie. O tak, wściekła się.

Kain obiecał, że kiedyś, wkrótce cała prawda stanie się dla niej jasna i wtedy będzie mogła o wszystkim zdecydować. Nie rozumiała tego, ale zgodziła się. Coś uparcie mówiło jej, że oto nadszedł ten czas, ale teraz nie była już taka pewna, czy chce wiedzieć, alternatywa jednak nie istniała. Możliwość podejmowania świadomych decyzji skończyła się dla niej cztery dni temu, kiedy sama stała się jakby przybraną matką temu małemu chłopcu, kiedy zdała sobie sprawę z tego, że przez tysiąclecia jej istnienia nigdy w jej życiu nie pojawiło się żadne dziecko – elfie, ludzkie, wilcze, wampirze, nigdy...

*Elpis* – z zamyślenia wyrwał ją szept w jej głowie. Wilczyca nie spojrzała na nią, ani nie przemówiła tak naprawdę, stała się głosem w jej głowie. Porozumiewały się tak już nie raz, na odległość i z bliska, kiedy nie chciały, by ktoś odgadł, o czym rozmawiają.

Dziewczyna wciągnęła płytko powietrze i oczyściła umysł, wpuszczając ją do środka.

*Wiem, że ostatki sił trzymają cię tu w tej chwili, ale musisz wiedzieć, że plany uległy pewnej zmianie. Zanim będziesz mogła spotkać się z czarnoksiężnikiem, czeka cię coś jeszcze. Coś bardzo ważnego i szalenie wyczerpującego. Jeszcze nie znasz celu misji i tego, jak ma przebiegać, a już musisz ją rozpocząć.*

Czarodziejka poczuła, że coś w okolicy serca szarpie się w niej w proteście i pęka, ale nie zdradziła tego po sobie. Nie była nawet zbyt zdziwiona takim obrotem spraw, poczuła się po prostu trochę bardziej pusta, niczym pęknięta skorupa naczynia, która nie wytrzymała naporu wypełniających ją płynów. Kolejna zmiana, na niekorzyść, dla niej na niekorzyść, jakżeby inaczej?

*Muszę się pożywić.* Niemal nie powiedziała tego głośno. *Wypocząć lub się pożywić.*

*Wiem, czego bardziej potrzebujesz. Pożywisz się. Teraz.*

Przystanęła i spojrzała na wilczycę, zaskoczona. Jej rozmówczyni też się zatrzymała, a razem z nimi na miejscu pozostał czarny basior, ten sam, którego Elfka spotkała jako pierwszego. Reszta stada przeszła dalej, jakby ich trójki tu nie było. Kiedy tylko ostatnie sztuki znikły wśród drzew, samiec stanął naprzeciw dziewczyny, umyślnie eksponując szyję i spojrzał jej prosto w oczy. Kły czarodziejki znów wysunęły się z ust, ostre i pulsujące niezrozumiale przyjemnym bólem, gotowe kąsać. Spojrzała niepewnie na Wilczycę.

*Aron nie wiedział, kim jesteś, kiedy wyszedł ci na spotkanie. Teraz zrozumiał. Chce ofiarować ci swoją krew, jako przeprosiny za próbę ataku i wzmocnienie przed tym, co musisz zrobić. Wie, jaka jest cena.*

Elfka spojrzała na Wilka, jakby widziała go pierwszy raz. Wie, jaka jest cena... Lekko

skłoniła przed nim głowę, z szacunkiem, basior odpowiedział tym samym. Potem skoczyła i przywarła ustami do szyi zwierzęcia. Poczula jak z chrzęstem rozstępują się żywe tkanki jego ciała, a słodko-metaliczno-drażniący zapach posoki uderzył ją w nozdrza.

Wtedy świat fiknął szalonego koziołka, zawirował wokół niej i kilka rzeczy stało się jednocześnie. Poczula szarpnięcie w piersi, jakby ktoś, jakaś gigantyczna dłoń, albo raczej łapa, zakończona szponami, chciała wyrwać jej serce, zmiażdżyć i wyrwać. Siłą powstrzymała się, by nie krzyknąć, za to jeszcze mocniej zacisnęła kły na ciele ofiary, rozrywając żyły. Poczula zew pradawnej bestii, ukrytej w mrokach jaskini istoty, która od wieków nie oglądała światła, a która właśnie chciała się z więzienia skał uwolnić. Dotarła do niej nienawiść, tak wielka i ociekająca jadem, jakiej jeszcze nigdy nie zaznała, zrozumiała, że to uczucie skierowane jest w stronę dziecka, wciąż spoczywającego pod jej płaszczem i zrozumiała, że to ono jest sercem, które chciała jej wyrwać dłoń uzbrojona w szpony. Zaprzagnęła go chronić przed niewidzialnym niebezpieczeństwem i jednocześnie równie mocno zaprzagnęła puścić szyję Wilka i zatopić kły w ciele niemowlęcia. Poczula, jak pod jej dłońmi pęka kręgosłup drapieżnika.

*Ciemność zawsze przyciąga światło, a światło kryje w sobie Mrok. Czekalem tyle lat, przyjdź tu po mnie, przyjdź natychmiast!*

Dziewczyna rozpaczliwym wysiłkiem oderwała się od ciała Wilka. Zrobiła kilka chwiejnych kroków do tyłu, a z jej dłoni na śnieg spadło kilka świeżych kropli krwi. Drżała na całym ciele, nie potrafiła nad tym zapanować. Drżał też czarny basior, leżący na ziemi z łbem wykręconym pod dziwnym kątem i ziejącą raną z lewej strony szyi. Z rany nie wydobywała się już krew, w jego ciele nie pozostało jej już nawet odrobiny, drgawki agonii wkrótce ustały. Elfka rozejrzała się wokół. Szara Wilczyca gdzieś zniknęła, została sama, ale to nie miało teraz żadnego znaczenia, doskonale wiedziała, dokąd musi się udać i co musi zrobić. Znow czuła się silna. Ofiara czarnego basiora nie poszła na marne.

\*\*\*\*

Stała na zimnej, kamiennej posadzce, wpatrując się w łeb bestii, która też nie odrywała od niej oczu. To było ważne, najważniejsze, nie przerywać kontaktu wzrokowego, nie pokazać demonowi odrobiny własnej słabości i strachu. Wiedziała, że gdzieś, na podłodze jaskini, owinięte w jej szary płaszcz, leży dziecko, ale nie śmiała teraz pozwolić sobie na myśli o nim. Nie do końca zdawała sobie sprawę z tego, jak się tu znalazła, wiele metrów pod powierzchnią ziemi, w jaskini, do której żywa istota nie zapuściła się od niepamiętnych czasów. Ostatnim, co zarejestrowała jej świadomość, był smak słodko-gorzkiej krwi istoty, która już nigdy nie powstanie. Potem wszystkie działania były instynktowne, wykonywane bez udziału świadomości i wszystkie sprowadzały się do tej chwili. Ona i pradawna bestia, przycupnięta teraz przed nią niczym kamienna figura smoka, w której żywe są tylko oczy.

Jednak smok żył. Wyczuwała jego oddech, głośny i niespokojny niczym szalejące tornado, mimo że nie poruszał on jeszcze piersi demona. Słyszała też bicie smoczego serca, zsynchronizowane z jej własnym, nieregularne teraz i słabe niczym kogoś śmiertelnie chorego, serca roztrzaskanego na tysiące odłamków, których już nikt nigdy złożyć nie był w stanie, któremu nie można było pomóc, bo samo wyrządziło sobie tą krzywdę. Czuła emocje targające demonem – rozpacz, ból, poczucie beznadziei i klęski, opuszczenia, tęsknoty i żalu do kogoś, kto miał się już na zawsze zaopiekować, kto miał do tego nie dopuścić. Było tego zbyt wiele, nadmiar uczuć w jej wnętrzu nie pozwalał trzeźwo myśleć, musiała skupić się na wnętrzu potwora, nie na jego wspomnieniach sprzed tysięcy lat, nie na tych wspomnieniach. Musiała zmusić poczwarę do ujawnienia jej jedynej istotnej w tej chwili rzeczy – jego imienia. Jeśli pozna imię, zwycięży, a stwór podąży za nią, jeśli nie...

Spróbowała się opanować i skupić, oddzielić własne myśli od szaleństwa w jego głowie.

Nie zdążyła.

Zaatakował bez ostrzeżenia. Wdarł się do jej umysłu i czerpał z niego. Głuchy trzask pękającego kręgosłupa czarnego basiora; smak krwi, zmieszanej z mlekiem Szarej Wilczycy; srebrne nitki mocy wystrzeliwujące z jej palców; srebrzyste ostrze sztyletu i drzewo o duszy Elfa; nagie ciało niemowlęcia na kamiennym ołtarzu Lucyfera i dłoń kapłana, wznosząca nad nim rytualny nóż, zatrzymana w pół ruchu po to, by upaść wraz z samym kapłanem i elficką strzałą, wbitą aż po pióropusz w jego pierś.

Wspomnienia przestały ją atakować równie szybko i nagle, jak na nią spadły. Stała, oddychając głośno i dygocąc na całym ciele, wpatrując się z czerwono-złote oczy bestii. I wtedy potwór przemówił.

*Kimże jesteś? Kim jesteś, że przychodzisz tu i ośmielasz się rzucać wyzwanie mi, Jednemu z Siedmiu? Kim jesteś, szalona? Nie jesteś Wampirem i nie jesteś Elfem, kiedyś, dawno temu byłaś Człowiekiem, ale nim już też nie jesteś. Śmierdzisz Wilkiem na kilometr, ale nie możesz być przedstawicielem tego plemienia. Po co budzisz mnie ze snu i dręczysz, czego ode mnie chcesz?*

Strasliwym wysiłkiem zmusiła się do tego, by odpowiedzieć.

– Wiedziałaś, że przyjdę. Czekaleś na mnie, więziony tu przez miriady lat cały czas na mnie czekałeś. Pójdiesz ze mną, czy tego chcesz, czy nie, to dawno temu już zostało postanowione. Jesteś mi potrzebny, a ja jestem potrzebna tobie, bo tylko ja mogę ci dać to, czego od wieków pożadasz. Daję ci moment na zastanowienie się i podjęcie świadomej decyzji, potem zmuszę cię do bezwarunkowego posłuszeństwa, a wiesz, że potrafię.

Coś we wnętrzu potwora zadrżało i zmusiło do drżenia otaczające ich skały. Nie wiedziała, czy wziąć to za ukrywany śmiech wzdargy, czy też może oburzenie. Czerwono-złote oko świdrowało ją nieruchomym spojrzeniem, a czarne wargi uniosły się nieznacznie, odsłaniając po raz pierwszy ostre zębiska potwora. Bestia odezwała się ponownie, powoli, z rozmysłem.

*A co, jeśli nie zechcę?*

Sprawdzał ją, była tego pewna. Pójdzie z nią tak czy inaczej, decyzja została już podjęta i nie należała ani do niej, ani do niego. Chciał tylko wiedzieć, z kim ma do czynienia i jaką mocą dysponuje osoba, której przez kilka kolejnych dni, może tygodni, będzie musiał być posłuszny. Skoncentrowała wszystkie swoje siły na pionowej źrenicy oka demona.

*Oczy są zwierciadłem duszy, w nich odbija się wszystko to, czego nie wypowiadają usta, trzeba tylko bacznie obserwować, a wszystko stanie się jasne. Twoje imię, tylko tego potrzebuję, by cię zniewolić, podaj mi je. Teraz.*

Potwór zaryczał w proteście, ale było już za późno. Elfka poczuła, jak źrenica jego oka wciąga ją i pochłania, niczym jakiś wir, nie stawiała oporu.

*Pokaż mi...*

*Dawno temu, liczby jakie znają Ludzie, Wampiry, a nawet Elfy nie są w stanie odzwierciedlić, jak bardzo dawno, Bóg stworzył Wszechświat. Powołał do życia gwiazdy, planety, galaktyki i mgławice, komety i czarne dziury, wszystko. Był to świat wypełniony światłem i Jego obecnością, każdą przestrzeń w nim wypełniała Boska Istota, świat, który cały czas rozszerzał się i zwiększał, w którym nieustannie z rzeczy, które istniały, tworzyły się nowe, wspanialsze, coś umierało po to, by dać życie czemuś innemu, wszystko zgodnie z Bożym planem, idealnie i bez zakłóceń. Potem Pan powołał do życia anioły, siedmiu pomocników, którzy dostali we władanie Wszechświat, byli Mu niemalże równi, a jednak Mu podlegali. Lucyfer, Mammon, Asmodeus, Astaroth, Leviathan, Belzebub i Barbello, oto ich imiona. Aniołowie byli doskonali, nie znali uczuć, które zawsze przynoszą zgubę, byli zimni, wyniośli, piękni, wszyscy podobni do siebie, z biegiem stuleci widocznie wyróżniła się dwójka z nich. Barbello, która jako jedyna była istotą żeńską, wiedzieliśmy to, nie wiedząc o tym, skąd to wiemy i Lucyfer – ukochany anioł Pana.*

*Lucyfera Bóg wybrał już na samym początku, nie podając powodu. Świetlisty anioł był zawsze najbliższym utkanego ze szkła i promieni gwiazd tronu Najwyższego, zapuszczał się najdalej w niezgłębioną otchłań Wszechświata, w końcu nawet przekroczył jego granice, co było przyczyną zguby nas wszystkich. Bóg był wszechmocny i widział wszystko i o wszystkim wiedział, jednak nie zrobił nic, by go powstrzymać, zabawne, prawda? Lucyfer był szaleńcem, żyjącym złudzeniami paranoikiem, któremu nie podobała się doskonałość. Zapragnął dla aniołów uczuć, głównie miłości, ale nie wiedział, że ona zawsze niesie ze sobą nienawiść i zniszczenie. Biedny, głupi, żyjący wśród urojeń szaleniec, który bardzo się pomylił. Bóg stworzył go wolnego od uczuć, nie potrafił on nawet poprawnie nazwać tego, co się w nim rodziło, nie miał szans nad tym zapanować. Mimo to postanowił spróbować. Imponował nam, po tylu wiekach istnienia w niczym niezachwianej doskonałości, jego koncepcja była cudnym powiewem czegoś nowego. Pierwszą, która za nim poszła, była Barbello, w końcu stało się coś, co przesądziło o losie nas wszystkich – Lucyfer i Barbello zostali kochankami i powołali do życia Belial, pierwszą istotę nie stworzoną przez Boga, ale też nie zrodzoną z łona kobiety. To był początek szaleństwa, które doprowadziło do upadku nas wszystkich, łącznie z Belial.*

*Wszystko załamało się jak domino, nad upadkiem którego nie panowaliśmy, nawet Lucyferowi wymknęło się to w końcu z rąk, nie udźwignął ciężaru świata, który usiłował wykreować. Dobry Bóg zabrał nam skrzydła i strącił w przepaść za coś, co od początku było skazane na niepowodzenie i czemu w każdej chwili mógł położyć kres. Przebaczył i pozwolił zostać tylko Lucyferowi, jednak on wzgardził Bożą łaską, odrzucił skrzydła i z własnej woli poszedł za nami. Przyjął na siebie ciężar odpowiedzialności za wszystko.*

*Nazywają nas Siedmioma Upadłymi aniołami, a on jest tym ósmym, który nie upadł, ale sam skoczył w Ciemność, z tego powodu jest jeszcze bardziej od nas przeklęty. Czekaliśmy na ciebie, bo tylko ty potrafisz nas uwolnić, nie zbawić, na to jest już za późno. Pójdę więc za tobą, ale nienawidzę cię i najchętniej wyprułbym ci trzewia jednym ruchem pazura; i będę chronił dziecko, choć mam ochotę rozszarpać go na strzępy, bo wiem, co czeka mnie na końcu drogi i pożądam tego.*

Demon skończył mówić i wpatrywał się w nią z oczekiwaniem. Dziewczyna wiedziała już niemal wszystko, ale było jeszcze coś. Wyprostowała się i pewnym krokiem pokonała te kilka metrów, dzielące ją od smoka, po czym położyła otwartą dłoń na jego pysku. Potwór zawarczał z oburzeniem, a wargi odsłoniły całą okazałość imponującego wachlarza zabójczych kłów, ale nie zrobił nic.

– Jeden z Siedmiu oszukanych i zdradzonych aniołów, wyjaw mi swoje imię, a misja będzie mogła się rozpocząć. Zaprzysięgnij mi posłuszeństwo i ochronę dziecka, które jest ze mną, a ja przysięgam dać ci na koniec to, o co poprosisz.

Szary kamień, którym okryte było całe ciało demona, kiedy tu przyszła, opadł, odsłaniając czarno-bordowe łuski, tak wielkie, że każda z nich z osobna mogła posłużyć jej jako wygodne miejsce do siedzenia. Dla postronnego obserwatora wyglądałoby niczym postacie z baśni, drobna czarodziejka i potężny smok, sprawiający wrażenie, jakby mógł zmieść ją z powierzchni ziemi jednym silniejszym oddechem. Jednak wiedziała dobrze, że demon jej nie skrzywdzi, bo wtedy jego nagroda przepadnie. Czekala.

*Żądam śmierci, zadanej z twojej ręki, śmierci, która będzie ostateczna. Wiecznego snu, z którego nie ma już przebudzenia i który pozwoli mi odpocząć i zapomnieć o tym, że przegrałem. Za taką cenę pójdę z tobą i zrobię wszystko, by misja, jaką musisz wypełnić, zakończyła się sukcesem.*

Elfka skinęła głową, nie odwracając wzroku. Czekala nadal. W oczach bestii pojawiła się bezsilność i rezygnacja. Pradawny demon poddał się jej.

*Leviathan, oto moje imię.*

Złamane zostało zaklęcie utrzymujące bestię w bezruchu. Potwór poderwał do góry przednie kończyny i wstał, dosłownie rozrywając od środka zbyt małą, by go takiego pomieścić, jaskinię. Odłamki gruzu i całkiem duże skały posypały się na nich. Elfka zdążyła dobiec do dziecka, porwać je w ramiona i zamknąć jakby w kokonie stworzonym z własnego ciała, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że to nic nie da. Piekło, jakie rozpętał jednym ruchem Leviathan musiało pochłonąć ich oboje. Demon otrząśnie się i odleci, a oni tu zostaną, pogrzebani przez kamienie. Jakże była głupia sądząc, że potrafi nad nim zapanować, zmusić go do posłuszeństwa... Jej pycha i niczym nieograniczona wiara we własne możliwości i wszystko to, co powie Kain, została właśnie ukarana. Zrezygnowana, wiedząc, że nie może absolutnie nic zrobić, nie po konfrontacji z Jednym z Siedmiu, która wyczerpała jej siły, czekała na pierwszy ból. Ból się jednak nie pojawił... Deszcz skalnych odłamków skończył się, ale żaden z nich nie ugodził w nią. Zaskoczona, otworzyła zaciśnięte oczy i popatrzyła w górę.

Zobaczyła ciemność. Czarne skrzydło Leviathana osłaniające ją i niemowlę przed niebezpieczeństwem, potężne niczym kopuła świątyni. Czerwono-złote ślepie patrzyły na nią z mieszaniną wyższości i rozbawienia.

\*\*\*\*

*Nie poniosę cię jako smok, zbyt mocno rzucalibyśmy się w oczy, a to nam niepotrzebne. Potrafię wzbic się tak wysoko, że staniemy się niewidoczni dla ułomnych oczu ziemskich wędrowców, ale on nie potrafi tam oddychać. Zmienię dla was swoją postać, na nieco mniej rzucającą się w oczy.*

Na oczach czarnowłosej Elfki Leviathan zaczął się kurczyć i zmieniać kształt. Zniknęły łuski, przeistaczając się w sierść koloru smoły, łapy zakończone szponami ustąpiły miejsca pęcynom i kopytom, ogon zmienił się w nieco krótszy, pokryty długimi włosami w tym samym kolorze, co sierść, a głowa wydłużała się i zwężała, formując smukły łeb konia. Przed czarodziejką stał teraz nadnaturalnych rozmiarów rumak, bez żadnych znaczeń na ciele. Koń, którego postać przybrał Leviathan, przewyższał o głowę każdego normalnego przedstawiciela tego gatunku, a z jego pyska patrzyły na nią nie zmienione, czerwono-złote oczy. Dziewczyna prychnęła pogardliwie.

– To wszystko, na co cię stać? Niezbyt udany kamuflaż.

Zwierz spojrział na nią i w jej głowie rozległa się odpowiedź.

*Mogę zmienić się w kogo zechcę i zakamuflować tak doskonale, że nikt nie zauważy. To wszystko, na co mam w tej chwili ochotę, więc musi wystarczyć.*

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Dla mnie może być. Ruszajmy więc. Przed nami długa droga, zboczyłam z trasy, by po ciebie przyjść, czeka nas ponad doba, może dwie doby, nie marnujmy czasu.

*Kain oczekuje nas w Skalistej Warowni jutro z samego rana.*

– Oszałał – czarodziejka skwitowała to jednym słowem.

Istniała droga, która była w stanie doprowadzić ich do jej mistrza w tak krótkim czasie, ale nie miał prawa oczekiwać od niej, że tą drogę wybierze. Jednak oczekiwał, jak zwykle, oczekiwał niemożliwego. Potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

– Chce, żebym przeprawiła się przez Gehennę.

To nie było pytanie, stwierdziła po prostu fakt. Jakby zapominając o tym, co zdarzyło się ostatnim razem, żądał od niej ponownego stawienia czoła upiorom Doliny Jęku na ich własnym terytorium. Cholera...

*Tym razem będzie inaczej, bo tym razem masz ze sobą mnie.*

Dziewczyna drgnęła i odwróciła oczy od niemowlęcia, które owijała chustą. Niechętnie



spojrzała na czarnego rumaka, wpatrującego się w nią.

– Leviathan, czy ty czytasz w moich myślach?

*Tylko, kiedy są wystarczająco głośne.*

W milczeniu przełknęła tę gorzką pigułkę. Będzie musiała bardziej się teraz kontrolować, to wszystko.

\*\*\*\*

Tej nocy zbocza Doliny Jęku rozbrzmiewały echem wrzasków i nawoływań tysięcy stworzeń. Zrodzone przez noc demony o pokracznych, powykrzywianych ciałach, nie przypominających w niczym ciał jakichkolwiek zamieszkujących Ziemię stworzeń, wyległy ze swoich kryjówek. Wszystkie obserwowały konia i jeźdźca, cwałujących Doliną bez postoju i odpoczynku. Z nozdrzy konia buchał gorący dym, czarna sierść zwierza i przycupnięta na nim figurka dziewczyny w płaszczu czarnych włosów, tworzyły jedną całość. Dla karykatur żyjących istot, zamieszkujących wąwóz, ich widok był obietnicą uczty, która miała wkrótce nastąpić. Olbrzymie rzesze córek i synów Lilith podążały za nimi bez wytchnienia, z ekstazą w oczach chłepcąc obrzydliwie słodką krew, znaczącą drogę, której dotknęły niepodkute kopyta piekielnego konia i nie mogąc się nią nasycić, umierały po raz kolejny. Raz po raz ponad ich głowami, za nimi i przed nimi rozlegało się rozpaczliwe wycie potępionego stworzenia, które nigdy nie powinno się narodzić.

Dziewczyna zaciskała powieki, kurczowo wczepiając się paznokciami w grzywę swojego wierzchowca, siłą powstrzymując się od tego, by nie wyc z nimi. W tym miejscu szaleństwo było w stanie jej dotknąć, porwać ją i nią zawładnąć. W zgiełku tysiąca głosów słyszała nawoływanie sprzed lat i prawie potrafiła wyróżnić z niego jej własne imię, jej prawdziwe imię. Przed obłędem chronił ją tylko pęd Leviathana, tylko bliskość piekielnego demona gwarantowała jej bezpieczeństwo i nietykalność. Na razie.

Oboje, koń i jeździec, byli przeklęci.

## Rozdział 2

### Czterej jeźdźcy

Ziemie Niczyje w większości były suchą, jałową pustynią, której nie przemierzali nawet zagubieni wędrowcy, rzadko ktokolwiek zapuszczał się w te rejony, jeśli już, zawsze wiedział, czego szuka i co go tu przywiodło. Zazwyczaj jednak było tu pusto. Mało kto wiedział o istnieniu Warowni, którą zamieszkiwał siwobrody czarnoksiężnik w podniszczonym płaszczu, wspierający się na sękatym kosturze. Starzec niezwykle rzadko też opuszczał swoje włości, spotkania z Elpis i Szarą Wilczycą aranżował na neutralnych gruntach, byle nie zwracać za bardzo uwagi świata na swoją pustelnię. Dziś jednak wszystko przebiegało zupełnie inaczej niż zwykle. Czarnoksiężnik cztery razy wychodził z ukrycia, by powitać czterech nadciągających gości.

Pierwsza zjawiała się Wilczyca, zaraz za nią młody Elf, podróżujący piechotą. Swojego konia odprawił zaraz na granicy pustyni, umożliwiając mu powrót do domu, sam w ciągu pięciu dni pokonał resztę drogi pieszo. Dotarł do Warowni w zdartych butach i szacie, która kiedyś musiała być biała i zdradzała, że męzczyzna, niemalże chłopiec jeszcze, był kapłanem. Kolejny gość różnił się od Elfa niczym ogień od wody, a dzień od najczarniejszej nocy. Od stóp do głów ubrany na czarno, o bladym obliczu i podkrążonych oczach, jakby zapadniętych w chudej twarzy, mógł wzbudzać zarówno litość jak i przerażenie. On również nie miał ze sobą wierzchowca, co dziwniejsze, nie posiadał też żadnej broni, ale czarnoksiężnik doskonale wiedział, że żaden koń nie zgodziłby się nieść go na swoim grzbiecie, a broń nie była mu potrzebna. Przybysz wywodził się z plemienia, odżywiającego się krwią żywych stworzeń, więc w zwierzętach wzbudzał przestrasz tak wielki, że nie potrafiły ścierpieć jego bliskości, a bronią były jego kły. Trzeci przybysz był Wampirem.

Już samo to, że przedstawiciele dwóch tak odmiennych ras podążali w to samo miejsce, w tym samym najwyraźniej celu i będąc tu oczekiwanymi, wzbudzało zdumienie. Nie mniejszym kuriozum okazał się być również czwarty gość, podróżujący na kasztanowym wałachu z mieczem u boku. Człowiek.

Starzec szedł naprzeciw piątemu przybyszowi. Wiedział, że dziewczyna wkrótce się zjawi, zawsze wiedział, kiedy była w pobliżu. Wyczuwał ją, tak jak za pierwszym razem, kiedy się spotkali, nic się od tego czasu nie zmieniło. Nawykłe do wpatrywania się w monotony krajobraz gór i skalnych rozpadlin oczy przeczesywały teren, w nadziei na ujrzanie zlewającego się z otoczeniem skrawka podróżnego płaszcza czy kosmyka czarnych włosów. Ona miała zjawić się tu jako ostatnia, wioząc dziecko, bez którego wszelkie trudy podróżnych, którzy dziś się tu zjawili, były bezużyteczne.

Doskonale wiedział, dlaczego się spóźnia, Wilczyca wprowadziła ją już w to, czego oboje od niej wymagali, dziewczyna miała więc za sobą wizytę w jaskini Leviathana. Pierwszy z wielkiej siódemki Upadłych Aniołów został przebudzony, misja się rozpoczęła, chociaż na razie ona stawia jej czoła samotnie, a jej drużyna oczekuje na pierwsze z nią spotkanie. Starzec westchnął ze zmęczeniem. To było bardzo znaczące – sama rozpoczyna i sama będzie musiała to wszystko zakończyć, bo żaden ze śmiazków, którzy dziś zjawili się z jego grocie, nie miał prawa dojść do samego końca. Wiedział jednak, że nie wolno mu jej żałować, tak samo jak jej nie wolno zboczyć z drogi, zatrzymać się ani zawrócić. Już nie.

Zaskoczyła go. Tętent kopyt piekielnego wierzchowca usłyszał w ostatniej niemalże chwili przed zobaczeniem ich. Wyskoczyli zza skały oddalonej od starca o kilkadziesiąt metrów

i pędzili dalej, jakby go nie zauważając, prosto na niego. Mimo zmniejszającego się dystansu rumak wcale nie zwalniał, już wydawało się, że zmiążdży starca, nie dając mu nawet szansy na uskoczenie z drogi, kiedy Elfka gwałtownym szarpnięciem osadziła go na miejscu. Tylne kopyta zaparły się w ziemię, rzeźbiąc w niej głębokie bruzdy. Demon w zwierzęcej postaci parsknął i prychnął wściekle, rzucając na czarnoksiężnika pełne nienawiści spojrzenie czerwono-złotych oczu o pionowych źrenicach, nie przestając dreptać w miejscu i drzeć ziemi kopytami.

Mężczyzna z bólem oderwał wzrok od tych oczu i przeniósł go na twarz dziewczyny. Przez ostatnie godziny przemierzała Dolinę Jęku, to nie mogło nie pozostawić śladu na jej obliczu. Wyglądała, jakby uleciały z niej wszelkie siły, a tylko duma i może złość na niego, złość, że kazał jej przez to przechodzić, pozwalały jej utrzymywać się nadal na grzbiecie konia. Czarodziejka przez chwilę wpatrywała się w niego bez słowa, po czym, wciąż nic nie mówiąc, odrzuciła do tyłu szary płaszcz, ukazując oczom Kaina otulone chustą niemowlę.

Starzec przymknął oczy i na chwilę pogрузzył się we wspomnieniach. Czuł się tak, jakby historia ożyła i stanęła przed jego obliczem. Zmęczona dziewczyna o bladej twarzy, trzymająca w ramionach nowe życie. Dzieci powinno być dwoje, ale dziewczynka umarła dawno temu... Nadzieja na pomyślne zakończenie umarła o wiele wcześniej niż ona. Przeznaczenie zaczęło się wypełniać. Kain potrząsnął głową i wziął głęboki oddech, jak nurek, który zbyt długo przebywał pod powierzchnią wody. Przywołał na twarz uśmiech i znów spojrzął w zielone oczy czarodziejki.

– Witaj w domu, dziecinko. Moje serce raduje się jak zawsze, kiedy cię tu goszczę i jednocześnie smuci, bo będzie to wyjątkowo krótka wizyta – czarnoksiężnik podszedł do konia, ignorując jego jawną wrogość i objął rękami talię dziewczyny, pomagając jej znaleźć się na ziemi. – Podróż tu trwała dłużej, niż przypuszczaliśmy i znacznie cię osłabiła. Zaczniemy to spotkanie od odpoczynku i snu. Inni, których wezwałem, też są już na miejscu, oni też najpierw odpoczną, jest wcześniej, masz czas do zmroku, jakąś godzinę przed zachodem słońca podana będzie wspólna wieczerza, kiedy słońce zajdzie, wyruszyście.

Szli razem w stronę ukrytego między skałami wejścia do groty czarnoksiężnika. Dziewczyna wspierała się na ramieniu starca, czuła się przy nim bezpieczna i chroniona. Tu, w bezpiecznej kołysce jego ramion, demony nie miały do niej dostępu. Kain zawsze potrafił je odegnać, trzymać od niej z daleka i Elfka doskonale zdawała sobie sprawę z tego, jak wiele kosztuje go to, by teraz wysłać ją prosto w ich paszczę. Poczwała, jak ulatuje z niej cała złość na przybranego ojca, przeznaczenie już dawno zostało zapisane, zarówno ona, jak i on byli tylko pionkami, na długo przed ich narodzeniem zostały zapisane w gwiazdach ich przyszłe losy, teraz nie pozostało im już nic innego, jak stawić temu czoła, z podniesioną głową lub na kolanach, jak tchórze. Przynajmniej tyle mogli wybrać i wybrali, oboje.

Nic już nie mówiąc, weszli w jedną z otwartych paszczy skały i zniknęli w jej wnętrzu. Czarnoksiężnik prowadził swoją uczennicę wielokrotnie załamującymi się korytarzami, raz rozszerzającymi się tak bardzo, że niemal nie było widać sklepienia, innym razem zamykającymi się niemal przed nimi, tak że szli jakby ciasnym tunelem, mając jego sufit tuż nad głowami. Dotarli do groty, która była sercem Warowni, wielka tak, że mogła pomieścić stu gości, śpiących tu wygodnie, teraz była pusta. Czarnoksiężnik powiodł Elfkę po wykutych w skale stopniach na górę, gdzie szyb rozgałęził się na kilka odnóg. Skręcili w jedną z nich i zatrzymali się w niewielkim ślepych korytarzu, nieudolnie zaadaptowanym na pomieszczenie mieszkalne.

Stało tu łóżko z kamiennymi szczytami, wyłożone pierzynami, duża, zdolna pomieścić kilkoro ludzi kamienna miednica, wypełniona zimną wodą, wybijającą z serca skały, utrzymywaną w tym miejscu czarami Kaina i wielkie lustro o bogato rzeźbionej ramie. Na jednej ze skalnych półek rozłożona była biała suknia, ozdobiona mnóstwem naszytych na delikatny

materiał maleńkich diamentów, na innej świeży podróżny płaszcz, spodnie, koszula i bielizna. Dziewczyna oderwała wzrok od białej sukni i spojrzała na Kaina pytająco.

– Chcę, żebyś po kąpieli założyła właśnie to i zeszła do nas. Wyjaśnię tobie i pozostałym członkom twojej drużyny na czym to wszystko ma polegać.

– Po co to całe przedstawienie? Przecież w tym nie pojadę.

– Nie pojedziesz – zgodził się starzec. – Ale w drodze towarzyszyć ci będą sami mężczyźni i chcę, żeby właśnie taką cię zapamiętali i taką mieli przed oczami przez cały czas trwania misji. Zaufaj mi, dziecinko.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Cóż innego robię przez ostatnie miriady lat?

Kain skinął głową i wyciągnął ręce.

– Oddaj mi chłopca. Szara Wilczyca jest tu, przybyła jako pierwsza, ona się nim zaopiekuje i nakarmi go.

Elfka poczuła, jak narasta w niej protest, coś głęboko w środku wzbraniało się przed oddaniem dziecka komukolwiek. Jakaś dziwna, zaborna miłość nie chciała zgodzić się na to, by innej osobie powierzyć nad nim pieczę. Zła na samą siebie, stłumiła to uczucie. To było głupie. Jeszcze pięć dni temu nie miała w ogóle pojęcia o jego istnieniu, nigdy nie nosiła go w łonie, chociaż jego ruchy wewnątrz chusty, którą była przepasana, zdawały się budzić w niej wspomnienia, które nie mogły być jej. Magia i macierzyństwo nigdy nie szły w parze, wraz z przebudzeniem się zdolności zaklęcia żywiołów na zawsze odchodziła możliwość poczęcia dziecka, a ona zdolność tą posiadała praktycznie od zawsze. Bez słowa oddała Kainowi niemowlę. Starzec uważnie ją obserwował, jakby świadom wewnętrznego starcia, jakie się w niej przed chwilą rozegrało. Zmusiła się do uśmiechu.

Kiedy ucichło echo jego kroków, Elfka rzuciła się na łożo i zapadła w sen, po raz pierwszy od dawna nie towarzyszył jej w nocy żaden demon, a spoczynku nie zakłócił koszmar, po którym ponowne zaśnięcie jest niemożliwe.

\*\*\*\*\*

Przebudzenie przyszło dokładnie wtedy, kiedy powinno nadejść. Dziewczyna znajdowała się we wnętrzu grotty, gdzie nie dochodziło światło księżyca ani gwiazd, ale wewnętrzny zegar, dokładniejszy od każdego innego, podpowiadał jej, że to jest właśnie odpowiednia pora. Kilka godzin snu, które właśnie minęły, wystarczyły, by organizm Elfy zregenerował się po trudach wielodniowej podróży. Czując się wypoczęta i gotowa na każdy nowy ciężar, jakim zechce obdarzyć ją jej dawny opiekun, Elfka wyskoczyła z łóżka, zrzuciła z siebie brudne ubranie i zanurzyła się w lodowatej wodzie, która natychmiast przybrała temperaturę o kilka stopni wyższą od temperatury jej ciała. Gorąca kąpiel zadziałała odprężająco i zbawiennie.

Nieco sceptycznie nastawiona do tego pomysłu, ubrała zwiewną, białą suknię na nagie ciało. Delikatny materiał oplatał ściśle jej talię, piersi i plecy jakby pajęczyną utkaną z koronki, w którą wszyte były błyszczące krople rosy. Od pasa w dół sukni rozszerzała się, tworząc biało-srebrzystą kopułę, cicho szeleszczącą przy każdym ruchu dziewczyny. Stopy zostawiła bose, a włosy wilgotne i rozpuszczone. Podeszła do lustra w drewnianej ramie, było ogromne, widziała w nim całą swoją postać, białą plamę na tle szarości grotty. Czarodziejka z lustra patrzyła na nią pewnym siebie, wyzywającym nawet wzrokiem, zdając się kpić z jej tak niedawnego jeszcze zmęczenia, głodu i bezsilności. Wiatr, którego nie było, delikatnie poruszał jej suknię i długimi włosami. Była spokojna, a na jej ustach błąkał się tajemniczy uśmieszek, jakby ukrywany przed tą prawdziwą Elpis, która stała na środku jednego ze ślepych korytarzy pustelni Kaina. Dziewczyna wzdrygnęła się mimo woli, nie miała pojęcia, że wygląda tak... mrocznie. Jakby w lustrze ukazywała się jakaś zapomniana, zła część jej duszy. Starożytni

wierzyli, że lustro to brama, portal do innego świata, że świat po drugiej stronie jest podobny do naszego, ale żyje własnym życiem, którego my nie jesteśmy w stanie zobaczyć, bo to życie toczy się tylko wtedy, kiedy akurat nie patrzymy. Bezwstydnie spoglądając prosto w nasze oczy, postacie udające nas samych mają nas złudną obietnicą bezpieczeństwa i sprzedają nam nieprawdziwe poczucie, że wszystko jest na swoim miejscu i nad wszystkim panujemy. Czarodziejka wzruszyła ramionami i odwróciła się, by odejść, dołączyć do Kaina i reszty i nie dać się zastraszyć bajaniu starych bab, szepczących niegrzecznym dzieciom do snu, ale coś sprawiło, że zeszywniała i zastygła w bezruchu.

Dziewczyna w lustrze nie naśladowała jej ruchów, nie odwróciła się, stała nieporuszona, nie próbując już ukryć uśmiechu. Elfka powoli, ostrożnie znów przybrała dawną pozę, stając naprzeciw zjawy. Nieznajoma z innego świata pokiwała głową z aprobatą.

*Księżyc okrąża Ziemię i błyszczy nocą na jej niebie, a przecież nie świeci. Odbija tylko światło słońca, jest jego lustrem, bladym i niewyraźnym w porównaniu do pierwowzoru, wspomnieniem. Czy naprawdę uważasz, że lustro, które potrafi tylko odbijać świat, może być bramą? Że w jego wnętrzu może toczyć się równoległe życie? Księżyc nigdy nie rozbłyśnie prawdziwym światłem, a postacie z lustra nigdy nie będą żywe. Pozostaną na zawsze zjawą, upiorem, majakiem, który odbija przeszłość, nie powiedzą ci nic ponad to, co już się stało.*

Dziewczyna uśmiechnęła się jeszcze szerzej i wtedy Elfka zauważyła, że wpatrzona w wiernie odbijające wnętrze jej duszy oczy nieznajomej i wsłuchana w głos, rozbrzmiewający w jej głowie, nie spostrzegła tego, że postać zmieniła się. Ona nadal miała na sobie białą suknię, Elfka w lustrze od stóp do głów spowita była w czernie i fioletry. W luźno opadające na jej ramiona włosy, dłuższe jeszcze niż włosy czarodziejki, wplecione miała fioletowe kwiaty kalii. Widmo, nie robiąc kroku, usunęło się nieco na bok, przygotowując miejsce przybyszowi z głębi lustra, którego Elpis dopiero teraz dostrzegła.

Zmierzał ku niej spokojny, opanowany, a jego kroki znaczyła spalona ziemia i popioły. Bose stopy zdawały się ledwo dotykać ziemi, ale to wystarczyło, by uczynić ją martwą. Jego oczy – czysto fioletowe, niesamowite, żaden żyjący naprawdę Człowiek nie może mieć takich oczu – wpatrywały się w twarz dziewczyny z czułością i pożądaniem. Ubranie jego stanowiły tylko czarne spodnie, z nagich pleców wyrastały ogromne, płonące czarnym ogniem, którego nic ugasić nie jest w stanie, anielskie skrzydła. Twarz mężczyzny, udręczona tysiącletnim bólem i smutkiem, zdawała się być jednocześnie młoda i piękna, ale też niewyobrażalnie stara. Dziewczyna czuła gorąco, bijące od czarnego anioła, czuła pożogę szalejącą w jego wnętrzu, ogień, który go spalał przez nieskończone dziesiątki tysiącleci, nawet z tej odległości, nawet uwięziony po drugiej stronie lustra, dosięgał jej. Zgięła się wpół i upadła na kolana, na zimną podłogę groty, nie czując chłodu, tylko sprawiający ból żar rozżarzonych do czerwoności kamieni. Mężczyzna zobaczył ją poprzez oddzielającą ich szklaną tafłę, przyspieszył kroku i wyciągnął rękę. Dziewczyna w lustrze odwróciła się w jego stronę i odwzajemniła jego gest.

Elfka wiedziała doskonale, co się teraz stanie. Kiedy ich dłonie się zetkną, otoczą ją szczerlnie płonące skrzydła czarnego anioła, a na jej szyję, twarz, dekolt i ramiona spadnie grad palących jak ogień pocałunków. Chciała wstać i uciec, ale ciało odmówiło jej posłuszeństwa, a prawa dłoń bezwiednie wyciągnęła się w kierunku nadchodzącego anioła.

*Bo należysz do mnie, tak jak ja należę do ciebie, bo jesteś moja, moja na zawsze i nikt i nic tego nie zmieni. Wstań więc i chodź ze mną tam, gdzie twoje miejsce, tam, gdzie zawsze byłaś i na zawsze powinnaś pozostać.*

Z gardła dziewczyny wydobyło się stłumione łkanie, kiedy z jej palców wystrzeliły srebrzyste nitki mocy, jakby cała jej istota, nawet magia, która w niej była, pragnęły tego kontaktu. Poczują, że końce jej palców płoną.

A potem ktoś pewnie chwycił ją za rękę i porwał w ramiona, ale zarówno dotyk dłoni, jak i obejmująca ją postać były żywe, chłodne i bezpieczne. Nie śmiejąc otworzyć oczu, wciągnęła w płuca znajomy zapach pyłu, piasku i ziemi. Poczuła niewyobrażalną ulgę, a jednocześnie straszny żal, że jej chory majak został przerwany. Wzięła kilka głębokich oddechów, usiłując się opanować.

– Już wszystko dobrze, dziecinko – głos Kaina był lekko roztrzęsiony i pełen troski. – Widziałas go, prawda?

Wciąż bała się otworzyć oczy i spojrzeć na swojego mistrza. Przerazało ją to, że doskonale знаła powód tego, że wciąż zaciska kurczowo powieki, powód, którego za nic nie zdradziłaby Kainowi ani nikomu innemu. Wiedziała, że kiedy znów spojrzy na realny świat, utraci na zawsze część tego świata z lustra, jakiś szczegół twarzy czarnego anioła umknie jej już na zawsze, a nie chciała pozwolić na utratę jego obrazu, choć ją przerażał, to jednocześnie była nim zafascynowana. Kain delikatnie, acz stanowczo ujął ją pod brodę i zmusił do uniesienia głowy. Chcąc nie chcąc, musiała spojrzeć. W oczach czarnoksiężnika był niepokój i troska.

– Kain, czy to był...

– Lucyfer? – dokończył za nią. – Tak, myślę, że tak. Ja widziałem tylko nasze własne odbicia, ale sądząc po tym, jak silnie na niego zareagowałaś, to musiał być on. Leviathan nie działał na ciebie tak mocno, prawda?

– Leviathan jest przerażający, ale inaczej. Teraz czułam się tak, jakbym nie mogła absolutnie nic zrobić, nieważne jaką mocą dysponuję, teraz byłam bezbronna niczym dziecko. Ja... Ja nie chcę się tak czuć nigdy więcej, rozumiesz? – starzec pokiwał głową, nie przestając kołysać jej w ramionach. – Powiedz mi, czy ja... Czy będę musiała z nim walczyć?

Na twarzy czarnoksiężnika odmalował się ból.

– Walczyć?... Nie... Nie dojdzie do tego. Spotkasz go z całą pewnością, ale jeśli chodzi o walkę to od teraz biorę Lucyfera na siebie. Obiecuję.

Wiedziała, że słowa czarnoksiężnika są szczerze i że może w nie wierzyć. Nie dojdzie do konfrontacji, w obliczu której byłaby bezbronna niczym nowo narodzone niemowlę. Kain ją osłoni, nie dopuści do tego, by spotkała ją jakakolwiek krzywda, nie pozwoli, by dłonie jej i czarnego, przegranego, ale wciąż niesamowicie groźnego anioła zetknęły się, by strawił ją szalejący w jego wnętrzu pożar. Wściekła na samą siebie za to, że tyle czasu zajmuje jej doprowadzenie się do normalnego stanu, wstała, walcząc z ustępującymi zawrotami głowy.

– Czego on ode mnie chciał?

– Czy to nie oczywiste? Chciał cię przestraszyć i udało mu się. Chciał opóźnić lub nawet uniemożliwić rozpoczęcie zadania, na to mu nie pozwól. Weź się w garść, unieś głowę i chodź ze mną. Czekają tam na ciebie.

Tak, czekali... Słyszała ich oddechy i nawet tu docierał do niej gwar ich gorączkowych myśli. Wyczuwała głównie niechęć, wrogość i zdumienie. Całkiem nieźle jak na początek.

– Kogo ty tam zebrałeś? Oni nie mogą ścierpieć nawzajem swojej obecności, czekają na jakiegoś nadludzko silnego i potężnego przywódcę, który ich poprowadzi, tylko to trzyma ich na miejscach. Każdy z nich najchętniej odszedłby stąd i zapomniał, że kiedykolwiek miał z tobą do czynienia.

Mężczyzna w brudnoszarym płaszczu uśmiechnął się smutno.

– Wszyscy z nich odpowiedzieli na wezwanie, choć nie było ono rozkazem. Nie odejdą po tym, co dziś usłyszą.

Nic nie odpowiedziała, przyjęła ofiarowane jej przez przybranego ojca ramię i pozwoliła się prowadzić do wielkiej komnaty, którą mijali, idąc tu. Teraz, kiedy należało zacząć działać, była w swoim żywiole, gotowa stawić czoła niezadowoleniu trzech przybyszów, którzy na razie

byli dla niej i dla siebie nawzajem niezrozumiałą zagadką. Na szczycie kamiennych schodów Kain przepuścił ją przodem.

Gdy tylko czarodziejka i jej nauczyciel stali się widoczni dla trójki mężczyzn, sześć oczu zwróciło się w ich stronę. Elfka uniosła nieco brwi ze zdumienia – Elf, Człowiek i Wampir siedzieli wspólnie przy kamiennej półce, służącej jako stół, a przed nimi ustawione były miedziane misy, wypełnione mięsivem oraz owocami i czarki z winem i krwią. Jedzenie stało jednak nietknięte, a trzej goście starali się siedzieć najdalej jak to tylko możliwe od siebie nawzajem.

Najbardziej wciśnięty w kąt był Wampir, długie do ramion, koloru dojrzałej pszenicy włosy spadały mu swobodnie na plecy, zdawał się być jednocześnie rozluźniony i spokojny, ale też czujny, błędząc spojrzeniem po grocie i twarzach współtowarzyszy. On, jako jedyny nie miał co do niej zastrzeżeń, po prostu napotkawszy na chwilę jej oczy, skinął lekko głową, godząc się na takiego przywódcę. Człowiek, ubrany w purpurową koszulę i tego samego koloru płaszcz oraz ciemne spodnie, najbardziej emocjonalnie zareagował na pojawienie się dziewczyny. Na jego twarzy odmalowało się najpierw niedowierzanie, zaraz potem oburzenie i wściekłość, wszystkie te uczucia uderzały jednak w czarnoksiężnika, pozostawiając ją nietkniętą. Elf o młodej, niemalże dziecinnej jeszcze twarzy, patrzył prosto na nią szeroko otwartymi, błękitnymi oczyma. Na samym dnie tego spojrzenia czarodziejka dostrzegła nieśmiałą iskierkę nadziei.

\*\*\*\*

Ze szczytu wykutych w kamieniu nierównych stopni pewnym krokiem schodziła ku nim młoda, piękna dziewczyna. Od stóp do głów spowita w biel, zdawała się być nierealną zjawą z innego świata, delikatną i kruchą, żadnym sposobem nie pasującą do ich trójki. Wilgotne włosy, których końcówki skręcały się w czarne pierścionki, opadały na jej talię, duże, zielone oczy spoglądały na ich twarze bez zmieszania, jakie powinno cechować kobietę, która przypadkiem się tu znalazła. Nie mogła być silnym i potężnym przywódcą, jakiego obiecał im Kain, ich tarczą i ochroną w tej misji, tarczą, na którą sami po cichu liczyli. A jednak była tu, pojawiła się chwilę po tym, jak stary czarnoksiężnik poszedł przyprowadzić ostatniego członka misji. Za dziewczyną, kilka kroków oddalony od niej, szedł starzec w kapturze narzuconym na głowę, skrywający przed nimi swój wyraz twarzy. Prawda, która zdawała się być niemożliwa do przyjęcia, uderzyła w nich niczym wystrzelona z ukrycia strzała. Każdy z nich poczuł się w pewien sposób zdradzony i oszukany.

Idący za Elfką Kain dokładnie badał ich nastroje. Wampir przyjął rewelację ze spokojem i opanowaniem, typowym dla swojej rasy. Trudno było wyłowić z jego postawy jakiegokolwiek emocje, odgrodził się od reszty niewidzialną tarczą i obserwował. Co do jego udziału w misji czarnoksiężnik miał nieco mieszane uczucia. Jasnowłosy młodzieniec, odżywiający się krwią, czuł wstręt do samego siebie i do wszelkich podobnych mu stworzeń. Został przemieniony kilkadziesiąt lat temu, był wystarczająco młody, by nadal pragnąć śmierci i wyzwolenia z łańcuchów klątwy, właśnie po to się tu znalazł. Liczył na to, że podczas tej samobójczej wyprawy znajdzie coś skuteczniejszego od bajek o drewnianych kołkach czy promieniach słońca, które – choć go osłabiały, to nie czyniły mu przecież żadnej trwałej szkody. Dla niego fakt, że dowodzenie i co za tym idzie, pieczę nad jego życiem ma objąć młoda dziewczyna, która niewielkie ma pewnie pojęcie o tym, z czym przyjdzie im walczyć, mógł tylko przyspieszyć spełnienie się jego pragnienia.

Człowiek był wściekły, nad tym uczuciem z trudem panował, sam nie wiedział, co rozczarowało i przeraziło go bardziej. Czy fakt, że jego towarzyszem zostanie Wampir; czy to, że będzie z nimi niemowlę, które teraz spało spokojnie, wtulone w sierść leżącej niedaleko trzaskającego ognia Wilczycy o dwóch głowach, która przed chwilą karmiła malucha niczym

własne szczenię; czy właśnie to, że swoje życie i swój miecz ma oddać do dyspozycji młodej dziewczyny. Każdy z jego trzech braci, którzy zostali w chacie z ojcem i najmłodszą siostrą, zazdrościli mu tego, że to właśnie po niego przyszedł czarnoksiężnik w zniszczonym płaszczu i to jemu pozostawił wskazówki, jak dotrzeć do ukrytej wśród skał Warowni. Mężczyzna pomyślał z goryczą o tym, jaka byłyby ich reakcja na to, co właśnie oglądał i czemu wciąż nie dawał wiary.

Młody Elf widział to samo, co reszta jego towarzyszy, ale dostrzegał o wiele więcej szczegółów i ukrytych przed innymi znaczeń. Jego oczy podpowiadały mu, że stoi przed nimi piękna dziewczyna, ale umysł wiedział, że jej uroda jest groźna, niebezpieczna, kryje w sobie ciemny, zły pierwiastek i że nie wolno mu jej ulec. Widział gładkość jej skóry i grację ruchów, ale nie dał się oszukać – doskonale zdawał sobie sprawę, że nieznajoma nie jest młoda, ale starsza od nich wszystkich razem wziętych, może z wyjątkiem Kaina. Miał przed sobą obraz Elfa, ale osoba ta nie mogła być tak naprawdę Elfem, jej aura kryła w sobie zbyt wiele mrocznych plam i była zbyt niespójna. Wreszcie on jeden rozumiał znaczenie sukni, jaką miała na sobie dziewczyna. Biel nie była dobrym kolorem – kryła w sobie wszystkie inne barwy, nie pokazując ich, niczym światło, które dopiero rozszczepione przez pryzmat ukazuje swoją prawdziwą postać. Jednakże widmo światła jest piękną, kolorową tęczą, więc może dla nich też tliła się jeszcze jakaś nadzieja?

Mistrz i jego uczennica dotarli do podnóża schodów i czarnoksiężnik zrzucił kaptur, spoglądając na zebranych przed nimi mężczyzn.

– Dokładnie siedem dni temu udałem się w podróż, by odnaleźć trzech śmiałków o sercach, które nie łatwo poddają się ciemności i wezwać ich do siebie. Wszyscy odpowiedzieliście i oto jesteście tu przede mną. Teraz nadchodzi czas, kiedy będziecie mogli zadawać pytania i uzyskać na nie odpowiedzi, na podstawie których podejmiecie decyzje co do swojego dalszego udziału w misji. Ci, którzy się nie wycofają, wyruszą dziś w drogę, od momentu opuszczenia mojej grotty na wierzchowcach, które dla was przygotowałem, nie będzie już odwrotu. Wzywam was więc do głębokiego przemyślenia drogi, którą od teraz będziecie kroczyć. Jakąkolwiek decyzję dziś podejmiecie, zostanie ona uszanowana, nie obawiajcie się więc przemawiać szczerze i prosto z waszych serc – czarnoksiężnik zrobił pauzę i spojrzał po twarzach siedzących przed nim mężczyzn, ale nikt się nie odezwał. – Dobrze, – podjął po chwili – więc ja zacznę. Po pierwsze byłoby absurdem, gdyby wasze imiona nadal pozostawały tajemnicą dla innych towarzyszy podróży, a z tego, co wiem, nie przedstawiliście się sobie, pozwólcie więc, że dokonam prezentacji. Mamy tu Elfa, Wampira, Człowieka i Wilka, przedstawicieli wszystkich starożytnych ras, zamieszkujących Ziemię. Nie musicie znać dobrze Wilczycy, ona nie weźmie bezpośredniego udziału w wyprawie, obejmie pieczę nad dzieckiem, ale nie będzie walczyć.

– Sylwanie, wstań proszę – czarnoksiężnik zwrócił się bezpośrednio do Wampira, który wypełnił polecenie, nie odzywając się. – Sylwan, przedstawiciel rasy, szukającej ukojenia w mrokach nocy, jeśli zdecyduje się z wami podążyć, przekonacie się, jak bardzo jego imię pasuje do niego samego. Nie lekceważcie jego broni, mimo, że teraz budzi w was odrazę, nie raz ocali wam życie, zapamiętajcie to. Dziękuję ci, możesz spocząć.

– Farysie, – Kain przeniósł spojrzenie na człowieka – czy zechcesz powstać? Rasa ludzka jest zagadką dla wszystkich i dla samej siebie. Istoty, kryjące w sobie zarówno pierwiastek dobra jak i zła, znające różnicę między tymi dwoma pojęciami, a jednak tak często tracące nad nimi kontrolę. Nie może być inaczej, jeśli zna się historię ich powstania. Ale Farys nie jest zwykłym przedstawicielem swojej rasy, tylko on może zająć należne mu miejsce w wyprawie, jeśli odmówi, pozostanie ono puste. Przyjmijcie go więc do swojego grona i traktujcie z należnym mu



szacunkiem, bo mimo braku siły i wytrzymałości fizycznej, jaka cechuje pozostałe rasy, jest on wam równy. Usiądź, proszę.

– Pistis – Elf wstał bez zaproszenia ze strony starca – jest kapłanem, jego mądrość i znajomość celu, jaki przed wami stoi, przewyższa o stokroć pojęcie, jakie wy o nim macie. Jego ród jako jedyny ma w posiadaniu Świętą Księgę, w której spisane są dzieje świata, od jego powstania aż do końca. Jest tam też prorocтво odnoszące się do waszej podróży, jestem więc pewien, że młody kapłan będzie w stanie przywołać je wam z pamięci. Mi nie wolno go czytać – na moment twarz starca pociemniała – ale mogę je wam objaśnić. Dziękuję ci, Pistisie.

– Wreszcie moja wychowanka i uczennica, Elpis – czarnoksiężnik ujął dłoń dziewczyny i postąpił z nią krok w ich stronę. – Niech was nie zwiedzie jej delikatny wygląd, jest doskonałym wojownikiem, lepszym być może ode mnie czarodziejem i jedyną osobą na Ziemi, która potrafi obłaskawić i zmusić do posłuszeństwa bestie, z którymi przyjdzie się wam zmierzyć. Uwierzcie mi, bo wiem, o czym mówię. Raz bardzo ją rozgniewałem i walczyliśmy, była wtedy w ciele sześciolatniej dziewczynki...

Oboje, dziewczyna i starzec uśmiechnęli się na to wspomnienie, jakby połączeni jakąś niewidzialną nicią porozumienia. Czarnoksiężnik umilkł i czekał na ich reakcje. Pierwszy odezwał się Farys, ostrożnie dobierając słowa.

– Podążyłem za tobą, mistrzu i dotarłem aż tutaj, a teraz czekam na dalsze twoje rozkazy, bo przyrzekłeś mi udział w zadaniu, które uczyni mnie nieśmiertelnym dla tych, którzy przeżyją i sprawi, że Ludzie, Elfy i Wampiry ze strachem i czią wypowiadać będą moje imię. Nie przyszedłbym tutaj, gdybym wiedział, że zadanie ma polegać na opiece nad niemowlęciem i młodą dziewczyną. Wybacz pani, ale pochodzę z ludu, w którym kobieta o walce i zabijaniu wie tyle, ile uznaje za stosowne opowiedzieć powracający z wojny mąż. Nigdy nie bierze sama w nich udziału, to ją chroni i czyni nietykalną. Stąd moje uprzedzenie. Jesteś piękna, z pewnością też bardzo odważna i pełna zapału, jednak udział w tak niebezpiecznej wyprawie powinnaś pozostawić mężczyznom, którzy sprostają jej trudom.

Żadne z nich nie było zdziwione jego słowami, oboje spodziewali się takiej reakcji, zagadką było tylko to, który z nich i jak prędko odważy się pierwszy o tym głośno powiedzieć. Czarnoksiężnik już otworzył usta, by przemówić w obronie dziewczyny, ale ona puściła jego rękę i odezwała się pierwsza, nie dając mu dojść do słowa.

– A kogo spodziewaliście się ujrzeć? Mesjasza, przed którym klękać będą narody? Umarł wieki temu, pokonany, a jego najwierniejszy uczeń zapał się go trzy razy w chwili, gdy jego mistrz wydawał ostatnie tchnienie, więc nie czekajcie na niego, on nie przyjdzie. Jestem tu ja i ja poprowadzę tych, którzy zdecydują się pójść za mną. Nikogo do niczego nie zmuszam i nie będę próbowała przekonywać, ale uwierz mi, Człowieku, widziałam więcej bitew, niż ty czy którykolwiek z twoich braci jesteście w stanie przywołać w pamięci. Nie urodziłam się w czasie, na który wskazywałby mój wygląd i podczas mojego życia walczyłam z całą rzeszą Ludzi i czarnoksiężników, których zabiłam i których twarze już dawno uleciały z mojej pamięci. Potrafię przeżyć ugryzienie Wampira i nie czyni mi ono żadnej szkody, powiem więcej, sama kiedyś piłam krew Wampira, jestem odporna na jej działanie. Potrafię przetrwać w warunkach, o jakich się wam nawet nie śniło i nie robią na mnie wrażenia rzeczy, które z pewnością zabiłyby każdego z was z osobna i wszystkich razem, gdybyście stanęli naprzeciw nim ramię w ramię. Nie będę ładnym dodatkiem do drużyny ani jej maskotką, opiekę nade mną i dzieckiem zostawcie mi, a sami martwcie się lepiej o własne głowy, bo ja waszej straży nie potrzebuję.

Cała trójka z napięciem wpatrywała się w jej twarz. Dziewczyna nic już nie powiedziała, podeszła do prowizorycznego stołu i wzięła z niego jedną z drewnianych czarek wypełnionych gęstym, ciemnoczerwonym płynem i opróżniła ją duszkiem. Odstawiła naczynie, uśmiechając się

lecko, umyślnie eksponując przy tym kły, które automatycznie powiększyły się w odpowiedzi na słodko-metaliczny smak. Człowiek wciągnął ze świstem powietrze i znieruchomiał, w oczach Elfa przez moment dostrzec można było rozpacz i pustkę, a Wampir uniósł głowę, wpatrując się w dziewczynę z na nowo ożywionym zaciekawieniem. Czarodziejka wzięła do ręki drugą czarukę i razem z nią podeszła do Wilczycy i śpiącego w kołysce utworzonej z jej ciała niemowlęcia. Usiadła obok dziecka, opierając się o drapieżnika i kładąc wolną rękę na jego grzbiecie. Potężne zwierze zwróciło w jej stronę jeden ze swoich łbów i liznęło ją krótko po policzku.

– Więc – pierwszy przerwał cisze Farys – naprawdę walczyłaś z Leviathanem?

– Tak, ale... – dziewczyna zawahała się przez moment. – To nie była walka w dosłownym tego pojęcia znaczeniu. Raczej pojedynek czysto mentalny, starcie, które rozegrało się w naszych głowach. Zmusiłam go do tego, by pokazał mi pewne rzeczy i przyrzekł posłuszeństwo, choć wcale nie miał na to ochoty.

– Właśnie – głos zabrał Kain. – Wszystkich nas nurtuje, jaki przekaz miał dla ciebie i dla nas wszystkich pierwszy z Upadłych Aniołów. Opowiedz nam.

Więc dziewczyna zaczęła opowiadać o Bogu i jego siedmiu ulubieńcach i pomocnikach, którzy wzgardzili doskonałym światem, jaki stworzył i ponieśli za to straszną karę. Wszyscy słuchali uważnie, nie przerywając jej i nie zadając pytań, cierpliwie czekając, aż skończy. Kiedy umilkła, jej przybrany ojciec przemówił po raz drugi.

– Siedmiu upadło, rażonych bożym gniewem, a ósmy skoczył za nimi w nicość, odrzucając skrzydła. Wszyscy zostali przeklęci i potępieni na wieki, ale to nie była wystarczająca kara. Zapadli w sen, tu na Ziemi, choć Wszechświat stworzony przez Boga był ogromny i mógł On rzucić ich gdzie tylko chciał, wybrał tę planetę. Dlaczego, dowiecie się od elfickiego kapłana, który uważnie przestudiował Świętą Księgę, której tekstu nie wolno mi było słuchać aż do dzisiejszego dnia. Bo oto nadeszły czasy, kiedy świat, który znacie, chyli się ku upadkowi, więcej jest budzących odrazę kreatur niż istot, godnych dostąpić zbawienia, jeśli w ogóle ktokolwiek na nie zasługuje lub kiedykolwiek zasługiwał. Dzień Paruzji jest bliższy niż sądzimy, czas, kiedy trzeba będzie ostatecznie za wszystko zapłacić, nadszedł i właśnie się wypełnia.

Dziewczyna wsparta na miękkim grzbiecie Szarej Wilczycy nie mogła oprzeć się wrażeniu, że coś jest jednak nie tak, że jakiś szczegół, bardzo ważny szczegół się nie zgadza.

– Kain... – odezwała się niepewnie – to nie ma sensu. Lucyfer odrzucił skrzydła i poszedł za resztą straconych aniołów, ale Lucyfer, którego zobaczyłam w mojej wizji miał skrzydła. Wielkie, tak wielkie, że zdawały się obejmować wszystko wokół, płonące żywym ogniem.

– Masz rację, to nie brzmi zbyt logicznie – oboje zignorowali widoczne poruszenie wśród trzech mężczyzn, które nastąpiło po tym, jak Elfka wspomniała o swojej wizji Lucyfera. – Ale jeśli uważnie się nad tym zastanowić, jeśli spróbować to zrozumieć, ma to sens. Pan przebaczył swojemu ulubieńcowi i jako jedynemu pozwolił mu pozostać w Niebie u stóp swojego tronu, ale anioł nie przyjął tej łaski. Odrzucił skrzydła, jednak Bóg stworzył go skrzydlatym i tylko On mógł mu je odebrać. Najwyższy nie przyjął jego skrzydeł, więc anioł musiał je zachować, ale w zmienionej postaci. Nie były już białe i nieskalane, zajęły się ogniem, który spalił je na szkielet, a mimo to wciąż trwały. Nie mają nigdy zniknąć, jak nigdy nie zgaśnie ogień, trawiący teraz wnętrze czarnego anioła. Będzie cierpiał męki wieczne i nigdy nie umrze. To jego kara za to, że odrzucił przebaczenie. Wszystkie stracone istoty cierpią na wieki, ale cierpienie Lucyfera jest największe, bo kiedyś był ukochanym doradcą, a teraz stał się budzącą odrazę bestią, a pobratymcy, dla których skoczył w przepaść, a którzy wcześniej za nim poszli, znenawidzili go przez czas trwania kary, bo to przez jego działania wszystko się stało. Gdyby nie uroił sobie w głowie pragnień, co do których, jak uważa Bóg, nie miał prawa, nadal trwałoby w swojej niczym niezmaconej doskonałości.

Dziewczyna wzdrygnęła się mimowolnie.

– Coraz mniej podoba mi się ten ich Bóg. Przecież Lucyfer chciał tylko kochać i być kochanym. Czy to takie dziwne i straszne? Wybrał Barbello i ona też go wybrała, potem narodziła lub narodził się Belial, mieli dziecko, co w tym złego? Co tu zasługuje na potępienie?

– Do tej pory właściwie nic, poza tym, że tylko Bóg miał prawo stwarzania żyjących nieśmiertelnych istot. Zło wydarzyło się nieco później. Opowiada o tym Księga i tu proszę kapłana, by nam to przybliżył, bo on wie najlepiej.

Oczy wszystkich zgromadzonych zwróciły się w stronę młodzieńca w białej szacie, który z trudem oderwał spojrzenie od wspartej na boku Wilczycy przedstawicielki jego własnego plemienia, która właśnie powoli sączyła słodką krew z drugiej czarki. Była dla niego niebezpieczną zagadką, której rozwikłanie miało go przez najbliższy czas dręczyć, wyglądała jak Elf, ale nie mogła nim być. Najmniejszy łyk krwi natychmiast osłabiłby bardzo prawdziwego Elfa, a ilość zawarta w naczyniu z pewnością by go zabiła i uczyniła jego duszę nędzną i słabą, ta rasa zbyt była związana z ziemią i wszystkimi żywymi istotami, by znieść smak cząstki ciała, które odczuwa ból. Drewniane naczynie w ręku dziewczyny przerażało go i fascynowało zarazem.

– Święta Księga zaginęła dawno temu – zaczął z trudem, drżącym głosem – ale moje plemię bardzo szanuje i pielęgnuje jej pamięć. Przekazujemy sobie ustnie jej teksty z pokolenia na pokolenie, szczególnie kapłani znają jej treść dokładnie, co do słowa, to znaczy – tą treść, którą zapamiętali starsi. Nikt już nie zna całości. Opowiada ona o początkach Wszechświata. Jest w niej wymieniony potężny i nieśmiertelny Bóg oraz Jego aniołowie. Opisuje szczegółowo ich upadek. Rozpoczął się on w momencie, kiedy Lucyfer i Barbello powołali do życia Belial. Powołali do życia – to ważne – ona nie jest zrodzona, a stworzona, nigdy nie była dzieckiem i nie jest biologiczną córką tych dwojga, oni po prostu ją wezwali, a ona usłuchała. Nazwali sami siebie jej matką i ojcem a istotę, która odpowiedziała na ich wołanie – córką. Nikt nie wie, skąd przybyła Belial, jest stworzona z ciemności i światła, splecionych ze sobą, przenikających się.

– Lucyfer i jego wybranka pokochali ją, ale natychmiast zaczęli obawiać się bożego gniewu i poczuli skruchę. Nikomu, z wyjątkiem Boga nie wolno było tworzyć nieśmiertelnych istot. Jednak wykroczenie zostało już popełnione i oboje zdecydowali się przyjąć na siebie jego konsekwencje. Udali się do Najwyższego, błagając go o łaskę dla dziewczyny, którą powołali do życia, posunęli się nawet do błagania o skrzydła dla niej i o bożą opiekę nad nią, sami gotowi byli na strącenie w czeluście Szeolu, byle tylko ją ocalić. Pan wysłuchał ich, przywołał Belial przed swoje oblicze i obdarzył ją najpiękniejszą, piękną nawet od Jego aniołów istotę białą-złocistymi skrzydłami i włączył ją w szeregi aniołów. Uświęcił też i uczynił nierozzerwalnym związek między Barbello a Lucyferem.

– Wszystko mogłoby być dobrze, gdyby nie jeden szalenie istotny szczegół. Aniołowie nie posiadali uczuć, ale Belial, stworzona z nieudolnej miłości, jaka narodziła się między dwoma z nich, była przepelniona uczuciami, których nie rozumiała i nad którymi nie panowała. Była porywcza, gwałtowna, niebezpieczna i wiecznie zawieszona na granicy dobra i zła, zdająca się stąpać jedną nogą po jasnej, a drugą po ciemnej stronie, jej samozwańczy rodzice nie mieli szans, by nad nią zapanować, przeciwnie – to ona wywołała zamęt w głowach wszystkich siedmiu pozostałych boskich pomocników. W końcu dopełnił się najstraszliwszy grzech. Piękna i groźna anielica uwiodła Lucyfera i z ich zakazanego związku urodziło się dwoje dzieci – bliźnięta, chłopiec i dziewczynka, Adam i Lilith.

– Świetlisty anioł stracił dla niej głowę, oszalał, był gotów walczyć z Najwyższym o jej i dzieci życie. Dzieci były dziwne, nikt do tej pory nie widział takich stworzeń, małe i bezbronne, by przeżyć, potrzebowały niemal nieustannej obecności matki. Nad huraganem uczuć, który

zawsze kłębił się we wnętrzu Belial, górę wzięła teraz niezrozumiała i niezwykle silna miłość do tych dwóch istot, pełzających niczym robaki, nie potrafiących mówić, nieświadomych i bezmyślnych. Kiedy Barbello dowiedziała się o ich zdradzie, uciekli. To dla swojej córki, która stała się jego kochanką i matką jego biologicznych dzieci, Lucyfer przekroczył granice Wszeczeństwa, stworzonego przez Boga. Odnalazł miejsce, gdzie mogli się schronić i nigdy nie zostać odnalezionymi, tak przynajmniej mu się wydawało. Wspólnie obdarzyli życiem jedną z martwych planet, błędzących poza granicami boskiego świata i nadali jej imię – Ziemia. W jej wnętrzu odtworzyli na tyle wiernie, na ile potrafili, boski dwór, umieszczając go w ogrodzie, który nazwali Edenem.

– Tam osiedli z dziećmi, obserwując jak one z małych, bezrozumnych istot, stają się większe, podobne do aniołów, a jednak tak bardzo się od nich różniące. One też posiadały uczucia, które dręczyły ich matkę, same siebie i swoich rodziców uwielbiały i nienawidziły naprzemian. Lucyfer i Belial wracali często na boski dwór, przed oblicze Najwyższego, łudząc się, że nie może On dostrzec tego, co dzieje się poza granicami stworzonego przez siebie świata. Mylili się, Pan widział wszystko i wiedział, co ukrywają przed Nim oni i reszta aniołów. Bowiem żaden z pozostałej szóstki nie wydał kochanków, nawet w Barbello miłość do córki przeważyła nad wściekłością i poczuciem zdrady. Nie wiemy dlaczego odwlekał jednak karę i pozwalał, by zło dokonywało się dalej. Wielu twierdzi nawet, że to On zdradził w końcu Barbello drogę do ich kryjówki i pozwolił jej zabrać jedno dziecko, jako zadośćuczynienie za jej cierpienie, ale nie wiemy tego na pewno.

– Prawdziwa historia milczy na ten temat, dość, że wzgardzonej pierwszej kochance Lucyfera udało się znaleźć drogę do małego raj, który stworzył on razem z Belial. Odnalezienie w nim dzieci, które były już dorosłe, nie było trudne. Łatwo też poszło przekonanie Lilith, by poszła z nią. Wystarczyło opowiedzieć jej o prawdziwym świecie, który stworzył Bóg, bo rodzice pierwszych Ludzi, chcąc ich chronić, utrzymywali ich w przekonaniu, że Eden jest jedynym światem, że poza nim nie ma życia i nie ma istot żywych, nie ma więc sensu tego schronienia opuszczać. Kobieta, wściekła i rozszalona, podążyła za anielicą i pozwoliła jej się nieść, bo sama nie miała skrzydeł. Jednak Barbello oszukała ją, wzniosła się z nią w ramionach wysoko ponad niebo i umyślnie upuściła dziewczynę na ciemnej, martwej części planety. Była pewna, że ten upadek przeplaci ona życiem, ale wtedy Ludzie nie byli tak słabi i krusi jak obecnie.

– Lilith przeżyła, co więcej, przeżyły stworzenia, które nosiła w swoim łonie, a upadek spowodował ich przedwczesne pojawienie się na świecie. Pierworodne dzieci dwójki pierwszych Ludzi były straszne, upadek, który nieomal nie zabił ich i ich matki, uczynił z nich pokraczne karykatury żywych stworzeń, zupełnie niepodobne do na swój sposób pięknych niemowląt, którymi stałyby się, gdyby Lilith została w Edenie. A jednak istniały, ich nieszczęśliwa matka, pogruchotana i zbyt słaba, by zdobywać dla nich pożywienie, pozwoliła im czerpać z samej siebie. Odżywiając się energią witalną i resztką sił pierwszej kobiety, poczwary przetrwały, czyniąc z niej upiora, który nie żyjąc już wcale, nie może umrzeć. Lilith i jej pokraczne dzieci zostały na zawsze uwięzione w miejscu upadku, a miejsce to nazwano Doliną Jęku – Gehenną.

W miarę snucia opowieści, tak dobrze znanej i przestudiowanej dokładnie wiele razy, głos Elfa stawał się spokojny i wciągający. Elpis wsłuchiwała się w niego, zapominając na chwilę o tym, gdzie jest, widząc przed oczami świetlisty Eden i pełną gęstej czerni Gehennę. Po ostatnich słowach Elfa zabrała głos, korzystając z krótkiej przerwy w opowieści.

– Od kiedy podróżuję z dzieckiem, Cienie zrodzone z Lilith uczepliły się mnie i szły za mną niemalże tu. Musiałam odgrodzić się od nich, składając ofiarę z krwi. Przykro mi to twierdzić, ale masz nie do końca prawdziwe informacje, kapłanie. One już wypełzły ze swojego

więzienia, nie muszą być do niego ograniczone.

Elf skinął lekko głową, jakby dziewczyna potwierdziła coś, co do tej pory było dla niego tylko przypuszczeniem.

– Paruzja zbliża się, dzień gniewu pańskiego wkrótce nastanie i my będziemy jego świadkami. Nic już nie jest takie, jakie powinno być, dlatego pozwolono im wyjść. Lilith zdarzało się już wcześniej opuszczać kryjówkę, ale zawsze było to pod osłoną nocy i w samotności. Ona nie może pogodzić się z tym, że jej jednej przypadł taki gorzki los – rola matki demonów. Pożąda prawdziwych dzieci, cielesnych, delikatnych i kruchych, są dla niej jak magnez, któremu nie może się oprzeć. Nie raz zabierała dusze niemowląt z wiosek leżących niedaleko przekłętej doliny, dusza dziecka zamieszkuje ciało krótko i łatwo ją od niego oderwać, opętać i uprowadzić. Naczynie umiera, a wyrwana z niego dusza staje się jednym z jej bachorów. Pewnie pragnęła dziecka, które podróżowało z tobą, pani.

Czarodziejka poczuła, jak w plecy wbija jej się milion maleńkich lodowych igiełek. Wzdrygnęła się i mimowolnie przygarnęła do siebie owinięte w pieluszkę ciało niemowlęcia. Gest ten nie uszedł uwadze młodego kapłana. Chłopiec był potomkiem Ludzi, siedząca obok trzaskających w ogniu smolnych szczap kobieta z pewnością nie była Człowiekiem, jednakże Wampirem ani Elfem tak naprawdę też nie była. Kim było dla niej to ludzkie niemowlę i jaka więź ich łączyła...

– Jestem niemalże pewien, że kapłan ma rację – potwierdził czarnoksiężnik. – Lilith podążyła za tobą, by odebrać ci tego małego Człowieka, z całą też pewnością będzie kontynuować swoją pogoń, gdy tylko oddalicie się od Warowni na tyle, że przestaną ją blokować moje czary. Sama musisz go ochronić, nie potrafię ci w tym pomóc, mogę tylko przekazać informacje, które posiadam i które są w stanie naprowadzić was na prawidłowe odpowiedzi. Nie jest tego wiele, do większości wniosków musicie dojść sami i im prędzej to nastąpi, tym lepiej dla powodzenia wyprawy. Kontynuuj więc prośbę, opowiedz nam o Ewie – zwrócił się w stronę Elfa.

– Ewa... – twarz młodzieńca przybrała dziwny wyraz. – Kolejna istota, która nie powinna była się narodzić, a jednak do jej narodzin doszło. Druga córka Lucyfera i Belial, druga siostra Adama a zarazem jego druga żona. Przyszła na świat w Edenie i zajęła miejsce Lilith u boku Adama. Kiedy dorosła, urodziła Adamowi dwoje dzieci, dwóch braci, starszy dostał imię Kain, a młodszy Abel, ilu dzieci zrodziło się jeszcze z tego związku, tego nie wiemy, od nich jednak wywodzi się cała rasa ludzka, a także... – tu Elf zawiesił na chwilę głos – od nich początek wzięły wszystkie zamieszkujące Ziemię Elfy i Wampiry.

– Jak to? – Farys zerwał się z miejsca. – Chcesz powiedzieć, że ja i... – nie skończył, tylko patrzył z oburzeniem na siedzącego przed nim ze skrzyżowanymi na piersi ramionami Sylwana, jakby czekając, aż ten zaprzeczy.

– Tak – potwierdził spokojnie Kain. – Kapłan jasno się chyba wyraził. Trzy z czterech ras zamieszkujących Ziemię mają wspólnych przodków. Ewa rodziła tylko Ludzi, jednak z jej potomkami coś było stanowczo nie tak. W miarę upływu czasu porywczosć i pewna emocjonalna niestabilność, cechujące Belial, coraz bardziej brały górę nad chłodnym spokojem, odziedziczonym od ojca. Człowiek jako gatunek był gwałtowny i skłonny do nienawiści. Jednocześnie był coraz słabszy, podatny na zranienia, śmiertelny, anielscy rodzice nie byli w stanie przekazać mu swojej siły i daru wiecznego życia. Jednak Bóg nadal nie reagował, a Lucyfer i jego zakazana kochanka patrzyli na postęпки swoich potomków z niepokojem, nie chcąc jednak ingerować, niedoskonałość i pewna ułomność Ludzi była dla nich czymś cudownym i niezrozumiałym, nie chcieli tego psuć. Jednakże w końcu doszło do tego, że spadkobiercy Adama i Ewy zwrócili się przeciwko sobie. Pomiedzy Kainem i Ablem wybuchła

blaha początkowo sprzeczką, która zakończyła się śmiercią młodszego brata z rąk starszego. Kiedy Belial traciła nad sobą kontrolę, wściekała się, ciskała gromy i błyskawice, raziła nimi Lucyfera, walczyła z nim całkiem na serio, nie potrafiąc odnaleźć umiaru, ale jednak nie potrafiła wyrządzić mu krzywdy, aniołowie byli nieśmiertelni. Teraz oto na jej oczach jej dzieci, z powodu jej dziedzictwa zaczynały umierać. Musiała zareagować.

– Zrobiła pierwszą rzecz, jaka przyszła jej do głowy, cierpliwość i głęboka analiza też nie były jej mocnymi stronami. Zebrała wszystkich Ludzi, zamieszkujących wtedy Ziemię i podzieliła ich na trzy możliwie równe części. W pierwszą z nich przelała wszystkie te uczucia, które w jej odczuciu były dobre i wzniosłe, istoty, które w ten sposób ukształtowała nazwała Elfami; druga z nich otrzymała cechy negatywne i niebezpieczne, ale też chłód i opanowanie oraz niezwykłą wręcz szybkość i wytrzymałość, tak oto powstały Wampiry. Z jednym uczuciem Belial miała problemy największe i pojąc go nie była w stanie, jednocześnie czuła, że jest ono najsilniejsze i zupełnie odmienne od reszty, że za nic nie potrafi go zakwalifikować i przyporządkować jednej grupie, a jeśli obdarzy nim obie, spowoduje to tylko jeszcze większy zamęt i nowe szkody. Była nim miłość. To właśnie miłość była głównym darem, jaki otrzymała od niej trzecia grupa i istotom tym przeklęta anielica pozwoliła zatrzymać miano Ludzi.

– To ważne, żebyście mnie teraz dobrze zrozumieli – Kain spojrzał uważnie na wszystkie cztery pary wpatrzonych w niego oczu, na dłużej zatrzymując się na brunatnych oczach Farysa. – To nie tak, że ona przeznaczyła część swoich dzieci do zbawienia, a część skazała na potępienie, a już na pewno nie uczyniła tego świadomie. Ona sama była niczym dziecko poruszające się we mgle, myślała, że oto objawiło się jej genialne rozwiązanie sytuacji, że taki rozłam pozwoli jej potomkom zrozumieć swoje uczucia, pozwoli wszystkim rasom żyć w pokoju obok siebie, między podobnymi do siebie istotami, ale zachowując szacunek dla tych, które są inne. Myliła się jednak bardzo. Między Elfami i Wampirami wykształciła się instynktowna jakby wrogość, plemionom tym trudno było znosić nawzajem swoją obecność, tym bardziej, że tak bardzo różnił się ich styl życia. Te pierwsze ukochały światło i przestrzeń, były tak silnie związane z naturą, że zabijając jakiegokolwiek żywe zwierzę odczuwały jego ból, ich organizm odrzucał mięsny pokarm, był on dla nich wręcz trucizną. Wampiry pełnie sił osiągały tylko przez spożywanie krwi, najchętniej ludzkiej, której sam zapach jest dla Elfa wstrętny. Ludzkość miłość zgubiła, to przez nią wybuchały wojny, przez nią wielu zginęło i nielicznym tylko dała szczęście. Ziemia stała się jednym wielkim polem bitwy i cmentarzyskiem pokonanych, Belial i Lucyfer pogubili się w swoich działaniach tak bardzo, że nie potrafili już zareagować. Kochali po równi swoje niedoskonałe dzieci, ale nie byli w stanie im pomóc ani ich ocalić.

– Wtedy wszechmogący Pan postanowił zareagować. Zwlekał długo, ignorując stworzony przez swoje anioły świat, jakby nieświadomy jego istnienia, a kiedy w końcu zwrócił na niego uwagę, ręka, którą w jego stronę wyciągnął nie była pomocna, ale karząca. Werdykt był krótki i ostateczny, nie podlegał dyskusji – Ziemia zginie, a zamieszkujące ją rasy czeka zagłada. Bóg spuścił na błękitną planetę bezmiar wody, która zatopić miała wszystko, co żyje. Czterdzieści dni i czterdzieści nocy nieprzerwanych ulewnych deszczy, które ukryły nawet wierzchołki gór. Kiedy Belial i Lucyfer dowiedzieli się o planie Najwyższego, został on już wcielony w życie. Mimo więc, iż natychmiast opuścili boski dwór i znaleźli się na ożywionej przez siebie planecie, zastali tam dokonujące się dzieło zniszczenia, niedobitki Elfów, Ludzi i Wampirów ukryły się na wyżynach, gdzie woda jeszcze nie dotarła. Rozwścieczona, biedna matka, od której wszelkie istoty, które teraz były martwe, wzięły swój początek, jeszcze raz podjęła nieudolną próbę walki o nie. Wspólnie z Lucyferem uformowała ogromny statek, arkę, zdolną pomieścić wszystkie ocalałe stworzenia. Anioł, który wkrótce potem odrzucił skrzydła, sam sterował arką, uprzednio zabrawszy na jej pokład wszystkich co do jednego ocalałych, gromadząc w niej tym samym

wszelkie życie, jakie było jeszcze na Ziemi. Płynęli dokładnie sto pięćdziesiąt dni, a przez wszystkie te dni Lucyfer ani razu nie odszedł od steru, nie pozwalając rozszalałym falom pochłonąć arki. Belial udała się do sześciu pozostałych aniołów, błagać o ich pomoc. Astaroth, Asmodeus, Leviathan, Belzeebub i Mammon, a nawet Barbello, pełna skruchy za to, co uczyniła Lilith i pragnąca już tylko odzyskać swoją córkę, zgodzili się. Tak jak uprzednio zgodnie milczeli na temat planety i ziarna życia, jakie zostało na niej nielegalnie posiane, tak teraz wspólnie rzucili na statek tarczę, ukrywając go przed oczami Boga na czas odysei. Belial przez cały czas trwania wędrówki unosiła się bez chwili odpoczynku nad bezmiarem wody pod postacią gołębiczy, tak długo, aż znalazła suchy ląd, na którym Ludzie, Wampiry i Elfy mogły zacząć wszystko od początku.

– No i rozpoczęły – wtrącił nagle Sylwan z goryczą w głosie. – Niemalże dokładnie i idealnie, krok po kroku, wszystko powtórzyli. Wampiry nie potrafią się rozmnażać tak jak Ludzie, Elfy, czy jakiegokolwiek inne stworzenia. Ludzie są najplodniejszą rasą, mnożą się na potęgę, bez umiaru i poszanowania dla planety, której ziemię deptają, gdyby nie walki i wojny, które toczą wciąż między sobą i z innymi rasami pewnie szybko zrobiliby się ich za dużo i nie pomieściliby się na Ziemi. Może to dlatego, że jako jedyni zostali tak naprawdę zrodzeni, Wampiry i Elfy są z nich sztucznie wyodrębnione, jakby stworzone, tylko w trochę inny sposób. Elfy ustępują im na tym polu, jednak żyją o wiele dłużej od nich i co jakiś czas rodzi się między nimi dziecko, ale Wampiry nie płodzą potomków. Być może Belial, odszczepiając negatywne emocje i uczucia i wiążąc je w ich ciałach, chciała pozwolić jej nieudanym dzieciom w spokoju przeżyć czas, jaki był im przeznaczony i odejść na zawsze. Tak czy inaczej, nie wyszło jej. Wampiryzm jest jak zakaźna choroba, która przenosi się poprzez ugryzienie. Rzadko kiedy Wampir jest w stanie, pijąc krew od żywej istoty, przerwać i pozwolić jej przeżyć, krew ma nad nami władzę i zazwyczaj pozostawiamy nasze ofiary puste niczym skorupy i martwe. Czasem jednak jest inaczej. Jeśli pozostawimy żywą jeszcze ofiarę, drogi są dwie – rozpoczyna się jej przeobrażenie, które często kończy się śmiercią, ale może też prowadzić do powstania nowego krwio pijcy. Jesteśmy w stanie zmieniać Ludzi, nigdy Elfy, organizm tych ostatnich zawsze odrzuca transformację już na początkowym jej etapie, być może za bardzo się różnimy, a może ma na to też wpływ wola Elfa, który wybiera śmierć od stania się na zawsze dzieckiem nocy. Swoim ugryzieniem unicestwiamy też nieśmiertelną duszę ofiary, staje się ona nędzniejsza od robaka, niektóre źródła mówią, że przynależy do Lilith. Wyobraźcie sobie więc, jak bardzo lud zamieszkujący leśne polany i puszcze musi nas nienawidzić.

– Belial uczyniła też jeszcze jeden błąd. Dała nam niemalże nieśmiertelność. Niewiele rzeczy jest w stanie zabić Wampira, szczerze mówiąc nie znam takiej rzeczy, a poszukuję jej odkąd zostałem przemieniony – oczy Sylwana stały się niczym dwie bezdenne czeluście wypełnione mrokiem, zapadnięte w chudej, chorej twarzy, na jego ustach błąkał się makabryczny uśmiech. – Nie pożywanie się nawet przez wiele lat nie prowadzi do śmierci, cierpi się okrutnie, ale nadal zachowuje się swoje nędzne życie. Promienie słoneczne palą na popiół, ale wyłącznie wewnątrz ciała, ciału szkody nie czyniąc. Nawet naszpikowanie się od stóp do głów drewnianymi kołkami nic nie daje, poza odrażającym wyglądem, bo rany goją się przez jakiś czas. Srebrne groty strzały są o tyle kłopotliwe, że trzeba je potem z siebie wydłubać, ale nie zabijają.

– Srebro? – odważył się przerwać Farys. – Myślałem, że to broń na Wilki?

Mimowolnie spojrział w stronę Szarej Wilczycy, która obnażyła kły, a z obu jej gardeł wydobyło się głuche warczenie. Elfka położyła jej dłoń na karku, w miejscu, z którego wyrastały oba łby i pokręciła głową przecząco.

– Cóż, wypróbowałem je na wszelki wypadek – Wampir powoli cedził słowa. – Podobnie jak wiele innych głupich, nieskutecznych sposobów, które okazały się być tylko bajaniem starych

bab. Ty, pani, posiadasz moc zdolną uśmiercić Upadłe Anioły, w tobie więc cała moja nadzieja. Nie chcę żyć bez duszy, jednak przyrzekam ustać w poszukiwaniach śmierci na czas misji, by pomóc ci jak potrafię wykonać zadanie, a potem również będę liczył na nagrodę, taką samą, jaką obiecałaś Leviathanowi i o jaką poproszą z pewnością pozostali Książęta Ciemności.

Wampir wpatrywał się w dziewczynę z oczekiwaniem, jakby spodziewając się odpowiedzi, ona jednak zdawała się być nieobecna duchem i pogrążona w swoich własnych myślach.

– Tym sposobem doszliśmy do czegoś ważnego, do kwintesencji misji – z pośpiechem przerwał Kain. – Upadłe Anioły i ich nagroda, a raczej ich wybawienie od kary. Czas nagli.

– Kiedy opadły wody potopu, ochronna tarcza roztoczona nad arką przestała działać i Bóg ujrzał w całej okazałości statek oraz istoty, które ocalały od Jego gniewu. Dowiedział się też, co takiego uczynili Jego powiernicy i doradcy. Wezwał do siebie wszystkie anioły, przeklął je na wieki, odebrał im skrzydła, atrybut świętości, czyniące z nich istoty Jemu podobne i uwięził je na miliardy lat właśnie na planecie, o którą odważyły się zawalczyć przeciwko Niemu. Zapadły w sen, podczas którego nic nie mogły zrobić, ale widziały wszystko, co dzieje się na Ziemi, widziały każdą walkę, wojnę, cierpiały ból każdego Człowieka, Elfa czy Wampira mordowanego przez współbraci i zrozumiały, że Pan miał rację. Stworzone przez Belial i Lucyfera istoty były złe i nie powinny się być nigdy narodzić. Przekonane o tym, że to On miał słuszość, a one straszliwie się myliły, musiały trwać i nic już nie mogły uczynić, czekały. Bo było też odkupienie, nie zbawienie, na to nie ma już szans. Najwyższy Pan, zasiadający na utkany z promieni gwiazd i słońca tronie obiecał im jeźdźca, który nie będzie przedstawicielem żadnego z plemion, ale będzie łączyć je wszystkie w sobie. On jeden będzie miał władzę zniewolić bestie i zmusić je do podążenia za nim i pomocy, a następnie do zadania im śmierci – czarnoksiężnik w miarę, jak mówił, coraz bardziej przybliżał się do dziewczyny, wspartej na potężnym ciele Szarej Wilczycy, teraz wyciągnął w jej stronę rękę i pomógł jej wstać. – Elpis dawno temu była Człowiekiem, mimo że nie narodziła się jako Człowiek. Potem, kiedy czas jej ludzkiego życia dopełnił się, ja czuwałem na jej podwójnym przeobrażeniu. Stała się Elfem, jednak jedynym pożywieniem, jakie jej organizm toleruje jest krew oraz mleko Szarej Wilczycy. Przygotowałem ją do tej drogi i do zadania, jakie przed nią stoi, najlepiej jak potrafiłem, podróżując z nią przekonanie się, że nie jest krucha i nie jest delikatna, a kiedy przyjdzie wam stanąć oko w oko z demonami, którymi stali się Upadli, pamiętajcie, że to ona położy kres ich życiu na końcu drogi, a zrozumiecie, że jest potężna.

– Przekazałem wam wszystko to, co musicie wiedzieć. Teraz poproszę was o udanie się do komnat, w których spędziliście noc. Są tam dla was przygotowane broń i świeże ubrania, w których wyruszyście. Nałożenie stroju i przyjęcie broni nie zobowiązuje jeszcze do niczego, dopiero zaakceptowanie wierzchowca i odjechanie stąd na jego grzbiecie, będzie równoznaczne z obietnicą i pogodzeniem się ze swoim losem. Proszę was więc ponownie, abyście udali się teraz po wasz ekwipunek, a następnie z nim tu wrócili, a ja objaśnię wam wasze role, wtedy nie będzie już odwrotu.

\*\*\*\*

Oczekiwanie starca nie trwało długo, jednak całej czwórce, która zebrała się teraz w kamiennej komnacie, wydał się on postarzały, jakby przygnieciony ciężarem zadania, jakie przed nim stało. Nikt jednak nie powiedział tego głośno. Czekali, aż on pierwszy przemówi. Wysoki, smukły Elf w srebrzysto-błękitnej szacie, z kołczanem pełnym szaropiórch strzał na plecach i z luką w ręku; ciemnowłosa Człowiek w purpurowo-czarnym stroju, dzierżący przypasany u boku miecz; czarnowłosa dziewczyna w srebrno-fioletowej szacie i blady Wampir ubrany w przenikające się odcienie srebra i czerni. Ostatnia dwójka nie miała broni – orężem



czarodziejki była jej magia, Sylwana kły.

– Czterech jeźdźców, dokładnie tak, jak zostało przepowiedziane. Czas, byście poznali swoje przeznaczenie, możecie je przyjąć, lub nie, to wasz wybór, jednak ono i tak was dopadnie. Możecie jedynie wybrać między podjęciem walki, a ucieczką, która – to pewne – zakończy się tak, jak musi się zakończyć, jak dawno już przed waszym narodzeniem postanowił wszechmocny Pan. Kapłanie, przeczytaj to proszę na głos, ja nie jestem godzien.

Kain wręczył Elfowi starą, nadgryzioną bardzo przez czas, pożółkłą stronicę książki. Pistis przebiegł prędko wzrokiem jej treść i zamarł, nie mogąc wydusić słowa i wpatrując się wciąż w trzymaną przez siebie kartkę. Na przemian otwierał i zamykał usta, aż w końcu wykrztusił:

– Kim jesteś? Kim naprawdę jesteś i czego od nas wymagasz? I skąd to masz? Przecież to...

– Nie czas teraz na to – przerwał starzec surowym, nie znoszącym sprzeciwu tonem. – Przeczytaj to, proszę.

Elf z ociąganiem znów wrócił do tekstu. Z trudem opanowując drżenie głosu, przemówił:

„(...) oto biały koń,

a siedzący na nim miał łuk.

I dano mu wieniec,

i wyruszył jako zwycięzca, by jeszcze zwyciężyć (...)

(...) I wyszedł inny koń barwy ognia,

a siedzącemu na nim dano odebrać Ziemi pokój,

by się wzajemnie Ludzie zabijali –

i dano mu wielki miecz (...)

(...) a oto czarny koń,

a siedzący na nim miał w ręce wagę (...)

(...) oto koń trupio blady,

a imię siedzącego na nim Śmierć,

i Otchłań mu towarzyszyła.

I dano im władzę nad Ziemią, (...)

(...) bo oto nadszedł Wielki Dzień Jego gniewu,

a któż zdoła się ostać? (...)”<sup>1</sup>

Nikt nie zdążył o nic zapytać, bo oto od strony wnętrza jaskini, w prowadzącym do niej korytarzu, biorącym swój początek zapewne gdzieś we wnętrzu Ziemi, rozległ się tętent kopyt i rżenie rumaków. Zwierzęta wbiegły lekko do komnaty, parskając i prychając wściekle. Były cztery. Czysto białe wierzchowiec bez wahania ustawił się naprzeciwko Elfa, ogniście rudy wybrał Farysa, czarny Leviathan stanął przed czarodziejką a szary, chorobliwie niemalże chudy przed Wampirem. Młody mnich drżał teraz cały, wpatrując się pozbawionymi nadziei oczyma w cztery zwierzęta, które wcale zwierzętami nie były. Widział je, czuł ich zapach, ale nie wyczuwał ich ciepła i słyszał bicie tylko jednego serca – Leviathana. Zrozumiał, co się tu tak naprawdę dzieje i na czym ma polegać ich misja, jaka ma być w niej rola każdego z nich, zrozumiał jej nieuchronność i to, że nic nie da szarpanie się i wrywanie przeznaczeniu, rozumiał, że nią ma wyboru, tak jak nie ma go żadne z nich, nigdy go nie mieli.

– Mistrzu, czy to naprawdę konieczne? – jedno pytanie było całą obroną, na jaką się zdobył.

– Przykro mi mój biedny chłopcze i z chęcią zdjąłbym ten ciężar z twoich ramion, gdybym tylko mógł, ale nie mam do tego prawa. Jaka jest twoja decyzja?

Pistis spojrzał mu śmiało w oczy, już prawie opanowany.

– Kpiną jest utrzymywać nadal, że dano nam w tym przypadku wolną wolę i możliwość wyboru. Wiem, jaka misja jest nam przeznaczona i podobnie jak tysiące kapłanów, którzy przygotowywali się do niej przede mną, modliłem się, aby nie musiała się ona rozpocząć za mojego życia. Jednak chyba to właśnie ja czymś strasznym obraziłem Boga, bo to moich modlitw nie wysłuchał. Nie mam już nadziei, jednak pojedę bez niej, bo tak jest napisane i tak musi się stać. Moja decyzja nic tu nie zmieni.

Kain skinął głową i zwrócił oczy w stronę Wampira. Sylwan odgarnął za ucho włosy w kolorze dojrzałej na słońcu pszenicy i wzruszył ramionami.

– Przyznam, że zaskoczyłeś mnie, czarodzieju. Jednak przyszedłem tu zdecydowany wziąć udział w wyprawie, nie znając jej celu i wizja apokalipsy, której mam być współsprawcą, nie przeraża mnie aż tak bardzo, abym odmówił, więc masz mnie na usługach, nie wycofam się.

– Zaraz! – krzyk był krótki i zamarł natychmiast, jakby gardło, z którego się wydobył, z trudem go z siebie wyrzuciło. Spojrzenia wszystkich zwróciły się na Farysa, który stał poblady, patrząc na Kaina szeroko otwartymi, przerażonymi oczami. – Mam być siepaczem, który doprowadzi do zagłady i upadku świata? Nie chcę... Nie zmusisz mnie, bym wziął w tym udział! Jesteś... jesteś szaleńcem starcze!

Kain podszedł do mężczyzny i położył mu dłoń na ramieniu, nie zważając na to, że ten zadrżał i popatrzył na nią jak na oślizgłego, gotowego kąsać węża.

– Zapis w Księdze jest prawdziwy i niepodważalny, a czas naprawdę nadszedł – powiedział cicho. – Masz to samo nieszczęście co pozostali, po prostu przyszło ci żyć w parszywych czasach, do tego przypadła ci w udziale rola, której nikt nie przyjmie na swoje barki z chęcią i ochotą, ale też nikt nie może jej odrzucić. Nikt nie ma zamiaru cię zmuszać, możesz odejść jutro z samego rana, ale przeznaczenie dogoni cię, a ty zamiast patrzeć mu prosto w oczy, będziesz przed nim uciekał, jak najpodlejszy z tchórzy. Upadek świata, w tej postaci w jakiej go znacie jest postanowiony, został przypieczętowany już dawno przed narodzinami któregośkolwiek ze wszystkich tu zebranych. Nie wiadomo, co stanie się potem. Być może koniec naprawdę okaże się końcem, a może będzie wstępem do odrodzenia. Elf i Wampir zdecydowali się stanąć twarzą w twarz z tym co nadejdzie, czymkolwiek by to nie było, nie pozwól, by tylko przedstawiciel Ludzi splamił się tchórzostwem.

Twarz Farysa wiernie odbijała wewnętrzną walkę, jaka się w nim rozgrywała. Odrza mieszała się z podnieceniem wizją czekającego na niego zadania i tym, że tylko on, jedyny

spośród Ludzi może się go podjąć. Strach walczył z odwagą, a rozsądek z szaleństwem. Wreszcie pojawiła się i objęła wszystko w ciche władanie rezygnacją. Człowiek nie powiedział nic, skinął tylko krótko głową i wbił wzrok w posadzkę.

Czarnoksiężnik przeniósł spojrzenie na Elfkę. Dziewczyna wpatrywała się w czerwono-złote oczy Leviathana z dziwnym zacięciem na twarzy. Wiedziała, że jest teraz zbyt wzburzona, by opanować gonitwę myśli w swojej głowie i że piekielny anioł słyszy każdą z nich i bawi się nimi. Kiedy Kain próbował jej dotknąć, odskoczyła, syknęła ostrzegawczo i rzuciła mu wściekłe spojrzenie.

– Czy wymagasz ode mnie, bym poprowadziła wszystkich, łącznie z dzieckiem na śmierć? – słowa wydobyły się przez jej zaciśnięte zęby i zabrzmiały niczym warkot rozwścieczonego drapieżnika.

Wiedziała, że zdradza się przed nimi i że starzec z łatwością odczyta z nich prawdę – miała gdzieś to, co stanie się z resztą świata, ale nie pozwoli na uczynienie niemowlęciu jakiegokolwiek krzywdy. Mężczyzna nie był zdziwiony, spodziewał się takiej reakcji. Westchnął, pokręcił głową i ruszył w kierunku chłopca, nadal wtulonego w ciepłe futro Wilczycy, ale dziewczyna była szybsza. Pojawiła się przed nim, zagradzając mu drogę do dziecka, kucając przed nim i osłaniając go swoim ciałem, jedną rękę wycelowała w swojego nauczyciela. Końce palców lśniły srebrzyście, nie panowała nad wybuchem wściekłości, jaki się w niej narodził, czuła gorąco czaru, jaki sam się w jej dłoni formował, parzył i chciał się za wszelką cenę uwolnić. Wściekłość brała w niej górę nad jakimkolwiek uczuciem.

– Nie dotkniesz go, Kain – warknęła, widząc, że starzec usiłuje zrobić jeszcze jeden krok w ich stronę. – Nie po tym, co powiedziałaś. Ostrzegam cię. Zresztą... cholera... – srebrzyste nitki, przybierając postać małych błyskawic, wydobywały się z jej palców, naprawdę nad tym nie panowała. – Po prostu zejdź mi teraz z oczu.

– Nie mogę, Elpis, więc się lepiej opanuj.

Nie potrafiła, już nie. Czuła, jak sama powoli zaczyna eksplodować, nie była w stanie dłużej utrzymywać w sobie zakłęcia.

– Więc się lepiej odsuń... – wycodziła przez zaciśnięte zęby.

Siwowłose czarnoksiężnik usłuchał i natychmiast w skałę, która znajdowała się za jego plecami uderzyły błyskawice, miotane przez jego uczennicę. Potężna eksplozja rozerwała skałę i być może stałoby się to samo, co przy uwolnieniu Leviathana, ale potrzaskane kamienie pozostały w miejscu, zatrzymane tam za pomocą tarczy, rzuconej przez Kaina. Dziewczyna dopiero teraz poczuła się nieco lepiej, ale ten nastrój natychmiast minął, kiedy zobaczyła zastygłe, wpatrzone w nią twarze Elfa, Człowieka i Wampira i kiedy usłyszała ich myśli.

– Przepraszam – mruknęła. – Ja po prostu... Każ mi zabić kogo tylko zechcesz, ale dziecko ocaleje. Nie po to zdejmowałam go z tego pieprzonego ołtarza i nie po to...

– Dziecinko, – przerwał jej Kain łagodnie – daj mi dojść do słowa, dobrze? Dziękuję. On nie jest zwykłym dzieckiem. Jeśli nastąpi odrodzenie świata, to za jego sprawą właśnie. Jest niezwykle ważny i nie możemy go stracić. Dlatego nie pojedzie z wami dalej, zostanie tu, w Warowni, gdzie osobiście zadbam o jego bezpieczeństwo – dodał szybko, widząc groźny błysk w oku dziewczyny. – Wróci do was, kiedy misja się niemalże wypełni i wtedy ty sama, osobiście będziesz mogła zdecydować o jego dalszym losie. Przysięgam nie ingerować w żaden sposób w twoją decyzję. Zgoda?

Elfka wahała się chwilę, badając myśli Kaina, ale nie była w stanie ich teraz przeniknąć. W końcu, nieznacznie skinęła głową.

– Nigdy mnie nie oszukałeś, więc tym razem też ci zaufam – powiedziała głośno.

*Przysięgam na wszystko, co na tym świecie najświętsze, zabiję cię bez wahania,*

*rozszarpię twoje ciało na strzepy i rozwlekę je po wszelkich zakątkach świata, byś nigdy nie zaznał spokoju, jeśli tym razem jest inaczej – telepatycznie wysłała słyszalny tylko dla czarnoksiężnika przekaz.*

\*\*\*\*

Siwobrody starzec, jedną ręką wspierając się na podpierającym jego ciało kosturze, a drugą obejmując ciało niemowlęcia, zawiniętego w pieluszki, stał obok Szarej Wilczycy o dwóch głowach, dorównującej mu wzrostem. Oboje patrzyli na północ, w kierunku, w którym oddalała się, cwałując na swoich wierzchowcach, czwórka jeźdźców. Kiedy ich sylwetki znikły im z pola widzenia, Wilczyca zadarła oba łby w górę i zawyła żałośnie, jadąca na czarnym koniu dziewczyna wzdrygnęła się mimo woli na ten odgłos, ale wiedziała, że nie wolno jej już zawrócić. Czarnoksiężnik długo jeszcze wpatrywał się w horyzont, mimo że najwprawniejsze oko nie dostrzegłoby już na nim oddalających się sylwetek czwórki straceńców, wśród których była jego przybrana córka. Palce ręki, obejmującej kij, pobieleły z wysiłku z jakim starzec usiłował opanować ich drżenie, po pomarszczonym policzku spłynęła bezszelestnie jedna jedyna łza, niemal natychmiast chowając się wstydliwie w siwej brodzie. Usta mężczyzny poruszały się, a wiatr poniosł w dal niemalże zapomniane słowa.

*– De profundis clamavi, ad te Domine...*

*Domine exaudi vocem meam.*

*Fiant aures tuae intendentes*

*in vocem deprecationis meae.*

*Si iniquitates observaveris Domine,*

*Domine, quis sustinebit...?*

## Rozdział 3

### Niespodziewane odkrycie

Ziemia jęczała pod uderzeniami niepodkutych kopyt czterech koni, cwałujących niestrudzenie przed siebie. Z nozdrzy zwierząt buchała gorąca para, jednak żaden z wierzchowców nie był spieniony; mimo szaleńczego pędu, żaden nie potknął się na zdradliwych nierównościach terenu, żaden nie rżał w proteście i nie sprawiał wrażenia umęczonego. Cztery rumaki gnały do przodu, śmiało przeskakując pojawiające się przed nimi od czasu do czasu większe lub mniejsze pagórki, krzewy czy inne niespodziewane przeszkody, z gracją godną czempiona jeździeckich zawodów, który dopiero co wystartował i wręcz rozrywa go szaleńcza chęć rywalizacji. Najpierw galopował ognistorudy rumak, zaraz za nim bok w bok biegły biały i stalowoszary, na końcu szyku utrzymywał się największy z nich, czarny wierzchowiec. Wprawny obserwator od razu rozpoznałby, że dwa najbardziej ze sobą kontrastujące zwierzęta niosą na swoich grzbietach Elfów, zarówno biały jak i czarny koń pozbawione były siodła i uprzęży. Dla jeźdźców nie stanowiło to jednak najmniejszej przeszkody. Ich małe figurki wprawnie obejmowały kolanami boki swoich rumaków, a palce dłoni, wczepione teraz w końskie grzywy, w wystarczającym stopniu chroniły przed upadkiem.

Dziewczyna dosiadająca wierzchowca koloru nocy rzuciła szybkie spojrzenie do tyłu, na ścigające ich postacie. Było ich wielu, nie wiedziała ilu, z całą pewnością nie widzieli wszystkich, z całą też pewnością to nie Wilki usiłowały ich teraz dopaść, mimo że upiory do nich właśnie się upodobiły. Jakim cudem pokracznym dzieciom Gehenny udało się przybrać materialną postać, dlaczego ośmieliły się na otwarty atak na nich i dlaczego, do wszystkich diabłów, dlaczego nie wyczuła ich wcześniej, dlaczego pozwoliła Lilith zaskoczyć drużynę podczas snu i zmusić do ucieczki, która mimo, że trwała już długo, nie oddalała ich od niebezpieczeństwa? Przeciwnie – piekielne rumaki nie odczuwały zmęczenia, które powinien czuć w takiej sytuacji każdy normalny koń, jednak o nich samych nie można było tego powiedzieć. Czarodziejce wystarczył rzut oka na towarzyszy, by upewnić się, jak straszliwie trafne są jej przypuszczenia. Pobladła i poszarzała twarz Farysa zdradzała, że mężczyzna nie utrzyma się już długo w siodle, jako przedstawiciel Ludzi był z nich wszystkich fizycznie najsłabszy. Elficki kapłan radził sobie niewiele lepiej, nawet Wampir wyglądał na jeszcze bardziej chorego niż zwykle. Musiała coś wymyśleć, coś zrobić i to natychmiast, jeśli nie chciała zaczynać misji od utraty jednego lub kilku członków swojej drużyny. Problem polegał na tym, że nie wiedziała, jaką mocą dysponują te nowe, dziwne postacie bezcielesnych do niedawna Cieni, ryzykując otwarte stawienie im czoła mogła wydać na pewną śmierć swoich towarzyszy.

Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że nie uciekną, nie są w stanie skryć się i odciąć od podążających ich śladem bestii. Jedyne ratunek, na jaki mogli liczyć, był w niej. Magia... Potrzebowała magii, nie wiedziała tylko, jaki jej rodzaj jest w stanie zapewnić im bezpieczeństwo, a przynajmniej jego namiastkę. Sytuacja wymagała od niej błędzenia w ciemności, szukania rozwiązania na oślep i to szybko. Zakłęła w duszy.

Leviathan, bezbłędnie odczytując jej myśli, przyspieszył i wysunął się przed pozostałe konie, po czym odwrócił się w ich stronę i stanął. Wierzchowce towarzyszących jej mężczyzn, jakby synchronizując swoje zachowanie z Jednym z Siedmiu, zatrzymały się gwałtownie, ryjąc głębokie bruzdy w ziemi. Jeźdźcom cudem udało się utrzymać na ich grzbietach i uniknąć upadku. Posłuszne impulsom, które wysyłał do ich umysłów pierwszy z przebudzonych ksiąząt

piekieł zwierzęta, które wcale zwierzętami nie były, ustawiły się w linii równoległej do niego i Elfki, przycupniętej na jego grzbiecie. Czarodziejka napotkała pytające spojrzenia trzech par zmęczonych oczu. Cienie, które przybrały wygląd pobratymców Szarej Wilczycy, po chwilowym wahaniu przyspieszyły i zbliżały się z każdą sekundą, niemal pijane świadomością zwycięstwa i wizją rzezi, która za chwilę miała nadejść. Słyszała ich chaotyczne myśli, rozbrzmiewające w jej głowie tysiącem głosów, niczym bełgot szaleńców, niezdolnych do tego, by wydać z siebie dźwięki przypominające normalną mowę, a jednak w niepokojący sposób rozumiały dla niej.

*Nareszcie! Nareszcie, przekłeta! Dziecko, którego nie wolno ci zatrzymać dla siebie, będzie moje. W zamian dostaniesz ból, który od wieków w sobie noszę. Przeleję go w ciebie, a wtedy zrozumiesz i będziesz spadać, spadać bez końca, zatracisz się w tym spadaniu, a kiedy całe światło się od ciebie odwróci, ciemność przyjmie cię w swoje straszne ramiona. Bo ja nigdy nie zapomniałam i nigdy nie przebaczyłam i ty wiesz, dlaczego. Moje szaleństwo przeciwko twojemu...*

Czarodziejka poczuła, jak coś w jej wnętrzu kurczy się i zastyga. Więc była tu z nimi... Teraz, w biały dzień, na otwartym terenie, bo nic nie jest już takie, jakie ona знаła i zapamiętała. Jeszcze mgnienie oka temu chciała zaryzykować otwarte starcie, wspomagane magią wszystkich czterech żywiołów, ale w tej strasznej chwili rozumiała, że to nic nie da, bo nawet jeśli któremukolwiek z nich uda się unieszkodliwić zrodzonego przez ciemność stwora, to jego upiorna matka nie pozwoli im odejść żywym, a w starciu z nią nie mieli najmniejszych szans. Każąc im walczyć wydawała na nich wyrok, jednak do walki musiało dojść.

– Kiedy zdecydowaliście się za mną iść, przyrzekliście umrzeć dla mnie, jeśli będę tego wymagać. Ślubowaliście spełnić bezzwłocznie każde polecenie, absolutnie każde. Żądam od was teraz dopełnienia tego ślubu – czuła na sobie ciężar wrogu pozbawionych jakichkolwiek złudzeń Człowieka, Elfa i Wampira, ale nie patrzyła na nich, skupiła się na nadciągającym przeciwniku. – Odjedźcie stąd tak szybko, jak potraficie, będziecie jechać aż do zapadnięcia zmroku, potem wrócicie w to samo miejsce, nie wolno wam się zatrzymywać, to ważne. Jeśli nadal tu będę, nie istotne w jakiej postaci, zostaniecie ze mną, koniecznie tu, zabraniam wam dokądkolwiek stąd się ruszać. Jeśli mnie nie będzie, co sił gnajcie do Kaina, on was poprowadzi.

Niemal fizycznie odczuwała ich szok, spodziewali się wyroku, wiedziała o tym. Farys otworzył usta, by zaprotestować, ale przerwała mu gwałtownie.

– Precz! Natychmiast! To rozkaz.

Czuła ich sprzeciw i wiedziała, że żaden z nich nie wykona polecenia z własnej woli, ale była o nich spokojna, nie mieli wyboru. Wierzchowce mężczyzn, posłuszne jej woli poniosły w kierunku, w którym wcześniej uciekali, nie oglądała się za nimi, świadoma, że nie są w stanie nad nimi zapanować i zmusić ich do powrotu. Skoncentrowała się na utworzeniu ochronnej bańki, którą posłała za nimi i całkowicie przestała zaprzętać sobie nimi głowę, koncentrując wszystkie myśli na zbliżającym się demonie i jego przeklętych bachorach.

Gęstniejąca czerń, unosząca się nad postaciami fałszywych Wilków w jednym miejscu wirowała i szamotała się mocniej, jakby zasysając wszystko wokół, zdradzając Lilith. Tam był jej cel, tam znajdował się triumf lub upadek, nie znała siły mrocznej magii, która narodziła się w pierwszej żonie Adama zaraz po tym, jak umarli w niej resztki człowieczeństwa. Zdarzało jej się stawiać czoła Cieniom i innym kreaturom, których nazw nie znała i nie chciała poznać, ale po raz pierwszy stawała przed ich stworzycielką. Leviathan drżał, odbierając jej myśli, świadom tego, co za chwilę nastąpi.

Dziewczyna zeskoczyła i przyklekła, przykładając do ziemi otwartą dłoń, całą sobą czerpiąc siłę z jej wnętrza, drażąc coraz głębiej, aż do samego jądra, płonącego i nadal żywego, choć uwięzionego pod martwą skorupą. Poczuła gorąco, obejmujące najpierw czubki palców,

wlewające się przez dłoń do ramienia, jak pędzący w przeciwnym kierunku niepohamowany wodospad, rozchodzące się po całym jej ciele, eksplodujące w jej wnętrzu, szukające ujścia. Wiedziała, że teraz wszystko zależy od tego, jak długo uda jej się utrzymywać w sobie płomień; demony były już prawie przed nią, jeszcze trochę... Wstrząsana dreszczami, czując jak całe jej ciało przemienia się w płynny ogień, jak nic już innego w niej nie pozostaje poza płomieniem, który nie potrafi zgasnąć, oparła na ziemi drugą rękę. Kiedy zrozumiała, że nie zdoła już dłużej utrzymywać w sobie niszczycielskiej furii żywiołu, gwałtownym szarpnięciem oderwała obie dłonie od podłoża i wyrzuciła płomień w kierunku zbliżających się bestii.

Resztką świadomości, jaka jej jeszcze pozostała, wyczuła gwałtowne przerażenie, jakie spowodował jej atak w niemalże przekonanych o swoim zwycięstwie zrodzonych z ciemności stworach. Poczula ból Ziemi, rozrywanej gwałtownie wbijającymi się w nią pazurami, kiedy fałszywe Wilki rozpaczliwie usiłowały zatrzymać się i zawrócić. Było już jednak za późno, powietrze przeszył ryk tysięcy nieistniejących gardeł, kiedy upiory Gehenny zrozumiały beznadziejność swojego położenia. Uwolniona rzeka ognia pędziła w kierunku przeciwników czarodziejki, niszcząc i paląc wszystko na swojej drodze, by w końcu zamknąć ich w kokonie z płomieni. Wrzask w jej głowie stał się nie do zniesienia, kiedy ogień objął w posiadanie ich ciała, trawiąc je i unicestwiając. Dziewczyna poczuła swąd palonego mięsa i trzask pękających kości. Całą siłą woli zmusiła się do tego, by oderwać się i odgrodzić od potępienych wrzasków istot, które nie powinny były nigdy się narodzić.

Świadomość wracała do niej falami, w postaci przeblysków i obrazów, najpierw zobaczyła ludzkie oczy w wilczej twarzy, oczy pełne wściekłości i bólu, żądzę mordy, i zrozumiała, że Lilith udało się ująć cało. Widziała języki ognia tańczące na fiolecie jej płaszcza i pełnące w górę. Po raz kolejny usłyszała skargę Ziemi, rozrywanej ostrymi pazurami rudego Wilka, którego postać przybrała biedna, potępiona matka potępionych, która właśnie po raz kolejny straciła część swoich nieudanych dzieci i wiedziała, że Lilith biegnie ku niej, skupiona na swojej wściekłości i bólu, przekazując jej chaotyczne wizje jej samej rozszarpanej na strzępy i wdeptanej w ziemię, w którą nie zdążyła jeszcze wsiąknąć krew jej biednych potomków. Czarodziejka czuła zapach tej krwi i kręciło jej się od niego w głowie, dekoncentrował ją, nie pozwalając się skupić.

Zobaczyła, jak Leviathan rośnie i przeistacza się na powrót w smoka, którego odnalazła uspiętego w podziemnej jaskini i zrozumiała, że Jeden z Siedmiu chce stanąć pomiędzy nią a rozwścieczoną matką demonów. Potężne skrzydła przecięły powietrze, jeszcze bardziej rozniecając ogień, który całkiem wy dostał się spod jej kontroli, smok przywarł do ziemi, gotowy poderwać się do lotu i opaść na Wilczycę, ale Elfka jednym zdaniem osadziła go na miejscu.

– Nie waż się – warknęła.

Nawet w jej uszach zabrzmiało to żałościwie i słabo, jednak potwór usłuchał. Bezwarunkowe posłuszeństwo, to właśnie jej przyrzekł, nieważne co by postanowiła, nieważne kogo skazałaby na śmierć.

Dziewczyna wiedziała, że nie może pozwolić sobie na utratę Leviathana, jeszcze nie teraz, nie dopóki jest jedynym Upadłym, którego udało jej się złamać. Doskonale więc zdawała sobie sprawę z tego, że nie ma wyboru, może zrobić tylko jedną szaloną rzecz. Każdy nerw w jej ciele wzdragał się przed tym, co musiało się stać, jednak wybór nie istniał. Nie dla niej, nie dla nich, nie tu i nie teraz...

Poczula, jak z głębi jej piersi wydobywa się głuchy warkot, obcy głos, nie należący do niej, ale pochodzący z jej wnętrza. Poczula, jak jej ciało krzyczy w proteście, odrzucając niechcianą przemianę, ale zmusiła je do uległości, ignorując tępy ból każdej kończyny. Poczula, jak paznokcie odrywają się od palców i rosną, przybierając postać pazurów, a serce gwałtownie

szarpie się i zamiera na chwilę, by ponownie podjąć pracę w już zmienionym rytmie, dyktowanym przez potrzeby nowego ciała. Odór wsiąkającej w ziemię posoki i palących się resztek czaszek i mózgow jej martwych przeciwników uderzył w jej nozdrza ze zwielokrotnioną siłą. Tętent łap Lilith, biegnącej, by rozszarpać jej gardło, stał się wszystkim, na czym musiała się teraz skoncentrować, cała reszta przestała się liczyć. Jeszcze kilka skoków, jeszcze trochę...

Skoczyły w tym samym momencie. Ruda i czarna Wilczyca zwarły się w uścisku, wściekle szarpiąc kłami i pazurami boki przeciwnika i za wszelką cenę usiłując dostać się do jego gardła, zanim uda się to tej drugiej. Leviathan, choćby i chciał przeciwstawić się jej nakazowi i ruszyć jej z pomocą, nie potrafiłby teraz skrzywdzić jednej z nich, nie raniąc przy tym drugiej. Nowa, odmieniona Elpis doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że nie ma wiele czasu, zakłęcie, którym przywołała ogień było potężne i wyczerpujące. Słabła i to bardzo szybko, wiedziała, że jeśli nie uda jej się zdobyć przewagi w pierwszych chwilach starcia, nie osiągnie jej wcale, a szaleństwo, w którym tkwi Lilith, pochłonie ją na zawsze. Straszliwym wysiłkiem udało jej się zrzucić z siebie rude cielsko i skoczyć, niemalże zaciskając szczęki na szyi Lilith. Chybiła nieznacznie, jednak to wystarczyło by upiór, którym stała się pierwsza kobieta, wyslizgnął się z jej chwytu i uciekł w kilku olbrzymich skokach.

Czarna Wilczyca została sama, z krwawiącym lewym boki i łopatką, dysząc i spazmatycznie chwytając powietrze. Rozejrzała się zdezorientowana, nigdzie nie widząc ruchu i nie wyczuwając obecności innej istoty. Czując, jak uchodzą z niej wszelkie siły, powoli osunęła się na ziemię, wspierając się na zdrowej połowie ciała. Z ulgą przyjęła chwilową przerwę w uderzeniach serca, zwiastującą powrót do ludzkiej postaci. W głowie jej wirowało, świat wokół niej zataczał koła to zbliżając się do niej, to znów się od niej odsuwając. Czuła niepokój, szamoczący się w niej niczym uwięziony w klatce ptak, krzyk, który za wszelką cenę chciał się wydostać, nie wiedziała jeszcze tylko, jaką postać przybierze. Lilith, walcząc, odsłoniła przed nią na chwilę swoje myśli, ale czarodziejka nie bardzo potrafiła sobie przypomnieć, co takiego w nich zobaczyła. Czuła, że musi dokąś bieć i kogoś ostrzec, ale umęczony umysł odmawiał współpracy.

Koniec. Lilith wybrała odwrót, jej towarzysze są bezpieczni, gdyby komukolwiek udało się złamać chroniące ich zakłęcie, wyczułaby to. Ciężkie jak z ołowiu powieki domagały się snu, ale nie mogła zasnąć, jeszcze nie teraz, ktoś jej potrzebował, ktoś czekał bezbronny i całkiem od niej zależny. Zrozumienie przyszło nagle, jak wiadro zimnej wody wylane na głowę, tak oczywiste, że sprawiające niemal fizyczny ból.

– Leviathan! – próbowała wstać, ale osłabione mięśnie pozwoliły tylko na przybranie klęczącej pozycji.

Smok zwrócił pysk w jej stronę i czekał.

– Leć natychmiast do Warowni, ostrzeż Kaina, niech będzie czujny, niech go chroni!

*Jeśli taka jest twoja wola, zrobie to – głos rozległ się w jej głowie. Mimo że niemowlę jest doskonale chronione i nie zagraża mu najmniejsze niebezpieczeństwo. Mogę unieść cię ze sobą, nie odjechaliśmy jeszcze daleko, wrócimy przed powrotem pozostałych członków drużyny.*

Czarny potwór zmrużył czerwono-złote ślepia o pionowych źrenicach i wypuścił gorącą parę z nozdrzy. Powiew jego oddechu załopotał podartą szatą i splątanymi włosami czarodziejki.

*Posłuszeństwo i ochronę, szalona. Teraz na twój rozkaz dotrzymuję obietnicy i jestem posłuszny, zostawiając cię jednocześnie pozbawioną ochrony. Nie zgadzam się z twoją wolą, jednak szanuję ją.*

Pradawna bestia zaryczała wściekle, jakby tym ostatnim rykiem ostrzegając każdego, kto ośmielił się do niej zbliżyć, po czym rozpostarła ogromne błoniaste skrzydła, niemal przykrywając niebo nad nimi i wzbiła się z miejsca w powietrze. Czarodziejka patrzyła za



Leviathanem, aż stał się tylko małym czarnym punkcikiem na tle szarości, koncentrując swoje myśli na nim i za wszelką cenę starając się nie przywoływać do siebie tego, co za chwilę musiało się stać. Obserwująca ją z jakiegoś ukrycia Lilith nie mogła się dowiedzieć, że Elfka doskonale zdaje sobie sprawę z tego, co matka demonów zamierza uczynić. Elpis przymknęła oczy, starając się wyglądać na o wiele bardziej wyczerpaną i bezbronną niż była w rzeczywistości. Na rezultaty nie musiała długo czekać. Nie minęła nawet godzina, gdy poczuła chłód i dziwny niepokój, ogarniający we władanie jej myśli, oznaczający, że Lilith zamierza nadejść w postaci bezcielesnego Cienia. Podała się tym uczuciom, pozwalając im zasiać ziarno strachu w jej duszy, bo wiedziała, że właśnie takiej reakcji oczekuje upiór, pełznący powoli w jej kierunku. Nie zamierzała jej zawieść, wiedziała, że za chwilę obie dostaną to, czego pragną, miała tylko nadzieję, że demon którym stała się pierwsza kobieta nie docenia znaczenia tego, że czarodziejka łączy w sobie moc wszystkich czterech pradawnych plemion, moc, której właśnie postanowiła powierzyć własne życie, ufając w jej istnienie i nie zadając pytań. Innej drogi nie było.

Dziewczyna wstała chwiejnie, z trudem utrzymując się na nogach. Powinna wstać, gdyby nie broniła się w jakikolwiek sposób, z pewnością wzbudziłoby to podejrzenie. Wysłała delikatny impuls, a końcówki jej palców rozblęskły łagodnym, srebrzystym światłem, które natychmiast zgasło. Właśnie tak... Miała prawo być zmęczona. Rozejrzała się ostrożnie. I wtedy to się stało. Poczła paralizującą niemoc, rozlewającą się po wszystkich członkach jej ciała, zabierającą zdolność myślenia, odbierania bodźców czy wykonywania jakichkolwiek ruchów. Ktoś delikatnie, niemal z pieszczotą odgarnął jej włosy z lewego ramienia i odchylił głowę, eksponując szyję, a zaraz po tym krótki, gwałtowny ból, spowodowany ugryzieniem Lilith sprawił, że naprawdę straciła zdolność do jakiegokolwiek reakcji. Spazmatycznie wciągnęła powietrze i otworzyła oczy, by po chwili zwisnąć bezwładnie w ramionach demona.

\*\*\*\*

Złoty, brązowo cętkowany wąż, sycząc cicho i wysuwając długi, rozdwojony na końcu język, leżał pod wilgotną ścianą, ciasnym pierścieniem, utworzonym z własnego ciała oplatając drobne ciało niemowlęcia. Dziecko spało wśród żywych, złotych splotów niczym w wygodnej kołysce. Czarodziejka leżała obok, nie będąc w stanie się poruszyć, ani wydobyć z siebie słowa. Chciała odebrać chłopca gadowi, ale mogła tylko leżeć i wpatrywać się w sufit jaskini. Nagle wąż zaczął pełznąć w jej stronę, poczuła śliskie łuski, oplatające się wokół jej nogi i posuwające się coraz wyżej. Trójkątna głowa węża znalazła się obok jej twarzy, kołysząc się w przód i w tył. Dziewczyna chciała krzyknąć, bo na dnie wpatrzonych w nią złotych oczu o cienkich, pionowych źrenicach, odczytała szatańskie imię. Wąż odgadł, że go rozpoznała, zasyczał wściekle i wbił jej w szyję dwa długie, ostre kły. Krzyknęła, czując jak przez kanaliki w zębach węża sączy się w jej ciało gorący, odżywczy jad, umarła i otworzyła oczy.

\*\*\*\*

Odejdź od niej, budzi się! – usłyszała krzyk i poczuła, że leci na ziemię.

Wokół nastąpiło jakieś poruszenie, ale nie potrafiła odgadnąć, gdzie właściwie się znajduje i kto ją otacza, a powieki, ciężkie jak z ołowiu, odmawiały współpracy. Otaczała ją cisza, jeśli nie liczyć szalonych dzwoneczków, które rozśpiewały się w jej głowie na przemian to zbliżając się i atakując, to odpływając i stając się niemal niezauważalne. Uczepiła się krzyku, który poprzedził ciszę, był on jej jedynym łączem z rzeczywistością, liną, której nie mogła wypuścić z rąk, jeśli chciała wrócić. Przewyciężając własną słabość, z trudem rozchyliła powieki i natychmiast tego pożałowała, bo światło dnia sprawiało ból. Zamrugła, starając się uzyskać normalny obraz z rozmytych kolorowych plam, które ją otaczały.

Z wolna z mgły zaczęły wyłaniać się twarze trzech jej towarzyszy. Leżała na ziemi, a nad nią stali kolejno Farys z obnażonym mieczem, którego ostrze spoczywało niemalże na jej szyi,

a jego położenie i sposób, w jaki Człowiek go trzymał nie pozostawiały najmniejszych wątpliwości co do tego, że zamierza on odrąbać jej nim głowę i Pistis z naciągniętymi na cięciwę łuku trzema strzałami, skierowanymi wprost w jej pierś. Po jej lewej stronie klęczał Sylwan, w jednej ręce trzymając ostro zastrugany kołek, drugą opierając na jego tępym końcu, ostry koniec spoczywał w miejscu, gdzie ponad wszelką wątpliwość znajdowało się jej serce. Czarodziejka jęknęła i znów zamknęła oczy.

– Nie jestem... Wampirem – głos nie chciał wydobywać się z zaciśniętego gardła, zakasłała. – To znaczy... Nie jestem nim bardziej niż w dniu, kiedy mnie poznaliście.

Człowiek i Elf zawahali się przez chwilę, jednak żaden z nich nie spuścił z niej surowego wzroku. Sylwan milczał, wpatrując się w nią uważnie zmęczonymi oczami, a na dnie tego spojrzenia kryło się podejrzenie i coś dzikiego, coś, czego nie potrafiła nazwać. Dziewczyna czuła ból rozszarpanego boku, ale nad wszystkim górę brało tępe pulsowanie krwi w aorcie, w miejscu, gdzie kasał wąż z jej niedawnego snu. Usiłowała unieść rękę i dotknąć palcami zakrzepłej już krwi. Poczwała mocniejszy nacisk w miejscu, o które opierał się drewniany kołek, miecz niebezpiecznie zbliżył się do jej ciała, a napięta cięciwa łuku zaskrzypiała złowroźnie. Zakłęła z bezsilności i zamarzyła o tym, by rozbroić ich za pomocą magii, ale w tej chwili czuła się tak, jakby magia uciekła od niej i za nic nie chciała wrócić. Jeszcze raz podjęła wysiłek wydobywania głosu.

– Ja naprawdę nie jestem...

– Skąd mamy wiedzieć? – przerwał jej głos Farysa. – Wampir pił twoją krew, wszyscy wiemy, czym to się kończy. I to nie byle jaki wampir, a sama ta szalona matka upiorów, Sylwan to wyczuł. Nie żyłaś, twoje serce nie biło, kiedy cię znaleźliśmy, a teraz się przebudziłaś, rozwiązanie może być tylko jedno.

Zobaczyła, jak ich sylwetki rozmazują się i wirują wokół niej. Zaciśnęła powieki i znów je otworzyła. Widziała, że Człowiek mówi coś do niej, ale nie rozróżniała słów. Coraz wyraźniej za to słyszała szalone bicie dzwoneczków i zrozumiała, że to nie dzwoneczki a cichy, przybierający na sile płacz. Gdzieś tam daleko mały chłopiec płakał w złotych splotach potężnego ciała węża, a ona powinna biec i go wydostać, gdy tymczasem musi leżeć na ziemi, niezdolna do jakiegokolwiek ruchu, tłumacząc tym słabym istotom, do których nic nie dociera i które w niepojęty sposób stały się od niej silniejsze, że nie jest tym, kogo w niej widzą. Zamrugła powiekami, usiłując pozbyć się wirujących jej przed oczami świetlistych płatków, coraz gęstszych i przesłaniających wszystko. Zaciśnęła zęby, za wszelką cenę skupiając się na tym, by nie odlecieć, jeszcze nie teraz. Przelamując wszechogarniające jej ciało odrętwienie, uniosła nieznacznie rękę, usiłując strzepnąć ze swojej szyi miecz Farysa, jednak przekłute ostrze ani drgnęło. Poczwała, jak coś w jej środku eksploduje, rozszarpując serce na milion maleńkich kawałeczków i znów zatrzymując jego bieg.

– Wiesz, gdzie możesz sobie wsadzić... ten miecz... – wyszeptała i umarła po raz drugi.

\*\*\*\*

Złoto cętkowany wąż o złotych źrenicach przychodził jeszcze trzy razy i za każdym razem dziewczyna obiecywała sobie, że nie pozwoli mu więcej się do siebie zbliżyć, a jednak zawsze ulegała. Zawsze wszystko odbywało się w taki sam sposób, jego nadejście zwiastował cichy płacz, który rozrywałby jej serce na strzępy, gdyby nie to, że cały czas powtarzała sobie, że prawdziwe niemowlę jest bezpieczne wiele mil stąd, w grocie do której Cień nie miał dostępu, przynajmniej na razie. Potem zbliżał się on, cicho sunąc po zimnej podłodze, zdradzany szmerem łusek, ocierających się o kamienie. Kasał, wlewając w jej żyły palący ogniem jad, lecząc ją z ran zadanych przez Lilith. Wiedziała, że brunatny wąż wstrzykuje jej wraz z jadem nie śmierć, a życie, a mimo to zawsze ze wszystkich sił starała się go odepchnąć, ale nie potrafiła. Była jak

sparaliżowana, po jej wolnej woli nie pozostał nawet ślad. Ostatnim razem cała operacja trwała dłużej niż zwykle i Elfka nie wiedzieć czemu doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że wąż już nie wróci do niej w tej postaci, kiedy odpełzał czuła, że jeśli pozwoli mu odejść, to będzie tak, jakby potężna istota, zaklęta w brunatno-złotym ciele całkowicie ją pokonała, od początku do końca sprawując nad nią absolutną kontrolę, nie pozostawiając miejsca na jakikolwiek sprzeciw. Musiała go zatrzymać. Niepewna, czy cokolwiek to da, wysłała przekaz.

*Wiem, kim jesteś.*

Szelest na kamiennej posadzce ucichł gwałtownie i wąż zamarł w bezruchu, ale nie odpowiedział. Czekał.

*Wiem, kim jesteś* – powtórzyła i spróbowała usiąść, całą odpowiedzią jej ciała było delikatne drżenie palców u rąk.

Gad gwałtownie zawrócił i znalazł się obok niej, oczy, w których przelewało się płynne złoto spoczęły na jej twarzy, kpiące i oskarżycielskie.

*Nie wiesz nic, przeklęta.*

*Znam twoje imię i mogę zawołać cię po imieniu, a wtedy będziesz musiał usłuchać.*

Bursztynowe źrenice zwężyły się, a ich posiadacz przysunął się do dziewczyny i oplótł ją w pasie, zsyłając na Elfkę jeszcze straszliwszą niemoc podsycaną bólem, kiedy próbowała mu się przeciwstawić, najwyraźniej rzucając jej wyzwanie.

*Nie wiesz nic* – powtórzył. *Przecież ty nie znasz nawet swojego prawdziwego imienia.*

Szarpnęła się gwałtownie, podejmując walkę. Ogień, który jeszcze nie zgasł w jej wnętrzu i krążył teraz w żyłach prawie przygwoździł ją do ziemi, ale udało jej się od niego odgradzić i drżąc jakby w gorączce oprzeć się na łokciu, przelamując tym samym czar demona.

Uśmiechnęła się z trudem, nadal nie ważąc się odezwać na głos, w obawie że z jej gardła wydobędzie się nieludzki skowyt.

*Dlaczego mi pomagasz?*

Na dnie złotych ślepi mignęła nienawiść.

*On mi kazał.*

*Kto?*

*Ma wiele imion, ty znasz go jako Kaina.*

*Kain? Ma nad wami władzę? Jak?*

Wąż odsunął się od niej, jakby przygotowując się do skoku, a wyraz jego oczu stał się nieodgadniony i prawie... smutny.

*Wszyscy pragniemy tego samego i za tą cenę zgodzę się pójść za tobą. Musisz tylko złożyć ślub, wybieraj.*

Złote oko wpatrywało się w nią intensywnie, jakby chcąc dostrzec same dno jej duszy. Przełknęła ślinę i zbierając całą siłę, zmusiła głos do tego, by ułożył się w zrozumiałe słowa.

– Przyrzekam, Astaroth.

Wąż rozszerzył szczęki i zasyczał wściekle, po czym zaatakował bez ostrzeżenia, kłapiąc i szarpiąc ciało czarodziejki, po raz trzeci ją zabijając.

\*\*\*\*

Czarodziejka powoli otworzyła oczy. Nie czuła już chłodu posadzki, nie słyszała cichego płaczu ani delikatnego odgłosu aksamitnych łusek, ocierających się o kamienie. Rana zadana przez rudą Wilczycę zasklepiła się, w miejscu, gdzie powinna się znajdować krwawiąca dziura, narosła świeża blizna, powodująca dziwne uczucie ściągania i specyficzny dyskomfort, jednak nie sprawiająca bólu. Półleżała w czyichś ciepłych ramionach, opierając się o czyjeś ciało, obok trzaskały płomienie niewielkiego ogniska, a w podziemnych norkach rozlegał się cichy dźwięk piosenki cykad oraz delikatny odgłos ziarenek piasku, przesypanych przez pracowite

dżdżownice, drążące w niej poplątaną, a jednak opierającą się na jakimś im tylko znanym łądzie sieć korytarzy. Zamrugwała powiekami, nie wykonując poza tym najmniejszego ruchu, a elementy otaczającej ją wielobarwnej, rozmigotanej układanki zaczęły powoli wracać na swoje miejsca.

Tym, na którego piersi wspierała głowę, był Pistis, obok, po drugiej stronie ogniska kucał, zwrócony do nich plecami Farys, najwyraźniej szukając czegoś w podróźnej torbie. Wampira nigdzie nie było widać. Czarodziejka czuła się dobrze, dziwna niemoc gdzieś znikła, pozostawiając jej ciało wypoczętym i rozluźnionym, potrafiła usiąść, potrafiła wstać, jeśli zaszłaby taka potrzeba potrafiła wsiąść na konia i odjechać stąd natychmiast. Jeśli jednak wszystko poszło zgodnie z jej przypuszczeniami – a obecność jej towarzyszy w tym miejscu dowodziła niemalże niezbicie, że tak było – sytuacja nie wymagała natychmiastowego podjęcia wędrówki.

Powietrze przecinał łagodnie delikatny szelest skrzydeł wyjątkowo licznych jak na panujące wokół nich temperatury nietoperzy, polujących na zabłąkane, poruszające się w odrętwieniu niemal narkotycznym świetliki, których w ogóle nie powinno tu teraz być. Zmęczona twarz kapłana odbijała troskę i zadumę, a blask ogniska, tańcząc na jego obliczu, wymalowywał na nim chore cienie i nadawał mu niestosowną do młodego wieku powagę. On też posiadał wrażliwe oczy i uszy Elfa, widział i słyszał rzeczy, których nie dostrzegali pozostali mężczyźni.

Gdzieś poza opiekuńczym kręgiem światła, jaki roztaczał ogień, czaił się Cień, ale był bezsilny, nie potrafił wyrządzić krzywdy żadnemu z nich, nie po tym, co stało się z Lilith. Na jakiś czas kupiła im bezpieczeństwo, płacąc za nie swoją krewią, matce demonów upadek w przepaść, w którą Elfka świadomie skoczyła, pociągając nieszczęsną upiorzycę za sobą, wyrządził z pewnością więcej szkód i więcej czasu zajmie jej podźwignięcie się z niego. Dziewczyna nie myliła się, zawierając bez reszty magii krwi Elfa, która w niej płynęła – Elf nie potrafił przeżyć przemiany, jego ciało odrzucało ją, powodując śmierć, ale śmierć spotykała też Wampira, którego organizm odrzucał elfią krew. Ona i Lilith były godnymi siebie przeciwniczkami, obie potrafiły przełamać urok i powrócić, ale to Wampirzyca odniosła głębsze rany. Jej pokraczne dzieci, pozbawione siły swojej stworzycielki, mogły tylko obserwować ich z ukrycia i szeptać, temu nie potrafiła nic zaradzić, nie miała żadnej nadziei na to, że odejdą. Musiała jakoś znieść ich towarzystwo i trzymać się nadziei, że uda jej się odnaleźć i zmusić do posłuszeństwa drugiego mrocznego Anioła, zanim Lilith wygrzebie się z Otchłani.

Kiedy tylko o nim pomyślała, ciemność zapulsowała i zamarła.

*Masz więc jednego sprzymierzeńca więcej, przekłeta, ale to groźny sprzymierzeniec. Dosiadając Leviathana wzmocniłaś jeszcze nie łączącą cię z naszym światem. Wiesz to, przeczuwasz, że z chwilą, kiedy odnajdziesz siódmego Anioła, ten świat cię pochłonie i będziesz nasza, nasza na zawsze. A wtedy dziecko...*

Elpis zadrżała mimowolnie i wiedziała, że to ją zdradziło, bo kapłan właśnie dowiedział się, że Elfka nie śpi, mimo to nie wypuścił jej z ramion i nie odezwał się. Milczał i czekał. Dziewczyna wiedziała, że to ona musi zrobić teraz pierwszy krok. Podniosła się do pozycji siedzącej i spojrzała prosto w błękitne oczy, nie spuszczać wzroku i przyjmując spokojnie milion niewypowiedzianych pytań i oskarżeń.

– Przepraszam. Nie zrobiłam tego po to, by was upokorzyć i wykazać własną odwagę. Nie pomyślałam o tym w tych kategoriach – odpowiedziała głośno na jedną z myśli Elfa.

Młodzieniec otworzył usta, ale natychmiast je zamknął, nie powiedział nic. Na dźwięk głosu dziewczyny Farys drgnął i odwrócił się gwałtownie, a z ciemności, gdzieś od strony koni, jak na komendę wyłonił się Sylwan, obserwując ją przenikliwie.

– Nie zagrażam wam w jakikolwiek sposób, nie pragnę waszej krwi – zapewniła ich

łagodnie.

Nie zdradzili tego po sobie, ale wyraźnie odebrała rozluźnienie i ulgę, jaką wywołała jej wypowiedź. Poczula, że jest im winna wiele wyjaśnień i kilka godzin snu, zanim znów ruszą w drogę. Mogli sobie na ten luksus pozwolić, drugi anioł był blisko, czuła jego niecierpliwy zew nawet teraz. Chciał być odnaleziony, a ona niedługo da mu to, czego pragnie, ale jeszcze nie teraz.

– Ona nie odnajdzie do nas drogi przez kilka najbliższych dni i nocy, nie musimy uciekać – zwróciła się do Człowieka, znów udzielając odpowiedzi na niewypowiedziane pytanie.

Spojrzenie Farysa pociemniało, a wewnątrz niego dziewczyna wyraźnie wyczuła strach i niechęć. Źle się do tego zabierała. Kiedy rozmawiała z Kainem czy Szarą Wilczycą, kiedy przebywała wśród sfory czy samotnie przemierzała świat, nie musiała się z tym liczyć, ale zwykli przedstawiciele każdej z ras nie lubili, kiedy zaglądało się w ich umysły. Woleli udawać, że jej dar nie istnieje, że jak każde inne stworzenie Elfka najpierw musi usłyszeć pytanie.

– Przepraszam – powtórzyła łagodniej. – Macie prawo czuć się dezorientowani, wystraszeni czy zawiedzeni. Wiem, że w waszych głowach narodziło się wiele nowych pytań, bo dopiero teraz, kiedy spędziliście w swoim i moim towarzystwie trochę czasu, wiecie, jakie pytania postawić. Usiądźcie proszę ze mną i mówcie. Udzielę każdej odpowiedzi szczerze lub będę milczeć, jeśli nie wolno mi będzie czegoś wam powiedzieć, nie usłyszycie kłamstwa. Mamy czas, kupiłam go dla nas wystarczająco dużo, Cienie nie przyjdą.

Człowiek spojrzał niepewnie na Wampira, a ten nieznacznie skinął głową, sam nie spuszczać z niej oczu. Żaden z nich nie ruszył się jednak z miejsca. Czarodziejka czekała cierpliwie, nie unikając zawieszonoego na niej nieruchomego wzroku niesamowicie czarnych wśród czerni otaczającej ich nocy oczu Sylwana, milczała. W końcu Wampir pierwszy zrobił krok w jej stronę i z gracją, bezszelestnie osunął się na ziemię, po chwili w jego ślady poszedł Człowiek. Przedstawiciel Ludzi był niespokojny i rzucił szybkie spojrzenie w kierunku siodła, przy którym spoczywał jego miecz. Po chwili ponownie uświadomił sobie, że elfia czarodziejka słyszy jego myśli i spojrzał na nią śmiało, niemal wyzywająco. Dziewczyna udała, że nic nie zauważyła.

– Mimo zrozumiałej nieufności, jesteście tutaj. Nie odeszliście, zostaliście tu ze mną, tak jak wam nakazałam, mimo że był czas, kiedy mogliście odejść. Dlaczego?

– Sylwan powiedział nam, że nic nie przebiega tak, jak powinno – po chwili ciszy, jaka nastąpiła po jej słowach, głos zabrał Farys. – Wy tłumaczył nam, że to nie może być przemiana, ale nie potrafił nazwać tego, co się z tobą działo, pani. Umarłaś... – zaciął się na moment. – Byłaś martwa, ale mimo to się obudziłaś i rozmawiałaś z nami, a potem... znowu umarłaś i... teraz... – mężczyzna wyrzucał z siebie słowa z niechęcią, jakby bojąc się przyznać przed samym sobą, że to o czym opowiada, jest niemożliwe, a jednak się wydarzyło.

Dziewczyna westchnęła. Nie chciała opowiadać im wszystkiego, ale chyba właśnie znalazła się w sytuacji, kiedy inne wyjście nie istniało. Zrozumiała, że odsyłając ich z pola jej starcia z Lilith, wygrywając dla nich bezpieczeństwo i ochronę zarówno przed mroczną mocą pierwszej kobiety, jak i przed swoją własną magią, przegrała ich zaufanie. Jeśli chciała je odzyskać, musiała się przed nimi odsonić przynajmniej w takim stopniu, jaki ona i jej mistrz uznaliby za dopuszczalny. Ogarnęła wzrokiem swoich trzech towarzyszy. Wszyscy wpatrywali się intensywnie w jej twarz, a emocje wymalowane na ich obliczach mieściły się w szerokiej gamie od strachu, poprzez nieufność do troski pomieszanej z nieśmiałą nadzieją. Widziała odbłask ognia, tańczący w ich źrenicach i nadający im rysy mitycznych postaci, których nazwy uleciały jej z pamięci, choć kiedyś je znała... Poza ciepłym kręgiem utworzonym przez ogień i jej moc, świat otulony był białą kołdrą śniegu, w powietrzu wirowały grube płatki a delikatne

impulsy, wyrzucane przed siebie przez nietoperze, odbijały się od nich, niczym od błędzących bez celu światełek.

– W ciągu ostatnich dni umarłam trzy razy – zaczęła powoli, świadoma tego, że czarne źrenice oczu Wampira zwęziły się, a Elf i Człowiek wstrzymali oddech. – Musicie zrozumieć i przyjąć do wiadomości, jakkolwiek trudne by to dla was nie było, że słowa brodatego mędrca w jaskini były prawdziwe. Nie jestem tym, na kogo wyglądam. Istnieję od dawna, nie wiem, jak długo, nie pamiętam początku, ale zrozumcie proszę, że „od dawna” nie oznacza stu, czy nawet tysiąca lat. Pamiętam jak przez mgłę czas, kiedy gwiazdy i planety nie miały jeszcze swoich nazw, bo nie było komu ich nazywać. Podczas stuleci trwania zatraciłam gdzieś poczucie czasu, nie wiem, ile razy byłam martwa, chyba mogę umierać w nieskończoność, ale nie potrafię umrzeć tak naprawdę. Kiedyś tego chciałam, miałam dość, pragnęłam śmierci jako wyzwolenia i wybawienia, ale nie potrafiłam jej przywołać i zatrzymać. Teraz... – dziewczyna zawahała się.

Bo co właściwie miała im powiedzieć? Teraz... Co właściwie było teraz? Do utraty świadomości upływu dni i nocy doszła utrata samej siebie? Mimo, że potężna i silna, stała się narzędziem w rękach Kaina, bezwolnie wykonującym wszystkie jego polecenia, bez dbałości o to, co się z nią stanie, jakby to nie ona, ale ktoś inny brał udział w tym całym szaleństwie, a ona tylko obserwowała wszystko z boku, zamknięta w swojej ochronnej bańce, która nie dopuszczając do niej nic i niczemu nie pozwalając się z niej wydostać, sprawia, że wszystko powoli w niej umiera. Może to właśnie było jej przeznaczenie i przypisana jej dawno temu jej własna, makabryczna postać śmierci. Chroniąc świat wokół niej, świat na którym w zasadzie dawno przestało jej zależeć, samą siebie skazywała na zagładę, umierając każdego dnia po troszeczkę, śmiercią właściwie bezbolesną, a jednak straszłą.

– Wybacz bezpośrednie pytanie, ale... Kim więc jesteś, pani? – z zadumy wyrwał ją cichy głos Sylwana.

– Nie wiem, jaka jest prawidłowa odpowiedź na twoje pytanie – czarodziejka przeniosła na niego spojrzenie. – Jestem dziwnym zlepkiem was wszystkich. Nieznana do tej pory hybrydą, którą stworzył Kain, to chyba będzie najtrafniejsze. Nie wiem, jako kto się narodziłam, ale teraz jestem Elfem, Wampirem i Wilkiem jednocześnie, ale łącząc w sobie te rasy, w żadną z nich nie wpasowuję się tak naprawdę. Kiedyś byłam Człowiekiem, dawno, ale do czego było potrzebne to dodatkowe życie, nie wiem do tej pory. Może miało to służyć wyłącznie zrozumieniu... również Ludzi. Tak czy inaczej nie udało się to do końca, najbardziej pierwotna rasa Ziemi jest za bardzo skomplikowana. Jednak czas się dopełnił i nie mogłam dłużej pozostawać w tej postaci. Wtedy zjawił się Kain... – na ustach dziewczyny zagościł zabarwiony goryczą uśmiech. – Właściwie powinna powiedzieć; wtedy Kain mnie zabił i sprawił, że stałam się tym, czym jestem teraz.

Siedzący najbliżej niej Elf drgnął gwałtownie, ale nie przerwał jej. Ta stłumiona natychmiast reakcja wystarczyła, by uświadomić czarodziejce, że właśnie powiedziała za wiele.

– Nie zrozumcie mnie opatrnie, proszę – dodała szybko, patrząc prosto na kapłana. – Kain nigdy nie chciał dla mnie źle. On jest jak ojciec, jedyny jakiego kiedykolwiek miałam i znałam. Opiekował się mną zawsze i robi to nadal.

Pistis poderwał gwałtownie głowę i spojrzał jej prosto w oczy.

– Wybacz, ale z mojej perspektywy wygląda to tak, że póki co stary czarodziej posłał cię, a razem z tobą nas wszystkich w paszczę siedmiu Upadłych, nad którymi zapanować potrafi tylko mityczny jeździec z pradawnej przepowiedni. Kazał nam walczyć z całym światem, podczas gdy sam skrył się w swojej niedostępnej jaskini, bezpieczny.

– Pistis! – przerwała mu gwałtownie. – To ja jestem zapowiedzianym jeźdźcem i Kain o tym wie i nie ma prawa zatrzymać mnie i ochronić przed moim przeznaczeniem.

Kapłan nie spuścił wzroku, patrząc śmiało, z zaciętą miną. Czarodziejka odebrała wrogie

uczucia, skierowane w stronę jej mistrza, a myśli Elfa stały się zadziwiająco jasne i przejrzyste.

*Być może, ale co, jeśli starzec się myli i sprzedaje nam bajkę, w którą każe uwierzyć? Co jeśli czas jeszcze nie nadszedł, a jeździec się nie narodził? Co jeśli...* – przekaz urwał się gwałtownie, choć młodzieniec najwyraźniej coś jeszcze próbował jej powiedzieć. Dziewczyna spozjrzała na niego z rozbudzoną nagle ciekawością. Kapłan zamrugnął zdezorientowany, a jego myśli wróciły do normalnego biegu.

– Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co przed chwilą zrobiłeś?

Elfka przysunęła się do niego i, nie dotykając, zbliżyła palce lewej ręki do jego czoła. Wstrzymał oddech, zdezorientowany, ale nie odezwał się. Wysłała łagodny impuls, a umysł Elfa odpowiedział, zapalając srebrzyste światło na jej opuszkach. Pistis powoli wypuścił powietrze, zaskoczony delikatnym mrowieniem gdzieś wewnątrz czaszki.

– Czy kiedykolwiek studiowałeś magię? – zapytała cicho.

– W klasztorze, gdzie się wychowałem i spędziłem niemal całe życie, wszyscy studiowaliśmy jej podstawy, czysto teoretycznie – odpowiedział powoli.

Nie odpowiedziała, skinęła tylko krótko głową, wstała i podeszła do Farysa. Przykucnęła naprzeciw mężczyzny i powtórzyła ten sam gest. Odpowiedź nadeszła natychmiast. Nie dowierzając jeszcze, odwróciła się w stronę siedzącego obok Sylwana. Wampir odsunął się.

– Nie chcę – warknął niemal wrogo.

Znała powód tej wrogości. W kategoriach każdego z plemion był martwy, a magia nie zamieszkiwałaby nigdy martwego ciała. Czarodziej nie mógł stać się Wampirem, a Wampir pozostać czarodziejem.

*Jeśli coś jest powszechnie przyjęte i akceptowane, nie znaczy to wcale, że jest jedyną możliwością. Widzisz to i nadal nie wierzysz? Dotknij więc tego i uwierz* – wysłała przekaz, koncentrując się na wnętrzu swojego ostatniego towarzysza.

Gwałtownie rozszerzone źrenice Sylwana były dla niej wystarczającym potwierdzeniem, że odebrał jej myśli. Roześmiała się głośno, a cała jej niewielka drużyna zdała sobie sprawę z tego, że słyszy jej śmiech po raz pierwszy.

– Nie rozumiecie, prawda? – zwróciła się do nich wszystkich. – Nie szkodzi. Ja już rozumiem. Stary czarnoksiężnik się nie myli. Jestem przepowiedzianym światu jeźdźcem, a wy jesteście moją armią. Myślałam, że chodzi mu o jakiś dziwny symbol, że musimy wziąć w tym udział po prostu jako przedstawiciele czterech praras, ja jestem Wilkiem, a towarzyszyć mi muszą Człowiek, Elf i Wampir. Wybaczcie, ale aż do teraz nie wiedziałam...

– Pani, – przerwał jej Elf – jesteś pewna? Dlaczego nagle staliśmy się w twoich oczach inni?

Pistis nie wydawał się cieszyć z biegu wydarzeń. Spodziewał się czegoś takiego, ale nie tak prędko, jeszcze nie teraz, może nigdy, jeśli dopisałoby im szczęście i słowa i zapal Kaina rzeczywiście okazałyby się przedwczesne. Przyjęcie prawdy było trudne i wymagało całkowitego pogodzenia się z losem, o wiele łatwiej było zaprzeczać.

– Odebrałam twój przekaz. Przekaz; nie myśli. Potrafię wylapywać interesujące mnie myśli z ich płątaniny w czyjejś głowie. Nie spotkałam jeszcze nikogo, kto potrafiłby mnie zablokować, może poza Kainem, ale złamałam już jego blokadę, przynajmniej częściowo. Myśli ułożone w jasną, czytelną informację i świadomie przesłane, stają się przekazem. Potrafię je odczytywać, ale mimo to nie powinien do mnie dotrzeć twój przekaz z tego prostego powodu, że nie potrafisz ich wysłać. Nie potrafiłbyś przywołać mnie w myślach, gdybyś tego naprawdę chciał, musiałbyś zrobić to nieświadomie, twoje nieświadome myśli nie należą do ciebie, ktoś przeszkolony i posiadający dar może patrzeć w nie i czytać je jak księgę. Ale świadomie dzielić się myślami potrafią tylko czarodzieje lub adepci. Więc to, że mogłam odczytać twoje myśli

i stały się dla mnie niczym słowa, przemawiające w mojej głowie, to że moja moc odpowiedziała na wezwanie waszych umysłów, to że ty potrafisz otworzyć się na moje myśli, – zwróciła się do Wampira – może oznaczać tylko jedno.

Przez chwilę panowała cisza, cała trójka zamarła, wpatrując się w dziewczynę i w siebie nawzajem, nie śmiejąc tego milczenia naruszyć. W górze nietoperze kotłowały się w szalonym tańcu, a w trawie krzyczały cykady. Dziewczyna odbierała te dźwięki, niesłyszalne dla słabego, ludzkiego ucha, jeszcze wyraźniej i głośniejsze niż zwykle. W perspektywie tego, co właśnie odkryła, czas, który kupiła od Lilith za cenę własnej krwi, wydał jej się niezwykle cennym błogosławieństwem. Ofiara trzykrotnej śmierci stała się mało znacząca i nieistotna wobec ponownych narodzin trójki jej towarzyszy.

– Nie jesteśmy czarnoksiężnikami, aż do tej pory nie mieliśmy nic wspólnego z magią – przerwał jej myśli chłodny głos Farysa.

Człowiek otrząsnął się z pierwszego szoku i racjonalne myślenie jemu również kazało wyprzeć niezrozumiałą i groźną prawdę. Dziewczyna ogarnęła wzrokiem ich sylwetki, jakby nie widziała ich przy sobie nigdy wcześniej, po raz pierwszy przyznając im pełnoprawne członkostwo w swojej drużynie i misji, która nagle przestała być jej, a stała się ich wspólną.

– Żaden z was nie jest czarnoksiężnikiem – zgodziła się łagodnie. – Ale od tej chwili wszyscy staliście się moimi adeptami. Mamy tylko kilka dni, nie zmarnuję tego czasu, przyrzekam to wam i sobie.

Ciemność wokół nich zadrżała i zgęstniała. Gdzieś daleko rozległ się zew uwięzionego demona, który kiedyś miał skrzydła.

*Już niedługo, Astaroth. Idziemy po ciebie.*

Wysłała łapczywie pochwycony i uniesiony na skrzydłach nocy impuls.



## Rozdział 4

### Narodziny więzi

– Jak on śmiał wysłać cię do mnie z takim żądaniem?

Oczy dziewczyny miały groźne iskry. Wilk widział, że jest wściekła, został uprzedzony, że to nie będzie łatwe poselstwo, ale nie mógł odejść, nie otrzymawszy odpowiedzi. Czekał więc, obserwując czarodziejkę spod przymrużonych powiek, lekko pochylając głowę, tak by jego ślepie znalazły się na wysokości jej oczu. Mimo, że nieco od niego niższa, wzbudzała respekt i niepokój, w pobliżu nie było jednak nic, na czym mogłaby swoją furię wyładować, żadnych skał czy martwych murów, a wiedział, że Elf, którym przecież była, nie zniszczy ot tak po prostu – po to, by sobie ulżyć – ani polany skąpanej teraz w blasku księżyca, ani otaczających ich drzew, musiała więc zdusić w sobie furię. Szary samiec nie pojmował jej reakcji, w zasadzie nie przyszedł przecież z niczym nowym, przypominał po prostu o zasadzie, która obowiązywała świat czarnoksiężników od zawsze, a o której ona zdawała się w ostatnim czasie zapomnieć.

*Musisz wybrać. Jeden mistrz, jeden uczeń. Nie wolno ci wprowadzać w arkana magii całej trójki jednocześnie. Mędrzec z gór chce usłyszeć twoją decyzję, chce wiedzieć, którego z nich staniesz się przewodnikiem.*

– A z resztą co się stanie? – dziewczyna była wzburzona na tyle, że ulgi szukała chociaż w głośniejszej mowie, nie próbując nawet zapanować nad myślami. – Tylko magia da im ochronę, tylko ona pozwoli im przetrwać. To jedyna szansa. Cała trójka ma dar, on nie może oczekiwać, że ocale jednego z nich kosztem pozostałej dwójki.

Wilk popatrzył na nią z dziwnym wyrazem brunatnych ślepi, ale nie odpowiedział nic. Znała zasadę, to jasne. Nie był to pierwszy raz, kiedy Kain żądał od niej wyboru, który wydaje na kogoś wyrok, ale do tej pory nigdy nie miała z tym problemu. Po chwili buntu przychodziło opamiętanie i dziewczyna, nie ingerując w stary porządek świata i nie naruszając go w końcu robiła to, czego od niej oczekiwał. Wilk pozwolił więc jej myślom zbuntować się i czekał na wyciszenie, które nie nadchodziło.

– Słyszysz, co tam szepczesz – warknęła. – Kain być może nie zauważył, ale wiele się w ostatnim czasie zmieniło. Ja się zmieniłam. Nie jestem bezwonną marionetką w jego rękach, już nie.

Szary samiec widział, że spotkanie nie przebiega po jego myśli. Pozostało mu jeszcze jedno, przemówić do głębi tego, co łączyło czarodziejkę i jej mistrza.

*Dobrze więc. Prysłano mnie tu po to, bym uzyskał odpowiedź i przekazał ją Kainowi. Jakie więc twoje słowa mam powtórzyć temu, którego nazywasz ojcem?*

Dziewczyna zawahała się, a Wilk odetchnął z ulgą. Zaczynał się proces... Niepojęta nić, łącząca od wielu wieków Elfkę i Kaina powoli związywała jej wolę i wyciszała emocje. Co chciała mu przekazać? Sama nie wiedziała, jakie słowa skierowała by teraz do niego, gdyby stał tu przed nią zamiast szarego posłańca... Wcześniej podejmowała już podobne decyzje, to prawda, ale teraz było inaczej. Była rozdarta. Czuła się tak, jakby z jej serca wychodziły niezwykle mocne, srebrzyste nici, łączące jego bicie z biciem serc Człowieka, Elfa i Wampira, których uśpione oddechy wyczuwała mimo dzielącej ją od nich odległości, ale równie mocna nić biegła w stronę ukrytej w skałach Warowni. Dodatkowo ta ostatnia nić, tkana poprzez wieki wspólnej wędrówki i walki, wielokrotnie niemalże zrywana i zaplatana ponownie była dla niej do tej pory jedynym słusznym drogowskazem, dziewczyna szła, prowadzona przez nią, niemal bez woli

i świadomości, ale przekonana, że droga, którą kroczy, jest właściwa. Aż do dziś...

Więc... Cóż chciała mu przekazać? Brunatne oczy ponaglały ją łagodnie, przekonane, że decyzja, jaką podejmie, będzie tą właściwą, trzeba tylko poczekać. Ale ona nie potrafiła zdecydować, już nie... Przepraszam ojczy, wybac mi, jednak nie potrafię wybrać, nie tym razem. Zrozum mnie proszę, nie potępij. Serce mi mówi, że postępuję słusznie, mimo iż zdaję sobie sprawę, że naruszam tym samym porządek i że być może przyjdzie mi za to zapłacić... Nie wiem, co się ze mną dzieje, mistrzu, rozpadam się na tysiące kawałków których nie potrafię odnaleźć i złożyć w całość. Może to przekleństwo wiecznego trwania, może nikt nie powinien żyć tak długo? Nie potrafię wskazać ofiar, nie rozkazuj mi wysłać kogokolwiek z nich na śmierć, kiedy właśnie pojawiła się szansa na ocalenie wszystkich... Czy takie właśnie skamlące błaganie byłoby prawidłową odpowiedzią na jego pytanie? Być może, jednak dziewczyna czuła, że to wcale nie tak biegną jej myśli i że wcale nie chce błagać. Kain wymagał wiele, jak zawsze, ale czy tym razem naprawdę miał do tego prawo? Oblicze Elpis pociemniało, kiedy zrozumiała, że odpowiedź na wezwanie starca może być tylko jedna. Spojrzała na Wilka, a on spojrzał na nią, nie dowierzając jeszcze i nie rozumiejąc.

– Niech idzie do diabła – powtórzyła głośno. – I niech nie zapomina, że przyrzekł Adamowi nietykalność. Bo jeśli skrzywdzi dziecko, nawet tam za nim pójdę.

Spojrzenie basiora było nieodgadnione.

*Nazwałaś ludzkie szczenię, pani? Nie powinnaś nadawać imion niczemu, czego nie wolno ci zatrzymać.*

Delikatny powiew wiatru bawił się długimi do pasa włosami Elfki, nadając jej wygląd falującej zjawy. Elpis uśmiechnęła się drapieżnie.

*Jeszcze zobaczymy...*

\*\*\*\*

Pistis poczuł, jak ktoś gwałtownie szarpie go za ramię. Uchylił oczy i zobaczywszy pochyloną nad sobą postać czarodziejki, natychmiast zerwał się do pozycji siedzącej, patrząc na nią pytająco. Dziewczyna nie zaprzętała sobie głowy wyjaśnieniami, odeszła by przebudzić Wampira i Człowieka, w jej ruchach była jakaś dziwna gwałtowność i determinacja, ale nie było w nich zbytniego pośpiechu, a Elpis nie wydawała się przestraszona, nie musieli więc uciekać.

– Nic się nie stało, po prostu podjęłam pewną decyzję – uspokoiła ich, siejąc jednocześnie w ich sercach ziarno niepewności. – Nie uchodzimy przed nikim, ale wyruszamy w drogę. Nie wiem jeszcze dokładnie, dokąd, w las. Nic nam nie grozi, jednak proszę was o pośpiech. Muszę coś zrobić, zanim ktoś mi w tym przeszkodzi. Teraz.

Cała trójka bez słowa sprzeciwu prędko zebrała skromny dobytek, którym dysponowali, a Farys i Sylwan osiodłali konie. Nie trudzili się zacieraniem śladów nocnego obozowania, istoty, które za nimi podążały doskonale wiedziały, gdzie się udadzą, nieważne jak dobrze ukryliby istnienie płonącego tu niedawno ogniska i zdeptaną trawę, nie oszukaliby ich, a śnieg za kilka godzin i tak miał doskonale zakamuflować to miejsce przed wścibskim wzrokiem innych stworzeń, jeśli takie znalazłyby się w pobliżu.

Początkowo jechali w milczeniu. Choć głodni, byli wypoczęci, nareszcie, po trzech dobach nerwowego drzemania i czekania aż Elfka przebudzi się z dziwnej namiastki śmierci, oraz niepewności co do tego jaka będzie, jeśli przebudzenie nastąpi. Byli jej wdzięczni za możliwość prawdziwego snu, który pozwolił choć na kilka godzin zapomnieć o dziwnych zdarzeniach ostatnich dni. Jednak w czasie wędrówki niepokój powrócił, jeszcze silniejszy niż wcześniej, tym bardziej, że poza nim czuli coś jeszcze. Żaden z nich nie potrafiłby tego wytłumaczyć, ich umysły jakby dostrajały się do siebie nawzajem, nie potrafili odczytać swoich myśli, ani myśli ich przewodniczki, jednak odbierali ogólny zarys, coś jakby szkic, delikatny

i niepewny.

Słońce jeszcze nie wzeszło. Właściwie powinno być już na niebie, ale w ostatnim czasie granica między dniem a nocą zacierała się, dając powoli przewagę ciemności, jakby zima, która brała we władanie świat, była prawdziwa, a krótszy dzień był jej naturalną konsekwencją. Nie wiadomo, który pierwszy zorientował się, że błędzą właściwie bez celu. Prowadząca ich dziewczyna raz kłusowała szybko, to znów wolno truchtała, wyraźnie czegoś szukając, ale nie do końca zdając sobie sprawę z tego, gdzie może to znaleźć.

– Wybacz, pani – Farys pierwszy przerwał ciszę. – Co jest naszym celem?

Elfka spojrzała na niego zaskoczona. No tak... Ona od wczorajszego wieczoru odbierała ich myśli i pragnienia o wiele silniej niż wcześniej i było to dla niej tak naturalne, że niemal zapomniała o tym, że przed nimi na razie jej umysł nie stoi otworem. Działo się z nią coś naprawdę niepojętego, ta niezrozumiała synchronizacja z istotami, które jeszcze niedawno nic dla niej nie znaczyły, a nawet stanowiły swego rodzaju balast, który nie wiedzieć czemu Kain nałożył na jej barki, sprawiała, że chciało jej się płakać i śmiać jednocześnie. Wspomnienie jej mistrza i szarego Wilka, który z każdym skokiem zbliżał się do Warowni, sprowadziło ją na ziemię.

– Wybaczcie. Od tego należało zacząć. Drzewo o duszy Elfa.

Człowiek i Wampir spojrzeli po sobie zdziwieni, a Pistis spuścił wzrok i zagryzł wargi.

– Po czym je poznamy? – zapytał znów ciemnowłosa mężczyzna, ale czarodziejka już ruszyła.

– Jest potężne. I piękne – wyszeptał kapłan.

– Ale ty nie chcesz wcale go znaleźć – bardziej stwierdził niż zapytał Sylwan.

Elf milczał, zresztą Wampir wcale nie oczekiwał odpowiedzi. Jeśli poszukiwali drzewa, w którym zaklęta jest dusza żywej istoty, najprawdopodobniej potrzebny był im świadek. Czego? Odpowiedzi mogło być wiele, ale w obecnej chwili jedna była tą najbardziej prawdopodobną i wcale mu się nie podobała. Mimo to posłusznie zaczął rozglądać się w poszukiwaniu grubych konarów i ogromnej, rozłożystej korony. Nie jechali długo. Jedną z zadziwiających właściwości takich drzew było to, że jeśli potrzebowało się ich z całego serca, odpowiadały na wezwanie, pozwalając się odnaleźć.

Farys i Sylwan, choć nigdy wcześniej nie słyszeli o nieśmiertelnych duszach rozumnych istot, zaklętych w tych tajemniczych mieszkańcach borów i puszczy, rozpoznali je od razu. Cała czwórka dotarła do rozrywających ziemię korzeni wiekowego dębu. Rozpoznanie było tym łatwiejsze, że było to jedyne drzewo w okolicy, które zachowało zielone liście, pozostałe nie oparły się działaniu fałszywej zimy. Ogromne konary, rozrośnięte na kształt monumentalnej kopuły, niemal dotykające czubkami ziemi, ukryły ich jakby w magicznej, leśnej katedrze. Dziewczyna zeskoczyła z grzbietu Leviathana, pozostała trójka poszła za jej przykładem. Ona i Pistis na chwilę pochyliłi głowy, oddając hołd nieznanemu lub nieznanemu, którym drzewo zawdzięczało tak długie lata życia. Potem Elfka zbliżyła się do pobrużdżonej kory i oparła na niej otwartą lewą dłoń.

*Witam Cię i pozdrawiam* – wysłała impuls, a delikatne mrowienie palców ręki było odpowiedzią i obietnicą, że duch drzewa słucha. *Przyprowadziłam tu ze sobą towarzyszy, z których tylko jeden jest Elfem, ale wszyscy posiadają dar. Chcę objąć nad nimi pieczę i przyrzec im ochronę, wzywam Cię na świadka. Proszę, wejrzyj w głąb mojego serca i zobacz moje intencje.*

Delikatny powiew poruszył liśćmi dębu, przechodząc z nich na maleńką wobec jego ogromu figurkę dziewczyny, przez chwilę bawiąc się jej włosami i szatą, by następnie przejść na postacie stojących w pewnym oddaleniu i niepewności Człowieka, Elfa i Wampira, jakby

tajemnicza istota pozdrawiała każdego z nich z osobna. Kiedy wszystko się skończyło, dziewczyna wiedziała, że duch opiekujący się dębem akceptuje jej prośbę. Odetchnęła z ulgą, bała się odmowy, dopiero teraz uświadomiła sobie, jak bardzo. Odwróciła się w stronę swoich towarzyszy.

Stali kilka kroków od niej, Elf w srebrzysto-błękitnej szacie, na którą opadały rozpuszczone luźno kasztanowe włosy, długie do połowy pleców, patrzył na dziewczynę trochę z obawą, a trochę z nadzieją. Zastanawiał się, którego z nich wybierze, ale sam nie wiedział, czy chce być wybrany. Człowiek nie rozumiał tego, co się wokół niego dzieje, jednak zdawał sobie sprawę, że bierze udział w czymś groźnym i ważnym i wypełniała go duma pomieszana z lękiem. Spowity w czern i srebro Wampir spoglądał na nią jakby z pretensją i bez nadziei, przekonany o tym, że dla niego tu właśnie skończy się cała ta przygoda z magią, czując żal za niepotrzebnie przebudzone złudzenia. Dziewczyna westchnęła, czując, że nie może zdecydować inaczej i że robi dobrze, choć po raz kolejny balansuje na skraju przepaści. Wysyłając ich na niezrozumiałą misję nie dano im wolnej woli... Ale ona właśnie znalazła w sobie siłę do tego, by o nią dla nich zawalczyć.

– Chcę złożyć ślubowanie i przysięgę – powiedziała głośno, patrząc kolejno w błękitne, brunatne i czarne oczy. – Wam wszystkim.

Elf i Wampir spojrzeli na nią z niedowierzaniem.

– Ale jak to? – wyszeptał kapłan – Nie możesz...

– Wiem – przerwała mu. – Jednak serce podpowiada mi, że muszę. Zdaję sobie sprawę z tego, że łamię tym samym zasady i wykraczam poza ustalony porządek, jestem świadoma, że pojawią się konsekwencje i jestem gotowa je na siebie przyjąć. Rozumiem też, że nie mam prawa wymagać od was na tym etapie czegokolwiek, będzie to więc przysięga jednostronna. Proszę was tylko o jej zaakceptowanie.

– Czy nie możemy więc poczekać? – tym razem to Farys zabrał głos. – Jeśli robimy coś nie tak, poczekajmy, aż będziemy mogli zrobić wszystko zgodnie z zasadami.

Dziewczyna uśmiechnęła się. Nie miał pojęcia o magii i o tym, na jaką ścieżkę wkracza. Był jak czysta kartka, którą to ona miała zapisać. Potrząsnęła głową.

– Nie wolno mi mieć trzech uczniów w jednym czasie, ani teraz, ani nigdy. Zasady świata czarnoksiężników są nieraz trudne do zaakceptowania, a mimo to przestrzegane. W obliczu tego, co obecnie dzieje się ze światem, muszę jednak dać wam broń do ręki. Jesteście powierzoną mi drużyną, odpowiadam za wasze bezpieczeństwo. Mamy kilka dni, to niewiele, nie nauczę was w tym czasie skutecznego atakowania za pomocą zaklęć, nie nauczę was zaklinania żywiołów ani samodzielnej kontroli nad mocą rodzącą się w waszym wnętrzu, ale mogę wam pokazać, jak nie dać się zabić. A kiedy już przetrwamy to piekło, które na nas czeka gdzieś na końcu drogi, wtedy popracuję nad wami dokładniej. Muszę tylko mieć waszą zgodę. Ja jestem gotowa podjąć ryzyko.

– Nam nie przepowiedziano życia, pani – usłyszała pełen goryczy głos Wampira.

Elf spuścił wzrok na czubki swoich butów, a Człowiek patrzył na nią zdezorientowany. Poczuli, że się jej wymykają i że musi coś zrobić, teraz, natychmiast, bo zaraz będzie za późno. Piekielne rumaki rżały niezadowolone, a Leviathan patrzył na nią z wyrzutem, który tylko umacniał ją w przekonaniu.

– W takim razie zmienię dla was tę część przepowiedni – mruknęła, po czym uklękła przed nimi, jedną dłoń opierając o wyrastający ponad ziemię korzeń dębu, a drugą kładąc na ziemi. – Ja, uczennica Kaina, czarnoksiężnika z gór, posiadająca wiele imion, z których żadne nie jest moim prawdziwym imieniem, przez jednych zwana Nadzieją, a przez innych Przeklętą, przysięgam otoczyć opieką należną moim uczniom kapłana Pistisa z rodu Elfów, Farysa, Człowieka, przedstawiciela najbardziej pierwotnej rasy zamieszkującej Ziemię oraz Sylwana,

jednego z Dzieci Nocy zwanych Wampirami. Ślubuję stać się ich tarczą i ucieczką, nawet za cenę mojego życia. Oddaję Ci cześć i chylę przed Tobą czoła, potężny nieśmiertelny duchu śmiertelnej istoty i wzywam Cię na świadka. Błagam, wejrzyj w moje wnętrze i zobacz moje motyw, zobacz postanowienie, które się we mnie narodziło i potwierdź, że nie ma we mnie kłamstwa i obłudy. Pozdrawiam Cię i składam Ci pokłon, Matko Ziemio i wzywam Cię do uczestnictwa w mojej obietnicy. Ty zawsze będziesz ze mną, niezależnie od tego, gdzie się nie udam, proszę Cię o siłę, by za słowami poszły czyny i bym stała się godna miana nauczyciela i mistrza, jakie dziś na siebie przyjmuję. Ślubuję wprowadzić moich trzech adeptów w arkana magii i pomóc im zrozumieć moc, która zostanie z nimi na zawsze. Od teraz odpowiadam za ich czyny przed Bogiem i przed światem.

Dziewczyna poczuła, jak w srebrzyste nici, łączące jej serce z jej towarzyszami wplatają się nowe, silne włókna i wiedziała, że oni również zauważyli narodziny tej niezwyklej i niezrozumiałej więzi, łączącej już na zawsze ucznia z nauczycielem. Udało jej się. Nagięła zasady, a żywioł ziemi zaakceptował jej wybór. Uśmiechnęła się, czując jednocześnie, jak po policzkach spływają jej łzy, uzewnętrznienie wewnętrznego bólu, spowodowanego wystąpieniem przeciw swojemu własnemu nauczycielowi. Wiedziała, że musi pozbierać się i rozpocząć ciężką pracę, by zapanować nad prawidłowym przebudzeniem mocy u członków swojej drużyny. Więzy z Kainem nie osłabnie ani nie ulegnie zerwaniu, bo takie więzi nie zrywają się niemal nigdy. Po prostu będzie teraz trochę trudniejsza i bardziej bolesna.

\*\*\*\*

Brodaty starzec, od lat skrywający się przed światem w położonej wśród skał pustelni, nie spał prawie wcale podczas nocy, która właśnie odchodziła. Czekał na wilczego posłańca, który miał mu przynieść decyzję jego przybranej córki, co do drogi, którą dziewczyna zdecyduje się kroczyć. Wilk jeszcze nie nadszedł, mimo to czarnoksiężnik zrozumiał, że decyzja zapadła. Zawsze potrafił odgadnąć nastrój Elfki, kiedy była blisko niego; wiedział, kiedy i skąd nadejdzie, jeśli zbliżała się do Warowni; wiedział też, kiedy potrzebowała jego pomocy. Teraz dziwny niepokój, który sprawił, że dłonie starca zaczęły drżeć, a serce zmroził lód, wżerając się maleńkimi ostrymi kryształkami w każdą jego komórkę upewnił go, że Elpis z własnej woli naraziła się na straszliwe niebezpieczeństwo. Odpowiedź mogła być tylko jedna, złożyła potrójną przysięgę.

Od zawsze porządek świata, w którym istoty takie jak on i ona istnieją i działają opierał się na nienaruszalnych filarach. Jego przybrana córka nie była taka jak inni, ale zasady obowiązywały ją na równi ze wszystkimi. Jej dziedzictwo, którego nie знаła, ale którego coraz bardziej stawała się świadoma, sama nie wiedząc, skąd ta świadomość pochodzi, dawało jej prawo do trzech uczniów, jednak w imię powszechnie panującego porządku nikt nie miał takiego prawa. On jeden znał Elpis lepiej niż ktokolwiek inny, ale nie wiedział o niej wszystkiego, choć znał też fakty, które ona zapomniała, które on sam nakazał jej odrzucić w niepamięć. Wszystko po to, by ją chronić, tą jedyną, najdroższą mu na całym świecie istotę. W obecnej sytuacji najgorsza była dla niego świadomość błędu, jaki Elpis właśnie popełniła i to, że tym razem ona sama musi się ocalić, on nie miał do tego prawa, bo jego uczennica wystąpiła przeciw zasadom ustalonym na długo przed narodzeniem ich obu, przez kogoś o wiele od nich potężniejszego i czyniła to w pełni zdając sobie sprawę z wykroczenia.

Starzec przymknął oczy. Z najdrobniejszymi szczegółami pamiętał dzień, kiedy on złożył identycznie brzmiące ślubowanie. Dzień, w którym znalazł ją zakrwawioną, z sercem roztrzaskanym na siedem tysięcy maleńkich kawałeczków. Pamiętał jak niósł ją na rękach do Warowni, powtarzając słowa przysięgi, wiążącej go z nią na zawsze, podczas gdy ona szeptała wciąż i wciąż od nowa że nie chce go nigdy więcej widzieć, żeby zostawił ją i odszedł, że chce

umrzeć...

Siedem tysięcy lat powoli i z trudem „naprawiał” dziewczynę, lecząc jej pogruchotaną duszę, chroniąc i zdobywając jej zaufanie. Po takim dopiero czasie Elfka zaakceptowała jego przyrzeczenie i zgodziła się dać mu własne, zostając jego uczennicą i nazywając go ojcem. Od tej pory śmiało i pewnie kroczyła ścieżką, jaką czarnoksiężnik przed nią odkrył, nie wahając się i nie zadając pytań. Buntowała się czasem, owszem, ale zawsze wypełniała jego wolę, gwarantując bezpieczeństwo im obu. Aż do dziś.

\*\*\*\*

Głęboki wdech i powolny wydech, spokojnie, nie spiesząc się... Tak, to ją uspokajało, stopniowo odzyskiwała spokój duszy i kontrolę. Pozwoliła łzom płynąć, wraz z nimi spływało poczucie winy i nadchodziła ulga. Panowała nad wszystkim, przysięga była święta, Kain mógł ją powstrzymać przed jej złożeniem, ale było już za późno, teraz nikt i nic nie mogło nakazać jej złamania słowa. Wdech i wydech... Ciepły wiatr, szeleszczący liśćmi dębu i sprawiający, że te z nich, które nie oparły się zimie i opadły, wirowały teraz wokół nich, osuszał jej policzki, kojąc i łagodząc ból, który narodził się w miejscu, z którego początek brała srebrzysta nić, snująca się aż do skalnego pustkowi daleko stąd. Wdech i wydech... Nadal klęczała na ziemi, przed nią stali trzej właśnie mianowani adepci sztuki magicznej, wciąż nie do końca dowierzając temu, czego przed chwilą byli świadkami.

Pistis czuł, że serce szamocze się w jego piersi niczym zwierzątko na uwięzi, jakby chciało uczynić dziurę w klatce piersiowej i uciec od niego. Przepowiednia, którą znał i którą mimo wewnętrznego sprzeciwu starał się wypełnić, bo wierzył, że właśnie jemu przypadł w udziale taki obowiązek, zwiastowała im śmierć i potępienie; czarodziejka usiłowała najwyraźniej sprzeciwić się jej słowom. Jaką cenę przyjdzie im zapłacić za jej zuchwalstwo? Jaką cenę zapłaci ona, drobna, czarnowłosa dziewczyna, obleczona w srebro i fiolet, klęcząca teraz przed nim i ryzykująca dla nich tak wiele? Nie chciał jej obietnicy, ale została już złożona i ten wybór nie do niego należał. On mógł tylko nie dawać jej swojego słowa, ale to byłoby bardzo nie w porządku. Zauważył, że kolana stojącego po jego lewej stronie Wampira uginają się i jasnowłosy młodzieniec klęka.

– Jak brzmi przysięga adepta?

Milczał, nie potrafiąc się poruszyć ani odpowiedzieć. Sylwan spojrzał na Elfkę z niemym pytaniem w oczach, ale ta uśmiechnęła się lekko i potrząsnęła głową.

– Nie teraz, Sylwanie. Nie mam prawa wymagać od was obietnicy, nie dopóki nie zrozumiecie, w co tak naprawdę wplączę was jej złożenie. Ja też nie zaakceptowałam od razu ślubowania Kaina i daję wam co najmniej tyle samo czasu na złożenie własnego, ile ja na to potrzebowałam – na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu, ale natychmiast zgasł, jakby to nie było dobre wspomnienie.

Ciepły wiatr przybrał na sile, Elfka czuła go jakby samą sobą, przechodził przez jej ciało, kumulując się i parząc na piersi, gdzie pod koszulą spoczywał zawieszony na delikatnym srebrzystym łańcuszku magiczny amulet, ofiarowany jej przez Kaina miriady lat temu. Czarodziejka doskonale wiedziała, co teraz musi zrobić. To powinno być trudne, ale wcale takie nie było. Sięgnęła rękami pod włosy i odpięła łańcuszek, uwalniając amulet i zamykając go w dłoni. Szlachetny kamień, symbolizujący jej mistrza, ofiarowany jej tylko na jakiś czas, nie należący już do niej. Czuła jego pulsowanie i czuła, że on też pragnie być zniszczony i zastąpiony jej własnym kamieniem, który będzie mogła przekazać swoim uczniom. Jaki klejnot powinien zastąpić diament? Nie potrafiła wybrać, każdy z trójki mężczyzn, stojących przed nią był inny i każdy zasługiwał na to, by tą jego odrębność podkreślić i uszanować. Jednak święta Matka Ziemia wiedziała wszystko.

– Podejdźcie tu, proszę – zwróciła się do Elfa, Człowieka i Wampira.

Cała trójka powoli i niepewnie zbliżyła się do dziewczyny i po chwili, widząc że ona nadal nie wstaje, przyklękała przed nią. Dzielił ich teraz dystans kilkudziesięciu centymetrów. Elpis wyjęła ukryty w cholewie buta srebrny sztylet, ten sam, którego zaledwie kilka dni temu, ścigana przez Cienie Gehenny użyła do rzucenia zaklęcia, pozwalającego jej ujsć wraz z wtulonym z nią niemowlęciem. Poczuła, jak jej serce wypełnia ciepło. Dziecko. Adam... To wspomnienie było dobre.

– Wyciągnijcie w moją stronę otwarte lewe dłonie – poleciła.

Wykonali jej polecenie z pewnym wahaniem, spodziewając się, że sztylet zaraz wyrwie na nich krwawe szramy. Czarodziejka położyła diament na ziemi, między sobą a nimi. Następnie rozcięła swoją własną dłoń, a pierwsze krople skapnęły na wyciągniętą dłoń Farysa. Drgnął i chciał ją cofnąć, jednak dziewczyna przytrzymała ją w miejscu zdrową ręką. Jeszcze chwilę pozwoliła swojej krwi barwić ją szkarłatnymi plamami, po czym powtórzyła całą operację z Elfem i Wampirem. Sylwan milczał, wpatrując się rozszerzonymi i pociemniałymi oczami w lepłą ciecz na swoich palcach, starając się nie oddychać. Dziewczyna wytarła sztylet o szatę i wsunęła go na powrót na jego miejsce.

– Dobrze. Teraz oprzyjcie otwarte dłonie na ziemi, tylko lewe.

Wampir z ulgą odwrócił wzrok od krwi i zrobił, o co prosiła, Człowiek również, tylko Elf pozostał nieruchomy, oddychając płytko i szybko. Elpis posłała mu pytające spojrzenie.

– Nie chcę amuletu – wykrztusił. Farys i Sylwan popatrzyli na niego, zmieszani. – Znam zasadę działania amuletu i nie chcę go – powtórzył. – Mam chyba prawo do wyboru, prawda? Czy nawet w tej sprawie wolną wolę też mi zabierzesz? – patrzył na czarodziejkę niemal wrogo.

Dziewczyna westchnęła i ujawszy go za nadgarstek, delikatnie próbowała oprzeć jego dłoń na ziemi, jednak stawiał opór, nie opuszczając wzroku.

– Jestem uczennicą Kaina od wieków, ale ani razu nie użyłam mocy ofiarowanego mi przez niego kamienia. Masz wybór, kapłanie. Nie przyjmując amuletu sam się go pozbawiasz. W obliczu wielkiego niebezpieczeństwa możesz skorzystać z jego ochrony, lub z niej zrezygnować. Odrzucając go teraz, sam pozbawiasz się wolnej woli, wybierając ucieczkę przed decyzją. Nie proszę cię o korzystanie z mocy mojej krwi, proszę o przyjęcie daru, z którym zrobisz, co zechcesz. Proszę...

Elf powoli, nadal lekko się opierając, pozwolił poprowadzić swoją dłoń w dół i oprzeć ją na trawie przed jego ugiętymi kolanami. Elpis spojrzała w niebieskie oczy z wdzięcznością i ulgą, po czym podniosła diament i ucałowała go, dziękując za obietnicę opieki, z której ona nie zdecydowała się nigdy skorzystać. Klejnot zdawał się wypełniony światłem, jak wtedy, gdy patrzyła w niego pierwszy raz. Zamknęła go w okaleczonej dłoni, czując jak krew wnika w niego, zaczynając go zmieniać i również oparła przed sobą rękę z nim w środku. Czowała ciepło w miejscu rozcięcia, tam, gdzie jeszcze przed chwilą odczuwała ból. Zamknęła oczy.

– Poproście Ziemię, która jest waszą i moją matką, o objęcie nas opieką – powiedziała powoli i śpiewnie. – Przysięgnijcie jej w zamian, nie mi, ale wielkiemu i potężnemu żywiołowi, który jest w każdym z nas, że nauki, które wam przekażę, nie użyjecie w niesłusznym i nikczemnym celu. Módlcie się o czystość waszych serc i dusz.

Elf kątem oka dostrzegł, jak Człowiek i Wampir wykonują jej polecenie, westchnął zrezygnowany i również przymknął oczy. Poczuł, jak pod jego dłonią formuje się twardy, podłużny kształt, ciepły i wibrujący i jak krew dziewczyny wnika w formujący się właśnie amulet. Nie podobało mu się to i nie chciał tego, odrzucał użycie mocy przepelnionego krwią kamienia zarówno teraz jak i w dalszej perspektywie, jeśli taka istniała dla któregośkolwiek z nich. Nie potrafił jednak nie poddać się dziwnej mocy, która rodziła się w nim i która witała

pojawienie się opiekuńczego klejnotu z wdzięcznością i radością. Jeśli miałby jakoś nazwać to, co się działo między nim a czarodziejką, określiłby to jako powolne przywiązywanie, wiedział, że z dwójką jego towarzyszy dzieje się dokładnie to samo. Gorący wiatr zawirował wokół nich, zmuszając liście do szalonego tańca, do utworzenia obracającego się kręgu, w którego wnętrzu znajdowali się oni.

I nagle wszystko się skończyło. Z całej gamy odczuć pozostało tylko delikatne pulsowanie kamienia w jego dłoni. Niepewnie otworzył oczy, ale nie śmiał oderwać ręki od ziemi. Dziewczyna, nadal z przymkniętymi powiekami, szeptała coś bezgłośnie, po czym zamykając wśród palców nowopowstały klejnot, przycisnęła rękę z nim do serca. Dopiero wtedy spojrzała na nich. Po chwili wahania poszedł za jej przykładem, podobnie jak Sylwan i Farys.

Czarodziejka rozchyliła palce, ukazując połyskujący na nienaruszonej dłoni, jakby to nie ona przed chwilą krwawiła, owalny czarny kształt, w którym tańczyły czerwone refleksy, zmieniające położenie przy każdym ruchu kamienia. Zmarszczyła brwi, zaskoczona. Matka Ziemia trochę wszystko skomplikowała, ofiarując jej właśnie opal, potężny i kontrowersyjny kamień magów i czarnoksiężników, tych największych i najniebezpieczniejszych. Ona z pewnością była gotowa przyjąć właśnie taki klejnot, ale czy byli na to gotowi oni?

Amulet Elfa był kształtu wydłużonego trójkąta, czarno-błękitno-złocisty boulder, rzadka odmiana opalu. Człowiek otrzymał okrągły opal kryształowy, o przeplatających się barwach fioletu i złota, z połyskującą w samym sercu kamienia szarą chmurą, Wampir delikatny i przejrzysty biały kamień, z zatopionymi w nim drobinkami zieleni i błękitu. To powinno być trudne, ale nie wiedzieć czemu wydawało jej się proste i logiczne. Trzej różni uczniowie i trzy magiczne amulety, takie same, bo odpowiadające nauczycielowi, a jednak różne, szanujące odrębność każdego z nich. Elfka wiedziała, że dziwnym zrzędzeniem losu, wkraczając na zakazaną i niebezpieczną ścieżkę, naruszając zasady i usiłując sprzeciwić się prorocत्वu, postąpiła w jedyny możliwy i w pewnym sensie słuszny sposób. W niepojęty dla niej samej sposób miała prawo tak właśnie wybrać, nie liczyło się to, że Kain, Pistis, czy nawet wszechmocny i potężny Bóg sądzili inaczej.

\*\*\*\*

Starzec odprowadzał wzrokiem odchodzącego w las szarego Wilka, rozważając słowa, które od niego usłyszał. Więc dokonała wyboru i nie zważając na jego konsekwencje, jakie by się nie okazały, poszła za głosem serca, jak czyniła zawsze, wtedy, wcześniej, zanim stała się jego wychowanką i mieszkanką Warowni. Czarnoksiężnik przysiadł na jednym z kamieni i wyjął spod płaszcza oprawiony w złoto diament. Klejnot pulsował, a światło, które go przepełniało, zdawało się lśnić bardziej niż zwykle, to mogło oznaczać tylko jedno – jego część, przekazana przed stuleciami w naszyjnik czarodziejki, powróciła. Czyli Elpis poprosiła już o własny kamień, a Ziemia zaakceptowała jej prośbę. Pokręcił głową, zaprzeczając, jakby ten gest mógł cokolwiek zmienić i poczuł, jak przez całe jego ciało przechodzi mimowolne drżenie.

Od początku była krnąbrna i uparta, zawsze stawiała na swoim, nie pytając o zdanie i nie dbając o przyszłość. Długo nad nią pracował i wydawało mu się, że oto nadszedł odpowiedni moment, że jest dość silna i opanowana, by rozpocząć najważniejszą misję. Potrzebował kilku zaledwie dni od jej rozpoczęcia, by zrozumieć, że nigdy nie byłaby gotowa. Wymagał zbyt wiele, postępował zbyt szybko, jak wtedy, gdy zostawił ją samą na noc w Dolinie Jęku, a to, co miało służyć rozbudzeniu mocy, skończyło się katastrofą, jednak teraz, kiedy miała swój własny kamień, nie mógł jej już powstrzymać.

Wspomnienie fatalnego rozpoczęcia jej nauk przywołało przed oczy starca obraz dnia, który ową pamiętną dla nich obu noc poprzedzał.

Siedział jak teraz przed wejściem do Warowni, młodszy i potężniejszy, a na niebie



zawieszono było słońce, spalające ziemię na popiół, rozpalone do białości. Poczł, że się zbliża, zanim ją zobaczył, bosa dziewczyna z rozpuszczonymi czarnymi włosami, sięgającymi niemal kolan, w tamtej chwili mokrymi i oplatającymi ciało niczym pajęczyna, jakby Elfka dopiero co wynurzyła się z wodospadu, zmoczone ubranie parowało w skwarze południa. Patrzyła na niego z determinacją, niemal wrogo, spod wpeł przymkniętych powiek. Była inna niż teraz, bardziej dzika i drapieżna, jak polująca pantera.

– Nauczysz mnie, jak rzucić Klątwe – nie pytała ani nie prosiła, stawiała żądanie. – A ja pod tym warunkiem złożę przysięgę adepta, jestem gotowa, by to zrobić.

Czarnoksiężnik podniósł na nią zaskoczona oczy.

– Dziecinko, twój ból cię niszczy, a zemsta...

– Nie waz się mi mówić, co mam zrobić z moim bólem i moją zemstą! – przerwała mu gwałtownie. – Tylko one mi pozostały i uczynię z nimi, co zechcę.

Mężczyzna, którego włosy nie były jeszcze wtedy siwe, ledwie zdążyły pojawić się w nich pojedyncze srebrne nitki, chwilę patrzył na nią ze smutkiem, po czy zrezygnowany sięgnął ręką do paska i wydobył ostry nóż. Podszedł do dziewczyny i bez słowa ujął ją za rękę, ale ona cofnęła ją ze wściekłością.

– Nie potrzebują amuletu. Jestem dość silna, by obyć się bez niego, jestem silniejsza od ciebie, a kiedy nauczysz mnie, jak kontrolować moc i jak rzucać Klątwy, nie będę już potrzebowała nikogo i niczego.

– Nie potrzebujesz go – zgodził się. – To ja muszę mieć dowód na to, że jesteś bezpieczna i że w każdej chwili możesz z jego siły czerpać. Zrozum mnie, proszę.

Przez moment mierzyli się wzrokiem, aż to ona niechętnie ustąpiła.

– Dobrze. Przyjmę go więc od ciebie tylko po to, by oddać ci go w nienaruszonym stanie, nigdy nie użyję mocy kamienia, prędzej zginę, jeśli ktoś będzie w stanie mnie zabić.

Kiedy klejnot wchłonał już całą ofiarowaną mu krew pustelnika i przybrał swój własny kształt, Elfka ledwie rzuciła na niego okiem, uśmiechając się z pogardą.

– Diament, jakżeby inaczej... Niezwyciężony i świetlany... – wypowiedziała te słowa w taki sposób, jakby były największą obelgą. – A jednak okazałeś się słaby i zawiodłeś, głupcze...

\*\*\*\*

– Więc właściwie... – zawahała się na moment, ale prędko odzyskała pewność siebie. – Właściwie zaczniemy od końca, od miejsca, w którym powinnam zakończyć podstawy waszej nauki. Nie ma sensu was okłamywać, zresztą Pistis wie, że trening nie przebiega prawidłowo. Prawda jest taka, że wszystko powinno wyglądać inaczej, mam obowiązek wprowadzić was w ten nowy dla was świat możliwie najłagodniej i unikając zbędnego dramatyzmu, ale... cóż, nie ma na to czasu, więc ograniczę wstęp do niezbędnego minimum, a zaraz potem rzucę was na głęboką wodę i zobaczę, jak sobie poradzicie.

Człowiek i Wampir wymienili niepewne spojrzenia, Farys musnął niby przypadkiem szlachetny kamień zawieszony na srebrzystym łańcuszku, który czarodziejka utkała dla niego podobnie jak dla pozostałej dwójki, splatając ze sobą świetliste nitki i błyskawice, biorące początek gdzieś wewnątrz jej serca, a materializujące się w opuszkach palców. Ten drobny gest nie uszedł uwadze Elfki.

– Schowaj go proszę pod koszulę, opal, jeśli zbyt długo ogląda światło słoneczne, ciemnieje i jego magia się zmienia. Zresztą amulet powinien dotykać nagiego ciała, nie jest to warunek konieczny do aktywowania i utrzymania jego mocy, ale wy dopiero zaczynacie, więc to znacznie wam wszystko ułatwi. Dobrze. Zaczniemy właśnie od amuletów. Na razie nosić będziecie mój klejnot, o własny będziecie mieli prawo poprosić, kiedy zdecydujecie się wziąć

adepta pod opiekę. Więc opal... To trudny kamień, kontrowersyjny, może być niezwykle niebezpieczny dla tego, kto go nosi oraz dla jego otoczenia, legenda mówi, że stworzony został przez magię ostatniego jednorożca, który oczywiście zginął z ręki istoty ludzkiej. Ścigany, ranny i osaczony, kiedy nie miał już siły dalej uciekać, a nie potrafił rzucić zaklęcia, by się obronić, jednorożec przyrzekł łowcy, że podaruje mu najpiękniejszy klejnot, kamień, którego wartość tylko w niewielkim stopniu dorównywać będzie wielkiej mocy, którą w nim zamknie. Człowiek przystał na ten układ i wtedy wspaniałe zwierzę, upuszczając kilka kropli własnej krwi i ofiarowując ją ziemi, wyczarowało cudowny czarny klejnot, zmieniający barwę przy każdej zmianie światła, kamień, w którym zaklęte były wszelkie wzory i odcienie. Łowca przyjął dar z wdzięcznością, zabrał go i odszedł do domu, pozostawiając jednorożca w spokoju.

– Magia kamienia okazała się jednak zgubna zarówno dla niego, jak i dla mitycznego konia. Ma on bowiem moc odsłaniania prawdy, ukazywania istoty rzeczy, uczuć i pragnień osoby, która go nosi, moc wzmacniania tego, co w niej najsilniejsze, a łowca nie był dobrym Człowiekiem. Zebrał Ludzi z wioski, wspólnie odszukali jednorożca i zażądali od niego więcej kamieni, ale on widząc, jak łowca jest odmieniony, odmówił. Wtedy wieśniacy pojmali i zabili zwierzę, krojąc ziemię jego krwią i dostali to, czego chcieli.

– Nie wiem, czy legenda jest prawdziwa, ale wiem, że właściwości opalu potwierdziło wielu czarnoksiężników. Jeśli będziecie go nosić, a w waszych sercach będzie światło i dobro, zwielokrotni to, jeśli już teraz macie jakiś szczególny dar, jeśli miewaliście kiedykolwiek wizje lub prorocze sny, powrócą z większą siłą, jeśli kochacie, miłość się zwiększy, ale jeśli nienawidzicie lub wasze dusze są pełne mroku... nienawiść was zniszczy, a mrok pochłonie.

– Opale okazały się zbyt niebezpieczne dla zwyczajnych Ludzi, którzy rzadko kiedy mają czyste dusze i nieskalane serca. Ziemia ukryła je więc przed ich wzrokiem i strzeże ich magii. Oddaje kamień tylko czarnoksiężnikom, tym którzy przysięgną używać jego mocy do walki przeciw Ciemności i do celów, jakie pochwaląby duch ostatniego jednorożca – ochrona osób, na których wam zależy, walka o zachowanie ideałów, które nadają waszemu życiu sens... Nie rozumiem, dlaczego otrzymałam właśnie opal, może to wskazówka, a może przestroga. Nie muszę tego rozumieć, żadne z nas nie musi. Nasze zadanie polega na tym, by nie sprofanować jego mocy. Nauczę was kilku zasad i przekażę wzorce, ale pamiętajcie, że kamień jest i pozostaje martwy, to moja krew sprawiła, że stał się amuletem, ale to wy jesteście tymi, którzy ofiarują mu życie i nadadzą temu życiu kształt. To od was zależy, co może zostać wzmocnione, wszystko zależy od was.

– Między czarnoksiężnikiem a jego uczniem istnieje coś na kształt braterstwa dusz, dziwna magiczna więź, która połączy nas już na zawsze, a amulet jest zewnętrznym, namacalnym dowodem tej więzi. Pozwoli mi usłyszeć wasze wołanie, kiedy będziecie zbyt słabi, by wołać lub kiedy będziecie zbyt daleko, bym mogła usłyszeć wasze myśli. Pozwoli wam też, użyty w sytuacji krytycznej, wygenerować ilość mocy, której nigdy nie byłibyście w stanie przywołać bez niego i ocalić życie.

– Ale ceną za to może być śmierć mistrza, jeśli pobierze się zbyt wiele mocy – przerwał jej szorstki i zimny głos Elfa. – A prawdopodobieństwo, że młody i niedoświadczony adept, którego brak doświadczenia dodatkowo wzmocni strach, nie będzie potrafił znaleźć umiaru, staje się niemal pewnością. Dlatego zakazane jest posiadanie więcej niż jednego ucznia. Jeśli jeden uczeń jest w stanie zabić swojego nauczyciela, co stanie się, jeśli troje na raz użyje mocy amuletu?

Farys i Sylwan patrzyli na przemian na czarodziejkę i na swojego towarzysza, tak odmiennego teraz i dalekiego, w jakiś sposób odgradzającego się od nich wszystkich.

– Masz rację i jednocześnie jej nie masz, kapłanie – powiedziała dziewczyna spokojnie. –

Chcę, żebyście zrozumieli i zapamiętali, że otacza nas wiele, niemal nieskończenie wiele źródeł, z których można czerpać moc. Własne wnętrze jest ostatnim, którego użyjecie, jeśli wszystkie inne zawiodą. Gdyby czarnoksiężnik czerpał z samego siebie, bardzo prędko doprowadziłby do autodestrukcji, wyniszczenia organizmu, w konsekwencji do śmierci. Głównie pobierać moc będziecie z żywiołu, który wykazuje z wami największe powinowactwo, nie wiem jeszcze, jaki to będzie żywioł dla którego z was, ale dowiemy się tego wkrótce.

– Ja jestem wodą – zaczął Pistis niechętnie. – Człowiek jest ogniem, a Wampir powietrzem.

Dziewczyna spojrzała na niego z zaskoczeniem.

– Skąd wiesz?

– Po prostu wiem, zawsze wiedziałem – nie wydawał się tym zachwycony. – Potrafię zobaczyć aurę innej istoty, każdej, niekoniecznie nawet żywej, niektóre góry czy jaskinie też ją posiadają. To nie jest tak, że spadło to na mnie nagle, dzięki amuletowi, taki jestem i nie potrafię nic na to poradzić.

– W porządku – odpowiedziała powoli, jakby musiała w jakiś szczególny sposób przyswoić sobie jego słowa i nagle podjęła decyzję. – Kim więc jestem ja?

Elf rzucił jej zaskoczone spojrzenie, ale po chwili opanował się i wzruszył ramionami.

– Nie potrafię odpowiedzieć, pani.

– Co widzisz? – zachęciła go łagodnie.

Nie spuszczał z niej wzroku, jakby nie dowierzając, że go o to pyta i że rzeczywiście chce, by Człowiek i Wampir usłyszeli prawdę. W końcu, kiedy już wydawało się im, że pytanie pozostanie bez odpowiedzi, młody kapłan podjął wyzwanie.

– Widzę powietrze, – cedził słowa powoli, jakby sprawiało mu to trudność lub ból – zatrute oparami czarnego ognia, który nigdy nie zgaśnie, choć wciąż obmywany jest przez chcącą go zglądzić wodę. Ale to nie ma znaczenia, bo woda i tak dawno zamieniła się w krew. Wszystko przesłania czerwona mgła, a obraz jest niespójny i pełen pęknięć.

Po jego słowach zapadła cisza, tak czysta, że aż namacalna i przybierająca niemalże materialną postać. Tylko nietoperze nic sobie z ich przerażenia nie robiły, krzycząc i furkocząc małymi błoniastymi skrzydłami jak oszalałe. Wampir, który też odbierał drgania powietrza, wywołane ich chaotycznym pędem, pomyślał, że nietoperze oszalały i że obłąd już zawsze kojarzyć mu się będzie z aksamitnym szelestem ich lotu. Człowiek wstrzymał oddech i w milczeniu obserwował rozgrywającą się przed nim scenę. Pistis wciąż nie opuścił wzroku, patrząc wprost w zielone oczy dziewczyny, zwrócony do niej tylko połową ciała, oparty plecami o pień drzewa, z rękami założonymi na piersiach, jakby odgradzony od reszty drużyny niewidzialną tarczą. Elfka nie odpowiedziała od razu, uśmiechnęła się smutno i pokiwała głową, rozważając coś i dochodząc do wniosków, które wcale jej się nie podobały.

– Imponujące – przyznała w końcu. – Dobrze więc. Chyba zasługujecie na wyjaśnienie. Są we mnie wszystkie trzy żywioły, mogę czerpać z każdego z nich w równym stopniu, wystarczy najmniejszy nawet kontakt z którymkolwiek z nich, bym mogła generować moc. Ogień płonie we wnętrzu Ziemi, wystarczy, że dotykam ziemi, bym mogła po niego sięgnąć, wszelkie źródła wody też w niej biorą swój początek, a nawet jeśli oderwę się od ziemi, nadal otaczało będzie mnie powietrze. Poza żywiołami widziałeś krew, która przesłaniała wszystko. W jakiś niepojęty sposób właśnie krew jest głównym źródłem, z którego mogę czerpać, daje mi najwięcej siły, ale na krótki czas, tym bardziej, że staram się nie naruszać swojej własnej, lecz korzystać z pożywienia. To za pomocą magii krwi udało mi się zniewolić Leviathana. Władza nad wodą, ogniem i powietrzem jest wypracowana latami ciężkich ćwiczeń, nie miałam jej w sobie, to Kain pomógł mi je opanować. Teraz mogę korzystać z ich magii tak łatwo, jakby

każdy z nich był moim opiekuńczym żywiołem. Was tego nie nauczę, nie ma na to czasu, skupimy się na najważniejszym źródle, który zobaczył w was Pistis, choć nawet tego możecie nie opanować w wystarczającym stopniu, nie wiem. Dlatego proszę was, nie bójcie zwracać się do mnie za pośrednictwem amuletów, dając je wam złożyłam obietnicę, której jestem w stanie dotrzymać i pozostać żywa, właśnie dlatego, że jestem inna, dziwna, nazwijcie to jak chcecie. Proszę was o to, byście zapamiętali, że ta odmienność, choć niezrozumiała i niepokojąca, może ocalić nas wszystkich. Nauczę was wszystkiego, czego zdołam, mam tylko jeden warunek, wymagam zaufania i szczerości. Dlatego – ton głosu dziewczyny zniżył się lekko, a jej słowa zabrzmiały chłodno i niemal groźnie – jeśli pytam, czy kiedykolwiek praktykowaliście magię, wymagam odpowiedzi zgodnej z prawdą, czy to jasne?

Nie patrzyła na Pistisa, a mimo to zauważyła, jak kapłan drgnął, zaskoczony, a do jej uszu doszedł odgłos przyspieszającego serca i szmer krążącej teraz prędeej krwi. Mimo, że Elf pozostał nieruchomy, reakcja jego ciała zdradziła go w stopniu dostatecznym, by upewnić ją, że ma rację. W tej samej chwili zrozumiała, że musi być ostrożna, bo aż do tej pory jej uwadze uchodziło coś bardzo ważnego, dotyczącego jednego z jej towarzyszy. Wysłała pojedynczy impuls, delikatnie sięgając w głąb jego umysłu. Poczula, jak szamocze się i próbuje uwolnić, ale zanurzyła się wystarczająco głęboko, był jej. Ostatnim realnym wspomnieniem, które oboje zabrali ze sobą na drugą stronę, były rozszerzające się w przerażeniu źrenice oczu Elfa, kiedy dotarło do niego, co naprawdę dziewczyna chce zrobić.

Potem świat wokół nich pękł na dwoje, błękit nieba roztrzaskał się w miliony maleńkich ostrych kawałeczków, które spadły na nich z głuchym trzaskiem, drzewa wokół zamarły w bezruchu i pociemniały. Pistis obrzucił nowy, dziwny świat bezradnym spojrzeniem, niepewny, czy to jego czy jej moc odcisnęła na nim takie makabryczne piętno. Otworzył usta, jakby chcąc coś powiedzieć, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk i zrobił niepewny kok w jej stronę, jednocześnie wyczuwając czyjaś obecność za plecami. Odwrócił się gwałtownie, odruchowo naciągając strzałę na cięciwę łuku i celując jej grot w niewidzialnego nieprzyjaciela. Nie dostrzegł jednak nikogo, oprócz gęstniejącej i kłębiącej się wokół nich mgły, a jego łuk wygiął się dziwnie pod naciskiem dłoni i zadrżał, by po chwili roztrzaskać się tak, jak przed sekundami niebo, raniąc do krwi palce, zaciskające się w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą było solidne, realne drewno, a pozostały małe, ostre odłamki.

Elf spojrział zszokowany na własną krew, a potem na czarodziejkę, w niej szukając ratunku i jednocześnie rozumiejąc, że go od niej nie otrzyma. Dziewczyna stała nieco dalej niż przed chwilą, wyprostowana i nieporuszona, obserwująca go spod przymkniętych lekko powiek, nie usiłowała podejść do niego, przemówić ani w jakikolwiek inny sposób przerwać tego, co się z nimi działo, patrzyła uważnie i bez emocji. Zauważył, że z kiru mgły po obu stronach Elfki formują się dwie postacie, jedna w długiej, prostej sukni, z włosami skręcającymi się w ciężkie, grube pierścienie wijącymi się wzdłuż pleców, druga, wyższa, nieco mniej wyraźna. Twarzy jeszcze nie widział. Nie chciał zobaczyć twarzy. Nie chciał czekać, aż mgła uformuje kolejne widmo osoby, która już nigdy nie powróci. Chciał krzyknąć, ale krzyk nie potrafił opuścić gardła. Zjawy zdawały się falować w powietrzu, poruszać się, sunąć ku niemu, ogarnęła go panika. Zadziałał instynktownie, krzyżując nadgarstki przed swoją twarzą, za wszelką cenę usiłując ochronić się przed czymś, co się zbliżało; zamknął oczy.

Kiedy je otworzył, zdał sobie sprawę z tego, że nieświadomie wyrzucił w ich stronę coś w rodzaju tarczy, która odepchnęła ich od niego na odległość tak dużą, że gdyby nie bystre oczy jego rasy, nie widziałyby czarodziejki, a świat wokół naznaczyły kolejne pęknięcia i blizny. Boże, nie... To znowu się działo, wróciło... Nie panował nad niczym, ale nie potrafił też tego powstrzymać. Jego podświadomość skuliła się jak kopnięte zwierzę i zakrywając głowę rękoma,

przeżona kiwała się w przód i w tył, podczas gdy jego ciało było jak sparaliżowane, niezdolne do jakiegokolwiek ruchu. *Nie... Nie... Błagam...* Zdał sobie sprawę, że nigdzie nie widzi Farysa i Sylwana, a ziemia pod jego stopami miejscami też pękła, formując jakby zapadające się do środka krater. *Nie... Błagam, nie.*

Czarodziejka patrzyła na niego bez słowa, niemalże niknąc w oddali. Zostawał sam, sam w ciemności...

Usłyszał własny krzyk i zrozumiał, że wciąż potrafi krzyczeć, ale nie ustami, tylko całym sobą, gdzieś ze środka, z samej głębi swojej istoty, a kiedy już zaczął, nie potrafił przestać. I wtedy usłyszał coś jeszcze. Głos pełen spokoju i opanowania, kojący i przynoszący ulgę, powtarzający jego imię. Uchwycił się tego głosu z całych sił, jakby był jedynym stałym punktem w oceanie szaleństwa, jedynym dźwiękiem żywej istoty wśród rozdzierających jęków pękającego na jego oczach świata, jedynym ratunkiem przed nim samym, niezamierzonym sprawcą tego wszystkiego. Z całych sił, rozpaczliwie walczył, by tego kruchej oparcia nie stracić.

*Pistisie... Pistisie, rozumiem. Już rozumiem, słyszysz? Nie odpychaj mnie, proszę. Pomogę ci posklejać to wszystko z powrotem. Potrafię ci pomóc i zrobię to. Tylko mnie nie blokuj...*

Chciał jej odpowiedzieć, ale nie potrafił. Mimo ogromnego wysiłku nie potrafił nawet utrzymać jej obrazu w całości i uchronić go przed pęknięciami. Mógł tylko, z osaczającym go coraz bardziej i bardziej uczuciem paniki obserwować, jak jej sylwetka rozsypuje się i blednie.

*Pistis! Głos w jego głowie stał się silniejszy. Weź się w garść. Potrafisz to naprawić i zrobisz to. Patrz na mnie, przywołaj mnie, wezwij do siebie, nie mogę pomóc, jeśli tego nie zrobisz.*

Chciał odpowiedzieć, ze wszystkich sił usiłował wydobyć z obolałego gardła jakikolwiek słyszalny dźwięk, ale nie potrafił. Zrozumienie przyszło po dłuższym czasie. Nie mógł mówić, nie w tej dziwacznej karykaturze rzeczywistości, tak samo jak nie mógł krzyczeć, jedyne co było mu wolno, to sięgnąć do swojego wnętrza i prosić bez słów. Zamknął oczy i rozpaczliwie chwycił się tego, co w nim jeszcze zostało, przesyłając jej pierwszą myśl, która nie chciała go opuścić, dręcząc niczym natrętny owad i wciąż na nowo rozszarpując stare rany.

*To już się kiedyś stało.*

Odpowiedź przyszła natychmiast, właśnie taka, jakiej się podświadomie spodziewał.

*Wiem.*

Coś w nim odetchnęło z ulgą, dopiero teraz uderzył w niego z całą mocą jego własny strach przed wypowiedzeniem tego na głos, kiedy jednak zaczął, nie potrafił się powstrzymać.

*Nie chciałem nikogo skrzywdzić.*

*Wiem* – powtórzyła i chociaż nie mogło to niczego zmienić, jednak w pewien sposób sprawiało, że spokój powracał. Nagle wokół nich rozległ się głuchy trzask, niczym odgłos dalekiej burzy, to ziemia zapadała się w miejscach, gdzie rosły drzewa, grzebiąc powalone olbrzymy aż po wiekowe konary. Elf skulił się w sobie.

*Nie kontroluję tego, nie panuję nad niczym, to dzieje się jakby poza mną, nie potrafię przestać.*

*Ja mam moc, by to zatrzymać. Musisz mnie tylko przywołać, rozumiesz? Na tym właśnie polega wybór, jaki macie. Nie ocalę cię, jeśli nie poprosisz. Jestem potężna, Pistis. Wierzę, że potrafię nas ocalić i zrobię wszystko, żeby tak się stało.*

Rozumiał, co powinien teraz zrobić. Jego lewa dłoń niemal bez udziału świadomości uniosła się w kierunku zawieszzonego na szyi amuletu, jednak zamarła w pół ruchu. Czuł pustkę, to było właściwe słowo na określenie tego, co objęło we władanie jego wnętrze. Nie miał nadziei, gdzieś w głębi własnej istoty czuł, że ocalenie teraz będzie tylko przystankiem i odwlekaniem tego, co musi nastąpić, w czym on nie chce brać udziału. Nie chce tak bardzo, że jest gotów na

wiele, by do tego nie doszło. Czy rezygnacja z prośby o pomoc wystarczy, by to wszystko zakończyło się tu i teraz? Czy może raczej będzie tak, jak ostatnim razem, oni zginą, a on pozostanie, przerażony i rozdarty tym, co uczynił? W połowie uniesiona ręka powoli wróciła w dół, a ziemia pod jego stopami zadrżała, przyjmując w swoje wnętrze szczątki łuku i niemalże zakrywając połyskującą srebrzyście strzałę, którą upuścił.

Działając instynktownie, przykucnął i podniósł ją z piasku. Ostrożnie obracając ją w palcach, przyglądał się jej jak zahipnotyzowany, a coś w jego wnętrzu mówiło mu, że oto jest odpowiedź. Nie posiadając łuku, nie można wypuścić strzały w powietrze. Nawet mając go, nikt nie potrafi skierować grotu we własne serce i wystrzelić. Jednak ostre żelazo jest w stanie skaleczyć, trzeba tylko wiedzieć, gdzie mierzyć. Jego ruchy były automatyczne, nie myśląc, powoli, z precyzją obrysował nim siatkę żył na nadgarstku. Właśnie tak należało postąpić, ich zadanie było złe, oni byli źli, jeśli świat miał zachować swój dawny kształt, dla nich nie było już miejsca.

Widok krwi go zdziwił, bo nie odczuwał bólu. Z dziwnym odrętwieniem, które nadeszło nie wiadomo skąd, było mu dobrze. Nie analizował tego, co robi, nie myśląc o zimnym ostrzu, coraz bardziej zagłębiającym się w ciało. Przez szum wokół usiłował przebić się jakiś głos i mimo że nie chciał go do siebie dopuścić, on nie ustępował. Krzyczał jego imię i nakazywał myśleć o Elfce, schodzącej powoli z kamiennych schodów, w białej sukni wyszywanej diamencikami, połyskującymi przy każdym jej ruchu, z wilgotnymi czarnymi włosami, skręcającymi się na końcach w pierścionki i zakrywającymi całe jej plecy. Zielone oczy dziewczyny wpatrywały się w niego, rozprasząc i sprawiając, że ręka, w której trzymał strzałę drżała coraz bardziej, tak bardzo, że nie był jej w stanie dłużej utrzymać. W końcu odrzucił ją daleko, poddając się. Dopiero wtedy krzyk się skończył i zapanowała cisza.

Oddychał płytko, niezdolny do tego, by na nią spojrzeć. Jego własne okaleczone przedramię wydało mu się czymś nierealnym, szokującym, jakby dopiero teraz je dostrzegł. Jednak było coś gorszego. Bał się patrzeć, bo niemal paraliżował go lęk, że w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stała dziewczyna, nie zobaczy nikogo. Upłynęło może kilka sekund, które dla niego zdawały się być niczym wieczność.

*Ta misja... Nie wiesz o niej wszystkiego, pani.*

Wysłał przekaz i ze wzrokiem wbitym w ziemię przed własnymi stopami czekał na odpowiedź.

*Więc mi powiedz.*

Przymknął oczy i odetchnął z ulgą. Wcale nie chciał zginąć, nie chciał, by ona zginęła, działał z nim coś dziwnego, coś czego nie pojmował i nie potrafił nad tym zapanować.

*Nie chcę już nikogo krzywdzić. Nie chcę zabijać. Elf nie powinien odbierać życia.*

To było jedyne, na co się zdobył. Nie chciał mówić o niewykonalnym zadaniu, jakie przed nimi postawiono, nie o tym, czego wymagał od nich brodaty czarnoksiężnik i nie o cenie, jaką muszą za jego wykonanie zapłacić. Nie o tym, kim się staną, kiedy dojdą do kresu drogi i nie o tym, że powrotna droga nie istnieje. Czarodziejka odczytała jednak jego myśli.

Prażone ogniem i podlewane krwią ziarno wyda plon śmierci, rozpaczy i zniszczenia.  
Czas nadchodzi...

Szklany tron i Pan o siedmiu tysiącach smutnych oczu...

*Dlaczego?...*

Wśród ciszy nocy szaleje żywioł ognia... Wśród płomieni opętana wojowniczką na tańczącym na tylnych kopytach czarnym koniu... Czerwone ślepie szarej wśród wszechobecnej bieli Wilczycy... Miękkie łapy pozostawiają delikatny ślad na śniegu, gdy zwierzę biegnie, by rozerwać kłami szyję ofiary...

*Dlaczego, mamó?... Dlaczego?...*

Ciemne oczy Farysa patrzące z pretensją i lękiem...

*Zatrzenie... Na to mnie tu przysłano... Dlaczego przeklęta, szalona, biedna szamanko  
zrodzona w Otchłani?...*

Twarz wojownika broczy krwią, zasze bielmem oczy patrzą martwo, blade, zakrwawione  
usta poruszają się słabo, odsłaniając czerwone od krwi zęby...

*Dlaczego?... Dlaczego?...*

Nagle obraz się zmienia...

Młody, a zarazem niewyobrażalnie stary mężczyzna patrzy na szalejącą na karym koniu  
wojowniczkę z zachwytem i pożądaniem...

*Ucieknijmy na zawsze tak, by nikt nas nigdy nie odnalazł. Znajdźmy zapomnienie w ogniu,  
który oczyszcza...*

Czerwona pochodnia płonie w wyciągniętej ku niebu dłoni wojowniczkii... W jej dłoni. To  
ona trzyma tę pochodnię. To ona jest wojowniczką. Nie, nie wojowniczką... Pochodnią...  
Płomieniem... Obląkana wojowniczką i płomień są jednym. Płomień szaleje wokół niej i w jej  
wnętrzu. Płomień ją trawi.

Widmowy koń potknął się na stercie ziemi, na której tańczy. Kamienie z chrzęstem  
usypują mu się spod kopyt. Nie... Nie kamienie. Kości... Szalona czarownica tańczy na stercie  
ludzkich kości i czaszek...

W oddali płacz dziecka. Dziecko na przybranym w kwiaty ołtarzu, nagie, nad nim ręka ze  
wzniesionym w górę nożem...

*Nie chcę na to patrzeć! Nie chcę! Nie będę!*

*Dobrze, moja pani, ucieknijmy w płomienie...*

Wyciągnięta ręka błaga o dotyk. Wojowniczką wyciąga dłoń...

Nagle wszystko się urwało... Trzaski pękającego świata ucichły, wizja znikła, Elf poczuł,  
jak świadomość wszystkiego wraca do niego niepohamowanym strumieniem. Znajdował się  
wśród ciemności, ale nie był sam. Obok stała Elpis, mógł jej dotknąć, jeśli tylko by tego  
zaprzagnął, patrzyła z powagą i jakąś dziwną determinacją na twarzy. Kapłan zauważył ze  
zdziwieniem, że kurczowo ściska w dłoni błękitno-szary opał, zawieszony na srebrnym  
łańcuszku na jego szyi, choć nie pamiętał, by po niego sięgnął. Świat, który przed chwilą  
rozsypany był na jego oczach, powoli przybierał dawny kształt, odłamki nieba wracały niczym  
dziecięca układanka na swoje miejsca, coraz szybciej i szybciej. Ziemia uwalniała drzewa, które  
dopiero co pogrzebała w swoim wnętrzu. Zielone oczy dziewczyny kryły w sobie obietnicę,  
której on pragnął zawierzyć.

– Moim obowiązkiem jako nauczyciela jest chronić swoich uczniów – powiedziała  
głośno. – Sama przyjąłem na siebie to zobowiązanie i dotrzymam go. To się nie stanie, rozumiesz  
mnie, Pistisie? Nie dopuszczę do tego. Pomogę ci, ocalę nas wszystkich. Będę twoją klatką,  
potrafię utrzymać magię w ryzach, nie pozwolę jej tobą zawładnąć, nauczę cię, jak ją  
kontrolować. To się więcej nie powtórzy, nie pozwolę ci nikogo skrzywdzić.

– Jednak na końcu drogi na nas wszystkich czeka śmierć – z ulgą zauważył, że znów  
potrafi wydobyć z gardła głos. – Przepowiednia...

– Nie dbam o przepowiednię! – przerwała mu – To się nie stanie, rozumiesz?

Na dzień jej spojrzenia nie było fałszu. Mówiła szczerze i z głębi serca. Była inna niż  
wtedy, gdy opuszczali wspólnie wnętrza Warowni, teraz zależało jej na czymś, chciała o coś  
walczyć. Jej aura też się zmieniała, była inna z godziny na godzinę, coś dziwnego działo się  
z nimi wszystkimi. Coś, czego nie przewidziało żadne z nich, coś, co być może przeoczył Kain,  
co pozwalało mieć nadzieję. Czuł, jak w nim samym nieśmiało kiełkuje właśnie to uczucie, na

które jeszcze do niedawna sobie nie pozwalał. Nadzieja...

– Przyrzekasz? – amulet we wnętrzu jego dłoni pulsował ciepłem, dając niema odpowiedź.

Dziewczyna zamknęła dłoń Elfa wraz z opalem w swoich własnych, uśmiechnęła się łagodnie i skinęła głową.

– Przyrzekam.

Poddał się i pozwolił się jej prowadzić poprzez świat, który wracał do swojej normalnej formy, aż i oni wrócili i znaleźli się na powrót na polanie, na której rozpoczęli rozmowę o amuletach i o ich mocy. Człowiek i Wampir stali na swoich dawnych miejscach, jakby od ich zniknięcia nie minęło nawet kilka sekund, choć jemu wydawało się, że to była wieczność. Dziewczyna puściła jego rękę, nie przestając patrzeć prosto w jego oczy.

*Milcz o tym, co się stało* – nakazywało mu to spojrzenie. *Jeszcze nie teraz, oni nic nie zauważyli, więc milcz.*

Usłuchał bez podejmowania jakiegokolwiek dyskusji. Ufał jej, w końcu ufał tak naprawdę, jak powinien na samym początku drogi. Uśmiechnęła się do niego, po czym odwróciła się i odeszła kilka kroków, a kapłan z zaskoczeniem zauważył, że brakuje mu ciepła jej drobnych dłoni.

– Zaczniemy zaraz po śniadaniu – usłyszał jej głos, zwracający się do Człowieka i Wampira. – Zjedzcie coś, proszę. Wyrwałam was ze snu w środku nocy, a wkrótce nadejdzie południe. Ja muszę na chwilę się oddalić, ale wrócę wkrótce. Pistis – ponownie poczuł na sobie spojrzenie zielonych oczu – zechcesz mi towarzyszyć?

Doskonale zdawał sobie sprawę, że teraz będzie musiał powiedzieć jej wszystko o tym, co się stało wiele lat temu, zanim zamknął się w zimnych, bezpiecznych murach klasztoru, które opuścił po tym, jak nadeszło wezwanie, wysłane przez starego czarnoksiężnika, jednak teraz był już gotów by wyznać prawdę. Skinął głową i udając, że nie zauważa czujnych spojrzeń Sylwana i Farysa ruszył za czarodziejką.



# Rozdział 5

## Wspomnienia i wizja raju

Obcasy czarnych kozaków dziewczyny pozostawiały ślady na bieli śniegu, najpierw wyraźne, z czasem coraz bardziej przypominające niewielkie zasypane jamki. W miarę jak oddalali się od polany, krajobraz zmieniał się, przechodząc z niemalże jesiennego na prawdziwie zimowy. Z nieba prószyły maleńkie, mokre płatki, wciąż dokładając do płaszcza otulającego ziemię pod ich stopami i konary drzew nad nimi nowe, czyste warstwy, jakby daleki Bóg chciał zakryć przed ich oczami całą ciemność i grozę, czającą się w lesie, jakby usiłował wynagrodzić wszystkim zamieszkującym Ziemię rasom niemal nie ustępujące teraz ciemności i podkreślić delikatny blask promieni słońca, które właśnie przebijało się nieśmiało zza chmur. Wschodziło, choć powinno być już wysoko na niebie, by dać światu choć namiastkę ciepła, mimo wszystko. Efekt tych starań był jednakże przygnębiający, żadne ze zwierząt, które powinny teraz rodzić i wychowywać dzieci, nie dało się oszukać i jeśli nie musiało, nie opuszczało względnie ciepłej nory czy jaskini. Las zdawał się wymarły i opuszczony, jedynie nieliczne nietoperze przelatywały tu i ówdzie bez celu, z wielokrotnością jeszcze poczucie zagubienia i dezorientując, ich przede wszystkim nie powinno tu być, były zbyt wrażliwe i nie miały prawa przeżyć panujących na zewnątrz temperatur.

Dwójka Elfów szła przez las w milczeniu, dziewczyna pierwsza, nie zatrzymując się i nie odwracając, kapłan kilka kroków za nią, wpatrując się w jej sylwetkę i oczekując na pytania, które nie zostały jeszcze postawione, ale musiały paść. Im dłużej szli, tym bardziej czuł się zagubiony i tym mniej gotowy na rozmowę, której nie należało już odwlekać.

Krok czarodziejki był pewny, jakby doskonale zdawała sobie sprawę, dokąd zmierza. Jej kozaki, długie do kolan, w połowie tonęły w śniegu, ramiona i plecy okryła płaszczem w kolorze ciemnego fioletu, na którym rozsypały się czarne włosy. Pistis obserwował taniec słonecznych refleksów odbijających się w licznych maleńkich płateczkach, które na tych włosach osiadły, starając się o niczym nie myśleć, nie chciał, by odczytała teraz z jego głowy cokolwiek. Z chęcią wyciągnąłby rękę i przesunął palcami po lśniących czarnych puklach, ale nie śmiał dotknąć jej bez pozwolenia ani o pozwolenie prosić. Zdawał się na nią, prowadziła go przez pograżony w półmroku las, a on nie pytał o nic i nie przerywał milczenia jej i otaczających ich drzew. Jedynymi dźwiękami był chrzęst śniegu, rozgarnianego i ugniatanego ich butami oraz szelest osiadających na ziemi, drzewach i na ich ubraniach śniegowych drobinek.

Mimo, iż nie odczuwał zimna, zadrzał i otulił się szczelniej swoim płaszczem. Doskonale zdawał sobie sprawę, że to tylko czysta autosugestia, ich lekkie szaty nie mogły ochronić przed mrozem, panoszącym się wokół, a jednak mróz nie miał do nich przystępu, bo czar Elfki nie dopuszczał go wystarczająco blisko. Tak jednak powinno być – wokół panowała zima, więc powinni marznąć, a jego udręczony umysł miał dosyć dziwnych i niesamowitych zdarzeń i odczuć, rozpaczliwie pragnął normalności. Czy jednak cokolwiek jeszcze w jego życiu może być normalne i zwyczajne? Do niedawna myślał, że odnalazł normalność w zimnych murach i odosobnieniu, w rytmie powtarzających się niemal identycznych dni, kiedy wszystkie następujące po sobie czynności są z góry narzucone i zaplanowane, w poście, milczeniu i modlitwach, w które nie wierzył. Z chwilą, kiedy nadeszło wezwanie starca zamieszkującego Siedliszczce, w dniu, kiedy dali mu konia i rozkazali odjechać, kiedy zrozumiał, że nawet wśród surowych reguł, dających złudne poczucie bezpieczeństwa i kontroli, wśród zakurzonych ksiąg

i zaśnieżonych świeczników nie ma dla niego miejsca, pojęcie normalności przestało istnieć.

– Rozumiem wasze rozgoryczenie – drgnął na dźwięk jej cichego głosu. – Wyrwano was z domów lub z miejsc, które nazywaliście domem i dano do ręki broń. Nikt nie pytał was o zdanie, ja też nie mam prawa, bo tak musi być i koniec, prawda?

Nie odwróciła się w jego stronę i nie zatrzymała, w jej głosie wyraźnie wyczuwał z trudem hamowaną wściekłość i rozgoryczenie. Jeszcze przed kilkoma chwilami była spokojna i opanowana, teraz wydawała się ostatkiem sił powstrzymywać zbliżający się wybuch. Kapłan opuścił głowę i zagryzł wargi. Niemal wpadł na czarodziejkę, która w tej samej chwili znieruchomiała, uświadomiwszy sobie, że znów to robi. Odpowiada na nie zadane pytania. Gwałtownie odwróciła się w jego stronę, napotykając zaskoczone spojrzenie błękitnych oczu. Dzielili ich centymetry, taka bliskość teraz, kiedy znajdowali się w środku puszczy, daleko od swoich towarzyszy, wydawała się niestosowna; nagle Pistis zdał sobie sprawę, że pragnie dwóch wykluczających się rzeczy jednocześnie – zrobić jeszcze krok do przodu i sprawić, że odległość całkiem przestanie istnieć, albo odwrócić się i uciec. Przełknął ślinę, nie zrobił nic. Zastanawiał się, czy Elfka odbiera jego odczucia, ale nawet jeśli tak było, nie dała tego po sobie poznać. Wciągnęła mocniej w płuca zapach zakrzepłej już prawie krwi, dopiero teraz przypominając sobie o jego pokiereszowanej ręce. Trzymał ją lekko uniesioną przed sobą, podtrzymując ją drugą, zdrową dłonią. Nadal krew sączyła się delikatnie z głębszych rozcięć, zabarwiając szkarłatem palce uciskające ranę. Elf, zauważywszy na co patrzy jego towarzyszka, opuścił szybko rękę, jakby chcąc zabrać sprzed jej oczu dowód własnej głupoty, której się teraz wstydził, ale dziewczyna przytrzymała ją w swoich rękach, nie pozwalając na to. Kapłan wstrzymał oddech.

– Przepraszam – powiedziała cicho, nadal nie odrywając oczu od czerwieni. – Robię to nieświadomie, to niezależne ode mnie. Zresztą... bardzo głośno myślałeś, Pistisie. Wiesz, ja... doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że nie chcecie kroczyć tą ścieżką. Idziecie ze mną z poczuciem beznadziei i nie oczekując zwycięstwa. Ty odrzucasz świadomość posiadania mocy, ale ona nie zrezygnuje z ciebie, więc nie mogę pozwolić ci o niej zapomnieć, choć wiem, że tego właśnie pragniesz.

Chwilę trwało, zanim kapłan zrozumiał, że czarodziejka mówi o myślach poświęconych klasztorowi. Znów zaczął oddychać, czując wdzięczność za to, że nie wspomniała słowem o tych późniejszych. Dziewczyna podniosła na niego oczy i uśmiechnęła się smutno, puszczać jego rękę, pozostawiając dziwne mrowienie w miejscach, których dotykały przed chwilą jej palce. Zanim zdążył odwzajemnić uśmiech, odwróciła się i znów zaczęła iść przed siebie. Pistis ostrożnie przesunął palcami po cienkich, zasklepionych już całkiem rankach, które jeszcze przed chwilą krwawiły i sprawiały ból, a teraz niemalże znikły, po czym ruszył za nią. Wokół nich prószył śnieg, płatki stały się grube i suche, łagodnie falując w powietrzu opadały na ziemię, by stać się częścią otulającej ją pierzyny. Wysoko, ponad ich głowami rozległ się pojedynczy krzyk puszczyka, jedyny ślad obecności tu żywej istoty, na jaki natrafili odkąd opuścili Farysa i Sylwana.

– Magia nie musi być zła – usłyszał śpiwny szept, dziewczyna przeszła teraz na język Elfów. – Magia nie jest zła. Nie jest też dobra. To wielka, potężna moc a jej oblicze uzależnione jest od siły i czystości serca osoby, która jest jej powiernikiem. Potrafi niszczyć i budować, dawać i odbierać życie, ale ta moc jest w twoich rękach. Boisz się, że nie sprostasz, że nie udźwigniesz jej ciężaru, że zniszczy cię i pokona, ale ona nie chce cię zniszczyć. Nic od ciebie nie chce. Jest darem ofiarowanym bezinteresownie i na zawsze, twoim dzieckiem, które musisz oswoić i wychować, jego ostateczny, dojrzały kształt zależy od ciebie. A ja jestem tu po to, by ci pomóc. Porzuć więc lęk przed samym sobą i nienawiść do samego siebie, bo nie jesteś zły, a od

teraz nie jesteś też sam, i pozwól mi to zrobić.

Dziewczyna znów zatrzymała się, opierając dłoń na gałęzi drzewa, patrząc na coś, co znajdowało się przed nimi. Zrównał się z nią i zobaczył miejsce, które w niczym nie różniło się od reszty lasu, jednak nie wiadomo dlaczego stanowiło cel ich wędrówki. Elfka oparła się plecami o pień drzewa, którego dotykała i znów spojrzała na niego. Niedaleko od nich, jakby trącony jakąś niewidzialną ręką, spadł śnieg, otulający jedno z na wpół umarłych drzew. To samotny puszczyk, ten sam, którego wcześniej słyszeli, poderwał się bezszelestnie do lotu. Oboje odprowadzili go spojrzeniem.

– Ta cisza jest przerażająca, prawda?

– Przyznaję, las wydaje się wymarły i opuszczony, a to zasiewa ziarno strachu i wątplenia w moim sercu i sprawia, że niczego nie jestem już pewien – odpowiedział, również używając języka ich plemienia. – Zupełnie, jakby świat już się skończył, a my bylibyśmy jedynymi, którzy przetrwali zagładę, jednak to wcale nie czyni nas błogosławionymi, przeciwnie – nakłada na nas przekleństwo.

Dziewczyna oderwała wzrok od ginącej wśród szarości nieba sylwetki ptaka i spojrzała na niego.

– Ufasz mi? – spytała po prostu.

Znów stanęła mu przed oczami wizja postaci w długiej do ziemi, białej sukni z kaskadą czerni, rozlewającą się po jej plecach niczym drugi tren oraz zielonych oczu, wpatrzonych w samo wnętrze jego duszy.

– Ufam – odpowiedział bez wahania w głosie.

Czarodziejka uśmiechnęła się i musnęła dłonią jego pierś, w miejscu, gdzie pod koszulą znajdował się zawieszony na srebrnym łańcuszku, połyskujący błękitem i szarością amulet.

– Więc zaufaj, że nie dopuszczę do tego i niech to będzie jedynym, czego możesz być pewnym, nawet jeśli w nic innego nie chcesz teraz wierzyć. Wiesz, ten las... – przez chwilę szukała słów – nie zawsze był taki smutny i straszny. Chcę ci coś pokazać, Pistis, dlatego cię tu przyprowadziłam. Podzielić się z tobą wspomnieniem, którego nie zna nawet Kain i którego nie potrafił mi odebrać, bo go przed nim ukryłam. Jednak najpierw muszę dowiedzieć się kilku rzeczy – poczuła, jak Elf mimo woli, niemal nieświadomie wycofuje się i zamyka przed nią. – Proszę cię o szczerą, bo to bardzo ważne, byśmy oboje zrozumieli siebie nawzajem. Spójrz na mnie, proszę. Nigdy nie miałeś nauczyciela, prawda?

Potrząsnęła głową, Elfka słyszała przyspieszone bicie jego serca i niemal czuła jego ból.

– Ale mimo to praktykowałeś... Podejmowałeś próby...

Kapłan odwrócił wzrok i odszedł kilka nerwowych kroków. Stał teraz zwrócony do niej plecami, podłamany i pokonany, jakby na jego barkach spoczywał zbyt wielki ciężar. W końcu westchnął i podejmując decyzję, znów na nią spojrzał.

– Musisz wiedzieć, że dla Elfa to żaden zaszczyt – zaczął szybko, chcąc się tego pozbyć jak najprędzej. – Magia i czary nie są dla nas, nie chcemy ich. Magia wykorzystuje siłę żywiołów, a my nie pragniemy ich dla siebie, to my od nich pochodzimy, są dla nas święte, zmusić ogień, by był nam posłuszny i na nasz rozkaz spopielił zwłoki naszego wroga, to tak, jakby zaprząć do pługa skrzydlate jednorożce i popędzając je batami, kazać im orać pole. Kiedy więc stało się jasne, że potrafię rzeczy, których nie potrafią inni, moja rodzina chciała, bym o tym zapomniał. Ale ja byłem młody i głupi, straszliwie głupi... Byłem tym zafascynowany, mogłem nakazać wodzie w rzece, by się zatrzymała lub odwróciła swój bieg, jeśli chciałem, w zimie kwitły kwiaty lub wykluwały się motyle. Cóż z tego, że niemal natychmiast umierały z zimna a kwiaty zasypiały na zawsze? Czułem się lepszy od innych, większy, rozumiesz?

Skinęła głową.

– Głupie sztuczki, których jak najprędzej staramy się oduczyć młodych adeptów – przyznała cicho – Potrzebowałeś mentora, który by cię poprowadził. Jednak nikt taki się nie pojawił...

– Nie – przyznał. – Nie było nikogo takiego. Za to im bardziej nakazywali mi wstydzić się tego, co we mnie żyło, tym bardziej mnie to fascynowało. Tym więcej czasu spędzałem, studiując księgi, do których nie powinienem był w ogóle zaglądać. Ćwiczyłem i pielęgnowałem w sobie to przekleństwo, ale w tajemnicy, przynajmniej do pewnego dnia, który wszystko zmienił. Pierwsza mój sekret odkryła moja młodsza siostra, mała dziewczynka jeszcze... Dla niej to było piękne i zachwycające, chciała zobaczyć więcej, więc... Chciałem się po prostu popisać, zaimponować jej, wszystko wymknęło się spod kontroli. Potem zjawili się matka z ojcem, byli wściekli, to chyba najważniejsze słowo, a ja nie potrafiłem się już powstrzymać... – głos mu się załamał, przez chwilę dziewczynie wydawało się, że nic już nie powie, ale kapłan opanował się prędzej, niż się tego spodziewała. – Uwolniłem coś przerażającego, coś co sprawiło, że niebo spadło i wiatr uciął, tak jak teraz. A potem było tylko gorzej, a ja nie panowałem już nad niczym... Ziemia pękła, otworzyła się, a oni... – spojrzał na nią kątem oka, jakby nie śmiejąc patrzeć tak naprawdę.

– Więc to oni teraz przyszli – nie musiała pytać, wiedziała to. – Zjawy, które cię przeraziły.

Elf skinął głową.

– Często do mnie kiedyś wracali, dopiero klasztor to powstrzymał. Myślałem, że oszaleję, właściwie to oszalałem, kiedy wydawało się, że wreszcie zapanowałem nad tym obłędem, nadeszło wezwanie Kaina. Wiesz wtedy, po tym jak... zamordowałem moją rodzinę, sam chciałem umrzeć, tylko że...

– Tylko, że jesteś Elfem i to wszystko komplikuje – dokończyła za niego. – Bo życie jest święte, bo żaden Elf nie ma prawa go sobie odebrać. Zresztą tam, po drugiej stronie nie znalazłbyś ukojenia nawet na chwilę, bo oni zawsze byłiby z tobą.

Znów skinął głową, wdzięczny, że rozumie i że nie musi jej tego tłumaczyć. Rzucił jej krótkie spojrzenie, niepewny czy nie zobaczy w jej oczach pogardy i oskarżenia, ale był tam tylko smutek i łagodna akceptacja. Znów wbił wzrok w czubki własnych butów.

– Nie mogłem zostać w wiosce – podjął przerwana opowieść. – Nie mogłem i nie chciałem. Jeden z przyjaciół mojego ojca zabrał mnie do klasztoru i oddał pod opiekę kapłanów. Tam również nie chciałem zostać, ale nie widziałem dla siebie miejsca, gdzie mógłbym być, zresztą właściwie było mi wszystko jedno. Zaakceptowałem surowe, absurdalne nieraz reguły bez sprzeciwu i zadawania pytań, powtarzałem trudne modlitwy, nie starając się ich zrozumieć i przystrajałem ołtarze Boga, w którego nie wierzyłem. Z biegiem lat okazało się, że to działa, oni przestali przychodzić. Byłem gotowy spędzić tak całe życie, czekając aż moje dni się dopełnią, bez nadziei i bez wiary, ale wtedy przyszedł on. Starzec w szarym płaszczu, podróżujący piechotą. Pojawił się i odszedł, ale zaraz potem mistrz zakonu dał mi konia i wskazówki, jak odnaleźć drogę wśród skał i rozkazał odjechać. Nie chciałem odchodzić, byłem przerażony, próbowałem wrócić, ale święte płomienie, strzegące wejścia do klasztoru, nie wpuściły mnie z powrotem, więc ruszyłem w drogę po to tylko, by odnaleźć ciebie i by to przekleństwo znów się o mnie upomniało.

– Magia nie jest w swojej istocie zła – powtórzyła dziewczyna z naciskiem. – Ale młody adept nie ma szans samodzielnie jej opanować. Z góry skazuje się na porażkę też tego, komu nakazuje się stłumić w sobie zdolności, bo magia nie rezygnuje nigdy. W niczym co się stało, nie ma twojej winy. Nie ma – dodała ostrzej, widząc, że kapłan odwraca głowę i wycofuje się. – Pistisie, spójrz na mnie.

Niechętnie podniósł na nią oczy, wystraszone i nieobecne, niczym oczy zaszczutego zwierzęcia. Podeszła do niego i nie zważając na to, że odsunął się o krok położyła mu opuszki palców obu dłoni na powiekach. Znieruchomiał, a jakaś dziwna niemoc odebrała mu zdolność do reakcji.

– Pani, co mi robisz? – zapytał cicho, walcząc z drżeniem głosu.

– Zaufaj – odpowiedziała po prostu.

Mimo, że nie oderwał stóp od ziemi, wydawało mu się, że zmierza w jakimś kierunku, najpierw powoli, potem coraz prędzej i w duszy dziękował za jej drobne dłonie, nie pozwalające mu patrzeć, bo czuł, nie wiedząc czemu, że jeśli by spojrzał, przeraziłby się jeszcze bardziej. Nie śmiał pytać o nic więcej. W końcu wszystko się urwało i poczuł ciepło, usłyszał śpiew ptaków, tak dziwny teraz i zaskakujący, że chwilę zajęło mu odgadnięcie, cóż to właściwie takiego. Poczul zapach trawy, wody i kwiatów konwalii. Dłonie czarodziejki nadal nie pozwalały mu nic zobaczyć.

– Obiecałam ci wspomnienie, to które do tej pory było tylko moje – szeptała, pochylona tuż nad jego uchem, czuł jej oddech na policzku. – Wiesz kiedyś, bardzo dawno temu, ja też przeklinałam dar, jaki w sobie noszę, nienawidząc go, nienawidząc siebie i mimo, że Kain był tuż obok, nie godziłam się przyjąć jego nauk i pomocy. Jednak nie chciałam z magii rezygnować, była mi potrzebna, nie pamiętam już dlaczego, pragnęłam właściwie jednej jej strony, tej najczarniejszej. Robiłam więc wszystko, by samodzielnie się jej nauczyć. Odnosząc porażkę za porażką. Chciałam przebudzić w sobie umiejętność rzucania Klątwy – młodzieniec zadrżał, ale nie śmiał jej przerwać. – Nie potrafię już podać powodów, dla których to było dla mnie najważniejsze na świecie, ale wiem jedno, kiedyś było jedynym, co się dla mnie liczyło. Przepelniała mnie nienawiść, żal i rozgoryczenie, byłam potężna, ale jednocześnie słaba i żalosna. Proszę, pamiętaj, że to tylko wspomnienie i że nie możesz nic zrobić i niczego zmienić, ale jednocześnie staraj się być cicho i nie ruszać, one są niezwykle i czasem, kiedy tu wracam, mam wrażenie, że potrafią mnie zobaczyć.

Powoli odjęła dłonie od jego twarzy, najpierw zobaczył jej oczy, na dzień tego spojrzenia kryła się jakaś radosna zagadka, niepewnie odwzajemnił uśmiech. Odsunęła się, odsłaniając przed nim widok na polanę, na której z rzadka rosły drzewa, którą otaczał las, ten sam, w jakim stali jeszcze kilka chwil temu, ale znacznie młodszy. Niedaleko nich był staw, a na jego powierzchni kwitły żółte nenufary, blask księżyca spowijał ziemię srebrzystą poświatą, jednak nie pozwoliłby Człowiekowi rozpoznać ich koloru, ale oczy Elfa wychwytywały go bez trudu. Ze stawu pił wodę czysto biały koń, który zdawał się odbijać całym sobą światło księżyca, jakby blask przechodził przez niego i rozświetlał wodę, w której zanurzone były smukłe pęciny. Nie wyglądał jak zwyczajny koń, był smuklejszy, a jego ruchy miały w sobie o wiele więcej gracji, włosy na grzywie i ogonie, gęstsze i bardziej jedwabiste, delikatnie falowały w podmuchach wiatru, którego niemalże nie było. Zwierzę powoli podniosło łeb i spojrzało prosto na nich, kapłan wciągnął ze świstem powietrze, widząc srebrzysty róg osadzony na jego czole. Święty koń patrzył, a w granatowej czerni jego oczu zdawały się odbijać gwiazdy. Był piękny, Elf nigdy nie widział czegoś równie pięknego, magiczna mara utkana z promieni księżyca i mgieł, tak nierealna i ulotna, a jednak rzeczywista. Jednorożec potrząsnął głową, strząsając krople wody z pyska i powoli wy dostał się na brzeg. Zdawał się sunąć, ledwo dotykając ziemi kopytami, przez chwilę kapłan uwierzył, że naprawdę ich zobaczył i zmierza ku nim, ale prędko dotarło do niego, że oczy świetlistej istoty patrzą jakby przez nich, obserwując scenę poza nimi. Wspaniały rumak minął ich, niemalże ocierając się bokiem o kapłana, Pistis z trudem opanował chęć wyciągnięcia ręki i przekonania się, czy jest w stanie wyczuć dotykiem jego sierść.

Oboje odwrócili się w kierunku, w którym zmierzał jednorożec. Za nimi było całe stado,

kilkanaście mitycznych wierzchowców, jedno jasne niczym blask słońca, inne przyprószone srebrem, w większości dorosłe, jednak znajdowały się wśród nich też dwa źrebięta. Wszystkie skupione były na polanie porośniętej konwaliami, wokół ciemnego, podłużnego kształtu, leżącego na ziemi. Kapłan wyteżył oczy, starając się rozróżnić cokolwiek z niewyraźnego zarysu przedmiotu i zdał sobie sprawę, że to, co wziął za pagórek lub konar drzewa jest ciałem żywej istoty. Zobaczył długie niemal do kolan, splecione czarne włosy, zakrywające całą drobną sylwetkę niczym płaszcz i niemal krzyknął, nagle rozumiejąc.

Szybko odszukał wzrokiem stojącą obok niego czarodziejkę i z ulgą zdał sobie sprawę, że jest tu nadal, taka sama jak w chwili, w której do tego miejsca dotarli, mimo że to właśnie ona jest tą, nad którą pochylają się jednorożce. Istota leżąca wśród kwiatów wydawała się być słaba i krucha, skrzywdzona i nieszczęśliwa, tak różna od silnej i pewnej siebie dziewczyny, którą znał, ale ponad wszelką wątpliwość była nią. Leżała nieruchomo, otulona czarną pajęczyną splecionych pukli i rozrzuconą wokół, poszarpaną szatą, jednak oczy miała otwarte, po policzkach spływały jej łzy. Chwilę trwało, zanim Pistis zrozumiał, że srebrny odbłask na jej twarzy jest właśnie łzami, tak nedorzeczne i groteskowe było dla niego wyobrażenie Elpis płaczącej. Gdyby ktoś go teraz o to zapytał, nie potrafiłby nazwać tego, co czuł, niemal tego nie analizując, zrobił krok w jej stronę, ale prawdziwa czarodziejka, stojąca obok niego, schwyciła go za przedramię, unieruchamiając i zmuszając do zwrócenia się w jej stronę. Potrząsnęła przecząco głową i delikatnie, acz stanowczo przyciągnęła go do siebie.

– Nie masz żadnego wpływu na to, co się z nią stanie, nie możesz pomóc, nie zapominaj, że to wspomnienie, to już zaszło i przeminęło. A chociaż teraz nic na to nie wskazuje, to jest dobre wspomnienie, nie jesteś świadkiem śmierci i upadku, ale narodzin. Ja wtedy błędziłam w ciemności i nie widziałam nic poza mrokiem, który zakrywał moje oczy, to jest chwila, kiedy po raz pierwszy dostrzegłam światło. Po prostu patrz, a zrozumiesz.

Skinął głową, pokonując opór własnego ciała, które nie chciało go słuchać, a czarodziejka dopiero wtedy go puściła. Wyteżył wzrok, chłonąc całym sobą groteskowo nierealną scenę, która się przed nimi rozgrywała, jednocześnie po raz pierwszy uświadamiając sobie jak wiele lat przeżyła czarodziejka, która miała przeprowadzić go przez ten obcy i nieprzyjazny dla niego świat magicznych rytuałów i zaklęć. Jednorożce... Piękne, mityczne stworzenia, które wymarły tak dawno temu, że wielu zwątpiło już w to, że istniały kiedykolwiek.

Zwierzę, które zobaczyli jako pierwsze, trąciło pyskiem twarz dziewczyny, a ona skuliła się i uciekła spojrzeniem. Elf rozumiał jej zachowanie, choć nie potrafił powiedzieć, skąd zrozumienie pochodziło. Dziewczyna czuła się skalana i brudna, niegodna tego, by święta dla niej istota stała tak blisko, pochylała się nad nią i usiłowała nawiązać kontakt. Jednorożec nie ustępował, przesuwał delikatnymi, wilgotnymi chrapami po jej policzku i ramieniu. Chciała go odtrącić, ale nie potrafiła tak wysoko unieść drżącej ręki. Była słaba, bardzo słaba, coś straszliwie ją wyczerpało. Kapłan z przerażeniem zauważył, że to, co brał do tej pory za blask księżyca, odbijający się od czerni włosów, było w rzeczywistości jego blaskiem na szkarłacie krwi.

– Kto ośmielił się to zrobić, pani? – wyszeptał, nie odrywając oczu od sceny z przeszłości.

– Ja sama to sobie zrobiłam – odpowiedziała znów cicho. – Próbowałam samodzielnie opanować najbardziej dziką odmianę magii, jej najczarniejszą twarz.

Wiedział, o czym mówiła. Klątwa... Ostateczna i niezwykle rzadko używana broń najpotężniejszych magów i czarnoksiężników, obusieczny oręż, po który niemalże nikt nie ośmielił się sięgnąć.

Jednorożec tymczasem odszedł od dziewczyny i ruszył w kierunku rosnącego kilka metrów od nich krzewu głogu. Był tak blisko, że Elf rozróżniał poszczególne włoski i delikatną

siateczkę żył pod skórą mitycznego wierzchowca. Mimo irracjonalnej troski o dziewczynę, nie potrafił być obojętny na jego piękno. Szlachetne zwierzę niemalże zanurkowało między najeżone cierniami gałązki, płytko rozcinając skórę na szyi i piersi. Oddech Elfa przyspieszył, kiedy zaczynało nadchodzić zrozumienie niezwyklego zachowania jednorożca.

Obserwując go na powrót sunącego w kierunku czarodziejki, bezwiednie aż do bólu zaciskał dłonie w pięści. Pozostawiony sam sobie krzew zdawał się płakać, upstrzony tu i ówdzie krwawymi koralikami a leżąca wśród skał i konwalii Elfka drgnęła i wciągnęła w nozdrza powietrze, niczym zaintrygowany drapieżnik. Kiedy i ona pojęła, do czego to wszystko zmierza, jęknęła i usiłowała się odsunąć, ale inne jednorożce nie pozwoliły jej na to, zacieśniają krąg. Pierwsze zwierze nachyliło się nad nią, pozwalając kroplom szkarłatu powoli opadać na biel płatków kwiatów i szarość trawy. Dziewczyna starała się nie oddychać, ale jej usta automatycznie rozchyliły się, wciągając do płuc słodką woń i ukazując kły. Na jej twarzy malowała się rozpacz i udręka, ale powoli ustępowały czemuś trudnemu do określenia, w jej oczach narodziła się mroczna dzikość, a postawa skulonego, przerażonego zwierzęcia zaczęła coraz bardziej przypominać kota czającego się do skoku.

I wtedy to usłyszeli. Niezwykły dźwięk, którego nie dało się porównać do żadnego ze znanych im dźwięków, coś jakby pieśń, wydobywająca się jednocześnie z wielu gardeł. Piękna i chwytająca za serce, smutna a jednocześnie radosna, lament i gloryfikacja, modlitwa i dziękczynienie, wszystko razem zamknięte w formie chwytającej za serce i zawiązującej słowa w gardle melodii. Czarodziejka zastygła z szeroko otwartymi oczami, które powoli przybierały na powrót świadomy wyraz.

– One mówią, prawda? – wyszeptał kapłan, nagle rozumiejąc.

Elfka skinęła głową.

– Rozumiesz słowa, pani?

Ponownie wykonała ten sam gest, uśmiechając się do ruchomego obrazu, który wspólnie oglądali, a potem zaczęła mówić, nie zmieniając wyrazu twarzy.

– Magia nie musi być zła. Magia nie jest zła. Nie jest też dobra. To wielka i potężna moc, a jej oblicze uzależnione jest od siły i czystości serca osoby, która jest jej powiernikiem. Potrafi niszczyć i budować, dawać i odbierać życie, ale ta moc jest w twoich rękach, jest darem ofiarowanym bezinteresownie i na zawsze, twoim dzieckiem, które musisz oswoić i wychować, jego ostateczny, dojrzały kształt zależy od ciebie. Porzuć więc lęk przed samą sobą i nienawiść do samej siebie, bo nie jesteś zła, nie musisz być też sama – teraz Elfka patrzyła prosto na niego.

– To bardzo stary i trudny język. Nie da się go dosłownie przełożyć, w języku Ludzi, ani nawet Elfów nie ma słów, które oddałyby cały ładunek ciepła, troski i współczucia, jaki zawarły w tym jednorożce. Tak brzmi moje nieudolne tłumaczenie.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, aż do końca nie ucichła pieśń białych rumaków, potem znów przenieśli wzrok na Elpis z przeszłości. Dzikość i drapieżna płynność ruchów zniknęły bez śladu. Póleżała teraz wsparta na łokciu, głowę miała spuszczoną, czarne sploty zasłaniały jej twarz gęstym welonem, a towarzysz obecnej Elpis doskonale wiedział, że kryją się za nimi łzy.

Okaleczony jednorożec podszedł do niej tak blisko, że mogłaby wyciągniętą dłonią przesunąć po jego pęczynie. Chwilę stał, po czym miękko legł na trawie obok, nachylając w jej stronę krwawiące ranki na szyi. Dziewczyna powoli podniosła głowę, patrząc z niedowierzaniem w ogromne, granatowe oczy, w których odbijał się blask gwiazd. Koń zarżał zachęcająco i jeszcze troszkę się zbliżył. Elfka przesunęła dłonią po jego szyi, niepewnie i z czcią. Głębiej wciągnęła w płuca zapach krwi, którą jej ręka rozciągnęła na bieli włosów. Zwierzę potrząsnęło głową, ponaglać ją. Nagle jakby podejmując decyzję, czarodziejka przysunęła się do niego,

mogła niemalże musnąć ustami czerwone koraliki zawieszona na bieli. Zbliżyła się jeszcze bardziej i obejmując ramionami szyję wierzchowca, przerzuciła jedną nogę przez jego grzbiet.

Mistyczna istota podźwignęła się, unosząc ze sobą bezwładne ciało Elfki. Dziewczyna leżała na jej grzbiecie, z jedną ręką podkurzoną pod własnym ciałem i drugą, zwieszającą się bez siły obok. Policzek przytuliła do krwawych ranek na szyi jednoroźca i przymknęła oczy. Zwierzę odwróciło się od nich i zaczęło niespiesznie się oddalać, ostrożnie stawiając kopyta, dwa inne zrównały się z nim i szły bok w bok, asekurując spoczywającą na jedwabistej bieli postać, nieruchomą teraz i spokojną, jakby pogrążoną we śnie. Kolejno do pochodu dołączały pozostałe jednoroźce, niemalże płynąc wśród kwiatów konwalii i kiru zawieszonych nad ziemią mgły, aż ostatni zniknął wśród drzew, pozostawiając ich samych na polanie skąpanej w blasku księżyca, wśród zapachu konwalii i nenufarów.

\*\*\*\*

Ostatni jednorożec, ten o którym nam opowiadałaś, umarł tak dawno temu, że wielu twierdzi, że to tylko legenda, że te istoty nigdy nie stąpały po ziemi, a tymczasem ty... dosiadałaś jednoroźca – Pistis przerwał przedłużające się milczenie, patrząc na swoją towarzyszkę z niepokojem i czymś, co mogła nazwać równie dobrze lękiem jak i fascynacją.

Elfka z trudem powstrzymała w sobie śmiech.

– Dosiadałaś to chyba jednak zbyt mocno powiedziane, jeśli przypomnisz sobie, jak to dokładnie wyglądało. Ale tak – spoważniała. – To bardzo stare wspomnienie. Wtedy byłam inna, potężna bardziej niż w tej chwili, ale jednocześnie rozchwiana i niepewna, wielka i żalosna. Obraz zdruzgotanej osoby, przygniecionej ciężarem własnej mocy, której nie rozumie i nad którą nie potrafi zapanować, łamiącej się pod ciężarem potęgi rodzącej się w jej wnętrzu i co dzień od nowa rozrywającej każdą komórkę jej ciała na strzępy, nie potrafiąc znaleźć ujścia, może stać się twoją przyszłością. Nadejdzie dzień, kiedy upadniesz tak nisko, że będziesz potrzebował świętego i nieugiętego przewodnika, który cię podźwignie. Taki los czeka każdego adepta, pozbawionego mistrza, magia bez nauczyciela jest jak dziki lew w klatce z pajęczyny, nie masz szans nad nią zapanować, pożre cię i wypluje. Ale ja nie dopuszczę do tego, byś kiedykolwiek upadł. Żaden z was nie musi przez to przechodzić.

Elf milczał, nie wiedząc, co powinien teraz powiedzieć.

– Kain nie mógł zabrać mi tego wspomnienia, bo nie wiedział o nim, ale zabrał wcześniejsze – dziewczyna podjęła przerwana opowieść. – Nie wiedziałam, dlaczego znalazłam się tu w takim stanie. Myślałam, że może to jakaś nieudana walka, albo... sama nie wiem. Kiedyś wpadłam we wściekłość, że on tyle przede mną ukrywa, przecież to moje życie, moje plany, myśli i wspomnienia powinny należeć do mnie i tylko do mnie. Prosił, bym zaufała, że to dla mojego dobra i obiecał, że kiedy nadejdzie czas, poznam wszystko i wtedy sama zadecyduję, jak ocenić jego postępowanie. Ja właśnie... zaczynam sobie przypominać. Wszystko zaczęło się, kiedy odkryłam w was moc.

– Najwyraźniej kiedyś tak bardzo zależało mi na opanowaniu Klątwy, że samodzielnie usiłowałam ją rzucić. Wiesz... jednorożec... On zabrał mnie do Warowni, zaraz na drugi dzień złożyłam ślubowanie Kainowi, zgodziłam się pobierać u niego nauki. Miałam jeden warunek. Chciałam zacząć właśnie od Klątwy, to było szalone, jednak zgodził się i przeszliśmy przez to wiele razy. Nie pamiętam tylko, kogo tak bardzo nienawidziłam i dlaczego...

Kapłan podniósł na nią zaskoczone oczy.

– Potrafisz rzucić Klątwę, pani?

– Tak – odpowiedziała po prostu.

– Ale przecież... To ostateczna broń. Ceną jest własne życie, nie można więc z niej skorzystać, a potem żyć dalej, by komuś o tym opowiedzieć. Kiedy rozpoczynasz proces,



wkraczasz na ścieżkę, z której nie ma powrotu, więc... Klątwy nie można się tak po prostu nauczyć.

Dziewczyna obdarzyła go trochę rozbawionym, a trochę podejrzliwym spojrzeniem.

– Czyżby? Dziwnie brzmią takie słowa w ustach kogoś, komu właśnie udało się zatrzymać w połowie drogi.

Widziała, jak twarz kapłana się zmienia, jak w jego oczach pojawia się najpierw zaskoczenie, a zaraz potem cień zrozumienia, który natychmiast gaśnie, zastąpiony przez wyparcie i w tej samej chwili dotarło do niej, że popełniła błąd, nie biorąc pod uwagę tej jedynej, najmniej prawdopodobnej możliwości.

– Pistis, spokojnie – w jego oczach nie było jeszcze zgody, ale widziała w nich rodzącą się panikę – Powiedz mi, proszę, co twoim zdaniem przed chwilą zrobiłeś? Wtedy, gdy niebo zaczęło pękać i spadło na nas?

Potrząsnął gwałtownie głową. Kasztanowe włosy rozsypały mu się po ramionach.

– Co twoim zdaniem to było? – powtórzyła łagodniej.

– Tarcza... – wykrztusił. – Próbowalaś zajrzeć do mojej głowy, oni przyszli, ja...

Usiłowałem się zasłonić.

Dziewczyna zmarszczyła brwi, nie przestając uważnie badać go wzrokiem. Nie mógł udawać, jego przetrach był szczery, a to mogło wiele rzeczy skomplikować jeszcze bardziej. Miała więc przed sobą czarownika o jeszcze większym potencjale i o wiele mniejszych umiejętnościach niż się spodziewała.

– To nie była obrona – zaczęła ostrożnie. – To był atak. Bardzo silny zresztą. Więc... zrobiłeś to nieświadomie?

Powoli pokiwał głową, nie patrząc na nią, odszedł kilka kroków i przykucnął, ukrywając twarz w dłoniach. Nie przerywała tej chwili słabości, przyznając mu do niej pełne prawo i czekając spokojnie na jej koniec. Nie trwało to długo, wkrótce niebieskie oczy kapłana znów na nią spojrzęły, z lękiem, ale też z determinacją.

– Więc to była Klątwa?

– Tak – przyznała. – Próbowaleś nałożyć na mnie Klątwę. To po to była ta krew – wskazała na jego zagojone przedramię, poznaczone delikatnymi bliznami. – Żeby przekleństwo mogło nabrać mocy, rzeczywiście trzeba poświęcić własne życie. Ale to nie jest takie proste, jak się wydaje. Musisz zmusić osobę, którą chcesz przekląć, by cię zabiła. Tylko, że sztuczka z upuszczeniem krwi podziałałaby być może na Sylwana, jest jeszcze wystarczająco młody, jednak już bardzo opanowany, więc nie wiem. Mi nie możesz w ten sposób zagrozić.

Wyraz twarzy Pistisa nie zmienił się, nie wykonał on też żadnego ruchu.

– Klątwa karmi się nienawiścią – powiedział powoli. – Ale ja nie żywię względem ciebie tego uczucia, pani. Świadomie nigdy nie wyrządziłbym ci krzywdy.

– Wiem – zgodziła się. – Jednak jest w tobie wiele negatywnych uczuć w odniesieniu do tego, co twoim zdaniem musisz zrobić. Nienawidzisz tej misji i roli, jaką w niej dla siebie przeczuwasz, nie chcesz walczyć, podczas gdy zostałeś zmuszony do walki z całym światem, nawet jeśli nie musisz jej rozpoczynać w tej chwili, wierzysz, że ją rozpoczniesz, bo tak mówi przepowiednia. To, co nakazuje ci zrobić Kain, droga którą prowadzę cię ja, magia... To wszystko jest dla ciebie wstrętne. Nienawidzisz... – urwała, widząc ponury błysk w jego oczach.

– Nienawidzę Kaina – dokończyła za nią głosem całkiem pozbawionym emocji. – Masz rację. Nie potrafię określić, dlaczego, jednak czuję nienawiść.

Zaskoczył ją. Nie spodziewała się takiej odpowiedzi. Chociaż, jeśli się nad tym zastanowić, wszystko tworzyło w miarę logiczną całość. Jej mistrz był zapalnikiem wszystkich zdarzeń, które nastąpiły po opuszczeniu jego pustelni i tych, które jeszcze na nich czekały.

Skinęła głową, akceptując taką odpowiedź.

– Powiedziałaś, że będziesz moją klatką. Potrafisz to zawsze zatrzymać? – teraz, kiedy choć częściowo znalazł wytłumaczenie, zdawał się być o wiele bardziej opanowany.

– Jest sposób. To co zobaczyłeś przed chwilą jest tym, co powstrzymuje mnie i pozwala mi zawrócić znad krawędzi. Wspomnienie – wyjaśniła. – Coś ważniejszego dla ciebie od twojego bólu, nienawiści i strachu, coś co powoduje, że nie chcesz odchodzić, coś do czego wracasz. Nie chcę niszczyć świata, po którym chodziły kiedyś święte jednorożce, nie chcę w taki sposób użyć magii, o której opowiadał mi jeden z nich. Dziwi cię to, prawda? – zapytała, błędnie interpretując zaskoczenie i zmieszanie na twarzy Elfa. – Jednak to wystarczy. Ty też nie zatrzymałeś się dlatego, że cię o to prosiłam, rzeczywistość nie ma w takiej chwili znaczenia, liczy się tylko to, co nosisz w sercu i czy okaże się to wystarczająco silne. Ja tylko pomogłam ci odnaleźć drogę, ale to ty zdecydowałaś się nią powrócić. Jeśli to wszystko stało się nieświadomie, to oznacza, że jesteś lepszy ode mnie w kontrolowaniu swoich emocji, ja bardzo długo się uczyłam i szukałam wystarczająco ważnego punktu zaczepienia.

Odwrócił wzrok, bo przed oczami znów stanęła mu postać w długiej białej sukni u szczytu kamiennych schodów. Odkasznął.

– A ty oczywiście wiesz, co mnie zawróciło, prawda? – nie śmiał na nią spojrzeć.

– Nie – zaprzeczyła, a z serca kapłana z głuchym łoskotem stoczył się ciężki głaz. – To jest tylko twoje. Dlatego Kain nie potrafi go zobaczyć i mi odebrać, dopóki nie zechcesz sam z kimś się nim podzielić, jak ja dziś, pozostanie twoje.

Podniósł głowę, napotykać zaciekawione spojrzenie zielonych oczu. Wstał i podszedł do krzewu głogu, tego na którym jednorożec pozostawił krople swojej krwi. Czerwone perełki zamieniły się w ogromne czerwone kwiaty, pokrywające cały krzew. Dziewczyna zmarszczyła brwi, kwiaty tu nie pasowały, nie pochodziły z jej wspomnienia. Pistis przesunął palcami po płatkach jednego z nich, pieszcząc delikatny niczym skrzydła motyla kielich. Stanęła obok niego i też dotknęła czerwonych płatków, wyczuwając opuszkami palców miękkość jedwabiu i aksamitną kruchość. Uniosła oczy na Elfa, starając się nie zdradzić swoich odczuć, jeśli to on sprawił, że zakwitły, był naprawdę niesamowity, można było ich dotknąć, nie znikają, powinny znikać.

– Jednorożec rozciął sobie skórę o ciernie, ale nie pozwolił ci pić swojej krwi – usłyszała jego głos. – Co to więc było? Prowokacja?

– Nie – zaprzeczyła, jednocześnie wskazując mu niewielką kroplę, drżącą nadal na czubku ciernia. – Nachyl się i poczuj jej zapach.

Kapłan patrzył na cierń podejrzliwie. Otworzył usta, ale nie dała mu dojść do słowa.

– Wiem, jesteś normalnym Elfem, nie jakimś mutantem, który pragnie krwi. Nie każę ci jej pić, po prostu powąchaj. To jednorożec, wszystko co czujesz w związku z krwią żywych stworzeń w tym przypadku nie działa.

Powoli, pokonując właściwą jego plemieniu odrazę, pochylił się i wciągnął w płuca słodki zapach. Doznania go zaskoczyły. Bukiet o niezwyklej woni, której nie potrafił porównać z niczym innym sprawił, że poczuł przyływ sił i woli życia. Klątwa wydała mu się czymś odległym i nie tak strasznym, czymś nad czym zyska kontrolę, jeśli tylko pozwoli się prowadzić czarodziejce, która zna sposób. Jeszcze raz chciwie zakosztował tej niezwyklej mocy, po czym znów na nią popatrzył.

– Jak?... – nie znalazł słów, które pozwoliłyby mu postawić odpowiednie pytanie.

Czarodziejka wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

– Po prostu. To jednorożec, one są święte. Nie szukaj wytłumaczenia czegoś, co jest cudowne i ponad wszelkimi prawami. I nie zapominaj, że to tylko wspomnienie, cień zapachu.

Wtedy on właściwie przywrócił mnie do życia. Wielokrotnie potem umierałam i wracałam, bo nie przestało mi zależeć na Kłątwie, zmusiłam Kaina, by mnie jej nauczył, więc nauczył mnie umierać i powracać. Dla nas pojęcie „niemożliwe” nie istnieje, liczy się tylko to, jak bardzo czegoś chcesz i jak wiele czasu zechcesz na to poświęcić. Ja byłam gotowa poświęcić życie, ale Kain się nie zgadzał, więc nauczył mnie powrotu. Na początku to była droga przez piekło, ale... – urwała, ściągając brwi i rozglądając się wokół.

Czerwone kwiaty rozkwitły na wielu innych krzewach, miejsce białych konwalii zajęły białe i fioletowe kalie, drzewa się przeredziły, a te które zostały, były większe i potężniejsze, porośnięte bluszczem, ciasno oplatającym ich korę, noc zmieniła się w dzień, a wszystko stało się tak subtelnie i delikatnie, że nie zauważyła momentu przejścia. Ktoś potężny bawił się przestrzenią, zaginając ją, ktoś doskonale zdający sobie sprawę z tego, co robi, świadomy swojej mocy. Wzrokiem nakazała kapłanowi milczenie. Możliwie szybko i bezszelestnie przysunęła się do niego i pochyliła się nad nim, niemal muskając ustami jego ucho.

– To nie ty robisz, prawda? – ledwo usłyszał jej cichy szept.

– Nie – odpowiedział równie cicho, z niewiadomego powodu rozumiejąc, że nie wolno mu przesyłać jej swoich myśli. – Myślałem...

Potrząsnęła głową, odpowiadając na nie zadane pytanie. Wzięła go za rękę i starając się unikać wszelkich zbędnych ruchów i najcichszych nawet dźwięków, zanurkowała z nim w paprocie, których jeszcze przed chwilą tu nie było.

– Ktoś kontroluje moje wspomnienie. Módl się, żeby nas nie zobaczył. Jeśli udało mu się tak głęboko wejść, zanim go zauważyłam, z pewnością okaże się godnym przeciwnikiem. Muszę znaleźć sposób na to, by nas stąd wydostać.

Delikatnie rozchyliła firankę liści, zerkając na jakże teraz zmienioną polanę. Zewsząd zalewało ją światło, jakby padały na nią promienie o wiele jaśniejszego, młodszego słońca, na jej środku, pod ogromnym drzewem, którego nazwy nawet ona nie była w stanie przywołać z pamięci, stała młoda kobieta w wianku z kalii, połyskujących czystą bielą na tle czerni włosów, opadających swobodnie na ramiona, tak długich, że tworzących przedłużenie i tren jej opadającej na trawę lekkiej szaty. Z ramion wyrastały jej ogromne białe-złote skrzydła, złożone teraz i opuszczone tak, że ich końce muskały ziemię. Stała do nich tyłem, ale Elpis przysięgłaby, że już kiedyś ją widziała, dawno temu, bardzo dawno.

Nagle coś uderzyło w paprocie, a powietrze rozdarł dźwięk tak dziwny tu i niespodziewany, że dziewczyna skuliła się, spodziewając się w tym jakiegoś podstępu. Śmiech dziecka.

Obok nich, uderzając otwartą dłoń w wyrastające przed gąszcz liście, biegła mała, na oko kilkuletnia dziewczynka, zaraz za nią – najwyraźniej się z nią ścigając – biegł tego samego wzrostu chłopiec. Dzieci były nagie i bose, oboje długowłosi, z kwiatami wplecionymi między loki. Śmiały się radośnie i głośno, pędząc przed siebie. Nieznajoma odwróciła się na ten dźwięk, jej oczy i oczy Elpis spotkały się i wtedy dziewczyna poczuła się tak, jakby grunt usunął się jej spod stóp, a ona zaczęła spadać w ciemność.

Obca kobieta miała jej twarz, choć przecież nie była nią. Jednak w tej chwili czarodziejka zrozumiała, kto stoi pod drzewem – zjawa którą już kiedyś widziała, w lustrze w pustelni Kaina – zrozumiała, kim jest ta osoba, kim są dzieci i kto jeszcze musi się tu zjawić. Wiedziała, że on już tu jest i obserwuje ich, mimo że oni jeszcze nie potrafią go zobaczyć, że to on zmienił jej wizję i że się przed nim nie ukryją. Kurczowo zacisnęła palce na ramieniu kapłana.

– To Lucyfer. Musimy natychmiast się stąd wydostać.

W tej samej chwili kilka rzeczy stało się jednocześnie. Dziewczynka z impetem rzuciła się w otwarte ramiona kobiety, a Elpis krzyknęła bezgłośnie i znieruchomiała. Jej dłoń opadła

bezwładnie, uwalniając z żelaznego uścisku ramię, na którym pozostały odcisnięte ślady paznokci. Elf słyszał, jak jej serce zamarło na chwilę i jak zaraz po tym znów przyspieszyło, rozpoczynając dziki galop w piersi, która nie potrafiła złapać tchu. Oczy Elfki rozszerzyły się z przerażenia, po jej policzkach potoczyły się dwie łzy, których nie potrafiła zatrzymać. Wyciągnęła przed siebie ręce, jakby chciała odegnać stwory, widziane w gorączce albo kogoś objąć. Czuła dotyk ciepłego ciała dziewczynki, czuła oplatające jej szyję drobne ramionka. To było niemożliwe. Nikt nie potrafił wywoływać takich wizji. Nikt, poza nim...

Zza drzewa wyszedł mężczyzna o twarzy młodej, a jednocześnie bardzo, bardzo starej, jej dominującym akcentem były niezwykle oczy o barwie czystego fioletu. Uśmiechał się, a jego uśmiech pozbawiony był bólu i rozpacz, które widziała malujące się na jego obliczu podczas dwóch poprzednich wizji. Od pasa w dół był nagi, okrywały go tylko ciemne spodnie, stopy miał bose. Od jego kroków nie płonęła ziemia, a skrzydła, które dźwigał były biało-purpurowe, nie było w nich czarnego ognia, który trawił wtedy jego wnętrze. Na rękach niósł wtulonego w niego chłopca. Czarnowłosa anielica odwzajemniła uśmiech i wyciągnęła w jego stronę dłoń, przytrzymując dziewczynkę jedną ręką. Lucyfer ujął ją i ucałował, zupełnie tak, jak robią Elfy, pozdrawiając istotę sobie poślubioną, a Elpis popatrzyła z przerażeniem na swoją rękę, palącą teraz niczym po kontakcie z płomieniem.

W tej samej chwili oczy czarnego anioła ich dostrzegły, a raczej dostrzegły ją. Na ich dnie odbijało się cierpienie, które jeszcze wtedy nie nadeszło, z którego nie zdawała sobie jeszcze sprawy towarzysząca mu dziewczyna, ale które on przeczuwał. Puścił dłoń nieznajomej, nachylił się nad nią, coś szepcząc i postawił na ziemi chłopca. Dziewczyna skinęła głową, objęła chłopca ramieniem i oddaliła się z nim u boku i dziewczynką siedzącą jej na biodrze, wtuloną twarzą w zagłębienie jej szyi. Mężczyzna poczekał chwilę, po czym prędkim krokiem ruszył w kierunku paproci.

Wtedy elficki kapłan zrobił jedyne, co przyszło mu do głowy, wiedząc, że to bez sensu i nie może ich ochronić, że jeśli Lucyfer zechce, dopadnie ich i zmiażdży, jednak nie istniało nic innego, co mogliby zrobić. Chwycił rękę czarodziejki i siłą postawił ją na nogi; teraz, kiedy znikła zaporę liści i nic już nie było między nią a mrocznym aniołem, Elfka czuła się jak sparaliżowana, nie mogąc wykonać żadnego ruchu, nie mogąc uciec ani się obronić, bo nie było na świecie już nic poza nią i nim. I wtedy ktoś szarpnął ją gwałtownie i popchnął w przeciwnym kierunku.

– Biegnij! – usłyszała czyjś krzyk, ale nie pamiętała nawet, kto mógłby krzyczeć.

Niebo nad ich głowami zaczęło się kruszyć i opadać. Dopiero to ją otrzeźwiło i sprawiło, że odzyskała władzę w kończynach. Z wściekłością potrząsnęła za ramiona stojącego obok kapłana.

– Przestań natychmiast, słyszysz?!

Spojrzenie jakim ją obrzucił było zdziwione i przestraszone, ale całkiem przytomne. Nic nie odpowiedział, szarpnął ją do tyłu, w las. Popędziła za nim co tchu, pozostawiając za sobą czarnego anioła i Belial, odchodzącą w dal z Adamem u boku i Lilith wczepioną niczym małpka w jej ramiona.

\*\*\*\*

Żadne z nich nie potrafiło określić, jak długo biegli. Równie dobrze minuty jak i godziny mogły dzielić ich od spotkania oko w oko z Księciem Ciemności, słońce osiągnęło już najwyższy punkt na niebie i powoli zaczynało zachodzić, jednak teraz nie można było mu ufać, starając się określić upływ czasu. Moment, w którym dziewczyna zdała sobie sprawę, że nikt ich nie ściga, nikt nawet nie próbuje podążać ich śladem, był dla niej w równym stopniu zaskakujący jak i przerażający. Zatrzymała się gwałtownie, czując, że zaczyna rozumieć to, czego zrozumieć

nigdy chyba nie będzie w stanie do końca.

Pistis też wyhamował, patrząc na nią najpierw ze zdziwieniem, ale po chwili roześmiał się na głos, również pojmując.

– Udało się! On został gdzieś z tyłu, prawda? Nie liczyłem, że to możliwe, a jednak się udało!

Wyglądał teraz jak obłąkany wędrowny włóczęga, z potarganymi od biegu włosami w które wczepiły się gałązki i liście, z policzkami i rękami porozcinanymi w wielu miejscach nie wiadomo kiedy i o co, w poszarpanym płaszczu, z całych sił próbując złapać oddech i wciąż się śmiejąc. Wiedziała, że ten wybuch radości jest wynikiem naciągniętych do granic możliwości nerwów i że pozorną równowagę bardzo łatwo będzie zburzyć, najgorsze było to, że musiała zrobić to natychmiast.

– Czy to ty rozbiłeś znów niebo?

– Co? – uśmiech zgasł na jego ustach, zamrugał zdziwiony.

– Czy znów próbowałeś rzucić Kłątwe, czy rozkruszyłeś niebo? Skup się, to ważne.

Pokręcił głową przecząco, potwierdzając jej przypuszczenia, radość w jego oczach też niemal już znikła.

– Jesteś pewien? Nie stało się nic, nad czym byś nie panował?

– Jestem pewien. O co chodzi?...

Usiadła na ziemi, tam gdzie stała. Jeśli miała rację, dalsza ucieczka była bezcelowa. Oddalili się na wystarczającą odległość, nikt nie chciał ich skrzywdzić, oboje byli wyczerpani, Elfka dopiero teraz zdała sobie sprawę, że już dawno powinna się pożywić, od czasu kiedy ostatni raz, u Kaina opróżniła dwa kielichy krwi, nie miała w ustach nawet kropli. Nie mogło jej to zabić, ale nie była też w pełni sił, a właśnie teraz powinna.

– Pani? – kapłan patrzył z nieukrywaniem niepokojem.

– To Lucyfer, rozumiesz? Anioł, który nie upadł, przeklęty bardziej i potężniejszy od każdego z pozostałych. Ta wizja... Przywołał cienie roślin i cienie Ludzi tak wiernie i realnie, że mogliśmy ich dotknąć, poczuć, ja czułam jej dotyk, patrzyłam na to wszystko oczami Belial, czułam jak dziewczynka wskoczyła mi na rękę, jak on pozdrowił mnie pocałunkiem. Pierwszy raz miałam z czymś takim do czynienia, takiej wizji nie da się stworzyć, to niemożliwe... Mogę przywołać zapach i obraz, mogę sprawić, że poczujesz dłonią skórę jednoroźca, ale pod warunkiem, że zasłonę ci oczy i uszy, ale to i tak będzie trwało krótką chwilę, bo pod twoim dotykiem nieistniejąca bańka pęknie. Tymczasem on... Jemu nie można uciec, odwracając się i biegnąc, wiem, że to było instynktowne, ale dziecinnie naiwne i całkowicie nieskuteczne. To tak, jakbyś wierzył, że jeśli zamkniesz oczy, staniesz się niewidzialny. Nie uciekliśmy, rozumiesz? Puścił nas. To on sprawił, że niebo się rozsypało, chciał nas wystraszyć i zmusić do ucieczki, wcale nie zamierzał nas ścigać.

Elf po chwili, której potrzebował na przyswojenie sobie tak niespodziewanych informacji, usiadł na trawie, z ulgą opierając plecy o drzewo. Szaleńczy bieg sprawił, że bolała go każda komórka ciała, udręczone mięśnie błagały o odpoczynek. Był głodny, spragniony i jedynym, czego teraz poza tym pragnął, było oparcie głowy o korzeń i zapadnięcie w sen.

– Dobrze więc – przyznał jej prawo do takiej interpretacji. – Co to dla nas oznacza?

– Myślę, że chciał, żebyśmy to zobaczyli – powiedziała powoli. – Wiesz, oni... nie chcą nas widzieć na ścieżce, którą kroczymy. Lucyfer i Belial stworzyli ten świat, był on ich wspólnym marzeniem, które pracowicie budowali i którego zazdrośnie strzegli, walcząc nawet z Bogiem, a my zgodnie ze słowami przepowiedni mamy to wszystko zakończyć. Może usiłował nas przekonać, pokazać jak to miało w ich rozumieniu wyglądać. Oni zakochani, roześmiane dzieci... Mąci mi w głowie nie pierwszy raz.

Czarodziejka nerwowo przeczesła palcami potargane włosy i objęła kolana ramionami. Nie patrzyła na niego, uciekała spojrzeniem gdzieś w bok, ale Elfa i tak uderzyła niezwykła bladość jej twarzy i widoczne cienie pod powiekami, czyniące ją podobną do zawsze wyglądającego na chorego Sylwana. Wizje musiały ją wyczerpać, kiedy opuszczali rano grupę wydawała się całkiem zdrowa. Oboje potrzebowali odpoczynku, ale to nie był odpowiedni moment.

– Czy kobieta spod drzewa wyglądała jak mój sobowtór? – usłyszał jej ciche pytanie.

– Ona była... – wrócił myślami do długowłosej anielicy i do tego, jak odebrał jej obraz – piękna i łagodna, ale w jej spojrzeniu było coś mrocznego, pasja i szaleństwo. To była Belial z Adamem i Lilith, pierwszymi zrodzonymi Ludźmi, prawda?

Dziewczyna pokiwała głową, pomijając milczeniem fakt, że jego słowa nie były właściwie odpowiedzią.

– Mam mieszane uczucia, pani – przyznał kapłan. – Oni wyglądali po prostu na szczęśliwą rodzinę. Dla Elfa możliwość poczęcia i wychowania dziecka to błogosławieństwo i łaska, nikt nie ma prawa potępić wyborów naszego serca, a już na pewno karać naszych potomków za nasze czyny i grzechy. Dzieci są jak jednorożce, nietykalne i święte... Oni skrzywdzili Barbello, jednak jej zemsta w żaden sposób nie znajduje wytłumaczenia ani usprawiedliwienia. Upiorzyca, która nas ścigała i ta mała, niewinna istota z kwiatami we włosach nie mogły być tą samą osobą... Czytałem Świętą Księgę, całą, wiesz co mnie w niej najbardziej przerażało i napawało odrazą, czego nigdy nie potrafiłem wytłumaczyć i znaleźć logicznej odpowiedzi?

– Nie znam tekstu Księgi – odpowiedziała.

– Belial i Lucyfer walczyli o swój świat, chronili dzieci, potem dzięki straszliwym wysiłkom ocalili Ludzi, Elfy i Wampiry od potopu, teraz też nam przeszkadzają, mimo że według przepowiedni Belial akurat powinna ci ulec razem z szóstką pozostałych aniołów. Tchnęli życie w martwą planetę, kochali swoje niedoskonałe dzieci. Jednak zawiedli Lilith. To ona zapłaciła za wszystko największą cenę, a przecież nie uczyniła nic złego. Barbello porzuciła ją w czeluściach Gehenny, razem z jej zniekształconymi potomkami, które się z niej narodziły i które stały się upiorami, cieniami cieni, które i z niej uczyniły nie mogącego umrzeć trupa. Dlaczego jej jedynej nie próbowali ocalić? Wcale nie musiała stać się tym, kim jest teraz. Zawiedli ją i zdradzili, wszyscy... Co ty jej zrobiłaś, wtedy gdy jej upiory nas ścigały?

Czarodziejka po raz pierwszy dostrzegła to wszystko w takim właśnie świetle. Najgorsze było to, że kapłan miał rację, Lilith była tylko niewinną ofiarą, ale teraz było już za późno, by to odwrócić.

– Przeklęłam ją – odpowiedziała cicho. – Umarłam wtedy, pamiętasz? To była ofiara dla Klątwy.

Chwilę milczeli, nie patrząc na siebie, a mała dziewczynka zdawała się biegać pomiędzy nimi i śmiać się radośnie, nieświadoma przyszłości; Elfka przetarła zmęczone oczy. Jeden – zero dla Lucyfera, jeśli chodziło mu o wywołanie poczucia winy i wzbudzenia w sobie samych niesmaku i niechęci do drogi, która ich czekała, powinien być teraz z siebie dumny.

– Gdzie ona teraz jest? – zapytał ponownie.

Elpis wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. W Otchłani, wśród nicości, uwięziona przez ciemność. Właśnie przestałam być z siebie dumna, jeśli o to pytasz, co nie znaczy, że nie zrobiłabym dokładnie tego samego jeszcze raz, by nas ocalić. Zamierzam wypić ten kielich goryczy do końca, choćbym się miała nim zakrzusić, ale nieco inaczej, niż sobie tego życzy Kain. Porozmawiamy o tym, jak drużyna będzie w komplecie – dodała widząc, że kapłan otwiera usta.

– W porządku – zgodził się.

Wiatr przybrał na sile, szarpiąc konarami drzew i nadając im kształt wielopalczastych dłoni, szepiających się co chwilę i rozdzielających, obserwowanie ich walki w zapadającym właśnie mroku wywoływało mimowolny dreszcz.

– W klasztorze przekonywali nas, że moc naszego Boga jest ogromna, właściwie nieograniczona, a my, jako Jego kapłani możemy więcej niż reszta, jeśli działamy w Jego imieniu. Nawet cuda, coś fizycznie niemożliwego, dzięki sile wiary staje się możliwe. Na przykład leczenie ran w kilka chwil, uzdrawianie chorób i oddalanie szaleństwa, na które zioła i leki nie przynoszą rady. Dziś pokazałaś mi, że rzeczywiście można w kilka chwil zatrzymać krew i zasklepić rany. Żyjesz bardzo długo, czy byłaś kiedykolwiek kapłanką? Czasami przypominasz mi nasze kapłanki – dodał, kiedy nie odpowiadała.

– Nie wiem – odrzekła po chwili. – Nie pamiętam. Myślisz, że mogłabym zapomnieć?

– Nie wiem – przyznał. – Teraz wydaje mi się to nieprawdopodobne, ale być może jeśli twoje życie zaczyna liczyć się w dziesiątkach tysięcy lat, które nakładają się na siebie i przenikają, można odsunąć to w niepamięć. Po prostu miałem wrażenie, jakby pozwolono mi stać się świadkiem cudu, o którym do tej pory tylko słuchałem.

Uśmiechnęła się, choć uśmiech był zgaszony i nie obejmował oczu.

– Czy cud można logicznie wytłumaczyć i czy można się go nauczyć?

– Nie do końca rozumiem.

– Jeśli posiadasz dar, jesteś w stanie przyswoić sobie więcej lub mniej umiejętności, to już zależy od wielu czynników, od twoich osobistych predyspozycji, stopnia zaangażowania w naukę, poziomu wtajemniczenia mistrza, w moim przypadku też od długości życia. Żeby opanować uzdrawianie, musisz pozbyć się naturalnej dla każdej żywej istoty bariery, która osłania twoją wewnętrzną siłę. Musisz usunąć opory przed dzieleniem się tą siłą. I pamiętać o zachowaniu kontroli, by w odpowiednim momencie zamknąć furtkę. Ogień, woda i powietrze potrafią wiele, ale żadne z nich nie ma mocy uzdrawiania, żeby tego dokonać, musisz zaczerpnąć z samego siebie, inaczej się nie da. Zaleczenie rany to nic wielkiego, jednak można też zawrócić kogoś, kto zmierza już na drugą stronę, choć to ogromne ryzyko, uwolnienie aż tak wielkiej mocy najprawdopodobniej dla adepta skończy się śmiercią, wprawny czarnoksiężnik może zachować życie, jeśli będzie strzegł równowagi we własnym wnętrzu. Ja to potrafię, mogę wspomagać się siłą trzech połączonych żywiołów, które nie pozwolą mi umrzeć, a nawet jeśli umrę, powrócę. Ale obawiam się, że nawet mi nie udałoby się ocalić upióra, który od miliardów lat błąka się na granicy światów, nie mogąc stać się częścią żadnego z nich, tu chyba nawet własna, ostateczna śmierć nie byłaby wystarczającą ofiarą.

Kapłan milczał, obserwując szalony taniec gałęzi na tle coraz ciemniejszego nieba, niejasno uświadamiając sobie, że już wie, skąd cienie pod jej oczami i zmęczenie na twarzy. Westchnął.

– Z tego wynika, że nawet gdybym uważniej pobierał nauki w klasztorze, nie ocaliłbym jej. Nie byłem zbyt pilnym uczniem, może wiedząc więcej, bardziej bym ci się przydał, pani. Gdyby to było możliwe, chciałbym odwrócić to, co zrobili Lilith, ale nie wiem jak.

Dziewczyna myślała o tym samym, ale nie powiedziała tego na głos. Mała dziewczynka z przeszłości była niewinna i bezbronna, nie zasługiwała na koniec, jaki ją spotkał. Czarodziejka zdawała sobie jednak doskonale sprawę z tego, że kiedy upiór powróci, będzie z nim walczyć tak samo bezwzględnie jak do tej pory. Miała nadzieję, że Elf również się nie zawaha, majak którego nie mogli odmienić, nie mógł mieć wpływu na ich obecną drogę. W porównaniu z nią był jednak nadal bardzo młody, to mogło być przeszkodą w trzeźwej ocenie sytuacji.

– Ile masz lat, Pistisie?

Kapłan spojrział na nią przelotnie i uciekł wzrokiem gdzieś w bok.

– Prawie dwa tysiące.

Dziewczyna nieznacznie uniosła brwi.

– Prawie dwa? To nie jest chyba tak wiele, by zapomnieć dokładny wiek?

Po chwili na jego ustach pojawił się uśmiech. Znow na nią popatrzył i wyciągnął przed siebie dłonie, w obronnym geście.

– No dobrze. Tysiąc trzysta – przyznał.

Dziewczyna jawnie zachichotała, patrząc na niego z niedowierzaniem.

– To było... głupie.

Wzruszył ramionami.

– Nie musisz tego robić – dodała po chwili, poważniejąc. – Tysiąc trzysta czy dwa tysiące, a nawet pięć tysięcy to dla mnie naprawdę niewielka różnica, a twój młody wiek wcale nie zmienia tego, że traktuję cię jak pełnoprawnego członka drużyny. Zresztą...

Urwała, bo wtedy usłyszała to po raz pierwszy. Rytmiczne, szybkie uderzenia, jakby trzepoczące się serduszko jakiegoś ptaka, może nietoperza, w każdym razie kogoś obcego, kto nie był tak naprawdę ani ptakiem ani nietoperzem, a komu jakimś cudem udało się podejść ich bardzo blisko. Pomyślała o Lucyferze, ale niemal natychmiast odrzuciła tę możliwość, potem o dwójce nagich dzieci, nie bardzo wiedziała, jak powinno bić dziecięce serce i czy zjawy przywołane przez Księcia Ciemności w ogóle miały jakieś serca, które ona mogłaby usłyszeć. Spojrzała pytająco na swojego towarzysza, a on skinieniem głowy potwierdził, że też słyszy. Odruchowo wyciągnął rękę po strzałę, ale natychmiast ją cofnął, przypominając sobie, że przecież łuk został zniszczony.

– Nie potrafię go zlokalizować – wyszeptła, przechodząc na język ich plemienia. – Tak jakby był wszędzie, jednocześnie nie będąc naprawdę. Albo jakby były ich setki...

Oboje byli zdezorientowani, dziwny szpieg zdawał się być tuż obok, ale mimo to pozostawał nieuchwytny, elfie oczy i uszy nic tu nie mogły wskórać. Dziewczyna powoli wstała, zbierając w opuszkach palców moc, w najgorszym wypadku gotowa posłać cios wszędzie wokół, jeśli tajemnicza istota zdecyduje się zaatakować. Pistis instynktownie ustawił się plecami do jej pleców, obserwując tę część lasu, której ona nie mogła widzieć. Żałował, że nie ma przy sobie nic, co mogłoby posłużyć jako broń, czarodziejka, odczytując jego myśli, wsunęła mu w dłoń sztylet o srebrnej rękojeści, który zawsze przy sobie nosiła. Niewielki byłby z niego pożytek w wypadku otwartego starcia, zwłaszcza gdyby prawdziwa okazała się ta wersja, według której stworzenie nie jest samo, ale przynajmniej był ostry.

Zanim jednak zdążyli zrobić cokolwiek, poczuli, że dźwięk cichnie, a ich obserwator się wycofuje, jakby zapada w nicość, nie wydawał się uciekać, po prostu zniknął, zostawiając ich niepewnych czy zagrożenie rzeczywiście minęło, czy może było tylko wytworem zbyt pobudzonej wyobraźni.

– Co to było? – zapytał kapłan, nadal z napięciem wpatrując się w ścianę zieleni.

– Na pewno nie zbiorowa halucynacja – mruknęła. – Tak czy inaczej, poszło sobie. Albo raczej coś je stąd przepłoszyło. A dokładniej ktoś – dodała widząc, jak spośród liści błyskają dwie pary czerwonych ślepi, a następnie wyłania się z nich Szara Wilczyca o dwóch łbach, tak ogromna, że wydawało się nieprawdopodobnym, by mogła zbliżyć się do nich na taką odległość nie zauważona wcześniej.

*Wiesz, dlaczego tu jestem.* Elfka usłyszała jej głos w swojej głowie. *Astaroth, Drugi z Siedmiu, woła, już czas by i on się przebudził i rozpoczął swoje zadośćuczynienie.*



## Rozdział 6

### Astaroth

Elf stał, milcząc, na pół odprężony i spięty jednocześnie, wiedząc, że pojawienie się tu Wilczycy nie zwiastuje niczego dobrego. Nie potrafił odebrać myśli drapieźnika, ale nie uszło jego uwadze wzburzenie dziewczyny i nie mógł oprzeć się wrażeniu, że oto przed nim rozgrywa się milcząca walka. Elpis nie spuszczała wzroku z oczu swojej przybranej matki, a Szara Wilczyca zawiesiła na niej wszystkie cztery ślepie, w ich spojrzeniu kryła się groźba i nakaz.

*Musimy poczekać na Leviathana, mamo. Już go wezwałam, będzie tu wkrótce, zabierze ze sobą mojego towarzysza, a my odejdziemy.*

Przewyższająca stojącego Człowieka wadera uniosła w górę oba łby, zdając się jeszcze rosnać. Z jej gardel wydobył się stłumiony warkot, niczym pomruk rodzącej się burzy.

*Nie będziemy czekać. Zjawiłam się tu teraz, bo teraz nadszedł właściwy czas. Wiem, że wzięłaś na siebie bardzo wiele, moja głupia córko, ciężar, pod którym ugniesz się i upadniesz, ale to twój wybór. Nie pozwolę, by twoi uczniowie stanęli na drodze zadaniu, które ci powierzono. Nie wzrusza mnie to, że straciliście dzień na przywoływaniu majaków, które was osłabiły i że on jest zbyt wyczerpany, by stanąć przed przebudzonym demonem. Spójrz na siebie, jeśli jesteś jeszcze w stanie myśleć o czymkolwiek innym niż ochrona nic nie znaczących żyć istot, które i tak w końcu zgasną, jak gaśnie świeca, bo taki jest los śmiertelnych.*

Dziewczyna nie spuściła oczu, w spojrzeniach ich obu szmaragd ścierał się ze szkarłatem, żaden nie potrafił złamać blasku drugiego. Elfka wiedziała, że słowa Wilczycy są w pewien przerażający sposób prawdziwe, ale za nic nie chciała oddać im racji. Czy potrafiła jeszcze myśleć o sobie i odsunąć sprzed oczu ich? Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że jest teraz w stanie właściwie nagannym, jednak nadal czuła się dość silna, by rzucić wyzwanie drugiemu aniołowi. Nie chciała jednak mieszać w to kapłana, było to pozbawione sensu, nie potrafił spętać woli Astarotha, cóż więc miałby robić? Obserwować ich, podczas gdy ona będzie drzeć o jego bezpieczeństwo i jednocześnie prowadzić pojedynek z demonem, na którym powinna skupić się całkowicie?

*On jest w to wplątany bardziej, niż ci się wydaje, a wkrótce lecąc niczym ćma do płomienia, na własne życzenie wplączę się jeszcze bardziej. To z kolei jego wybór, nie możesz go zmienić, chyba że zdecydujesz się siłą narzucić mu inną ścieżkę, nic nie stoi więc na przeszkodzie, by nam towarzyszył. Zresztą, lekceważysz potęgę drugiego upadłego anioła – to, że zastałam was tu oboje, nie stało się przypadkiem, oboje więc musicie iść.*

*Szanuję wolną wolę każdego z nich, żadnemu nie zamierzam zabierać wspomnień, myśli ani osobowości.*

Dziewczyna patrzyła z mściwą satysfakcją, jak blask ślepi Wilczycy nieco przygasa i jak pojawia się w nich bolesne zrozumienie aluzji do tego, jak postąpili ze swoją uczennicą i wychowanką ona i Kain. Wilczyca przez chwilę sprawiała wrażenie, jakby chciała rzucić się na swoją krnąbrną córkę, ale trwało to bardzo krótko i kapłan mógłby przysiąc, że było tylko złudzeniem.

*Dobrze, więc dajmy mu wybór.*

Czerwone ślepie spoczęły na twarzy Elfa i kapłan odniósł niemiłe wrażenie, że Wilczyca sonduje jego umysł. Macki tego spojrzenia z dziecinną łatwością ślizgały się po jego wnętrzu, dotykając najmroczniejszych fragmentów duszy i serca, zapuszczając się w miejsca, których sam

nie chciał oglądać, słysząc myśli i odbierając uczucia, które dopiero się w nim rodziły i z których sam nie do końca zdawał sobie sprawę. Oddech Elfa stał się płytki i urywany, kiedy ze wszystkich sił starał się zachować spokój, wiedział, że nie wolno mu odtrącić Wilczycy, że musi wytrzymać, całą nadzieję pokładając w zapewnieniu czarodziejki, że ma jedno wspomnienie należące tylko do niego, którego nikt i nic nie może zobaczyć.

Nagle poczuł, że moc Wilczycy się wycofuje i w tej samej chwili po raz pierwszy usłyszał, jak głos szarej wadery wypełnia jego wnętrze. Usłyszał jej słowa i wiedział, że są skierowane tylko do niego. Że Elpis ich nie słyszy.

*Kiedy zabrzmi dźwięk trąb, powietrze wypełni jęk potępionych i nadejdą trzy Anioły Pana, jeźdźcy zginą jako pierwsi. Ale to już wiesz i to cię nie powstrzyma, prawda? Prorokuję więc oto śmierć kapłanowi z rodu Elfów. Połączona moc dwóch Władców Piekieł, z których jeden po tobie zapłacze. Moc, która obróci w perzynę wszystko, prócz ich samych. Nie idź tam, zawróć w głąb puszczy, a nic się nie wydarzy, albo podnieś głowę, rusz za nami... i zgiń. Wybór jeszcze istnieje.*

Nadal znajdując się pod urokiem jej przygniatającego jego wolę spojrzenia, Pistis przymknął oczy i głęboko zaczerpnął powietrza, zbierając w sobie siłę, która pozwoli mu zmusić głos do normalnego brzmienia i opanować niespokojne drżenie gdzieś we wnętrzu własnej istoty.

– Podjąłem już decyzję w grocie siwobrodego starca i nadal uważam ją za wiążącą.

Jeden z łbów Wilczycy skinął z aprobatą na te słowa, drugi zwrócił się w stronę dziewczyny, zaskoczony takim obrotem sprawy i tym, że właśnie straciła chwiejną kontrolę nad sytuacją.

*Jeśli więc nadal nie zamierzasz pętać jego woli, została nam tylko jedna rzecz, którą musisz zrobić przed wyruszeniem. Nie lekaj się o niego, to nie z nim Astaroth chce walczyć, dziś nie spadnie mu włos z głowy, masz moje słowo.*

Szary drapieźnik usunął się nieco na bok, robiąc miejsce mniejszemu, bliźniaczo do siebie podobnemu Wilkowi. Nowy był wielki i na swój sposób dziki i władczy, poza mimo wszystko nieco niższym wzrostem od wadery odróżniał go tylko brak jednej z dwóch głów.

W pierwszej chwili Elfka nie pojęła jego roli i zdziwił ją ten nowy przybysz, ale od razu uderzyło w nią niezwykle podobieństwo zachowania jego i czarnego Arona, którego spotkała przed walką z Leviathanem. Aron... Dumny basior, który już nie powstanie, którego pusta skorupa spoczęła na jałowej glebie Ziemi Niczych bez grobu, basior ze strzaskanym kręgosłupem i otwartymi na zawsze ślepiami, które nic już nie mogą zobaczyć. Pożywienie... Aron był jej pożywieniem. Kły odpowiedziały na wezwanie, wysuwając się i rozchylając jej wargi, zanim rozum pojął, że szary Wilk też nim jest. Czarne źrenice zdawały się wwiercać w jej oczy, kiedy zwierzę ustawiło się bokiem, całkowicie pogodzone ze swoim losem. Jeden skok, po prostu kilka kroków... Czarodziejka rzuciła nerwowe spojrzenie na stojącego za nią kapłana, szok na jego twarzy był wystarczającym potwierdzeniem tego, że on też rozumie, nie chcąc jeszcze uwierzyć. Potrząsnęła głową.

– Wystarczy mi siły, mam. Tym razem nie przyjmę ofiary.

Wilczyca jakby urosła i w jednym susie znalazła się tuż obok niej, warcząc wściekle i ukazując w całej okazałości imponujący wachlarz białych kłów.

*Wiem, dlaczego odmawiasz, szalona. I nie pozwalam. Jeśli nie zrobisz tego natychmiast, osobiście rozszarpie szyję Elfa i zmuszę cię do wypicia jego krwi.*

Zieleń oczu czarodziejki pociemniała i dziewczyna odpowiedziała, sama nie rozumiejąc swojej zuchwałości i uporu.

*Nie zdążysz. Mam bliżej do twojego gardła niż ty do jego.*

Wadera przez chwilę obserwowała ją spod przymrużonych powiek, jej wzrok był pozbawiony jakiegokolwiek wyrazu.

*Nie ośmielisz się, córko.*

Kąciki ust Elpis powędrowały w górę, a odsłonięte na powrót kły nadały jej twarzy drapieżny wygląd.

*Więc dalej, rzuć mi wyzwanie... Mamo.*

Pistis nie odbierał myśli żadnej z nich, ale rozumiał, że w pewien sposób to on jest powodem całego zamieszania. Spojrzał na Elpis. Wcześniej powiedział, że przypomina mu wyniosłe i dumne kapłanki, snujące się milcząco po korytarzach zimnego klasztoru, nieosiągalne i niedostępne, zbyt zatracone w świecie nierealnych wizji i przepowiedni, by ośmielić się myśleć i śnić o nich, spokojne i opanowane, o twarzach tak długo skrywających prawdziwe emocje, że nawet oczy dawno już przestały w nich krzyżeć. Mylił się. Nie była do nich podobna. Żadna kapłanka nie potrafiłaby nieugięta i nieustraszona trwać przed obliczem demona, żadna nie odważyłaby się zbrukać świętej przepowiedni i wystąpić przeciw jej słowom. Nieważne, kogo by broniła. Dzieci zakonu się nie liczyły, były pionkami w rozgrywce kogoś o wiele od nich potężniejszego i jego przeciwników, wola klasztoru była ich wolą, a jego zasady nienaruszalnymi wyznacznikami ich życia. I to było jasne i oczywiste, dopóki znajdował się za klasztorną bramą, strzeżony przez święte płomienie, teraz wiele rzeczy uległo zmianie.

Sierść na karku Szarej Wilczycy powoli wracała do normalnego położenia, a oczy łagodniały. Teraz pozostał w nich tylko smutny wyrzut.

*Nie pozwolę ci zginąć z tak głupiego powodu.* Elfka ponownie usłyszała jej głos w swojej głowie. *On wie, czym się odżywasz, nie będzie więc zaskoczony, widząc to na własne oczy. A tobie naprawdę potrzeba teraz siły, Elpis. Będziesz musiała zaczerpnąć z magii krwi, by ostatecznie złamać Astarotha, jeśli to będzie twoja własna krew, kto ich ochroni?*

Dziewczyna wiedziała, że wadera ma teraz na myśli nie tylko Elfa, ale też Człowieka i Wampira pozostawionych samym sobie. Miała rację, potrzebowała siły, choćby po to, by jak najprędzej do nich wrócić.

Westchnęła i zwróciła się w stronę kapłana. Stał obok, nadal ściskając w dłoni sztylet, który mu dała. Uśmiechnęła się gorzko, na myśl o tym, co zostałyby z tego kawałka metalu i ręki go trzymającej, gdyby dostały się między żelazne szczęki Szarej Wilczycy. Panował nad sobą, choć z pewnością kosztowało go to sporo wysiłku, a przyjęcie i zaakceptowanie tego, czego za chwilę miał stać się świadkiem, będzie jeszcze trudniejsze. Był Elfem, Elfy gardziły Wampirami, potępiając je za ich niosący śmierć sposób zdobywania dla siebie pokarmu, jak więc mogła wymagać, by nie potępił jej?

Po chwili dziewczyna poczuła, że ogarnia ją zniechęcenie i złość, na siebie samą i na niego. Nie lubiła nowej Elpis, która narodziła się po tym, jak ocaliła Adama od śmierci na ołtarzu wyznawców Lucyfera, jednak lęk i troska o niemowlę przychodziły jej łatwiej i wydawały się w pewien sposób naturalne i zrozumiałe. Nowa Elpis, którą stawała się wciąż od momentu poznania Pistisa, Farysa i Sylwana czasem wzbudzała w niej pogardę i nienawiść.

– Zamierzam zabić szarego Wilka i zabrać jego krew. Jeśli cię to razi, po prostu nie patrz – warknęła, odwracając się od niego.

Skupiła się na szarym basiorze z precyzją wprawnego łowcy wypatrując pulsującej pod grubą sierścią tętnicy szyjnej. Skuliła się, przygotowując całe ciało do skoku, a z jej gardła wydobył się cichy syk. Skłoniła z szacunkiem głowę, pozdrawiając go i dziękując, a potem skoczyła.

\*\*\*\*\*

Nie zamknął oczu. Nie potrafił. Przeciwnie, rozszerzone źrenice chłonęły wszystko z chorą fascynacją, zaprawioną obrzydzeniem, groza i nierealność całej sytuacji były jednak dominujące. Widok Elpis miękko opadającej na ziemię obok Wilka i błyskawicznie wbijającej

kły w jego szyję, sprawiał mu niemal fizyczny ból, ale musiał patrzeć, spadając jednocześnie w przepaść bez dna i wirując w ciemności. Nie, nie on... Cały świat wokół wirował, a Elf zatracił się w tym wirowaniu, wszystko było rozmyte i nieostre, poza tym jedynym obrazem, przedstawiającym drapieżnika i jego ofiarę, wszystkie dźwięki ucichły i zamarły, poza żalnym jękiem Wilka i kuriozalnym odgłosem rozdzieranej skóry.

Usta dziewczyny, jeszcze niedawno szepczące niosące spokój słowa tuż nad jego uchem, teraz zbrukane czerwienią, ściśle przylegały do skóry Wilka, jej dłonie, przykrywające jego własne ręce wraz z ukrytym w nich szaro-błękitnym amuletem, kiedy pomagała mu odnaleźć drogę z innego, przerażającego świata do rzeczywistości, teraz z całych sił wcepiły się w skórę na łbie basiora. Kapłan zadrżał, kiedy doszedł jego uszu trzask łamiących się kości karku zwierzęcia. Szara Wilczyca stała nieporuszona i patrzyła z chłodnym spokojem, kiedy pod jednym z jej synów ugięły się łapy i jego potężne cielsko runęło bezwładne na ziemię. Elpis, nie odrywając ust od jego szyi, podążyła za nim, przyklękając. Była jak w transie. Jej dłonie zacisnęły się na grzbiecie ofiary, miażdżąc kolejne kości. Jęk Wilka przeszedł w niekontrolowany charkot, oczy odplynęły w głąb czaszki, ukazując martwe białka, a łapy drgały nieskładnie, wstrząsane agonią. Ostatni dźwięk był najgorszy, bo z gardła potężnego basiora wydobył się żalny pisk, jakby płacz szczenięcia, ale czarodziejka była na niego głucha, była głucha na wszystko, zatracając się w krwawej uczcie bez reszty. W końcu dźwięk ucichł, pysk basiora poruszał się jednak nadal bezgłośnie, jakby wola życia była w nim silniejsza od wcześniejszej dumy i pewnej pogardy wobec śmierci, którą Wilk zademonstrował, z własnej woli ofiarowując Elfce swoją krew.

Jego łapy wyprężyły się po raz ostatni, jakby do skoku, po czym znieruchomiały na zawsze, pysk pozostał uchylony, nie mogąc już nic zobaczyć oczy szeroko otwarte, aura basiora pobladła. Więc zabiła go, naprawdę go zabiła i mimo, że nie pozostało w nim już nic, nadal nie przerywała tortury. Tego było już dla kapłana za wiele. Wilk był martwy, zasługiwał na spokojny sen, na szacunek...

Zadziałał instynktownie. Zanim zdał sobie sprawę z tego, co robi, już stał za czarodziejką, odciągając ją za ramiona od jego ciała. Elpis nie opierała się, ale kiedy na niego spojrzała, natychmiast zdał sobie sprawę, że wynikało to tylko i wyłącznie z szoku i niedowierzania, że ktokolwiek ośmiela się na taką bezczelność. W jej oczach była wściekłość, dzika, pierwotna furia. Obnażone kły błysnęły złowieszczo pośród szkarłatu, brukającego wargi, kiedy dziewczyna wydała dźwięk pośredni między warknięciem a ostrzegawczym sykiem. Strząsnęła z siebie jego dłonie i z dziecinną łatwością uwięziła go w uścisku swoich własnych, jakby był szmacianą lalką, zabierając mu zdolność do jakiegokolwiek reakcji. Kapłan skrzywił się mimowolnie, czując, że jeśli dziewczyna jeszcze choć trochę zwiększy nacisk, kości w jego ramionach pękną niczym patyki. Jej siła była nienaturalna, przerażająca. Wampira krew wzmacniała, ale nie aż do tego stopnia, dla Elfa była zabójczą trucizną, kim więc była ona?

Na dzień jej oczu Pistis dostrzegł to samo zatracenie, które było w oczach jej piekielnego wierzchowca, w oczach jej przybranej matki, Lucyfera z ich zakłóconej wizji i Kaina, kryjącego się przed światem wśród skał i po raz pierwszy zrozumiał, że czarodziejka jest szalona; szalona zbyt długim istnieniem i specyficznym rozszczepieniem osobowości na cztery rasy, do których wcale tak naprawdę nie przynależy. Zrozumiał, że każdy musiałby oszaleć, przebywając jednocześnie w ciele Elfa i Wampira, umierając i powstając do życia, nie pamiętając już, kim jest tak naprawdę i nie wiedząc, czy poznanie odpowiedzi okaże się wybawieniem czy przekleństwem.

Palce czarodziejki zacisnęły się, a z gardła Elfa wydobył się krótki, niekontrolowany krzyk. Dziewczyna wciągnęła gwałtownie powietrze i natychmiast rozluźniła chwyt. W jej

oczach pojawił się cień zrozumienia, powoli, z wysiłkiem wyłaniała spośród pulsującej mgły, przesłaniającej jej myśli obraz jego twarzy, rozpoznając go. Spojrzała na leżącego bez życia Wilka, potem znów na kapłana i jeszcze raz na Wilka. Przez moment na jej twarzy malował się ból, zastąpiony znów bardzo szybko przez wściekłość, ale tym razem całkowicie przez nią kontrolowaną. Odepchnęła kapłana gwałtownie i wypuściła powstrzymywane powietrze. Odeszła kilka nerwowych kroków, ale zaraz zawróciła i znów znalazła się obok niego. Zaciśnęła pięści na jego koszuli i przyciągnęła go do siebie, patrząc mu prosto w oczy.

– Na Boga, Pistis! – warknęła przez zaciśnięte zęby. – Postradałeś zmysły? Nigdy nie stawaj pomiędzy mną a moją ofiarą! Nigdy! Rozumiesz? Powiedz mi, że rozumiesz!

– Rozumiem – wychrypiał z trudem.

Dopiero wtedy znów go odepchnęła i nic już nie mówiąc, nawet nie zaszczycając spojrzeniem obserwującej wszystko ze stoickim spokojem Szarej Wilczyca, siłą powstrzymując się by nie biec, prędkim krokiem weszła w las. Nie chciała teraz patrzeć w jego oczy, wiedział to. Bała się patrzeć, a jej strach był niemal namacalny. Kapłan pokręcił głową z niedowierzaniem i ruszył za nią, starając się choć trochę przywrócić krążenie w niemalże zmiażdżonych ramionach. Wilczyca zagłębiła się w gęstwinę drzew jako ostatnia.

Elf, wychowany wśród pożółkłych stronic ksiąg, który dużą część dzieciństwa i młodość spędził zgłębiając sekrety zapisane w prastarych manuskryptach, starannie przygotowując się do misji, do której przed nim przygotowywało się wielu innych kapłanów, po raz drugi miał wrażenie, jakby słowa zapisane starannym, drobnym pismem ożyły i stanęły przed nim. Po raz pierwszy czuł się tak w jaskini pustelnika z gór, kiedy Kain przywołał z ciemności sylwetki czterech widmowych rumaków. Teraz obserwował idącą przed nim dziewczynę, wielokrotnie próbując nawiązać z nią kontakt, jednak nie doczekawszy się żadnej reakcji. Może sprawiła to krążąca w jej żyłach krew Wilka, którego truchło pozostało już daleko za nimi, nie potrafił inaczej wytłumaczyć jej zachowania.

Czarodziejka była pogrążona w transie, nie zwracała uwagi na nic z otoczenia, szła jakby na oślep, ale doskonale zdając sobie sprawę z tego, dokąd zmierza, jakby prowadzona przez widma, których on nie mógł zobaczyć. Przeklęty jeździec, prowadzony przez Wilki – tak nazywała ją przepowiednia. Poza celem wędrowki wszystko inne straciło znaczenie, Pistis wielokrotnie usiłował przesłać jej chociaż swoje myśli, ale rozбивały się o niewidzialną barierę, nie docierając do dziewczyny. Nie mógł zrobić absolutnie nic, poza podążaniem za nią, nie mając łuku, nie mógł jej ochronić. Czując jakie to beznadziejnie żałosne, mocniej zaciśnął palce na rękojeści srebrnego sztyletu, którego nadal nie wypuścił. Czy to właśnie miała na myśli Wilczyca? Jego rola miała ograniczyć się do rzucenia się z tą śmieszną namiastką broni na drugiego anioła i przyjęcia śmierci z jego rąk? Świadomość klęski, którą musiał ponieść, była przytłaczająca.

Nie był pierwszym kapłanem, który został wtajemniczony w zawilości proroctwa o czterech jeźdźcach i trzech aniołach Apokalipsy. Podobnie jak pozostali, którzy byli przed nim, a którzy dawno już zasnęli spokojnym snem, na zawsze odsuwającym w dal troskę o to, co doczesne i nietrwałe, codziennie modlił się, by czas nie nadszedł za jego życia. Chyba jednak to jego grzechy okazały się najciężej obrażającymi Boga, bo to jego modlitwy nie zostały wysłuchane.

\*\*\*\*

Drewniane ściany dworku, stare i zapuszczone, jak i on cały, ściśle porastała najróżniejsza roślinność i mech. Winorośl, która dawno zapomniała dotyku ręki ogrodnika i od wielu lat nic już nie rodziła, tworzyła na ścianie budowli misterną pajęczynę, drążąc i rozsadzając drewno od środka, powoli lecz nieubłaganie przyczyniając się do jego agonii. Dworek

wytrzeszczał na przybyszów martwe oczodoły pustych okiennic, nadające mu wygląd makabrycznie zniekształconej twarzy, wykrzywionej w straszliwym grymasie. Przez dziury po oknach niczym wielopalczaste dłonie wydostawały się na zewnątrz poskręcane gałązki bluszczu. Widać było wyraźnie, że natura wkracza tu ponownie na miejsce zajęte wcześniej przez... Ludzi? Chyba Ludzi...

Dworek przyciągał i hipnotyzował, ale było to zaproszenie groźne, jakby gospodarz za nic nie chciał u siebie gości, ale nie pozostało mu nic, jak tylko ich do siebie przyzywać. Jakby za drzwiami czekała na nieostrożnych przybyszów śmiertelna pułapka, z której się nie wydostaną. Całe miejsce przesiąknięte było zapachem mrocznej, bardzo starej i bardzo złej magii. Magii obcej i jednocześnie wspaniale znajomej. Elpis chciwie wciągnęła w płuca tę niezwykłą woń, rozkoszując się jej przyprawiającym o zawroty głowy, niepowtarzalnym bukietem, czując, że zna ten zapach, choć nie potrafi już określić skąd, że ta mieszanka niezwykłych woni jest tym, za czym tęskniła przez niekończący się łańcuch kolejnych wcieleń. Zaproszenie niegościnnego gospodarza skierowane było właśnie do niej, a ona z całych sił pragnęła mu ulec, choć na razie instynkt samozachowawczy paraliżował jej ruchy, nie pozwalając zrobić kroku w przód, wiedziała, że potrzebuje jeszcze tylko trochę czasu, by go uciszyć i odpowiedzieć.

*Trzeba wejść do środka.*

Usłyszała jak głos Szarej Wilczycy wypełnia jej wnętrze. Skinęła głową, jednak nie ruszyła się z miejsca. Za drzwiami czekała odpowiedź na część jej pytań, kolejna karta z przeszłości, gotowa na to, by ją odwrócić i zobaczyć, wystarczyło tylko wyciągnąć rękę. Zew stworzenia, uwięzionego wśród czterech rozsypujących się ścian szarpał jej wnętrze, przyspieszając oddech a jednocześnie nie pozwalając oddychać, sprawiając, że każde uniesienie klatki piersiowej było torturą, na swój sposób przyjemną i trudną do zniesienia jednocześnie. Dziewczyna zadrżała, czując powiew zimna, nie mogący pochodzić z tego świata, zamrażający i zatrzymujący krążącą w jej żyłach krew, biegnący w stronę serca, rozszerzający źrenice i zabijający wolę.

Stojący tuż za nią kapłan nie odbierał jej odczuć, choć rozumiał, że miejsce, w którym się znaleźli jest ostatnim, w którym chciałby być. Czujne uszy Elfa wychwyciły jednak coraz rzadsze uderzenia pulsu dziewczyny, a niemal zamarzający na jego piersi amulet upewnił go, że dzieje się z nią coś niedobrego. Prędkim krokiem podszedł do czarodziejki i położył jej dłonie na ramionach. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Elfka drgnęła, zaczerpnęła gwałtownie powietrza i strząsnęła z siebie jego ręce. W porównaniu z przejmującym jej ciało w posiadanie zimnem przypominały rozżarzone żelazo i pały niczym ogień.

– Tak, wiem, trzeba wejść do środka – wyszeptala, jakby dopiero odpowiadając Wilczycy.

Powoli, pokonując dziwną niemoc, rozlewającą się po wszystkich członkach ciała, podeszła do drgających na zardzewiałych zawiasach drzwi. Wyciągnęła rękę, ale zanim zdołała ich dotknąć, same opadły, wzniesając obłok kurzu, który przez chwilę zakrył wszystko przed jej oczami. Szybko cofnęła dłoń, zaskoczona tym co zrobiła, lub co zrobił za nią ktoś inny. Czas na wahanie jednak już dawno się skończył, mogła tylko iść dalej. Przechodząc po spróchniałych deskach, które jeszcze przed chwilą były drzwiami weszła do środka. Pistis ignorując jakiś pierwotny lęk, błagający go by zawrócił, znalazł się tam zaraz za nią. Zamrugał, przyzwyczajając oczy do niemal całkowitej ciemności.

Czarodziejka stała na środku całkiem zwyczajnej izby, jedynym co mogło wzbudzać zaniepokojenie, były poprzewracane krzesła i potłuczone szczątki zastawy, walające się bezładnie po kamiennym klepisku, wskazywać mogące na to, że dawni mieszkańcy opuścili domostwo w popłochu, ale równie dobrze mogące nie oznaczać nic szczególnego. Najbardziej

niezwykli i nie z tego świata byli tu oni – czarodziejka, Elf i Wilczyca o dwóch głowach, przewyższająca ich oboje wzrostem. Pistis już niemalże odetchnął z ulgą, usiłując sam siebie przekonać, że tym razem się pomylili, a stary dworek jest tylko i wyłącznie tym, na co wygląda, czyli starym dworkiem, w którym dawno temu mieszkał ktoś, kogo już nie ma. Ani śladu obecności czarów, dawnych lub obecnych, nic ze wspaniałego i przerażającego zarazem wrażenia, które wprost przepęłniało powietrze i ziemię na zewnątrz. Jednak zachowanie jego towarzyszkę prędko pozbawiło go złudzeń.

Czarnowłosa Elfka stała na środku izby, nieruchoma i zadumana, wpatrując się w drzwi do przyległego pomieszczenia. Nie widziała ani Elfa, ani Szarej Wilczycy, ani ona, ani on nie istnieli. Na całym świecie były tylko te drzwi, niewielki otwór przysłonięty pomarszczoną zasłoną, która niegdyś była pewnie granatowa... Liczyły się tylko one i to, co można było znaleźć za nimi.

Choć nie zrobiła nawet jednego kroku, wydało jej się, jakby w chwili potrzebnej może na jeden głębszy oddech znalazła się tak blisko drzwi, że wystarczyło wyciągnąć rękę, by dotknąć poszarpanej zasłony. Tkanina gwałtownie zafalowała, jakby coś, co kryje się po drugiej stronie z całych sił próbowało wydostać się na zewnątrz. Jeden z jej dolnych rogów unosił się na moment i czarodziejka wstrzymała oddech w oczekiwaniu na to, co wypełni z ciemności. Kotara opadła jednak. Żeby zobaczyć moc, która się tam kryje, trzeba było wejść do środka. Westchnęła i wyciągnęła przed siebie rękę.

Elf patrzył na nią uważnie i z niepokojem. Dziewczyna nadal stała na środku izby, pomiędzy przewróconym krzesłem a krzywo zawieszoną na ścianie szafką. Dobrze widział, na co od tak długiego czasu patrzy, ale drzwi znajdowały się od niej w co najmniej pięciometrowej odległości. Przed nią była tylko pusta przestrzeń...

Pod palcami wyczuła szorstką, pokrytą kurzem tkaninę. Zasłona po raz kolejny zafalowała, czarodziejka poczuła szybki ruch, jakby po jej palcach przemknęło ciało węża. Brunatnego węża o złotych cętkach i oczach o pionowych źrenicach... Głębiej zanurzyła dłoń w fałdach materiału. Owionął ją delikatny powiew magii, która narodziła się na długo przed narodzeniem świata i w tej samej chwili poczuła ból i katusze stworzenia, uwięzionego za kotarą. Ogarnęła ją taka niezmierna pustka i tęsknota, że wydało się jej, że na całym świecie nie ma nic prócz tęsknoty, że cały świat wokół jest tęsknotą, że ona sama jest tęsknotą. Czarny demon tęsknił za jasnością i za wysoką postacią, obleczoną w promienie słońca, ze słońcem we włosach i z krwawymi śladami na dłoniach i stopach; tęsknił, nienawidząc jej jednocześnie. Chciał paść przed nią na kolana i wbić jej w plecy sztylet, ale kolana żadną siłą nie dawały się zgąć, a sztylet pękał w dłoni, raniąc ją tysiącem szklanych odłamków. Tyle przeciwstawnych uczuć: miłość, strach, nienawiść, tęsknota, cierpienie, uwielbienie, zazdrość, słabość i moc zebranych w jednej osobie i od miliardów lat poszukujących ujścia, którego nie miały znaleźć nigdy, przepęłniały ją teraz, tak jak przez cały czas przepęłniały brunatnego węża. Czarodziejka krzyknęła, nie wydając z siebie żadnego dźwięku. Poczula, jak pod przymkniętymi powiekami gromadzą się łzy i siłą powstrzymywała się, by nie szlochać głośno. Odnajdując jakąś piekielną rozkosz w tym cierpieniu, jeszcze silniej napaarla ręką na materiał.

W tej samej chwili Pistis i Wilczyca przestali ją widzieć. Dziewczyna znikła, porwana podmuchem dawnych mocy. Elf wydał stłumiony okrzyk i pobiegł w miejsce, gdzie czarodziejka stała jeszcze przed chwilą. Jego wyciągnięte ręce napotkały tylko pustkę... Tajemniczy podmuch stał nawet z pokrytej kurzem podłogi ślady jej kozaków, jakby czarodziejki nigdy tu nie było...

*Dotknęła tego!*

Usłyszał nagłące wołanie Szarej Wilczycy. Drapieżnik stał obok ciężkiej kotary i hipnotyzował go spojrzeniem czerwonych ślepi. Wiedział, że nie ma czasu na zastanawianie się.

Elfka została zmuszona do walki z drugim szatanem, a on musiał iść za nią, nieważne dokąd, wiedział, że musi. Kapłan pobiegł do drzwi i wyciągnął rękę. Poczł dotknięcie granatowego materiału i mocny powiew wiatru, ale nic poza tym.

Po krótkiej podróży pomiędzy dwoma światami zobaczył przed sobą długie, czarne włosy i fioletowy płaszcz poszukiwanej dziewczyny. Stała na zimnej, kamiennej posadzce, a przed nią, wijąc się w złotych splotach, leżał brunatny wąż o oczach, w których przelewało się płynne złoto, ze złotymi cętkami – większymi na grzbiecie i mniejszymi po bokach ciała.

*Znam twoje imię, Astaroth – usłyszał głos czarodziejki w swojej głowie. Poznałam je o wiele wcześniej, o wiele wcześniej złamałam twoją wolę, nie masz wyboru, musisz ulec i podążyć za mną.*

Szatan w skórze węża wpatrywał się nieruchomo w jej twarz. Sprawiał wrażenie, jakby chciał się na nią rzucić, ale jakaś tajemnicza siła trzymała jego moc na uwięzi, nie pozwalając na nic więcej jak tylko szamotanie się na wysokim stosie kamieni, na którym leżał.

*Wiem, czego żądasz, Piekielny i przynoszę ci to. Dano mi moc sprowadzenia na was śmierci i obiecuję ci śmierć, jednak najpierw musisz przyrzec mi posuszeństwo.*

Szczęki węża rozwarły się, ukazując ostre zęby wypełnione jadem i długi, rozdwojony na końcu język. Z jego gardła nie wydobył się żaden dźwięk, szatan nie wykonał żadnego ruchu, ale w tej samej chwili dziewczyna osunęła się na kolana. Trucizna jadu, którym Astaroth leczył ją zaledwie parę dni temu, zaczęła krążyć w jej żyłach, paraliżując i nie pozwalając zrobić kroku. Złoty wąż zaczął pełznąć w jej kierunku.

Pistis szarpnął się i chciał biec w stronę dziewczyny, ale drogę zastąpiła mu Szara Wilczyca, obnażając kły i warcząc głucho.

*Stój, głupcze! Ona sobie poradzi, a dla ciebie ukąszenie szatana jest śmiertelne. Zostań, gdzie jesteś!*

Elpis klęczała, jedną ręką opierając się o posadzkę, a drugą z trudem podnosząc do czoła. Brunatno-złoty wąż podwójnie oplótł ją w pasie swoim ciałem. Dłoń czarodziejki opadła bezwładnie.

*Nie musisz tak się szarpać, wyklęta przez wszystkie ludy tego świata. Jest inna droga, krótsza, łatwiejsza. Droga przez ogień. Wystarczy, że pozwolisz mi zajrzeć w głęb ciebie i zobaczyć, kim naprawdę jesteś, a wszystko się skończy. Stary czarodziej nie ma prawa nas budzić, bo czas jeszcze nie nadszedł. Wiesz o tym. Przeczuwasz. Przecież ty też widziałaś... Twarz Boga o smutnych oczach...*

Świat wokół zwirował, sprowadzając na nią coś w rodzaju sennego odrętwienia. Przed jej oczami zaczęły przesuwać się wizje, kolorowe obrazy o wiele wyraźniejsze od tych, które kiedyś sprowadził na nią Leviathan. Na utkanym z odblasków tęczy tronie zasiadał Bóg bez twarzy, ale o siedmiu tysiącach błękitnych oczu, a w każdym oku była nieskończoność i krwawe łyzy. Za boskim tronem, drżąc z żalu i nienawiści, stał Lucyfer, ukochany anioł Pana, anioł, który odrzucił skrzydła. Siedem tysięcy oczu spoczęło na sylwetkach siedmiu skulonych u Jego stóp postaci.

*Dlaczego? – pytał Bóg, choć doskonale znał odpowiedź, której nie znali nawet oni. Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?...*

W tej samej chwili czarodziejka zdała sobie sprawę, że ona też klęczy przed szklanym tronem i że pytanie Najwyższego skierowane jest też do niej i w tym samym momencie, gdy to pojęła, siedem tysięcy oczu spojrzęło jednocześnie w jej stronę. Krwawy wzrok Boga zabiłby ją natychmiast, gdyby nie to, że już była martwa, martwa na zawsze przez to, co zrobiła. Co zrobiła?... I dlaczego?...

*Nie!*

– Nie!!! – krzyk wyrwał się jej z gardła, przywracając swobodę ruchów, zerwała się



z posadzki, strącając z siebie złote cielsko węża. – Nie! Za nic! Nie zmusisz mnie, bym przeżywała to po raz drugi! Nikt mnie do tego nie zmusi! To nie ty masz mnie opanować, Astaroth! To ja pokonam ciebie. Patrz na mnie, przeklęty!

Podniosła rękę w górę, przyzywając i skupiając w sobie moc, zdolną opanować gada. Szatan niechętnie podniósł oczy na twarz Elfki. Nie mógł się jej sprzeciwić. Już nie.

– Ty też tam byłeś, Astaroth. Przypomnij sobie, co czuleś, klęcząc przed tronem Boga – Światłości. Przypomnij sobie bezdenną pustkę, która nigdy nie miała się skończyć. Zobacz to wszystko, co ja widziałam przed chwilą i oddaj mi się, bo posiadam moc, która zakończy to wreszcie.

Złoto cętkowany wąż zasyczał wściekle.

*Czego żądasz, szalona wojowniczo szalonego plemienia?*

*Pomożesz mi ocalić dziecko, które mi powierzono. Kiedy nadejdzie czas, będziesz ochraniał go, choćby przyszło ci w jego ochronie zginąć, a jeśli ja polegnę, powierzę go tobie. Kiedy ono będzie bezpieczne, uwolnię cię. Złóż przysięgę, Astaroth. Nie masz wyboru.*

Nie miał. Zdawał sobie z tego sprawę.

*Kiedy będziesz mnie potrzebować, po prostu mnie wezwij. Odpowiem.*

Wąż skoczył bez ostrzeżenia i oplótł kilka razy ramię dziewczyny, szeroko otwierając szczęki. Elfka krzyknęła i zacisnęła powieki, ale potężny wąż znieruchomiał i zniknął. Z niedowierzaniem otworzyła oczy i podwijając rękaw płaszcza, spojrzała na swoją rękę, którą jeszcze przed chwilą spowijało jego brunatne ciało. Nieco powyżej łokcia miała cieniutką bransoletkę, przedstawiającą węża dwa razy oplatającego jej rękę i ukazującego długie kły. Bransoletka połyskiwała czernią, brązem i złotem. Czarodziejka czuła pulsujące w niej życie, które powoli zapadało w sen.

\*\*\*\*

Bóg o smutnych oczach, który kocha swoje dzieci, ale też potrafi je ukarać, kiedy Mu się sprzeniewierzą... Bóg, który zsyła niekończące się katusze, ale i obiecuje odkupienie... Najwyższy Władca, płaczący krwawymi łzami nad grzechem swoich ukochanych aniołów... Nad grzechem ich wszystkich. Nad grzechem całego świata... Ale to już było...

Elfka jęknęła i ukryła twarz w dłoniach i w tej samej chwili poczuła, jak obejmują ją czyjeś opiekuńcze ramiona. Zanim zdała sobie sprawę, że to ramiona stojącego do tej pory z tyłu Pistisa, odwróciła się do niego i przytuliła się do ciepłej, pachnącej wiatrem i trawą postaci. Przymknęła powieki, ale obraz Boga o siedmiu tysiącach smutnych oczu za nic nie chciał zniknąć.

*Nienawidzę cię, Astaroth. Nienawidzę cię za to, że mi to pokazałeś.*

Po policzku dziewczyny potoczyła się łza.

– Zabierz mnie stąd, Pistis... Tak bardzo cię proszę...

Kapłan pochylił się i jedną ręką podtrzymując ramiona dziewczyny, drugą chwycił ją pod kolana, biorąc ją na ręce. Skuliła się i nie otwierając oczu, jeszcze bardziej przyłgnęła do Elfa. Pistis szczerze chciał spełnić prośbę czarodziejki, ale nie miał pojęcia, w którą stronę należy iść, by znaleźć wyjście. Nie wiedział, czy wyjście w ogóle istnieje. Drzwi z magiczną kotarą, portal przez który się tu dostali, znikły. Kapłan rozejrzał się wokół. Jego wzrok zatrzymał się na stojącej u podnóża kamiennych stopni Szarej Wilczycy. Zwierzę wpatrywało się w niego czerwonymi ślepiami, wyraźnie czekając. Widząc, że nie ma innej drogi, ruszył za waderą. Nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że podąża za demonem, zaczął szeptać cicho:

– Ojczy nasz, który jesteś na niebie, niech się święci imię Twoje. Niech przyjdzie królestwo Twoje; niech Twoja wola spełnia się na ziemi, tak jak i w niebie. Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj; i przebacz nam nasze winy; jak i my przebaczymy tym, którzy

przeciw nam zawinili; i nie dopuść, abyśmy ulegli pokusie, ale nas zachowaj od złego...

Słowa Elfa, choć niezrozumiałe, niosły ukojenie i spokój. Udało im się nawet na chwilę zatrzeć to, czego zatrzeć nie można było żadnym sposobem. Usunąć w cień obraz, który – wiedziała to – będzie powracał.

Ostrożnie stawiając stopy na nierównych kamieniach, Pistis powoli wspinał się w górę. Dopiero teraz dał sobie sprawę z tego, że byli pod ziemią. Poczul się znacznie lepiej, kiedy wiatr uderzył go w twarz, jakby pozwalając na nowo zacząć oddychać, czystym, nie skażonym grozą powietrzem. Kapłan rozejrzał się wokół. W pierwszej chwili nie rozpoznał okolicy, ale po kilku sekundach zdał sobie sprawę, że są dokładnie tam, gdzie jeszcze niedawno stał z trudem opierający się działaniu czasu drewniany dworek. Teraz nie było po nim śladu. Znikła też Szara Wilczyca, która pozwoliła mu znaleźć wyjście z podziemnej jamy. W pewnym oddaleniu od nich stał za to nadnaturalnie wielki czarny koń bez uprzęży, koń o czerwono-złoty oczach. Elf, który już prawie pogodził się z myślą, że będzie musiał nieść uśpioną Elpis całą powrotną drogę, nie zdawał sobie wcześniej sprawy, że kiedykolwiek może go tak ucieszyć widok Leviathana. Pierwszy przebudzony Upadły podszedł do nich, czekając.

Czarodziejka otworzyła oczy i spojrzenia jej i piekielnego rumaka skrzyżowały się. W oczach Leviathana była zarówno niechęć jak i uznanie. Dziewczyna wzdrygnęła się, jakby dopiero dotarło do niej, że nadal znajduje się w objęciach Elfa.

– Postaw mnie nie ziemi, proszę – jej głos był szorstki, jakby żałowała lub wstydziła się swojej niedawnej słabości.

Milcząc, spełnił jej żądanie. Zachwiała się, ale kiedy chciał ją podtrzymać, odsunęła się o krok i odgrodziła od niego wyciągniętą ręką.

*Leviathan, co z pozostałymi? Wysłała niecierpliwy przekaz.*

*Wierzchowiec koloru nocy potrząsnął dumnie łbem.*

*Są bezpieczni. Kiedy wyruszałem, nic im nie zagrażało. Wiedzą o nim.*

Wzrokiem wskazał ramię Elfki, oplecione brązowo-złotą bransoletką w kształcie węża. Dziewczyna skinęła głową z ulgą, podeszła do konia i lekko odbijając się od ziemi, znalazła się na jego grzbiecie. Rumak okręcił się w miejscu i zwrócił w stronę Elfa.

– Wsiadaj – znów na niego nie patrzyła, zaczynało go to powoli irytować. – Już po wszystkim. Wracamy.

– Jeszcze nie – głos miał mocny i pewny.

On z kolei patrzył prosto w jej twarz, zmuszając ją, by odwzajemniła spojrzenie. W końcu osiągnął cel. W jej oczach była pustka i ból, mimo że czarodziejka za wszelką cenę starała się trzymać się dumnie, starcie z Astarothem zabrało jej coś, pozostawiając w środku ziejącą jamę. Kapłan poczuł, jak zimna pięść zaciska mu się wokół serca, zalewając je falą nienawiści. Kain... To przez niego stała się tym, kim była, to przez niego cały ten ból. Szybko odsunął te myśli, starając się zagrozić jej do nich drogę.

– Jeszcze nie jest po wszystkim – powtórzył miękko. – Wsiadę, ale dopiero jak mi obiecasz, że nie zrobisz jakiś sztuczek z kontrolowaniem mnie czy Leviathana i że najpierw pojedziemy tam, gdzie ja zechcę. Musimy wrócić do ciała szarego Wilka.

Elpis zamrugnęła, zdziwiona. Nie spodziewała się takiego żądania. To było tak głupie i absurdalne, że nie przyszło jej nawet do głowy pytać, dlaczego.

– Nie chcę – odpowiedziała po prostu.

– Ja też nie chcę, ale musimy – nadal patrzył śmiało w jej oczy.

– Wcale nie musimy. Poza tym Człowiek i Wampir zostali sami, nie wolno nam bezsensownie tego przedłużać.

– Nic im nie grozi. Gdyby cokolwiek się działo, Stella powiadomiłaby mnie o tym. Moja

klacz – dodał, widząc zdziwienie na twarzy Elfki.

Dziewczyna przez chwilę obserwowała go w milczeniu.

– Nazwałś martwego konia imieniem gwiazdy? – zapytała bezbarwnym głosem.

Kapłan potrząsnął głową, teraz z kolei on wydawał się zaskoczony.

– Nie nazwałem. To jej imię. Rozmawiam z nią tak, jak ty z Leviathanem. Z pozostałymi też. Myślałem, byłem przekonany, że...

– Nie – odpowiedziała na nie zadane pytanie.

Oczywiście... Dla niej ich wierzchowce były tylko rumakami, których przeznaczeniem, może pokutą, jest pomóc im w wykonaniu misji, nigdy nawet nie próbowała nawiązać z nimi kontaktu. Tymczasem kapłan nie byłby prawdziwym przedstawicielem swojej rasy, gdyby nie dostrzegł w koniach czegoś więcej, zwierząt, którymi kiedyś były, z którymi można nawiązać nie porozumienia. Nieproszone napłynęły do jej głowy myśli o ochronnej bańce, nie pozwalającej nic poczuć i o powolnym umieraniu kawałeczek po kawałeczku, dzień po dniu, aż nic już nie zostanie. Zadrżała.

– Musimy wrócić do ciała Wilka – powtórzył kapłan spokojnie i powoli, jakby tłumaczył coś dziecku. – Bo on był jeszcze niedawno żywym, czującym stworzeniem, które zginęło w jedyny sposób, który uznało za słuszny i nie zasłużyło na to, by je tak potraktować. Bo jestem Elfem i potrzebuję tego. Bo ty też nim jesteś i potrzebujesz tego nawet bardziej niż ja, choć nie zdajesz sobie z tego sprawy. Bo chcę ci się odwdzińczyć, tak jak potrafię, za wizję o jednorożcach i za przebudzoną nadzieję. Bo... – głos mu zadrżał, ale szybko nad nim zapanował. – Bo mam ochotę gołymi pięściami roztrzaskać tą przeklętą bańkę na tysiące części. Bo nie zgadzam się na codzienne umieranie kawałek po kawałku. Bo nie pozwolę, żeby nic nie zostało – dokończył śmiało, ani na chwilę nie odrywając oczu od jej twarzy.

Zaskoczenie.

Ból.

Strach.

Niechęć.

To wszystko malowało się na jej obliczu, zmieniał się tylko stopień natężenia poszczególnych uczuć. Właśnie tak. Tak było prawidłowo. Bo żadna żyjąca istota nie może nie czuć. Doskonale zdawał sobie sprawę z własnej brawury i bezczelności. Po raz pierwszy udało mu się wyłoić z jej głowy chaotycznie przepływające myśli, te do których dostęp mieli do tej pory tylko Kain i Wilczyca i zuchwale użył ich przeciw niej. Strach zmienił się w przerażenie, które szybko skryła za zasłoną obojętności. Bała się go...

Leviathan poderwał przednie kopyta do góry, gotowy zaszarżować na Elfa, ale dziewczyna gwałtownie osadziła go na miejscu. Powoli skinęła głową, godząc się.

\*\*\*\*

Wpatrywała się w płomień, strzelające wysoko ku niebu i tańczące na kawałkach drewna i ułożonym na nich ciele, nie mogąc uwierzyć, że naprawdę to zrobili. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz budowała stos pogrzebowy i kogo na nim złożono, jednak wiedziała z całą pewnością, że nigdy, przenigdy do tej pory w głowie jej nawet nie powstała myśl, by zbudować go dla którejkolwiek ze swoich ofiar.

Kątem oka zerknęła na stojącego obok niej Elfa. Kapłan głowę miał pochyloną, oczy przymknięte, prawą dłoń wsparł na sercu, a jego usta poruszały się w rytm szeptanej bezgłośnie modlitwy. Elpis nie знаła modlitw odpowiednich na taką właśnie okazję, w ogóle nie znała i nie rozumiała znaczenia słów, które Ludzie i Elfy zwykli kierować do swoich Bogów w chwili zagrożenia, smutku czy radości. Kain potrafił się modlić, jednak nigdy nie próbował jej nauczyć, a ona ani razu nie zapytała. Nie wiedziała, co powinna powiedzieć i z kim rozmawiać –

z niewidzialnym, dalekim Bogiem, czy może z nieszczęsnym synem Szarej Wilczycy? Tylko jakie właściwie słowa mogłaby do niego skierować? A może powinna po prostu życzyć mu spokojnego snu? Nie... Dla niej to było groteskowe i zbyt trudne. Ale obok był kasztanowowłosy kapłan, który sprawiał, że stawało się naturalne i potrzebne.

*Bo to jest groteskowe i nedorzeczne. Gdybyś miała składać stos każdemu zwierzęciu, którego krew wytoczysz...* – usłyszała w swojej głowie głos Leviathana.

*Zamilcz. Po prostu zamilcz.*

Nie była na niego rozgniewana. Była spokojna i opanowana, przekazywała tylko informację, jasny komunikat.

Nie wzywana napłynęła myśl o czarnym Aronie, pozostawionym na łasce kruków i Cienia, ze strzaskanym kręgosłupem i oczami, których nikt nie zamknął. Może to właśnie jego powinna przeprosić? Nie będzie budować stosu dla każdej ze swoich ofiar, to oczywiste, ale ten właśnie ogień był potrzebny. Trawiąc ciało Wilka, zdawał się też tańczyć spokojnie w jej wnętrzu, osuszając nagromadzone tam łzy, którym zakorzeniona głęboko дума nie pozwoliła popłynąć. Mimo że oboje ślania się na nogach, nieprzerwanie trzymali wartę, dopóki ostatni czerwony płomyk nie zgasł na zawsze, bo potrzebowali tego. Potrzebowali dodatkowego zmęczenia ciała, by pozwolić znaleźć odpoczynek udręczonej duszy. To było jak katharsis. Cudownie oczyszczające, przeżywane w milczeniu katharsis, które nie wymagało głośnych szlochów ani przesadnego uzewnętrzniania przeżyć.

Kiedy stos zgasł już całkiem, las ponownie ogarniał świt.

Opuszczali to miejsce na grzbiecie Leviathana, pozostawiając dymiące szczątki grobowca za sobą. Jechali w ciszy, jakiegokolwiek słowa wydawały się zbędne. Czarodziejka czuła się co najmniej dziwnie, dzieląc z kimś wierzchowca, tym bardziej, że w miarę upływu czasu niepokój powracał. Dziś pokazała kapłanowi za dużo i zrobiła to w sposób zbyt brutalny. Nie mogła oczekiwać, że jego stosunek do niej się nie zmieni. Właściwie nie powinno to być ważne, ale w jakiś niepojęty sposób było. Była drapieżnikiem i on doskonale zdawał sobie z tego sprawę, jednak widział w niej też Elfa, o którym ona sama zdawała się czasami zapominać. Cóż jeszcze – być może strasznego i potwornego – w niej dostrzegął?

Siedzący za nią Elf myślał o przepelnionych bólem oczach, które spoczęły na jego twarzy, gdy czarodziejka usłyszała o jego kontakcie z widmowymi wierzchowcami, w których ona dostrzegła tylko cienie bez głębszych uczuć. Myślał o strachu, który zobaczył w jej oczach, kiedy zatrzymała bestię w swoim wnętrzu i nie pozwoliła jej uczynić mu krzywdy zaraz po tym, jak nie myśląc o możliwych konsekwencjach tego, co robi, odciągnął ją od ciała Wilka. O obietnicy zakłętej w jej źrenicach, kiedy opowiadała mu o magii, pozwalając nadziei zakiełkować. Była niebezpieczną zagadką, straszliwie skrzywdzonym eksperymentem Kaina, który nie miał prawa się udać, a jednak wbrew wszelkim prawom trwał i co dzień od nowa umierając, przeżył po wielokroć długość życia przypisaną jakiegokolwiek istocie.

Zaczerpnął głęboko powietrza, niczym nurek przed skokiem na głębię bez jakiegokolwiek asekuracji i w myślach ucałował obie naznaczone bólem powieki. Czuł, jak dziewczyna zastyga i nieruchomieje, jakby całe jej ciało zamieniło się w spizowy posążek. W żaden jednak inny sposób nie dała mu odczuć, że cokolwiek zauważyła. Czekał jeszcze jakiś czas, zszokowany własną bezczelnością, jednak doczekał się tylko obojętności. Nie zrzuciła go z konia, nie położyła trupem na miejscu, nie obdarzyła go nawet spojrzeniem, pod którym skurczyłby się w sobie i poczuł nędzniejszy niż gryzący ziemię robak. Bardzo powoli wypuścił z płuc zbyt długo powstrzymywane powietrze. Nie wiedział, jak powinien się w takiej sytuacji czuć. Być może obojętność była jedyną i najlepszą odpowiedzią, na jaką potrafiła się w tej chwili zdobyć.

Nie wiedział. Nic już nie wiedział...

# Rozdział 7

## Powietrze, ogień, woda

Kiedy dotarli do małego, prowizorycznego obozowiska wśród drzew, Farys i Sylwan siedzieli skuleni przy niewielkim ognisku, tłącym się tylko na tyle ile było konieczne, by utrzymać dający ciepło płomień. Przybycie czarnego wierzchowca i jego jeźdźców powitali z wyraźną ulgą, a po ich podkrążonych oczach i zmęczonych twarzach widać było, że im również zeszła noc minęła na czuwaniu. Elpis uświadomiła sobie z przerażeniem, że powodem tego było zimno. Walcząc z Astarothem musiała zerwać ochronne działanie czaru, nie pozwalającego im go odczuwać, a potem najzwyczajniej nie przyszło jej do głowy, że czar może nie działać i nawet nie pomyślała o tym, by go odnowić. Odganiając sprzed oczu wizje tego, co mogliby zastać, gdyby senność jednak ich zwyciężyła, Elfka zeskoczyła z konia i podbiegła do Człowieka i Wampira, kolejno chwytając ich za zgrabiące dłonie i szepcząc zaklęcie.

– Wybaczcie, my... Coś nas zatrzymało. Mówiłeś, że cię ostrzeże – warknęła na Elfa, który właśnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy podszedł do białego widmowego wierzchowca.

– Próbowała – odpowiedział po chwili. – Wielokrotnie usiłowała nawiązać kontakt, ale coś go zakłócało i sygnał do mnie nie docierał.

– Bo przekazywanie myśli na odległość to coś, czego nie opanujesz w kilka dni. Jak mogłam być tak głupia? To, że komunikujesz się z nią, kiedy jest obok nie znaczy, że uda ci się odebrać przekaz, gdy jesteście po przeciwnych krańcach lasu. Niech to diabli!

– W porządku – wydusił Farys, przytrzymując jej rękę. – Zjawiliście się w samą porę, pani.

Czarodziejkę zaalarmowało coś w jego oczach, coś trudnego do uchwycenia. Wyglądał gorzej niż Wampir, ale to było oczywiste, rasa Ludzi była najslabsza fizycznie spośród wszystkich pozostałych, ale tu nie mogło chodzić tylko o zimno. Jego zapach był dziwny, a oblicze wyglądało jakby odpłynęła z niego cała krew. Krew... Dziewczyna odsunęła na bok płaszcz, którym Farys był okryty, a widok upewnił ją, że się nie myli. Koszulę na prawym ramieniu miał poszarpaną i czarną od zakrzepłej już niemal krwi. Elpis rozerwała niecierpliwie materiał i rzuciła okiem na ranę, wyglądało to na precyzyjnie zadane pchnięcie, dosyć głębokie, jednak nie zagrażające życiu, mimo dużej utraty krwi. Zaklęła i oparła na ranie otartą dłoń, kumulując w niej moc, zdolną zasklepić jej brzegi.

Farys przymknął oczy, poddając się jej dotykowi, czując jak całe jego ciało zalewa życiodajne ciepło, którego nie potrafił dać ogień. To było jak zanurzenie się po czubek głowy w gorącym źródle, którego wody nie tylko obmywają zewnętrzną powłokę ciała, ale przepływają przez wszystkie jego narządy, przywracając im zdolność funkcjonowania po długim, bardzo długim okresie bezczynności, a zarazem jak zapadanie w sen wśród niewyobrażalnie miękkich pierzyn. Sen... Potrzebował snu, chciał zasnąć.

– Jak do tego doszło? – z odrętwienia wyrwał go brutalnie niecierpliwym głosem Elfki.

Z trudem rozchylił powieki. Dziewczyna klęczała obok niego, sama wyglądała jakby potrzebny był jej spoczynek. Czując się znacznie lepiej, usiadł, przyplacając gwałtowny ruch zawrotem głowy. W miejscu rany pozostała blizna, wyglądająca na kilkudniową. Dotknął zgrubiałej tkanki, niedowierzając, jednak palce potwierdziły to, co widziały oczy.

– Jak to się stało? Kto to zrobił? – ponagliła, nie doczekawszy się odpowiedzi.

Człowiek spuścił głowę, unikając jej wzroku.

– To był nieszczęśliwy wypadek, sam nie rozumiem, jak to możliwe...

Czarodziejka podniosła oczy na Wampira, ale milczący dotąd Sylwan uniósł ręce w obronnym geście.

– Na mnie nie patrzcie. Nie tknąłem go.

– Stella mówi coś o nietoperzach, – wtrącił kapłan – o cieniach nietoperzy.

Farys zagryzł wargi i uciekł spojrzeniem w bok. Wampir patrzył prosto na nich, ale nic nie mówił. Elpis zaczynała tracić cierpliwość.

– Muszę wiedzieć, co zaszło. Zaraz zabiorę ci to wspomnienie siłą, a to nie będzie przyjemne, więc radzę ci zacząć mówić.

– Dobrze – Człowiek skapitulował. – Nie ma zbyt wiele do opowiadania i trudno mi się do tego przyznać. Ja chciałem tylko trochę poćwiczyć. Nie mam pojęcia, co Elf zrobił z łukiem, ale wiem, że go nie ma, więc zostałem jedynym członkiem drużyny, który posiada broń.

– Do rzeczy – ponagliła go łagodnie. – Nie powinieneś teraz za wiele mówić, ja tylko zasklepiłam ranę, nie potrafię oddać ci krwi, którą straciłeś.

– Tam rzeczywiście był nietoperz, ale... nie zachowywał się jak nietoperz. On... patrzył. Cały czas patrzył. Irytował mnie. Teraz to wydaje się jeszcze bardziej niedorzeczne, aż głupio o tym mówić... Chciałem go strącić i... miecz odbił się od gałęzi, albo... sam nie wiem.

Brwi Elpis powędrowały do góry, a jej twarz zastygła w wyrazie bezbrzeżnego zdumienia i złości. Człowiek spuścił wzrok.

– Więc mam uwierzyć, że sam się pchnąłeś?

– Tak było.

Czarodziejka nie wiedziała, co o tym myśleć. Nie kłamał, ale nie mówił jej całej prawdy. Sposób zadania rany, kąt pchnięcia i jej położenie przeczyły takiej wersji. W jej głowie narodziła się pewna koncepcja i choć na pierwszy rzut oka niedorzeczna, nie odrzuciła jej. Skinęła głową.

– Niech tak będzie. Słuchajcie wszyscy. Nietoperze nie są do końca tym, na co wyglądają, z pewnością zauważyliście, że zachowują się co najmniej dziwnie. Po pierwsze jest ich za wiele i słychać je za często, zarówno w nocy jak i w dzień. Nie wiem jeszcze, dlaczego, ale się dowiem. Na razie, choćby nie wiem co robiły i nie wiem jak wyprowadzały was z równowagi, zabraniam czynić im jakiegokolwiek krzywdy. Tu dzieje się coś, czego nie rozumiemy. Istoty starsze od was zamieszkują ten las, niebezpiecznie byłoby je obrażać, bo póki co jest on dla nas najlepszą kryjówką.

Wstała i przecesała włosy palcami. Pistis nadal szeptał z koźmi, Wampir siedział nieporuszony i spokojny.

– Udało się wam zdobyć coś do jedzenia?

Sylwan potrząsnął głową.

– Zaraz po odejściu Leviathana to się stało – wskazała na Farysa. – Więc nie ruszaliśmy się sprzed ognia. Być może potrafiłbym przynieść jakieś zwierzę, nie zabijając go po drodze, ale nie chciałem, by zasnął.

– Mogę odnaleźć i zebrać rośliny, które przetrwały pod śniegiem, ale nie potrafię przyrządzić zwierzęcia – zaoferował się kapłan.

– Zupa z mchu. Brzmi zachęcająco – Farys uśmiechnął się blado.

– Ja na pewno potrafię coś upolować i przynieść, ale w życiu nic nie gotowałam, bo i po co? – dodała Elfka.

– Ja potrafię podzielić i przyrządzić cokolwiek przyniesiesz – Człowiek walczył z sennością.

– Ty idziesz spać – nakazała mu stanowczo, nie pozostawiając miejsca na wątpliwości. Nie próbował protestować, z ulgą przymknął oczy, poddając się działaniu szarej mgły

okrywającej cały świat.

– Dobrze już, ja to zrobię – zgodził się Wampir, nie potrafiąc zachować powagi na widok ich zdziwionych min. – Kiedyś byłem Człowiekiem, więc coś jeszcze pamiętam. Spróbuję.

Czarodziejka też się uśmiechnęła, starając się nie poddać irytacji spowodowanej tym i wieloma pewnie innymi równie absurdalnymi powodami, które w tak oryginalnej mieszance ras musiały stanowić swego rodzaju problemy. Dla niej i dla Sylwana zdobycie pożywienia było kwestią kilku, może kilkunastu minut, a nawet jeśli nie byłoby na to czasu, nie musieli koniecznie jeść. Czują, że wszystkim, czego teraz potrzebuje jest sen, ale ze względu na obecność w grupie rannego Człowieka na razie tę potrzebę musiała odsunąć na dalszy plan. Stracili całą dobę, chociaż jeśli spojrzeć na szybkość, z jaką zdolności rozbudzały się w elfickim kapłanie, nie należało traktować jej jako straconej. Mimo wszystko jednak nawet nie zaczęła treningu z Farysem i Sylwanem. Pozostawał jeszcze problem nietoperzy, dziwnego stworzenia, które słyszeli w lesie, ale którego nie udało im się zobaczyć i kwestia rozmowy, którą mieli odbyć, kiedy Człowiek się obudzi. Rozmowy o rzeczach, o których wiedział Pistis, a które Kain najwyraźniej przed nimi zataił. Czy właśnie to mieli na myśli jej mistrz i Wilczyca, kiedy mówili, że nie udźwignie ciężaru trzech uczniów? Odsunęła te myśli.

– Przez jakiś czas powinien spać, a ja i tak chciałam czegoś spróbować. Wypocznijcie – zwróciła się do Elfa. – My z Sylwanem wrócimy z zajęciem albo z kuropatwą i obudzimy cię, nie ma sensu wcześniej zbierać roślin, zwiędną. Będziemy tu za jakieś dwie, trzy godziny.

Wampir skinął głową, podniósł się z ziemi i ruszył za dziewczyną. Pistis poczuł, jak wzbiera w nim bunt.

– Wybacz, pani, ale uważam, że ty również powinnaś się najpierw chociaż trochę przespać.

Elpis zatrzymała się, jakby szarpnięta niewidzialną liną. Była zmęczona, owszem, ale знаła swoje możliwości. Czy znów ośmielił się sięgnąć do jej głowy? Nie odwróciła się w jego stronę, ale czuł promieniejący od niej gniew, wściekłość. Była wściekła. Po jej stosunkowo dobrym nastroju nie pozostał nawet ślad.

– Powiem to tylko raz i nie prowokuj mnie, bym musiała kiedykolwiek powtarzać – jej głos był zimny i beznamiętny, każde słowo było jak smagnięcie batem. – Nie obchodzi mnie, co roisz sobie w głowie, ale chcę, żeby było jasne, że nie masz i nigdy nie będziesz miał prawa mówić mi co powinnam, a czego nie powinnam robić. I nie podoba mi się, że sobie takie prawo uzurpujesz, więc lepiej przestań.

Zignorował bezbrzeżnie zdumione spojrzenie Sylwana. Patrzył jak odchodzi, czując się pusty i bardzo, bardzo zmęczony. Spóźniona reakcja w zamian za tak długą obojętność. Spojrzenie, pod którym poczuje się nędzniejszy niż gryzący ziemię robak... Więc udało jej się osiągnąć efekt, nie patrząc. Przysiadł na ziemi i już miał układać się obok ogniska, kiedy zauważył wpatrzony w siebie oczy Farysa. Może zmęczenie i zszargane nerwy to sprawiły, ale w pierwszej chwili pobladła twarz naznaczona cieniem wydała mu się martwa, odetchnął więc z ulgą, kiedy Człowiek zamrugął.

– Czy ona każdy przejaw troski musi traktować jak atak na siebie? – zapytał kapłan, by cokolwiek powiedzieć. – Elfy się tak nie zachowują.

– Ludzie się tak zachowują. Czasami. Niektórzy.

Zasepił się. Ludzie... Była Człowiekiem, chociaż jest przekonana, że to życie na nic się nie zdało i nic w niej nie pozostawiło. Była nim, zanim Kain nie stwierdził, że już wystarczy i zanim jej nie zabił... Zanim nie rozpoczął podwójnej przemiany, która zabiła w niej to, co ludzkie. Drgnął na dźwięk głosu Farysa, o którego obecności niemalże zapomniał.

– Można wiedzieć, cóż takiego roisz sobie w głowie?

Patrzył na swojego towarzysza, a w uszach wciąż brzmiały mu jej słowa. Nie masz i nigdy nie będziesz miał prawa... Nędzny robak, gryzący ziemię – tym dla niej był, mimo że nie wyraziła się aż tak dosadnie. A jednak po starciu z Astarothem to u niego szukała oparcia, a w jej krótkich spojrzaniach, rzucanych ukradkiem ponad trzaskającymi z pogrzebowego stosu płomieniami było coś więcej oprócz strachu i szacunku. Elf potarł opuszkami palców skronie, czując, że tępe pulsowanie krwi zaraz rozsadzi mu czaszkę. Człowiek nadal nie spuszczał z niego oczu. Pistis potrząsnął głową z rozdrażnieniem.

– Nie można.

\*\*\*\*

Czarodziejka i Wampir powoli przemierzali las. Elfka milczała, Sylwan nie przerywał jej zadumy, nie bardzo zresztą wiedząc, co mógłby powiedzieć i czy w ogóle powinien się teraz odzywać. Sposób w jaki potraktowała Pistisa, nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do tego, że nie była teraz w najlepszym nastroju i raczej nie chciała rozmawiać, jednak w miarę upływu czasu i pokonanych metrów zdawała się coraz bardziej wyciszona i zadumana. W pewnym momencie zaczęła nawet bawić się otaczającym ich krajobrazem, modyfikując go nieznacznie. W pierwszej chwili Wampir nie powiązał lekkich ruchów jej palców z płatkami śniegu, wpadającymi nagle w niewielkie powietrzne wiry, na kształt maleńkiego tornado, które rozpadało się natychmiast po tym, jak zdążyło się uformować. Po pewnym czasie dostrzegł w tym idealną symetrię i niemalże wyczuwalną zmysłami harmonię. Dziewczyna zdawała stapiać się w jedno z otaczającą ją przestrzenią, Wampir niemalże mógł zobaczyć jak śnieżne płatki przenikają przez jej ciało. Rozkazywała nie używając słów, a powietrze jej słuchało, co więcej – wszystko odbywało się niezwykle lekko, bez żadnego przymusu czy widocznego wysiłku. Sylwan chłonął widok całym sobą, zapatrzonego w taniec śnieżnych drobinek, których teraz było niezwykle dużo, bo od jakiegoś już czasu żadna z tych, które leciały z nieba, nie opadła na ziemię, wszystkie trwały w powietrzu, zderzając się i przeplatając.

Kiedy zauważył, że czarodziejka się zatrzymała, stała dobre kilka metrów za nim, choć mógłby przysiąc, że mgnienie oka temu szła przodem. Uśmiechała się spokojnie i łagodnie, jeśli jeszcze przed chwilą wyglądała na zagniewaną, nie pozostał po tym uczuciu najmniejszy ślad.

– Więc powietrze – zaczęła cicho, jakby mówiła sama do siebie, ale jej głos niósł się do Sylwana wraz z podmuchami wiatru, jasny i czysty, jakby stała tuż obok. – Pierwszy żywioł, który opanowałam przy pomocy Kaina. Nie mogę powiedzieć, że mój ulubiony, ale... umówmy się, że chodzi o sentyment. Wspaniały żywioł, zawsze mnie uspokajał i wyciszał, bo tu wszystko jest takie oczywiste i proste. Jednak radzę ci go nie lekceważyć. Idealne zgranie z powietrzem daje czarnoksiężnikowi ogromne możliwości. Pozwól, że coś ci najpierw pokażę – na jej ustach zatańczył uśmiech. – Zaczynamy pierwszą lekcję, Sylwanie. Zaatakuj mnie, proszę.

W pierwszej chwili nie dotarło do niego znaczenie jej słów, a kiedy już pojął, czego od niego oczekuje, nadal nie potrafił odpowiednio zareagować.

– Zaatakuj mnie – powtórzyła. – Całkiem na poważnie, jakbyś naprawdę chciał mnie pokonać, zabić. Śmiało, nie potrafisz mnie skrzywdzić.

Czekała, dając mu czas na zaakceptowanie tak dziwnego polecenia. Rozumiał, że chodzi tu o jakąś demonstrację i że dziewczyna wcale nie chce z nim walczyć, ale to czego od niego wymagała było dość absurdalne. Była osłabiona po starciu z drugim aniołem no i była dziewczyną, członkiem jego drużyny. Jej spokojne oczekiwanie nie pozostawiało jednak miejsca na wątpliwości co do tego, że rzeczywiście chciała, by spełnił jej żądanie. Wzruszył ramionami i przygotował się do skoku, oceniając odległość. Mógłby przysiąc, że wylądował dokładnie tam, gdzie jeszcze przed chwilą stała, jednak jego wyciągnięte ręce napotkały tylko pustkę. Zachwiał się, zaskoczony, ale szybko odzyskał równowagę, rejestrując kątem oka, że Elfka stoi za nim.



– Sylwanie, – w jej głosie był łagodny wyrzut – naprawdę mnie zaatakuj.

Błyskawicznie zwrócił się w jej stronę, po raz kolejny usiłując ją pochwycić, czarodziejka lekko oderwała się od ziemi, jakby porwana podmuchem wiatru i śmiejąc się, wylądowała dobre kilkanaście metrów dalej. Wezwała go ruchem ręki. Bawiła się z nim. Otwarty atak był na nic, była dla niego za szybka. Zanurkował w gęstwinę, kryjąc się przed jej wzrokiem. Stąpając bezszelestnie, pozostając pod osłoną krzewów, przeszedł kilka kroków w prawo i ostrożnie wyjrzał zza liści. Stała nieporuszona, wciąż w tym samym miejscu. Biorąc pod uwagę czas, jaki minął odkąd Wampir się ukrył, zdążyłby już zająć ją od tyłu, ale to byłoby zbyt oczywiste. Licząc na to, że nie będzie się go tu spodziewać, wrócił na dokładnie to samo stanowisko, z którego rozpoczynał marsz. Jeden skok, jedna szansa, wszystko zależało od szybkości i zaskoczenia...

Najpierw nie zrozumiał, co się właściwie wydarzyło i dlaczego leży na ziemi obok krzewów, w których się ukrywał. Już prawie ją miał, ale coś go odepchnęło... Mimo, że dziewczyna nic nie zrobiła, po prostu odbił się od jakiejś niewidzialnej ściany, a impet jego własnego uderzenia odrzucił go aż tu. Podczas gdy podnosił się na nogi, Elfka jeszcze raz się uśmiechnęła, po czym jakby drwiąc sobie z wszelkich praw fizyki, znikła, obracając się w tornado wirujących płatków śniegu. Nie zdążył w żaden sposób zareagować, bo w tej samej chwili ktoś mocnym chwytem unieruchomił obie jego ręce za plecami i poczuł ciepły oddech na policzku.

– Rozumiesz już, dlaczego uwielbiam powietrze, prawda?

Puściła go, nie pozwalając mu upaść i stanęła z nim twarzą w twarz. Oblicze Wampira wyrażało bezbrzeżne zdumienie i fascynację.

– Jak...

– Tego wszystkiego cię nauczę – przerwała mu. – I o wiele więcej, to tylko mała próbka. Możliwości są nieskończone, wszystko zależy od ciebie i od tego, jak prędko i jak bardzo uda ci się do niego dostroić. Usiądźmy – wskazała mu konar powalony przez jakąś o wiele wcześniejszą wichurę brzozy. – Czy mogę zobaczyć twój amulet?

Sylwan sięgnął rękami do tyłu, zdjął przez głowę zawieszony na delikatnym srebrnym łańcuszku kamień w kształcie trapezu, wielkości kurzego jaja i podał go Elfce. Trzymając go na dłoni delikatnie, niemalże z piśszczotą przesunęła opuszkami palców drugiej ręki po jego zarysie, a Wampir znieruchomiał, czując jej dotyk w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą spoczywał amulet.

– Jest idealny – uśmiechała się, oddając mu klejnot. – Mleczny opał, z zatopionymi cząsteczkami światła. Biały, niemalże przezroczysty, jak powietrze zaprawione mniejszą lub większą domieszką mgły, w zależności od położenia lub kąta padania promieni słońca. Idealny – powtórzyła – tak jak powietrze jest idealne. Nie widzisz go i nie czujesz, nie myślisz nawet o nim, bo czyż ktokolwiek analizuje oddechy? Jednak jest niezbędne do życia, w próżni życie nie istnieje, nie narodzi się i nie przetrwa. Jego ciężar cię nie przygniata, a jednak otacza cię ściśle ze wszystkich stron, w każdej godzinie, minucie, sekundzie twojego życia. Dlatego tak łatwo i naturalnie można z niego czerpać. Poddaje się chętnie i bez oporu, ale nie wolno ci żądać, możesz tylko prosić i zaufaj, to w zupełności wystarczy.

Nie przerywał jej, podobał mu się sposób, w jaki opowiadała o powietrzu. Idealne... Jednak w końcu nie wytrzymał.

– Byłaś i jednocześnie cię nie było, jak... jak to możliwe?

– Właściwie to cały czas byłam tu, tylko ukryta przed tobą. Postać którą atakowałeś, była majakiem, stworzonym przeze mnie z powietrza, które zgodziło się przyjąć dla mnie widzialną postać, dlatego nie mogłeś jej dotknąć. To dość prymitywna sztuczka, właściwie jej nie używam, bo wymaga czasu, musisz się przygotować, oczyścić umysł, zgrać się z podmuchami wiatru,

dostroić do jego rytmu, stać się wiatrem, poza tym majak nie jest bez skazy. Już samo to, że nie można go dotknąć, czyni go łatwym do zdemaskowania, możesz utrzymać iluzję tak długo, jak długo uda ci się trzymać przeciwnika na dystans. Majak nie będzie za ciebie walczył, ma posłużyć raczej do odwrócenia uwagi twojego wroga, grać na czas.

– Kiedy ostatni raz próbowałem zaatakować, odrzucił mnie – zaprotestował niepewnie.

– Nie do końca. Odbiłeś się od tarczy, to ona nie pozwoliła ci podejść. Umiejętnie przywołując moc powietrza, można tworzyć najsilniejsze tarcze, nawet takie, których sforsowanie jest praktycznie niemożliwe. Wszyscy opanujecie technikę tworzenia tarcz, ale już teraz śmiem twierdzić, że tobie uda się to w największym stopniu. Zarówno ogień jak i woda mogą być bardzo trwałymi zaporami, ale ktoś bardzo odważny, zdesperowany lub szalony wejdzie w płomienie i jeśli będzie miał do tego wystarczająco wiele szczęścia, zdąży je pokonać, zanim spopielą jego ciało, chyba że to będzie nigdy nie gasnący czarny ogień, ale na tym etapie to zbyt trudne. Pokonać ścianę, której nie widać i której praktycznie nie da się odebrać zmysłami potrafi niewielu. Chciałabym czegoś spróbować.

Patrzyła na niego spod lekko przymrużonych powiek, jakby starając się przejrzeć jego myśli, ale nie czuła jej obecności w swojej głowie. Spróbować czegoś... Poczuł, jak w jego wnętrzu kielkuje ziarno niepokoju, to samo, którego obecność czuł, kiedy pierwszy raz chciała przekonać się, czy jego umysł odpowie na jej wezwanie. Wiedział, skąd pochodzi to przytłaczające wrażenie. Czuł strach, że mimo wszystko w którymś momencie okaże się, że jego moc była pomyłką, że nie ma w nim magii, a jego sen się skończy, pozostawiając tylko niesmak niemożliwych do zaspokojenia pragnień, które nigdy nie powinny zostać przebudzone. Zaciśnął dłonie w pięści, chcąc ukryć przed nią ich nagłe drżenie. Odchrząknął nerwowo.

– Obawiam się, że nie zasługuję – przyznał cicho. – Daleko mi do ideału i doskonałości żywiołu powietrza. Jestem Wampirem, niby dlaczego powietrze miało być posłuszne Wampirowi?

Wyraz jej twarzy uległ zmianie, jakby padła na nią cień, ale trwało to tylko chwilę.

– Nauczyłam się zaklinać wszystkie trzy żywioły, mogę dowolnie dysponować mocą każdego z nich, mimo że żaden nie jest mi pierwotnie przypisany, bo moja moc bierze się w sposób najbardziej naturalny z krwi. Jestem Wampirem, Elfem i Wilkiem jednocześnie i żyję dłużej niż ktokolwiek powinien. Zabijałam już, wielokrotnie – Ludzi, Elfy, Wampiry, Wilki. Obawiam się, Sylwianie, że przy mnie jesteś nieskalany jak pierwszy śnieg nieznaczony jeszcze tropem żadnego zwierzęcia. A mimo tego wszystkiego otrzymałam święty opał, a Matka Ziemia zaakceptowała moją zachłanność, błogosławiąc moim trzem uczniom. Nie pytaj więc jak to możliwe, zastanów się lepiej, na czym zależy ci najbardziej na świecie i czego chcesz bronić, a za każdym razem, kiedy użyjesz mocy żywiołu, czyn to tak, jakbyś oddawał mu dziękczynienie. Jeśli nie czujesz się godzien, spraw, byś się taki stał, poprzez dokonywanie właściwych wyborów. Bo magia tym właśnie jest, podążaniem ścieżką własnych wyborów, dzień po dniu. Zamknij oczy.

Usłuchał, czując jak jej dłonie zamykają w sobie jego własne i prowadzą je w stronę mlecznego kamienia. Zaciśnął palce na opalu, jakby był tratwą, która nie pozwoli mu zatonać wśród rozszalałego oceanu i czekał. Puściła go, wracając na miejsce, które zajmowała wcześniej.

– Spojrzysz dopiero, kiedy ci pozwolę, dobrze? – skinął głową, słysząc jej głos. – A teraz stań się dla mnie powietrzem, Sylwianie. Przestań być Wampirem, przestań być adeptem, przestań czuć i przestań myśleć. Oddziel umysł od ciała, oczyść go, stań się wiatrem... Tym wokół nas, który wprawia płatki śniegu w wirowanie, tym wyżej, szarpiącym konarami drzew i tym ponad szczytami gór, zanikającym już, ale nadal trwającym tam, gdzie poza nim nic już nie ma... Nie obawiaj się zapuszczać bardzo daleko, dokądkolwiek pójdziesz, potrafię sprowadzić cię

z powrotem. Pozwól powietrzu przepływać przez twoje ciało, jakby nie należało do ciebie, poczuj jego odżywczy, ciepły podmuch całym sobą. Utwórz z nim jedność, godząc się na to, że to nie ty dyktujesz warunki. Stań się powietrzem...

Wampir ze wszystkich sił starał się skupić na tym głosie, coraz cichszym i spokojniejszym, jakby Elpis powoli odchodziła, wciąż do niego mówiąc. Czuł jak wiatr bawi się jego włosami i płaszczem, ale przede wszystkim czuł, że zawodzi. Nie potrafił stopić się w jedność z otaczającym go powietrzem, nie potrafił przestać istnieć i stać się nim.

– Wiem, o czym myślisz – usłyszał jej słowa, stłumione i wygłuszone, jakby czarodziejka stała za szklaną ścianą. – Nie każę ci zniknąć i aż tak się w tym zatracać. Nie każę ci przestać istnieć. To pułapka, która gdzieś tam czyha, ale nie dopuszczę do tego, byś w nią wpadł. Nie pozwolę ci przestać istnieć. Myślę, że na dziś wystarczy, na razie jednak nie wypuszczaj z dłoni amuletu, cokolwiek się stanie. A teraz otwórz oczy i wróć do mnie.

Po raz pierwszy od bardzo dawna zwyczajnie chciało mu się płakać, ale wiedział, że nie pozwoli sobie na to, nie dopóki ona tu jest. Więc rzeczywiście się nie udało, a skrywane głęboko w sercu obawy zyskały potwierdzenie. Nie potrafił, nie nadawał się, był pomyłką, nawet jeśli ona nie chciała tego przyznać. Jeśli jeszcze nie chciała tego przyznać. Powoli rozchylił powieki, zbierając siłę, by na nią spojrzeć. Siedziała tuż obok, z podbródkiem wspartym na splecionych palcach obu rąk, z podkurczonymi kolanami. Nie uśmiechała się, ale w jej oczach nie odnalazł wyrzutu ani pretensji, była w nich tylko zaduma i spokój.

– Wybacz... – wykrztusił, usiłując puścić opał, ale Elfka była szybsza, poderwała się, zaciskając palce na jego dłoni i nie pozwalając mu rozluźnić chwytu.

– Spójrz za siebie, proszę.

Zrobił, czego od niego oczekiwała, w pierwszej chwili nie rozumiejąc, przekonany, że wzrok płała mu figle. Tuż za nim na ziemi siedział jasnowłosy młodzieniec w czarno-srebrzystej szacie, okryty lekkim płaszczem. Obok niego w tej samej pozycji siedziała identyczna postać, a nieco dalej jeszcze jedna. Z twarzy ich wszystkich patrzyły na niego ze zdumieniem tak wielkim, że aż komicznym, jego własne oczy, wszyscy mężczyźni ściskali kurczowo w dłoniach zawieszane na ich szyjach srebrne łańcuszki, a przez ich ciała swobodnie i bez żadnego trudu przepływały płatki śniegu. Kiedy wyciągnął rękę, próbując dotknąć najbliższego z nich, widmo rozplynęło się, a wraz z nim dwa pozostałe, pozostawiając na dłoni wrażenie ciepłego podmuchu.

Przeniósł nieobecne spojrzenie na czarodziejkę, która nie próbowała już ukryć uśmiechu.

*Nie myślę się co do ciebie, Sylwanie, ani co do żadnego z was* – przemówiła bez słów, a on odebrał jej myśli bez problemu. *Co jeszcze musisz zobaczyć, byś i ty wreszcie w siebie uwierzył?*

\*\*\*\*

Siedzieli wokół ogniska, nad którym przed chwilą Sylwanowi udało się upiec zająca, zabitego przez Elpis. Farys, okryty szczelnie płaszczem, drząc mimo czaru Elfki, zjadł go bez narzekania. Teraz w niewielkim kociołku, zawieszonym na prowizorycznej podpórcie z dwóch gałęzi, właśnie zaczynała gotować się woda. Pistis wrzucił do niej kilka garści wierzchołków gałązek oberwanych z drzew sosny, świerku i jodły. Nabrał w rękę kolejną porcję, ale zatrzymał się w pół ruchu, patrząc niepewnie na Elfkę i Sylwana.

– Czy wy... Czy jeśli zrobię z tego herbatę, będziecie mogli to wypić?

Dziewczyna otworzyła szerzej oczy, Wampir dla odmiany nieco swoje zmrużył, oboje popatrzyli na zielone igły nieco podejrzliwie. Sylwan potrząsnął głową.

– Nie sądzę – odpowiedziała czarodziejka z wahaniem. – Mogę spróbować – dodała szybko, widząc zmieszanie na twarzy kapłana.

Teraz z kolei on dziwnie na nią spojrział.

– Nie, nie trzeba – schował resztę gałązek do lnianego woreczka. – Kain mówił

wcześniej, że możesz pić mleko. Myślałem, że czasem odżywiacie się nieco bardziej...

– Jak Ludzie? Albo Elfy? – podsunęła Elpis spokojnie w odpowiedzi na przedłużające się milczenie. – Cóż, odpowiedź brzmi nie. Mogę pić mleko Wilczycy, pod warunkiem, że jest zmieszane z krwią.

Pistis skinął głową, w milczeniu zdejmując kociołek z ognia i odstawiając go na bok. Zielone igły nadal parzyły się w gorącej wodzie.

– I co, już? – zapytała, zaglądając do garnuszka.

– Nie. Będzie się nadawała do picia za jakieś dwie, trzy godziny. Na razie rozpuszczam wosk z igieł. Warstwę ochronną. Dopiero wtedy będę mógł tak naprawdę zacząć.

– Myślałem, że będzie zupa z mchu – wtrącił Farys, śmiejąc się.

– Bo miała być – Elf odpowiedział uśmiechem. – Ale mamy tylko jeden garnek i pewnego Człowieka, który jest o krok od odchorowania fatalnego wychłodzenia. Napar z igieł podnosi odporność. Jak wyruszymy dalej, pozbięram po drodze trochę owoców dzikiej róży, jeśli gdzieś będą i zrobię jeszcze inne lekarstwo. Jak będziesz miał szczęście, nie skończy się to niczym poważnym.

Czarodziejka zmarszczyła czoło, patrząc jak kapłan odcedza gałązki i zaczyna odrywać od nich same igielki, by na powrót wrzucić je do pustego teraz garnuszka.

– Więc właściwie nie jest to posiłek? – zapytała.

– Nie, właściwie nie.

– Wiesz, nie jestem w tym ekspertem, ale wydaje mi się, że dobrze by było, gdybyś ty też coś zjadł.

– Na razie wystarczy, że się napiję, nie muszę jeść tak często jak Ludzie – odpowiedział, nieco zaskoczony. – Przy okazji następnego postoju coś ugotuję.

Skinęła głową, przyjmując to za dobrą monetę. Wcześniej nie pomyślała nawet o tym, że Farys może po prostu zachorować. To było takie zwyczajne, że aż niedorzeczne. A może w jej głowie za długo siedziały bezcielesne, szepczące stwory, kryjące się poza ochronnym kręgiem, roztaczanym przez ognisko? Może za bardzo ciążyła jej brązowo-złota bransoletka na przedramieniu, czasem zimna niczym lód, to znów parząca ogniem, jakby zastygły w niej na kształt węża demon chciał wypalić na jej ciele znamię? Może jej oczy osłabły od wpatrywania się nawet na jawie w płamę światła, której blasku nic nie mogło pokonać i rozproszyc, za którą znajdowała się twarz o siedmiu tysiącach smutnych oczu? Zbyt wiele rzeczy wymagało uporządkowania i przemyślenia, nie chciała dokładać do tej listy choroby, która mimo swojej zwyczajności i pospolitości, a może właśnie z jej powodu, dla niej była czymś dziwnym. Potrafiła uleczyć rany, ale nigdy nie próbowała swoich sił ze zwykłym przeziębieniem. Wychodziło na to, że na liście problemów do rozwiązania i spraw, które musiała jeszcze opanować, doszedł jednak za sprawą obecności w drużynie Człowieka kolejny punkt. Na razie musiała zdać się na wiedzę Pistisa, zajętego rozgniataciem tępą końcówką noża zielonych igiełek w kociołku. Sama wolała skupić się na problemie z pewnością poważniejszym, ale jednak znajomym.

– Jesteśmy teraz w komplecie i na razie nigdzie się nie wybieramy. Tak czy inaczej trzeba zaczekać na napar z igieł. Chciałabym porozmawiać o przepowiedni.

Kapłan podniósł na nią oczy, ale nic nie odpowiedział. Wychwyciła to spojrzenie.

– Pistisie, czy mógłbyś powiedzieć nam wszystko, co wiesz, a co Kain przede mną zataił?

Teraz Farys i Sylwan też spojrzeli, zaalarmowani. Po ich twarzach przemknął cień niepokoju.

– Myślałem, że poza jednym jedynym mieczem i łukiem, który się gdzieś zapodział, czarnoksiężnik z gór wyposażył nas chociaż w wiedzę na temat tego, co nas czeka – rzucił

cierpko Człowiek.

– Najwyraźniej nie do końca – odpowiedziała cicho, nie spuszczać oczu z twarzy Elfa.

Pistis skinął powoli głową, ale pozostał milczący. Zalał zmiażdżone igielki świeżą porcją wody i znów zawiesił garnuszek nad ogniem. Dorzucił dwie świeże szczapy i przemieszał ognisko, ułatwiając płomieniom objęcie ich w posiadanie. Westchnął i przytknął oczy. Po chwili zaczął ostrożnie.

– Kiedy zabrzmi dźwięk trąb, a powietrze przesyje jęk potępionych, jeźdźcy zginą jako pierwsi.

Czarodziejka patrzyła ze skupieniem, nie pokazując emocji, które w niej te słowa rozbudziły.

– Myślałem, że mamy rozpętać koniec świata, że przyniesiemy zagładę – rozległ się głos Wampira.

Elf potrząsnął głową.

– W zasadzie to i tak i nie. Jesteśmy zaczątkiem zagłady. Przednią strażą. Mamy przebudzić siedmiu Upadłych, z chwilą powstania ostatniego z nich rozpocznie się apokalipsa i skończy nasza rola. Reszta należy do trzech Aniołów Apokalipsy.

– Trzy anioły? – przerwała Elpis. – Nigdy o nich nie wspominał.

– Nie wiem, jak to tłumaczyć. Być może Kain nie zna wszystkich faktów, sam powiedział, że nie wolno mu czytać treści przepowiedni. Wyjaśnił kiedykolwiek, dlaczego?

– Nie. Nie mam o naszym zadaniu większego pojęcia niż wy, a z pewnością żadne z nas nie wie tyle, co ty. Przywiozłam do Skalistej Warowni niemowlę, nie mając żadnych informacji o tym, do czego potrzebuje go mój mistrz.

– Przebudzenie siódmego anioła wywoła nadejście ich trzech – powtórzył Elf. – Trzy pradawne bestie, potężniejsze od wszystkich, niepowstrzymane, niepokonane, nieśmiertelne. Nuada – Anioł Zniszczenia, Apollyon – Anioł Czeluści i Samael – Anioł Śmierci. Nuada zaleje Ziemię potopem swojego gniewu i obróci wszystko, co istnieje, w perzynę, Apollyon zapali czarne płomienie, przed którymi nikt i nic się nie ukryje, tak że nawet planeta zapadnie się w sobie, jej gleba obróci się w pył, który nic nigdy nie urodzi, a Samael ześle na to wszystko sen wiecznej śmierci. Poprowadzi ich Belial.

Człowiek i Wampir patrzyli, zszokowani. Twarz czarodziejki nie wyrażała żadnych emocji.

– Belial? – zapytała spokojnie. – Ona jest jedną z Upadłych. Więc mogę ją zabić. Zrobię to. Czyli Belial odpada, pozostają trzy anioły. Mogę je zabić? – Farys parsknął nerwowym śmiechem, zignorowała go. – Mogę?

– Belial jest stwórczynią tego świata, matką Adama, Lilith i Ewy. Ponosi odpowiedzialność za upadek tej planety na równi z Lucyferem, jej kara jest cięższa niż pozostałej szóstki. Musi stanąć na czele wykonawców gniewu Boga i zobaczyć ostateczne zniszczenie tego, co zbudowała, dopiero wtedy będzie można ją zabić. Co do aniołów nie wiem, ale ona nie pozwoli na ich śmierć. Nie wiem, do czego zmierzasz, pani, ale to nie będzie proste.

Dziewczyna wpatrywała się w języki płomienia zachłannie liżące świeże drewno i zamieniające je w poczerniały popiół. Z ognia co jakiś czas unosiły się iskry, rodzące się wśród syków i trzasków, ich życie było krótkie, gasły i znikwały, taka była pokuta za oddzielenie się od płomienia i wybranie własnej ścieżki. Całe życie kroczyła u boku Kaina, teraz chciała pójść inną drogą, czy też miała stać się iskrą, która musi przez to zginąć? Cóż... płonęła dłużej niż ktokolwiek inny.

– Jeźdźcy zginą jako pierwsi, podoba mi się to – w jej rozmyślania wdarł się głos Człowieka. – Jak by się do tego nie zabierać i tak jesteśmy skazani na porażkę. Paradoksalnie

więc te słowa niosą nadzieję.

Farys spojrział kolejno w zielone, niebieskie i czarne oczy. Żadne z nich nie wyrażały zrozumienia.

– Co z wami? – zapytał ponuro. – Czy tylko ja nie mam ochoty oglądać śmierci własnej rodziny?

Elf zagryzł wargi i zajął się mieszaniem zawartości kociołka, Wampir wzruszył ramionami, a jego oczy zdały się bardziej zapadnięte w twarzy niż zwykle. Czarodziejka nie zareagowała. Cóż mieli mu odpowiedzieć? Jeden z nich był sprawcą śmierci własnej rodziny, drugi przeżywszy ponad stulecie też musiał już stracić najbliższych, ona nie pamiętała, by kiedykolwiek na kimkolwiek zależało jej do tego stopnia, by naprawdę nazwać go rodziną. Przybrany ojciec i matka nie byli dla niej wystarczającym argumentem przeciw apokalipsie.

– Nie ważne – w głosie mężczyzny była teraz rezygnacja. – Nie zrozumiecie...

– Spróbuj – zachęciła go łagodnie, ale stanowczo. – Czarodzieja tu nie ma, dziś będziemy więc szczerzy. Do bólu, jeśli to konieczne.

Uśmiechnął się smutno i popatrzył śmiało w jej oczy.

– Do bólu, tak? Dobrze. Więc to powiem, a potem możesz mnie oddalić albo zrobić ze mną co uznasz za słuszne, nie wydaje mi się, by cokolwiek mogło jeszcze ulec zmianie. Nie idę z wami po to, by pomóc wam w wykonaniu misji i pozostawieniu za sobą dymiących zgłiszcz. Jestem tu po to, by wam w tym przeszkodzić lub zginać, próbując. To lepsze niż patrzeć, jak z mojej winy umierają ci, na których mi zależy. Poznałem cię i zobaczyłem część twojej mocy i to już wystarczy, bym zrozumiał, że możesz bez wysiłku zetrzeć mnie w pył i że nie mam szans, nie ochronię nikogo.

Opuścił wzrok dopiero po chwili milczenia, które zaległo po jego słowach. Jedyne dźwiękami były oddechy ich i czwórki widmowych koni, z których trzy wcale oddychać nie musiały, a wydawany przez nie świst był ponurą farsą, odgrywaną nie wiadomo po co i dla kogo. Czarodziejka patrzyła, rozważając jego słowa i własne myśli, układające się w zdania, które domagały się wypuszczenia ich na wolność. W jednej chwili podjęła decyzję, dziwiąc się sama sobie.

– Doceniam twoją odwagę i szczerść i dziękuję ci za nie. A teraz, jeśli to wszystko, chciałabym się zrewanżować. Kiedy przybyłam do Kaina po instrukcje, nie wiedziałam, że w dalszej drodze ktokolwiek będzie mi towarzyszył i jeśli mam być szczerą, to wcale nie byłam tym zachwycona. Nie będę was przepraszać – dodała, widząc ich zmieszanie, wywołane jej wyznaniem. – Zresztą, wiele się zmieniło w ostatnim czasie. Teraz wcale nie podoba mi się wizja was trzech ulegających tym przeklętym Aniołom Apokalipsy, bo jeśli dobrze zrozumiałam, to chyba oni mają zabić jeźdźców, a przynajmniej z ich nadejściem należałoby powiązać waszą śmierć. Dlatego mam zamiar nauczyć was walczyć przeciwko aniołom. Jeśli Belial mi się wyrwie, do czego mimo wszystko postaram się nie dopuścić, pozostanie nam sześć demonów, które muszą być mi posłuszne, a ja zamierzam zmusić je do opowiedzenia się po naszej stronie. Jeśli mi się uda, to Belial też, ale równie dobrze mogę zabić ją w pierwszej kolejności, jeśli to okaże się konieczne. A teraz ta część prawdy, która zabolę. Nie chodzi mi o dobro świata, który Lucyfer wraz ze swoją kochanką stworzyli, nie zależy mi na Ludziach, Elfach, Wilkach czy Wampirach, ale sama jeszcze nie wiem czemu z wami sytuacja nie jest taka prosta. Może chodzi o magię i o więź łączącą ucznia z nauczycielem, nie wiem, nie rozumiem, wcale mi się to nie podoba. Nie zgadzam się na waszą śmierć ani na śmierć niemowlęcia, nie chcę jej oglądać. Cała reszta może spłonąć, ale dla was w martwym świecie nie będzie miejsca. Więc zatrzymam upadek, nazwijcie to kaprysem albo zachcianką znudzonej wiecznym trwaniem i wykonywaniem rozkazów starca w kapturze potężnej istoty, która wcale nie jest dobra, jest po prostu uparta i ma

ochotę iść własną drogą.

– Dobrze. Więc nie budźmy Siedmiu, po co prowokować i ściągać sobie to wszystko na głowę? Po prostu ich nie budźmy – Farys patrzył na nią z dziką, rozbudzoną nadzieją.

Dziewczyna westchnęła. Nie rozumiał, jak mogła oczekiwać, że zrozumie?

– Siedmiu poplecznikom Lucyfera przepowiednia obiecuje wybawienie od klątwy i zapomnienia wiecznego snu, który nie przynosi odpoczynku. Obiecuje im śmierć, a oni pożądamy śmierci. Czekają dłużej niż ktokolwiek z nas może sobie wyobrazić i tylko ja mogę zakończyć ich cierpienie. Przebudziłam Leviathana i Astarotha, związałam ich los z moim i przyrzekłam im. Nie złamię słowa. Nie mówię o ucieczce od niebezpieczeństwa, ale o walce z nim. To już się zaczęło, Farysie. Przebudzimy Siedmiu, a ja dam im to, czego pragną. Pozwolę im odejść i uwolnię ich. Do tego momentu podążę ścieżką Kaina, dalej pójdę własną. Możecie mi zaufać lub nie, wybór należy do was. Jest coś jeszcze? – zwróciła się do kapłana.

– Nie. Nie sądzę. Ja też nie wiem wszystkiego. Oryginalny tekst zaginął. Decydując się podjąć wypełnienia prorocstwa wkroczyliśmy w ciemność, możemy tylko mieć nadzieję, że wystarczy nam siła, by nie dać się jej pochłoniąć.

– Nie pozwolę wam zatonać w ciemności, to właśnie przyrzekłam, mianując siebie waszym nauczycielem.

Nie mówili nic więcej. W zasadzie na tym etapie nie pozostało już nic do dodania. W ciszy łagodnie zapadającego zmierzchu ostatnie promienie słońca przeglądały się w gwiazdkach, które mróz wyczarował na korze drzew. Pistis zestawiał z ognia kociołek z herbatą z igliwia i postawił go na ziemi obok płomienia. Każdy z nich pogrążony był we własnych myślach. Kapłan chwilę pokręcił się przy koniach, po czym dorzucił ostatnie kawałki chrustu do ogniska.

– Przyniosę jeszcze trochę – rzucił w przestrzeń do nikogo konkretnie i nie czekając na odpowiedź, zanurkował w las.

Wampir też się podniósł.

– Nie powinien oddalać się sam, bez broni. Pójdę z nim – zaofiarował się.

Elfka z roztargnieniem skinęła głową. Patrzyła za oddalającymi się postaciami, dopóki nie zniknęły jej z oczu. Farys obserwował coś na jednym z drzew. Podążyła za jego wzrokiem i jej spojrzenie napotkało przycupniętego na niskiej gałęzi nietoperza. Zwierzak patrzył prosto na nich, przekrzywiając śmiesznie małą główkę z wielkimi uszami i zdawał się przysłuchiwać ich rozmowie. Czarodziejka złapała się na tym, że zastanawia się, jak długo tu siedzi i ile usłyszał. W pewnym momencie nietoperz krzyknął głośno, a na jego krzyk odpowiedziały inne, ukryte w koronie drzewa. W jednej chwili cała ich chmara poderwała się do lotu i utworzyła wielką chmurę czerni, która prędko znikła im z zasięgu wzroku. Elfka wzdrygnęła się, dopiero teraz zdając sobie sprawę, że dłoń ma zaciśniętą na rękojeści sztyletu. To było bez sensu. Pokręciła głową z niedowierzaniem, puszczając broń.

Spojrzała na Człowieka. On też sprawiał wrażenie zaniepokojonego i przygnębionego, ciężko było stwierdzić, które uczucie dominuje.

– Opowiedz mi o swojej rodzinie – poprosiła, by cokolwiek powiedzieć.

Młodzieniec obrzucił ją lekko zmieszonym i podejrzliwym wzrokiem.

– Co chciałabyś wiedzieć?

Przymknęła oczy. Czego chciała? Jak ma wytłumaczyć, czego chce, jeśli sama nie do końca zdaje sobie z tego sprawę? Ludzie byli skomplikowani, ale niemowlę też było Człowiekiem i na swój sposób było fascynujące i niezwykle, więc może ta rasa też zasługiwała na to, by się nad nią zatrzymać.

– Nie wiem – odpowiedziała po prostu. – Powiedz coś, co jest dla ciebie ważne,

przekonaj mnie, że warto...

Zmarszczył czoło, jakby zastanawiając się, czy Elfka z niego nie kpi.

– Jeśli rzeczywiście nie chcesz patrzeć na moją śmierć, oni muszą ocaleć. Będę walczył o ich życie i szczęście, nawet z tobą, choć wiem, że nie mam szans – wyszeptał, patrząc jej w oczy.

– Dobrze – zgodziła się. – Więc walcz. Przemów tak, bym zrozumiała.

– Więc... to nie będzie długa ani zajmująca opowieść. Jesteśmy zwyczajni, raczej z dziwactwami niż z jakimiś szczególnymi uzdolnieniami. Mam trzech braci i młodszą siostrę. Najstarszy z nas wszystkich jest Kestrel, jest wojownikiem, to on bardziej by ci się przydał jako kompan w podróży, ale rzadko bywa w domu, może dlatego czarnoksiężnik wybrał mnie, mój brat miał w tym czasie ważniejsze sprawy na głowie, jak zwykle. Ojciec się denerwuje i martwi o niego, nie zauważył chyba, że dorosiliśmy, no prawie wszyscy, Suri to jeszcze dziecko. Moja siostra – wyjaśnił, w odpowiedzi na nie zadane pytanie. – Ma piętnaście lat, to taka roztrzepana smarkula. Coś ci pokażę.

Człowiek zadarł rękaw koszuli i wyciągnął w jej stronę rękę. Na nadgarstku miał związane coś na kształt bransoletki splecionej z rzemyków i kolorowych paciorków, we wszystko wplecione były ogniste rude nitki, w których po chwili dziewczyna rozpoznała pasma włosów. Farys uśmiechał się do własnych wspomnień.

– Specjalnie zaplątała to tak, żebym nie mógł jej zdjąć bez zerwania, nie chciała, żebym ją zdejmował. Dała mi to jak odjeżdżałem. Rzemień i koraliaki poświęciła i okadziła dymem ze świątyni, ojciec prawie zwariował, zabrała konia i pojechała sama przez las. To dość daleko, a ona jest młodą, ładną dziewczyną. Wszyscy jej szukaliśmy, nikomu nie raczyła powiedzieć, dokąd i że w ogóle dokądkolwiek się wybiera, bo wiedziała, że nie zgodzilibyśmy się na taką wyprawę. Dla mnie, ojca i braci były ważniejsze rzeczy, na których należało się skupić przed moim udaniem się do czarnoksiężnika, ale Suri uważała, że te błyskotki mnie ochronią. Mają być talizmanem, który nie pozwoli mi zginąć, a jej włosy mają mi zawsze przypominać o tym, że mam dla kogo wrócić do domu, więc nigdy nie wolno mi się poddać. Chciała zapleść mi warkocze z naszych połączonych włosów. Każdemu zamierzała odciąć pasemko i zrobić mi na głowie pięć cienkich warkoczy, w każdy miały być wplecione włosy kogoś z rodziny, jej rude, siwe ojca, ciemne braci... Nie zgodziłem się, wyśmiałem ją. Właściwie... jak teraz o tym myślę, to mogłem się zgodzić, czemu nie? Najpierw się trochę zdenerwowała, a potem zrobiła dla mnie to. Jak się przypatrzysz, wśród tej czerwieni znajdziesz też siwe i czarne nitki.

Jego twarz zmieniała się, kiedy mówił o siostrze, jakby coś rozświetlało ją od środka, a w jego głosie współbrzmiały miłość z troską, zaprawione nutką gorzkości i melancholii. Elpis nie przerywała mu i nie zadawała pytań.

– Są jeszcze Robin i Larus, moi dwaj bracia. Są bliźniakami, ale nie zauważyłabyś. O co chodzi? – zapytał widząc, że Elfka przygląda mu się na poły zdumiona i rozbawiona.

– Nie, nieważne. Wybacz. Mają ciekawe imiona.

– Chyba raczej dziwne – poprawił ją z uśmiechem. – Tak, to dziwactwo mojego ojca, jest zakochany w ptakach. Zawsze mówimy z braćmi, że Suri tylko dlatego nie nazwano Robin, bo to imię było już zajęte, kiedy się narodziła. Bo fakt, że to męskie imię, raczej by ojca nie powstrzymał. Zresztą matka życzyła sobie, by ją tak ochrzcić. Umarła, wydając Suri na świat, miałem wtedy osiem lat. Ojciec musiał się nami wszystkimi zająć, jakimś cudem podołał, ale na punkcie mojej siostry zwariował, biedna Suri chyba nigdy nie znajdzie sobie męża, żaden nie będzie zbyt dobry dla księżniczki. Poza tym jeszcze bardziej pogorszyło mu się z ptakami, matka nie zgadzała się na znoszenie tego wszystkiego do domu, jeśli kiedykolwiek będziesz mogła poznać moją rodzinę, z pewnością zobaczysz jego kolekcję ptaków, ale nie wiem, czy tobie



i Pistisowi by się ona spodobała. One nie żyją, są wypchane. Ojciec sam je robi, moim zdaniem to obrzydliwe.

– Imię twojego ojca też jest ptasie?

– Nie. Jest całkiem zwyczajne. Dawid.

– To królewskie imię, dumne.

– Nie pochodzimy od królów, jesteśmy prości, nie mamy wiele.

– Wiesz, wygląda na to, że masz jednak o wiele więcej niż ktokolwiek z naszej czwórki. Człowiek spojrzał z powagą, nie znajdując odpowiedzi.

– Twoje słowa radują mnie i zasmucają jednocześnie, pani – wyszeptał w końcu.

Elfka przez moment patrzyła pustym wzrokiem, jakby starając się zobaczyć coś ukrytego za jego twarzą, błędząc wzrokiem gdzieś daleko, gdzie nie potrafił za nią podążyć, zapuszczając się w pobliże świetlistego tronu, starając się rozwickłać zagadkę postaci, którą skrywała nieskończona jasność. Po chwili otrząsnęła się, jakby wynurzając z głębin i do jej oczu powróciła świadomość. Zmusiła się do uśmiechu.

– Smutek nic już nie naprawi, odrzuć go więc. Chodź ze mną, pokażę ci broń, dzięki której oni mogą ocaleć. Broń, która jest w tobie, a ja zamierzam ją właśnie przebudzić.

Wstała, zaciskając dłoń prawej ręki w pięść i przymykając oczy, a Człowiek z lekkim drżeniem zauważył, że w odpowiedzi na ten gest zgasły płomień ogniska. Elfka odwróciła się i odeszła, nie czekając na niego, pospieszył więc za nią, pozostawiając za sobą dymiące resztki. Wbrew jego oczekiwaniom odeszli tylko kilka kroków, po czym dziewczyna zatrzymała się. Przykłęka i srebrnym sztyletem obrysowała granice okręgu wokół siebie, szepcząc słowa, których Człowiek nie dosłyszał i nie rozumiał. Została w środku jeszcze przez kilka sekund, po czym opuściła okrąg, przyzywając go ręką, by zajął jej miejsce.

– Nie chcemy przecież, byś spłonął lub spalił mnie – powiedziała z uśmiechem, kiedy przekraczał linię.

Zatrzymał się w pół ruchu, patrząc na nią niepewnie, ale prędko się opanował i stanął w środku kręgu, zagniewany na siebie za to wahanie.

– Spokojnie, nie możesz mnie spalić.

Człowiek przełknął ślinę, starając się nie myśleć o tym, co powiedziała nieco wcześniej. Kąciki jej ust uniosły się nieznacznie.

– Proszę cię, Farysie. Naprawdę wierzysz, że mogłabym dopuścić do tego, byś spłonął?

Mężczyzna zacisnął zęby i nic nie odpowiedział, patrząc na nią w nerwowym oczekiwaniu.

– Więc po pierwsze rozluźnij się i opanuj, nie chcemy tu eksplozji. Płomień to potężna i niszcząca siła, sam w sobie jest szaleństwem, ten kto chce nim władać, musi przede wszystkim okiełznać samego siebie. Ogień tu jest, mimo że go nie widzisz. Pokażę ci, jak go poczuć i jak przyzwać. Najprościej jest zaczerpnąć z głębi ziemi, z samego jej jądra. Zasada jest prosta, na początek spokojnie i powoli, niezbyt wiele. Podczas walki możesz potrzebować furii rozszalałych płomieni, teraz chcę byś po prostu nauczył się poprawnej komunikacji z żywiołem. Przywitaj się, przedstaw i zaproś ogień do tego samego, poznajcie się. Popatrz.

Dziewczyna przykłęka na jedno kolano, lewą otwartą dłoń opierając na ziemi przed sobą, przymknęła oczy. Przez chwilę nic się nie działo, potem Farys wyczuł, jak powietrze wokół niego gęstnieje. Coś zdawało się nadchodzić, zbliżać się bardzo szybko w ich kierunku, Człowiek poczuł zwiększający się niepokój, świadomość czegoś nieuchronnego, czego nie kontroluje, ale wie doskonale, że to musi się stać i jest tuż. Potem gorący podmuch wdarł się do jego ciała, paraliżując na moment, ale natychmiast przywracając swobodę ruchów, dając wrażenie siły i potęgi. Jego dłonie pulsowały ciepłem, które nie parzyło, było jak promień letniego słońca,

padające z rozgrzanego nieba, dające życie i niosące nadzieję. Spojrzał na czarodziejkę.

Kłęcząca w tej samej pozycji, oczy miała otwarte, patrzyła uważnie wprost w jego twarz, ale to nie były oczy istoty, która może żyć i być śmiertelna. W jej źrenicach płonął ogień, gorący podmuch płomienia tańczącego na ziemi wokół niej unosił jej włosy i szatę, muskając ją, ale pozostawiając nietkniętą. Kiedy wyczuła rodzący się w nim przestach, zamknęła oczy, a płomień zgasł. Kiedy je otworzyła, były na powrót czysto zielone, jakby ta chwilowa metamorfoza, której był świadkiem, była tylko przywidzeniem.

– Czułeś to, prawda? – zapytała, wstając i nie czekając na odpowiedź, kontynuowała. – Użyłam cię jako filtra dla mocy płomieni, odbierałeś te same bodźce, co ja, choć ogień cię nie sięgał. Nie chciałam cię przerazić, chciałam byś zrozumiał, że to wygląda dość groźnie, ale nie sprawia bólu i nie odbiera przytomności, nie zagraża życiu. Jeśli przywołujesz naprawdę wielką potęgę, musisz dać z siebie odpowiednio więcej, jeśli nie masz wprawy, żywioł może cię zabić lub zabić osobę, która jest filtrem dla mocy. Normalnie taka osoba w ogóle nie jest potrzebna, to dosyć czarna i kontrowersyjna forma magii. Ja w pełni panuję nad tym, co robię, jeśli jednak jesteś niedoświadczony, możesz przetrzucić na inną osobę złe konsekwencje swojego zaklęcia, a ogień pochłonie filtr, nie czyniąc ci szkody. Więc teraz proszę, byś zapamiętał, bo to będzie najważniejsze z wszystkiego, co chcę ci dziś przekazać. Nigdy – podkreśliła to słowo – nie będziesz wykorzystywał nikogo w tej funkcji. Dziś zrobisz to pierwszy i ostatni raz. Zrób tak, jak ja przed chwilą, przywołaj ogień, nie lękaj się, nie stanie ci się nic ponad to, co już odczułeś, to na początek dosyć osobliwe widzieć płomień w takiej bliskości, ale nie uczyni ci on najmniejszej szkody.

Przykłęknął na ziemi i oparł przed sobą otwartą dłoń, biorąc głęboki oddech i przymykając powieki. W ostatniej jednak chwili zatrzymał się, patrząc na nią niepewnie. Elpis przewróciła oczami z rozbawieniem i niecierpliwością, odbierając jego myśli.

– Nie możesz uczynić mi żadnej krzywdy. Nie teraz. Z utęsknieniem będę wyczekiwać momentu, kiedy którykolwiek z was będzie w stanie sprawić, że się przestraszę i lepiej niech to stanie się jak najprędzej, jeśli macie walczyć przeciwko trzem przeklętym aniołom. Do dzieła.

Skinął głową i zamknął oczy, koncentrując się na płomieniu. Szybkość odpowiedzi zaskoczyła go, znów odebrał to dziwne wrażenie zbliżania się nieuchronnego i gorąco, wlewające się w jego ciało poprzez opartą na ziemi dłoń. Zanim zdał sobie sprawę, że nie utrzyma zaciśniętych powiek, oczy same otworzyły się i spojrzały. Elpis stała kilka metrów od niego, cała w płomieniach, jej szata, włosy, wszystko zdawało się być unicestwiane w szalonym tańcu płomienia, który zagarniał jej ciało we władanie. Przerażony, poderwał się na nogi i zrobił krok do tyłu, przekraczając linię, nakreśloną przez czarodziejkę. W tej samej chwili ogień zniknął, a dziewczyna została na miejscu, nienaruszona, jakby mgnienie oka wcześniej nie była żywą pochodnią. Patrzyła z rozbawieniem, jak Człowiek usiłuje się uspokoić i zapanować nad oddechem.

– Wszystko dobrze, Farysie – jej głos był opanowany i czysty. – Dopiero wypróbujesz swoje możliwości, to normalne. Wracaj tam i zrób to jeszcze raz, ale spokojniej i subtelniej. Nic mi nie jest, twój ogień nie potrafi mnie naprawdę dotknąć.

– Bałem się, że przesadziłem, że...

– Nic mi nie jest – powtórzyła.

Zgodził się lekkim skinieniem i wykonał jej polecenie, znów opierając dłoń na ziemi i próbując opanować wzburzone myśli. Kiedy znów nie wytrzymał i spojrzał, z rozpaczą stwierdził, że jest jeszcze gorzej. Elpis prawie nie było widać zza morza płomieni, szalejących wokół niej i wokół całego kręgu, tylko ziemia wewnątrz symbolu, nakreślonego przez dziewczynę, była od nich wolna. Rozejrzał się w popłochu, nie wiedząc, co powinien teraz

zrobić.

*Po prostu je zgaś.*

Usłyszał jej głos w swojej głowie. Gorączkowo usiłował zapanować nad żywiołem, który rozpełtał, jednak płomienie wcale nie gasły, napierając z coraz większą siłą, za wszelką cenę usiłując wedrzeć się do jego bezpiecznego schronienia.

*Nie myśl o tym, po prostu to zrób – znów ją usłyszał. Zamknij oczy, odgródź się od tego, zgaś je.*

Usłuchał, nie znajdując innego rozwiązania. Zamknięcie oczu i uspokojenie nadmiernie pobudzonej wyobraźni nie było proste, kiedy ogień na kształt niepowstrzymanej lawy napierał na niego ze wszystkich stron, ale nie pozostała mu inna droga, niż zaufanie. Usiłując oczyścić umysł ze wszelkich myśli, skupiając się tylko i wyłącznie na beznamiętnym dryfowaniu pośród oceanu nicości, gdzie płomień nie miał prawa istnieć, powoli wyciszał się i uspokajał. Nadal nie ośmielając się patrzeć, czuł jak odzyskuje kontrolę. Potrafił nad tym zapanować, to było w nim, było tam zawsze, uspięne i czekające na właściwy moment, a moment nadszedł. I właśnie dlatego potrafił... Nie słyszał już jej myśli, ale w jakiś niepojęty sposób odbierał jej aprobatę, utwierdzając go w przekonaniu, że podąża we właściwym kierunku. Powoli otworzył oczy. Płomienie wokół niego zgasły, pozostały tylko te, które otaczały ciasnym kokonem ciało czarodziejki. Poczul lekkie rozczarowanie, był przekonany, że panuje nad wszystkim.

– Dobrze. A teraz wyjdź z kręgu.

Wykonał polecenie, po raz drugi obserwując, jak w niezrozumiały sposób ogień na jej ciele gaśnie.

– Bardzo dobrze – powtórzyła. – Nie spodziewałam się niczego innego. Ogień to bardzo kapryśny żywioł, nie podda ci się po prostu i bez walki. Ale tobie się uda, wiem to – uśmiechnęła się, wywołując na jego wargach niepewny uśmiech. – Dlatego teraz wrócisz tam i zrobisz to jeszcze raz. A potem jeszcze raz. I jeszcze raz. Aż nie uznam, że wystarczy. Walcz. O to – ujęła go za nadgarstek z okreconą na nim bransoletką, w którą wplecione były rude, siwe i czarne włosy.

Farys poczuł, jak przepelnia go wdzięczność i determinacja. Skinął głową, uniósł jej rękę do ust i ucałował ją, a potem wrócił w środek kręgu.

Powtarzali wszystko jeszcze dwanaście razy. W międzyczasie nadeszli Pistis z Sylwanem, dźwigając naręcza chrustu, który nie był już potrzebny. Dziewczyna ruchem ręki nakazała im usiąść gdziekolwiek i milczeć. W normalnych warunkach Farys czułby się skrępowany ich obecnością i tym, że obserwują jego zmagania, ale to, że nadeszli już w trakcie ćwiczeń, sprawiło, że ledwie zauważył ich przybycie. Dopiero, gdy Człowiek był tak wykończony, że jedynym, co potrafił przywołać były delikatne płomyki, tańczące niczym ogniki świec na czubkach jego drżących z wysiłku palców, Elfka uznała, że mogą przestać.

Zaraz potem kazała mu dosiąść konia i wyruszyli. Jechali kilka godzin, noc stała się czarna niczym gęsty, żałobny kir. Kiedy w końcu stanęli, Farys zdołał tylko wypić napar z igliwia, który Pistis niemal siłą wlał mu do gardła, po czym zapadł w kamienny sen, po raz pierwszy odczuwając radość z tego, że jego klacz nie jest normalnym koniem i nie musi się nią zająć przed udaniem się na spoczynek.

\*\*\*\*

Oskarżycielskie spojrzenie siedmiu tysięcy błękitnych oczu sprawiało niemal fizyczny ból, łamiąc ich wolę i przygniatając ciężarem oskarżeń i niewypowiedzianych zarzutów. Gdyby siedem tysięcy oczu posiadało siedem tysięcy ust, cóż powiedziałyby usta? Jakie argumenty wytoczyłyby przeciwko nim? Gdzie leżał ich grzech? Co uczynili? Była tam, spadając i wznosząc się, walcząc o możliwość utrzymania się w powietrzu jeszcze przez jakiś czas, dopóki

będzie to konieczne...

Siedem postaci skulonych u stóp tronu obleczonego w światło, klęczących, pokonanych, ponizonych i słabych. I on, jeden jedyny ułaskawiony, najbardziej z nich wszystkich przeklęty demon, który wkrótce odrzuci skrzydła i poszybuje w dół, by dołączyć do nich, do niej. Anielicę, z którą tworzyła teraz jedność, przepełniły ból, pustka, wściekłość i nienawiść. Chciała niszczyć i odbierać życie, najchętniej sięgnęłaby bezpośrednio po serce Boga, siedzącego na tronie za szkła i tęczy. Wiedziała jednak, że nie potrafi pokonać pęt, którymi Bóg związał jej wolę, nie potrafi wstać i zrobić kroku, tak jak oni, klęczący obok niej, nie potrafili.

Rozpaczliwie pragnęła coś zrobić, cokolwiek, nie pozwolić mu podeptać doszczętnie swojego jestestwa, zaakcentować swoją obecność, swój ból. Kąciki jej ust uniosły się nieznacznie, a Lucyfer, zaciskający dłonie w pięści, bezsilny i piękny, zeszytywniał i zamarł, rozumiejąc, na co zaraz się porwie czarnowłosa matka jego dzieci.

*Spadanie nie boli... Boli tylko strach przed skokiem...*

Obudził ją własny krzyk.

Kiedy wróciła świadomość, zdała sobie sprawę, że siedzi, gotowa zerwać się i biec, sama nie wiedząc dokąd, bo nie ma ucieczki. Obrzuciła wzrokiem uspiony obóz, dwie wyciągnięte na ziemi postacie, okryte własnymi płaszczami, jakimś cudem nadal dryfujące w bezpiecznych objęciach Morfeusza. Odetchnęła głęboko, kręcąc głową i przeczesując włosy palcami. Już miała znów się położyć, kiedy to zobaczyła, a pierwotny strach, pochodzący z samej głębi jej istoty zamroził i zatrzymał jej zdolność do ruchu. Był tu, nawet na jawie, po przebudzeniu, widziała Go... Błękitne oczy wpatrzone wprost w jej twarz, przepełnione smutkiem. Potrzebowała kolejnych sekund, by przekonać samą siebie, że majak zniknął, postać, która patrzy jest jak najbardziej realna, a w jej oczach oprócz smutku odbija się też troska i strach. Bóg o twarzy skrytej za zasłoną oczu nie troszczył się o nich, On oskarżał.

– Błękitne... – złapała się na tym, że mówi to na głos.

Twarz siedzącego w pobliżu niewielkiego płomienia Elfa wyrażała teraz zdumienie i konsternację.

– Twoje oczy... Są błękitne... – rzuciła w przestrzeń, nie patrząc na niego, czując, że zasługuje na jakieś wyjaśnienie i w tej samej chwili rozumiejąc, jak niedorzecznie muszą brzmieć jej słowa w jego uszach.

– Wybacz. Bredzę – spróbowała się uśmiechnąć.

Twarz Elfa pozostała poważna. Patrzył na nią jeszcze przez chwilę, po czym przesunął się nieco, robiąc jej miejsce obok siebie na derce, którą zajmował. Po krótkim wahaniu skorzystała z zaproszenia. Siedzieli ramię w ramię, nie patrząc na siebie, a wiatr bawił się ich włosami, splatając ze sobą kasztanowe i czarne pasma. Człowiek i Wampir spali, wraz z cichym śpiewem wiatru docierało do ich uszu echo ich spokojnych oddechów. Poza czarodziejką i kapłanem tylko nietoperze pozostawały aktywne, trzepocząc skrzydłami i nawołując się wśród ciemności tysiącem głosów, zdających się pochodzić z jednego gardła.

– Wierzysz Farysowi? – Elfka usłyszała cichy szept Pistisa. – W historię z raną, którą mu zadano.

– Nie – odpowiedziała od razu. – Chociaż nie twierdzę, że kłamie. Uważam, że dzieje się coś złego, coś co powinnam powstrzymać, potrafię powstrzymać, ale na razie nie wiem jak.

Cisza. Delikatne światło gwiazd, z trudem przebijające się poprzez chmury, stanowiło jedyne źródło jasności w pozbawionym księżycu świecie. Od strony koni dochodziło delikatne rżenie i parskanie, jakby wierzchowce rozmawiały ze sobą, nie chcąc być podsłuchane. Płatki śniegu, który znów zaczął prószyć po kilku godzinach odpoczynku, zderzały się ze sobą i odbijały od siebie niczym dziecięce zabawki na sprężynkach. Farys zakasłał krótko przez sen.

– Czy on zachoruje? – zapytała czarodziejka z na nowo przebudzonym niedorzecznym niepokojem.

– Nie. Nie sędzę, już jest znacznie lepiej, dreszcze ustąpiły. Twoje ćwiczenia z ogniem chyba pomogły.

– Albo twoja herbata. Masz jeszcze coś na jutro?

Elf odwrócił się, sięgając poza siebie i podał jej niewielki napełniony bukłak.

– Wystarczy. Nadal masz ochotę spróbować?

– Niekoniecznie – odpowiedziała, chcąc mu go oddać, ale dostrzegła na twarzy Elfa kpiący uśmiech i zrozumiała, że wcale nie liczył na to, że wypije, chciał po prostu wywołać na jej twarzy uśmiech.

Zatrzymała rękę w pół ruchu i cofnęła ją. Potem wzruszyła ramionami i otworzyła naczynie. Pistis zamrugał, zaskoczony. Dziewczyna przybliżyła szyjkę do nosa, kosztując zapachu i odnajdując w nim mieszkankę składającą się na woń czystego, obmytego deszczem lasu i czegoś jeszcze, czego nie potrafiła nazwać. Potem powoli, nie spuszczać wzroku z Elfa, przytknęła bukłak do ust i upiła łyk naparu. Był obrzydliwy i z trudem przeszedł przez zaciśnięte gardło. Wzdrygnęła się i zaczerpnęła głęboko w płuca powietrze, po czym oddała naczynie kapłanowi, który nadal nie opanował zdziwienia i wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczyma. Parsknęła śmiechem.

– Na co czekasz? Spodziewasz się, że zacznę płuć, dusić się czy robić coś jeszcze dziwniejszego?

– Potrafisz odbierać normalne smaki? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Ty mi powiedz. Czy to powinno smakować jak smoła wymieszana z błotem?

– Nie. Zdecydowanie nie.

– W takim razie oszczędź ją lepiej dla Człowieka, który doceni twój wysiłek, bo jeśli chodzi o mnie, odpowiedź brzmi – zdecydowanie obrzydliwe.

Pistis odrzucił bukłak na miejsce, uśmiechając się, jednak myśl, która nagle nadeszła, spowodowała, że uśmiech zamarł mu na ustach. Spojrzał na czarodziejkę ze strachem.

– Ale nic ci nie będzie, prawda? – w jego głosie wyraźnie pobrzmiwał niepokój.

Zaskoczył ją. Opuściła na chwilę wzrok, ale zaraz znów na niego spojrzała. Pokręciła przecząco głową.

– Nie. To stanowczo za mało, by wyrządziło mi jakąkolwiek szkodę. Po prostu mam teraz ochotę... – urwała, ale nie potrafiła zatrzymać myśli o krwi.

Tego właśnie chciała. Spłukać gardło słodkim, zaprawionym delikatną nutą goryczy, ciepłym płynem o metalicznym posmaku. Westchnęła i ciaśniej otuliła się płaszczem, nic już nie mówiąc. Jeśli Elf zauważył, co w niej zaszło, nie dał nic po sobie poznać. Powoli, z rozmysłem dołożył jedno polano do ogniska, po czym znów wrócił spojrzeniem do jej twarzy.

– Więc śniłaś o błękitnych oczach, pani? – zapytał ostrożnie z ledwo wyczuwalnym napięciem w głosie.

Obrzuciła go szybkim spojrzeniem, zastanawiając się, jak wiele wie o jej dziwnej wizji. W końcu skinęła głową, próbując uśmiechem zamaskować niepokój.

– Niezbyt koszmarnie to brzmi, ale tak.

– To zależy – wtrącił cicho. – Bo jeśli jest ich siedem tysięcy...

Poczuła, jak źrenice zwężają się jej na kształt szparek, a oddech przyspiesza. Nic nie powiedziała.

– Wiem kogo widziałas we śnie. Pryzmat szklanego tronu i siedem światel. Boga, który jest pełen oczu i widzi wszystko. Tron jest pryzmatem, który rozszczepia blask gwiazd, dlatego wydaje się, że zamieszkała w nim tęcza, a one są siedmioma promieniami wiecznego światła,

świętymi duchami, które przyjęły miano aniołów, ale upadły, stając się demonami.

Nadal nic nie mówiła, bezwiednie zaciskając dłonie w pięści.

– Wydaje mi się, że być może potrafiłbym ci pomóc, gdybyś tylko potrafiła przyjąć pomoc od kogokolwiek – wyszeptał Elf łagodnie.

Dziewczyna wpatrywała się z zacięciem w płomienie ogniska, walcząc z własnymi myślami. Dziwne odłamki rzeczywistości, które kiedyś były prawdziwe, atakowały ją we śnie i na jawie. Echo świata, o którym zapomniano, ale który pragnął powstać. Na razie potrafiła oddzielić własne wspomnienia od tych należących do Belial, która za wszelką cenę usiłowała do niej przemówić, co jednak będzie, jeśli zabrnije za daleko? Potrząsnęła głową, na chwilę kryjąc przed nim twarz we własnych dłoniach, a kiedy znów na niego spojrzała, jej oczy pozbawione były jakiegokolwiek wyrazu, niczym dwie czeluście pełne mroku.

– Wcale tego nie chcesz – powiedziała cicho i spokojnie.

Otworzył usta, ale zaraz je zamknął, nie znajdując odpowiedzi. Nie spuścił jednak wzroku, przeciwstawiając jej słowom ten cichy bunt. Twarz Elfki nie zmieniła się.

– Nie chcesz konfrontacji z moimi demonami – powiedziała z naciskiem.

W jego oczach była determinacja. Nagle po raz drugi nieproszona napłynęła do jego głowy myśl o dotknięciu palcami grubych, czarnych pukli, nie śmiał jednak wykonać żadnego ruchu.

– A co, jeśli tego właśnie pragnę, Elpis...

Głos miał niespokojny i zachrypnięty. Elfka zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy zwrócił się do niej, używając jej imienia. Przymknęła oczy.

– Nigdy się na to nie zgodzę.

– Dlaczego?

Zakłęła w duszy. Czy naprawdę musiał tak straszliwie komplikować coś, co i tak było już zbyt skomplikowane? Milczała przez chwilę. Kiedy znów przemówiła, głos miała łagodny, ale nie tracący na poprzedniej stanowczości.

– Bo nie chcę cię takim oglądać. Takim, jaka byłam ja, dawno temu. Pistisie... Wybacz mi to, jak potraktowałam cię dziś rano, nazwij to jak chcesz, ale mi wybacz. Nie powinnam, nie miałam prawa...

– W porządku – przerwał jej. – W takim razie czy zgodzisz się ze mną, jeśli nazwę to strachem?

Spojrzała, zaskoczona. Był nieprzenikniony, potrafił rzucić jej w twarz słowa i wytoczyć przeciw niej argumenty, których nie ośmielił się do tej pory użyć nikt oprócz Kaina. Był na swój sposób bezczelny i krnąbrny, trudny do okiełznania i oddany jej jednocześnie. Był jej potrzebny – ją samą przeraziła moc i znaczenie tego odkrycia. Był potrzebny – inaczej niż niemowlę, inaczej niż Kain, ale tak samo mocno i rozpaczliwie.

– Strachem? – powtórzyła cicho – Jeśli musisz...

Siedzieli w milczeniu, niczym nie osłonięci przed wiatrem, który chłodził i wyciszał emocje, a siedem tysięcy oczu zdawało się powoli zamykać. Jeszcze na jakiś czas...

# Rozdział 8

## Droga do klasztoru

*Mięso... Mięso Ludzi i Elfów... Słodkie, kruchutkie, pyszne... Zapach ich mięsa i krwi drażni nas i przyzywa. Wiesz, dlaczego do tej pory nas nie spotkaliście, mimo że idziecie przez nasz las? Bo wśród was nie ma żywych. Wiesz ze sobą nie życie, lecz śmierć, przeklęta. Martwy jest jeździec i blady koń pod nim. Człowiek, który za tobą poszedł, a którego śmierć już została przepowiedziana. Nawet ten mnich jest martwy i ty też jesteś martwa, po stokroć martwa. Konie nie z tego świata to trupy, ich mięso nie potrafi nasycić. Dziecko, którego pragniesz, nie istnieje, to tylko bajka, którą wam sprzedano. A jednak podążymy za tobą, pani, bo krew, którą wytoczy Szara Wilczyca, będziemy pili wszyscy. Trupy, które położy stary czarodziej, rozszarpimy jeszcze tej samej godziny, a szaleństwo, które pochłonie ciebie, zabierze nas wszystkich. A potem zjemy trupa dziecka i wszystko się skończy...*

Otworzyła gwałtownie powieki, przestając oddychać i nieruchomiejąc, pozostając w pozycji leżącej. Jej przebudzenie nie uszło uwadze Elfa i Człowieka, pochylonych nad garnuszkiem i wybierających z niego palcami coś, co zapachem i konsystencją przywodziło jej na myśl pokruszone kasztany. Dwie pary oczu zatrzymały się na moment na jej twarzy.

– Wszystko w porządku, pani? – zapytał Pistis spokojnym głosem.

Skinęła krótko głową i wstała, bezskutecznie usiłując przegnać natrętne głosy ze swojego wnętrza.

– Gdzie jest Sylwan? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– Również udał się na... posiłek. Niebawem powinien tu być – rzekł Farys.

Dziewczyna nie kontynuowała rozmowy, oni również nie nalegali. Słońce jeszcze nie wzeszło, ale z pewnością był już dzień, ciemności niebawem musiały się rozproszyć. Nie wiedziała, ile mogła spać – kilka godzin najprawdopodobniej, normalnie taki czas wystarczyłby jej na regenerację sił, ale tym razem było inaczej. Czowała dziwny niepokój, nie będący wynikiem tylko i wyłącznie większej niż zwykle aktywności Cieni, które po raz pierwszy od czasu zniknięcia Lilith przemawiały do niej we śnie. W lesie coś się czaiło, obserwując ich i przemykając niepostrzeżenie, czasem czarodziejka mogłaby przysiąc, że odbiera niemożliwe do uchwycenia uchem echo uderzeń serca dziwnego małego szpiega, którego słyszeli tak wyraźnie ona i kapłan zaraz po wizji rajy, którą zesłał na nich Lucyfer. To nie było doznanie zmysłowe, raczej coś wylapywanego i oddzielnego od rzeczywistości przez filtr podświadomości. Mogło być wytworem wyobraźni, jednak coś jej mówiło, że nie uda jej się na nią przerzucić odpowiedzialności. Stwór istniał, nierealny i nieosiągalny, mógł podejść niezwykle blisko, pozostając dla nich nieuchwytny, jednak nie widzieć czemu nie wydawał się groźny, zupełnie jakby nie czyhało na nich z jego strony żadne niebezpieczeństwo. Czarodziejka żyła jednak zbyt długo, by pozwolić sobie na komfort wiary w te złudne być może i zaprawione jadem zapewnienia o jego neutralności.

Wiatr przyniósł w jej stronę szepty, których nie chciała słuchać.

*Tak, chcemy go, przeklęta. Chcemy go, bo ona go chce. Pragnie się z nim połączyć, zabrać go do siebie, bo należy do niej. Nie potrafisz zatrzymać i zawrócić wodospadu raz wprawionego w ruch, dlatego nie zatrzymasz nas, zalejemy go i pochłoniemy, a ona się znów narodzi.*

Elfka potrząsnęła głową i wciągnęła głośno powietrze. Mówiły o niej, o swojej biednej,

przeklętej matce, która wkrótce musiała powstać. Dziewczyna doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że nie potrafi jej dłużej trzymać po tamtej stronie, wiedziała to tym bardziej, że właśnie z całą mocą uderzył w nią fakt, z którego aż do teraz nie zdawała sobie sprawy – wszelki kontakt, jaki miała z Lilith urwał się, nie potrafiła nawet określić, kiedy właściwie. Mimo to Elpis pozwalała sobie na snucie planów, które mogły się ziścić tylko jeśli Lilith jeszcze przez jakiś czas zostawi ich w spokoju. Co dalej – nie wiedziała. Upiorzyca nie da się po raz drugi pokonać tą samą bronią, tego była pewna. Potrzebowała rady kogoś, kto wiedział więcej. A do tego musieli opuścić las, teraz, dziś, jak najprędzej. Tylko że oni musieli najpierw coś zjeść, by mieć siłę do dalszej drogi. Westchnęła. To było takie frustrujące...

Przez głowę przemknęła jej myśl, że może Kain właśnie dlatego nauczył ją pić krew, tak było po prostu zdecydowanie wygodniej, ale roześmiała się sama z siebie, znów ściągając zdziwione spojrzenia Elfa i Człowieka. Ruchem ręki dała im znak, że wszystko jest w porządku i nie bardzo mając co ze sobą zrobić, podeszła do koni. Stały spokojnie, obok spoczywały siodła z uprzężą Farysa i Sylwana. Dziewczyna podniosła z ziemi szary czaprak i otrzepała go energicznie, po czym zarzuciła na grzbiet rudej klaczy Człowieka. Zwierzę znieruchomiało pod jej dotykiem, Elfka niemal czuła jego niechęć i brak akceptacji dla jej poczynań, ale nie przejęła się tym. Kiedy osadzała na jej grzbiecie siodło, klacz obnażyła zęby, łypiąc na nią groźnie okiem a włosy na jej karku uniosły się. Elfka przesuwając siodło wzdłuż grzbietu, zatrzymała je we właściwym położeniu i nic sobie nie robiąc z tej jawnej demonstracji wrogości powoli, metodycznie dopasowała popręg. Wiedziała, że widmowy rumak nie ośmielił się uczynić jej krzywdy, wywierając nacisk tylko i wyłącznie mentalny, potrafiła utrzymać je wszystkie w ryzach, ale nic nie mogła poradzić na ich wyraźnie antagonistycznie zabarwione uczucia względem jej osoby. Kiedy usiłowała nałożyć ogłowie, wierzchowiec cofnął się o krok, błyskając białkami oczu. Czarodziejka westchnęła zrezygnowana i wzruszyła ramionami, odkładając je na ziemię, jednocześnie zauważając ze zdziwieniem, że brakuje wędzidła. Rzut oka na drugą uzdę upewnił ją, że tu też sytuacja jest podobna.

– To Elf je przerobił – usłyszała za plecami głos Farysa. – Uważa, że są same w sobie wystarczająco sadystyczne.

Czarodziejka uśmiechnęła się bez przekonania. No tak...

– Pozwolisz? – wziął od niej ogłowie i podszedł do klaczy, która wyraźnie rozluźniona sama podała łeb do przodu. – Ma na imię Flamme.

– Więc ty też je słyszysz?

– Niestety nie – dziewczyna ze zdziwieniem odnotowała w jego głosie szczerzy żal. – Ale on też nie potrafił rozmawiać z żadną z nich od początku. Na razie przełamuję lody i staram się, żeby mnie polubiła. Być może to przyjdzie z czasem.

Elpis nic nie odpowiedziała, patrząc na klacz w zadumie. Obiektywnie rzecz biorąc Flamme była pięknym koniem, większa i bardziej potężna od perszerona, masywnie zbudowana, o ognistorudej maści, mogłaby być dumą niejednego jeźdźcy, tylko że... Patrząc na nią, dziewczyna nie potrafiła wyrzucić z pamięci sceny w jaskini Kaina, kiedy cztery widmowe rumaki wynurzyły się z nicości i rozszerzonych z przerażenia źrenic oczu kapłana, który już wtedy wiedział, co ich pojawienie się oznacza dla niego i jego towarzyszy. Nie potrafiła traktować wierzchowców, w których piersiach nie biły serca, jak normalnych koni, a one nie miały dla niej nic poza lodowato zimnym, wypranym z szacunku posłuszeństwem.

Jej ponure refleksje przerwało pojawienie się Sylwana. Dziewczyna widząc, jak Wampir sztywnym krokiem zmierza w jej stronę i jednocześnie odbierając delikatne mrowienie gdzieś z głębi czarnego kamienia, spoczywającego na jej piersi pozwoliła, by na jej twarzy pojawił się kpiący półuśmieszek.



– Długo cię nie było – rzuciła, nie dając poznać po sobie, że coś zauważyła.

– Również chciałem posilić się przed drogą – odpowiedział, zatrzymując się dobre dwa metry przed nią.

– W porządku. Przygotuj konia, zaraz musimy wyruszać – poleciła, przechodząc obok niego w stronę resztek ognia, które Pistis pieczołowicie zasypywał teraz piaskiem.

Tak, jak się spodziewała, Wampir odsunął się od niej nieznacznie, mimo że miejsca było dla nich dwojga aż nadto. Przymknęła oczy, kryjąc rozbawienie i kiedy znalazła się już niemal za jego plecami, zawróciła i niby od niechcienia trąciła go ręką w ramię. Farys otworzył usta i znieruchomiał, a Pistis zerwał się na równe nogi, kiedy pod jej dotykiem postać Sylwana znikła, pozostawiając lekki powiew wiatru.

– Wszystko dobrze – uspokoiła ich szybko, po czym zwróciła się w stronę drzew. – Możesz już do nas dołączyć.

Zza zasłony liści, dokładnie w miejscu, w które patrzyła czarodziejka, po raz drugi wyłoniła się postać bladego mężczyzny o jasnych włosach sięgających ramion. Na jego twarzy uśmiech przeplatał się z zakłopotaniem. Kiedy zatrzymał się przed swoją mentorką, wzruszył przepaszając ramionami.

– Co było nie tak? – zapytał z pozornym spokojem.

– Nie tak? – dziewczyna lekko uniosła brwi. – Jestem twoją nauczycielką, Sylwanie, mnie tak łatwo nie nabierzesz, ale oni uwierzyli. Szkoda, że nie patrzyłeś na ich miny. Jeśli chcesz stworzyć iluzję, za pomocą której będziesz mógł wprowadzić mnie w błąd, musisz zrobić to zupełnie sam, bez posiłkowania się mocą amuletu, bo mój kamień zawsze odpowie na wezwanie twojego, dając mi jasny komunikat, że coś kombinujesz. Żeby zrozumieć resztę wystarczy otwarte oczy i umysł, jak na ironię, jeśli nie miałabym amuletu, zdradziłby cię sam wiatr. Wieje, niezbyt mocno, ale jednak, włosy i szata zjawy, którą przywołujesz, powinny się poruszać. To detale – dodała w odpowiedzi na jego zaskoczoną minę – ale składają się na całość. Ruch wiatru, rozstępowanie się wody w kałużach, po których majak stąpa, ślady na śniegu, szelest płaszcza czy szcęk miecza, wszystko musi być idealne. Jesteś na dobrej drodze, próbuj, zaskocz mnie. Ale najpierw tylko i wyłącznie posiłkując się amuletem, zadziw mnie właśnie zgraniem wszystkich szczegółów, a potem, jak oboje uznamy, że jesteś gotowy, przyjdzie pora na samodzielne próby.

– Potrafisz rozpoznać na odległość, który z nas korzysta z mocy klejnotu? – zapytał Farys, który do tej pory z zaciekawieniem przysłuchiwał się ich rozmowie.

– Nie wiem jeszcze – odpowiedziała z wahaniem. – To dziwny i skomplikowany rodzaj więzi, kontrowersyjny. Niektórzy podważają prawo czarnoksiężników do zawiązywania tego rodzaju więzi, nawet jeśli mamy do czynienia z parą uczeń – mistrz. Wy tworzycie osobliwy trójkąt ze mną w środku, albo coś podobnego, linie się przecinają, wszystko komplikuje się jeszcze bardziej. Tylko, że jakiegokolwiek rozważania są pozbawione sensu, bo więź po prostu istnieje, nikt jej specjalnie nie tworzy, to się dzieje i już, bez udziału woli. Ja przyrzekłam wam opiekę i pomoc w opanowaniu magii, cała reszta jest wypadkową wielu zdarzeń. Myślę, że Kain rzuci na to wszystko nieco więcej światła, dla mnie to nadal niczym nauka chodzenia, instynktownie wiem co robić, ale tego nie rozumiem. O co chodzi? – zapytała widząc, że cała trójka przygląda się jej nieco podejrzliwie.

– Chcesz spotkać się ze starym czarnoksiężnikiem? – zapytał Wampir po chwili milczenia.

Skinęła głową, udając, że nie zauważa ich dziwnych spojrzeń.

– Wiele się zmieniło. Muszę się z nim widzieć. Już go wezwałam, więc wie, że go potrzebujemy. Dlatego teraz opuścimy las i staniemy się bardziej widocznymi i łatwiejszymi do

odnalezienia. Nie wiem, ile mamy czasu do powrotu Lilith, z pewnością jednak mniej niż więcej. Przygotujcie konie, proszę.

Żaden z mężczyzn nie ruszył się z miejsca ani nie zareagował w żaden inny sposób. Całą sobą odbierała ich wahanie i sprzeciw. Zakłęła w duszy. Tak, to było frustrujące.

– No dalej, śmiało, powiedzcie to – rzuciła sucho, patrząc bez wyrazu.

Odpowiedziała jej cisza. Dziewczyna wzruszyła ramionami i odwróciła się.

– Jak wolicie. W takim razie bądźcie gotowi za kilka minut. Ruszamy jak najprędzej się da.

– Pani – zatrzymał ją głos Elfa. – Nadal ufamy czarnoksiężnikowi?

Westchnęła i znów na nich spojrzała. Nie mogła winić ich za podejrzenia, które ona sama ukradkiem żywiła względem swojego mistrza. Jednak Kain był w jej życiu obecny od zawsze i nie potrafiła tak po prostu z niego zrezygnować.

– Tak – odpowiedziała łagodnie. – Kain był, jest i pozostanie moim mentorem.

Cokolwiek o nim myślicie, miejcie proszę na uwadze, że przez stulecia troszczył się o mnie i nigdy nie chciał dla mnie źle, nie wierzę, że teraz jest inaczej. On musi po prostu zrozumieć, że od jakiegoś czasu moje dobro nierozzerwalnie wiąże się z waszym. To się uda. On mnie nie skrzywdzi, a ja nie pozwolę skrzywdzić was. A teraz przygotujcie konie do drogi, bardzo proszę – powtórzyła z naciskiem, nie pozwalając mieć wątpliwości co do prawdziwej intencji rozkazu przemyczonego pod płaszczykiem prośby.

\*\*\*\*

Snujący się bez celu po bezkresach Wielkich Równin wiatr niósł w dal łagodną skargę deptanej niepodkutymi kopytami elfickich koni ziemi, powtarzając w przestrzeń łagodne szepty przesypywanych ziarenek piasku. Koni było dwanaście, wszystkie oprócz jednego czarne, podkreślające tym samym biel szat dosiadających ich grzbietów młodych mężczyzn, wszystkich tak samo milczących i surowych. Delikatne, smukłe wierzchowce stąpały lekko, zdając się ledwo muskać ziemię, w równym szyku, którego centrum stanowił kremowy, niemalże biały rumak o białej grzywie i jasnoniebieskich oczach, niosący również obleczoną w biel kobietę.

W ruchach mustangów i jeźdźców wyczuwało się idealne zgranie i harmonię, jakby ta odbywana wspólnie droga była utopijną symbiozą dwóch różnych organizmów, stopionych w jedno. Zwierząt nie obciążało nic poza dosiadającymi je postaciami. Brak siodła i uzd nie mógł dziwić, orszak składał się tylko i wyłącznie z Elfów, które taki właśnie sposób podróżowania preferowały, jednak nigdzie nie można było dostrzec również jakiegokolwiek prowiantu. Mimo że stan szat wskazywał na długi już czas trwania podróży, która tak naprawdę była poszukiwaniem, pielgrzymi zdawali się nie dbać o pożywienie ani wodę. Posuwali się spokojnie, bez pośpiechu i marnowania energii na niepotrzebne rozmowy, wiedząc, że cel jest tuż. Ponad nimi powiewały na wietrze dwa szkarłatne sztandary, dzierżone przez dwóch jasnowłosych mężczyzn. Chcieli być rozpoznani i byli o to spokojni, wiedzieli, że wkrótce tak właśnie miało się stać.

\*\*\*\*

Czujne oczy młodzieńca o kasztanowych włosach wypatrzyły tę osobliwą kawalkadę na długo zanim towarzyszący mu Człowiek i Wampir byli w stanie zorientować się, że ktokolwiek znajduje się tu jeszcze poza nimi. Teraz oboje z czarodziejką stali na wyrastającym ponad ziemię pagórku, osłaniając oczy od wiatru i starając się rozpoznać cokolwiek spośród czarno-białej plamy nad którą górowały dwa czerwone proporce, niczym krople krwi na śniegu. Twarz Elfa była nieprzenikniona, ale znajdująca się obok Elpis wiernie odbierała ogrom emocji, kumulujących się teraz w jego wnętrzu.

Jedyna towarzyszka jedenastu mężczyzn miała niepokojąco czarne oczy, w głębi których

nie można było rozpoznać, gdzie kończy się źrenica a zaczyna tęczówka, a jej długie włosy, skryte teraz pod pielgrzymim kapturem, były tak ciemne, że zdawały się niemalże czarnymi, mimo że słońce wydobywało z nich orzechowe refleksy. Na sztandarach wyhaftowany był ten sam motyw – nieregularny krzyż opleciony ciernistym pnączem z białymi różami wyrastającymi spośród cierni o płatkach naznaczonych kroplami krwi. Taki sam symbol znajdował się na piersi każdego z podróżnych, wyszyty srebrzystą nicią na bieli. Nawet posiadacz najbystrzejszych oczu nie potrafiłby rozpoznać tego z tej odległości, ale Elf nie miał najmniejszych wątpliwości. Niechętnie oderwał wzrok od ruchomego obrazka i przeniósł go na stojącą obok czarodziejkę.

– Jeśli wolno byłoby mi podążać za wskazówkami serca, błagałbym cię teraz, pani, byś nie pytając o nic pognęła z nami z powrotem w las, ale to byłoby i tak na nic. Jeźdźcy już o nas wiedzą – głos mu zadrżał.

– Zgaduję, że to źle – wtrąciła spokojnie, zachęcając go do dalszej opowieści.

Oblicze Elfa było pobladłe, z trudem przywołał na twarz przepraszący uśmiech i pokręcił głową przecząco.

– Nie. Wybaczcie. Najprawdopodobniej nic nam nie grozi, moja reakcja była wyolbrzymiona. To kapłani z klasztoru, w którym się wychowałem. Kiedyś takie spotkanie uradowałoby mnie i wypatrywałbym wybawienia z ich strony, ale teraz – wzruszył ramionami – wiele rzeczy uległo zmianie...

– Nie musimy na nich czekać, wystarczy zmienić nieco kierunek. Są jeszcze daleko. Jeśli odbijemy na południe, pozostaniemy na Równinach, ale nie przetniemy naszych dróg – zaproponował Człowiek, ale Pistis ponownie zaprzeczył.

– To na nic. To skomplikowane. Nieważne, jaki kierunek obierzemy, skończy się to i tak tym, że wyjdziemy prosto na nich. Jest wśród nich tropicielka. Moja tropicielka. Szukają mnie – dodał pod ciężarem wzroku dziewczyny.

Elpis uniosła nieco brwi, po czym zeskoczyła z pagórka i przysiadła na ziemi, dając znak pozostałym, by poszli za jej przykładem. Kiedy usłuchali, znów przeniosła spojrzenie na twarz kapłana.

– Więc spotkanie jest nieuniknione. Dobrze. O czym powinniśmy wiedzieć?

\*\*\*\*

Starzec w szarym płaszczu i sandałach, wyglądający na zwyczajnego podróżnego, którym wcale nie był, pozdrawiał krótkim skinieniem głowy postacie stojące w dwóch równych szeregach po obu stronach sali, którą właśnie zmierzał. Oba rzędy głów pochylały się nisko i z szacunkiem na długo zanim czarnoksiężnik do nich doszedł i pozostawały pochylone jeszcze przez długi czas. Oczy mężczyzny na chwilę zatrzymywały się na każdej z dwunastu płaskorzeźb, opartych o mury za ich plecami, przedstawiających postacie Ludzi naturalnej wielkości. Rzeźby trzeba będzie zasłonić, na to jeszcze nie czas...

Na końcu niebotycznie długiej sali stały dwie jasnowłose kobiety w czarnych szatach. Kiedy starzec zatrzymał się kilka kroków przed nimi, złożyły przed nim pełen szacunku pokłon, na który mężczyzna odpowiedział. Wyraz twarzy kobiet był identyczny, na poły rozmarzony i senny, jakby przebywały tu tylko ciałem, pozwalając duchowi dryfować. Żadne słowo nie wydobyło się z ich ust. Czekwały bez zbytniego zainteresowania, wyniosłe i obojętne.

– Prowadźcie mnie do Elohima.

Kobiety ponownie pochylały głowy, po czym odwróciły się i nie oglądając się na czarnoksiężnika, przeszły przez wnękę w murze do sąsiedniej komnaty. Starzec ruszył za nimi, reszta postaci nadal trwała na swych posterunkach, wyprostowana teraz i milcząca, wszystkie tak samo obojętne.

\*\*\*\*

– Co to w ogóle za zakon? – podpowiedziała Elfka po dłuższym oczekiwaniu, podczas którego Pistis milcząc wpatrywał się w czubki własnych butów. – To znaczy, pytam o ogólne wyznanie.

– Kapłani oddają cześć Panu Światłości, zwycięzcy śmierci.

– Mówisz o Jedynym Bogu? – upewniła się.

– Tak i nie. To skomplikowane. Jest ich dwoje, mimo że jest jeden. Bóg i Jego syn.

Dziewczyna popatrzyła z na nowo rozbudzonym zainteresowaniem.

– Więc Bóg miał syna?

– A Lucyfer córkę – Pistis uśmiechnął się lekko. – Czemu tak cię to dziwi? Zresztą ta dwójka łączy się ze sobą w pewien sposób. Ale to dłuższa historia – znów się zatrzymał, jakby nie wiedząc, czy powinien kontynuować.

– Więc na twoim miejscu przestałabym odpowiadać półsłówkami i pospieszyłabym się. Jeszcze jakiś czas zajmie im dotarcie do nas, ale nie mamy całej wieczności.

Czarodziejka powoli stawiała się poirytowana. Elf przymknął oczy. Jak w kilku słowach opowiedzieć im o tym, co przez dużą część jego życia stanowiło jego jedyną treść, ale nie było dość silnie w nim zakorzenione, by zostać na zawsze? Nie był chyba najodpowiedniejszą osobą do przedstawienia historii i filozofii kultu, któremu wielu jest gotowych służyć aż do momentu śmierci, jeśli kilka dni w ich towarzystwie spowodowały, że z chęcią obrałby każdą z dróg, byle tylko nie znaleźć się przed dwunastką kapłanów, przemierzających bezkres Wielkich Równin w poszukiwaniu właśnie jego. Czego chcieli? A jeśli wszystko było pomyłką i miejsce u boku Elpis, to które zajmował, nie było przeznaczone dla niego? Jeśli wśród dwunastki znajdował się ktoś, kto miał to miejsce zająć, a jego przeznaczeniem było wrócić do szarej rzeczywistości świec i białych róż? Czy mógłby teraz wrócić? Czy chciał? Odpowiedź była aż nadto oczywista.

– Belial była pierwsza – zaczął, ponaglany spojrzeniem trzech par oczu. – Córka Lucyfera, która zbłądziła i która ściągnęła zgubę na pozostałą szóstkę aniołów i na własnego ojca. Zanim Bóg ostatecznie stracił ich w otchłań wiecznej, niekończącej się śmierci, która spadła na nich pod postacią snu, była jeszcze szansa na ocalenie. Z blasku gwiazd stworzył podobnego do aniołów mężczyznę, którego nazwał swoim synem i wezwał Lucyfera i Belial przed swoje oblicze. Przynależał im wieczną glorię i wyniesienie ponad wszelkie niebiańskie byty, obiecał uczynić ją królową niebios, jeśli tylko porzuci swoją planetę, która nigdy nie powinna powstać i swojego kochanka, z którym nic nigdy nie powinno być jej połączyć. Jeśli zgodzi się zasiadać na szklanym tronie, bliźniaczo podobnym do tego, który zajmuje On, dzieląc go z Jego synem, wiążąc z nim swój los po wsze czasy. To był akt miłosierdzia i łaski, którym Belial wzgardziła, rozwścieczona i przepelniona bólem po potopie, który dopiero co zabrał na zawsze wielu z jej zrodzonych z występku potomków.

– Nie chciała nawet wysłuchać do końca słów Pana, gotowa przyjąć na siebie każdą karę, ale nie godząca się na zastąpienie kimkolwiek innym tego, kogo pokochała, nie mając żadnych praw do tej miłości, a jednak czując ją całą sobą. Była oburzona też postawą samego Lucyfera, który przedkładając jej dobro ponad to, co stanie się z planetą i z nim samym, błagał swoją ukochaną o przystanie na warunki. Poddając się swojej wściekłości, roztrzaskała w pył przyzmatyczny tron, usiłując jednym z odłamków ugodzić ofiarowanego jej mężczyznę, ale oczywiście nie potrafiła go dosięgnąć. Tak więc Belial jak zawsze ukazała się ze swojej najgorszej strony, ale mimo to nowo powstały Syn Boży był pod wrażeniem jej gwałtowności i pasji i tym razem to on wybłagał dla niej przebaczenie i ostatnią szansę.

– Wiedząc, jak wielką miłością Belial darzy niedoskonałe stworzenia zamieszkujące Ziemię, boski potomek stał się na czas jednego ludzkiego życia jednym z nich. Jednak potępiona

anielica nie zmieniła zdania, nic nie wiadomo nawet na temat tego, by kiedykolwiek doszło do jej bezpośredniego spotkania z Chrystusem. Wybrała dalsze grzęźnięcie w grzechu i zapłaciła za to, zaraz po tym, jak Syn Boży został zabity przez Ludzi, Elfy i Wampiry jak pospolity przestępca, a siedem światel ostatecznie zgasło, stając się zaledwie ognikami, nie mogącymi rozświetlić ciemności własnych wnętrz.

– Więc umarł? – przerwała mu Elpis z niedowierzaniem. – Po prostu umarł?

Kapłan skinął głową.

– Umarł, a dokładniej dał się zabić. Zginął przybity do drewna krzyża, z cierniową koroną nałożoną na głowę, a jego bok przebito włócznią. Zginął wydany pod sąd przez jednego z tych, których nauczał o swoim Ojcu, usiłując ich nawrócić na właściwą ścieżkę, a najwierniejszy z jego uczniów zaparł się go trzykroć tej samej nocy.

Czarodziejka poczuła, że słowa Elfa, choć słyszane po raz pierwszy i opowiadające nieznaną jej historię, w jakiś niepojęty, straszliwy sposób nie są dla niej czymś nowym. Czowała, że powinna je znać i powinna pamiętać.

– To bez sensu – zamaskowała niepokój śmiechem. – Oddajecie cześć i modlicie się do kogoś, kto tak po prostu dał się zabić? Komuś, kto był najwyraźniej niezbyt ważny dla Boga, skoro Wszehmocny Władca nie wpadł pomiędzy jego oprawców z mieczem czy gromem i nie rozpedził ich na cztery wiatry?

Kapłan patrzył na nią z nieodgadnionym wyrazem twarzy, powoli pokręcił głową.

– Wybacz mi to, co powiem, ale czy naprawdę uważasz, że zaufanie czarnoksiężnikowi to dobre wyjście? Nie wierzę, by ktoś żyjący tak długo, ktoś kto ma prawo dać hasło do przebudzenia Siedmiu Upadłych nie posiadał wiadomości o jego dalszym losie. Nie wierzę też, by dobrze życzył komuś, kogo posyła w świat z poleceniem wykonania zadania, nie uzbroiwszy go w całą wiedzę, jaką posiada.

– Po prostu mów dalej – przerwała mu rozdrażniona.

– Masz przebudzić i zabić Siedmiu, ale nie wiesz, gdzie ich szukać – kontynuował, niezrażony. – Dostałaś trzech pomocników, którzy okazali się dość kłopotliwą niespodzianką, objawiając moce, o które nikt ich nie podejrzewał. A może właśnie on wiedział od początku? Może rozmyślnie rzuca przeszkody na twojej drodze, zamiast zbudować bezpieczny most, po którym dojdiesz do jej końca, jeśli naprawdę nie może ci towarzyszyć?

Zatrzymał się, czując, jak coś wdziera się do jego wnętrza. Szarpnięcie mocy na moment zaparło mu dech w piersiach. Czarodziejka wpatrywała się w niego nieruchomo, układając swoje myśli w przekaz, który będzie mógł odebrać.

*Znasz mnie zaledwie kilka dni, kapłanie. Nawet tydzień nie upłynął od czasu, kiedy przysięgałam ci u stóp drzewa z nieśmiertelną duszą, a już drżysz na widok orszaku twoich własnych pobratymców, którzy mogą chcieć zabrać cię z powrotem. Jeszcze nie pojmujesz mocy więzi, łączącej ucznia z nauczycielem, ale już ją odczuwasz. Kain był w moim życiu od zawsze. Siedem tysięcy lat upłynęło między ślubowaniem złożonym mi przez niego, a moją akceptacją. Nie pamiętam już, jak długo jestem jego uczennicą. A mimo to przysięgałam wam, narażając się na jego gniew i będąc gotowa świadomie wystąpić przeciw mojemu mistrzowi. Jestem gotowa poprowadzić was po innym torze, niż on oczekuje, bo wiem, że niszcząc świat, zniszczę was. Mimo że nasze spotkanie ma zrehabilitować go w moich oczach, jestem gotowa otwarcie z nim walczyć w waszej obronie, jeśli okaże się to konieczne, bo siła, z jaką więź oddziałuje na mistrza jest nieporównywalnie większa od tej, jaką czuje uczeń. Teraz to wiem. Kain nie chce i nie chciał dla mnie źle, nie wiem dlaczego tak wiele rzeczy ukrywa, ale dowiem się i wtedy zrozumie. Nie potrafię tak po prostu, po nieprzeliczonych miliardach takich tygodni, jakie spędziłam u jego boku, wyrzucić go z serca. Muszę go oczyścić. Potrzebuję tego.*

Przekaz urwał się równie gwałtownie i niespodziewanie, jak zaczął. Elf z ulgą zauważył, że może już znów zacząć oddychać. A może zawsze mógł, tylko zbytni szok nie pozwalał mu na to?

– Po prostu mów dalej – powtórzyła dziewczyna głośno.

– Wybacz, pani. Poniosło mnie. Więc... Syn Boży zginął męczeńską śmiercią, skazany na nią przez ludzkiego sędziego, a jego konaniu przyglądała się każda z ras, tylko Wilki nie nadeszły. Nie walczył o życie, nie błagał o nie, Najwyższy Bóg nie zstąpił z niebios, by go uratować, bo to był jego wybór, rozumiecie? Wybrał przedwczesny koniec swojego ludzkiego życia, bo wolał to niż wyrządzenie krzywdy któremukolwiek z okrutnych dzieci kobiety, którą być może szczerze kochał. Niewątpliwie miał władzę zakończyć torturę w każdej chwili, ale nie uczynił tego. Umarł i złożono go do grobu. Jednak kiedy trzeciego dnia po jego śmierci jedna z kobiet, które towarzyszyły mu za życia, jego najwytrwalsza uczennica, krocząca przez cały czas trwania kaźni za krzyżem, poszła do pieczary, oddać hołd spoczywającemu tam ciału jej mistrza, grób był pusty.

Wykuta w skale pieczara, ziejąca rozpaczliwą pustką, pusta jak jej wnętrze... Skorupa, która wzięła w siebie wściekłą bestię, dopóki łańcuch nie został zerwany. Zimno... W środku jest straszliwie zimno, ale ten chłód pochodzi raczej z jej własnego wnętrza, półka skalna na której spoczywają porzucone w nieładzie płótna, zdaje się przygniatać ją swoim ciężarem, jakby to jej ciało w tym miejscu złożono, ale nie na półce, a pod nią. Ściany groty zdają się kruszyć i opadać w dół, by pogrzebać ją na zawsze, w grobowcu, gdzie umarła nadzieja...

– Dlaczego szukacie żyjącego wśród umarłych? Nie ma go tutaj... – kapłan drgnął, słysząc zmieniony strachem głos Elfki.

Dziewczyna zakryła usta ręką, sama zaskoczona słowami, które wypowiedziała. Obrzuciła ich twarze spłoszonym spojrzeniem.

Wszystko dobrze? – zapytał cicho Sylwan.

– Tak. Nie... Nieważne. Nie ma na to czasu – rzuciła okiem na zbliżające się sylwetki koni i jeźdźców, teraz bez trudu widoczne nawet dla Człowieka. – Oni zaraz tu będą. Jest za późno, żeby wybrać odwrót. Mówiłeś, że i tak nie uciekniemy, dlaczego?

– Jest z nimi Kelia, tropicielka. Jedyna kobieta wśród jedenastu mężczyzn – kapłan wyrzucał szybko słowa, również ich obserwując. – To specyficzny podział utrzymywany w zakonie. Małe grupki tworzące integralną całość, połączone czymś w rodzaju więzi, o której nam opowiadałaś. Kapłanka i dwunastu kapłanów.

– Ich jest jedenastu.

– Ja jestem dwunasty. To moja tropicielka. Dlatego ucieczka na nic by się nie zdała, ona zawsze mnie odnajdzie, jeśli tego chce.

– To brzmi dość niepokojąco – mruknął Wampir.

– To jest niepokojące. I nigdy mi się nie podobało – odpowiedział, wstając z ziemi.

Pozostali poszli za jego przykładem, stając ramię w ramię i czekając. Grupka Elfów zbliżyła się już na tyle, że wszyscy mogli bez problemu rozróżnić symbol na sztandarach, sylwetki i zarys twarzy poszczególnych jeźdźców. Elpis kątem oka zarejestrowała, że Pistis zaciska dłonie w pięści, a jego twarz zastyga w wyrazie obojętności, maskując ogrom wzbierających w jego wnętrzu emocji.

– Śmiało, wyrzuc to z siebie – poleciła krótko, nie odrywając wzroku od kapłanów.

– Nie mam prawa o to prosić, pani – również na nią nie patrzył.

Nie analizując tego, co robi, niemal automatycznie usiłowała zagłębić się w jego umysł, ale nieoczekiwanie napotkała barierę. Poczul delikatny nacisk i rozumiejąc, że nieświadomie udało mu się ją zablokować, nie potrafił powstrzymać uśmiechu, który natychmiast zamarł mu na

ustach, bo w tej chwili rozproszenia skrywane głęboko myśli wydostały się na powierzchnię, przyjmując postać wewnętrznego krzyku.

*Powiedz, że mnie nie oddalisz!*

Dziewczyna na chwilę oderwała wzrok od jeźdźców i spojrzała z powagą prosto w spłoszone oczy Elfa. Ich spojrzenia skrzyżowały się tylko na moment, oboje prędko przenieśli wzrok na zatrzymujące się w ich pobliżu rumaki.

*Nie oddalę cię. W dalszą drogę wyruszymy albo wszyscy razem, albo nikt dalej nie pojedzie.*

Starła się, by przekaz był jak najbardziej wyraźny i czytelny, ale nie miała czasu, by wy badać jego reakcję ani upewnić się, czy Elf był w stanie go odebrać. Zmierzająca w ich stronę grupka osiągnęła cel i zatrzymała się przed nimi, formując dwie kolumny, między którymi utworzyło się przejście. Kare konie zwrócone były bokiem do czarodziejki i jej towarzyszy, formując jakby dwie ściany tunelu, środkiem którego powoli zmierzała ku nim ciemnowłosa kapłanka dosiadająca kremowego wierzchowca. Kiedy mijała kolejne dwójki zwróconych w jej stronę Elfów, mężczyźni obracali swoje rumaki i odjeżdżali w dwie przeciwne strony, tworząc figurę na kształt klucza, w szyku którego podróżują dzikie ptaki.

Elpis uderzyło nienaturalne zsynchronizowanie ich ruchów i niezwykle podobieństwo do siebie nawzajem. Ubrani byli w identyczne białe szaty z wyszytymi srebrzystą nicią delikatnymi rysunkami z których największy i umieszczony centralnie był krzyż opleciony cierniami, które porastały róże. Wszyscy z wyjątkiem dziewczyny, której włosy zaplecione były w gruby warkocz, swoim końcem muskający koński grzbiet, kryli twarze pod kapturami. Spojrzenie kapłanki było nieobecne i obojętne, kiedy jej niesamowicie ciemne oczy ledwo prześlizgując się po obliczach Człowieka, Elfa i Wampira, zatrzymały się na Elpis. Czarodziejka w myślach wzniosła oczy do nieba na tą nie wiedzieć czemu mającą służyć demonstrację, kiedy wszyscy jak na komendę zrzucili kaptury, odsłaniając twarze, tak samo obojętne i nie wyrażające żadnych emocji. Tylko dwójka znajdujących się najbliżej dziewczyny z warkoczem patrzyła na nich, zdając się ich zresztą nie zauważać, oczy reszty spuszczone były na końskie grzywy.

Przez ciało Farysa przeszedł mimowolny dreszcz, nawet Sylwan poczuł się nieswojo. Czarodziejkę zaalarmował ten sam wyraz wystudiowanej obojętności, w który powoli zastygała twarz towarzyszącego jej Elfa, jakby dwunastka przybyszy wywierała nacisk na jego podświadomość. Za ich plecami Leviathan zarżał krótko i potrząsnął łbem, Stella, Flamme i popielaty wierzchowiec Wampira, którego imienia Elpis nie zdążyła poznać, odpowiedziały mu, wywołując lekki popłoch wśród elfickich koni. Czarodziejka uśmiechnęła się, wdzięczna im za zakłócenie groteskowo podniosłego nastroju. Idąc za ciosem wystąpiła krok naprzód i opierając otwartą prawą dłoń na sercu, skłoniła się krótko, nie mając pojęcia, jakie może być tradycyjne pozdrowienie elfickich kapłanów i decydując się użyć zwyczajnego powitania, obowiązującego wśród jej współplemieńców. Człowiek, Elf i Wampir bez wahania powtórzyli jej gest.

Obserwująca ich kapłanka przez moment nie reagowała w jakikolwiek sposób, po czym zeskoczyła z końskiego grzbietu, a w ślad za nią to samo uczynili pozostali, odpowiadając na ich pozdrowienie.

– Zaszczyt to dla mnie, spotkać przyjaciół mojego ucznia tak daleko od ich świątyni – Elpis położyła delikatny nacisk na słowo „mojego.” – Cóż sprowadza do nas czcicieli Jedyne Boga?

Spojrzała prosto w niepokojące źrenice obleczonej w biel kapłanki błękitnookiego bóstwa. Ku jej zaskoczeniu dziewczyna nie odpowiedziała wprost, ale nachyliła się w kierunku stojącego po jej prawej stronie Elfa i coś do niego szeptała, zasłoniwszy usta dłonią.

– Chwała Najwyższemu Panu, za którego sprawą mogliśmy się tu spotkać – powiedział

wysmukły młodzieniec, powtarzając jak echo słowa dziewczyny z warkoczem.

Czarodziejka uniosła lekko brwi, starając się nie okazać zdziwienia ich osobliwym zachowaniem. Nie mając pojęcia o tym, jaką odpowiedź wychowankowie klasztoru uznaliby za słuszną, skinęła lekko głową, milcząc. Nieznajoma znów nachyliła się ku swojemu towarzyszowi. Kelia... Pistis powiedział, że takie jest jej imię. Bez trudu słyszała jej śpiewny szept, niemożliwy do uchwycenia tylko dla Farysa, więc konsternacja i niepewność pojawiły się na jej twarzy zanim jeszcze jasnowłosy kapłan zdążył powtórzyć im jej słowa.

– Przybywam w imieniu tego, którego zwiesz ojcem. Starzec w pielgrzymim płaszczu wie, że twoje serce pragnie spotkania. Oczekuje cię w murach naszej świątyni.

\*\*\*\*

– Krew – powtórzył siwobrody mężczyzna w podróżnym płaszczu, patrząc w bładniebieskie oczy Elohima. – Moja córka pije teraz krew.

– Kiedy ostatni raz mury naszej świątyni udzielały jej schronienia, była...

– Człowiekiem – dokończył Kain spokojnie. – Nie pamięta tamtego życia. Teraz jest Elfem, chyba najbardziej ze wszystkich ras ta okazała się być jej najbliższa. Potrafi jednak przemienić się w Wilka, stać się Wilkiem, zatrzymując bicie swojego serca. Nauczyłem ją czerpać siły z krwi, mieszanej początkowo z mlekiem szarej dwugłowej Wilczycy. Teraz może bez szkody dla swojego organizmu pobierać pokarm właściwy Wampirom, podczas gdy wszelkie inne pożywienie jest jej wstrętne.

Mężczyźni przerwali na chwilę rozmowę, usuwając się z drogi dwójce milczących kapłanów, niosących zwój czarnego sukna. Dwoje innych okrywało właśnie takim samym materiałem jedną z dwunastu płaskorzeźb, stojących po obu stronach ogromnej sali.

– Więc nie próżnowałeś... – rzucił rozmówca Kaina cicho.

– Wiesz, że musiałem. Przepowiednia...

– Wiem – przerwał mu. – Nie musimy teraz o tym rozmawiać.

Elohim rozejrzał się niespokojnie. Snujący się wokół nich jakby pogrążeni w lunatycznym śnie kapłani nie zdradzali w żaden sposób zainteresowania ich rozmową. Mężczyzna westchnął. Chyba zaczynał popadać w paranoję. Nie znał i nigdy nie widział dziewczyny, która miała wkrótce zjawić się u bram zakonu, którego był mistrzem, choć oczywiście słyszał o niej niejednokrotnie. Nie mogło być inaczej, jeśli to właśnie jemu przypadła w udziale rola strażnika Świętej Księgi. Wiedział, że była tu już wcześniej, na długo zanim on się narodził, że ta wizyta do najłatwiejszych nie należała i że wszelkie wspomnienia, które były z nią związane, zostały jej odebrane. Przed tymi odwiedzinami również drżał, wiedząc, jaką rolę przyjdzie mu pełnić i czując, że nie może liczyć na jej zrozumienie. Powinno być inaczej, ale niespodziewanie dziewczyna obudziła w sobie coś, o co jej nie podejrzewali.

Tym bardziej nie mogli postąpić w inny sposób, oto czarodziejka zbliżała się do bram klasztoru i wszelkie rozterki były pozbawione sensu. Podczas długiej rozmowy on i Kain zdecydowali wspólnie i teraz pozostało im tylko trzymanie się ustaleń. Jeśli istniał jeszcze jakikolwiek sposób na wyciągnięcie jej z szaleństwa, w które popadała za sprawą trójki swoich adeptów, musieli się na niego zdecydować, bez względu na konsekwencje i uzasadnione zapewne obawy.

– Czy jest jeszcze coś, czego nie powinna zobaczyć? Co zrobimy z nimi? – zapytał Elohim, wskazując na ścianę za plecami Kaina.

Starzec odwrócił się i zmarszczył czoło. Na przytwierdzonych do muru hakach spoczywały cztery miecze, dwa bliźniaczo podobne do siebie, przeznaczone dla jednej osoby, która potrafiła używać ich obu w tym samym czasie i dwa większe od nich, różniące się jednak między sobą, zarówno wielkością jak i grawerunkiem na klingach i wykończeniami rękojeści.



Broń skryta była za grubym szkłem, po obu stronach gabloty płonęły pochodnie.

– Mogą zostać. To święte relikwie, ona nie naruszy waszej świętości.

Mistrz zakonu pokiwał głową. Nie potrafił wyjaśnić dlaczego, ale przecucia miał jak najgorsze, jakiś niemożliwy do ubrania w słowa niepokój szarpał jego wnętrzości, krzycząc, że obrona przez nich droga wcale nie jest tą, która pozwoli im zatriumfować.

– Czarne kamienie czekają cierpliwie, nam też pozostało oczekiwanie – z rozmyśleń wyrwał go głos starca, stojącego obok.

Najwyższy kapłan westchnął i podniósł oczy na jego twarz.

– Mam nadzieję, że dobrze znasz swoją córkę, czarnoksiężniku.

– Nikt nie zna jej lepiej – odpowiedział Kain bezbarwnym głosem. – Co nie oznacza, że znam ją dobrze.

\*\*\*\*

Posuwali się irytująco wolno. Ich czwórka zwykła była podróżować galopem, a jedynym limitem prędkości i czasu jazdy były dla nich siły fizyczne jeźdźców, głównie Farysa. Konie Elfów były jednak normalnymi zwierzętami, nie potrafiącymi obywać się bez snu i odpoczynku. Ich własne wierzchowce zdradzały podenerwowanie ślimaczym tempem marszu, raz po raz wyrывая się do biegu i potrząsając wściekle grzywami. Strach, jaki wzbudzały samą swoją obecnością wśród rumaków kapłanów, był niemal fizycznie odczuwalny. W jego efekcie czarodziejka i jej mała drużyna musieli trzymać się razem w pewnej odległości od elfickich posłańców.

Cała dwunastka nie zamieniła ze sobą ani jednego słowa podczas tego mozolnego pełnienia w przód, mimo że znajdowali się w drodze od kilku godzin. Końskie kopyta mozolnie przesypywały piasek, nie przyspieszając ani nie zwalniając, jakby ta wędrówka nigdy miała się nie skończyć. Elpis poczuła, że ma ochotę poderwać Lewiathana do galopu i wpaść pomiędzy czarne eteryczne wierzchowce, wywołując popłoch wśród pogrążonych w zadumie kapłanów. Zobaczyła, jak towarzyszący jej Elf uśmiecha się, odebrałszy jej myśli. To było niezwykle, jak szybko i naturalnie przebudzała się w nim umiejętność sięgania w głąb jej umysłu.

*Czy oni potrafią czytać w myślach?*

Zapytała go bezgłośnie. W odpowiedzi lekko pokręcił głową, zaprzeczając.

*Co jest z nimi nie tak?* – kolejne pytanie samo uformowało się w jej głowie. *Od początku drogi próbuję wnikać do ich umysłów i wybadać cokolwiek. Wiesz, co tam szepczą? To chyba modlitwa, powtarzają jakąś modlitwę, każdy w swoim tempie. Po aramejsku. Tworzy się niewyraźny bełkot, od którego mam dość, ale nie przestanę. Najwyraźniej nie chcą dopuścić mnie do swoich głów, tym bardziej będę czujna.*

Pistis zacisnął usta w wąską kreskę.

*Ziła. Złe ziła. Po to, by nie czuć głodu i sennaści. Nie staniemy na noc, będziemy jechać, cały czas w tym samym tempie, nie przyspieszając, ale też nie zwalniając.*

Dziewczyna przewróciła oczami.

*Daleko stąd do świątyni?*

Miała dość. Właśnie powolna marszruta wyczerpywała ją bardziej niż cokolwiek innego. Chciała galopować, cwałować na złamanie karku, dokądkolwiek.

*Cóż... Nie będę miał dobrych wiadomości, pani. Przy nie zmieniającej się prędkości to jeszcze trzy pełne dni.*

Elfka wzniosła oczy do nieba i westchnęła głęboko. To jakiś obłąd. Dlaczego Kain nie mógł wybrać na spotkanie jakiegokolwiek innego miejsca? Jakiegokolwiek... Każde inne byłoby lepsze. Ta bierność sprawiała, że czuła niepokój i strach. To było dziwne, kiedyś, dawniej, mogłaby iść miesiącami bez szaleństwa w sercu. Teraz byli z nią oni. Przedstawiciele trzech

odmiennych ras, tak samo ważni dla niej i nietykalni, niemalże święci. Trójka mężczyzn, których przyrzekła chronić, bo wraz z ich śmiercią coś by w niej umarło. Tym razem bezpowrotnie, na zawsze.

Byli ważni, w tej chwili najważniejsi, stanowili treść wszystkiego, klucz do czegoś, o czym nie pamiętała, ale zaczynała sobie przypominać. Wyjaśnienie myśli, których treści nie pojmowała, a które ją przerażały. Czuła, że za sprawą ich obecności w jej życiu coś wraca na właściwe tory, zarazem opuszczając je na zawsze. Była pełna sprzeczności. Oni byli najważniejsi, ale czy na pewno w równym stopniu? Rzuciła szybkie spojrzenie na Pistisa, by dostrzec, że on też się jej przygląda. Odwróciła wzrok, zawieszając go na grzywie Leviathana.

Jak nigdy dotąd zapragnęła zmusić Piekielnego do galopu i uciec dokądkolwiek, nawet prosto w przepaść. Jednocześnie wiedziała, że nawet, gdyby pojawiła się możliwość, nie porzuci swojej drużyny. Zresztą po co, skoro i tak spadała, z każdą chwilą coraz prędzej...

\*\*\*\*

Drzewa w lesie drżały i pochylały się w trwodze, ulegając potędze wściekłości bestii. O tak, był wściekły... Odeszła, porzuciła go. Mimo tego, że przez tyle czasu przemierzała jego las, nie zauważyła, kto przemyka jej tuż pod nosem, kto każdej nocy przygląda się jak śpi i zsyła koszmary, tylko tyle mogąc zrobić, pragnąc jednocześnie zanurzyć w jej sercu miecz śpiącego obok Człowieka, pragnąc zmiażdżyć ją jednym mocniejszym ciosem i wdeptać jej ciało w ziemię, aż nie pozostanie żaden ślad. Tymczasem mógł tylko obserwować, czekając, aż nadejdzie jego kolej, tak jak wcześniej Leviathan i Astaroth. Nienawiść, był jej pełen... Ociekał jadem nienawiści. Chciał przelać ten jad w jej wnętrze, aż nic nie zostanie z jej hardości i buty. Chciał ją złamać, jak łamał potężne dęby i klony.

Nietoperze krzyczały jak opętane, zderzając się ze sobą i raniąc do krwi, ale nie upadały. Potężna, wyniszczająca, ślepa furia napędzała je od środka, kiedy czarną chmurą wzbily się w powietrze i pognały w tym samym kierunku, by opuścić schronienie drzew. Chciały tego samego, bo były tym samym, ich pragnienie zlewało się w jedność, były jednością, on był nimi. Był w każdym z nich, nie można było go zabić, nie można było mu zaszkodzić, jeśli nie znało się sposobu. Był tysiącem ciał, tysiącem uszu i oczu, tysiącem klów i pazurów i jedną myślą.

*Śmierć... Śmierć, przeklęta. Bo poza nią nie ma już nic.*

\*\*\*\*

Coś nadchodziło, podążało ich śladem, będąc coraz bliżej i bliżej. Leviathan był niespokojny, konie były niespokojne, jeźdźcy udawali spokój, ale nie czuli go. Depcząca im po piętach chmura ciemności, z którą spotkanie oko w oko, nieważne jak przerażające, było niemożliwe do uniknięcia.

*Ty wiesz, kto to – usłyszała głos Leviathana. Wiesz kim jest i wiesz, co potrafi. Znasz go, a on zna ciebie.*

Bransoletka, oplatająca ściśle jej prawe ramię, parzyła, czarodziejka zapragnęła odrzucić ją precz, ale nie mogła dać potępionemu aniołowi tej satysfakcji, czuła, jak kły węża zaostrzają się, wbijając w jej ciało, kręciło jej się w głowie, myśli się mieszały. Leviathan wyrwał się do biegu, z powrotem, wprost do lasu, do opętanego nienawiścią demona, który zmierzał ku nim.

*Nie, nie pokonacie mnie, nie złamaliście mnie wtedy i nie złamiecie mnie teraz. W tej chwili przestańcie. Oboje.*

– Pani?

Odwróciła się, napotykając pełne troski oczy Elfa. No tak, on... Dlaczego zawsze to musi być on? Nie wiedzieć czemu, jego troska potrafiła ją teraz tylko zirytować.

– Coś tu pełnie. Akurat teraz, kiedy mamy ze sobą grupę odurzonych ziołami kapłanów. Pożytek byłby z nich jedynie, gdyby to coś okazało się fizyczne, można by zabrać im łuki, bo

w tym stanie prędzej sami się pozabijają, niż kogoś trafią.

Troje jej towarzyszy obrzuciło dziewczynę zaskoczonym spojrzeniem, a Pistis rzucił okiem na Elfkę z warkoczem i jej jedenastu. Elpis mówiła głośno, kapłani musieli odebrać jej słowa, ale nie okazali w żaden sposób, by uczyniły one na nich jakiegokolwiek wrażenie. Czarodziejka przyspieszyła i zbliżyła wierzchowca do kremowego konia Kelii.

– Coś się zbliża. Musieliście też to wyczuć, ale wy nie zdajecie sobie sprawy z tego, czym to jest, ja to wiem. Wiem, że nie ustąpi i że muszę odpowiedzieć. Zawrócimy teraz do lasu, ja i moi towarzysze, a wy popędzicie konie do świątyni. Pistis zna drogę, jak tylko skończę z tym nowym demonem, dołączymy do was, przyrzekam.

Kapłanka po chwili milczenia osłoniła usta ręką i nachyliła się w stronę jednego z jasnowłosych młodzieńców.

– Nie ma czasu na wasze ceremonie! Nie rozumiecie? To wasza jedyna szansa. On chce mnie, jeśli odejdziecie teraz, powinien was zaniechać.

Dziewczyna wpatrywała się w nią szklonym spojrzeniem, milcząc. Elpis zakłęła w duszy.

– Pistis! – w jej głosie była z trudem hamowana wściekłość. – Czy do elfickich kapłanek przemawia się w jakimś dziwnym języku, którego nie znam? Jeśli tak, powiedz jej, żeby jak najszybciej zabrała stąd swój oddział.

Elf minę miał dość bezradną, nie powiedział nic. Jakim cudem mógł kiedykolwiek pomyśleć, że czarodziejka w najmniejszym stopniu przypomina mu ich kapłanki? One dwie były jak skute lodem jezioro i wiecznie znajdujący się na skraju erupcji wulkan. Zanim zdążył w jakikolwiek sposób ustosunkować się do jej wypowiedzi, niebo pociemniało, zakryte ziejącą nienawiścią chmurą. Kare konie kapłanów spłoszyły się i zaczęły dreptać i rozbiegać się we wszystkich kierunkach. Daremne wysiłki ich jeźdźców, zmierzające do ich opanowania, były równie bezowocne jak próby zawrócenia rzeki patykami. Konie wpadały na siebie, spazmatycznie chwytając powietrze rozszerzonymi z przerażenia chrapami.

Elpis na chwilę znieruchomiała z zaskoczenia. Nietoperze... Tysiące małych, roztrzepotanych stworzeń zmierzało w ich kierunku, a ich szal był niemal namacalny. Wściekłość miała ich oczy, niezliczoną ilość wielkich, rozbieganych oczu na małych główkach z drobnymi jak igielki, a jednak potrafiącymi dotkliwie kaleczyć kłami. Ale jak to? Dlaczego nietoperze? I który z nich, na Boga, który spośród tysięcy jest tym jedynym? Zanim zwierzęta zdążyły wpaść pomiędzy nich, kapłani towarzyszący Kelii wyciągnęli łuki. Elpis nie wiedząc czemu zrozumiała, że pod żadnym pozorem nie wolno dopuścić do tego, by którakolwiek z naciągniętych na cięciwę strzał wzniosła się w powietrze. Pognała Leviathana na łuczników, rozpędzając i uniemożliwiając atak przynajmniej części z nich.

– Stać! – wrzasnęła wściekle. – To nie są nietoperze! Nic tu po was i po waszych łukach! Tylko magia może nas ocalić. Nie próbować z nimi walczyć! Uciekać!

Odpowiedział jej świst strzał. Szarżując, udało jej się zrzucić z konia i wytrącić broń z ręki najbliższemu kapłanowi. Reszta po raz drugi sięgała do przytwierdzonych do pleców kołczanów, ale żaden z nich nie zdążył dobyć kolejnej strzały. Chmura nietoperzy zagotowała się niczym wrząca woda w gejzerze, a powietrze przeszył triumfalny ryk bestii o tysiącu gardel. Zanim czarodziejka zorientowała się, co właściwie zaszło, pozostała sama wśród kotłujących się we wszystkich kierunkach obłąkanych niby-nietoperzy, a wokół niej jak na śnionym w spowolnionym tempie śnie upadali strzelcy. Z wyrazem bezbrzeżnego zdumienia i przerażenia w beznamiętnych do niedawna oczach, chwiali się i upadali na ziemię, czepiając się końskich grzyw, które wymykały się im z palców, cudem tylko unikając stratowania przez własne pijane strachem wierzchowce. Zanim ich krótki lot dobiegał końca, serce żadnego z nich nie biło, zatrzymane zimnym grotem strzały o szarym pióropuszu, tej samej, którą przed chwilą posłali

w stronę nietoperzy.

Uniesiona ręka Farysa, dzierżąca miecz, zamarła w pół ruchu, kiedy spojrzenia jego i czarodziejki skrzyżowały się.

– Zabraniam! Odrzuć go! Natychmiast!

Usłuchał, ciskając miecz na ziemię. W tym samym momencie Elfka dostrzegła wczepione w nią spojrzenie jedynych żywych oczu wśród trupów. Kapłan, którego zrzuciła z konia, patrzył z niemym, nabożnym niemal przerażeniem, niezdolny do żadnej reakcji. Mimo tego palce jego ręki jakby bez udziału świadomości zmierzały w kierunku porzuconego łuku jednego z jego martwych pobratymców. Dziewczyna zmarszczyła brwi, zaczynając rozumieć. Ją też parzył w dłoń łuk, który wcześniej mu wytrąciła, a który nadal trzymała. Czuła, jak cała jej istota rwie się do ataku, że opanowuje ją jedno pragnienie: popędzić wprost do jednego z martwych Elfów i wystrzelić w nietoperze wszystkie strzały, jakie mieści w sobie jego kołczan, jedna po drugiej.

Okrutnym wysiłkiem zwalczyła pokusę, a Leviathan, odbierając jej myśli, poderwał się do biegu i z impetem opadł przednimi kopytami wprost na łuk, po który sięgał kapłan, łamiąc drewno na dwoje. Elf nagle pozbawiony możliwości użycia broni, gwałtownie cofnął rękę i spojrzał przerażony, jakby dopiero teraz dostrzegając bliskość kopyt Jednego z Siedmiu. Elpis zeskoczyła z grzbietu piekielnego rumaka i zatrzymała jednego ze spłoszonych koni kapłanów. Niemal siłą postawiła leżącego wciąż przed nią mężczyznę na nogi i popchnęła go na jego grzbiet.

– Jedźcie do świątyni. Do świątyni, rozumiesz mnie? – Elf gorączkowo pokiwał głową. – Najszybciej jak potraficie. Powiedz czarnoksiężnikowi, że spotkałam trzeciego anioła. Zjawimy się niebawem. Jedź już! Nie czekaj. Zabierz ją stąd! – wskazała na Kelię, kompletnie zagubioną pośród oszalałych nietoperzy.

Dziewczyna ogromnymi oczami wpatrywała się w ciała swoich pobratymców, niezdolna do reakcji. Jako jedyna spośród nich nie posiadała broni i Elpis wiedziała już, że to ją ocaliło.

– Do świątyni! Co sił! Już!!!

Kremowy i kary koń zatańczyły w miejscu i puściły się galopem. Od tej chwili czarodziejka nie miała już wpływu na los dosiadających je osób. Szybko zlustrowała miejsce masakry. Sylwan stał na ziemi z obnażonymi kłami, hamując się z trudem, pewnie tylko dlatego, że tak niewielkiego przeciwnika trudno byłoby upolować w sposób właściwy Wampirom. Farys z całych sił zaciskał dłonie na wodzach Flamme, starając się nie myśleć o mieczu, spoczywającym wśród piasku. Pistis trzymał gotowy do strzału łuk... Czarodziejka poczuła, jak coś zimnego i ciężkiego zaciska się jej wokół gardła, kiedy zrozumiała, że odległość, w jakiej się od niej znajduje jest dla niej nie do pokonania przed oddaniem przez niego strzału.

Rzuciła się na ziemię, odwracając jedno z ciał i wyszarpując strzałę z kołczanu przytwierdzonego do pleców trupa. Naciągnęła ją na cięciwę łuku jedynego ocalałego kapłana, który nadal ścisłała w dłoni. Wymierzyła, wstrzymując oddech i rozchyliła palce, zaciśnięte na jastrzębich piórach, uwalniając strzałę. Pistis krzyknął krótko, kiedy stalowe ostrze przecięło skórę na grzbiecie dłoni, którą naprowadzał swoją strzałę na cel. Mimo że nie udało mu się powstrzymać strzału, chybił. Elpis odetchnęła z ulgą, widząc jak w jego oczach maluje się zaskoczenie.

– Wyrzuć go! Na konie. Zostaw miecz!

Farys zatrzymał się w pół ruchu. Elpis wskoczyła na Leviathana i jeszcze raz usiłowała ogarnąć wzrokiem ogrom chmury nietoperzy. Kotłowały się wokół nich, wywołując pragnienie zdobycia broni i rozpoczęcia walki, któremu ulegając, skazywali się na śmierć, ale same ich nie atakowały. Leviathan poderwał w górę przednie kopyta, czarodziejka mocniej zacisnęła kolana na jego bokach, unikając upadku.

– Chcesz mnie, piekielny? – zakrzyknęła w przestrzeń, do zawieszanej w powietrzu ruchomej chmury. – Więc śmiało, zakończ swoje gierki, walcz! Za mną, w ciemność! Za mną po śmierć, bo nie mam dla ciebie nic innego! Za mną!

Jej rumak po raz ostatni zatańczył, po czym przecwałował obok Człowieka, Elfa i Wampira, nie oglądając się na nich. Cała trójka zawróciła swoje wierzchowce i pognąła za swoją nauczycielką. Co sił, w kierunku lasu, który opuścili. Kotłująca się ciemność, stworzona z niezliczonych błoniastych skrzydeł, pognąła za nimi. Elfka myślała gorączkowo. Nie miała dość sił, by walczyć z kolejnym z siódemki potępionych. Krew szarego Wilka już dawno przestała krążyć w jej żyłach. Miała pomysł, ryzykowny i technicznie trudny do wykonania, bo głównym wyznacznikiem powodzenia mogło być tylko całkowite wyzbycie się instynktu samozachowawczego. Poza tym próba mogła być tylko jedna, jeśli jej analiza okazałaby się błędna, dla jej towarzyszy nie będzie już ratunku. Ona podźwignie się z objęć śmierci, które pochłoną ich na zawsze.

Na każdym kroku tworzyły się nowe paradoksy. Myśląc o ich bezpieczeństwie, musiała narazić życie jednego z nich, bo tym razem sama nie da sobie rady, nie bez krwi. Wiedziała, który żywioł będzie najlepszy, który osłabi go na tyle, by ukazał przed nią twarz. Imię, ono było kluczem... Musiała wyrwać mu je z gardła, razem ze skomleniem o litość. Nieco zwalniając, zrównała się z rudym koniem Farysa.

– Potrzebuję twojego bezwarunkowego zaufania! – Człowiek skinął głową, dając znak, że słyszy. – Potrzebuję ślepego, niewolniczego posłuszeństwa, pozbawionego najlżejszego nawet zawahania! Potrafisz mi to przyrzec?

Żrenice mężczyzny rozszerzyły się, a usta zacisnęły i pobladły. W oczach pojawił się wyraz rozpaczliwej determinacji. Znów skinął krótko głową.

– Dobrze. Czekać na mój znak. A teraz naprzód, na złamanie karku, wśród drzewa!

Z ciężkim sercem, błagając w duszy o to, by chociaż brak logiki w działaniach demona zaklętego w nietoperzach okazał się konsekwentny, prowadziła ich w las. Po zatracenie i śmierć – dla nich lub dla niego.

## Rozdział 9

### Trzeci anioł

Ściagała ich wielopalczysta ciemność, milionem ostrych pazurek opętanych przez nią stworzeń czepiająca się płaszczy i końskich grzyw, szarpiąca włosy i ubrania. Abaddon ze wszystkich sił skupiał się na pędzie i na tym, by nie spaść z grzbietu Flamme. Nie było to proste, nietoperze oddziaływały na niego, przemawiając do głębi jego istoty, nakazując dobyć miecza i walczyć. W duchu dziękował niemal całym ciałem przylegającej do szyi Leviathana czarodziejce za polecenie odrzucenia miecza. Coś z jego wnętrza nakazywało puścić wodze, wyszarpnąć stopy ze strzemion i skoczyć, i tylko resztką świadomości ostrzegała, że to wcale nie jego myśli, że skok, którego konsekwencją musiałaby być śmierć, jest wizją, narzuconą mu przez nietoperze.

Czego Elpis od niego oczekiwała? Ślepe posłuszeństwo niewolnika, czy był do niego zdolny? Przynależał, ale czy potrafił? Czuł, że głowę zaraz rozsądzi mu wrzask podążających za nimi stworzeń. To nie mogły być nietoperze, nietoperze tak nie wrzeszczą... Nie rozumiał, co się z nim dzieje, chciał sięgać po nie gołymi rękami, ukręcać małe główki i przysłuchiwać się, jak z chrzęstem pękają kręgi w ich oszukanych ciałkach. Zaciśnął powieki, pozwalając klaczy się prowadzić, czołem prawie muskając jej grzywę.

Pozostali wcale nie radzili sobie lepiej. Kły Wampira tak bardzo chciały odpowiedzieć na wołanie zaklętych w nietoperzach stworzeń, że niemal kaleczyły jego własne wargi. Pistis miał wrażenie, że ciało Elfa, z całych sił zaciskającego palce na grzywie białej klaczy, wcale nie należy do niego, w jego wnętrzu wszystko pękało i upadało. Czarodziejka walczyła z magią, uzewnętrzniającą się w postaci srebrzystych nitek, które jak dotąd bezskutecznie usiłowały zacisnąć się na małych, kosmatych szyjach ścigających ją stworzeń.

Nie wolno było im zaatakować. Nie może nawet spróbować uczynić demonowi najmniejszej krzywdy i nie wolno jej pozwolić, by którykolwiek z jej trzech towarzyszy podjął taką próbę. Kapłani, których truchła zaścielały teraz piasek Wielkich Równin, porzucane bezładnie, z wbitymi w nie strzałami, które sami wypuścili, udowodnili jednoznacznie, że demon potrafi zaabsorbować i skierować w przeciwnika każdy atak. Jeśli dobrze przeczuwała, tylko odwrócenie wszystkiego, pozostawienie logiki poza sobą i zdanie się na szaleństwo, rzucenie całego siebie w otchłań obłędu, zatracenie się w nim bez reszty, mogło dać im przewagę, jeśli się myliła, cóż... drugiej szansy nie będzie. Nie mogła nawet wypróbować swojego planu, bo nie wiedziała, jak demon o tysiącu ciał zareaguje, jeśli okaże się, że ma rację. Jeśli ucieknie i skryje się, będzie mógł wykończyć każdego z nich po kolei. Teraz przynajmniej miała choćby minimalną kontrolę.

Ogień... Potrzebowała ognia. Potrzebowała Człowieka, który władał ogniem i jego niezachwianej wiary w jej słowa, niezależnie od tego, jak bardzo okazałyby się nielogiczne. Ściana lasu, do którego zmierzali była tuż, nie zatrzymując się, zwalniając tylko nieznacznie, wjechali między drzewa. Czarodziejka jeszcze przez kilka minut zmuszała ich do zagłębiania się w puszcze, po czym osadziła wierzchowca w miejscu i zeskoczyła na ziemię. Człowiek, Elf i Wampir poszli za jej przykładem. Nietoperze osiadły miękko na drzewach wokół nich, zastygając w bezruchu i obserwując ich, czekając na moment, kiedy napięte struny nerwów pękną i któryś z nich popełni błąd, atakując jako pierwszy. Dziewczyna podeszła do Farysa.

– Nie sądzę, by zaatakowały same – powiedziała cicho. – Jego bronią jest nasza moc,

wykorzysta przeciwko nam każdy czar czy cios, jaki wyprowadzimy w jego stronę. To trzeci anioł, nie wiem jeszcze który, ale zaraz się dowiemy. Jeśli jest jakikolwiek sposób na to, by go pokonać, to musi być równie absurdalny i nielogiczny jak to, że ty tniesz mieczem, a miecz przecina twoją własną skórę. Wykorzystam inwersję. Ty i ja razem. Wygenerujemy płomień, największy i najbardziej niszczący, jaki tylko potrafisz. Ale nie zaatakujemy go naszym ogniem. Skierujesz płomień we własne wnętrze, jakbyś chciał unicestwić sam siebie, a ja zrobię to samo.

– Ale...

– Nie – przerwała mu. – Bez ale, już nie. Nazwij to podwójnym samobójstwem, jeśli chcesz, ale zrób to. W ostatniej chwili nas zawrócę. To nie będzie przyjemne doświadczenie, ale nie pozwolę ci zginąć.

Elfka odetchnęła głęboko i delikatnie poruszyła dłońmi, jakby chciała strzepnąć niewidzialny pył z palców. Po raz pierwszy miała stawić czoła Upadłemu bez wsparcia krwi. Wilczyca jej nie odnalazła, czy dlatego, że ostatnim razem okazała taką pogardę wobec ofiary i dała jej jasno do zrozumienia, że jej uczniowie są najważniejsi? Cokolwiek było powodem, nie było jej tu, musiała poradzić sobie bez opieki przybranej matki. Patrząc w twarze swoich adeptów po raz pierwszy przemknęła jej przez głowę nieproszona myśl, że może niepotrzebnie ściągnęła ich wszystkich tu ze sobą, narażając na niebezpieczeństwo, przeciwko któremu żaden z nich nie potrafił stanąć i przeżyć. Zaciśnęła dłonie w pięści. Żaden nie mógł przetrwać starcia z Trzecim bez niej, więc musiała wytrzymać, nie wolno jej było zginąć, tak jak podczas walki z Astarothem. Musiała trzymać się życia z całych sił, bo tylko to gwarantowało życie im. Kiedy to sobie uświadomiła, dotarło do niej z całą mocą, że da radę, jest dość silna.

Przymknęła oczy, szepcząc zaklęcie. Kiedy je otworzyła, wokół nich zamykał się pierścień ognia, oddzielając ją wraz z trójką mężczyzn i ich wierzchowcami od nietoperzy. Ogień nie był wysoki i z łatwością mogliby przejść nad nim, przekraczając płomień, dopóki nikt się do niego nie zbliżył i nie podejmował prób ucieczki lub wdarcia się do środka kręgu, taki miał pozostać.

– Wnętrze okręgu to strefa bezpieczna, one nie wejdą. Nie możecie nam teraz pomóc, – zwróciła się do Elfy i Wampira – ale słuchajcie uważnie i błagam, zapamiętajcie, bo możecie bardzo zaszkodzić. Nie wolno wam nas dotknąć, jeśli cokolwiek mnie rozproszy i połączenie zostanie przerwane, jesteśmy zgubieni. Choćby działo się coś do cna przerażającego, choćby kompletnie mi się nie udało, nie możecie nas dotknąć. Jeśli rzeczywiście poniesiemy klęskę, jeśli choć jeden z nich przekroczy płomień, a one go nie spalą, wskakujcie na konie i galopujcie przed siebie na złamanie karku.

Pistis otworzył usta, ale powstrzymała go ruchem ręki. Nietoperze, które nie były tym, na co wyglądały, spoglądały na nich z mrocznym zaciekawieniem. Żaden nie próbował zbliżyć się do płomieni. Obserwowały, ufając w to, że w końcu ich strategia zadziała, nieświadome, że z chwilą zamknięcia się ognistej tarczy ich czar ustąpił, a miejsce chęci walki z szalonym przeciwnikiem zajęło przerażenie tym, co mogłoby się stać, gdyby ulegli i zaatakowali. Elpis przyklękła na ziemi, ruchem głowy wskazując Farysowi miejsce naprzeciw siebie. Srebrnym sztyltem przecięła wnętrze własnej dłoni i dłoni Człowieka. Przytrzymała jego rękę obok swojej, pozwalając kropłom ich krwi barwić szkarłatem piasek, z którego przed chwilą zgarnęła śnieg i mieszać się ze sobą. Następnie opuściła dłoń, zranioną skórę opierając na ziemi, w którą wsiąkła już ich krew. Kiedy Farys zrobił to samo, przesunęła rękę w jego stronę, splatając ze sobą ich palce.

Odebrała szarpnięcie wściekłości bestii, która zaczęła pojmować, co takiego chcą zrobić, ale nie mogła ich powstrzymać. Pozwoliła sobie na lekki uśmiech. Jego gniew był najlepszym gwarantem tego, że zmierzają w dobrym kierunku. Albo grą, mającą wprowadzić ich w błąd...

Cóż, było za późno. Nawet jeśli szli ku przepaści, nie mogli się już zatrzymać ani zawrócić. Paradoksalnie ta myśl dodawała jej otuchy. Oddech Człowieka stał się krótki i urywany, instynktownie usiłował uwolnić rękę, ale wzmocniła chwyt.

– Farysie – patrzyła prosto w jego oczy, ich twarze dzieliły centymetry. – Od tej chwili nie interesuje mnie z jakich miejsc krwawisz, czy pękają ci kości, czy umierasz. Staniesz się płomieniem, a płomień musi łamać, kruszyć i niszczyć, jesteś Człowiekiem, a żaden z Ludzi tego nie wytrzyma, będziesz więc umierać. Słuchaj mnie! – podniosła głos, widząc, że jego spojrzenie traci przytomność, jego krew krzyczała do niego z wnętrza ziemi, czar zaczynał działać. – Sprowadzę cię z powrotem, ale nie wolno ci przerwać połączenia. Choćby nie wiem jak bolało, choćbyś umierał, za nic nie wolno ci puścić mojej ręki. Zapamiętaj i zabierz to ze sobą tam, dokąd się udajesz. Nie możesz puścić mojej dłoni, jeśli przerwiesz połączenie, nie odnajdę cię, zanim pochłonie cię płomień. Jestem tuż obok, idę tam z tobą, musisz tylko mnie nie zgubić. Rozumiesz?

Lekko pokiwał głową, jego ciałem zaczęły wstrząsać dreszcze. Wiedziała, że to ostatni moment, by za nim podążyć, że i tak nie może mu już nic przekazać, bo przestał ją słyszeć. Zamknęła oczy, poddając się.

To było jak skok w lodowatą zimną wodę, tak zimną, że wbijające się w ciało lodowe igielki po chwili zaczynają parzyć, jak zanurzenie się w truciźnie. Wstrzymała oddech, by nie krzyczeć. Była krwią, przeciskającą się między porami ziemi, biegnącą do jej jądra, tam gdzie pierwotny ogień nie zgasł jeszcze i wzywał ją. Coraz prędzej i prędzej, po płomień, który ją spali. Kiedy zanurzyła się w płynnym ogniu, przestała czuć cokolwiek. Jakaś część jej istoty, ta która pozostała na górze, zarejestrowała, że figurki czarnoksiężnika i jego ucznia zastygły w beznadziejnym oczekiwaniu na to, co musiało się stać. Cisza przed burzą, duszna i przytłaczająca, kiedy każde uderzenie serca zdaje się być ciężarem ponad siły, kiedy oddech przychodzi z trudem, napełniając płuca gorącym oparem i tylko całkowity bezruch przynosi jako taką ulgę. Wiesz, że coś się zbliża, ale nie możesz zrobić nic, ociążałe ciało jest zbyt słabe, by uciec.

Rozszalały żywioł wdarł się do ich ciał, zamieniając krążącą w nich krew w płynny ogień i popieląc kości. Elpis czuła, jak jej ciałem zaczynają wstrząsać niekontrolowane dreszcze, potrzebowała chwili, by zdać sobie sprawę, że nieludzki skowyt, który słyszy, wydobywa się z jej własnego gardła. To działało, demon przechwycił również ten atak, skierowany przeciwko sobie samemu i ulegał mu, jak oni ulegali. Jednak ona nie widziała nietoperzy, które jedne po drugich podrywały się do krótkiego, szalonego lotu zakończonych upadkiem. Była tylko ona i ściana ognia – w jej wnętrzu i wokół niej, i żadnego, absolutnie żadnego punktu zaczepienia, który pozwoliłby wrócić.

\*\*\*\*

Obserwujący tę groteskową scenę Elf z całych sił zaciskał zęby, by nie krzyczeć razem z nimi. Był rozdarty między obowiązkiem posłuszeństwa swojej mentorce, a wewnętrznym przekonaniem, że oto nadszedł moment, kiedy musi się sprzeciwić. Bo oni umierali. Czuł, jak jego własne serce zwalnia w odpowiedzi na coraz rzadsze uderzenia ich serc, ale wiedział, że to tylko złudzenie, współodczuwanie tego, co z nimi dzieje się naprawdę.

Patrzył w milczeniu na jej wolną dłoń, zaciskającą się kurczowo na ziemi i wrywającą z niej kępy trawy, która zdołała przetrwać pod śniegiem, czując się tak, jakby paznokcie dziewczyny rozdrapywały coś w jego wnętrzu. Człowiek był pochylony nad ziemią, czołem niemal jej dotykał, czarodziejka z każdą chwilą łamała się coraz bardziej. Pistis nie potrafił określić momentu, w którym zdał sobie sprawę, że jest gotów udźwignąć jej gniew i przyjąć na siebie każdą karę, ale nie potrafi już dłużej znieść jej krzyku, że oszaleje, jeśli będzie do tego



zmuszony. O tym, że zrobił krok, przekonał się dopiero, gdy poczuł gwałtowne szarpnięcie do tyłu. Oglądając się za siebie, zobaczył dłonie Wampira, zaciśnięte wokół jego ramienia. W oczach Sylwana nie było nic prócz bezmiaru pustki.

– Żądała ślepego, niewolniczego posłuszeństwa, pamiętasz?

– Nie ode mnie. Zabierz ręce, ostrzegam – warknął, wyrywając się z uścisku towarzysza.

Nie wiedział nawet, kiedy i jak to zrobił, po prostu w jednym momencie patrzył w czarne źrenice Wampira, a zaraz potem klęczał obok nich. Mimo ubrania wyczuwał gorąco ziemi pod swoimi kolanami. Zanim zdążył cokolwiek zrobić, oczy czarodziejki otwały się gwałtownie i straszliwe, nieprzytomne spojrzenie spoczęło na jego twarzy. Czerwone... Były czerwone, tańczył w nich płomień. Zawahał się, tylko na moment, nie mogąc wykonać żadnego ruchu. Dziewczyna spazmatycznie wciągnęła do płuc powietrze i gwałtownie oderwała dłoń od ziemi, kurczowo zaciskając ją na opartej obok dłoni kapłana, zamykając ją w żelaznym chwycie, nie pozwalając na odwrót. W tej samej chwili z całą mocą uderzył w niego ból, jaki odczuwali ona i Farys. Poczul, jak każda kość w jego ciele pęka, ulegając płomieniowi. Zanim zdążył zastanowić się nad tym, co robi, zanim zdążył choćby krzyknąć, odruchowo odepchnął ogień od siebie, rejestrując ze zdziwieniem, że żywioł jest mu posłuszny, a ból znika bez śladu. Elfka patrzyła na niego przerażonym wzrokiem, drżąc na całym ciele, jej serce powoli odnajdywało normalny rytm. Spojrzała na ich złączone dłonie, marszcząc brwi, jakby dopiero do niej dotarło, co zrobiła. Usiłowała uwolnić rękę, ale nie potrafiła rozluźnić chwytu, jej palce jakby skamieniały.

W głowie miała tysiąc roztańczonych ogników i tysiąc wrzasków. Kątem oka dostrzegła, jak Człowiek z trudem odchodzi kilka chwiejnych kroków na kolanach, rękami podpierając się ziemi, by po chwili pochylić się i zwymiotować w śnieg. Odetchnęła z ulgą, uświadamiając sobie jednocześnie niejasno, że niemal go przed chwilą zabiła. Nic mu nie było, użył tak wielkiej mocy pierwszy raz, reakcja ciała była adekwatna do tortury, którą mu zadała. Okrutnym wysiłkiem usztywniane ramiona ustąpiły pod naciskiem wyczerpania każdego z mięśni, czarodziejka osunęła się, opierając głowę o pierś kapłana, przymknęła oczy. Powoli odzyskiwała władzę nad własnym ciałem i była już w stanie rozluźnić palce na tyle, by uwolnić jego dłoń, ale trzymał ją mocno, nie pozwalając im wysunąć się spomiędzy swoich.

Leviathan zarżał wściekle, nerwowo przestępując z nogi na nogę, odpowiedziało mu rżenie i parskanie białego, rudego i popielatego rumaka. Wierzchowce darły kopytami ziemię, rozgniewane i... tak, przerażone. Poza kręgiem nakreślonym przez ogień, który zgasł, ziemię gęsto zaścielały nietoperze, brukając biel śniegu i dokładając kolejny, budzący grozę element do tego dość już kuriozalnego obrazu, na który składali się czarodziejka kuląca się w ramionach Elfa, Człowiek usiłujący usiąść przy pomocy podtrzymującego go Wampira i czwórka widmowych koni, większych i bardziej szalonych niż zwykle, skupionych wokół pęknięcia, które rozdarło ziemię, kiedy Pistis przechwycił moc dziewczyny.

*Pochłonie cię przekleństwo, które było przyczyną upadku Ludzi, bo żadne z Was nie potrafi nad tym zapanować ani zatrzymać tego, co powinno być powstrzymane, zanim jeszcze zaczęło się dziać.*

Usłyszała w swojej głowie głos Leviathana, jednocześnie z nim odbierając głośniejszy niż zwykle bicie serca ich dziwnego prześladowcy, który pojawiał się nie wiadomo skąd i znikał, jakby w ogóle nie istniał. Leviathan... I Astaroth. I nikogo więcej... Poczula, jak pierwotny, zakorzeniony gdzieś w najmroczniejszej głębi jej istoty strach zaciska zimne pazury na jej gardle, kiedy zdała sobie sprawę, że nie wyczuwa obecności trzeciego anioła, a otaczające ich zaścielające ziemię nietoperze były ponad wszelką wątpliwość martwe. Martwe ostateczną, ponurą śmiercią, z otchłani której nie ma powrotu, której wszyscy z siedmiu pragną. Wszystkie,

co do jednego, ze skręconymi karkami i zatrzymanymi sercami, a Trzeci, chociaż to niemożliwe i nie miało prawa się stać – nie teraz, nie w taki sposób i nie z jego ręki – odszedł na zawsze, odnajdując wieczny spokój lub wieczne potępienie, w każdym razie to, co przeznaczył dla nich Bóg na końcu drogi.

Wolna dłoń kapłana gładziła jej włosy, dziewczyna czuła jego niespokojny oddech tuż przy swoim uchu, a jego myśli... Ze wszystkich sił walczyła, by zamknąć swój umysł przed jego myślami, za dużo w nich było „już nigdy” i za dużo „zawsze”, za dużo prośb i za dużo obietnic. Leviathan miał rację, nie panowała nad niczym, wszystko wymykało jej się z palców, nie potrafiła już rozkazywać nawet samej sobie. Straciła trzeciego anioła. Każdy z nich był ważny i każdego potrzebowała, nawet jeśli teraz nie potrafiła powiedzieć, kiedy, wiedziała że nadejdzie moment, gdy będzie musiała wykorzystać jego moc, a jego nie będzie.

Leviathan miał rację – upadała. Wiedziała, co musi zrobić, by powstrzymać upadek. Czerwono-złote oko wpatrywało się w jej twarz z pogardą, była zbyt osłabiona, by chronić przed nim własne myśli. Ale słabość mijała, pozostawiając odrętwienie, poczucie pustki i niepokój. Powinni teraz udać się do koni elfickich kapłanów, które pozostawione w spokoju, będą na nich czekać i razem z nimi ruszyć do świątyni. Oczywiście nie mogli podjąć wędrówki ze względu na stan Farysa, ona miała wybór – jeśli znajdzie wystarczająco dużą ofiarę lub więcej ofiar, ich krew wystarczy, on musiał choćby przez kilka godzin się przespać. Elfka odepchnęła dłonie Pistisa i nie patrząc na niego, wstała. Jej ciało natychmiast zaprotestowało, domagając się odpoczynku, ale udało jej się nie upaść. Wiedziała, że czar demona działał w jej głowie, że tak naprawdę nic w niej nie uszkodził, musiała tylko zmusić odporne mięśnie do tego, by też to zrozumiały i rozpoczęły pracę.

Podeszła do Człowieka, siedzącego na ziemi z plecami opartymi o pień drzewa. Przykucnęła przed nim. Był blady, patrzył na nią spojrzeniem zwierzęcia, zagonionego przez łowców w pułapkę.

– Nie udało się, prawda? – zapytał niespokojnie.

– W zasadzie udało się aż za bardzo. Anioł jest martwy.

– Martwy naprawdę? – za jej plecami rozległ się głos Pistisa. – Udało ci się zabić

Trzeciego?

Elfka przymknęła oczy, słysząc w jego głosie szacunek i nabożny lęk. Na Boga, on ani trochę nie zdawał sobie sprawy z własnej mocy... Po raz pierwszy pomyślała, że szaleństwo, przed którym ostrzegał ją Kain jest tuż, że wyciąga po nią łapy, a ona stoi jak sparaliżowana, nie potrafiąc zdobyć się na walkę ani na ucieczkę.

– Jest martwy – powtórzyła, nie przestając patrzeć na twarz ciemnowłosego mężczyzny. – Możesz być z siebie dumny, dziękuję ci, Farysie. Zasłużyłeś na odpoczynek, więc zaśnij i nie martw się o nic. Pokonaliśmy trzeciego anioła nieco wcześniej, niż planowałam, to wszystko – zignorowała pogardliwe prychnięcie Leviathana. – Jak będziesz gotowy, ruszymy do klasztoru, nie prędeż.

Człowiek skinął głową i przymknął oczy. Dziewczyna wstała. Wiedziała, co musi zrobić najpierw.

– Zostańcie tu, proszę. To może nie najlepsze miejsce na obóz, ale nie ma sensu szukać innego, martwe nietoperze wyglądają nieco makabrycznie, ale nikomu nie potrafią już zaszkodzić. Muszę się pożywić, w przeciwnym wypadku będę zmuszona rozszarpać wszystkie konie kapłanów, a z tego w klasztorze raczej nie będą zachwyceni. Zechcesz iść ze mną? – zwróciła się do Wampira.

Mężczyzna o włosach koloru pszenicy spojrzał zaskoczony.

– Tak, to dobra propozycja – zgodził się.

Elpis zebrała siły, by spojrzeć na Elfa, zmuszając się, by jej wzrok był zimny, pozbawiony lęku czy troski.

– Potem muszę porozmawiać z tobą. Na osobności.

Odwróciła się, by odejść, ale zatrzymał ją.

– Dobrze, tylko powiedz, kiedy i gdzie pani.

Nie potrafiła powstrzymać mimowolnego uśmiechu.

– Jak na adepta zadajesz osobliwe pytania. Będziesz wiedział kiedy, a ja będę wiedziała gdzie – lekko musnęła palcami miejsce, gdzie spoczywał jej amulet, po czym skłoniła głowę i odeszła.

\*\*\*\*

Wiedział. Zanim jeszcze powrócił Sylwan, wiedział, że powinien pozostawić pograżonego we śnie Farysa, a kiedy tylko trafił na pień zwalonego przez jakiś wcześniejszy huragan klonu, stało się dla niego jasne, że właśnie tu powinien czekać. Amulet przemawiał do niego bez słów, a jego język w jakiś niepojęty sposób był dla niego prosty i zrozumiały. Wiedział, że nadchodzi, zanim jeszcze usłyszał jej kroki i bicie jej serca. Wynurzyła się z gęstwiny drzew, zaskakując go mimo wszystko. Chybił, próbując określić dokładny kierunek, z którego nadejdzie i usiłując wybadać jej nastrój. Spodziewał się gniewu i wyrzutów, tymczasem Elpis była spokojna i opanowana, dziwna, cielesna i eteryczna zarazem. Długie włosy falowały w rytm jej szybkich kroków, a uśmiech, którym go na powitanie obdarzyła, nie obejmował oczu.

Było w niej coś drapieżnego, słabość i strach zastąpiła kocia zwinność ruchów, połączona z pewnością siebie. Z jej twarzy znikły niezdrowe cienie, znów była silna. Wiedział, że jakiejś istocie jej życie zostało brutalnie wydarte, by czarodziejka mogła doświadczyć takiej przemiany. Wzdrygnął się na wspomnienie drobnej dziewczyny, opadającej na ciało szarego Wilka i zagłębiającej kły w jego szyi. Elfka zatrzymała się przed pnem, obok niego.

– Sprzedałaś Człowiekowi bujdy, prawda? – zapytał, by wyrwać się z pod hipnotycznego wpływu jej oczu.

– Właściwie dwie bujdy – dokończyła poważnie. – O którą pytasz?

Popatrzył zaskoczony, ale nie pozwolił zbić się z tropu.

– Odesłałaś trzeciego anioła, pani. To wcale nie jest tak, że po prostu został wcześniej pokonany. Konsekwencje mogą być bardzo poważne, prawda?

Dziewczyna oparła się plecami o przełamany klon i wbiła spojrzenie w rozgwieżdżone niebo nad nimi. Dziś, jak nigdy od kilku dni, wyraźnie widać było gwiazdy. Zaczynało się. Dziwna melancholia, pojawiająca się nie wiadomo skąd, pragnienie zmieniające jej wolę i pustka, którą od wieków usiłowała zappełnić, nie znajdując nic godnego uwagi na tyle, by się nad tym zatrzymać. Aż do teraz.

– Czy zastanawiałeś się kiedykolwiek, jakie są granice mocy czarnoksiężnika? – odpowiedziała pytaniem na pytanie, nie patrząc na niego. – Jakie są granice twojej mocy? Co potrafisz, a czego nie potrafisz uczynić i dlaczego?

– Nie o to pytałem.

Uśmiechnęła się smutno. Przez chwilę milczała, czując na sobie ciężar jego wzroku.

– Wiem – zgodziła się w końcu. – To była podpowiedź. A teraz powiem ci, jakie bujdy sprzedałam Człowiekowi. Ostateczna śmierć trzeciego anioła nadeszła zbyt prędko, to nie powinno być się stać, ale to już wiesz. Nie potrafię przewidzieć, jakie będą konsekwencje, ale pojawią się. To pierwsza bajka: zapewnienie o tym, że nie musimy się niczego obawiać.

A druga... – przeniosła wzrok na jego twarz, w jej oczach odbijały się gwiazdy. – Nie ja zabiłam Trzeciego – dokończyła łagodnie.

W pierwszej chwili nie zrozumiał. Nie spodziewała się wcale, że zaakceptuje wszystko od razu. Czekala spokojnie na moment, w którym prawda przebiję się przez oporny mur zaprzeczenia, a panika obejmie nad nim władzę. Czekala, słuchając jak jego serce przyspiesza, a oddech staje się nieregularny. Odruchowo zrobił krok do tyłu, a Elpis całą sobą odebrała jego niepewność i strach, zupełnie jak wtedy, gdy powiedziała mu o jego nieświadomych próbach rzucenia na nią Klątwy. Zamykał się przed nią, jednocześnie rozpaczliwie jej potrzebując, a ona nie miała pojęcia, co powinna zrobić, by został. Nie zdawał sobie sprawy z własnej mocy, a ta moc go przytłaczała, tak jak ją kiedyś.

– Mów dalej – poprosił bezbarwnym głosem. – Ile zła wyrządziłem tym razem?

– Wiem, dlaczego to zrobiłeś – powiedziała miękko. – Chociaż tego nie pojmuję.

Dziękuję ci.

Uciekł spojrzeniem w bok. Nie myśląc o tym, co i dlaczego robi, podeszła do niego i delikatnie ujęła go dłonią pod brodę, zmuszając, by na nią spojrzał. Poddał się jej, zaskoczony. Błękit jego oczu był teraz przełamany chmurami, na twarzy miał głębokie cienie. Tak wyglądał Wampir, kiedy potrzebował krwi. Albo czarnoksiężnik, jeśli uwolnił zbyt wiele mocy. Elf nie sprawiał jednak wrażenia wyczerpanego, przynajmniej nie fizycznie i właśnie to ją zaalarmowało. Przybity, przygnębiony i zagubiony, ale nie senny...

– Zabicie Trzeciego było możliwe tylko dzięki wytworzeniu i odepchnięciu od siebie ogromnej potęgi. Ja zamierzałam go tylko osłabić na tyle, by nie potrafił stawić mi oporu i przemówił do mnie, widziałeś sam, ile to trwało i potrzebowałam pomocy Farysa. Jesteś w drodze tak samo długo jak ja, żywisz się kasztanami i tą namiastką roślin, które przetrwały pod śniegiem, a mimo to udało ci się tego dokonać w mgnieniu oka, wcale się do tego nie przygotowując. A teraz nie odczuwasz potrzeby odpoczynku, prawda?

– Czuję... – zawahał się, usiłując odwrócić głowę, ale mu nie pozwoliła. – Czuję, jakbym znajdował się na skraju kolejnej eksplozji, którą siłą udaje mi się powstrzymać.

Mówił niemal szepcząc, dokładnie potwierdzając jej obawy. Rozumiała, co się z nim dzieje. Jego organizm, mimo że na skraju wyczerpania, nie miał pojęcia o własnym zmęczeniu, tak samo jak nie wiedział o mocy, która w nim drzemała. W żaden sposób nie zmieniało to jednak tego, że magia tam była, uwidoczniając się często w najmniej odpowiednich momentach. Zmęczenie ciała też było rzeczywiste, choć go nie odczuwał, jeśli zlekceważy potrzebę snu, w pewnym momencie energii po prostu zabraknie. Ogniki życia czarnoksiężników, którzy nie dostrzegali własnych granic, często gasły przedwcześnie. Wszystko, co mogła teraz zrobić, to przekonać jego organizm, że kolejna eksplozja w tym stanie naprawdę nie jest dobrym pomysłem. Przyszło jej do głowy coś szalonego, ale sama nie zdając sobie sprawy dlaczego, rozumiała, że to dobra droga i że go nie skrzywdzi.

– Pozwól mi czegoś... spróbować – poprosiła cicho.

Widziała, jak w jego oczach pojawia się niepokój i podejrzenie. Nie spuszczała z niego poważnego spojrzenia tak długo, aż bez słowa skinął głową. Dziewczyna odeszła krok do tyłu.

– Nie obawiaj się, proszę. Panuję nad sobą w pełni, nie chcę cię zabić, ale muszę cię osłabić. Musisz zregenerować siły, ale najpierw twoje ciało musi zrozumieć, że jest wyczerpane i potrzebuje snu. Po prostu mi zaufaj.

Poczuła, jak kły się wydłużają, rozchylając jej wargi. W oczach kapłana przez chwilę pojawił się szok i strach, ale ustąpiły, ukryte pod nową warstwą chmur. Odczekała chwilę, aż Elf oswoi się z widokiem jej takiej, po czym, hipnotyzując go spojrzeniem, płynnym ruchem zbliżyła do ust własną dłoń i delikatnie wgrzyzła się w siatkę żył. Elf wstrzymał oddech, nie rozumiejąc. Kiedy odjęła rękę od warg, na nadgarstku widać było wyraźnie dwie niewielkie ranki, prędko napełniające się szkarłatem. Wysunęła rękę w jego stronę, drugą naprowadzając po kolei obie

dłonie kapłana do swojego krwawiącego przedramienia, nie pozostawiając żadnych wątpliwości co do tego, czego od niego oczekuje. Pistis poczuł, że kręci mu się w głowie, organizmy jego współplemięnców nie tolerowały mięsa ani krwi, czarodziejka musiała o tym wiedzieć.

– Wiesz, że nie mogę... – zaprotestował słabo.

– Wiesz... Wydaje mi się, że jednak możesz. Musisz być słaby, by twoje ciało uznało, że chce odpocząć. Nie pozwolę ci wypić nawet kropli nad to, czego potrzebujesz. Proszę...

Przeniósł wzrok z zieleni jej oczu na czerwień krwi, płynącej teraz po jego palcach, podtrzymujących jej rękę. Nie wiedział, co myśleć. Zabił Upadłego, zupełnie nieświadom, że to uczynił, miała rację, musiała obniżyć jego moc. Jeśli nie chciał tym razem skrzywdzić kogoś z nich, musiał być jej posłuszny. Powoli zbliżył jej dłoń do ust, patrząc na nią niepewnie, ale w jej oczach nie było wahania. Westchnął, zrezygnowany. Zapach jej krwi coś mu przypominał, ale nie potrafił powiedzieć, co takiego, niewyraźny zarys, wspomnienie wspomnienia. Zebrał się w sobie, jak przed skokiem w przepaść i zamykając oczy, przytknął wargi do jej nadgarstka, zakrywając nimi krwawiące ranki. To było trochę jak świętokradztwo, Elfy nie robiły takich rzeczy, nigdy...

Elfa krew mogła nawet zabić, tym bardziej pita wprost z ciała żywej istoty, powinna go odrzucić i odepchnąć, tymczasem jego reakcja zaskoczyła ich oboje. Po chwilowym zawahaniu dłonie kapłana bezwiednie mocniej zacisnęły się na jej przedramieniu. W tej samej chwili Elpis poczuła, jak słabość, którą zamierzała na niego zesłać, wlewa się w jej ciało, poczuła jak kolana się pod nią uginają i zrobiła kilka chwiejnych kroków w tył, znajdując chroniące przed upadkiem oparcie w postaci zwałonego pnia klonu. Pistis podążył za nią, nie odrywając ust od jej nadgarstka. Czarodziejka przez chwilę nie potrafiła znaleźć oddechu, a kiedy jej się to udało, jakaś część jej istoty zrozumiała z przerażeniem i fascynacją jednocześnie, że ten chwilowy wstrząs poprzedził ich połączenie. Wszystko idealnie się zgrywało, rytm wdechów i wydechów, pulsowanie krwi, przepływającej przez ich ciała i bicie serc – wszystko było wspólne, jakby byli jednym organizmem, jedną duszą w dwóch naczyniach, z tym że to podzielenie nie miało teraz żadnego znaczenia, bo ona była w nim a on był w niej. Widzieli swoje myśli, pragnienia i lęki, ukrycie czegokolwiek było niemożliwe, zresztą ona wcale nie chciała nic ukrywać. Całą sobą chłonęła jego oddanie i bezwarunkową akceptację. Czuła, że gdyby go teraz poprosiła, dokonałby dla niej niemożliwego.

To wszystko nie powinno się dziać, taka symbioza możliwa była tylko między dwójką dojrzałych Wampirów, nawet Sylwan, mimo że przeżył ponad stulecie jako odżywiający się krwią drapieżnik, był zbyt świeżo przebudzony. Elf nie miał prawa poczuć nic prócz słabości. Resztką świadomości, która jej jeszcze pozostała, krzyczała, że natychmiast musi to przerwać, zanim zatracą się w wirowaniu i spadaniu bez końca. Chciała odepchnąć go wolną ręką i dopiero teraz zorientowała się, że dłoń ma skrytą pod jego włosami, a palcami ręki, z której pił, nieskładnie gładzi go po policzku. Zmusiła się, by przestać.

– Pistis... Wystarczy, proszę... – chciała, by zabrzmiało to stanowczo i pewnie, efekt był żaloszny, ale mimo to usłuchał.

Odsunął usta od jej nadgarstka, nadal jednak nie wypuszczając jej dłoni. Nie śmiała na niego spojrzeć.

– Zrobię to, Elpis – usłyszała jego szept gdzieś wśród swoich włosów. – Dokonam dla ciebie niemożliwego. Nie wiem, czego ode mnie wymagasz, ale zrobię to, przysięgam.

Tego nie mogła zignorować. Podniosła oczy, napotykalając otulone chmurami spojrzenie.

– Proszę, nie składaj przysięg pod wpływem chwili, nie mi.

– Naprawdę myślisz, że to wpływ chwili? Wiele razy myślałem...

– Proszę cię, nie mów teraz nic więcej. Przerażasz mnie – oparła na jego wargach dwa

palce, uciszając go. Na ustach miał jej krew...

– To dobrze – powiedział, kiedy tylko zabrała rękę. – Przerazenie jest lepsze od pustki i samotności, wśród których trwasz i od rozpacz, którą czujesz...

Delikatnie wysunęła swoją dłoń z jego rąk. Nie opierał się. Stał obok, nie spuszczać z niej oczu.

– Nie możesz wiedzieć, co czuję – odpowiedziała bez przekonania.

– Czyżby? – nieznacznie odchylił głowę w bok. – Chyba jednak mogę. Na Boga, Elpis, co to było?

Uciekła wzrokiem, zabrakło jej odwagi, by mówić. Cóż miała odpowiedzieć? Seks Wampirów? Tak jakby... Na swoje usprawiedliwienie nie znajdowała nic ponad to, że za nic nie spodziewała się, że to w ogóle możliwe.

– Elpis?...

Jej imię w jego ustach... Brzmiało jak modlitwa. Przerazało ją. Poczwała jego dłonie na policzkach. Kciukami delikatnie gładził kąci jej oczu.

– Proszę, spójrz na mnie – podniosła oczy. – Elpis. Twoje imię w moich ustach jest modlitwą. Najszczęśliwą, jaką kiedykolwiek zwał.

Jego spojrzenie było poważne, a błękit oczu ciemniejszy niż zwykle. Na wargach miał jej krew. Elf, pijący krew Wampira... A może Elfa. Nieważne. Dziwne, świętokradcze misterium, które nie miało prawa się wydarzyć, za które powinni zapłacić życiem, oboje. Z twarzy kapłana znikły niezdrowe cienie, nie wyglądał już na chorego czy wyczerpanego, jak przed zaledwie kilkoma minutami.

– Kim naprawdę jesteś, Pistisie?

Zapytała, zanim zdążyła pomyśleć nad pytaniem i w tej samej chwili pożałowała, widząc lęk i niepewność na dnie jego oczu. Potrząsnął głową.

– Nie wiem. Przysięgam, że nie wiem. Czy to naprawdę aż tak bardzo ważne? – dodał po chwili milczenia, patrząc na nią z napięciem.

W głowie miała mętlik. Potrafiła stanąć w szranki z uśpionym w jaskini demonem, zaklętym w dziesięciokrotnie przewyższającego ją wzrostem smoka, by zaraz potem na jego grzbiecie zejść w otchłań Gehenny, a teraz brakło jej odwagi. Czowała, jak zawieszony na szyi opał pali ją ogniem, wiedziała, że z kamieniem kapłana dzieje się teraz to samo. Musiała mu to powiedzieć. Zasługiwał na to, by wiedzieć, zanim znów stchórzy. Przynęła twarz do jego twarzy, nie odsunął się.

– Nie. To w ogóle nie jest ważne – coś w jej wnętrzu powitało bólem ulgę na jego obliczu. – Powinieneś o czymś wiedzieć. Mówiłam wam, że opał jest niezwykle i święty. Ukazuje istotę rzeczy, wzmacnia i wydobywa na wierzch to, co w nas najmocniejsze. Może przyspieszyć bieg pewnych zdarzeń, ale nie potrafi... Nie potrafi wywołać w nikim umiejętności ani... – zacięła się.

– Ani uczuć, których w nas nie było albo które nie narodziłyby się bez niego – dokończył za nią cicho. – Wiem.

Skinęła głową z wdzięcznością.

– Tak. Ani uczuć... Więc, zanim znów stchórzę...

*Zanim wyprę się wszystkiego, co zamierzam zrobić. Zanim znów cię odtrącę.*

Przynęła się jeszcze trochę. Na wargach wciąż miał jej krew... Ten widok uświadomił jej, że jej kły nadal nie wróciły do normalnego rozmiaru. Wyciągnęła rękę i dotknęła opuszkami palców jego twarzy, wyczuwając pod skórą przyspieszony puls.

– Boisz się? – zapytała łagodnie.

Skinął głową, wtulając policzek w zagłębienie jej dłoni.

– Chcesz, żebym przestała? – dodała drugą rękę.  
– Nie! – zaskoczyła go jego własna gwałtowność.  
– Więc przestań się obawiać, bo twój strach generuje moją słabość, a ja muszę być teraz silna. Bardziej niż kiedykolwiek.

– Dobrze – w jego głosie była desperacja. – Koniec ze strachem.

Zanurzył palce w jej włosach i przygarnął ją do siebie. Krew spijana z jego ust smakowała inaczej, pełniej i mroczniej niż zwykle. Serca bez trudu odnalazły wspólny rytm, tylko dlaczego wydawało jej się, że zamiast dwóch biją trzy? Nie chciała o tym myśleć, nie teraz... Nie w chwili, gdy wokół nie było nic, tylko przepaść bez dna i ich dwoje tańczących na jej skraju, z bolesną świadomością nieuchronności upadku. Lecz jeśli upadek był ceną, którą trzeba było zapłacić za to, by przez moment trzymać w ramionach życie, wcale nie wydawał się taki straszny. Spadanie nie boli, w pewnym sensie jest po prostu lotem, niczym nie skrępowanym poddaniem się bezkresowi przestrzeni, a sam moment zetknięcia z podłożem to mgnienie oka, zbyt krótkie by trzeba się go obawiać. Potem jest tylko ciemność, której głębi nie łamie żadne światło. Co złego jest w ciemności? Aksamitna czerń jest matką wszechrzeczy, to z niej nadeszły anioły, to z niej zrodziła się Ziemia, to z niej wyłonił się Bóg, w czasach, których nawet On sam nie chce pamiętać. Śpiąc pod baldachimem czerni, każdy z nas po raz pierwszy usłyszał wołanie, które sprawiło, że pieczęć opadła i oczy zobaczyły światło.

Oboje podświadomie zdawali sobie sprawę, że w tej otchłani nie będzie światła. Mimo to poddawali się szaleńczemu wirowaniu, bo dopóki żadne z nich nie wypuściło z ramion nowo odkrytego świata, nikt i nic nie mogło ich dotknąć i wyrządzić im krzywdy. Głośne tony ich serc, połączone teraz w jedność, wygrywały obłędne crescendo, rytmowi którego poddawali się, nie pytając, nie myśląc i nie próbując walczyć, aż głosy w ciemności stały się niemal możliwymi do odebrania uchem szeptami, układającymi się w słowa, których nie pojmowali i nie potrafili zrozumieć, ale dostrzegali zawartą w nich groźbę. Ich imiona. Ich prawdziwe imiona...

Dźwięk gałązek, trzaskających pod stopami lub łapami szybko zbliżającego się intruza wdarł się w ich obłędną symfonię, przerywając ją brutalnie. Czarodziejka zareagowała instynktownie, wyrrywając się z objęć kapłana. To nagłe i niespodziewane rozłączenie było niczym rozerwanie niemal zasklepionej rany, całe jej ciało wrzasnęło w proteście. Odebrała niemal bez udziału świadomości, że palce obu jej dłoni błyszczą srebrem, obolałe od nagromadzonych w nich błyskawic. Wściekłość... Ktokolwiek miał wynurzyć się zza ściany liści, była na niego wściekła.

Widok gorejących czerwienią i złotem ślepi wśród czerni ciała demona sprawił, że to uczucie jeszcze się pogłębiło, przechodząc w postać wewnętrznego wrzasku. Dobrze wiedziała, że przybył tu w konkretnym celu i że właśnie udało mu się ten cel osiągnąć.

– Czego chcesz? – jej głos był przerażająco spokojny i cichy.

*Wiesz, dlaczego musiałem się tu teraz zjawić. Robię tylko to, co do mnie należy, osłaniam cię przed szaleństwem, w które wkraczasz.*

– Nie wzywałam cię, przeklęty. Wykonywanie rozkazów, oto co do ciebie należy. Czy w jakikolwiek sposób rozkazałam ci przybyć?

Dziewczyna zdawała sobie sprawę z tego, że jej osądy są niesłuszne i że Leviathan przerwał jej upadek, nie pozwalając usłyszeć głosów, których nie wolno było jej słuchać. Misja, którą rozpoczęli i musieli doprowadzić do końca, wymagała od niej trzeźwości umysłu i opanowania, którego przed chwilą zabrakło. Świadomość własnego błędu napędzała tylko jej furię, którą musiała przeciwko komuś skierować, bo długie utrzymywanie błyskawic w swoim wnętrzu stawało się torturą nie do wytrzymania. Czerwono-złote oczy nie odrywały się od jej twarzy, a na ich dnie pogarda mieszała się ze strachem.

*Nic nie rozumiesz, szalona. Ledwo kilka dni upłynie, a będziesz potrzebować mocy trzeciego anioła, którego on zabił i którego nie będzie. Wszystko, co się stało później, aż do tego momentu, jest tylko potwierdzeniem tego, że igrasz z potęgą, której nie ogarniasz i nie potrafisz opanować.*

– Nie ty będziesz o tym decydował – ostrzeżenie w jej głosie było aż nadto czytelne.

Leviathan potrząsnął łbem i nie spiesząc się, jakby umyślnie rzucając jej wyzwanie, ruszył w ich stronę. Elfka całą sobą odbierała jego nienawiść, łączącą się z jej wściekłością i tworzącą w jej wnętrzu w każdej chwili gotową wybuchnąć mieszaninę, tym bardziej niebezpieczną, że oprócz tego było jeszcze inne uczucie, którego nie chciała nazywać.

– Zostań gdzie jesteś, rozumiesz?

Nie usłuchał, wcale zresztą nie spodziewała się ani nie oczekiwała w tej chwili posłuszeństwa. Chciała rozładować frustrację i zagłuszyć strach w jedyny sposób, jaki знаła. Kiedy Leviathan zbliżył się do niej, dziewczyna zacisnęła jedną dłoń w pięść i w tej samej chwili pod Upadłym ugięły się pęciny i potężny wierzchołek runął na ziemię u jej stóp. Czerwono-złote oczy błysnęły groźnie, kiedy demon w ciele zwierzęcia szarpnął się, nie mogąc się jednak podźwignąć.

*Pozwalasz emocjom, których nie pojmujesz, sterować swoimi poczynaniami. To domena Ludzi, nawet się nie spostrzeżesz, kiedy staniesz się tak słaba, jak Ludzie.*

– Zamilcz, Leviathan.

Druga dłoń czarodziejki zacisnęła się w pięść, a pionowa źrenica, którą otaczało złoto i czerwień, zwężała się w oczekiwaniu na ból, który miał nadejść. W tej samej chwili dziewczyna poczuła, jak wokół jej ręki zamykają się dłonie kapłana, unicestwiając błyskawice. Nagle przerwanie czaru, w pełni ukształtowanego i gotowego do uwolnienia, było jak chwilowe zatrzymanie akcji serca. Elfka wyszarpnęła rękę i przeniosła wzrok na stojącego obok mężczyznę, w jej oczach tańczyły mściwe ogniki, nadal płonęła w nich wściekłość.

– Przestań tak robić. Nie możesz wciąż stawać mi na drodze, za którymś razem nie będę potrafiła się na czas zatrzymać.

Zimny. Jej głos był zimny. Chwilowe pęknięcie w wznoszonym przez tysiąclecia murze obojętności i pogardy, zaczęło zapełniać się świeżą warstwą, twardszą niż poprzednie. Czarodziejka znów spojrzała na Leviathana, który zaprzestał daremnych prób podźwignięcia się z ziemi.

– Człowiek wkrótce się obudzi. Wtedy wyruszymy do klasztoru. Bądź gotowy. Ale ostrzegam cię, dotknij go tylko, kiedy mnie nie będzie, a nie zdążysz poczuć skruchy. Nie szukaj mnie do tej pory. Ty też, proszę cię, nie idź za mną teraz – ostatnie słowa skierowane były do kapłana, mimo że Elpis na niego nie patrzyła.

Odprowadzał ją wzrokiem, nie potrafiącym pomieścić ogromu pustki, którą teraz czuł. Przez chwilę posiadał na własność słońce, ale jego ogień był czarny i zadawał ból, nie potrafiąc podarować ciepła. Nie powinna jeszcze odchodzić, nie miała prawa zabraniać mu za sobą podążać, bo nawet jeśli wszystko, co mogli sobie w tej chwili powiedzieć, zostało powiedziane, były jeszcze między nimi deklaracje, domagające się akceptacji.

– Elpis!

Wyczuł jej chwilowe zawahanie, ale nie zatrzymała się i nie odwróciła. Gorączkowo zastanawiał się, jak przemówić, by zrozumiała. Rozwiązanie pojawiło się samo. Był adeptem i musiał nauczyć się kierować do niej swoje myśli jak uczeń do mistrza. Przymknął oczy, zamykając w dłoni błękitno-szary boulder, spoczywający pod koszulą.

*Dokonom niemożliwego. Zrobię to. Dla ciebie, pani.*

Czekał na odpowiedź, nieporuszony i na pozór spokojny, a to czekanie zdawało się trwać,



stając się małą nieskończonością. Wreszcie odzew napłynął, cichy i niewyraźny.

*Wiem. Tylko...*

Czekał, nie godząc się na nasuwającą się najprostszą możliwość – to że nie potrafił odebrać całego przekazu. Wreszcie jego cierpliwość została nagrodzona.

*Tylko zastanów się bardzo dobrze, czy na pewno jestem tego warta w twoich oczach. I bądź ze sobą ekstremalnie szczery, odpowiadając na to pytanie. Nie potrafię ci nic dać, prócz pustki i przerażenia. Tych mam dla ciebie aż nadto.*

Zamrugnął, gwałtownie wciągając do płuc powietrze. Wiedział, że nic więcej nie powie.

Przypomniał sobie o Leviathanie, kiedy poczuł na sobie ciężar jego wzroku. Mimo feerii czerwieni i złota był w nim mrok, ten sam, który wyścielał jej źrenice. Ogromny czarny koń nadal leżał na ziemi, Elf nie wiedział, co dziewczyna mu uczyniła, ale demon sprawiał wrażenie, jakby coś pogruchootało mu kości we wszystkich czterech nogach. Jego widok o czymś mu przypominał. Podobny koń, czysto biały z wyrastającym z czoła srebrnym rogiem, dawno temu nad stawem porośniętym nenufarami, leżący przed skuloną na ziemi postacią. Bezwiednie dotknął palcami warg, wspominając smak krwi czarodziejki. Smak, który coś mu przypominał. Zapach krwi jednorożca. Wspomnienie wspomnienia. Jak musiałyby smakować taka krew?

Nie potrafił znieść wwiercających się w niego źrenic Leviathana, odwrócił się i odszedł w kierunku przeciwnym do tego, który wybrała Elpis. Fizycznie czuł się niezwykle silny i zdolny do wszystkiego, będąc jednocześnie psychicznie zmiażdżonym. Za nic jednak nie chciał okazać swojej słabości przy pierwszym z przebudzonych demonów. Szedł coraz prędzej, nie myśląc o tym, dokąd idzie i nie zauważając drzew, których korę muskał palcami.

Ciszę nocy rozdarło wycie Wilka. Kapłan zatrzymał się w pół kroku, zamierając z dłonią wspartą na białej brzozie. Głos powtórzył się znów, bardziej odległy. Było w nim szaleństwo, budowane przez przeplatające się ze sobą wściekłość i przerażenie. Pistis odwrócił się niespiesznie, opierając plecy o pień, a kiedy zew zabrzmiał trzeci raz, przechodząc na końcu w skowyt, nadal niezdecydowany, czy powinien być rozpaczą czy wściekłością, Elf powoli osunął się w dół i tak pozostał, przykucnięty pod białym drzewem, ukrywając twarz w dłoniach.

# Rozdział 10

## Moc świętych płomieni

Dwójka milczących Elfów zamknęła wielkie, rzeźbione drzwi za kapłanką z ciemnym warkoczem i jej jasnowłosym towarzyszem. Kain został sam, milczący i pogrążony we własnych myślach. Poziome zmarszczki, biegnące wzdłuż czoła, najlepiej świadczyły o tym, że nie są to wesole rozważania. Westchnął i pokręcił głową. Elpis spotkała trzeciego anioła, a on i Wilczyca nie przewidzieli, że stanie się to tak prędko, teraz było za późno na jakąkolwiek pomoc z ich strony. W tej chwili jego uczennica z pewnością miała już za sobą walkę z Upadłym. Starzec nie znał jej wyniku, ale podświadomie czuł, że dziewczyna żyje, a to było najważniejsze. Nie potrafił powiedzieć, co stało się z jej trzema towarzyszami, sam nie wiedział zresztą, jaka odpowiedź na to pytanie uspokoiłaby go najskuteczniej.

Czarnoksiężnik wrócił myślami do kapłanki, która opuściła komnatę przed kilkoma minutami. Kelia właśnie straciła wszystko, co gwarantowało jej bezpieczeństwo i pozycję w świątyni. Niemal cała jej drużyna poległa, jeden jedyny Elf, który ocalał z pogromu, w niczym nie zmieniał tego, że dziewczyna została sama, skazana od teraz aż do śmierci na życie na obrzeżach wspólnoty, wykluczenie i samotność. Mimo to blada kapłanka zdając relację z ataku Trzeciego na ich zastęp była spokojna i obojętna. Przyznała, że porzucili martwych towarzyszy, pozostawiając ich ciała na Równinach, co właściwie skazywało ich na śmierć w oczach klasztoru. Pozwalała mówić mężczyźnie, który zbiegł z miejsca rzezi wraz z nią, czasem wtrącając coś od siebie, ale zawsze za pośrednictwem kapłana, ani razu nie zwróciła się po prostu do Kaina, ani razu nie podniosła na niego oczu, zachowała wszystkie reguły i nie złamała ani jednej z zasad.

Za jej sprawą po raz kolejny w głowie starca zrodziła się myśl o jego nieposłusznej córce, która z pewnością nie podda się pokornie wyrokowi, jakie musi usłyszeć z jego ust. Co by było, gdyby wcześniej oddał Elpis do klasztoru, czy teraz byłoby mu łatwiej nią kierować, czy osoba tak impulsywna była w stanie podporządkować się obowiązującym tu regułom? Starzec potarł czoło złączonymi kciukami. Myślenie o tym nie miało sensu, było za późno. Dziś wieczorem, najpóźniej jutro z rana Elfka przekroczy próg klasztoru i znajdzie się w miejscu, gdzie opadnie pierwsza pieczęć, gdzie Apokalipsa się rozpocznie. Nie było odwrotu, od chwili, gdy dziewczyna wypuściła strzałę, która ugodziła lucyferiańskiego kapłana składającego życie niemowlęcia na ołtarzu, wszelkie drzwi zostały zamknięte. Można było tylko iść naprzód.

W obliczu nieuchronności ich spotkania właśnie w tych murach, starca mimo woli ogarniał niepokój i coraz trudniej było mu zagłuszyć surowy głos własnego sumienia. Wszystko, co robił, miało na celu jej dobro, ale by plan miał jakąkolwiek szansę powodzenia, musiał ukrywać przed nią prawdziwe intencje, zaplatając wokół niej wymyślną pajęczynę pozorów, które sprowadzały na niego jej nienawiść i gniew. Tak jak ostatnim razem, kiedy dziewczyna przebywała w murach tej świątyni. Ona nie pamiętała tamtego ich spotkania, jej przybranemu ojcu wspomnienie tego, co wtedy się stało, nie dawało spokoju od niezliczonych wieków. Wkrótce miała nadejść znów, po to tylko, by porzucić ostatecznie jego ścieżkę i znienawidzić go jeszcze bardziej.

Pamiętał ją, jakby stało się to zaledwie wczoraj. Drobną figurkę dziewczyny, prowadzoną w jego stronę przez salę, w której nie było jeszcze dwunastu płaskorzeźb opartych o ściany. Szła wyniosła i dumna, pewnym krokiem, z pałającymi gniewem i bólem oczami, utkwionymi butnie w jego twarzy. Wydarzenia trzech ostatnich dni odcisnęły na niej straszliwe piętno, jej twarz stała

się niemożliwą do przeniknięcia maską, a jej myśli jakimś cudem się przed nim zakryły. Była Człowiekiem, powinien bez problemu je odczytać, ale sam nie rozumiejąc dlaczego tak się dzieje, nie potrafił ich przeniknąć. Ubrana była w długą do kostek prostą tunikę, którą przewiązała szarym pasem. Pas był manifestacją, to za nimi często zatykali miecze mężczyźni, wyruszający na wojnę, był jej krzykiem i ostrzeżeniem, symbolem gotowości do walki. Cała jej postać wyrażała niezależność i pogardę dla obowiązujących reguł i zasad. Przekraczając bramę świątyni, kobieta zobowiązana była zakryć włosy chustą lub przynajmniej zapleść je w warkocz; długie, czarne pukle jego przybranej córki opadały luźno na jej plecy, prowokacyjnie rozpuszczone i uczesane wiatrem. Nie oddała również biżuterii, długie, złote kolczyki niemal dotykały ramion, a na jej nadgarstkach i kostkach podzwaniały bransoletki. Stopy miała bose, symbol żałoby, groteskowo kontrastujący z przepychem ozdób.

Czarnoksiężnik poczuł ucisk w okolicach serca. Po raz pierwszy w czasie trwania swojego ludzkiego życia stała przed nim w pełni świadoma tego, kim dla siebie są i jak wielka jest jego potęga, jak żalosne są w zestawieniu z nim jej ludzkie siły i możliwości.

W sali poza nimi znajdowali się wtedy kapłani. Za plecami Kaina stał mistrz zakonu, starzec nie pamiętał jego imienia, nie był to ani Elohim ani jego poprzednik, oboje jeszcze wtedy się nie narodzili. Dziewczynie towarzyszyła dwójka Elfów, postępujących kilka kroków za nią, znajdowali się tu też inni, w świątyni pojawiał się obcy przybysz, zgodnie z zasadami należało go powitać w obecności jak największej liczby rezydentów.

Kobieta zatrzymała się może metr przed nim, nadal nie spuszczać oczu i Kain przez chwilę patrzył w jej źrenice, nie znajdując w nich nic poza nienawiścią i bólem zaszczutego, zakleszczonego w sidłach zwierzęcia, gotowego na widok zbliżających się myśliwych odgryźć własną łapę. Otworzył usta, by do niej przemówić, ale w tej samej chwili dziewczyna zrobiła jeszcze jeden krok naprzód, podrywając w górę dłoń, a na policzek mężczyzny spadł z całą siłą, na jaką stać było jej wątłe ludzkie ciało, dokładnie wymierzony cios. Kapłani zastygli w bezruchu, wstrzymując oddech. Kain pozostał chwilę z odrzuconą w bok głową, a kiedy powoli ją uniósł i znów na nią spojrział, taki sam cios dosięgnął go z drugiej strony.

Tym razem kobieta nie czekała, aż czarnoksiężnik podniesie głowę, okręciła się w miejscu i zaczęła odchodzić tą samą drogą, którą tu przysła. Dwójka kapłanów, którzy ją tu przyprowadzili, rozstąpiła się przed nią, niepewna czy ma zatrzymać bezczelną panią, czy pozwolić jej odejść. Kain zatrzymał ich na miejscu ruchem ręki i prędkim krokiem znalazł się obok kobiety, chwytając ją dłońmi za ramiona i zastępując drogę.

– Nie waż się mnie dotykać! – odskoczyła, jakby jego ręce ją parzyły i splunęła na posadzkę pod jego stopami.

– Jesteś teraz Człowiekiem, Magdaleno... – Powiedział cicho, ale surowo.

– Zamilcz! – przerwała mu wściekle. – Nie masz prawa zwracać się do mnie tym imieniem. Ani żadnym innym. Tylko prawdziwie kochający ojciec może nazywać swoje dzieci. Ty jesteś mordercą własnych dzieci!

Przymknął oczy, jakby znów go uderzyła, ale po chwili opanował się i znów na nią spojrział.

– Jesteś Człowiekiem. Masz siłę ludzkiej kobiety. Oboje doskonale wiemy, że gdybym ci teraz oddał, nie wstałabyś o własnych siłach z posadzki.

– Śmiało – w jej oczach nie było lęku. – Zrób to. Zrób to i przekonaj się, że wstanę. Nie mam już nadziei, ale poza nią jest jeszcze zemsta, a to potężna siła.

– Wiesz, dlaczego tu jesteś...

– Wiem.

Patrzyła bez emocji, jak mistrz zakonu podaje Kainowi długi, srebrny sztylet, do tej pory

ukryty w fałdach płaszcza. Starzec wziął go do ręki i przez chwilę przyglądał się zdobionej motywem liści bluszczu rękoności, obracając go w palcach. Kiedy w końcu podniósł wzrok na stojącą przed nim postać, wyglądał, jakby zabrakło mu odwagi. Czarnowłosa dziewczyna przewróciła oczami.

– Tylko bez ceregieli i fałszywej skruchy. Po prostu to zrób.

Nie bała się. Każdy Człowiek powinien być przerażony i instynktownie szukać ucieczki, ale ona zdawała się być całkowicie pozbawiona trwogi. To życie przebiegło zupełnie nie tak, jak tego oczekiwał. Nie udało mu się osiągnąć celu, a teraz, po tym, co stało się w ciągu trzech ostatnich dni, podczas których umarła nadzieja, nie pozostało mu nic, jak tylko to nieudane życie zakończyć i rozpocząć przemianę. Zaciśnął palce na rękoności sztyletu. W tej samej chwili, jakby w odpowiedzi na jakiś znak, dwójka kapłanów stojących najbliżej dziewczyny, podeszła do niej i usiłowała uwięzić jej ramiona, jednak ta wyrwała im się.

– Nie jestem Człowiekiem ani Elfem. Nie lękam się śmierci ani bólu, jaki on może mi zadać. W ciągu ostatnich dni umarłam tysiąc razy, sztylet jest tylko przypieczętowaniem tego, co już się stało.

Jakby na potwierdzenie swoich słów podeszła do Kaina i ujmując jego dłonie, trzymające broń, wsparła srebrne ostrze na własnej piersi, w miejscu, gdzie ponad wszelką wątpliwość znajdowało się serce. Czarnoksiężnik odruchowo chciał zabrać ręce, ale trzymała go mocno i pewnie.

– Nie możesz mnie zabić, starcze, ja już umarłam, wszystko co było we mnie żywe, zostało w pustym grobowcu. Klątwa... To była Klątwa, a ty pozwoliłeś mi ją na nich nałożyć. Więc zrób to teraz i potem, ile razy będzie to konieczne, aż uczynisz ze mnie bestię, której nic i nikt nie pokona. Zrób to z pełną świadomością, że wtedy ta bestia przyjdzie po ciebie, by rozliczyć cię z każdej kropli ich krwi.

– Magdaleno...

– Zamilcz. Kiedyś złożyłam przysięgę, a ostatnie dni uświadomiły mi, że aby jej dotrzymać, muszę być sama i muszę być wolna. Wyrzekam się więc światła i wyrzekam się miłości, pozostawiam sobie ciemność i pustkę, nienawiść, której nie uśpisz i nie zatrzesz. Nie ważne, ile pieczęci nałożysz na moje oczy, złamię je jedna po drugiej i przyjdę po ciebie. Nie ukryjesz się przede mną w żadnym zakątku wszechświata ani poza jego granicami.

Gwałtownie pociągnęła jego dłonie do przodu, szarość jej tuniki rozkwitła niewielką plamą czerwieni, jednak starzec stawiał opór i sztylet nie przebił jeszcze serca. Widok jej beznamiętnych oczu sprawiał mu ból niemal fizyczny, jakby to jego, a nie jej ciało zostało zranione.

– Dziecinko... Wybacz mi, proszę...

– Nigdy. Gardzę tobą.

Dziewczyna mocniej zaciśnęła dłonie na jego rękach i napała na sztylet całym ciałem. Nie zamknęła oczu i do ostatniej sekundy świadomości nie szukała oparcia w jego ramionach. Potem to on, po raz pierwszy stracił rachubę czasu, nie pamiętał, ile dni klęczał na kamiennej posadzce przed ołtarzem, trzymając w objęciach jej ciało. Kapłani towarzyszyli mu jakiś czas, skonsternowani i niepewni, co mają ze sobą uczynić, jednak w końcu odeszli, nie pojmując jego bólu i rozpacz po śmierci tej, której nic życia własnoręcznie przeciął.

\*\*\*\*

Po powrocie do ich prowizorycznego obozowiska, Pistis zastał w nim obu swoich towarzyszy. Człowiek nadal spał tam, gdzie go pozostawili, okryty kocem, za oparcie dla pleców i głowy mając pień drzewa. Wampir też zdawał się drzemać, siedząc obok niego przy sąsiednim drzewie, z zamkniętymi oczami. Elf cicho przemknął pomiędzy nimi i podszedł do koni.

Poklepał po szyi Stellę, a klacz przyjaźnie trąciła go łbem w ramię. Podążyła za nim, gdy zaczął się oddalać. Już miał jej dosięść, kiedy poczuł na sobie ciężar czyjś wzroku. Odwrócił się powoli, dostrzegając stojącego za nim Sylwana. Odruchowo spojrzął w miejsce, gdzie widział go jeszcze kilka sekund temu, było puste. Znow przeniósł pytające oczy na Wampira, przyglądającego mu się podejrzliwie. Skrzydełka jego nosa falowały niespokojnie, jakby Wampir wietrzył jakiś intrygujący zapach.

– Piłeś krew – stwierdził w końcu ze zdumieniem w głosie.

– Tak – przyznał kapłan spokojnie.

Przez jakiś czas mierzyli się wzrokiem, a napięcie pomiędzy nimi można było niemalże odebrać zmysłami. Po chwili takiego niezręcznego milczenia Elf odwrócił się od towarzysza i znow podjął próbę znalezienia się na grzbiecie swojego konia, ale palce Sylwana zacisnęły się na jego przedramieniu, zatrzymując go na ziemi. Pistis znieruchomiał i obrzucił niechętnym spojrzeniem jego dłoń, powoli przenosząc oczy na jego twarz. Nic nie powiedział, ale mimo to Wampir niemal natychmiast rozluźnił chwyt, nie cofając jednak całkiem ręki.

– Jej. Krew – stwierdził w końcu Sylwan, dokładnie różnicując oba słowa.

Kapłan nie potrafił powiedzieć dlaczego spuścił na chwilę wzrok.

– Tak – przyznał cicho, znow na niego patrząc.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, co musi się z tobą stać?

– Oboje wiemy, że jeśli cokolwiek miałyby się stać, już byłoby po wszystkim – odpowiedział po chwili. – Zabierz rękę, proszę.

Sylwan wykonał polecenie, odsuwając się krok od towarzysza, który lekko odbijając się od ziemi, znalazł się na końskim grzbiecie.

– Dokąd się wybierasz? – zapytał Wampir, starając się, by zabrzmiało to niedbale.

– Ktoś musi zająć się ciałami kapłanów, nie wolno nam ich pozostawić. Porzucenie towarzyszy karane jest śmiercią, poza tym oni niecały miesiąc temu byli moją drużyną. Chociaż... wydaje mi się, jakby to było w poprzednim życiu.

Elf przez chwilę milczał, wpatrując się w bliżej nieokreślony punkt gdzieś na horyzoncie. To było niezwykle i przerażające, jak szybko potrafił porzucić myśli i tęsknotę za tamtym życiem. Klasztor był jego domem przez setki długich lat, jedynym, którego wyraźny obraz potrafił wydobyć z pamięci. O życiu przed klasztorem z całych sił chciał zapomnieć, ale strzępy uczuć i myśli powracały czasem niepohamowanym strumieniem, którego intensywności i mocy mogła zaradzić tylko monotonia życia w zamknięciu i odosobnieniu. Teraz wystarczyło kilka zaledwie dni...

– Nadal obowiązują cię ich reguły? – pytanie Wampira wyrwało go z zamyślenia.

Pistis zastanowił się nad odpowiedzią. W zasadzie to było przecież oczywiste, złożył przysięgę, z której mógł go zwolnić tylko ten, któremu przysięgał, a jeśli był to daleki i niewidzialny Bóg, który nie przemawia do swoich wyznawców, powinno być jasne, że nikt nigdy tego nie uczyni. Tylko czy ślub dokonany pod naciskiem przerażenia i rozpaczony naprawdę był wiążący? Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Zresztą to nie ma teraz znaczenia. Elf nie pozostawia ciał swoich współplemieńców na pastwę wron i szakali. To znak rozpoznawczy zbrodniarzy i morderców.

– I Wampirów – dokończył Sylwan spokojnie. – Zresztą... tak, masz rację. Morderców. W oczach kapłana pojawiło się zmieszanie.

– Nie chciałem, żeby tak to zabrzmiało.

– Nie ważne – mężczyzna uciszył go ruchem ręki. – Nie będę przeproszał za to, kim jestem, a ty nie przepraszaj, że to dostrzegasz. Mogę ci towarzyszyć?

Elf, który zamierzał już odjechać, zatrzymał konia w pół obrotu i spojrzął zaskoczony.

– Tak, ale nie możesz mi pomóc. Jeśli elfickie konie wyczują twój zapach na ich ciałach, nie będą chciały ich nieść. To instynkt, silniejszy od posłuszeństwa.

– Chcesz przez to powiedzieć, że jeśli Elf jest ranny po ataku Wampira, jego koń nie zanieśie go do klasztoru czy do domu?

Na twarzy kapłana pojawił się mimowolny uśmiech, który natychmiast zgasł.

– Sylwanie. Elf, którego zaatakował Wampir, nie jest ranny. On jest martwy.

Wampir nie odpowiedział, zanim nie dosiadł popielatego wierzchowca.

– Jeśli jest jak mówisz, na twoim miejscu również nie spodziewałbym się ciepłego powitania ze strony kapłańskich koni. Piłeś krew. W ich oczach będziesz czymś gorszym od martwego Elfa. Będziesz Wampirem.

– Nie sądzę. Jej zwierzęta się nie boją. Teraz dosiada Leviathana, ale zanim go ujarzmiła, towarzyszył jej normalny koń. Straciła go na Ziemiach Niczych.

– Skąd wiesz? Powiedziała ci? – Sylwan rzucił mu przeciągłe spojrzenie spod ciemnych rzęs.

– Nie. Ja... po prostu wiem. Nie potrafię tego wytłumaczyć.

Jego towarzysz pokiwał głową, jakby te słowa były potwierdzeniem tego, o czym już wiedział albo co podejrzewał. Delikatnie przeniósł ciężar ciała do przodu, dając znać rumakowi, by ruszał. Oba wierzchowce posuwały się powoli naprzód, niosąc jeźdźców, pogrążonych we własnych myślach, mijając kolejne drzewa, aż znaleźli się na granicy lasu i Równin. W pewnym momencie Sylwan wstrzymał konia, Pistis dopiero po chwili zorientował się, że jego towarzysz zwolnił. Również stanął i obrócił Stellę w jego stronę. Wampir patrzył w szary, delikatny blask brzasku z trudem przebijającego się przez zasłonę drzew, w oczach miał melancholię i smutek. Wokół nich znów zaczął prószyć śnieg. Elf zauważył ze zdumieniem, że jego duże płatki swobodnie przepływają przez ciało jego towarzysza i popielatego rumaka, którego tamten dosiadał.

– Ziemia nie ma siły, by wydać na świat nowe życie, nie jest w stanie przebudzić się z letargu i uwolnić kolejnej wiosny – głos Sylwana był cichy i odległy, jakby dzielili ich przezroczysta ściana. – Część zwierząt i ptaków wbrew wszystkiemu rozmnożyła się. Wszystkie młode muszą umrzeć, bo nie rośnie dla nich trawa, owady i larwy, którymi żywią się ptaki, kryją się głęboko w ziemi, śpiąc snem, z którego może nie być przebudzenia. Apokalipsa się rozpoczęła. Naprawdę wierzysz, że możemy cokolwiek zmienić?

– Nie ma cię tu, prawda? – Elf odpowiedział pytaniem na pytanie. – Jak długo jesteś ze mną w tej postaci?

– Od początku. Naprawdę jestem cały czas pod drzewem obok Człowieka. Wiesz, myślę, że czarodziejka myli się co do nas.

Myśli Pistisa pospieszyły w kierunku czarnej Wilczycy, przemierzającej teraz las, samotnej i rozdartej.

– Nie powinieneś tego robić. Korzystanie z mocy jej amuletu osłabia ją, a ona jest teraz i bez tego dostatecznie wyczerpana.

Wampir milczał przez chwilę, z nieodgadnionym wyrazem twarzy wpatrując się w oskarżycielską głębię błękitnych oczu Elfa, po czym kąciki jego warg uniosły się w nieznacznym półuśmiechu.

– Nie czerpię z kamienia. Już nie muszę. Ona nawet nie wie, że rzucam jakikolwiek czar. Nie zrobiłbym tego teraz, mi również na niej zależy i nie chcę jej skrzywdzić. Nie tak, jak tobie – dodał, widząc cień, przesłaniający błękit. – Nie jestem aż tak szalony. Kilka dni temu czarodziejka złożyła nam przysięgę. Przedstawiciel mojej rasy, tej w której Belial zebrała całe plugastwo i zło, obecne pierwotnie w Ludziach, za nic nie powinien potrafić przebudzić w sobie

magii. A jednak robię to i jest to do tego stopnia realne, że mogę cię dotknąć, a miraż nie tylko nie znika, ale ty nic nie zauważasz. Człowiek też potrafi teraz dużo więcej. Wiem, że nie powinniśmy tego robić, ale wy cały czas włączycie się gdzieś we dwójkę, a ona chyba nie oczekuje, że będziemy siedzieć z założonymi rękoma i czekać na wasze powroty. Ćwiczyliśmy razem, byłem filtrem dla jego płomieni. Wiem, nie pochwaliliby tego, ale ogień nie potrafi zabić Wampira, więc to co robiliśmy, było stosunkowo bezpieczne.

– Praktykowanie magii bez opieki i przewodnictwa ze strony doświadczonego czarnoksiężnika nigdy nie jest bezpieczne – mruknął Elf bezbarwnym głosem.

– Udało nam się osiągnąć bardzo wiele – kontynuował Sylwan niezrażony. – Myślę, że Elpis nie podejrzewała nawet, że dojdziemy tak daleko w tak krótkim czasie. A teraz, kiedy ona zabiła Trzeciego, tym bardziej będzie potrzebować naszej pomocy, bo drużyna, która ma stanąć przeciwko trzem Aniołom Apokalipsy i Belial zmniejszyła się o jednego członka.

Urwał, kiedy twarz Elfa zmieniła się na wzmiankę o Trzecim. Nieznacznie uniósł w górę brwi, czekając.

– To nie ona zabiła Upadłego – wyszeptał kapłan w końcu. – Walczyła z nim, ale wtedy, gdy jej dotknąłem, przechwyciłem coś i nie potrafiłem tego utrzymać, więc to odepchnąłem i... – zamilkł, wzruszając ramionami z bezradną miną.

Żrenice Wampira rozszerzyły się nieznacznie, ale nie wydawał się szczególnie zaskoczony.

– To tylko potwierdza, że moje myśli biegną we właściwym kierunku. Chyba powinniśmy wszyscy poważnie porozmawiać ze swoją mentorką, zanim przebudzimy coś, czego nawet ona nie będzie w stanie powstrzymać. Jeden uczeń o nadprzeciętnie prędko rozwijających się zdolnościach to wystarczające zmartwienie i wyzwanie dla nauczyciela. Troje to aż nadto na siły jednej osoby.

Elf skinął głową, godząc się. Postać Thanathosa i konia barwy popiołu stawały się coraz bardziej rozmyte i niespójne.

– Nie potrafię dłużej utrzymać iluzji, musiałbym użyć amuletu, a nie chcę. Jedź i zrób, co musisz, dogonię cię.

Z tymi słowami zjawa obróciła się w małe tornado wirujących szaleńczo płatków. Wiatr, który zerwał się nie wiadomo skąd, załopotał włosami i szatą kapłana, który na moment zasłonił oczy dłonią. Wszystko trwało mgnienie oka, po czym znów zapanował spokój, śnieg bezszelestnie osiadł na ziemi, a powolny lot jego płatków sprowadzał coś w rodzaju sennego odrętwienia, potęgowanego jeszcze szarością świeżo budzącego się poranka. Tuż przed świtem noc otula świat płaszczem z cienia, zakłada na oczy chusty, przez gęstą sieć których przebija się tylko słaby już blask gwiazd. W beznadziei tego brzasku ich światła zabrakło, skrył go nieprzenikniony kir chmur. W ciemności i ciszy gnieździła się jakaś przestroga, jednak nawet bystre uszy Elfa nie potrafiły przeniknąć jej treści.

Stella zarżała cicho, potrząsając łbem. Pistis zamrugał i zaczerpnął głęboko powietrza, jakby otrząsając się ze snu. Poklepał ją po szyi.

– Tak, wiem – mruknął cicho. – Wyczuwamy to samo. Jedź, proszę.

Czysto biała klacz usłuchała, niespiesznie, ale bez ociągania ruszając przed siebie. Droga pokonywana w ten sposób wydawała się dłuższa, niż wtedy, gdy uchodzili przed fałszywymi nietoperzami w głąb lasu. W końcu Pistis dostrzegł ciemną plamę na tle bieli, uformowaną przez sylwetki elfickich koni. Pospieszył swojego wierzchowca, jednak w miarę jak się zbliżał, czarne rumaki okazywały coraz większe podenerwowanie. Przez chwilę kapłan uległ wrażeniu, że spełniły się słowa Wampira i ich dziwne zachowanie spowodowane jest krwią Elpis, obecną teraz w jego ciele, jednak prędko uświadomił sobie, że przyczyną jest bliskość Stelli. Kiedy zeskokczył

z jej grzbietu i pozostawił ją w pewnej odległości od małego stadka, szlachetne zwierzęta bez problemu pozwoliły mu do siebie podejść.

Dziesięć wysmukłych sylwetek otoczyło go ciasnym kręgiem, tuląc łby do jego dłoni, a Elf mógł odebrać ich ulgę, wywołaną kontaktem z żywą istotą i przerażenie, które zostało po nocy spędzonej w towarzystwie trupów. Obejmował drżące łby, wspierające się na jego ramionach i gładził rękami szyje i grzbiety, nie przestając przemawiać do zwierząt w śpiewnym języku jego plemienia, na przemian śmiejąc się i płacząc. Właśnie teraz mógł pozwolić sobie na swoją chwilę słabości, nie musiał być niezniszczalny i nieugięty. Jego szept mieszał się i przenikał z parsaniem koni, a śmiech i szloch zagłuszało radosne i żalosne jednocześnie rżenie. Gdyby go ktoś zapytał, nie potrafiłby powtórzyć, co takiego wtedy mówił, bredził po prostu bez sensu, ale one i tak rozumiały, uspokajając się powoli i zaszczepiając ten spokój w jego duszy. Jedyne, co pamiętał, to że prosił je, by po raz ostatni zgodziły się nieść swoich martwych jeźdźców i że przepraszał za to, że ani on ani jego towarzysze, którzy nadejdą wkrótce, nie mają nic, co mogłoby posłużyć za pożywienie dla rumaków.

Potem ogarnął wzrokiem miejsce rzezi. Sylwetki kapłanów w białych szatach zbrukanych czerwienią krwi, teraz zakrzepłej i przypominającej plamy rdzy, rozkwitające na symbolu krzyża i porastających je różach, porzucane bezładnie, z groteskowo rozwartymi oczami, w których zamarło przerażenie i ustami otwartymi do krzyku, który nigdy nie miał rozbrzmieć. Szaropióre strzały o grotach zanurzonych w żywych niegdyś sercach, sterczące niczym las trzciny z piersi tych, którzy nigdy już nie powstaną. Znał każdego z nich, podczas milczących posiłków, spożywanych codziennie przed wschodem słońca w ogromnej sali, mieszczącej wszystkich rezydentów klasztoru, zajmował miejsce pomiędzy nimi, z trójką z nich dzielił niewielką celę. Dawno temu, w poprzednim życiu, które się skończyło... Legło w gruzach z chwilą, gdy w oddalonej o wiele mil Warowni zielonooka Elfka w białej sukni, rozświetlonej blaskiem diamentów, zmierzała ku niemu ze szczytu kamiennych schodów, mając starca w kapturze pielgrzyma za plecami. A ten gruz utworzył niemożliwy do pokonania mur, kiedy ta sama Elfka po starciu z Astarothem wtuliła się w niego i kiedy po raz pierwszy trzymał ją w ramionach, wynosząc ją z podziemnej groty na zewnątrz, do powietrza, którym da się oddychać. Powrót do tamtego życia był niemożliwy. Ideały wpajane i utrwalane przez stulecia okazały się marnym fałszyfikatem tego, co jest naprawdę ważne. Teraz wreszcie wiedział, chociaż w równym stopniu przerażało go to i cieszyło.

Ukląkł na ziemi przed truchłami swoich dawnych towarzyszy, nasunął na oczy kaptur i pochylił głowę, a wiatr poniosł w dal słowa szeptanej cicho modlitwy. Potem pochylił się nad pierwszym z martwych kapłanów, zamknął niewidzące oczy i nie potrafiące już przemówić usta, po czym napierając obiema rękami, jednym zdecydowanym ruchem pchnął strzałę tak, że przebiła ciało na wylot. Delikatnie podniósł Elfa do pozycji półsiedzącej, ułamał żelazny grot i chwytając promień tuż przy piersi, nieco poniżej piór, wyszarpnął ją z rany. Następnie dźwignął mężczyznę z ziemi i ułożył na nie zbrukany krwią śniegu, w pewnym oddaleniu od miejsca masakry, okrywając martwego jego własnym płaszczem, co uczyniwszy wrócił po kolejne ciało.

Kiedy skończył, dziesięciu kapłanów spoczywało obok siebie, pogrążonych w karykaturze snu, a słońce znajdowało się już na niebie. Elf powoli podniósł obie ręce i zrzucił kaptur. W miejscu poboju pozostały tylko potraskane łuki i kołczany, z których rozsypały się strzały. Dokładnie przeszukując pobojuwisko, udało mu się odnaleźć kołczan, który pozostał w jednym kawałku. Pieczołowicie selekcjonując, oglądając groty i pióra, wybrał strzały, które nie ucierpiały podczas upadku ich właścicieli i które uniknęły roztratowania przez przerażone konie. Napełnił nimi kołczan i zarzucił go na plecy. Następnie badając łuki, wybrał trzy, które były w całości, a spośród nich jeden, najbardziej mu odpowiadający.



– Widzę, że się spóźniłem – drgnął na dźwięk głosu Wampira. – Możesz tak po prostu zabrać im broń?

Pistis odwrócił się, napotykając czernię spojrzenia Sylwana.

– Jesteś prawdziwy? Elfi kapłan potrzebuje łuku, by bronić swojej kapłanki – kontynuował, kiedy jasnowłosy młodzieniec skinął głową. – Martwy kapłan już nikogo nie obroni. Mogę go zabrać, jeśli mam ważny powód i kogoś, w kogo obronie jestem gotów zginąć.

Przez chwilę obaj patrzyli sobie w oczy.

– A jesteś gotów? – zapytał Wampir cicho.

– Tak – odpowiedział po prostu, nie każąc mu czekać. – Jestem gotów.

\*\*\*\*

Nadjechała, kiedy ciemności niemal całkiem się rozproszyły, a zwiastunem jej nadejścia był delikatny szelest piasku, usypującego się spod kopyt Leviathana. Czarny wierzchowiec kroczył dumnie i prosto, jakby to nie on zaledwie kilka godzin temu leżał pokonany, nie będąc w stanie mimo prób podźwignąć się na nogi. Czarodziejka ogarnęła spojrzeniem twarze trójki swoich adeptów, zebranych już razem i gotowych do drogi, nieco dłużej krzyżując wzrok z błękitnookim Elfem, ale nie powiedziała nic.

*Dobrze, że jesteś... Elpis.*

Kapłan skoncentrował się i ułożył swoje myśli w skierowany do niej przekaz. Skinęła głową, uśmiechając się nieznacznie i krótko, a ten ledwo zauważalny gest sprawił, że z jego serca z głuchym łoskotem stoczył się olbrzymi i ciężki gład. Więc to nie było odtrącenie, jeszcze nie teraz.

*Wszystko w porządku?*

Zapytała bez słów, a Elf wiedział, że ma na myśli krew, którą niedawno pił. Krew, która powinna go zabić i pozbawić duszy, tymczasem przegnała zmęczenie, napełniając go siłą i wolą.

*Tak, pani.*

– Co powinniśmy zrobić z nimi? – zapytała głośno, ruchem głowy wskazując leżące w równym rzędzie ciała nakryte wędrownymi płaszczami. – Nie mam pojęcia, jak kapłani czczą swoich umarłych. Jeśli chcesz zbudować stos...

Elf potrząsnął głową.

– Nie palimy ciał. Grzebiemy je w ziemi. Ale nie gdzie popadnie, tylko w pobliżu klasztoru. Musimy zabrać ich ze sobą. Czekałem na ciebie, nie chciałem niepotrzebnie za wcześnie obciążać koni.

– Rozumiem. Więc do dzieła.

Wspólnymi siłami, przy pomocy Farysa, ułożyli martwych mężczyzn na końskich grzbietach, a Elpis oplótła ich truchłą siatką, przypominającą delikatną srebrzystą pajęczynę, chroniącą przed upadkiem podczas drogi. Sylwan w tym czasie osiodłał Flamme i Nebulę – popielatą klacz, której sam dosiadał.

– Twoje włosy, pani... – zaczął Pistis ostrożnie, kiedy wszystko było gotowe.

Elpis spojrzała, zaskoczona.

– Co z nimi nie tak?

– Kobiecie nie wolno tak wejść do klasztoru. Będą wymagać, byś je zakryła lub zaplotła.

– Jakaś pokręcona kapłańska symbolika? Cóż... jeśli to konieczne. Wystarczy kaptur?

– Myślę, że tak. Z pewnością zażądamy też oddania broni.

– Tego się spodziewałam. To miejsce święte, więc to zrozumiałe. Jest coś jeszcze?

– Jeszcze jedno. Kiedy kapłan umiera, od momentu jego śmierci, aż do pochówku nie zakłócamy spokoju jego duszy niepotrzebnymi słowami. Cisza jest potrzebna, by jego duch mógł usłyszeć głos Boga i odnaleźć ścieżkę na drugą stronę. Nie mogę od Was żądać, byście to

respektowali, ale pozwólcie mi milczeć.

\*\*\*\*

Droga do klasztoru zajęła im więcej czasu, niż zakładali początkowo, bo wierzchowce elfickich kapłanów, osłabione długą podróżą i brakiem paszy, nie potrafiły iść prędko i musiały często stawać, by nabrać sił. Widmowe konie były wyraźnie rozdrażnione, wołały pokonać odległość, jaka dzieliła ich od celu, galopując szaleńczo, jednak nie protestowały otwarcie. Nie podejmowali w tym względzie żadnych ustaleń ani nikt nic nie obiecywał, mimo to żadne słowa nie zakłóciły kapłanom pierwszej prawdziwej rozmowy z ich Bogiem.

\*\*\*\*

Dla obserwujących ich oczu musieli stanowić osobliwy widok. Człowiek, Elf, Wampir i czarodziejka podróżujący na wierzchowcach, których wielkość przewyższała tę osiąganą przez każdą ze znanych ras, okryci lekkimi szatami mimo szalejącej wokół nich zadymki. W pewnej odległości za nimi podążały czarne konie, dźwigające na swoich grzbietach martwych kapłanów. Żywe zwierzęta nie chciały trzymać się zbyt blisko widmowych, a szczególną grozą napawała je obecność Leviathana i Astarotha, którego nie mogły zobaczyć, ale wyczuwały go tym dziwnym i niemożliwym do pojęcia rodzajem strachu, spowalniającego ruch krwi w żyłach i tamującego oddech. Mimo to nie odważyły się zboczyć z drogi ani zatrzymać, bardziej obawiając się samotności i zimna, które przestało im dokuczać, odkąd drużyna czterech jeźdźców była z nimi. Zbijając się w ciasną grupę, starając się odnaleźć odwagę w towarzystwie i bliskości współplemieńców, szły posłusznie, ze spuszczoneymi łbami i rozszerzonymi żrenicami i chrapami.

Już jakiś czas temu zdali sobie sprawę, że zostali dostrzeżeni. Ktoś był wśród koron drzew i za pagórkami, ukryty przed nimi i cichy, uważnie śledząc każdy ich krok, jednocześnie pozostając dla nich niewidzialny. Nie zaprzętałi sobie zbyt głowę tymi ukrytymi istotami, doskonale zdając sobie sprawę, że są to strażnicy świątyni, którzy prędzej czy później się ujawnią, nie czyniąc im krzywdy.

Dostrzegli ich dopiero, gdy niemal ich minęli. Kilkanaście postaci w szarych płaszczach z zarzuconymi na oczy kapturami, dźwigających w dłoniach długie łuki, idealnie wtapiających się w tło i stanowiących jakby jego integralny element. Czarodziejka wstrzymała Leviathana, ruchem ręki nakazując swoim towarzyszącom uczynić to samo. Dopiero wtedy strażnicy się poruszyli, część z nich podeszła do elfickich rumaków i w milczeniu oddaliła się wraz z nimi, pozostali, mniej liczni, stanęli w równym szyku przed osobliwymi przybyszami. Pierwszy ciszę przerwał Pistis, nie zwracając się jednak do strażników, ale do swoich towarzyszy.

– Dziękuję wam z całego serca – dopiero po tych słowach zeskoczył z konia i wspierając prawą dłoń na sercu, skłonił się przed nieznajomymi. – Chwała Przedwiecznemu Panu, za którego sprawą skrzyżowały się dziś ze sobą nasze ścieżki.

Elpis i pozostali powtórzyli jego gest, strażnicy odpowiedzieli w ten sam sposób.

– My również Go chwalimy – rzekł jeden z nich.

– Zjawiamy się tu posłuszni wezwaniu Kaina, mistrza naszej przewodniczki i nauczycielki. Polecamy się waszemu przewodnictwu, prosząc, byście doprowadzili nas przed jego oblicze, jednocześnie zapewniając, że przybywamy w pokoju.

Na potwierdzenie swoich słów kapłan zdjął z pleców łuk oraz kołczan ze strzałami, podając je jednemu z Elfów. Zakapturzony mężczyzna długo przyglądał się broni, w której z pewnością rozpoznał oręż martwych towarzyszy Keli, po czym przeniósł wzrok na oblicze Pistisa.

– Podniosłeś ich łuk, bracie. Jesteś w pełni świadom, co to oznacza?

– Tak.

Strażnik odwrócił się w stronę tego, który przemawiał jako pierwszy, ale on tylko wzruszył ramionami.

– Nie do nas należy ocena jego wyboru. Tylko czcigodny Elohim ma prawo go oczyścić lub potępić. Wszyscy musicie złożyć broń – ostatnie słowa były skierowane do towarzyszy kapłana.

Farys odpiął pas z mieczem i podał go jednemu ze strażników, a Elpis wręczyła kolejnemu srebrny sztylet. Wampir potrząsnęła głową.

– Nic nie mam.

– Dobrze. Na początek to wystarczy, by dowieść prawdziwości waszych intencji. Zjawiłaś się ze świętą, pani, mimo że wezwanie dotyczyło tylko ciebie.

Elpis spojrzała, zaskoczona. Do tej pory nawet przez myśl jej nie przeszło, że Kain chce wiedzieć się tylko z nią. Szybko jednak odzyskała rezon.

– Przykro mi to twierdzić, ale musiało zajść nieporozumienie. Jestem czarnoksiężnikiem, a to moi uczniowie. Mają prawo udać się wszędzie tam, gdzie udaję się ja i nikt nie może im tego prawa odmówić. Dlatego to, że ja zostałam tu wezwana oznacza, że wezwanie dotyczy nas wszystkich. Mój ojciec z pewnością zdaje sobie z tego sprawę.

– Nie nam o tym decydować – powtórzył strażnik po raz drugi. – Chodźcie za nami.

Mężczyzna w szarym płaszczu odwrócił się od nich i ruszył przed siebie, Elfka wraz z resztą swojej drużyny podążyli za nim. Ich konie stapały za plecami swoich jeźdźców. Czarodziejka nabierała podejrzeń, nie podobało jej się zachowanie nieznajomych, ich słowa i myśli też nie budziły w niej zaufania. Podobnie jak Kelia i jej jedenastka usiłowali zamknąć przed nią swoje umysły, ale najwyraźniej ich umiejętności w tym względzie znacznie ustępowały tym posiadanym przez kapłanów, bo czarodziejka była w stanie bez większego trudu wychwycić strzępy obrazów i słów. Dziwne kawałki układanki, których nie rozumiała i nie potrafiła wytłumaczyć, ale wiedziała jedno – budziły niepokój.

Nieznacznie zbliżyła się do Pistisa, zwracając na siebie jego uwagę i układając myśli w przekaz.

*Co to za historia z lukiem? Nie wolno było ci go wziąć? Grozi ci coś z ich ręki?*

Elf nieznacznie potrząsnęła głową.

*Miałem prawo. To był wybór i jak każdy z naszych wyborów podlega osądowi Elohima. Jednak nie mogą mnie za to ukarać.*

Dziewczyna milczała przez chwilę, po czym uśmiechnęła się drapieźnie.

*To dobrze... dla nich.*

Kapłan odpowiedział jej uśmiechem, który jednak niemal natychmiast zamarł na jego ustach.

*Pani... Błagam, uszanuj reguły zakonu, choćby wydawały ci się dziwne i niedorzeczne. Ja jako kapłan, który przyjął magię, jestem dla nich właściwie zdrajcą. Nie spodziewam się serdecznego przywitania. Nie wiem nawet, jako kto wejść do świątyni, nie jestem już kapłanem, nie będąc jeszcze tak naprawdę adeptem, a jednocześnie czuję wewnętrzny sprzeciw, jakby coś we mnie w środku sprzeciwiało się podążaniu każdą z tych ścieżek.*

Dziewczyna rzuciła mu krótkie spojrzenie, napotykając wpatrzona w swoją twarz błękitne oczy.

*To również jest wybór, prawda? Bądź spokojny. Uszanuję każdy, którego dokonasz.*

Elf opuścił wzrok na czubki swoich butów.

*Wiem, czego chcę, pani, ale to się nie spodoba ani im, ani tobie.*

Czarodziejka spojrzała na niego przelotnie. Nie potrafiła w tej chwili przeniknąć jego myśli. Wzruszyła ramionami.

*Cóż, trudno. Nie zamierzam pętać twojej woli. Ze swojej strony mogę obiecać, że postaram się uszanować wasze dziwaczne zwyczaje, ale moja tolerancja ma swoje granice i jeśli oni je przekroczą, to co zrobię, nie spodoba się nikomu.*

\*\*\*\*

– Słucham?

Jasnowłosy kapłan w białym płaszczu z wyhaftowanym wizerunkiem oplecionego cierniami krzyża, spoglądał na nią z konsternacją i zmieszaniem, nie bardzo wiedząc, jak powinien zareagować.

– Słyszałeś – odpowiedziała czarodziejka z chłodną uprzejmością w głosie. – Będziemy czekać tu do wieczora. Jeśli do tej pory mój ojciec ani wasz mistrz nie zdecydują się do nas wyjść, opuścimy to miejsce, udając się w dalszą drogę.

– Ale, pani... Czarnoksiężnik wyraźnie życzy sobie, abyś weszła do środka. Czcigodny Elohim podziela jego wolę. Odmawiając, obrażasz mistrza...

Dziewczyna uciszyła go zdecydowanym gestem dłoni.

– A ja wyraźnie życzę sobie, aby moi trzej uczniowie podążyli za mną. Zakazując im tego, was mistrz obraża zarówno ich jak i mnie osobiście, nie czuję się więc zobowiązana by być wobec niego posłuszna. Poza tym pragnę przypomnieć, że to nie ja należałam, by spotkanie odbyło się w murach świątyni. Jeśli oni są tu niemile widziani, to ja również, więc już samo zapraszanie mnie tu jest właściwie zniewagą.

Przez chwilę przyglądali się sobie w milczeniu. On zakłopotany i bezradny, ona chłodna, a zarazem wyniosła, potem kapłan spojrzał niepewnie na drugiego, bliźniaczo do niego podobnego, o nieco ciemniejszych włosach i wyższym wzroście. Mieli rozkaz doprowadzić ją przed oblicze Elohima, nie mogli go nie wykonać.

– Nigdy jeszcze bram świątyni nie przekroczył Wampir – spróbował z innej strony.

– Więc dziś będzie pierwszy raz – odrzekła czarodziejka sucho. – Zważ proszę na to, kim jestem ja. Część mnie jest właściwie Wampirem. Czy tę część też mam pozostawić przed bramą?

– Twoi towarzysze, pani tak naprawdę nie są nawet adeptami – włączył się do sprzeczki drugi kapłan. – Nie złożyli przysięgi. Jako kto mają więc wejść?

– Jednak ja im przysięgam, a to wystarczy. Czarnoksiężnik nie żąda od razu wzajemności, ale z biegiem dni, miesięcy, czasem nawet lat zapracowuje na nią. Przyjęcie ślubowania złożonego pod naciskiem strachu czy jakimkolwiek innym przymusem jest czymś, czego nie uczynię nigdy i co potępiam.

Obaj kapłani poruszyli się niespokojnie. Każdy młody rekrut, który wstępował do klasztoru, już pierwszego dnia składał przysięgę wierności Jedynemu Panu.

– A jeśli przyrzeczenie pochodzić będzie z serca i będzie głęboko przemyślane? Czy wtedy zaakceptujesz je, pani?

Elpis odwróciła się, napotykając wpatrzona w siebie oczy Pistisa. Jeszcze niedawno akurat od niego nie spodziewałaby się usłyszeć słów przysięgi, ale ostatnie dni wiele zmieniły.

– Pamiętam naszą rozmowę sprzed kilku godzin – ton jej głosu był łagodny, tak różny od tego, którym zwracała się do nieznanego kapłana. – Już wtedy uzyskałeś moją akceptację, którą podtrzymuję.

Elf skinął głową z wdzięcznością i przykląkł na jedno kolano. Chwilę milczał, trwając nieruchomo z pochyloną głową i przymkniętymi powiekami, a kiedy znów spojrzał na twarz czarodziejki, dziewczyna odczytała z jego oczu postanowienie, które ją przeraziło. Siłą powstrzymała się, by nie krzyknąć i tylko bezgłośnie poruszała ustami, zaklinając go, by zrezygnował, jednocześnie doskonale zdając sobie sprawę, że żadne zaklęcia nic nie pomogą, bo młody adept podjął już decyzję.

– Oto jest ta, za którą pójdę w ogień i na śmierć – zaczął jasnym i pewnym głosem, po jego pierwszych słowach kapłani zastygli z wyrazem bezbrzeżnego zdumienia na twarzach, a Elpis wstrzymała oddech. – Oto jedyna, której zawierzę od razu i nie pytając, a jej słowo będzie dla mnie ponad wszelkie zakazy, jakie są w stanie nałożyć na mnie istoty śmiertelne i nieśmiertelne. Ta, u której boku stanę i pójdę, nie oglądając się za siebie, z którą chcę dzielić ścieżki od teraz aż do końca moich ziemskich dni, a jeśli istnieje jeszcze jakieś inne życie, to w nim również. Oto nie szukając, odnalazłem skarb, droższy mi ponad wszelkie bogactwa i klejnoty, a skoro już znalazłem, nie wyrzeknę się go nigdy. W skrytości serca ślubowałem uchronić ją przed pustką i ciemnością, nie wzbraniam się przed powtórzeniem tego ślubu głośno i w waszej obecności. Bo wyrzekłem się strachu, wzywając na świadków gwiazdy krążące na niebie i ich blask odbity w jej czach i nie ulękę się już więcej. Nie proszę o nic i niczego nie oczekuję, jeśli jednak zawiodę, niech otworzą się otchłanie, a przedwieczny mrok niechaj pochłonie moją duszę.

Kiedy skończył, Elpis zdała sobie sprawę, że nie tylko on z napięciem wpatruje się w jej oblicze. Dwoje kapłanów w bieli, z osobliwą mieszkanką oburzenia i konsternacji wymalowaną na twarzach, również zdawało się czekać na jej ruch. Nawet Człowiek i Wampir rozumieli, że byli świadkami czegoś, co nie powinno się stać, a to, co usłyszeli, wcale nie było przysięgą adepta. Czarodziejka zrozumiała, że musi szybko wziąć się w garść, bo właśnie jest o krok od całkowitej utraty kontroli nad sytuacją. Powoli podeszła do Pistisa, zatrzymując się w odległości kroku od niego. Nadal nie spuszczał z niej oczu.

– Czy w pełni zdajesz sobie sprawę z wagi i znaczenia słów, które właśnie wypowiedziałeś?

Udało jej się zapanować nad drżeniem głosu i utrzymać niewzruszoną postawę, chociaż pragnęła uklęknąć obok Elfa i z całej siły potrząsnąć go za ramiona, może nawet uderzyć, zaklinając, by zaprzeczył i wszystko odwołał.

– Tak, pani.

– Czy rozumiesz, że tam, gdzie sięgasz, jest tylko otchłań i pustka, a ciemność musi cię dotrzeć niezależnie od tego, czy dopełnisz ślubu?

– To wybór, pani. Wybór, który mi obiecałaś.

W jego oczach było błaganie i pokora, które sprawiały, że chciała krzyknąć. Nie mogła jednak pozwolić, by ktokolwiek poza nim dostrzegł w niej słabość i lęk. Wielkim wysiłkiem udało jej się zapanować nad oddechem i przywołać na twarz spokój, którego nie czuła.

– Dobrze więc. Będzie, jak zechcesz. Nie cofnę danego słowa. Obłąd i pustka są twoje. Wstań teraz.

Jego ulga była dla niej bolesna bardziej od własnego strachu i bezradności. Podniósł się z kolan i stanął przed nią, ujmując jej dłonie we własne ręce i powoli zbliżył je do ust. Nie protestowała, była niczym szmaciana lalka, nie broniąc się, ale też nic nie oddając.

– Pani... – z odrętwienia wyrwał ją głos Farysa.

Gwałtownie zaczerpnęła w płuca powietrza, jak po zbyt długim przebywaniu pod powierzchnią wody i z ulgą przeniosła wzrok na Człowieka. Potrzebowała odwrócenia uwagi, jeszcze nie była gotowa sama przed sobą zaakceptować i przyjąć tego, co się właśnie stało.

– Wszystko dobrze, Farysie.

– Nie masz racji, pani – wtrącił się jeden z kapłanów. – Nie wiem, czemu miało to służyć, ale zachowanie twojego ucznia jest nie do przyjęcia, bezczelne i aroganckie, więc...

– Więc co? – przerwała mu gniewnie, ton jej głosu był lodowato zimny. – Mój uczeń jest wolny i ma prawo przysięgać, komu zechce, a jak sami byliście świadkami, przyrzeczenie zostało przyjęte. Być może nie zauważyliście, ale on dawno już przestał podlegać waszym osądom,

żywię szczerą nadzieję, że mistrz waszego zgromadzenia będzie bardziej domyślny. A teraz wybaczcie, lecz naprawdę nudzi mnie już ta rozmowa, więc czekam na waszą decyzję. Jeśli podtrzymujecie swoje stanowisko i nie chcecie nas widzieć w świątyni – nas wszystkich – niechaj wyjdzie ten, kto pragnie ze mną mówić.

Kapłani popatrzyli po sobie. Nawet im nietrudno było odgadnąć, że Elfka nie ma już ochoty na jakiegokolwiek pertraktację i że jeśli teraz jej odmówią, będą musieli wrócić do świątyni bez niej. Była dokładnie taka, jaką opisał ją czarnoksiężnik – dumna i wyniosła, nie uznająca władzy ich Boga i nie obawiająca się gniewu Jego najwyższych kapłanów. Stopa takiej osoby nigdy nie powinna przekroczyć progu ich klasztoru, jednak z nieodgadnionych dla nich powodów ich mistrz przyjmował w swoich prywatnych komnatach jej mistrza, a teraz to ją chciał widzieć. Wezwanie dotyczyło jednakże tylko jej. Kapłani niewiele wiedzieli o zależnościach łączących ucznia i mistrza, więc nie oczekiwali nikogo więcej i nie pojmowali jej uporu oraz milczenia obecnych z nią mężczyzn, a także ich zgody na to, by kobieta przemawiała w ich imieniu. Jednego z nich, niedawnego rezydenta ich świątyni zaledwie pobieżnie kojarzyli i gdyby dziewczyna go nie przedstawiła, nie rozpoznaliby w młodym Elfie o długich, prostych włosach w kolorze kasztanów kapłana. Błękitno-srebrna szata, pozbawiona jakichkolwiek symboli ich wyznania, a także dziwny biały koń, potężny i posępny, budzący przestach w ich szlachetnych, delikatnych rumakach, nie ułatwiały sprawy.

– Dobrze – zgodził się w końcu ten, który rozmawiał z Elpis jako pierwszy. – Niechaj święte płomienie zdecydują o tym, kto jest godzien a kto nie tego, by wkroczyć do domu naszego Pana. Pozwólcie zatem za nami. Wierzchowce pozostawcie. Kapłani zajmą się nimi jak własnymi końmi, niczego im nie zabraknie.

Jeden z przysłuchujących się w milczeniu ich rozmowie strażników podszedł do Leviathana i usiłował dotknąć jego chrap, ale w tej samej chwili pierwszy z przebudzonych Władców Piekieł szarpnął się i poderwał przednie kopyta do góry, bijąc nimi w powietrzu. Elf zdążył uskoczyć przed ciosem, a kilku innych, którzy zmiierzali w kierunku pozostałych koni, zawahało się.

– Wybaczcie, to moja wina, powinnam była uprzedzić i ostrzec was. One nie potrzebują i nie życzą sobie pielęgnacji, wody ani pożywienia. To nie są zwierzęta, mimo że przybrały taką postać. Najbezpieczniej będzie po prostu zostawić je tu, będą na nas czekać.

Kapłan skinął głową, starając się sprawiać wrażenie opanowanego, ale jemu ani jego towarzyszom nie udało się powstrzymać pełnych nabożnego lęku spojrzeń, rzucanych od czasu do czasu w stronę rumaków. Doskonale znali prorocstwo o czterech jeźdźcach, podróżujących na koniach barwy śniegu, ognia, smoły i popiołu, ale ujście legendy z tak bliska w sercu każdego z nich rozbudzało niepokój i lęk. Strażnicy, którzy pozostali na miejscu wraz z końmi, odprowadzali ich wzrokiem, dopóki nie zniknęli im z oczu.

Nie szli daleko. Drzewa przerzedzały się coraz bardziej, aż dotarli do granicy lasu. Przed nimi była pusta przestrzeń, zasypana śniegiem ziemia i ściana z bladobłękitnych płomieni, wyrastająca z nicości. Czarodziejka zmarszczyła brwi. Płomień dosięgał wysokości przewyższającej wzrost stojącego Człowieka i rozciągał się w prostej linii na długości kilku metrów. Poza nim nie było nic, żadnego zamku ani żadnej innej budowli, przypominającej świątynię. Ognisty mur pośród pustej ziemi, nic więcej.

– To jakaś magia? – zapytała na głos.

– To ochrona, płomień jest wzrokiem Boga. Pan widzie serce istoty, wkraczającej w jego objęcia, widzi jej intencje, przeszłe i przyszłe czyny. Jeśli ktoś nie jest godzien tego, by odwiedzić dom Boga, nie pozwala mu przejść. To jedyna droga, którą można dostać się do klasztoru.

Elfka niemal widziała powstrzymywany uśmiech na jego twarzy, kiedy o tym mówił. Odszukała wzrokiem Pistisa, a cień na jego obliczu był wystarczającym potwierdzeniem jej domysłów. Zakłęła w myślach.

*Nie przepuszczą nas, prawda?* Elf drgnął, nie spodziewając się usłyszeć teraz jej myśli. Powoli, ledwo zauważalnie pokręcił przecząco głową. *Dobrze, więc powiedz mi na czym polega sztuczka z płomieniami? Co takiego czyha w środku, że nie można przez nie przejść? Ból, paraliż, halucynacje?*

Spojrzenie, jakim obdarzył ją po jej ostatnim słowie, upewniło ją, że trafiła.

*Obrazy. Bardzo realne i sugestywne. Ból jest chyba po prostu ich nieuniknionym następstwem. Pokażą ci coś, co przeraża cię najbardziej na świecie, jeśli jest jedna rzecz, której się boisz, wstydzisz lub którą chciałabyś wymazać ze swojej głowy, właśnie myśl o tym zostanie odgrzebana i zmusi cię do konfrontacji. Coś, czemu za nic nie chcesz stawić czoła, jeszcze nie, już nie, może nigdy. Coś co powali cię na kolana i sprawi, że zostaniesz tam niczym marionetka, której podcięto sznurki.*

Dziewczyna prychnęła pogardliwie, ściągając na siebie uwagę Człowieka i Wampira.

*Więc halucynacje, myślałam, że straszliwe święte płomienie stać na więcej. Słuchajcie mnie uważnie. Wszyscy. Przejdziemy. Jestem czarodziejką, wiem już, co przeciwstawić obrazom. Ciemność. Rozumiecie mnie?*

Zanim jeszcze przebrzmiały jej słowa, rozchodzące się w ich umysłach, cały świat na chwilę ogarnął mrok, zupełnie jakby słońce zgasło i nastąpiła bezgwiezdna noc. Farys zatrzymał się w pół kroku, ale Elpis oparła mu dłoń na ramieniu i delikatnie pchnęła go do przodu.

*Idź. Mam nad tym pełną kontrolę, oni nie zauważą. Tak przejdziemy. Rozumiecie?*

W tej samej chwili ciemność ustąpiła i Elfka spojrzała kolejno w czarne, brunatne i błękitne oczy. Wzrok Elfa był poważny i niepewny.

*Nie wiem, czy to wystarczy. Nie lekceważ ich mocy, pani.*

Nie odpowiedziała. Nie mogła pozwolić sobie na wahanie czy słabość, nie teraz. Mrok po prostu musiał wystarczyć.

Zatrzymali się w niewielkiej odległości od płomienia. Mimo że był potężny, nie buchało od niego gorąco, raczej delikatny podmuch nieznannej magii, łagodnie pieścący ich włosy i szaty. Czarodziejkę bardziej od wszelkich opowieści o mocy płomienia zaalarmowało to, że nikt go nie strzegł. Jego siła musiała być wielka, jeśli był jedynym zabezpieczeniem przed wdarciem się intruzów na teren świętego dla wyznawców jedynego Boga miejsca.

– Pani – z zamyślenia wyrwał ją głos jednego z eskortujących ich kapłanów. – Jeśli ty lub twoi uczniowie wieziecie ze sobą jakąkolwiek jeszcze broń, teraz musicie ją nam oddać.

– Nie mamy nic poza magią.

– Więc zostało nam tylko poprosić o przekazanie ozdób i biżuterii.

– Nie posiadamy nic takiego. Dźwigamy ze sobą tylko to, co niezbędne. To relikwia – dodała, widząc że wzrok kapłana zatrzymuje się na nadgarstku Człowieka i oplecionej na nim bransoletce. – Poświęcona i okadzona dymem z ołtarza. Podarunek od tych, którzy nie mogli towarzyszyć mu w drodze, ale pragnęli zjednać mu łaskę waszego Pana, bo jest im drogi. Oddanie go byłoby zniewagą zarówno dla tych osób jak i dla ich wiary.

Ciemnowłosa mężczyzna popatrzył na nią z wdzięcznością, nie powiedział nic.

– Przynosicie jednak klejnoty, pani... więc... – Elf zająknął się i urwał pod wpływem lodowato zimnego błysku w jej oczach.

– Nie wierzę, że naprawdę mnie o to prosisz – powiedziała powoli, z rozmysłem cedząc słowa. – Może to tłumaczyć tylko kompletna ignorancja i brak pojęcia o roli, jaką amulet odgrywa w życiu czarnoksiężnika. Z kamieniem nie rozstajemy się nigdy. Z równym

powodzeniem możesz żądać, bym odcięła sobie prawą rękę i pozostawiła ją twojej pieczy, dopóki nie wrócę. Czy mój ojciec również musiał oddać amulet? Jeśli tak, to pokażcie mi tego nieszczęśnika, który śmiał tego od niego zażądać.

Oblicze kapłana pobladło. Został ostrzeżony, że przeprawa z nią nie będzie należała do najłatwiejszych, jednak nie spodziewał się aż tylu problemów.

– Jeśli odmawiasz, pani, jestem zmuszony...

– Stój, głupcze – przerwała mu, widząc, że mężczyzna podnosi rękę – albo poleje się krew. Wysłuchaj ostrzeżenia i rady, dopóki nie jest za późno. Zanim znów spróbujesz to zrobić, powinieneś wiedzieć, że jestem uczennicą Kaina od wieków tak dawnych, że nie pamiętam początku, ale wiem na pewno, że przez cały ten czas nikt, łącznie z moim mistrzem, nawet nie dotknął powierzonego mi klejnotu. Cofnij się, póki jeszcze odwrót jest możliwy.

Mężczyzna zawahał się, widząc srebrzystą poświatę, która rozbłysła na opuszkach jej palców.

– Pytam jeszcze raz, czy mój ojciec również musiał oddać kamień?

– Oczywiście że nie, dziecinko – rozległ się głos od strony płomienia, na dźwięk którego wszyscy, jak na komendę, odwrócili się w stronę mówiącego. – Zaszło nieporozumienie, panowie, a znając moją córkę mogę was zapewnić, że ona dopiero zaczyna się delikatnie irytować, więc proszę, pozwólcie jej i jej uczniom zachować amulety, bo i tak ich nie oddadzą, a to co zrobią, znacznie wszystko skomplikuje. Jeśli pójdziecie za moją radą, biorę za nich pełną odpowiedzialność, nie zagrożą waszej społeczności w żaden sposób.

Kapłani skłonili głowy z szacunkiem, a Elpis ruszyła w stronę przybysza, nakazując Człowiekowi, Elfowi i Wampirowi podążyć za sobą. Kain uważnie obserwował zmierzającą ku niemu grupkę, na czele której znajdowała się ta, którą ukochał i nazwał córką. Ujrzenie jej w towarzystwie własnych adeptów sprawiało ból, ale to było nieuniknione, łącząca ich więź nadal istniała, mimo iż dziewczyna nadszarpnęła ją aż na trzy sposoby. Znacznie boleśniejszy był ciężar tego, co on sam będzie musiał zrobić już wkrótce. Przegnał te myśli, zamykając przed nią swoje wnętrze i nie pozwalając jej zobaczyć panoszącego się tam smutku. Przywołał na twarz uśmiech. Dziewczyna była poważna i ostrożna. Zatrzymała się przed nim i skłoniła na modłę Elfów, kładąc prawą dłoń na sercu, starzec odpowiedział jej tym samym. Przez chwilę oboje milczeli, po czym to Kain pierwszy zabrał głos.

– Więc zrobiłaś to, dziecinko. Złożyłaś potrójną przysięgę... Wbrew wszystkim, nawet wbrew mojej woli.

– Tak, ojczu, nie zamierzam prosić cię o wybaczenie, bo to czy je otrzymam, nie ma teraz żadnego znaczenia. Proszę cię tylko o akceptację. Jeśli cokolwiek się stanie i będę zmuszona ich opuścić, oto dzieci twoje – nie czekając na odpowiedź, odwróciła się do stojących za nią mężczyzn. – Jeśli kiedykolwiek los rozdzieli nasze ścieżki, oto ojciec wasz.

Z ich strony również nie otrzymała żadnego potwierdzenia, ale nie potrzebowała go. To było jedno z praw, reguła której przestrzegali wszyscy czarnoksiężnicy. Znów przeniosła wzrok na swojego mistrza. Kain podszedł do niej i położył jej rękę na ramionach, uśmiechając się z dziwną mieszanką smutku i czułości.

– Dobrze cię widzieć, Elpis. I dobrze wiedzieć, że mimo starcia z Trzecim zachowałeś siły i jesteś... cóż. Tak samo dumna i wygadana jak zawsze. Ale nie dajesz im żadnych szans, odpuść trochę. Zgódź się na jedno ustępstwo, jakikolwiek ukłon w stronę ich mistrza i wiary, możesz to zrobić dla mnie?

Dziewczyna patrzyła na niego spod wpróżymkniętych powiek, nie bardzo wiedząc, czy jego spokój jest tylko pozą, czy jej mentor naprawdę nie ma pojęcia, jak zakończyła się jej walka z demonem. Tak czy inaczej nie był to dobry moment na wyjaśnienia, ta sprawa musiała



poczekać do czasu, aż znajdą się poza zasięgiem ciekawych kapłańskich uszu. Westchnęła, po czym nałożyła na głowę kaptur, kryjąc pod nim długie czarne włosy. Starzec uśmiechnął się z akceptacją.

– A teraz w drogę, Elpis. Będę czekał na was po drugiej stronie.

*Po prostu idźcie za dźwiękiem moich kroków, ja będę widziała drogę i poprowadzę was, zdejmę zakłęcie, jak tylko znajdziemy się na dziedzińcu* – wysłała przekaz, kiedy tylko sylwetkę jej mistrza pochłonął święty ogień.

– Wkraczamy do domu Jedynego Boga z otwartymi sercami i spokojem w duszach, dlatego nie obawiamy się Jego oczu – dodała na głos. – Zostałam tu zaproszona przez Jego najwyższego kapłana, a wy jesteście moimi adeptami, jesteście związani ze mną więzią silniejszą niż zakazy i nakazy tego świata, nasze losy są ściśle splecione i nawet on to zaakceptuje. Dlatego, cokolwiek ukążą wam płomienie, nie cofniecie się.

Pistis, Sylwan i Farys tym razem spokojnie powitali zasłonę czerni, która spadła na ich oczy po jej słowach. Jeśli wcześniej obawiali się, że nie będą potrafili odnaleźć drogi w ciemności, teraz ten strach ustąpił. Doskonale wyczuwali, gdzie znajduje się ich nauczycielka, bez trudu też określili moment, w którym dziewczyna ruszyła do przodu i bez wahania poszli za nią. Owionął ich chłodny wiatr i otoczyła cisza, wśród której dźwięk jej kroków był jedynym docierającym do ich uszu. Wkraczali w płomienie.

\*\*\*\*

Cisza była pierwszym, co nasunęło się jej na myśl, kiedy chciała określić ten osobliwy stan. Wrażenie kołysania w zawieszonej pośród nicości kołysce, pozbawionej ścian i jakichkolwiek osłon, zabezpieczających przed wypadnięciem. Ostrożnie rozejrzała się wokół. Wśród nicości nie było śladu nikogo, trzej podążający za nią mężczyźni też zniknęli, ale echo ich kroków wciąż rozbrzmiewało w jej głowie, upewniając ją o ich obecności. Już niemal odetchnęła z ulgą, wierząc, że płomienie nic więcej dla niej nie mają. Pustka – niezbyt oryginalnie, jeśli wypełniała ją cały czas, niemal przelewając się poza brzegi jej duszy i serca, jak woda ze zbyt małego naczynia, nie mogła teraz sparaliżować jej strachem tak wielkim, by ją zatrzymać. W tej chwili dotarło do niej jednak, że poza nią pośród niebytu ktoś jest, a kiedy tylko to dostrzegła, zrozumiała, że klęczy, wpatrzona w nicość pod swoimi kolanami, nie mogąc wykonać żadnego ruchu, nie mogąc wstać.

Ktoś potężny łamał jej wolę, zdzierając ją z niej kawałek po kawałku, aż została całkiem zmiażdżona i pokonana. Szarpnęła się, podejmując rozpaczliwą walkę, jednocześnie czując jak pierwotny strach żelaznymi kleszczami chwyta ją za gardło i miażdży krtań, nakazując krzyczeć, a jednocześnie nie dopuszczając do tego, by jakikolwiek dźwięk wydobył się z jej ust. Na czoło wystąpiły jej kropelki potu, a zmuszone do beznadziejnego dźwigania ciężaru ciała oparte na ziemi ręce zaczęły drżeć niczym w gorączce, nad rozprzestrzenianiem się której do całego jej ciała nie panowała. Wiedziała już, kto jest przed nią, kto znajduje się obok niej, przed kim klęczy i kto dzieli jej los. Tron, który był pryzmatem i siedem światła, które właśnie gasły. Zrozumienie było jednocześnie przekleństwem i wybawieniem, bo oto wiedziała, że to nie ona czołga się u stóp tronu, niezdolna do okazania sprzeciwu, że po prostu dzieli wszystkie doznania z jedną z Upadłych, patrząc na scenę jej oczami. Zbierając wszystkie siły zmusiła ciało do ruchu, ogień musiał w końcu się urwać, a wizja musiała zniknąć.

Belial i pozostała szóstka a w cieniu tronu Lucyfer, anioł o oczach w kolorze fiołków i z przerożeniem wypisanym na ich dnie. Bał się o nią, o oszalałą z wściekłości i bólu anielicę z kaskadą czarnych włosów, splątanych i rozsypanych na bieli skrzydeł i szaty. Przerożała go, bo gdzieś w głębi własnej istoty rozumiał, że niezależnie od tego co dla niej zrobi, ona nigdy nie przestanie walczyć, nigdy nie przestanie próbować, nie zrezygnuje i nie uzyska przebaczenia,

nigdy się nie ukorzy. Nagły spokój, jaki okazała i cień uśmiechu, który zatańczył na jej wargach, przeraziły go jeszcze bardziej niż walka, bo poczuł, sam nie rozumiejąc dlaczego tak myśli, ale będąc o tym przekonany, że oto za chwilę matka jego biologicznych dzieci ostatecznie pogrzebie jakiegokolwiek nadzieje na przebaczenie... Anielica uśmiechnęła się drapieźnie i wyszeptała coś niezrozumiałego, po czym zaczerpnęła głęboko powietrza i spróbowała jeszcze raz.

– Spadanie... spadanie nie boli... Boli tylko strach przed skokiem... A ja się nie boję.

Każda sylaba wydobywająca się z jej gardła była niczym paląca trucizna, ale sprawiała tym większą satysfakcję, bo oto mroczna anielica, a wraz z nią reszta współkazańców, a nawet wszechpotężny Bóg, rozumieci, że przełamuje Jego czar i odzyskuje chociaż cień kontroli.

– I Ty nazywasz siebie ich ojcem? – na dźwięk jej głosu Lucyfer zacisnęła pięści, bezsilny i piękny. – Karząc ich za próbę samodzielnego zrozumienia świata i podążania własną ścieżką, śmiesz przyjmować miano ojca? Milczysz... Dobrze, bo to jest ten czas, kiedy ja mówię. Jam jest grzeszna matka niedoskonałego świata. Na siebie samą nakładam przekleństwo, ale to Ty jesteś tym, którego ono zniszczy. Ukryję się przed Tobą tam, gdzie nigdy mnie nie odnajdziesz. Po wieki wyrzekam się śmierci i wyrzekam się życia, byś nie mógł usłyszeć bicia mojego serca. Wiem, z jakiej części Ciebie pochodzę. Wiem, jak znalazłam się wśród ciemności. I nie zapomnę...

Nie uzyskała odpowiedzi, jedyną reakcją na jej słowa było rosnące przerażenie kłęczących po jej obu stronach istot, przygniecionych ciężarem winy i grzechu, którego nie rozumieci. Nie oczekiwała reakcji. Zbierając w sobie wszystkie siły, wyprostowała ramiona i spojrzała wprost w twarz Lucyfera.

– Śmiesz mówić o miłosierdziu? Oto jest ten, który mnie odnalazł i pokochał. To przed tobą kłęczę, Świetlany. To ciebie błagam, obmyj mnie w krwi moich poległych dzieci i niech ta krew da mi siłę, bym mogła wypełnić ślubowanie.

Anioł, który miał wkrótce utracić skrzydła, również milczał, ale w jego oczach oprócz dzikiej rozpaczki była obietnica, którą ona rozumiała. Było w nich też błaganie, któremu nie mogła ulec. On już wiedział, co Belial zaraz uczyni, Elpis też to wiedziała, rozumiejąc jednocześnie, że zanim to się stanie, musi wydostać się z objęć płomieni, nie wolno jej było jednak przyspieszyć kroku, by nie okazać kapłanom, z pewnością uważnie ich obserwującym, że cokolwiek utrudnia im drogę. Serce tłukło się o jej żebra niczym o ściany zbyt ciasnej klatki, a oddech odmawiał posłuszeństwa. Belial znów wlepiła wzrok w nicość pod swoimi stopami i uśmiechnęła się.

– Śmiało, potęp mnie i przeklnij, bo tylko tyle możesz. Nigdy nie uda Ci się złamać mojej woli. Moje nadgarstki i kostki nie należą do Ciebie, byś zaplatał na nich łańcuchy swojego fałszywego miłosierdzia. Ja nie mam nad sobą Pana... I nigdy nie będę miała!

Przekłeta anielica podrzuciła w górę głowę i spojrzała wprost w błękitne oczy siedzącego na tronie z blasku tęczy Boga. Czarodziejka skuliła się w sobie, kiedy pełne niewypowiedzianych oskarżeń spojrzenie spoczęło na jej duszy, paląc i unicestwiając wszystko, co napotykało na swojej drodze. Zachwiała się i uniknęła upadku, wspierając się na ramieniu idącego po jej prawej stronie Elfa. W tej samej chwili obraz twarzy i siedmiu tysięcy otwartych szeroko oczu zniknął, zastąpiony przez ciemność, a lekki podmuch i ciepło, które poczuła, uświadomiły jej, że znaleźli się poza zasięgiem płomieni. Dziewczyna zamrugła powiekami, ale czarna kotara nie chciała zniknąć. Próbowwała odwołać zaklęcie, ale nie osiągnęła nic. Poczuła wilgotne ciepło na policzkach i charakterystyczny zapach, który rozpoznałaby wszędzie i który nie był zapachem łez, na oślepię sięgając ręką, głębiej naciągnęła kaptur na oczy.

– Pani? – usłyszała cichy szept Pistisa.

*Nic nie widzę* – nie znajdując w sobie dość sił, by przemówić, wysłała przekaz. Nie uzyskała odpowiedzi. *Naprawdę nic. Coś poszło nie tak. Pomóż mi.*

Również tym razem daremnie czekała na jego reakcję, nie wiedząc, że w tym samym czasie on również usiłował nawiązać z nią mentalne połączenie.

– Pani, co się stało?

Nie ośmieliła się szeptać, przekonana, że jedynym dźwiękiem, jaki może teraz wydobyć się z jej gardła jest wrzask lub szloch. Spazmatycznie chwyciła powietrze, jakby zapominając, na czym polega oddychanie, jej dłoń, zaciśnięta na jego ramieniu, drżała coraz bardziej. Więc przeszła przez ogień, mimo że jej nie przepuścił, a teraz znajdowała się o krok od upadku, którego nie potrafiła powstrzymać. Jej uczniowie, usiłując zachować pozory normalności, wpatrywali się w skierowane w ich stronę twarze kapłanów, których sylwetki wypełniały dziedziniec, a Pistis usiłował podtrzymać ją tak, by nie zauważył tego żaden z wyznawców Najwyższego. Nie rozumieli, co się dzieje i dlatego ich myśli pozostają bez odpowiedzi, rozbijając się o niewidzialny mur i nie potrafiąc dotrzeć do towarzyszy.

Pośród tłumu Elfów w białych szatach przeciskał się ku nim starzec w szarym płaszczu. W jego oczach był lęk i niedowierzanie, które starał się ukryć. Dostał się do nich niemal w ostatniej chwili, by pochwycić na ręce osuwającą się bezładnie dziewczynę. Pistis oddał mu ją, nie protestując, licząc na to, że jeśli ktokolwiek jest w stanie jakoś zaradzić temu, co właśnie się stało, to tylko jej mistrz.

– Nic się nie dzieje – przemówił Kain w kierunku kapłanów. – Moja córka po prostu jest znużona długą drogą i walką, którą musiała stoczyć, by się tu dostać. Wybaczcie więc, ale zanim poprowadzę ją do czcigodnego Elohima, zabiorę ją i jej towarzyszy do moich komnat, gdzie odpoczną. Pozwólcie zatem za mną.

Polecenie było skierowane do Człowieka, Elfa i Wampira, ale twarz starca stanowiła zaprzeczenie spokojnego głosu i słów, które właśnie wypowiedział. Ruszył prędkim krokiem w kierunku bram do świątyni, a trzech uczniów Elpis podążyli za nim. Czarodziejka kurczowo ścisnęła w jednej dłoni materiał płaszcza Kaina, a drugą osłaniała usta, zatrzymując w nich wrzask, który za wszelką cenę chciał wydostać się na powierzchnię. Nie wiedziała, co stało się z jej oczami, ale na jej policzkach wciąż przybywało krwi, im bardziej poruszała powiekami, tym było jej więcej. Widziała ciemność.

# Rozdział 11

## Komplikacje

Krzyk był tym, co dominowało, biorąc górę nad wszelkimi innymi doznaniem, spychając je poza margines tego, co ważne i prawdziwe, tylko on miał teraz jakiegokolwiek znaczenie. Był w niej, wypełniając jej ciało i wirując na podobieństwo obłądnego tornada w każdej jego komórce. Bez względu na konsekwencje chciał się wydostać i uzewnętrznić, zaakcentować swoje istnienie, podkreślić obecność, wyrazić przerażenie i rozpacz. Z całych sił trzymała go na uwieży, palce ręki, kurczowo zacisniętej na ustach, pobieły z wysiłku, jej ciałem targały gwałtowne dreszcze, których nie potrafiła zatrzymać. Wiedziała, że kiedy w końcu krzyk wygra, nie będzie to dźwięk, który zdolne byłoby wydać gardło śmiertelnej czy nieśmiertelnej żyjącej istoty. Stanie się wrzaskiem, rykiem, jękiem, skomleniem czy potępieńczym wyciem, czymś strasznym, czego nie zatrzyma. Wiedziała też, że nie wolno jej, za nic nie wolno do tego dopuścić, ale nie pamiętała, dlaczego. Gdyby znajdowali się wśród skał Warowni pierwszym, co by uczyniła, byłoby uwolnienie wrzasku i stawienie mu czoła, niezależnie od formy, jaką by przybrał. Bo to właśnie wrzask ją przerażał, więc należało tak zrobić, zrobić to, czego się najbardziej obawiała i zmiażdżyć bestię, w jakkolwiek straszną skórę się przyoblecze. Jednak nie mogła. Było coś ważniejszego niż jej strach i ból i istnienie tego zależało od niej, bo jeśli nie zachowa pozorów normalności, jeśli pozwoli by wycie rozbrzmiało, wszystko przepadnie. Nie rozumiała tylko, co właściwie musi chronić, bo zapomniała, co jest tak ważne.

Na przemian zaciskała i otwierała powieki, ale otwarcie oczu nie rozpraszało ciemności, a ich zamknięcie wcale nie sprawiało, że zniknął jedyny obraz, jaki miała w głowie. Siedem tysięcy błękitnych oczu otwartych i wpatrzonych w każdy szczegół jej istoty, oczy, które już nigdy się nie zamkną, blask, który nigdy nie zgaśnie, ogień, który nie przestanie jej spalać. Bała się oddychać, bo wrzask usiłował wydostać się wraz z wydechami. Prawe ramię wibrowało bólem, jakby kły dzikiego zwierzęcia rozszarpały żywą tkankę na strzępy. To Astaroth miotał się w przerażeniu i męce, usiłując skryć się głęboko w jej ciele, ale tego bólu niemalże nie czuła. To krzyk bolał, rozrywał krtań i płuca, panoszył się w każdej komórce, nie znajdując ujścia, coraz potężniejszy i coraz bardziej rozpaczliwy.

Starzec, który niósł ją na rękach, czuł, jak ciałem dziewczyny wstrząsają coraz silniejsze dreszcze, niczym bezradne szamotanie się umierającego w okrutnej gorączce dziecka. Siłą powstrzymując się, by nie biec, przeszedł pozornie spokojnym krokiem obok grupki kapłanów, znajdującej się pod drzwiami do jednej z sal. Wiedział, co się stanie, jeśli Elfy zauważą, jak skończyła się przeprawa jego dumnej córki przez święte płomienie. Już miał przyspieszyć kroku, gdy zauważył w pewnym oddaleniu przed sobą kolejną grupkę. Zaklął w duszy.

– Błagam cię, dziecinko, wytrzymaj jeszcze trochę – wyszeptał z ustami przy jej skroniach, zanim ich minęli.

Nie słyszała jego słów. Była wrzaskiem, który nie mógł rozbrzmieć i bólem, którego nic nie mogło ukoić. Spadała.

\*\*\*\*

Kiedy w końcu po raz ostatni nie wiadomo już które drzwi zamknęły za nimi zgięci w ukłonie strażnicy i kiedy Pistis po raz nie wiadomo który pomyślał, że gdyby przed bramą nie oddał łuku, pokonanie drogi zajęło by im o wiele mniej czasu, Kain porzucił wszelkie pozory spokoju, a jego krok znacznie przyspieszył. Znaleźli się w krótkim korytarzu z pięcioma

drzwiami, Elf nie był tu nigdy wcześniej. Kain zmierzał w kierunku tych najdalszych. Sylwan był od niego szybszy, zabiegł mu drogę i otworzył drzwi, przez które cała piątka wcisnęła się do niewielkiej celi. Znajdowało się tu tylko łóżko i mała, drewniana szafka. Starzec ostrożnie ułożył dziewczynę na pierzynach, a ta od razu skuliła się, podkurczając kolana i obejmując je ramionami, ale niemal natychmiast opuściła stopy na posadzkę i zakryła oczy dłońmi, jednak w tej pozycji też wytrzymała tylko sekundę, po czym wyprostowała się, przynosząc dłonie na usta, obolałe od niewydobytego wrzasku. Miotła się niczym wyciągnięta z wody ryba, jakby chcąc uciekać i nie wiedząc, dokąd. Dla trójki jej uczniów ujrzenie swojej silnej i dumnej przewodniczki w takim stanie było na wskroś przerażające, niczym zły, nierealny sen, który musi się zaraz skończyć, bo przecież ta budząca litość istota nie może być tą samą Elpis, która kłęczała przed nimi u stóp potężnego dębu, słowami przysięgi rzucając wyzwanie Bogu i światu.

Kain usiadł obok niej, przytrzymując ją zdecydowanie za ramiona i unieruchamiając, zatrzymała się na moment, gwałtownie wciągając powietrze, ale zaraz potem znów usiłowała wrócić do rozpaczliwej szamotaniny, jednak starzec trzymał mocno. Nie mogąc wykonać żadnego innego ruchu, Elpis tylko bez sensu zaciskała i rozkurczała zakrwawione palce dłoni i usiłowała jak najbardziej odwrócić od niego twarz, nadal skrytą pod kapturem.

– Elpis! – drgnęła gwałtownie. – Dziecinko, uspokój się, proszę. To ja, Kain, twój ojciec, pamiętasz swojego ojca? – potrząsnęła głową. – Elpis, słuchaj mnie. Zdejmę kaptur, muszę zobaczyć, co się właściwie stało. Nie ruszaj się przez chwilę... Nie ruszaj się!

Potrząsnął nią energicznie, uzyskując moment spokoju, dzięki któremu mógł puścić jej ramiona i rzucić z głowy okrzyk. Niemał natychmiast zakryła oczy dłońmi, jakby raziło ją światło, ale starzec i tak zdążył dostrzec, co się w nich znajduje. Zadrżał i przez chwilę zabrakło mu słów, jednak szybko zebrał się w sobie, bo Elpis usiłowała wstać, więc znów przytrzymał ją na miejscu.

– Dziecino, siedź, proszę cię, siedź. Spójrz na mnie. Co takiego ukazały ci płomienie? Muszę wiedzieć! Co to było, Elpis?

– Tron i siedem światła, śniła o tym, budziła się z krzykiem – usłyszał gorączkowy szept Pistisa, który nie wiadomo kiedy znalazł się po drugiej stronie dziewczyny.

Elpis drgnęła na dźwięk jego głosu i gwałtownie odjęła dłonie od oczu, kurczowo zaciskając je na pierzynie, a Elf zamarł na widok jej twarzy. Szeroko otwarte, pełne przerażenia oczy były białe, tęczęwki i źrenice miały kolor niemal identyczny jak białka, dodatkowo wzmocniony czymś na podobieństwo mgły, spowijającym je niczym kokon larwę motyla. Włoski tworzące rzęsy sklejała krew, spływająca też po jej policzkach, krew ponad wszelką wątpliwość biorąca swój początek właśnie w oczach. Pistis doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że czarodziejka go nie widzi. Otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Mimo to usiłowała znów zakryć je ręką, ale Elf, działając instynktownie, uwięził jej dłonie w swoich własnych. Przeraziło go ich zimno, jakby trzymał ciało trupa, który dawno już odszedł, albo kogoś śmiertelnie chorego.

Usiłowała się wyszarpnąć, ale nie pozwolił jej na to. Zaalarmowało go to, że kiedy lewa dłoń Elfki się poddała, prawa nadal walczyła. Powodowany przecuciem, zadarł w górę rękaw jej płaszcza. Prawe ramię krwawiło, kłusane i szarpane przez Astarotha, który za wszelką cenę usiłował ukryć się przed tym, przed czym nie było ucieczki ani kryjówki. Kain spojrzał na brązowo-złotego węża z mieszaniną odrazy i lęku.

– Wynos się od niej, nie waż się jej teraz dotykać! Powiedziałem, precz!

Łuski załśniły, a demon poruszył się, budząc się z odrętwienia, po czym zniknął, materializując się na powrót w postaci żywego ogromnego węża o brązowym ciele, złoto cętkowanym na grzbiecie i po bokach, wijącego się w potężnych splotach na środku sali,

zagradzając wszelkim w niej obecnym drogę wyjścia. Człowiek i Wampir odruchowo cofnęli się pod ścianę. Elf, który widział go już wcześniej, tylko przelotnie rzucił na niego okiem, po czym znów przeniósł wzrok na twarz czarodziejki. Elpis przez moment sprawiała wrażenie spokojniejszej, ale trwało to tylko kilka sekund, po upływie których znów zaczęła się szarpać. Krzyk, wrzask, wycie... Nie potrafiła już powstrzymać go w sobie, nadchodził niczym rozpedzony wodospad, nie kontrolowała go.

– Elpis, błagam... – Elf delikatnie odgarnął jej włosy z czoła, zaraz potem znów chwytając jej ręce, które rozpoczęły bezsensowne szamotanienie się. – Błagam...

Był bezradny niczym dziecko. Wiedział, że za chwilę stanie się coś strasznego, że ona znajduje się na skraju wybuchu i że ten wybuch się zbliża, a oni nie mogą zrobić nic, by mu zapobiec. Gorączkowo myśląc, odrzucał jedną ścieżkę za drugą, żadna nie była dość dobra, żadna nie oddalała od nich niebezpieczeństwa, żadna nie potrafiła jej pomóc. Więc zrobił coś, o czym nie myślał i czego nie analizował, ale co pragnął uczynić. Puścił jej dłonie i zamknął całe ciało dziewczyny w uścisku własnych ramion. Znieruchomiała z twarzą tuż przy jego szyi, rozumiejąc nagle, co przegna i unicestwi wrzask. W tej samej chwili on też zrozumiał.

– W porządku, Elpis – przytrzymując ją jedną ręką, drugą odgarnął własne włosy do tyłu.  
– W porządku, naprawdę.

Dziewczyna zaczerpnęła głęboko powietrza, odsłaniając zaostrome kły i nie dając im czasu na jakąkolwiek reakcję, zagłębiła je w pulsującej, nabrzmiałej od krwi żyłce na jego szyi. Elf zadrzał, czując jak spływa na niego nagła słabość, potęgowana kuriozalną mieszaniną przerażenia i błogości, kiedy jego serce niemal nie pogruchootało mu żeber, dostrajając się do szaleńczego bicia jej serca. Czarnoksiężnik, Człowiek i Wampir zamarli, ale zatrzymał ich na miejscach wyciągniętą ręką, nad drżeniem której z trudem panował.

– Jest dobrze... Nic mi nie będzie.

Nie wyglądali na przekonanych, jednak on niemal ich nie widział, bo ściany celi zaczęły wirować mu przed oczami w szalonym tańcu. Elfka piła chciwie i szybko, jakby chciała za pomocą krwi ugasić wewnętrzny ból.

– Spokojnie, proszę cię, spokojnie. Wszystko będzie dobrze, obiecuję...

Uśluchała natychmiast, a rozmyte plamy szarości, w jakie zmieniło się pomieszczenie, w którym przebywali, znów zaczęły przybierać w oczach Pistisa kształty i kolory. Odetchnął z ulgą, starając się uspokoić i wyciszyć, jak najbardziej to w tej sytuacji możliwe i zaszcześcić ten spokój w niej. Delikatnie kołysał ją w ramionach, ledwo świadomy obecności w pomieszczeniu kogokolwiek poza nimi, czując jak jej dreszcze ustępują a czarodziejka zaczyna oddawać uścisk. Już nie musiał z całych sił jej trzymać, by nie szamotała się bez sensu, znów udawało jej się wytrwać jakiś czas bez ruchu, a on widział już, co ją tak przeraziło.

Nagle wszystko stało się jasne i słowa, jakie powinna usłyszeć, same uformowały się w jego głowie.

– Eipils? Słuchaj mnie teraz uważnie, proszę cię. Wiem, co zobaczyłaś i rozumiem. Ale wiem też, że potrafisz to pokonać, bo... – mówienie przychodziło mu z trudem, chciał zamknąć oczy i po prostu poddać się temu, co się działo. – Potrafisz, bo ona potrafiła. A ty jesteś od niej silniejsza. Bo to ty masz nad nimi władzę. Nad Upadłymi. Belial jest jedną z Upadłych, jedną z tych, których pokonasz. Rozumiesz mnie? Zobaczyłaś tylko wspomnienie, odbicie blasku, cień zgrozy, rozumiesz? Potrafisz to odsunąć. Ona wtedy zobaczyła Jego prawdziwe oblicze, a mimo to podźwignęła się. Ma teraz tyle siły, by... mieszać ci w głowie i prowokować walkę. Więc... – zaczerpnęła gwałtownie powietrza, jakby tonąc na chwilę wy dostał się na powierzchnię, ściany znów zaczęły wirować. – Możesz to odsunąć. One się już nie zamkną. Nie dla ciebie, ale... Potrafisz...

Język mu się plątał, oddechu brakło, zapadał się w lepkie objęcia ciemności i ciszy. Zorientował się, że ktoś potrząsa go za ramię dopiero, gdy Elpis oderwała wargi od jego szyi i sycząc wściekle, strzepnęła z niego czyjąś rękę, po czym znów zanurzyła kły w niezasklepionej ranie.

– Ona musi przestać. Teraz! – usłyszał głos Kaina. – Bierze za dużo. Zabija cię!

Rozumiał, że starzec ma rację. Znów podjął wysiłek i spróbował przemówić.

– Elpis, wystarczy, proszę cię... – to był już tylko szept, ale okazał się wszystkim, co było potrzebne.

Dziewczyna natychmiast przerwała i wysunęła się z jego objęć, udało mu się tylko przytrzymać jej dłonie. Nie próbowała ich zabrać, siedziała spokojnie, tocząc po celi rozbieganym wzrokiem, ale kiedy jej oczy znów spoczęły na nim, zatrzymały się, a w jej twarzy odczytał najpierw przerażenie, jakby zobaczyła ducha, a zaraz potem rezygnację i spokój. Patrzyła wprost na niego, ale Pistis był przekonany, że to nie jego widzi. W końcu się odezwała, a dźwięk uformował słowa, nie był wrzaskiem.

– Znam twoją twarz. Wiem, kim jesteś. Wiedziałam, że przyjdiesz. Czekałam. Zjawiasz się za wcześnie. Nie szkodzi. Jestem gotowa... Witaj.

Wyrzucała słowa szybko, jakby obawiając się, że ktoś jej przerwie. Pistis spojrzał bezradnie na Kaina, u niego szukając wytłumaczenia i rady. To że bredziła, było oczywiste. Jednak oblicze starca wyrażało tylko ten sam lęk, co jej twarz. Znów na nią spojrzał. Siedziała bez ruchu, oczy miała szeroko otwarte, głowę lekko przechyloną na bok. Niby była spokojna, ale dla kogoś, kto w każdej chwili mógł wejść do celi, z pewnością wyglądała co najmniej makabrycznie. Jej oczy wciąż były mlecznobiałe, na policzkach wciąż miała niemal już zakrzepłe krwawe ścieżki, a jej usta barwił świeży szkarłat. Nieruchomy wzrok utkwiony w jeden punkt nie wyglądał wcale tego wrażenia. On sam z krwawiącą szyją i z pewnością chorobliwie bladą twarzą nie wyglądał normalnie, chociaż ranę można by pewnie ukryć pod włosami. Złotego węża, wijącego się na środku pomieszczenia ukryć się nie dało, chyba że zdecydowałby się szybko wrócić na swoje miejsce, jednak Elf miał nieodparte wrażenie, że gdyby to od samego Astarotha zależało, wybrałby raczej skok kapłanom do gardeł.

– Elpis... – zaczął łagodnie, ale urwał, spłoszony jej reakcją.

Czarodziejka otrząsnęła się i zatrzepotała powiekami, jakby starając się odpędzić sobie tylko znane koszmary sprzed oczu. Przetarła powieki dłonią, po czym zamknęła oczy, ale niemal natychmiast znów je otworzyła, z wyrazem przerażenia na twarzy, kuląc się w sobie i kurcząc.

– Nic nie widzę. I... – mimo usilnych starań głos jej zadrżał – i nic nie pamiętam.

Człowiek i Wampir obserwowali ją bezradnie, Elf po raz kolejny poszukał wzrokiem pomocy u czarnoksiężnika, znów jej nie znajdując. Przybrany ojciec jego nauczycielki nadal siedział na przeciwnej stronie łóżka, z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Wydawał się być w równym stopniu przestraszony co i w pewien osobliwy sposób zaciekawiony. Kapłan sam był zdziwiony tym, jak łatwo przychodziła mu nienawiść do tego Człowieka. Znów odszukał dłonie Elpis.

– Pani, jesteśmy w klasztorze. Udało ci się przeprowadzić nas przez płomienie, chociaż...

– Nie, to nieważne... – przerwała mu gwałtownie z rozdrażnieniem w głosie, wykonując ręką ruch, jakim odgania się natrętnego owada. – Aż za dobrze pamiętam ogień i to, co się w nim kryje. Nie pamiętam barw i ich odcieni. Nie pamiętam, jak wyglądasz... – pełne strachu, niewidzące oczy spoczęły na jego twarzy. – Jakiego koloru są twoje włosy. I oczy. Zapomniałam...

Sięgnęła ręką i ujęła w palce pasemko jego włosów. Zmarszczyła czoło i westchnęła, usiłując sobie przypomnieć to, co powinno być jasne i oczywiste. Jedynym obrazem, jaki jej

zaszczuty umysł potrafił teraz odbierać był tron ze szkła, rozszczepiający blask gwiazd na tysiące barw, tworzących feerię odcieni, których nie potrafiła nazwać. Czuli ból, jakby ktoś przytknął jej rozżarzone do białości żelazo do twarzy i wypalił dwie dziury w miejscach, gdzie powinny znajdować się oczy. Nie potrafiła zobaczyć nic, sama pozostając doskonale widzialną dla odległego Boga, któremu przed chwilą zaledwie patrzyła prosto w twarz. Wiedziała, że musi wziąć się w garść, bo tu gdzie jest, znajduje się w określonym celu, że strach, który odczuwa, jest w tej chwili jej największym wrogiem, niebezpiecznym niczym kłuszący skorpion, że może zgubić ich wszystkich.

O tym samym myślał jej nauczyciel, przypatrując się usiłującej za wszelką cenę narzucić sobie spokój dziewczynie. Coś poszło bardzo nie tak, żadne z nich nie przewidziało jej reakcji na obrazy, jakie za pośrednictwem płomieni przebudziła Belial. Nie mógł ukrywać jej w tym pokoju długo, najpóźniej za kilka godzin mieli spotkać się z Elohimem i nie mógł odwołać tego spotkania bez wzbudzania podejrzeń, a tych za wszelką cenę chciał uniknąć. Czarodziejka powoli odzyskiwała równowagę, doprowadzenie jej do normalności i stanu, w którym będzie mogła pokazać się najwyższemu kapłanowi bez obaw, że jej wdarcie się na teren klasztoru mimo oporu płomieni zostanie zdemaskowane zajęłoby mu w najlepszym wypadku kilka dni. Nie miał pojęcia, kiedy wróci jej wzrok, ale to było najmniejszym problemem. Nie na darmo wiele dni poświęcili na naukę szermierki i walki wręcz, podczas której przewiązywał Elpis oczy, dążąc do maksymalnego wyostrenia wrażliwości pozostałych zmysłów. Z całą pewnością potrafiła poruszać się, korzystając ze słuchu, węchu i dotyku tak swobodnie, że nikt nie zdający sobie sprawy z tego, co się stało, nie domyśli się prawdy. Nienaturalny kolor jej oczu, zważywszy na to, że przed wejściem na teren świątyni widzieli ją tylko strażnicy, którzy pozostali na zewnątrz, też nie był przeszkodą nie do pokonania. Nikt przecież nie wiedział, jak wygląda jego przybrana córka, mimo iż wszyscy z całą pewnością o niej słyszeli. Jedynymi osobami, które mogłyby ją zdradzić, byli Kelia i jej ocalały z rzezi towarzysz, czarnoksiężnik liczył jednak na uniknięcie ponownego z nimi spotkania, w najgorszym razie na ich milczenie, choćby jako odkupienie długu wdzięczności za ocalenie życia.

Zasadniczy problem stanowiło jej zachowanie. Jego córka mogła mieć mlecznobiałe oczy o nie do końca świadomym spojrzeniu, ale za nic nie wolno mu było dopuścić do tego, by przed najwyższym elfickim kapłanem stanęła istota przerażona, kuląca się w sobie za każdym razem, gdy musi na dłużej te oczy przymknąć. Dziewczyna z wypisanym na twarzy panicznym bólem i lękiem, nosząca tą panikę w sercu niczym zatrute żądło w ranie nie zdoła nikogo oszukać, choćby nie wiadomo z jaką precyzją poruszała się wśród ciemności. Pistis zmierzał w dobrym kierunku, uspokajał ją i wyciszał, ale nie potrafił zabić w niej lęku. Czarnoksiężnik zdawał sobie sprawę, że jest jedna droga, która może okazać się skuteczna. Szok i przekierowanie skrajnych emocji w drugą stronę, znalezienie im innego źródła i innego ujścia.

– Dziecinko, musisz się opanować. Teraz – powiedział to spokojnie, ale stanowczo. – Udało ci się wyrwać płomieniowi, a teraz wszystko zależy od tego, czy kapłani nie odkryją oszustwa. Jeśli nie, odjedziecie stąd bezpieczni, bogatsi o informacje, broń i wszystko, o co poprosicie, w przeciwnym wypadku z pewnością też uda mi się was wyprowadzić, ale brak pojęcia o tym, co was czeka, postawi ciebie i twoich uczniów na przegranej pozycji, a nie zapominaj, że oni są śmiertelni.

Skinęła głową bez specjalnego przekonania. Proces, jaki w niej zachodził, można było przyrównać do powolnego wybudzania się ze śpiączki pełnej koszmarów i cienia. Zbyt powolnego.

– Mój chłopcze, – po raz pierwszy zwrócił się bezpośrednio do Elfa – zanim postanowimy, jakie kroki przedsięwziąć, muszę zamienić z tobą słowo lub dwa. Na osobności.



Pozwolisz ze mną do sąsiedniej celi? Tylko na moment.

W pustych oczach Elpis pojawił się cień podejrzenia. Mimo że trwało to tylko chwilę, zarówno kapłan jak i Kain wychwycili go, a ten drugi wziął za dobry znak. Coś wreszcie zaczynało do niej docierać. Pistis popatrzył na nią niepewnie, a ona ku jego zdziwieniu bezbłędnie odebrała to spojrzenie.

– Tylko, jeśli rzeczywiście chcesz – odpowiedziała na wypisane w nim pytanie, którego nie mogła przecież odczytać. – Nie musisz z nim iść wbrew swojej woli.

– Mimo wszystko nalegam na tą rozmowę.

– Mimo wszystko pragnę ci przypomnieć, że mój uczeń nie podlega twoim rozkazom.

– To nie jest rozkaz. To prośba.

– W porządku – przerwał im Pistis, wstając. – Jeśli nie masz nic przeciwko, pani, chętnie wysłucham, co takiego czarnoksiężnik ma mi do powiedzenia.

– Sam o sobie decydujesz – skwitowała to krótko, wruszając ramionami z pozorną obojętnością.

Elf chwilę czekał, przekonany, że dziewczyna coś jeszcze doda, cokolwiek. Kiedy nic takiego się nie stało, ruszył za Kainem w stronę wyjścia z pomieszczenia. Starzec prędkim krokiem pokonał odległość dzielącą ich od sąsiedniej celi i otworzył drzwi, przepuszczając go przodem, następnie zamknął je za nimi. Nie odezwał się od razu. Podeszedł do okna i dopiero upewniwszy się, że również jest szczelnie zamknięte, odwrócił się w stronę młodego kapłana. Coś w jego oczach nakazywało spuścić wzrok, jednak Pistis nie usłuchał tego niemego nakazu, przywołując na twarz wyraz wystudiowanej obojętności, w tym budynku zarezerwowany zazwyczaj dla zde gustowanego jakimś postępkim swoich podopiecznych Elohima.

– Cóż oznaczało to przedstawienie, którego mieliśmy okazję być świadkami przed klasztorną bramą? – zaczął Kain bez żadnego wstępu, zniżając głos do szeptu. – Efektowne, przyznaję. Ale głupie, impertynenckie i zarozumiałe. Doprawdy, nie rozumiem, cóż takiego sobie właściwie wyobrażałeś i jakie szaleństwo pchnęło cię do tego, żeby... Moja córka nie jest i nigdy nie będzie dla ciebie, ani dla żadnego z was i jeśli ośmielasz się choć myśleć inaczej, to jesteś nie tylko arogancki, ale też głupi.

– Twoje przybrana córka, panie, jest osobą niezależną i sama ma prawo decydować o sobie – odpowiedział, również szepcząc. – Doskonale wiedząc, co oznacza przysięga, którą złożyłem, zaakceptowała ją, więc nie masz prawa negować jej mocy.

– Bo nie pozostawiłeś jej wyboru. Cóż niby miała ci odpowiedzieć? Wstań, głupcze, jesteś śmieszny i żaloszny? Popraw mnie, jeśli się mylę, ale gdyby nie udzieliła ci wtedy swojej protekcji, twój czcigodny Elohim za arogancję i pychę kazałby cię nawłóczyć na pal i wypatroszyć. Ewentualnie w odwrotnej kolejności.

– Moje słowa płynęły z serca i nie były skażone pychą. Przysięgałem, nie żądając wzajemności, w pełni świadom konsekwencji, jakie może przynieść ze sobą ten krok, a Elpis miała prawo odmówić przyrzeczeniu, jednak je przyjęła.

– Zrobiła to tylko i wyłącznie po to, by ratować twoją skórę. Jeśli sądzisz, że istniał jakikolwiek inny powód, jesteś skończonym durniem, a ja razem z tobą, bo to oznacza, że pomyliłem się bardzo, dobierając jej drużynę.

Elf poczuł, jak głęboko w nim zakorzeniony strach usiłuje dojść do głosu, ale nie dał po sobie nic poznać, za wszelką cenę zdecydowany nakazać mu milczenie. Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, musiał wierzyć, że miejsce, które zajmuje, przynależy właśnie jemu i że nic i nikt go z tego miejsca nie usunie, choćby tylko dlatego, że ona się na to nie zgodzi. To już nawet przestało być ważne, czy jest ono naprawdę należne mu tytułem przeznaczenia, poprzez wydarzenia ostatnich dni stało się jego i nawet jeśli jego udział w misji był pomyłką, wiedział, że

nie odda go nikomu.

– Panie, – powiedział, siląc się na spokój – ta, której ojcem się tytułujesz, jest mi droga i uczynię, co w mojej mocy, by...

– Bzdury! – przerwał mu czarnoksiężnik gwałtownie. – Wyrzucasz z siebie słowa, ale nie rozumiesz ich sensu. Nie masz pojęcia, na co się porwałeś. Nie podejrzewasz nawet, co już przebudziliście i co jeszcze możecie uczynić, jeśli się nie zatrzymacie i nie zawrócicie znad przepaści, dopóki to nadal możliwe. Powtarzam ci jeszcze raz i radzę ci od teraz recytować to sobie jak mantrę, jeśli nie chcesz zgubić was wszystkich. Ona nie jest dla ciebie.

Elf otworzył usta, by odpowiedzieć, ale nie zdążył, bo w tej samej chwili ktoś gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwi do pomieszczenia, w którym przebywali. Oboje drgnęli i jak na komendę odwrócili się w ich stronę a kapłan odetchnął z ulgą, widząc w nich Elpis.

– Nie ty będziesz o tym decydował, ojciec – powiedziała ostro, kiedy tylko zamknęła za sobą drzwi. – Dopóki mam siłę, by choćby się czołgać, pójdę dokąd zechcę i uczynię, co zechcę.

Dziewczyna przeszła przez pokój i oparła się plecami o okno, znów zwracając się w ich stronę. Wyglądała niesamowicie z utkwionymi w bliżej nieokreślony punkt gdzieś przed nią, nie potrafiącymi nic dojrzeć oczyma. Na jej twarz nadal jeszcze nie powrócił zwykły spokój, a włosy – rozpuszczone i luźno opadające na plecy – potęgowały wrażenie. Kain pokręcił głową przecząco i przyłożył dłonie do skroni, patrząc na nią z dezaprobatą.

– Doprawdy – mruknął rozdrażniony. – Uczeń godny mistrza. Jeśli idzie o pychę i bezczelność śmiało moglibyście stanąć ze sobą w szranki. Można powiedzieć, Elpis, że masz to, na co zasłużyłaś. Tylko dlaczego mnie los pokarał wami obojwoma?

Twarz dziewczyny nie zmieniła się, a ona sama nie ruszyła się z miejsca.

– Popemiasz błąd, starcze, biorąc pokorę za arogancję, a szczerłość za pozór – powiedziała cicho. – Nie bulwersuj się tak. Jak tylko opuści go szaleństwo i będzie mnie prosił o zwolnienie z przysięgi, uczynię to bezzwłocznie. Do tej pory uznaję jej moc i ty też nie możesz jej lekceważyć.

– Więc od razu zakładasz, że taki moment nadejdzie? – teraz to kapłan zabrał głos. – Przykro mi, że tak nisko cenisz moje słowo i moją stałość. Mam nadzieję, że kiedy dojdziemy do końca drogi, jakikolwiek by on nie był, będziesz miała o mnie lepsze zdanie, pani.

Czarodziejka nic nie odpowiedziała. Kain obrzucił jej postać uważnym spojrzeniem. Jeśli nie liczyć resztek zakrzepłej krwi na twarzy, wyglądała prawie jak dawna Elpis; może i szalona, ale nie śmiertelnie niemal przerażona. Wciąż jednak nie było to tym, czego oczekiwał.

– Wyraźnie zaznaczyłem, że chcę rozmowy na osobności. Ty miałaś pozostać w celi obok – zauważył cierpko.

– Wiem. Zrozumiałam, czego ode mnie oczekiwałeś. Ale nie będę beczynn timeruchać, jak bezpodstawnie znieważasz mojego ucznia. Chyba nie wierzysz, że ta ściana i to, że znizysz głos do szeptu sprawią, że cię nie usłyszę.

– W porządku – rzucił czarnoksiężnik po chwili milczenia. – Świetnie. Porozmawiajmy wszyscy razem. Tego też nie należy odwlekać, bo jeśli wasza dwójka nie zdaje sobie sprawy z szaleństwa, jakie do siebie przyzywa, ktoś musi was w tym względzie uświadomić. Za ciebie Elpis jest mi wręcz wstyd. Niczym bezrozumne niemowlę dałaś się podejść jednej z najprymitywniejszych sztuczek. Zbyt byłaś zajęta zabawą w piastunkę trzech dorosłych mężczyzn i dzieleniem się myślami i krwią z Elfem, by zauważyć niebezpieczeństwo, które wiele razy dawało o sobie znać.

– Kain, przejdź do sedna, ostrzegam cię. Nie będę tego słuchać.

– Ależ wysłuchasz mnie do końca, jeśli chcesz dowiedzieć się, do kogo należy bicie

trzeciego serca, które dziwnym trafem dochodzi do głosu, gdy jesteś blisko niego. Jeśli oczywiście nadal zależy ci na tym, by poznać imię tajemniczego szpiega, który wcale nie jest szpiegiem. Nie uważasz, że to osobliwe – raz go słyszysz, innym razem nie, a kiedy nagle pojawia się nie wiadomo skąd jest tak, jakby był tuż obok, mimo iż go nie widzisz. Któż jest na tyle sprytny, by tak długo zwodzić twoje oczy i uszy i podejść cię niczym niedoświadczonego adepta?

Na wzmiankę o tajemniczym osobniku, którego obecność rzeczywiście wiele razy wyczuwali, ale nigdy nie mogli go dostrzec i pochwycić, na twarzy dziewczyny przez chwilę widoczny był lekki popłoch, szybko zastąpiony obojętnością.

– Ty mi powiedz. Zgaduję, że wiesz.

– Więc nie masz żadnej teorii? – w jego głosie pobrzmiwała jawna kpina.

– Miałam kilka, ale wszystkie po kolei odrzuciłam jako niedorzeczne.

– Niedorzeczne, powiadasz? A czy choć jedna z nich dotyczyła larw astralnych?

Na moment jej oblicze zastygło w niedowierzaniu, ale gdy minął pierwszy szok, Elfka prychnęła z rozbawieniem.

– Nie jest jeszcze ze mną tak źle, bym mogła nosić w sobie larwę i tego nie zauważyć. Poza tym larwa to twór w zasadzie metafizyczny, nie ma własnego ciała, a już na pewno nie ma serca, którego bicie można by usłyszeć.

– Larwa astralna – powtórzył czarnoksiężnik poważnie. – Prymitywna istota utworzona przy nikłym nawet udziale woli przez kogoś w wymiarze, który nie należy do naszego świata, krótko mówiąc zawleczona tu z wizji albo przebudzona podczas rzucania wyjątkowo potężnego czaru przez kogoś, nie mającego pojęcia o tym, co robi. Pasożyt, przyciągany przez negatywne emocje – strach, bezradność, poczucie winy lub po prostu słabość. W tym konkretnym przypadku wasz wspólny pasożyt, żerujący po równi na tobie, jak i na nim.

– Bzdura... – wtrąciła Elfka bez zbytniego przekonania. – Po pierwsze jakim niby cudem wspólny, a po drugie co z sercem, którego nie można by wtedy usłyszeć, bo by go najzwyczajniej w świecie nie było?

– Cóż... Ty mi powiedz.

Dziewczyna potrząsnęła głową i przeszła kilka kroków w nieokreślonym celu tylko po to, by znów wrócić do okna. Wydawała się w tej chwili tak bezradna i poszukująca oparcia, że Elf z trudem powstrzymał pragnienie, by do niej podejść. On również słyszał o larwach nie po raz pierwszy, ale rzeczywiście wiele rzeczy kłóciło się ze sobą i sprawiało, że ta wersja wydawała się nieprawdopodobna. Te twory były tak słabo rozwinięte, że niemożliwe wydawało się jednoczesne zakotwiczenie jednego z nich w dwóch ciałach i zachowanie własnej postaci. Czarodziejka myślała o tym samym, jednocześnie starając się wyzbyć uprzedzeń i usiłując dociec skąd – jeśli w ogóle – mogliby przywołać upióra. Kluczem był moment, kiedy po raz pierwszy zdali sobie sprawę z jego obecności. Pamiętała dokładnie, jak po ucieczce z wizji, w której oglądali Lucyfera, Belial i pierwsze dzieci z nich zrodzone, usłyszeli odległe bicie serca istoty, która wydała im się wtedy nietoperzem lub ptakiem. Zresztą nie zastanawiali się nad tym długo, byli zbyt wyczerpani, a zaraz potem pojawiła się Wilczyca i stworzenie zbiegło. We wnętrza ich ciał, jeśli wierzyć słowom Kaina... Negatywne emocje, które mogły przyciągnąć stwora... Oczywiście, było ich aż nadto. Spotkanie z Lucyferem do przyjemnych przeżyć nie należało, poprzedzająca go rozmowa na temat Klątwy i przeszłości Pistisa też nie.

Jedno nadal nie dawało się w żaden sposób wytłumaczyć. Nawet jeśli przymknąć oko na serce, którego larwa nie posiada, to żeby ją sprowadzić, trzeba najpierw ją spotkać i nawiązać kontakt. Oni widzieli tylko Upadłego i jego wybranek z dziećmi, żadnych metafizycznych bytów, które można by zakwalifikować jako potencjalne larwy. Jako taki kontakt nawiązali z samym

Świetlanym, dostrzegł ich przecież i zmierzał w ich stronę, jednak nedorzeczne byłoby przypuszczenie, że wybrał on podążenie za nimi w tak marnej postaci, jaką jest zależny od żywiciela pasożyt. Poza nim żadna z napotkanych w wizji postaci nie zbliżyła się do nich na tyle, by...

– Zaraz...

Czarodziejka zmarszczyła brwi, a na jej twarzy niedowierzanie walczyło z przerażeniem, kiedy uświadomiła sobie, że znalazła brakujący element. Kiedy przypomniała sobie ciepłe ciało dziewczynki, biegnącej do niej i wtulającej się w jej ramiona. Coś, co nie miało prawa się wydarzyć i czego nie miała prawa poczuć, bo nikt nie potrafił wywoływać wizji, podczas których fizyczny kontakt z mirażem byłby możliwy.

– Lilith... – głos dziewczyny zadrżał lekko i chociaż nie mogła zobaczyć Kaina, w milczeniu potwierdzającego jej obawy skinieniem głowy, wiedziała, że zgadła. – Lilith. Ale jak? Na Boga, jak?

– Zastanawiałaś się, dlaczego tak długo nie wraca, prawda?

– Tak...

Czarodziejka podniosła ręce i nerwowo przeczesła palcami włosy, po czym zakłęła i zacisnąwszy dłoń w pięść, uderzyła nią w kamienną ścianę, na której się wspierała. Zaraz potem, niespodziewanie dla obserwujących jej reakcję czarnoksiężnika i kapłana, roześmiała się niemalże z ulgą.

– Niech cię diabli, Kain. Oczywiście, że tak! Zastanawiałam się, ale nie pomyślałam, że... – przelotnie musnęła palcami własną pierś, tam gdzie biło obce serce. – Cholera, to przecież takie wyraźne... A ja jestem ślepa już od dawna. Larwa... Potrafię usunąć larwę.

– Zaraz, jedną chwilę – przerwał jej starzec. – Po pierwsze Elpis, dowiedziałaś się właśnie, że przeoczyłaś coś niezwykle prostego do zauważenia, więc nie rozumiem twojego entuzjazmu z tego powodu. Sam fakt, że to ja muszę ci to uświadamiać, nie stawia cię jako mistrza w zbyt dobrym świetle, uczuciem bardziej adekwatnym do sytuacji byłby więc raczej wstyd. Po drugie, znów muszę wyprowadzić cię z błędu. Nie potrafisz.

– Ja już to robiłam. To proste. Wystarczy użyć oczyszczenia przez żywioły, by ją odesłać.

– Elpis! Słuchaj mnie! – upomniał ją ostro. – Owszem, potrafisz poradzić sobie ze zwyczajnym prymitywnym bytem bez świadomości i woli. Ale nie taki upiór się w was zagnieździł. Podstawowe pytanie, jakie powinnaś sobie postawić, brzmi: dlaczego zainfekowała was obu? Do przetrwania pasożytowi wystarczy jeden żywiciel, czerpanie z jednej osoby jest zdecydowanie prostsze, kiedy zamieszkała w was, doszło do specyficznego rozszczepienia, już samo to utrudnia jej pobieranie pokarmu, bo by larwa rosła w siłę, musicie znajdować się blisko siebie, dlatego tak wyraźnie słyszycie wtedy bicie jej serca. Jednak wybrała właśnie taki sposób podczepienia się, dlaczego?

Elfka wzruszyła ramionami, a na jej twarzy pojawił się cień podejrzenia.

– Dobrze, poddaję się, dlaczego?

– Może właśnie dlatego – kontynuował czarnoksiężnik ostrożnie – że wiedziała, że nie będziesz wtedy w stanie jej zabić ani odesłać.

Dziewczyna prychnęła z pogardą. Lilith wybierając ukrycie się we wnętrzu ich ciał postąpiła sprytnie, ona sama być może nigdy nie wpadłaby na jej trop, odrzucając tę możliwość, jako zbyt kuriozalną, nawet dobrze jej nie rozpatrzywszy. Teraz jednak, kiedy już wiedziała, nie mogła nie rozumieć, że oto pojawiła się przed nią szansa usunięcia potępionej matki demonów raz na zawsze. Szansa zadania jej ostatecznej śmierci, lub – jeśli rzucone na Lilith przekleństwo okazałoby się zbyt silne – wiecznego uwięzienia jej w Otchłani, gdzie nie będzie już potrafiła im zaszkodzić. Wtedy jej dzieci, pozbawione jej opieki i przywództwa, rozpierzchłyby się po

świecie, skarłały i zapadły w nicość, z której przybyły. Nie wykorzystanie tej szansy byłoby na wskroś głupie i pozbawione sensu.

– To jakieś brednie. Musimy się jej pozbyć, a teraz pojawiła się szansa idealna, ona jest niemal bezradna, uwięziona, moja... Jeśli potrzebny jest do tego rytuał o większej mocy niż oczyszczenie przez żywioły i ty wiesz, co trzeba zrobić, powiedz mi, mistrzu.

– Wiem, dziecinko i potrafię tego dokonać, ale obawiam się, że ty nie potrafisz. Już nie. Zaalarmowało ją coś w tonie jego głosu. Jakieś trudne do uchwycenia drżenie, które sprawiło, że po raz pierwszy w trakcie trwania tej rozmowy naprawdę zatrzymała się nad jej treścią.

– Kain? – nie potrafiła wytłumaczyć, dlaczego szepcze. – Jak zabić larwę uwięzioną w dwóch ciałach?

Jej mistrz milczał, a jej to milczenie wydało się nagle bardziej przerażające od wszelkich słów, którymi mógłby je wypełnić.

– Powiedz mi... – nakazała, przekonana, że to, co usłyszy, nie spodoba jej się. – Pistis, wyjdź stąd, proszę – dodała, tknięta przecuciem, którego nie pojmowała.

Kapłan nie usłuchał, pozostając na miejscu i w milczeniu obserwując rozgrywające się przed jego oczami starcie, podczas którego jego mentorka i jej własny mistrz usiłowali przejrzeć nawzajem własne myśli i uprzedzić ruchy. W końcu to mężczyzna w szarym płaszczu przemówił pierwszy.

– Technicznie to w zasadzie proste. Wystarczy odpowiednio mocno zachwiać równowagą energii, którą pasożyt pobiera, na przykład gwałtownie i w całkiem dla niego niespodziewany sposób umniejszając ją o połowę.

Elfka poczuła, jak w okolicach mostka zaciskają się jej zimne kleszcze, a wszystkie mięśnie w jej ciele napinają się i automatycznie przygotowują do skoku. Wsłuchując się w oddechy Kaina i Pistisa ustaliła miejsca, w których się znajdują.

– Ojciec... Co zamierzasz zrobić? – w tej samej chwili, w której postawiła pytanie, zrozumiała, że zna odpowiedź.

– Czytaj między wierszami, córko.

Odebrała nagły ruch czarnoksiężnika i poczuła, jak lodowate igielki wbijają się w jej ciało na całej długości kręgosłupa. Jej uszu doszedł świst przecinanego stalowym ostrzem powietrza, będący potwierdzeniem najgorszego ze scenariuszy.

Mobilizując wszystkie siły, skoczyła.

\*\*\*\*

Najpierw w ogóle nie poczuła bólu, zupełnie jakby receptory odpowiedzialne za jego odbieranie zanikły w jej ciele, pozwalając jej pełniej odbierać emocję, która brała we władanie wszystko – wściekłość. Dopiero słodko-metaliczny zapach, którego nie pomyliłaby z żadnym innym i gorące strużki, spływające po jej dłoni, kurczowo zaciśniętej na ostrzu i rękojeści sztyletu, upewniły ją, że czarnoksiężnik naprawdę to zrobił i że zdążyła. Zapach jej krwi nie mieszał się z żadnym innym, nie było w nim tak podobnej, a zarazem tak odmiennej nuty charakteryzującej krew stojącego za nią Elfą, więc mimo że udało jej się złapać i zatrzymać ostrze tuż przed jego twarzą, zdążyła.

Poczuła, jak ręka, w której trzyma sztylet, zaczyna drżeć i musiała naprawdę mocno skupić się na tym, by broń nie wyslizgnęła się spomiędzy palców i nie upadła na podłogę. Na to nie mogła pozwolić. Potrzebowała jej. Kapłan coś do niej mówił, ale nie słyszała słów, jedynym, na czym się skupiła, był lekko przyspieszony oddech jej nauczyciela i tętno w jego skroniach, nieznacznie teraz szybsze niż przed kilkoma sekundami. Sama nie do końca rozumiejąc, co właściwie chce zrobić, wyszarpnęła ostrze sztyletu, zagłębione w jej skórze pomiędzy

środkowym a serdecznym palcem prawej dłoni i odwróciła nóż, pewnie chwytając za rękojeść.

Zrobił to. Wściekłość. Była wściekłością.

Poderwała ciało w przód i w kilku skokach pokonała odległość dzielącą ją od Kaina, po czym nie dając mu czasu na jakąkolwiek reakcję, z całych sił wbiła srebrne ostrze w jego brzuch. Broń zagłębiła się po rękojeść, ale czarodziejka nadal nie wypuszczała jej z dłoni. Furia. Była furia.

– Jest. Ważny. Dla mnie – z każdym słowem pogłębiała pchnięcie. – Jest ważny, rozumiesz, głupcze? Bo mogę ci to znacznie jaśniej wytłumaczyć, jeśli to konieczne.

Z ust mężczyzny popłynęła strużka krwi, jego twarz gwałtownie pobladła.

– Nie trzeba... jaśniej. Zrozumiałem...

Dopiero po tych jego słowach Elfka jednym ruchem wyszarpnęła broń z rany i robiąc kilka chwiejnych kroków w tył, odsunęła się, pozwalając czarnoksiężnikowi upaść na posadzkę.

– To dobrze. Nie zadzieraj ze mną, nie zawaham się, przyrzekam. Pistis, wychodzimy – ruszyła do drzwi, w jednej ręce wciąż ściskając sztylet, drugą popychając przed sobą zszokowanego tym, czego właśnie był świadkiem, kapłana. – Wychodzimy, powiedziałam!

Puściła go i również wyszła z celi, po czym zaledwie muskając palcami ścianę, bezbłędnie odnalazła drzwi do tej, w której czekali na nich Farys i Sylwan. Oboje mężczyźni poderwali się na ich widok. Człowiek chciał coś powiedzieć, ale zamarł na miejscu z otwartymi ustami na widok ich twarzy i zakrwawionego noża w jej ręku. Elfka cisnęła sztylet na podłogę. Chwilę stała na środku niewielkiego pokoiku, szybko i płytko chwytając powietrze, po czym jęknęła cicho i zatoczyła się na ścianę. Trójka jej adeptów rzuciła się w jej kierunku, stojący najbliżej Sylwan podtrzymał osuwającą się na posadzkę dziewczynę.

– Co się dzieje, na Boga? – przerażony szept Farysa był jedynym dźwiękiem, który zakłócił ciszę.

Elfka machnęła ręką lekceważąco, nie udało jej się jednak ukryć przed nimi jej drżenia. Była całkiem przytomna, kuciała pod ścianą, zgięta w pół, wodząc wokół nieobecny wzrokiem.

– To normalne. Jestem Elfem, więc odbieram ból, jaki mi zadałam. Zaraz przejdzie...

– Przebiła nożem Kaina – wyjaśnił kapłan w odpowiedzi na pytające spojrzenia dwójki towarzyszy.

– Nic mu nie będzie – rzuciła szybko czarodziejka, uprzedzając będący tuż wybuch paniki. – Widzicie, my... jesteśmy praktycznie nieśmiertelni, przynajmniej tak to w uproszczeniu wygląda. Kiedy się kłócimy, łatwiej nam stracić kontrolę i sięgnąć po... bardziej dosadne argumenty, niż to zwyczajowo przyjęto – jej twarz wykrzywił grymas, będący czymś pośrednim między uśmiechem i bólem.

– Więc czarnoksiężnik?...

– Uzdrowi się. To nic wielkiego, mimo że tak paskudnie wyglądało. Nie chciałam wyrządzić mu poważnej krzywdy, tak jak on wcale nie chciał tak naprawdę zranić ciebie. Zna moje możliwości. Doskonale wiedział, że złapię i zatrzymam sztylet. On chciał... chciał mnie wyrwać z odrętwienia i odsunąć obraz oczu. I udało mu się... – kiedy wypowiedziała to na głos, z całą mocą uderzyło w nią to, co od początku powinno być oczywiste. – Tylko dlaczego, cholera... Dlaczego to tak długo trwa?

Elpis usiadła na posadzce, przykładając dłonie do rozpalonego czoła i znieruchomiła, tchnięta straszliwym przypuszczeniem. Chłodne; jej dłonie były chłodne, a w piersi serce wybijało nierówny, pozbawiony jakiegokolwiek harmonii rytm, przyprowadzający ją o zawroty głowy i mdłości. Rana, którą zadała czarnoksiężnikowi, była głęboka i dla normalnej istoty z pewnością okazałaby się śmiertelna, Kain powinien poradzić sobie z nią w kilka chwil, ale najwyraźniej coś stało na przeszkodzie. Mimo wielokrotnych prób, żadne z nich nie potrafiło

wysłać ani odebrać uformowanych w przekaz myśli drugiego, a zaklęcie chroniące przed mrozem nie działało...

Czarodziejka zaklęła i poderwała się na równe nogi, niemal nie przepłacając gwałtownego ruchu kolejnym upadkiem. Odtrąciła wyciągnięte w jej stronę dłonie Elfa, Człowieka i Wampira, niemal wybiegła z celi i z impetem wpadła do tej, w której zostawili Kaina. Chwilę stała bez ruchu w otwartych drzwiach, nasłuchując oddechu i wietrząc zapach jego krwi, po czym przypadła do nadal leżącego na kamiennej posadzce mężczyzny.

– Dlaczego magia nie działa? Kain, dlaczego? Dlaczego nie potrafię rzucić najprostszego czaru? I dlaczego ty nie potrafisz?!

## Rozdział 12

### Ta, która nie ma nad sobą pana

Siedziała na posadzce, w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą leżał jej nauczyciel, kamienne mury wokół nadal nosiły na sobie szkarłat jego krwi, którą przed kilkoma zaledwie minutami przelała. Obok niej klęczał Farys, ale jego obecność była odsunięta poza obręb jej świadomości, nie do końca zdawała sobie z niej sprawę. Jej twarz zastygła w nieprzeniknionej masce, Człowiek nie wiedział, co powinien uczynić, by zerwać tę zasłonę pozornego spokoju, za którą kryły się emocje. Nie ruszała się, jeśli nie liczyć drżących jak w nagłym ataku febry dłoni, które początkowo usiłowała ukryć, ale zrezygnowała, świadoma, jak bardzo bezskuteczne są to próby.

Ciemnowłosa mężczyzna przykucnął przed nią, zamykając jej rozdygotane dłonie w bezpiecznym kokonie swoich własnych. Nie zareagowała. Człowiek gorączkowo myślał nad czymś, co mógłby powiedzieć, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Suri, mała, roztrzepana Suri, która została w ich rodzinnej chacie, daleka od niebezpieczeństw, z którymi przyszło się mierzyć jej bratu, z całą pewnością poradziłaby mu, by spróbował z nią porozmawiać. O czymkolwiek. Bo czasem nawet beładne słowa potrafią przynieść ulgę i sprawić, że strach choć trochę przestanie boleć. Odchrząknął.

– Spędził tu większą część życia. Te mury otaczały go przez cały czas, poznał je tak dobrze, jak ty znasz każdy kamień Skalistej Warowni twojego mistrza. Jeżeli twierdzi, że potrafi wprowadzić go poza obręb świątyni niezauważony, to znaczy, że tak właśnie jest.

– Wiem – odpowiedziała szybko.

Za szybko. Jakby chcąc przekonać samą siebie.

\*\*\*\*

Nie wierzyła własnym uszom, kiedy to powiedział. Chociaż starzec powtórzył to już po raz drugi, chociaż słyszała słowa i rozumiała ich znaczenie, nadal nie godziła się zaakceptować konsekwencji, jakie ze sobą niosły.

– Jak to: nie działa? Jak? Jakim kurwa cudem nie działa?!

– To miejsce święte, a magia...

– Magia czerpie z mocy żywiołów i z siły witalnej czarnoksiężnika. Żywioły są święte, życie jest święte, magia jest... – zabrakło jej słów, wypuściła dłonie Kaina ze swoich i wplotła palce we włosy, tocząc wokół szklanym wzrokiem.

Leżący na podłodze mężczyzna zakasłał, osłaniając usta. Nie musiał odejmować od nich ręki, by Elfka zorientowała się, że na materiale płaszcz pozostała krew. W jej głowie trwała gonitwa myśli. Coś sobie przypominała, strzępy wspomnień, nie do końca należących do niej, tak że nie potrafiła rozróżnić co jest iluzją, a co prawdą. Błękitne oczy, oślepiające błędne ogniki, jedyne źródło światła pośród bezmiaru czerni za nic nie chcące zniknąć, nie pozwalały jej udreżonym zmysłom skupić się na czymkolwiek poza nimi na czas dłuższy niż kilka sekund. Musiała coś zrobić, teraz, już, cokolwiek, byle tylko nie siedzieć tu bezczynnie i nie umierać razem z nim, czując jak z każdą upływającą minutą braknie jej powietrza a serce zwalnia, coraz bardziej i bardziej, pozostawiając bolesną pustkę w miejscu, gdzie powinien być zdrowy ton.

Zerwała się na równe nogi i pospieszyła w stronę wyjścia z celi, ale zanim udało jej się osiągnąć drzwi, dosłownie zderzyła się ze stojącym tuż za nią Wampirem. Kiedy usiłowała niecierpliwie go wyminąć, po obu jego bokach natrafiła na przeszkody w postaci Elfa



i Człowieka. Pistis chwycił ją za nadgarstki, zmuszając dziewczynę do pozostania w bezruchu.

– Dokąd to? Co chcesz zrobić?

– Chcę zabić – wychrypiała nie swoim głosem. – Idę zabić. Zdobędę miecz i mieczem wyrąbuję nam stąd drogę wyjścia, jeśli magia nie działa. Bo on nie może... Bo nie pozwolę, żeby... Puść mnie!!!

Oparła otwarte dłonie na jego piersi i odepchnęła go od siebie, wkładając w ten cios wszystkie siły, jakie udało jej się w sobie odnaleźć. Zachwiał się i na chwilę wypuścił jej ręce, ale niemal natychmiast chwycił jeszcze mocniej, nie pozwalając czarodziejce odejść. Szarpnęła się i z wściekłością, równą furii niepokojonego we własnym gnieździe drapieznika, natarła na kapłana, dając poprzez ten atak upust rozpaczy, której nie potrafiła wykrzyczeć i przerażeniu, które zataczało wokół niej coraz ciaśniejsze kręgi. Uderzała na oślep zaciśniętymi w pięści dłońmi, bardzo po ludzku i bardzo bezradnie.

Potrzebowała dłuższej chwili, by dotarło do niej, że kapłan usiłuje jej coś wytłumaczyć. Pojęcie sensu słów było jeszcze trudniejsze, ale po pewnym czasie zrozumienie nadeszło. Płatanina podziemnych korytarzy, rzadko teraz używanych, jednak istniejących niczym ponure memento nie do końca chwalebnej historii klasztoru. Całe mnóstwo ślepych odnóg, wijących się niby odnóża monstrualnego owada, kieszenie, w których można się zagubić i nigdy nie znaleźć drogi na powierzchnię. Ale też wyjście, poza teren klasztoru, poza zasięg działania dziwnego pola ochronnego, tam gdzie magia ma prawo bytu. Wyjście, które można bez trudu odnaleźć, jeśli się zna drogę. On znał, więc...

– Dobrze – zgodziła się natychmiast, nieruchomiejąc w jego ramionach. – Dobrze. Ratuj go.

\*\*\*\*

Poruszali się w niemal całkowitej ciemności. Czarnoksiężnik szedł, podtrzymywany przez Sylwana, którego bystre oczy wychwytywały delikatne promienie światła, wpadające tu nie wiadomo zresztą skąd, niemożliwe do uchwycenia przez ułomny ludzki wzrok. Kiedy wszelkie źródło światła zostanie odcięte, nawet drapieznik nie potrafi nic dostrzec. Powoli zbliżali się do osiągnięcia tej granicy. Rozproszone smugi nikły coraz bardziej, a zimno i sącząca się po skalnych ścianach wilgoć upewniały ich, że znajdują się głęboko pod ziemią. Przemykający przodem Elf bezbłędnie odnajdował wielokrotnie pokonywane ścieżki, dla niego brak światła nie stanowił problemu.

– Musimy stanąć. On nie da rady. Musi odpocząć – głos Wampira odbijał się echem od ścian korytarza.

– Znowu? Nie. Nie teraz, już blisko.

– Musimy. Na chwilę. Ona zabije nas i pośle do diabła, a wraz z nami pół klasztoru, jeśli wrócimy bez niego.

Kapłan uśmiechnął się mimo woli, jednocześnie czując się zmęczony jak nigdy w życiu. Nie zdążyli jeszcze zregenerować sił po walce z Trzecim, żaden z nich nie był gotowy na problemy, które spadły na nich zaraz po przekroczeniu bramy świątyni. Każda chwila zwłoki mogła sprowadzić im na głowy strażników, przed którymi nie zdołaliby logicznie wytłumaczyć swojej tu obecności ani stanu Kaina. Pozostałaby więc walka, starcie przeciwko swoim braciom w obronie mężczyzny, którego nienawidził. Westchnął, opierając opuszki palców na wilgotnej skale i przykładając do chłodnego kamienia rozpalone czoło. Przymknął oczy, starając choć na chwilę odgrodzić się od ostatnich zdarzeń, nie myśleć o niczym i nic nie czuć. Próba nie powiodła się, bo w ciszę wdarł się brutalnie atak kaszlu, który wstrząsnął rannym mężczyzną. Elf zaklął pod nosem i w kilku krokach znalazł się obok starca.

– Pijesz krew?

– Co?

– Czy pijesz krew? To proste pytanie. Elpis krew wzmacnia, może udałoby nam się pokonać resztę drogi bez przystanków, już naprawdę niedaleko, ale w takim tempie...

Urwał, słysząc jak charkot, dobywający się z piersi czarnoksiężnika przechodzi w zduszony śmiech, zakończony znów atakiem kaszlu.

– Czy ty właśnie zaproponowałeś mi swoją krew, głupcze? To, że wy dwoje jesteście w stanie dzielić się krwią i przeżyć to fenomen, którego nie potrafię wytłumaczyć, a to, że w ogóle spróbowaliście, było tak nieodpowiedzialne, że nie poznaję własnej, rozsądnej zazwyczaj córki. Gdybym odżywił się w taki sposób i przyjął Twoją ofiarę, zostałbyś tu i nikt nie potrafiłby ci pomóc. Jednak obawiam się, że wówczas Elpis posłałaby do diabła cały klasztor i pół planety. Nie, – dodał po chwili milczenia, której Elf nie przerwał – nie piję krwi.

Po tych słowach starzec odchylił głowę do tyłu i przymknął oczy, jakby zmęczyło go zbyt długie mówienie. Przy tej marnej namiastce oświelenia Pistis ani Sylwan nie mogli zobaczyć nienaturalnej bladości jego twarzy, ale oboje zdawali sobie doskonale sprawę, że czarnoksiężnik bardzo szybko słabnie.

– Możesz umrzeć? – zapytał Elf pod wpływem nagłej myśli. – Naprawdę umrzeć? Tak, by nie powrócić?

Ku jego zdumieniu ciałem Kaina znów wstrząsnął śmiech.

– To byłoby ci bardzo na rękę, prawda? – zapytał cicho. – Jestem jej głosem rozsądku, chroniącym ją przed tobą i przed wiarą w obietnice, które ze sobą przynosisz, a których nie potrafisz spełnić. I nie powiedziałem jeszcze ostatniego słowa. Wkrótce zresztą się przekonasz.

– Nie chcę jej skrzywdzić i nie trzeba jej przede mną chronić – odpowiedział, patrząc na starca z mieszaniną gniewu i pogardy. – To ty uczyniłeś z niej istotę, którą jest teraz. To ty sprawiłeś, że odrzuciła uczucia, wszystkie klasyfikując jako słabość i że gardzi samą sobą.

– Tak, ja – czarnoksiężnik przerwał mu spokojnie. – Zastanów się nad tym. Odrzuć urażoną dumę i uprzedzenia. Zadaj sobie pytanie – dlaczego to zrobiłem?

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć – warknął Elf zniecierpliwiony. – Może jesteś po prostu okrutny? Nie pora teraz na to. Wstawaj. Zamierzam cię stąd wyprowadzić, bo wiem, że Elpis cię kocha i bolałaby nad twoją śmiercią. Idziemy dalej.

Sylwan podźwignął mężczyznę z ziemi, zarzucając sobie na ramiona jego rękę. Pistis ruszył cicho przodem, ale zatrzymał go głos starca.

– Wiem, czego od niej chcesz i nie otrzymasz tego – Kain mówił cicho, posługując się językiem Elfów. – Ona już ofiarowała swoje serce i duszę. Mimo iż teraz tego nie pamięta, przypomni sobie. Jest zaślubiona Ciemności. I Ciemność upomni się o nią i przyjdzie po ciebie, a ona cię nie ochroni, bo to nie jest przysięga, którą można złamać. Nie liczy się to, co teraz czujecie i jak rozpaczliwie będziecie usiłować schronić się przed przeznaczeniem we własnych ramionach. Nie ma w niej serca, które mogłaby ci ofiarować.

Pistis stał nieruchomo, odwrócony do nich plecami, dziękując w duszy, że żaden z nich nie może teraz zobaczyć jego twarzy ani odczytać myśli. Przez chwilę zbierał siły, starając się zapanować nad wzruszeniem, a kiedy był pewien, że głos mu nie zdradzi, odpowiedział w tym samym języku, powoli cedząc słowa.

– Tak. Pragnę twojej śmierci, ale nie teraz. Ona cię potrzebuje, dlatego teraz pójdziesz ze mną i zlikwidujesz tę przeklętą ranę, a potem znów przeprowadzę cię przez lochy i wrócisz do niej. Ostrzegam cię jednak. Jeśli zaraz nie zamilkiesz, powiem jej, że mnie sprowokowałeś, przysięgam.

– Już? – warknął nagle Sylwan przez zaciśnięte zęby. – Skończyliście pogawędkę? Ruszamy się stąd wreszcie? On krwawi. Mocno. To dla mnie dość trudne. Wykonalne, ale

trudne.

\*\*\*\*

– Przysięga, którą Pistis złożył przed klasztorną bramą... – zaczął Farys nerwowo, kiedy już wyczerpał wszelkie tematy, jakie przychodziły mu w tej chwili do głowy, a Elpis wydawała się tak samo roztrzęsiona i coraz bardziej zirytowana jego nieudolnymi próbami. – To nie była przysięga adepta, prawda?

Elfka potrząsnęła głową, a spojrzenie jej mleczych oczu stało się nieco bardziej przytomne. Człowiek uchwycił się tego delikatnego sygnału, że wreszcie coś zaczyna do niej docierać.

– Więc... co to było? Jeśli możesz mi powiedzieć. Jeśli chcesz – dodał szybko.

– Ślub – odpowiedziała tak cicho, że Farys mógłby założyć, że się przesłyszał, gdyby nie jej kolejne słowa. – Wy, Ludzie, nazywacie to małżeństwem.

Jedynym, co zakłócało teraz ciszę, były nierówne tony ich serc i niespokojny oddech czarodziejki. Człowiek na chwilę zapomniał o oddechu. Dziewczyna parsknęła nerwowym śmiechem.

– Wiem. Szaleństwo. Totalny i absolutny obłąd. On oszalał. I ja oszalałam. To niedobrze, że oszalałam. Jestem waszą przewodniczką, powinnam za wszelką cenę zachować jasność umysłu. Ale...

– Nie. Nie o to chodzi – przerwał jej, w pełni świadomy, że plecie bzdury, jednak szok nie pozwalał mu na normalną reakcję. – U nas to wszystko wygląda nieco inaczej. Wydajemy ucztę, zapraszamy jak największą ilość świadków, przywdziewamy najpiękniejsze suknie, tańczymy i radujemy się wspólnie. Poza tym... yyy... tylko on przysięgał. Czy to się w ogóle liczy? Tak naprawdę?

Czarodziejka milczała, jakby nie usłyszała jego słów. Odpowiedziała dopiero, kiedy przestał liczyć na jakąkolwiek odpowiedź.

– Przysięga płynąca z serca ma dla mojej rasy ogromną moc. Jest święta i ważna. Wiem, że u Ludzi obie osoby składają obietnicę w tym samym czasie, ale wy wypaczyliście znaczenie wielu obrzędów i czynów, które dla Elfa są święte. Czy można wymagać od dwóch różnych osób, by w tej samej sekundzie czuły dokładnie to samo? I to w sekundzie wcześniej obmyślonej i zaplanowanej, że to ma być właśnie ta sekunda? To niedorzeczne. Jeśli pytasz o świadków, to wy wszyscy jesteście jego świadkami. Ty, Sylwan, strażnicy. My też radujemy się wspólnie i wydajemy ucztę, ale nie zawsze są ku temu sprzyjające okoliczności, to wszystko. A cóż jest ważniejsze – suknie i uczta czy święta przysięga? Mogę w każdej chwili złożyć własną. Ale mogę też nie składać jej nigdy. Jego obietnica pozostanie wiążąca.

– Dobrze, rozumiem, ale... – nie potrafił się opanować, choć czuł, że nie powinien zadawać tego pytania. – On cię pokochał i jest gotów o ciebie walczyć. A co ty czujesz, pani?

Zadrzała, choć przez szczelnie zamknięte okna nie mógł wdrzeć się do sali żaden silniejszy powiew. Otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Wyglądała trochę tak, jakby ktoś przed chwilą dał jej niespodziewanie w twarz i Farys pożałował, że w ogóle się odzywał i że nie potrafi cofnąć pytania.

– Ja... – głos jej zadrzał. – Ja... Nie jestem godna. Nie zasługuję... Cholera!

Dziewczyna ukryła twarz w dłoniach, a jej ciałem wstrząsnął szloch, nad którym nie potrafiła zapanować. Farys z przerażeniem zorientował się, że czarodziejka płacze. Ukląkł obok, niepewny jej reakcji i objął ją ramieniem. Nie odtrąciła go. W tej chwili nie czuła się potężna ani silna, nie czuła się nieśmiertelną istotą, przepowiedzianą światu jako zarzewie zagłady i upadku.

Czuła się bardzo bezradna i bardzo nieszczęśliwa.

Cholernie szczerze i cholernie po ludzku.

\*\*\*\*

Kiedy w końcu usłyszała ich kroki na korytarzu, chciała poderwać się i biec, ale nie ruszyła się z miejsca. Wstała tylko, uważnie wylaniając z dochodzących do jej uszu odgłosów życia, toczącego się w świątyni, miarowy stukot obcasów butów przybyszów. Troje. Było ich troje. Odetchnęła z ulgą, rozpoznając kroki każdego z nich, dopiero teraz uświadamiając sobie, jak bardzo się bała, że cokolwiek pójdzie nie tak. Ból przestała czuć już dawno, ale nie potrafiła określić, czy ustąpił dlatego, że jej mistrz zdołał uleczyć ranę. Równie dobrze powodem mogła być jego śmierć. Nie była też w stanie powiedzieć, ile czasu upłynęło od momentu kiedy Kain z dwójką towarzyszy opuścili celę.

Mimo całej tej burzy w swoim wnętrzu, kiedy stanęli w progu i zamknęli za sobą drzwi, potrafiła zdobyć się tylko na sztywne skinienie głową.

\*\*\*\*

Nie pozostało im wiele czasu na rozmowę, za dużo go zmarnowali, by teraz zwlekać. Popędzani przez Kaina udali się do łaźni, gdzie zażyli kąpieli i przebrali się w przygotowane dla nich białe szaty z wyszytym srebrną nicią motywem krzyża oplecionego cierniami. Kapłańskie szaty. Być może innych w świątyni po prostu nie było. Mimo że wszyscy przyjęli ciepłą kąpiel i świeżą odzież z wdzięcznością i ulgą, fakt że były to akurat te ubrania wprawiał w zakłopotanie każdego z nich. Wampir, przebrany za elfickiego kapłana, sam sobie wydawał się w jakiś sposób żaloszny i śmieszny, niczym marna karykatura czegoś wielkiego, jak dopiero co oderwany od pracy w polu wałach, próbujący podszywać się pod jednoroźca. Elf nie czuł się godzien przywdziewania szat wyznawców Boga, którego w sercu odrzucił, to było jak jawna kpina, otwarcie rzucone wyzwanie. Elpis czułaby się o wiele swobodniej, gdyby mogła wybierać pomiędzy męską a damską wersją stroju i móc na wzór jej towarzyszy założyć spodnie. Długa do kostek tunika nie krępowała co prawda ruchów, ale mogła okazać się nieco kłopotliwa podczas jazdy konnej. Pozostawało mieć nadzieję, że na drogę kapłani wyposażą ją nieco rozsądniej.

Teraz, kiedy wreszcie, jak zauważył Kain, przestali przypominać bandę wędrownych awanturników, a ich strój przestał budzić zdumienie pośród rezydentów klasztoru, nie mogli już pozwalać dłużej czekać Elohimowi. Prowadzeni przez czarnoksiężnika, zmierzali ku komnatom, które najwyższy mistrz zakonu wybrał jako odpowiednie na to spotkanie. Czarne włosy dziewczyny, splecione były w ciasny, gruby warkocz, kołyszący się w rytm jej kroków niczym wahadło zegara. Pistis długie do połowy pleców kasztanowe pasma również splótł, mimo iż mężczyzna ta zasada nie obowiązywała, a Farys i Sylwan, którym długość na to nie pozwoliła, związali swoje włosy tuż przy karku. Szyja Elfa dodatkowo przewiązana była białym, jedwabnym szalem, kryjącym ślad po ugryzieniu. Kain na widok drużyny jego przybranej córki wznosił oczy do nieba, ale nie powiedział nic. Wiodąc ich za sobą, myślał o trójce nieznajomych, których zgromadził wśród skał Warowni niespełna miesiąc temu; o wrogości, którą wtedy nawzajem do siebie żywili, o ich obawach i niepokojach. Mimo iż wiele z nich znalazło podczas drogi potwierdzenie, trudności wymazały negatywne emocje – ufali sobie i pokładali ufność w czarodziejce.

– Oni myślą, że ostatnie kilka godzin wykorzystaliśmy na sen, nie zapominajcie o tym. Starajcie się wyglądać, jakbyście rzeczywiście spali – upomniał ich po raz nie wiadomo który.

– Tak, jasne. Robi się – mruknął Człowiek, w którym słowa czarnoksiężnika rozbudziły przemożoną chęć ziewania.

Sen... Oczywiście, że go potrzebowali, ale cóż... Po raz kolejny zwyczajnie nie było kiedy.

– Elohim jest najwyższym mistrzem zakonu, podlegają mu każdy kapłan i każda kapłanka – tłumaczył Kain gorączkowym szeptem, starając się odrobić stracony czas. – Zważcie proszę na

to, co robicie i mówicie w jego obecności, ma swoje lata, ale to Elf, nie jest dobrotliwym staruszką, potrafi być groźny i mściwy jako wróg. Elpis, mówię poważnie! – podniósł głos w odpowiedzi na pogardliwe prychnięcie dziewczyny. – Jego słowo jest tu prawem, a jego rozkazów żaden z rezydentów nie podważy. To, że zgodził się osobiście z wami spotkać, najlepiej świadczy o tym, że wiele rzeczy uległo zmianie, a proroctwo, o którym nieliczni pamiętają, zaczyna się wypełniać. Nikt lepiej od niego nie rozumie znaczenia słów przepowiedni i nikt nie potrafi przekazać wam tak wielu wskazówek, na waszym miejscu starałbym się więc jak najdłużej podtrzymać w nim zamiar mówienia i nie zniechęcać go brakiem oglądy czy zbytnią porywcznością. Pistis zna zasady, a wy...

– Wystarczy – ucięła czarodziejka. – Stać jak marionetki z podciętymi sznurkami, nie podnosić głowy, nie patrzeć w oczy, nie zadawać pytań. Mi pewnie wcale nie wolno się odzywać. To jest jakiś obłąd.

– Tobie i mnie wolno przemawiać – tłumaczył cierpliwie mężczyzna. – Zostaliśmy tu zaproszeni i byliśmy oczekiwani. Jednak twoich uczniów wprowadziłaś tu wbrew czyjejkolwiek woli, nie powinni zabierać głosu, jeśli to nie okaże się absolutnie konieczne.

– Obłąd – powtórzyła raz jeszcze.

Czarnoksiężnik westchnął i pokręcił głową z rezygnacją, nie próbując już do niej dotrzeć. Od czasu przejścia przez płomień z każdą mijającą chwilą stawała się coraz bardziej rozdrażniona i niespokojna. Chociaż żadne z nich nie powiedziało tego głośno, oboje znali powód – obraz twarzy o siedmiu tysiącach oczu za nic nie chciał zniknąć i trwał, zatruwając jej myśli i sprawiając ból niemalże fizyczny. Kain dostrzegał to w nerwowych, niekontrolowanych skurczach mięśni jej twarzy, nad którymi ze wszystkich sił, ale z niewielkim powodzeniem starała się zapanować, wyglądać i zachowywać się normalnie, ale nie potrafiła zgasić spalającego na proch jej wnętrza oślepiającego światła. Zobaczyła twarz Najwyższego, oblicze, którego nikt nie miał prawa oglądać i teraz nic już nie wolno było jej ujrzeć.

Jej niepokój udzielał się im wszystkim. Może to moc więzi, stojąca niejako poza regułami, działała, mimo że magia ich opuściła. Dość, że czworo towarzyszących jej mężczyzn potrafiło wychwycić echo burzy, szalejącej w jej wnętrzu. Nie byli w stanie zobaczyć obrazu, który wywoływał w niej tyle skrajnych emocji, ale mogli te emocje odczuć, tak doskonale odbite i wyraźne, że moment, w którym to wszystko znikło, był niczym nagłe urwanie się pieśni, doniosłej i potężnej. Pistis zatrzymał się w pół kroku, zdezorientowany i niepewny co zaszło. Elpis też stała w miejscu.

Odwróciła się w stronę drzwi, które właśnie mijali, niczym kukielka, pociągnięta za sznurki. Stan, w jakim się teraz znajdowała można było porównać do wizyty w dworcu, którego nie było, gdzie przyczajony wśród skał i zagrzebany w ciszę czekał na nią Asataroth. Jednak teraz wszystko było zwielokrotnione. Zew bardzo starej magii, bardzo groźnej i czarniejszej od nocy pozbawionej światła gwiazd i księżyca. Przeznaczona dla jej uszu melodia, w której kryła się obietnica uwolnienia od oczu, triumfalny a jednocześnie żałobny ton, który ją przenikał, paraliżując i wzywając jednocześnie. Bez słowa ruszyła w kierunku drzwi, pozdrawiając niedbałym ruchem głowy pilnujących ich strażników. Dwójka kapłanów, zaskoczonych jej zachowaniem, nie próbowała zatrzymać dziewczyny, kiedy ta pchnęła wrota i weszła do środka. Człowiek, Elf i Wampir nie okazując zdumienia podążyli za nią, a Kain pozostał, usiłując racjonalnie wytłumaczyć przed strażnikami zachowanie swojej przybranej córki.

Pierwszym, co poczuła, był ostry, słodkawy-mdły zapach tysięcy róż, niczym na olbrzymim cmentarzysku, gdzie umarłe kwiaty zdobią grobowce umarłych. Ich woń mieszała się z ciężkim aromatem świeżo spalonych w mosiężnych kadzidłach ziół oraz miodową nutą roztopionego wosku, spływającego z licznych, rozstawionych w różnych miejscach płonących

świec. Sala była pusta, normalnie często przebywali w niej niemal wszyscy rezydenci klasztoru, teraz poza nimi nie było nikogo. Elfka nie wyłapywała oddechu, należącego do kogokolwiek poza jej drużyną, a mimo to mistyczna pieśń bez słów nie urwała się, trwała, nabierając mocy, jak po sznurku prowadząc ją w miejsce, gdzie musiała się znaleźć. Zatrzymała się przed gablota z szkła, jej wyciągnięte ręce natrafiły na zimną ścianę. Zmarszczyła czoło. Po obu stronach szyby trzaskał żywy ogień, płonący w pochodniach, przytwierdzonych do muru. Zew urwał się z chwilą, kiedy dotknęła gładkiej tafli, pozostawiając rozdarcie i niepokój, większy niż przedtem.

– Co jest za szkłem?

Musiała wiedzieć. W tej chwili czuła, że jeśli zburzy przezroczystą ścianę i dotknie tego, co kapłani za nią ukrywają, będzie trzymać w dłoniach cel, dla którego tu przybyła.

– To święte relikwie, pani – usłyszała cichy głos Pistisa. – Cztery miecze przeznaczone dla trzech wojowników.

– Mów dalej – ponagliła go niecierpliwie, kiedy zrobił krótką przerwę. – Proszę.

– Podanie, które przekazywane jest wśród wyznawców Jedyne Boga od wieków głosi, że sama Belial była płatnerzem. Wybiła miecze, kiedy zrozumiała, że nie uniknie gniewu i pokuty za swój grzech. To broń dla dwojga z Aniołów Apokalipsy i dla niej samej. Przełała w nie rozpacz i desperację, wypełniając jej serce, a miecze przyjęły i zapamiętały ból płatnerza. Kiedy wybije godzina i anioły powstaną, chwycą za nie i staną do walki, nikt i nic nie będzie w stanie ich powstrzymać. Jej armia będzie niewielka, ale z jej okrucieństwem i mocą nie będzie się mogła równać żadna z tych, które przeminęły i które nastaną.

– Chcę ich dotknąć – przerwała gwałtownie, przenosząc oczy na twarz Elfa.

Kapłan potrząsnął głową i roześmiał się nerwowo.

– Nie wolno nam. Tylko Elohim ma do tego prawo, niebezpiecznie jest nawet na nie patrzeć, bo ściąga się ku sobie wzrok i myśli Belial. Nie mając kluczy – wielu kluczy – nie przesuniesz szyby, nie niszcząc jej, a nieroztropnie byłoby teraz...

– Dobrze, rozumiem – w jej głosie było rozczarowanie. – Więc mi o nich opowiedz. Dlaczego cztery dla trzech i gdzie jest broń dla ostatniego anioła? Bądź moimi oczami.

– Dziecinko, to nie jest najlepszy pomysł, nie teraz, kiedy mistrz Elohim cię oczekuje. On również może odpowiedzieć na każde twoje pytanie, więc nie ma powodu, by kazać mu na nas czekać.

– Pistisie, proszę – powtórzyła, całkowicie ignorując słowa starca. – Chcę usłyszeć prawdę, by rozpoznać kłamstwo, jeśli zechcą mi je sprzedać.

Elf podniósł wzrok na twarz czarnoksiężnika, odczytując w jego oczach bezwzględny nakaz milczenia i to bardziej niż słowa jego nauczycielki sprawiło, że zaczął mówić.

– Brakuje oręża Nuady, jego broń – Serenti czyli Siewca nie jest jeszcze gotowy. Został wykuty wraz ze wszystkimi, ale aż do czasu, gdy Anioł Zniszczenia nie chwyci za rękojeść, ostrze hartuje się w płomieniach. Jedna z wersji mówi, że Nuada jest najpotężniejszy z trójki i każdy wykuty w normalny sposób miecz rozprysłby się na kawałki pod jego pierwszym ciosem. Nie wiemy, gdzie Siewca czeka na przeznaczonego mu wojownika, jeśli jednak wierzyć słowom legendy, nawet jego odnalezienie nie może przynieść znalazcy nic prócz śmierci, bowiem nikt poza Nuadą nie ma prawa go dotknąć i przeżyć. Z chwilą, gdy godzina wybije, anioł przebudzi się i odnajdzie swoją broń, a kiedy po raz pierwszy zada nim cios, proces powstawania i umacniania się mieczy zostanie zakończony, rozbrzmi dźwięk trąb i rozpocznie się upadek i koniec świata, jaki znamy. Jednak ta legenda nie jest do końca zrozumiała nawet dla kapłanów objaśniających znaczenie słów Świętej Księgi. Aby miecz nabrał mocy, użyty po raz pierwszy nie zada śmierci, lecz przyniesie życie. Nie potrafię ci tego wytłumaczyć, wybacz.

– W gablocie znajdują się pozostałe. Fulgur i Tonitril, czyli Piorun i Grzmot, bliźniacze

miecze, właściwie trafniejsze wydaje się nazwanie ich długimi saksami, broń dla Apollyona, Anioła Czełości. Unguem, zwany Szponem lub Pazurem, ciężki dwuręczny miecz dla Samaela, Anioła Śmierci oraz Mnemozyna, lekki jednoręczny miecz samej Belial. Ona jako jedyna posiada wyrytą na kłindze inskrypcję, której również nie jestem w stanie wytłumaczyć – Naprzód, w jądro własnych lęków. Tam, gdzie śmierć ich nie dosięgnie – Może to jakieś zaklęcie, nie wiem.

Elpis z tęsknotą, której nie potrafiła zrozumieć ani nazwać, przesunęła opuszkami palców po gładkiej tafli. Mnemozyna – Pamiętka, Wspomnienie, Przypominajka... W jądro lęków...

– Jesteś pewien? – odwróciła się w jego stronę. – Jakich ich? Może raczej mnie, albo nas? To trochę bez sensu.

– Ich – powtórzył. – Potrafię to odczytać, choć tego nie pojmuję.

Czarodziejka poczuła przemożoną chęć, by roztrzaskać szkło i poczuć w dłoni chłodną rękojęść. Z wysiłkiem oderwała rękę od szyby, czując jak jej palce wbrew jej woli napierają na zaporę, stanowiącą granicę pomiędzy nią a tym, czego pragnie. Zamieszanie, które wywołałaby z pewnością, jeśli urzeczywistniłaby swój zamiar, naprawdę było ostatnim, czego teraz potrzebowali. Zmusiła się do uśmiechu.

– Wybaczcie. Nie wiem, co mi się stało. Chodźmy. Ojciec...

Kain skinął głową z wyraźną ulgą i ruszył w kierunku wyjścia z sali, a Elfka pewnie podążyła za dźwiękiem jego kroków, pozostawiając legendarne oręża poza sobą. Być może sprawiła to dziwna mieszanka zapachu kwiatów, roztopionego wosku i dymiących, świeżo spalonych ziół, ale świat wokół niej zdawał się zataczać koła, echo uderzeń obcasów o posadzkę na przemian to zbliżało się do niej, to od niej oddalało. Ku wyjściu zmierzała z niechęcią, jakby jakaś część jej świadomości wiedziała, że nie tylko miecze były powodem, dla którego się tu znalazła, było jeszcze coś, zgroza, która mieszkała gdzieś tu, w tym pomieszczeniu. Pytania, na które odpowiedzi strzegło zazdrośnie czarne sukno, wyryte na drewnie tablice, na których ktoś, kogo dawno już nie ma wśród żyjących, utrwalił tajemnice, których prawdziwy sens zatracił się pośród niejasnych domysłów.

Kiedy znów się zatrzymała, czując jak paraliżujący ruchy strach powoli wypełnia jej ciało, było to tak nagłe, że sama potrzebowała chwili, by zrozumieć, że stoi w miejscu. Potrafiła wychwycić zdenerwowanie i zniecierpliwienie jej mistrza, ale nie miało ono dla niej najmniejszego znaczenia. Podążyła za głosem, który wzywał ją bez słów, z wyciągniętą przed siebie dłonią, w każdej chwili gotowa natknąć się na przeszkodę, przy której powinna się zatrzymać.

Miękki materiał, czarny niczym noc, okrywający przewyższającą ją wielkością bryłę. Niecierpliwie chwyciła sukno w dłonie i pociągnęła, odsłaniając drewnianą płaskorzeźbę, po czym odrzuciła zasłonę, starając się dłońmi wyczuć fakturę i kształt drewna.

Oczom jej towarzyszy ukazał się krzyż, taki sam jak ten stanowiący główny motyw wzorów wyszytych srebrną nicią na kapłańskich szatach, które poza Kainem każdy z nich nosił, ale nie było na nim róż ani cierni. Był Człowiek, przybity do drewna, z głową zwieszoną na piersi, niemal bez życia. Ale nie on był najbardziej przerażający i nie od niego pochodziło wezwanie, które ją tu przywiodło.

U stóp krzyża ktoś był. Młoda kobieta, której włosami bawił się wzmagający się z każdą chwilą wiatr, z wściekłą pasją chłoscząc ciemnymi pasmami niczym tysiącem długich, cienkich biczów. Kobieta patrzyła wprost w twarz nieznanego, ale nie dostrzegała jej, bo obraz zamazywał strach i bezradność. Już dawno przestała rozglądać się wokół w poszukiwaniu ratunku, wiedząc, że go nie znajdzie. Elpis zadrzała, jakby lodowaty powiew wiatru ze sceny, która rozegrała się i umarła tysiące lat temu, mógł jej dosięgnąć.

– Dlaczego ona go nienawidzi? – zapytała cicho, gwałtownie odrywając dłonie od drewna.

Kain korzystając z okazji porwał z posadzki czarny materiał i zarzucił go z powrotem na rzeźbę, a kapłan zamarł, zaskoczony. Spodziewał się raczej pytania o umierającego na krzyżu Boga.

– Słucham?

– Dlaczego go nienawidzi? Co to w ogóle jest? I dlaczego było zakryte?

Dziewczyna czuła jak jej lęk z każdą chwilą się powiększa. Tu, w klasztorze spodziewała się odnaleźć spokój i wyciszenie, a od samego początku ich wizyta przebiegała wbrew jej oczekiwaniom. Od chwili spotkania wysłanników Elohima aż do teraz wszystko było nie tak...

– To nie nienawiść – zaprotestował Elf. – Raczej rozpacz. Ja również nie rozumiem, dlaczego jest zakryte. Elpis, słuchaj mnie teraz uważnie, wiele rzeczy nie wygląda tak, jak je zapamiętałem, jest inaczej, kapłani są zastraszeni, mam wrażenie, że...

– Zamilcz! – syknął ostrzegawczym szeptem Kain, ruchem oczu wskazując mu drzwi, przez które dostali się do środka.

Elfka już miała ostro zaprotestować i nakazać kapłanowi, by mówił dalej, ale zaalarmowało ją coś w głosie nauczyciela. Jakaś ledwo uchwytna nuta, która zmuszała do podporządkowania się jego woli. Pistis spojrział w kierunku wskazanym przez czarnoksiężnika i znieruchomiał, a jego twarz zastygła w wyrazie sztywnej obojętności, którą ze wszystkich sił starał się zamaskować niepokój i nieufność.

Teraz i ona zrozumiała. Starając się odnaleźć przyczynę zachowania jej ojca, zauważyła to, co do tej pory jej unikało. Cichy stukot butów, oznaka, że zbliżają się do nich trzej przybysze. Kain i Pistis z daleka rozpoznali najwyższego kapłana o srebrzystych włosach, w białej szacie wyszywanej srebrną nicią. U jego boków podążały dwie ubrane na czarno Elfki. Kapłani zdawali się płynąć, ledwo muskając stopami podłogę.

– Witaj, czcigodny – czarnoksiężnik pozdrowił Elfa i skłonił się, przesadnie zamiatając płaszczem posadzkę.

Elf, Człowiek i Wampir poszli za jego przykładem, a Elpis, zbyt teraz zaaferowana, by myśleć o zwyczajowym powitaniu, domyśliła się, co ma robić, właśnie po odgłosie szurania szat po kamieniach, w duszy wznosząc oczy do nieba i powstrzymując uśmiech, również skłoniła się nieznanemu.

– To zaszczyt powitać w sercu świątyni Pana, któremu służę, osoby powołane by stać się wykonawcami Jego woli. Jakkolwiek boleję nad zadaniem, które wam powierzono i nad tym, że jego wypełnienie dokonać się musi w czasie mojego życia, udzielę wam wszelkiej pomocy – mężczyzna oddał pokłon. – Chciałbym jednak wiedzieć – jego głos nieco przycichł i dał się słyszeć w nim niezbyt starannie ukrywany wyrzut – cóż robicie w tym właśnie miejscu? Zostaliście zaproszeni i jesteście moimi gośćmi, wolno wam udać się dokądkolwiek chcecie, ale to nieroztropnie błędzić tu samotnie. Z chęcią przydzielę wam przewodnika, jeśli chcecie.

– Panie, – przerwała mu Elpis spokojnie – jeden z moich uczniów jest kapłanem, wychował się w tym miejscu, nie potrzebuję innego przewodnika, ufam mu bezgranicznie.

– Rozumiem. Więc do tej właśnie sali przywiodło was...

– Piękno, panie. Nie mogłam się oprzeć, by nie zobaczyć kwiatów, poczuwszy uprzednio ich zapach.

– Kwiaty, tak... – uśmiechnął się Elohim. – Białe róże są Mu poświęcone, symbolizują czystość, a pąki róż rozkwitające wśród cierni, które wciąż jeszcze są naznaczone kroplami Jego krwi, to triumf nad śmiercią, którą On pokonuje. Więc utrzymujesz, że poza tym nie wydarzyło się nic, o czym powinienem wiedzieć.



– Nic, panie – skłamała bez zająknięcia. – Kwiaty są i nadal pozostają jedynym, co sprawiło, że nie dotarliśmy do twoich komnat na czas.

– Przyszedłem tu, gdyż strażnicy uznali wasze zachowanie za osobliwe i obawiali się, że możecie potrzebować pomocy, jeśli jednak alarm był fałszywy, nalegam byśmy udali się teraz w spokojniejsze miejsce, gdzie będziemy mogli porozmawiać, nie niepokojeni przez nikogo. Tu wkrótce zrobi się bardzo tłoczno.

Elpis już miała zgodzić się na jego propozycję, gdy usłyszała, że zbliża się ku nim ktoś jeszcze. Dwoje nowych, sądząc po częstotliwości i sile kroków kobieta i mężczyzna. Kiedy nieznajomi zatrzymali się przed nimi i kapłanka nachyliła się, by wyszeptać kilka słów do ucha swojemu kapłanowi, czarodziejka rozpoznała głos Keli, dziewczyny z warkoczem, jednej z nielicznych osób, które mogły ją zdemaskować. Szybko opuściła oczy, niepewna, jak wiele zdążyli zobaczyć, jednak słowa Keli nie niosły ze sobą żadnego zagrożenia.

– Wybacz, że niepokoimy, czcigodny – towarzysz dziewczyny przekazał je Elohimowi. – Moja pani pragnie osobiście podziękować czarodziejce za ocalenie życia.

– Oczywiście, ma takie prawo. Zaczekamy.

W kolejnych słowach, skierowanych już do samej Elpis, młoda kapłanka prosiła ją, by się z nią oddaliła. Czarodziejka usłuchała, zauważając jednocześnie z niepokojem, że kroki, za którymi podąża, należą tylko do jednej osoby. Nie chciała zostawiać swoich uczniów z obcym kapłanem, który również mógł wiele powiedzieć na temat jej zmienionego wyglądu, ale nie mogła teraz zawrócić bez wzbudzenia uzasadnionych podejrzeń. Zaciśnęła zęby i skupiła się na miarowym dźwięku obcasów, stukających o kamienie. Z ulgą przyjęła to, że nie odeszły daleko, tylko tyle, ile było konieczne, by mężczyźni nie mogli usłyszeć ich cichych głosów. Kapłanka zatrzymała się i zbliżyła do Elpis. Pochyliła się ku niej i czarodziejka usłyszała cichy, pospieszny szept tuż przy swoim uchu.

– Ja dziś tu umrę, ale wy stąd odejdziecie. Nie mam czasu, by tłumaczyć. On jeden z całej mojej drużyny ma szansę przetrwać, dlatego chroń go pani, bo ja nie potrafiłam. Wbrew wszystkiemu powierz potępionej i pozostań wierna wyborowi. Nie wahaj się i nie żałuj, a klucze nie będą potrzebne. Przysięgnij...

– Przysięgam... – wyszeptała równie cicho, nie pojmując sensu słów, jednak rozumiejąc jedno – Kelia była po ich stronie i usiłowała im pomóc.

Kiedy tylko złożyła obietnicę, kapłanka dotknęła jej dłoni, a Elpis poczuła, jak dziewczyna z warkoczem wsuwa coś w jej otwartą rękę. Zaciśnęła palce, rozpoznając fakturę wielokrotnie złożonej kartki papieru.

– Nie potrafię tego odczytać. Moje oczy...

– Wiem. Zachowaj. To na dalszą drogę. Kiedy będzie po wszystkim, pomoże zrozumieć.

Po tych słowach Kelia prędko odsunęła się od niej, skłoniła się i odeszła, równie spokojna i obojętna jak zawsze, zostawiając Elpis zdezorientowaną, pewną tylko tego, że jej przypuszczenia są słuszne. W klasztorze coś im groziło, tylko co? I jak z tym walczyć? Tym bardziej jednak ważne było zachowanie pozorów, za nic nie wolno było jej zdradzić się ze swoimi domysłami przed Elohimem. Wewnątrz pełna jak najgorszych obaw, zewnętrze opanowana i spokojna, wolnym krokiem ruszyła ku osobom, które przed chwilą opuściła.

\*\*\*\*

Kiedy zajęli miejsca pod licznymi, płonącymi żywym ogniem pochodniami, zawieszonymi na ścianach, ktoś postawił przed nimi puchary, wypełnione – jak Elpis rozpoznała po zapachu – winem i krwią. Skupiła się, wyłaniając spośród słodkawego bukietu charakterystyczną lekko metaliczną nutę i zanim sięgnęła ręką, precyzyjnie określiła miejsce, gdzie musiał znajdować się przeznaczony dla niej kielich. Siedzący po jej lewej stronie Pistis

ułamek sekundy przed nią podniósł naczynie z zamiarem oddania go dziewczynie, w efekcie czego jej wyciągnięta ręka zderzyła się z jego dłonią, trącąc puchar, a kilka kropli rozprysło się na srebrnej tacy i posadzce, rozkwitając na kamieniach niczym szkarłatne kwiaty. Przez twarz dziewczyny przemknął nerwowy grymas, ale prędko zamaskowała go przepraszającym uśmiechem, po czym już bezbłędnie odebrała kielich z rąk Elfa.

– Dziękuję – powiedziała głośno, lekko skłaniając przed nim głowę.

*Nadal mam sztylet, którym zraniłam Kaina. Zrób to jeszcze raz, a przybiję ci nim dłoń do ławy, przysięgam. Ja sobie poradzę, a ty nie pomagasz.*

Wysłała przekaz, dopiero po chwili przypominając sobie, że jej myśli nie mają tu swobodnego dostępu do jego głowy. Swoją drogą, to byłoby na dłuższą metę nie do zniesienia. Jakim cudem Ludzie mogli naprawdę się rozumieć, jeśli nie potrafili przekazywać sobie tego, o czym myśleli? Lekko zanurzyła usta w ciepłym płynie, upijając zaledwie niewielki łyk. Jej kły odpowiedziały natychmiast. Zaniepokoił ją obcy smak, jednocześnie cierpki i słodki, jakaś ledwo uchwytna nuta, której nie posiada normalna krew, niezależnie od tego, czy pochodzi od Człowieka, Elfa, Wampira czy Wilka. Po chwili zrozumiała, ale wytłumaczenie wcale jej nie uspokoiło. Dziwne zioła, o których wspominał Pistis, te które pomagają zabić senność i zmęczenie. A może zupełnie inne, o zgoła odmiennym działaniu? Tak czy inaczej wołałaby, żeby wcale ich tu nie było, nie w krwi i winie, które podano im do picia. Żałowała, że nie potrafi ostrzec swoich towarzyszy, nie wzbudzając podejrzeń. Zioła mogły nie oznaczać nic, ot zdaniem kapłanów bardzo stosowne wzmocnienie przed czekającą ich drogą, w którą wyruszą jeszcze pewnie dziś, ale mogły też stanowić zapowiedź problemów.

– Zwyczaj nakazuje spełniać do końca powitalny toast, córko – zauważył Kain, kiedy usiłowała odstawić na tacę ledwo napoczęty kielich.

– Wybaczcie, nie potrafię skupić myśli – odpowiedziała, cofając rękę wraz z naczyniem i zawieszając spojrzenie mlecznych oczu na twarzy swojego nauczyciela, opróżniła kielich, po czym odstawiła go z powrotem. Po dźwięku wydawanym przez odkładane na tacę pozostałe puchary wywnioskowała, że jej uczniowie, a także Kain i Elohim poszli w jej ślady, ich naczynia również były puste.

– Nie uszło to mojej uwadze – przemówił najwyższy kapłan, a w jego głosie rozdrażnienie przeplatało się z rozbawieniem.

Elpis zamilczała te słowa.

– Tyle wątpliwości czeka na to, by je rozwiązać – mruknęła wymijająco.

– Tak – pochwycił Elohim. – Kiedy tylko twój mistrz czarodziejko zrozumiał, że kierujesz ku niemu swoje myśli, uznał, że najbezpieczniej będzie, jeśli spotkanie, do którego nie powinno dojść, odbędzie się na terenie klasztoru, gdzie magia, również ta groźna, która podąża waszym tropem, nie ma wstępu. Wybacz tę niedogodność, zaraz za progiem świątyni wasze moce powrócą. Nie zależy to ode mnie i nie potrafię cofnąć pieczęci, nałożonej przed moim narodzeniem przez któregoś z moich poprzedników. To odwieczne prawo, magia i wiara stoją na przeciwnych biegunach ogromnego wahadła, przebywając na jednym z nich, nie można jednocześnie znajdować się na drugim, dlatego kapłani pozbawieni są kontaktu z mocami, które ich przerastają i nad którymi na dłuższą metę nie są w stanie zapanować.

– Sami nie. Jednak każdy młody adept pod kierunkiem doświadczonego nauczyciela stoi przed wielką szansą i bezmiarem możliwości. Jeśli tylko nauczy się samokontroli, zaufa i pozwoli się prowadzić i kształtować swojemu mistrzowi, nie zagraża mu niebezpieczeństwo – wtrąciła Elfka z uprzejmym uśmiechem. – To odwieczne prawo, respektowane wśród istot takich jak my, każdy nowicjusz ma przewodnika, który uczy go harmonijnego współistnienia z jego darem. Nie zamykamy adeptów w hermetycznym środowisku, nie uczymy ich ucieczki od

problemów, ale stawiania im czoła.

– Dziecinko, to nie jest w tej chwili istotne – przerwał jej Kain łagodnie, ale w jego głosie dało się słyszeć nerwowe drżenie. – Wiem, że chciałaś porozmawiać, że masz pytania. Teraz jest czas, by pytać. Nie powinniśmy się więcej spotykać ani kontaktować w jakikolwiek inny sposób do czasu wypełnienia waszej misji, więc słucham.

– O tak, mam wiele pytań. Jednak w ich sformułowaniu trochę przeszkadza mi fakt, że wielu jeszcze rzeczy nie rozumiem, gdyż kilka istotnych kwestii najwyraźniej nie miało zbyt dużego znaczenia w chwili, gdy opuszczaliśmy Skalistą Warownię i rozstawaliśmy się po raz pierwszy. Nie znajduję innego wytłumaczenia faktu, że wówczas ich nie poruszyliśmy. Może najlepiej więc będzie, jeśli zaczniemy od miejsca, kiedy uznałeś, że o pewnych drobiazgach, jak na przykład trzech potężni aniołowie, których nie da się zabić, a którzy mają doprowadzić do śmierci jeźdźców, nie ma sensu wspominać?

– To może ja? – wtrącił Elohim, udając, że nie dostrzega jadu, którym nasączona była jej wypowiedź. – Trzej wojownicy zagłady, nieujarzmione bestie, powołane do życia przez Belial i tylko z jej ręki; swojej matki i mistrzyni, mogące zginąć.

– Synowie Belial i Lucyfera?

– Nie. Nie w takim sensie jak na przykład Adam. W tym przypadku to sama Belial, bez wiedzy i udziału swojego przeklętego małżonka stworzyła swoją armię. Nie są jej biologicznymi dziećmi, fizycznie nigdy nie byli dziećmi, użyłem tu sformułowania matka, bo wszystko, co posiadają i potrafią, pochodzi od niej. Przełała w ich serca część siebie, obdarzając ich jednocześnie wolną wolą, by mogli ukryć się przed wzrokiem Boga, kiedy ona nie będzie w stanie ich osłonić. Zazwyczaj uważa się, że to Lucyfer był tym świadomym zbliżającym się dnia gniewu Pana, że najdłużej jak tylko potrafił ochraniał swoją ukochaną przed poznaniem beznadziei ich położenia. Właściwie jest to prawda. Belial, jego córka, która przybyła do niego i Barbelo spoza granic Wszczęświata po to, by stać się jego kochanką, była słabością i zgubą Świetlanego. Od samego początku ukochał ją ponad wszystko inne. Fascynowała go i przyciągała, wielbił jej złożoność, jej rozdarcie na granicy dobra i zła, jej niedoskonałość, którą później przełała w dusze ich dzieci. To ona była jego główną troską i obsesją, wybrał więc utrzymywanie jej w nieświadomości co do przyszłych, nieuniknionych losów planety, w którą tchnęli życie. Ale Belial nie była ślepa.

– I nie pozostała bierna. Rozumiała, że nie potrafi stanąć do otwartej walki przeciw Bogu i wyjść z niej zwycięsko. Ale to nie sprawiło wcale, że postanowiła złożyć broń. Działając w tajemnicy, z której nie zwierzyła się nawet Lucyferowi, wykuła oręż dla swojej armii i dla siebie samej. Pięć mieczy, z których cztery znajdują się w naszej świątyni i które z pewnością miałaś okazję zobaczyć. Ostatni miecz – Serenti – jest najważniejszy, bo cios nim wyprowadzony rozpocznie wszystko lub wszystko zakończy. Wiąże się z nim legenda...

– Tak, wiem – przerwała mu. – Dotknąć go i pozostać żywym może tylko Nuada, ale nie wolno mu zadać nim śmierci, pierwsze cięcie miecza musi nieść ze sobą życie. Co to znaczy?

– Tego nie wiemy. Nie wiemy też, gdzie szukać miecza, bo tylko Nuada ma prawo go odnaleźć, kiedy nadejdzie czas. On jeden będzie wiedział, co robić. A kiedy wyprowadzi cios i przebudzi serce miecza, serce Belial odpowie, budząc Samaela i Apollyona. Ona sama nazaczy swoich dwóch ostatnich wojowników i przydzieli miecze. Dlatego nikt nie może ich odnaleźć, zanim czas się nie dopełni. Razem, połączeni, będą stanowić armię, na której drodze nikt śmiertelny ani nieśmiertelny nie ośmieli się stanąć.

– Dobrze, rozumiem. Stworzyła ich po to, by rzucić wyzwanie samemu Bogu, najwyraźniej więc nie w celu, jaki określa dla nich przepowiednia. Nie po to, by zniszczyć Ziemię, ale by ją chronić. Co więc poszło nie tak? Dlaczego wszystko jest na odwrót?

Elohim uśmiechnął się, jakby właśnie padło pytanie, na które czekał od dawna, a Elpis z pewnością zaalarmowałaby jego uśmiech, gdyby mogła go dostrzec.

– Czy naprawdę uważasz czarodziejko, że cokolwiek może ukryć się przed wzrokiem siedmiu tysięcy oczu? Że ktokolwiek, nieważne – anioł czy demon, może choćby pomyśleć o podjęciu walki z naszym Panem i łudzić się, że ta myśl już do Niego nie dotarła? On jest w każdym miejscu, pozostając niewidzialny dla istot, które obserwuje. Próba wzniesienia rebelii w Jego własnym królestwie była skazana na porażkę zanim Belial po raz pierwszy uderzyła w rozgrzane żelazo, by wykluć pierwszy z mieczy. Stworzyła trzech niezwycięzonych tytanów, przekazała im wszystko, co sama wiedziała i potrafiła, obdarzyła ich potęgą równą swojej i choć to nie miało prawa się udać – podarowała im skrzydła. W chwili, gdy Bóg ostatecznie strącił Siedmiu, jej praca była zakończona, a tajemnica o niej nadal zazdrośnie strzeżona. Kiedy Lucyfer wybrał i udał się na banicję wraz ze swoimi poplecznikami, nie podejrzewał nawet, że Belial pozostawiła tak potężną broń w miejscu, gdzie sama nie potrafiła pozostać.

– Mimo to Bóg wiedział. Ich odnalezienie nie było trudne, zniszczenie i pozbycie się raz na zawsze trzech aniołów, po raz pierwszy pozbawionych protekcji swojej stworzycielki, również mieściło się w zakresie Jego możliwości. Postąpił jednak inaczej, nie ścigał ich, pozwolił im odejść w złudnym poczuciu bezpieczeństwa, pozwolił im ukryć się i czekać na wezwanie, które nadejść miało, kiedy tylko strącona córka Lucyfera odzyska siły. Elpis – dziewczyna drgnęła, kiedy kapłan po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu – czy zgodzisz się porozmawiać ze mną na osobności o tym, co stało się potem? To długa historia, a wśród nas jest Człowiek, w którego odwagę i oddanie nie wątpię, jednak zgodzisz się chyba ze mną, że blade, głodny i zmęczony jak w tej chwili nie na wiele przyda się w dalszej drodze. Sen po długim wysiłku działa cuda, ale nie zawsze jest wystarczający. Czy pozwolisz, by twoi uczniowie udali się do sali, w których czeka na was poczęstunek? Nie ma potrzeby nużyć ich długimi mowami.

– To również ich misja, mają prawo usłyszeć wszystko, co może ocalić ich życie w czasie jej trwania – zaprotestowała gwałtownie.

Zdawała sobie sprawę, że słowa Elohima są słuszne, porządny posiłek był im teraz bardzo potrzebny. Jeśli wzięło się pod uwagę jeszcze to, że czas przeznaczony na sen spędzili szalejąc z niepokoju i przedzierając się podziemnymi lochami, w każdej chwili obawiając się zdemaskowania i może śmierci, stawał się absolutnie niezbędny, ale... Nie ufała, a ostrzeżenie Kelii utwierdziło ją w przekonaniu, że ma słuszość.

– Wszystko możesz im przekazać, kiedy już wyruszyacie, a oni siedzieć będą wygodnie w siodle lub na końskim grzbiecie, nie muszą tkwić tu, ledwo utrzymując się na nogach tylko po to, by za wszelką ceną dowieść swojego oddania i wierności. Przecież ufacie słowom swojej mistrzyni, prawda?

Kiedy zwrócił się wprost do jej drużyny, Elpis zakłęła w duszy i zacisnęła dłonie w pięści. Na tak zadane pytanie adept mógł udzielić tylko jednej odpowiedzi.

– Każdemu słowu, teraz i zawsze – usłyszała cichy, pełen nerwowego napięcia głos Elfa.

– Wolalabym jednak, by drużyna się nie rozstawała.

Uważała, by jej głos zabrzmiał swobodnie i lekko i chyba udało jej się osiągnąć efekt, chociaż wewnętrznie wszystko w niej krzyczało. Nie powinni oddalać się od niej, nie powinna pozwalać na rozdzielenie grupy, bo coś się wydarzy, wkrótce, tu, w świątyni i tylko jej bliskość zagwarantuje im bezpieczeństwo. Jednak otwarte odrzucenie gościnności najwyższego mistrza mogło sprowadzić na nich natychmiastowe problemy.

– Elpis – kiedy usłyszała głos Kaina, przez chwilę myślała, że czarnoksiężnik ją poprze, jednak i ta nadzieja upadła. – Nie martw się o nich. Ja udam się z nimi, a ty i czcigodny dołączycie do nas, kiedy będziecie gotowi. Nie grozi im żadne niebezpieczeństwo, zaufaj mi.

Nie podobał jej się osobliwy rezonans, jakim jego słowa rozchodziły się w jej głowie. Kuriozalne wrażenie przyływów i odpływów, jakby starzec znajdował się bardzo blisko a zarazem daleko od niej. Znak, że nieznanne zioła, których smak wyczuła w ofiarowanej jej krwi, zaczynały działać. Przekłęta elfia trucizna...

Jeśli nie chciała ściągnąć im na głowy całej armii strażników, teraz z kolei ona musiała udzielić nauczycielowi jedynej słusznej odpowiedzi.

– Oczywiście, mistrzu.

Wysłuchując się w odgłos ich kroków, kiedy oddalali się wraz z Kainem w kierunku drzwi wyjściowych, gorączkowo analizowała ich sytuację. „Zaufaj potępionej, wbrew wszystkiemu” – tak powiedziała Kelia. „Nie wahaj się, a klucze nie będą potrzebne”. Była niemal przekonana, że pojmuje tą część jej rady i że dotyczy ona ukrytych za szybą mieczy. Co powinna zrobić? Czego oczekiwała od niej milcząca kapłanka? Na to miejsce nałożono pieczęć, to były słowa samego Elohima, dlatego magia nie miała tu wstępu. Cóż mogła uczynić bez wsparcia żywiołów, pozbawiona sił, bez których czuła się naga i niczym nie osłonięta przed mogącym w każdej chwili spaść ciosem? Jednak Elfka z warkoczem w nią wierzyła. „Wy stąd odejdziecie” – tak sformułowała myśli, nie użyła słów – możecie odejść czy macie szansę odejść. Odejdą stąd... Tylko jak?

Była czarodziejką, magia była dla niej czymś naturalnym, jak oddech, pozbawiona możliwości oddychania, traciła kontrolę nad całą resztą. Nie musiała widzieć, ale rozpaczliwie potrzebowała znów zaczerpnąć powietrza pełną piersią, natychmiast, potrzebowała magii. Za wszelką cenę. Kiedy pozwoliła myślom o magii na swobodny dostęp do siebie, zrozumiała, że jest gotowa zawierzyć bezgranicznie upadłej anielicy, złożyć wszystko w jej ręce, pozwolić jej decydować, byle tylko odzyskać swoje moce, bo tylko one mogły ocalić ją i jej uczniów. Belial była kapryśna i nieprzewidywalna, zdecydowana kroczyć obraną przez siebie ścieżką nawet wprost ku samozagładzie, byle ochronić stworzony przez siebie świat i zrodzone z siebie dzieci. Była nieprzewidywalna. Dlaczego więc miałaby nie sprzymierzyć się z osobą, która jako jedyna z zamieszkujących Ziemię istot potrafi ją zgładzić?

– Nie martw się ich losem, czarodziejko – z zamyślenia wyrwał ją cichy głos Elohima. – Wkrótce do nich dołączymy, a teraz jeśli pozwolisz, chciałbym ci coś pokazać.

– Tak, proszę.

Pozwoliła się prowadzić długim korytarzem. Elohim kroczył powoli, jakby umyślnie przedłużając drogę, ale w tej chwili było jej to raczej na rękę. Pokładając ufność w zapewnienia Pistisa o braku umiejętności czytania myśli wśród kapłanów, nie przestawała zaklinać i przemawiać bez słów.

*Potrzebuję twojej pomocy, Belial. Wiem, że mnie słyszysz i wiem, że potrafisz odpowiedzieć. Dano mi misję obrócenia w pył twojego świata i zatrucia planety, ale wystąpię przeciw temu zadaniu, jeśli pomożesz mi bezpiecznie wyprowadzić stąd tych, na których mi zależy. Jam jest Lupo Nigro, najstarsze spośród żyjących dzieci dwugłowej matki Wilków, a oni są moimi szczeniętami. Potrzebuję cię, twoich oczu i twojej siły, by móc im pokazać, do czego jest zdolna Wilczyca, walcząca w obronie swoich szczeniąt.*

Nie potrafiła dokładnie określić momentu, w którym zdała sobie sprawę z jej obecności w swoim wnętrzu. Wzrok do niej nie powrócił, ale odczuwała z całą mocą świadomość kształtu otaczającego ją miejsca. Kroki kapłana, do tej pory coraz bardziej rozbiegające się w jej głowie we wszystkich kierunkach, niemalże uniemożliwiając określenie, dokąd mężczyzna zmierza, a co za tym idzie upośledzające jej zdolność do podążania za nim, teraz stały się jasne i wyraźne. Co więcej, była teraz w stanie iść przodem i nie zmylić drogi, bo wiedziała z góry, dokąd Elf się skieruje. Nie widząc go, potrafiła powiedzieć, że Elohim ma długie niemal do pasa srebrzyste

włosy, bladoniebieskie oczy, niczym kwiat, który zbyt długo oglądał słońce, a na jego palcu znajduje się oprawiony w białe złoto szafir. Tym, co najbardziej przyciągało ku sobie jej uwagę i czego obecność czuła każdą komórką ciała była bardziej błękitna od szafiru, delikatnie zarysowana pod jasną skórą, wypełniona gęstą ciemną krwią żyła, pulsująca tak głośno, że szmer krwi ocierającej się o jej ścianki był w jej głowie wyraźniejszy od echa kroków kapłana, rozchodzącego się po pustych salach, które mijali. Mobilizując całą wolę nakazała kłom pozostanie w normalnej postaci. I wtedy ją usłyszała. Głos w jej głowie, cichszy od szeptu, a jednak wypełniający ją w sposób niemal równie osobliwy, jak ten, gdy niemal bez udziału świadomości rodzi się myśl.

*Nazywasz siebie Wilczycą. Do tej pory znałam tylko Wilczyce, które zagryzały własne i cudze szczenięta.*

Poczuła, jak w jej ciało wlewa się strumień czystej euforii. Była tu! Naprawdę tu była.  
*Nie wiem, o czym mówisz, przysięgam.*

Odpowiedź nadeszła niemal natychmiast.

*Zapytaj tę, którą tytułujesz matką, kiedy znów ją spotkasz.*

Jad, jakim zaprawiona była ta wypowiedź podlał ziarno niepokoju, które zasiało w jej sercu zachowanie Kaina.

*Nie omieszka.*

Wydawało jej się, że czarna anielica na chwilę się od niej oddaliła, ale trwało to tylko ułamek sekundy, po którego upływie powróciła, przynosząc ze sobą świadomość potęgi pieczęci, chroniącej teren klasztoru i wszystkich, którzy się na nim znajdowali przed kontaktem z magią. Jednocześnie narodziła się w niej niepojęta pewność, że potrzaska tę pieczęć w drzazgi, złamie ją. Ostatecznie, choćby nie wiadomo jak potężna, to była tylko pieczęć. Zakłęcie, które usunie, a wtedy odzyska magię, choć na razie na ma pojęcia, jak tego dokonać.

*Nie potrafisz złamać pieczęci tego typu – usłyszała jak znów wypełnia ją głos Belial. Oczywiście, że nie potrafisz, ja również nie. Jednak my dwie, połączone... Trwające w fuzji, do której powstania oni za nic nie chcieli dopuścić. Niczym dwa bieguny przekłętego wahadła, które wbrew wszelkim prawom się zderzyły, my... Nie ma takiej rzeczy, której nie potrafiłybyśmy teraz dokonać.*

Ona też to czuła, dokładnie odbierała ekscytację i moc, pochodzące od przekłętej anielicy. Belial była inna niż Upadli, z którymi zetknęła się do tej pory. Pokonana, jednak pełna woli i potęgi, nieuległa i nieokiełznana. Oto pojawiła się przed nią szansa na ratunek dla stworzonej i ukochanej przez siebie planety, szaleńcza i bardzo niepewna, a ona uchwyciła się jej niczym jedynej skrawki suchego lądu wśród oceanu szaleństwa, nie wahając się, nie analizując – działała. Obu im zależało bardziej niż na czymkolwiek innym na świecie i obie, nie bacząc na niebezpieczeństwo, sprzymierzyły się ze śmiertelnym wrogiem.

*Co mam zrobić?*

Właściwie nie chciała pytać, ale myśli same uformowały się w głos, a kiedy pytanie już padło, Elfka zorientowała się, że trwa w gorączkowym oczekiwaniu, niczym na sygnał wyroczni.

*Pojęcie niemożliwego nie istnieje, pamiętasz? Liczy się tylko to, jak bardzo pragniesz i jak wiele jesteś w stanie poświęcić.*

Czarodziejka zacisnęła dłonie w pięści, czując, że odpowiedź może być tylko jedna.

*Wszystko, jeśli to konieczne.*

Czuła satysfakcję i milczącą aprobatę Belial i tę aprobatę odnalazła w jej kolejnych słowach.

*Nie znalazłszy ratunku w świątyni Najwyższego, nie wahasz się stanąć z taranem u wrót Piekieł. Granica pomiędzy szaleńczą odwagą a szaleństwem jest niezwykle cienka i łatwo ją*

*przekroczyć. Jednak dziś nie ma znaczenia, co wybierzesz, bo ja potrafię docenić jedno i drugie. Otrzymasz więc odpowiedź godną Szeolu. Zapleć losy.*

## Rozdział 13

### W ogień i na śmierć

Srebrzyste i błękitne nici przenikały się ze sobą, tworząc rozmigotaną pajęczynę sieci, której nikt nie będzie w stanie rozplątać. To było trochę jak zapalenie czarnego płomienia, ale wymagało więcej skupienia i uwagi. Głównie dlatego, że obok niej szedł Elohim, a ona nie mogła dopuścić, by Elf cokolwiek zauważył. No i rzucała czar po raz pierwszy, nigdy do tej pory sytuacja nie zmusiła jej do zapuszczenia się w te rejony magii. Nie dlatego, że nie potrzebowała jej wcześniej, po prostu nie lubiła płacić zbyt wysokiej ceny za korzystanie ze swojego daru, a ten czar należał do dziedziny, którą gardziła tak bardzo, że nawet w tej chwili nie pomyślała o tym, żeby pójść jego ścieżką. Jednak słowa Belial były jak objawienie. Nadszedł czas, a ona była gotowa, więc nie wahała się i nie próbowała szukać innych rozwiązań. W milczeniu postępując krok za krokiem, wplatała błękit pomiędzy srebro z ekscytacją czując, jak spoczywający na jej piersi amulet budzi się ze snu i odpowiada delikatnym drżeniem.

Wcześniej nie raz zastanawiała się, co czułaby, sięgając po tę dziedzinę magii. Czasem, w chwilach największej wściekłości i żalu, chciała rzucić czar na złość Kainowi, ale to było tak głupie, że zadowalała się bawieniem myślami o jego reakcji, nigdy nie próbowała naprawdę. Aż do dziś.

Elohim zatrzymał się kilka metrów przed nią, a czarodziejka, idealnie wychwytyjąc ten moment, zrównała się z nim i też stanęła, podnosząc na jego twarz oczy, nie mogące go zobaczyć, jednak wyrażające udawane zaciekawienie. Sala, w której się teraz znajdowali, również wypełniona była płonącymi świecami i oparem kadzidlanych dymów, przeplatającym się z zapachem umierających kwiatów. Była jednak o wiele mniejsza od tej z mieczami za szklaną gablota, a na ścianie naprzeciw drzwi zawieszony był większy od Człowieka krzyż z podobizną umierającego Boga.

Kapłan przez chwilę czekał, jednak Elfka nie przerwała milczenia.

– Nie dziwi cię ten widok, pani... – podjął cicho.

– Nie oglądam go po raz pierwszy. Poza tym nie zapominaj, że w mojej drużynie jest wychowanek tej świątyni. Pistis opowiedział mi o Chrystusie.

– Nie wątpię. Zważ jednak na to, że twój towarzysz jest tylko zwyczajnym kapłanem, jednym spośród tysięcy, nie jest dopuszczony do tajemnic, które znają wyżsi od niego. Twoja wiedza, jakkolwiek by nie była, opierając się tylko na jego słowach, zawsze pozostanie niekompletna. Czy wspominał o Kłątwie?

Dziewczyna drgnęła, nie spodziewając się usłyszeć w tym miejscu o najczarniejszym odcieniu magii, jakim była Kłątwa. Jednocześnie zarejestrowała opanowanie i powściągliwość Belial, coś w rodzaju zimnej wzgardy dla jego słów, z całą pewnością nie będącej zaskoczeniem. Czarna anielica wiedziała, jakie słowa muszą teraz paść.

– Nie. Mówił o męczeńskiej śmieci na krzyżu z rąk dzieci kobiety, którą być może kochał.

– Tak – Elohim uśmiechnął się bez śladu wesołości. – To wersja dla kapłanów. Nie chcemy ich przerażać i zatruwać ich serc strachem. Nijak ma się jednak do rzeczywistości. Śmierć i zwycięstwo nad nią są prawdziwe, jednak motywem nie jest miłość, a zemsta. Belial, przeklęta córka Lucyfera, wzgardziła Synem Bożym, wybierając grzeszne uczucie i tym samym przypieczętowując los siedmiu świętych duchów, nazwanych potem Upadłymi i los stworzonego



przez siebie świata. Ludzkie życie Chrystusa nie było daną jej ostatnią szansą, wszelkie szanse zostały pogrzebane w chwili, gdy anielica odmówiła przyjęcia łaski i zajęcia miejsca na szklanym tronie u Jego boku. Ta chwila przelała czarę Bożego gniewu, od tej chwili nie było ratunku i nie było przebaczenia. Ona to rozumiała i dla niej ta chwila stała się początkiem walki z czasem, początkiem tworzenia dzieła, które miało ochronić jej zrodzone z występku dzieci. Wtedy zaczął się proces powstawania mieczy i kształtowania wojowników, którzy w przyszłości mieli je dzierżyć.

– Znasz zasadę działania Klątwy, prawda czarodziejko? Przekleństwo, którego nie da się zmasać nawet przy użyciu potęgi, o jakiej największym się nie śniło, pułapka bez ucieczki, klatka, której nie rozszarpie wściekły smok, niezależnie od tego, jak wielką siłą dysponuje. Jest tylko jeden problem, który powstrzymuje wielu przed korzystaniem z tej broni. Jej ostateczność i nieuchronność konsekwencji, jaką jest własna śmierć. Śmierć, którą trzeba ponieść z rąk osoby, która ma być obłożona przekleństwem. Próg dla wielu nie do przebycia. Ale On...

– Zaraz – Elpis przerwała mu, czując, że zaczyna pojmować. – On zginął z ręki przedstawicieli wszystkich ras, więc nałożył tym samym przekleństwo na Wampiry, Ludzi i Elfy. Tylko Wilków brakło pod krzyżem.

Coś zimnego i oślizgłego niczym pozbawiony łusek wąż pełzło w jej wnętrzu, nie pozwalając emocjom wypłynąć na powierzchnię. Opowieść Elohima wstrząsnęła nią o wiele bardziej niż powinna, Elpis czuła, że krzyk, który narastał w niej od chwili przekroczenia bram klasztoru, a który ugasiła krew Pistisa, znów chce się wydostać, jednak tym razem to ponura świadomość obecności Belial zatrzymywała go na miejscu. Córka Lucyfera wygaszała jej uczucia, pozwalając jej nadal stać na miejscu z wyrazem lekkiego zaciekawienia na twarzy.

– Wilki nie są potomkami Belial, ich Klątwa i zemsta nie dotyczą – kontynuował w odpowiedzi na jej słowa. – Pochodzą od Barbello, stąd nienawiść między nimi a każdym z dwunożnych. Stąd strach, jaki wzbudzają w sercu każdej istoty, bo nie powinno ich tu być. Są piętnem Barbello odcisniętym na dziele jej córki, odpowiedzią na jej grzech i nieposłuszeństwo.

– Rozumiem – podjęła szybko, nie pozwalając przerażeniu na dostęp do siebie. – Tam była też kobieta, młoda kobieta, bardzo blisko. Czy to Belial?

– Niewiele o niej wiemy, ale nie była aniołem, lecz Człowiekiem. To najwierniejsza uczennica Pana, szła za krzyżem do końca i pozostała u jego stóp, kiedy inni odeszli. Być może tu właśnie należałoby szukać miłości, a nie między Nim a Belial?

Elfka prychnęła pogardliwie, maskując niepewność i lęk.

– Nie dostrzegam miłości w biernym przyglądaniu się, jak zadają śmierć osobie, którą kochasz.

Elohim popatrzył na nią uważnie, nie odpowiadając od razu.

– Ona była trochę jak ty teraz, czarodziejko – zaczął w końcu po dłuższej chwili milczenia. – Pozbawiona magii, w miejscu, z którego nie ma ucieczki, otoczona przez wielu uzbrojonych, silniejszych od siebie mężczyzn, nie licząca na pomoc nikąd. Co byś zrobiła pani, gdybyś to ty stała na jej miejscu? Samo pójście drogą krzyża wymagało od niej heroizmu i poświęcenia. Potrafiłabyś tak? Trwać przy osobie, która jest dla ciebie całym światem, mimo że serce pęka? Co uczyniłabyś, gdyby los postawił cię u stóp krzyża?

Jego głos był dziwny, nadawał z pozoru niewinnym pytaniom natarczywy ton, jakby bardzo zależało mu na odpowiedzi, przy jednoczesnym pragnieniu ukrycia, jak bardzo się odpowiedzi obawia. Postąpiła krok w jego stronę, skracając dzielący ich dystans.

– Sprowokuj mnie, mistrzu, a dowiesz się wszystkiego – cichy szept, którym rozbrzmiała jej słowa, nie był do końca odbiciem jej myśli.

Elpis niejasno zdawała sobie sprawę, że to Belial przemawia jej ustami, dając jej czas na

skupienie się na coraz ciasniej tkanej sieci, niemalże już zakończonej. Przez twarz Elohima przemknął cień zaskoczenia, jednak opanował się prędko.

– Nie jest moim celem wymuszanie na tobie czegokolwiek ani w żaden sposób rozumiana prowokacja. Jeśli odebrałaś to inaczej, wybaczone.

– Ale przecież nie przyprowadziłaś mnie tu tylko po to, by opowiedzieć o Klątwie, prawda? To mogłaś z równym powodzeniem uczynić w obecności mojej drużyny. Jest coś jeszcze, coś przeznaczonego dla moich uszu, żądanie, które chcesz przedstawić właśnie mi.

– Cóż... W pewnym sensie masz rację. Jest... prośba. I rada – kapłan starał się panować nad zdenerwowaniem.

– Słucham – zachęciła go po kolejnej chwili milczenia.

Czcigodny odszedł kilka kroków i wyciągnął z kryształowej wazy jedną z umieszczonych w niej białych róż.

– Rozwiąż drużynę – powiedział bardzo cicho, skubiąc jej płatki. – Uznajmy, że nastąpiła pomyłka, że czarnoksiężnik przydzielił ci niewłaściwych pomocników. Dam ci innego kapłana, nigdy nie skażonego magią, Kain odnajdzie właściwego Człowieka i Wampira. Nie jest za późno, by zawrócić na właściwą ścieżkę, ale podążając wraz z tą trójką, z każdym dniem bardziej się od niej oddalasz.

Dziewczyna lekko uniosła w górę brwi. Nie spodziewała się usłyszeć czegoś takiego.

– Złożyłam przysięgę. Oni są nie tylko pomocnikami w misji, którą mi przydzielono. Są moimi uczniami, adeptami. Gdybyś rozumiał, co oznacza taki ślub dla czarnoksiężnika, nigdy byś nawet nie sugerował jego złamania.

– Więc cofnij przysięgę – Elohim upuścił na posadzkę pozbawiony płatków kwiat. – Sama wszak widzisz, jaką drużynę ci przydzielono. Dostrzegasz błędy, jakie za ich sprawą popełniasz i słabe punkty tego układu. Z nich wszystkich tylko Człowiek jest godzien tego, by pójść dalej. Ludzie często zostają czarnoksiężnikami, zresztą gdyby był twoim jedynym uczniem, żadna z zasad nie zostałaby złamana. A poza nim... Wampir, który nie ma prawa poczuć magii, ale mimo to ją odbiera, to się nie zdarza, żywioty nie odpowiedzą na wezwanie umarłego, jaki więc rodzaj magii zgodził się z nim połączyć? Jest jeszcze kapłan, który zdradził wiarę dla magii i na czele tej gwardii strażników czarodziejka, która zdradziła magię dla miłości.

– Oszalałaś, panie i w swoim szaleństwie wszystko przekreślasz – rzuciła swobodnie, dziękując w duchu Belial za jej opanowanie, które Upadła przenosiła też na nią, dzięki czemu mogła pozostać spokojna.

– Proszę cię jeszcze raz. Cofnij przysięgę.

W jego głosie była jawna groźba, a Elpis uśmiechnęła się mimo woli, czując, jakie słowa za pośrednictwem jej ust zaraz wypowie potępiona anielica. Zwolniła wszystkie hamulce, pozwalając jej mówić.

– Spal krzyż.

Kiedy spojrzała na kapłana, jej wzrok był łagodny, tak samo jak brzmienie jej głosu i wyraz twarzy, tak kontrastujące z treścią wypowiedzianych słów, że Elohim w pierwszej chwili nie zrozumiał.

– Słucham?... – wyszeptał zaskoczony, kiedy dotarł do niego ich sens.

– Słyszałaś – nadal się uśmiechała. – Podpal krzyż wraz z wizerunkiem swojego Boga. Zedrzej szaty i zetrzyj nimi kurz z posadzki, którą deptamy. Zgaś święte płomienie i spraw, że wrota świątyni staną otworem. A potem zaprosz do środka nierządnicę i dziewczynki uliczne i niech sprzedają za złoto swoje ciała, parząc się z brudnymi mieszczanami na ołtarzu, wśród podeptanych płatków białych róż i połamanych łądyg. Zrób to wszystko, a wtedy ja cofnę przysięgę. I kiedy trąby obwieszczą Dzień Gniewu Bożego, staniemy przed najwyższym sędziom

jako równi sobie, bo oboje popełnimy tak samo wielkie świętokradztwo przeciw temu, w co wierzymy.

Nie widząc, czuła szok i niedowierzanie, wypisane na jego twarzy. Czuła je w nierównym oddechu i w zapachu zimnych kropli potu, które wystąpiły na czoło i plecy mężczyzny. Czekając, odchyliwszy głowę na bok.

– Wiesz równie dobrze jak ja, że nie mogę tego uczynić... – wyszeptał w końcu.

– Dlaczego? – nadal wydawała się cierpliwa i łagodna. – Przecież to dziecinnie proste.

Tyle wokół świec. Wystarczy podnieść jedną z nich... – z tymi słowami sięgnęła po stojącą najbliższą świecę i z nią w rękę ruszyła w stronę krzyża.

Kapłan odzyskał zdolność do reakcji, zastąpił jej drogę i wyjął świecę z dłoni. Nie protestowała, ale oczy, które utkwiała teraz w jego twarzy, były lodowato zimne, po uprzejmym zainteresowaniu nie pozostał nawet ślad.

– Nie uczynię tego nigdy, nie zmusisz mnie, nie ważne, jakich argumentów użyjesz, demonie – powiedział powoli, nie spuszczać wzroku.

Elpis uśmiechnęła się z aprobatą i pokiwała głową.

– Taka również jest moja odpowiedź, kapłanie.

Na dnie jej oczu nie znajdował strachu ani szaleństwa. Była tam chłodna pewność i ponure przekonanie o własnej potędze. Zadrżał, kiedy płomyki tłące się na licznych lnianych knotach pochylały się i przygasły. Przejmowała kontrolę nad sytuacją i on to widział. Opuszkami palców dłoni, w której jeszcze przed chwilą trzymała świecę, dotknęła jego policzka i przesunęła po skórze, pozostawiając wrażenie tworzenia się płonących ścieżek tam, gdzie spoczęła jej dłoń. Uśmiechnęła się niemal z czułością.

– Czy zdajesz sobie sprawę... czcigodny... że jeśli nie odstąpisz od swojego zamiaru, ta w której oczy teraz patrzysz, stanie się twoją śmiercią?

Elohim zrobił krok w tył, jakby jej palce były mogącymi w każdej chwili ukąsić żmijami.

– Żadne z nas nie ustąpi, za późno – w jego głosie współbrzmiały strach i zdecydowanie.

– Dobrze. Więc prowadź mnie tam, gdzie od początku miałam się znaleźć i pokaż mi, coż takiego naprawdę jest powodem, dla którego mnie tu wezwano.

Nie mogła zobaczyć zrezygnowania i rozpaczki wypisanych na jego obliczu, ale odebrała nagle przyspieszone bicie serca i zatrzymanie oddechu i nie mogła się powstrzymać, by nie roześmiać się na głos. Niespecjalnie zresztą próbowała. Ruszyła za nim, jednocześnie wysyłając przekaz skierowany do Leviathana i z satysfakcją odebrała odpowiedź piekielnego wierzchowca. Sama nie mogła zbyt wiele poradzić bez magii, ale one dwie, złączone – tak, one mogły wszystko. Bez oporu powierzyła swoje ciało Belial, kiedy tylko poczuła taką sugestię ze strony demona, wycofując się i pozwalając Upadłej decydować o wszystkim.

\*\*\*\*

Tylko dzięki temu udało jej się zachować spokój, gdy strażnicy otworzyli przed nimi drzwi do sali, w której Elohim znalazł ich po raz pierwszy. Elpis czuła jak w jej wnętrzu wszystko łamie się i upada, grzebiąc nadzieję i sprawiając, że miała ochotę gołymi rękami łamać karki i wrywać serca. I wcale nie dlatego, że przed drzwiami strażników był cały zastęp i że każdy z nich był uzbrojony w łuk i kołczan wypełniony strzałami, że wszyscy oni, może setka, może nawet więcej, byli tu jako zaporę, która miała z całą pewnością zapobiec wydostaniu się kogokolwiek ze środka. Nawet nie dlatego, że cała trójka jej uczniów klęczała u stóp ołtarza, z oczami przewiązanymi białymi szarfami, a po bokach każdego z nich stali kapłani z naciągniętymi na cięciwy łuków strzałami. Powodem był Kain, stojący pomiędzy nimi a nią, wolny i swobodny, bez oznak jakiegokolwiek przymusu pozwalający na to wszystko.

Nie potrafiła powiedzieć, jaka byłaby jej reakcja, gdyby weszła tu bez wsparcia Belial,

jednak anielica obrzuciła tylko całą tę scenę chłodnym spojrzeniem ślepych oczu.

– Więc to wszystko, na co was stać, tak? O to całe zamieszanie? – przemówiła jej ustami, nie pozwalając jej krzyżeć. – Spoić nas jakąś pieprzoną trucizną, która sprawi, że sami położymy głowy pod wasze topory? Imponujące, gdyby nie to, że trochę przeceniliście moją zdolność do ludzkich odruchów. Nie jestem aż tak szalona. Nie będę walczyła z całą armią uzbrojonych niewolników, ośmielających się mianować samych siebie kapłanami miłosiernego Boga, po to tylko, by wyciągnąć stąd Człowieka, Elfa i Wampira, których od początku wspólnej drogi uznałam za zbędny balast. To, że dali się wam podejść niczym bezrozumne dzieci, potwierdza tylko to, że miałam wtedy rację.

Pistis drgnął na dźwięk jej głosu. Nie mogąc w tej chwili nawet przemówić Elpis zamarła, słysząc jak napinane cięciwy łuków zajęczały złowroźnie, ale Belial tylko się uśmiechnęła, a spojrzenie, które utkwiła w oczach Kaina, było niemal znudzone. Czarnoksiężnik w pierwszej chwili nie potrafił odnaleźć słów, zaskoczony jej chłodnym opanowaniem, spodziewał się szalonego wybuchu, ślepej furii i wściekłości, więc jej reakcja całkiem zbiła go z tropu.

– Elohim przedstawił ci nasze żądanie, prawda? – zapytał w końcu, nie będąc w stanie powiedzieć w tej chwili nic więcej.

– Tak, ojcze. Mówił coś o zdrajcach i o tym, że drużyna szaleńców musi być rozwiązana. Nie wspomniał tylko o największym zdrajcy i tchórze, ale już wszystko wiem, więc się nie wysilaj. Powiem więcej – lekko podniosła głos, widząc, że czarnoksiężnik chce się odezwać. – Ja właściwie rozumiem wasze argumenty, cała ta maskarada jest więc pozbawiona celu, ale skoro już ją urządziliście, to... – przykucnęła i podciągnąwszy w górę tunikę, wydobyła srebrny sztylet przymocowany paskiem do uda; na ten ruch kilkunastu stojących do tej pory spokojnie kapłanów zwróciło swoje łuki w jej stronę. – Tylko bez nerwów, przyrzekam, że nie zdążycie wypuścić strzał – uśmiechnęła się drapieźnie, obnażając zaostrzone, gotowe kasać kły. – Ten zdrajca, zanim stał się dla mnie nędzniejszy od robaka, był moim nauczycielem, a ja byłam wyjątkowo pilną uczennicą jeśli chodzi o błyskawiczne zadawanie śmierci. Od dziś, aż do końca swojego marnego życia pozostanie dla mnie nikim, jednak nie zapomniałam jego nauk i nie ujmuję im mistrzostwa.

W tym momencie Pistis nie wytrzymał i zdarł opaskę z oczu, a cięciwy znów jęknęły, jednak żadna strzała nie pofrunęła. Czarodziejka, uwięziona teraz we własnym ciecie, które kontrolowała Belial, nie zobaczyła jego oczu, ale całą sobą odczuwała skierowany na siebie wzrok, nie do końca przytomny z powodu krążącej w żyłach trucizny. Belial pewnie chwyciła rękę srebrego noża i ruszyła w kierunku ołtarza. Nie zatrzymywana przez nikogo, choć eskortowana powolnym ruchem podążających za nią grotów skierowanych w jej ciało strzał, dotarła do Kaina i odsunąwszy go z drogi wolną ręką, zatrzymała się.

– Jestem gotowa pójść na kompromis. Tak jak powiedziałam, są mi zbędni, ofiaruję ich wam, a wy pozwolicie mi odejść. Tylko zdejmijcie im te pieprzone opaski, to nie gromada spojonych wódką żołdaków, skazanych na szafot za rozróbę w karczmie, to moi uczniowie, zasługują na to, by spojrzeć śmierci w oczy.

Kapłani zawahali się, spoglądając na Kaina, ale on tylko krótko skinął głową, więc wykonali polecenie. Brunatne i czarne oczy spoczęły na twarzy dziewczyny. Elfka podniosła w uśmiechu kącik ust, kiedy dotarł do niej przekaz Leviathana, potwierdzając, że demon jest tuż. Sieć była gotowa, srebro stopiło się z błękitem, tworząc nierozdzielalną całość. Teraz musiała zdobyć pewność, że czar zadziała.

– Zanim stąd odejdę, chcę udowodnić, że wcale tak bardzo nie zmieniłam się pod ich wpływem. Nie tak, jak ci się wydaje – słowa skierowane były do Kaina, mimo że dziewczyna nie

zaszczyciła go spojrzeniem. – Nie jest tak, jak myślicie, więc wasza śmieszna zasadzka od początku skazana była na porażkę, opierając się na domniemanym uczuciu, które nie istnieje. Pokochać to pozwolić się zniszczyć, a ja... ja nie pozwalałam. Ani teraz, ani nigdy.

Zwróciła mleczone oczy tam, gdzie wyczuwała obecność Pistisa. Musiała być pewna, że dobrze określi kierunek. Musiała zmusić go, by przemówił. Uśmiechnęła się drapieźnie.

– Pomyliłeś się kapłanie, tak samo jak oni. Wydawało ci się, że dostrzegasz światło tam, gdzie gnieździ się tylko mrok. Poszedłeś za ognikami, które są odbiciem gwiazd, a te gwiazdy wygasły dawno temu. To był sen. Sen... rozumiesz? A to... – uniosła w górę rękę ze sztyletem, zatrzymując ostrze na wysokości swojej twarzy. – To jest przebudzenie. Domyślasz się, prawda? Zrobię teraz coś strasznego, ja... często robię straszne rzeczy. Jeśli choć przez chwilę naprawdę chciałeś ze mną zostać, powinieneś już dawno to zrozumieć. Tylko nie zamykaj oczu. Nie przynoś mi wstydu. W ogień i na śmierć, tak?

– Tak, pani – wyszeptał w końcu, a Elpis skuliła się we wnętrzu Belial, tyle było w jego głosie goryczy i rezygnacji. – Nic się nie zmieniło.

– Więc w drogę.

Nie czekając, aż zmieni położenie, poderwała sztylet i błyskawicznie wymierzyła. Srebrne ostrze przecięło powietrze, a ułamek sekundy później kasztanowowłosa kapłan szarpnęła się gwałtownie. Człowiek krzyknął na widok plamy krwi, rozkwitającej na bieli szaty Elfa.

\*\*\*\*

Wampir miał ciemne włosy, spadające w sklejonych od potu pasmach na blade czoło, częściowo zakrywające oczy i twarz, ale nie potrafiące ukryć tego, co w tej twarzy dominowało – przerażenia.

Dziewczynka była drobna i niewielka, mogąca mieć równie dobrze cztery jak i sześć lat, o idealnie czarnych, długo nie czesanych włosach, w które wiatr wplótł fragmenty świerkowych igieł, kory i liści. Przypominała małą driadę, choć nie mogła być driadą.

Wampir kłęczał pod skalną ścianą, jedną ręką podpierając się o podłoże, na pozór spokojny. Jeśli nie zwróciło się uwagi na oczy.

Dziewczynka kuciała na kamieniach, przyczojona jak do skoku, z głową lekko odchyłoną na bok, niczym nasłuchujące czegoś leśne zwierzątko, ostrożna i czujna. Wpatrywała się w niego z mieszaniną rozdrażnienia i ciekawości.

Wampir miał poszarpaną szatę, a jego noga była przykuta do kamiennej ściany jaskini grubym łańcuchem. Otarcia, które szybko stały się otwartymi ranami, wskazywały wyraźnie, że usilnie starał się odzyskać wolność.

– Masz jakieś imię? – zapytała niespodziewanie jasnym, pozbawionym emocji głosem, a nie doczekawszy się odpowiedzi, spróbowała jeszcze raz. – Imię. Pytam o imię.

Wampir milczał, mimo iż zrozumiał od razu. Dziewczynka jeszcze przez chwilę wpatrywała się w niego, ale szybko na jej twarzy odmalowało się rozczarowanie, wzruszyła ramionami i zrobiła ruch, jakby zamierzała odejść. Dopiero to otrzeźwiło mężczyznę i sprawiło, że poczuł się naprawdę przerażony. Dziewczynka, kilkulatka, dziecko, być może też więzień, tylko nie skrepowany, bo jakże dziecko miałoby znaleźć drogę ucieczki, jeśli on nie potrafił? Wyciągnął w jej stronę rękę.

– Zostań! – dziewczynka skuliła się i syknęła ostrzegawczo. – Nie odchodź, proszę...

Patrzyła podejrzliwie, ale to nie był strach ofiary, raczej pełne napięcia oczekiwanie wprawnego łowcy. Wzrok, który pajak ma zarezerwowany dla wyjątkowo tłustej i wielkiej muchy, która z pewnością będzie smakowitym kąskiem, ale może mu rozszarpać sieć. Przelknął ślinę. Wyczerpany umysł najwyraźniej zaczynał płać mu figle. Była dzieckiem. Nawet jeśli przebywała tu z nimi dobrowolnie, niewiele jeszcze rozumiała i dlatego to nie powinno być

trudne.

– Nie odchodź... Proszę cię, nie odchodź. Porozmawiaj ze mną, choć chwilę.

Zmarszczyła czoło i odchyliła głowę w drugą stronę. Powoli, z ociąganiem usiadła na zimnej posadzce, podkurczając kolana pod brodę, ani na chwilę nie spuszczać go z oczu. Nadal znajdowała się poza jego zasięgiem, bezpieczna dzięki żelaznym pętom, jakimi był skuty. Gdyby jeszcze trochę się zbliżyła, gdyby udało mu się skoczyć wystarczająco prędko, jej krew mogłaby dać mu siłę, by zerwać kajdany. W chwili, gdy o tym pomyślał, na twarzy dziewczynki zatańczył kpiący uśmiech, który zgasł tak szybko, że Wampir sam nie potrafił określić, czy widział go tam naprawdę, czy był on tylko wytworem jego nadmiernie pobudzonej wyobraźni. Chciał wierzyć tej drugiej wersji.

– Nazywają mnie Solan, panienko. Jak mam się do ciebie zwracać?

– Boisz się, Solan? – zapytała z niecierpliwością, ignorując drugą część jego wypowiedzi.

– Cóż... – zaśmiał się nerwowo. – Oddałbym wiele, by znaleźć się teraz na zewnątrz. Czy potrafisz mnie uwolnić? Możesz mnie uwolnić?

Dziewczynka obejrzała się niespokojnie przez ramię w kierunku, gdzie – sądząc po lekkim powiewie świeżego powietrza – musiało znajdować się wyjście.

– Oni nie lubią, jak z wami rozmawiam. Zabronili mi was wypytywać. A ja nie lubię, jak przyprowadzają was tu niemal zatłuczonych na śmierć, zaszczytów i słabych. To psuje całą zabawę.

Jej słowa, wypowiedziane spokojnym, chłodnym tonem sprawiły, że każdy nerw w jego ciele zaczął dygotać, a po plecach spłynęły strużki zimnego potu.

– Proszę, pomóż mi się stąd wydostać...

– Dlaczego boisz się śmierci? – zapytała z chorą fascynacją w głosie, w ogóle nie zaprzatając sobie głowy jego słowami.

Zrozumiał, że nic nie da oszukiwanie samego siebie. Nie była bezbronną i nieświadomą dziewczynką, była łowcą w ciele dziecka, a on był jej ofiarą. Pozostało mu tylko grać na zwłokę z pełną świadomością nikłych szans powodzenia.

– A ty? – zapytał nerwowo. – Czego się boisz?

Roześmiała się dźwięcznie, wstała i zrobiła kilka kroków w jego stronę. Mimo, że weszła w zasięg jego zębów, w strefę ograniczoną łańcuchem, nie śmiał zdecydować się na skok. Zbliżyła się powoli, zarazem ostrożna i skupiona, ale też wyraźnie rozbawiona.

– Opowiem ci o czymś – zaszczebiotała niemal wesoło, a Wampir, czując narastającą gdzieś w jego wnętrzu panikę, zauważył w jej ustach zaostrome kły. – O czymś przerażającym najbardziej na świecie. O czymś tak strasznym, że nie jesteś sobie w stanie tego nawet wyobrazić, choć może wydawać ci się, że wszystkiego doświadczyłeś, wszystko przeżyłeś i nic już nie zdoła cię zaskoczyć. O zgrozie, która zabija w tobie wszystko, co słabe, dobre, wrażliwe, święte, godne. O szeptach w ciemności, które krzyczą do ciebie, chociaż nie mają prawa istnieć, o głosach, które wracają wraz z tobą i zostają na zawsze, o Cieniu bez ciała, który potrafi cię dotknąć. O pustce, która zabiera radość, dając w zamian pogardę, o czarnym płomieniu, którego nikt nie potrafi zgasić, o aniołach z pogruchotanymi skrzydłami i roztraskanymi sercami. Opowiem ci o przeciwieństwie śmierci. O życiu bez końca, o wieczności wypełnionej wrzaskiem, który nie wydobywa się z ust, o powrotach do życia, o drodze przez piekielne otchłanie. Chcesz posłuchać? Przystaniesz się obawiać tego, co musi nastąpić.

Znajdowała się już tylko krok od niego. Wystarczyło wyciągnąć rękę, a mógłby ją pochwycić. Odchyliła głowę na bok, jakby mogła usłyszeć jego myśl i bawiła się nią. Splątane włosy odsłoniły charakterystyczne ucho Elfa.

– Nie zdołasz nawet oderwać stóp od ziemi, przysięgam – kiedy mówiła, nie starała się

nawet ukryć wampirzych kłów.

Zwierzęce przerażenie brało w nim górę nad jakimkolwiek innym uczuciem. Nie myślał o tym, co się z nim stanie, ani o tym, że prawdopodobnie nie ma żadnych szans w starciu z tym dziwnym demonem w ciele dziecka. Pożądał tylko ucieczki, dokądkolwiek, natychmiast. Obnażył kły i w tej samej chwili poczuł, jak dziewczynka lekko łąduje tuż za nim, a jej ręczki chwyciły go z siłą, jakiej nie ma prawa posiadać żadne dziecko ani żaden dorosły. Tuż przy uchu usłyszał wściekły warkot rozsierdzonej bestii i poczuł falę ostrego bólu, rozlewającą się wzdłuż karku w chwili, gdy jej kły wbiły się w jego szyję. Bólu pękających kręgów już nie czuł.

Kiedy mała Wampirzyca oderwała usta od ciała swojej ofiary, nie słyszał i nie widział już nic.

Dziewczynka siedziała na ziemi obok bezkształtnej masy poszarpanych ubrań i pogruchotanych kości, która jeszcze niedawno posiadała wolę i imię i spoglądała na nią z pogardą, powoli się uspokajając.

– Szkoda – rzuciła w stronę trupa. – Ja jeszcze nie zaczęłam opowiadać. To był tylko wstęp do koszmaru. Tak naprawdę chciałam opowiedzieć o brzytwie, dryfującej wśród rozszalałych fal oceanu. O nadziei głupców i ucieczce tchórzy. Szansa, z której wolno mi skorzystać jeden jedyny raz w całym moim życiu, która zmarnowana, nie powróci. Dar od mojego przybranego ojca – słowo „dar” powiedziała wyjątkowo pogardliwym tonem. Szansa, z której nigdy nie zamierzam skorzystać i wybór, którego nigdy nie dokonam, ofiarowany mi na wypadek szaleństwa. Jeśli pojawi się w moim życiu ktoś, bez kogo nie będę w stanie wyobrazić sobie kolejnych dni i ten ktoś będzie bliski śmierci, wolno mi będzie zarzucić sieć, zapleść ze sobą linie naszych losów i stać się śmiertelną, by spocząć na wieki wraz z nim lub ocalić go, na zawsze wyrzekając się spokojnego snu śmierci. Jeśli czegoś w życiu się lękam, to tylko tego, że kiedykolwiek tak bardzo zapomnę o swoim celu i o tym, kim jestem, że użyję tego zaklęcia.

Dziewczynka wstała i otarła zakrwawione usta przedramieniem. Zaczęła oddalać się w kierunku, za którym tak bardzo tęsknił Wampir, ku powietrzu i wolności. Odchodziła rozczarowana, jak zawsze, nigdy nie spełniali jej oczekiwań, każdy z nich był obietnicą, która się nie spełniała. Ale gdyby tak połączyć swoje życie z życiem jednego z nich w chwili, gdy własnymi rękami mu je odbierze... Kiedy nie będzie już nic do stracenia. To byłoby coś. I nie do końca byłoby porażką, raczej otwartą kpiną z głupiej troski jej samozwańczego opiekuna i ojca. Uśmiechnęła się paskudnie i jeszcze raz odwróciła w stronę martwego przeciwnika, jakby sobie o czymś przypominając.

– Elpis – powiedziała cicho. – Nazywają mnie Elpis. Ciekawe imię dla bestii, prawda?

\*\*\*\*

W pierwszej chwili w ogóle nie poczuł bólu, tylko gwałtowne szarpnięcie, które odrzuciło jego głowę w bok. Nie upadł, nadal klęczał. Powoli, drżąc na całym ciele, wyprostował się i wrócił do poprzedniej pozycji. Płynąca w jego żyłach trucizna utrudniała odbieranie rzeczywistości, może dlatego zdziwił się na widok grubych szkarłatnych kropli, skapujących powoli na białą szatę i malujących szybko powiększającą się barwną plamę na ramieniu i piersi. Czy to naprawdę tak powinno wyglądać? Krew musiała wypływać z ciała, nie mogła pojawić się nie wiadomo skąd, niczym deszcz, spadający z nieba. No i sztylet, nóż którym zadano cios, a który teraz upadł z brzękiem na posadzkę kilka metrów od niego, czy sztylet nie powinien pozostać w ranie?

Potem pojawił się, nagły i ostry, niczym szarpnięcie szpona drapieżnego ptaka, brutalne i głębokie. Tylko miejsce, z którego promieniował... Kapłan przezwyciężając słabość, uniósł rękę do twarzy i dotknął nią policzka, wyczuwając głębokie rozcięcie, a kiedy odjął dłoń, jego palce zbrukane były świeżą czerwień. Chybiła?...

Podniósł oczy na czarodziejkę. Stała w tym samym miejscu i pozycji co przed momentem, jej obraz był rozmyty i niewyraźny, zdawał się falować, to oddalając się, to zbliżając, niczym miraż na pustyni. Zamrugał oczami, przeklinając chwilę, w której wziął do ręki puchar z trucizną.

\*\*\*\*

Poczuła jak Belial się wycofuje i nagle została sama, sparaliżowana lękiem i świadomością tego, co uczyniła. Stało się i niezależnie od tego, czy czar działał, teraz nie było odwrotu. W powietrzu wyczuła zapach krwi i czekała, pełna nerwowego napięcia, bo nie potrafiła zobaczyć, gdzie dokładnie dosięgnął go cios. Najpierw poczuła gorąco, a zaraz potem ostre igły bólu wbiły się w jej lewy policzek, niczym chmara wściekłe kłusujących os. Gwałtownie zaczerpnęła powietrza, uświadamiając sobie dopiero teraz, że do tej pory wstrzymywała oddech. Odchyliła głowę do tyłu i przymknęła oczy, z trudem panując nad tym, by nie wykrzyknąć wścieklej euforii, którą teraz czuła. Gorąco krwi, spływającej po jej twarzy było najwspanialszym doznaniem, jakie mogła sobie w tej chwili wyobrazić.

Udało się! Idealnie tak, jak zaplanowała, udało jej się, dokonała tego.

Belial w jej wnętrzu rzuciła się, żądając uwolnienia. Wykonała swoją część umowy, teraz pragnęła wolności. Mogła jej to dać, już jej nie potrzebowała. Znów była pewna siebie i silna.

*Tak – wysłała pospieszny przekaz. Idź wolno, córko arcyksięcia ciemności. Ty będziesz walczyć o wolność niezależnie od tego, co zrobię, a ja nie potrzebuję niewolników. Nie takich, nad którymi nie jestem w stanie zapanować, nie jestem aż tak szalona. To mój wybór, ale spotkamy się jeszcze i wtedy połączymy nasze armie, by stanąć ramię w ramię przeciwko wspólnemu wrogowi, lub skrzyżujemy miecze. Ja nie mam wpływu na losy tego spotkania, bo to ty będziesz wtedy wybierać. Zapamiętaj jedno. Klnę się na wszystko, że jeśli zginą moi jeźdźcy, twoi aniołowie będą czołgać się u moich stóp i błagać mnie o śmierć, a ziemia nie będzie w stanie przyjąć w siebie krwi twoich dzieci, którą przeleję.*

Zanim skończyła mówić, Belial nie było, przestała czuć świadomość jej obecności. Teraz była tu sama i sama musiała ich stąd wyprowadzić, wbrew woli jedyne Boga i Jego wyznawców. Ale też wiedziała, że potrafi. Odwróciła twarz w stronę Kaina, nie mogąc dostrzec jego przerażenia, wyczuwała je.

– Dziecinko, chyba nie zamierzasz...

– Milcz, głupcze! Właśnie to zrobiłam! Splotłam ze sobą nasze nici życia. Nie potrafię odwrócić tego zaklęcia i ty też nie potrafisz. Już nic nie zrobisz. Każ im strzelić do kapłana, ale zrób to z pełną świadomością, że jedną strzałą przebijesz dwa serca i że po tej śmierci nikt nie powstanie. Jestem ich mistrzynią, jak mogłeś choć przez moment pomyśleć o tym, że ich porzucę? Cokolwiek uczynicie waszemu bratu, – zakrzyknęła do kapłanów z łukami gotowymi do strzału – jakkolwiek cios zadacie, dosięgnie on też i mnie, a ja będę walczyć o życie do ostatniego oddechu! Wiem, że Elfy potrafią posłać strzałę prosto w serce, niosąc natychmiastową śmierć, ale czarnoksiężnik potrafi jeszcze przez chwilę utrzymać się przy życiu, kiedy serce przestaje bić. Jeśli to zrobicie, zapalę czarny płomień, przysięgam. Jeśli podniesiecie broń na któregokolwiek z moich uczniów, zawierucha czarnego ognia pochłonie świątynię, trawiąc wasze ciała i ołtarze waszego Boga. Nikt nie musi ucierpieć. Po prostu pozwolicie nam wyjść, nie będziecie nas ścigać, niezależnie od tego, co uczynię. Opuśćcie łuki! Zejdźcie nam z drogi! Leviathan, teraz!

W odpowiedzi na jej krzyk, ogromne drzwi do sali otwarły się gwałtownie, staranowane kopytami piekielnego wierzchowca, który z impetem wdarł się do środka, siejąc popłoch wśród kapłanów. Kilku z nich próbowało do niego strzelać, ale strzały odbijały się, zanim jeszcze udało im się osiągnąć cel lotu, nie czyniąc demonowi żadnej krzywdy. Pierwszy z Siedmiu skierował



się ku Elfce, która w biegu wskoczyła na jego grzbiet, po czym bezbłędnie odczytując myśli czarodziejki, pogalopował wprost do gabloty, gdzie za szkłem ukryte były cztery miecze, a następnie wpadł na nią z taką siłą, wściekle bijąc przednimi kopytami, że szkło rozprysło się na tysiące maleńkich kawałeczków, opadając na ciała konia i jeźdźca niczym drobniutki, błyszczący grad.

Elpis odchyliła się na grzbiecie Upadłego i chwytając obiema rękami, porwała ze ściany Fulgura i Tonitrila, dwa bliźniacze długie noże, po czym cisnęła je w kierunku stojącego najbliżej Farysa. Sięgnęła jeszcze raz, zagarniając pozostałe miecze. Długi i ciężki Unguem oddała Wampirowi, lekką Mnemozynę zatrzymując sobie. Pistis w tej chwili nie przydałby się w żaden sposób w walce, na jego rasę roślinne trucizny działały najsilniej.

– Pani! – ciszę przerwał krzyk Człowieka.

Zwróciła się w jego kierunku i zamarła. Z wściekłości. Nie widziała obrazu, odbierała go całą sobą. Pistis nadal klęczał na posadzce, z pochyloną głową i pustymi oczyma. Tuż przed nim stał zapomniany przez dziewczynę Elohim, naciągając strzałę na cięciwę łuku, który musiał odebrać jednemu ze swoich kapłanów. Czcigodny coś mówił. Elpis popędziła Leviathana, ale zanim osiągnęła cel, doszło ją echo jego ostatnich słów.

– Co zrobisz, kiedy oczy przesłoni ci czerwień krwi, którą sam wytoczysz, a ona jedna stanie ci na drodze, bo nikt inny się nie ośmieli? Masz moc odwrócić bieg wody w strumieniu, ale czy potrafisz zawrócić rozpędzony wodospad?

Zeskoczyła z grzbietu Upadłego i kopnięciem wybiła broń z rąk kapłana. Nie czekając na jego reakcję, zawirowała z mieczem, tnąc z całej siły, a ostrze Mnemozyny po raz pierwszy skąpało się we krwi.

– Ja potrafię – warknęła z mściwą satysfakcją w głosie, choć najwyższy mistrz zakonu nie mógł już nic usłyszeć.

Żrenice oczu Pistisa rozszerzyły się gwałtownie, a oddech urwał, kiedy tuż przed jego kolanami upadła odrąbana głowa tego, który przez długi czas wyznaczał reguły jego życia. Po chwili na posadzkę runęło ciało Elohima. Czarodziejka odszukała ręką ramię kapłana i siłą poderwała go do pozycji stojącej.

– Chodź ze mną. Teraz naprawdę musimy stąd wyjść – rysując w powietrzu półkola ostrzem wyciągniętego przed siebie miecza, zagradzała kapłanom dostęp do nich i powoli wycofywała się w stronę drzwi. – Potrafię zawrócić rozpędzony wodospad, uspokoić znajdujący się na skraju erupcji wulkan i ukołysać do snu rozszalałe tornado. Tylko mnie nikt i nic zatrzymać nie jest w stanie. Już nie. Czarnoksiężniku, – zwróciła ostrze Mnemozyny w kierunku Kaina – zwalniam cię z wszelkich przysiąg. Jeśli cokolwiek mi się stanie, moi uczniowie pozostaną sierotami. Wolę dla nich taki los, niż oddanie ich pod opiekę zdrajcy.

Patrzyła prosto w jego oczy, jednak nie mogła dostrzec rozpacz i bólu, odbijających się w jego spojrzeniu. Widział je Pistis, którego dłoń kurczowo ścisnęła w swojej wolnej ręce, nie pozwalając mu się oddalić, jednak równie dobrze mógł uznać, że omamiony trucizną wzrok płata mu figle i że tego bólu w ogóle tam nie było. W pewnym momencie Elfka zatrzymała się gwałtownie, jakby coś sobie przypominając, coś, co wydarzyło się bardzo dawno, w odległym, poprzednim życiu. Farys i Sylwan, podążający tuż za nimi, stanęli po obu bokach dziewczyny, zerkając niepewnie to na nią, to na wciąż nie ośmielających się zaatakować kapłanów. Elpis delikatnie odchyliła głowę w bok i uśmiechnęła się paskudnie.

– Ojciec... – w jej głosie strach przeplatał się z fascynacją. – Bestia ruszyła...

Starzec przymknął oczy, a kiedy znów na nią spojrział, jego spojrzenie było puste.

– Wiem. Biegnij, dziecko.

\*\*\*\*

Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Kiedy stali przed świętymi płomieniami, a klasztor wraz z Kainem i kapłanami pozostał z tyłu, Elpis zdała sobie sprawę, że nie da rady zrobić ani kroku więcej. Zachwiała się i upadła, upuszczając na piasek przed swoimi kolanami miecz, ale nie wypuszczając dłoni Elfa. Pistis przykląkł przy niej, sam nie będąc pewnym, czy zdoła jeszcze kiedykolwiek stanąć na nogi, a Farys i Sylwan obrzucili nerwowym spojrzeniem mury, które dopiero co opuścili.

– Musimy iść. Do tej pory nikt nie podjął pościgu, ale nie jesteśmy tu bezpieczni.

Skinęła głową, zaciskając oczy. Do tej pory powstrzymywana przez obecność Belial i jej własne podniecenie trucizna teraz błyskawicznie rozchodziła się po każdej komórce jej ciała, paraliżując i odbierając jej zdolność do ruchu. Bolało ją rozcięcie na policzku, pulsujące gorącem, wciąż nie mogła polegać na zmyśle wzroku, który dostrzegał tylko czerń i ukryte wśród niej błękitne oczy. Nie mogli pozostać w tym miejscu, ich klęska, kiedy zwycięstwo było tak blisko, byłaby wręcz karykaturalna i żalosna. Potrzebowała sił, by podźwignąć się i iść dalej i mimo iż dobrze wiedziała, co w tej chwili by pomogło, nie posiadała tego. Musiała kupić im czas, by mogli oddalić się nieścigani i zregenerować, inaczej wszystko pójdzie na marne, inaczej cały ten ból stanie się bezużyteczny, a zaklęcie, którego mogła użyć tylko jeden jedyny raz, zmarnowane.

Już niemal poddała się rozpacz, kiedy nagle znieruchomiała, a jej ciało mimowolnie przybrało pozycję gotowego do skoku, polującego kota. Delikatny szmer ziarenek piasku usypujących się spod niepodkutych kopyt Leviathana... Rozluźniła dłoń, uwalniając palce kapłana spomiędzy swoich i powoli podniosła w górę głowę. Obserwujący ją Człowiek i Wampir dostrzegali, jak jej górna warga drga nerwowo, odsłaniając kły. Z gardła czarodziejki, niemal bez udziału jej woli, wydobył się złowrogi pomruk. Wstała i od razu, jakby nie dostrzegając nic innego na swojej drodze, ruszyła w stronę Leviathana, najpierw powoli, przyspieszając jednak błyskawicznie. Ostatnie kroki, kiedy piekielny ogier zrozumiał, co zamierza zrobić i zaczęła się cofać, pokonała biegiem.

*Jesteś wolny, nie potrzebuję cię już, zgin i odejść.*

Otworzyła usta i wbiła kły w żyłę na szyi demona.

Ta krew smakowała inaczej od każdej, jaką kiedykolwiek piła, poprzez miliardy lat istnienia nigdy nie spotkała się ze smakiem tak ostrym i tak bardzo parzącym w gardło, tak trudnym do przyjęcia i tak bardzo napełniającym jej ciało mocą i potęgą. Nie przestawała, dopóki demon dosłownie nie znikł w jej rękach, zamieniając się w powiew gorącego wiatru. Otarła usta przedramieniem i przez chwilę stała bez ruchu, przyzwyczajając ciało do rozpierającej je od środka potęgi. Mogła wszystko. Znowu mogła wszystko.

*Astaroth, potrzebuję cię* – wysłała przekaz, a bransoletka na jej ramieniu odpowiedziała pulsowaniem i ciepłem. *Potrzebny mi wierzchowiec, który zanieś mnie na koniec świata, bo Leviathan już tego nie dokona.*

Niebo nad nimi pociemniało, a gorący wiatr zerwał się nie wiadomo skąd, szarpiąc ich szatami i rozplatając warkocze. Towarzysze Elpis z przerażeniem i fascynacją patrzyli, jak tuż przed nimi brązowo-brunatny wąż rośnie i zmienia się. Stawał się coraz większy, łamiąc drzewa i przesłaniając blask słońca, lecz nadal nie przestając rosnać.

Kiedy proces dobiegł końca, mieli przed sobą ogromnego smoka o brązowych łuskach, po bokach i na łapach oznaczonych gdzieś niegdzie złocistymi plamkami. Demon był tak wielki, że przewyższał wierzchołki wszystkich drzew, a w jego oczach przelewało się płynne złoto.

Elfka potrzebowała jeszcze wierzchowców godnych tego, by podróżować z nim ramię w ramię i ponieść na swoich grzbietach jej uczniów. Krew Leviathana, podobnie jak obecność

Belial w jej ciele, nie zwróciła jej oczu, ale sprawiła, że wyczuwała więcej, niż mogła ujrzeć. Doskonale wiedziała, gdzie odnajdzie pozostałe smoki.

Niedaleko ich czekały Stella, Flamme i Nebula, rumaki Elfa, Wampira i Człowieka, które pozostawili tu, zanim weszli do świątyni. Konie, w których piersi nie były serca, konie nie potrzebujące strawy, snu, oddechu czy odpoczynku. Roześmiała się. To było oczywiste i miała to cały czas tuż przed oczyma, ale dostrzegła dopiero, gdy stała się ślepa. Podeszła do białego, rudego i popielatego wierzchowca i przyklękła na ziemi przed nimi.

– Przeklęte duchy, ukażcie swoje prawdziwe oblicze. Jeźdźcy potrzebują waszych skrzydeł. Teraz.

\*\*\*\*

Kiedy w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą rosły graby, cztery potężne smoki rozpościerały skrzydła pośród połamanych niczym zapalki szczątków pni; kiedy na grzbietach białego, stalowoszarego i ogniście czerwonego potwora, pośród ostrych fusek, niczym w wygodnych siodłach, czekali na swoją przewodniczkę trzej adeptki, Elpis, stojąc nadal na ziemi, spoglądała na sylwetkę klasztoru, majaczącą niczym maszt statku na tle szarości nieba. Myślała o ucieczce, uświadamiając sobie z całą mocą, że samo wzbicie się w niebo nie wystarczy, trzeba było jeszcze zabezpieczyć tyły. Nie mogła dopuścić, by udała się za nimi pogoń. Potrzebowali czasu i tylko ona mogła im ten czas kupić, a to sprawiło, że została jeszcze jedna rzecz, którą musiała zrobić, zanim sama dosięgnie brązowo-złotego smoka.

Zamknęła oczy, ale wytrzymała tak tylko chwilę, po czym syknęła z bólu i zamrugowała gwałtownie. Zaklęła cicho i podjęła próbę po raz drugi, siłą zmuszając się do wytrwania. Było lepiej i już czuła, że tym razem jej się uda, gdy z całą mocą uderzyła w nią świadomość własnego błędu. Zaczynała od końca, było coś jeszcze, coś co wymagało o wiele więcej siły i przerażało bardziej. I od tego właśnie należało zacząć.

Wstrząsnęła się, jak po wynurzeniu z nurtu rwącej rzeki, powstrzymując formujący się w jej wnętrzu czar. Odwróciła się i zwróciła oczy tam, gdzie spodziewała się ujrzeć sylwetkę białego demona i jego jeźdźca. To, że kapłan tam był, potwierdzał metaliczny zapach krwi z rozciętego policzka. Westchnęła głęboko, gorączkowo starając się zebrać myśli. Farys i Sylwan poruszyli się niespokojnie.

– Pistis, ja... – głos uwiązał jej w gardle, kiedy usłyszała, jak Elf gwałtownie chwyta powietrze w oczekiwaniu na jej słowa.

Poległa, zanim w ogóle zaczęła. Cholera! Poczowała, jak pod powiekami gromadzi jej się piekący piasek. To było żalosne, niby była wielka i potężna, a teraz czuła się po prostu żalosna.

– Pistis... – spróbowała jeszcze raz. – Pewnie i tak nigdy nie uda mi się powiedzieć tego, jak należy, ale...

– Elpis! – przerwał jej przerażony krzyk Człowieka. – Na Boga, nie teraz!

Zabrzmiało to zupełnie, jakby informował ją, że już do reszty postradała zmysły.

I właśnie to sprawiło, że obudził się w niej bunt. Niech wszyscy diabli porwą tą pieprzoną bańkę, którą zbudował dla niej Kain! Niech wszyscy diabli porwą Kaina i jej przeklętą dumę też niech diabli biorą! Miała dość.

– Właśnie teraz! – odzyskawszy zdolność mowy, wyrzucała słowa szybko i nieskładnie, jakby bojąc się, że tym razem też jej się nie uda. – Bo Kain nie nauczył mnie inaczej. Bo wcale mnie nie nauczył... W ogień i na śmierć, dobrze... Elohim mówił o odwadze, o poświęceniu i męczeństwie. Pytał, czy odnalazłabym w sobie tyle siły, by podążać za krzyżem aż do końca. Ja... nie potrafiłam mu wtedy odpowiedzieć, teraz wiem. Gdybym to ja była tą dziewczyną, za nic nie poszłabym jej drogą. Nie byłoby tej pieprzonej płaskorzeźby w waszej pieprzonej świątyni. Nie byłoby żadnego przeklętego krzyża, żadnych pieprzonych męczenników. Bo to wszystko

brednie, bo kiedy ktoś, kto jest całym światem... Cholera! Myślałam, że mam największego nauczyciela ze wszystkich. Nauczył mnie walczyć mieczem i toporem, strzelać z łuku też mnie nauczył. Pokazał mi, jak w walce pokonać przeciwnika i odebrać jego broń, jak zabić gołymi rękami, pić krew i zaklinać moc żywiołów, nawet powracać po śmierci. Ale nie nauczył mnie tańczyć na linie nad przepaścią i dlatego spadniemy. Ale nie dziś. Cholera, po stokroć cholera! Pieprzenie – roześmiała się nerwowo. – To wszystko pieprzenie. A tak naprawdę chciałam tylko, byś wiedział... W ogień i na śmierć. Widziałeś śmierć, teraz pora na ogień. I zaklinam cię, patrz uważnie, bo ja wyraźniej już nie potrafię tego powiedzieć.

Czar, utrzymywany w jej wnętrzu i wzmacniany przez wzruszenie, jakie odczuwała, zaczął jakby żyć własnym życiem, za wszelką cenę usiłując wydostać się na powierzchnię. Najpierw jej dłonie, a potem całe ciało zaczęło trząść się, jakby była szmacianą lalką w rękach rozwydrzonego dziecka. W jej wnętrzu szalały płomienie, wściekła zawierucha czarnego ognia, wirująca na kształt tornada, niepokonanego w swojej wściekłości.

Człowiek pierwszy dostrzegł małe ogniki, rozpoczynające swój żywot w kilku miejscach jednocześnie, tworzące prędko zamykający się pierścień wokół świątyni. Płomień rozprzestrzenił się prędzej niż zwykły ogień, nawet ten rzucany przy użyciu czarów, zamykając budynek świątyni wraz z uwięzionymi w niej kapłanami za szczelną, wybuchającą ponad wierzchołki drzew ścianą stworzoną z czarnych płomieni. Wieczny ogień, którego nikt, choćby nie wiadomo jak potężny, zgasić nie jest w stanie. Czarne płomienie same muszą wypalić się i umrzeć, dopiero wtedy możliwe będzie opuszczenie kręgu.

Elpis czuła jak powoli wraca do niej świadomość, kolana miała jak z waty, ale nie upadła. Pochyliła się tylko i podniosła z ziemi Mnemozynę, oręż którą wykradła samej Belial i z mieczem w ręku wdrapała się na grzbiet Astarotha. Czarny ogień dał im czas, teraz musiały szukać ratunku. Kogoś, kto znajdzie lekarstwo na trujące zioła i miejsce, gdzie będą bezpieczni i będą mogli w spokoju wyleczyć rany i zregenerować siły. Musiały ich poprowadzić. Dokąd? Nie miała pojęcia. Ojciec i nauczyciel, od którego wyglądała rady, zdradził, wszystko szło nie tak, na cztery anioły, które spotkała, dwa zginęły z ręki jej i Elfa, jednego mając niemal w garści, puściła wolno, tylko Astaroth nadal był przy niej.

Musiały zebrać myśli, przewartościować wszystko, spojrzeć na nich i na siebie świeżym okiem, odpocząć. Ufali jej i czekali na jej decyzję, a ona czuła, że jest pusta, że nie ma w niej nic zdolnego, by decydować i działać. Jednak to ona musiała dziś wybierać.

I wtedy zrobiła coś, do czego wielokrotnie wracała podczas długich dni i jeszcze dłuższych nocy uwięzienia i głodu. Niezliczoną ilość razy miała potem analizować ten krok i zastanawiać się, czy żałuje, za każdym razem dochodząc do tego samego wniosku. Czy mogła postąpić inaczej? Jeśli chciała pozostać wierna dokonaniem przez siebie wyborowi, odpowiedź była przerażająco jednoznaczna. W tej chwili liczyli się tylko oni, straciwszy wszystko, nie mogła dopuścić do utraty ich. Jeśli chciała, by przeżyli, musiała pozostać wierna.

Nie mogła ich zobaczyć, musiała więc wierzyć, że podążą za nią. Wiara... Byli jej wiarą.  
*W ogień i na śmierć, po zatraceniu... Niech tak będzie.*

Poderwała w górę ostrze Mnemozyny i wzniosła ku niebu zakrwawiony brzeszczot. Krzyk był przypięczeniem wyboru, ostatecznym zaakceptowaniem dawno obranej ścieżki.  
– Naprzód, w jądro własnych lęków! Tam, gdzie śmierć ich nie dosięgnie!

Z gardzieli czterech bestii dobył się ryk, będący niczym obląkańczy zaśpiew rozszałego tornada. Błoniaste skrzydła brązowo-złotego smoka zakryły błękit nieba, kiedy olbrzym wzbijał się do lotu, unosząc ze sobą drobną figurkę dziewczyny, ściskającej w dłoni rękojeść miecza, drugą dłonią kurczowo otaczającej owalny kamień, w którym tańczyły ogniste odblaski.

*Chroń ich. Ocal ich. Pozwól im przetrwać.*

Biały, stalowy i czerwony demon poderwały się z ziemi zaraz za nim, wzniecając podmuch, podsycający czarne płomienie.

W jądro lęków.

Tam, gdzie śmierć za nimi nie podąży.

Po koniec świata.

*Karolina Malecka*

*lipiec – 2013*

# Część druga

Pistis

*Nigdy, nikomu nie pozwól sobie wmówić, że wyboru nie ma. Czasem jego dokonanie niewiele, albo niemal zupełnie nic nie zmienia w twoim położeniu, czasem może to być tylko tchórzliwe skomlenie lub odwaga i pogarda w obliczu wroga lub śmierci, ale liczy się świadomość tego, że nie jesteś bezrozumną marionetką, za sznurki której ktoś pociąga. Rozumiesz?*

Pióra opadały powoli, łagodnie kołysane przez delikatne podmuchy wiatru. Te większe, brązowo-popielate, sunęły dostojnie i niemal wprost ku ziemi, lżejsze – jasne z brunatnymi plamkami – dłużej wisały w powietrzu, tańcząc na podobieństwo płatków śniegu. Dłoń o długich i cienkich palcach, wzniesiona ku górze, co jakiś czas trącając któreś z nich, zakłócała harmonię majestatycznego tańca.

Dziewczyna była naga, okryta płaszczem z piór i długich, kryjących biodra czarnych włosów. Leżała na plecach, prawą ręką tuląc niewielki kształt do piersi, lewą wyciągnęła ku niebu, w zamyśleniu błędząc palcami wśród wirujących piór. Czysto zielone oczy utkwiała w jakimś punkcie ponad sobą, uśmiechała się lekko, ale jej spojrzenie było poważne.

*Największym i najstraszliwszym z demonów zwykle bywa własny lęk. Dlatego nie boję się. Czy jestem pewna? Nigdy nie będę pewna, ale odnalazłam w sobie siłę, by wierzyć. Bo czymże jest Nadzieja bez Wiary? Pustym dźwiękiem, który nic nie znaczy i nic nie może.*

Wylądował tuż obok niej, tak blisko, że mogłaby, szybko podpierając ciało na łokciu, obrócić się w jego stronę i dotknąć opuszkami palców piór na jego grzbiecie. Nie zrobiła nic takiego, nie spojrzała na niego nawet, uśmiechnęła się tylko nieco bardziej świadomie, a zieleń jej oczu zamigotała ciepło.

*Czymże jest Nadzieja bez Wiary?* – zapytała.

*Czym jest Wiara bez Nadziei?* – odpowiedział orzeł, obracając głowę w tył i muskając dziobem brązowo-popielate skrzydła.

Pokiwała głową, zgadzając się.

*Wiedziałam, że przybędziesz. Chociaż nie spodziewałam się ciebie tak wcześnie. Witaj, Nieokielznany.*

Nadal na niego nie patrzyła. Orzeł za to zdawał się przewiercać ją na wylot spojrzeniem ognistożółtych tęczówek. Wokół nie było nic, absolutnie nic, tylko oni dwoje, jedyne żywe istoty w zamartym nagle świecie, pośród deszczu piór spadających z nieba, którego sklepienia nie można było dostrzec gołym okiem. Dziewczyna kreśliła ręką w powietrzu skomplikowane ścieżki, markując chwytanie piór. Orzeł odrzucił głowę na grzbiet i zatrzepotał skrzydłami, po czym krzyknął krótko. Dłoń błędząca w powietrzu drgnęła i zamarła w bezruchu, kiedy nieregularny kształt, spoczywający na piersi dziewczyny, zafalował lekko. Na jej usta powoli wypłynął rozmarzony uśmiech. Opuściła i splotła ze sobą palce obu dłoni, zamykając kształt w kołysce ramion. Przechyliła głowę w bok, po raz pierwszy spoglądając na siedzącego obok drapieżnego ptaka.

*Jam jest Lupo Nigro, a oni są moimi szczeniętami.*

Pośród orlich piór i czarnych włosów powoli budziły się młode Wilczki. Białe, popielaty

i rudy. Małeńkie i bezbronne, z mięciutkim włosiem, delikatnym niczym puch dmuchawca, z pazurkami, które jeszcze nie wyzbyły się niemowlęcej miękkości, z igielkami białych kielków, ledwo przebijających zapórę dziąseł. Rozglądały się ciekawie, jednocześnie tuląc się do ciała dziewczyny i nie znajdując w sobie odwagi na to, by wystawić główki poza barierę jej ramion.

*Są moimi szczeniętami, dlatego nie pozwolę, by ktokolwiek ich dotknął, zanim będą gotowi. A kiedy już będą gotowi...*

Obraz się zmienił, znikły pióra, wiatr przybrał na sile. Dziewczyna nadal leżała, po obu jej bokach, ściśle przylegając do jej ciała, jednak znacznie przewyższając jego długość, spoczywały popielaty i rudy Wilk. Łby zwierząt, uniesione w górę, nieufnie obserwowały intruza, a ich uszy drgały niczym wielkie radary, wrażliwe na każdy szmer i ruch. Orzeł przechylił głowę, na co spoczywający u stóp dziewczyny biały Wilk uniósł się na łapach i zawarczał głucho, obnażając imponujące kły. Dziewczyna uśmiechnęła się i przesunęła dłonią po futrze leżącego po jej prawicy drapieźnika, jednak uśmiech zamarł na jej ustach, a palce dłoni zacisnęły się, natrafiając na pustkę. Na jej twarzy odmalowały się lęk i niedowierzenie. Przeniosła wzrok na własną pierś, tam gdzie jeszcze przed chwilą spoczywały ciepłe ciała szczeniąt.

Zafurkotały przecinające powietrze skrzydła, kiedy obserwujący ją orzeł o ognistożółtych tęczęwkach zerwał się do lotu. Ptak wzbił się w górę, a potem zaczął gwałtownie opadać wprost ku twarzy dziewczyny.

*Ciemność jest nie tylko brakiem światła, jest czymś znacznie więcej. Zawróć.*

*Nie. Za późno.*

*Czymś znacznie więcej. Jesteś pewna?*

*Nigdy nie będę pewna. I nigdy nie zawrócę.*

Orzeł pikował w dół, coraz prędzej i prędzej. Dziewczyna zacisnęła powieki, ale nie osłoniła się dłonią. Ptak rozpostarł skrzydła, zatrzymując się tuż nad jej twarzą, na jedną krótką chwilę. W tym samym momencie dziewczyna spojrzała, po raz pierwszy prosto na niego, jakby dopiero teraz tak naprawdę zauważając jego obecność. Jej wargi poruszyły się leciutko, a głos, jaki się z nich wydobył, był cichszy od szeptu.

*Proszę, wypowiedz moje imię...*

Orzeł krzyknął i zanurkował wprost w zielone sadzawki jej oczu i na pół uderzenia serca kapłan przeraził się, że królewski ptak zwyczajnie wylupi je dziobem, ale nagle zrozumiał, z niezmaconą pewnością, która narodzić się może tylko w sercu kogoś, kto śni, że dziewczyny wcale tu nie ma, a jej oczy są wrotami, przez które trzeba przejść. Zielone tęczęwki rosły, aż pochłonęły go całego i znalazł się wśród oparów gęstej, nefrytowej mgły, na środku zamarzniętego jeziora, którego brzegi zniknęły mu z oczu.

*Nie jestem już orłem – zrozumiał. Orła nigdy tu nie było, jestem Elfem. I nie jestem sam.*

Roztańczony, rozmigotany płomień, sunie z dużą prędkością po lodowej tafli, ale mimo to lód nie topnieje. Postać samotnego jeźdźca, otulonego luną pożogi, rośnie i staje się coraz wyraźniejsza. Wojowniczką dzierżącą w dłoni pochodnię. Jedna osoba i jeden płomień. Upiór w rozwianych na wietrze czarnych włosach, dosiadający konia czarnego niczym grzech. Końcówki włosów, spływające na koński zad, zdają się spajać w jedność jeźdźca i jego rumaka, jakby profil dziewczyny wyrastał wprost z jego grzbietu.

Odłamki lodu odpryskują spod kopyt rozpedzonego wierzchowca, a w melodię wybijaną przez kopyta płynnie wplata się morderczy zaśpiew wilczej watahy. Wilków nie widać, pozostają skryte we mgle, kiedy wojowniczka ostrym szarpnięciem osadza konia na miejscu, tuż przed nim. Zwierzę nie chce się uspokoić, parska i prycha, wyrzucając parę z nozdrzy, tańczy, podrzucając w górę przednie pięciny i drobiąc kopytami, wyraźnie niecierpliwie, wściekle za tę

chwilę zwłoki.

Jej oczy patrzą surowo i poważnie, na pozór spokojne, szaleństwo ukryte jest w źrenicach, głęboko za zasłoną zieleni, ale mimo to, a może właśnie dlatego, tak doskonale widoczne. Skóra wokół oczu powinna być biała, ale biel łamią dwa poprzeczne, namalowane krwią pasy, biegnące przez całą długość twarzy.

Wilki zacieśniają krąg, miękko stąpając po lodzie, nadal ich nie widać, nie słysząc ich kroków. Jednak są tu. Ich pazury i kły czekają na znak obłąkanej wojowniczk.

– Czym stanie się Nadzieja, gdy zabraknie Wiary? Co się z nią stanie, gdy wszystkiego zabraknie? Powiedz mi – rozkazuje.

W głosie dziewczyny wyraźnie przebija się niepokojąca nuta chorej, podszytej rozpaczą fascynacji.

– Elpis...

Jej imię jest jedynym, co przychodzi mu do głowy. Koń gwałtownie odskakuje, a dziewczyna wyrzuca przed siebie otwartą dłoń, zasłaniając się jak tarczą i energicznie potrząsa głową, zaprzeczając. Czarne pasma włosów rozsypują się, muskając naznaczone krwawym malunkiem policzki.

– Elpis.

– Nie! Mnie nie można zatrzymać! Tym razem nawet ty... Pokażę im Samaela! – w jej głosie wibrują furia i szaleństwo, słowa przybierają formę krzyku. – Pokażę Paruzję! Dam im mściwego Boga, pijanego krwią! Dzień Gniewu Bożego... Dzień mojego gniewu! Patrz!

Koń podrzuca przednie kopyta do góry i przez chwilę dziewczyna z płonąca pochodnią w ręce jest zawieszona pomiędzy niebem a ziemią. Niepodkute kopyta opadają na lód, krusząc go i łamiąc. Odsłaniając jego prawdziwą naturę. Bo to nie lód trzaska pod kopytami, to nie na lodzie koń tańczy. W ciszę nocy wdziera się gwałtem zaśpiew tysięcy wilczych gardeł, a jej czerń łamie luna pożaru.

– Bo tylko krwią można zapłacić. Tylko krwią można zmyć krew.

Szalona wojowniczka tańczy na stercie ludzkich kości i czaszek, a szepty w ciemności stają się wrzaskiem. Nie ma już pochodni. W ręku dziewczyny płonie miecz, a pożar szaleje w jej wnętrzu i wokół niej. Świat płonie. Wojowniczka śmieje się w głos.

– Chodźcie tu! I bierzcie mnie!

*Widzę cię, pani. Jesteś płomieniem, tańczącym na lodowym cmentarzysku, na którym spoczywają upiory. Jesteś płomieniem, a ten płomień pali nas oboje. Wyciągasz do mnie ręce, ale ja boję się chwycić w palce płomień. Boję się... A przecież przysięgałem.*

– Taką mnie stworzyli. Pan i sługa, który Go zdradził. Ale ja nigdy nie byłam sługą.

– Tylko krwią można zmyć krew i tylko krwią można za krew zapłacić.

– Proszę, wypowiedz moje imię...

Otworzył usta. Do krzyku.

Obudził się i usiadł gwałtownie, zlany potem, przepłacając szybki ruch mdłościami i zawrotami głowy. Krzyk wibrował mu w uszach, przeraźliwy i nieustający. Wczepiając palce w miękki materiał koca, którym był okryty, Elf myślał o tym, że nie zniesie tego ani chwili dłużej, że zwariuje, jeśli ten ktoś, niewidoczny dla niego, ale z pewnością znajdujący się bardzo blisko, nie ucichnie.

Wtedy ją zobaczył. Siedziała w pewnym oddaleniu od niego, wspierając twarz na splecionych dłoniach i obserwując go spokojnie. Zmuszając się do wysiłku, który jeszcze przed chwilą wydałby mu się niemożliwy, zamknął usta. Krzyk się urwał, pozostawiając ciszę, jeszcze bardziej napastliwą i niepokojącą. Przymknął oczy, spazmatycznie chwytając powietrze i walcząc z coraz silniejszymi zawrotami głowy. Kiedy znów rozchylił powieki, jej miejsce było



puste. Zamrugał, zdezorientowany, nakazując samemu sobie spokój i dążąc do wyostrenia obrazu, na który składały się w tej chwili rozmyte plamy przeróżnych kształtów i kolorów. Ich nierealność podkreślał jeszcze pełgający płomień rozstawionych po pomieszczeniu świec.

Wciągnął powietrze, chłonąc w płuca zapach wilgotnej ziemi, korzeni i skał. Jeśli jeszcze nie zwariował, a jego umysł nadal był zdolny do trzeźwych sądów, znajdował się pod ziemią, ale nie w jaskini. Zdążył jeszcze zarejestrować, że niedaleko jego posłania spoczywają trzy postacie. Bładego Sylwana i niemal dorównującego mu w tym względzie Farysa rozpoznał natychmiast. Twarz Elpis była dziwna, makabrycznie zmieniona przez biegnące od skroni poprzez lewy policzek aż do kącika ust głębokie rozcięcie, ale z pewnością była to ona. Zaraz potem świat wokół zawirował i coś z dużą siłą walnęło go w plecy i tył głowy. Potrzebował dłuższej chwili, by zorientować się, że tym czymś była ziemia, na której wcześniej leżał, a do niedawna udawało mu się utrzymać pozycję siedzącą. Jęknął, widząc pojawiające się nie wiadomo skąd tysiące czarnych motyli, przesłaniających jeszcze bardziej obraz, trzepoczących skrzydłami tuż przed jego oczyma, wywołując szum i szelest, zdający się pulsować gdzieś wewnątrz czaszki. Drugiej próby wstania nie podjął.

Lewą część twarzy szarpał wściekły ból, jakby ktoś przykładał mu do policzka rozżarzone żelazo. Z najwyższym trudem, nawet nie usiłując zapanować nad drżeniem ręki, udało mu się dotknąć dłonią miejsca, z którego ból promieniował. Pod palcami wyczuł lekko gorąco, pulsujące wściekle na całej długości szramy. Szramy biegnącej od skroni aż do kącika ust. Takiej samej jak u Elpis.

Pamiętał jak przez mgłę. Chłód posadzki, na której kłęczał i leżący w jego stronę sztylet. Srebrny. Z grawerunkiem przedstawiającym pędy winorośli oplatających rękojeść. Dziwne, ale grawerunek zapamiętał bardzo dokładnie, mimo że akurat ta informacja nie miała absolutnie żadnego znaczenia. A potem ból i krew. Nie, najpierw krew. Jego, ale też jej, a potem...

Najpierw dotarł do niego zapach wiatru i piór, po chwili poczuł, jak na jego ręce zacisnęła się czyjaś dłoń, a ktoś łagodnie ale stanowczo zabrał jego dotykające szramy na policzku palce. Zacisnął powieki i potrząsnął głową, za wszelką cenę starając się odegnać czarne motyle. Otworzył oczy, powoli wyłaniając z otaczającej go rozedrganej mgły kontur twarzy pochylonej nad nim kobiety. Tak, potem była ona. Długo potem. Jeszcze wcześniej był lot, trwający tak długo, że chyba każdy z nich zwątpił w to, że zdoła się utrzymać i nie poszybować w dół, wprost na skały, po śmierć.

Jednak zdołali. A potem zjawiła się ona. Dziwna dziewczyna, która nadeszła nie wiadomo skąd.

– Usiądź – nakazała mu krótko i stanowczo.

Nie próbował protestować. Powoli, z trudem dźwigając odporne ciało na łokciach, udało mu się spełnić rozkaz. Podtrzymując plecy Elfa, pomogła mu się wyprostować, zapach piór stał się bardziej intensywny. Piór i deszczu. Na zewnątrz padało. Jej białe niczym mleko, pachnące piórami włosy, były wilgotne i przyjemnie chłodne. Przytknęła mu do ust jakieś naczynie.

– Pij.

Posłusznie zmusił się do przełknięcia dwóch czy trzech łyków, po czym zakrztusił się i usiłował odsunąć naczynie ręką.

– Pij – powtórzyła. – Powoli. Musisz spać, by pozwolić ranie się zagoić. Ona też musi spać. To zioła. Sprowadzą sen i uśmierzą ból. Jej nie mogę tego podać, ale wasze połączenie nadal działa. Jeśli ty je wypijesz, ona też odczuje ich działanie. Wiem, że boli, rozcięcie jest bardzo głębokie. Za chwilę przestaniecie odczuwać ból. Oboje. Pij.

Wypił. Do dna. Napój był chłodny, mimo to zdawał się smagać ogniem wnętrze lewego policzka. Nie potrafił rozpoznać smaku wszystkich składników, jednak oprócz zwyczajnych,

o niewinnie brzmiących nazwach, takich jak rumianek, melisa, wrzos czy arcydzięgiel, były tam z pewnością lulek czarny, senniczka i wilcza jagoda. Więc mieszanka była w zasadzie ziołowym narkotykiem. Napar działał szybko, sprowadzając senność i odrętwienie. Białowłosa dziewczyna pomogła mu wrócić do pozycji leżącej, dzięki czemu tym razem opadł na posłanie miękko i bezpiecznie. Przymknął oczy, ale po chwili znów je otworzył, obserwując jak nieznajoma wyżyma zamoczone w niewielkim drewnianym cebrzyku bandaże. Obraz zaczął się rozmywać i oddalać.

– Gdzie jest Stella? – zapytał z trudem.

Nie odpowiedziała. Usiadła obok niego i przyłożyła bandaże do rany. Poczł kojący chłód i mocny zapach dziurawca, rdestu i jaskółczego ziela. Wkrótce potem nie czuł już nic.

– Zaśnij – powiedziała cicho, odgarniając z czoła Elfa spocone włosy w kolorze kasztanów.

Zasnął.

# Rozdział 14

## Król Olch i Królowa Upiorów

Lecieli długo. Bardzo długo. Dzień stał się nocą, a noc na powrót zaczęła przybierać barwy poranka. Elpis nie potrafiła powiedzieć, ile razy zaciskała zęby, powstrzymując się od zaklania niosącego ją Astarotha, by się zatrzymał. Nie była w stanie określić, jak wiele razy myśli o kłęsce powstawały w jej głowie i jak bliska była tego, by im ulec. Gdyby ją zapytano, gdyby nawet chciała udzielić odpowiedzi, nie potrafiłaby zliczyć chwil, w których była o krok od wypuszczenia z odrętwiałych palców rękojeści miecza i od całkowitego zaprzestania walki o utrzymanie się na grzbiecie smoka. Nie wiedziała, ile razy błaganie o zaprzestanie ucieczki, choć na chwilę, o odpoczynek, sen, o lądowanie gdziekolwiek niemal wyrwało jej się z gardła.

Wiedziała jedno. Nie mogła pozwolić, by to błaganie rozbrzmiało. Nie wolno jej było nawet na chwilę zaprzestać podtrzymywania mocy zaklęcia, pozwalającego jej towarzyszom i jej samej na utrzymanie się na grzbiecie bestii, mimo iż ramiona dawno już osłabły, a ręce i nogi odmawiały posłuszeństwa. Na moment nie mogła poluźnić magicznych splotów, których moc niemal spajała w jedność ciała wierzchowców i jeźdźców. I nie mogła się zatrzymać. Czas, który straciliby na postoju, mógł okazać się nie do odrobienia.

Po raz pierwszy ze zgrozą zdała sobie sprawę, że nie ma pojęcia o roślinnych truciznach i ich działaniu na organizmy. Nie potrafi nawet rozpoznać poszczególnych ingrediencji, bo wszystko poza krwią ma dla niej smak smoły i błota, więc o sporządzeniu odtrutki nie może być mowy. Tego Kain jej nie uczył. I nawet nie mogła mieć teraz o to do niego pretensji, nie mogła obarczyć go winą. Gdyby jej dawny mistrz w czasach, kiedy panowały pomiędzy nimi najlepsze stosunki, zaproponował jej lekcję na temat trucizn i sposobów na ich zneutralizowanie, kazałaby mu pewnie iść do diabła. Może nawet wysłuchałaby z chłodnym opanowaniem tego, co miałby jej do przekazania siwobrody starzec, przyjmując naukę, jednak uważając ją za głupią i kompletnie niepotrzebną, mniej więcej w równym stopniu jak umiejętność tańca dworskiego, haftowania arrasów czy płynnego posługiwania się heksametrem sylabotonicznym.

Trucizny nie mogły jej zabić. Nic nie mogło jej zabić. A nawet jeśli, zawsze potrafiła powstać. Zawsze. Poza tym jednym, jedynym razem.

A jeśli trucizna krążyła w ciele kogoś z jej towarzyszy, zakładając oczywiście, że ktokolwiek jej akurat towarzyszył, co nie zdarzało się często, cóż... Jako spowalniający jej ruchy i bezużyteczny, zostawał gdzieś na szlaku z otwartymi na zawsze oczyma i sercem zatrzymanym mocą jej zaklęcia, by nie mógł zdradzić jej przed nikim i nic powiedzieć. Tak było w porządku. Aż do dziś.

Ludzie i tak umierali, ich życie był mało znaczącą chwilą w historii świata, a jednostki niewiele mogły zmienić, były niczym przekwitające dmuchawce, delikatne i kruche i znaczące dla niej dokładnie tyle samo. Jeśli jechała łąką, nie wstrzymywała konia, by omijać dmuchawce, które po kilku dniach i tak ginęły. Nie przerywała też zadania, jakiegokolwiek by ono nie było, by ratować życie, które wkrótce i tak musiało zgasnąć – od choroby, zabłąkanej strzały, starości. Elfy były bardziej długowieczne, ale w porównaniu z niekończącym się trwaniem, które stało się jej udziałem, walka o ich nieco dłuższe życie nie miała sensu. Były niczym krzak róży obok dmuchawca. Zakwitały z wiosną i cieszyły się życiem i pięknem aż do późnej jesieni, ale zima niezmiennie odnosiła nad nimi zwycięstwo.

Wampiry stanowiły odrębną, niebezpieczną kategorię. Były obietnicą, nie mogącą się

spełnić, jednak niezwykle realną i kuszącą. Mit o niemożliwości zabicia Wampira był wśród pospólstwa rozpowszechniony tak bardzo, jak paradoksalnie ten o zabójczym wpływie promieni słonecznych na jego organizm. I dokładnie tyle samo miał wspólnego z prawdą. Sylwan, bezpiecznie podróżując w pełnym słońcu, stanowił żywe zaprzeczenie drugiego mitu, ona sama przeczyła pierwszemu. Bo zabijała już Wampiry. Wiele razy. Wampiry były niczym drzewa, które musiały paść pod ciosami wprawnego i znającego swój fach drwala.

A ona była górą, potężną i wieczną.

I nagle okazało się, że to wszystko to brednie. Że jest w stanie spuścić lawinę potężnych głazów, zdolnych roztrzaskać ściany góry i zetrzeć ją w pył, by ratować róże i dmuchawce. I dlatego musiała wytrzymać. Dlatego nie przestawała szeptać zaklęć, dlatego ani razu nie poprosiła Astarotha o odpoczynek, dlatego nie upadała.

Kiedy zdała sobie sprawę, że dotarła do granicy, że nie zdoła już chwili dłużej osłaniać ich ani siebie, kiedy po dłuższym, mozolnym dochodzeniu źródła osobliwej słabości, biorącej w posiadanie jej ciało z przerażeniem doszła do wniosku, że zaraz po raz pierwszy w życiu naprawdę zemdleje i że nic nie może na to poradzić, nie potrafi powstrzymać tego, co się dzieje, bo niemoc, którą odczuwa, nie jest jej własną słabością, a odbiciem tego, co w tej chwili dzieje się z Pistisem, brązowo-złoty smok pochylił się do przodu i zaczął łagodnie opadać. W ślad za nim podążyły biały, czerwony i stalowo-szary, niosące Elfa, Człowieka i Wampira.

Całym ciałem przylegający do chropowatych łusek Nebuli Sylwan z pełną rezygnacją akceptacją zarejestrował, że lądowanie odbędzie się dokładnie na granicy puszczy i otwartej przestrzeni. Nie miało to w tej chwili żadnego znaczenia. Podobnie jak to, że drzewa były zielone, pokryte liściem niczym podczas najpiękniejszych dni lata, a przestrzeń porastała trawa, po śniegu nie było śladu. Z podobnym zainteresowaniem przyjąłby fakt, że ich lądowiskiem będzie skalista ściana, wznosząca się prostopadle nad przepaścią bez dna, na której bestie zawisną niczym nietoperze, wczepiwszy się uprzednio pazurami w twarde kamień. Miał dość. Nigdy jeszcze, w całym swoim życiu nie miał tak bardzo dość i nigdy tak bardzo nie walczył, by wytrwać, wbrew wszystkiemu, wbrew pogardzie śmierci, z którą tak pysznie się obnosił nie tak dawno przecież, w pustelni Kaina.

Olbrzymie wierzchowce osiadły na ziemi nadspodziewanie miękko. Czarodziejka i jej trzech towarzysze oczekiwali wstrząsu i gwałtownego zderzenia, ale do niczego takiego nie doszło. Mimo to długo jeszcze cała czwórka nie śmiała opuścić bezpiecznych grzbietów osobliwych rumaków, które ich tu przywiodły, ani słowami naruszyć ciszy. W najmniejszym stopniu nie pomagało to, że teraz, kiedy świat wokół przestał kołysać się i drzeć, kołysanie nadal trwało w ich wnętrzach, wywołując wzbierające i odbiegające fale mdłości i utrudniając czy nawet wręcz uniemożliwiając dłuższe skupienie się na otaczającej ich przestrzeni.

Elpis, czując zbliżającą się kolejną falę słabości, nie czekając aż rzeczywiście zemdleje, pierwsza zdecydowała się zejść na ziemię. Wyczulając wszystkie zmysły, ostrożnie przerzuciła stopę ponad łuskami, wśród których siedziała, starając się pozbawionymi czucia palcami wolnej dłoni wychwycić jakiegokolwiek punkty zaczepienia, które pozwolą jej bez przeszkód zsunąć się po twardym grzbiecie Astarotha, nie wypuszczając jednocześnie miecza z drugiej ręki. Przewyciężenie słabości i dotarcie na dół na własnych nogach z pewnością wyglądałoby o wiele godniej i wywarłoby na obserwatorach lepsze wrażenie. Nie musiała bawić się w udawanie silnej i niewyciężonej przed własną drużyną, myślała raczej o tym, kto pozostawał na razie ukryty za zasłoną drzew. A że ktoś tam był i śledził uważnie każdy ich ruch, czuła całą sobą; za długo żyła, za wiele razy znajdowała się w podobnej sytuacji, by jej teraz nie rozpoznać.

Poległa jakoś na trzecim stopniu z łusek, czyli na samym początku drogi, kiedy stopy zaplątały jej się w za długi materiał kapłańskiej tuniki, w którą ubrały ją Elfy ze świątyni, a która

podczas ucieczki zdążyła poszarpać się i podrzeć w wielu strategicznych miejscach, między innymi na samym dole. Walcząc o odzyskanie utraconej równowagi, uderzyła barkiem w coś przypominającego twardością i fakturą gład, a będące najprawdopodobniej po prostu udem Astarotha. Krótki lot zakończył się równie niespodziewanie, jak rozpoczął, Elpis nagle z całą mocą zderzyła się z podłożem, amortyzując upadek obiema dłońmi, miecz odrzuciła już jakiś czas temu, mimo to impet uderzenia na chwilę odebrał jej zdolność do oddychania. Kiedy ją odzyskała, w ustach poczuła smak ziarenek piasku i krwi.

*Nie, nigdy, przenigdy nie byłam kapłanką – pomyślała, wypluwając na trawę piasek i krew. Nigdy. I wiesz co, Pistis? Ty lepiej zostań, gdzie jesteś, bo jeśli będę musiała teraz odczuć twój upadek, to z pewnością zemdleję, a chociaż tego chciałabym sobie oszczędzić. Nigdy mnie byłam kapłanką – powtórzyła przekaz, dźwigając się na dłoni i ocierając wargi wierzchem dłoni. A kiedy znów będę mogła mówić bez obaw, że rozerwę sobie przy okazji po raz kolejny pół twarzy, powiem ci bardzo dokładnie, jakie mam zdanie o tych pieprzonych kapłańskich szatach, za długich i za wąskich, a przez to nie nadających się do niczego, poza dreptaniem gęsiego za świętym mistrzem. Powiem ci bardzo dokładnie, co myślę o milczeniu i niepojętym dla mnie zwyczaju nie podnoszenia oczu na twarz tego mistrza, o warkoczach i o ściętych, umierających różach, będących jakoby symbolem życia. Nawet o małych, zgrabnych sandałkach na delikatnym koturnie, tak wygodnych, że zrzuciłam je już w pierwszej godzinie lotu. Lotu! I zapewniam cię, że tobie, kapłanowi od dziecka przyzwyczajanego do tych kuriozalnych rzeczy, nawet do głowy by nie przyszło, że można o tym mówić w taki sposób.*

Elf nie znalazł siły, by jej odpowiedzieć, ale po łagodnym cieple, którym promieniował zawieszony na jej szyi amulet, domyśliła się, że zdołał odebrać jej myśli. Sama nie wiedząc, po czym to rozpoznaje, zrozumiała też, że słuchanie jej mentalnego gderania w jakiś dziwny sposób podnosi na duchu ich wszystkich. Najpewniej przyczyną było po prostu to, że narzekanie na tak trywialne rzeczy, jak niefunkcjonalny strój czy niewygodne buty, oddała od nich myśli o tym, co stanowiło prawdziwy problem – krążącej w żyłach każdego z nich truciznie i o ratunku, który nie nadchodził. Uchwyciła się tego.

*Opowiem ci, co o tym wszystkim myślę i będziesz się dziwił, jak uparta i konsekwentna potrafię być w formułowaniu swoich myśli, nawet jeśli tematem są rzeczy tak mało znaczące. Ten, który zginął wczoraj w klasztorze, mógłby ci na ten temat co nieco wspomnieć. Gdyby nie to, że umarł. Nie od strzały i nie od zaklęcia, ale od pogardy, którą we mnie wzbudził. Cóż... Tak czy inaczej...*

Zorientowała się, że zmierza w niebezpiecznym kierunku i zawahała się, ale nie zdążyła zmienić tematu, bo poczuła, jak myśli płaczą się w jej głowie, jak słowa rozsypują się i rwą, a ona traci kontrolę na ich biegiem. Uniosła dłoń do czoła, nagle słysząc w głowie szum wszystkich mórz świata i szalone crescendo dzwoneczków. Coś uderzyło ją w łokieć, podcinając rękę, wspierającą do tej pory ciężar ciała i powodując, że upadła.

Potrząsnęła głową, zdezorientowana. Nic nie mogło jej dotknąć, bo nic nie podeszło. Gdyby ktokolwiek lub cokolwiek się zbliżyło, wyczułaby to. Zrozumienie przyszło wraz z zatrzymującym oddech w piersi ciosem w brzuch, który fizycznie nie mógł być jej żadnym sposobem zadany, bo leżała na brzuchu. To Pistis, z równym powodzeniem jak ona przed kilkoma chwilami, zsunął się z grzbietu smoka.

Zakłęła, po raz drugi spluwając krwią z rozciętej wargi i po raz pierwszy rozumiejąc, że pomyliła zaklęcia. To połączenie nie służyło temu, by kogoś utrzymać przy życiu, o wiele prościej było im pozabijać się nawzajem, niż przed czymkolwiek ochronić.

Zacisnęła zęby, skupiając się na spokojnych głębokich oddechach i na tym, by nie wydać z siebie żadnego dźwięku. Nie potrafiła już cofnąć zaklęcia, mogła tylko pocieszać się tym, że

oboje są już na ziemi, gdzie raczej nie groziły im kolejne rany czy ciosy. Czego nie można było niestety powiedzieć o wyczerpaniu, ranach, które już zostały zadane, a teraz osłabiały ich upływem krwi i bólem oraz o postępującym działaniu elfiej trucizny. Skupiła się na oddechu, to musiało na razie wystarczyć, mogło złagodzić zawroty głowy i pomóc w utrzymaniu przytomności. Coś albo ktoś obserwował ich spoza zwartej ściany lasu, całą sobą czuła obcą obecność. Coś, co zbyt długo zwlekało, co powinno wyjść. W myślach zaklinała to, by wyszło, czymkolwiek nie miałyby się okazać.

Po dochodzącym z tyłu miarowym szuraniu i urywanym oddechu, którego rytm wyraźnie zaburzały wysiłek i skupienie, poznała, że Człowiek lub Wampir podjęli próbę dołączenia do niej i Pistisa. Oczekiwała upadku, jednak wbrew jej przewidywaniom po bardzo, bardzo długim czasie, mozolna wędrówka zakończyła się miękkim lądowaniem na trawie. Dopiero po nim mężczyzna zatoczył się i upadł.

*Cóż, którykolwiek z was to był, jestem pod wrażeniem.*

Nie mogła upewnić się za pomocą oczu, zresztą i tak nie miała sił, by odwracać się i sprawdzać. Zmobilizowała wszystko, co w niej pozostało i zaryzykowała próbę podciągnięcia się do pozycji siedzącej. Udało jej się osiągnąć cel, jednak od razu pożałowała, że obok nie ma nic, żadnego drzewa ani skały, które mogłyby posłużyć jako podpora dla pleców. Zacisnęła zęby, zdecydowana mimo to nie upaść ponownie. Ze wszystkich sił pragnęła, by obserwator, którego najwyraźniej bawiło śledzenie ich zmagania i którego zaczynała szczerze nienawidzić, ujawnił się wreszcie.

*W tym lesie aż czarno od olch. Usłyszała, jak głos Pistisa wypełnia jej głowę. I białe od brzoź. A drzewa są ogromne. Nigdy nie widziałem tak wielkich drzew, nawet te, w których zaklęte są nieśmiertelne dusze, nie rosną tak wielkie. Istnieje pewna bardzo stara pieśń, znana wśród Elfów. Pieśń o upiornym królu w płaszczu srebrzystym niczym promienie księżyca i koronie z liści. Kiedyś, gdy Ziemia była jeszcze młoda, a białe-czarny las przyjazny i zamieszkały przez dobre duchy, był wielkim władcą wszystkich Elfów. Teraz snuje się po straszliwie zmienionej i przerażającej swym ponurym ogromem puszczy, wiodąc ze sobą orszak widmowych ogników, potępiony i przeklęty. Kiedy usłyszysz jego zew...*

– Och, zamilcz, proszę cię. Król Olch nie istnieje – Elpis powiedziała to na głos i natychmiast pożałowała, bo szrama na policzku wrzasnęła we wściekłym proteście.

*Zapominasz o wszystkim – kontynuował niezrażony. Całe twoje dotychczasowe życie przestaje się liczyć, nic nie ma już znaczenia. Musisz dołączyć do orszaku i zapalić własny ognek.*

– To tylko pieśń – przerwała mu stanowczo po raz drugi. – Nie ma żadnego króla i jego potępionej świty. Dlaczego o tym mówisz?

*Nie wiem. Po prostu przypomniałem sobie, jak się czułem, kiedy po raz pierwszy usłyszałem ją z ust mojej matki, dawno temu. Przypomniałem sobie strach i to, jak zniknął, gdy matka zapewniła mnie, że to tylko pieśń. Może pragnąłem usłyszeć takie zapewnienie z twoich ust? Ale tym razem to nie pomoże. Białe-czarny las... Stoimy przed białe-czarnym lasem. A wśród drzew ktoś jest. I ten ktoś wcale nie jest przyjazny, nie ujawnia się, patrzy.*

– Tak, wiem. Co nie zmienia tego, że to naprawdę tylko pieśń. Król Olch nie istnieje. A ten ktoś nam pomoże. Zaufajcie mi, proszę.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał. Ciszę przełamывał tylko szum liści, dobiegający od strony ściany lasu. Elpis zdała sobie sprawę, że nie słyszy ptaków. Od drzew dzieliła ich co prawda spora odległość, ale wyczulony elfi słuch powinien bez wysiłku uchwycić trzepot skrzydeł czy najcichsze nawet trele. A z pewnym wysiłkiem srebrzyste i prędkie uderzenia małych serduszek. Mimo że klęczała wśród trawy, nie słyszała owadów, ani tych przebiegających po zielonych źdźbłach, ani drążących korytarze w ziemi. Zadrżała. Nienaturalną

ciszę przerywały tylko odgłosy zsuwania się w dół po monstualnych, twardych łuskach. To ostatni z jej towarzyszy zdecydował się opuścić grzbiet smoka.

I nagle ta cisza została brutalnie przerwana. Najpierw rozpaczliwym przekleństwem Farysa, zaraz po tym głuchym odgłosem brutalnego zderzenia ciała z ziemią i paskudnym chrzęstem pękającej kości, na dźwięk którego dziewczyna poczuła zimno w okolicy karku. Człowiek zawył krótko i zamilkł, na chwilę przestając oddychać, a kiedy znów zaczął, jego oddech rwał się i załamywał. Najwyraźniej nie miał już sił, by przeklinać.

Właśnie wtedy czarodziejka zdała sobie sprawę, że on tego nie wytrzyma. Jakim niby cudem miałby wytrzymać, kiedy Wampirowi i Elfom brakło sił? Rasa Ludzi była o wiele słabsza od pozostałych, a on przecież dzielił z nimi wszystkie trudy, brak snu, brak porządnej czy chociażby ciepłej strawy, a ostatnio szaleńczy lot, trwający tak długo, że ona sama zwątpiła, czy zdoła się utrzymać. „W jądro własnych lęków. Tam, gdzie śmierć ich nie dosięgnie.” Tak brzmiała inskrypcja na mieczu, tym, który sama Belial wykuła dla siebie, by go dobyć, kiedy nadejdzie czas. Tak brzmiały słowa, które rozpoczęły ten lot. Słowa, które okazały się pułapką.

*Mogę wstać – pomyślała. Wstanę. Dojdę do niego, a jeśli upadnę, będę się czołgać. Jest jeszcze we mnie tyle siły, by scalić kość i zamknąć ranę. Nie będę beczynn timer czekać na pomoc, która nie nadchodzi.*

Rozpaczliwym wysiłkiem udało jej się odepchnąć ziemię od siebie i poderwać ciało do kilku chwiejnych kroków. Było jej dziwnie lekko, jakby to nie ona walczyła o te niewiele metrów, jakby to nie jej brzuch i klatka piersiowa odpowiedziały na próbę krótkim, gwałtownym paroksyzmem bólu, który zgiął ciało w pół, jakby nie ona się potknęła. Zorientowała się, że znów klęczy na ziemi chwilę po tym, gdy ziemia z impetem walnęła ją w kolana i odruchowo wyrzucone przed siebie otwarte dłonie. Zakasłała, w ustach znów czując smak krwi. W tej samej chwili zrozumiała, że nigdzie nie pójdzie, nie rzuci zaklęcia, bo w stanie, w jakim się w tej chwili znajdowała, nie uda jej się zaczerpnąć ze swojego wnętrza i przeżyć, a co za tym idzie, utrzymać przy życiu Pistisa.

Wśród drzew i liści ktoś się poruszył. Wiedziała to, słyszała, poczuła. Poruszył się. Nie wyszedł do nich.

Elfka zaklęła i uderzyła przeklętą ziemię zaciśniętą w pięść dłonią, czując jak znika ból, jak ginie gdzieś zmęczenie i strach, ulatuje senność. Tym, co pozostało, była wściekłość, dzika i pierwotna.

Zaufaj potępionej i pozostań wierna wyborowi. Tak powiedziała Kelia, dziwna milcząca kapłanka z warkoczem, która wydawała się im sprzyjać. Zaufała, jak jeszcze nigdy w życiu. Dokonała wyboru. Wierność... Czy wierność miała polegać na siedzeniu z założonymi rękami i przyglądaniu się, jak oni po kolei umierają? Więc nie będzie wierna. Nie, bo tej ceny nie była gotowa zapłacić. Ani teraz, ani nigdy. Pomyślała o Belial, unoszącej się nad bezmiarem wód, wiele dni, miesiące bez odpoczynku i bez wytchnienia, za jedyny cel mającej wypatrzenie skrawka suchego łądu, który nie będzie mogącymi okazać się zgubą skałami. O Belial, której serce w każdej chwili mogło zostać roztrzaskane na tych skałach, bo to arka była sercem. O Lilith, wydającej na świat pokraczne dzieci w czeluściach Doliny Jęku, i poczuła palącą zazdrość. Lilith pozwoliła dzieciom czerpać siły ze swojego wnętrza, czyniąc z siebie samej upiora, jednak utrzymując swoje potomstwo przy życiu. Ona nie mogła nawet tego... Nie miała w sobie nic, co mogłaby im dać. Nic, co pozwoliłoby im przetrwać...

– Nie, Elpis. Nie zrobiłabyś tego – w jej rozmyślania wdarł się niespodziewanie ostry głos Pistisa.

Roześmiała się z goryczą, zaciskając palce na źdźbłach trawy.

*Zrobiłabym – sformułowała jasny przekaz. Jeszcze mnie takiej nie widziałeś, więc nie*

wiesz, do czego jestem zdolna. Nie wiesz, na co potrafi się zdobyć Wilczyca, walcząca w obronie swoich szczeniąt. Ja też nie wiedziałam. Do niedawna. Wśród drzew ktoś jest. I ten ktoś do nas wyjdzie, nawet jeśli to twój straszliwy Król Olch. Albo ja pójdę po niego i wywlekę go stamtąd za płaszcz z mgły.

Nabrała powietrza w płuca, a potem powoli, spokojnie je wypuściła. Ból w klatce piersiowej znowu dał o sobie znać. Zlekceważyła go. Ból można pokonać, oswoić, strach też. Zwycięstwo nad śmiercią jest nieporównywalnie trudniejsze i wymaga więcej poświęcenia, ale nie jest niemożliwe. Przecież jej udało się wrócić, nie jeden zresztą raz. Wracała niezliczoną ilość razy. Dziś nie będzie powrotu, jeśli teraz coś się zakończy, zakończy się definitywnie. Dlatego nie wolno jej było pozwolić, by to, co nagle zaczęło mieć największe ze wszystkiego znaczenie, się zakończyło. Nie w taki sposób.

Ostrożnie przesunęła palcami po trawie, szukając porzuconego miecza. Znajdował się dalej, niż była w stanie sięgnąć, siedząc, wstała więc. Bezbłędnie, niczym po sznurku, ruszyła za zapachem zakrzepłej krwi Elohima, kapłana, którego głowę stracił miecz niecałą dobę temu. Nie potknęła się. Powoli, asekurując się obiema rękami, przykucnęła obok srebrzystego ostrza. Chwilę ważyła w dłoni rękojeść, przyzwyczajając do niej palce, po czym, wspierając się na mieczu, wstała po raz drugi. Zachwiała się. Nie upadła. Przeczekała moment słabości, stojąc spokojnie i względnie prosto. Farys, Pistis i Sylwan nie widzieli jej twarzy, ukrytej za welonem czarnych włosów, nie odwróciła się w ich stronę, stała zwrócona ku nieprzyjaznej ścianie biało-czarnego lasu.

– Czy mam wasze bezwzględne zaufanie? – zapytała krótko, nie zmieniając pozycji.

*Wiesz przecież.*

Ich odpowiedź pulsowała ciepłem w czarnym opalu, amulecie spoczywającym na jej piersi. Na gładkiej powierzchni kamienia tańczyły ogniste odblaski. Elpis sięgnęła wolną ręką pod włosy i zdjęła z szyi srebrny łańcuszek, na którym opal był zawieszony. Zamknęła go w dłoni.

– Dziękuję. Więc proszę was teraz o ciszę i akceptację dla tego, co zrobię.

*Bezczynność. Nigdy nie będę bezczynna. I nigdy się nie poddam.*

Obróciła go w palcach, starając się zapamiętać na zawsze gładką fakturę i delikatne ciepło. Czują pełgające w sercu kamienia ogniki i budzącą się do życia krew. Jej krew, którą sama nakarmiła opal. Ciepło szybko zamieniło się w pulsujące gorąco, kształt zamknięty w dłoni niemal parzył, krew szumiała coraz głośniejsze. Oni też musieli odczuwać w tej chwili to samo. Mleczny kamień Wampira, kryształowy Człowieka i boudler Elfa też chroniły w swoich wnętrzach jej krew. Krew śpiewała i krzyczała, ponaglała ją. Przemawiała do niej i do nich, hipnotyzując i zmuszając do pośpiechu. Czarodziejka nie potrzebowała zachęty. Wyciągnęła przed siebie rękę i rozchyliła palce, wypuszczając amulet, który upadł miękko w trawę, skąd błyszczał rozmigotaną czerwienią i czernią. Aż dziw brał, że nie zajęły się od niego przylegające do czerwieni i czerni źdźbła.

Obiecywał i ostrzegał.

Podziękowała za obietnicę.

Przyjęła ostrzeżenie.

Podniosła w górę Mnemozynę i skierowała sztorc miecza ku ziemi pod swoimi stopami.

W tej chwili Pistis zrozumiał. Wychowanie w klasztorze nauczyło go nie tylko akceptowania bez mrugnienia okiem krępujących ruchy szat i przestrzegania absurdalnych reguł. Mimo że nie było mu wolno, wertował nie tylko odpisy Świętej Księgi, ale też manuskrypty, których treść traktowała o magii. Posiadał więc podstawową wiedzę o magicznych amuletach, wiedział, dlaczego i kiedy czarnoksiężnik niszczy swój własny kamień. Chciał krzyknąć, ale



dźwięk nie wydobył się ze sparaliżowanego przerażeniem gardła. Zaciśnął powieki.

*Elpis, nie! Błagam, nie! Wiem, co chcesz osiągnąć, ale, na Boga, nie za taką cenę! Błagam!*

*Więc wiesz, że nie cofnę się przed niczym. Wiesz, że was z tego wyciągnę.*

Miecz opadł z głuchym trzaskiem, u stóp czarodziejki pozostały błyszczące czarne szkiełka, mokre od rosy i krwi. Krew wsiąkała w ziemię. Zaklęte w kamieniu energia i moc, nagle uwolnione, wypełniły przestrzeń wokół nich, zawirowały wśród porastających ziemię traw i rumianków podmuchem nieokiełznanego i dzikiego w swym pędzie wiatru, załopotaly liśćmi drzew, odezwały się zduszonym pomrukiem w głębi ziemi, tam, gdzie zdążała krew. Dziewczyna wyczuła lekkie drżenie gleby, na której stała. Poczowała lodowate zimno, biorące w posiadanie całe jej ciało, rozpoczynające się w czubkach palców, zmierzające niepohamowanym strumieniem przez ramiona, przez stopy, ku sercu. Zadrżała i zaczerpnęła głęboko powietrza, dławiąc się jego suchym, ostrym chłodem, kaleczącym płuca niczym pokruszony lód. Z całej siły zaciśnęła palce na rękojeści miecza. Nie upadła.

Uwolniona moc dosięgła żył wodnych i zaczerpnęła z nich, dotarła tam, gdzie wieczny ogień nie gasł nigdy, do samego jądra ziemi. I eksplodowała.

Pistis otworzył szeroko oczy, czując, jak echo tej eksplozji ożywa w jego kamieniu, a potem ponownie w jego wnętrzu, tam, gdzie biło serce. Oddech Farysa, do tej pory przypominający zamierające powoli rżenie kogoś śmiertelnie chorego, odnalazł właściwy rytm. Sylwan westchnął przeciągle i zamarł z dłonią zaciśniętą na swoim amulecie.

\*\*\*\*

Krew wsiąkała w ziemię, na porastających ją gęsto źdźbłach trawy pozostało tylko kilka rubinowych perełek. Czarne szkiełka na zawsze już miały pozostać po prostu szkiełkami, nie było sensu ich zbierać. Moc uleciała, wypełniając amulety jej uczniów.

Nie jej...

Bo nagle na polanie, stanowiącej jakby przedśrodek biało-czarnego lasu, nie było już Elpis. Czarnowłosa dziewczyna, która tam stała, wsparta na mieczu, drżąca i wyczerpana, wyglądała jak ona, ale nagle stała się dla niej samej obca i bez znaczenia. Czowała ból rozharatanego policzka, ale to nie był jej policzek, nie jej ból. Czowała powiew lodowatego wiatru, rozchodzący się po całym ciele, wtapiający igielki szronu w każdą jego komórkę. Ale to nie było jej ciało. Poczowała, jak kolana się pod nią uginają. Nie jej kolana. Zachwiała się silnie.

Nie upadła. Nagle znaleźli się obok niej, chwytając ją za ramiona, Elf z jednej, Wampir z drugiej strony, podtrzymali Dziewczynę Bez Znaczenia, nie pozwalając jej upaść. Elf coś mówił, gorączkowo powtarzając to samo imię. Nie jej imię. Nadal siedzący wśród trawy Człowiek, z nogą wykręconą pod dziwnym kątem, patrzył na nich. Twarz miał wystraszoną, jednak oczy już niemal przytomne. Dziewczyna Bez Znaczenia nie zwracała na nich uwagi, nie słuchała. Dziewczyna Bez Znaczenia myślała. Analizowała. Chłodno i spokojnie.

Potrafiła pogrążyć się w śmierci i powrócić, jednak taka wędrówka wymagała czasu, którego nie mieli i niechybnie pociągnęłaby za sobą Pistisa, a on nie mógł wrócić. A to oznaczało, że w tej chwili żadne z nich nie było w stanie tego zrobić. Czy potrafiła umrzeć i pozostać? Nigdy nawet nie przyszło jej do głowy, by spróbować, ale teraz... Nie było na świecie takiej rzeczy, której nie odważyłaby się wypróbować, nie było zaklęcia, którego by nie wypowiedziała, nie było ceny, której nie zdecydowałaby się zapłacić.

W głosie Elfa współbrzmiały ze sobą strach i rozpacz. Słowa, które wyrzucał z siebie, były nieskładne i chaotyczne. Irytował ją, nie pozwalał się skupić, utrudniał wszystko, chciała, by zamilknął. Elf bał się. Kredowej bledości jej twarzy, podkreślonej jeszcze przez szarość cieni, rozkwitłych nagle pod jej oczami i straszliwego, sinego zabarwienia warg, zdającego się

pochodzić z drugiej strony lodowatego zimna jej ramion, oddechu, który się urwał i serca, które zwalniało coraz bardziej. Aż w końcu całkiem się zatrzymało. Mimo to Dziewczyna Bez Znaczenia nie zwiśla bezwładnie w jego i Wampira ramionach, stała o własnych siłach, nieznacznie przez nich podtrzymywana.

Elis dryfowała. Płynęła wśród czarnych fal miękkiego i lodowato zimnego oceanu ciszy. Pod nią była bezdenne pustka, wokół niej bezmiar rozkołysanych wód, gdzieś bardzo wysoko ponad sobą dostrzegała delikatne światła, jakby odbicie gwiazd i księżycy na powierzchni wody. Ktoś krzyczał. Pod wodą dźwięk rozchodził się w dziwny sposób, utrudniając określenie kierunku. Powierzchnię wody skuwał szczelnie lód, jednak jego warstwa była delikatna i krucha, a po jej powierzchni ktoś biegał, narażając się na niebezpieczeństwo przebicia lodu i pograżenia się w odmętach czarnej wody, tu, gdzie go nie odnajdzie i gdzie niechybnie będzie musiał zginąć. Słyszała cichy stukot pazurek i mimo rozprasającego wszystko i zniekształcającego obraz światła księżycy wydawało jej się, że jest w stanie rozpoznać sylwetki trzech wilczych szczeniąt. Więc podążyły za nią aż tu... Głupie i nie zdające sobie sprawy z ogromu niebezpieczeństwa.

Szarpnęła się gwałtownie i z całych sił odpychając wodę ramionami i stopami, rozpoczęła mozolną wędrówkę ku górze. Coś jej ciążyło i wlekło ją w głąbie, niczym ogromne, wyrastające z ramion skrzydła, nieprzydatne pod wodą, a mimo to rozpaczliwie usiłujące wzlecieć. Podwoiła wysiłek.

*Nie poddam się. I nie cofnę się przed niczym. Teraz ty też to wiesz, bezduszna maro, skryta wśród drzew. Nie dbam o to, czy jesteś upiorem czy królem. Każdemu z nich mogę ulec i każdego mogę zmiążyć, jeśli odmówi im pomocy. Nie lękam się płaszcza z mgieł i cieni, ani korony z liści, wśród których snują sieć pająki. Żeby mnie przestraszyć, potrzebujesz czegoś więcej niż orszak widmowych cieni i ogników latarenek, dzierzonych w trupio-białych dłoniach. Bo teraz ja też jestem upiorem. Chcesz mnie? Więc przyjdź i mnie sobie zabierz. Ale ich nie tkniesz. Nie ważysz się. Masz wybór. Możesz dziś zyskać jedną widmową latarenkę, ale jeśli tą jedną się nie zadowolisz, jestem gotowa zgasić wszystkie, które zgromadziłeś do tej pory. Jesteś królem upiórów? Bardzo dobrze. Więc ja stanę się królową. Mam miecz, wykuty przez demona, więc potrafiący demona dosięgnąć. Wyjdź do mnie. Zatańczymy.*

Dotarła do powierzchni. Wyciągnięte w górę palce natrafiły na gładką taflę, chłodną i jednorodną. Wystarczył jeszcze jeden wyrzut ramion, by przebić delikatną i ciekłą powłokę. Ale nie mogła wyjść, bo na powierzchni nadal kłębiły się szczeniata.

*Wynoście się stąd. Czy nie rozumiecie, że przeszkadzacie, zamiast pomagać? Już was nie ma!*

Otworzyła usta, ale dźwięk spod wody nie dochodził na powierzchnię, nie docierał do ich uszu.

Wiedziała, co musi zrobić, ale nie odważyła się na to przez wzgląd na nich, bo oni nie potrafili poruszać się w czarnej i lepkiej głąbinie. Bo oni nie znaleźliby w sobie dość wytrwałości, by wśród bezdennej czerni dostrzec blask gwiazd, przebijający przez warstwę lodu; bo nie znaleźliby dość sił, by dźwigać bezwładne, ciężące skrzydła pełne bezużytecznych, przemoczonych piór; nie znaleźliby dość odwagi, by spojrzeć w oczy upiowski, który nadciągał. Z tyłu, za sylwetkami wilczych szczeniąt zmaterializowała się nagle wysmukła postać, spowita w biały płaszcz. Płaszcz opadał zjawie niemal do kolan, a wszędzie wokół tańczyły rozmigotane błękitne ogniki.

Dziewczyna Bez Znaczenie szarpnęła się rozpaczliwie, niczym ryba wyciągnięta przemocą z wody, starając się wyswobodzić z uścisku Elfa i Wampira, ale oni trzymali uparcie, nie pozwalając jej się przepędzić. Dziewczyna zachłusnęła się wdzierającym się przemocą do płuc powietrzem. Powietrzem, które nie było potrzebne, które już nigdy nie miało być potrzebne,

jednak organizm, zbyt długo do niego przyzwyczajony, wzbraniał się przed uwierzeniem. Szarpnęła się jeszcze raz, ponownie stając się Elpis.

– Nie zostawię was. Nie zostawię cię. Nigdy – wychrypiała z trudem, w końcu będąc w stanie odpowiedzieć na dekoncentrujący ją krzyk. – Ale ty teraz musisz. Musisz mnie puścić. Oboje musicie mnie puścić, na chwilę. Bo wy nie macie dość siły, by stawić mu czoła, a ja potrafię. A on nadchodzi. Rozumiecie mnie? Idzie tu.

– Kto, pani?

– Twój król. Król Olch.

\*\*\*\*

Król Olch nie istnieje. Wiedzą o tym nawet dzieci. Oczywiście te starsze, bo malutkim matki i babki opowiadają do snu budzące grozę w ich nierozumnych główkach i serduszkach historie, mające sprawić, by uwierzyły w upiора, snującego się po lesie nie tylko nocą, w zjawę zamieszkującą opary mgieł, unoszące się nad bagniskami, ciemne zagajniki o drzewach tak gęsto pokrytych listowiem, że promienie słońca, niemal pozbawione są dostępu do gleby, porośniętej miękkim dywanem płonnika, który przetrwa tam, gdzie kwiaty nie mają szans zakwitnąć. Bo strach przed nieistniejącym Królem chronił dzieci przed realnym niebezpieczeństwem, czyhającym na nie wśród wykrotów i uroczyisk. Przed zwierzem i przed złymi Ludźmi, przed płataniną zieleni, wśród której łatwo można zgubić drogę, przed grząskimi kipiелami porośniętych mchem bagnisk i przed trującymi jagodami, których nie ośmieliła się zrywać i zjeść, by nie narazić się na gniew Króla, który przyozdabia nimi koronę.

I teraz oto ten Król Upiorów, który nie istniał, a został powołany do życia przez wiejskie piastunki, jako postrach i paradoksalnie stróż ich dziatwy, zmierzał w ich stronę. Widziała powiewający w rytm jego kroków biały niby mgła płaszcz, widziała koronę, okalającą głowę niczym pochłaniająca światło aureola, widziała bezdenną czerń oczu i widziała ogniki. Naprawdę widziała. Zdała sobie sprawę, że wzrok jej wrócił w tej samej chwili, w której nadal podtrzymujący ją Pistis dostrzegł, że jej tęczówki przybrały dawny, zielony kolor. Zamarł.

– Elpis... Twoje oczy...

– Wiem – obrzuciła go szybkim spojrzeniem, niemal go nie rozpoznając, tak bardzo zmieniły jego twarz zmęczenie, strach i świeża szrama, biegnąca przez całą długość lewego policzka. – Nie czas teraz na to. To wielka radość, móc cię znów ujrzeć, ale przyjdzie jeszcze pora na wyrażenie tej radości. Teraz musicie mnie puścić i odsunąć się. Bezwzględne zaufanie, błagam.

Usłuchali, oboje równie niechętnie, ale nie odstępili od niej. To ona zrobiła kilka kroków w stronę zjawy, stając pomiędzy upiorem a trójką jej uczniów. W dłoni ścisnęła rękojeść Mnemozyny.

– Pistisie, czego chce od nas Król Olch?

Zanim kapłan zdążył odpowiedzieć, przemówił sam Król. I w tym samym momencie czarodziejka i jej towarzysze zauważyli, że w niczym nie przypomina on mitycznego władcy biało-czarnego lasu. Biały płaszcz był tak naprawdę prostymi włosami w kolorze mleka, złudzenie korony tworzyły wplecione we włosy żółte i czarne pióra wilgi, a ogniki okazały się być trzepoczącymi wokół wysmukłej dziewczyny, połyskującymi błękitem i czernią motylami mieniakami. Bo domniemany król był młodą dziewczyną. Przynajmniej na pierwszy rzut oka. Wystarczyło głębiej spojrzeć w jej czarne tęczówki, by zrozumieć, że dziewczyna nie może być młoda.

– Pytasz, czego może od ciebie oczekiwać władca upiorów, czarodziejko? – zapytała białowłosa zimnym, złym głosem. – To przecież proste. Chce, żebyś się bała. Jak nigdy w życiu. Jesteś dumna i pyszna, Wilczyco. Pełna wiary we własną potęgę i możliwości. Stoisz przed moim

lasem, w przedsionku puszczy, do której nikt, nawet ty, nie wejdzie bez mojej zgody i ośmielasz się grozić mi tym kawałkiem żelaza, zamiast paść na kolana i błagać. Chcę twojego strachu i twoich łez, twojego bólu i rozpacz. Chcę podeptać i zmiażdżyć twoją dumę i butę.

Elfka uśmiechnęła się drapieźnie.

– To nie będzie proste, bo mnie nie tak łatwo przestraszyć, Pani Lasu. Stoję tu przed tobą i proszę, na razie. Proszę o ratunek dla nich. Nie widziałaś jeszcze mojej pychy i nie słyszałaś gróźb. Proszę o pomoc. Czy potrafisz udzielić im pomocy?

Tajemnicza dziewczyna długo milczała, wpatrując się w twarz Elpis. Czarodziejka nie spuściła oczu, poczuła, że traci cierpliwość.

– To nie jest prośba. Nie wypowiedziana tak dumnym i bezczelnym tonem.

– A to nie jest odpowiedź na moje pytanie. Czy potrafisz zniwelować działanie trucizny i uleczyć rany? Czy potrafisz im pomóc?

– Ja potrafię wiele. Prawie wszystko. Jednak nie ofiaruję nic za darmo.

– Zadaję konkretne pytanie. Żądam więc konkretnej odpowiedzi. Potrafisz pomóc w tym konkretnym przypadku?

– Ty nie masz prawa żądać. Nie w tym konkretnym przypadku.

– Potrafisz? – w głosie Elpis zabrzmiała groźba, zielone oczy załśniły zimno.

– Potrafię – w głosie białowłosej kryło się wyzwanie.

Czarodziejka poczuła, jak zalewa ją fala niemożliwej do wyrażenia ulgi. Znalazła ratunek, dotarła do białowłosej czarownicy, która przyniesie im pomoc.

– Dobrze więc – powiedziała znacznie łagodniej. – Czego żądasz w zamian?

Pani Lasu uśmiechnęła się i wskazała ruchem głowy Astarotha i trzy pozostałe smoki.

– One nie wejdą. Tylko wy. Czy to jasne?

– Jasne – zgodziła się Elpis bez mrugnięcia okiem.

– Jest was czworo. Pięcioro, jeśli liczyć larwę, którą ze sobą przywieźliście –

kontynuowała powoli, śpiewnym głosem. – Nie usunę larwy, bo Elf jest zbyt słaby, nie przeżyje w tym stanie operacji wydobycia pasożyta. Widzę tu Elfa, Człowieka, Wampira i larwę. I ciebie, czarodziejko. Nie jesteś przedstawicielem żadnej z ras, mimo że z każdą z nich coś cię łączy. Jako kto chcesz wejść do mojego królestwa?

– Jestem Czarną Wilczycą – odpowiedziała krótko.

Białowłosa roześmiała się głośno i drapieźnie. Klębiące się wokół niej mieniaki zawtórowały jej furkotem błękitnych skrzydeł.

– Powtarzasz to jak mantrę, nie wiedząc, ile w tym zdaniu jest fałszu. Nie jesteś Wilczycą, nie naprzeciw nich. Nie przywiódłś tu bezbronnych szczeniąt. Jesteś niczym gołębica, która odnalazła pisklęta jastrzębia i zamiast pozwolić im szczeznąć, nim dojrzeją i rozszarpia jej ciało szponami, uniosła je na własnych skrzydłach. Aż tutaj. Ale to twój wybór. Za cztery istoty, które wpuszczę do puszczy i które ulecę, żądam czterech obietnic. To mój las, to ja jestem tu władczynią, ja dyktuję warunki, ja decyduję, kto wchodzi i ja pozwalam go opuszczać. Nie odejdziecie więc, zanim nie wyrażę na to zgody. Nawet zdrowi i pełni sił pozostaniecie w mojej gościnie, dopóki nie zezwolę wam odejść.

Elpis myślała gorączkowo, przez chwilę rozważając możliwość skłamania, ale w końcu zdecydowała się na szczerość.

– To nie będzie możliwe, pani. Mój dawny mistrz i nauczyciel zdradził, a jego pieczy powierzyłam kogoś, na kim zależy mi w równym stopniu, jak na moich towarzyszach. Jak najprędzej musimy więc wyruszyć, by go odbić.

– O tak, nie masz już mistrza, czarodziejko. Ale będziesz miała. Dokończ dzieła, na które nie starczyło odwagi temu sentymentalnemu idiocie. Zostaniesz w lesie i staniesz się moją

uczennicą, a kiedy zakończę szkolenie, odejdiesz.

– Zaraz – Elfka z trudem panowała nad złością. – Nie rozumiałaś mnie, pani. Mówiłam, że nie mogę tu pozostać, bo...

– Milcz! Ani słowa więcej! – przerwała jej białowłosa, podnosząc głos. Pistis i Sylwan postąpili krok w jej stronę, Elpis powstrzymała ich ruchem dłoni. – To ty nie rozumiałaś. I nie pojmujesz powagi sytuacji. Ale zrozumiesz. Zrozumiesz, kiedy odwrócę się i odejdę, a oni umrą. Po kolei, na twoich oczach. Bo ty jesteś przecież królową upiorów, nie możesz już umrzeć. Więc zostaniesz. I będziesz miała bardzo wiele czasu, by zrozumieć i by rozpaczać.

Elfka zbladła, ale nie przestała patrzeć wyzywająco i drapieźnie.

– Z chwilą, w której się odwrócisz i zaczniesz odchodzić, zapłonie twój las. Calutki. Czarnym płomieniem.

Białowłosa spojrzała na nią spod wpół zmruczonych powiek. Patrzyła długo i uważnie.

– Nie wątpię w twoją szczerłość i determinację – powiedziała w końcu. – Potrafię też uszanować oddanie i docenić odwagę. Dlatego ofiaruję ci coś, co pozwoli ocaleć moim drzewom i ludzkiemu dziecku, które powierzyłaś pieczy osoby, dla której masz obecnie tylko pogardę i nienawiść. Przyrzekam nietykalność chłopcu, niezależnie od tego, jak długo będziecie korzystali z mojej gościny, nie spadnie mu nawet włos z głowy, a kiedy powrócicie, znajdziecie go całego i zdrowego, dokładnie tam, gdzie jest w tej chwili. Słyszałaś o pętli czasoprzestrzennej, czarodziejko?

Elpis poczuła, że za chwilę straci resztki ciepłości. Przyjrzała się uważnie stojącej przed nią dziewczynie, szukając w jej twarzy zaprzeczenia słów, które właśnie usłyszała, jednak nie odnajdując nic takiego. Dziwna istota, która nadeszła od strony biało-czarnego lasu pełnego brzoź, olch i mgły była poważna. Elfka prychnęła pogardliwie, nie dowierzając, że nieznajoma zdobyła się na taką bezczelność. Oczywiście, wśród czarnoksiężników krążyły plotki o skokach w czasie, o pętlach i kieszeniach, jednak nikt nie potrafił rzucić czaru, który zdołałby rzeczywiście zapętlić czasoprzestrzeń. Kain nie potrafił, ona sama, mimo wielu lat prób, nie zdołała. Wszystko to więc traktowała na równi z rewelacjami o niemożliwości ubicia Wampira czy beltach, czyhających na rozstajach dróg na zbłąkanych podróżnych.

– Słyszałam. Ale nie wierzę – odrzekła krótko.

Białowłosa dziewczyna w wianku z piór pokręciła głowę z dezaprobatą.

– Mimo wszystko nadal pyszna i wyniosła. Ty naprawdę nie zdajesz sobie sprawy z beznadziei twojego położenia. Czarnoksiężnik pozwolił ci zbyt spuchnąć dumą i przekonaniem o własnej wielkości. Jesteś wielka i silna, jesteś potężna. Ale są większe i nie ważne, jak wiele możesz, czasem pozostaje ci tylko błagać. Udowodnię ci to. Teraz. Lekcja pierwsza, pętla czasoprzestrzenne. Teorię już znasz, od razu więc przejdziemy do praktyki.

Cała czwórka poczuła to w tej samej chwili. Wrażenie lotu i podróży, niesamowicie realne, mimo iż nie oderwali stóp od podłoża. Nagle znikła gdzieś tajemnicza Pani Lasu, znikła zieleń liści i traw, a wokół nich była biel śniegu. I tańczące w niepokohamowanej furii, strzelające ku niebu, ponad wierzchołki grabów, czarne płomienie. Elpis poczuła, że cała krew odpłynęła jej z twarzy, pozostawiając głuchy szum w uszach i sprowadzając słabość na całe ciało. Bo płomienie otaczały mury klasztoru. Bo za nią czekały, gotowe do lotu biały, czerwony i stalowo-szary smok, każdy z nich dźwigający na grzbiecie jeźdźca. Twarze jej przyjaciół były koloru pergaminu. Szrama na policzku Elfa nie wyglądała na dopiero co zadaną, przedstawiała widok dokładnie taki, jak wtedy, gdy stoi przed biało-czarnym lasem. A ona widziała, jej oczy były w pełni sprawne. Przebiegła trzęsącymi się palcami po piersi, gorączkowo usiłując odnaleźć srebrzysty łańcuszek i zawieszony na nim amulet, jednak doskonale rozumiejąc, że amuletu nie ma.

Pętla... Zatoczyli pętlę. Znajdowali się znów przed klasztorem, z którego już raz uciekli. Przed nimi była doba lotu i upokarzające wyczekiwanie na pojawienie się postaci, którą początkowo błędnie wzięli za mitycznego Króla Olch. Jednak oni byli tacy jak przed olchowo-brzozowym lasem. Znużeni, wyniszczeni trucizną, brakiem snu i trudami lotu, umierający. Zakłęcie, które rzuciła, poświęcając swój amulet, mogło ostatecznie ocalić jednego adepta. Rozłożone na trójkę wzmocniło ich na jakiś czas, odwracając nieuniknione. Bo kolejnej doby lotu nie mieli szans przeżyć. Nie mieli nawet cienia szans, by dotrzeć po raz drugi do celu podróży. Żadne z nich.

Elpis poczuła, jak kolana zaczynają pod nią drżeć, odmawiając posłuszeństwa. Nie zastanawiała się ani chwili. Ukłękła.

– Osiągnęłaś cel, białowłosa czarodziejko... – z trudem dobyła głos ze ściśniętego paniką gardła. – Boję się. Boję się o nich, bo widzę śmierć, stojącą za plecami każdego z nich i nie mogę nic zrobić... Jestem bezradna i przerażona. Jak nigdy w życiu. Błagam, pomóż im, ocal ich, Pani Lasu. W jądro własnych lęków... Jestem w jądrze lęków... Bezradność, to ona jest moim najstraszliwszym demonem, to ona mnie przeraża, to jej nie potrafię pokonać. Błagam o pomoc, błagam o ratunek, bo zawiodłam tych, którzy mi zaufali. Błagam...

Zacisnęła dłonie w pięści, czując jak między palcami pozostają jej wyrwane kępki trawy. Ciepłej trawy. Nie grudki zimnego śniegu. Poderwała głowę do góry, ale nie wstała z kolan. Znów znajdowała się w przedsionku puszczy, a przed nią stała wysoka nieznajoma w wianku z piór, otoczona przez błękitne mieniaki. Nie znalazła w sobie siły, by poczuć ulgę. Poczowała niepokój. Bo nieznajoma nie odpowiadała.

– Proszę, ocal ich. Zrobię wszystko. Wszystko...

– Wiem – usłyszała w końcu dźwięczny głos, łagodny i spokojny. – Wiem, że zrobisz wszystko. Od początku wiedziałam. Widzę też, jak bardzo jesteś wyczerpana, nie znęcałabym się nad tobą, gdybyś mnie do tego nie zmusiła. Ale teraz możemy już przyspieszyć. Więc jak powiedziałam, wejdziecie do lasu za moim pozwoleniem i tylko uzyskawszy takie pozwolenie las opuścicie. Przysięgnij, czarodziejko.

– Przysięgam.

– Zostaniesz moją uczennicą, a ja sprawię, że przebudzi się bestia, która nie zna snu ni odpoczynku. Zrobię to, na co zabrakło odwagi czarnoksiężnikowi.

– Zostanę twoją uczennicą – powtórzyła niczym echo, bezbarwnym głosem.

– Będziecie gośćmi w moim domu. Przybyszami. Intruzami, którym pozwałam się u siebie schronić. Uszanujecie reguły tego domu. Zwierzęta, które biegają po jego uroczyskach, nie są pokarmem. Dla nikogo. Drzewa, które go porastają, nie służą jako opał. Dwoje z was żywi się krwią, jeden spożywa mięso. Przestaniecie się więc pożywiać, a Człowiek zrezygnuje z pokarmu mięsnego. Wampir przetrwa bez krwi, to kwestia przyzwyczajenia. To wybór. Dokonaj wyboru.

Zawahała się. Tylko na chwilę. Wiedziała, że w tym przypadku ma prawo decydować za Sylwana, bo każda inna droga oznacza dla niego koniec.

– Przysięgam.

– A teraz najważniejsze – dziewczyna uśmiechnęła się łagodnie. – Posiadasz umiejętność i dar, którego mi poskąpiono, a którego pożądam. To właśnie ten dar pozwolił tobie i twoim adeptom unieść cało głowy ze świątyni. Mimo że użyłaś go w celu przeciwnym pierwotnemu zamiarowi jego twórcy, zadziałał dokładnie tak, jak chciałaś. Obu nam dano nieśmiertelność. Tobie pozostawiono uchyloną furtkę, możliwość połączenia swojego życia z życiem istoty, którą pokochasz. Możliwość śmierci wraz z nią, kiedy poczujesz, że życie bez niej stanie się dla ciebie tylko pasmem bólu, którego nie potrafisz znieść. Wyrzeknij się daru, oddaj go mnie. Świat chyli

się ku upadkowi i to ty jesteś jego upadkiem. Ty i twoja świta. Zniknie wszystko, zniknie mój las. Nie mogę temu zapobiec. Ale mając uchyloną furtkę, będę mogła połączyć się z lasem i odejść razem z nim. Na zawsze.

Elpis milczała. Długo.

– Wybacz mi – wyszeptała w końcu. – Wszyscy mi wybaczcie. Nie potrafię przekazać ci tego, o co prosisz. Mogłam rzucić czar jeden jedyny raz. Wybierając istotę, bez której dalsze życie nie ma sensu, należy być zdecydowanym, że to właśnie ta istota. Spotyka się ją tylko raz i kiedy jej czas dobiegnie końca, można ją ocalić lub zginąć razem z nią. To też jest wybór. Dokonałam wyboru. Teraz pozostało mi tylko wieczne trwanie, bez nadziei. Furtka się zamknęła, a ja nie mam klucza.

Teraz z kolei dziwna białowłosa dziewczyna milczała, nie patrząc na klęczącą u jej stóp czarodziejkę. Patrzyła w rozszerzone nagłym przerażeniem oczy kapłana. Znow się uśmiechnęła. Smutno.

– Mylisz się, Wilczyco – nadal nie spuszczała wzroku z twarzy Elfa. – Dano nam nieśmiertelność. Dano nam czas, odpowiadający nieskończeniu wielu żywotom innych istot. Podczas tak długiego trwania, nieskończenie wiele istot może stać się dla nas tymi, które zechcemy ocalić, chociaż na bardzo krótki czas. Jedna jest warta tego, by dla niej umrzeć. Dlatego czar można rzucić nieskończenie wiele razy. Tylko śmierć zamknie furtkę, twoja własna śmierć. Lub twój świadomy wybór. Nadal żyjecie, ty i twój Elf. Nadal masz moc rzucić czar. Lub się go wyrzec. Oddaj mi go.

Tym razem Elpis milczała jeszcze dłużej. Czula się pusta, niczym skorupa naczynia, z którego nagle wypłynęła wszelka woda. Więc Kain oszukał ją i zdradził już na długo przed wydarzeniem w klasztorze. Właściwie na samym początku. To znaczy, tym początku, który pamiętała, bo wcześniejsze wspomnienia też jej ukradł. Co jeszcze zataił?

– Zdecydowałaś się wbrew wszystkim i wszystkiemu wyprowadzić ze świątyni Elfa, Człowieka i Wampira, twoich przeklętych jeźdźców, bez których nic nie będzie już miało znaczenia. Brałaś pod uwagę śmierć, gdyby mimo wszystko się nie udało. Śmierć twoją i tego kapłana. Ufając czarnoksiężnikowi, wierzyłaś, że wybierając w ten sposób na zawsze wyrzekasz się ucieczki, że zamykasz furtkę. Czy odważysz się zamknąć ją po raz drugi, tym razem naprawdę, wyrzekając się łaski śmierci i pozostawiając sobie wieczne trwanie, bez nadziei?

– Tak – odpowiedziała głucho. – Wyrzekam się.

Czula się pusta. Czula się oszukana. Była zmęczona. Chciała zasnąć.

*Wyrzekam się. Przysięgam. Wierzę... Co tylko zechcesz. Chcę zasnąć.*

– Dobrze. Pozostaje jeszcze jedno pytanie, to samo, które zadałam ci na samym początku. Wiesz w swoim przedziwnym orszaku Elfa, Wampira i Człowieka. A kim jesteś ty? Jako kto chcesz wejść do mojego lasu?

*Oh, daj mi spokój wreszcie!* Niemal wykrzyknęła myśl na głos. *Jestem zmęczona, oto kim jestem! Jestem zmęczona. Chcę zasnąć, nic więcej. Daj mi spokój, przestań mnie dręczyć!*

– Jestem... nikim – usłyszała swój własny głos. – Jestem nikim i nie mam już nic. Poza nimi. Ich mi nie odbierzesz. Dla nich mogę stać się choćby duchem. Jestem duchem, upiorem. Ich stróżem. Będę ich strzec, tego mi nie zabronisz, nie powstrzymasz mnie.

Czula rozbijające się wewnątrz czaszki głośnie, rytmiczne uderzenia pulsu, niby ciosy młotkiem. By nie upaść, musiała oburącz podtrzymywać się ziemi.

*Cholera, zaraz zemdleję. Jasna, pieprzona cholera.*

Zacisnęła zęby. Czekala.

– Dobrze, niech będzie wedle twych słów – głos białowłosej dobiegał zza grubego szkła, zza twardej tafli lodu, której ona nie potrafiła rozbić. – Wejdiesz jako duch, który nie ma już nic.

A teraz powstań i podejdź.

*Zemdleję. Nie mam już sił. Nie znajdę sił, nie znajdę...*

Wszystkie, które w niej pozostały, włożyła w energiczne odepchnięcie się od ziemi. Wstała. Zrobiła dwa chwiejne kroki. A potem ziemia uciekła jej spod stóp, a świat zawirował i pogrzyżył się w lepkiej czerni, a ona rzuciła się w jej ramiona z szaloną ulgą. Zemdląła.



## Rozdział 15

### Nisa

Jednorożec. Skrzydlaty.

Elpis zmarszczyła czoło, z wysiłkiem usiłując sobie przypomnieć. W roztargnieniu przeczesła palcami włosy i podciągnęła kolana pod brodę. Delikatny niczym pajęcza przędza materiał tuniki, w którą ktoś – zapewne tajemnicza dziewczyna o białych włosach, której obraz czarodziejka pamiętała jak przez mgłę – przebrał ją, gdy spała, zsunął się wzdłuż ud dziewczyny, miękko osiadając na wysokości jej talii. Tunika była koloru ciemnej ochry, miejscami przeplatanej cienkimi srebrzystymi nićmi. Tak dobrana kompozycja barw sprawiała wrażenie, jakby wielki pająk rozsunął pajęczyny wśród kory i jesiennych liści.

Elpis nerwowym ruchem odrzuciła na plecy niesforne pasmo włosów i skrzywiła się lekko, natrafiając palcami na biegnącą od skroni do kącika ust świeżą szramę. Jej wzrok mimo woli uciekł ku skulonej na posłaniu obok postaci. Rozpuszczone swobodnie włosy w kolorze kasztanów zakrywały policzek kapłana, ale Elfka doskonale wiedziała, że pod nimi znajduje się identyczna blizna. Ślad po nożu, który sama rzuciła. Rozcięcie nie przeszywające już bólem przy każdym gwałtowniejszym poruszeniu głową, jednak obecne i natarczywie narzucające się ze swoją obecnością, wyraźne i czytelne niczym pieczęć. Jej własna pieczęć, którą naznaczyła ich oboje, głośna niczym krzyk obietnica, skutkiem której będzie musiała stawić czoła, gdy kapłan się przebudzi. Czarodziejka niemal pieszczołtliwie obrysowała palcami jej kontur, po czym szybko zacisnęła dłoń w pięść i opuściła rękę, wplatając palce w materiał tuniki, by przed samą sobą ukryć ich drżenie. Chciała prychnąć pogardliwie, by nie dopuścić do siebie myśli o strachu, ale z jej piersi dobyło się tylko głębokie, rwące się westchnienie.

Obietnica, której nie potrafi dotrzymać...

Elpis wzdrygnęła się gwałtownie, czując przenikające ją wzdłuż kręgosłupa, pochodzące z jej wnętrza zimno. Zmusiła się, by znów spojrzeć na trzymaną w ręku kartkę papieru. Wygładziła w palcach zmięty świstek i zmarszczyła czoło.

Skrzydlaty jednorożec. Delikatna zjawa, majacząca wśród oparu mgieł, których mleczny kir spowijał nieprzeniknioną kołdrą pęciny smukłego stworzenia. Ogon i grzywa zdawały się poruszać pod wpływem podmuchów wiatru. Zwierzę stało zwrócone bokiem do kłęczącej przed nim postaci, a jego szlachetny w kształcie łeb z wyrastającym z czoła spiralnie skręconym srebrzystym rogiem był ku owej postaci pochylony. Ostry koniec rogu zdawał się na nią wskazywać, jakby mityczny koń zamarł w pół ruchu, ostrożnie zbliżając się do niej. Ogromne, na wpół rozpostarte białe-złote skrzydła końcami długich piór dotykały ziemi, niemal stykając się z rozsypanymi u stóp kłęczącego ciemnymi włosami, otulającymi postać Człowieka, Elfa czy też Wampira ażurowym płaszczem. Nieznajomy wyciągał w kierunku jednorożca otwartą dłoń, jakby starając się dotknąć jasnoróżowych chrap. W oddali, za plecami kłęczącego i skrzydlatego konia wynurzała się z mgły nieprzeliczona rzesza postaci, zwartych niby las i na podobieństwo lasu nieruchomych. Jednak tylko ułomne ludzkie ucho mogłoby wziąć tę żywą ścianę za sylwetki drzew. Elpis od razu rozpoznała, że tworzą ją inne, zacieśniające krąg jednorożce.

Obraz w niepojęty sposób przejmował jej serce przedziwną mieszanką podniecenia i lęku. Ze wszystkich sił starała się skupić na jego szczegółach, usiłując sobie coś przypomnieć, jednak jedynym, co rodziło się w odpowiedzi w jej głowie był jednostajny szum, narastający i sprawiający ból, nie pozwalający zebrać myśli i sprowadzający niepokój, którego nie

pojmowała. A kiedy dla odmiany usiłowała wmówić sobie, że nie ma nic do przypominania, a obraz jest okrutnym żartem, służącym tylko temu, by naprowadzić ją na fałszywy trop, zmącić myśli i zmusić do rozmyślań o czymś, co nigdy nie miało miejsca i teraz nie może w żaden sposób im pomóc, cichy głosik z jej wnętrza podpowiadał, że to też wcale nie tak.

Kiedy Kelia, milcząca kapłanka z warkoczem, wsunęła jej w palce zwinięty w cienki rulonik kawałek papieru, obiecując wyjaśnienie i zrozumienie, Elpis spodziewała się zapisu słów, nieznanego fragmentu historii, który odpowie na choć jedno z kłębiących się w jej głowie pytań. Kartka, ukazująca po rozpostarciu na jednej ze stron rycinę z jednorożcem i nieznaną postacią, na odwrocie pozostająca idealnie czysta, poźółkła i gładka, budziła nowe pytania. Budziła też, natrętą niczym nie dająca się przepędzić mucha myśl, że najzwyczajniej w świecie z niej zakpiono. Z równą jednak mocą uderzała w nią inna myśl. Dlaczego kapłanka, która najwyraźniej im sprzyjała, która wskazała im sposób na opuszczenie klasztoru, nie oczekując nic w zamian, nie licząc nawet na ocalenie własnego życia, miałyby to robić?

Elpis mruknęła coś niezrozumiałego i nerwowym ruchem ponownie zwinęła papier. Ktoś obserwujący ją z ukrycia nie rozpoznałby słów, ale z pewnością potrafiłby wychwycić z nich rozdrażnienie i niechęć. Luźna tunika w kolorze ochry pozbawiona była jakichkolwiek kieszeni, więc dziewczyna wsunęła świstek pod poduszkę. Upewniwszy się, że Pistis, Farys i Sylwan śpią równie mocno jak przed godziną, kiedy ona sama się przebudziła, ponownie rozejrzała się po dziwnym pomieszczeniu, które chwilowo stało się ich mimowolnym więzieniem. Nie odnalazła niczego nowego. Nic, co umknęłoby jej uwadze podczas dokładnego – w miarę możliwości kogoś, kto dokonuje go, nie opuszczając łóżka – rozpoznania terenu, jakiego dopuściła się zaraz po otwarciu oczu.

Pomieszczenie przesiąknięte było zapachem wilgotnej ziemi, drewna, ziół i piór. Jedna ze ścian, ta pod którą ich tajemnicza wybawicielka ułożyła dla nich prowizoryczne posłania, w całości tworzyło jednolite drzewo, ku górze przechodzące płynnie w sklepienie pomieszczenia, w wyniku czego sufit zrobiony był z dokładnie tego samego materiału. Drewniana ściana nie była idealnie gładka, jej harmonię łamały liczne narośle i bruzdy, fantazyjnie budujące najróżniejszego kształtu wieszaki, haki i półki. Na jednej z nich spoczywały ich miecze. Inne służyły jako miejsca, do których przytwierdzono rozjaśniające mrok pozbawionego okien pomieszczenia pochodnie. Mimo ich płomienia niektóre fragmenty obszernej sali pozostawały skryte w mroku, nieprzeniknionym dla ludzkich oczu. Jednak Elpis widziała to, co kryła ciemność niemal równie dobrze, jak część skąpaną we świetle.

Cienkie lniane nici biegnące ponad ich głowami przez całą długość osoblwej sali i zawieszane na nich, powiązane w zgrabne pęczki zioła o różnym stopniu zasuszenia. Przywiędłe i rozjaśniające półmrok świeżą bielą miotłki bielunia, ciemiernika i komosy, ostróżki i ostróżeczki, belladonny i jaskółczego ziela, cieńsze i grubsze wiązanki, utworzone przez zwieszające się na podobieństwo nietoperzy gałązki blekotu i kłosówki wełnistej, rozłożyste bukiety rdestu i skromniejsze, fantazyjnie postrzępione niecierpka i naparstnicy. Poza tymi, których przeznaczenie mogło być co najmniej dwojakie, gdyż z większości z nich wprawny zielarz mógłby z powodzeniem uwarzyć zarówno skuteczne lekarstwo, jak i nie mniej skuteczną truciznę, były tu też gatunki flory całkiem zwyczajne, jak choćby dziurawiec, mięta, szalwia, bazylika i pokrzywa. Na sporym, gładko ściętym pniaku, nie wiadomo jakim cudem i przez kogo tu wtaszczone, a wielkim tak, że bez ścisku mogącym pomieścić kilkoro spożywających posiłek osób, stał imponujących rozmiarów bukiet tojadu o ciemnofioletowych kwiatach. Bukiet najwyraźniej pełnił po prostu rolę ozdoby, bo końcówki gałązek spoczywały w naczyniu z wodą.

Podłogę i trzy pozostałe ściany niemal w całości tworzyła ubita na kamień ziemia. Niemal, bo w wielu miejscach ziemię przenikała płatanina korzeni o fantazyjnych kształtach,

zdobiących ścianę niczym misterny damaskinaż klingę miecza. Kiedy Elpis budziła się wcześniej, nie były to właściwie prawdziwe przebudzenia. Raczej stan na pograniczu jawy i snu, dziwna rozedrgana i rozmigotana półświadomość, podczas trwania w której niczego nie była pewna i nic nie wyglądało na to, czym było w istocie. Były przebudzenia, gdy wydawało jej się, że znajduje się w monstrualnie wielkiej dziupli, chłodnej norze czy wśród rozłożystych konarów nieprawdopodobnie wysokiego drzewa. Wtedy nie miała czasu, by analizować, bo po okresie chwilowego ożywienia powracała słabość, a czarodziejka zapadała się na powrót w rozkołysane objęcia rozbrzmiewającej tysiącem dzwoneczków pustki, wśród której realna była tylko lepka ciemność.

To przebudzenie było pierwszym, gdy zdołała usiąść i świadomie rozejrzeć się po pomieszczeniu, w którym byli uwięzieni. Pierwszym, podczas którego udało jej się zebrać myśli i zacząć się zastanawiać. Doszła do dwóch wniosków. Gorączka, która do tej pory ją trawiła, ustąpiła już całkiem, regeneracja sił i ran odbywała się szybko, bez wcześniejszych problemów, a to mogło oznaczać tylko jedno. Połączenie, które do tej pory spajało w jedność życie jej i Pistisa, zostało zerwane. Znów była nieśmiertelna, tym razem na zawsze i nieodwołalnie. Nie poczuła z tego powodu ulgi i nie poczuła rozpacz, właściwie nie poczuła nic, poza pustką i żalem, z którym nie wiedziała co począć, bo nie przychodziło jej do głowy, ku komu powinna go skierować. Zrobiła więc z nim to, co potrafiła bardzo dobrze. Zmusiła go, by zniknął. Pozostała pustka. Znajoma i bezpieczna.

Drugi wniosek był równie oczywisty jak nieprawdopodobny. Znajdowali się w norze. Monstrualnie wielkiej norze, wydrążonej wśród korzeni wielkiego drzewa.

Jakkolwiek niemożliwym by się to nie przedstawiało, Elpis zaakceptowała wizję drzewa tak bardzo górującego nad jakimkolwiek ze znanych jej drzew, że jeden z jego korzeni otulał salę wielkości sporej stodoły. Przyjęła do wiadomości fakt, że białowłosa dziewczyna, którą w amoku narkotycznych majaczeń wzięli za mitycznego Króla Olch, postanowiła uwięzić ich właśnie w tej sali, a także to, że jej wnętrze, z miękką i ciepłą pościelą, pękami zasuszonych ziół i świeżym bukietem na gładko ściętym pniaku, z opartą o utworzoną ze zbitej ziemi ścianę harfą i zawieszonym nad żywym ogniem niewielkim kociołkiem, w którym delikatnie wrzał napar o zapachu, którego nie potrafiła nazwać, wcale więzienia nie przypominało. Żaden z przedmiotów, znajdujących się w pomieszczeniu nie budził w czarodziejce myśli o tym, że znajduje się w rękach kogoś, komu przyrzekła posłuszeństwo. Żaden, poza...

Spoczywający po jej prawej stronie Sylwan poruszył się niespokojnie przez sen, a Elpis nie myśląc o tym, co robi, szybko oparła stopy o ziemię, chcąc zeskoczyć z półki, służącej jej za łóżko. Jeszcze szybciej zabrała je z powrotem, znów podciągając kolana pod brodę i oplatając je ramionami. Przypominająca pajęczą przędzę tunika w kolorze ochry miękko otuliła jej biodra.

– Zapomniałam – rzuciła pozornie obojętnym tonem, patrząc prosto w żółto-zielone ślepie przyczajonego do skoku żbika o pręgowanym futrze.

Właśnie wielki kot był tym, co nie pozostawiało miejsca na wątpliwości co do tego, w charakterze kogo się tu znaleźli. Strażnik. Czarodziejka była pewna, że zwierze nie może zrozumieć artykułowanej mowy, a jednak szara sierść na jego grzbiecie opadła, zupełnie jakby przyjął jej oświadczenie do wiadomości i uznał je za wystarczające. Elfka pozornie spokojnie rzuciła okiem na posłanie Sylwana. Naprawdę wcale nie była spokojna. Nie przywykła do takiego zachowania, tak bardzo były jej obce bierność i posłuszeństwo, że musiała z całych sił pilnować się, by żbik nie zauważył jej klów. Organizm, przyzwyczajony do walki i odpowiadania na przymus agresją i buntem, reagował we właściwy sobie, odruchowy sposób. Mimo iż od ponad godziny, którą spędziła na wpatrywaniu się w zmiętą kartkę papieru i przedstawionego na niej jednorożca, usilnie starała się ignorować żbika, każda komórka jej ciała pozostawała w stanie

nieustannego napięcia. Kły chciały kąsać, a paznokcie szarpać. Pamiętała jednak, co przyrzekła białowłosej w zamian za ocalenie ich życia.

Żbik, jako jeden z mieszkańców jej lasu, był nietykalny. Przynajmniej do momentu, w którym nie zdecyduje się skrzywdzić któregoś z nich jako pierwszy.

Wampir zmarszczył czoło, jęknął i potrząsnął głową. Po chwili przyłożył koniuszki palców do skroni i zamrugał kilkakrotnie. Objął spojrzeniem salę, zatrzymując na czarodziejce nienaturalne, czarne tęczęwki, nawet dla obdarzonej bystrym elfickim wzrokiem dziewczyny niemal niemożliwe do odróżnienia od źrenic. Ich wyraz był całkiem przytomny.

– Witaj – rzuciła przyjaźnie.

Sylwan w odpowiedzi mruknął coś niezrozumiałego i jeszcze raz rozejrzał się po sali, a na jego twarzy malowało się coraz większe zdumienie, jakby dopiero teraz dostrzegął dziwaczne elementy otaczającego ich świata. Teraz jemu wypadła kolej zadziwić się nieprawdopodobnym drzewem wielkości góry i wizją ich czworga, uwięzionych pod jego korzeniami. I zdziwił się szczerze, a szczerze podkreśliło nienaturalne drżenie głosu, gdy zadawał pierwsze pytanie.

– Pani, gdzie... – odkaszlnął, przerywając na chwilę, z trudem zmuszając obolałą krtań do wydania z siebie głosu. – Gdzie jesteście?

– Też chciałabym się dowiedzieć, wierz mi.

Wampir powoli, ostrożnie, podciągnął ciało do pozycji siedzącej. W tej samej chwili zobaczył żbika, który skupił na nim nieruchome zielono-żółte spojrzenie. Mężczyzna zmarszczył czoło, uświadamiając sobie jednocześnie dwie rzeczy – że oto w odległości kilku zaledwie metrów od niego, otulone miękką szarą sierścią spoczywa lekarstwo na irytującą słabość i pulsujący, rozedrgany ból gdzieś we wnętrzu jego czaszki oraz to, że nie wolno mu po nie sięgnąć. Doskonale zdawał sobie sprawę, że krtań, splukana gorącym, słodko-gorzkawym nektarem o zapachu rdzy, odzyska zdolność do formułowania słów, które nie kaleczą gardła. Że dłonie, w tej chwili niezdarne i drętwe, dłonie kogoś, kto zbyt długo ich nie używał, staną się na powrót silne i twarde jak stal, gdy z mocą stalowego imadła zacisną się na szyi ofiary. Nie wiedział tylko, dlaczego nie wolno mu zaatakować.

Jego zawsze wyglądająca na chorą twarz skurczyła się i pobladła, gdy przed oczami stanęło mu wspomnienie Elpis klęczącej przed dziwną białowłosą zjawą i składającej niedorzeczne przysięgi.

– No tak... Jasne – rzucił sam do siebie, patrząc z niechęcią na dzikiego kota. – Więc to wszystko zdarzyło się naprawdę. Nie było snem.

Elfka nic nie odpowiedziała, ale też Wampir nie pytał o nic, a wypowiedziane przez niego zdania były po prostu gorzkimi stwierdzeniami. Sylwan przeniósł spojrzenie na jej twarz i przez chwilę żadne z nich się nie odzywało. W końcu to on po raz drugi przerwał ciszę.

– Dobrze, więc... A teraz powiedz mi, jak zamierzasz się z tego wszystkiego wykręcić? To znaczy, dobrze, rozumiem, nie będę pił krwi dopóki będzie taka potrzeba, ale kiedy i w jaki sposób uciekniemy?

Elfka nadal milczała. Po chwili spuściła wzrok i zagryzła wargi. Wampir westchnął.

– Tego się obawiałem – mruknął cicho, nie przestając jej obserwować.

W zarzuconej na nagie ciało delikatnej szatce, jaką wyobraźnia trubadurów zwykła przypisywać eterycznym driadom, dziewczyna sprawiała wrażenie zagubionej i bezradnej. Wampirowi, przywykłemu do oglądania jej w podróżnym płaszczu, nagle wydało się, że ma przed sobą zupełnie inną osobę, że czarodziejka, czarnoksiężnik, dziwna historia o siedmiu potępionych aniołach i klasztor, otulony szczelnym kokonem z czarnych płomieni, były wytworami fantazji. Sala, uformowana przez grube korzenie, zdawała się być drewnianą chatą

z klepiskiem z desek, a tańczący w pochodniach żywy ogień wyczarowywał na twarzy siedzącej naprzeciw niego dziewczyny, obejmującej ramionami kolana i zapatrzonej w siebie tylko wiadomy punkt, nieustannie zmieniające kształt cienie. Przez chwilę czas i przestrzeń przestały istnieć, Elpis rozplynęła się, jakby wchłonęła ją w siebie drewniana ściana za jej plecami, a naprzeciw Wampira siedziała w identycznej pozycji drobna, jasnowłosa dziewczynka o ufnych i odważnych szarych oczach.

Przywidzenie trwało mgnienie oka, ale tak bardzo nim wstrząsnęło, że mimo iż pozornie zachował spokój, odruchowa reakcja jego ciała zdradziła go w sposób dostateczny, by zwrócić jej uwagę. Elpis podniosła na niego oczy, a Wampir z rozczarowaniem i bólem, którego intensywność zaskoczyła nawet jego samego zarejestrował, że ich barwa bynajmniej szarej nie przypomina.

– To nic – ubiegł jej pytanie, rozdrażniony na nią, a może i na siebie, nie chcąc, by padło.  
– Jestem po prostu zmęczony. Bardziej, niż mi się wydawało.

Elpis przez chwilę przyglądała mu się spojrzeniem pozbawionym jakiegokolwiek wyrazu, a potem nagle zeskoczyła z posłania na ziemię, podejmując decyzję. Pręgowany żbik zjeżył się i zamarł w pozycji gotowego do skoku drapieżnika.

– Nie zamierzam uciekać ani atakować – powiedziała spokojnie, nie patrząc na kota. – Nie sprowokowana, nie złamię żadnej z obietnic danych białowłosej Pani Lasu. Jeśli jednak staniesz mi na drodze, nie rękę za siebie.

Odczekała chwilę, po której spokojnym krokiem pokonała odległość dzielącą ją od półki, służącej za łóżko Wampirowi i usiadła obok niego, przesuwając poduszki. Bez słowa wyciągnęła w jego stronę rękę, otwartą dłońią do góry. Sylwan drgnął i popatrzył z niedowierzaniem na delikatnie pulsującą pod cienką skórą siateczkę żył na przegubie tej dłoni.

– Chyba żartujesz... – wykrztusił, czując, jak kły odpowiadają niemal natychmiast, wysuwając się i sprawiając ból.

Elfka potrząsnęła głową, zaprzeczając. Nadal się nie odzywała. Bała się spłoszyć go słowami. Wiedziała, że jej propozycja nie może spotkać się z jego aprobatą, jednak równie dobrze rozumiała, że krew jest dokładnie tym, czego mężczyzna potrzebuje. Wbrew jednemu z wielu mitów na temat Wampirów, krew nie była niezbędna do utrzymania się przy życiu, jednak w sytuacjach takich, jak ta, nie można było jej odmówić zbawiennego wpływu na ich organizmy. Sylwan zmrugał oczy i zacisnął palce dłoni na pościeli, bezskutecznie usiłując ukryć przed czarodziejką ich drżenie.

– Zabierz rękę – warknął nie swoim głosem. – Elpis, proszę cię.

– To ja proszę. Potrzebuję cię zdrowego i w pełni sił. Najprędzej jak to możliwe. Nie osłabisz mnie, bo mnie nie da się już w taki sposób osłabić. To skomplikowane. Opowiem wam, jak tylko będziemy mogli porozmawiać w czwórkę, nie podsłuchiwanie przez nikogo, obiecuję. Ten jeden raz, Sylwanie.

Wampir wyciągnął rękę, chcąc odepchnąć precz dłoń dziewczyny, ale w chwili, gdy dotknął palcami gładkiej skóry i wyczuł pod nimi delikatne uderzenia pulsu, cały ten plan runął, jakby nigdy nie istniał. Jego woła rozsypała się na kawałki, a instynkt drapieżnika wyostrzył zmysły i sprawił, że palce same zacisnęły się, przyjmując w siebie kształt jej nadgarstka. Jego ruchy w jednej chwili stały się jakby kocie, spowolnione, jednak była w nich niezwykła precyzja i ponura świadomość tego, co musi się stać. Wydawało mu się, że krew czarodziejki przyspieszyła, rozbijając się i przepychając w za ciasnych dla siebie korytarzach żył, chcąc wydostać się na zewnątrz, a obraz jej ścieżek powoli, lecz nieprzerwanie rósł i zbliżał się do oczu Sylwana, aż Wampir zdał sobie sprawę, że niepojętym dla niego sposobem jej nadgarstek znalazł się w niebezpiecznie bliskim sąsiedztwie jego ust.

Kły raniły zaciśnięte do bólu wargi, więc otworzył usta, uwalniając je. Jeszcze próbował protestować, ale wszelki protest przybrał formę krótkiego, rwącego się westchnienia, zakończonego gwałtownie z chwilą, gdy ostre zęby przebiły ścianki żył.

Elpis zacisnęła powieki i wstrzymała oddech w oczekiwaniu na to, co się stanie. Jednak nie wydarzyło się nic. Napastliwie narzucające się wspomnienie owej nocy po zabiciu trzeciego anioła, kiedy to Pistis z niej pił, wspomnienie ich połączenia i symbiozy, czegoś, co nie miało prawa się wydarzyć, a mimo to miało miejsce, było w tej chwili niczym szczególnie przytłaczające, zaprawione goryczą brzemie. Otworzyła oczy, z niejakim rozczarowaniem patrząc, jak twarz Wampira wygładza się i rozjaśnia, jak znikają cienie, naznaczające policzki, a błądy zazwyczaj odciń skóry choć trochę się ożywia. Mogła przed sobą udawać, że sama nie potrafi powiedzieć, skąd wzięły się w niej negatywne emocje, ale to było na nic. Kiepski stan Sylwana był tylko jednym z powodów decyzji, by użyć mu swojej krwi.

Drugi powód był tak samo prozaiczny, jak i egoistyczny. Chciała dokonać swego rodzaju testu. Sprawdzić, jak wiele straciła z chwilą, gdy roztrzaskała amulet. Reakcja jej organizmu, a raczej jej brak bynajmniej jej nie zdziwiły, spodziewała się dokładnie takiego wyniku. A jednak czuła coś w rodzaju żalu. Do tego potrafiła przyznać sobie prawo, nie umiała zgodzić się na strach. A to właśnie strach spowodował, że wołała przejść przez tę próbę z kimkolwiek, byle owym kimś nie musiał być kasztanowowłosy kapłan.

Po kilku chwilach uścisk Wampira zelżał i Sylwan z trudem, ale stanowczo oderwał wargi od jej ciała. Elpis zepchnęła żal i złość w najgłębszą część siebie, budując niemożliwą do sforsowania zaporę. Uśmiechnęła się. Mężczyzna nie odpowiedział na uśmiech. Delikatnie, jakby dzierżył w dłoniach naczynie z kruchoego szkła, poprowadził jej rękę w dół i złożył na kolanach dziewczyny, po czym szybko się od niej odsunął. Usiadł na skraju łóżka, wplatając mokre i lepkie ciepłą czerwienią palce we własne włosy. Oddychał szybko i płytko, z niejakim wysiłkiem dążąc do osiągnięcia normalnej częstotliwości wdechów i wydechów.

– Niech cię diabli, Elpis – wymruczał niewyraźnie, z twarzą nadal pochyloną na własną pierś. – Wybacz moją zuchwałość, ale... Niech cię diabli – powtórzył już niemal spokojnie.

W jego głosie nie było wrogości, raczej zażenowanie i niepewność. Żbik obserwował ich nieufnie, ale nie wyglądał już na kogoś, kto zamierza zaatakować. Był czujny i nie do końca im ufał, to wszystko. Na jedynym nie znajdującym się na żadnym podwyższeniu posłaniu ciemnowłosy Farys poruszył się niespokojnie przez sen, po czym zeszytywniał gwałtownie, gdy jego ruch odezwał się szarpiącym bólem w złamanej nodze. Czoło i skroń upstrzyły mu kropelki zimnego potu. Elpis szepnęła coś krótko w niezrozumiałej dla Sylwana mowie plemienia Elfów i w tej samej chwili rysy twarzy Człowieka wygładziły się, a oddech stał się regularny i głęboki.

Tymczasem Wampirowi też udało się już przyjść do siebie. Kiedy czarodziejka znów na niego spojrzała, siedział w pozycji znacznie swobodniejszej niż przed chwilą, ale oczy miał czujne, a czoło naznaczone głęboką zmarszczką.

– Co zamierzasz? – kiedy zadawał to pozornie zwyczajne pytanie, w jego głosie wyraźnie wyczuwalne było napięcie.

– Wytrwać – odpowiedziała po prostu, wzruszając ramionami. – Nie widzę przed nami innej drogi. Złożyłam kilka obietnic i muszę ich dotrzymać. Widziałam próbkę jej mocy i to mi na razie wystarczy. Nie zamierzam łamać słowa, danego komuś, kto dysponuje tak wielką potęgą. Pozostaje mi tylko ufać, że nasza tajemnicza Królowa Olch nie cofnie swojego. Sama tego nie rozumiem, ale tak. Wierzę jej – uprzedziła nie zadane pytanie.

Sylwan krótko skinął głową, wyraz jego twarzy pozostał niewzruszony. Przed oczami stanął mu obraz niemowlęcia, śpiącego w miękkiej kołysce, utworzonej z ciała nadnaturalnie wielkiej Szarej Wilczycy o dwóch łbach. Wspomnienie białej sukni, skrzęcej się blaskiem

miliarda maleńkich diamentów, naszytych na lekko szeleszczący materiał, ciepła ognia, płonącego w grocie i ciemnej czerwieni krwi na ustach czarodziejki o fizjonomii Elfa. Wspomnienie sprzed niewielu tygodni, a wydające się niezwykle odległym. Pamiętał sposób, w jaki zadrżała jej dłoń w odpowiedzi na niespokojny ruch chłopca i pamiętał jej oczy w chwili, gdy spoczywały na twarzy dziecka. I nieco później, gdy patrzyła na Kaina, broniąc malucha przed nim i zakazując mu się do niego zbliżać.

– Pani, jeśli wolno mi spytać... – zaczął ostrożnie, ale przerwała mu.

– Nie wiem. Nie potrafię odpowiedzieć. Ale rozumiem, że powierzając go pieczy czarnoksiężnika popełniłam błąd i wiem, że naprawienie go będzie pierwszym, co uczynię, gdy tylko się stąd wydostaniemy. Nie wiem, kim jest... dla mnie. Ale jego miejsce jest ze mną, z nami, nie w Warowni.

Mężczyzna obserwował ją spod w półprzymkniętych powiek, czując się coraz bardziej zagubiony i zdezorientowany. Nie rozumiał, skąd niepokój pochodzi, jednak gromadził się w nim niemal namacalny, niczym ciężka kula gęstej czerni, która zasysa wszystko do swojego zimnego wnętrza i wbrew wszelkim prawom, zamiast rosnąć, kurczy się, zakrzywiając i kurcząc wszystko wokół, zapadając się, nieubłaganie dążąc do katastrofy. Czarodziejka była dziwna, coś było z nią cholernie nie tak i tym czymś nie były wcale niedorzeczności, które opowiadała. A przynajmniej nie tylko one stanowiły problem, bo przecież już sam pomysł, by na wyprawę w poszukiwaniu pozostałych aniołów zabrać ze sobą wymagające nieustannej troski, spokoju i uwagi niemowlę, był dość osobliwy, by na jego podstawie stwierdzić, że w pewien sposób straciła zdolność do trzeźwego osądu sytuacji. Tak czy inaczej nie to było głównym problemem. Tyle wiedział.

Niestety, mimo usilnych starań, nie udało mu się dojść do niczego ponad to. Zwrócił wzrok na zbika, który teraz wyciągnął się na ziemi, z łbem wspartym na przednich łapach, na w pół rozluźniony, na w pół czujny.

– Dobrze. Nie zgadzam się z twoją decyzją, jednak przyrzekłem posłuszeństwo, a ja również nie zwykłem rzucać słów na wiatr, dlatego się jej podporządkuję. Więc, kiedy w końcu opuścimy to miejsce, pocwałużemy prosto do Warowni i odbijemy niemowlę. Co dalej?

Dziewczyna spojrzała na niego z wdzięcznością.

– Nie wiem. Odnajdziemy pozostałe demony, czy raczej anioły, które stały się demonami. Myślę też, że powinniśmy postarać się dotrzeć do kogoś jeszcze, ale na razie nie mam pojęcia jak się za to poszukiwanie zabrać i co uczynić, kiedy zakończy się sukcesem. Myślę więc, że te plany musimy odłożyć na jakiś czas. Wrócę do tego, kiedy będę pewna kilku rzeczy. Na razie skupmy się na tym, by wytrwać. Krew żadnego z mieszkańców tego lasu nie może być przez nas przelana, proszę cię, pamiętaj o tym.

– Dobrze, zrozumiałem. Żadnej krwi. Jak długo?

– Jak długo będzie trzeba.

Pochylił głowę, nie patrząc na nią.

*Jak długo będzie trzeba, zgoda. Tylko...*

– Tylko co?

Wampir wzdrygnął się na dźwięk jej pytania. Być może to zbyt długi sen odpowiadał za uczucie ogólnego wewnętrznego rozbitcia, które nim teraz zaważnęło i którego intensywność sprawiała, że nie potrafił zapanować nad własnymi myślami. Nie spodziewał się, że Elpis zdoła je w tej chwili wychwycić. Po długim ociąganiu podniósł na nią oczy. Po raz drugi dzisiejszego dnia lekko zaszokowany widokiem rozległej szramy na policzku Elfki, uświadomił sobie, że będzie musiało minąć jeszcze sporo czasu, zanim przyzwyczai się do obecności blizny. Oczywiście, jeśli ta prędzej nie zniknie. Nie wątpił, że Elpis potrafi pozbyć się jej za pomocą magii, nie tak dawno temu był świadkiem, jak Kain – mistrz czarodziejki, który ich zdradził i za

którego przyczyną niemal nie zostawili głów u stóp ołtarza, przybranego w białe róże – w kilka chwil uporał się z paskudną, groźnie wyglądającą raną na brzuchu. Poza rdzawym rysunkiem, który na skórze zostawiła krew, ciało pozostało nienaruszone, jakby sztyletu nigdy w nim nie było.

– Nie zniknie – powiedziała Elfka cicho i miękko. – Potrzebuję jej. Chcę, by została.

Sylwan, zbyt zaskoczony tym nagłym wyznaniem, zareagował tylko krótkim skinieniem głowy. Nie spodziewał się, że Elpis podejmie temat, ale ona, kierowana jakimś wewnętrznym przymusem, kontynuowała spokojnie.

– W moim sercu jest piasek i popiół z ogniska, które kiedyś było drzewem, ale zapomniało już, jak smakuje deszcz i jak delikatny potrafi być dotyk ciepłego wiatru, który śpiewa wśród liści. I nagle, kiedy najmniej się tego spodziewałam, okazało się, że... Potrzebuję jej. Jest i pozostanie moim memento. O tym, że popiół też potrafi coś poczuć. I że to jest ważne. Czasem nawet najważniejsze na świecie. Rozumiesz mnie?

– Tak, pani. Nie zgadzam się tylko ze sposobem, w jaki chcesz postąpić. Zgodziłaś się na kilka warunków, ale twoje obietnice zostały wymuszone, gdybyś tego nie zrobiła, nie rozmawialibyśmy teraz. Nie przysięgałaś zgodnie ze swoim sercem i wolą. Kogokolwiek o to zapytasz, odpowie ci, że przysięgi, które złożyłaś, nie są wiążące i nikt nie ma prawa wymagać od ciebie ich dotrzymania. Jeśli chcesz znać moje zdanie, powinniśmy zostać tu możliwie najkrócej, a kiedy tylko będziemy zdolni utrzymać się na końskich grzbietach; a raczej – kiedy oni będą w stanie jechać, bo my dalibyśmy radę już dziś – nie zwlekając, opuścić to miejsce.

– Nie – przerwała mu stanowczo. – Ona ocaliła nam życie. Nie cofnę słowa.

– W porządku, ale powiedz mi, proszę, czy naprawdę wierzysz, że można ot tak przekonać Wilka, by zaczął odżywiać się jagodami? – warknął z nagłym gniewem, który narodził się w nim, nie wiadomo skąd. – Wampir potrzebuje krwi. Nie po to, żeby przeżyć, lecz by normalnie funkcjonować i zachować siły – kontynuował, nie doczekawszy się odpowiedzi. – To co chcesz zrobić, to nie jest żadne pieprzone katharsis, to zwyczajny masochizm, do tego całkowicie nieuzasadniony. Wydaje ci się, że możesz wytrzymać, ile zechcesz. Ale to nie tak. To cholernie nie tak. Nie przeczę, że jesteś silna, a teraz masz również motywację, ale ta motywacja w końcu przepadnie, wiesz, o czym mówię. Wiesz równie dobrze, jak ja, że kiedy go zabraknie, popłynie krew, rzeki krwi, zapłoną wioski i przestanie mieć znaczenie, czyja to krew. Bo nagle nawet dzieci staną się winne i będą musiały swoją winę odkupić. A kiedy w końcu wstrzymasz miecz w pół ciosu, bo mały elfi chłopiec, w którego pierś skierujesz ostrze, będzie patrzył na ciebie rozszerzonymi z przerażenia błękitnymi oczami, jego oczami, zorientujesz się, że brodzisz w tej krwi po kolana. Że nie masz nawet komu powierzyć chłopca, bo krew jego nieszczęsnych pobratymców właśnie przelałaś. Że nie możesz zwrócić się do kapłanów, bo gdzieś tam po drodze puściłaś z dymem świątynię i przyświątynny sierociniec, a wraz z nim całe rzesze takich właśnie błękitnookich chłopców i jasnowłosych dziewczuszek. Nie ważne, co wtedy zrobisz, bo nie wybaczysz sobie nigdy, bo są winy, za które nie ma odkupienia.

Nie przerywała mu, słuchała w milczeniu, z niewyrażającą absolutnie nic miną, mnąc w dłoniach materiał tuniki. Kiedy skończył, drgnęła gwałtownie, jakby porażona ciszą, jakby to nie słowa były brutalne, ale właśnie cisza, która po nich nastąpiła. Wyraz jej twarzy wciąż pozostawał niezmienny. Gdyby Sylwan nie był jej uczniem, może dałby się nabrać na ten pozorny spokój, ale po czasie, jaki w swojej obecności spędzili, potrafił odbierać jej prawdziwe emocje. Pochylił głowę i przymknął oczy, świadom, że powiedział zbyt wiele.

– Kontynuuj – poleciła łagodnie, ale stanowczo.

– Skończyłem. Przepraszam.

Elpis nagle przysunęła się do niego i szybkim ruchem uniosła podbródek Wampira,



unieruchamiając go w dłoni i zmuszając mężczyznę do patrzenia prosto w jej oczy. Zadziałał instynktownie, stawiając barierę i zagradzając jej dostęp do swoich myśli. Że zrobił to za późno, zorientował się, widząc w jej źrenicach zrozumienie i cień bólu.

– Kontynuuj, proszę – jej głos był natarczywym, nabrzmiałym od emocji szeptem. – Opowiedz mi o rzekach, w których płynęła krew. Opowiedz o wiosce, która spłonęła w ogniu i utonęła we krwi. I o tej, która sprawiła, że krew przestała płynąć. Kim była? Co... Co się z nią stało? Gdzie jest teraz?

Zaskoczenie, malujące się początkowo w czarnych oczach Sylwana, teraz ustąpiło miejsca goryczy i łagodnej kpinie. Usiłował odwrócić głowę, unikając odpowiedzi, ale nie pozwoliła mu na to.

– Co się z nią stało? Proszę.

Wampir poczuł, jak dłoń w żelaznej rękawicy zaciska się z dużą siłą na jego krtani, uniemożliwiając wydobyć głosu. Wzruszył ramionami, bezradnie i żałośnie.

– Przecież wiesz – wychrypiał w końcu, nie spuszczać z niej oczu.

Elfka westchnęła głucho, powoli opuszczając rękę. Mimo że nie przymuszany, Sylwan nadal nie odwrócił spojrzenia. Przez długą chwilę trwali bez ruchu, połączeni delikatną nicią gorzkiego porozumienia. Dzielili wspólne piętno – nieśmiertelność. Co z tego, że jego była bardziej krucha i podatna na zniszczenie niż jej? W obliczu tego, jak szybko gasło życie bliskich im obu istot, nie miało to najmniejszego znaczenia.

Od zawsze nieprzeliczone rzesze młodych Wampirów stanowiły postrach i przekleństwo wioski i samotnych wędrowców, których brawura albo zły los zaprowadziły w okolice ich odosobnienia. Wielu zginęło od ich ostrych kłów, nazywano ich więc okrutnymi bestiami, bez serc i uczuć, straszidłami, które nie mogąc umrzeć, sprowadzały swój obłęd lub śmierć na innych, z ekstazą w oczach chłepcząc obrzydliwie słodką krew, by potem śpiewać przy świetle księżyca, obok stygnącego w podrygach agonii ciała. Ludzie woleli zapomnieć, że każde z tych straszdeł było kiedyś Człowiekiem i że żadne z nich nie wybrało sobie losu, jaki stał się ich udziałem. Młode Wampiry były szalone, pijane szaleństwem, stateczność, opanowanie i obojętność przychodziły z biegiem lat, kiedy naprawdę nie zostawało już nic, co potrafiłoby rozbudzić i poruszyć schowane za grubym, wznoszonym pieczołowicie i wytrwale murem, uśpione uczucia. Skąd pochodziło szaleństwo? Gdzie leżało jego zarzewie, jak narodziła się iskra, od której zapłonęła krwawa kurtyna ognia? Ludzie z zasady nie stawiali sobie tego pytania. Po co? Przecież w głębi swoich serc znali odpowiedź.

Elpis najpierw zdziwiła się, nie rozumiejąc, dlaczego twarz Sylwana nagle znalazła się jakby za mgłą. Zamrugła. Dopiero, gdy Wampir uniósł obie dłonie do jej twarzy i opuszkami palców zebrał z niej dwie łzy, zorientowała się, że popłynęły. Uśmiechnęła się bez śladu wesołości, a on odwzajemnił uśmiech.

– Kiedyś ci o tym opowiem, dobrze? Teraz nie chcę, nie umiem. Nazywałem ją Nisa. Nie poznałem jej prawdziwego imienia, nigdy nie odezwała się do mnie słowem. Nie wiem, czy taka była, czy to przeze mnie. Może zbyt wiele widziała? Była moją córką, moim biologicznym dzieckiem, najmłodszym. W chwili, gdy zostałem przemieniony, moja żona była brzemienna. Proszę cię, nie pytaj mnie teraz o więcej, nie próbuj sięgać do mojej głowy. Przecież wiesz, co musiało się z nią stać, Elpis...

## Rozdział 16

### Ciemność jest nie tylko brakiem światła

sylwan siedział na gołej ziemi, za oparcie dla pleców mając cudacznie powykręcany pień wierzby. Drzewo w tym miejscu tworzyło spore zagłębienie, w sam raz zdatne ku temu, by posłużyć jako wygodne siedzisko. Łokcie wspierał na podkurczonych kolanach, wysuniętymi przed siebie dłońmi zdając się obejmować jakąś niewidzialną kulę tak, by opuszki palców dzieliły od siebie milimetry. Mrok nocy rozświetlały delikatnie fosforyzujące, srebrzysto-białe nitki, biorące początek właśnie w opuszkach i zdające się, niczym zatrzaski żelaznych kajdanek, zamykać w sobie nieistniejącą kulę, w środku której biały, rozedrgany obłok przybierał postać maleńkiej osóbki. Istotka była niczym wypełnione przelewającym się światłem naczynie, kruche i piękne. Elpis powtarzała, że taka wizualizacja zakłęcia przypomina jej jarmarczne sztuczki i absolutnie nie jest potrzebna, jednak Wampir według wszelkich norm był bardzo młodym adeptem i znacznie ułatwiało mu to zadanie. A zadanie nie było proste.

Trwał w niezmienionej pozycji od kilku godzin, nawet dla przedstawiciela jego rasy było to niemal torturą, na przemian przestawał czuć każdy mięsień ciała, jakby zamieniał się w drewniany posąg, który nie potrafi odbierać żadnych bodźców i cierpiał niczym ktoś zanurzony po szyję w mrowisku pełnym wściekłych i bardzo głodnych mrówek. Jedynym, na co sobie pozwalał, były łagodne ruchy głową, które nie mogły jednak przynieść ulgi ani ścierpiętemu karkowi ani obolałym plecom. Pocieszał się tym, że świt był już blisko, więc niedługo obie czarodziejki – czarno i białowłosa – muszą wrócić i zwolnić go z posterunku.

Tymczasem jednak ostatnie godziny czekania zapowiadały się najgorzej ze wszystkich, które minęły. Cóż, zawsze najtrudniej jest iść, kiedy niemal dotarło się do celu wędrówki, a mędrcy nie na darmo powiadają, że przed świtem bywa najciemniej.

By trochę odwrócić swoje myśli od udręki ciała, wsłuchiwał się w dźwięki nocy. Znajdowali się w środku lasu, a las żył i to życie nie ustawało nawet na moment, nie zapadało w sen, przybierało tylko inną formę, ukazując nową, zawsze tak samo fascynującą twarz. W dzień zaznaczające swoją obecność trelami ptaków, trzepotem motyli skrzydeł, brzęczeniem maleńkich stworzeń, podobnych do pszczoł i nawoływaniem cykad oraz wszelkiego rodzaju zwierza, całkiem zwyczajnego – takie same zwierzęta zamieszkiwały lasy świata, z którego przybyli – jednak te były jakby dostojniejsze i większe, o mniej spłowiałych kolorach, okazalszych wieńcach i bardziej czarnych oczach. No i wcale się ich nie bały. Kiedy zapadał zmrok, wylegali ze swoich leż inni mieszkańcy, zarówno znani im i bezpieczni, jak nietoperze, ćmy czy świetliki, ale też niezwykle, budzące początkowo grozę w ich sercach, a nawet teraz, mimo zapewnień Pani Lasu, że nie skrzywdzą nikogo niesprowokowane, ani on, ani pozostali jego towarzysze, nie potrafili, myśląc o niektórych z nich, wyzbyć się lęku czy obrzydzenia. Na przykład...

W subtelny szum nocy wdarło się nagle wibrujące, obłąkańcze wycie, wrzask ni to ludzki, ni zwierzęcy. Wampir drgnął, niemal nie przeplacając spadku koncentracji zerwaniem zakłęcia, a Farys, śpiący do tej pory spokojnie po jego prawej stronie, zerwał się gwałtownie do pozycji siedzącej, porywając w rękę jedną ze swych długich saks. Pistis, spoczywający obok, podciągnął się na łokciu, obrzucając obozowisko nie do końca przytomnym spojrzeniem. Tylko trzecia postać, najmniejsza z nich wszystkich, pozostała nieporuszona, kryjący się wśród koron drzew wyjec nie był w stanie przerwać jej snu. Spojrzenie Elfa zatrzymało się na Człowieku, który

odrzuć złością nóż i zadarł głowę do góry. Wycie znów przeszło powietrze, jeszcze bardziej obłąkańcze i sprawiające, że wszystkie włoski na karku podnosiły się mimowolnie.

– Przeklęty wieszczy! – krzyknął w noc. – Żebyś tak zleciał, ścierwo i skręcił sobie swój plugawy kark! Wynoś się drzeć gdzie indziej! Tu nikt nie myśli umierać!

Elf patrzył na niego uważnie i z wyrzutem.

– Zabroniła ci go prowokować, pamiętasz?

Wrzeszcząca istota, uciszając się na chwilę, przemknęła z niepokojącą szybkością po konarach drzew wokół nich, zrzucając liście i gałęzie, po czym znów rozdarła się żałośnie dokładnie z wierzchołka wierzby, o pień której opierał się Sylwan. Wampir odsunął się ze wstrętem, cudem nie zrywając bladych nitek mocy. Wyjec zawodził jeszcze chwil kilka, wspinając się na wyżyny groteski i obłądu, a w chwili, gdy każdy z trójki mężczyzn myślał, że dłużej tego nie znieśie, wrzask urwał się nagle, zakończony rozpaczliwym, rwącym się akordem. Zapanowała idealna cisza, zakłócana tylko ich ciężkimi oddechami i spokojnym, głębokim oddechem nadal uspięnej driady.

– Podpalmy to drzewo – zaproponował Farys z błyskiem w oku. – Niech się plugawiec usmaży.

– Ani mi się waż. Elpis złożyła przyrzeczenie i zamierzamy go dotrzymać. Poza tym ona zaraz skoczyłaby ci do gardła, nie wiem, czy zdołałbyś przedtem wykrzesać choćby iskrę. Lubi wierzby.

Człowiek rzucił okiem na wyciągniętą na ziemi, nienakrytą żadnym kocem postać małej driady.

– Prawie tak samo jak topole, olchy, brzozy, graby, dęby czy klony. Pieprzone święte pomniki, rosnące dla nikogo i po nic.

– Uspokój się i waż dobrze słowa – upomniał go Pistis. – Chyba strach zbyt zmaćcił ci w głowie i przemawia teraz przez ciebie. W blasku dnia sam je podziwiałeś i przyznawałeś miano najpiękniejszych.

Człowiek wymruczał coś, co mogło być zarówno przeprosinami jak i zniewagą, po czym znów opadł na ziemię, zamykając oczy i usiłując zasnąć. Kapłan wstał i podszedł do Wampira. Usiadł przy nim, na moment zawieszając spojrzenie na świetlistej istotce, zamkniętej w jego dłoniach. Wiedział, że nie może ofiarować mu swojej pomocy, bo kiedy dojdą do celu wędrówki, na nim ciążyć będą inne zadania, utrzymanie iluzji spoczywać będzie wyłącznie na barkach Sylwana, samotne ćwiczenia były więc niezbędne. Elf owinął się płaszczem. Mimo iż noc była ciepła, to sen, na podobieństwo małej śmierci, zawsze nieco wyziębiał organizm, a użycie czarów rozgrzewających, tak jak wielu innych prostych, ułatwiających życie sztuczek, bez wyraźnej przyczyny i jasnego powodu, Elpis uznawała za głupie i godne kuglarzy, nie przystające czarnoksiężnikowi. Przymknął oczy, powoli zapadając w półsen.

Wampir pogrążył się w rozmyślaniach. Byli w drodze dokładnie od czterech dni i co noc Elpis i Oriole – tajemnicza Pani Lasu, oddalały się w sobie tylko znanym kierunku, a on pracował nad iluzją.

*Stwórz dla mnie iluzję doskonałą, złudzenie tak wiernie odbijające rzeczywistość, że nikt nie zauważy, iż jest tylko złudzeniem. Przywołaj majaka tak idealnego, że będzie on w stanie nawet samego ciebie zaskoczyć i oszukać. Ukształtuj pozór, który będzie nosił tak wyraźne znamiona rzeczywistości, że się nią stanie. Wizję, którą utrzymasz niezależnie od tego, czy miraż jest tuż obok ciebie, czy oddalony o wiele mil, nieważne co robi i kto go ogląda czy dotyka. Daj iluzji wolę i podaruj życie. Stwórz niemalże osobny byt.*

Tak właśnie powiedziała Elpis, zanim wyruszyli. Więc próbował, na przemian zaszczycony i przytłoczony jej wiarą w jego możliwości. Na początku to było niezwykle trudne,

srebro w jego palcach rwało się i znikało, maleńka istotka rozpadała się na wiele niepasujących do siebie kawałków, które musiał mozolnie składać z pomocą Elpis. Mimo to jego mentorka nigdy nie okazała zniecierpliwienia ani rozdrażnienia, a w końcu jej wiara sprawiła, że on też uwierzył, że potrafi. I zaczęło się udawać. Dziś po raz pierwszy wszystko trwało tak długo, a w tych ostatnich godzinach, kiedy Elfka była tuż, powoli i podstępnie do jego serca zaczęło zakradać się zwątpienie. By go nie dopuścić zbyt blisko, myślał. O oczątku tej wędrówki i o tym, co zobaczyli po opuszczeniu po raz pierwszy podziemnej nory wśród korzeni drzewa, którego nazwy żadne z nich, nawet Elpis, nie znało.

On i Elfka wyrwali się z zimnych szponów zbyt długiego snu jako pierwsi, ale Farys z Pistisem nie kazali im na siebie zbyt długo czekać. Wkrótce już cała czwórka wracała do zdrowia, zaczęła rozmawiać i wstawać. Nie opuszczali nory przez kilka dni, nie wiedząc, czy wolno im to uczynić i czy nie rozgniewają tym swojej dziwnej opiekunki. Białowłosej dziewczyny żaden z nich przez ten czas nie widział, choć pojawiająca się regularnie strawa wyraźnie świadczyła o tym, że bywała w ich więzieniu, wizyty te jednak musiały odbywać się zawsze, gdy spali. Stale był z nimi żbik, do obecności którego przywykli i niemal przestali ją zauważać. Kot zwykle leżał, zdając się drzemać, mimo to doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że czuwa i obserwuje.

Zarówno Człowiek jak i Elf początkowo odmówili spożywania posiłków, argumentując to sprzeciwem wobec zakazu pożywiania się krwią, nałożonym na pozostałą dwójkę. Ale wtedy po raz pierwszy Elpis się wściekła i miotając bluzgi, których nie powstydziliby się tragarz portowy, uświadomiła im jasno i dobitnie, co ona i Wampir sądzą o tego rodzaju szlachetnych gestach. Po raz drugi wściekła się, gdy w nocy rozdarł się wieszcz, a echo jego wrzasku zbudziło ich wszystkich, nie pozwalając zaznać snu do świtu. Ale to było później.

Najpierw, na ile to było możliwe z racji na ich położenie, zaczęła działać. Zlikwidowała szramę na policzku Elfa, pozostawiając tylko cienką kreskę, nieco jaśniejszą od reszty skóry, jednak dla kogoś, kto nie wpatruje się zbyt intensywnie, w ogóle nie widoczną. Sylwan zapomniał już, jak widzą słabe ludzkie oczy, ale Farys zapewnił, że on sam, nawet niezwykle intensywnie się wpatrując, nie jest w stanie nic dostrzec. Wszelkie pytania o swoją ranę czarodziejka zbywała milczeniem, tylko raz odpowiedziała coś miękko i krótko w śpiewnym języku Elfów. Po tej odpowiedzi z kolei kapłan stał się dziwnie małomówny i zamyślony i pozostał taki do wieczora.

Potem za pomocą magii wyleczyła złamaną nogę Farysa, tak że już na drugi dzień Człowiek mógł chodzić, nieznacznie tylko utykając. Teraz chodził już równie dobrze, a może i dłużej nie odczuwając bólu niż zmęczenia niż przed fatalnym w skutkach upadkiem z grzbietu Flamme. Dowiedział zresztą sprawności obu nóg, przez cztery ostatnie dni maszerując na równi z przedstawicielami znacznie silniejszych i wytrzymalszych od niego ras. Oczywiście żaden z nich nie mógł równać się z prędkością i lekkością, z jaką po lesie mknęła Anate, mała driada, która niespodziewanie dla wszystkich zasilila szeregi ich drużyny.

\*\*\*\*

Nie potrafili powiedzieć, kto pierwszy zorientował się, że w norze poza nimi i żbikiem często znajduje się ktoś jeszcze. Ktoś tak ostrożny i tak dobrze się kryjący, poruszający się tak bezszelestnie i prędko, że mimo iż odczuwali jego obecność, nie udawało im się go zobaczyć. Tajemniczy intruz to oddalał się, to podchodził tak blisko, że niemal czuli jego oddech na karkach. Był przebiegły. Nie dał się wpłatać w snute trochę z ciekawości i nudów, a trochę z ostrożności sieci. Próbowali wielu sztuczek – udawali sen, jednocześnie bacznie obserwując wnętrza nory. Elpis niby przypadkiem rozorała sobie przedramię o jeden z wystających ze ściany sęków, licząc na to, że stworza zwabi zapach słodkiej krwi, w końcu kilka razy rzucili

w przestrzeń jasny komunikat.

*Wiemy, że tam jesteś i że nie chcesz wyrządzić nam szkody, bo gdybyś o tym myślał, dawno byś to uczynił. My również nie mamy złych zamiarów, nikt cię nie skrzywdzi. Po prostu wyjdź.*

Odezwa pozostała jednak bez echa. W końcu przestali próbować, uznając obcego szpiega za kolejne dziwactwo białowłosej czarodziejki, z którego obecnością muszą się pogodzić.

Próby zdemaskowania tajemniczej istoty na jakiś czas zajęły ich tak bardzo, że Elfka zapomniała o ukrytej pod poduszką kartce z wizerunkiem jednorożca. Kiedy jednak przyznała już owej istocie laur zwycięstwa, w głębi ducha podziwiając jej spryt i karmiąc się nadzieją, że rezygnacja z demaskacji nie jest błędem, wróciła do tej sprawy. Człowiek ani Wampir nie potrafili rozwiać jej wątpliwości i odpowiedzieć na choć jedno z pytań, ale młodemu kapłanowi wystarczył tylko rzut oka na rysunek.

– Belial i Przedwieczny – oświadczył dziwnym głosem, marszcząc czoło. – Moment przekazania skrzydeł. Ale jak... Skąd to masz?

– Pamiętacie jak Kelia odciągnęła mnie od was i Elohima pod pretekstem podziękowań za ocalenie przed Trzecim? – odpowiedziała pytaniem na pytanie. – Ona wtedy skrycie ofiarowała mi tę kartkę i radę, w zamian żądając pewnej przysięgi. To właśnie pod wpływem jej słów rozbiłam szklaną gablotę i wykradłam miecze. Istnieje oczywiście możliwość, że opatrnie je zinterpretowałam, ale coś mówiło mi, że powinniśmy unieść z klasztoru oręż nieprzyjaciela. Do tej pory broń nie była niezbędna, ale mam przecucie, że wkrótce... Nie wiem tylko, po co i w jakim celu.

Dziewczyna zamilkła, na chwilę przestając ich zauważać i pograżając się we własnych myślach. Użyła miecza tylko raz i właściwie bez niego z równym powodzeniem mogłaby wystąpić przeciwko mistrzowi klasztoru mając za broń magię. Błyskawice, jeśli im nakazała, raziły na dużą odległość, z diabelską precyzją i szybkością godząc i zatrzymując serce, jednak coś kazało jej wtedy ciąć mieczem. Poza jej Mnemozyną żaden z pozostałych mieczy nie poznał jeszcze smaku krwi, przynajmniej nie odkąd znajdowały się w ich rękach. Tak czy inaczej jednak wykradzenie broni, z którą wiązała się legenda, broni wykutej przez samą Belial dla jej aniołów, musiało potępioną rozwścieczyć, może nawet spowodować, że coś rozpoczęło się wcześniej, niż sama Belial planowała. Ostatecznie na końcu drogi, którą świadomie obrali, czekało ich starcie z trzema aniołami i ich stwórczynią, więc sprowokowanie ich nieprzyjaciół do wyjścia z ukrycia mieściło się w granicach ryzyka, jakie byli gotowi podjąć.

– Pani?

Z rozmyślań wyrwał ją głos Farysa. Elpis spojrzała w ciepłe, brunatne oczy Człowieka i uśmiechnęła się przepaszająco.

– Wszystko dobrze, wybaczcie. Kontynuuj, proszę – zwróciła się do Elfa.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że to apokryf?

Czarodziejka potrząsnęła głową, przenosząc spojrzenie na twarz kapłana.

– Z niczego sobie nie zdaję sprawy. Pierwszy raz zobaczyłam ten obrazek na oczu tu, a pierwszym, który jest w stanie powiedzieć mi, co on przedstawia, jesteś ty. Musisz zatem opowiedzieć mi całą historię.

– Dobrze, jeśli chcesz. Najpierw jednak czuję się zobowiązany jeszcze raz podkreślić, że masz do czynienia z apokryfem. Mędrzy i mistrzowie mojego zakonu nigdy nie uznali tej wersji za prawdziwą, a jej zapisu nie włączyli do kanonu i nie uwzględnili w Świętej Księdze. Mogę ci tylko opowiedzieć legendę, będącą raczej innym spojrzeniem i gdybaniem na temat Belial i jej losów, niż jakimkolwiek świadectwem. Kelia znalazła ten rysunek w jednej z ksiąg, do których nie wolno nam było zaglądać i nie wolno było zgłębiać ich treści. Jednak robiliśmy to, a ona

traktowała znalezione w nich informacje niezwykle poważnie, za każdym razem pewna, że dokonała niezwykłego odkrycia, które mędrcom umknęło. Więc...

– Zostałam ostrzeżona. Mów – przerwała mu Elpis niecierpliwie.

Kapłan skłonił głowę i podjął wątek.

– W Warowni, podczas naszego pierwszego spotkania, czarnoksiężnik opowiedział nam oficjalną wersję historii Siedmiu i Lucyfera. Zakłada ona, że Bóg po śmierci swojego syna odebrał aniołom skrzydła i strącił ich na Ziemię, tym samym na zawsze gasząc blask Siedmiu Świąteł. Tylko Lucyfer musiał, wbrew swojej woli, zachować skrzydła, płonące i straszne. Istnieje jednak przekaz, wedle słów którego, Belial, wcześniej przeniknąwszy zamysły Najwyższego, nie poprzestała tylko na wykluciu mieczy i stworzeniu armii. Jej udziałem miały stać się jeszcze dwa dzieła. Pierwszym z nich był złoto-czarny ptak, utworzony z przenikających się płomieni czarnego i jasnego ognia. Ptak był jej ostatnim tworem, chwilę po wypuszczeniu go, została schwytana i strącona. Do czego służył i po co był jej potrzebny, tego nie wie nikt, żadne wytłumaczenie nie wydaje się być dość sensowne, może poza tym, że ptaka w ogóle nie było, a ktoś, nie wiadomo w jakim celu, dodał go do legendy.

Jeszcze wcześniej anielica zmusiła promienie księżycy do przybrania dla niej realnej formy i tak utworzyła srebrzystego żrebca, dostojnego i pięknego, pierwszego jednorozca. Nadała mu miano Przedwiecznego, jako że był pierwszy. Źródła milczą na temat, jak do tego mogło dojść, wedle informacji, jakie posiada mój zakon, to nie miało prawa się stać. Belial ponoć sama wyrzekła się skrzydeł i przekazała je stworzonemu przez siebie rumakowi, jednak nie na zawsze. Przedwieczny stał się jej powiernikiem, zaraz po przekazaniu skrył się tak dobrze, że oko Boga nigdy na nim nie spoczęło, Pan nie mógł go przeto śledzić. Ponoć wciąż pozostaje w kryjówce, gdzie czeka na sygnał Belial. Nie jest nieśmiertelny, ale będzie mógł umrzeć dopiero, gdy dni tego świata przeminą, gdy rozpocznie się Paruzja, a trzech aniołowie chwycą za miecze. Wtedy po raz drugi spotka się z Belial i nastąpi powtórne przekazanie skrzydeł. Kain jednak wyraźnie powiedział, że zabrać lub podarować skrzydła może tylko sam Bóg, który jest stwórcą wszechrzeczy. Być może Belial, wezwana przez Lucyfera anielica, o której początku nikt nie wie nic pewnego, co do której pytanie – skąd nadeszła – nadal pozostaje bez odpowiedzi, w jakiś sposób wymyka się tym regułom, nie wiem. Jednak pójście tym tropem jest bardzo niepewne i ryzykownie byłoby mu zawierzać. Zbyt wiele zawiera się w nim niewiadomych.

Elpis nie skomentowała, mimo iż na usta cisnęły jej się słowa, że od samego początku kroczą ścieżką, na której nic nie jest pewne, a niewiadome kryją się za każdym jej zakrętem.

– Kelia kochała takie historie, a tą przejęła się szczególnie, przeczytane wersy zapadły jej w serce tak, że udała się do mistrza Elohima, by opowiedzieć o swoim odkryciu i związanych z nim wątpliwościach. Usiłowałam ją przekonać, że to nie ma sensu, że przecież mędrcy znają treść ksiąg, dla nas zakazanych, skoro znajdują się one w bibliotece klasztoru. Nie słuchała. Czcigodny za to wysłuchał jej bardzo uważnie, po czym kategorycznie zabronił ponownie brać do ręki kłamliwych i niebezpiecznych, bez odpowiedniego przygotowania i oręża w postaci prawdziwej wiedzy, dzieł. W krótkim czasie zniknęła księga, z której Kelia widocznie musiała wcześniej wyrwać jedną lub kilka stron, a zaraz po niej wiele innych również przepadło.

Czarodziejka, która przez cały czas snucia opowieści niepostrzeżenie nawet dla samej siebie coraz bardziej zagłębiała się w umysł kapłana, niemal przeżywając wszystko jeszcze raz razem z nim, teraz skrzywiła się z niesmakiem i dezaprobatą. Czcigodny wyznawca miłosiernego Boga nie zapomniał bowiem o tym, o czym Elf wolał nie opowiadać – o karze. Po chwili na jej ustach zatańczył zły uśmiech, kiedy przypomniała sobie mokry, tępy dźwięk, z jakim Mnemozyna wgrzyła się w żywe ciało Czcigodnego, przecinając kręgosłup. Szczerze żałowała, że nie mogła wtedy zobaczyć, jak głowa o bladoniebieskich oczach upada i toczy się po

kamiennej posadzce. Żal trwał krótko, jej wspomnienie, odebrane przez kapłana, mimowolnie sprowokowało w jego głowie ciąg niezwykle plastycznych wizji. Ciało Elohima, upadające najpierw na kolana, by zaraz po tym runąć bez jakiegokolwiek asekuracji do przodu, tuż obok odrąbanej głowy, przedstawiającej sobą makabryczny widok bardziej z powodu długich, srebrzystych włosów, niż krwi. Błade oczy, tak dziwne wtedy i nieruchome, niczym szklane oczy lalki i pierścień z szafirem, na drgającym wciąż lekko palcu. Elf spojrział na nią z wyrzutem. Elpis uśmiechnęła się niewinnie i wzruszyła ramionami.

– Jeśli cię to razi, wyjdź proszę z mojej głowy.

Pistis zamilczał tę uwagę, a także to, że niemal natychmiast po niej poczuł, jak Farys i Sylwan usiłują podłączyć się do ich umysłów. Bycie adeptem miało swoje dobre i złe strony, a umiejętność dzielenia jaźni pomiędzy ich czwórkę czasem było tą dobrą, czasem złą.

– To po tym zdarzeniu Kelia zamknęła się w sobie i przestała zwracać się bezpośrednio do kogokolwiek poza członkami swojej małej grupki, czyli mną i jedenastką, którą niemal w całości wybił Trzeci na Pustkowiach.

– Więc to nie jest reguła, że kapłanki milczą? – zapytał Człowiek, zaciekawiony.

Elf uśmiechnął się z nieodgadzionym wyrazem twarzy.

– Wy, Ludzie, jak zawsze wyciągacie zbyt pospieszne wnioski na podstawie jednostkowych obserwacji. Kelia jest jedyną kapłanką, jaką poznałeś, prawda? Pytanie więc na podstawie tej jednej jedynej znajomości, dlaczego elfickie kapłanki milczą, byłoby równie uzasadnione jak pytanie, dlaczego Elfki piją krew, zadane po poznaniu Elpis. Wybacz porównanie, pani.

Czarodziejka nic nie odpowiedziała, skłoniła tylko lekko głowę.

– Kelia oburzyła się, że nikt nie chce nawet rozważyć jej słów, z góry uznając je za brednie i ślubowała, że nigdy więcej nie otworzy do nich ust. Cała nasza dwunastka opowiedziała się za nią, więc chociaż długi czas usilnie nas ignorowano, czekając, aż fanaberia przeminie, okazaliśmy się bardziej uparci i w końcu pozwolono Keli przemawiać tak, jak chciała. Jeśli cię to bawi, wyjdź proszę z mojej głowy – zwrócił się do Elpis, powtarzając jej wcześniejsze słowa, sam jednak się uśmiechał, a ton jego głosu nie pozostawiał wątpliwości co do tego, że nie jest ani trochę zirytowany.

– Przeciwnie. Podoba mi się – odpowiedziała Elfka wesoło. – Szkoda, że to był jedyny przejaw buntu, na jaki się zdobyliście.

– Szkoda – przyznał kapłan bez namysłu.

\*\*\*\*

Wampir zamrugał szybko i podniósł głowę, wyrwany ze stanu na pograniczu jawy i snu przez lekkie szturchnięcie w ramię. Wzmocnił zakłęcie, widząc, że blada istotka w jego dłoniach zdaje się jakby topnieć i rozpadać.

– Dziękuję – mruknął, patrząc z wdzięcznością na siedzącego obok Elfa. – Cholera, nie spałem od czterech nocy. Niech one lepiej w końcu wrócą, bo nie ręczę za siebie już długo.

– Drobiazg. Oriole obiecała, że będą tu przed wschodem słońca, a już prawie świta. Jeśli okaże się to pomocne, jestem gotowy razić cię błyskawicami do ich powrotu. Jeszcze mi to nie do końca wychodzi, zazwyczaj generuję o wiele za wysokie napięcie, przydałyby mi się ćwiczenia.

– Spróbuj, a będziesz miał świeżą bliznę.

Pistis uśmiechnął się i ciaśniej owinął płaszczem, nie podejmując wyzwania. Sylwan znów pograżył się w myślach. Oriole... Białowłosa Pani Lasu tak właśnie nakazała im się do siebie zwracać. Imieniem ptaka. Z początku nie wiedzieli, dlaczego, ale prędko okazało się, że posiada umiejętność przemiany w wilgę, z której często zresztą korzysta, widocznie

najswobodniej czując się w tej postaci, a dla nich tylko przybierając ludzkie oblicze.

Oriole była postacią ze wszech miar osobliwą. Trzej adepci i ich mentorka, rozmawiając o niej podczas jej licznych nieobecności, bardzo szybko doszli do kilku niepokojących wniosków. Pierwszy z nich był taki, że w żaden sposób nie byli w stanie ustalić jednej, wspólnej dla nich wszystkich wersji jej wyglądu. W grę wchodziły naprawdę subtelne różnice, wszyscy zgadzali się co do tego, że była wysoką i smukłą kobietą o twarzy młodej dziewczyny i oczach surowej staruszki, ale już kolor tych oczu, dla Elpis bezdennie czarny, Elfowi wydawał się ciemnozielony, a Wampirowi intensywnie granatowy. Podobnie sytuacja przedstawiała się z włosami, w oczach jednego mlecznobiałe, innym wydawały się srebrzyste, a czasem nawet biało-złote lub popielato-szare; nie zawsze też zgadzała się ich długość. Szukając logicznego wytłumaczenia, uznali, że Oriole, mimo powagi i dostojnej postawy, które przyczyniły się do tego, że początkowo wzięli ją za Króla Olch, gustuje w pogardzanych przez Elpis jarmarcznych sztuczkach, pozwalających jej zmienić wygląd w zależności od kaprysu, a nawet stać się dla każdego z obserwatorów kimś innym, w konsekwencji nawet przebywając ze wszystkimi naraz w tym samym pomieszczeniu, każdemu jawi się nieco inaczej.

Oriole lubiła otaczać się wszelkimi dziwadłami z piekła rodem, jak choćby motylo-podobne istotki, dla których forma uskrzydłonego owada była tylko jedną z niezwykle szerokiego wachlarza tych, które mogły przyjąć. Rzekome mieniaki były, jak wyjaśniła im białowłosa czarodziejka, młodymi ondynami, czyli żywiołakami wody. Trzepocząc wokół Pani Lasu wyglądały zjawiskowo i nie raz wrywały westchnienie zachwytu z piersi każdego z nich, ale mimo iż nie do końca jeszcze rozwinięte, połączone mogły rozpętać piekło wodnego żywiołu i bez problemu znieść z powierzchni ziemi co tylko chciały. Mimo iż w oczach Człowieka, Elfa i Wampira były niegroźne, a jedynym zaobserwowanym przez nich objawem ich obecności było wrażenie, że włosy i szata Oriole wiecznie są delikatnie wilgotne, czarodziejka kategorycznie zabroniła im wchodzenia z żywiołakami w jakiegokolwiek bliższe kontakty.

– Jeśli będą kręciły się w pobliżu, pięć razy sprawdź, czy na jednego z nich nie usiądziesz lub nie nadepniesz, a jeśli już się to stanie, módl się, jeśli potrafisz, chociaż to i tak nic nie da. W jednej chwili z pojedynczego osobnika zrobią się miliony i jeśli zechcą okazać łaskę, nawet nie zdązysz poczuć bólu. Gorzej, jeśli nie zechcą.

Nie do końca jej wierzyli, uważając zgodnie, że ich mistrzyni przesadza, poszli nawet dalej, tęskniąc za ujrzeniem żywiołaków powietrza i ognia, bo i takie spodziewali się spotkać w tym dziwnym świecie.

Jeśli jednak w grę wchodziły inne podejrzane stwory, jak na przykład przekłety wieszcy, nachodzący ich uparcie co noc, wszyscy byli jednogłośni – był odrażający i groźny. Oriole natomiast uważała, że zasługuje na współczucie i pobłażanie. Właśnie kiedy pewnej nocy, jeszcze przed opuszczeniem nory i wyruszeniem w drogę, usłyszeli jego wrzask, Elpis wściekła się po raz drugi. Po raz trzeci wściekła się, kiedy Pistis zasugerował... Nie. O tym Wampir wolał nie myśleć, choćby przez współczucie dla kapłana, przed którym mógłby się niechęć odsłonić z tymi niewesołymi myślami. Dość, że od trzeciego razu dziewczyna zaczęła niezwykle starannie unikać Elfa, co zresztą czyniła skutecznie do tej pory.

Wrócił myślami do nocy, kiedy obudziło ich wycie.

Zerwali się złani zimnym potem, czując jak serca zamierają im w piersi, by chwilę potem rozpocząć szalony taniec, niemal rozrywający klatkę piersiową od środka.

– Na Boga... No Boga, co to? – wykrztusił z trudem Człowiek, nie rozpoznając własnego głosu.

Zarówno on jak i Pistis chcieli poderwać się i chwyciwszy za jakąkolwiek broń, pędzić na zewnątrz, jednak paraliżujący, zimny strach nie pozwalał im ruszyć się z miejsca, a palce, na



podobieństwo szponów drapieżnego ptaka zaciśnięte na pościeli, za nic nie chciały się otworzyć. Wampir dobrze wiedział, że walka nic nie da, a broń nie jest w stanie stworzyć zranień. On jako jedyny nie słyszał wrzasku po raz pierwszy w życiu i ten poprzedni raz pozostawił w nim jak najgorsze wspomnienia.

Elpis, gdy wycie rozbrzmiało, tylko westchnęła zirytowana i przekreśliła się na drugi bok, ale na dźwięk słabego głosu Farysa, ona również zerwała się niczym oparzona.

– Słyszysz go? – warknęła ostro.

W jej głosie było przerażenie i to ono sprawiło, że trójka adeptów poczuła, jakby coś skuło lodem ich serca, uniemożliwiając odczuwanie czegokolwiek poza paniką. Wyjec znów się odezwał, świdrująco i przeciągle. Czarodziejka już stała na nogach i w kilku skokach osiągnąwszy wyjście z sali, wypadła w ciemność, całkowicie ignorując jeżącego sierść i syczącego żbika. Kiedy ochłonęła, długo nie mogła przestać dziwić się własnej w tej chwili głupocie, bo przecież równie dobrze jak Sylwan wiedziała, że na wieszczego nie pomoże ani magia ani miecz. Z drugiej strony wiedziała też, że owo zrodzone z Lilith stworzenie nigdy nikogo samo nie zaatakowało i nie może uczynić nic poza śmiertelnym przerażeniem. Zło dokonywało się w chwili, gdy jego wrzask docierał do czyichś uszu i było nieodwracalne. Wieszczy nie od parady bowiem posiadał tak osobliwe imię. Przeciągłe wycie zwiastowało śmierć każdemu, kto je usłyszał.

Jeśli chodzi o pozostałą w sali trójkę, mężczyźni odzyskali zdolność do reakcji ułamki sekund po jej zniknięciu, dokładnie w chwili, gdy demon znów się rozwrzeszczał, ale tym razem brzmiało to niczym makabryczny śmiech kogoś, kto rechocze w szaleństwie, dławiąc się własną krwią lub tonąc w wodzie. Sylwan pierwszy wstrząsnął się z mieszaniną wstrętu i obrzydliwego zimnego lęku, wbrew logice porwał z półki Szpon i rzucił się w ślad za czarodziejką, a jego towarzysze, jakby za dotknięciem różdżki spadł z nich jakiś czar, pospieszyli za nim. W tej jednak chwili drogę zagroziła im białowłosa, materializując się z nicości i nakazując im pozostanie w środku. Oczywiście ani myśleli usłuchać, nie pozostawiła im jednak zbyt wielkiego wyboru, osadzając ich na miejscach jakimś rodzajem paraliżującego zaklęcia, po którym do rana kręciło im się w głowach. Człowiek i Wampir po raz pierwszy i ostatni w życiu byli wtedy świadkami, jak Pistis klnie.

Elfka wróciła bardzo szybko, doskonale świadoma, jak bezpodstawne byłoby podejmowanie jakiegokolwiek pościgu. Oriole nie okazała zirytowania z powodu jej samowolnego opuszczenia kryjówki wśród korzeni, przeciwnie – była raczej rozbawiona próbami schwywania potwora, którego nikomu i nigdy schwytać się nie uda. Co było do przewidzenia, Elpis zirytowało i dotknęło to jeszcze bardziej.

Siedzący obok Wampira Pistis parsknął śmiechem, odczytując myśli towarzysza.

– Pamiętasz, co ona wtedy powiedziała?

– Nie miejcie mu za złe przerywania waszego nocnego spoczynku. Jest reliktem, któremu należy się raczej współczucie niż wzdarda. Co noc krzyczy w innej części lasu, ale nie ma tu istot, którym mógłby przepowiedzieć śmierć, chyba jedynie zwierzęta, ale nimi się raczej nie zadowala. Po raz pierwszy od wieków pojawiły się tu istoty śmiertelne, on chyba wiąże z wami wielkie nadzieje, to wszystko – wyrecytował Wampir bez zająknięcia.

– Wielkie nadzieje. Doprawdy... – Elf pokręcił głową, nie przestając się uśmiechać, nieco nerwowo i wymuszenie. – A Elpis wtedy... – urwał, a jego twarz stała się nagle poważna i surowa.

Elpis nie poruszyła się, zbladła tylko gwałtownie, jakby nagle cała krew odpłynęła jej z twarzy ku stopom, a uzbrojeni już w jako-taką wiedzę na temat nastrojów swojej mistrzyni adepci bez trudu rozpoznali, że jej stan nie ma nic wspólnego ze słabością. Była wściekła, zimna,

doskonale kontrolowaną wściekłością, która w zupełności nad wszystkim panuje, która jest w stanie zabijać i niszczyć, już, teraz, ale potrafi też poczekać na lepszy ku temu moment. Patrząc Pani Lasu prosto w oczy, powiedziała tylko jedno zdanie, powoli i bardzo wyraźnie, w języku, którego żaden z nich nie znał. I chyba dobrze, bo – wnioskując z jej tonu – wszyscy zgodnie obawiali się, że uszy by im niezawodnie odpadły, nie poprzestając na tradycyjnym zwiędnięciu.

\*\*\*\*

Nie pytali, co zobaczyła po opuszczeniu podziemnej kryjówki, w ogóle nie poruszali z nią kwestii tej nocy i jej reakcji na wycie, czuli, że nie powinni, a ona też nie wracała do tego. Kiedy kolejnej nocy wrzask się powtórzył, Elpis nie zareagowała wcale, wzniosła też barierę, nie pozwalającą żadnemu z nich poznać jej myśli. Oni początkowo, tak jak poprzednim razem, wyrwani z ciepłych objęć snu ze zgrozą w sercach, długo nie mogli znaleźć powrotnej drogi w sen, a kiedy w końcu im się to udało, był już niemal ranek. Wkrótce, powtarzające się regularnie co noc wycie nie budziło już przerażenia, raczej irytowało i sprawiało, że z lękiem oczekując na nie, miotali się bez sensu w pościeli lub nie kładli się wcale, a gdy już się rozległo i stwór, znudzony koncertem, milknął i oddalał się, zasypiali z ulgą i pogrążeni w śnie bez marzeń, spokojnie trwali do świtu. Wieszczy darł się, jakby już oplakując ich dusze, ale nikt nie umierał. Po kilku takich nocach Farys zażartował nawet, że chyba kompania powiększyła im się po prostu o oswojonego, niegroźnego demona i że jeśli któreś nocy jego obłąkańczego zaśpiewu zabraknie, wszystkim im będzie markotno. Czarodziejka powiedziała wtedy spokojnie, obserwując trzepoczącą w powietrznym tańcu parę czerwono-czarnych motyli, że wieszcy to nie belt, wypuszczony z kuszy, który zabija ułamki sekund po wystrzale.

Motyle... One były kolejnymi dziwolągami w tym pełnym dziwactw miejscu. Akurat te, nieco mniejsze od pseudo-mieniaków otaczających tak często Oriole, o skrzydełkach pokrytych wzorem, niepokojąco przywodzącym na myśl naznaczoną jakimś krwawym malunkiem twarz, która ukazywała się, gdy tylko żywiołak przysiadł gdzieś i rozpościerał je w pełnej okazałości, upodobały sobie Elpis. Bo że one również były żywiołakami, nasuwało się samo. Z pewnością nie były zwyczajnymi motylami, na które wyglądały. Elpis nie potrafiła tylko powiedzieć, jak należy je nazywać. Co więcej, białowłosa nie okazała się tym razem pomocna, tłumacząc z zagadkowym uśmiechem, że to bardzo młode duchy, których tu wcześniej nie było i które przybyły wraz z nimi, a ona jest ich widokiem równie zaskoczona, jak oni. Nie były to ani sylfy – żywiołaki powietrza, ani salamandry, którym przypisany był ogień. Ani jednych, ani drugich do tej pory nie spotkali.

Elpis wyciągnęła w górę rękę, a motyle nie tylko nie spłoszyły się, ale od razu na niej przysiadły, przez moment spacerując po jej grzbiecie i badając jej strukturę delikatnymi muśnięciami ssawek, za pomocą których normalne motyle pobierają nektar z kwiatów. Po chwili pierwszy z nich rozłożył skrzydełka i zamarł w tej pozycji, wbijając ssawkę w ciało dziewczyny, drugi niemal od razu poszedł za jego przykładem. Elpis przysunęła dłoń bliżej oczu, skrzydła niemal dotykały jej twarzy, ale żaden z żywiołaków nawet nie drgnął.

– Nie wiem do końca, dlaczego, ale to mi się nie podoba. Ani trochę – powiedział wtedy Pistis. – One nie wydają się tak niegroźne i przyjazne jak żywiołaki wodne.

Czarodziejka początkowo nie odpowiedziała, a potem uśmiechnęła się ciepło do swoich myśli.

– Uwierz mi, kapłanie, ondyny wyglądają na niegroźne i przyjazne tylko w twoich oczach, bo są związane z żywiołem, który jest w tobie najsilniej zaznaczony. W ogóle określenie którychkolwiek z nich jako niegroźnych, to ogromne nieporozumienie. Nie lekceważ, proszę, tych maluchów. A tak na marginesie, też nie potrafię podać powodu, ale mi podobają się one

bardzo – dodała, nadal przyglądając się swojej dłoni, jakby ozdobionej wpiętymi w żywą skórę ogromnymi czerwonymi broszami.

– Może dlatego, że... – nie wytrzymał Elf, myśląc o całkowicie sprzecznym z naturą sposobie odżywiania się osobliwych żywołaków, ale urwał natychmiast, kiedy Elpis żywo na niego spojrzała. – Wybacz, pani. Głupiec ze mnie.

Elpis przez chwilę przyglądała mu się uważnie, po czym znów przeniosła wzrok na motyle.

– Może właśnie dlatego – przyznała, nie przestając się uśmiechać.

Wtedy jeszcze wszystko było w porządku. Ta rozmowa odbyła się, zanim czarodziejka przedstawiła Pani Lasu pomysł wyruszenia w drogę i zanim...

Pistis, siedzący nadal obok Wampira, zadrżał zauważalnie i chociaż można by złożyć to na karb zmęczenia i chłodu poranka, oboje wiedzieli, że nie one są powodem.

Świetlista istotka w rękach Sylwana była teraz wyraźniejsza niż przed choćby godziną, a to oznaczało, że właściwa iluzoryczna postać, której istotka stanowiła tylko odbicie, zbliża się do nich. Wyraźnie widać było delikatne, wyrastające jej z ramion skrzydła, końcówkami muskające skórę dłoni. Obserwujący ją Elf poczuł nagle chęć, by dotknąć skrzydeł lub włosów.

– Trzymaj ręce przy sobie. Zepsujesz mi wszystko – upomniał go cicho Wampir.

– Wiem.

Przez chwilę obaj siedzieli w milczeniu, starając się o niczym nie myśleć. Farys chyba znów zapadł w sen, driada spała w niezmienionej pozycji. Wieszczy chyba się oddalił, nie odczuwali już tego dziwnego chłodu, przejmującego ich grozą zawsze, gdy był w pobliżu. Las wokół nich rozbrzmiewał trzepotem ciem i szelestem lotu powietrznych drapieżników. W końcu to Pistis pierwszy przerwał ciszę.

– Dalej, śmiało – rzucił z goryczą. – Dlaczego się zatrzymałeś? Nie oszczędzaj mnie. To i tak nic nie może zmienić.

Cisza. Znow ta przekłeta cisza, w której zawierało się więcej oskarżeń i szyderstw niż we wrzasku. Elf zaczął bezmyślnie wystukiwać palcami jakiś rytm na korze drzewa, o którego pień obaj się opierali. Nie myśleć, nie myśleć... Dlaczego w początkach tej całej przygody z magią najtrudniej przychodziła właśnie kontrola nad własnymi myślami, dlaczego mimo woli przeciekały przez głowę, niczym woda przez dziurawe sito i dlaczego tak łatwo było pozwolić im błędzić, a tak trudno zatrzymać?

– Jej naprawdę na tobie zależy – usłyszał cichy głos Wampira.

Palce, stukające w korę, zatrzymały się, a dłoń Elfa, posłuszna jakiemuś rozkazowi, nie pochodzącemu z jego wnętrza, bezwiednie zacisnęła się w pięść i z całą siłą uderzyła w drzewo. Pistis oparł głowę o pień wierzby i przymknął oczy. Długo milczał, wsłuchując się w ciszę i próbując mimo wszystko opanować szaloną gonitwę myśli.

– Wiem – przyznał w końcu prawie spokojnie. – Jestem Elfem, nie trzeba mi tego tłumaczyć. Tylko, że...

– Tylko że to jest właśnie problem. To, kim jesteś. Nie walczysz, unikasz i wycofujesz się. Jak wszystkie Elfy – dobiegł ich głos Farysa.

Człowiek pólleżał, wsparty na łokciu i wpatrywał się w nich całkiem przytomnie, całkowicie przecząc ich teorii, wedle której miał już od jakiegoś czasu smacznie spać. Po chwili usiadł, nie zmieniając miejsca, również ciasniej otulając się płaszczem. Pistis nie odpowiedział na zaczepkę, jednak mężczyzna kontynuował bez żadnej zachęty.

– Wiesz, jak poluje się na Wilczyce? Moje plemię nie raz urządza takie polowania. Teren, co do którego ma się pewność, że znajdują się tam Wilki, należy najpierw ofladrować, czyli otoczyć sznurem, na którym rozwieszane będą kawałki jaskrawych, najlepiej czerwonych

chorągiewek, zwyczajnych szmatek, możliwie jak najgęściej. Ważne jest, żeby ten teren był możliwie jak najmniejszy, bo wtedy wszystko jest łatwiejsze i krócej trwa. Nie wiadomo, dlaczego, ale Wilk boi się przedrzeć przez fladry i pozostaje w zasadzce, czekając na myśliwego i grad strzał.

– Bardzo to szlachetne i niewątpliwie dowodzi ogromnej odwagi takiego myśliwego – odrzekł kapłan, nie kryjąc ironii. – Nie rozumiem jednak, o czym mi opowiadasz i do czego zmierzasz. I nie wiem, czy chcę zrozumieć.

– Daj mi skończyć. Fladry są zwyczajnymi kawałkami płótna, nie mogą uczynić szkody Wilkowi, a jednak Wilk panicznie się ich lęka i nie przekracza. Czasem jednak zdarza się, że kiedy już myśliwi zaczynają strzelać, jednemu lub większej ilości zwierząt strach przed śmiercią nakazuje ruszyć do biegu, wprost na fladry. Oczywiście zrywa je lub przeskakuje sznur i ucieka, jest wolny. Taki osobnik już nigdy nie da nabrać się na podobną sztuczkę. Przestaje się bać. Co więcej, kiedy znów zostaje ofladrowany, potrafi wyprowadzić z potrzasku całe stado, które samo by się na to nie odważyło, ale za jego przewodnictwem przekracza magiczną linię fladrów. I nie jest ważne, czy to basior przywódca, czy młody żółtodziób, stado idzie za nim. Wy oboje znajdujecie się teraz w takiej pułapce, a najgorsze jest to, że nie dostrzegacie fladrów, wydaje wam się, że wszystko jest w porządku, tylko... Sznurek i łopoczące na nim chorągiewki są wspólnym dziełem kapłanów z twojego klasztoru i tych, którzy cię tam zamknęli, nie akceptując tego, kim jesteś, Kaina i Wilczycy, którzy ją wychowali i tych, którzy zapewne byli przed tobą, ale pomarli i wielu innych, których nie poznałeś i nie dowiesz się o ich istnieniu, jeśli ona nie zechce ci opowiedzieć.

Pistis nie zmienił pozycji, spojrzenie zawiesił na blaknących na niebie latarenkach gwiazd.

– Więc? – zapytał, gdy milczenie zaczynało się przedłużać.

W jego głosie nie było już ironii. Człowiekowi za to nie udało się od niej powstrzymać.

– Czyżbyś prosił mnie o radę?

*Nie* – pomyślał Elf, na powrót przymykając oczy i wracając do bębnienia palcami o pień drzewa. *Elfy się tak nie zachowują, nie potrzebują takich rad. To zbyt intymne, zbyt moje, zbyt...*

– Tak, chyba tak – powiedział głośno.

– Teoretycznie to bardzo proste. Jeśli masz problem, rozwiąż go. Podaruj jej gwiazdy z nieba, rozściel u jej stóp kobierzec z gwiazd i nie rozpaczaj po elfiemu, jeśli ona te gwiazdy dla kaprysu podepcze. Pozwól jej co wieczór kąpać się we krwi, jeśli tego potrzebuje i rzuć się dla niej w ciemność, nie pytając, jak głęboka jest przepaść i czy w ogóle istnieje jakiegokolwiek dno. Biegnij. Prosto na fladry. Kiedy to osiągniesz, pozostanie tylko jedno, najtrudniejsze, prawie niewykonalne, ale jeśli wierzyć jej słowom i termin „niemożliwe” nie istnieje... Stań się nieśmiertelny. Jeśli chcesz kogoś kochać wiecznie, musisz żyć wiecznie. Jeśli nie chcesz lub nie potrafisz, przestań robić z tego problem i odpuść.

Elf parsknął wymuszonym śmiechem, ale zaraz spoważniał. Wstał.

– Dziękuję. Choć to nie jest sposób, w jaki postępuje Elf.

Człowiek wzruszył ramionami.

– Być może. Nie znam się za bardzo na Elfach. To była rada w stylu Człowieka, my – Ludzie – żyjemy krótko i musimy działać, bo inaczej życie ucieknie, zanim zdecydujemy się zacząć je gonić. Jeśli pozwolisz, udzielę ci jeszcze jednej. Ona nie jest Elfem. Zaakceptuj to. Milcz! – uciszył go gwałtownie, widząc, że kapłan chce coś wtrącić. – Zastanów się dobrze, zanim otworzysz usta do kłamliwych zapewnień. Naprawdę to zaakceptuj. Przyjmij krew i śmierć, która za nią idzie, przestań uważać ją za coś grzesznego i odrażającego. Coś złego, tak, ale nieuniknione. Coś, co stanie się także twoim udziałem, jeśli chcesz dotrzymać danej jej

obietnicy. Stanie się czymś, czego nie unikniesz, co nie oznacza, że masz nie próbować. Pogódź się z tym, że nigdy nie ogarniesz tego, jak długo żyła i jak wyglądało to życie, zanim poznała ciebie i przestała próbować. Zerwij fladry. Uwolnij ją. Tylko wtedy, tylko dobrowolnie, zostanie z tobą.

Elf chwilę stał w milczeniu, jakby ważąc w sercu jego słowa, po czym skłonił głowę z szacunkiem, opierając otwartą dłoń na piersi. Nie powiedział nic. Wciąż bez słowa odwrócił się i bezszelestnie zapadł między drzewa, ginąc w szarości nadchodzącego świtu. Człowiek i Wampir spojrzeli po sobie.

– Myślisz, że dotarło? – zapytał Farys.

Wampir wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Znam się na Elfach jeszcze mniej od ciebie. Jednak nawet z tą wiedzą, jaką posiadam, nie liczyłbym na natychmiastowy efekt.

\*\*\*\*

Szedł przed siebie bez celu, nie zastanawiając się zupełnie nad wyborem trasy, pozwalając, by stopy same wydeptywały ścieżkę, nieważne w jakim kierunku i nieważne dokąd. Tu i tak nie było przecież szlaków, które zasługiwałyby na miano dróg z prawdziwego zdarzenia. Każdy marsz musiał być wędrówką na przełaj przez wykroty i ruczaje, wśród których piętrzyły się zwalone dawno temu, próchniejące pnie, a pod stopami wędrowca raz po raz zakwitały miękkie kobierce mchu i gęsto rozsiane wśród nich, niby szcudrą ręką roztargnionego siewcy, liczne jagodziska. Świt jeszcze nie wstał, a gęste korony drzew tym usilniej strzegły chłodu i mroku odchodzącej nocy, zazdrośnie chroniąc matecznik przed nieuniknioną inwazją słońca, która wkrótce musiała się rozpocząć.

Czuł się jednocześnie rozgoryczony i zrezygnowany, a jego podły nastrój spowodowany był właśnie tym, o czym Farys z Sylwanem tak usilnie milczeli. Sam równie mocno starał się nie wracać myślami do zdarzenia sprzed kilku dni, ale teraz właśnie nadszedł moment, gdy wszystko się w nim zbuntowało przeciw temu upartemu milczeniu i pozbawionemu sensu zaprzeczaniu. Zło zostało już wyrządzone, nie miało znaczenia, jak bardzo pragnął wmówić sobie, że nie rozumie i nie chce zrozumieć gwałtownej reakcji czarodziejki na słowa, które nie powinny były nigdy paść, a jednak wypełzły wtedy z jego ust, niczym jadowite węże i ukąsiły, raniąc dotkliwie i głęboko.

– Ten, którego uważałam za mistrza i ojca, zdradził i umarł dla mnie na zawsze – tłumaczyła wtedy Elpis białowłosej Pani Lasu. – Zanim wystąpił przeciwko mnie i moim uczniom, wyprawił nas w drogę, powierzając trudne i niewdzięczne zadanie, którego ciężar, bez nadziei i z trwogą w sercach, zgodziliśmy się przyjąć na nasze barki. Myślałam, że wyruszam w drogę z trójką młodych, odważnych i niezbyt rozsądnych istot, nie rozumiałam ich roli i tego, że miejsce w drużynie rzeczywiście musi być przez nich zajęte, bo im przynależy. Spodziewałam się z ich strony wielu problemów i ich prędkiej śmierci, bo jakże Człowiek, Elf i Wampir, uzbrojeni na troje w jeden jedyny miecz i jeden łuk, mogą przeciwstawić się Siedmiu? Prędko okazało się, że nie są wcale tak zwyczajni, za jakich ich uważałam. Wykazali się odwagą i wiernością, objawiła się w nich magia. Sama nie potrafię wytłumaczyć, jak do tego doszło, ale nagle... Nagle stali się ważni. Ważni dla mnie. A przez wzgląd na nich, ten świat, którego zagłada była przecież celem misji, również stał się ważny. Był miejscem, którego potrzebowali do życia, miejscem, gdzie żyje wiele podobnych im istot, drogich sercu kogoś innego, że być może ten ktoś również walczyłby o nie do ostatka, gdyby tylko miał jakiś oręż. Przestałam iść po sznurku, który snuje Kain, wybrałam ich.

– Nagle stało się dla mnie jasne, że nie będzie Apokalipsy, nie może jej być, bo to oznacza koniec, ich koniec, a we mnie nie ma i nie będzie na niego zgody. Odmawiam

poprowadzenia ich na śmierć. Jeźdźcy zginą jako pierwsi – co to w ogóle ma być? Postanowiłam, że nie dopuszczę do Apokalipsy, stanę przeciwko Siedmiu, złamię ich i mając ich jako posłuszną moim rozkazom armię, zatrzymam Lucyfera, aniołów stworzonych przez Belial, samego Boga, kogo tylko będzie trzeba. Bo ja się nie cofam i nie uciekam, nigdy. Bo nie ma we mnie zgody na ich śmierć.

– Wtedy, w klasztorze, gdy jedyny, w którym pokładałam nadzieję, zawiódł, pomogła mi Belial. Nie wiem, co ją do tego skłoniło, być może przenika moje myśli i wierzy, że potrafię zatrzymać przepowiedzianą Paruzję i ocalić jej dzieci. Zmusiła mnie do zaciągnięcia długu, którego spłaty być może kiedyś zażąda. Nie wiem, czego chce Belial i co tak naprawdę nią kieruje. Wiem jedno. Kain nic nam już nie pomoże, a Belial powiedziała mi wtedy, że ceni po równo odwagę i szaleństwo, będę więc odważna i szalona. Są pytania, na które nikt z nas nie potrafi udzielić odpowiedzi. Pytania o aniołów, o samą Belial i jej kochanka. Chcę je zadać u samego źródła. Jednak nie kapryśnej anielicy, której reakcji nie potrafię przewidzieć. Chcę porozmawiać z Lucyferem. Stanę z taranem u bram piekieł, po raz drugi.

– Z Lucyferem? Porozmawiać? – przerwał jej do tej pory w milczeniu przysłuchujący się jej monologowi Farys. – Przecież on za nic nie zechce rozmawiać. Musisz zdawać sobie z tego sprawę, że jesteśmy dla niego zagrożeniem, będzie więc chciał nas raczej wyeliminować, ciebie szczególnie, pozbawieni przywódcy, niewiele zdziałamy. Jeśli sami wejdziemy w otwartą paszczę smoka, możemy już z niej nie wyjść.

Człowiek stał, podpierając się obiema dłońmi o pełniący rolę stołu okrągły pień. Sylwan stał tuż obok, nie zabierając głosu, ale wyraz jego twarzy nie pozostawiał miejsca na wątpliwości co do tego, że zgadza się z przedmówcą, a słowa czarodziejki wprawiają go w zdumienie.

– Oczywiście, że nie zechce mówić ze mną. W ogóle mnie przed siebie nie dopuści. Jestem tego w pełni świadoma. Dlatego będę potrzebować pomocy was wszystkich, na samym początku twojej, Sylwanie. Stwórz dla mnie iluzję doskonałą. Taką, która oszuka samego Lucyfera. Rozumiecie mnie? Belial. Ona jest jego obsesją. Choć stała się jego zgubą, nigdy nie przestał jej kochać i pragnąć. Musimy przekonać go, że to Belial do niego przyszła, wtedy nie będzie istniało nic, czego nie uda mi się z niego wyciągnąć. Czy... – przełknęła słowa, niczym gorzką pigułkę – czy pozwolisz nam na wyruszenie w drogę?

Oriole przyglądała się jej czas jakiś w milczeniu spod wpół przymkniętych powiek. W końcu wzruszyła ramionami i skinęła głową.

– Możesz zrobić, co zechcesz – dodała cicho. – Nie ważne, jak głupiego i szalonego, dla mnie liczy się to, byś nie opuściła wyznaczonych przez ten las granic. Mam dwa warunki. Dokądkolwiek będzie prowadzić droga, którą zdecydujesz się obrać, pokonacie ją pieszo. Chcę, byś na nowo nauczyła się tego świata, byś przypomniwała sobie nazwy drzew, zwierząt i innych istot których imiona dawno już uległy zatraceniu w świecie, z którego przybywacie. Chcę, byście wszyscy poznali i zaakceptowali stworzenia, które wasz świat zwie po prostu Cieniem, byście wyszli na spotkanie nie skarłałym karykaturom demonów, które pełzną, ale ich pierwotnym formom, takim, które potrafią pędzić po lesie lub po niebie. Wieszczy i ondyńcy to tylko małeńki ich ułamek. Marsz oczywiście opóźni wszystko, ale tylko tak całe przedsięwzięcie może się odbyć. Tylko tak.

– A drugi warunek? – zapytała Elpis spokojnie.

Białowłosa uśmiechnęła się tajemniczo.

– Wraz z wami pójdę ja. A z nami wszystkimi pójdzie jeszcze ktoś.

Czarodziejka dość już rozmów odbyła z Oriole, by nie pytać na razie o nic więcej.

– Zgoda na wszystko.

– Więc zaspokój teraz moją ciekawość i wyjaśnij, gdzie w moim lesie spodziewasz się znaleźć samego Arcyksięcia Ciemności?

– Niezbędne jest mi właściwie tylko jedno – Elpis udała, że nie dostrzega ironii, zawartej w tych słowach. – Zwierciadło z obsydianu, tak głębokie, że będę mogła się w nim zanurzyć i tak wielkie, że zdołam utrzymać wewnątrz niego iluzję świata.

– Rozumiem. Wiem, gdzie znajdziesz czarne zwierciadło, które odbije gwiazdy i odwróci świat, tak byś mogła tę inwersję wykorzystać do własnych planów. Kilka dni drogi stąd jest jezioro, stojąc na jego skraju, ledwo jesteś w stanie dostrzec zarys przeciwległego brzegu.

– Idealne – przyznała Elpis od razu, nie kryjąc entuzjazmu.

Stojącemu poza kręgiem światła, rzucanego przez pochodnię, Pistisowi wcale się ten entuzjazm nie podobał. Nie podobał mu się sposób, w jaki błyszczały jej oczy, gdy o tym planie mówiła, nie podobała mu się nerwowa prędkość wyrzucanych przez nią słów i nie podobało mu się nic z tego, co słyszał już kiedyś o obsydianowych zwierciadłach i sposobach ich wykorzystania, praktykowanych przez czarnoksiężników. Jezioro miało tu pełnić oczywiście rolę substytutu takiego lustra. Prawdziwy portal powinien być rzeczywiście wykonany z obsydianu, jednak Elpis, przedstawiając Pani Lasu swój plan, nie mogła liczyć na wykonane z tego kryształu prawdziwe zwierciadło o odpowiadającej jej wielkości. Nie miał wtedy wątpliwości, czego dziewczyna chce dokonać. Wykorzystując właściwości lustra wody, w czarną, rozświetloną tylko gwiazdami i może wąskim sierpem księżyca, bezwietrzną noc, kiedy w tafli jeziora, niemal jak w gładkim szlifie obsydianu, niby w zwierciadle odbije się rzeczywistość, chciała przerzucić linię między dwoma światami i przejść po niej.

– Będę niczym szablon, na który Sylwan nałoży obraz Belial, ze wszystkimi szczegółami, jakie uda nam się przywołać z pamięci. Widzieliśmy ją – Elfka przeniosła na niego wzrok.

– Raz. Przez chwilę. Z daleka – wyliczył wtedy, siląc się na spokój. – I jeśli się nie mylę, ona wtedy użyła podobnej sztuczki. Wyglądała jak ty, tylko szczegóły były inne. Naprawdę drobne szczegóły. Jak choćby długość włosów.

– Więc idealnie odwzorujemy te szczegóły. Łącznie z kolorem i teksturą szaty, kwiatami we włosach, blaskiem oczu, uśmiechem, wszystko. Zakładam, że ona może przybrać dowolną postać, czemu więc nie wolno jej przyjść do Lucyfera właśnie w takiej, jeśli ma taki kaprys? Przez pewien czas, w klasztorze, ona była we mnie, kierowała mną, przemawiała przeze mnie, siedziała w mojej głowie i miała we władzy moje ciało. Potrafię więc odwzorować jej zachowanie i sposób mówienia, bo takie połączenie działa w dwie strony. Przy odrobinie umiejętności aktorskich, wygląd odegra tu drugorzędną rolę, choć musi być perfekcyjnie dopracowany.

Do tej pory stał z ramionami skrzyżowanymi na piersi, ze wzrokiem wbitym w czubki własnych butów, teraz poderwał głowę i spojrzał na nią wyzywająco.

– Chcesz stanąć przed Lucyferem, wejść w bezpośredni kontakt z ósmym aniołem, dobrze. Do tej pory widziałas go dwa razy, prawda? W jaskini Kaina i ze mną, przed odnalezieniem Astarotha.

– Trzy razy – uściśliła. – Była jeszcze twoja wizja.

– Tak... – przypomniał sobie obraz, który usiłował zepchnąć jak najgłębiej, obłąkaną czarownicę z pochodnią w rękę, dosiadającą wierzchowca koloru nocy, tańczącą na stercie ludzkich kości. – Trzy razy. Nie wiem, jak było za pierwszym razem, ale ostatnia wizja przeraziła cię, sparaliżowała. Nie byłeś w stanie samodzielnie zrobić kroku, podjąć żadnej decyzji, nie mówię już o prowadzeniu rozmowy i udawaniu kogokolwiek. A Lucyfer był wtedy daleko, on szedł w naszym kierunku, ale do nas nie dotarł. Widziałem cię wtedy, widziałem twoje oczy, a w nich totalną bezradność i poddanie.

– Tym razem będzie inaczej.

– A to niby dlaczego?

Farys i Sylwan przyglądali im się, zaintrygowani i z ciekawością nadstawiali uszu. Oboje po raz pierwszy usłyszeli, że była więcej niż jedna wizja, podczas której ich mistrzyni spotkała Lucyfera. O tej pierwszej też niemal nic nie wiedzieli, ona nie opowiadała, a oni nie śmieli rozpoczynać ta ten temat rozmowy. Wtedy nie łączyła ich jeszcze więź i nawet teraz próby wnikania do jej umysłu i czerpania z niego jakichkolwiek informacji o tamtym okresie w jej życiu, niezmiennie kończyły się niepowodzeniem, uzyskiwali w najlepszym razie mgliste obrazy, których nie potrafili połączyć w jedną całość. Oriole wydawała się być bez reszty pochłonięta obserwacją własnych paznokci, ale na jej ustach tańczył kpiący uśmiech. Elpis westchnęła, zniecierpliwiona.

– Słuchajcie mnie i nie przerywajcie, proszę. Sylwanie, stworzysz iluzję. Tak idealną, by obecność w jej pobliżu nie była konieczna do jej utrzymania. A właściwie lepszą, bo obecność nie będzie możliwa. Tak silną, że utrzymasz ją sam, niezależnie od tego, co się stanie, ja nie będę potrafiła ci w tym pomóc, oni również nie. Do wnętrza portalu wejdę tylko ja, nikt z was nie może pójść za mną. Zrobię wszystko, by porozmawiać z nim, nie nawiązując kontaktu wzrokowego, będę odwrócona tyłem, nie zobaczy mojej twarzy, wtedy zapewne będzie mi nieco łatwiej. Nie powinno go to za bardzo zastanawiać, Belial bywa kapryśna, zresztą nie będziemy mieć wiele czasu. Fizycznie moje ciało pozostanie na zewnątrz, ale będzie puste.

– Ty, Pistisie – zwróciła się bezpośrednio do niego – nawiążesz kontakt z duchem, który uda się w głąb zanurzonego w wodzie świata. Będziesz mnie ubezpieczał w razie, gdyby cokolwiek poszło nie tak, albo gdyby ciało zbyt się wychłodziło, sprowadzisz mnie z powrotem. Z ciałem mogą dziać się różne rzeczy, będzie odbierać bodźce, jakby rzeczywiście było w lodowatej wodzie, będzie zimne, mogą pojawić się drgawki, nie potrafię przewidzieć, co jeszcze. Dasz mi jednak tyle czasu, ile tylko będzie możliwe, zawrócisz mnie w ostatniej chwili, to i tak da nam w najlepszym wypadku kilka minut, więc będę musiała się spieszyć.

– Farysie, ty mnie przebudzisz i roztrzaskasz portal, by Lucyfer nie mógł podążyć za nami. Wiem, że w tej chwili to brzmi dla was niczym brednie szaleńca, ale wszystko rozjaśni się z czasem. Powoli, w miarę konieczności, będę rzucać na wasze zadania coraz więcej światła, kiedy osiągniemy cel, wszystko będzie dla was oczywiste i proste.

– Zaraz – przerwał jej wtedy, czując, że dłużej nie może tego w sobie dusić. – Z tego, co zrozumiałem, chcesz po raz kolejny zapędzić się na krawędź śmierci.

– Nie można mnie zabić. Nic się więc nie stanie. Wrócę do was.

– Ciebie nie. Ale czy pomyślałaś choć przez chwilę, co stanie się z dziewczynką?

Już otwierała usta, by skontrolować jego wypowiedź, ale kiedy dotarł do niej jej sens, a właściwie, przynajmniej w pierwszej chwili, kompletny tego sensu brak, zamknęła je bez słowa i chwilę patrzyła nie wyrażającymi nic, pustymi oczyma z wymalowaną na ich dnie mieszkanką zdumienia i niepokoju. Kiedy niemal bez udziału woli, odruchowo wysnuła nic i sięgnęła do jego umysłu, niepokój zmienił się w strach, a ten stał się przez moment czystą paniką.

– Żartujesz, tak? Powiedz, że żartujesz.

Milczał, wpatrując się w nią poważnie, nadal jakby odgradzony od niej skrzyżowanymi na piersi ramionami.

– Oszalałaś... Nie ma żadnej dziewczynki, Pistisie – mówiła powoli i łagodnie, przeraźliwie spokojnie i przeraźliwie cicho, ale to w jej oczach było szaleństwo. I lęk.

– Pamiętam, co powiedział Kain. Jeśli umniejszysz energię o połowę, możesz ją zabić.

– Ona jest martwa, zawsze była martwa. To, że schroniła się we wnętrzu naszych ciał, niczego nie zmieniło. To, że jej serce bije, nie czyni jej żywą.



Przez chwilę, która wydała mu się wiecznością, po prostu na siebie patrzyli, nie mówiąc nic. Potem Elpis gwałtownie zbladła, a lęk zastąpiła wściekłość, zimna i zła.

– Co ty sobie, do jasnej cholery, wyobrażasz?

– Kiedy usłyszeliśmy ją po raz pierwszy, nie wiedzieliśmy jeszcze, kim jest...

– Czym – wtrąciła ostrym, nieprzyjemnym głosem. – Czym jest. Mów dalej.

– Ona przyszła w odpowiedzi na naszą rozmowę. Pamiętasz? Mówiliśmy, że chcielibyśmy ją ocalić, jeśli to byłoby możliwe. Mówiliśmy o cudach. I wtedy dziewczynka...

– Larwa – kolejne słowo, wyrzucone w jego stronę, ostre niby smagnięcie bata.

– ...schroniła się w nas – kontynuował, puszczając jej uwagę mimo uszu. – Zaufała nam.

Elpis, nie możemy jej zawieść. Nie wolno nam. Musimy poczekać, aż...

– Aż co? Och... – oczy dziewczyny zrobiły się ogromne, kiedy po raz kolejny udało jej się odczytać jego myśli.

– Myślę... – głos lekko mu się załamał. – Nie wiem jak i nie potrafię tego wytłumaczyć, ale myślę, że daliśmy jej szansę. Że pozwolono jej ponownie się narodzić. Myślę, że nosisz w sobie dziecko, pani.

Milczała. Najpierw bardzo długo milczała, a żadna z obecnych w podziemnej sali osób nie odważyła się pierwsza zakłócić ciszy słowami. W końcu, kiedy kapłanowi wydawało się, że dłużej tej ciszy nie znieśnie, Elfka przymknęła oczy i powoli podniosła dłoń do czoła, jakby chcąc dotykiem palców złagodzić rodzący się gdzieś we wnętrzu czaszki ból. Kiedy przemówiła, ton jej głosu zaskoczył ich wszystkich. Był łagodny i jakby skruszony.

– To moja wina, nie powiedziałam wam wszystkiego, a powinnam była to zrobić od razu, wybaczone mi – odjęła dłoń od skroni i popatrzyła po twarzach trójki swoich uczniów. – Nie ma żadnej dziewczynki, jestem tego pewna. Nie ma, nigdy nie było i nigdy nie będzie żadnego dziecka. Ani zrodzonego ze mnie, ani z was. Dla mnie to prawo, które jest tak oczywiste i naturalne, że przyjmuję je za coś, o czym wiedzą wszyscy i dlatego... Pomyślcie proszę przez chwilę. Znamie, być może nie osobiście, ale z opowieści, z krążących wśród współplemieńców historii, wielu czarnoksiężników, prawda? Wielu żyjących i wielu takich, po których przetrwały tylko legendy. Mężczyźni i kobiety, przeważnie Ludzie, czasem Elfy. Z pewnością słyszeliście o nich, choć Kain jest być może pierwszym, którego poznaliście i z którym bezpośrednio rozmawialiście. Ale czy którykolwiek z was jest w stanie wskazać mi choć jedną osobę na świecie, o której można powiedzieć, że jest córką lub synem czarnoksiężnika? Nie uczniem, a dzieckiem. Biologicznym dzieckiem, nie przysposobionym – dodała, widząc, że Farys wysuwa rękę w jej stronę, by odpowiedzieć.

Człowiek cofnął rękę. Na jego czole pojawiła się pionowa zmarszczka.

– Magia żywiołów to najbardziej pierwotna i naturalna forma czerpania sił z mocy natury. Nie można się jej nauczyć, ona po prostu mieszka w nas od zawsze i w pewnym momencie życia następuje jej aktywacja. W waszym przypadku doszło do niej na skutek naszego spotkania, wy troje i ja, przebywając razem właściwie przez cały czas, obudziliśmy uśpioną w was magię, w twoim przypadku po raz drugi – skłoniła głowę, patrząc w oczy Elfa. – Nie da się jej nauczyć, jeśli wcześniej jej w nas nie było, ale można ją odziedziczyć. Niestety, bo w takim przypadku wszystko jest aktywne od samego początku. Właściwie źle mówię, to nie do końca tak. Dziedziczy się ją zawsze, to nieuniknione. Jednak bezrozumne niemowlę, obdarzone mocą, zdolną wzniecić ogień i przebudzić tornado, jest szalenie niebezpieczne dla siebie samego i dla otoczenia. Nie ma szans, by zapanować nad nim i nad tym, co jest w stanie uczynić. Właściwie nazwanie go potencjalnie niebezpiecznym jest nieporozumieniem. Takie dziecko stanowi śmiertelne zagrożenie dla wszelkich istot w swoim otoczeniu.

– Wyobraźcie sobie coś, proszę. Kiedy normalne niemowlę jest głodne, gdy coś je boli,

placze, nic innego nie potrafi, płaczem przyzywa więc opiekuna. Jeśli obdarzymy takiego malca mocą zaklęcia żywiołów, kto przewidzi, co się stanie? Być może dom stanie w płomieniach, być może cała wioska. Rozszaleje się wałaca raz po raz piorunami burza, zrywająca dachy i sprawiająca, że rzeki występują z brzegów. Z gór zejdzie lawina, grzebiąc pod stertą gruzów chaty. Istota, która nie potrafi analizować, nie rozumie swojego zachowania, nie rozumie tego, co się z nią dzieje, ma w sobie tylko wolę życia, taka istota jest wyrokiem śmierci dla siebie samej i każdego, kto zechce się nią zaopiekować. Nie wolno pozwolić na to, by doszło do jej poczęcia, narodzin, a jeśli już na to będzie za późno, nie wolno pozwolić jej żyć. Nie wolno, to jedno z najważniejszych praw, takie, którego nawet ja nie ośmieliłabym się złamać. Rozumiecie?

Urwała, patrząc na nich niepewnie. Bo nagle coś się zmieniło. Osaczały ją wpatrzone w nią trzy pary nieprzyjaznych, zimnych oczu, osadzone w zaciętych, surowych twarzach.

– Nie – rzucił Elf krótko i ostro.

Elpis zawahała się, jakby nie bardzo wiedząc, co powinna odpowiedzieć.

– Nie pamiętam czasu, kiedy nie było we mnie magii. Dla mnie świat czarnoksiężników i rządzące nim prawa są jedynymi wyznacznikami wszystkiego, co czynię i w co wierzę. Dlatego jest i zawsze było dla mnie oczywiste, że magia i macierzyństwo to dwie wykluczające się rzeczy. To nie jest wybór, magia daje ogromne możliwości, ale niektóre zabiera na zawsze i nic nie da szarpać się, nie można...

– Więc przestań szarpać się i prosto i jasno odpowiedz na jedno pytanie – przerwał jej wtedy.

W jego oczach znalazła wrogość i coś obcego, oskarżenie, które nagle, niespodziewanie dla niej, zabolalo ją, a ten ból zirykował.

– Zadaj je.

– Czy potrafisz powołać do życia nową istotę?

– Potrafisz. Nikt cię magicznie nie wykastrował. To złe pytanie.

Przerażało ją obce i oskarżycielskie brzmienie jego głosu, a na odczuwany strach reagowała zwiększając się agresją, używając ataku, jako najskuteczniejszej ze znanych jej broni. Teraz to rozumiał. Wtedy...

– Czy mi wolno?

– Nie. Ani teraz ani nigdy. Żadnemu z nas nie wolno. Gdybym miała choć cień podejrzenia, że istota, która się we mnie rozwija... Pomyśl przez chwilę. Logicznie się nad tym zastanów, odsuń na bok emocje. Jej serce bije w nas obu, przecież to tak nie wygląda. To larwa, nad rozwojem której nie mamy żadnej kontroli, poza tym, że przebywając blisko siebie, karmimy ją, ona wzrasta wtedy w siłę. Kiedy zdecyduje, że ma jej wystarczająco, wyjdzie, ale to nie będzie miało nic wspólnego z narodzinami. Nie potrafię powiedzieć, kiedy i z kogo z nas, równie dobrze mogę to być ja, jak i ty. Nie będzie żadnych znaków, po prostu wyjdzie. Ale uwierz mi, lepiej, żebym to była ja, bo ciebie larwa zabije, zanim zdążysz choćby zdziwić się tym, jak bardzo jest niepodobna do bezbronnego niemowlęcia, którego się spodziewasz. Gdybym miała choć cień podejrzenia... Ale nie mam. Rozumiesz?

– Nie, pani, nie rozumiem. Żaden Elf nie zrozumie czegoś takiego. Gdybyś miała choć cień podejrzenia, zrobiłabyś... Co?

Nie chciała odpowiadać. Niemal słyszała jej myśli. Dlaczego mnie zmuszasz, myślała. Dlaczego? Ale kiedy odpowiedziała, nie drgnęła jej nawet powieka.

– Nie wiem jeszcze, bo nigdy nie byłam w takiej sytuacji. Nie wiem, co zadziałałoby na czarodziejkę, która pije tylko krew. Musi ci więc wystarczyć to, że gdybym była ludzką lub elfią kobietą, wypiłabym dekolt z dziwostrętu lub sporyszu.

*Przestań* – nakazywał mu mentalnie Wampir. *Przestań, opanuj się, przestań naciskać.*

Ale działo się z nim coś dziwnego, jakiś wewnętrzny przymus nakazywał mu brnąć w to dalej, nie pozwalając zamilknąć.

– Rozmawiamy o dziecku, Elpis, o żywej, czującej istocie, najbardziej bezbronnej ze wszystkich istot. Kimże jesteś, że nie ma dla ciebie nic świętego ni nietykalnego? Kim jesteś, Elpis?

– Rozmawiamy o larwie. Dziecko, które sobie uroiłeś, nie istnieje. Masz bystre uszy Elfa, ale nie potrafisz nic usłyszeć ani zrozumieć.

W jej głosie była gorycz, ta sama, która w tej chwili przepelniała go bez reszty. Oboje oskarżali się nawzajem i żadne z nich nie chciało wtedy dostrzec racji drugiej strony. Sylwan zadrżał, nagle pojmując.

Kula, ciężka, czarna kula, która pochłania wszystko i zakrzywia przestrzeń wokół, stając się coraz bardziej i bardziej ciężka, nieubłaganie zdążając ku eksplozji. Katastrofa, która musi się wydarzyć, bo wtedy, pod ścianą biało-czarnego lasu, ktoś umarł i nie powrócił do tej pory. Coś się zmieniło, skończyło, kogoś zabrakło, choć nie padło nawet słowo wyjaśnienia, bo czasem cena, którą trzeba zapłacić, jest zbyt straszna, by o niej mówić.

Wampir chciał krzyknąć, ale krzyk zamarł mu na wargach, bo wtedy Pistis, patrząc jej prosto w oczy, sprawił, że długo powstrzymywana eksplozja w końcu nastąpiła.

– Biją w tobie dwa serca, mimo to nie potrafisz nic poczuć.

W kilku skokach pokonała dzielącą ją od niego odległość i napała na niego, zmuszając do cofania się. Nie mógł jednak odejść daleko, za plecami wyczuł zimną ścianę, utworzoną z ziemi i splatających się na jej tle korzeni. Nagle poczuł się niepewnie, pożałował. Za późno. Chwyliła go za rękę i przemocą oparła jego otwartą dłoń na własnej piersi, w miejscu, gdzie znajduje się serce. Zamarł, niezdolny do żadnej reakcji.

– Jedno – warknęła z wściekłością. – Teraz już tylko jedno. Ale nie omyliłeś się, kapłanie, ono nie potrafi nic poczuć. Została tylko przeklęta, plugawa larwa. A ja jestem upiorem.

Jej twarz... Nie znał tej twarzy. Oczy miały zielone błyskawice, a na ich dnie był szal i zatracenie. Wtedy to poczuł. Wściekłość, układającą się w słowa, które wdzierając się do jego głowy, szarpały i roztrząskiwały wolę na milion maleńkich kawałeczków.

*Ślubowałaś pokonać dla mnie noc, a przeraża cię szarość zmierzchu. Noc jeszcze nie nadeszła, to, co widzisz, to zalewie schyłek dnia. Ja nie pokazałam ci jeszcze ciemności. Ona nie jest tylko brakiem światła, jest czymś znacznie więcej.*

\*\*\*\*

Brzask. Ta nieuchwytna pora między nocą a dniem, kiedy nic nie jest tym, na co wygląda, a drzewa i skały przybierają barwy, których nazwy dawno już uleciały z głów zamieszkujących ziemię istot. Promienie słońca, najpierw nieśmiało, lecz nieprzerwanie, niczym natrętne, wytrwałe ślimaczki, pełzną po źdźbłach traw, liściach i korze drzew, sprawiając, że zieleń rozkwita i wybucha radosną eksplozją, jakby na przekór grozie zmierzchu i nocy. Jagody płoną szkarłatem, zawieszane na koniuszkach świerkowych igieł czy liści krople rosy, drżąc, połyskują niczym diamenty, a upstrzone nimi, rozpostarte wśród traw i krzewów gęste kobierce pajęczych nici lśnią, jakby świat przyoblekł się w srebrzysty płaszcz.

Stojący wśród zieleni, oparty plecami o fantazyjnie powykręcany pień olchy Elf zgiął nogę w kolanie i oparł but o drzewo. Głowę zwiesił na piersi, a spojrzenie wbił w otwarte dłonie, nad drzeniem których nawet nie próbował zapanować.

Jedno.

Wyczuł wtedy bicie tylko jednego serca. Rytmiczne, szybkie uderzenia, niczym serca ptaka lub nietoperza. Nie jej.

*Głupcze – pomyślał. Przeklęty, ślepy głupcze. Masz oczy, ale nie widzisz. Masz uszy, ale*

*nic nie potrafisz usłyszeć.*

Dłonie same zacisnęły się w pięści i opadły, uderzając w drzewo. Całym ciałem Elfa wstrząsnął bezgłośny szloch.

Świt wybuchnął niespodziewanie, promienie słońca zalały i z zaskoczenia objęły w posiadanie upstrzony rosą świat. Przez chwilę w ich blasku kora olchy wydawała się srebrzysto-szara, niczym przyprószona popiołem wymieszanym z drobinkami szlachetnego kruszcu, a kasztanowe włosy Elfa, rozpuszczone swobodnie i w tej pozycji niemal całkiem zakrywające twarz, zdawały się płonąć czerwienią. Promienie ogrzewały i wyciszały, niosąc spokój. Przywracając możliwość swobodnego oddychania, niemal bez bólu w piersi. Osuszając łzy.

# Rozdział 17

## Czarny Księżyc

Ongi, w czasach, które z pamięci potrafi teraz przywołać zaledwie garstka spośród nadal żyjących, Ludzi i Elfy łączyły bliższe stosunki. Obie te rasy potrafiły mieszkać obok siebie, koegzystując w niemal całkowitej zgodzie, nigdy jednak nie trwało to długo. Ich ścieżki, biegnąc w różnych kierunkach z rzadka tylko przecinały swoje linie. Podczas takiego zderzenia obie z ras przyglądały się z ciekawością i zdziwieniem tej drugiej, obcej dla siebie kulturze i niepojętemu modelowi życia. Nigdy jednak nie doszło do tego, by odważyły się choćby na wysnucie pomysłu budowy osady, która posłuży jako miejsce życia zarówno jednych, jak i drugich. Ludzie podziwiali Elfów, przejmując od nich wiele umiejętności i przekształcając je na swój sposób tak bardzo, że ci drudzy nierzadko z konsternacją odnajdywali szczątkowy, wypaczony obraz swoich tradycji i obyczajów w zupełnie teraz od nich odmiennych obrządkach, praktykowanych przez Ludzi.

Elfy ukochały lasy i rozświetlone słońcem polany, tam właśnie wznosiły swoje domy, nie będące jednak właściwie domami wedle nazewnictwa Ludzi. Elf nie potrzebował schronienia w postaci klepiska i czterech ścian, przeciwnie, kiedy Elfy napotykały na swojej drodze ludzkie siedziby, dziwiły się niezmiernie. Cóż to za sens, pytały ze śmiechem, mieszkać w najpiękniejszym nawet miejscu na świecie, jeśli dobrowolnie stawia się zapory, zasłaniające widok i stające się barierą między lasem a jego mieszkańcami? Cóż za sens gromadzić wiele niepotrzebnych przedmiotów, których nie można zapakować i zarzuciwszy dobytek na plecy, wywędrować dokąd się tylko zapragnie? Po co mnóstwo mis i dzbanów, kiedy wodę z leśnego ruczaju można czerpać własnymi rękoma? Czemu ranić ziemię bronami, jeśli las dostarcza darmo wszystkiego, co niezbędne do życia, nawet zimą?

Ludzie z kolei zdumiewali się widokiem pięknych, nieokrzęsanych dzikusów, biegających wśród konarów drzew tak swobodnie, jakby to była równa łąka czy biegnąca prosto ścieżka. Nieodgadniony był dla nich sens budowania i noszenia ze sobą łuków, jeśli ich posiadacze nie jadali mięsa zwierząt, a co za tym idzie, nie polowali na nie. Jeśli nawet zaatakowani przez dzikiego zwierza, co zresztą zdarzało się niezwykle rzadko, Elfy posiadały bowiem dar obłaskawiania wszelkich żywych stworzeń, przedkładały odwrót i ucieczkę ponad zadanie śmierci. Jeśli przejeżdżającym przez las kupieckim wozom i wędrowcom pozwalali przejść w pokoju, nie atakując i nie grabiąc, a kryjąc się tak skutecznie, że Ludzie, przejeżdżając obok przycupniętej u stóp drzewa nieruchomej figurki, nie zauważali jej obecności. Nie pojmowali ich obyczajów, choćby specyficznych „mieszkań” w koronach drzew lub wprost na ziemi, na zielonych kobiercach mchu, które zresztą porzucane były bez żalu wraz z dobytkiem, którego nie można było unieść, gdy tylko ich mieszkańca serce wezwało do dalszej wędrówki. I tego, że każdy inny wędrowiec, który się na takie opuszczone miejsce natknie, może bez obaw uznać pozostawione tam dobra za własne. Wśród leśnego ludu zresztą pojęcie własności było raczej abstrakcją. Własne były oczy i uszy, łowiące bez trudu każdy najlżejszy szelest, sprawne ręce i nogi. Poza tym może jeszcze ubranie, które akurat w tej chwili okrywało grzbiet. I łuk, do momentu aż nie okazało się, że komuś innemu są one bardziej potrzebne. Koń był wolnym towarzyszem, nie pętany na noc, mógł odejść, a trwał przy jeźdźcu z chęci, nie przymusu.

Ludzie wznosili wioski, odgradzone od nieprzyjaznego świata poza nimi wysokim ostrokołem. Mieszkali w drewnianych, czasem podmurowanych domach, których drzwi

ryglowali na noc. Powoływali specjalne rady, mające zapewnić w owych wioskach porządek, a widomym znakiem przestrzegania tego porządku były wznoszone na placach szafoty i szubienice.

Elfy nie budowały, nie zwały toporem drzew, a do budowy łuków, jeśli tylko było to możliwe, używały konarów pokonanych przez wichury lub pioruny. Z czasem, gdy świat stał się bardziej niespokojny i dobre, celne łuki oraz wyćwiczone we władaniu nimi ręce, zaczęły decydować o być albo nie być, Elfy zawarły z lasem swego rodzaju pakt. Zaczęły rzeźbić łuki z żywego cisu. Tylko cisu. To niewysokie, dorastające zazwyczaj ledwo piętnastu metrów drzewo posiada bowiem kilka niezwykłych właściwości, wyróżniających je spośród innych drzew. We wszystkich jego częściach, z wyjątkiem czerwonych jagód, znajdują się duże ilości trujących związków, zaburzających oddychanie i pracę serca. Zwierzęta obgryzające ich korę, często więc umierały. Jeśli przez nieuwagę czy na skutek pomyłki trujące części spożył Człowiek lub Elf, przykładowo wypijając odwar z igieł, skutkiem mogła być nawet śmierć. Z czasem narosło wokół tego pięknego drzewa wiele legend, zwyczajem wszystkich legend świata niewiele mających wspólnego z prawdą. W wymyślaniu dziwów przodowali Ludzie, którzy posuwali się do tak absurdalnych wierzeń, jak na przykład niemożliwość zaznania spokoju przez dusze ich zmarłych, jeśli na drodze, którą szedł kondukt żałobny, ktoś rozsypał cisowe igły. Prawdą było to, że ciężkie, twarde i sprężyste drewno, odpowiednio obrobione, a potem natłuszczone woskiem i olejem, stawało się tak giętkie, że mocno naciągnięta cięciwa wypuszczała strzałę z niespotykaną wcześniej siłą, zdolną przebić kolczugi czy hełmy wroga. Poza tym drzewo potrafiło się bronić i to było dla Elfa tak samo ważne.

Ludzie, podczas szlifowania łuku i pierwszych miesięcy korzystania z niego, użyli by zapewne rękawic i być może masek, lekko trujące było bowiem też wdychanie powstałego podczas tej pracy pyłu. Elfy nigdy nie próbowały zabezpieczać się w ten sposób, w ich oczach taka asekuracja nie byłaby uczciwa. Z czasem uodporniły się w znacznym stopniu na sok cisu, co oznaczało dla nich akceptację ich poczynąń ze strony lasu.

Farys i Sylwan mieli rację, mówiąc, iż niewiele wiedzą o Elfach. Wampiry nie wiedziały niemalże nic, wrogość między tymi dwoma plemionami była jawna, nie chciały one mieć ze sobą nic wspólnego i nie próbowały się poznać. Z Ludźmi było trochę inaczej. Czasem nawet Ludzi i Elfy łączyła miłość i zdarzały się mieszane związki, ale ich los bywał zazwyczaj smutny i tragiczny. Żadna z ras nie potrafiła tak naprawdę zaakceptować sposobu na życie, praktykowanego przez tą drugą, żadna nie czuła się szczęśliwa, żyjąc w całkowicie dla siebie obcym i dziwnym otoczeniu, jeśli zdecydowała się iść za ukochanym. No i Ludzie umierali, podczas gdy Elfy zostawały – rozbite i zagubione, z sercem obróconym w lodowy okrucieństwo, niczym łabędzie, do końca pozostając już samotne i nie zrzucając z siebie brzemia tęsknoty.

Sam sposób składania przysięgi drogiej sobie istocie mógł wiele powiedzieć o przysięgającym. Kiedy Człowiek czuje, że kocha, prosi: zostań moją żoną. Elf w takiej sytuacji obiecuje: będę ci mężem. Różnica jest na pierwszy rzut oka może i subtelna, ale jeśli się nad tym naprawdę zastanowić, staje się kolosalna.

Nad Ludźmi miłość miała osobliwą władzę, kochali często, żarliwie i gorąco, z całych sił, do nieprzytomności. Była niczym wybuch supernowej, jak porywająca wszystko eksplozja, rozszarpująca serce na strzępy, dająca siłę lub słabość, popychająca ku wielkim czynom, ale też brutalnym zbrodniom. Często o niezwykle krótkim i burzliwym przebiegu. A kiedy jej ogień wygaszał w sercu jednej ze stron, druga potrafiła się krwawo mścić, wielkie uczucie mogło prędko obrócić się w równie wielką nienawiść.

Elf tego ogromu sprzecznych emocji nie byłby w stanie pojąć. Dla niego odnalezienie miłości było jak odkrycie nowego świata, który zawsze istniał, tylko był dla jego oczu zasłonięty,

a od teraz stanął otworem po to, by nie zamknąć się już nigdy. Gdyby ktoś Elfa zapytał: co uczynisz, kiedy ona zechce odejść?, ten pewnie odpowiedziałby z prostotą: dokądkolwiek się uda, pójdę za nią, a dokądkolwiek zechce udać się sama, nie będę się temu sprzeciwiał. Będę czekać, aż wróci. A gdyby spróbować mu wtedy wytłumaczyć, że pytanie dotyczyło sytuacji, gdy jego ukochana zechce odejść z innym, po to, by nie wrócić już nigdy, pewnie uśmiechnąłby się przepraszająco i zmarszczył czoło, a jedyną jego odpowiedzią byłoby: wybacz, ale nie pojmuję twoich słów i nie potrafię na nie odpowiedzieć.

Tak. Ani Farys, ani Sylwan nie wiedzieli o Elfach zbyt wiele.

\*\*\*

Kiedy Pistis znalazł się na powrót na niewielkiej polance, gdzie drużyna spędziła noc, obie czarodziejki już tam były, ale również musiały dopiero co przybyć, bo Elpis nadal przebywała pod postacią iluzji. Patrząc na nią, kapłan nie potrafił odmówić Sylwanowi kunsztu ani umiejętności. Mimo utrzymywania czaru przez całą noc, każdy szczegół był idealny i dokładnie taki, jakim go zapamiętał. Długie niemal do kolan czarne włosy, uczesane wiatrem i układające się łagodnie w prostych pasmach wśród bieli szaty i skrzydeł, na końcach skrócone w delikatne pół pierścionki; większe niż u Elpis, bardziej zielone oczy w kształcie migdałów, rozświetlone jakimś wewnętrznym blaskiem, o wyrazie, jaki zazwyczaj miewa ktoś, kto zdaje się mówić: a ja mam wielki sekret, ale nikomu, za nic go nie zdradzę. Nawet wianek z białych kalii we włosach. A przede wszystkim skrzydła – ogromne, biało-złote, piękne... Końcówkami długich piór muskające ziemię, po której stapały lekko bose stopy dziewczyny; teraz złożone, ale delikatnie drgające w takt kroków Elfki, jakby w każdej chwili gotowe poderwać jej ciało do lotu.

Elpis-czarodziejka była piękna, mimo sporej blizny, zaskakującej i nie pasującej do całości, wybijającej się na pierwszy plan niczym fałszywy akord w spokojnej melodii, dominujący nad całością, ale nie potrafiący jej zniszczyć, nadający jej nowy, niebezpieczny ton, ostrzeżenie, nie zdecydowane jeszcze, przed czym ostrzega. Elpis-anielica była zachwycająca i w bardzo wyraźny sposób nieosiągalna, zarazem cielesna i eteryczna, zdająca się trwać i istnieć tylko dopóki ktoś nie wyciągnie ręki po to, by jej dotknąć. Była jak motyl, siedzący na otwartej dłoni, którego można spłoszyć najlżejszym poruszeniem czy dźwiękiem, a zarazem jak kołyszący się w rytm melodii wąż, gotowy w każdej chwili, w odpowiedzi na fałszywy ruch fakira, sprężyć się do skoku.

Dostrzegłszy Pistisa, pozdrowiła go krótkim, powściągliwym skinieniem głowy, a on odpowiedział tym samym, po czym oboje przestali się zauważać. Podczas gdy Farys kończył posiłek, na który składały się zabrane jeszcze z ich podziemnej kryjówki suche placki z miodem, Elfka, już w swojej zwyczajnej postaci, udała się na mały zwiad w kierunku, w którym zamierzali się dziś poruszać. Wtedy kapłan, korzystając z okazji, zbliżył się do Oriole.

– Pani Lasu, wybacz bezpośrednie pytanie, ale brak mi teraz czasu, by tłumaczyć i ubrać moją prośbę w piękniejsze słowa.

Białowłosa popatrzyła na niego żywo, a on zamilkł, nagle nie znajdując żadnych słów, mimo iż powtarzał sobie tę mowę wiele razy dzisiejszego ranka. W czarnych oczach dziewczyny kryło się coś niby kpina, zupełnie jakby wiedziała ona z góry, o co Elf chce ją zapytać i bawiła ją ta myśl.

– Proś – ponagliła go z lekkim zniecierpliwieniem, kiedy cisza zaczęła się przedłużać, a mężczyzna nadal stał przed nią w milczeniu.

– Kiedy staliśmy przed ścianą twojego lasu, błagając o możliwość wejścia, powiedziałaś, że możesz bardzo wiele, niemal wszystko, nie dajesz jednak nic za darmo – zaczął ostrożnie.

Oriole spojrzała mu głęboko w oczy.

– Więc jest coś, czego pragniesz. Nazwij to.

Jej spojrzenie zdawało się hipnotyzować i zagradzać trzeźwym myślom dostęp do jego głowy. Elf był pewien, że ona i tak wie, tak samo jak z góry wiedziała, jakie będą odpowiedzi Elpis po przedstawieniu przez nią szalenie surowych warunków, ale chce zmusić go do wypowiedzenia słów na głos, bo cudza niepewność i bezradność, a może i strach, bawią ją. Przełknął ślinę i zaczerpnął głęboko powietrza, zmuszając myśli do powrotu na właściwe tory.

– Elpis... jest mi droga, pani. Ślubowałam ochronić ją przed ciemnością, nie udało mi się, jak do tej pory nic mi się nie udało. Ale koniec z tym. Teraz chcę zrobić, co do mnie należy. Nie chcę, by musiała stanąć oko w oko z Lucyferem i stawić mu czoła, nie chcę, by doszło do ich bezpośredniej konfrontacji. Wiem jednak, że są pytania, które wymagają odpowiedzi, wiem, że czarnoksiężnik zawiódł jej nadzieje i że na te pytania nie potrafi teraz odpowiedzieć już nikt z żyjących, których ona mogłaby lub zechciała prosić o radę. Znam zasadę działania czarnych zwierciadeł i wiem, że nie są jedynym sposobem komunikacji z innymi światami. Do jeziora dojdziemy za kilka dni. Proszę o to, by gdy już osiągniemy cel, użycie jego tafli jako portalu nie było konieczne. Chcę wyprzedzić Elpis. Chcę nawiązać kontakt z Belial, zanim ona dotrze do Lucyfera. Błagam o pomoc, Pani Lasu.

Czarodziejka długi czas przyglądała mu się w milczeniu, jakby ważąc znaczenie i szczerość jego słów. W końcu przemówiła, a jej słowa ostrzegały i niosły nadzieję jednocześnie.

– Nie zdajesz sobie sprawy z tego, o co tak naprawdę mnie prosisz.

– O tym później – przerwał jej gorączkowo. – Czy zgodzisz się udzielić mi pomocy?

– To nie jest odpowiednie pytanie. Dla mnie naprawdę nie ma znaczenia, jakie nieszczęścia ściągniecie na swoją głowę i na jakie niebezpieczeństwa narazicie się na skutek swoich decyzji i pragnień. Pytanie brzmi: czy ty przyjmiesz na siebie wszelkie konsekwencje? Chcesz osiągnąć w kilka dni coś, na co więksi od ciebie pracowali latami. To możliwe, ale będę musiała wezwać na pomoc siły, o których nie masz pojęcia, a wszystkie one będą żądały zapłaty. Od ciebie. Będę musiała uciec się do bardzo starej i bardzo czarnej magii.

– Przemyślałem moją prośbę, zanim się z nią do ciebie udałem. Jeśli Elpis jest w stanie przeciwstawić się ciemności, to ja również się nie ugnę. Tylko... ona nie może się o niczym dowiedzieć.

– Cóż... – Oriole nie przestawała się niebezpiecznie uśmiechać. – Jeśli zdecydowałeś i moje słuszne przestrogi nie zmienią twojej decyzji, na początek pozbądź się w jakiś sposób czarodziejki, najlepiej na całą noc, jeśli nie potrafisz, to choć na kilka nocnych godzin. Wraz z nią możesz wyprawić Człowieka, pomocy Wampira będę potrzebowała. Tak czy inaczej więc choć jednemu ze swoich towarzyszy musisz szczerze zwierzyć się ze swoich zamierzeń. Czy takie rozwiązanie jest przez ciebie do przyjęcia?

Elf skinął głową bez słowa.

– To dobrze. Znasz krzew, który Ludzie nazywają Calea zacatechichi, a Elfy zielem snów? Uleczę dziś ku miejscom, gdzie wzrasta i przyniosę dla ciebie kilka liści. Wieczorem, kiedy Elpis odejdzie, uwarz z nich napar i wypij go. Potem przyjdź do mnie razem z Wampirem.

– Pani, czy możesz zapewnić mnie, że mojego przyjaciela nie spotka z powodu tego, o co cię proszę, żadna krzywda?

Oriole chciała już odchodzić, kiedy zatrzymały ją słowa kapłana, połową ciała była zwrócona w przeciwnym kierunku. Odchyliła nieco głowę, by na niego spojrzeć, ale nie odwróciła się na powrót w jego stronę. Pistisa owionął zapach piór i deszczu, zakręciło mu się w głowie. Na ustach dziewczyny zatańczył uśmiech.

– Krzywda? Zaufaj mi, kapłanie, nie o niego martwiłabym się na twoim miejscu dzisiejszej nocy. Elpis już nadchodzi, więc jeśli zależy ci na zachowaniu tajemnicy...



Pistis postąpił krok do tyłu i skłonił się przed białowłosą. Oriole również odpowiedziała krótkim ukłonem, po czym ta dwójka rozeszła się w przeciwnych kierunkach, jakby ich rozmowa nigdy się nie odbyła.

Elfka zjawiała się w towarzystwie Anate, małej driady o miodowych włosach i oczach o tym samym odcieniu. Wyglądała już tak, jak zawsze, znikły skrzydła i biała szata, zastąpiło ją zwyczajne podróżne ubranie; jasnobrązowe opinające ciało spodnie, wpuszczone w długie kozaki, na to wszystko narzucona szaro-zielona tunika z długimi rękawami, sznurowana pod szyją, a od pasa w dół rozszerzająca się i tworząca jakby długą niemal do kostek spódnicę, nie krępującą ruchów, bo z przodu rozcięta na całej długości. Całość opinał szeroki, pleciony pas, do którego przytroczona była Mnemozyna. Płaszcz, zrolowany w zgrabny pakunek, zarzuciła sobie na plecy wraz z lekkim kocem. Męskie ubranie, ofiarowane jej przez Kaina, pozostało w klasztorze, a wąska tunika, którą otrzymała od kapłanów, była tak podarta i zniszczona, że nawet próby jej naprawy i łatania niewiele by pewnie mogły na jej stan poradzić. Oczywiście zakładając, że dziewczyna miałaby choć minimalną ochotę na poczynienie takich prób.

Nigdy nie zapytała Oriole, skąd ta ma idealnie na nią pasujące ubranie, ani tym bardziej skąd pochodzi odzież, w jaką Pani Lasu wyposażyła jej trzech uczniów. Jako że suknie mogły należeć do samej Oriole, tak obecność w tym miejscu męskich spodni, koszul, płaszczy i podróżnych butów mogła intrygować. Tak samo jak podarki, które ona, Farys i Sylwan otrzymali od niej dzień przed wyruszeniem w drogę – zdobione techniką damaskinażu pochwy z dziwnego materiału, idealnie pasujące do ich mieczy. Na czarnej niemal pochwie, przeznaczonej dla Unguem, rozpościerał skrzydła srebrzysty orzeł, na dwóch bliźniaczych, będących futerałami dla Fulgura i Tonitrila, widniały fantazyjnie splatające się błyskawice, a na tej dla Mnemozyny pawie pióra.

Elfa nie obdarzyła żadną bronią, wyjaśniając, całkiem zresztą przekonywująco, że co prawda dysponuje lukiem, jednak z racji tego, że polowania na zwierzynę są surowo zakazane, a przeciw istotom, na które mogą się w lesie natknąć, a które ich świat zwie Cieniem, luk i strzały nic nie zdziałają może poza obudzeniem w nich wściekłości, obciążanie się zbędnym sprzętem nie byłoby zbyt rozsądne. Zwierzęta zresztą, jak przyrzekała, nie zaatakują, niesprowokowane, nawet te o najbardziej przerażającym i dzikim wyglądzie. Jak do tej pory zasada ta sprawdzała się bez żadnych od niej odstępstw. Zresztą, jak powiedziała Oriole z nieodgadnionym wyrazem twarzy, nie było przypadkiem to, iż z klasztoru wynieśli właśnie tyle sztuk broni i że Elpis w taki, a nie inny sposób ją między nich rozdzieliła. Obiecała też, że mimo iż Elf wszedł do jej królestwa bez oręża, opuści go z godną siebie bronią, kiedy czas nadejdzie. Czarnowłosa czarodziejka wymogła na swoim uczniu przyjęcie z jej rąk chociaż srebrnego sztyletu, którym ona posłużyła się w świątyni, w celu upewnienia siebie samej i dania wszystkim wyraźnego dowodu, że połączenie między nią i kapłanem zostało związane. Początkowo wszyscy, poza Sylwanem sądzili, że sztylet przypadł, bo Elpis, rzuciwszy nim, nie miała już potem czasu na to, by go szukać i podnosić, tym bardziej, że nie mogła polegać na własnych oczach. Jak się jednak okazało już w norze, broń podniósł Wampir.

Sama Oriole nie nosiła żadnej broni, ale ona wydawała się być niepodzielną władczynią tego świata, taką której nie może tu spotkać nic złego. Jakikolwiek miecz lub luk mogłyby zresztą stanowić problem podczas przemiany w ptaka, której czarodziejka dokonywała co najmniej kilka razy dziennie, choć Elpis nie wątpiła, że białowłosa, jeśli zechce, może sprawić, że miecz czy cokolwiek innego zniknie, a potem na jej życzenie zmaterializuje się na powrót w dowolnym miejscu. Driada, wzrostem dosięgająca Elfce i jej towarzyszym ledwie do połowy ramienia, istota o postawie drobnej, nie dorośniętej jeszcze dziewczuszki, z co dzień innymi kwiatami we włosach, na pozór również wydawała się bezbronna. Elpis wiedziała jednak, że

zawierzenie takim pozorom nawet rosłego męża mogłoby kosztować życie.

W świecie, z którego przywiodło ich tu zakłęcie Belial, nie było już driad od dawna, ale dziewczyna pamiętała czasy, gdy wiele z nich przemykało po bezkresnych, porastających ongi ziemię puszczech. Bynajmniej nie były bezbronne, mimo że nigdy żadna z nich nie dźwigała na plecach kołczanu ni łuku.

Pierwotnie, gdy Oriole przedstawiła im szóstego uczestnika wyprawy do czarnego zwierciadła i gdy stało się jasne, że to Anate była ową tajemniczą istotą, znajdującą się wraz z nimi w norze przez wiele przecież dni, Elpis nie była zachwycona. Delikatnie i oględnie mówiąc. Myśl, że ktoś taki czuwał w tym samym pomieszczeniu, w którym jej uczniowie spali, przyprawiał ją o mimowolny dreszcz zgrozy. Nie protestowała jednak, bo dała słowo, akceptując driadę jako uczestniczkę ich dalszej podróży, zanim poznała jej prawdziwą tożsamość. Zgodziłaby się również, jeśli prezentacja szpiega odbyłaby się wcześniej, ale z pewnością mniej chętnie i być może po postawieniu ze swojej strony kilku warunków. Teraz było już za późno na renegocjacje, a Elpis duma nie pozwalała prosić, jeśli nie wolno było jej już żądać. Zagroziła tylko po swojemu, że jeśli któremukolwiek z jej uczniów spadnie z winy Anate choćby włos z głowy, ona lekce sobie ważąc wcześniejsze obietnice, własnoręcznie pozbawi ją wszystkich. Razem z głową.

Tę uwagę zwykła rzucać od niechcienia w różnych wariacjach co wieczór, odchodząc w ciemność pod postacią Belial. Nikt jej słów nie komentował. Człowiek, Elf i Wampir nie rozumieli nic z dziwnego języka, przypominającego pospieszny świergot ptaków, a driada nie chciała lub nie potrafiła posługiwać się żadnym innym. Oriole odpowiedziała tylko raz, ręką własną głową za pokojowe nastawienie swojej protegowanej i od tej pory nie uznała za stosowne swojego oświadczenia powtarzać. Mała driada natomiast nagle głuchła na jakikolwiek język i nie zaszczycając Elpis nawet spojrzeniem, zwykła była podśpiewywać sobie coś pod nosem, a brzmiało to jak srebrzyste przelewanie się wody w strumieniu lub szum deszczu.

Za dnia zazwyczaj drużyna przedzierała się przez las, schodziła w dół i pięła się pod górę zboczami olbrzymich parowów, przeprawiała się przez płytkie strumienie i omijała liczne wykroty w starym składzie. Oriole podróżowała niemal zawsze pod postacią wilgi, czasem tylko dołączając do nich, by szepnąć słówko Elfce lub nadać marszrucie nowy kierunek. Anate mknęła po lesie, znacznie ich wyprzedzając lub zostając w tyle, zależnie od widzimisie, zawsze jednak potrafiła ich odnaleźć, gdy takie było jej życzenie. Oni z kolei nigdy nie słyszeli, gdy się zbliżała, nawet Elf ani Wampir, obdarzeni oczami i uszami znacznie bystrzejszymi niż Farys, nie potrafili opanować zaskoczenia i podziwu, gdy nagle wysuwała się zwinnie zza pnia brzozy, obok której dopiero co przeszli lub podnosiła się z kępy krzaków, na którą się kierowali, nie mając o jej obecności pojęcia. Podziw zwiększał się, gdy odkrywali, że brzoza w najgrubszym miejscu była cieńsza od talii dziewczynki, a krzaki rozrastały się na kształt rzadkiej miotły z licznymi prześwitami i na oko żadne z tych miejsc nie mogło posłużyć jako skuteczna kryjówka dla osoby jej pokroju. Dodatkowo wystrojonej w wianek jaskrawych maków. Elfka za wszelką cenę starała się uchodzić za kogoś, kto nad wszystkim panuje, ale po nerwowych drgnięciach brwi lub skurczach mięśni twarzy, których w chwili pierwszego zaskoczenia nie potrafiła opanować, ktoś potrafiący patrzeć i wyciągać wnioski, mógł domyśleć się bez trudu, że ją umiejętności miodowowłosej Anate również wprawiały w szczerze zdumienie.

Czarodziejka nie chciała wytłumaczyć, dlaczego mała jest potencjalnie tak wielkim zagrożeniem, ograniczyła się tylko do kilku zdawkowych informacji. Choćby tej, że driady co prawda nie piją krwi ani nie odżywiają się mięsem, ale w walce z powodzeniem używają zębów, znacznie różniących się budową i rozmieszczeniem od choćby ludzkich; drobnutki i liczne, niezróżnicowane na siekacze, kły czy trzonowce, przypominały raczej skierowane do środka,

ostre igielki, pokrywające gęsto żuchwę szczupaka. Z tym, że u driad występowały też w szczęce. No i były jadowite.

– Spójrzcie tylko na nią, na to jak się porusza, nawet jak śpi – mówiła czasem. – Wydaje się wam, że potraficie bezszelestnie przemykać wśród drzew? Ona potrafi to sto razy lepiej. Myślicie, że macie pojęcie o jeździe konnej? Jeśli kiedykolwiek będziecie mieli okazję zobaczyć ją na grzbiecie jakiegokolwiek stworzenia, posiadającego cztery pęciny i zdolnego dźwigać jeźdźca, będzie wam wstyd, że kiedykolwiek tak myśleliście. Waszym atutem jest celna ręka i bystre oko? A może uszy, zdolne w porę ostrzec was przed niebezpieczeństwem? Pistisie, jesteście w stanie usłyszeć jęk naciąganej cięciwy, jeśli strzelec znajdzie się w odległości pozwalającej na celny strzał. Do niej nikt nie zbliży się na taką odległość, jeśli ona sobie tego nie życzy, zaalarmuje ją szelest ocierających się o siebie w takt kroków łucznika lotek strzał, kiedy łowca będzie jeszcze daleko. A jeśli nie zechce być zauważona, prędzej się o nią potkniecie, niż ją dojrzycie. Dodajcie sobie do tego wybuchowy temperament, absolutny brak poczucia humoru i traktowanie wypowiedzianych słów szalenie poważnie, a nie będę musiała wam nic więcej wyjaśniać. Jeśli powiecie driadzie: dam sobie rękę uciąć, jeśli to nie prawda... Lepiej dla was, żeby owo „to” jednak okazało się prawdą.

Elfka, kiedy tylko było to możliwe, starała się przebywać w pobliżu Anate, utrzymując małą z dala od nich. Często sprzeczały się o coś podniesionymi głosami, przypominającymi świergot rozsierdzonych czymś wróbli, ale owe różnice zdań kończyły się równie szybko, jak wybuchały, a z czasem przerodziły się w prawie przyjazne przekomarzania, przy czym o ile Elpis zdarzało się uśmiechać lub śmiać w głos, Anate pozostawała poważna, a trzech towarzysze dziewczyny nie mogli oprzeć się wrażeniu, że mimo niemożliwości zrozumienia choć słowa, wiedzą, o czym świergocze potem pospiesznie ich mentorka. Żaden z nich nie mógł oprzeć się wrażeniu, że czarodziejka po prostu gęsto się wtedy ze swoich wybuchów radości tłumaczy.

\*\*\*\*

Tego dnia droga wypadła im przez las o wyjątkowo bogato rozrośniętym podszyciu, przez co nie mogli poruszać się zbitą grupą. Liczne, rozpanoszone tu zarośla, często wymuszały na nich rozbijanie szyku, a po odejściu kilkunastu kroków tracili się nawzajem z oczu. Taki stan utrzymywał się na tyle długo, że Pistis zaczął podejrzewać iż Oriole, chcąc umożliwić mu zapoznanie ze swoim planem Człowieka i Wampira, bez konieczności wtajemniczenia w niego czarodziejki, prowadziła ich bezdrożami, mimo możliwości wybrania dogodniejszej drogi. Pewność zyskał, gdy podczas jednego z wielu czynionych przez Elpis wypadów w poszukiwaniu nieco mniej spowalniającej tempo ich marszu trasy, siedząca na gałązce olchy, którą mijali, wilga, zamieniła się w białowłosą Panią Lasu i bez słowa wręczyła mu niewielki lniany woreczek, po czym ponownie przybrała postać ptaka i odleciała bez udzielenia jakichkolwiek wyjaśnień.

Elf nie śmiał zaglądać do środka. Nie wierzył, by Elpis, gdyby nawet znalazła się teraz obok niego, mogła domyśleć się przeznaczenia wypełniających woreczek liści ziela snów i gałązek cisu. Do momentu ich poznania wszelka wiedza o truciznach i odtrutkach, wywarach i ziołowych naparach nie była jej do niczego potrzebna, więc tworzone przez wszystkie plemiona, czasem niezwykle pomysłowe mikstury, ta posiadająca przecież rozległą wiedzę na wielu innych polach czarodziejka, mogła bez trudu pomylić z witaminową herbatką.

Nie miał racji. Nie doceniał strachu, jaki odczuwała jego mentorka od chwili, gdy jeszcze w klasztorze zorientowała się, iż podano im coś, czemu nie potrafiła zaradzić. Korzystając z tego, że Oriole miała nieco oryginalne podejście do prowadzenia szkolenia swoich uczniów i nigdy nie narzucając, pozwalała jej wybierać, Elpis podczas długich bezsennych nocy, snując się po lesie w jej towarzystwie, z pokorą i uwagą wysłuchiwała długich wykładów o zabójczych

właściwościach wilczej jagody, lulka czarnego, blekotu i wielu innych, pospolitych i rzadkich roślin, grzybów czy nawet owadów. Im dłużej słuchała, tym bardziej zdumiewała ją ilość pozornie żadnej krzywdy nie mogących wyrządzić sposobów, na wypędzenie życia z tak przecież kruchych ciał, jakie posiadali Ludzie, Elfy, a nawet Wampiry. Jeśli wziąć pod uwagę to, że z przedstawicielem każdej z tych ras związał ją los i że każdy z nich był jej w jakiś niepojęty sposób każdego dnia bardziej drogi, można by przypuszczać, że czarodziejka przeraziła się ogromem tych sposobów. Ale Elpis była uczennicą Kaina i niewiele było rzeczy zdolnych na dłużej ją przerazić. Zamiast więc tracić czas na podstępnie zakradający się do jej serca strach, zapytała o odtrutki.

Gdyby więc tego dnia wróciła do nich nieco prędzej i wyczuła zapach choćby cisu, pewnie wiele wypadków mającej po dniu nastąpić nocy, potoczyłoby się inaczej. Kapłan nie mógł tego wiedzieć, czym prędzej jednak schował woreczek z cenną i niebezpieczną zawartością do przerzuconej przez ramię torby.

Tymczasem jednak dzień dopiero wstał. Na ich drodze wyrastały wciąż i wciąż krzewy czeremchy i bzu, pokryte wielką ilością kwiecica, pachnącego tak intensywnie, że nawet dla Elpis wychwycenie spośród tej słodkiej gamy woni, delikatnego zapachu liści i igieł, ukrytych na dnie torby, stawało się niemożliwe. Choć więc Elfka wiele razy zbliżała się do nich i wiele razy oddalała, nie zauważyła nic, co mogłoby wydać się jej powodem do niepokoju. Kapłan natomiast nie zmarnował żadnej z chwil, podczas których jego mistrzyni nie było w pobliżu, wykładając swój plan punkt po punkcie kolejno Człowiekowi i Wampirowi. Co prawda nie uzyskał aprobaty żadnego z nich, ale kiedy zrozumieli, że niezależnie od tego, nie odstąpi od wprowadzenia go w życie, oboje zgodzili się mu w tym dopomóc.

Zgodnie więc z poczynionymi wcześniej ustaleniami, gdy tylko zaczęło zmierzchać, cała trójka zdradzała większe niż normalnie o tej porze objawy znużenia i wyczerpania marszem. Tempo, z jakim posuwali się do przodu, znacznie więc spadło i ten spadek w końcu przykuł uwagę dziewczyny. Wtedy też Wampir zabrał głos jako pierwszy, prosząc o możliwość spokojnego przespania choć jednej nocy, zanim znów rozpoczną prace nad iluzją. Oczywiście Elpis zgodziła się od razu, jak zawsze w takich sytuacjach zaskoczona, że ktoś z jej drużyny nie nadaża za narzuconym przez nią morderczym tempem i zła na siebie za to zaskoczenie.

Po chwili, jak na komendę, Farys odzyskał siły i od razu zabrał się za przypadającą mu, w zasadzie najtrudniejszą część zadania. Mianowicie – próbę wywabienia czarodziejki jak najdalej od miejsca nocnego obozowiska, na jak najdłuższy czas. Można powiedzieć, że użył przeciwko niej broni, którą ona sama nie tak dawno włożyła mu do ręki. Powołał się na moc przysięgi, złożonej przez Elfkę u stóp drzewa, zamieszkałego przez nieśmiertelną duszę śmiertelnego. Oczywiście nie dosłownie. Klucząc i gubiąc się, jakby w obawie przed jej gniewem, przyznał się do samodzielnych prób okiełznania żywiołu ognia i zwierzył się jej z obaw, jakie w związku z tym żywił. Nie wszystko i nie zawsze bowiem się udawało. W zasadzie wszystko, co tego wieczora Elpis od niego usłyszała, było prawdą, płomień buntował się i walczył z nim, nie za każdym razem udawało mu się zgodnie z własnym żądaniem ugasić go lub nadać mu formę. Pierwotnie jednak wcale nie zamierzał dzielić się ze swoją mistrzynią niepowodzeniami. Dziewczyna od początku podkreślała, że ogień to niezwykle kapryśny żywioł i że nie można go ot tak opanować, Człowiek liczył więc na czas i wytrwałość, które z pewnością w końcu sprawią, że wszystko będzie przebiegać prawidłowo, a on będzie mógł z dumą zaprezentować jej znakomite wyniki. Niestety, w obliczu zaistniałej sytuacji, właśnie propozycja wspólnego rzucenia okiem na problem, wydawała się być jedyną, która jego mentorkę przekona.

Pomysł zadziałał nawet lepiej, niż się spodziewał. Elpis na propozycję demonstracji przystała od razu, co więcej, sama podsunęła pomysł, by jako arenę, na której odbędzie się

widowisko z udziałem płomieni, wybrać miejsce mniej zalesione. Dziwnym zrządzeniem losu znajdowali się w tej części, gdzie las był niezwykle gęsty i ogień w niewprawnych dłoniach adepta mógł być równie niebezpieczny, jak w ręku dziecka, bawiącego się w kupie suchego siana w upalny, letni dzień. Oriole z miejsca ją poparła, dodając przy tym, iż żałuje, ale będą musieli do pokonanej dziś w ciągu dnia drogi dołożyć co najmniej kilkanaście kilometrów, gdyż wszędzie, w dosyć dalekim promieniu, las nie ulega przerzedzeniu. Elfka przyjęła wszystko to tak naturalnie i spokojnie, że Farysowi w pewnym momencie zrobiło się bardzo dziwnie i zaczął się poważnie niepokoić, co będzie, jeśli odkryje mistyfikację, choćby przechwytyjąc coś z głowy któregokolwiek z nich. Nic takiego nie miało jednak miejsca. Być może byli już wystarczająco dobrzy w stawianiu mentalnych zapór, a może ich opiekunka ufała swoim adeptom do tego stopnia, że nie próbowała sięgać do ich myśli. Kiedy tylko zaświtała mu ta druga możliwość, Farys poczuł się z tym, co robili, jeszcze dziwniej.

W końcu stanęło na tym, że Elpis oddaliła się w towarzystwie Człowieka, solennie przyrzekając powrót przed świtem, a Pistis, który na to tylko czekał, zaczął łamać sobie głowę nad tym, jakim niby cudem ma przyrządzić napar z igieł i liści, jeśli nie wolno mu palić ognia. Z pomocą przyszła mu Anate, która patrząc z politowaniem, niczym na kogoś niezwykle słabo rozgarniętego, przyniosła mu kilka grubych konarów spośród zaścielających gęsto las, zwalonych przez wichry, które szalały i usnęły wiele lat temu. Driada, zabawnie i przesadnie gestykulując, ćwierkając przy tym coś po swojemu, odegrała pantomimę, z której jasno wynikało, że to drzewo nie żyje, nie można więc zabić go ponownie, można za to zapalić dla niego stos.

Przyjął od niej szczapy chrustu i podziękował, skłaniając się niżej i dłużej, niż nakazywał obyczaj, po czym, nie zwlekając, zabrał się za przyrządzanie wywaru. Sylwan przyglądał się podejrzliwie, gdy Calea zacatechichi i cis gotowały się, a następnie stygły w niewielkim garnuszku. On w przeciwieństwie do czarodziejki, znał się na roślinach i wiedział o choćby części ich właściwości, a ta wiedza sprawiała, że wcale nie uśmiechało mu się, by jego przyjaciel w owej szatańskiej mieszance zanurzył choćby wargi. Nic jednak nie mówił, nie chcąc niczym bezrozumna a uparta baba strzępić języka po próżnicy. Pistis podjął decyzję, a on obiecał mu dopomóc, choć nie wiedział jeszcze, na czym ta pomoc ma polegać.

Mała driada siedziała na ziemi po turecku, obserwując niecierpliwie kapłana i jego towarzysza, a jednocześnie rzucając tęskne spojrzenia w gęstwinę drzew. Jej długie włosy o odcieniu miodu, paradoksalnie w poblasku łuny rzucanej przez ogień, wydawały się ciemniejsze niż zwykle. Oriole nie było między nimi w ogóle.

Wreszcie, gdy ogienek dopalił się całkiem, Elf starannie przysypał żar piaskiem i przez chwilę wpatrywał się szklistym wzrokiem w trzymany oburącz garnuszek i zdający się w szarości zmierzchu smoliście-czarnym napar na jego dnie. Wreszcie jego dłonie, niezależnie od niego i jego woli, zaczęły gwałtownie drżeć, tak że w pierwszej chwili z zaskoczenia niemal nie rozlał cennej zawartości. By nad nimi zapanować, mocniej zacisnął je na naczyniu i wznosił garnuszek do ust. Nie czekając, aż znów przyjdzie zawahanie, wypił cały płyn duszkiem, niemal nie czując smaku, po czym wstrząsnął się gwałtownie i wypuścił naczynie z rąk. Garnek z szelestem potoczył się po trawie, mokre igły i liście wypadły ze środka, znacząc miejsce jego upadku.

Driada, jakby tylko na to czekała, poderwała się na nogi niczym zwolniona z napiętej cięciwy strzała, podbiegła do kapłana i bez słowa ujęła go za rękę, gestem nakazując jemu i Wampirowi by szli za nią. Ich droga nie była daleka ani trudna, nagle okazało się, że krzaki i zarośla nie są skupione tak gęsto, jak sądzili za dnia. Być może Anate sposobem znanym tylko driadom przemykała, wykorzystując najmniejsze prześwity w gęstwie, niczym łoś, pewnie stąpający po bagniskach, gdzie człowiek nie przejdzie. Pistis pozwolił się jej prowadzić, niczym ślepiec, który nie zważa na drogę, bezgranicznie ufając przewodnikowi. Jej drobna rączka ginęła

niemal całkiem w jego dłoni, zdawała się gorąca niczym węgle z ogniska, którego żar jeszcze nie wygasł. Jej temperatura z pewnością była o kilka stopni wyższa od tej, jaką osiągały Elfy. Kapłan mimo woli pomyślał, że to wyjaśnia jej sen na gołej ziemi, bez okrycia, jaki praktykowała co noc, niezależnie od tego, czy owa noc była chłodna czy całkiem zimna.

Nagle teren zaczął się gwałtownie obniżać, a drzewa przerzedzać i oto po kilku chwilach znaleźli się na dnie niewielkiego parowu, tworzącego kotlinkę, całkiem ich pozbawioną. Na jej dnie, zwrócona do nich plecami, oczekiwała ich Oriole. Długie włosy zlewały się w jedność z prostą białą suknią, opadającą do kostek, nasuwającą nieodparte skojarzenie z szatą, w której Pistis i Elpis widzieli Belial. Pani Lasu jak zawsze miała we włosach czarne i żółte pióra, ale tym razem nie tworzyły one wokół głowy osobliwej korony czy raczej aureoli, kilka pojedynczych piór wplecionych miała w pojedyncze pasma włosów na całej ich długości. Nie odwróciła się na dźwięk kroków, mimo iż musiała słyszeć, jak nadchodzili. Spojrzała dopiero, gdy cała trójka zatrzymała się przed nią, a Anate puściła dłoń Pistisa i dołączyła do niej, zajmując miejsce u jej lewego boku. Kiedy się obróciła, na jej ustach tańczył zwykły dla niej, spokojny uśmiech.

– Więc przyszedłeś – powiedziała zamiast powitania. – Odważnie. I nierozsądnie. Wiesz wszakże, jakie rośliny ci podałam. Jesteś elfickim kapłanem, studiowałeś z całą pewnością nazwy i właściwości porastających las ziół. Nie możesz więc nie wiedzieć, że dawka toksyn, zawarta w ilości, jaką wypiełeś, dla przedstawiciela twojej rasy jest niemal śmiertelna.

Patrzyła teraz uważniej, jakby oczekując nagłej paniki. Elf milczał, stojący tuż za nim Wampir zaklął z cicha, lecz wyraźnie.

– Zdaję sobie z tego sprawę, pani – odrzekł w końcu Pistis. – Nie prosiłem cię jednak o śmierć, ale o możliwość komunikacji z demonem, po to zresztą, by pomóc Elpis. Śmierć żadnego z naszej trójki jej nie pomoże, więc wierzę, że akurat w tym wypadku określenie „niemal śmiertelna” jest niezwykle trafne.

Oriole roześmiała się z cicha, po czym zwróciła się do driady. Wampir i Elf nie rozumieli słów, jedynym, co pojęli, to że wywód zakończony był tonem, jakim zazwyczaj stawia się pytania. Anate kilkakrotnie kiwała głową, po czym jakby zamyśliła się, wzruszyła ramionami i potrząsnęła nią przecząco. Oriole rzuciła w jej stronę jeszcze jedno jedyne słowo, po czym znów spojrzała na dwoje adeptów sztuki magicznej.

– Przyszedłeś – powtórzyła. – Więc dobrze, niech się dzieje twoja wola. Powiem to od razu, bo potem może już do ciebie nie dotrzeć, zapamiętaj więc dobrze. Nie zamykaj oczu. Dopóki tylko możesz, nie zamykaj ich. Patrz na ogień.

Chwilę milczał, skonsternowany. Nigdzie nie widział żadnego ognia, a słowa były co najmniej niepokojące.

– Dobrze, pani – zgodził się jednak w końcu bez podejmowania dyskusji.

Czuł, jak fala dziwnej błogości zaczyna rozchodzić się po całym jego ciele, sprawiając, że wszelkie ruchy stawały się powolne, jakby wymuszone, nawet wydobywanie głosu zdawało się trudnym wyzwaniem.

– Czy wiesz, kim jest Anate? – zapytała Oriole bez dalszego wstępu, obejmując ramieniem małą driadę.

Kapłan przyjrzał się jej uważnie, zaintrygowany i lekko zagubiony takim właśnie pytaniem. Driada stała wyprostowana i poważna, wlepiając spojrzenie miodowych oczu w jego twarz. Niezapominajki w jej włosach pochyliły główki, przywiędłe po całym dniu, a wydzielana przez nie woń, słodka i żałobna zarazem, uderzała do głowy. Małe dłonie, opalone przecież, a i bez tego naturalnie śniade, teraz wydawały się niezwykle blade na tle sukienki w kolorze ochry, podobnej do tej, jaką nosiła Elpis podczas pierwszych dni w norze.

– Nie wiesz – stwierdziła czarodziejka nie doczekawszy się odpowiedzi. – Choć może się

domyślasz. Pochodzi ona w prostej linii od Belial, jest pierworodną córką demona, który znalazł w twoim ciele tymczasowe schronienie. Nalegam, aby na razie pozostało to między nami – dodała z naciskiem, patrząc kolejno w rozszerzone zdumieniem oczy Elfa i Wampira. – Zatrzymując was tutaj, mam jeden cel. Chcę nauczyć was historii Cienia, którego wasz świat tak bardzo się lęka. Nie twierdzę zresztą wcale, iż nie słusznie. Jednak nieprawdą jest, że wszelkie istoty, które składają się na ten Cień, należy wrzucić do jednego worka, a worek najlepiej podpalić i zakopać popioły. Ty to rozumiesz, choć w nieco dziwny i niebezpieczny sposób, kapłanie. Z uwagą przyglądać się będę twoim próbom ocalenia najstraszliwszego i zarazem najbardziej skrzywdzonego z istniejących kiedykolwiek demonów. Nie powiem, że próby te są beznadziejne, nie powiem też, że przynieść mogą jakiegokolwiek owoce. Punkt, w który zaprowadzą ciebie i twoją mistrzynię, jest ukryty przed moimi oczami, nie potrafię przeniknąć okrywającej go mgły. Mogę cię tylko ostrzec, wiedząc, że to w niczym nie zmieni twojej ścieżki, bo twoje serce dokonało wyboru z chwilą, gdy zobaczyłeś w wizji dwójkę roześmianych dzieci z kwiatami we włosach. Strzeż się, kapłanie, ta mgła ma kolor krwi.

– Odpowiem na jedno z pytań, które sobie tamtego dnia postawiłeś – kontynuowała, nadal nie doczekawszy się jakiegokolwiek komentarza z jego strony. – Dlaczego Lilith nikt nigdy nie próbował ratować? Dlaczego Belial i Lucyfer pozwolili jej zostać na dnie Gehenny bez nadziei i wśród zrodzonego z niej Cienia? Dlaczego wszyscy ją zdradzili? Lucyfer... Anioł, który pokochał, choć nie powinien być do tej miłości zdolny, pokochał – a raczej może tak mu się tylko wydawało – anielicę, która jako pierwsza za nim poszła; Barbello. Miłość skończyła się, gdy tylko przed jego obliczem stanęła Belial, najpiękniejsza i najgroźniejsza z istot, jakie kiedykolwiek istniały. Nazwana początkowo przez niego samego córką, prędko stała się kochanką i matką jego dzieci. Kiedy na świat przyszły bliźnięta, roztoczył nad nimi opiekę, jednak nie do końca rozumiał i podzielał jej obsesję. Dzieci budziły w nim inny rodzaj miłości, ożywczej i świeżej, niczym powiew bryzy od morza lub ciepło promieni słonecznych w letni ranek. Dla Belial stanowiły treść życia, wyznaczały kierunek wszystkiego, stały się wszystkim.

– Kiedy Barbello straciła Lilith w czeluście Doliny Jęku, był to cios dla obu jej anielskich rodziców, jednak każde z nich zareagowało inaczej. Lucyfer wzmocnił opiekę nad Adamem, który pozostał z nimi i z pokorą przyjął to, co się stało. Oczywiście, próbował wyblagać łaskę u stóp tronu, ale tym razem Pan o siedmiu tysiącach smutnych oczu pozostał nieugięty i nie cofnął tego, co uczyniła Barbello. Belial nie błagała, w jej naturze nie leżało nigdy pokorne zginanie karku pod jakimkolwiek jarzmem. Ona nie tracąc czasu na prośby, od razu przeszła do czynu. Wiedząc, że nie może liczyć na pomoc drżącego teraz o jej i ich ocalałego syna bezpieczeństwo kochanka, sama odnalazła Gehennę i poszybowała w jej ciemność. Długo spadała, niczym ptak ze złożonymi skrzydłami, aż w końcu osiągnęła dno i znalazła się wśród kłębiącej się ciemności i beznadziei, czepiającej się jej szat i skrzydeł milionem palców, przypominających zakrzywione szpony drapieżnych ptaków. Rozpoznała je, odszukała w głowie ich imiona, z przerażeniem i wściekłością odnalazła w nich odbicie swojej córki. Szukała Lilith długo, wykrzykując w pustkę jej imię, ale jej głos pozostał bez żadnej odpowiedzi. Ochrypla od krzyku, pokaleczyła na kamieniach stopy, nienawykłe do stąpania po ziemi, zrodzone w samym jądrze mroku istoty, których nie śmiała skrzywdzić, poszarpały biało-złote skrzydła. Traciła siły, ale nie nadzieję.

– Nie odnalazła jej? – zapytał kapłan, nie mogąc się opanować.

Oriole przerwała na chwilę i spojrzała mu głęboko w oczy. Wzrok Elfa stawał się zaćmiony i błędny. Mężczyzna nadal trzymał się prosto, ale białowłosa czarodziejka wiedziała, że już nie długo.

– Odnalazła. I ujrawszy, przeraziła się, z trudem rozpoznając w tej biednej,

pogruchotanej straszliwym upadkiem istocie podobne aniołowi dziecię, które nie tak dawno tuliła do piersi. Muszę się spieszyć, kapłanie, nie wiem, ile jeszcze mam czasu i jak długo zdołasz mnie słuchać, wybaczyć więc, że od teraz opowieść stanie się zdawkowa. Nie wiem, jak długo zdołasz się opierać.

– Jeżeli to pomoże, pani, zapewniam, że wcale nie będę się opierał.

Oriole zbyła te słowa krótkim machnięciem ręki.

– To nie zależy od ciebie, każdy organizm bez udziału woli walczy o życie, a ja zaprowadzę cię na krawędź śmierci, będziesz więc walczył. Ale nie umrzesz, nie lękaj się, wszystko co musisz zrobić, to z pokorą poddać się temu, co się dzieje. Za zakończenie historii niech ci wystarczy to, że Lilith nie zgodziła się opuścić Gehenny bez swoich nieszczęsnych dzieci, a wszystkich unieść w świat Belial nie mogła. Zresztą poczarwane karykatury istot były dla świata zbyt niebezpieczne, jedyne, czego je nauczono, to ból i strach, ich serca były przez nie zatrute. Lilith błagała matkę tylko o to, by o niej nie zapomniała, bo być może kiedyś... Biedna, szalona marzycielka! Wierzyła w możliwość powstania świata, w którym wzajemna koegzystencja Ludzi, Elfów, Wampirów i Cienia będzie możliwa. Belial na prośbę Lilith uniosła w ramionach dwie dziewczynki, jedną z nich była Anate, druga zmarła dawno temu, pozostając w waszym świecie, podlegając więc władzy śmierci. One właśnie, pierwotne dzieci pierwszej kobiety, najbardziej przypominały im Ludzi i obie wierzyły, że dla driad też znajdzie się miejsce na Ziemi. Resztę historii usłyszysz jutro, jeśli zdecydujesz się po tym, co ujrzysz dziś, powrócić do mnie kolejnej nocy.

– Nie mogę dłużej zwlekać, musimy zacząć rytuał. Piłeś już krew, prawda, kapłanie?

Elf skinął głową, nieco zbity z tropu. Powoli zaczynał wątpić, że rzeczywiście uda mu się wyjść z próby, której zamierza poddać go Oriole, żywym. Dziwna słabość powodowała, że nie potrafił zapanować nad nerwowymi dreszczami, które raz po raz wstrząsały całym jego ciałem. Jeśli do tego wszystkiego Pani Lasu chciała napoić go krwią, cóż... Nie potrafił przewidzieć, co się stanie.

– To dobrze – dziewczyna wyciągnęła dłoń w górę i jakby na niewypowiedziany rozkaz w tej dłoni pojawiła się niewielka czarka. – Czy mogę prosić, byś użyczył mi na chwilę sztylet, który otrzymałeś od Elpis.

Mężczyzna podał jej broń, zwracając ją trzonkiem w kierunku czarodziejki. Nóż wydał mu się ciężki niczym długi dwuręczny miecz, dłoń mu drżała, uginając się pod jego ciężarem. Oriole przejęła go od niego i podeszła do stojącej nadal nieruchomo driady. Dziewczynka, jakby odgrywając jakąś wyuczoną na pamięć rolę, bez słowa wyciągnęła rękę, wnętrzem dłoni do góry, nie przestając patrzeć na twarz Elfa. Pani Lasu szybkim ruchem rozcięła jej skórę, a ciemna krew prędko wypełniła rozcięcie i zaczęła ściekać do nadstawionej czarki. Zapach tej krwi był inny od tej należącej do Człowieka, Elfa czy Wampira, najbardziej przywodził na myśl krew jednorożca z wizji o jeziorze wśród nenufarów. Oriole odczekała kilka chwil, po czym zabrała czarkę, wyszeptala kilka słów i puściła dłoń Anate. Skóra dziewczynki była zupełnie zagojona, wilgotne ścieżki, którymi krew wcześniej płynęła, wyglądały na zdrowej skórze niepokojąco i dziwnie. Czarodziejka uśmiechnęła się sama do siebie, lekko zakołysała naczyniem, co sprawiło, że zapach stał się jeszcze wyraźniejszy.

– Krew Anate, tej, która była po tamtej stronie i wróciła, pozwoli ci dostać się do świata snu, który będzie niemalże śmiercią. Jako że pochodzi ona od Belial i dzieli ją od niej tylko jedno pokolenie, a brakujące ogniwo, czyli Lilith, jest w tobie, one obie poprowadzą cię i pomogą ci odnaleźć wśród ciemności ślad obecności ich matki. Będziesz śnił sen, realny sen, w którym wiele zależy od ciebie. Jeśli pokonasz słabość, odnajdziesz tę, której szukasz i zdołasz do niej przemówić, może nawet uzyskasz odpowiedź. Być może. Jeśli Belial zechce rozmawiać. Jako kto



chcesz przed nią stanąć?

– Jako ten, który kocha i jest gotów na niemal wszystko, by walczyć o szczęście ukochanej istoty. Ona to zrozumie – odpowiedział bez zastanowienia, choć nad odpowiedzią wcześniej nie myślał.

Oriole skinęła głową z aprobatą i uśmiechnęła się, po czym podeszła do Wampira.

– Wyciągnij prawą rękę, Sylwanie. Tak jak przed chwilą Anate.

Wampir z ociąganiem podwinął w górę rękaw koszuli i wykonał polecenie. Nie był wcale taki pewien, że wypicie przez Elfa jakiegokolwiek krwi, a już na pewno mieszanki zawierającej krew Wampira i driady ma prawo nie zakończyć się straszliwą śmiercią. Oriole powtórzyła czynności, które wykonała przy Anate, a kiedy czarka wypełniła się niemal po brzeg, zasklepiła jego ranę i wróciła na swoje dawne miejsce.

– Krew towarzysza, z którym łączysz się więź inna niż ta, biegnąca w stronę waszej wspólnej mistrzyni, równie niemal silna, choć może żaden z was nie zdaje sobie do końca sprawy z jej istnienia, pozwoli ci wrócić. Doprowadzenie cię do stanu, w którym będziesz mógł bez obaw o demaskację twoich prób stanąć przed Elpis, należy do mnie. Ale o tym potem.

Oriole znów zwróciła się w kilku krótkich słowach do driady, a ta skoczyła przed siebie i chwilę później wróciła z przygotowanym widać wcześniej około metrowym grubym kijem, jeden z jego końców był szczelnie owinięty jakąś tkaniną. Czarodziejka przyjęła go z jej rąk i zanim Elf, którego zdolność trzeźwej oceny sytuacji znacznie utrudniały niezwykle wyostrome teraz zmysły, zdążył domyśleć się jego przeznaczenia, tkanina zajęła się ogniem, a kij zamienił się w jasną pochodnię. Pistis poczuł uderzenie gorąca, jakby ogień rozpalono w jego wnętrzu, z trudem zaczerpnął głęboki haust powietrza. Przez chwilę poczuł się nieco lepiej.

– Nie zamykaj oczu, patrz na ogień. Jesteś wodą, a żywiołem naturalnie antagonistycznym do twojego jest ogień. Jednak to właśnie woda gasi płomień, to ona mu zagraża i ona go pokonuje. Będziesz więc słabł i będziesz szybował w dół, niczym Belial w otchłań Gehenny, ale ostatecznie podźwigniesz się i odbiwszy od dna, zaczniesz się wznosić. Żeby jednak do tego doszło, musisz pozwolić na upadek.

Elf posłusznie utkwiał wzrok w pochodni, rejestrując ze zdumieniem, że bijący od niej blask sprawia ból, a patrzenie na niego bez choćby mrużenia oczu jest niemal niemożliwe. Oriole powoli zbliżyła się do niego, z pochodnią w jednej i wypełnioną krwią czarką w drugiej dłoni. Zatrzymała się w odległości kroku od mężczyzny, płomień wyczarowywał na jej obliczu niesamowite cienie, trzymała pochodnię tak blisko, że dziw brał, iż nie zajęły się od żaru jej włosy.

– A teraz najważniejsze. Tam dokąd pójdziesz, twój Bóg ci nie pomoże, a wzywanie Go i z Jego strony wypatrywanie ratunku może tylko rozwścieczyć Cię. A w tej wędrówce Cię będzie twoim jedynym sprzymierzeńcem, niebezpiecznym i kapryśnym, strzeż się więc. Przestań być kapłanem, odrzuć z serca i myśli błękitnookie bóstwo, ono cię nie ocali. Nie możesz wzywać mroku i jednocześnie asekurować się Jego pomocą. Nie możesz szukać Belial, wzywając Jego imię. Bezwzględna i całkowita apostazja, rozumiesz mnie? Jeśli nie potrafisz, możesz odwrócić się i odejść, bo marnujesz tylko mój i swój czas.

Elf skinął głową. Z trudem. Ale to było i tak prostsze niż wydobyć z siebie w tej chwili choćby szeptu. Z jego wzrokiem też działo się coś dziwnego. Sylwetka Oriole, rozświetlana blaskiem ognia, paradoksalnie i na przekór temu światłu stawała się coraz ciemniejsza, jej białe włosy wydawały mu się czarne, jak u Elpis, jak u Belial... Wszystko inne zginęło, jakby na świecie istniało tylko ich dwoje. A raczej, jakby zginął świat, a on zginął razem ze światem, a wśród nicości pozostała tylko ona. Szamanka z pochodnią w dłoni, istota, która sama była płomieniem. A płomień brał w posiadanie i spalał ich oboje.

– Czy wiesz, jak nazywana jest Lilith? – głos dziewczyny dochodził z dala, jakby musiał przebić się przez gęstą kurtynę lodu lub szkła. – Wiele zwracających się do niej w akcie desperacji szaleńców, takich jak ty w tej chwili, nie śmiejąc wymówić jej imienia, określało pierwszą kobietę mianem Czarnego Księżyca. Lilith budzi i aktywuje w tobie tę część twojej istoty, te zapędy i skłonności, te lęki, frustracje i pragnienia, które zazwyczaj wypierasz ze swojej świadomości, licząc na to, że znikną. Ale one nie znikają. Zaczynają działać i niszczyć poza progiem świadomości, stając się jeszcze bardziej niebezpieczne, budząc nowe lęki, paraliżując i dusząc lawiną skoncentrowanej czerni. W końcu, z ukrycia zaczynają kontrolować wszelkie twoje działania, bo nie rozumiesz ich i nie znasz rządzących nimi mechanizmów, nie możesz więc ich opanować czy obronić się przed nimi. Raz spuszczone z łańcucha wściekle Wilki będą kęsać i biec co sił przed siebie, nic ich nie zatrzyma.

– Lilith chciała tylko współistnieć z wszelkimi innymi dziećmi swojej matki, chciała by i dla jej zdeformowanego potomstwa znalazło się na stworzonym przez nią świecie miejsce. To nie było wiele, ale okazało się niemożliwe do zrealizowania. W tobie też jest, ukryte głęboko i spychane na dno niespełnione życzenie. Pragniesz kobiety, która nie jest przeznaczona dla żadnego ze śmiertelników. Wiesz to, a jednak wyciągasz ręce po słońce, ale jego czarny ogień pali i sprawia ból. Im bardziej się do ciebie zbliża, tym więcej jest tego bólu. Wściekle Wilki wyrwywają się do biegu, szarpiąc łańcuchem. Ale ty zaciskasz palce, mimo że łańcuch wrzyna się w dłoń. Raniąc. Do krwi. Przeto masz prawo wzywać Czarny Księżyc na ratunek, chociaż ratunku nie ma. I ty to wiesz. Musisz po prostu pozwolić im biec. Pij. Do dna.

Wsunęła mu w odrętwiałe palce czarokę z krwią i pomogła jego dłoniom odnaleźć drogę do ust. Krew paliła jak ogień, jego organizm wrzasnął w proteście. To było zupełnie inne doznanie, niż wtedy, gdy na polanie pod zwałonym przez wichurę klonem pił z Elpis. Tę krew wmuszał w siebie, walcząc z samym sobą o każdy łyk. Nie przestał jednak, zanim czaroka nie była pusta. Wtedy też Oriole przestała podtrzymywać jego dłonie, z których naczynie natychmiast się wysunęło. W tej samej chwili kapłan zorientował się, że klęczy, a czarodziejka z pochodnią kuca naprzeciw niego. Musiał osunąć się na kolana, nie zauważając tego, kiedy pił. Wbrew ostrzeżeniu oderwał wzrok od płomienia, przenosząc go na twarz Oriole. Ale Oriole nie było. Białowłosa czarodziejka gdzieś znikła, a przed nim, opierając jedno kolano o ziemię, klęczała Elpis, w białej sukni, z płonąca pochodnią w dłoni, z wiankiem z kalii we włosach. Uśmiechała się z mieszaniną dumy i czułości.

– Dokonaj dla mnie niemożliwego. Wyrzeknij się swojego Boga. Pójdź za mną.  
W ciemność – powiedziała Elpis, głosem Belial.

Ogień pochodni zachybotał się, przyćmił, zgasł.

# Rozdział 18

## Requiem dla martwych Elfów

Ktoś powiedział mu kiedyś, że spadanie nie boli. Nie pamiętał już, która z nich to była, Elpis, a może Belial. Teraz wiedział, że miała rację, jednocześnie jej nie mając. Uparte pikowanie w dół, wbrew rozsądkowi, który krzyczał w nim i nakazywał odwrót, początkowo było walką. Straszliwie wyczerpującym siły mentalnym starciem z kimś, kto był nim, pozostając zarazem istotą zupełnie mu obcą, wrogą i żalosną, budzącą w jego sercu odrazę i pogardę. Zmiażdżenie tej istoty nie było trudne, choć wymagało odwagi i świadomej, a zarazem szalonej decyzji, na którą jeszcze nie tak dawno nie potrafiłby się zdobyć. Ale teraz zmobilizował wszystkie siły i uderzył, a irytująca istota usunęła się w cień, zgasła niczym pochodnia, zamilkła. To działało, bo istota się bała. Była zaszczerzona zwierzęcym lękiem, najstarszym, atawistycznym przerażeniem, nakazującym mimo wszystko do ostatniego tchu walczyć o życie.

Zamilkła.

A wtedy lot przyspieszył. Pistis czuł się niczym ptak, schwyty w zbyt silny dla niego pęd powietrza, który zamiast pozwolić mu lecieć bez wysiłku, porwał go w pułapkę i rzucił wprost w ramiona cyklonu. Szybował w przepaść, nie widząc jej dna, a zimny, mrozący krew i serce, paralizujący wiatr obracał nim wedle własnej woli, jakby dzieci olbrzymów bawiły się zawieszoną na sznurku pacynką, z całych sił obracając kukielką i nakazując jej wirować raz w jedną, a zaraz potem w drugą stronę. Ucieczka stała się niemożliwa, na wszelką walkę było za późno, mógł tylko oddać się w ich ręce, licząc... na co? I właśnie wtedy, gdy już nie było owej istoty, gdy nawet pragnąc tego z całego serca, nie mógł już jej przyzwać, nie mógł nawet wydobyć głosu z zaciśniętego do bólu gardła, on sam zaczął się bać.

Zrozumiał, że to właśnie strach boli. Strach przed skokiem... Ale jeszcze bardziej strach przed upadkiem. Odważywszy się wpraw na skok, za nic nie potrafił odnaleźć w sobie siły, która pozwoliłaby mu zaakceptować jego nieuchronną konsekwencję – upadek. Im dłużej znajdował się w stanie zawieszenia pomiędzy skrajem przepaści a jej dnem, tym było to trudniejsze. Miał plan, jeszcze nie tak dawno wydawało mu się, że wiedział, co się dzisiejszej nocy wydarzy, że krok po kroku realizuje własne zamierzenia, niczym pająk snujący sieć wśród zarośli. Teraz jedyną myślą, która nadeszła nieproszona i za nic nie chciała odejść, była ta, że okazał się wyjątkowo głupim pajakiem. Takim, który najzwyczajniej w świecie przez beztroskę i pychę, biegając na oślep po swoim dziele, zmylił nitki i zaplątał się we własną przędzę.

Wszystko w nim wyrzywało się do tego, by paść na kolana i błagać o ratunek. Niemal całe życie tego właśnie go uczono i wpojone stulecia temu, głęboko zakorzenione nawyki stały się niejako drugą naturą. Powstrzymywał się siłą, zaciskając do bólu dłonie, które same zdawały się dążyć do tego, by złożyć się do modlitwy. Oriole za swoją pomoc zażądała zaprzeczenia tego, w co nauczono go wierzyć. Wyrzucenie Boga z serca i myśli zdawało mu się jednak z tej chwili wyzwaniem ponad jego siły. Był kapłanem, może nie najlepszym i najgorliwszym, ale przez lata odosobnienia w klasztorze odnalazł spokój i udało mu się zbudować fundamenty, na których mógł osadzić swoje życie, nie martwiąc się o słuszność i szczerść głoszonych idei. Dogmaty wiary stały się wartościami samymi w sobie, nie próbował poddawać ich analizie, chciał wierzyć, że są niepodważalne i że opierając się na nich, zdoła ujarzmić bestię w swoim wnętrzu. Tą, która sprawiła kiedyś, że niebo pękło i spadło, tą przez którą ziemia zapadła się w sobie, grzebiąc w swoich trzewiach tych, których przecież kochał niegdyś najbardziej w świecie i których za nic

nie skrzywdził by świadomie. A jednak w chwili próby nie udało mu się zatrzymać potwora, a klasztor zdołał dokonać tego w stosunkowo krótkim czasie. Jak się wtedy wydawało, skutecznie.

Teraz rozumiał, że mistrzowie zakonu karmili go mrzonkami. Wycofanie się bestii ściśle powiązać należało raczej z pieczęcią nałożoną na klasztor na długo przed narodzeniem Elohima, którego nie tak dawno on, a wraz z nim wielu innych młodych adeptów, uważał za nieomylnego, oświeconego męża. Teraz, gdy przez jakiś czas miał możliwość obserwować z boku swoich braci, zrozumiał, że nietrudno jest komuś takiemu wmówić dowolną bzdurę i ubierając ją w płaszcz mistycyzmu sprzedać jako niepodważalny aksjomat. Kelia i jedenastka jej towarzyszy, na wpół żywe cienie Elfów, snujące się cicho po bezdrożach Ziemi Niczyjej, istoty z błyszczącymi niezdrowym blaskiem oczami o rozszerzonych źrenicach, milczący i nieobecni, a także inni kapłani, ci których spotkali już w budynku klasztornym, gotowi na jedno słowo Elohima, bez zadawania pytań, skazać na śmierć kogoś, kto ledwie kilka tygodni temu był jednym z nich, a wraz z nim innych, obcych sobie zupełnie mężczyzn. Wszyscy oni coś mu pokazali, a to, co zobaczył, wcale mu się nie spodobało. W półprzytomnych oczach kapłanów odnalazł odbicie swojego strachu i bezradności, siebie, jakim był przed uformowaniem drużyny. Zanim wkroczył na drogę sprzeciwu. Przed poznaniem Elpis.

Myśl o czarnowłosej Elfce władającej srebrzystymi błyskawicami była tak silna i tak odmienna od wcześniejszych majaczeń, które sprowadził strach przed upadkiem, że uchwycił się jej z całych sił. Nie wiedział, nie mógł wiedzieć, jaka była przed spotkaniem z nim w Warowni, co robiła, jak często i z jakiego powodu zabijała, zanim w jego obronie strąciła głowę najwyższego mistrza klasztoru jedyne Boga. Niepotrzebnie zresztą, udało jej się przecieżyć złamać pieczęć, mogła użyć magii, mogła sparaliżować Elohima na jakiś czas, mogła rozbroić go magicznie, mogła roztrzaskać łuk w jego rękach w drobny pył. Mimo to zabiła, czyniąc z tej śmierci demonstrację, może wyznanie. Na pewno czerpiąc z niej satysfakcję. Nie wiedział, w co wierzyła i kogo kochała, zanim pod dawno umarłym pnieniem klonu pozwoliła mu sięgnąć kolejno po swoją krew i usta. Ani czego się bała, zanim klęcząc u jej stóp przed wejściem, którego strzegł święty płomień, nie spojrzał jej w oczy. Nie znał Elpis, która istniała wcześniej. Ta, którą znał, była dla niego uosobieniem sprzeciwu, często ślepego i nie do końca zdecydowanego, z kim lub czym walczy.

Czy Elpis zgodziłaby się na upadek, czy pokornie poszybowałaby w przepaść? Czy zaniechałaby walki i zgodziła się zostać zabawką olbrzymów? Wydawało się, że odpowiedź może być tylko jedna. Ale jeśli to właśnie upadek był sprzeciwem? Nawet wobec niej...

Nie potrafił powiedzieć, kiedy właściwie zorientował się, że coś się zmieniło. Nie czuł już zapierającego dech w piersi pędu. Nagle znalazł się raczej w stanie spokojnego zawieszenia między niebem a ziemią, ale świat był odwrócony, ziemia była na górze, a pod nim czerniło się sklepienie niebios. Przez czas, który wydał mu się wiecznością, wokół nie wydarzyło się absolutnie nic, za to z nim zaczęło się dziać coś niezwykłego i strasznego. Poczł szarpnięcie w piersi, jakby to nie olbrzymy, a drapieżne ptaki znalazły się teraz wokół niego i jeden z nich nagle, bez ostrzeżenia usiłował wyrwać z niego serce. Wszystko trwało ułamki sekund, potem ból zniknął, a jego miejsce zajął paniczny lęk. Serce, na chwilę wstrzymane, rozpoczęło teraz szalony galop, a Elf nagle zrozumiał, dlaczego nie może odnaleźć normalnego rytmu.

*Sprowadzę na ciebie sen, będący niemal śmiercią, będziesz więc walczył o życie, jak każdy organizm, niezależnie od woli, walczy.*

Zamknął oczy, spróbował się uspokoić.

Kiedy je otworzył, ze zdumieniem zauważył, że wokół niego narodził się jakby nowy świat. Ziemia i niebo odnalazły już pierwotnie sobie przypisane miejsca i oto w górze czernił się

teraz rozświetlony blaskiem wielu gwiazd firmament. Pierwszą jego myślą było, że nigdy nie zdarzyło mu się oglądać tyle gwiazd na raz i że nigdy gwiazdy nie były takie jasne. Zaraz po tym sam się z siebie roześmiał, ale po uważniejszej obserwacji nieba musiał przyznać rację pierwotnemu osądowi. To nie były gwiazdy ich świata. Nie rozpoznawał żadnej konstelacji. Ostrożnie rozejrzał się wokół w poszukiwaniu Belial. Otaczały go skały, znajdował się na szczycie góry. A wśród tych skał znajdowały się...

...nieruchome figurki dwóch postaci, siedzących obok siebie, jednak nie dotykających się, między nimi pozostawał dobry metr odległości. Pod ich stopami stromo opadające urwisko. Dziewczynkę zauważył pierwszą, z powodu białej sukienki, długiej za kolana, zdającej się odbijać światło gwiazd, jakimi gęsto upstrzone było niebo, niczym próchno, lekko jarzące się w ciemnościach. Dziewczynka obejmowała ramionami podciągnięte pod brodę kolana, opierając o skałę boscie stopy, głowę zadarła w górę, studiując gwiazdozbiory. Ciężko było w tej pozycji ocenić jej wiek, ale gdyby wstała, mogłaby sięgać siedzącemu obok starcowi niewiele ponad talię.

– I one naprawdę nie mają jeszcze nazw? – w ciszy nocy rozbrzmiał dźwięk jej głosu.

Starzec pokręcił głową, uważnie na nią patrząc.

– I mogę nazwać je, jak tylko będę chciała?

– Możesz.

Mała wpatrzyła się w niebo ze skupieniem i powagą, zabawnie kontrastującymi z fizjonomią dziecka. Wyciągnęła przed siebie rękę, palcem wskazując na rozświetlony firmament.

– Widzisz tą, taką jasną, tak wysoko i daleko? A za nią inne, taki łańcuch długi, jak ogon? Smok. A tam obok trzy blisko siebie, to łatwe – Triada. Dalej znów dużo, naprawdę dużo, jakby tułów, nogi i głowa zwierzęcia, to Jednorożec. Potem Rajski Ptak...

– Dziecinko... – przerwał jej po dłuższej chwili z uśmiechem.

– Yhm?...

– Dlaczego akurat tak?

– Nie wiem – wzruszyła ramionami i dopiero teraz na niego spojrzała. – Tak jest dobrze i podoba mi się. Zresztą, dlaczego nie? A dlaczego ty nazwałeś mnie właśnie tak?

– Bo spadłaś do mnie z nieba. Jakie imię jest odpowiedniejsze dla kogoś, kto stamtąd przybył?

Dziewczynka najpierw zachnęła się, ale po krótkiej chwili odpowiedziała uśmiechem na uśmiech mężczyzny. Machnęła ręką.

– Łziesz jak pies, staruszk. Ale nie szkodzi. Lubię twoje kłamstwa.

– Przysięgam, Elpis...

– Tak, jasne.

Nie przestając się uśmiechać, znów wpatrzyła się w niebo. Milczeli. Po chwili twarz dziewczynki skurczyła się i przemknął po niej cień.

– Ja wiem, gdzie znajduje się dziwne porzucone dzieci. W rynsztokach albo na śmietnikach. Nie spadają z nieba. A szaleńcy i tak je podnoszą. Czasem. Jesteś szaleńcem, staruszk – powiedziała powoli, nagle niezwykle poważnie. – Wiesz, mama i tak mówi, że to nadzieja głupich.

Starzec obrzucił ją uważnym spojrzeniem, westchnął i rozłożył ręce w geście udawanej bezradności.

– Cóż, w takim razie nazwij mnie głupcem, dziecinko, bo ja tej nadziei nie wyrzeknę się nigdy.

Nie potrafił zareagować, mógł tylko stać, jak skamieniały posąg Elfa, tuż za ich plecami,

a jednak przez nich nie dostrzegany. Wpatrywał się jak urzeczony w figurkę dziecka i choć wiedział, że coś poszło nie tak i znalazł się w miejscu zupełnie odmiennym od tego, do którego zmierzał, nie potrafił zdobyć się na dalszy lot. Poczuł, że ktoś usiłuje zarzucić niewidzialną pętlę, która zdoła odciągnąć go od nich. Na chwilę nawet mu się to udało i kapłan znów znalazł się sam wśród ciemności i ciszy, ale szarpnął się, podjął walkę i zerwał postronek. Wrócił.

Mimo iż pozornie nic się nie zmieniło w świecie, który dopiero co opuścił, podświadomie rozumiał, że upłynęło sporo czasu. Księżyc znajdował się w innym punkcie na niebie. Starzec i dziewczynka...

...nadal siedzieli na swoich miejscach. Mniejsza z postaci poruszyła się niespokojnie i rzuciła szybkie spojrzenie przez ramię, na ścieżkę, którą tu przyszedli zanim zmierzchn zatriumfował nad światem. Starzec podążył za jej wzrokiem. Uśmiechnął się smutno i przez chwilę usiłował przyciągnąć ku sobie jej oczy, ale dziewczynka usilnie go ignorowała, udając opanowanie i obojętność.

– Wilczyca zaraz tu będzie, prawda?

Jego pytanie pozostało bez odpowiedzi, ale też jej nie wymagało. Oboje wiedzieli, że musi się zjawić, bo dziewczynka czeka właśnie na nią. Wszystko było gotowe w najdrobniejszym szczególe, nawet biała sukieneczka, którą miała na sobie, była jednym z elementów maskarady, która odbędzie się dzisiejszej nocy.

– Jesteś pewna, że tego właśnie chcesz?

Chwilę milczała, pozornie całkiem oddana obserwacji nieba.

– Przecież wiesz. Przygotowujemy się już od jakiegoś czasu.

– Tak, wiem, już od dłuższego czasu nieustannie się tym ekscytujesz. Polowanie na Elfa! Noc pokonywania własnych barier. Ale Elpis, to wcale nie oznacza, że chcesz.

Zbyła go niecierpliwym ruchem ręki, ale nie dał się tak łatwo odprawić. Po dłuższej chwili milczenia znów podjął przerwany wątek.

– Czy kiedykolwiek widziałas Elfa z bliska? W tym życiu, tak, żebyś mogła to pamiętać?

Dziewczynka wykonała przeczący ruch głową, uparcie na niego nie patrząc.

– Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że dla niego to musi zakończyć się ostateczną śmiercią? Nie odwrócisz tego, choćbyś potem bardzo chciała.

– Już to przerabialiśmy. Poza tym on i tak umrze. Elfy umierają.

– Tak – pokiwał głową w zamyśleniu. – Umierają. Po wielu, wielu latach.

– Czego ode mnie oczekujesz? – warknęła wściekle, w końcu podnosząc na jego twarz spojrzenie zielonych oczu. – Mam go zaniechać?

– Oczekuję świadomości. Jeśli cię to bawi, proszę bardzo, wykastruj sobie tego Elfa zardzewiałym nożem, a potem każ mu zjeść jego własne klejnoty. Ale niech to będzie twój wybór. Twój, nie Wilczycy. I nigdy, nikomu nie pozwól sobie wmówić, że wyboru nie ma. Czasem jego dokonanie niewiele, albo niemal zupełnie nic nie zmienia w twoim położeniu, czasem może to być tylko tchórzliwe skomlenie lub odwaga i pogarda w obliczu wroga lub śmierci, ale liczy się świadomość tego, że nie jesteś bezrozumną marionetką, za sznurki której ktoś pociąga. Rozumiesz?

Przez chwilę bez słowa patrzyli sobie w oczy, aż w końcu ciszę między nimi brutalnie przerwał krótki, odległy zew Wilka. Dziewczynka drgnęła i poderwała się na nogi.

– Muszę iść.

Odwróciła się i chciała odbiec, ale zatrzymał ją jego ostry głos.

– Nie musisz.

Spojrzała na niego śmiało, podrzucając do góry głowę.

– Chcę iść.

– Idź.

Mała pomknęła przed siebie, lekko i bezszelestnie skacząc po kamieniach, a on, zmuszony wybierać, bez zastanowienia ruszył za nią. Stało się jednak coś, czego nie przewidział. Dopóki pozostawał nieruchomy, obserwując wszystko z pozycji widza i nie usiłując działać, obraz świata pozostawał niezmienny. W tej samej chwili jednak, gdy oderwał stopę od podłoża, by pobic jej śladem, skały rozkruszyły się na jego oczach, a przed nim rozstąpiła się przepaść. Zimne szczęki strachu zacisnęły mu się na gardle, nie pozwalając wydobyć krzyku. Odruchowo zacisnęła powieki, szykując się na upadek, który nie nastąpił. To było osobliwe wrażenie, jakby coś ciągnęło go w górę, niczym ciasno owinięty w pasie sznur, za pomocą którego ktoś, ciągnąc z całych sił, próbował wyrwać go z kipieli grzęzawiska. Coś nakazywało mu otworzyć oczy, nie miał wyboru, usłuchał. Przez chwilę zamajaczyła przed nim twarz Oriole. Usta czarodziejki poruszały się, ale nie słyszał słów. Poczł jednak całym sobą, że dziewczyna nakazuje mu iść dalej, wyrwać się wizjom, które pojawiły się, choć ich nie oczekiwał. Podjął próbę, nie wierząc, że znajdzie w sobie tyle siły, by wyjść z niej zwycięsko. Nie był gotowy na to, na co się porwał, teraz to zrozumiał. Znowu nastąpił trwający krótko lot, a po nim...

...znalazł się w lesie. Rozejrzył się wokół, szukając jakiegoś punktu zaczepienia, do którego mógłby się odnieść. Zewsząd otaczały go drzewa, nigdzie nie widział skał, które dopiero co opuścił. Wziął to za dobry znak, obraz świata się zmienił, mała Elpis i starzec, którym był nie kto inny jak Kain, zniknęli. Przez krótki moment zaświtała w jego sercu nadzieja, że oto spośród drzew wyjdzie ku niemu Belial, że udało mu się, osiągnął cel, prędko jednak przyszło mu tę nadzieję porzucić.

Bo dziewczynka tu też była. W tej samej co poprzednio, białej sukieneczce, czyniącej ją podobną do młodej oblakini, a zarazem sprawiającej, że była doskonale i z dala widoczna dla każdego, kto znalazłby się w pobliżu. Materiał sukienki zdawał się odbijać światło zawieszzonego ponad wierzchołkami drzew księżycy. Była sama, ale Elf wiedział, nie znajdując żadnego wytłumaczenia na to, skąd ta wiedza pochodzi, że to tylko pozór, stworzony dla zmylenia... Właśnie – kogo?

Stała pod drzewem, oparta plecami o jego pień, nieruchoma i sztywna, zielone oczy wbiła w przestrzeń gdzieś przed sobą, a sposób, w jaki była ustawiona sprawiał, że w głowie kapłana narodziła się szalona myśl, że mała go dostrzegła i patrzy wprost na jego twarz. Długi czas po prostu stała, zdając się nie zauważać nic wokół, pozornie zagubiona wśród grozy lasu, bezbronna i krucha. W pewnej chwili usłyszała coś, ale nie dała po sobie poznać nawet delikatnym drgnieniem powieki, że słyszy. Pistis jednak wiedział. Pomiędzy nimi była jakaś dziwna nić, która sprawiała, że odbierał jej wrażenia, wiedział, jaka jest prawda. Była skupiona, pewna siebie, groźna. Głodna. Bardzo głodna. A tym, co usłyszała, był szelest liści, deptanych lekkimi stopami ofiary.

Czekali dość długo, zanim go dostrzegli, to znaczy zanim go w końcu zobaczyli, bo Elpis nie potrzebowała widzieć. Pistis po raz pierwszy miał możliwość prześledzenia całego procesu z jej punktu widzenia, chłonał więc wszystko z mieszaniną fascynacji i obrzydzenia, czując jednocześnie jako on – Elf, dla którego sam pomysł pożywania się krwią był z natury wstrętny i jako ona – zaprogramowany do pobierania właśnie tego rodzaju pokarmu łowca. Jednocześnie zrozumiał coś, czego czarodziejka nigdy mu nie powiedziała. Wiedział, że dla Wampira picie krwi było wyborem, nawet nie pożywiając się, mógł on przeżyć i funkcjonować, ale teraz wiedział też, że dla niej nie do końca tak to wyglądało. Teraz owszem, ale kiedyś, gdy dopiero stawała się Wampirem, krew była jej niezbędna. Mała, podobna do oblakini istotka musiała ją pić, by przetrwać.

Najpierw poczuła jej zapach, delikatny i nęcący, słodko-metaliczny zapach przenikający

przez skórę oddalonego przecież nadal o wiele kroków wędrowca. Wciągnęła go chciwie w nozdrza, zakręciło jej się w głowie. Szybko nakazała sobie spokój, instynkt rozkazywał czekać, nieruchomo i spokojnie. Ofiara sama wejdzie do pułapki, plan był dograny we wszystkich szczegółach. Wejdzie i nie zdoła uciec, bo w gęstwie krzewów czeka Szara Wilczyca o dwóch łbach, obserwująca swoją córkę tej nocy, tak jak niegdyś, bardzo dawno temu, gdy zaczynała polowania na Ludzi. Teraz Ludzie nie byli już problemem, ilekroć chciała ich krwi, szła sama, nie pytając o pozwolenie, nie oczekując i wcale nie pragnąc eskorty.

Ale dziś zmierzał ku nim Elf, pierwszy Elf, którego posmakuje, a przybrani rodzice zgodnie ostrzegali, że to polowanie będzie zarazem prostsze i trudniejsze, więc się zgodziła. Zbliżał się, na razie nieświadomy jej obecności. Elpis mogła już policzyć uderzenia jego pulsu, równe i lekko tylko przyspieszone, mimo forsownego marszu. Spieszył się dokądś. Był zmęczony. Był rozkosznie żywy, ciepły i pełen życiodajnej krwi. Już niedługo.

W końcu wychynął spośród drzew, wysoki i smukły, w szarej szacie o dziwnym kroju. Długie niemal do pasa jasne włosy miał splecione w warkocz. Mała Elpis stała nieruchomo, jakby w ogóle go nie dostrzegając. Elf zauważył ją od razu i zatrzymał się na miejscu jak wryty. Rozejrzał się wokół, jego spojrzenie prześlizgnęło się po przycupniętej gdzieś wśród drzew Wilczycy i po kapłanie, nie widząc ich obu. Szybkim krokiem podszedł do dziewczynki i przykucnął przed nią, opierając dłonie na jej ramionach. Mała jakby skamieniała pod jego dotykiem i na chwilę straciła grunt pod nogami, taka reakcja zaskoczyła ją i niemal przeraziła, na moment podniosła na jego twarz oczy.

– Co ci się stało, dziecino? – zapytał Elf śpiewnym, uspokajającym szeptem, błędnie interpretując popłoch, odbijający się na dnie tych oczu. – Dlaczego jesteś tu całkiem sama, nocą? Gdzie są starsi?

Nic nie odpowiedziała, znów wbiła wzrok przed siebie, zacisnęła dłonie w pięści. Widać było, że nagle znalazła się w rozterce. Czuła zapach słodkiej krwi, przyprawiający o zawrót głowy, odurzający. Odbierała emocje Elfa – troskę i współczucie, też strach, ale nie skierowany w jej stronę. Nie bał się jej. Zapragnęła wyrwać dłonie, którymi ośmielił się jej dotykać, jakby była zwyczajnym dzieckiem, które może tego potrzebować. Zapragnęła wyrzucić rękę przed siebie, zacisnąć palce i wyrwać mu z piersi żywe serce, nie lękające się jej i ośmielające się jej żałować.

– Dziecino, tu nie jest bezpiecznie – powiedział znów Elf z warkoczem – Jestem w drodze od kilku dni, zmierzam do domu, do bliskich, jestem już prawie u kresu drogi. Zabiorę cię ze sobą. Cokolwiek cię spotkało, opowiesz mi podczas marszu, jeśli zechcesz. Nie powinniśmy tu zostawać ani chwili dłużej. Wśród drzew coś jest. Coś złego. Z pewnością jesteś wyczerpana, więc pozwól...

Szybko pochylił się i objął ją, a zanim zdążyła w jakikolwiek sposób zareagować, wstał z ziemi, unosząc ją na rękach. Znieruchomiała w jego ramionach na kształt jasnej, alabastrowej figurki. Powinien uciekać, powinien być przerażony, powinien już dawno zrozumieć, że dziwne milczące dziecko, stojące spokojnie wśród drzew i nocy, samotne, lecz nietknięte, nie skaleczone nawet, nie jest tak naprawdę dzieckiem i nie można bezkarnie się nad nim litować.

– Nie bój się mnie – zaczął śpiewnie, na opak interpretując jej wściekłość. – Cokolwiek cię spotkało, jesteś bezpieczna. Nie pozwolę cię skrzywdzić. Zabiorę cię do moich. Ile masz lat, dziecino? Mam córeczkę, jest chyba w twoim wieku, może niewiele od ciebie młodsza – kontynuował, niezrażony jej upartym milczeniem. – I dwóch malutkich synków, poznasz ich wszystkich, kiedy tylko dotrzemy na miejsce. Będziesz mogła w spokoju i bez strachu się przespać, nakarmimy cię, zaopiekujemy się tobą jak własnym dzieckiem. Lara, moja towarzyszką, przywita cię ciepło, maleńka. Pomożemy ci, na ile będziemy potrafili. Jeśli



potrafisz, spróbuj się przespać, podczas gdy ja będę szedł. Jesteśmy już blisko, ale to nie znaczy, że tej nocy dotrzemy na miejsce.

Głos Elfa był kojący, a miarowy rytm kroków uspokajał, jeśli byłaby rzeczywistość zagubionym wśród drzew dzieckiem, pewnie to wszystko razem, połączone z ciepłem jego ciała, ukołysały ją do snu. Ale była łowcą. Słyszała słowa, za wszelką cenę chroniąc się przed przyswojeniem sobie ich treści. Bo treść, pozbawiona przecież strachu i obłudy, była nie do przyjęcia w obliczu tego, co zamierzała uczynić.

Zza kurtyny krzewów bezszelestnie wynurzyła się Wilczyca, a Pistis wstrzymał oddech w przeczuciu czegoś do cna przerażającego, co zaraz musi nastąpić. Potężne zwierzę, przewyższające dźwigającego Elpis Elfa, posuwało się za nim krok w krok, miękko stawiając łapy, pozostając dla niego niewidzialnym. Nieruchoma dziewczynka, zwrócona w przeciwnym kierunku niż niosący ją mężczyzna, znajdowała się teraz twarzą w twarz z drapieżnikiem, ich spojrzenia się krzyżowały, a w czerwonych ślepiach Wilczycy był nacisk, niemy rozkaz, który nagle przebudził w niej bunt. Może przez zakorzenioną głęboko przekorę, a może pod wpływem niezwykłego i przerażającego zachowania tego, który miał stać się dziś jej ofiarą, podjęła decyzję. Wciągnęła w płuca zapach jego krwi i poczuła, jak kły wysuwają się, pulsujące bólem i gotowe, by kasać.

Jednak zamiast od razu wgryźć się w doskonale dla niej widoczną, nawet przy świetle księżycy, siatkę żył na szyi Elfa, mała Wampirzyca obnażyła kły w całej okazałości i syknęła bezgłośnie, a ostrzegawczo, patrząc Wilczycy prosto w ślepie. Zaraz po tym przemówiła, po raz pierwszy zwracając się do Elfa.

– Jesteś dobry. Postaw mnie na ziemi i uciekaj.

Obraz Oriole pojawił się po raz drugi, wyraźniejszy niż poprzednio, bardziej stanowczo przyciągający ku sobie jego myśli i uwagę.

*Wszystko robisz nie tak! Zaczepiłeś się w złym miejscu, zawróć lub idź dalej.*

Nie potrafił. Nie chciał. Nie wiedział, jak do tego doszło, ale dostał szansę, by zajrzeć tam, gdzie nigdy nie spodziewał się sięgnąć. Obraz małej Elpis, zastygłej w przerażeniu, którego nie rozumiała i wzdragającej się przed zadaniem śmierci przedstawicielowi jego rasy, był tak odmienny od tego, który nosił w sercu od czasu, gdy omal nie zostawili swoich głów u stóp ołtarza Jedynego Boga. Od obrazu tej samej dziewczynki, już dorosłej i z pełną świadomością tego, co czyni, wirującej z mieczem w śmiertelnym tańcu, zakończonym upadkiem Elohima. Chciał wrócić do wizji. Nie dopuszczając do siebie myśli, że owa nadzieja może być tak samo płonna jak ta, którą żywiła czarodziejka względem przybranego ojca, rozpaczliwie pragnął znaleźć w tym wspomnieniu coś, co pozwoli mu ją oczyścić, usprawiedliwić. Chciał wrócić. Odepchnął Oriole, znów...

...był w lesie. Nie szedł, nie ruszał się z miejsca, pozostając jednocześnie w niezmiąjącej się odległości od Elfa, dziewczynki i Wilczycy. Kiedy tylko do jego uszu dobiegły ich słowa, wiedział, że to dokładnie ten sam moment, w którym ich opuścił.

– Śniesz zły sen, kruszynko – powiedział łagodnie złotowłose Elf, otulając ją własnym płaszczem. – Cokolwiek cię spotkało, już po wszystkim. Nic nam już nie grozi, nic ci nie grozi.

– Postaw mnie na ziemi i uciekaj – powtórzyła wolno i wyraźnie, nie przestając hipnotyzować Wilczycy spojrzeniem.

Coś w jej głosie musiało go w końcu zaalarmować, ale źle to sobie wytłumaczył.

– Czy ktoś cię ściga? Coś ci zagraża?

– Nie rozumiesz prostych słów? To tobie coś zagraża. Ja... Nie wiesz, kim jestem.

– Wiem. Samotnym i przestraszonym dzieckiem, może po traumatycznych i pozostawiających głęboki ślad przeżyciach, o których nie możesz zapomnieć.

Nie znalazła odpowiedzi. W tej chwili zrozumiała, że ojciec i matka mieli rację. Polowanie było zarazem prostsze niż zwykle, Elf dał się podejść niczym bezrozumne zwierzę i teraz odmawiał ucieczki, mimo uchYLENIA drzwi pułapki, jakby był całkiem pozbawiony instynktu samozachowawczego, właściwego przecież nawet zwierzętom. Nie był jednak bezbronny, jak się na początku wydawało. Miał broń. Potężną. I atakował bez litości, nie zdając sobie sprawy z tego, że atakuje.

Wilczyca obnażyła kły w obu paszczach, w jej oczach była wściekłość i nie znoszący sprzeciwu rozkaz. Mentalnie zmuszała małą do zakończenia tego wreszcie, ale sama nie atakowała, jakby nie śmiejąc tak otwarcie wystąpić przeciw swojej wychowance. Elpis ledwo dostrzegalnie wykonała kilka krótkich, zaprzeczających ruchów głową. Dwugłowa Wilczyca sprężyła się do skoku.

*Głupia, słaba, żaloszna istota. Gdyby znał prawdę, zmiażdżyłby cię, a twoje serce przybił nożem do kory drzewa w pobliżu gościńca, by było przestrożą dla tobie podobnych stworzeń, traktowanych przez jego pobratymców z pogardą i wstrętem. Wahając się, udowadniasz, że jeszcze nie nadszedł czas i że czarnoksiężnik miał rację, uważając cię za zbyt słabą i prorokując, że nie przejdiesz próby. Puść go i zejdź mi z drogi, a ja zakończę za ciebie to, na co nie potrafisz się zdobyć i nie zdobędziesz się nigdy.*

Czarnowłosa dziewczynka zarzuciła ramiona na szyję Elfa, obejmując go władcym gestem i patrząc wyzywająco w ślepią Wilczycy. Nie odezwała się, poruszyła tylko ustami, a Pistis odczytał z nich wyraźnie jedno jedyne słowo – precz.

Wilczyca niemal skoczyła, ale nagle skuliła się i rozpląszczyła na ziemi, patrząc przed siebie ze strachem i bólem. Nie Elpis się jednak lękała, a tego, co mała czarodziejka wezwała i co nadeszło, zagęszczając powietrze i budząc grozę w sercu każdego z nich. Elf z warkoczem, idący wprost na tę istotę, nagle zatrzymał się w pół kroku i zdjęty trwogą zaczął się cofać, niemal wpadając na Wilczycę. Na jego twarzy malowała się nabożna cześć. Pistis szedłby w tej chwili o zakład z każdym, że sam wygląda dokładnie tak samo.

Ilekcóż później próbował przywołać jego obraz z pamięci, nie potrafił uzgodnić sam ze sobą żadnego szczegółu. Pamiętał za to bardzo dobrze bijący od niego majestat i powagę, niczym od króla na jego własnym, potężnym dworze. Pamiętał też grozę i niemoc, która rozlała się po wszystkich jego członkach, kiedy zrozumiał, że oto stanęła przed nim jedna z legend jego plemienia, tak stara i zapomniana, że nie potrafił przywołać z pamięci miana straszego i na swój sposób pięknego stworzenia. Jedyńm, co w nim zostało, była jego nadnaturalna wielkość, owo bóstwo czy może duch zdawało się przykucnięte, niczym ciekawski Człowiek, z uwagą ale też rozbawioną wyższością wpatrzony w przemykającą u jego stóp kawalkadę mrówek, ale i tak jego głowa znajdowała się na poziomie wierzchołków drzew. Nie ulegało wątpliwości, że owa mityczna istota spostrzegła Elfa i przytuloną do niego dziewczynkę. Co więcej, Pistis był pewien, że jego również stwór dostrzeżga.

– Zatrzymaj się – powiedziała Elpis tonem rozkazu, a jasnowłosy natychmiast usłuchał, nieruchomiejąc tuż przed nosem Wilczycy.

– Idź przed siebie – znów rozkazała, a on znów rozkaz wykonał.

Bał się i nie rozumiał, co się dzieje, ale nadal nie wypuścił jej z ramion. Bał się. No w końcu. Ale i tak za późno. Jego ruchy stały się automatyczne i nienaturalnie spokojne. Pistis zgadywał, że nieznamy Elf znalazł się pod wpływem czaru Elpis.

– Leszy... – wyszeptał z czcią, mocniej obejmując nieruchomą figurkę dziecka.

Czarodziejka zrozumiała, że mimo iż nakazała mu iść i on nie potrafił przeciwstawić się temu nakazowi, mimo iż zaczął rozumieć, że nie znalazł dziś zagubionej sieroty, tym gestem chciał ją ochronić przed jedynym, w którym potrafił dostrzec zagrożenie.

– Tak, leszy – powiedziała łagodnie, ku swojemu własnemu zdumieniu z trudem dobywając głos z zaciśniętego gardła. – Władca lasu i wszystkich zwierząt. Ale nie lękaj się go. On nie jest taki straszny, jak wam się wydaje. Idź dalej i nie bój się niczego. Strach nic już nie zmieni. Dałam ci wybór i dokonałeś wyboru, a teraz czas na mnie.

Dziewczynka, władca lasu i Wilczyca porozumieli się bez słów, Pistis nie słyszał i nie pojął ich myśli, ale wiedział, że w czasie potrzebnym na jedno uderzenie serca ta trójka przekazała sobie bardzo wiele. Wilczyca błysnęła białkami oczu, wściekła i pokonana. Elpis uśmiechnęła się do niej, umyślnie eksponując kły, po czym wciąż patrząc prosto w jej ślepie, zanurzyła zęby w szyi niosącego ją Elfa i zaczęła pić. Jej ofiarą wstrząsnął dreszcz, ale po chwilowym szoku mężczyzna zachowywał się, jakby nic nie zauważył. Nadal szedł spokojnie, piastując ją w ramionach. Szedł, a Elpis przylegała do niego niczym śpiące z głową w zagłębieniu szyi ojca, znużone dziecko. Jednak oczy miała szeroko otwarte, wpatrzone w przybraną matkę z ponurym triumfem i nienawiścią. Piła powoli, bez szalonej furii i pasji, której Pistis był świadkiem, gdy pożywiała się na jednym z synów Wilczycy tuż przed starciem z Astarothem, a Elf zdawał się w ogóle nie odczuwać bólu, słabł tylko i z każdą chwilą szedł coraz wolniej. W końcu stanął, nie mogąc już zdobyć się na żaden wysiłek.

Chwilę stał w miejscu, lekko kołysząc się w przód i w tył, walcząc z zawrotami głowy, ale mimo to nie wyciągnął ręki i nie podparł się o któreś z gęsto otaczających go drzew, nie wypuścił dziewczynki z ramion. W końcu osunął się na kolana i tak pozostał, nieruchomy, z pochyloną głową, od czasu do czasu wstrząsany dreszczami, jakby dokuczał mu zbyt ni chłód. Oddychał ciężko, a oddech rwał się w jego piersi. Elpis, nie przestając pić, odnalazła jego rękę i naprowadziła ją na korę rosnącego nieopodal ostrokrzewu.

W momencie, gdy otwarta dłoń mężczyzny spoczęła na chropowatej strzale drzewa, dreszcze ustąpiły, jego niespokojny oddech się wyrównał, odnajdując normalny rytm, a wszystko w lesie jakby przycichło, wszelkie żywe stworzenia przerwały na moment swoje zwyczajne zajęcia, oddając hołd temu, który właśnie się z życiem rozstawał. Pistis widział już wcześniej moment, gdy nieśmiertelna dusza opuszcza ciało Elfa, by połączyć się z sercem drzewa i stać się jego częścią, dając mu czas dziesięciokrotnie dłuższy niż życie jakiegokolwiek drzewa, ale tym razem wszystko było inne. Bardziej uroczyste i podniosłe, a obecność ducha lasu i jego widoczna aprobata dodawały całej scenie powagi. Nagle zrozumiał, że oto stał się świadkiem czegoś, co nie wydarzyło się nigdy do tej pory. Że udzielono mu łaski uczestnictwa w misterium, odbywającym się po raz pierwszy, bo oto pierwszy na Ziemi Elf łączy swoje życie z życiem drzewa.

*Kiedy nadejdzie czas, odnajdę twoją Larę, odnajdę twoje dzieci. Nie uczynię im nic złego, nie lękaj się o nich. Przywiodę ich tu, gdzie będziesz na nich czekał i zdradzę im sposób, jak oszukać śmierć. Bo Elfy i drzewa nie powinny umierać. Bo pierwotnie nikt nie miał umierać. Bo nie dam sobie wmówić, że nie mam wyboru. Nigdy.*

Kiedy było po wszystkim, dziewczynka odjęła usta od szyi ofiary i powoli wstała. Podniosła dumnie głowę, spoglądając na Wilczycę, a potem przez chwilę, przez krótką chwilę jej wzrok spoczął na Pistisie i kapłan wiedział, że dziewczynka go dostrzegła. Powoli podniosła rękę i przedramieniem otarła oczy, krwi z ust nie ścierała. Zimny blask księżyca odbijał się w tej krwi i w resztkach rozmazanych na policzkach łez.

# Rozdział 19

## Bóg Bez Twarzy

Myślisz, że gdybyśmy tak szli i szli, moglibyśmy w końcu dojść do miejsc, które opuściliśmy? Że moglibyśmy odnaleźć klasztor i Skalistą Warownię? – głos Farysa przerwał przedłużającą się ciszę.

– Co? – Elpis, wyrwana z zadumy, spojrzała na niego z rozkojarzeniem. – Nie. Nie sądzę.

Po tej lakonicznej odpowiedzi znów zamilkła, całą uwagę skupiając na drodze. Oddalili się znacznie od miejsca, w którym pozostawili resztę drużyny, Człowiek zaczął się już nawet zastanawiać, czy Pistis zdążył wprowadzić swoje plany w życie, ale prędko przestraszył się swoich myśli i zepchnął je w głąb siebie. Nie chciał, żeby któraś z nich, zabłąkana, przypadkiem została przechwycona przez jego mistrzynię. Dlatego też usiłował nawiązać niezobowiązującą rozmowę o czymkolwiek. Mimo kilkakrotnych prób jednak, Elfka niezmiennie zbywała go jednym lub dwoma zdaniem, była dziwnie cicha i ostrożna. Tym razem też przestał już liczyć na jakieś rozwinięcie tematu z jej strony i nie wtrącając nic więcej, przyspieszył kroku, ale w tej właśnie chwili dobiegł go jej głos.

– To nie jest nasz świat. Drzewa są inne, nie potrafię nazwać co niektórych, a przecież poznałam nazwy wszystkich, porastających lasy Ziemi. Gwiazdozbiory są inne, a naszych tu brak. Nie ma Syriusza, nie ma Koziorożca ani Wielkiej czy Małej Niedźwiedzicy. Są za to Smok i Rajski Ptak i wiele innych, których nie znam. Te, których imiona odnajduję w mojej pamięci, świeciły na niebie w starodawnych czasach. Rozjaśniały mroki nocy Ludziom, Elfom i Wampirom, kiedy dźwigały się i odbudowywały swój świat po potopie. Na naszym niebie dawno już zgasły. Zgaduję, że reszta jest jeszcze starsza, jeśli nawet ja zapomniałam.

– Więc to trochę tak, jakbyśmy przenieśli się w czasie? – prędko podjął temat.

– W dużym uproszczeniu, trochę – przyznała w końcu, choć tym razem też musiał czekać na odpowiedź dość długo.

– Nie wiedziałem, że znasz tak potężne zaklęcia.

– Nie znam. Dostaliśmy się tu w odpowiedzi na zawołanie, którego treść Beliał wykłuła na swoim mieczu. To jej zaklęcie.

– Więc... – zająknął się. – Więc nie potrafisz sprawić, że wrócimy? Trzyma cię tu nie tylko przysięga i po prostu jesteśmy na łasce pani tego lasu?

Tym razem Elpis nie odpowiedziała nic. Mruknęła coś tylko pod nosem, tak niewyraźnie, iż nie zrozumiał, a najprawdopodobniej po prostu w języku, którego nie znał. Mogło to być zarazem potwierdzeniem, jak i zaprzeczeniem. Mogło też nie znaczyć nic.

Nad ich głowami rozległo się pohukiwanie sowy, a zaraz potem szelest lotek, słyszalny już tylko dla Elpis. Nadal poruszali się w gąszczu krzewów, las nie posiadał gościńca, którego mogliby się trzymać, a pokonywanie go na przełaj było uciążliwe i męczące. Człowiek nie raz musiał przystawać, by oswobodzić się z ciernistych zarośli, czepiających się butów czy płaszcza. Podczas tych przymusowych postojów wydawało mu się często, że jego zmagania obserwują spośród traw czyjeś ciekawe oczy. Małeńkie, szare niczym noc stworzonka czmychały, gdy usiłował pochwycić je dłonią, a kiedy tylko się odwrócił, wspinały się na gałęzie drzew i liście, odprowadzając wzrokiem wędrowców. Nie zdawały się groźne, a jedynie zaintrygowane i rade z rozrywki. Po którymś razie był już niemal pewien, że to one jakimś cudem czepiają się poły płaszcza i wplatają go między ciernie i rzepy, by potem móc patrzeć. W końcu nie wytrzymał

i zapytał o nie Elpis.

– To leszanki. Chyba przypadłeś im do gustu. Wy, Ludzie, nazywacie je błędami.

– Błędy? Dzieci leśnego dziadka?

– Leśnego dziadka? – zapytała z mieszaniną rozbawienia i niedowierzania, patrząc na niego jak na kogoś niespełna rozumu. – Więc nazywacie ducha lasu leśnym dziadkiem? Doprawdy, Ludzie to plemię dziwaków.

– Wiem, że Wampiry i Elfy mają dla nich bardziej dostojne nazwy, ale tak. Dla nas duch lasu zwie się leśnym dziadkiem, a jego dzieci błędami, dlatego, że wyprowadzają wędrowców na manowce i płaczą ścieżki. Teraz widzę też, że inne psoty również nie są im obce – uśmiechnął się ciepło, znów wyplątując płaszcz spomiędzy wyjątkowo długich, ostrych i twardych kolców krzewu, którego nazwy nie znał.

Krzew miał duże, jasnołiliiowe kwiaty i drobne listki, podobne trochę do młodych, świeżo wyklutych z pączka liści brzozy. Duże, czarne ślepką leszanek uważnie obserwowały zarówno jego twarz, jak i palce. Podobały mu się te dziwne duszki, których kształtu nie potrafił określić. Były tak odmienne od drącego się po nocach wieszczego, że aż sympatyczne i zabawne. Jedne z nielicznych, zamieszkujących ten dziwny las stworzeń, których chyba nie będą musieli się lękać. Usiłując wzrokiem przeniknąć ciemności i zobaczyć coś więcej poza ich oczami, przez nieuwagę głęboko rozciął sobie palce o ciernie. Syknął z bólu i odruchowo zabrał ręce, jeszcze bardziej się kalecząc. Zaklął cicho i wytarł dłonie o spodnie, po czym chciał znów sięgnąć nimi między gałęzie, jednak zatrzymał się w pół ruchu.

Z mroku bowiem wyroiło się więcej leszanek, a wszystkie na wyścigi pomknęły ku zawieszonym na gałązkach krzewu kroplom jego krwi. Człowiek przez moment nie mógł w żaden sposób zareagować, jakby zamienił się w nieruchomy posążek. Uczta trwała ułamki sekund, po czym stworzonka znów zwróciły się ku niemu, patrząc z takim samym, przyjaznym zaciekawieniem. Farys poczuł się nagle bardzo nieswojo. Zrezygnował z prób wyplątania się i po prostu szarpnął energicznie płaszczem, zostawiając strzępy odzieży na cierniach. Dogonił Elpis, czekającą na niego i dopiero wtedy rzucił niespokojne spojrzenie przez ramię. Okrągłe, czarne oczka błyszczały wśród gałęzi tuż za nimi.

– Czy one?...

– Nie, nie są krwio pijcami – odrzekła dziewczyna z uśmiechem. – Ale mają nieco specyficzne poczucie humoru. Teraz wydajesz im się niezwykle zabawny. Daj rękę.

– Co? Nie, nie trzeba. To tylko draśnięcie – schował dłoń.

– Dla ciebie. Mnie drażni i rozprasza. Daj.

Zatrzymał się i wyciągnął w jej stronę rękę, a czarodziejka zamknęła ją w swoich dłoniach. Przymknęła oczy, a Farys poczuł lekkie mrowienie i ciepło, rozchodzące się w głąb całego jego ciała. Kły, nieposłuszne nakazom jej woli, wysunęły się na moment, ale niemal natychmiast cofnęły. Mimo to Człowiek dostrzegł tę chwilę słabości. Pod wpływem tego obrazu przypomniał sobie, jak wyglądała, gdy wyczerpana, ledwo żywa, zataczając się, szła w kierunku Leviathana i jak potem... Mimo woli wstrząsnął nim dreszcz. Jak dawno to było? W drodze znajdowali się od pięciu dni, wcześniej około dwu tygodni, może więcej spędzili w norze, wśród korzeni drzewa. Nie potrafił dokładnie określić czasu, odurzony ziołami i gorączką, stracił jego rachubę. Jedno było pewne, nie pożywiała się od dłuższego czasu.

W końcu puściła jego dłoń, zdrową i promieniującą ciepłem. Wzięła głęboki wdech, po czym spojrzała mu w oczy, patrzyła długo i poważnie, a mężczyzna odgadł, że odczytała jego myśli.

– Nie bój się mnie.

Poczuł się głupio, niczym śmiały zazwyczaj wyrostek, przyłapany na strachu przed

ciemnością pustego pokoju.

– To nie tak, pani. Po prostu myślałem... Jesteśmy tu już długo. Nie wiem, jak często powinien pobierać pokarm Wampir, ale... Jeśli chcesz...

– Nie chcę. Chodźmy już.

Ruszyła przodem, on powłókł się za nią ze spuszczoną głową, zły na siebie. Leszanki czepiały się poły jego płaszcza, ale nie zważał na nie i parł przed siebie uparcie, po prostu wyszarpując ubranie spośród gałęzi i rzepów, nie troszcząc się o to, iż je niszczy. Duszki znudziły się szybko bezowocnymi figlami i poprzestały teraz na cichym podążaniu ich tropem. Podczas wędrówki zdawały się porozumiewać między sobą, wydając dźwięki podobne do gwizdów, syków i szybkiego podzwaniania drewnianych kołatek. Kilka z nich przywarło do materiału płaszcza, kilka przysiadło na jego butach i ramionach. Nie odczuwał w ogóle ich ciężaru, jakby niósł na sobie czarne pióra, czuł za to dziwnie nienaturalne zimno i niepokój.

– Nie zważaj na nie, nie uczynią nam krzywdy – spojrzał na mówiącą i zauważył, że oczka stworzeń spoglądają ku niemu spośród czarnych włosów Elfki. – Nie rozumiem, jak, ale przypominam sobie ich dziwną mowę. Są zachwycone i bardzo, bardzo zaciekawione. Nie ma w nich zła czy przewrotności. Po prostu je ignoruj i nie czyni im krzywdy, bo wtedy nie mamy co liczyć na zrozumienie.

– Dobrze, pani.

– Nasz świat nie ma dla nich imion, nazywa je Cieniem. Ale też w naszym świecie są one, delikatnie mówiąc, odmienne od tych, które tu widzisz. Pewnie się opierały, ale pochłonął je mrok. Zatrął ich małe ciała i serduszka.

– To dzieci Lilith?

– Nie do końca, ale pochodzą od Lilith. Leszy, czyli jak wy go nazywacie, leśny dziadek, jest jednym z bezpośrednich potomków przekłetej. Leszanki pochodzą od niego. Może dlatego udało im się najpierw, może przez długi nawet czas, pozostawać niestrasznymi, choć psotnymi duszkami. Z czasem pewnie psoty stawały się coraz gwałtowniejsze, coraz bardziej złe i okrutne. Aż w końcu one również stały się jednymi z owych bezcielesnych istot, tworzących to, co dziś nazywamy Cieniem.

Farys za nic nie chciał zdradzić się ze swoimi myślami przed swoją towarzyszką, ale jej słowa rozbudziły niepokój w jego sercu. Tym bardziej wyraźny i dotkliwy, że nadal siedzące na jego szacie leszanki zamilkły, jakby i one zasłuchały się w śpiewny szmer jej głosu. Dopiero po chwili znów podjęły swoje, brzmiące niczym muzyka kołatek rozmowy, bardziej teraz ożywione i nabrzmiałe od emocji. Człowiek czuł się trochę tak, jakby właśnie w jego obecności oświadczone małemu chłopcu, który wybił szybę, strzelając z procy, że kiedyś i tak zostanie wynaturzonym zbrodniarzem, za którego głowę wyznaczą wysoką nagrodę, dlatego nie warto nawet próbować tłumaczyć mu, że źle zrobił. W pewnym momencie złapał się na tym, że zastanawia się, czy dzieci leśnego dziadka mogą rozumieć ich mowę i że osobiście wołałby, jeśli odpowiedź mogła brzmieć: nie.

Przez jakiś czas oboje milczeli. Elpis zaprzętała chyba jakaś troska, dziewczyna wyteęzała słuch, łowiąc odgłosy, których on nie mógł jeszcze usłyszeć. Po kilkudziesięciu minutach przedzierania się przez krzaki znaleźli się nad skrajem głębokiego parowu, którego dnem płynął potok. Z góry ciężko było ocenić jego szerokość, nie mówiąc już o głębokości, ale ta pierwsza wartość zdawała się oscylować na granicy dziesięciu, piętnastu metrów. Noc była chłodna, woda w potoku pewnie zmrozi ich do szpiku kości. Czarodziejka zawahała się.

– Cóż, mam nadzieję, że dobrze pływasz – rzuciła na pozór swobodnie, patrząc na stromą ścianę, którą musieli pokonać, by w ogóle dostać się do wody.

– Nienajgorzej – mruknął, lekko urażony.

Wcale nie uśmiechała mu się teraz przeprawa wpraw przez nie wiadomo jak bystry nurt strumienia, ale jej brak wiary w jego możliwości zwyczajnie go zirytował. Wiedział, że gdyby była tu z Elfem lub Wampirem, nie pytałaby. Elpis nadal nie ruszała się z miejsca, patrząc nieufnie spod wół przymkniętych powiek w dół, więc to on zaczął ostrożnie schodzić.

– Zaraz, poczekaj. Najpierw odpowiedz mi na jedno pytanie.

– A mogę po drodze? – burknął, nie zatrzymując się.

– Nie. Nie chimeruj, niczym rozkapryszony dzieciak, wracaj tu. Proszę.

Zrobił, jak chciała i po chwili znów stali ramię w ramię na skraju urwiska. Elfka przez chwilę zbierała myśli, jakby walcząc ze sobą, w końcu na niego spojrzała.

– Proste pytanie. Chyba. Ale dla mnie nie do rozwikłania. Więc proszę cię o odpowiedź zgodną z prawdą, bo ja absolutnie się na tym nie znam, jasne?

Skinął głową, teraz już zaintrygowany i zaciekawiony. Elpis miała taki wyraz twarzy, że nie zdziwiłoby go zbytnio, gdyby zamierzała obwieścić mu, że woda ze strumienia jest zaczarowana i ktokolwiek jej dotknie, zamienia się w wodnika czy utopca, o których kiedyś opowiadała mu babka.

– Więc chodzi o to, że ja jestem hybrydą, na dodatek nieśmiertelną, choroby, nękające wasze rasy, się mnie nie mają. Ale ty jesteś Człowiekiem, a mamy zimną noc i strumień z jeszcze zimniejszą wodą, który pewnie trzeba będzie przepłynąć, a potem iść jeszcze nie wiadomo jak daleko w mokrych ubraniach. Czy ty nie będziesz za kilka dni chory?

W pierwszej chwili wydawało mu się, że nie zrozumiał, a potem roześmiał się głośno i pokręcił głową z niedowierzaniem. Bez słowa znów zaczął schodzić w dół, ale chwyciła go pewnie za przedramię, wstrzymując w pół kroku. Podniósł na nią brunatne, roześmiane oczy.

– Pani, gdybyś była kimś innym, pewnie wziąłbym twoje słowa za zniewagę, ale znam cię i wiem, co przez siebie przemawia. Pochlebia mi twoja szczerza troska, ale nie jestem wątłą dziewczką, lecz silnym, krzepkim mężczyzną. Nie raz już zdarzyło mi się zmarznąć lub się przemoczyć.

– Tak, ja wiem. I taki właśnie będziesz mi potrzebny, kiedy dotrzemy nad taflę czarnego jeziora. Nie chcę, żebyś przez głupią pychę sprawił, że będzie inaczej. Naprawdę nie potrafię wydać zgodnego z rzeczywistością osądu i jestem zmuszona polegać na twoim słowie. Bardzo bym nie chciała się na nim zawieść. Jeśli więc uważasz, że nic się nie stanie i bez obaw możesz iść, przepłynę z tobą rzekę w tej postaci. Ale jeśli jest realne niebezpieczeństwo, znam sposób, by dostać się na drugi brzeg bez choćby zmożenia palca u stopy. Jestem dla ciebie zabawna?

– Tak – przyznał zgodnie z prawdą. – Wybacz, ale mówiąc o realnym niebezpieczeństwie ze strony kataru, rzeczywiście jesteś. Nic na to nie poradzę. Powtórzę jednak jeszcze raz, że schlebia mi twoja troska i dziękuję ci za nią. Z chęcią też poznam ten magiczny sposób, bo choć najbliższy prawdy będę, mówiąc, że nie potrafię z całą pewnością rozwiązać twoich obaw, to jednak całkiem się z nią rozminę, twierdząc, że mam ochotę iść w objęcia lodowatej wody.

Jego twarz była szczerza, a oczy jarzyły się w mroku wesołym blaskiem. Elpis odpowiedziała na uśmiech.

– To dziwne uczucie – rzuciła z pozornym spokojem. – Nie wiedzieć.

– To żadna ujma, pani. Powiedziałbym nawet, że to dobrze, że nawet ty czasem czegoś nie rozumiesz i że dzięki temu możesz się nauczyć o wiele więcej, niż rozpoznawanie granic odporności ludzkich organizmów.

Dziewczyna lekko przechyliła głowę na lewe ramię, patrząc przenikliwie, niepewna, czy Człowiek z niej nie kpi. Otaczające ich gęsto leszanki też wlepiły w niego ciekawskie oczka.

– Tak? Na przykład czego?

– Cierpliwości. Dla nas, zagubionych adeptów, niemal zawsze nie rozumiejących tego, co

się z nimi dzieje. A teraz, jeśli łaska, obiecałaś nauczyć mnie jakiejś magicznej sztuczki, która zamraza wodę. Albo czegoś w tym stylu.

– Nie przypominam sobie, żebym miała czegokolwiek cię teraz uczyć. Zresztą, to nie magia. I raczej nie można się tego nauczyć, a już na pewno nie starczy na to czasu, jaki mają na tej ziemi Ludzie. Odsuń się, proszę. I nie lękaj się mnie, przyrzekam, że cię nie skrzywdzę.

Odstąpił o krok. Ponagliła go ruchem ręki, więc zaraz potem o kolejny i jeszcze kilka. Chwilę później był zdecydowany wracać i biec ku niej, przekonany, że dzieje się coś niedobrego. Czarodziejka zaczęła się bowiem zmieniać. Ledwie jednak oderwał stopę od ziemi, osadziła go na miejscu, zagradzając się wysuniętą przed siebie dłonią, niczym rycerz tarczą. Zamarł na widok tej dłoni, to nie była elfia dłoń. Nadal smukła i drobna, zdawała się rosnać w oczach, jej paznokcie wydłużyły się na kształt zakrzywionych pazur. Elpis zamknęła oczy i zacisnęła zęby w oczekiwaniu na ból, ale tym razem przemiana nie bolała. Pochyliła się do przodu, wiedząc, że za chwilę nastąpi przesunięcie się środka ciężkości i utrzymanie się na dwu nogach będzie niemożliwe, długie włosy zakryły jej twarz.

Farys obserwował rozgrywającą się przed nim scenę lekko nieprzytomnym wzrokiem, zapominając o obietnicy, wedle słów której nic mu z jej strony nie groziło. Widząc, jak włosy oplatają ściśle ciało i ulegają przekształceniu w sierść, przypomniawszy sobie nagle wszystkie legendy o wilkołakach, jakie dane mu było usłyszeć, gdy był dzieckiem. Te o czynionych w morderczym szale atakach na Ludzi i zwierzęta, o obdzieraniu dzieci żywcem ze skóry i o zjadaniu ich ciał, a także – niejako wbrew swojej woli – te o tojadzie i srebrze.

Ani tojadu, ani srebra, owych środków szeroko zachwalanych przez chłopskie zielarki jako niezawodne remedium przeciw wilkołakom, nie było jednak w zasięgu ręki. Był za to wilkołak. Potężny i czarniejszy od nocy, jak noc ponury i groźny. Rozejrzał się w popłochu, jakby liczył na jakąś pomoc. Czarna Wilczyca obserwowała go spokojnie, niezwykłymi dla tej rasy, zielonymi oczyma, po czym powoli przypadła brzuchem do ziemi, kładąc się tak, by jej łeb znajdował się na poziomie jej głowy.

*Tojad i srebro?* – rozległ się jej głos w jego głowie. *Wiesz co, Farysie? Teraz to jednak trochę przesadzasz.*

Zamrugnął powiekami, rozpoznając w nim lekko rozbawiony głos Elpis. Jeszcze raz, nadal trzymając się na dystans, ale już śmieiej, objął wzrokiem wilkołaka.

*Wilk. Nie wilkołak. Wilkołaków nie ma. Jeśli rozumiesz pod tym pojęciem pół-Człowieka, pół-Wilka, one nie istnieją. Nigdy nie istniały. Po prostu Wilk.*

W tym ciele o wiele naturalniej i prościej przychodziło jej wyłapywanie jego emocji i odczuć. Spokojnie czekała, aż minie strach, ustępując miejsca szczeremu podziwowi i czci niemal. Przeglądała się w jego oczach, jak zazwyczaj w oczach swoich przeciwników, w których zwykła znajdować przerażenie i nienawiść, więc odkrycie, że nadnaturalna wielkość i surowe piękno silnego i świadomego swojej siły drapieżnika może budzić emocje niezwykle pozytywne, było czymś nieoczekiwanym i niosącym radość.

– Pani, ja... Jestem pod wrażeniem, naprawdę. My coś podejrzewaliśmy. Mówiłaś, że łączysz w sobie wszystkie rasy, więc domyślaliśmy się. Ale tłumaczyliśmy to sobie inaczej. Myśleliśmy, że masz wilczego chowańca.

Wilczyca zmrużyła ślepią i zmarszczyła nos. Czuliła, że gdyby mogła, chyba roześmiałaby się w głos.

*Chowańca? Nie, to zły trop. Kain ma wielu chowańców, jeśli można to tak nazwać, choć działają tu trochę inne zasady. Nie wiem, jak tego dokonał, ale Wilki go słuchają, choć prawie wszystkie nienawidzą go jednocześnie. Ale to mnie akurat nie dziwi. To dumne plemię, jeśli udało mu się w jakiś sposób wymusić na nim uległość, nie może być inaczej.*



Przytaknęła ruchem głowy, nic już nie mówiąc. Wilczyca jakiś czas obserwowała go przenikliwie, również milcząc. W końcu zapraszającym gestem zwróciła łeb w kierunku swojego grzbietu, jeszcze bardziej przylegając do suchych liści i igieł, zaścielających ziemię pod nimi, nie pozwalając mieć wątpliwości co do intencji tego zaproszenia. Mimo to w pierwszej chwili nie rozumiała, nie dopuszczając do siebie myśli, że może właśnie tego oczekiwać.

*Farysie, jeśli czekasz, aż zacznę podskakiwać i łasić się jak szczenię, to muszę cię rozczarować. Nie zacznę. Jeśli zaraz nie wsiądziesz, powrócę do postaci Elfa i będziesz jednak zmuszony przepłynąć tę rzekę.*

\*\*\*\*

Pęd powietrza zapierał dech, nie pozwalał na wydobycie głosu i tylko dzięki temu Farys nie skompromitował się przed czarodziejką. W pierwszej chwili bowiem jedynym, na co potrafiłby się zdobyć, mógł być tylko krzyk.

Najpierw, gdy rozumiał, czego żąda Elpis, szacunek do niej sprawiał, że wzdragał się przed takim rozwiązaniem, ale musiał przyznać, że nie było ono pozbawione sensu. Wilk z Człowiekiem na grzbiecie biegnie o wiele szybciej niż najsmiglejszy nawet Człowiek. Decydując się na taki sposób podróży, mogli więc, co prawda nadkładając drogi, ale być może kosztem niewielkiej straty czasu, okrążyć rzeką czy poszukać miejsca, gdzie bród był dogodniejszy i wystarczyłoby może zdjąć buty, by dostać się na drugi brzeg. Kiedy więc w końcu dosiadł Wilczyca, a ta wstała i rzuciła uwagę o trzymaniu się z całych sił, uznał ją za roztrofną, choć przesadzoną radę. Kiedy powtórzyła ją kilka razy, dodając ostrzegawcze: ja nie żartuję! poczuł się lekko niepewnie. Wczepił palce w czarną, gęstą sierść i pochylił się ku jej szyi.

I wtedy Wilczyca skoczyła. Nie przed siebie, lecz prosto w przepaść, na stromo zbiegającą w dół ścianę parowu. Poczuł, jak wszystkie włoski na jego karku podnoszą się, a ciało zastyga w przerażeniu. Wtedy właśnie pęd powietrza, ku niewypowiedzianej wdzięczności Człowieka, unicestwił rodzący się w nim krzyk, wpychając go na powrót w gardło i płuca. Mężczyzna zakrzuszył się krzykiem, krzyk umarł. Farys całym ciałem przylgnął do grzbietu niosącego go drapieżcy. Wilczyca sadziła olbrzymimi susami, jakby ścigała ją cała groza biało-czarnego lasu, zręcznie omijając porastające zbocze drzewa, przeskakując nad wykrotami i krzewami, których nie raczyła okrążyć. Nie biegła idealnie prosto, często kluczyła, ale mimo to uparcie kierowała się ku czerniejącemu w dole potokowi i Farys rozumiał, że bierze rozpęd przed skokiem.

Głęboko wciągnął w płuca powietrze, a potem już nie oddychał, czekając na skok, jak skazaniec stojąc na deskach szubienicy czeka, na wysunięcie się zapadki spod butów. Rzeką, o szerokości może piętnastometrowej, w jego oczach urosła co najmniej dwu lub trzykrotnie. Tak czy inaczej był pewien, że żaden koń, do tego obciążony jeźdźcem, by jej nie przeskoczył. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że Wilki skaczą dalej od koni. Nie wiedział. Jednego za to był pewien. Gdyby wcześniej w głowie powstała mu myśl, że Elpis bardziej przeraża perspektywa jego przeziębienia niż skręcenia przez niego karku, zaklinałby się na wszystkie świętości tego świata, że nawet kąpiel w wodzie pokrytej pokruszoną krą w pierwszych dniach nieśmiałej wiosny nie jest w stanie mu zaszkodzić.

Kiedy wreszcie niemal osiągnęli strumień i miękkie łapy Wilczyca oderwały się od brzegu, a ciało wyprężyło w skoku, świat nagle zwolnił bieg a Człowiek przez krótką chwilę był przekonany, że lot nigdy nie dobiegnie końca. Jednak się skończył, wylądowali dość daleko od wody, nie moczając nawet końcówki jej ogona czy materiału jego płaszcza. Ziemia powitała ich dość silnym wstrząsem i potem Farys zgodziłby się z każdym, kto twierdziłby, iż ten właśnie moment był najtrudniejszy, jeśli idzie o konieczność utrzymania się na grzbiecie Wilczycy. Pazury wryły się w ziemię, rzeźbiąc w niej bruzdy, mężczyzna wtulił twarz w długą, pachnącą

wiatrem i żywicą sierść, Wilczyca nie zatrzymując się, pomknęła w górę parowu.

Kiedy osiągnęli jego szczyt, od razu przyłgnęła brzuchem do podłoża, a Farys zeskoczył, rad, że może już dotknąć ziemi, ale też jednocześnie nieco rozczarowany tak szybkim końcem fantastycznej przejażdżki. Powrót do zwyczajnej postaci nie był tak widowiskowy, trwał też znacznie krócej. Zanim zdążył choćby uspokoić przyspieszony oddech, Elpis wstała, śmiejąc się i wyplątując liście i gałązki z włosów. Przyłączył się do tego głośniego, rozładowującego napięcie i przeganiającego strach śmiechu. Zawładnęła nim czysta euforia, lęk odszedł precz, męczyzna zastanawiał się, jakim cudem w ogóle go czuł, w tej chwili gotowy był już, natychmiast, na jedno jej słowo powtórzyć wyczyn.

Otworzył usta, by jej o tym powiedzieć, gdy nagle czarodziejka znieruchomiała, a śmiech zamarł na jej ustach. Dziewczyna zastygła z jedną ręką zanurzoną we włosach, a drugą w połowie drogi na dół, zaciśniętą na trzymany w dłoni liściach i igłach. Porozumiała się z nim bez słów, nie wysłała też żadnego konkretnego przekazu, to w jej oczach odczytał stanowczy i bezwzględny nakaz milczenia i rozumiał, że obejmuje on też myśli. Elfka bardzo powoli rozchyliła palce, pozwalając liściom upaść tuż u swoich stóp, a drugą rękę opuściła, po drodze dla pewności zatrzymując na chwilę palec na wargach. Rozejrzała się na boki, na ile było to możliwe bez odrywania stóp do podłoża, niemal samymi ruchami oczu, lekko tylko odwracając głowę, odprowadzając wzrokiem rozpiezchające się w różnych kierunkach leszanki. Potem, ostrożnie skręcając tułów, zwróciła się w jedynym, którego nie wybrało żadne ze stworzonek. Nie wykonała żadnego gestu, ledwo dostrzegalnie poruszyła tylko ustami. Farys wyczuł, jak przed nimi formuje się niewidzialna zapora, odgradzająca ich od czegoś, co nadciągało. Dopiero, gdy tarcza była ukończona, Człowiek zorientował się, że może normalnie oddychać, wcześniej powietrze, zgęstniałe i nabrzmiące od magii, nie miało normalnego dostępu do jego płuc, choć tego nie zauważał, stopniowo coraz bardziej się dusił.

Elfka postąpiła kilka kroków do przodu, stając pomiędzy nim a tarczą. W sekundę potem znalazł się u jej boku. Nie spojrzała na niego i nie kazała mu wracać na miejsce, wzrok miała zwrócony na las przed nimi, nic więcej zdawało się jej nie interesować. Męczyzna odruchowo chciał sięgnąć po saksy, ale chwyciła go za rękę, nie pozwalając wydobyć broni z futerałów.

– To na nic – szepnęła, nadal na niego nie patrząc. – To, co zaraz tu będzie, jest magiczne. I obawiam się, że wiem, co to takiego. Jeden z potężniejszych demonów, jakie możemy tu spotkać, jeśli nie najpotężniejszy.

Ledwie skończyła mówić ostatnie słowa, gdy utworzona przez nią dla ich ochrony zapora pękła z trzaskiem, uderzając w nich strumieniem gorącego powietrza, a wirujące w nim liście, gałązki, kawałki kory, dawno opadłe, martwe igły, pojedyncze kamyki i piasek, porwane tym podmuchem, zmusiły ich do przymknięcia oczu. Elpis zaklęła i znów spróbowała wysunąć się przed towarzysza, a on znów jej na to nie pozwolił.

Człowiek rozchylił powieki, osłaniając oczy wzniesioną do czoła dłonią. Widok, jaki mu się ukazał, sprawił, że otworzył oczy szeroko, a potem kilkakrotnie zamrugał. Jeden z najpotężniejszych demonów stał przed nimi, dokładnie w miejscu, gdzie przed chwilą była tarcza, jakby rozbił ją ruchem ręki tylko dla zaspokojenia kaprysu, by stanąć właśnie na jej miejscu. Jeśli ktoś by go potem spytał, jak wyglądał, raczej nie potrafił by udzielić wyczerpującej, jednoznacznej odpowiedzi. Był trochę niczym ubrany od stóp do głów w zieleni stary Człowiek, albo jak porośnięty mchem głaz w kształcie Człowieka. Ciężko było stwierdzić, czy poskręcane i sklezione pasma zieleni wokół jego głowy są włosami i brodą, czy raczej porostami, wykwitającymi na ścianie zapuszczonego budynku. Nie ruszał się, nie odzywał do nich ani na nich nie patrzył. Właściwie najtrafniejszym porównaniem, jakie się nasuwało, były kamienne lub drewniane posązki bogów, ustawiane nieraz na ołtarzach maleńkich kapliczek przy

górkich szlakach. Gdyby był taką właśnie figurką, bóstwo, które by wyobrażał, mogłoby nosić miano Boga Bez Twarzy. Oblicze jego było bowiem niezwykle i niewielu mogło patrzeć w nie bez drżenia; niewielka, pozbawiona rysów twarz ginęła niemal w plątaninie gęstych i grubych, zielonych pnączy. Wyglądało to tak, jakby ze starego posągu ktoś wyłupił kamienie imitujące oczy, a nieznane koleje losu, może sama przyroda ręką burz, niosących ze sobą spływające po figurce strugi deszczu; wichur, szlifujących kamień milionem drobnych, niesionych przez siebie kamyczków, zatarły rysunek ust i nosa. Rozsadzające kamień od środka mchy i porosty dokonały dzieła. Była tylko jedna znacząca różnica, na pierwszy rzut oka upewniająca wędrowca, że nie ma do czynienia z posązkim. Demon wielkością dorównywał najwyższym drzewom wokół nich. Farys przypomniał sobie opowieści, którymi on i jego bracia straszili Suri podczas długich, zimowych wieczorów, spędzanych w ciepłej izbie, przy blasku świecy.

– Leśny dziadek... – słowa wyrwały się z jego ust mimo woli.

– Zamilcz – syknęła Elpis, osłaniając swojego ucznia chociaż wyciągniętym ramieniem.

Potwór dostrzegł go i poruszył się, jakby przebudzony ze snu.

*Leśny dziadek... Oboje usłyszeli, jak jego głos rozbrzmiewa w ich głowach. Tak, ktoś tak mnie kiedyś nazywał. Jak każdy z nas mam wiele imion. Dziad borowy, leszy, leśny dziadek... Leśny dziadek... To miano nadali mi Ludzie. Złe, małe istoty z toporami i siekierami, karczujące drzewa, zabijające i zjadające zwierzęta. Wściekle, podobne szarańczy stada, opadające na żyzne pola i pozostawiające po sobie martwą, jałową pustynię. Złe i pewne siebie. A przecież takie kruche, tak bardzo żałosne i kruche...*

Jego słowa były niewyraźne, zniekształcone niczym język kogoś, kto nie ma w zwyczaju posługiwać się artykułowaną mową, mimo iż posiada taką umiejętność. Wysunięty na pierwszy plan i aż nadto czytelny był ładunek gniewu i goryczy, zwiększający się w miarę, jak mówił. Końcówka wypowiedzi nasączona była jadowitą wrogością, tak jawną i głęboką, że Człowiek odruchowo cofnął się o krok. W tym samym momencie Elpis spiesznie wystąpiła do przodu.

– Potężny duchu lasu, cokolwiek chcesz uczynić, wstrzymaj się, proszę i zechciej mnie wysłuchać. Ten Człowiek znajduje się tu za wiedzą i przyzwoleniem Oriole, pani tego kraju. Nie jest tu też sam. A ja, mimo iż mogę cię zapewnić o moich jak najbardziej pokojowych zamiarach, nie cofnę się, gdy przyjdzie mi bronić życia mojego ucznia.

Gdy wypowiedziała ostatnie zdanie, podeszła do rosnącego najbliżej drzewa i oparła otwartą dłoń na korze. Leszy zwrócił twarz w jej stronę, jakby dopiero teraz jakimś cudem mógł się jej przyjrzeć. Elpis nic nie mówiła, stała po prostu bez ruchu, nie odrywając ręki od drzewa. Farys zrozumiał, że niewiele się pomylił, najwyraźniej czarodziejka w ten sposób przekazywała mu informacje o sobie, a mężczyzna, znając ją, mógł przysiąc, że ma do czynienia z cichą demonstracją siły. Duch lasu przez cały czas był skupiony i jakby zadumany, a chwilę przed tym, jak Elpis w końcu odjęła dłoń od kory, Farysowi wydało się, jeśli to było w ogóle możliwe, że jego bezkształtne oblicze się ożywiło i przybrało wyraz radości. Dziewczyna czekała, w każdej chwili gotowa skoczyć i zaatakować, nawet jeśli atak miałby okazać się równie bezowocny, jak rozpaczliwa próba ubicia rozszerezonego bawoła za pomocą dziecięcego mieczyka z drewna.

*Znam cię – w ich wnętrzach rozległ się jego głos. Czy mogłem się ciebie tu spodziewać? O tak... Spodziewałem się, ale czekałem tak długo, że straciłem rachubę upływającego czasu i w końcu przestałem się spodziewać. Jesteś córką dwugłowej Wilczycy, najstarszym dzieckiem Nienazwanej, która kiedyś miała imię, dobre imię, ale straciła je i od wielu wieków już go nie wymawiamy. Znasz imię Szarej Wilczycy?*

Czarodziejka pokręciła głową przecząco, bardzo powoli, zbyt zaskoczona, by odpowiedzieć w inny sposób. Leszy pochylił się i przykucnął na wprost nich, a Farys powstrzymał cisnący mu się na usta okrzyk grozy. Mimo tej zmiany pozycji, jego wysokość

została niezmieniona, a raczej zwiększył się on tak, że ostatnie poskręcane niczym sterczące do góry wiechcie słomy włosy, nadal znajdowały się na poziomie wierzchołków drzew. Elfka rzuciła nerwowe spojrzenie w kierunku swojego towarzysza, ale olbrzym zdawał się być skupiony tylko na niej.

*Rozumiem, rozumiem... Minęło wszak wiele lat. Nie znasz więc również swojego imienia. Widać jeszcze nie nadszedł czas. Pamiętam... To było dawno, bardzo dawno, tak. Pamiętam, że pustelnik w szarym płaszczu nazwał cię Nadzieją. Czy nadalnosisz takie właśnie miano?*

– Tak, chociaż zważywszy na wydarzenia ostatnich kilku tygodni, mocno chyba straciło ono na znaczeniu. Pustelnik, o którym mówisz, wyznaczył mi misję...

*Tak, dawno, bardzo dawno temu. Gdy las był młody, choć już potężny. Wtedy ty, za czasów mojej młodości, w ciele dziecka, deptałaś jego bezdroża. Często wtedy przecinały się nasze ścieżki, choć nie potrafiłaś jeszcze stać się Wilkiem. Wilki... Piętno, podstępem wypalone na tej pięknej planecie przez tę, która pierwsza upadła. Tego lasu nigdy jeszcze nie deptał żaden Wilk, to jest czas przed nimi, dlatego gdy cię ujrzałem, pędzącą tu w ciele Wilka, pospieszyłem, by wdeptać go w ziemię. Ale to ty, Nadzieja. Rozpoznałem cię. Wiele razem dokonaliśmy, wiele wielkich dzieł narodziło się w twojej głowie niczym świeża myśl, bez planu, a ja pomogłem nadać im kształt, jak wtedy, gdy nie chciałaś, by drzewa i Elfy umierały. Byłem jedną z niewielu chodzących po ziemi istot, którym się kłaniałaś. Pamiętasz?*

– Żałuję, ale nie, dostojny panie. Czarnoksiężnik wyrwał mi wiele wspomnień.

*Rozumiem. Leszy pokiwał w zamyśleniu wielką głową. Tak, ja to dobrze rozumiem. Wiesz ze sobą Człowieka. Czy to pożywienie?*

Farys drgnął, gdy dotarło do niego znaczenie zadanego dobrotliwym i zaciekawionym tonem pytania. Jeśli w trakcie trwania rozmowy Elpis zdawały się opuszczać podejrzliwość i nerwowe napięcie, teraz obie te rzeczy powróciły ze zdwojoną siłą.

– Nie – słowo zabrzmiało w jej ustach krótko i nieprzyjemnie, niczym wypuszczona z łuku ostrzegawcza strzała, poprzedzająca atak. – To towarzysz podróży. Przyjaciel.

*Przyjaciel? Zdumiewająca nowina, doprawdy. Nowina, która potwierdza to, że wkrótce czas się dopełni. Podejść no, przyjacielu. Niech i ciebie zobaczę. Nie lękaj się. Muszę jakoś cię rozpoznać, jeśli znów się spotkamy. Jeśli spojrzę na ciebie świadomie raz, już zawsze będę potrafił cię dostrzec.*

Farys spojrział niepewnie na Elpis, a ona bez wahania skinęła głową i zapraszającym gestem wyciągnęła ramię, a kiedy podszedł, nakazała mu zrobić to samo, co ona uczyniła przed chwilą. Teraz więc on stanął przed duchem lasu, opierając dłoń na jednym z jego drzew. Odczucie było tak dziwne, że w pierwszej chwili pomyślał o ucieczce, ale oparł się pokusie. To, co się z nim działo, można by porównać do wnikania w ciało miliona cienkich jak pajęczyna, delikatnych nici, za pośrednictwem których spojrzenie leszego mogło objąć całą jego istotę. Obserwując z boku niewzruszoną postawę czarodziejki był pewien, że Elpis panuje nad przekazywanymi obrazami, że kontroluje ich przepływ i że świadomie ukazuje olbrzymowi ich strumień, zdolna w każdej chwili go przerwać i zagrozić mu dostęp do swojego wnętrza. Nadal nie chciał porzucać tej wiary. Jeśli jednak o niego chodziło, macki leszego prześlizgiwały się po nim z łatwością, na jaką nie był przygotowany, trochę go to przerażało, tym bardziej, że rozumiał, że on nie może się łudzić posiadaniem choćby cienia kontroli.

W końcu, po długiej chwili, nici zaczęły z wolna się wysuwać, choć Farys był pewien, że nie wszystkie opuściły jego ciało. Kiedy nacisk, który odczuwał podczas tego badania, ustąpił, cofnął dłoń. Nadal odczuwał w niej dziwne mrowienie, spróbował rozetrzeć ją drugą ręką. Leszy podparł pozbawioną rysów twarz na splecionych dłoniach, zdając się nad czymś głęboko dumać.

*Człowiek, prawdziwy Człowiek. I Nadzieja pod postacią Wilczycy, wędrująca ramię*

w ramię z Człowiekiem, pozwalająca mu dosiadać swojego grzbietu, troszcząca się o niego. Nadzieja, którą znalazłem, o Ludziach miała zdanie jak najgorsze i nieraz jej radykalne metody objawiania swojego braku szacunku względem tej rasy, raziły nawet mnie.

– Panie – przerwała mu Elfka, zmienionym głosem. – Czy znaliśmy się długo? I czy... Jak dobrze poznałeś tamtą Elpis? Tę, której wspomnienie Kain mi odebrał?

*Jak dobrze? Lepiej niż czarnoksiężnik. Czarnoksiężnik często się mylił.*

– Tak, właśnie, błędził – podchwyciła. – A największy błąd popełnił chyba samotnie wyprawiając mnie do świątyni Lucyfera, kilka tygodni temu. Bo w chwili, gdy dotknęłam dziecka, coś zaczęło się zmieniać, coś zaczęło... wracać. A kiedy przydzielił mi właśnie taką drużynę, wróciło jeszcze więcej. Ale ja nadal nic z tego nie rozumiem. Gubię się wśród sprzecznych informacji, w sieć rzeczywistych wspomnień wplatając różnego rodzaju konfabulacje, będące próbą zapełnienia pustki. Ale to nie działa. Bo ja potrzebuję tylko jednego. Prawdy.

Duch lasu milczał, bardzo długo powstrzymywał się od odpowiedzi. Elpis nie przerwała ciszy, nie odwracając wzroku od nieruchomej figury kamiennego olbrzyma w szacie z mchu. Ta scena przedłużyła się tak bardzo, że Farys zaczął podejrzewać, że leśny dziadek zasnął, albo skamieniał rzeczywiście i nie ruszy się już nigdy, jednak również nie śmiał im teraz przeszkodzić. W końcu ich cierpliwość została nagrodzona.

*Prawda... Nie ma jednej obiektywnej prawdy. Twoja prawda znacznie różni się od prawdy czarnoksiężnika, moja jest jeszcze inna. Każdy organizm w tym lesie ma do opowiedzenia jakąś prawdę, swoją własną, odmienną od pozostałych, jednak równie ważną i pełnowartościową jak wszystkie. Zapytaj gniazdującej na ziemi samicy lelka, której młode porwała lisica, która sama jest matką i spieszy teraz z łupem do swoich szczeniąt. Dlatego prawda to niebezpieczny oręż, a rany za jej pośrednictwem zadane rzadko kiedy mogą się wygoić. Co, jeśli w twoim przypadku prawda wcale nie okaże się wyzwoleniem?*

Teraz z kolei Elpis milczała, ale jej zdobycie się na odpowiedź zajęło mniej czasu.

– Lelek i lis? – powtórzyła spokojnie. – Każda z nich ma własną prawdę i każda musiała ją zaakceptować, by przetrwać. Jedna jest zbyt słaba, by walczyć, więc musi trwożnie kryć się wśród kamieni i traw, druga by przeżyć, musi życie odbierać. Nie martw się mną, niezależnie od wszystkiego, poradzę sobie. W końcu to moja prawda.

Tym razem duch lasu zdecydował się o wiele prędzej.

*Wróć do mnie jutro. Swojego przyjaciela możesz zostawić lub zabrać ze sobą, to już twoja wola. Dziś przyszedł tu w zgoła innym celu i masz zobowiązania względem tego tu Człowieka, wypełnij je więc. Będę oczekiwał na ciebie po drugiej stronie parowu, nie będziesz więc zmuszona zmieniać się. Teraz, na pożegnanie, obdarzę cię dwiema przestrogami. Nie wolno mi powiedzieć zbyt wiele, zanim czas się dopełni. Chwila ta jest coraz bliższa, mogę więc udzielić ci kilku wskazówek, naprowadzić na właściwe tropy. Ty sama, lub z pomocą drużyny, o której wspominałaś, musisz odnaleźć swoją prawdę. Po drugie nie zamarudź i zjaw się jutro, to ważne. Kolejnego dnia przypada noc pełni księżyca, a wtedy po niebie przemknie Szał. Żadnemu z nas nie wolno chodzić po ziemi takiej nocy, nie będziesz więc miała tu czego szukać.*

Twarz dziewczyny zmieniła się na wzmiankę o Szale, ale trwało to tylko chwilę. Skinęła głową.

– Zjawię się.

*Więc dziś nie zostało już nic do dodania. Bywajcie i niech duchy tej ziemi mają was w opiece.*

Elpis skłoniła się, Farys poszedł za jej przykładem. Nim skończyli ukłon, po leszym nie było śladu. Lekki powiew wiatru znów zaczął poruszać gałązkami i liśćmi. W miejscu, gdzie

sekundy temu stał kamienny olbrzym, teraz rosło młode drzewko, gęsto pokryte kwiatami, których nigdy wcześniej nie widzieli, o nasyconej amarantowej barwie pierzastych płatków.

Elfka stała jak urzeczona, wpatrując się w przestrzeń przed sobą, jakby oczyma duszy nadal widzieć mogła ducha lasu i w swoim wnętrzu toczyła z nim rozmowę. Człowiek nie przerywał jej zadumy, pozwalając jej myślom błądzić i gubić się gdzieś wśród jak przez gęstą mgłę zapamiętanych ścieżek z czasów, gdy las był młody i porośnięty dziwnymi i pięknymi drzewami, których nazwy zapomniała, choć powinna pamiętać. Wiatr, bawiący się jej włosami i ubraniem, przynosił szept z dawnych lat, ciepło wiosen i ożywcze tchnienie zim, które przeminęły, a ona nie mogła wyrwać się spod ich uroku. Ocknęła się dopiero, gdy Farys wysunął przed siebie rękę, chcąc dotknąć kielicha jednego z kwiatów. Zatrzymała go w pół ruchu, nie jednak nie powiedziała.

Później oczywiście nie dała się przekonać, że na dziś dość już widział, że problemy z ogniem nie są właściwie problemami i że to nic pilnego, więc jeśli dziś nie pokaże jej wszystkiego dokładnie, chętnie uczyni to jutro. Wysłuchiwała uważnie wszystkich jego tłumaczeń, a potem poprowadziła go dalej tam, gdzie od początku planowali się znaleźć. W pewnym momencie drzewa, nie przerzedzając się wcześniej, po prostu się skończyły, a pod ich stopami ukazało się skaliste urwisko, na widok którego Farys poczuł się bardzo zmęczony i śpiący. Niestety Elpis potwierdziła jego obawy, oświadczając, że na dół trzeba będzie najzwyczajniej w świecie zejść. A potem wejść z powrotem. Szczęściem skakanie niczym kozica po kamieniach nie było konieczne, stromą ścianę można było obejść bokiem, gdzie wciąż rósł las, spadek był też o wiele łagodniejszy, a wybijające ponad głebę korzenie drzew i trafiające się dość często większe i mniejsze głazy tworzyły coś w rodzaju w miarę bezpiecznych schodów. Farys jak już nie raz podczas wędrówki z czarodziejką, Elfem lub Wampirem żałował, że zmysły ludzkie są tak przytępione w porównaniu do tych, którymi dysponowały wyżej wymienione rasy. Mimo tego defektu zejściu w dół nie towarzyszyły żadne niespodziewane przeszkody.

Równina pod urwiskiem była niemal pozbawiona drzew, jednak to nie ona miała stać się areną jego zmagania z ogniem. Elfka poprowadziła go wzdłuż ściany skalnej aż do miejsca, gdzie otwierał się w niej wylot sporej jaskini. Wstąpili w jej korytarz, początkowo wąski i niewysoki, jednak w każdym miejscu dość przestronny, by mogli poruszać się wyprostowani, idąc obok siebie, po kilkudziesięciu metrach rozszerzający się na kształt otwartej gardzieli jakiegoś prehistorycznego stworzenia, żyjącego w czasach młodości planety. Elpis oparła się plecami o jeden z wyrastających z podłoża skały stalagmitów, fantazyjnie uformowany na podobieństwo nachodzących na siebie coraz to nowych warstw rozdętych grzybów, pnących się coraz wyżej i wyżej i skrzyżowała ręce na piersi.

– Droga zajęła nam o wiele więcej czasu niż przewidywałam i z pewnością ta noc zmęczy cię bardziej, niż powinna. Wybacz.

– Przypominam, że ta cała wycieczka była moim pomysłem – wtrącił wesoło na przekór wyczerpaniu ducha i ciała.

– Fakt – zaśmiała się. – Zatem słucham i patrzę. Co chciałeś mi pokazać?

\*\*\*\*

Była pod wrażeniem. Kiedy udało mu się przywołać płomień niemal od razu, bez wcześniejszego długotrwałego skupiania się i wizualizacji. Kiedy języki ognia, posłuszne jego woli, rozkwitły mrowiem złoto-czerwonych kwiatów na szczytach stalagmitów. I potem, gdy na jego rozkaz płonące spirale otoczyły stalagnaty. Kiedy pomiędzy złotymi zaczęły pojawiać się czarne płomienie, okazała zaniepokojenie, ale gdy poprosił ją o zaufanie, niechętnie, lecz zrezygnowała z prób ingerencji i czekała. Gdy czerń całkiem unicestwiła złoto, a on z wysiłku zatoczył się i niemal upadł, gdy zaczął walczyć o oddech i powstrzymanie targających nim

dreszczy, była bliska dania sygnału do opuszczenia groty.

Wiedział, że tak właśnie zareaguje, dlatego zanim cokolwiek rozpoczął, wymógł na niej przysięgę, posłuszna której, czekała, niespokojnie tylko zerkając na wciąż jeszcze nie odciętą drogę ucieczki. Kiedy czarne płomienie powoli, bardzo powoli zaczęły się zmniejszać, osłupiała. Kiedy w kolejności odwrotnej do tej, w jakiej się pojawiały, zaczęły znikać, ukazując ukrytą pod nimi poczerniałą skałę, nie była już zdolna do reakcji, a na jej twarzy fascynacja mieszała się z przerażeniem. O tym, że nadal potrafi się poruszać, przypomniała sobie, gdy ostatnie z nich zamieniły się w smużki szarego dymu, a on zachwiał się i upadł, podtrzymując się oburącz skały pod swoimi kolanami.

Dopadła go, zanim osunął się na bok, dzięki czemu znalazł bezpieczne schronienie w jej ramionach. Przelękła się jego oczu, zawsze brunatne i ciepłe, teraz płonęły czernią i złotem. Była też pewna, że przez dłuższą chwilę po tym, jak odszukał ją wzrokiem, nie potrafił jej rozpoznać. W końcu jednak zgasł i płomień w jego źrenicach, a spojrzenie mężczyzny stało się przytomne. Uśmiechnął się do niej.

– Mówiłaś... – odkaszlnął i zaczerpnął głęboko powietrza. – Mówiłaś, że nie da się zgasić czarnego płomienia. Otóż... Ja właśnie potrafię. Pomyślałem, że powinnaś wiedzieć.

Zaraz potem stracił przytomność. Była obdarzona bystrym słuchem i wzrokiem Elfa, wyraźnie widziała pulsującą niemal normalnym rytmem tętnicę na jego szyi i słyszała uderzenia krwi o jej ścianki, a mimo to uspokoila się dopiero, gdy upewniła się co do prawdziwości tego, co widzi i słyszy za pośrednictwem dotyku. Zupełnie już niepotrzebnie sprawdziła jeszcze puls na nadgarstkach i częstotliwość uderzeń serca, przykładając ucho do klatki piersiowej mężczyzny. Nie wyczuła nic, co w jakikolwiek sposób odbiegałoby od normy. Fizycznie wydawał się pogrążony w głębokim śnie.

Elpis rozejrzała się po jaskini. Nic nie wskazywało na to, że ogień się znów pojawi. Jednak był tu z pewnością, realny i niszczący, czego najlepszym potwierdzeniem był obecny wygląd stalagmitów i stalagnatów. Poczula jak budzi się w niej chęć dotknięcia chociaż jednego z poczerniałych kamiennych pni, choć właściwie i bez tego była pewna, że skała rozsypie się pod jej palcami. Ale żeby wstać, musiałaby złożyć go na kamieniach. Spał cicho, z plecami wspartymi na jej kolanach a głową na piersi. Podniosła rękę do jego twarzy i odgarnęła z czoła i oczu splątane włosy. Na moment stanęła przed nią jak żywa scena z nie tak dalekiej przecież przeszłości. Obraz Oriole, srogiej i beznamyślnie wpatrzonych w nią samą, klęczącą u stóp biało-czarnego lasu i słowa, którymi białowłosa się wtedy do niej zwróciła.

*Nie jesteś Wilczycą, nie naprzeciw nich. Nie przywiodłaś tu bezwolnych szczeniąt. Jesteś gołębicą, która odnalazła pisklęta jastrzębia i zamiast pozwolić im szczenąć, zanim dojrzeją i rozszarpią jej ciało szponami, uniosła je na własnych skrzydłach.*

Nikt nie potrafił zgasić czarnego płomienia. Nikt z tych, których znała. Kain nie potrafił, ona sama nie potrafiła. A tu nagle on, Człowiek, naturalnie fizycznie z nich wszystkich najslabszy, wywodzący się z rasy nie potrafiącej biec tak długo i prędko jak Elfy, kryć się w lesie niczym driady czy wiele nocy pod rząd powstrzymywać się od snu na wzór Wampirów, dokonał tego na jej oczach, choć ona z pewnością nie potrafiła go nauczyć, nie mogła nawet dać mu wskazówek, podpowiedzieć czegokolwiek. Wierząc słowom Oriole, powinna się go bać. To, czego świadkiem była przed chwilą, zdawało się potwierdzać te słowa. Już teraz wydawał się od niej potężniejszy, choć kompletnie nie potrafił kontrolować swojej mocy, unicestwienie płomienia kosztowało go zbyt wiele wysiłku, nawet gdyby w walce zdusił w ten sposób ogień wroga, teraz był bezbronny. Na tym więc będą musieli się skupić, na utrzymaniu energii we wnętrzu ciała w równowadze, by możliwe było działanie bez zbędnego wyczerpania organizmu.

Uśmiechnęła się do własnych myśli. Jastrzębie pisklę, którego powinna się obawiać?

Zapewne tak. Nic nie mogła poradzić na to, że zamiast strachu czuła coś zgoła odmiennego.  
Dumę.



## Rozdział 20

### Czarne słońce

Promień słońca wślizgnął się przez utworzony dawno temu siłami natury maleńki świetlik w kamiennym suficie jaskini, znamionując odejście nocy i obwieszczając światu początek panowania dnia. Czarodziejka przez dłuższy czas obserwowała jego powolną wędrówkę po skałach, tworzących posadzkę pod jej kolanami, niecierpliwie czekając na moment, w którym rzucony przez niego blask i ciepło dotrą do twarzy śpiącego Człowieka. Jego sen trwał już bardzo długo, pozostali w miejscu ich nocnego obozu towarzysze z pewnością zaczęli się niepokoić ich losem. Jeśli chciała pozostać szczerą z samą sobą, ona również nie była wolna od niepokoju. Mimo kilkakrotnie czynionych prób, nie udało jej się nawiązać mentalnego połączenia z Pistisem, uwalniając myśl i nakazując jej podążanie w kierunku kapłana, za każdym razem napotykała na przeszkodę, niemożliwy do przebicia mur skoncentrowanej czerni, otulający szczelnym pancerzem jego myśli. Umysł Sylwana otworzył się przed nią dopiero po dłuższym czasie i tylko na czas niezbędny do zwięzłego przekazania mu informacji o ich położeniu i polecenia – czekajcie. Ze strony Wampira nie doczekała się jakiegokolwiek odpowiedzi poza potwierdzeniem przyjęcia jej komunikatu. Zapytać o nic więcej już nie zdążyła, ich połączenie zostało przerwane.

Nie groziło im żadne fizyczne niebezpieczeństwo, tego była pewna, zresztą była z nimi jeszcze Oriole, która przyrzekła mieć oko na zamieszkujące las mityczne stwory, traktowane przez nią niczym niewinne zwierzątka.

Pozostawała jeszcze Anate. Również niby pod rozkazami Pani Lasu, ale Elpis doskonale pamiętała zamieszkujące ongi ziemię driady i wiedziała, że jeśli coś można było o nich powiedzieć z całą pewnością, to właśnie to, że nie ścierpiałyby jakiegokolwiek władcy ponad sobą. Driady żyły w skupiskach, funkcjonujących w oparciu o dla siebie tylko zrozumiałe reguły, a może po prostu reguł pozbawionych. Nie wahały się, gdy przychodziło do rozbicia ich społeczeństw, rodzin czy innych grup, które tworzyły, zależności wewnątrz nich były zawsze niezwykle luźne i płynne. Czarodziejka nigdy nie spotkała nikogo, kto mógłby ogłosić się ich królową, dowódcą czy miał czelność im rozkazywać. To plemię zdawało się odpowiadać wyłącznie przed własnym sumieniem, a ono dopuszczało niemal wszystko.

Anate wydawała się niezwykle zdyscyplinowana, a spędzone w jej towarzystwie dni sprawiły, że między nimi dwiema nawiązała się nić ostrożnej sympatii. Być może jej nienaturalne przywiązanie do Oriole wynikało z tego, że obie były jedynymi przedstawicielkami swoich ras w tym dziwnym świecie, a wieczna samotność nawet tak niezależnej istocie, jaką była driada, przestała w pewnym momencie wystarczać.

Mimo tych wszystkich myśli Elpis nie zapomniała, kim jest dziewczynka o oczach w kolorze miodu i twarzy dziecka, które zbyt wiele widziało. Elfka była pewna, że Anate, uważnie ich obserwując i przebywając wśród nich długie godziny każdej chociażby nocy, jest już w stanie zrozumieć język, którym się między sobą posługują, nawet jeśli nie znała go wcześniej. Niezwykła zdolność do szybkiej adaptacji w nowych warunkach i nabywania obcych dla siebie umiejętności stanowiła często o bycie albo nie bycie dla przemierzających samotnie świat wojowniczek o ciałach młodych, delikatnych dziewcząt.

Elfka wiele oddałaby za to, by wejrzeć w umysł driady, ale jak do tej pory regularnie czynione przez nią wysiłki nie przynosiły absolutnie żadnych rezultatów. Wiele dałaby też za to,

by mieć ją teraz na oku. Musiała jednak pogodzić się z tym, że w tej chwili jej zdolność do obrony przed nią czy czymkolwiek innym Pistisa i Sylwana jest właściwie żadna i skupić się na swoim trzecim uczniu. Tym, którego głowa nadal spoczywała na jej kolanach, nad którego snem czuwała przez całą noc i pierwsze godziny poranka.

Nie chciała budzić go gwałtownie, wiedząc, że po omdleniu, które było skutkiem rzucenia zbyt silnego czaru, świadomość powinna powrócić sama, w możliwie najłagodniejszy sposób. Promień słońca, w którym pokładała nadzieję, leniwie wspinał się po policzku mężczyzny. Czarodziejka spokojnie czekała na moment, gdy dotrze do zamkniętych powiek. W końcu jej cierpliwość została nagrodzona. Farys mruknął coś niewyraźnie, zmarszczył nos, zacisnął mocniej powieki i usiłował odwrócić głowę, kryjąc twarz w fałdach jej szaty. Na to mu już nie pozwoliła. Odgarnęła włosy, przesłaniające jego czoło i uszy, budząc go delikatnym dotykiem, rozbawiona upartym, biernym oporem, jaki stawiał.

– Zbudź się, jastrzębie piskłę, czas nam w drogę – szepnęła bardziej do siebie niż do niego.

Zamrugął kilka razy i spojrzał na nią, nie do końca przytomnie.

– Jastrząb? – zamruczał niewyraźnie. – Nie możemy pozostać przy sokole?

Lekko uniosła w górę jedną brew i uśmiechnęła się do niego.

– Bredzisz? – zapytała rzeczowo.

Zamrugął jeszcze raz, a na dnie jego oczu pojawiło się zrozumienie. Dziewczyna była pewna, że dopiero teraz została przez niego rozpoznana. Zanim odpowiedział, przetarł oczy knykciami i usiłował wstać, ale gwałtowny zawrót głowy zmusił go do pozostania w pozycji leżącej.

– Tak i nie – przyznał w końcu. – Tak więc... Farys to imię przybrane, a czarnoksiężnik zakazał mi komukolwiek zdradzać prawdziwe. Włączając w to członków drużyny. Zważywszy na ostatnie wydarzenia, jego zakazy i nakazy nas już nie obowiązują, prawda?

– Prawda. Postępuj zgodnie z własnym sumieniem.

– Imię nadane mi przez ojca brzmi Falco. Co? – zapytał na widok iskerek rozbawienia w jej oczach.

– Nic – potrząsnęła głową. – Twój ojciec to z pewnością ciekawy Człowiek. Chciałabym go poznać. Póki co, miło mi poznać ciebie, Falco.

– Zostańmy przy Farysie. Nie wiem, dlaczego chciał, bym wyrzekł się prawdziwego imienia, ale ja mam swoje powody, by się go wystrzegać. Na przykład ochrona ojca i rodzeństwa. Dla nich lepiej, żeby nikt nie dowiedział się, kim jest i skąd pochodzi jeden z przepowiedzianych światu przeklętych jeźdźców zagłady.

– Jeśli nam się uda, nie będzie żadnej zagłady.

– Wiem. Jeśli się uda, będę zaszczycony i szczęśliwy, mogąc wprowadzić cię do mojego rodzinnego domu, pani. Aby jednak dom ten mógł przetrwać, pozostańmy przy Farysie.

Elpis popatrzyła na niego uważnie, żywiąc nadzieję, że z jej twarzy nie da się w tej chwili nic odczytać. Jeszcze nie tak dawno uparte trwanie przy przybranym imieniu, otrzymanym od kogoś, kto kiedyś był dla niej jedyną liczącą się osobą, a obecnie stał się najbardziej zniechęconym wrogiem, uznałaby za głupią fanaberię, zasługującą najwyżej na to, by skwitować ją pogardliwym wzruszeniem ramion i zlekceważyć. Teraz musiała przyznać sama przed sobą, że rozumie jego troskę o bliskich. Westchnęła.

– To ja będę zaszczycona – odpowiedziała, przenosząc wzrok na ściany jaskini. – Dziękuję ci za szczerość i zaufanie. Twój sekret będzie u mnie bezpieczny. A teraz spróbuj wstać. Powoli.

Przy jej nieznacznej pomocy udało mu się stanąć na nogach. Początkowe mdłości

i zawroty głowy ustąpiły stosunkowo szybko, a Człowiek zrozumiał, że jego osłabienie wynika raczej z głodu niż fizycznego zmęczenia. Bez narzekań i protestów, skupiając się już tylko na tym, by Elpis tego nie zauważyła, ruszył w ślad za nią w drogę do ich prowizorycznego obozu. Był przekonany, że swoim pokazem kupił Pistosowi o wiele więcej czasu, niż kapłan potrzebował dla wprowadzenia swoich zamierzeń w życie, nie wiedział jednak na pewno, co zastaną po przybyciu na miejsce. Mimo to pozwolił sobie na myśl, że wszystko poszło zgodnie z planem.

– Elpis to imię przybrane, a co do prawdziwego... – zaczęła nagle Elfka bez żadnego wstępu, jakby chcąc się zrewanżować za jego wyznanie, ale urwała w pół zdania.

Czekał z napięciem, starając się uchwycić wyraz jej twarzy, lecz pozostawała zwrócona do niego tyłem, wpatrzona w niewyraźny zarys ścieżki przed sobą. Szlak wydeptany przez zwierzęta, był doskonale widoczny dla kogoś, kto potrafił czytać ślady, a czarnowłosa czarodziejka z pewnością należała o takich osób. Uwaga, jaką mu poświęcała, była więc niepotrzebna, stanowiła tylko i wyłącznie tarczę między nią a nim. Mężczyzna poczuł irracjonalny niepokój, jakby podświadomość doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że nie powinien usłyszeć dalszego ciągu, jeszcze nie teraz. Chciał kazać jej przestać, ale nie umiał zdobyć się na wydobycie głosu ze ściśniętego nagłą zgrozą gardła. Może gdyby odwróciła się choć na chwilę, coś w jego twarzy nakazałoby jej milczeć, ale nie uczyniła tego. Nie mogła więc widzieć zmiany, jaka w nim zaszła, tak jak on nie mógł dostrzec pojawiającego się na jej wargach gorzkiego uśmiechu.

– Czarnoksiężnik jest na tyle bezczelną szumowiną, że nie znam prawdziwego – rzuciła z pozorną lekkością.

Farys z ulgą wypuścił z płuc powstrzymywane powietrze.

\*\*\*\*

Że coś jest nie tak, zorientowała się natychmiast po przybyciu na miejsce, gdzie reszta jej drużyny spędziła noc. Żadna z osób nie uskarżała się na nic i na pozór wszystko wyglądało normalnie, jednak coś podpowiadało jej, że nie może panującego w obozie napięcia zrzucić na karb niepokoju o jej i Farysa los. Przynajmniej nie tylko i wyłącznie. Powietrze zdawało się być ciężkie i gęste, przesycone nagromadzonym w nim ładunkiem grozy i przesiąknięte zapachem magii, który wcale się jej nie spodobał. Wampir był ponury i milczący, Elf pobladły, jakby nie spał przez kilka ostatnich nocy, a gdy na prośbę Farysa wstał z ziemi, na której siedział, by podgrzać nad małym ogniskiem resztę śniadania, zbladł jeszcze bardziej. Mimo iż przygotowanie posiłku nie wymagało użycia siły, jego puls przyspieszył, a na czoło wystąpiły kropelki potu. Oboje unikali jej wzroku, co więcej, gdy tylko znaleźli się na miejscu, Farys też starał się nie patrzeć jej dłużej w oczy. Zaalarmowało ją to od pierwszej chwili, zirytowało chwilę później.

– Spóźniliście się – kapłan przerwał w końcu ciszę.

– Spotkaliśmy kogoś – odpowiedziała powoli, uważnie obserwując załamujące się w swoim rytmie, nieregularne uderzenia pulsu na jego skroniach.

Elf długą gałęzią przemieszał chrust, wydobywając z ogniska większy płomień. Uwadze dziewczyny nie uszedł nienaturalny sposób, w jaki mrużył oczy, patrząc w płomień, jakby ich widok sprawiał mu ból. A także to, że niby przypadkiem ustawiał się tak, by jego twarz pozostała dla niej częściowo niewidoczna. Przeczucie, którego nie potrafiła nazwać, na moment zmroziło jej krew w żyłach.

– Kogo takiego? – rzucił niby od niechcienia, za wszelką cenę starając się nadać głosowi normalne brzmienie.

– Starego przyjaciela. Co na to Oriole? – zapytała, ruchem podbródka wskazując na płonące drewna.

– Nie ma nic przeciwko. Anate wytłumaczyła nam, że umarłe drzewa można palić – prawie udało mu się zapanować nad drżeniem głosu, zdradziły go ostatnie słowa.

Wampir uparcie milczał. Człowiek za to zrobił się nagle podejrzanie gadatliwy, nieskładnie opisując im postać leszego. Mimo iż nikt nie zdawał się go naprawdę słuchać, Pistis w pewnym momencie poderwał gwałtownie głowę, okazując zainteresowanie o wiele bardziej żywe, niż należało. Równie szybko, za szybko, opuścił wzrok na splecione na kolanach dłonie. Elpis obserwowała ich wszystkich spod wpeł zmrużonych powiek, coraz bardziej upewniając się w przekonaniu, że coś tu cholernie nie gra. Nie potrafiła tylko znaleźć odpowiedzi na podstawowe pytanie – co? W końcu poczuła, że ma dość.

– Zapytam tylko raz – zaatakowała bez uprzedzenia, sprawiając że Człowiek natychmiast zamilkł, a Elf jeszcze bardziej uciekł spojrzeniem w bok. – Zapytam raz i nie ważne, jaką odpowiedź od was otrzymam, bo doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że może być tylko jedna. Jeśli jednak wyczuję w głosie któregoś z was najlżejsze zawahanie, potraktuję całą trójkę tak silną sondą myślową, że przez tydzień będziecie rzygać niczym młode kocięta. Czy jest coś, o czym powinnam wiedzieć?

Najpierw zgodnie milczeli, a Elpis nie umknęło szybkie, niepewne spojrzenie, jakie Farys rzucił w stronę Pistisa. Wampir nie zmienił pozycji, zdając się całkiem pogrążony we własnych niewesołych myślach.

– Nie, pani – odpowiedział spokojnie Pistis, wstając i śmiało patrząc jej w oczy.

– Nie – potwierdził szybko Farys.

Zbyt szybko. Znów.

Elpis przeniosła pytający wzrok na Sylwana, a Wampir podniósł na nią swoje dziwne oczy. Sprawiał wrażenie rozdartego pomiędzy wściekłością a jakimś innym, bardzo intensywnym uczuciem, którego Elfka nie potrafiła nazwać. Przez bardzo krótki moment pozwoliła sobie nawet na nadzieję, że od niego czegoś się rzeczywiście dowie.

– Nie ma nic takiego – warknął w końcu.

Przez chwilę wodziła wzrokiem po ich twarzach, nie potrafiąc ukryć rozczarowania, podczas gdy oni z równym powodzeniem starali się zamaskować niepewność i rozgoryczenie. Nagle ulotniło się gdzieś całe zadowolenie z wyczynów Farysa, których dzisiejszej nocy była świadkiem, wszystko gdzieś się ulotniło, pozostawiając zniechęcenie i żal, którego obecność ją samą zdziwiła. Każdy z trójki mężczyzn zrozumiał, że zawiedli jej zaufanie, zanim jeszcze w jej głowie pojawiła się taka myśl. Żaden się nie odezwał ani nie zmienił pozycji. W końcu i ona zrozumiała.

– W porządku – rzekła sucho. – Jak chcecie.

Odwróciła się i odeszła, szybko ginąc wśród gęstych krzewów. Kiedy ucichł szelest jej kroków, osłabione po kontakcie z krwią i czarną magią ciało Elfa w końcu odmówiło posłuszeństwa i kapłan ciężko usiadł tam, gdzie stał, oburącz podpierając się ziemi rozdygotanymi dłońmi.

– Przez moment była ze mnie dumna – gdzieś z daleka dobiegł go głos Farysa. – Ze mnie. Z Człowieka. Przez moment... Ty lepiej nic już dziś nie mów! – uciął ostro, widząc, że Elf otwiera usta.

Wampir ze złością cisnął w ognisko gałązkę, którą obracał w palcach.

\*\*\*\*

Niemal w tej samej chwili, gdy nadal działająca i czyniąca szkody w ciele Pistisa krew zmusiła go do przybrania pozycji siedzącej, Elpis była już daleko. Dokładniej – zastygła w bezruchu z obnażoną Mnemozyną w ręku. Sztych miecza spoczywał na szyi nieruchomej postaci, kucającej w trawie u jej stóp.

– Nie obchodzi mnie, jak wielką mocą dysponujesz. Jeśli choć jednej z nocy któryś z nich zbudzi się z krzykiem z koszmaru, który ty sprowadzisz... Jeśli popłynie choć kropla ich krwi i ta krew będzie na twoich rękach. Jeśli zaszкодzisz im w jakiś sposób; nieważne, magią czy mieczem. Zabiję cię.

Jej głos był zimny, wibrowała w nim ponura wzdarda i doskonale kontrolowana wściekłość. Przez dłuższy czas trwały w bezruchu, dwie figurki dawnych wojowniczek obrócone w kamień jakimś potężnym zaklęciem. Tylko unoszone przez wiatr włosy upewniłyby obserwatora, że postacie żyją. I oczy. Czarne, spokojne i lekko znudzone; i zielone, w których ścierały się w szalonym tańcu wściekle błyskawice, całkowicie przeczące opanowaniu i pewności wypowiedzianych słów.

Potem Elfka szybkim ruchem cofnęła miecz, wywinęła ostrzem młynka w powietrzu, by na koniec pewnie wsunąć broń w przytroczoną do pasa pochwę i nie oglądając się za siebie, odejść. Oriole ze stoickim spokojem wróciła do ścinania delikatnych, przypominających pokrzywę liści ziela snów.

\*\*\*\*

– Dosyć! Nie zrobisz tego po raz drugi, chyba że po moim trupie!

Sylwan wstał gwałtownie, zaplatając ramiona na piersi i patrząc ze złością na Pistisa, który drżącą dłonią wrzucał na wrzątek odmierzone liście z woreczka, ukrytego na dnie podróżnej torby. Elf nic nie odpowiedział, uniósł tylko głowę i przez chwilę spoglądał na towarzysza, prosząc bez słów, ale mars na twarzy Wampira nie zniknął, pogłębił się jeszcze.

– Spójrz tylko na siebie. Cały dygoczesz, jakby spalała cię gorączka. Na twoje żalosne próby przekonania jej, że wszystko jest w porządku, nie nabrałoby się nawet dziecko. Dziś wróciła na tyle późno, że nie nalega na dalszą wędrówkę, ale co zamierzasz zrobić jutro? W takim stanie być może utrzymałbyś się na końskim grzbiecie bez wzbudzania większych podejrzeń, przynajmniej do chwili, w której nie runąłbyś z hukiem w trawę, ale nie ma mowy o tym, byś zdołał iść. Elpis nie jest ślepa, do jasnej cholery!

– Oriole powiedziała, że po wypiciu liści poczuje się lepiej – zważywszy na jego słabą kondycję, głos kapłana tym razem zabrzmiał pewnie i jasno.

Sylwan ze złością kopnął leżący nieopodal kamyk, który wpadł między rozżarzone drewno, wznecając pióropusz iskier. Pistis drgnął nerwowo.

– Lepiej? Twój wczorajszy stan po wypiciu naparu nie miał nic wspólnego z „lepiej”. To było narkotyczne odurzenie, bardzo silny trans. I jeśli dziś nie będzie głębszy, to ja jestem Elf. Rób co chcesz, ale ja po raz drugi nie wezmę w tym udziału – odwrócił się, by odejść, ale nagle w jego głowie pojawił się o niebo prostszy i genialny w swej prostocie pomysł.

Nie myśląc nad nim, od razu przystąpił do działania. Powrócił do poprzedniej pozycji i wyrzucił przed siebie rękę koncentrując się na wezwaniu mocy. Zdążył poczuć, jak magia daje o sobie znać irytującym mrowieniem w opuszkach palców, a zaraz potem zalała go fala zimna, jakby lodowy wodospad gwałtem wdarł się do jego ciała, roztrzaskując w pył formujący się czar. Uśmiechnął się, ukazując kły i zaklął w duszy, patrząc na stojącego przed nim Pistisa. Oczyma wyobraźni widział już, jak garnuszek, koziołkując w powietrzu, odlatuje daleko od nich, gubiąc po drodze swoją diabelską zawartość. Stałoby się tak niechybnie, gdyby Elf błyskawicznie go nie zablokował.

– Zwariowaliście obaj? – Farys znalazł się między nimi. – Dość! Powiedziałem, dość! Zaraz wezwę Elpis!

– Śmiało – Wampir rozluźnił się i wzruszył ramionami.

– Ani mi się waż! – zaprotestował w tej samej chwili Elf.

Przez jedną, pełną napięcia chwilę Pistis i Sylwan mordowali się nawzajem spojrzeniami,

ale żaden z nich nie przekroczył granicy wyznaczonej przez wyciągnięte ramiona Farysa. W końcu kapłan uciekł w bok spojrzeniem i westchnął z rezygnacją.

– Proszę was... – wykrztusił cicho, ale wyraźnie. – Proszę.

Farys powoli opuścił ramiona, Sylwan parsknął ze złością i pokręcił głową.

– To szaleństwo. Wiesz o tym.

– Zaraz. Chyba sporo mnie ominęło. Co dokładnie wydarzyło się wczoraj? – zapytał Człowiek.

– Najpierw wypił narkotyk – zaczął Sylwan po chwili milczenia. – Potem napiła go krwią. Moją krwią. Zmieszaną z krwią Anate, która jest nikim innym jak... Nie przerywaj mi! – ryknął w stronę kapłana. – Nasza trójka nie będzie miała przed sobą żadnych tajemnic! To mój warunek. Dość absurdalnych sekretów i niedopowiedzeń. Wystarczająco dużo ich nas otacza, nie potrzebujemy tworzyć własnych. Jestem za tym, by wtajemniczyć we wszystko Elpis. Nie chcesz – twoja wola, na razie. Ale, do licha, jeśli mamy solidarnie nadstawić za ciebie karku i narażać się na słuszny gniew naszej wspólnej mistrzyni, mamy prawo wiedzieć o wszystkim. Wyrażam się dostatecznie jasno?

Pistis niechętnie, ale ustąpił i za jego pozwoleniem Sylwan opowiedział wszystko, czego ich dwójka dowiedziała się wczoraj od Oriole. Także o pochodzeniu małej driady i kompletnej porażce jaka stała się udziałem kapłana, który nie ujrzał nawet skrawka sukni Belial, za to cały czas kurczowo trzymał się wspomnień z dzieciństwa Elpis, których najprawdopodobniej nawet ona dawno już nie pamiętała. Kiedy skończył, Człowiek poczuł, że jemu samemu bardzo przydałby się teraz jakiś silnie i szybko działający otępiający narkotyk.

– Klęczałem nad tobą, a ty rzucałeś się jak ryba, wyciągnięta z wody – syczał Wampir z trudem panując nad emocjami. – Bardzo długo. Potem w ogóle przestałeś się ruszać, a jeśli miałbym porównać twój stan z czymkolwiek, powiedziałbym o nieboszczyku, który dopiero co przekroczył próg i przeszedł na drugą stronę. Klęczałem nad tobą i potrzasałem cię za ramiona, myśląc tylko o jednym – że jeśli Elpis powróci, zanim się przebudzisz, jak nic zabije mnie, a razem ze mną driadę i białowłosą wiedźmę. I z całych sił pragnąłem pierwszego miejsca w tej kolejce, bo za nic nie chciałem oglądać wtedy jej twarzy ani patrzeć jej w oczy...

– Nie pamiętam tego – wtrącił Elf niemal spokojnie.

– Ale ja pamiętam. I nigdy nie zapomnę przerażenia, jakie wtedy czułem. Wiesz, jakie trudne jest dla mnie ukrywanie przed nią czegoś takiego?

Nie odpowiedział, zresztą słowa Sylwana tylko z pozoru były pytaniem, nie wymagały żadnego komentarza. Zatajenie czegokolwiek było zadaniem niemal ponad siły i to nie tylko z powodu istniejącej pomiędzy nimi więzi, której ciężar odczuwali coraz boleśniej każdego dnia. Magiczne połączenie między uczniem a mistrzem, o którym kiedyś z lekko sceptycznym nastawieniem słuchali z ust czarodziejki, teraz stawało się wciąż i wciąż mocniejsze, będąc jednocześnie źródłem bólu i rozkoszy. Niczym twarda, żelazna pieczęć, położona na żywym i czującym organie, jakim jest serce, z każdym wybijanym przez nie tonem odciskająca swoje piętno, głębiej i bardziej boleśniej. Wiedzieli przy tym doskonale, że woleliby raczej zginąć, niż pozwolić komukolwiek choćby dotknąć pieczęci i zabrać ten ból. Był ważny i potrzebny. Bardziej niż oddech. Tak bardzo, że nie raz każdy z nich zadał sobie przerażające pytanie – jak wcześniej mogli funkcjonować, nie odczuwając go?

– Nie chcę, żeby mierzyła się z Lucyferem. Już wystarczająco dla nas zrobiła. Teraz my musimy zrobić coś dla niej. Ona nie przyjmie pomocy. Ale ja przysięgałem – powiedział Elf bardzo cicho, kołyszając w rękach garnuszek i pozwalając naparowi stygnąć.

Długo milczeli, zasłuchani w odgłosy nocy i szepty pochodzące z własnych wnętrz. Liście ziela snów w mroku zmierzchu wydały się kapłanowi martwymi czarnymi motylami. Pod

wpływem tej myśli zadrżał, zdjęty nagłą zgrozą. Wampir z zaciętą miną patrzył w zawieszony nad nimi księżyc, który jutro miał znaleźć się w pełni. Ten widok coś przypominał Farysowi. Opowiedział towarzyszom o Szale, o którym wspominał leszy i o reakcji Elpis na wzmiankę o nim.

– Nie sędzę, żeby jurto łatwo było się jej pozbyć. Najlepiej będzie jeśli dziś uda ci się dokonać tego, co zaplanowałeś. Ona chyba lęka się Szału, pewnie będzie chciała mieć nas na oku. Myślicie... – głos mu się zmienił, zadźwięczał w nim szacunek i strach. – W mojej wiosce często podczas długich, zimowych wieczorów, starsi opowiadają niestworzone historie, których młodzi słuchają z zapartym tchem. Pewnie, że większość to brednie, ale... Każda fantazja wyrosła z ziarna prawdy, czyż nie? Jedna z legend opowiada o bandzie upiornych jeźdźców pędzących po niebie, wiedzionych przez przekłętą watażkę z samych piekieł. Nazywamy ich Dzikim Łowem, bo ponoć widziadła jadą w pełnym myśliwskim rynsztunku, z psami, przy dźwięku rogów. Zdarza się, że kogoś porywają, unoszą ze sobą, po to, by zrzucić go wiele kilometrów dalej, bez zmysłów, oszalałego z przerażenia. Czasem ich śladem podąża czerwony kur, giną całe wioski...

– Wśród Elfów również krąży podobne podanie – wtrącił Pistis. – Nic mi nie wiadomo o strojach czy uzbrojeniu łowców, ale co do psów, które jakoby miałyby podążać z nimi... Ojciec opowiadał, że jeźdźcy nie mają rumaków, niosą ich Wilki, większe od koni. Nazywamy ich Wilczym Gonem lub Jeźdźcami Szału. Nie wiem, czy to prawda, nigdy ich nie widziałem, słyszałem tylko... – zająknął się, nagle z brutalną jasnością zdając sobie sprawę, że leszy, który nie tak dawno sam zdawał się być tylko legendą, a którego dwoje z nich spotkało zeszłej nocy, powiedział wyraźnie, że również ta legenda jest prawdziwa.

Znów przez dłuższy czas cała trójka milczała, pozwalając ciszy na wygaszenie negatywnych emocji. Elf siedział na ziemi, lekko dmuchając na wciąż parujący dekolt z ziela snów i cisu. Wampir przechadzał się w pobliżu ogniska z rękami założonymi na piersi, starając się opanować wzburzenie, Człowiek bezmyślnie obserwował języki ognia, zachłannie liżące drewniane szczapy. Przestał dopiero, gdy zorientował się, że niechcący coraz bardziej roznieca ogień, który zaczął pełznąć po trawie wokół stosu, niemal dosięgając szaty kapłana.

Naraz wszyscy trzej zerwali się na równe nogi, Sylwan i Farys wsparli dłonie na rękojeściach mieczy, a Pistis silniej zacisnął palce na garnuszku z narkotycznym napojem. Alarm okazał się fałszywy. Spośród liści leszczyny wychynęła Anate, wpatrując się w nich poważnym spojrzeniem miodowych oczu. Od wczorajszego seansu nie widzieli jej ani razu, tylko Oriole pokazała się na chwilę około południa, wręczając Pistisowi nową porcję liści i igieł. Teraz gdy driada nadeszła, poczuli jednocześnie ulgę i lęk. Pistis odszukał twarz Sylwana, oblicze Wampira nie wyrażało absolutnie nic. Przez moment stał bez ruchu, po czym szybkim krokiem podszedł do kapłana.

– Rób, co musisz – rzucił bezbarwnym głosem.

Elf uniósł naczynie do ust i pijąc długo, jakby pokonując opór własnego organizmu, opróżnił je. Kiedy na dnie garnuszka zostało tylko kilka kropli i kiedy ten wysliznęła się z bezwładnych nagle palców, a Pistis spazmatycznie chwycił powietrze i zachwiał się, Sylwan był obok, by go podtrzymać. Posiadając uszy o wiele wrażliwsze od ludzkich, potrafił uchwycić każdy pojedynczy odgłos pracującego w nierównym rytmie serca, a to co słyszał, wcale mu się nie podobało. Pamiętając, co przyrzekł przyjacielowi i rozumiejąc, że jego działania w pewnym sensie wynikają ze słów, jakie dwie noce temu usłyszał od niego i Farysa, nie zgadzał się z nim, lecz pomagał, asekurując go w drodze na spotkanie z białowłosą czarodziejką, jednocześnie pragnąc z całej duszy, by Elpis – nie ważne już, jak bardzo wściekła – wpadła pomiędzy nich i rozgoniła ich na cztery wiatry, nie dopuszczając do dalszego ciągu tego szaleństwa, w którym

uczestniczyli. Farys postępował obok, myśląc o tym, że jednak nie do końca sprawiedliwie ocenił Elfę. Jeśli chciały, potrafiły być niezwykle uparte.

W górze, ponad ich głowami rozległ się potępieńczy wrzask wieszczego. Farys zaklął głośno, z trudem powstrzymując się, by nie cisnąć w miejsce, z którego darł się nocny wyjec, jednym ze swoich długich noży. Wiedział, że straszdyło nie opuści ich przez dłuższy czas i skacząc po konarach drzew, będzie im towarzyszyć w dalszej drodze.

\*\*\*\*

Samotna czarodziejka, eskortowana przez wszechobecne leszanki, znalazła się w pobliżu parowu wcześniej, niż by sobie życzyła. Dotarłszy na miejsce, gdzie jej dwaj uczniowie obozowali i ujrawszy stan, w jakim był jeden z nich, postanowiła od razu, że dziś nigdzie nie pójdzie. To było oczywiste i nie wymagało przemyśleń; jeśli była im potrzebna, to było ważniejsze i liczyło się bardziej niż wszystkie słowa, jakie miał dla niej leszy. Wystarczyło kilka chwil, by sytuacja uległa diametralnej zmianie. Mimo że jej potrzebowali, świadomie wyrzekali się jej pomocy, odgradzając się i nie dopuszczając jej do swoich wnętrz. Nic nie rozumiała. Nie potrafiła wytłumaczyć sobie ich zachowania, a co gorsza sama przed sobą nie umiała wyjaśnić swojej na nie reakcji.

Zdradzona i niezwykle skutecznie znokautowana. Tak właśnie się poczuła. Gdyby ktoś ją zapytał, odpowiedziałaby z zimną wzdargą, że pozostawiła ich samych sobie zgodnie z ich życzeniem, bo jej uczniowie nie są jej niewolnikami i mają prawo do samodzielnych decyzji i sekretów. Nawet przed nią. Wiedziała jednak, że taka odpowiedź byłaby niczym innym jak oszustwem, nieudolną próbą zamaskowania właściwych motywów jej ucieczki. Bo tym właśnie była dzisiejsza wyprawa – ucieczką. Rozpaczliwym poszukiwaniem kryjówki, w której nie dościgną jej ich pełne zakłopotania i poczucia winy spojrzenia, gdzie nie będzie wbrew sobie wciąż próbować nawiązać z nimi połączenia, po to tylko, by z poczuciem zdrady i straty czegoś bardzo cennego, z istnienia czego właśnie zaczynała zdawać sobie sprawę obserwować, jak jej myśli rozbijają się o wznoszone przez nich sztańce. Wiedziała, że odpowiednio zwiększając siłę nacisku, była w stanie roztrzaskać zaporę. W zawiłym labiryncie magicznych ścieżek wciąż byli nowicjuszami, czyniącymi niewiarygodnie szybkie postępy, potencjalnie groźnymi nawet dla niej, ale póki co słabszymi, jednak czuła wewnętrzny sprzeciw wobec stosowania przeciw nim przemocy.

Co więcej, nie potrafiła wyzbyć się do cna przerażającego przeczucia, że oto historia, której uczestnikiem była dawno temu, właśnie się powtarza. Już kiedyś w jej życiu był ktoś, na kim jej zależało i kto zamknął się przed nią, a ona walczyła sama ze sobą, nie chcąc go zniewolić, ale nie potrafiąc też spokojnie przyjąć odtrącenia. Co zrobiła? Gdzie był i kim był? A może kim byli? Czy miała już kiedyś ucznia? Uczniów...

Zatrzymała się gwałtownie, przerywając niespokojne krążenie tam i z powrotem i przyłożyła palce do obolałych skroni, rejestrując z irytacją, że opuszki lśnią srebrzyście. Obecna w niej magia za wszelką ceną domagała się uwolnienia i Elfka szczerze żałowała, że nie znajduje się na pustyni i nie ma przed sobą góry, którą mogłaby roztrzaskać w drobny pył.

– Kain! – warknęła przez zaciśnięte zęby. – Jak ja cię nienawidzę, do jasnej cholery... Co jeszcze mi zabrałeś? Co mi zabrałeś?! Kogo?! – ostatnie słowa wykrzyczała gdzieś w przestrzeń.

Krzyk nie przyniósł ulgi. Zacisnęła powieki i usiadła na wyrastającym z ziemi dużym kamieniu, splatając ze sobą palce obu dłoni i z całych sił dążąc do unicestwienia formujących się srebrzystych nitek mocy. Zabicie zakłęcia bolało. Ból pomagał bardziej od krzyku, ale był niewystarczający. W pewnej chwili coś przyszło jej do głowy.

Uniosła jedną z dłoni, łącząc ze sobą kciuk i palec wskazujący i skupiając się na przekierowaniu mocy tylko w miejsce złączenia. Następnie powoli rozdzieliła palce, obserwując



jak między nimi formuje się maleńkie, srebrzyste kółeczko. Gdy skończyła, trzymała na dłoni lśniący krążek o kilkumilimetrowej średnicy, materialny i niematerialny zarazem, delikatny i twardy, niczym jedno z ogniw misternego łańcuszka, wykute z nieznanego naturze materiału. Krytycznie obejrzała swoje dzieło i bez namysłu cisnęła je precz w trawę rosnącą wokół kamienia, na którym siedziała. Nerwowo przeczesła palcami włosy i wzięła głęboki oddech, a po chwili spróbowała jeszcze raz. Kółeczko utworzone teraz było mniejsze i na oko delikatniejsze, dziewczyna wiedziała jednak, że włożyła w jego powstanie więcej i że jest o niebo twardsze, a jego wytrzymałość nie może się równać z pierwszym. Jakiś czas ważyła je na dłoni, patrząc i starając się nie myśleć o niczym, a potem utworzyła kolejne, połączone z pierwszym, a zaraz po nich trzecie, łączące się z dwoma poprzednimi.

Powolne przekuwanie czaru w materialny twór było niczym metodyczne przykładanie rozżarzonego pręta wciąż w to samo miejsce na ciele – otepiało, przynosząc zapomnienie i ulgę. Wiedziała, że po wszystkim będzie wyczerpana i będzie potrzebować krwi, której nie zdoła zdobyć, ale nie przerywała. Pochłonięta swoim dziełem nie zauważyła momentu, w którym umknęły leszanki, a powietrze wokół zageściło się do tego stopnia, że żywa istota musiałaby mieć problem z oddechem. Kiedy stanął przed nią leszy, w dłoniach dziewczyny znajdował się spory pasek dziwacznej, mieniającej się przy najdrobniejszym poruszeniu tkaniny.

Przerwała i sztywno skłoniła się przed duchem lasu. Pozbawiona rysów twarz bardzo długo wpatrywała się w lśniące w mroku oczy dziewczyny.

*Cóż to jest?* – zapytał leszy, wskazując na trzymany przez nią splot.

Wzruszyła ramionami, chcąc odpowiedzieć, że właściwie to nic i cisnąć i to dzieło w trawę, gdy nagle zrozumiała, co takiego postanowiła, sama nie zdając sobie sprawy z postanowienia. Otworzyła dłoń i opuściła wzrok na gąszcz połączonych ze sobą kółeczek, jakby po raz pierwszy naprawdę go dostrzegła.

– Zbroja, zaczątek kolczugi – powiedziała na głos, dziwiąc się, że jeszcze sekundy temu ona sama tego nie rozumiała. – Taka której miecz ani czar nie będzie się imał. Bywam impulsywna, a oni... zaczynają mnie irytować. No i są śmiertelni. A ja nie pozwolę już nic sobie odebrać, nie zgadzam się na żadną stratę.

Leszy pokiwał głową, zdając się pojmować więcej, niż ona potrafiła w tej chwili powiedzieć.

*Nadzieja, którą znałem, nie dostrzegala swoich ograniczeń. Poza tym była przekonana, że może wszystko, a wszelkie próby zablokowania traktowała jak zniewagę, którą należy zmyć krwią.*

Czarodziejka nie potrafiła określić, czy w słowach olbrzyma kryje się podziw, tęsknota, nagana czy coś jeszcze innego. Podrzuciła w górę głowę, śmiało na niego patrząc.

*Nadal mogę wszystko. Jestem jednak bogatsza o wiedzę, że nie zawsze naprawdę chcę tego, co akurat robię. Czasem żałuję. Nie chcę żałować.*

Duch lasu przykucnął na ziemi naprzeciw niej, powiększając się tak, że mimo zmiany pozycji, czubek kamiennej głowy nadal równał się z wierzchołkami drzew.

*Nie przeszkadzaj więc sobie. Ja będę mówił, a ty pracuj dalej. To równie ważne.*

Ponownie skłoniła się przed nim i znów opadła na kamień. Natychmiast też podjęła przerwane tworzenie połyskujących w świetle księżycy kółeczek, wplatając je w istniejący wzór. Rozżarzony pręt znów zaczął dotykać ciała. Powitała ból z radością. Był znajomy i potrzebny. Ratował przed obłędem.

\*\*\*\*

Kiedy Człowiek, Elf, Wampir i driada znaleźli się przed obliczem białowłosej Pani Lasu, księżyc wędrował już wysoko po niebie. Sylwan musiał przyznać, że Oriole nie kłamała,

mówiąc, iż po wypiciu naparu z liści elficki kapłan poczuje się lepiej. Mężczyzna szedł bez żadnej pomocy, a jego twarz znów nabrała naturalnych kolorów, jeśli w ogóle można tak powiedzieć o obliczu oświetlonym trupioblada poświatą miesiąca.

Dzięki temu, że nie uszli dziś nawet kilometra, dziewczyna oczekiwała na nich w dokładnie tym samym miejscu, które było sceną dla wydarzeń poprzedniej nocy. Miała na sobie tą samą prostą białą suknię, opadającą na bosc stopy. Podobnie jak wczoraj, Anate spiesznie zajęła miejsce u jej boku. Po obu stronach białowłosej, choć w znacznym oddaleniu od niej, dostrzegali ułożone w niewielkie stosy szczapy martwego drewna. O jeden z nich wsparta była gotowa do podpalenia pochodnia, nigdzie nie dostrzegli jednak śladu płomienia. Wokół czarodziejki trzepotały, mieniąc się w rozbłyskach czystego błękitu, bardziej niż zazwyczaj liczne ondyny, żywiołaki wody. Część z nich natychmiast opadła na ramiona Pistisa. Oriole pozdrowiła ich oszczędnym skinieniem głowy, uśmiechając się lekko, gdy jej wzrok spoczął na Elfie.

– Jesteś uparty, kapłanie. To niebezpieczna cecha.

– Nie jestem kapłanem, pani – odpowiedział na pozdrowienie, nie odwzajemnił jednak uśmiechu. – Przestałem nim być w chwili, gdy przysięgałem tej, która stała mi się droższa ponad wszystko. Wraz z tą chwilą przestałem służyć jakimkolwiek bogom.

Nie potrafił tego wytłumaczyć, ale czuł, że tymi słowami zdobył jej aprobatę. Podeszła kilka kroków w jego stronę, jej włosy zaślniły srebrzyście w blasku gwiazd, suknia zaszeleściła na trawie, oczy zamigotały. Woń piór i deszczu, zwielokrotniona przez miarowy szelest motyli skrzydeł, uderzała do głowy.

– Słowa twoje płyną z serca i nie mogę odmówić im szczerości, a jednak nie są wolne od błędu – odpowiedziała poważnie. – Strzeż się, kapłanie. Nim wąż złapie zębami swój ogon, wiele rzeczy stanie się jasnym, ale prawda cię nie wyzwoli.

Nie dając mu czasu na reakcję, obróciła się płynnie i wzniosła w górę otwarte dłonie, w tym samym momencie z dwóch stosów jednocześnie strzeliły skry, a pracowicie zgromadzone drewno zajęło się ogniem. Jak na komendę Anate zapłasała między dwoma ogniskami, do muzyki wiatru i trzasku iskier. Sylwan ze stoickim spokojem mruknął coś o kuglarskich sztuczkach, wkładając w te dwa słowa tyle wzgardy i zimnego opanowania, na ile pozwalał wzbudzony nagle, z pozoru irracjonalny lęk. Oriole zignorowała go. Elf przez moment walczył sam ze sobą, zanim udało mu się oderwać oczy od małej driady, do jego umysłu zaczynał nadciągać już znajomy chór rozśpiewanych dzwoneczków, a jej bezustanne wirowanie nie pomagało uporać się z wywołanymi przez niego silnymi zawrotami głowy. Przeniósł wzrok na Oriole, oddaloną teraz nieznacznie i nadal odwróconą tyłem, kątem oka rejestrował blask tańczących wraz z driadą płomieni.

– Zanim zaczniemy, chciałbym o coś zapytać – powiedział do jej pleców, a kiedy nie doczekał się zachęty ani zakazu, od razu przeszedł do sedna. – Wczoraj... kompletnie się nie udało. Dostałem się nie tam, gdzie chciałem i nie potrafiłem opuścić tego miejsca i zobaczyć nic więcej. Dlaczego?

Oriole posłała mu kpiące spojrzenie znad ramienia.

– Przemyśl jeszcze raz to, co właśnie powiedziałeś. Wczoraj udało się aż nazbyt dobrze, tak dobrze że nie reagowałeś na moje próby przejęcia kontroli. Po pierwsze, zobaczyłeś cokolwiek, a to rzadko kiedy udaje się za pierwszym razem. Po drugie, zostałeś dostrzeżony, a to wcale nie takie oczywiste i już same te dwie rzeczy wystarczą mi, by uznać twoją podróż za zakończoną sukcesem. Fakt, że istota, którą spotkałeś, nie chciała z tobą rozmawiać, niczego nie zmienia, rozpozna cię, kiedy znów zjawisz się w jej wspomnieniach i wtedy być może zachowa się inaczej. Sposób szukania odpowiedzi, jaki wybrałeś, jest trudny i wymaga czasu. Ja

przyrzekłam zrobić wszystko, by skrócić ten czas do minimum, dlatego dziś będzie więcej ognia i dlatego zjawily się żywiołaki.

– Ogień będzie walczył przeciwko tobie, a ondyny będą cię wspierać, weźmiesz więc dziś udział w bardziej dynamicznym i gwałtownym starciu, znajdziesz się w środku ścierających się potężnych sił, a twoje zadanie będzie polegało na nagięciu ich do swojej woli. Siła płomienia będzie wciąż i wciąż wyrzucać cię z wizji, ale dzięki temu nie zaczepisz się już tam, gdzie nie zdołasz się niczego dowiedzieć. Woda, zalewając ogień wciąż wzbierającą falą, popędzi na spotkanie nowych wizji, unosząc cię ze sobą. Ale to ty nadasz wszystkiemu rytm. I uda ci się.

– Wczoraj... – zaczął, nieprzekonany.

– Uda ci się – powtórzyła pewnym głosem. – A wiesz dlaczego? Bo wczoraj znalazłeś się dokładnie tam, gdzie chciałeś. Planowałeś zobaczyć Belial, ale za planami nie podążyły pragnienia. Pragnąłeś, żeby to była Elpis, to o niej myślałeś w ostatniej chwili świadomości, a potem to do niej chciałeś wracać. Nie popełnij tego samego błędu dziś, w przeciwnym wypadku zmarnujesz tę noc. A ona powinna już przynieść owoce. Czasu mamy niewiele, reakcje twojego organizmu na krew są skomplikowane, nie potrafię ich przewidzieć i chciałabym uniknąć podawania ci jej częściej, niż to będzie absolutnie konieczne.

Sylwan prychnął pogardliwie, dając wyraźnie do zrozumienia, co sądzi o rzekomo skomplikowanej reakcji organizmu Elfa na krew. Już otwierał usta, by powiedzieć to głośno, zamierzając jeszcze dorzucić komentarz o tym, że on z dużą dozą prawdopodobieństwa potrafi tę reakcję przewidzieć, a nawet określić jednym słowem. Katastrofa. Nieunikniona zresztą. Co więcej gotów był zaryzykować też snucie domysłów na temat reakcji Elpis na wieść o czynionych przez nich próbach, ale tu słowo „katastrofa” zdawało się błędne mniej więcej tak, jak określenie smoka mianem lekko tylko ponad normę wyrosniętej jaszczurki. Powstrzymała go mentalna prośba, wysłana natychmiast przez Pistisa. Wampir zmełł w ustach przekleństwo.

– Więc problemem była moja zbyt słaba wola? – zapytał Elf głośno, nawiązując do słów Oriole.

Czarodziejka potrząsnęła głową.

– Nie. Problemem były twoje uczucia i brak wiedzy na temat tego, co cię czeka. Na to pierwsze nic nie poradzimy, ale drugie mamy już choćby częściowo za sobą. Nie miałeś, nie mogłeś mieć żadnego wyobrażenia tego, co będzie się z tobą działo, kiedy znajdziesz się po drugiej stronie. Nie wiń więc siebie za to, że poczułeś strach i uchwyciłeś się myśli o tej, przy której czujesz się bezpieczny. Nie odrzucaj strachu, nie wypieraj się go i nie próbuj negocjować. Zaakceptuj lęk jako nieodłączną część siebie, osobliwego sprzymierzeńca, który nie pozwoli ci się zagubić, który może cię osłonić, pod warunkiem, że zachowasz nad nim kontrolę. Wtedy – i tylko wtedy – lęk, który odczuwasz, stanie się twoim atutem. W każdym przeciwnym wypadku urośnie do rangi brzemienia ponad siły, pod którym upadniesz, by już nie powstać.

– Zrozumiałem – zacisnął dłonie w pięści, bez powodzenia starając się ukryć ich drżenie, wywołane powoli ale nieubłagalnie rozchodzącym się po ciele narkotykiem.

– Jesteś gotów?

Nie, pomyślał, uświadamiając sobie z rozpaczą, że taka właśnie jest prawda.

– Tak, pani.

Czarodziejka płynnym ruchem obróciła się w ich stronę i uniosła w górę otwartą dłoń, w której z nicości zmaterializowała się drewniana czarka. Anate zawirowała wokół nich, furkocząc sukienką i welonem jasnych włosów, po czym gwałtownie znieruchomiała, zatrzymując się u boku Oriole. Bez zachęty wyciągnęła przed siebie obnażone przedramię, zawieszając na twarzy Elfa spojrzenie błyszczących oczu o rozszerzonych źrenicach. Jej włosy załśniły złościście w blasku gwiazd, suknia zaszeleściła na trawie, oczy zamigotały. Mała driada

wydawała się być niezwykle podekscytowana, w pewnym momencie wykrzywiła twarz w drapieżnym grymasie, ukazując w całej okazałości wachlarz drobniutkich ząbków i syknęła niczym ostrzegająca przed atakiem kotka, by zaraz potem zaśmiać się w głos z reakcji Pistisa. Kapłan przyłapał się na myśli, że ona chyba również znajduje się pod wpływem jakiegoś odurzającego środka. Jeśli tak było faktycznie, nie mógł przewidzieć, jakie konsekwencje będzie miało dla niego wypicie jej krwi.

Pani Lasu zignorowała zachowanie podopiecznej, nie spuszczała oczu z twarzy kapłana.

– Czy mogę prosić o sztylet?

Zareagował dopiero po chwili. Odurzony ziołem snu mózg sprawiał, że rzeczy istotne, jak dźwięk i znaczenie słów docierały do niego z pewnym opóźnieniem, jednocześnie wyolbrzymiając szum liści do rozmiarów niespokojnego huraganu pełnego złowieszczych szeptów. Białowłosa czarodziejka przejęła od niego nóż i otworzyła żyłę na przegubie driady a Pistis i Sylwan jednocześnie zachłysłeni się ostrą, spizową wonią spływającej po drewnianych ściankach czarki krwi. Kiedy Oriole zakończyła całą operację i zakłębieniem zasklepiła ranę, Anate jakby nigdy nic podjęła przerwany taniec. Rytm wybijany przez jej stopy stał się w uszach Elfa niczym odgłosy uderzeń bębna. Wirująca figurka dziewczynki zatarła się w jego oczach do mirażu stale zmieniającej się plamy utkanej ze światła i mroku.

Czarodziejka, podobnie jak wczoraj powtórzyła wszystkie czynności z udziałem Wampira. Kiedy Człowiek również chciał podwinąć rękaw koszuli, pokręciła przecząco głową i odeszła w stronę jednego z płonących ognisk, gdzie podpaliła podniesioną z ziemi pochodnię, która natychmiast zajęła się syczącym płomieniem.

Kapłan jęknął, czując, jak ogień pochodni płonie w jego żyłach. Pomny wczorajszych przestróg, zmusił się do patrzenia prosto w ogień, choć dziś było to o wiele trudniejsze, jakby jakaś niemoc objęła w posiadanie jego oczy i ciało. Pomiędzy palcami zaciskających się pięści wyczuł ziarenka piasku, a pod kolanami chłodną gładkość trawy. Potrząsnął głową, starając się odrzucić włosy, zakrywające mu oczy, będąc w stanie myśleć tylko o jednym – że tym razem ciało zdradziło go wcześniej, nie udało mu się utrzymać na nogach nawet do momentu wypicia krwi. Poczul jak wzbiera w nim złość i żal. I strach.

Postać z pochodnią w dłoni zbliżyła się do niego, również opadając na kolana. Coś mówiła, ale przez dłuższą chwilę widział tylko poruszające się wargi, nie słyszał słów. Potem poczuł na własnych wargach dotyk drewnianej czarki. Zachłysł się gorącą, słodko-gorzka krwią, ale prędko się opanował i przestał pić dopiero, gdy naczynie było puste. Oriole odrzuciła je w ogień. Zaraz potem zacisnęła obie jego dłonie na trzymanej przez siebie pochodni.

– Niech Czarny Księżyc pozwoli ci odnaleźć drogę do Czarnego Słońca – tym razem słowa zabrzmiały niezwykle wyraźnie. – Płoń!

Dziewczyna wzniosła podtrzymywaną przez nich dwóch pochodnię w górę, po czym gwałtownym szarpnięciem opuściła ją w dół, z impetem wbijając drewniany koniec w ziemię pod ich kolanami. Pochodnia wybuchła płomieniem, a płomień zdawał się obejmować w posiadanie wszystko. W nagłym, rozpaczliwym zrywie, Elf chciał zabrać dłonie, ale już nie potrafił. Trzepoczące wokół niego ondyny, jakby na rozkaz kogoś niewidzialnego, poderwały się do krótkiego lotu, rzucając się prosto w płomień dwu ognisk. W piersi kapłana serce zatrzepotało się gwałtownie, czując ból umierających żywiołaków. Anate zatrzymała się w pół obrotu, szeroko otwartymi oczyma chłonąc scenę agonii podobnych motylom stworzeń. Na jej twarzy odmalowały się szok i niedowierzanie. Nie wydała z siebie najcichszego dźwięku, po chwili po jej policzkach zaczęły płynąć łzy.

I właśnie wtedy stojący z boku Wampir poczuł przenikające go lodowate zimno, zamieniające się w ostry paroksyzm strachu. Coś było bardzo, ale to bardzo nie tak. Ogarnięty

paniką, zrobił pierwszą rzecz, jaka przyszła mu do głowy. Zacisnął palce na amulecie, spoczywającym na jego piersi, czując jak kamień odpowiada delikatnym drzeniem i rozbudzającym się ciepłem.

*Zbłądziliśmy. Ratuj nas, pani. Straszliwie zbłądziliśmy...*

\*\*\*\*

Tym razem upadek nie był poprzedzony lotem. Pistis poczuł gwałtowne szarpnięcie, jakby potężna łapa pradawnej istoty, łapa o stalowych pazurach, zostawiających na skórze, której dotknęły, płomienie, poderwała go i cisnęła brutalnie prosto na dno otchłani. W miejscu, w którym się znajdował, pojęcie światła nie istniało, wokół była tylko czerń pełna pazurów i kłów równie jak on przerażonych stworzeń, piekielnie silnych i groźnych swoim przerażeniem, ani żywych ani martwych. I głodnych. Bardzo, ale to bardzo głodnych. Instynkt podpowiadał ucieczkę, ale oszołomione upadkiem ciało zdawało się zapominać, że potrafi wykonać choćby najdrobniejszy ruch. Krew w jego żyłach zdawała się płonąć, paraliżując i oszalamiając jak nagły widok świeżej rany zadanej ciału zniemacka, krwawiącej, zanim jeszcze do mózgu dotrze informacja o bólu.

Bardziej wyczuł niż zobaczył wpatrzony w siebie zielone oczy istoty, tak jak on nie należącej do otaczających ich Cieni. Jeśli rozpacz, furia i szaleństwo mogły posiadać wspólne oczy, to ich obraz przedstawiałby się właśnie tak.

– Nikt nie powinien być sam w ciemności. Nawet ja – usłyszał gorączkowy szept, wyraźny i pełen pasji.

Poruszył się niespokojnie, w jednej chwili rozumiejąc, kogo ma przed sobą. Płomień w jego wnętrzu przybrał na sile, znów przygwoźdzając go do ziemi.

– Ja płonę od samego początku – wyszeptała Belial. – Choć On chciał, bym zgasła, nigdy nie przestałam płonąć. Ale nawet ja nie zasłużyłam na swój los. Bo nikt nie powinien być sam w ciemności – powtórzyła z naciskiem. – A ona tego losu nie powtórzy. Bo zanim upłynęło pierwsze kilka chwil ich życia, ja byłam gotowa umrzeć za ich bezpieczeństwo i szczęście. Więc znajdę sposób, by zabić Jego lub siebie, jeśli nie ma innej drogi, ale nigdy nie zaakceptuję tego, co On dla niej przeznaczył. Nigdy się nie ukorzę i nie ugnę karku pod Jego wzrokiem. Jestem sprzeciwem. Ponurym memento tego, kim był On sam dawno temu, zanim...

Nie dokończyła. Jej dalsze słowa utonęły w szaleńczym śmiechu, który nią wstrząsnął. Pochyliła się do przodu, twarz Elfa musnęły biało-złote pióra poranionych upadkiem skrzydeł. Zanim zdążył się zorientować, co właściwie się dzieje, został sam. Ciemność nieco się rozproszyła, dzięki czemu mógł zobaczyć, iż siedzi na skalnej półce, rozpaczliwie przywierając plecami do ściany za sobą, a pod jego stopami otwiera się czarna gardziel otchłani bez dna. Otchłani, w którą przed chwilą rzuciła się Belial, pikująca teraz w dół ze złożonymi skrzydłami. Uniósł głowę, nie dostrzegając nad sobą nieba, nie będąc w stanie dostrzec nic, co nie byłoby zimną, twardą ścianą.

Znajdował się głęboko wewnątrz ziemi, na jednym ze schodów wiodących w przepaść Gehenny, ale do jej dna pozostało jeszcze niewyobrażalnie wiele identycznych stopni. W ustach poczuł smak popiołu, odruchowo zacisnął oczy.

Gdy udało mu się je otworzyć, nie było już skał ani ciemności. Całą przestrzeń wokół niego wypełniało przelewające się światło, przesączające się przez srebrzysto-złote liście gęsto rosnących drzew, których nazw nie znał, sam zresztą wątpił, by miały one jakiegokolwiek nazwy w językach którymi władał. Wśród drzew, brodząc po kolana w kwiatach, których płatki, pokryte rosą czy kroplami deszczu, mieniły się w słońcu piękniej niż najdroższe z klejnotów, znajdowały się dwie zwrócone ku sobie postaci aniołów. Skrzydła niższej z nich układały się bardzo dziwnie, nienaturalnie zwrócone ku przodowi jej ciała, zakrywające twarz i całą sylwetkę, niczym kokon

otulający larwę motyla. Ta dwójka była zbyt daleko, by Pistis mógł zobaczyć lub usłyszeć cokolwiek znaczącego, ale kiedy tylko o tym pomyślał i zrobił krok w ich stronę, natychmiast znalazł się tuż obok nich.

Zaraz też nieco się odsunął, przekonany, że jego nagłe pojawienie się u ich boku, wywoła zaskoczenie i uzasadnioną zresztą pretensję z ich strony. Oboje pozostali jednak w bezruchu, nie dostrzegając jego obecności. Miał przed sobą Belial i Lucyfera; anielica, groźna i piękna, nie spuszczała spojrzenia z twarzy swojego kochanka, a w jej oczach płonął ogień. Po bliższym przyjrzeniu się, Elf zauważył na jej twarzy głębokie cienie, zmęczenie i strach. Koniuszki jej skrzydeł lekko drżały, podobnie jak dłonie i ramiona, obejmujące dwójkę niemowląt. Dzieci były maleńkie, jakby dopiero co narodzone, jedno uśpione, drugie poruszało się, mrużąc oczy, oślepienie nadmiarem światła.

Przez długi czas żadne z nich się nie odezwało, wpatrywali się tylko w swoje twarze, a w ich oczach odbijały się przeżywane emocje, jakby para toczyła w swoich myślach rozmowę, albo raczej sprzeczkę. W końcu to Lucyfer pierwszy przemówił, a w jego głosie współbrzmiały ze sobą rozpacz i czułość.

– Czy odważysz się zatem polecieć ze mną daleko stąd, poza granice stworzonego przez Niego świata, tam gdzie nas nie odnajdzie? W miejsce, z którego być może nigdy nie uda nam się odnaleźć drogi powrotnej, gdzieś, gdzie będziemy mieć tylko siebie. Czy możesz lecieć teraz? Czy możesz lecieć bez odpoczynku wiele dni i nocy?

Odpowiedź Belial nadeszła natychmiast, mocna i zdecydowana, mimo iż w pierwszej chwili głos jej lekko zdrzął.

– Ja... Ja mogę teraz wszystko.

Wizja znikła równie szybko, jak się pojawiła, rzucając Pistisa w pustkę pozbawioną gwiazd, w otchłani której, skurczona i otępiała, niewrażliwa już na nic, umierała istota, która pierwotnie była potężna, ale została skrzywdzona tak straszliwie, że zapomniała nawet własnego imienia i brzmienia swojego głosu. W tej wizji nie zaczął się nawet na chwilę.

Zaraz po niej był pryzmatyczny tron i zasiadający na nim smutny tyran o siedmiu tysiącach nieustannie otwartych oczu. U stóp tronu klęczało siedem postaci, tylko jedna z nich się uśmiechała.

*Tyrania, nawet jeśli narzuci na ramiona płaszcz miłosierdzia, nadal pozostanie tyranią. A sprzeciw choćby i zdeptany, jest sprzeciwem. Nie możesz mnie pokonać, bo Ciebie i mnie łączy coś więcej. Coś, o czym oboje wiemy, choć Ty ze wszystkich sił chciałbyś zapomnieć, ale wiesz, że zapomnienie nie nadejdzie. Jestem pierwszym i największym z Twoich błędów. Cała reszta to tylko ziarenka piasku w klepsydrze, które muszą się przesywać. Włożyłeś rękę w gniazdo pełne wściekłych węży, nie myśl, że możesz odejść bezkarnie.*

Ostatnie słowa, mimo że przecież nie wypowiedziane na głos, a może zresztą właśnie dlatego, były nasycone tak potężnym ładunkiem zimnej pogardy i tak niezachwianą pewnością, że kapłan skurczył się w sobie, bez reszty przygnieciony ich ciężarem. Co więcej, oskarżenie, które ze sobą przynosiły zdawało się godzić po równi w Jedyne Boga jak i w niego samego. A Belial nie rzucała słów na wiatr. Zrozumiał to już dawno, zanim jeszcze na własne oczy zobaczył jej skok w otchłani Doliny Jęku. Ten który zasiadał na tronie również o tym wiedział. Dlatego właśnie umieścił ją w pustce, by tam zapadła się w głąb ciemności i beznadziei, by już nigdy nie powstać, a czyniąc to, dopuścił się pierwszej zbrodni, której usprawiedliwieniem miała stać się doskonałość.

W chwili, gdy kapłan uświadomił sobie, w jaki sposób przeklęta anielica znalazła się w otchłani, gdzie dostrzegł ją i przebudził do pełnego pasji życia Lucyfer, Belial lekko odchyliła twarz i dumne zielone oczy o kształcie migdałów spoczęły na obliczu kapłana. Poraził go

niezwykły magnetyzm tego spojrzenia, czując jednocześnie wzbierającą w nim panikę i fascynację pomyślał, że gdyby teraz nakazała mu ze stanowiącym jego jedyną broń srebrnym sztyletem w rękę rzucić się na siedzącego na tronie Boga, nie wahałby się ani chwili.

Niemal w tym samym momencie wizja pękła w jego głowie, szklany tron rozsypał się w pył, a przed jego oczami z niesamowitą szybkością zaczęły przesuwać się migawki pozornie oderwanych od siebie obrazów, połączonych występującą w każdej z nich postacią Belial.

Gęsta esencja ciemności, dusząca i nie pozwalająca płucom zaczerpnąć zbawczego powietrza, zawieszona pomiędzy ścianami pełnymi jęków i zawodzeń. Przetracone skrzydła, których piór czepiały się lepkie łapy zrodzonych przez ciemność stworzeń. I wrzask, rozdzierający krtań.

– Lilith!!!

Drobna ręka o delikatnych palcach, dzierżąca ciężki młot raz po raz opadający po długim zamachu na spoczywający na kowadle miecz. Zielone oczy zmrużone pod ostrzałem rozżarzonych iskier. Ten, który miast śmierci przyniesie wpierw życie, po to, by potem zadawać już tylko śmierć. Serenti...

Te same oczy, obserwujące z rozbawieniem zabawę długowłosych dzieci i pełne przerażenia, bezradne wobec zbrodni bratobójstwa, której dopuścił się potomek jednego z nich.

A potem, długo, długo potem... Pozbawiony skrzydeł anioł, przemykający wśród czarnych korytarzy w długim płaszczu i ptak, którego zamiast piór otulały przenikające się pióropusze czarnego i złotego ognia. Ptak, który wzleciał w niebo, poprzez utworzony przez nią wylom w murze. I nagły spokój umykającej anielicy.

Belial, wyniosła i wyprostowana niczym dumna królowa, nasłuchująca spokojnie odgłosu kroków zbliżających się prześladowców. Trzej aniołowie czekają na znak. Miecz skrywają płomienie, które wypalą się dopiero wtedy, gdy wypełni się czas, pozwalając dotknąć rękojeści temu i tylko temu, dla którego broń została przeznaczona. Przedwieczny i Ptak Który Wie znajdują się poza ich zasięgiem.

*Cokolwiek mi teraz zrobisz, wygrałam.*

I nagła słabość, powitana paniką. W głowie jedna, gorączkowa myśl, która staje się wszystkim.

*Nie upaść. Tylko nie na kolanach, jak niewolnik. Nie na kolanach.*

*Kroki w ciemności stają się coraz głośniejsze, zbliżają się, oprawcy zacieśniają krąg.*

*Nie na kolanach. Nie upadnę.*

\*\*\*\*

Że wszystko całkiem wymknęło się spod kontroli, Sylwan upewnił się już dawno. Nie mógł jednak nic zrobić. Przez ścianę żywego ognia, otaczającą ich coraz ciaśniejszym pierścieniem, nawet Oriole nie potrafiła się przebić. Śmierć żywiołaków rozwścieczyła ogień, który zaczął się rozrastać, wciąż głodny i pochłaniający na swojej drodze wszystko, łącznie ze świętymi dla Pani Lasu i małej driady drzewami. Anate toczyła wokół oszalałym wzrokiem, zupełnie jakby wpadła w jakiś rodzaj katatonii, nie zważając na kierowane do niej słowa i nie dostrzegając płomieni, niemal dosięgających jej włosów. W końcu Wampir chwycił ją za rękę i siłą przyciągnął do siebie, a ona pozwoliła mu unieść się niczym bezwolna lalka.

Oriole całą uwagę skupiła na wyrwaniu Pistisa spod działania krwi i narkotyku. Jej próby przynosiły mniej więcej takie same owoce, jak uparte czerpanie wody ze strumienia dzbanem pozbawionym dna. A właściwie to znaczyły mniej. Jeśli wczoraj kapłan rzucał się w gorączce, to dziś zdawał się płonąć wraz z ogniem. Wampir jedną ręką podtrzymując wczepioną teraz w niego Anate, drugą wciąż zaciskał na amulecie, nie przestając zaklinać i błagać.

Nagle coś się zmieniło. W powietrzu pojawiła się wyraźnie inna od działających

dotychczas siła, żądna krwi i wściekła, sama będąca niepohamowaną w swojej furii wściekłością. W pewnym oddaleniu od nich z nieba spadła chmura czerni, rycząca niczym stado rozszardzonych szerszeni, zbliżająca się do ich grupki z nieprawdopodobną prędkością. Zanim ktokolwiek zorientował się, że to ściana deszczu, żywioł przypuścił atak, bezlitośnie chłószcząc ich ciała lodowato zimnymi biczami, wlewającymi się za kołnierze i sprawiającymi, że w czasie potrzebnym na kilka taktów serca, na żadnym z nich nie pozostała sucha nitka. Nawet ogień zdawał się zaskoczony i umierał, nie usiłując podjąć walki. Stado wściekłych szerszeni pożarło księżyc i gwiazdy, pod ich naporem ugięły się ciężkie konary grubych drzew, wichura, przywołana uderzeniami ich skrzydeł, porwała precz żaloszny strzęp potrzaskanej gałęzi, który jeszcze niedawno był płonąca pochodnią.

W ciemności zawirowała bezszelestnie czarna postać, porwała Oriole i cisnęła nią o jedno z drzew. Białowłosa osunęła się w dół, na rozświetlonej blaskiem błyskawicy jasnej korze pozostały ścieżki krwi.

– Do licha, co się dzieje?! – wrzasnął Farys, usiłując przekrzyczeć wycie huraganu.

– Elpis... Elpis się dzieje. Nareszcie – wyszeptał Wampir, drżąc z zimna, podniecenia i strachu jednocześnie.



# Rozdział 21

## Motyl na dłoni

Obłądny taniec rozświetlających raz za razem niebo błyskawic i katatonia niemal bez ustanku przetaczających się po nim grzmotów trwały w najlepsze, a w ich blasku czarna figurka, która dopiero co wdarła się na scenę, zdawała się zjawą bezustannie znikającą w ciemności po to, by pojawić się w innym miejscu, tam gdzie nie spodziewali się jej ujrzeć. Deszcz nie odpuścił im nawet odrobiny, wielkie jak ptasie jaja krople na podobieństwo wściekłych szerszeni nacierały na nich, kłusząc i zamieniając się w lodowate rozbryzgi po to tylko, by ustąpić miejsca podążającym za nimi hordom kolejnych napastników, wciąż i wciąż... Paraliżująco zimne strugi wlewały się do oczu, czyniąc z nich niemalże ślepców, mokre włosy lepiły się do twarzy i pleców, a ubrania do ciała, nawet Wampir poczuł, jak zęby zaczynają dzwonić mu z zimna. Mała driada, wczepiona w niego rozpaczliwie, stała się nagle ciężka niczym pełen ziarna wór, Farysa nie widział, choć wiedział, że znajduje się kilka kroków od niego, oczywiście jeśli nie...

Poczuł, jak gardło zaciska mu przerażenie, a w głowie rodzi się myśl, z którą nie liczył się ani przez moment, aż do tej pory. Do chwili, gdy Elpis na jego oczach cisnęła białowłosa czarodziejką o drzewo, sądząc po sile ciosu co najmniej łamiąc jej kręgosłup lub roztrzaskując czaszkę. Najprawdopodobniej zresztą jedno i drugie. Mimo przysięgi, złożonej Pani Lasu u stóp jej królestwa, bo teraz żadne przysięgi i obietnice nie miały najmniejszego znaczenia. Nie dla demona, który szalał wśród piekła wodnych biczów i ognia, płonącego na niebie. Ta, którą sam wezwał, a która zmaterializowała się tu po to, by zabijać i czerpać przyjemność z zabijania, za nic miała sobie jakiegokolwiek śluby, nie ważne, komu i dlaczego złożone.

Rozejrzał się nerwowo, szukając towarzysza i szczerzej otulając mokrym płaszczem driadę. I nagle zamarł, niezdolny do żadnego ruchu. Bo oto ujrzał ją w odległości może dwu kroków od siebie, zastygłą w posąg bogini zemsty i zniszczenia. Przypomniawszy sobie, jak w ciepłej i bezpiecznej kryjówce wśród korzeni opowiedział jej o wioskach, które zapłoną i rzekach, których korytami popłynie krew. Teraz z całą mocą uderzyła w niego świadomość własnego błędu. To nie wioski i nie rzeki czeka taki los. Cały świat umrze w morzu ognia i utopi się we krwi.

Przez chwilę ujrzał ją taką, jaka była dawno, dawno temu, piękną i groźną niczym dzika smoczyca, rozpościerająca skrzydła i zrywająca się do lotu w pogoni za nieszczęsnym szaleńcem, który ośmielił się skaleczyć jej pisklę. I jak ona nie mająca nad sobą nikogo dość potężnego, by wstrzymać jej gniew i osądzić jego skutki. Deszcz jej nie oszczędzał, pojedyncze cienkie pasma czarnych włosów wiły się wzdłuż jej szyi i policzków, a gruby welon wyprostowanych teraz i przez to wyglądających na dłuższe niż były zazwyczaj, lśniących pukli, przylegał do pleców. Na wargach miała ślady krwi, niemal zmytej przez deszcz. Zanim Sylwan zorientował się, że dygocze jak w febrze, z paniką pomyślał, że nie wie, czyja to krew.

– Szaleńcy. Głupcy. Co uczyniliście?

Jej głos był cichy, ale paradoksalnie zabrzmiał w jego uszach głośniejszy od ryku huraganu. Wampir instynktownie wyczuł, że wszelkie próby tłumaczenia wypadną żałośnie i tylko dodatkowo rozwścieczą jego mistrzynię. Ten sam instynkt podszeptał mu, by uklęknąć w błocie u jej stóp, nie śmiał jednak wypuścić z objęć Anate. Wtulone w niego, jakby był ratunkiem przed całym złem tego świata, drobne ciało budziło wspomnienia, bolesne i rozkoszne zarazem; nagle poczuł, że umrze za tę dziewczynkę, jeśli będzie trzeba. Elpis być może potrafiłaby powiązać

pewne rzeczy ze sobą i zrozumieć, a może w stanie, w jakim się znajdowała, nie mógł na to liczyć. Coś podpowiadało mu, że tylko to, że trzyma driadę na rękach, powstrzymuje czarodziejkę przed uczynieniem z nią tego samego, co zrobiła jej opiekunce.

– Pani... Błagam o wybaczenie. Przebaczone nam, pani...

W jej oczach odbił się jego ból i strach. Na chwilę przestała go zauważać, skupiając całą uwagę na Anate, demon, który znajdował rozkosz w zabijaniu, wycofał się w głąb jej ciała, a przed Wampirem stała Elpis, jaką znał. Przemiana trwała zaledwie moment, ale mężczyzna wiedział, że zrozumiała, a jakieś postanowienie, które podjęła, biegnąc tu, odeszło. Nie minęło kilka sekund, a przed Sylwanem znów stała bogini zemsty i zniszczenia, gotowa rozbić w pył każdego, kto się jej sprzeciwi, z wielkim trudem trzymająca swój gniew na wodzy.

– Zejdźcie mi z oczu najszybciej, jak potraficie – jej głos był spokojny i cichy, przeczący ogromowi emocji, wypisanych na twarzy.

– Pani, błagam...

– Posłuchaj mnie uważnie... Sylwanie – przerwała, jakby przypomnienie sobie jego imienia sporo ją kosztowało. – Nie odprowadzam cię na zawsze. Wezwę cię, gdy będziesz po wszystkim, niezależnie od tego, co się stanie. Po prostu szaleństwem z waszej strony byłoby teraz pozostawienie cię u mojego boku. Nie stracę już nikogo. Nikogo. Rozumiesz?

Przez jakiś czas patrzyli na siebie bez słowa, w końcu Wampir uznał, że dłuższe wystawianie na próbę jej cierpliwości będzie nie tylko szaleństwem, ale niewybaczalnym okrucieństwem z jego strony. Rozpaczliwie nie chciała ich skrzywdzić, w każdej jednak chwili mogła nie być w stanie dłużej się powstrzymać. Coś jednak musiała wiedzieć, byli jej to winni, wszyscy. Zrobił krok do tyłu.

– On wypił krew. Moją. I driady. Po raz drugi.

– Zejdź mi z oczu.

– Przedtem zażył narkotyk z liści ziela snów i cisu.

– Precz.

Kolejny krok do tyłu. Na nic innego nie liczył. Pozostało tylko jedno, coś, co był winien Anate.

– Pani, czy możemy zabrać i pogrzebać ciało?

– Nie.

Chwilę potem rzucony przez Elfkę nóż utkwiał w korze drzewa cal od dłoni Farysa, usiłującego mimo jej słów unieść z ziemi Oriole.

– Powiedziałam: nie! – po raz pierwszy podniosła głos.

Sylwan skłonił się przed nią i, pociągając za sobą Farysa, zniknął w ciemności.

Kiedy odeszli, czarodziejka pozostała samotna i nieruchoma, z zaciśniętymi pięściami i pustymi oczyma utkwionymi w ziemi, smaganej nahajami deszczu. Oddychała głęboko, całą wolę skupiając na stopniowo uspokajającym się oddechu, gasząc w sobie wściekłość i żądzę krwi. Chciała zadawać śmierć, tak samo, a może i mocniej, niż pragnęła tego gdy byli uwięzieni w klasztorze, bez magii, a obok niej umierał Kain. Barwne plamy, wirujące przed jej oczami, powoli zniknęły, świat wokół też przestawał kręcić się niczym dziecięcy bączek. Wracała zdolność trzeźwego myślenia. Musi się odwrócić, zmusić ciało do wykonania kilku kroków i przekonać się jak bardzo jest źle z leżącym bez ruchu Elfem. Musi to zrobić, chociaż przecież wie, tak bardzo boleśnie wie...

*W jądro lęków. Tam gdzie śmierć ich nie dosięgnie – pomyślała. Zapłacisz mi za to przeklęta żmijo. Kiedy staniami naprzeciw siebie, twoi aniołowie długo nie pożyją, a ty udławisz się własną krwią. Klnę się na wszystko.*

Z wahaniem oderwała stopę od ziemi i obróciła się w miejscu. Szara figurka kapłana

leżała na boku z nogami podkurczonymi w kolanach, skulona w pozycji embrionu. Elpis po raz ostatni zaczerpnęła głęboko powietrza, a potem w ogóle przestała oddychać. Oddech nie był potrzebny od chwili, gdy pod ścianą biało-czarnego lasu obróciła swoje serce w kamień, ale nadal potrafił ją uspokoić. Ukryła swoje myśli za szczelną kurtyną.

*Muszę uspokoić ten cholerny deszcz. Za chwilę utopimy się we łzach, wyplakanych za mnie przez niebo. Przynajmniej ono nie jest zbyt dumne na okazywanie uczuć.*

Ogrom wody, spływającej po jej policzkach, ukryłby przed światem jej łzy, ale dziewczyna jak dotąd nie pozwoliła żadnej z nich popłynąć. Niemal normalnym krokiem ruszyła w stronę Pistisa, kątem oka dostrzegając wyciszanie się furii żywiołu, a kiedy uklękła na mokrej glebie obok niego, po wściekłych szerszeniach pozostało tylko wspomnienie, uzewnętrznione w podobnej maleńkim, natrętym muszkom mżawce. Nie bez trudności wyprostowała jego ciało i ułożyła je na plecach, a zaraz potem przesunęła nad nim w powietrzu otwartymi dłońmi, czując w nich jednocześnie lodowate zimno i gorączkę ognia. Przymknęła oczy. W jej głowie rozlegały się uderzenia tysięcy bębnow tysiąca obłąkanych doboszów. Kapłan nadal znajdował się we władaniu wywołanych zaklęciem Oriole wizji, by go z nich wyrwać, musiała pokazać mu coś na tyle przerażającego, by przesłonić obraz Belial. Oczyszczyła swój umysł ze wszystkich myśli z wyjątkiem jednej i zaprosiła go do swojego wnętrza. Wiedziała, że ma tylko chwilę, pierwsze sekundy będą decydujące. Nie było już ognia, który mógłby wyrzucać go z wizji, ale nie było też żywiołaków, które miały pomagać odnajdować nowe.

Zobaczyła go obok siebie. Przez chwilę rozglądał się, zdezorientowany, aż jego oczy natrafiły na czarnowłose dziecko i zastygł w bezruchu, z wyrazem bolesnego przerażenia na twarzy, a ona zrozumiała, że zostanie z nią, a gdy wizja dobiegnie końca, wróci wraz z nią do ciała. Wcale nie miała ochoty znów odtwarzać właśnie tego fragmentu swojego życia, ale przyparta do muru i zmuszona, by wybierać, nie zawahała się.

Dziewczynka, która była cieniem jej samej, miała sześć lat, przynajmniej tyle lat upłynęło od jej kolejnych narodzin. Elpis nie potrafiła określić, ile dni dzieliło ten dzień od fatalnej nocy, gdy przebudziła się w niej magia. Kain mówił o wielu tygodniach utrzymującej się katatonii, podczas której on i Wilczyca chodzili wokół niej na paluszkach, bo każdy najdrobniejszy hałas sprawiał, że wokół wybuchały pożary, a góry roztrzaskiwały się w pył. Aż któregoś dnia po prostu wstała. No, prawie po prostu.

Dziewczynka była brudna i przeraźliwie chuda, szeroko otwarte oczy zapadające się w drobnej twarzyczce, patrzyły z wyrazem, który zaobserwować można u zwierzątka zakleszczonego w pułapce, patrzącego ostatni raz na swojego prześladowcę, wznoszącego siekiere do ciosu, który wszystko zakończy. Jej ciało okrywała długa koszulka, niegdyś zapewne biała i włosy, poplątane tak bardzo, że normalnie kapłan zacząłby się zapewne zastanawiać, jakim niby cudem najlepszy nawet grzebień zdoła je rozczesać. Ale tu nic nie było normalne.

Dziewczynka siedziała na półce, wcześniej służącej jej za łóżko, na której nadal kłębiła się pognieciona pościel. Jedną rączkę zaciskała na poduszce, w drugiej dzierżyła długi nóż, ostrzem zwrócony w dół. Żelazo było czerwone od krwi, dłoń z nożem raz po raz opadała z dużą prędkością, a wtedy druga ręka zaciskała się tak mocno, że kostki palców niemal przebijały bladą skórę. Wyraz twarzy dziecka nie zmieniał się jednak.

Przed nią, pochylona jak do skoku, z postawioną na grzbiecie sierścią, warowała Szara Wilczyca o dwóch głowach.

*Lepiej przyjdź tu i zrób to natychmiast, zanim twoje cudowne dziecko odrąbie sobie nogę – usłyszeli myśli Wilczycy. Cudowne dziecko już nie leży i nie gapi się w sufit jak kretyńka, teraz siedzi i dźga się nożem w udo. I za nic nie chce mnie do siebie dopuścić ani odłożyć noża. Poza tym wydaje się całkiem normalna, choć może jeszcze trochę gorączkuje. W każdym razie nadal*

*nie uroniła ani jednej łzy. Wiesz, na czym polega problem z twoją córką? Ona po prostu nic nie czuje. Więc chodź tu, obłąkany głupcze i łudź się dalej, że potrafisz nad nią zapanować i ją ocalić. Nawet nie krzywi się z bólu. Nic nie czuje. Nic nie czuje...*

Elpis nagle zdała sobie sprawę, że jak przez mgłę pamięta, co sprawiło, że po przebudzeniu chwyciła za nóż. To, co zobaczyła w Dolinie Jęku podczas bezsennej nocy i to, co nadciągnęło zaraz potem, gdy noc odeszła, mimo iż nie rozproszyły się ciemności, a Kain przybył po nią. Sposób, w jaki przybył i to, co mu towarzyszyło. Jej pierwszą myśl, że mistrz i ojciec znajduje się w niebezpieczeństwie i że musi go chronić, bo poza nią nie ma tu nikogo, kto to robi. Szalony triumf zaspokojonej żądzy krwi, gdy zabiła te stworzenia i palącą wściekłość, kiedy Kain wyjawiał jej, czym były. I to, że przybyły tam posłuszne jego woli. Szczególnie wściekła się o dziewczynki, dziewczynki przybyły pierwsze... A potem przeraziła się tak, że było tylko gorzej. W końcu wewnętrzny ból ukoiliła indukowanym przez siebie odrętwieniem, podczas którego włożyła naprawdę wiele wysiłków w to, by nic nie czuć. A gdy zorientowała się, że to na nic i kiedy nadeszło przebudzenie, jedynym sposobem na zagłuszenie tego bólu było sięgnięcie po nóż.

Tylko metodyczne zagłębianie stali w żywym ciele mogło zatrzymać krzyk przerażenia i tylko spływająca po udzie gorąca krew potrafiła nie dopuścić do wybuchu strumienia łez. Jakkolwiek nieprawdopodobnie by to nie brzmiało, nóż był ocaleniem przed nią samą. Każde opuszczenie ręki było żarliwie powtarzaną mantrą, tak przerażająco prawdziwą.

*Nienawidzę cię. Ból. Ale proszę, zostań ze mną.*

*Nienawidzę cię. Kolejna fala bólu. Ale nie waż się mnie opuścić...*

*Nienawidzę, nienawidzę... Nóż opada. Ojczy, ratuj mnie...*

*Nienawidzę cię. Siebie też nienawidzę. Zaraz oszaleję.*

*Nienawidzę cię... tatusiu. Tatusiu!*

W tej samej chwili, gdy Pistis ruszył w stronę dziecka, zdecydowany wyrwać jej i odrzucić w diabły nóż, a Elpis, stojąca obok niego, powstrzymała go od tego, mocno chwytając jego rękę, do jaskini wpadł Kain. Starzec wyglądał niewiele lepiej niż jego pasierbica, włosy i broda sterczały mu na wszystkie strony, jakby dopiero co wstał ze snu pełnego koszmarów, podczas którego śniący miota się w przerażeniu, daremnie usiłując się obudzić. W jego oczach malował się ból tak dogłębny, że Elf po raz pierwszy w życiu poczuł do niego coś w rodzaju współczucia, a w jego głowie pojawiła się myśl, której niechętnie przyznał prawo bytu. Być może nie cała nienawiść, jaką do niego żywił, naprawdę mu się należała.

Czarnoksiężnik obrzucił ciemne wnętrza groty szybkim spojrzeniem, a na widok małej Elpis zmarszczki na jego obliczu pogłębiły się. Nie było w nim jednak zaskoczenia, to co się działo, zdawało się być potwierdzeniem scenariusza, jaki zakładał. Mężczyzna wyszeptał kilka słów, których nie dosłyszeli i szybkim krokiem ruszył w stronę dziewczynki. Po drodze zatrzymał się na chwilę i skrzywił, gdy trzymany przez nią nóż opadł.

– On wtedy zawiązał między nami połączenie, tak jak ja zrobiłam to w klasztorze – tłumaczyła Elfka zdumionemu kapłanowi, razem z nim obserwując, jak na szacie Kaina rozkwita krwawy kwiat. – Nie pamiętam, żeby zrobił to kiedykolwiek wcześniej albo później.

Stojąc obok siebie, w milczeniu patrzyli, jak twarz czarnowłosego dziecka po raz pierwszy wykrzywia grymas bólu czy może strachu, jak pojawia się na niej zawahanie, a potem pełne ulgi poddanie, gdy dziewczynka pozwoliła, by starzec otworzył jej zaciśniętą na rękojeści dłoń, a nóż z metalicznym brzękiem upadł na kamienne klepisko u ich stóp. Pistis poczuł, jak pomiędzy jego palce, delikatnie ale stanowczo pokonując jego opór, wślizgują się drobne palce czarodziejki. W tej samej chwili zorientował się, że dłonie ma zaciśnięte w pięści.

– Czas na nas. Chodź ze mną, proszę.

Z trudem oderwał wzrok od obrazu małej czarodziejki i jej mistrza i przeniósł go na Elpis. Na jego wargach tańczył pozbawiony wesołości uśmiech.

– Mówisz zupełnie, jakbym miał wybór.

Elfka dłuższą chwilę patrzyła w milczeniu wprost w jego oczy, ważąc słowa, które chciała wypowiedzieć, jakby w obawie, że uwolnione, uczynią więcej szkody niż pożytku.

– Pistisie – zaczęła w końcu – zaszкодziłeś dziś sobie na tyle wymyślnych sposobów, że nie jestem w stanie zrobić nic, by wszystko było jak dawniej i by ta noc nie zostawiła w tobie czegoś, co wielu z ulgą zamieniłoby na śmierć. Żeby zrobić cokolwiek, potrzebuję twojej czynnej współpracy, więc tak. Masz wybór. Powiem ci, czego od ciebie oczekuję i nie uczynię nic wbrew twojej woli. Na początek proszę cię o zaufanie. Tutaj tego nie odczuwasz, ale każda chwila przebywania w wizji wiele cię kosztuje, tym więcej, że larwa czerpie z ciebie. Staram się zaabsorbować ją do swojego wnętrza, o ile to możliwe, ale jeśli będziesz zwlekał, to może wkrótce nie wystarczyć. Czy pójdziesz ze mną?

Zmrużył oczy, nadal nie spuszczał ich z jej twarzy, starając się przeniknąć kurtynę, za którą skryła swoje prawdziwe uczucia. Mogła być z nim szczerą, ale równie dobrze mogła próbować go okłamać. Nie wiedział. Wytrzymała jego spojrzenie. W końcu poddał się, tak samo potulnie i bez reszty jak dawno temu czarnowłose dziecko, sam zaskoczony ulgą, która napłynęła wraz z podjętą decyzją.

– W ogień i na śmierć, przyjaciółko mego serca.

Gwałtownie wciągnęła powietrze i zatrzepotała powiekami, znów czując zimno oblepiającego ciała ubrania i nieprzyjemną miękkość błota pod kolanami. Klęczała nad nim wśród resztek traw, które oparły się działaniu ognia i gradu, zapadając się w rozpulchnionym błocie i dygocząc z zimna częściowo tylko wywołanego przez nadal nie dającą za wygraną wilgoć sączącą się z nieba. Twarz Pistisa była blada, oczy przymknięte. W koniuszkach palców, rozżarzonych srebrzystym światłem, czuła pulsujący ból, jakby wbito w nie tysiąc lodowych igiełek. Zakłęła, znów przesuwając dłońmi nad jego sylwetką.

– Do jasnej cholery, Pistis! Po prostu nie masz prawa, rozumiesz?

Przeklęta larwa czyniła wszystko o wiele trudniejszym, czerpiąc z niej moc, której nie mogła w tej chwili pobrać od kapłana. Po raz nie wiadomo już który Elfka szczerze pożałowała, że nie potrafi wynaleźć sposobu odłączenia jej bez krzywdzenia swojego towarzysza.

*W ogień i na śmierć...*

Zadrzała, dopiero teraz uświadamiając sobie wagę słów, jakie skierował do niej kapłan chwilę przed przerwaniem wizji. Miano, którym ją obdarzył – przyjaciółka serca – sposób, w jaki Elf tytułuje swoją małżonkę. Słowa, które Człowiek zastąpiłby pewnie czymś w rodzaju: najdroższa czy może raczej umiłowana, chociaż żaden z tych tytułów nie oddawał ich w pełni. Poczwała jak do zimnych łez nieba na jej policzkach przyłączają się jej własne, gorące. Potrzęsnęła wściekle głową, przeganiając słabość, nie śmiała oddalić dłoni od jego ciała.

Chwilę potem to poczuła. Zimny ciężar, który z cichym plaśnięciem opadł na jej udo nieco powyżej kolana. Zastygła w bezruchu, tylko spojrzeniem śledząc dłoń kapłana powoli i z wyraźnym trudem przesuwającą się w górę po mokrym materiale jej spodni, po to, by zatrzymać się tam, gdzie pod nimi znajdowały się blizny po nożu.

– Boli? – zapytał po dłuższej chwili milczenia.

– Nie – nadal nie pozwoliła sobie na najłżejszy nawet ruch. – Już dawno nie.

Zaskoczyło ją miękkie brzmienie jej własnego głosu. Pistis skinął głową.

– To dobrze.

Elpis zamrugała powiekami, unicestwiając resztki łez. To, co musiała zrobić, wymagało siły i graniczącej z fanatyzmem wiary, na którą jeszcze kilka godzin temu nie było w niej

miejsca. Rozmowa z leszym coś jej przypomniła, nie do końca zrozumiałe urywki, cienie wśród cieni, szepty w ciemności, których słowa tak długo i tak skutecznie zagłuszał Kain, że stały się w jej uszach niezrozumiałym bełkotem. Widok przerażonych oczu, a także ponownie przebudzone wspomnienie noża w ręku czarnowłosego dziecka przerwały otaczającą ją zaporę, szept stał się krzykiem, a krzyk wlewał się w nią wciąż i wciąż, wieszcząc grozę i obiecując na nowo odsłonić przed nią tajemnicę tego, co było przyczyną sięgnięcia po nóż. To, czego nie pamiętała, nie chciała pamiętać. Jednocześnie wiedziała, że za wszelką cenę musi sobie przypomnieć.

Wirujące wokół niej dziewczynki w poszarpanych sukienkach i od dawna nie czesanych włosach, dziewczynki o pustych oczach i zapadniętych policzkach, nienaturalnie ciche i zimne. Wycie Wilków wśród mgły i szelest szat dosiadających je postaci, a także to, że największy z nich miał dwa łby o pałających czerwienią ślepiach. Koszmar, z którym będzie musiała ponownie się zmierzyć, gdy Wilki pożrą księżyc. Lub wcześniej, jeśli odważy się sama rzucić mu wyzwanie. Dla niego. I przeciwko sobie samej.

Z wysiłkiem oderwała wzrok od bladej dłoni na swoim udzie i przeniosła go na twarz Elfa, napotykać wpatrzony w siebie błękitne oczy o dziwnym wyrazie. Nie mogła rozszyfrować, czy jest w nich więcej współczucia, smutku czy błagania. Nie znalazła strachu. Naiwny głupiec, zakłopotany tym, co uczynił i świadom jej gniewu, ale ślepo wierzący w ocalenie, które przyniesie. Motyl na dłoni, którego zbyt łatwo zniszczyć. Miała ochotę wyc. Zmusiła się do uśmiechu.

– W normalnych warunkach oderwałabym ci tę dłoń, usmażyła nad ogniskiem i nakazała zjeść.

– Ale to nie są normalne warunki, prawda? – zapytał, odwzajemniając uśmiech.

– Nie – pokręciła przecząco głową, po raz pierwszy pozwalając sobie na ruch. – Wcale.

– To dobrze – powtórzył po raz drugi.

Czarodziejka poczuła, jak nacisk jego ręki zwiększa się, gdy mężczyzna nieznacznie dźwignął się z ziemi, opierając na rękach ciężar ciała. Zanim zorientowała się, że wbrew pozorom nie zamierza on wstać ani nawet usiąść, jego twarz znalazła się niepokojąco blisko spoczywającej na jej udzie dłoni, a usta kapłana musnęły mokry i zimny materiał spodni.

– Teraz powinnaś skrócić mnie o głowę – stwierdził ze śmiechem, znów opadając na ziemię.

– Powinnam – zgodziła się bezbarwnym głosem. – Wstań, proszę.

Zmrużył powieki, nieco zbity z tropu tym nagłym żądaniem. Nie protestował, zabrał rękę i powoli dźwignął odporne ciało do pozycji siedzącej, oburącz podpierając się ziemi rozdygotanymi dłońmi. Mimo iż zrobił tylko tyle, zatrzymując się na tym etapie dla chwili odpoczynku, wysiłek sprawił, że serce zatrzepotało rozpaczliwie w jego piersi.

*Jak schwytany w pułapkę motyl. Motyl na dłoni.*

Czarodziejka niemal natychmiast sama siebie przeklęła za tę myśl. Miała plan. Co prawda było w nim zbyt wiele „być może” i zbyt wiele „jeśli”, ale jak na razie był on jedynym rozwiązaniem, jakie przed nimi dostrzegała. Zbyt jak na jej gust skomplikowany ciąg pełen niewiadomych, w którym żadne rozwiązanie nie mogło być uznane za pomyślne. Jeśli jednak chciała otrzymać jakikolwiek wynik, musiała z góry zaakceptować porażkę i iść drogą, która pozwoli jej jak najbardziej ją zminimalizować. Musiała zacząć działać, teraz, natychmiast. Wyzwać i zrozumieć to, czemu nie miała odwagi stawić czoła czarnowłosa dziewczynka, jaką kiedyś była. Albo od razu chwycić za nóż.

– Elpis... – drgnęła, nagle wyrwana z ponurych rozmyślań. – Wybacz mi, ale czuję, że jeśli teraz wstanę, coś się we mnie urwie, skończy. Coś, czego nie zdołasz naprawić.

- Wiem. To teraz nieważne. Wstań.
- Co się ze mną dzieje? – zapytał cicho.

Nadal nie było w nim strachu. Być może otępienie wywołane działaniem ziela snów nadal go nie opuściło, a może naprawdę obdarzał ją wiarą i zaufaniem, na które nie zasługiwała.

- To, co musi stać się z każdym Elfem, który pije krew. Umierasz – powiedziała miękko.
- Nie potrafię tego powstrzymać. Babrałeś się w czarnej magii po łokcie, nawet ja nie mogę ci pomóc. Ale potrafię wskazać ci drogę z powrotem. Czy z niej skorzystasz, to tylko i wyłącznie twoja wola. Tak czy inaczej, musimy się pospieszyć.

Wstała, nie czekając na jego odpowiedź i wyciągnęła w jego stronę rękę. Chwycił ją i chwilę później, z jej pomocą, on również znalazł się na nogach. Mimo prób nie był w stanie utrzymać się w tej pozycji bez wsparcia.

– Słuchaj mnie teraz uważnie, proszę cię – zaczęła, dając mu czas na uchwycenie równowagi. – Wiem, że to zabrzmi brutalnie, ale... Mamy dwa wyjścia. Możemy poszukać drzewa, w które przeniknie twój duch. Wtedy po prostu umrzesz i odnajdziesz spokój, jak wszyscy twoi pobratymcy. Jak każdy Elf, staniesz się częścią drzewa, będziesz patrzył jego oczami i przez nie słyszał. Nie odejdziesz do końca, ale nie będziesz mógł podążać za mną. A ja nie będę mogła zostać z tobą. Możesz też mi zaufać, bezgranicznie, a ja poprowadzę cię przez piekielne otchłanie, by zakpić ze śmierci i z życia.

Stał już niemal bez jej pomocy, nadal jednak nie wypuściła jego ręki. Uniósł wolną dłoń do jej twarzy i odgarnął mokre włosy z policzka, odsłaniając biegnącą przez niego bliznę, pamiątkę po nie tak dawnej przygodzie w klasztorze. Dziewczyna nawet nie drgnęła, gdy przesuwał po niej opuszkami palców.

*Pomyliłeś się, kapłanie. Myślałeś, że dostrzegasz światło tam, gdzie zawsze gnieździł się tylko mrok.*

Tak mu wtedy powiedziała. Od tamtej pory jej aura przygasła. Tak samo jak Farysa, Sylwana czy jego samego. Ale ich widma odzyskały swoje pierwotne postaci, jej nigdy już nie wróciło do normy. Już przedtem było niespójne, pełne pęknięć i cieni. Teraz zawładnął nią mrok, jakby była kimś dawno umarłym, komu odmówiono spokoju. Sam przed sobą udawał, że tego nie dostrzega, tak jak wołał nie zauważać braku bicia serca.

– Ufam ci, Elpis. Bezgranicznie. Jeśli cokolwiek pójdzie nie tak, jeśli będzie to jeszcze możliwe...

*Chciałbym być klonem. To o klon opierałaś się, gdy pierwszy i jedyny raz pozwoliłaś mi sięgnąć po swoje usta. Wdychałem twój zapach i zapach jego kory i byłem pijany, jak nigdy w życiu. Jak nigdy szczęśliwy. A potem to tam mnie zostawiłaś. To zabawne, ale dopiero wtedy dotarło do mnie, że klon jest martwy. Dawno już zwalony przez wicherę...*

– Nie, Pistisie – przerwała mu głośno. – Jeśli cokolwiek mi się nie uda, nie będzie drugiej szansy. Nie będzie jej nawet wtedy, gdy się uda. Teraz, albo nigdy. Rozumiesz?

Po raz ostatni obrysował kciukiem kontur jej blizny i odnalazł dłonią jej wolną dłoń, po czym uniósł obie do ust. Gest, którego nigdy mu nie oddała. Drzewo jest martwe. Było martwe od dawna, ale wołał się okłamywać. Nie można połączyć się z martwym drzewem. Mimo to spróbuje.

– Rozumiem. To nic nie zmienia. Bo nikt nie powinien być sam w ciemności. Nie zostawię cię samej.

– Jeśli zdecydujesz się zostać, noc, która nastanie po jutrzejszym dniu, będzie najgorszą w twoim dotychczasowym życiu. Pierwszą z najgorszych. Bo za śmierć nie wystarczy zapłacić raz. Trzeba spłacać dług po tysiackroć. Ani dnia mniej ani więcej.

Nie potrafiła ocenić, czy nienaturalną bledość jego twarzy wywołały jej słowa, czy

uchodzące z niego z każdą upływającą chwilą życia. Skinął głową.

– Rozumiem.

Nie potrafiła powstrzymać pozbawionego wesołości uśmiechu.

– Nie. Nie rozumiesz. Nie wiesz nic, kapłanie.

– Co zamierzasz zrobić?

– Coś strasznego. Często zdarza mi się robić straszne rzeczy. Rzucić wyzwanie śmierci i stanąć w szranki z samym margrabią piekieł. Stawką będzie twoja dusza.

*Zrobię teraz coś strasznego. Często robię straszne rzeczy. Jeśli choć przez chwilę naprawdę chciałeś ze mną zostać, powinieneś dawno to zrozumieć.*

Tak powiedziała w klasztorze, chwilę przed tym, gdy rzuciła w niego sztyletem. Tuż przed ucieczką, za którą niemal nie przyszło im zapłacić najwyższej ceny.

– Bierzesz pod uwagę możliwość przegranej? – nie potrafił powstrzymać się przed zadaniem tego pytania.

– To zależy tylko i wyłącznie od ciebie. Ale będę cały czas przy tobie i nie pozwolę na przegraną.

– Zrób to – usłyszał własny głos.

Elpis długo i z powagą patrzyła w błękitne oczy Elfa, jakby szukając na ich dnie potwierdzenia lub zaprzeczenia słów. W końcu nieznacznie skinęła głową. Wyraz jej twarzy zmienił się, zastygła w kamienną rzeźbę, nie znającą pojęcia strachu, gniewu, radości czy smutku. Była w niej tylko zimna determinacja. Cofnął się o krok, po raz pierwszy czując zimne dotknięcie strachu. Czarodziejka uśmiechnęła się samymi ustami, ponuro i z goryczą. Było za późno na strach.

– Barghest! – krzyknęła, ani na chwilę nie odrywając oczu od twarzy kapłana, który zadrżał pod wpływem tego imienia.

Imienia, które śmiertelnicy obawiali się wypowiadać na głos. Ogar gończy piekieł, ten który wiódł potępione dusze na drugą stronę, by na zawsze zamknąć je w okowy tam, gdzie nie dociera żadne światło. Demon, którego nikt o zdrowych zmysłach nie ośmieliłby się sam wezwać.

– Barghest! – powtórzyła głośniejszym głosem. – Wzywam cię na świadka!

Gdyby to było możliwe, kapłan przysięgłby, że blask gwiazd i delikatnego zarysu księżycy, dziś po raz ostatni przed nowiem widocznego na niebie, przygasły, a gęsta, lepka ciemność zawirowała wokół nich, tworząc wir, w środku którego się znaleźli. Przez chwilę nie działo się nic ponad to. Wystarczająco długo, by Pistis zaczął się łudzić, iż przeklęty duch nie usłuchał rozkazu czarodziejki. Dokładnie w momencie, gdy dopuścił do siebie taką możliwość, znikąd zerwał się wiatr, pod naporem którego wierzchołki drzew pochyliły się ku ziemi, trzeszcząc ostrzegawczo. Po ich konarach zbliżało się do nich z nadnaturalną prędkością jakieś stworzenie. Nie mogli wyczuć go zmysłami, nie słyszeli kroków i nie widzieli sylwetki, ale podświadomość nie dała się zwieść. Potwierdzeniem jej domysłów było wibrujące szaleństwem wycie, które rozległo się tuż nad ich głowami, wypełniając sobą cały las. Pistis skulił się w sobie, rozpoznając w nim głos wieszczego. Nigdy jeszcze jego zaśpiew nie brzmiał w ten sposób, tak bardzo żałośnie i triumfująco zarazem, szarpiąc do bólu najgłębsze struny duszy, paraliżując przerażeniem i miażdżąc wolę. Być może dlatego, że po raz pierwszy wieszczy śpiewał specjalnie dla niego.

*Cokolwiek zrobisz, pójdź za mną. Cokolwiek ci nakazę, zrób to, bezzwłocznie i bez zadawania pytań.*

Głos czarodziejki wypełnił jego wnętrze.

Elf zmusił się do otwarcia oczu, dopiero teraz orientując się, że od chwili, gdy do jego



uszu dotarł wrzask wieszczego, miał je zaciśnięte. Napotkał wpatrzoną w siebie zimną zieleń oczu Elpis.

– Jest jeden Bóg, który ani na chwilę nie zasypia, siedmioma tysiącami błękitnych oczu śledząc każdy ruch swoich niewolników – zaczęła, gdy tylko ucichł krzyk demona. – Jest jeden Bóg, a imię Jego Śmierć. Nie dostaniesz go, błękitnooki tyranie. Ja, córka zdrajcy, posiadająca wiele imion, z których żadne nie jest tym prawdziwym, wyzywam cię. Albowiem ten, po którego sięgasz, należy do mnie i mój pozostanie, albo na zawsze pochłonie go Cień. Odrąbię więc każdą z twoich rąk i wyłupię każde z oczu, bo nauczono mnie walczyć, a nie błagać – zawiesiła na chwilę głos. – Zamknij, proszę, oczy – dodała łagodniejszym tonem, zwracając się bezpośrednio do Elfa. – Cokolwiek się stanie, nie spojrzysz, dopóki ci na to nie pozwolę.

– Nie spojrzę, dopóki mi nie pozwolisz – powtórzył za nią.

Zanim przebrzmiało echo jego słów, drobna dłoń czarodziejki przesłoniła mu powieki, jakby Elpis, nie do końca zawierając obietnicy, chciała mieć wszystko pod kontrolą. Zanim minął czas potrzebny na kilka uderzeń serca, był jej za to wdzięczny. Zmroziło go paraliżujące zimno, nigdy jeszcze nie czuł chłodu tak przenikliwie i dogłębnie. Wypełniający powietrze szelest liści brzmiał w jego uszach niczym szepty i urywane krzyki przeklętych stworzeń, niepokojąco często zdając się przybierać formę niemalże zrozumiałych słów. Lodowate palce wichru z całych sił naciskały na wskroś przemoczone ubranie, napierając z taką gwałtownością, że kapłan odniósł niemiłe wrażenie czyjejs natrętnej obecności. Zupełnie jakby wokół zgromadziły się wszelkie chthoniczne bóstwa i demony, znane i nieznane światu, a każdy z przybyszów za wszelką cenę usiłował dopchać się do ich dwójki i dotknąć go.

I nagle wszystko się skończyło, dotarli do jądra szaleństwa, dryfowali, pozornie bezpieczni, w samym oku cyklonu. Pistis zorientował się, że szczęki ma do bólu zaciśnięte. Z trudem udało mu się je rozluźnić.

Najpierw poczuł jej zapach. Mieszankę woni deszczu, wiatru i mokrej ziemi, oraz czegoś nieuchwytnego, czego nie potrafił nazwać, nasuwającego kuriozalne skojarzenie z krwią jednorożca. Zaraz potem dotarło do niego jej ciepło. Ciepło oddechu na policzku i jakimś cudem przenikające przez ubranie ciepło jej dłoni, którą przesunęła wzdłuż jego piersi, zatrzymując się na dłużej na rzemieniach, wiążących koszulę pod szyją. Zamarł, niezdolny do żadnej reakcji, kiedy jedną ręką nadal zakrywając mu oczy, drugą poradziła sobie z rzemieniami i koszulą, po czym oparła otwartą dłoń na nagiej skórze. Chciał otworzyć oczy, ale jej palce nie pozwoliły mu nic zobaczyć. Usiłował cofnąć się o krok, więc otoczyła go ramieniem, całym ciałem przylegając do jego ciała. Chciał w końcu głośno zaprotestować, lecz skutecznie go uciszyła, zamykając jego usta gwałtownym pocałunkiem.

*Zrobisz wszystko, co zechcę, natychmiast i bez zadawania pytań. Wszystko. Rozumiesz, kapłanie?*

Nawet, gdyby chciał, nie potrafiłby w tej chwili odpowiedzieć. Zespolenie, którego doświadczyli u stóp zwałonego przez wicher klonu, poprzedził chwilowy wstrząs, tym razem cały pocałunek był nie kończącym się wstrząsem. Pistis poczuł, jak Elfka w jego ramionach znieruchomiała, gdy tętno w jej żyłach dostosowało się do szaleńczych uderzeń jego tętna, a zaraz potem gwałtownie zwolniło, by w końcu całkowicie się zatrzymać. Tak, jak nie można pomóc komuś, kto sam odebrał sobie życie, tak nie da się ożywić serca, którego posiadacz własnym zaklęciem zmusił je, by obróciło się w martwy kamień.

Elpis starała się ukryć przed nim swoje myśli, ale w tym stanie było to niemożliwe. Udało jej się wykrzywić ich prawdziwe znaczenie i nie dopuścić go w pobliże niczego, co nie było oderwanymi od siebie, pozbawionymi znaczenia obrazami. Był tam pikujący w przepaść orzeł i podążający za nim gołąb o czarnych piórach, a także trzepoczący się na dłoni różnobarwny

motyl. Był strach i wirujące w niekończącym się tańcu martwe dziewczynki o ustach otwartych do krzyku.

Kiedy odsunęła się od niego, spazmatycznie zaczerpnął w płuca powietrza, z przerażeniem i ulgą witając przejmujący ból w głębi klatki piersiowej, wywołany przez serce, które rozpaczliwym wysiłkiem zdołało znów podjąć pracę. To właśnie ten ból sprawił, że nie poczuł powoli przesuwających się po jego skórze paznokci dziewczyny, kiedy spoczywająca na jego sercu dłoń przybrała kształt odpowiadający ptasiemu szponowi.

– Pistisie, otwórz oczy.

Jej głos zdawał się dochodzić z daleka, może przez ogłuszający szum krwi, wypełniający mu skronie. Zamrugał, napotykał jej twarz bliżej, niż się spodziewał. Usta dziewczyny poruszyły się bezgłośnie, szepcząc prośbę o wybaczenie. Zaraz potem Elpis przyzwała moc, koncentrując jej przepływ w koniuszkach palców i pewnym ruchem wyrzuciła dłoń do przodu. Kapłan poczuł krótki, ostry ból, gdy paznokcie dziewczyny wbiły się w jego skórę. Nie dopuściła, by poczuł cokolwiek ponad to.

\*\*\*\*

– Prawda lelka i lisa. Przeciwwstawne i przeczące sobie nawzajem, ale tak samo ważne i niepodważalne. Która z nich jest moją prawdą? – zapytała Elpis kilka godzin wcześniej, siedząc na omszałym gładzie ze srebrzystą, delikatną tkaniną przerzuconą przez kolana.

Naprzeciw niej kuczał na ziemi, sam podobny do omszałego gładu, olbrzym bez twarzy. Końcówki jego przypominających porosty włosów równały się z wierzchołkami najwyższych z rosnących tu drzew. Wokół nich dawno nastał i przeminął zmierzch, po nim noc zawładnęła lasem i biegnącą w dole linią parowu, czyniąc go podobnym przepaści bez dna. Elpis siedziała niemal na skraju przepaści. Elfie oczy nie dawały się zwieść sztuczkom ciemności, dziewczyna wyraźnie widziała biegnącą dołem linię rzeki, która teraz zdawała się być wypełniona płynną smołą, spijającą blask gwiazd i malejącego księżyca, nasuwając nieodparte skojarzenie z drobinkami ognia zatopionymi w czerni amuletu, który straciła. Leszy nie spieszył się z odpowiedzią. Na początku ją to irytowało, ale szybko zrozumiała, że jeśli chce cokolwiek od niego usłyszeć, musi zacisnąć zęby i podporządkować się powolnemu rytmowi demona. Czekala więc cierpliwie, nie ustając w tworzeniu nowych kółeczek, na bieżąco dołączanych do powstającej koleczugi.

*A jeśli odpowiem, że obie? Zapytał leszy, stając się głosem w jej głowie.*

*Poproszę cię, żebyś rozwinął tę odpowiedź.*

Też przestawiła się na komunikację bez słów.

Tym razem czekała jeszcze dłużej. Kilkanaście kroków od nich przesnuował lis, nie zdając sobie sprawy z ich obecności. W ostatniej chwili musiał dostrzec srebrzystą poświatę, bijącą od spoczywającej na jej kolanach tkaniny, bo zawrócił w miejscu i uciekł bez wydawania najmniejszego dźwięku. Skrzydła jakiegoś ptaka przecięły powietrze, kiedy jeden z licznych nocnych łowców przepłynął nad ich głowami. Elfka odprowadzała wzrokiem sylwetkę kruka, zanim nie wtopił się w czern lasu. Zastanawiała ją, dlaczego nie ma w pobliżu ani jednej z wszechobecnych o każdej porze dnia i nocy leszanek. Te małe duszki otaczały ich niemal zawsze... z wyjątkiem chwil, kiedy w pobliżu znajdował się demon, uznawany przez Ludzi, Elfy i Wampiry za ich ojca. Przypomniały jej się historie, zasłyszane dawno temu w świecie, z którego tu przybyli. Zgodnie z nimi leszy miał zjadać własne dzieci. Nie odważyła się zapytać.

– Zostałam wychowana przez czarnoksiężnika i Wilczycę – zaczęła głośno, trochę znudzona oczekiwaniem a trochę dlatego, że obawiała się przypadkiem zdradzić przed duchem lasu ze swoimi myślami. – Przynajmniej w tym życiu, które pamiętam. Niby wszystkiego, co wiem, nauczyłam się od nich, ale to przecież nieprawda. Jest jeszcze to, co Kain mi odebrał,

wspomnienia, które przede mną zataił. Mimo iż nie płynie we mnie wilcza krew, bo nie jestem przecież bezpośrednim potomkiem Szarej Wilczycy o dwóch głowach, potrafię przemienić moje ciało i jaźń, by stać się jednym z jej dzieci. Nie udaję wtedy Wilka, jestem nim. Jestem też czarodziejką, co najmniej tak samo potężną jak Kain, a dodatkowo mam nad nim przewagę bycia uczniem, któremu przez miliardy lat przekazywał wszystko, co wie. Nawet wyparte wspomnienia gdzieś tam przecież są. Odkąd przyrzekłam opiekę moim własnym uczniom, pewne rzeczy zaczęły wracać, zupełnie jakby oni byli kamykami, które przebudziły lawinę, a lawina wkrótce spadnie. Byłam Człowiekiem, teraz jestem Elfem i Wampirem jednocześnie. Czasem odnoszę wrażenie, że to zbyt wiele, nawet dla mnie – urwała, jakby nagle rozumiejąc, że powiedziała za dużo.

Ten etap jej życia należał już do przeszłości. Kiedyś, dawno temu, buntowała się, nienawidząc i przeklinając swoją moc, ale to było zanim jednorożce pozwoliły jej dźwignąć się z upadku. Mimo to czasem zdarzały się dni, gdy zazdrościła Ludziom ich krótkiego żywota i nieuchronności śmierci. Wyborów wiążących z czymś lub kimś raz na zawsze, jasno zdeterminowanych i oczywistych. Codziennego rozniecania i podtrzymywania ognia w ogromnym piecu, by od rana do wieczora wypiekać chleb, bo tak robił dziad i ojciec i niezachwianej pewności, że tak kiedyś będzie robił syn. Rąk białych od mąki, niezbrukanych brudem i smrodem krwi. Związków, którym kres kładzie kostucha, ale niekoniecznie zabierając zawsze tą drugą osobę, a nawet jeśli, pozostawiając obietnicę rychłego spotkania, na które oczekiwania trwać będzie najwyżej kilka lat. Zamknięcia oczu, po którym nie ma, bo nie może być, przebudzenia.

Zazdrość trwała zawsze bardzo krótko, prędko zastąpiona przez współczucie dla biednych, żalonych istot, które tak niewiele rzeczy w swoim życiu mogą wybrać samodzielnie. A potem nawet współczucie znikало, zastąpione pogardą. Wiedziała, że gdyby mogła, nie oddałaby swojej nieśmiertelności za tak marną namiastkę życia, w którym prawie wszystkie decyzje podejmie za nią ojciec, mąż, a w końcu syn. Gdyby Kain pewnego dnia zjawił się przed nią i w najbardziej nawet rozsądnie brzmiących słowach usiłował przedstawić jej Pistisa jako kogoś, z kim powinna wiązać swoją przyszłość, uznałaby to za kiepski żart. Gdyby nalegał, być może pewnego dnia sprezentowałaby mu pięknie zapakowane, bijące i ciepłe serce nieszczęsnego Elfa. Dla czystej przyjemności ujrzenia wyrazu twarzy czarnoksiężnika w momencie, gdy otworzy podarunek. Przynajmniej tak postąpiłaby dawna Elpis, ta, której cząstka umarła w klasztorze, a kolejna pod ścianą biało-czarnego lasu.

*Kim więc jestem ja, która nie znam swojego imienia?*

*Być może to też jest wybór?* Podsunął leszy, tym razem nie każąc na siebie czekać.

*Oriole nazwała mnie gołębicą. Szybko sformułowała przekaz, ośmielona. Powiedz mi, co powinna uczynić gołębica, która niespodziewanie dla samej siebie odnalazła pisklęta jastrzębia?*

*To zależy.*

*Od czego?*

Elpis nie mogła oprzeć się wrażeniu, że duch lasu z niej kpi. Nie mogła też powstrzymać się przed drażnieniem tematu.

*Od bardzo wielu czynników. Przede wszystkim od tego, kto pyta. Odpowiedzi będą się znacznie różniły, gdy spojrzymy na to z punktu widzenia gołębicy, a potem piskląt.*

*Dziewczyna machnęła ręką, zniecierpliwiona.*

*Może po prostu sobie pójdę? Nie mówisz mi nic, co miałyby jakiegokolwiek znaczenie.*

*Oczywiście, możesz odejść. Możesz też zostać i wysłuchać mojej historii. Znam opowieść o orle, który pokochał gołębicę. Nie jest wesola i nie kończy się dobrze, ale mimo to może zechcesz jej wysłuchać. Wybór, Nadziejo. Wszystko sprowadza się do wyboru. Rezygnacja z niego*

*również jest swego rodzaju wyborem, tak jak przyznanie się do tchórzostwa wymaga odwagi.*

Czarodziejka nie ruszyła się z miejsca. Czuliła się nieswojo. Coś miało się dziś wydarzyć i ponure widmo tego czegoś wisiało w powietrzu niczym ostrzeżenie, które stanie się zrozumiałe dopiero, gdy będzie zbyt późno, by odpowiednio zareagować. Po kilku minutach przedłużającej się ciszy jasne stało się dla niej, że leszy wcale nie zamierza rozpocząć swojej historii. Westchnęła.

*Popraw mnie, jeśli się mylę – zaczęła, by zająć czymś myśli. Nie znam się na tym zbyt dobrze. Elfy nie spożywają mięsa innych stworzeń, nie ma dla nich znaczenia, czy jest ono surowe, czy po ugotowaniu lub usmażeniu, nie biorą też do ust krwi. To nie ma nic wspólnego z wyborem, nawet odrobina takiego pożywienia mogłaby je zabić. To co zaszło między mną a Pistisem, jest fenomenem, którego nie potrafię wytłumaczyć i nie odważę się powtórzyć. Mogą za to jeść jaja, nie tylko ptaków, ale nie czynią tego, chyba że głód je zmusi. Nawet wtedy uważają, że niegodnie jest zabierać więcej niż jedno jajo z jednego gniazda, bo ptaki również mają święte prawo do zrodzenia i wychowania potomstwa. Ludzie bez oporów jedzą mięso. Czasem nawet surowe, widziałam. Dawno temu. A gdy zawiśnie nad nimi widmo głodu, nie pogardzą nawet ciałami swoich pobratymców, dasz wiarę? Ale nie potrzebują tego typu pokarmu, żeby przeżyć. Najlepszym przykładem jest Farys, który dla wygody i oszczędności czasu je na równi z Elfem i ma się dobrze. Krwi nie piją. Nie wiem, czemu. Patrząc znów na Farysa, mogę zaryzykować stwierdzenie, że ich przeraża lub obrzydza. Albo jedno i drugie. Wzruszyła ramionami. Jeśli chodzi o Wampiry, tu wszystko maksymalnie się upraszcza. Tylko krew, ale i to niekoniecznie. Więc wybór. Idąc tym tropem znajdujemy się o krok od wysnucia wniosku, że wszystkie rozumne rasy mogą żyć w zgodzie i harmonii, nie krzywdząc się i nie zabijając, jeśli tylko będą tego chciały. To niesie nadzieję, ale tylko pozorną. Bo zaraz potem trzeba przyznać, że rozumne rasy są okrutne, dla samej przyjemności bycia okrutnym, bo odkąd świat istnieje zabijają, zjadają, niewolą. Okrutne dzieci okrutnego demona, nieposłusznego sługi okrutnego Boga, który chociaż jest wszechmocny, ma wszystko gdzieś. Śmieszne, prawda? A może straszne. Najprawdopodobniej to tylko brednie. Opowiedz mi swoją historię.*

*Gołębie to ciekawe stworzenia, wiesz? – zaczął leszy, gdy już minęła cierpliwie przez nią przeczekana chwila ciszy. Ludzie uznają je za symbol pokoju. To naprawdę, hmm... osobliwe. Ale czego oczekiwać można po rasie, która obdarzyła podobnych mi mianem leśnych dziadków? Leśny dziadek, doprawdy... Elfy dobrze wiedzą, że taka interpretacja ma mniej więcej tyle wspólnego z prawdą, co bajka o jaskółkach, które przesypiają zimę, zagrzebane w mule pod jeziorami. Kolejny wymysł Ludzi. Słyszałem też historie o myszach, które lęgną się z kurzu i okruszków spleśniałego chleba. A także o odmieńcach, podrzucanych w nocy do kołyski na miejsce ludzkich niemowląt, porywanych przez rusałki. Doprawdy nie rozumiem, dlaczego niby rusałki miałyby robić coś takiego? Albo... o, ta ci się spodoba! O Wampirach, którym wystarczy przebić serce kolkiem, nie wiedzieć czemu, koniecznym osinowym, by zasnęły na zawsze. Nie wspomnę już o morowej dziewczycy, kroczącej przez wieś i wymachującej zakrwawioną chustką. Gdzie przejdzie dziewczica, trup ścieli się gęsto, bo ten, na kogo spadnie kropla krwi z chusty, umrze niezawodnie. W niektórych miejscach ci komedianci nadal wierzą, że zakopanie żywcem u bram osady kobiety, prześlaga demona.*

Elpis westchnęła ukradkiem. Zapowiadała się naprawdę długa noc. Ku jej zaskoczeniu duch lasu bez dalszego ociągania się podjął temat gołębi.

*Jaskółki nie śpią na dnie jezior, a gołębiom daleko do łagodności, jaką się im tak chętnie przypisuje. Bez wahania rozszarpią chorego czy kalekiego towarzysza, tak samo zresztą postąpią z obcym, który nagle znajdzie się w zaznajomionym ze sobą stadzie bez możliwości ucieczki. W obronie gniazd czy młodych zdolne są nie raz do czynów godnych tego, by je sławić*

w pieśniach.

*W historii, którą chcę ci opowiedzieć, orzeł – dumny król przestworzy, najpotężniejszy z ptaków, władca niebios, pokochał gołębicę. To była bardzo piękna gołębicą. Pióra miała czarne niczym inkaust. Kiedy rozpościerała skrzydła, w ich czerni odbijały się gwiazdy. Jej dziób i szpony było koloru świeżej krwi, takiej samej barwy były też jej oczy. Dziób, szpony i oczy orła miały barwę płynnego słońca, pióra przypieczonej tym słońcem ziemi. On był bowiem ptakiem dnia, a ona nocy. A mimo to orzeł pokochał noc i krew. Ściagał się z nią w przestworzach, razem szybowali wśród chmur i pikowali wzdłuż pionowych klifów ścian prosto na dno najgłębszych przepaści, do ostatniej chwili nie rozkładając skrzydeł. Było im ze sobą nad wyraz dobrze, chociaż żadne z nich nie potrafiło w pełni pojąć potrzeb i tęsknot drugiego. Żadne, nawet po wielu, wielu dniach i nocach usilnych prób nigdy nie miało należeć do drugiego do końca i bez granic. Jej fascynacja dniem, a jego nocą wynikała raczej z pędu ku nieznanemu i negacji odwiecznych praw, wyznaczających sztywne ramy życia ich gatunków, a jako taka nie mogła przetrwać.*

*Gołębicą pierwszą to zrozumiała. Dlatego podczas jednego z lotów w głąb otchłani otworzyła szponami pierś orła i wyrwała mu serce. Królewski ptak spadł, a ona poszybowała za nim, ściskając bijące, żywe serce w szponach koloru świeżej krwi.*

Kiedy skończył mówić, Elpis siedziała na swoim miejscu, na kolanach trzymając niemal ukończoną delikatną kolczugę, pracę nad którą chwilowo przerwała. Czowała się dziwnie pusta i spokojna, jakby otrzymała odpowiedź, zanim jeszcze doszła do tego, jakie pytanie należy postawić. Jednocześnie wiedziała, że jeszcze przez jakiś czas nie zrozumie odpowiedzi.

– Co było dalej? – zapytała szeptem.

*Nic. To koniec historii. Oboje spadli. Ale od tamtej pory gołębicę to ptaki dnia, może dla umożliwienia kolejnym pokoleniom miłości, która nigdy już się nie przebudziła. Zamiast niej doszło do głosu coś zgoła innego – nienawiść. Orły karmiły gołębicami swoje pisklęta. Być może nigdy nie wybaczyły gołębicę. Niemniej jednak to opowieść o miłości, nie nienawiści.*

Dziewczyna milczała. Coś miało się dziś wydarzyć. Coś strasznego. Leszy wpatrywał się w nią obliczem pozbawionym oczu, jakby czekając na jakąś opinię, dotyczącą jego opowieści. Sama nie wiedząc dlaczego, doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że nie zbędzie go obojętnością.

– Ani razu nie powiedziałeś, że gołębicą również kochała orła.

Spuściła wzrok i wpatrzyła się we własne paznokcie. Teraz ona czekała. Nie zadała właściwie żadnego pytania, ale czuła, że słowa, które teraz padną ze strony leszego, powinny być odpowiedzią.

*Nie. Głos boga bez twarzy był pełen zdumienia i żalu. Nie powiedziałem. Czy to naprawdę wymaga wypowiedzenie? Nawet dla ciebie?*

Roześmiała się z goryczą i podniosła oczy na rozmówcę.

– Cóż... – zaczęła ostrożnie. – Opowiadano mi kiedyś o zakochanej kobiecie, która potrafiła tylko iść za krzyżem i płacząc, obserwować, jak przybijają do niego tego, którego ponoć kochała, by potem patrzeć na jego konanie. Historia gołębicę o wiele bardziej do mnie przemawia.

Coś musiało się wydarzyć. Wkrótce. Więc niechby już jak najprędzej.

\*\*\*\*

Oddzielona od nich przez czas i przestrzeń Szara Wilczyca o dwóch łbach, zatrzymała się nagle i zastygła w bezruchu. Zaraz potem poderwała w górę oba łby, a z dwu gardzieli wydobyło się głośne wycie. Na dźwięk pieśni drapieżnika zerwał się do ucieczki spokojnie przeżuwiający trawę samotny jelen, a żerujące na ziemi wiewiórki porzuciły ściskane w małych łapkach

drogocenne żołędzie i co sił pognały po korze drzew w górę, by znaleźć schronienie w ciemnych, bezpiecznych dziuplach.

Wilczyca wyła długo, aż na jej zew odpowiedziały inne Wilki, a wspólna pieśń matki i jej niezliczonych dzieci, co chwilę wzbogacana nowymi tonami, to wspinała się, to opadała, ścinając grozą serca pozostałych mieszkańców puszczy. W końcu urwała się jednym, bolesnym akordem i zaległa cisza. Szara Wilczyca nadal trwała w bezruchu, łowiąc czujnymi uszami aksamitne kroki zmierzających ku niej pobratymców. Dwie pary czerwonych jak krople krwi ślepi utkwiała w zawieszanej na niebie tarczy słońca, tak długo patrząc w jego twarz, aż wydało jej się składać tylko z nasyconych głęboką czernią, przenikających się plam.

Słońce jest czarne. Zawsze było. Ale nikt ze śmiertelników nie odważyłby się patrzeć na nie tak długo, by to zrozumieć.

W świecie, gdzie panowała teraz noc, umierał Elf. Po to, by odrodzić się ponownie. Dla ciemności. W służbie Czarnego Słońca.

*Połączona moc dwóch władców piekiel, z których jeden po nim zapłacze. Czas wezwać drugiego.*

Wilczyca, cicha jak cień, zanurzyła się w las.

\*\*\*\*

Elpis stała nieruchomo, obejmując jednym ramieniem wspierające się na niej, bezwładne ciało kapłana o włosach w kolorze kasztanów. Drugą rękę miała opuszczoną wzdłuż tułowia, a pomiędzy jej zaciśniętych palców kapały na ziemię gorące krople krwi. Ze wszystkich sił nakazywała sobie spokój. Ramiona już jej nie dygotały, nadal nie potrafiła powstrzymać drżenia dłoni i mimowolnych skurczów mięśni twarzy, raz po raz podrywających w górę prawy kącik ust. Potrzebowała jeszcze chwili, by móc się odezwać bez obawy, że głos ją zdradzi.

Wokół znów zerwał się wiatr. Wraz z nim nadchodziły szepty i krzyki, na jego skrzydłach nadleciały blade dziewczynki, które wirowały teraz wokół nich w makabrycznej parodii tańca. Dziewczynki zawsze zjawiały się pierwsze. Gdy czarodziejka spojrzała w twarz jednej z nich, martwa tancerka zatrzymała się na chwilę i wrzasnęła. Długo jeszcze słyszała w uszach echo tego wrzasku. Zareagowała instynktownie, obnażając kły i sycząc ostrzegawczo. Cień dziecka wrócił do nie przynoszącego odpoczynku tańca, długie włosy i podarta sukienka zafurkotały na wietrze.

Czarodziejka przeniosła ciężar ciała na jedną nogę i wspierając się na niej, przyklękła na jedno kolano. Unikając wstrząsów, na ile było to możliwe przy pomocy tylko jednej ręki, złożyła ciało Pistisa na ziemi, po czym wstała i prędko odwróciła wzrok. Nie mogła w tej chwili na niego spojrzeć. Jeszcze nie teraz. Zrobiła krok do przodu. Wiedziała, że żadna z dziewczynek ani żadna z istot, które po nich nadejdą, nie ośmieli się go tknąć. Należał do niej. Może na zawsze, może tylko na jakiś czas. Wszystko rozstrzygnie się, gdy Wilki pożrą księżyc.

Elpis odetchnęła głęboko i usiłowała przemówić, ale z jej zaciśniętego gardła wydobyło się tylko cichsze od szeptu westchnienie. Zakasłała i spróbowała jeszcze raz.

– Barghest! – krzyk zabrzmiał jasno i surowo, niczym trzaśnięcie bicia.

Trzecie wezwanie, na które będzie musiał odpowiedzieć. Nie musiała długo czekać. Jak na oczekiwaną z góry komendę, dziewczynki się zatrzymały, wpatrując się w nią niewidzącymi oczyma, zapadniętymi w chudych twarzyczkach. Po korze drzewa, rosnącego kilkanaście metrów przed nią, niezwykle szybko zląził stwór sam przypominający wychudzony, groteskowy szkielet zagłodzonego dziecka. Szedł głową w dół, wszystkimi czterema kończynami podtrzymując się kory i gałęzi. Kiedy znalazł się na ziemi, stanął na tylnych łapach i zgarbiony niczym stuletnia staruszka, pokonał dzielący ją od niej dystans. Poruszał się tak samo szybko jak podczas wędrówki wzdłuż pnia. Dopiero kiedy znalazł się niemal obok niej, Elfka dostrzegła, że to, co początkowo wzięła za okrywające go brudnoszare szmaty, jest w rzeczywistości porastająca

nagie ciało, gęstą sierścią. Gęba potwora do złudzenia przypominała wydłużony pysk psa. Dokładnie tak, jak go zapamiętała sprzed wielu, wielu lat.

Kiedy spojrzała na pysk demona, ujrzała gorejące w nim czarne oczy pozbawione białek i tęczówek, jedno nienaturalnie wielkie, a drugie karykaturalnie małe. W normalnych warunkach pewnie wzdragałaby się przed spojrzeniem w ich głębię. Ale to nie były normalne warunki. Ani trochę. Tym razem to on, ogar gończy piekieł, cofnął się o krok, kiedy spoczęły na nim zimne jak kryształy zielonego lodu oczy Elfki.

Dziewczyna poderwała dumnie głowę, odrzucając włosy i odsłaniając deformującą lewą część twarzy bliznę, po czym postąpiła w kierunku wieszczego.

– Żądam próby Szału – powiedziała głośno i wyraźnie, wyciągając w jego stronę zwisające do tej pory bezwładnie ramię.

Spomiędzy jej palców skapywały krople ciemnej krwi. Koniuszki palców nadal drżały. Coraz słabiej. Na otwartej dłoni czarodziejki, powoli zamierając i stygnąc, spoczywało wciąż bijące, zakrwawione serce.

## Rozdział 22

### Ten, który nie upadł

Nie mieli dokąd pójść. Żaden z nich nie znał tego lasu, do tej pory poruszali się zgodnie z kierunkiem narzuconym przez Oriole, ale ona zginęła. Być może Elpis również знаła drogę do jeziora, które miało posłużyć jej jako czarne zwierciadło, w którym spodziewała się ujrzeć Lucyfera. Tak czy inaczej ten plan był chyba nieaktualny. Mała driada z pewnością znała las jak własną kieszeń, ale dotąd pozostawała bardziej niż nieprzydatna. Kurczowo wczepiona w płaszcz Sylwana, była niczym pogrążone w gorączce, która odebrała mu zmysły, dziecko. Nie potrafiła zrobić samodzielnie kroku, postawiona na ziemi, po prostu stała, nie mogąc zdobyć się na to, by za nimi podążać. Cieniotka tunika w najmniejszym stopniu nie chroniła jej przed deszczem czy wywołanym przez deszcz chłodem, na to jednak marnym ratunkiem okazał się nawet jego płaszcz. Ciasno owinięta w mokry materiał, dziewczynka drżała w ramionach Wampira niczym osika na wietrze.

Nie mieli dokąd pójść.

Wściekły atak wichru rzucił ich na ziemię, jakby byli szmacianymi kukiełkami pozbawionymi woli. Człowiek zaklął sążnięcie, rozcinając sobie do krwi kolano. Wampir przełknął przekleństwo, wietrząc w przesyconym wilgocią powietrzu zapach krwi, eteryczny i ulotny, ledwo przebijający się przez otaczającą ich zewsząd woń mokrych liści, igieł, szyszek, błyskawic, błota i strachu, a jednak wystarczający, by wywołać mechaniczną reakcję jego ciała. Zdecydowanie zbyt długo już pościł. Wstał pierwszy i pomógł podźwignąć się na nogi towarzyszowi.

– No żesz niech to ciężka cholera strzeli! – zaklął, gdy na jego dłoni również pozostał krwawy ślad.

*Zrób coś z tym, bo nie ręczę za siebie* – wysłał przekaz, nie ośmielając się przemówić głośno, by jeszcze bardziej nie przerazić Anate.

*Niby co?*

*Coś. Jesteś uczniem czarnoksiężnika, czy nie jesteś? Zrób c o ś. Albo na wszelki wypadek podnieś z ziemi ciężki kamień i celuj między oczy.*

Zanim Farys zdążył choćby zapytać, na ile prawdziwa była wysunięta przez niego sugestia, Sylwan ruszył do przodu. Nie dane było mu jednak zejść daleko. Nagle, bez żadnego ostrzeżenia choćby w postaci przecinającej niebo na pół błyskawicy, tuż przed nimi huknął grzmot, trafiając w wierzchołek zablakanej wśród brzoź i olch sosny. Serce drzewa pękło z przenikającym do szpiku kości jękiem, a sosna zwała się ciężko na ziemię, niczym dumnie mierząca ku niebu zielona włócznia, której podcięto drzewce. Mężczyzna odskoczył w ostatniej chwili, na ile to możliwe osłaniając sobą Anate. Zdusił krzyk, gdy ostre konary smagnęły go po plecach.

– Tak nie może być! – wrzasnął do Człowieka, gdy tylko udało mu się wyswobodzić z zielono-brunatnego więzienia igieł i gałęzi. – Prędejsz się pozabijamy, niż znajdziemy jakieś sensowne schronienie. Chodź tu!

Farys zrozumiał sugestię od razu. Przedzieranie się przez las, w którym panoszyła się ślepa furia ich mistrzyni, było niemal samobójstwem. Równie dobrze mogli skryć się wśród konarów powalonej sosny. Jej gałęzie nie były może wymarzoną osłoną przed wiatrem ani deszczem, ale jako-takie schronienie zapewniały. Jeśli piorun trafi w to samo miejsce po raz



drugi, prawdopodobieństwo bycia zmiądzonym przez padające drzewo było dokładnie takie samo, jak gdziekolwiek indziej, a tu mogli przynajmniej oprzeć plecy o pień i pozwolić odpocząć mięśniom. Po chwili, która upłynęła im na coraz głośniejszym szczękaniu zębami i wzmagającym się dygotaniu z zimna, Wampir przypomniał sobie, że on również jest czymś w rodzaju czarnoksiężnika. Zaklęcie, które mogłoby ich rozgrzać, było proste. Potrzebował tylko dwóch prób, by poczuć, jak fala błogiego gorąca zalewa jego ciało, niczym pełzające po wszystkich jego członkach ogniste żmijki. Po chwili podjął próbę przelania ciepła w ciało Anate i nie bez satysfakcji zauważył, że wypadła ona pomyślnie. Człowiek poszedł w jego ślady.

Kilku minut potrzebowali, by dokuczliwe zimno stało się tylko wspomnieniem. W chwili, gdy błoto, w którym siedzieli, zdało się być po stokroć bardziej atrakcyjne od wypełnionej ukropem balii, z rozkoszą wyciągnęli nogi, na ile tylko pozwoliły im gałęzie.

– Jeśli to są kuglarskie sztuczki, a pokaz prawdziwej magii dał nam dziś Pistis, to pieprzę czarnoksiężników i zostanę kuglarzem. Będę jeździł po wioskach na normalnym, żywym koniu i dawał pokazy szarlatanerskich trików, a za koniem będzie biegła rozwrzeszczana i zasmarkana dzieciarnia. Będę ich rozśmieszał, a nie przerażał. Wnosił ze sobą ożywienie, a nie śmierć. Kurwa! – Farys uderzył zaciśniętą pięścią w ziemię, zdając sobie sprawę, że powiedział to głośno.

Wampir nawet nie drgnął, gdy rozbryzgi błota trafiły go w twarz. Obrzucił Człowieka spojrzeniem kompletnie pozbawionym wyrazu. Nie komentując w żaden sposób jego słów, zabrał się za powolne, metodyczne wyplątywanie igieł i kory spośród miodowych włosów driady. Mała nie protestowała, z irytującą biernością poddając się jego zabiegom.

– Co właściwie się dziś stało? Co... zrobiliśmy? Co zrobiliśmy?

Również tym razem nie doczekał się odpowiedzi. Czarne tęczęwki Wampira prześlizgnęły się tylko po nim przez ułamek sekundy, nie był nawet pewien, że jego towarzysz rzeczywiście go dostrzegł. Gdyby nie piekło żywiołu, zrzucającego na świat coraz to nowe dowody swojej wściekłości, zaczęłby chodzić w kółko bez celu albo pobiegł przed siebie. Był jednak skazany na kulenie się bez ruchu za tą marną namiastką szańca, jaką tworzyło martwe drzewo i na zimną, bezradną rozpacz siedzącego obok mężczyzny, budzącą lęk o wiele bardziej dotkliwy niż namacalna i śmiertelnie niebezpieczna furia czarodziejki.

*Drzewo nie wie, że umarło pomyślał – kompletnie bez sensu. Piorun rozszczępił jego wnętrze i wyrwał ziemi korzenie. Ta sosna nigdy już nie zaczerpnie od gleby życiodajnych soków, ale mimo to te, które już się w niej znajdują, krążą jakby nic się nie stało. Drzewo wcale nie zrozumiało, że jest martwe, zachowuje się, jakby było żywe. Ale to nie uchroni go przed losem, który już się dokonał. Czy inne drzewa, rosnące wokół sosny, wiedzą? Czy szepczą do siebie? Czy żałują i żegnają towarzysza, boją się i chciałyby uciekać, ale zastygły w drewnianym bezruchu, potężne i bezradne?*

Sosna pachniała ogniem, żywicą i deszczem. Deszcz pachniał łzami. Cisem, zieleń snów i krwią. Pachniał śmiercią. Farys poczuł zakradającą się podstępem falę mdłości.

– Powiedz coś – wykrztusił przez zaciśnięte gardło. – Cokolwiek. Powiedz, że się mylę, że głupiec ze mnie. Powiedz, co się dziś stało? Chyba powinniśmy odnaleźć Elpis, albo... Nie wiem. Powiedz coś. Proszę.

Ku jego zdumieniu Wampir roześmiał się głośno.

– Do którego z bogów się modlisz?

– A jakie to niby ma znaczenie? W zasadzie to do żadnego. Nigdy nie byłem zbyt religijny.

– Niech to diabli, naprawdę – jasnowłosa mężczyzna śmiał się coraz głośniejszym, niczym ktoś niespełna rozumu. – Fantastyczna czwórka wykonawców woli Jedynego Pana. Z nas

wszystkich tylko kapłan, który nigdy nie wstąpiłby do klasztoru, gdyby zależało to naprawdę od niego, miał jakieś pojęcie o Bogu. Jesteśmy ponurym żartem Kaina, nie wiem, jakie szaleństwo nim kierowało, gdy ruszył dupę ze swojej Warowni, by zjawić się u naszych drzwi. Czy szedł na chybił – trafił, zdecydowany, że osiemsetna osoba spotkana na szlaku zostanie wybrana, czy może raczej kierował się innymi oderwanymi od rzeczywistości bzdurami? Nigdy nie powinniśmy się spotkać, nigdy nie wolno nam było połączyć się w drużynę, nie mieliśmy prawa przyjąć jej przysięgi, a ona nie miała prawa nam jej ofiarować. Powinniśmy umrzeć w klasztorze, przeżarci przez truciznę, powinniśmy...

– Przestań.

– Chciałeś czegokolwiek, słów. Oto słowa. Jesteśmy zbieraniną kretynów, którzy dali sobie wmówić, że są czymś więcej i dlatego od początku aż do cholernego końca...

– Powiedziałem, przestań!

Obok nich przetoczył się konar jakiejś olchy. Drzewo zatrzymało się na osłaniających ich sosnowych gałęziach. Sylwan nie podjął już swojej mowy. Oparł brodę na czubku mokrej głowy wtulonej w niego driady i przymknął oczy. Siekący prosto w jego twarz deszcz wyglądał niczym łyż.

*To tylko deszcz. Tylko głupi deszcz.*

– Suri modliła się do Potrójnej Bogini – powiedział w końcu, żeby zagłuszyć myśli. – Ojciec i Larus do Jedynego. Suri to moja młodsza siostra. Kiedy wyjeżdżałem, podarowała mi talizman na drogę, ponoć okadzony i pobłogosławiony przed Jego ołtarzem, ale coś mi mówi, że powiedziała tak tylko dlatego, by jeszcze bardziej nie narazić się ojcu. Wystarczyło, że wbrew zakazowi i nikogo o tym nie informując, pojechała sama jedna przez las do świątyni. Ona uważała, że Potrójna Bogini jest bardziej odpowiednią opiekunką dla kobiety, zresztą nasza matka też się do niej kiedyś modliła. To trzy postacie tej samej istoty: dziewica, kochanka i piastunka. Kestrel oddawał cześć Rogatemu Bogu, opiekunowi wojowników, a ja i Robin jakoś zawsze byliśmy ponad tym.

– Fantastycznie. Do wyboru, do koloru. W takim razie módl się do któregoś z nich, żeby Elpis nie odnalazła nas, zanim nie ochłonie. Może lepiej pominąć kochankę, nie sądzę, żeby akurat ona nam teraz sprzyjała. Z drugiej strony sam nie wiem, czemu miałyby to zrobić na przykład dziewica albo ktokolwiek z całego tego dostojnego tałatajstwa.

– Potrójna Bogini przedstawiana jest na rycinach jako jedna istota o trzech obliczach. Coś jak księżyc. Rosnący to dziewica, pełen kochanka, a malejący stara i mądra piastunka. Raczej nie bardzo można którąś pominąć.

– A księżyc w nowiu? – zapytał Sylwan, odprowadzając wzrokiem kolejny strzaskany konar. – Zresztą nieważne. Wcale mnie to nie interesuje, nie odpowiadaj.

Noc księżycy w nowiu poświęcona była bóstwom podziemi, wiedział o tym i nie rozumiał, dlaczego właściwie zapytał.

Przez jakiś czas panowała między nimi cisza, jeśli można takim właśnie mianem określić milczenie wypełnione rykiem huraganu, mokrym bębnieniem strug deszczu o liście i traskaniem grzmotów. I oto nagle i brutalnie w ten kruchy spokój wdarł się mrozący krew w żyłach wrzask. Wampir podskoczył jak oparzony, a serce na moment zatrzymało mu się w piersi, gdy skulona w jego ramionach driada targnęła się rozpaczliwie i wrzasnęła razem z intruzem. Prędko zamilkła, ale echo jej krzyku jeszcze długo nie chciało opuścić jego uszu, nie pozwalając dojść do siebie. Nocny przybysz za to nie dawał za wygraną, zawodził coraz głośniejsze i rozpaczliwiejsze. Farys zarzucił sobie kaptur na głowę i zasłonił dłońmi uszy, ale niewielki był z tego pożytek. Doskonale znali ten głos; to ich wierny nocny kompan – wieszcz, znów przyszedł dotrzymać im towarzystwa. Tym razem jednak darł się głośniejsze i bardziej przerażające, jego krzyk zdawał się

rozdeptywać ich wolę, jak obuta w bucior z grubą, żelazną podeszwą stopa wędrowca rozdeptałaby nieszczęsnego ślimaka, gdyby przypadkiem znalazł się na szlaku jego wędrówki. Człowiek poczuł, że jego własne ręce naciskają na czaszkę z co najmniej nierozsądną siłą, ale dopiero chwilę przed tym, nim zaczął poważnie spodziewać się chrzęstu pękających kości, udało mu się zmusić ciało do posłuszeństwa i zwolnić ucisk.

*Niech się zamknie, błagam, niech się zamknie. Niech roztrzaska się na nim jakiś zwalony przez wicher pień, niech dosięgnie go piorun, albo niech się udławi i udusi swoim własnym zawodzeniem. Niech zamilknie.*

Wycie przybrało na sile, otwarcie kpiąc z jego zakłęb. Mężczyzna z całej siły uderzył pięścią w korę sosny, o którą się opierali, potem powtórzył cios jeszcze kilka razy, za każdym razem wyobrażając sobie, że drzewo jest łbem wyjca. Opanował się, gdy rzeczywiście dostrzegł na chropowatej korze ślady krwi, a Sylwan chwycił go silnie za nadgarstek, unieruchamiając jego rękę.

– Uspokój się, kretynie, i to w tej chwili – wysyczał Wampir, błyskając wysuniętymi kłami.

Dopiero wtedy Farys poczuł piekący i ostry ból i zorientował się, że krew należy do niego. Sylwan rzucił jeszcze uwagę o kompletnym braku wyobraźni i odepchnął ze złością jego ramię, jakby każdy z palców mógł go ukąsić. Wiedząc, że to i tak nic nie pomoże, osłonił okaleczone palce zdrową dłonią. Wieszczy zamilkł na pół uderzenia serca, ale niemal natychmiast znów podjął swój lament. Dla kogo śpiewał? Dla nich czy dla kapłana, którego pozostawili wraz z Elpis, wstrząsanego drgawkami i nie reagującego na nic wokół? Farys czuł, jak wszystko zaczyna w nim drzeć, a do gardła zakrada się wrzask. Zrozumiał, że go nie zatrzyma. Nie w chwili, gdy wibrujący zaśpiew demona odzywa się echem w każdej komórce jego ciała. Zrozumiał też, że ma ostatnią szansę, by wybrać między krzykiem a szlochem.

– Milcz, po stokroć przeklęty, jebany sukinsynu! – wrzasnął w nicość ponad ich głowami. – Milcz, ścierwo! Przestań nas prześladować, wracaj do otchłani, gdzie twoje miejsce. Precz od nas. Powiedziałem, precz! Zamknij się, do ciężkiej cholery!

Równie dobrze mógłby krzyczeć na przewróconą sosnę, żądając, by wstała, albo na martwy głaz. Wieszczy wydał z siebie obrzydliwy, klekocząco zawodzący odgłos, który mógł być makabrycznym śmiechem, albo równie makabrycznym płaczem, zaraz potem znów podjął wycie. Wampir ukrył się przed nim we własnym wnętrzu, osłaniając mokrym płaszczem siebie i wtulone w niego dziecko, ignorując zarówno Człowieka jak i demona. Farys chętnie zrobiłby to samo, ale nie potrafił. Od samego początku reagował na wrzask wieszczego o wiele bardziej emocjonalnie i gwałtownie niż reszta drużyny. Elpis nie raz przestrzegała go, że prowokując demona nieostrożnymi słowy, igra z ogniem, ale po prostu nie potrafił inaczej. Nie umiał znieść ze stoickim spokojem wyśpiewywanej przez niego pieśni krwi i śmierci. Czarodziejka mówiła, że wieszczy krzyczy dla tych, którzy mają wkrótce umrzeć. Człowiek nie raz poważnie zastanawiał się nad tym, czy stwór wcześniej wyczuwa czyjaś zbliżającą się śmierć i stąd wie, nad kim powinien lamentować, czy może tak długo łązi za upatrzoną ofiarą, aż ta oszaleje i sama, dla świętego spokoju odbierze sobie życie.

Teraz też ta właśnie myśl powstała mu w głowie. Niemal zaczął marzyć o chwili, w której bębenki w uszach odmówią dalszego poddawania się torturze i pękną, pozostawiając błogą ciszę, na zawsze. Lepiej, żeby ta chwila nadeszła szybko, bo jeśli nie, obłęd może ją wyprzedzić. Nawet myśl o ponownym uderzaniu z całych sił w korę sosny, o którą się opierali – tym razem głową – wydała mu się niezwykle kusząca, jeśli tylko trzask pękającej czaszki będzie w stanie położyć kres temu obłądnemu nokturnowi.

Nagle zorientował się, że Wampir niespokojnie mu się przygląda, a on sam stoi, chwiejąc

się niczym pijany. Raz po raz wstrząsał nim suchy, bezgłośny śmiech.

– Tego chcesz? – zawołał w ciemność. – Krwi i śmierci? A czy samobójstwo też się liczy, przeklęty skurwysynu? Czy jeśli poderżnę sobie gardło, zamkniesz w końcu ten obmierzły ryj?

Przepełniony szaleństwem lament urwał się, jakby przecięty niezwykle ostrym nożem. Cisza, która po nim nastąpiła, wydała się nagle groźniejsza i bardziej ponura od wszelkich dźwięków. Zdawało się, że cały las wstrzymał oddech, nawet ryk huraganu na mgnienie oka zelżał, darując światu moment spokoju przed kolejnym szturmem. Farys poczuł, jak włoski na ramionach i szyi podnoszą się mu na baczność, a całe ciało spina się w oczekiwaniu na przyjęcie ciosu, który musi nadejść.

*Poszedł sobie. Znudzilo mu się i zwyczajnie sobie poszedł.*

Próby okłamania samego siebie nie na wiele się zdały. Wieszczy wciąż tu był. Farys wzдрыgnął się, czując na ramieniu czyjąś dłoń i odetchnął z ulgą, widząc za plecami Sylwana. Jasnowłosa mężczyzna był sam, driada została skulona na ziemi wśród konarów powalonej sosny.

– Chyba się liczy – mruknął z sarkazmem.

– Co?

– Samobójstwo.

Obaj zdążyli jeszcze pomyśleć o wydobyciu broni, ale żaden z nich nie zdołał tego dokonać. Wieszczy pojawił się przed nimi nagle, nie zadając sobie trudu schodzenia z wierzchołka drzewa, na którym siedział i pokonywania pieszo dzielącego go od nich dystansu. Po prostu skoczył, niczym pocisk wystrzelony z trebusza i zanim Człowiek i Wampir zdążyli zorientować się, co właściwie się stało, stał przed nimi.

Po raz pierwszy mieli możliwość go ujrzeć. Wcześniej widzieli tylko co najwyżej niewyraźny zarys sylwetki przemykającego wśród drzew stwora, choć pokraka poruszała się tak niewiarygodnie prędko, że większość tego, co jak im się zdawało widzieli, musiało być raczej wytworem wyobraźni. Stworzenie przywodziło na myśl zagłodzonego psa na dwu łapach. Wyjątkowo brzydkiego psa. Niemal przebijające cienką skórę kości, których zarys mimo sierści był tak doskonale widoczny, że bez większego trudu zdołaliby policzyć każdą z nich, były wystarczająco ohydne. Najgorsze jednak okazały się oczy; dwie bezdenne studnie pełne czerni, jedno monstrualnie wielkie, drugie karykaturalnie małe. Demon zdawał się być tak delikatny i kruchy, że niemożliwym wydawało się, iż nadal stał, nie poddając się sile wiatru.

Zrobił krok w ich stronę, wyciągając przed siebie rachityczne, pałkowate łapska. Człowiek jęknął, gdy dostrzegli w nich zimny błysk stali. Nie doczekawszy się z ich strony żadnej reakcji, wieszczy postąpił naprzód jeszcze kilka kroków, wyraźne kierując się w stronę Farysa i potrząsając niecierpliwie piastowanym na obu otwartych i wzniesionych w górę dłońmi sporym nożem o kościanej rękojeści. Zrobiło mu się niedobrze, gdy w jednej chwili zorientował się, czego pokraczny potomek Lilith od niego oczekuje. W myślach przeklął własny język.

*Cofnij się za mnie. Jestem od ciebie szybszy i silniejszy. Zostaw go mnie – dotarł do niego przekaz Wampira.*

*Nie ma mowy. Nic nie rób. Może sobie pójdzie. Jeśli nie, potraktuję go ogniem.*

Wieszczy nie wyglądał bynajmniej na kogoś, kto zamierza odejść, nie otrzymawszy wprawdzie tego, po co przyszedł. Farys skupił się na przyzwaniu do siebie swojego żywiołu. Ciepło, promieniujące od zawieszzonego na szyi amuletu, upewniło go, że wszystko zmierza w jak najbardziej właściwym kierunku, potrzebował jeszcze tylko trochę czasu. Odetchnął głęboko kilka razy, starając się uspokoić i maksymalnie wszystko uprościć. Wlepione w niego spojrzenie różniących się wielkością, pozbawionych białek oczu, w czerni których pogrążał się niczym w grząskiej kipieli bagna, w najmniejszym stopniu nie ułatwiało mu zadania.

Wtedy właśnie Sylwan przypomniał sobie słowa, jakie kiedyś padły z ust ich mentorki. Wieszczy nie jest bełtem, który zabija uderzenie serca po wystrzale. Elpis irytował jego wrzask i to, że słyszeli go również oni, ale poza pierwszym razem, gdy kierowały nią emocje i wybiegła za nim z mieczem w ciemność nocy, nigdy nie próbowała w jakikolwiek sposób z nim walczyć, im również tego zabroniła. Oddalając się nocą wraz z Oriole, bardziej wzdragała się przed pozostawieniem ich w towarzystwie małej driady niż wieszczego, co do którego nie miała przecież żadnych wątpliwości, że nadejdzie. Być może siła wieszczego kryła się w strachu, jaki budził w sercach śmiertelników, podczas gdy to nie jego należało się bać. Mógł być tylko heroldem, obwieszczającym wolę Boga, jaką było nadejście śmierci, nie siłą sprawczą. Być może w ogóle nie wolno mu było wykonać samodzielnie żadnego wyroku. Nadzieja była wątła, ale musiał się jej uchwycić.

– Nikt nie podejmie noża, możesz więc go zabrać – rzucił pozornie lekkim tonem prosto w twarz demona. – Sam go zabij, jeśli zdołasz. Najpierw jednak będziesz musiał poradzić sobie ze mną.

Niesamowite oczy przesunęły się po jego sylwetce.

*Podobne do moich – pomyślał. W jakiś sposób. Musiałbym tylko pozbyć się białek no i jedno musiałoby mi nieźle urosnąć.*

Dla Ludzi granica między jego własną żrenicą a tęczęwką była nie do wychwycenia, obdarzone lepszym wzrokiem Elfy mogły ją odnaleźć, jeśli nie było zbyt ciemno. Przez ułamek sekundy w ślepiach wieszczego mignęła niepewność i zawahanie. Wampir uśmiechnął się z satysfakcją, pewien że oto jego teoria zaczyna się potwierdzać. Zwątpił, gdy demon mimo wszystko zrobił jeszcze jeden krok w jego stronę. Zaraz potem kilka rzeczy wydarzyło się niemal jednocześnie, a on całkiem stracił głowę.

Najpierw od brunatnej kory i zielonych igieł sosny oderwał się szaro-złoty kształt, przemknął obok niego, z impetem wpadając na karykaturalnie chudego wieszczego, wytrącając mu nóż z ręki i zwalając go z nóg. Chwilę potem powietrze przeszył wizg wściekłości i bólu, gdy kotłująca się po ziemi wraz z demonem miodowo włosą driada usiłowała wepchnąć mu kciuki prosto w wielkie i małe oko, a paznokcie tego drugiego rozorały skórę na jej plecach i ramionach. Sylwan nie był w stanie zdobyć się na świadomą reakcję. Wszystkie myśli gdzieś odpłynęły, pozostawiając w nim tylko jedną, natrętą jak krzyk i bolesną niczym zardzewiały grot tkwiący w starej, jątżrzącej się ranie.

*Nisa!*

Zaślepiła go dzika furia, bez najmniejszych oporów pozwolił, by instynkt wziął górę nad wszystkim.

Nie zauważył momentu, w którym jego własne ciało sprężyło się do skoku. Po prostu w jednej chwili stał, obserwując, jak ściśle ze sobą splecione postacie przetaczają się tuż przed jego stopami, a zaraz potem zagłębiał kły w suchej i twardej skórze szyi wieszczego. Momentu, w którym oderwał go od ciała dziewczynki, również nie potrafił sobie przypomnieć. Paznokcie poczwary wpiły się w skórę na jego gardle, ale nie poczuł bólu. Jedynym, do czego odczuwania był zdolny, była rozpacz i zwierzęca, atawistyczna furia.

*Na Boga, Nisa, coś ty zrobiła? Błagałem, żebyś na mnie zaczekała. Ostrzegalem, że nie wolno ci tu za mną przyjść – myślał, szarpiąc kłami tętnice i żyły i przetykając gorącą jak płynny ogień, obrzydliwą krew demona.*

Nie widział Farysa, który podniósł z ziemi przyniesiony tu przez wieszczego nóż i wyczekawszy na odpowiedni moment, wbił go demonowi w plecy aż po kościaną rękojeść. Wieszczy wykręcił się i na moment uwolnił szyję Wampira, bezskutecznie usiłując osiągnąć sprawiającego mu ból żelastwa. Sylwan zachłysnął się powietrzem, dopiero teraz zauważając, że

rozpaczliwie go potrzebował. Nie zdążył ugryźć po raz drugi. Wieszczy wykorzystał okazję, wyslizgnął się z jego rąk niczym węgorz z dłoni rybaka i pognął w ciemność.

Sylwan usiłował go ścigać, ale zdołał zrobić tylko jeden krok, zanim nogi nie odmówiły mu posłuszeństwa i nie zwałił się na kolana, oburącz podpierając się ziemi i w gwałtownych spazmach zwracając całą pochłoniętą przed chwilą czarną, obrzydliwą krew. Był przekonany, że tortura nigdy się nie skończy, świat nigdy nie przestanie wirować jak szalony, a on udusi się wśród atakujących go bezlitośnie wściekłych torsji. To nie było możliwe, żeby wypił aż tyle krwi, ile do tej pory oddał, a mimo to ilekroć usiłował się wyprostować, wszystkie mięśnie zaciskały się w nim, jakby jakiś olbrzym sadysta bez litości walił go maczugą w brzuch, wymuszając kolejną falę krwawych wymiotów. Kiedy zaczął się poważnie obawiać, że za moment wśród krwi znajdą się poszarpane fragmenty jego własnych wnętrzności, ciosy zadawane przez olbrzyma straciły nieco na sile. Gdy całkiem ustąpiły, był wyczerpanym jak nigdy w życiu, marnym, rozdygotanym strzępem Wampira, który kilka chwil temu rzucił się wieszczemu do gardła.

Zatoczył wokół rozbieganym wzrokiem, ledwo rozpoznając klęczącego obok, podtrzymującego go za ramiona Człowieka. Miodowo włosy dziewczynka, jedyna istota, która go w tej chwili obchodziła, stała sztywna, przylegając plecami do konarów ich sosny. Nie znajdując w sobie dość sił, by wstać, wyminął Człowieka na klęczkach i w tej pozycji, wspomagając się w równym stopniu przednimi i tylnymi kończynami, jakimś cudem zdołał się do niej doczołgać. Poczul szaloną radość, bo jej spojrzenie było co prawda przerażone, lecz z pewnością było to spojrzenie żywej istoty. Jednocześnie niejasno uświadomił sobie, że wpatrzone w niego tęczówki są barwy miodu, o ton ciemniejszego niż włosy, a przecież powinny być szare. Chwilę potem zrozumiał, że to nie ma przecież żadnego znaczenia. Żyła. Wyprostował się na kolanach i z westchnieniem szalonej ulgi przyciągnął ją do siebie, śmiejąc się jak wariat i chowając twarz w jej włosach. Pachniała też inaczej, niż zapamiętał, ale to nie miało znaczenia. Nic nie miało znaczenia. Żyła.

Dziewczynka zeszywniała w jego ramionach i chciała się cofnąć, ale za sobą miała pień drzewa.

– Nie lękaj się mnie, proszę. Och, Nisa, powinnaś była po prostu na mnie zaczekać, tak jak prosiłem. Chciałem tylko, żebyś tu nie przychodziła. Nie powinnaś była przychodzić.

Po chwili Sylwana opuściła nawet ta resztką sił, jaka w nim pozostała i Wampir osunął się na ziemię, zgięty w suchym wymiotnym odruchu, krztusząc się i kaszląc. Driada opadła obok niego, coś pospiesznie świergocząc.

Farys, bezradnie szukając czegokolwiek, co zdołałoby pomóc jego przyjacielowi, pierwszy dostrzegł przybysza, którego nadejście umknęło uwadze obojga pozostałych.

Przysiadła na gałązce szarpanej wichurą brzozy, przez jakiś czas kołysząc się w rytm podrygów długich palców drzewa. Czarno-żółte pióra zdawały się być utkane z walczących ze sobą języków czarnego i żółtego ognia. Kiedy niebo rozświetliła błyskawica, ptak zdał mu się żywym, roztańczonym płomieniem. Zaraz potem świat na kilka sekund spowiła nieprzenikniona dla ludzkiego oka kurtyna czerni, a gdy znów był w stanie cokolwiek dojrzeć, jej miejsce było puste.

*Przywidzenie, tylko przywidzenie. Wytwór pobudzonej strachem wyobraźni, nic więcej. To nie może być ona. To niemożliwe. Przecież wszyscy widzieliśmy...*

Zaraz jednak dostrzegł ją znów i musiał na nowo zweryfikować kilka rzeczy, których do niedawna był pewien. Opadła na ziemię w ludzkiej postaci, pióra zamieniły się w lekką, białą szatę, tą samą którą miała na sobie, kiedy widzieli ją po raz ostatni, osuwającą się bez życia po ciosie zadany jej przez Elpis.

– Pani... – wyjąkał. – To niemożliwe. Byłaś przecież...

– Martwa? – dokończyła Oriole, jednym ramieniem otaczając Anate, która rzuciła się ku niej z piskiem dzikiej radości. – Tak, byłam.

Dalsze jej wyjaśnienia utonęły w powodzi słów, uwolnionej nagle przez małą driadę. Pani Lasu skinęła głową i odpowiedziała jej krótko, po czym odsunęła dziewczynkę od siebie i prędkim krokiem ruszyła w stronę Sylwana. Przykucnęła przed siedzącym wśród błota, śmiertelnie bladym Wampirem i podsunęła mu pod nos przegub dłoni. Anate ustała tuż za nią.

– Pij.

Sylwan zmrużył oczy, jakby z wysiłkiem usiłując przypomnieć sobie jej twarz.

– Ciebie tu nie ma – wykrztusił w końcu, uśmiechając się słabo. – Ciebie nie ma i jej też nie ma. Ty nie żyjesz. A ty... Ty też nie żyjesz. I ja nie żyję. Prawie. No i dobrze.

– Pij. Zanim będzie za późno.

Potrząsnął głową.

– Nie chcę. Jest za późno od dokładnie siedemdziesięciu trzech lat. Po to wyruszyłem. Znaleźć śmierć. Odejść.

Uniósł przedramię do oczu, żeby się przed nią zasłonić. Niemal natychmiast jego rękę przechwyciły małe dłonie Anate. Driada sięgnęła również po drugą, spoczywającą na ziemi rękę i obie poprowadziła ku przegubowi dłoni Oriole.

– Pij – powiedziała dziewczynka niezwykle wyraźnie, po czym śmiesznie zmarszczyła czoło, usiłując przypomnieć sobie kolejne słowo. – Kretynie – dokończyła, obdarzając go mianem, jakim jeszcze niedawno on sam określił Człowieka.

Wampir parsknął krótkim, zduszonym przez suchy szloch śmiechem. W miodowych oczach dziewczynki przez chwilę przeglądał się dym i ogień, trawiące zgliszczą chat i martwe, pokryte bielmem oczy Ludzi, których życia zgasły przed siedemdziesięcioma trzema laty. Przez moment znów słyszał błagania o litość i wrzaski, jakich nie miało prawa wydać z siebie ludzkie gardło. I widział głowy. Dokładnie sto siedemdziesiąt cztery głowy, które cisnął na stos u stóp zaostrego pala, na które nawłózione było bezgłowe ciało nagiego dziecka.

– Nie było we mnie litości – wyrzucił z siebie, patrząc w oczy dziewczynki o złotych włosach. – Ale w nich również jej nie było. Wtedy. Wcześniej. Rozumiesz?

Mała driada potrząsnęła przecząco głową.

– Łudziłem się, że jeśli ją przemienię, zdołam ją ochronić przed całym światem. Gdybym tego nie zrobił, również by umarła, ale... inaczej. Inaczej. Rozumiesz?

– Nie. Nie rozumiesz – mała ukucnęła obok Oriole i mocniej zacisnęła jego dłonie na przedramieniu dziewczyny, patrząc na niego niecierpliwie. – Pij, kretynie.

– Jak każesz, drogie dziecko.

Krew Oriole była niczym woda życia, wlewająca się w niego i obmywająca każdą komórkę ciała. Cudowne lekarstwo, przywracające siły i jasność umysłu, smakujące potęgą i bezpieczeństwem. Nigdy jeszcze z niej nie pił, ale mimo to znał ten smak. Krew każdej żywej istoty jest inna, niepowtarzalna jak wzór linii papilarnych, dla Wampira te różnice były tak kolosalne, że nie mogło być mowy o pomyłce. Z trudem oderwał usta od jej skóry i podniósł na twarz dziewczyny spłoszone oczy. Wszystko przeczyło jego odkryciu, idealnie proste, białe włosy, czarne oczy. Nie mógł mieć przed sobą nikogo innego, a jednak wiedział, że się nie myli.

– Elpis?...

\*\*\*\*\*

*Kiedy to wszystko się skończy, przemienię się w Wilka – myślała, stojąc nieruchomo, niczym wyrzeźbiona w kamieniu figurka dawnej barbarzyńskiej kapłanki, podczas gdy wieszczy uważnie oglądał spoczywające na jej dłoni serce. Będę Wilkiem, pędzącym przed siebie, ślepym*

*na wszystko wokół. Pod łapami czuć będę miękkość ziemi i ostre krawędzie kamieni. Będę gnać na oślep i wyć, aż nie zostanie we mnie już nic, co będzie wymagało wykrzyczenia. Nikomu nie pozwolę się zatrzymać, dopóki poduszki moich łap nie spłyną krwią i nie zabraknie mi sił na uczynienie choćby kroku. Będę biec przed siebie, będę wrzeszczeć, będę zabijać, jeśli przyjdzie mi na to ochota. Przysięgam. Ale na razie nawet na moment nie wolno mi stracić nad sobą panowania. I nie zrobię tego. Szybuję prosto na dno otchłani. Jeśli orzeł się nie przebudzi, spadnę. Nie rozłożę skrzydeł.*

Martwe dziewczynki nadal stały nieruchomo, kołysząc się nieznacznie w miejscu, jakby nawet na chwilę nie było im wolno tak naprawdę się zatrzymać. Za nimi zaczęli gromadzić się inni. Duchy Elfów o długich włosach zaplecionych w gęste warkocze lub rozpuszczonych swobodnie, czasem przypominające młode dziewczyny, którym straszliwa pośmiertna dola nie zdołała odebrać urody, to znów chłopców i mężczyzn o bladych, przystojnych obliczach. Jedni i drudzy tak samo przekłete. Elfów nie było wiele, mało który przedstawiciel tego dumnego plemienia odważył się handlować z władcą piekieł własną duszą. Niemal wszystkie wybierały życie wewnątrz drzewa, a prawie każdy z tych, którzy zostali tej łaski pozbawieni, wolał zniknąć na zawsze, niż wezwać przekłętogo. W zbiorowisku, które stawiło się na jej żądanie, przeważali Ludzie a prym wiodły ich dzieci.

Wszyscy, którzy nadeszli, ci którzy mieścili się na polanie i pozostali, poza jej granicami, snujący się wśród drzew, byli martwi. I każdy z nich w chwili rozpaczy wypowiedział te same słowa, zazwyczaj kompletnie nieprzemyślane i katastrofalne w skutkach. Słowa, które zaciągały dług, a dług anulowało tylko spłacenie go po tysiącuroć. To, że ujrzała ich już dziś, zanim Wilki pożarły księżyc, mogło oznaczać tylko jedno. Żaden z nich nie udźwignął brzemienia, nie zdołał zapłacić.

Wieszcy wyciągnął chudą, porośniętą gęstą sierścią łapę o absurdalnie długich palcach, chcąc dotknąć serca. Nie zamknęła i nie cofnęła dłoni. Nieznacznie uniosła w górę wargę i warknęła krótko, po wilczemu. Zanim przebrzmiało echo warknięcia, łapa się cofnęła. Czarne oczy o różnej wielkości spoczęły na niej w pełnym wyrzutu spojrzeniu.

Wśród obserwujących ich w ciszy dusz rozszedł się nerwowy szmer, zataczający coraz szersze kręgi. Umarli usunęli się nieco, robiąc miejsce dla tego, kto nadciągał. Elpis wstrzymała oddech, w oczekiwaniu na ponowne spotkanie z koszmarem. Poczula, jak włoski na karku podnoszą jej się na baczność, przez moment znów była małą, bezradną dziewczynką, która w bólu i odrętwieniu, jakie sprowadza nóż, upatruje jedyny znany jej ratunek przed szaleństwem.

*Ślady krwi na ścianach skalnego więzienia i odłamki skał pod połamanymi i zdartymi paznokciami. Bardzo chciałam uciec, ale nie było dokąd. A potem zjawił się...*

Kto?

Koszmar, przed którym nie broniła jawa, prawda, która stała się przekleństwem, a jedynym ratunkiem było wyparcie i zapomnienie. Prawda lelka i lisa... a raczej obie z nich. A także każda z niezliczonych prawd znanych jej i nieznanymi, zamieszkujących ziemię stworzeń. Prawda każdego Elfa, każdego Człowieka i Wampira, wszystkie należały do niej. Nim księżyc znów zacznie rosnać, będzie wiedziała, dlaczego.

Zanim pojawił się na polanie, zgasły gwiazdy, jedynym światłem, jakie pozostało, był delikatny sierp księżyca. Nadleciał wraz z wyciem wichury, niczym chmura skoncentrowanej czerni, która na moment odebrała ziemi nawet tę namiastkę światła. Nawet jej oczy nie potrafiły wyodrębnić z otaczającej go gęstym całunem ciemności dokładnych szczegółów jego sylwetki, co dopiero rysów twarzy, ale przecież wiedziała, jak wygląda. Znała jego imię, prawdziwe, jak na ironię oznaczające światłość, a także przybrane, którym zwracała się do niego niezliczoną ilość razy w ciągu niezliczonych lat.



Po raz pierwszy poczuła coś na kształt zadowolenia z faktu, że jej serce umarło. Gdyby w tej chwili mogło bić, z pewnością szalony rytm jego uderzeń rozszarpałby ją od środka.

*Będę biegła do utraty tchu, po koniec świata. I będę wyla. Ucieknę przed tym, tak jak już raz uciekłam. Ale teraz nie wolno mi okazać choćby śladu słabości. Nie krzyknę, nawet raz. Przecież wiem, czyja twarz jest pod kapturem...*

Nadnaturalnej wielkości Wilk o dwóch łbach zatrzymał się w odległości kilku kroków od niej.

*Wilczyca – poprawiła się dziewczyna w myślach. Ta, którą zwałam...*

Przełknęła ślinę, kiedy płonące czerwienią ślepiec spoczęły na jej twarzy z jawną wrogością i pogardą, a z obu gardeł Wilczycy wydobył się grzmot, przypominający nadciągającą, nieubłaganą w swojej furii burzę. Czy wrogość i pogarda były tam zawsze, a ona była tak straszliwie ślepa, że ich nie dostrzegała? Mężczyzna, dosiadający jej niczym wierzchowca, któremu zresztą nie ustępowała wielkością, od stóp do głów okryty był czarnym płaszczem. Kiedy ujął materiał kaptura w obie dłonie i odrzucił go, Elpis do bólu zacisnęła palce lewej dłoni, niemal przebijając paznokciami własną skórę. W drugiej ręce spoczywał martwy motyl, który jeszcze nie dawno żył, w jego wnętrzu nadal tliły się resztki ciepła.

Dominującym akcentem twarzy były oczy o barwie czystego fioletu. Sama twarz była jej obca i znana zarazem. Najdziwniejsza i jednocześnie najprzystojniejsza twarz, jaką kiedykolwiek zdarzyło jej się oglądać, w tym życiu lub innych, które przeminęły. Była tego pewna. Oblicze niezwykle młode, a jednak w jakiś sposób niewyobrażalnie stare, martwe i pełne życia... Rysy, które знаła lepiej niż swoje własne, każdą zmarszczkę, teraz wygładzoną lub lekko tylko się zarysowującą; linię zarostu, który w jej wspomnieniach był gęstą, siwą brodą; nawet sposób, w jaki układały się włosy – u mężczyzny, którego zapamiętała, niemal o odcieniu mleka, tego, który stał dziś przed nią, pozbawiony wszelkich masek, czarne z delikatnym cieniem siwizny, opadające na ramiona. I skrzydła, nawet teraz płonące czarnym ogniem, który nigdy nie miał zgasnąć, spowijając go niczym groteskowy, fosforyzujący nimb.

Nie była na to gotowa. Ani teraz, ani nigdy. Przeraził ją bardziej, niż się tego spodziewała. Fascynował bardziej, niż była skłonna przyznać nawet przed samą sobą. Omal nie zapomniała o spoczywającym na ziemi ciele Pistisa. Omal nie cofnęła się o krok, omal nie krzyknęła, gubiąc ich oboje.

Ocalił ją wieszczki, po raz drugi sięgając po serce, które trzymała. Widok jego chudych, pokracznych palców, prawie dosięgających serca, przebudził w niej coś, czego się nie spodziewała. Zimną wściekłość, skierowaną w stronę mrocznego anioła, który zabrał jej wszystko, nawet przybranych rodziców. Myśl, że była tylko pionkiem w jego grze, podczas gdy sama przez bardzo długi czas widziała w nim opokę, na której może budować własne życie, doprowadzała ją do pasji. W jej głowie istniał jako dwie odrębne postaci. By przetrwać i choć podjąć próbę ocalenia Pistisa, musiała zapomnieć o jednej z nich. Musiała rzucić się z motyką na słońce, lekce sobie ważąc jego ogień i potęgę.

*Nie ucieknę, nie dziś. Zabrałeś mi wszystko. Moich uczniów nie dostaniesz.*

– Nie waż się – warknęła na wieszczego. – Należy do mnie i tylko ja mam prawo mu je przekazać. Nie pozwolę, by choć na chwilę spoczęły na nim łapy niewolnika.

Jej głos zabrzmiał niemal normalnie. Była z siebie prawie dumna. Wyminęła Barghesta i ruszyła w stronę dwugłowej Wilczycy i jej jeźdźca. Zwierzę znów warknęło. Nie pozostała mu dłużna. Mężczyzna patrzył na nią z wysokości grzbietu drapieźnika, w jego oczach nie było nawet śladu emocji, co tylko podsyciło jej wściekłość.

– Nie będę pertraktować ze sługami. Nie interesuje mnie rozmowa z żadnego rodzaju pomniejszym watażką, nawet jeśli jesteś nim ty. Tylko prawdziwy władca Szeolu.

Gdyby wewnętrzne dygotanie mogło nagle objąć we władanie jej ciało, stałaby się tak słaba, że kolana z pewnością nie utrzymałyby jej ciężaru. W myślach niemal bezustannie błagała go, by zaprzeczył i przerwał tę farsę. Powtarzała błaganie niczym mantrę. Słyszając odpowiedź, natychmiast zniechęciła się do siebie samą i jego równocześnie.

– Rozmawiasz z nim – powiedział spokojnie, tak dobrze jej znanym, zmęczonym głosem, mogącym należeć równie dobrze do młodzieńca jak i przygniecionego brzemieniem lat starca.

Chciała wyłupić jego fiołkowe oczy, choćby dlatego, że w jej wspomnieniach były brunatne. Chciała go zabić, a zaraz potem zabić siebie. Nie liczyło się, że z pewnością nie potrafi, nie może dysponować mocą, zdolną równać się z tą, którą posiada Lucyfer. Nie to ją powstrzymało przed beznadziejną próbą. Zrobił to martwy Elf, który jej zaufał. Głęboko wciągnęła w płuca powietrze, uspokajając wściekłość, czyniąc z niej tarczę i czerpiąc siłę.

– Żądam próby Szału – powtórzyła, niemal tak samo beznamiętnie jak on, po czym wyciągnęła w jego stronę serce.

Nie dowierzała sobie do końca, ale po raz drugi mogła być z siebie prawie zadowolona. Dłoń niemal jej nie drżała. Wyprostowała się, dumna i wyniosła, mimo klów Wilczycy, błyskających tuż przed jej twarzą. By spojrzeć w oblicze tego, którego przez całe życie zwała ojcem, musiała zadzierać głowę, ale dokładała wszelkich starań, by włożyć w spojrzenie jak największy ładunek chłodu i pogardy, tak by za nic nie pokazać mu przerażenia. Starła się nie myśleć o tym, jak żałośnie musi wyglądać w jego oczach: przemoczona i brudna, w zabłoconych spodniach i butach, o połowę ustępująca mu teraz wzrostem. Jak przez mgłę napłynęło do niej wspomnienie ich spotkania w zimnych murach zamku czy może klasztoru. Wtedy też się bała, ale przede wszystkim kipiała w niej furia, silniejsza od przerażenia. Spoliczkowała go wtedy, zanim w ogóle udało mu się dojść do słowa, mimo iż umierała ze strachu. Ale potem pozwoliła sobie zapomnieć.

*Nie tym razem. Nie zapomnę – postanowiła nagle. Będę biec i wyć. Będę rozszarpywać gardła tym, którzy staną na mojej drodze, aż wilcze ciało nie odmówi posłuszeństwa z wyczerpania. Ale nie zapomnę.*

– Za życie trzeba zapłacić tysiącokrotność tego, co się otrzymało. Tysiąc nocy w moim orszaku za jedną noc, która miała stać się nocą jego śmierci. Ani jednej mniej, ani więcej. Jest Elfem. Nie zrozumie. Ty też nie rozumiesz, o co dla niego prosisz.

Jego głos miał w sobie coś hipnotyzującego i onieśmielającego. Jednocześnie brzmiał szorstko, jakby była dla niego kimś kompletnie obcym. Głupim smarkaczem, którego można upominać. Nieoczekiwanie dla samej siebie roześmiała się głośno, jej śmiech był wolny od najmniejszego śladu wesołości. Ostatecznie zwała się jego córką i uczennicą. Wszystko było fałszem, ale lata spędzone u jego boku nie mogły nie odcisnąć na niej piętna.

– To ty nie rozumiesz. Ja nie proszę.

Dwugłowa Wilczyca warknęła głucho, ale dosiadający jej mężczyzna uśmiechnął się niemal z uznaniem. Wyciągnął rękę i zabrał serce z jej dłoni. Elpis, pozbawiona jego ciężaru, poczuła się dziwnie winna, dopiero teraz pusta, splamiona krwią dłoń zaczęła gwałtownie drżeć. Kurczowo zacisnęła nieposłuszne palce w pięść i przycisnęła rękę do uda. Świetlany odprowadził ją wzrokiem.

– Jutro Wilki pożrą księżyc. Nie próbuj go przede mną ukryć.

Elpis obdarzyła go najśłodszy uśmiechem, na jaki potrafiła się zdobyć.

– Zgnij w piekle – powiedziała chwilę przed tym, gdy potężne kły Szarej Wilczycy kłapnęły wściekle tuż przed jej twarzą. – Wy oboje – poprawiła się z lodowatą uprzejmością.

*Wiem, kim jesteś, Pierwsza z Siedmiu. Znam twoje imię. Wyrwę ci je z gardła wraz ze skamleniem o litość. Wkrótce.*

*Wkrótce – zgodziła się Szara Wilczyca. Ale najpierw porwie cię Szal. Was oboje.*

\*\*\*\*

Niewielkie ognisko, wokół którego się skupiali, zalewało wnętrze grotu jasnym blaskiem, dając dokładnie tyle światła, ile w tej chwili potrzebowali. Ogień nie był prawdziwy, ale iluzja nosiła wszelkie znamiona prawdy. Wyimaginowany płomień potrafił rozświetlić mrok, ogrzać, a nawet sparzyć. Na nierównościach otaczających ich ścian wyczarowywał fantazyjne, to ukazujące się, to kryjące przed ich wzrokiem cienie i kształty. Skała też nie była prawdziwa, ale kogo to obchodziło, jeśli osłaniała przed wiatrem i deszczem, można było oprzeć o nią plecy, albo całkiem nieźle skaleczyć się o ostre krawędzie kamieni, których nie było.

– Elpis zawsze mówiła, że nie można stworzyć iluzji, która nie obróci się w nicość pod wpływem dotyku i że dlatego nie jest to najrozsądniejszy sposób walki, a tylko sprytny fortel, za pomocą którego można kupić sobie u przeciwnika czas – mruknął Farys bez przekonania.

Chwilę potem odgryzł spory kęs ciepłej bułki o chrupiącej, aromatycznej skórce. Bułka smakowała najpyszniejszą w świecie pszenną bułką, a także miodem i masłem, którymi grubo ją przed chwilą posmarował. No i nie istniała tak naprawdę. Przełknął pieczywo i popił słodkim, ciepłym mlekiem z glinianego kubka. Mleko było kolejną iluzją. Podobnie jak kubek.

Oriole uśmiechnęła się do niego ponad włosami siedzącej przed nią Anate.

– Elpis zapomniała wiele rzeczy, które ja pamiętam. Nim księżyc wejdzie w fazę wzrostu, przypomni sobie wiele z nich, choć jeszcze nie wszystkie. Siedź spokojnie.

Ostatnie słowa, wypowiedziane o ton głośniejsz, przeznaczone były dla małej driady, wierzącej się niecierpliwie, podczas gdy Oriole przemywała krwawe bruzdy pozostawione na jej plecach i ramionach przez paznokcie wieszczego. Mokra szmatka wydzielala zapach przywodzący na myśl ocet i sądząc po zaciętej minie dziewczynki, wrażenie było podobne.

– Dlaczego po prostu nie odwołasz się do pomocy magii? Jeśli nie chcesz, ja mogę to zrobić – nie wytrzymał Sylwan.

Białowłosa podniosła na niego oczy, patrząc nieco dłużej i bardziej wyniośle niż to było konieczne. Co prawda on również zadał pytanie odrobinę ostrzejszym tonem, niż zamierzał. Magia żywiołów mogła bardzo wiele, nie potrafiła jednak uzdrawiać. Aby tego dokonać, czarnoksiężnik musiał zaczerpnąć ze swojego wnętrza, pozbawiając się cząstki własnej energii, nie było drogi na skróty. To również przekazała im Elpis, ta o czarnych włosach. Nie chciał, by jego słowa zabrzmiały jak oskarżanie jej o to, że lęka się sięgnąć do swojego wnętrza, skoro jednak samo tak wyszło, nie próbował ich sprostować.

– Uwierz mi, wiem co robię, Sylwanie – odrzekła Elpis o białych włosach. – Zamknę rany magicznie, jak tylko je zdezynfekuję. To o wiele szybszy i skuteczniejszy sposób, a zanim zaczęłam, uzyskałam pełną zgodę i akceptację Anate. Ona nie jest twoją córką. Jest driadą, a driady pogardzają strachem przed bólem.

Wampir odwrócił wzrok, zażenowany, zły na nią i na siebie. Człowiek obserwował ukradkiem, jak mięśnie twarzy Sylwana napinają się, walcząc ze zsyłanymi przez podstępna podświadomość obrazami. Wcale nie próbował wejrzeć w jego myśli, ale połączenie pomiędzy nimi z każdym dniem było coraz silniejsze i nieraz jego moc ujawniała się w najmniej odpowiednich momentach. Ciśnięte na niedbały, wysoki stos głowy mężczyzn i kobiet, chłopców i dziewcząt. Te leżące na samym szczycie stosu, niemal dosięgały bosych palców stóp zamęczonego dziecka. Wzdrygnął się, jak ktoś przyłapany na świętokradztwie, czując na sobie ciężar wzroku Wampira. Przez mgnienie oka oboje patrzyli prosto w oczy drugiego, on zawstydzony i niemal przestraszony, Wampir poważny i niedostępny, odgradzony od niego zaporą skrzyżowanych na piersi ramion. Potem Farys wydusił coś na kształt nieudolnych przeprosin i spuścił wzrok.

Popatrzył na trzymaną w rękę bułkę, czując, że właśnie stracił apetyt. Mimo to zmusił się do ponownego odgryzienia i przeżucia słodkiego kęsa. W powietrzu, niczym wyrzut sumienia, którego ciężar nie do końca potrafił zrozumieć, wisiało imię. Nisa.

– Kim właściwie jesteś, pani? – zapytał głośno Sylwan, przepędzając upiora. – Moje oczy widzą Oriole, ale smak twojej krwi mówi mi niezwykle wyraźnie, że Oriole jest taką samą iluzją jak jaskinia, w której się rzekomo znajdujemy.

Dziewczyna uśmiechnęła się lekko i odłożyła pokrytą sączącą się z ran krwią szmatkę.

– Próbowalesz już kiedyś magicznie uleczyć czyjeś ciało?

– Nie – jeśli jej pytanie go zaskoczyło, nie dał tego po sobie poznać.

– Więc chodź. Ta umiejętność może ci się przydać prędzej niż byś tego pragnął.

Gdy ukląkł na ziemi tuż za plecami Anate, dziewczynka odwróciła głowę i obdarzyła go nieufnym spojrzeniem.

– Nie lękaj się mnie. Może wygląda to nieco inaczej, ale potrafię nad sobą zapanować.

Driada zmarszczyła czoło, jakby nie podobał jej się sens jego słów. Potem prędko uniosła małą dłoń do jego twarzy i zanim zdumiony mężczyzna zdążył jej przeszkodzić czy choćby zaprotestować, rozsunęła palcami jego wargi, wymacała jeden z ostrych i powiększonych teraz kłów i silnie na niego napała. Wampir odsunął się, ale nie dość szybko. Anate uśmiechem powitała rozkwitający na czubku palca szkarłatny kwiat, prędko jednak spoważniała i patrząc mu wyzywająco w oczy, rozsmarowała krew na jego ustach.

– Nie lęka się – powiedziała z naciskiem i może po to, by jeszcze bardziej podkreślić prawdziwość swoich słów, odwróciła się do niego plecami.

Oriole parsknęła śmiechem na widok bezgranicznie zdumionej miny Wampira.

– Czy Elpis mówiła też o tym, że driady nie mają zielonego pojęcia, czym jest poczucie humoru i wszystko traktują śmiertelnie poważnie?

– Coś wspominała – mruknął Sylwan, ścierając krew grzbietem dłoni.

– Więc wiedz, że właśnie oskarżyłeś ją o tchórzostwo, a ona jasno dała ci do zrozumienia, co o tym sądzi. Żeby rzeczywiście zaimponować jej samokontrolą i opanowaniem, powinieneś oblizać tę krew i zabrać się za jej rany, jakby nic się nie stało.

– Cóż, na pierwsze jest już za późno, ale z chęcią przejdę do drugiego. Co mam robić?

Czarodziejka poprowadziła jego ręce i pomogła zapanować nad intensywnością wydawania mocy, a on ze wszystkich sił starał się skupić na zaklęciu i zagłuszyć w swojej głowie napastliwy dźwięk leniwie sączącej się ze zranionego palca Anate słodkiej krwi. Nie był z siebie do końca zadowolony, ale udało mu się nie odnieść druzgocącej porażki.

– Kim jesteś? Dlaczego widzę panią biało-czarnego lasu, ale jestem niezachwianie przekonany, że mam przed sobą Elpis – moją mistrzynię i przewodniczkę? – zapytał po raz drugi, gdy było po wszystkim.

– To zarazem łatwe i trudne pytanie. Jestem tylko posłańcem. Dziełem, które twoja mistrzyni stworzyła, by o nim zapomnieć, nie z powodu tego, że coś poszło nie tak, lecz dlatego właśnie, że w tym kryje się geniusz tego dzieła. Bo to nie ona, a ja miałam przechowywać pamięć tego, co ważne. Spójrz na to jak na istotę Potrójnej Bogini, o której opowiadał ci dziś Farys. Dziewica, kochanka i piastunka. Trzy awatary tej samej postaci, tylko łącznie stanowiące pełnię. Ja też jestem awatarem, jednym z aspektów osobowości Elpis. Starą piastunką, której domeną jest mądrość, a atrybutem otwierający wszelkie zamki klucz. Oczywiście to tylko przenośnia, nie wolno wam brać tego, o czym mówię, dosłownie.

– Twoja krew i krew Elpis...

– Jest identyczna, tak. Bo jesteśmy jedną i tą samą istotą, chociaż nie równoważną. To tak, jakby Elpis dawno temu zrobiła to, o co prosiła ciebie i nad czym na jej prośbę pracowałeś

od dłuższego czasu. Stworzyła iluzję doskonałą, tak idealną, że zdołała oszukać nawet ją samą; obdarzyła ją wolą i przekazała wspomnienia i wiedzę, którą chciała zachować nienaruszoną w bezpiecznym miejscu, może przed kimś ukryć? A potem zapomniała o zaklęciu, co było ostatecznym gwarantem tego, że nikt nie zdoła awatara odnaleźć. Ale ja pamiętałam. I czekałam. Dłużej niż jesteście sobie w stanie wyobrazić. Nie kłopotcie się mną. Mój czas w tej postaci niemal dobiegł końca. Wkrótce wrócę tam, gdzie zawsze było moje miejsce, ponownie się z nią połączę. Dam jej do ręki potężną i niebezpieczną broń. Nie potrafię przewidzieć, co z nią zrobi, zbyt długo byliśmy oddzielnymi bytami. Na waszym miejscu skupiłabym się raczej na rozgryzieniu dziewicy i kochanki, jeśli domyślacie się, o czym mówię.

Farys i Sylwan wymienili spojrzenia. To wszystko brzmiało jak jakieś brednie i pewnie za nic więcej by tego nie uznali, gdyby nie krew. Wampir wiedział z całą pewnością, że pod żadnym pozorem nie jest możliwa aż taka zgodność między krwią dwóch odrębnych istot. Nawet każde z bliźniąt posiadało swój własny, niepowtarzalny bukiet smaku i zapachu. W ich przypadku bukiety były identyczne.

– W porządku. Kim w takim razie jest Elpis? Tak naprawdę – wyrzucił z siebie Człowiek, nie dopuszczając do tego, by odwaga opuściła go, zanim zada pytanie.

Oriole przez dłuższą chwilę patrzyła na niego jak na kogoś wyjątkowo mało rozgarniętego. W końcu jednak uśmiechnęła się, przyznając mu prawo do niewiedzy.

– Wszystkim – odpowiedziała, bawiąc się czarnym piórkiem, które wyplotła ze swoich włosów. – I niczym. Jest klątwą i odkupieniem. Waszym życiem. I waszą śmiercią.

## Rozdział 23

### *De profundis clamavi...*

– Chciałabym otworzyć oczy i obudzić się. Niechby nawet z krzykiem, takim, jakiego jeszcze nie słyszałeś. Chciałabym, żebyś siedział na ziemi obok mnie, grzejąc się przy ognisku. Zresztą... Cała wasza trójka mogłaby czuwać i wszyscy moglibyście usłyszeć ten krzyk. Nie dbam o to, że widzielibyście mnie przerażoną i słabą. Może nawet pozwoliłabym ci mnie objąć, jak jakieś głupie dziecko, które wierzy, że potwór ze snu jest prawdziwy, ale natychmiast o nim zapomina, gdy ktoś mądrzejszy i silniejszy od niego zapewni go, że był tylko wytworem wyobraźni, który nie wróci. Wiem, że nie raz chciałeś to zrobić. Objąć mnie. Nie jestem ślepa, kapłanie. Ale jestem zimna, wiem. Dlatego udaję ślepą. To łatwiejsze. Od mówienia. Od czucia. Cholera, po prostu łatwiejsze...

– Wiem, że plotę bez sensu, naprawdę wiem. Ale nie wolno mi przestać. Muszę mówić, a ty musisz podążać za moim głosem. Gdziekolwiek jesteś, musisz do mnie wrócić. I zrobisz to. Obudzisz się, a kiedy to się stanie, nie będziesz pamiętał sensu moich słów, zostanie w tobie tylko ogólny obraz, słowa są więc nieistotne. Może powinnam mówić bardziej oschle i z pogardą, tak jak starałam się przemawiać do niego? Byłoby ci łatwiej... nienawidzić mnie. Ale trudniej wrócić. Nikt nie podaży chętnie za pełnym pogardy wołaniem. A nawet jeśli to zrobi, jeśli pójdzie za ściętym lodem głosem, nie zechce pozostać z jego właścicielem ani chwili ponad to, co będzie konieczne. A ty musisz znosić mnie jeszcze przez pełną dobę. Potem... Wybierzesz sam. Mogę się okłamywać, że nie znam z góry twojego wyboru, ale nie zrobię tego. Znam. Nie stanę ci na drodze, przysięgam. Nie mam prawa.

– Najprościej byłoby mi mówić o gniewie. Jestem na ciebie zła, cholera, jestem wściekła, jak jeszcze nigdy! Co za szaleństwo popchnęło cię w stronę czarnej magii? Jaki obłąd powstrzymał przed wyjawieniem mi swoich absurdalnych planów, jaki obłąd w ogóle ci je podszeptał? Za kogo się uważałeś? Cholerny głupcze... Nie potrafisz mnie uratować! Przez twój kretyńsko głupi pomysł sama już nie wiem, czy ja zdołam uratować ciebie. Ale przysięgam, że robię wszystko... Wszystko...

– Nie nienawidzę cię. Nie pogardzam tobą. Nie czuję do ciebie niechęci. Czuję... Strach. Tak. To odpowiednie słowo, choć z trudem przechodzi mi przez gardło.

– Nie jesteś jak inni. Nie da się ciebie przepłoszyć błyskając kłami i pijąc krew, nawet najbardziej demonstracyjnie i dziko. Większość kretynów, którzy ośmielili się do mnie zbliżyć, robiło w gacie na sam widok kłów, kiedy łała się krew, pierzchali gdzie pieprz rośnie. Każdy czegoś się boi, czymś pogardza, tak bardzo, że w końcu, nie ważne po ilu deklaracjach, których nie jest w stanie dotrzymać, ucieka. Czasem picia krwi, innym razem magii, lekkości, z jaką zadają śmierć, albo przyjemności, jaką mi to sprawia. Ty też się bałeś, ale mimo to brnąłeś w to niczym ślepy głupiec. Przeklęta głupia ćma, która nie chce dostrzec płomienia, choć uparcie leci w jego objęcia. Wyrwałam ci serce, głupcze! Gołą dłonią, trochę posiłkując się magią. Wyrwałam ci serce i oddałam je Lucyferowi. To powinno raz na zawsze nauczyć cię rozumu. I nauczy. Nie mam złudzeń.

– Cholera, tak bardzo chciałabym się obudzić... Tylko, że to niemożliwe. To nie jest sen. Nie mój. To ty śnisz. A kiedy się obudzisz, będziesz chciał ponownie zasnąć.

– Chciałabym... Chciałabym, żebyś zrozumiał. Sama nie wiem, dlaczego. Pewnie powinnam była opowiedzieć ci o tym już dawno, kiedy tylko wydobrzeliśmy po truciznie, zanim

jeszcze wyruszyliśmy w tą głupią wędrówkę do czarnego jeziora. Pewnie wiedziałbyś, co to znaczy. Może potrafiłbyś mi pomóc. Wskazać drogę. Nie potrafiłam... Gdybyś w tej chwili otworzył oczy i spojrzał na mnie, gdybym wiedziała, że jesteś przytomny i możesz zapamiętać choć zdanie, za nic nie zdobyłabym się na to nawet teraz. Ale to niemożliwe. Cały proces jeszcze jakiś czas potrwa. I bardzo dobrze, nie jestem jeszcze gotowa, by spojrzeć ci w oczy.

– Może powinnam po prostu się zamknąć? Jesteś Elfem, rozumiesz ciszę. Jest tylko jeden problem. Nie wolno mi teraz milczeć.

– Trzymałeś kiedyś na dłoni motyla? Głupie pytanie, wiem. Ale tak bardzo chciałabym, żebyś zrozumiał...

– Wyobraź sobie, że jesteś katem. Mordercą, rzeźnikiem. Kimś strasznym, kogo każdy się boi. Wszyscy wokół drżą na dźwięk twojego imienia, schodzą ci z drogi, odwracają wzrok, gdy nadchodzisz. Budzisz w nich przerażenie. I pogardę. Pogarda zazwyczaj idzie w parze z przerażeniem. Niektórzy mówią, że szacunek. Nie wierz im. Ci, którzy tak twierdzą, nigdy nie byli tak naprawdę przerażeni. Wyobraź sobie, że jesteś właśnie kimś takim. Potrafisz? Że tak bardzo spowszedniał ci widok krwi, że nawet jej nieustanna obecność na twoich szatach i dłoniach nie czyni na tobie żadnego wrażenia, bo co dzień brodzisz w tej krwi po kolana. Potrafisz, kapłanie? Kolejne głupie pytanie. Oczywiście, że nie potrafisz. Jesteś Elfem, gdybym mówiła ci o przyjaźni czy miłości, rozumiałbyś mnie. Jednak jestem katem, a w życiu kata nie ma miejsca na miłość.

– Doprawdy, nie wiem, czego oczekuję. Nie możesz mnie zrozumieć. Pozbawiłeś życia troje Elfów, przypadkiem. Nawet nie mogę powiedzieć, że ich zabiłeś. Nie wiedziałeś, co robisz, tak samo jak wtedy, gdy sięgnąłeś po krew i ziele snów. A potem omal nie oszalałeś. Wiele nocy budziłeś się z krzykiem, jeszcze więcej spędziłeś, rzucając się na łożu, czekając na sen, który nie nadchodził. Do tej pory nie pozbyłeś się ich widm. Śnisz o nich, nie wybaczyłeś sobie, nigdy sobie nie wybaczysz. Wiem to, znam ich twarze, byliśmy połączeni i patrzyłam twoimi oczami, tak samo jak ty patrzyłeś moimi. Znam ich imiona. Elena. Halit. I mała Amber. Czy potrafisz powiedzieć, ilu ja zabiłam? Nie, bo ja sama nie potrafię. Nie pamiętam, nie zdołałabym ich zliczyć i przypomnieć sobie wszystkich twarzy, nawet gdyby od tego zależało moje życie. Lub twoje. Nawet wtedy. Jakim niby cudem miałabym pamiętać? Nieraz, gdy ostro pokłóciłam się z Kainem, potrafiłam wyróżnić pół wioski, tylko dlatego, że on zdawał się chronić słabe ludzkie istoty, którymi ja pogardzałam. Teraz wiem, dlaczego. Nie czułam się po tym lepiej, ale też nie czułam się źle. Nie czyniłam sobie wyrzutów. Jestem katem.

– Wiesz, jak udało mi się wykraść niemowlę ze świątyni, gdzie usiłowano złożyć je w ofierze? Kapłana, który trzymał nóż, przebiłam strzałą. Miał szczęście. Potem zrzuciłam kaptur i podeszłam do ołtarza. Zabrałam dziecko i wyszłam główną aleją, między dwoma rzędami ławek i klęczników. W środku było wielu innych kapłanów, ale ani jeden nie próbował mnie zatrzymać. Zanim ruszyłam w stronę ołtarza, zadbałam o to, żeby żaden nie zdołał. Rozpaliłam czarne płomienie. We wnętrzach każdego z nich. Szłam między nimi, a oni padali na kamienną posadzkę, wrzeszcząc i wyjąc, niczym zwierzęta. Wyszłam z kwilącym dzieckiem na rękach, a oni nadal wyli. Kiedy dosiadłam konia i odjechałam, zaczęli umierać. Czarny płomień strawił ich ciała od środka. Cztery dni i cztery noce galopowałam przez Ziemię Niczyje, nigdy nie narodził się we mnie nawet cień skruchy. Teraz też go nie ma.

– Kain... On nigdy nie zapytał mnie, jak tego dokonałam. Gdyby to zrobił, nie czułabym oporu przed powtórzeniem mu historii słowo w słowo. Poza jednym jedynym szczegółem. Za nic nie zdradziłabym mu, dlaczego mogąc zakraść się niepostrzeżenie i wykraść chłopca przed ceremonią, kiedy pieczę nad nim sprawowały tylko dwie kapłanki, nie mogące być dla mnie poważnymi przeciwniczkami, wybrałam rzeź podczas ofiarowania, które obserwowali wszyscy.

Warknęłabym, że to nie jego sprawa, że miałam taki kaprys i już. Tobie powiem. Tylko zresztą dlatego, że tak naprawdę wcale mnie nie słuchasz.

– Szłam w stronę ołtarza i byłam przerażona. Za żadne skarby świata nie zgodziłabym się podjąć tej misji, mając chociaż cień szansy na odmowę. Nie robiły na mnie wrażenia krzyki i jęki umierających, ich zaciśnięte niczym szpony palce, czepiające się mojego płaszcza i pożerane przez ogień twarze, ale dziecko. Mały chłopiec, leżący wśród płatków czerwonych jak krew kwiatów i płaczący wniebogłose. Musiałam go dotknąć, musiałam wziąć na ręce, jechać z nim sam na sam cztery najdłuższe dni i noce w moim życiu. Cały czas płakał, myślałam, że oszaleję. W pewnym momencie przyszło mi do głowy nawet to, że zwyczajnie uduszę go płaszczem i zostawię na żer krukowi, a Kainowi powiem, że coś poszło nie tak. Nawet nie wyobrażałam sobie, jak irytujący może być płacz, któremu nie potrafię zaradzić. Nie mogłam mu pomóc, być może go przerażałam, nie wiem. Jeśli istnieje osoba najmniej na świecie odpowiednia do tego, by powierzyć jej pieczę nad zdrowiem i życiem dziecka, byłam nią właśnie ja. Czy uwierzysz mi, kapłanie, że chłopiec był pierwszy dzieckiem... co ja mówię... jedynym dzieckiem, jakie kiedykolwiek miałam na rękach? Przez niekończące się stulecia trwania nigdy żadne niemowlę nie znalazło się w moich ramionach.

– Doprowadzał mnie do szału, chciałam, żeby wreszcie się zamknął. I zrobił to. Kwilił coraz ciszej, jak umierający ptak, a w końcu całkiem umilkł. Najpierw poczułam ulgę. Zaraz potem spanikowałam. Byłam pewna, że rzeczywiście go udusiłam, że umarł pod moim płaszczem, może od wstrząsów, wywołanych jazdą, może z braku powietrza, z zimna, nie wiem. Miałam tysiąc hipotez. Zatrzymałam się i zaczęłam nim potrząsać. Obudził się. Spojrzał na mnie i przez krótki, magiczny moment na siebie patrzyliśmy, a potem znów się rozwrzeszczał. Płakałam wtedy razem z nim. Z ulgi. Potem nauczyłam się mu śpiewać i ze zdumieniem odkryłam, że jego ciepło i zapach niosą ze sobą dziwną smutną tęsknotę, zarazem spokój i szaleństwo. Przrzekłam sobie, że nigdy nie pozwolę go skrzywdzić, nikomu. A tak zwyczajnie oddałam go Kainowi... A może powinnam powiedzieć – Lucyferowi? Uparte nazywanie go przybranym imieniem, tym, które sam sobie nadał, nie sprawi, że jego prawdziwe imię zniknie.

– Odbiegam od tematu. Motyl na dłoni... Kiedy dotarłam do Skalistej Warowni, byłam katem w czarnej od krwi szacie, na którego dłoni usiadł motyl. A potem zjawiliście się w moim życiu wy. Ty się zjawileś. Kolejny motyl. Głupi i uparcie lecący wprost na płomień, a mimo to pozbawiony strachu. Łowiłam twoje spojrzenia, czytałam myśli i coraz bardziej mnie przerażałeś. Wierzyłeś, że potrafię kochać, że zasługuję na miłość, że cię nie skrzywdzę. Wyrwałam ci serce, durniu! Zrobiłam to, mimo iż sama przed sobą przysięgłam spróbować. Bo przecież, jakże strasznym, do cna złym bydlakiem trzeba być, by nie powstrzymać się od czynienia zła i zadawania krzywd przez życie jednego motyla? Jaką podłość trzeba w sobie mieć, by nie zdołać ochronić jednej istoty, tej, która jako jedyna nie lęka się krwi i dostrzega pod grubą skórą kata bijące serce, o którym on sam z czasem zapomniał? Byłeś motylem na mojej dłoni, a ja zacisnęłam ją w pięść, bo tak mnie uczyli. Schrzaniłam wszystko, od początku do końca. Ten, który zdradził, nie mógł mi pokazać, jak być wierną i jak walczyć o kogoś, kto nagle, wbrew wszelkiej logice, staje się bardzo ważny.

– Tysiąc nocy, za które mnie znienawidzisz i których za nic mi nie wybaczysz. Nawet, gdy ścięłam głowę twojemu mistrzowi, patrzyłeś na mnie z takim niedowierzaniem, jakbym na twoich oczach obdarła żywcem niemowlę ze skóry. I pożarła. Nieważne, że przed sekundą ten sam Elf mierzył do ciebie z łuku i że niechybnie wypuściłby strzałę, gdybym się zawahała.

– Tysiąc nocy. Zrobię wszystko, byś wyszedł zwyczajnie z pierwszej. Choć i tak wiem, że niezależnie od wyniku, dla nas nie ma już nadziei. Przegraliśmy... przyjacielu mego serca. Oboje. Ale ty, w przeciwieństwie do mnie, wcale na to nie zasłużyłeś.



\*\*\*\*

Siedziała na kamieniach, na przemian zaciskając i rozprostowując palce. Prawą dłoń nadal gdzieś pokrywały rdzawe plamy krwi. W nagłym, absurdalnym odruchu chciała ją zmasać, szorując dłonią o spodnie, ale w myślach zachnęła się na samą siebie.

*Od kiedy to łęczysz się widoku krwi, Wampirzyco? Kiedy on się w końcu obudzi, pozornie czyste ręce cię nie uratują.*

Pistis spoczywał na rozścielonym na kamieniach płaszczu. Rozległą bliznę po ranie na piersi, którą po długich staraniach udało jej się zamknąć, zakryła koszulą i kamizelką. Nie chciała go przerazić natychmiast, gdy tylko otworzy oczy, liczyła na to, że uda jej się przez jakiś czas powstrzymać go przed rozsznurowaniem koszuli. Właściwie dobrze się stało, iż nadal spał. Czar, który musiała rzucić, wyczerpał ją znacznie, ostatnim, czego teraz pragnęła, była szarpanina z wściekłym na nią Elfem, którego przecież za wszelką cenę musiała zatrzymać i zmusić do tego, by jej wysłuchał. Szczerze pragnęła odpocząć, ale nie mogła pozwolić sobie na luksus snu. Nie dziś. Jutro, kiedy noc się skończy, a wraz z nią odejdzie i Pistis, będzie miała bardzo wiele czasu na przemyślenia i sen.

Myśl o jego odejściu sprawiała jej ból, choć właściwie nie powinna. Dziewczyna od początku nie dawała im żadnych szans, to on był beznadziejnie uparty i w końcu dopiął swego, udało mu się coś w niej przebudzić. Tylko po to, by odzyskane, umarło ponownie, tym razem na zawsze. Istota zrodzona przez światło i dzień, którą zawładnęła fascynacja nocą, teraz, gdy ujrzy przed sobą prawdziwe ciemności, nie zdoła okiełznać instynktu, który nakaże ucieczkę.

*A ja nie stanę mu na drodze – obiecała sobie po raz kolejny.*

Zacisnęła dłonie w pięści i przycisnęła je do pulsujących tęnym bólem skroni, po chwili przeczesła palcami włosy, a dłonie złożyła jak do modlitwy. Nie знаła żadnych modlitw.

Długie, czarne włosy opadły na twarz Elfki, kryjąc jej własną bliznę. Do niewielkiej skalnej groty, w której znalazła dla nich schronienie, wpadały delikatne promienie wczesno południowego słońca, wydobywając spośród czerni niemalże granatowe refleksy. Brudny od ziemi i miejscami poszarpany strój w kolorach piasku i liści przemieniał jej nieruchomą sylwetkę w pełną łagodności i spokoju istotę, podobną leśnym rusałkom z bajek starych piastunek.

*Pieprzony sukinsyn! – myślała rusałka. Po stokroć przeklęty, pieprzony sukinsyn. Kim tak naprawdę jesteś? Kain... Lucyfer... Nazywałam cię ojcem. Ile jeszcze imion posiadasz? Ile łgarstw mi sprzedałeś? Córnica zdrajcy. To jedyne mogłoby być prawdą. Tylko że ja nigdy nie byłam twoją córką. Ona... Belial. Ona jest kluczem, prawda?*

Była więcej niż pewna. Przez wszystkie nieprzeliczone miliardy lat trwania wszechświata, Belial była jedyną, na której mu tak naprawdę zależało. Ona, Elpis, była tylko pionkiem. Może nawet jednym z ulubionych pionków, do którego po pewnym czasie zaczyna się czuć coś w rodzaju sentymentu. Tylko że sentyment wcale nie doprowadza do rezygnacji z pierwotnego planu użycia pionka. Rzucił ją przeciw Siedmiu, również przeciw Belial... Dlaczego? Czy serce tak bardzo się w nim odmieniło, a dawna miłość przekształciła w nienawiść? Czy liczył na to, że wychowa i własnymi rękami ukształtuje tarczę i miecz, które staną się zgubą przeklętej anielicy? Czy właśnie tym dla niego była? Mieczem, który ostrzy się i pielęgnuje na długi czas przed bitwą, by w trakcie jej trwania powierzyć swoje życie mocy i biegłości władającego nim ramienia?

Jeśli była ostrzem, a on ramieniem, znacząco musiała pokrzyżować mu szyki, gdy nagle wykazała własną wolę. Zdecydowała się podjąć inną ścieżkę, a on nie potrafił jej okiełznać, dlatego też postanowił złamać i wyrzucić miecz?

*Jeśli taka jest prawda, rozczaruję cię jeszcze bardziej. Zapłacę życiem, jeśli okażesz się ode mnie lepszy, ale nie ugnę kolan. To ty zahartowałeś miecz w płomieniach. Powinieneś*

*rozumieć, że nie uda ci się mnie złamać.*

Poczuła jego wzrok, zanim zdążył się odezwać. Na ułamek sekundy znieruchomiła, niczym pod pocałunkiem zimnej stali na karku, po czym odwróciła się, by również na niego spojrzeć.

– Nie chciałem cię przestraszyć.

– Nie przestraszyłeś – zapewniła cicho.

Nie do końca było to prawdą. Jakaś część jej jaźni lękała się przecież tej chwili.

Twarz Elfa nadal pokrywała nienaturalna bladość, ale po słabości zniknął wszelki ślad. Elpis pozornie spokojnie patrzyła, jak mężczyzna ostrożnie usiadł i z chrzęstem rozprostował ramiona, wypróbując ich siłę. W pewnej chwili po jego obliczu przemknął cień strachu i niedowierzania. Elpis znalazła się przy nim i unieruchomiła jego dłonie w mocnym uścisku swoich własnych, chwilę przed tym, zanim sięgnął do sznurków koszuli. Przez chwilę usiłował się uwolnić, nie pozwoliła mu na to. Spojrzenie, które na niej spoczęło, było pełne pytań, które bał się wypowiedzieć głośno.

– Pamiętam dziwny sen i dziwniejszą od snu jawę. Co...

– Nic nie mów, proszę – przerwała mu bardzo łagodnie. – Nic nie mów i... poczekaj z tym – dokończyła, lekko ściskając jego palce, wbrew woli wciąż zmierzające ku sznurowaniu pod szyją. – Ja pierwsza. Proszę.

\*\*\*\*

– Doprawdy? – rzucił z goryczą. – Nazywasz to życiem? – pytanie zabrzmiało ostro i nieprzyjemnie, zadane rozedrganym, rozpaczliwie siłącym się na spokój tonem. – Twoim zdaniem to życie? Byłem wśród czerni i ciszy, a potem wróciłem, stoję przed tobą, słyszę cię, ale nie słyszę bicia własnego serca. Nie słyszę... – zachłysnął się własnymi słowami, jakby dopiero teraz zdając sobie sprawę z ich treści. – Na Boga, Elpis... Coś ty zrobiła? Co zrobiłaś... ze mną? Nie dotykaj mnie! Proszę...

Spóźniona próba złagodzenia ostatnich słów wypadła blado i żałośnie. Elpis cofnęła się o krok, lekko wysuwając przed siebie otwarte dłonie w geście poddania i rezygnacji. Jej ładna, teraz podobna do kamiennej maski twarz nie wyrażała absolutnie nic. Chwilę temu próbowała do niego podejść, ale ostre słowa kapłana powstrzymały ją skuteczniej, niż uczyniłby to skierowany w pierś obnażony miecz. Jakaś jego część litowała się nad dziewczyną i nakazywała mu przestać. Logicznie rzecz biorąc, Elfka zrobiła wszystko, co w jej mocy, by go ocalić. Inna część potrafiła litować się tylko nad nim samym.

– Prosiłaś o zaufanie i dostałaś je, a potem... Kiedy myślałem, że... – parsknął krótkim, histerycznym śmiechem. – Niech to szlag, jak mogłem być tak głupi? Zabiłaś mnie, Elpis... Zrobiłaś ze mnie chodzącego trupa, któremu nie wolno nawet połączyć się z drzewem, bo nie ma już duszy, którą mógłby mu ofiarować. I jeszcze masz czelność patrzeć mi w oczy i nazywać to życiem?

– Nie rozumiesz...

– Elpis, do ciężkiej cholery! Wyrwałaś mi serce! Co jeszcze powinienem zrozumieć?

Jego własne słowa, wykrzyczane, brzmiały w jego uszach nieprawdopodobnie i groteskowo. Przecież nie można obudzić się bez ciężaru serca w piersi. To jakiś pokręcony, śniony przez wariata sen, który zaraz się skończy. Elpis parsknie mu w twarz śmiechem i zaprzeczy, wytłumaczy mu, że śni. Tylko sen. Boże, bądź litościwy, niech to będzie sen... Jej głos pozbawił go wszelkich złudzeń.

– Musiałam. Uspokój się na chwilę i pozwól mi wytłumaczyć...

– Nie chcę słuchać twoich tłumaczeń! Nie chcę być spokojny! Chcę... Chcę stąd wyjść. Muszę stąd wyjść. Natychmiast. Zejdź mi z drogi.

Czarodziejka bez słowa pozwoliła mu przejść obok siebie, nie ruszyła się jednak z miejsca. Odwróciła się tylko, w samą porę, by zobaczyć, jak Pistis z głośnym przekleństwem zatrzymuje się na chroniącej wejście do grotty tarczy, którą rzuciła jeszcze, gdy spał. Gdy wykonał zwrot w jej stronę, jego oczy do złudzenia przypominały spojrzenie niedźwiedzia, usiłującego roznieść klatkę, w której go zamknęli i rozszarpać na strzępy tych, którzy stoją na zewnątrz. Nigdy jeszcze nie widziała go w takim stanie. Potrafiła przyznać mu sporo racji. Rytuał połączenia z drzewem dla Elfa był świętością, równie dobrze mogła odmówić spalenia doczesnych szczątków Farysowi i rzucić je na żer psom. Człowiek opowiadał jej kiedyś, że jego rodacy palą ciała swoich zmarłych, by dym zaniósł duszę do ich Boga. Bez jasno płonącego stosu Bóg nie mógł ujrzyć umarłego. Uznała to wtedy za niedorzeczność, ale powstrzymała się przed głośnym wyrażeniem swojej opinii. Długie życie nauczyło ją, że Ludzie bywają niezwykle drażliwi, jeśli w grę wchodzi ich religia, jakakolwiek by nie była. Elfy były w tej kwestii jeszcze bardziej radykalne. Patrząc na Pistisa, uświadomiła sobie, że popełniła błąd, zapominając, jak bardzo.

- Wypuść mnie.
- Przyrzekam nie więzić cię tu ani chwili dłużej niż to będzie absolutnie...
- Do ciężkiej cholery, po prostu mnie wypuść!

Kapłan obrzucił zamglonym spojrzeniem otaczające ich skalne ściany, które zadrżały i jęknęły złowroźnie. Dziewczyna nie potrafiła powiedzieć, czy zrozumiał, że to jego własna, wymykająca się spod kontroli moc wywołała drgania. Nie przestając nawet na chwilę utrzymywać tarczy, wzmocniła zakłęcie ochronne, nie dopuszczając do eksplozji.

- Nie mogę.

W jego łagodnych zazwyczaj, błękitnych oczach była czysta wściekłość. Zaprzestając wszelkich prób pertraktacji, z dziką pasją natarł na zasłonę, próbując staranować ją za pomocą pięści. Krótka chwila wystarczyła, by po raz pierwszy pożałował, że jako jedyny z ich czwórki nie nosi miecza, topora czy jakiegokolwiek innej broni, którą mógłby się w tym celu posłużyć. Czarodziejka obserwowała jego wysiłki, starając się ignorować narastający ból w klatce piersiowej. Nie mogła pozwolić sobie na najłżejsze choćby zawahanie, najmniejszą słabość, każde z nich kosztowałoby ich zbyt wiele.

W końcu Elf zmęczył się i zaprzestał bezowocnych prób. Znów zwrócił się w jej stronę, dysząc ciężko i walcząc z mdłościami, które nagle się pojawiły. Jeszcze nigdy nie czuł się tak niewiarygodnie głupio i żałośnie. Rozchylna koszula odsłaniała w całej okazałości świeżą bliznę, przywodzącą na myśl pęknięcie na szkle, w które ktoś cisnął kamieniem. Wrażenie było niesamowite.

- Pistisie – postąpiła kilka kroków w jego stronę.
- Nie podchodź – zignorowała go. – Ja nie żartuję, zostań, gdzie jesteś.
- Pozwól mi wytłumaczyć...
- Elpis, ostrzegam cię! Nie zbliżaj się do mnie!

Nie zauważyła jego ręki i nie uchyliła się, może dlatego, że była ona ostatnim, czego się spodziewała. Kiedy na jej policzek spadł głośny cios, zachwiała się i zamrugała powiekami, zdezorientowana. Ostre pieczenie, szczególnie dotkliwie pulsujące w miejscu, gdzie przez policzek biegła szrama, pojawiło się chwilę później. Elf wydawał się nie mniej zaskoczony niż ona sama. Za pomocą drugiej ręki unieruchomił i przycisnął do ciała tę, która zadała cios, jakby była obcą, należącą do kogoś innego kończyną.

Elpis zmarszczyła brwi, nadal nie do końca rozumiejąc, co się właściwie stało. Nigdy wcześniej nikt nie ośmielił się jej spoliczkować. Przez wszystkie lata jej życia, nie ważne, jak długie by ono nie było. Nawet Kain. Biorąc pod uwagę czas, który pamiętała i ten, o którym

wspomnienia jej wydarto, nigdy, nikt. W jakiś sposób była tego pewna. W jej oczach pojawiła się furia i mrok, które sprawiły, że Pistisa ogarnął strach. Szybko jednak minęły i przez czas potrzebny na jeden ton serca stało przed nim czarnowłose dziecko z wizji, dziecko o oszalałym z bólu spojrzeniu zaszczutego zwierzątka. Te emocje zgasły bez śladu jeszcze prędzej, zastąpione przez nienaturalny, gorszy od wszystkiego, co było przed nim, lodowaty spokój. Kapłan poczuł ciężar tego lodu w żołądku.

– Elpis, ja... – z trudem wydobył słowa z zaciśniętego gardła, heroicznie walcząc o każde z nich. – Ja... przepraszam.

Milczała. Wiedziała, że powinna przemówić, ale nie potrafiła zmusić się do wydobywania głosu. Mężczyzna patrzył na nią i nie był w stanie zdecydować, czy bardziej nienawidzi w tej chwili jej czy siebie samego. Z całego serca zapragnął, żeby mu oddała, ale wiedział doskonale, że tego nie zrobi. Nie ona.

– Sam siebie nie rozumiem, Elpis. Jestem... chory ze strachu. Właśnie tak. Naprawdę muszę stąd wyjść. Proszę. Proszę...

– Wiem, co czujesz – zmusiła się do przewyciężenia własnego odrętwienia.

Kapłan z nagłą gwałtownością potrząsnął głową. Puste słowa, które nic nie znaczą. Nie mogła wiedzieć. Nie była prawdziwym Elfem. Elf nigdy nie zdobyłby się na to, co z nim dziś uczyniła. Cena była zbyt wysoka, niezależnie od tego, co można było za nią kupić. Nie miała prawa zadecydować za niego. Próbowała położyć mu dłoń na ramieniu, ale wzdrygnął się, zanim jeszcze zdążyła go dotknąć. Cofnęła rękę.

– Ja również kiedyś umarłam i wróciłam po raz pierwszy. Dawno temu. Mogłabym ci powiedzieć, że za każdym następnym razem będzie łatwiej, ale to nie prawda. Będzie coraz gorzej. Tylko że, jakkolwiek brutalnie by to w tej chwili nie zabrzmiało, z czasem się przyzwyczaisz. Znajdziesz coś, dla czego warto wracać. Nawet jeśli w tej chwili wydaje ci się, że straciłeś wszystko i wszystkich.

– Chcę stąd wyjść – powtórzył uparcie. – Nie mogę tu oddychać. Elfy nie powinny długo przebywać pod ziemią. Nie mogę tu zostać ani chwili dłużej. Chcę zobaczyć niebo, poczuć powietrze. Duszę się wśród tych skał. Zimno mi... Jak w grobowcu... Umarłem i złożyłaś mnie w grobie. Nie mogę oddychać.

Powstrzymała się przed powiedzeniem mu, że już nigdy nie będzie musiał oddychać, chyba że sam tego zapragnie. Aż za dobrze wiedziała, że głośne uświadomienie mu tego, co oczywiste, akurat w tym konkretnym przypadku nie może go uspokoić, za to niechybnie wywoła efekt odwrotny do zamierzonego. Wiedziała też coś jeszcze. Mieli coraz mniej czasu. Kiedy nadejdzie zmrok i noc otuli świat czarnym płaszczem, nadejdzie ten, który kiedyś był jej ojcem, a wraz z nim zastępy upiorów, które prowadzi. Nie była tak szalona, by próbować ukryć przed nim Pistisa. Jasne było dla niej też to, że stawiając go przeciw orszakowi Wilczych Jeźdźców bez przygotowania, nieuzbrojonego w choć podstawową wiedzę o tym, kim są i co go z ich strony czeka, wykaże się takim samym szaleństwem.

– Wczoraj rzuciłam wyzwanie potęgom, z których istnienia do tej pory nie zdawałaś sobie sprawy. Rozpoczęłam coś strasznego, ale to, co zrobiłam, było jedyną możliwą drogą ocalenia. Być może kiedyś nazwiesz to życiem. Masz prawo czuć do mnie nienawiść i uderzyć mnie tyle razy, ile tylko zechcesz. Skrzywdziłam cię i nie liczę na wybaczenie. Nie proszę też o nie. Musisz jednak coś zrozumieć. Zaciągnęłam dług, a dziś wraz z nocą nadejdą ci, których zadaniem będzie wyegzekwowanie jego spłaty. Bardzo chciałabym cię przed tym ochronić, ale nie potrafię. Zrobię, co w mojej mocy, żeby wszystko złagodzić i przeprowadzić cię przez tę noc, a także te, które nadejdą po niej najbezpieczniej, jak to tylko możliwe. Wiem, że nie mam prawa prosić także o to, ale – westchnęła ciężko – musisz mi zaufać. Tylko ja stoję między tobą a chaosem,

który wyciąga po ciebie rękę i chce cię dotknąć. Sam nigdy nie umkniesz przed tym dotykiem.

Patrząc na niego, nie mogła opędzić się od myśli, że być może sromotnie się pomyliła. Jeszcze kilka godzin temu wierzyła, że Pistis z jej pomocą pokona mrok, teraz nie była tego aż tak bardzo pewna. Wiedziała jedno. Stojący przed nią Elf za nic nie mógł zauważyć jej wahania.

– Potrafię przeprowadzić cię przez Szał – powiedziała, z całego serca pragnąc czuć tyle pewności, ile wyrażał w tej chwili jej głos. – Musisz dać mi szansę. Musisz.

*Muszę? Doprawdy?*

– Jak długo będziesz wymagała ode mnie posłuszeństwa? – zapytał, przerywając w końcu przedłużające się milczenie, gdy Elpis niemal przestała już liczyć na odpowiedź.

– Do świtu. Potem zrobisz, co zechcesz. Nie stanę ci na drodze. Przysięgam.

Spojrzenie, jakim ją obdarzył, było przesycone nieufnością.

– Wspominałaś o tysiąckrotnej zapłacie.

– Tak – przyznała. – Wytłumaczę ci wszystko. Po kolei. Pozwolisz mi mówić?

– Jeśli dam ci słowo, że nie będę próbował ucieczki ani walki... – dopiero, kiedy wypowiedział słowa, zdał sobie sprawę, jak absurdalnie muszą brzmieć w jej uszach. Nie zdołałby jej pokonać, choćby wyteżył wszystkie siły. – Jeśli przysięgnę cię wysłuchać i do rana wykonywać twoje polecenia, czy pozwolisz mi wyjść teraz na powierzchnię? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

Za nic nie chciała dopuścić do sytuacji, kiedy będzie musiała zatrzymać go siłą. Ona również musiała mu zaufać. Rozpaczliwie brakowało im czasu.

– Tak.

– W takim razie masz moje słowo.

– Dziękuję ci za nie.

Skinął krótko głową. Jego ulga była niemal namacalna. Żywiąc szczerą nadzieję, że rzeczywiście może polegać na jego rozsądku, zwolniła tarczę.

Świat zewnętrzny przywitał ich ciepłym, przesyconym wilgocią wiatrem. W porównaniu z mrokiem jaskini, mnogość barw i ich odcieni porażała. Znajdowali się w części lasu, której Pistis nie rozpoznawał, przyjął więc, że najprawdopodobniej nie było ich tu nigdy wcześniej. Mógł się jednak mylić, zważywszy na to, że otaczający ich młodnik przypominał krajobraz po bitwie. Tu i ówdzie piętrzyły się połamane niczym zapalki drzewa, zupełnie jakby młody i kapryśny olbrzym ściął je niemal przy ziemi gigantyczną kosą, zostawiając kilkunastometrowe pasma nagich kikutów, z rzadka tylko dorównujących wielkością stojącemu Człowiekowi. Większość drzew, głównie wszechobecnych tu brzoź i olch, pozostała nietknięta i dalej pięła się dumnie ku górze. Słońce, które nadal nie znalazło się w zenicie, przeświecało przez ich gęste liście jak przez zielone witraże, wydobywając srebrne refleksy z zawieszonych na gałązkach i blaszkach liści kropli, pozostałych po ulewnym deszczu, który przebudziła furia jego mistrzyni. Co jakiś czas któraś z cząstek płynnego srebra odrywała się i spadała na trawę, przez co las wciąż wypełniał cichy szelest, przywodzący na myśl delikatny, letni deszcz. Coraz więcej słonecznych promieni przebijało przez chmury, a ich ciepło sprawiało, że rosa zamieniała się w parę, tworząc snujące się cicho nad ziemią strzępki białej mgły.

Nawet skała za ich plecami, kryjąca w swoim wnętrzu zimny grobowiec, który dopiero co opuścili, pokryta fantazyjnie ukształtowanymi draperiami porostów i kępkami przyłasczek, wzbudzała zachwyty. Kiedy wspięli się krótkim korytarzem i wydostali na powierzchnię, znaleźli się wśród morza sięgających kolan paproci. Myśli Pistisa uciekły ku czasom, gdy był bardzo młodym chłopcem i wraz z połową od niego mniejszą siostrą uganiał się po lasach w poszukiwaniu paproci, która zakwitła. Kwiat paproci, wedle wierzeń jego plemienia, miał posiadać niezwykłą moc. Pozwalał jego znalazcy na spełnienie jednego życzenia, niezależnie od

tego, jak bardzo niewiarygodne by ono nie było. Kwiaty pojawiały się o północy, a nadejście wczesnych godzin świtu zapowiadało moment, kiedy wszelkie poszukiwania stawały się bezsensowne. O świcie kwiat przepadał. Mała często zrywała brata w nocy z łoża i porywała go na wyprawę, mającą na celu pogoń za kwiatem. Nigdy go nie znaleźli, ale czasem udawali, że inny kwiat jest właśnie tym magicznym i że naprawdę mają życzenie. Raz, po tym, gdy po raz pierwszy przebudziła się w nim magia, sprawił dla niej, że cała porośnięta paprociami polana rozkwitła. Dziewczynka biegała w kółko, śmiejąc się głośno i śpiewając z zachwytem.

– Paprocie nie kwitną – czarodziejka zdała sobie sprawę, że powiedziała to na głos.

– Nie kwitną – zgodził się niemal od razu, dziwnie poirytowany jej bezceremonialnym wtargnięciem w jego myśli. – Mimo to ich kwiaty były ulubionymi spośród wszystkich dla mojej siostry. I dla mnie.

Czy Elpis miała kwiat, który nazywała ulubionym? Kiedyś chętnie by się tego dowiedział, uważał się przecież za jej małżonka, mógł więc zapragnąć podarować jej kwiaty. W tej chwili było to dla niego zaskakująco mało ważne. Kiedy przelotnie na nią spojrzął, uświadomił sobie, że te myśli zapewne też słyszała. To również nie zrobiło na nim wrażenia. Niemal nic się nie liczyło. Był pustą skorupą, w której kiedyś mieszkał Elf.

– Były? – zapytała dziewczyna dziwnie cicho i smutno.

– Przecież paprocie nie kwitną. Dzieciom często pewne rzeczy wydają się magiczne. Nawet jeśli tak naprawdę wcale ich nie ma – odrzekł sucho, wzruszając ramionami.

– A jakby wyglądały, gdyby istniały?

Odwrócił się, stając dokładnie naprzeciw niej, zły, że w ogóle o nich pomyślał. Kpiła z niego?

– Czy przyszliśmy tu rozmawiać o kwiatkach? Nie mam ochoty o tym mówić. To wspomnienie moje i mojej siostry.

– Rozumiem. Nie będę więcej do tego wracać. Powiedz mi, proszę, co wiesz o Szalonych Jeźdźcach?

– Elpis, jeśli naprawdę masz ochotę bawić się w zagadki...

– Bynajmniej – przerwała mu irytująco spokojnie. – Niemniej jednak odpowiedz.

W jednej chwili naszło go nieodparte pragnienie, by znów ją uderzyć. Perspektywa zmiecenia z jej twarzy nienaturalnego w tej sytuacji opanowania była tak kusząca, że sekundę później szczerze się podobnych uczuć zawstydził. Jeśli wyczytała myśl z jego głowy, nie dała tego po sobie poznać. Stała przed nim z rękami skrzyżowanymi na piersiach, podobna do lodowej rzeźby.

– Nic pewnego ani w wystarczającym stopniu wiarygodnego, żeby uznać to za prawdę – skapitulował w końcu. – To zastęp upiorów, który ponoć pojawia się na niebie podczas nowiu. Mówią, że Wilki pożerają wtedy księżyc. To one są wierzchowcami Jeźdźców, choć Ludzie utrzymują, że wiozą ich nadnaturalnej wielkości konie, a zamiast Wilków biegają psy. Nie ma wśród nich żywych ani zbawionych, wszyscy są przeklęci. Na ich czele podąża sam król upiorów, potępiony w najstraszliwszy sposób. Słyszałem nawet wersję, wedle słów której jest to sam anioł, który nie upadł. Co prawda Elohim i Starsi z mojego klasztoru uznawali Szała za jeden z licznych apokryficznych wierzeń, mroczną rozrywkę dla chcących nadać swojemu nudnemu życiu nieco kolorów prostaczków – wzruszył ramionami. – Po co to wszystko?

Czarodziejka nie zmieniła pozycji, tylko jej oczy zaślnęły dziwnym blaskiem.

– Anioł, który nie upadł. Prowadzi ich sam Lucyfer – potwierdziła, ignorując resztę jego wypowiedzi. – Elohim i Starsi nie po raz pierwszy mylili się na korzyść prostaczków. Jeźdźcy Szała istnieją i dziś w nocy przecwałują po niebie.

Tknęło go na pozór niedorzeczne przeczcucie. Zimne palce strachu dotknęły jego karku

i pleców niczym czuła kochanka. Zadrżał.

– Więc istnieją. Co to ma wspólnego z nami? – bardzo starał się nadać pytaniu niedbały, a nawet pogardliwy ton, ale własny głos go zdradził.

Elpis utkwiała w nim pochodnie jarzących się widmowym, zielonym ogniem oczu.

– Szał przemknie po niebie, a my... My pojedziemy na jego czele.

\*\*\*\*

– Ten, kto znajdzie w sobie dość odwagi i siły, by własnymi rękami odebrać komuś życie, ma prawo żądać od kostuchy, by zaniechała jego ofiary. Oczywiście, jeśli odwaga w dalszym ciągu go nie opuści. Bo dokonane morderstwo jest tylko wstępem do prawdziwego dramatu, a dalszy wpływ na rozwój wypadków ma morderca właściwie żaden. W dalszym ciągu istnieje całkiem realne zagrożenie, iż osoba, o życie której toczy się stawka, przegra. Wtedy stanie się własnością otchłani, nikt i nic jej nie ocali.

Czarodziejka przerwała na chwilę i zapatrzyła się w języki płomieni małego ogniska, które rozpalili. Siedziała nieco wyżej od niego, oplatając ramionami zgięte w kolanach, podciągnięte pod brodę nogi. Niemal całe jej ciało zakrywały mokre włosy, otulając ją lśniąca w promieniach słońca kaskadą atramentowej czerni, spływającej wzdłuż pleców w łagodnych falach. W tej pozycji, skulona i czarno-biała, przywodziła mu na myśl przyczajonego do skoku irbisa, pełnego gracji i drapieżnego piękna. Elf klęczał na ziemi, siedząc na własnych, bosych piętach. Mokre jak u niej włosy jakiś już czas temu odgarnął do tyłu, częściowo przez głupią przekorę, a częściowo z pobudek, których sam nie potrafił odgadnąć, w całej okazałości demonstrując świeżą bliznę w miejscu, gdzie jeszcze zeszłego dnia miał serce. Jeśli demonstracja zrobiła na niej jakiegokolwiek wrażenie, nie dała tego po sobie poznać. Obok blizny, zawieszony na srebrzystym łańcuszku, spoczywał szaro-błękitny opal o kształcie nieregularnego trójkąta. Cała reszta jego ubrań, oraz wszystkie składające się na przyodziewek dziewczyny, schły, malowniczo rozciągnięte na otaczających ich krzewach i kamieniach.

Zastanawiał się, czy nią również choć po części powodowała głupia przekora, gdy przed rozmową zaproponowała, by zmyli z siebie błoto i krew, a także uprali ubrania. Propozycja nosiła wszelkie znamiona rozsądnej, została więc zaaprobowana. Wyglądali wszak niczym para głodnych i steranych życiem wędrownych włóczęgów. Kiedy już słońce i ogień wysuszą ich rzeczy w stopniu umożliwiającym ich założenie bez przykrego wrażenia, przypominającego zanurzenie się po szyję w zimnej wodzie, powinni prezentować się o niebo lepiej. Ubrania w kilku miejscach były co prawda rozdarte, a głównie krew nie sprąła się doszczętnie, pozostawiając żółtawe zacieki na jego koszuli i jej rękawach, ale pozbycie się błota przyniosło nad wyraz dobre efekty. Kapłan był jednak przekonany, że wystarczyło wyskandować niezbyt pewnie skomplikowane zaklęcie, jedno z tych, które Elpis pogardliwie nazywała jarmarczonymi sztuczkami i pozostawiała różnej maści szarlatanom, udającym czarnoksiężników, by ich ciała i odzież w kilka chwil zbliżyły się do stanu, jaki udało im się osiągnąć w blisko dwie godziny.

Czy dziewczyna rzeczywiście żywiła do magii szacunek tak głęboki, iż wzdragała się przed wykorzystaniem jej do tak niskich celów, mimo oczywistego braku czasu na podobne ceregiele; czy może zgoła inaczej – tak bała się rozmowy, do której musiało między nimi dojść, że umyślnie odwlekała ją nieco w czasie? A może po prostu była po dziewczęcemu ciekawa jego reakcji na jej nagie ciało, wystrzeliwujące w górę wśród rozbryzgów zimnej wody i sążnistych przekleństw, rozlegających się raz po raz, zanim przyzwyczaili się do temperatury płynącej dołem parowu szerokiej i dość głębokiej rzeki? Wiedział, która odpowiedź najbardziej by go satysfakcjonowała i wiedział, że nigdy nie pozna odpowiedzi. Zdawał sobie też sprawę z tego, że w ich obecnej sytuacji akurat to najmniej powinno go interesować.

Jednak interesowało. Zapewne przez przekorę. Zajmowało jego myśli w stopniu tak

znacznym, że dopiero po kilku pewnie minutach ciszy zorientował się, że jej głos umilkł, a ona sama przygląda mu się spod kpiąco zmrużonych powiek z dziwnym wyrazem twarzy. Zły na siebie, że niczym nieopierzony smarkacz dał się przyłapać na beczelnym gapieniu się, zmusił się do tego, by przestać się gapić. Jeśli choć przez chwilę łudził się, że nie słyszała jego myśli, skutecznie pozbawiła go złudzeń.

– Muszę oszczędzać siły – jej głos był zimny i zły, niczym odgłos kamienia trącego o kamień. – Jeśli pomyślność nas nie opuści, być może uda mi się przeciwstawić temu, co nadejdzie. Będę jednak potrzebowała całej siły, jaką dysponuję. Ty natomiast musisz wiedzieć kilka rzeczy, bo w momencie, kiedy uda im się ciebie zaskoczyć i zszokować tak bardzo, że zaczniesz krzyczeć ze strachu, wszystko pójdzie na marne. Dlatego ja nie użyję magii, a ty słuchaj uważnie, bo od tego, czego się dowiesz, zależy twoje być albo nie być. Skup się, kapłanie. Usiłuję cię ocalić.

– Słucham cię, Elpis. Bardzo uważnie – mruknął bez przekonania. – Kontynuuj, proszę. Roztrzepała palcami schnące włosy, wzniciając mgiełkę wodnych kropelek. Część z nich spadła na jego barki i twarz. Chciwie posmakował ich zapachu.

– Szał spada na ziemię w czasie nowiu, a ci, którzy składają się na jego jeźdźców, to istoty, które spłacają zaciągnięty dług. Te, którym udało się przetrwać pierwszą z tysiąca nocy. Ci, którzy nie zdołali tego dokonać... Cóż, im przypadają wszystkie noce pomiędzy nowiami po kres świata, bez szans na nic więcej, nigdy. Ale to nieważne, ty do nich nie dołączysz. Tysiąc księżyców w nowiu. Na taki czas przynależy do Szalonych Jeźdźców ten, kto odważył się zakpić ze śmierci. Między księżycami jeźdźcy chodzą po ziemi, pod różnymi postaciami, w naszym świecie przezwano ich Cieniem, zapomniano ich imion, oni sami zdają się ich nie pamiętać. Być może tysiąckrotność to cena zbyt wysoka i w ostatecznym rozrachunku nikomu nie udaje się zapłacić, może istoty, składające się na Cień pochłonęło szaleństwo, indukowane zbyt długim życiem i dlatego skarłały, nie wiem. Świat, do którego trafiliśmy po ucieczce z klasztoru, jest o wiele młodszy od tego, który znasz. Przechowuje pamięć o jednoróżcach i zna miana dzieci Lilith.

– Co się stanie po ostatniej z tysiąca nocy? – przerwał jej gwałtownie.

– Dług zostaje anulowany. Odzyskuje się wolność.

– A spokój? Czy można wtedy umrzeć? Odnaleźć spokój? Połączyć się z drzewem? Albo po prostu zniknąć, zasnąć, przestać istnieć?

Nie musiała odpowiadać, wyczytał odpowiedź z jej oczu, z nagle skurczonych źrenic i poblądłej twarzy. Ta droga była na zawsze zamknięta.

– Nie wiem – tylko po części było to kłamstwem, nie słyszała o takim przypadku, ale do tej pory z całych sił wypierała ze swojej głowy świadomość istnienia Szału i jego przeklętego przewodnika. – Nie sądzę.

Nie liczył na nic innego, a jednak otwarte stwierdzenie faktu wstrząsnęło nim bardziej, niż chciałby się do tego przyznać nawet przed sobą samym. Poczul jak narasta w nim histeryczny śmiech, potrzebował ogromnej siły woli, by nie pozwolić mu wydostać się na powierzchnię.

Jak mogła być tak szalona, by świadomie wybrać dla niego taki los? Dla Elfy nieśmiertelność i konieczność podążania za przeklętym orszakiem żywych trupów, pozbawionych łaski spoczynku nawet po i tak już zbyt wielu latach beznadziejnego trwania, była stokroć gorsza od śmierci. Mimo woli jego myśli popłynęły ku Farysowi i Sylwanowi oraz owej nocy, gdy siedząc obok Wampira pod starą wierzbą, obserwował delikatną, skrzydlatą istotkę w jego dłoniach.

*Pojęcie niemożliwego nie istnieje. Więc stań się nieśmiertelny. Dla niej.*

Był ciekaw, co powiedzieliby, widząc go teraz. Był nieśmiertelny. I przerażony jak nigdy



w życiu. Zawsze myślał, że nieśmiertelność wiąże się z potęgą i brakiem strachu, bo czego może lękać się ktoś, kogo nie można zabić?

Zanim zorientował się, co właściwie się z nim dzieje, zanim zdążył zareagować, śmiech wyrwał się z niego razem z groteskowym, pozbawionym łoż szlochem. W jednej chwili znalazła się przy nim, poczuł chłód, który prędko przemienił się w ciepło, gdy objęły go jej nagie ramiona. Nie bronił się, rozumiejąc z przerażającą ostrością, że ten dotyk był jedynym, czego w tej chwili pragnął, a zarazem wszystkim, czego się bał. Dziś w nocy porwie ich Szał. Dobrze, ale najpierw...

– Nie prosiłem o ciebie, Jedyne Bóg niech mi będzie świadkiem, nie prosiłem – usłyszał własny, gorączkowy szept, kiedy słowa przerwały tamę i popłynęły, niemal bez udziału jego woli. – Chciałem tylko służyć w Jego klasztorze, przebrany za jednego z Jego wyznawców, choć wątpiący o Jego istnieniu i miłosierdziu. Chciałem umrzeć z tą odrobiną honoru, jaka mi pozostała. Czarnoksiężnik pozbawił mnie nawet tego. Ale wtedy pojawiłaś się ty, a wszystko, co miało miejsce przed chwilą, w której ujrzałem cię na schodach Warowni, zszarzało, jakbyś zarzuciła na moje poprzednie życie całun gęstej mgły. Przed i po. Teraz robisz to znowu. Wszystko, co było przed tą chwilą, skończyło się i nie może wrócić, nie wiem, co będzie po niej. Jest tylko teraz. A teraz należę do ciebie, a ty należysz do mnie. Do ciężkiej cholery, nie zaprzeczaj! Należysz do mnie. Na tę krótką chwilę, teraz. Być może tylko teraz i już nigdy więcej. To nie ważne. Cokolwiek zrobiłaś, chciałaś mnie ratować, cokolwiek zrobisz dziś w nocy, zrobisz to dla mnie. Rozumiem to, chociaż zaprzeczam i zaprzeczę jeszcze nie raz, bo tak bardzo się boję, że nie potrafię inaczej. Ale nie w tej chwili. Bo należysz do mnie, bardziej niż kiedykolwiek, a ja znowu jestem pijany twoim zapachem i dotykiem. Kain powiedział, że nie jesteś i nigdy nie będziesz dla mnie. Że nie mam prawa. Kłamał. Bo teraz trzymam cię w ramionach i jesteś moja. Jutro... Ty wiesz, co musi stać się jutro, prawda?

– Wiem – spojrzała mu odważnie w oczy.

– Więc kłam – poprosił. – Powiedz, że do mnie należysz i że jutra nie będzie.

Jakieś szaleństwo nakazywało mu przebiegać palcami po jej twarzy, ramionach i piersiach, jakby w rozpaczliwej próbie nauczenia się jej na pamięć. To samo szaleństwo powstrzymywało ją przed straceniem jego dłoni. Nawijał na palce czarne pierścionki jej mokrych włosów i porażony ich chłodem, myślał, że jest nie tylko pijany, ale też trawiony gorączką.

– Kłam, Elpis.

Pochylił się i pocałował zimne pierścionki, a chwilę potem zewnętrzny kącik jej lewego oka i miejsce na skroni, gdzie skryta pod włosami, zaczynała się blizna. Dziewczyna czuła jego niespokojny oddech na policzku.

– Proszę...

Przymknęła oczy, na chwilę pozwalając sobie na marzenie o tym, o ile prostsze byłoby wszystko, gdyby wystarczyło wypowiedzieć na głos kilka łgarstw. Jutro nie będzie, noc również nie nadejdzie, a nawet jeśli, to przecież nie dla nich. Jest tylko tu i teraz, moment na krawędzi. Odchyliła głowę w tył, czując gorące, niecierpliwe wargi, wędrujące w dół wzdłuż jej szyi. Cholera, Elpis, kłam!

– Jutro... – jej głos brzmiał nienaturalnie i ochryple, jakby należał do kogoś innego. Załamał się i urwał, kiedy jego wargi dotarły do obojczyka. Odkaszlnęła. Otworzyła oczy. – Nie lękaj się jutra. Powinieneś obawiać się raczej nocy, nic co po niej nadejdzie, nie zdoła cię już skrzywdzić. A noc jest blisko – dodała bezlitośnie, świadoma, że wszystko zniszczyła.

Jego usta się zatrzymały, a dotyk stracił miękkość. Odsunął się od niej. Czar przysł.

– Jasne – zgodził się bezbarwnym głosem. – Dlatego mam się skupić na twoich słowach i odrzucić wszystko inne precz. Zwłaszcza głupie i dziecinne fantasmagorie, które wzięły się nie

wiadomo skąd. Bo przecież ty nigdy... Wszystko mi się poplątało. Wybacz, pani – wstał i skłonił się jej sztywno, świadom, że jego oficjalny ton rani ją bardziej niż wszystko inne, co mógłby teraz uczynić. – Proszę tylko o kilka chwil w samotności. Potem wrócę i wysłucham wszystkiego, co musisz mi powiedzieć, bym zdołał przetrwać noc. A jutro... Ty wiesz, co będzie jutro.

Kiedy odwrócił się i odszedł, poczuła się niewiarygodnie zmęczona i pusta. Otulający ją płaszcz z mokrych włosów zdawał się zimniejszy od lodu. Ze zdumieniem zauważyła, że nie jest w stanie opanować dreszczy. Zazwyczaj chłód nie stanowił dla niej większego problemu, teraz z każdą chwilą brał ją coraz bardziej w posiadanie, a ona nie potrafiła się obronić. Larwa w jej wnętrzu szarpnęła się, jakby i ona skarżyła się na zimno.

*Jakim cudem jeszcze tu jesteś?* – zapytała w myślach, zarzucając na ramiona mokrą koszulę. *Oboje jesteśmy martwi. Larwa za nic nie przetrwa w ciele martwego żywiciela. To niemożliwe.*

Materiał koszuli ziębił jeszcze bardziej, więc po chwili znecierpliwiona zerwała ją z siebie i cisnęła na ziemię. Po irytująco krótkim wahaniu ruszyła przed siebie, wmawiając sama sobie, że zmierza bez celu.

Nieprzywoływana, przed oczami stanęła jej twarz Kaina – starca, którego przez całe swoje życie uważała za nauczyciela i przewodnika, a zaraz potem to samo, a przecież tak bardzo inne oblicze starego duchem anioła o fizjonomii młodzieńca, którego widziała wczoraj. Coś podpowiadało jej, że to nie był pierwszy raz, kiedy Lucyfer stał przed nią w swojej rzeczywistej postaci. Nie była pewna, czy może zaufać temu przeczuciu. Niczego już nie była pewna. Nie wiedziała nawet, czy wspomnienia, które posiada, są jej prawdziwymi wspomnieniami. Nikt nie mógł zagwarantować jej, że Świetlany nie wszczepił jej fałszywych, wykrzywiających obraz jej życia wizji. Nawet ukryte przed nim wspomnienie jednoroźców na polanie wśród kwitnących konwalii, mogło być przez niego sfalszowane tak idealnie, iż nie tylko nie poznała się na fałszerstwie, ale była pewna, iż udało jej się zachować je na własność. Mógł jej wmówić wszystko, cokolwiek by zechciał. Tylko po co?

*Jestem ci potrzebna, szaleńcze. Jestem częścią planu, którego główną osią jest twoja przeklęta Belial. Jej ocalenie. Bądź też zniszczenie. Bo przecież wielka miłość równie prędko może przerodzić się w równie wielką nienawiść. Co jeszcze ukrywasz? Czego chcesz? I jaka będzie twoja reakcja na moją odmowę kontynuowania tej gry? Co uczynisz, widząc, że mój Elf jest dla mnie po stokroć ważniejszy od twojej anielicy? Co mi zrobisz? Co zrobisz jemu? Czy zadowolisz się wydarciem mi wspomnień o nim, bym znów bez celu i sensu, stała się bezwolną marionetką w twoich rękach? Czy może po prostu go zabijesz? Ha, tego nie zrobisz, ubiegłam cię, jestem o krok przed tobą. Albo tak mi się tylko wydaje. Ilu jednak było przed nim? Co się z nimi stało? Czy ich też zniszczyłeś? Czy masz na rękach krew każdego, na kim mi kiedykolwiek zależało? Czy dlatego tak się boję?*

Nie szła długo. Nie musiała. Znalazła go nieopodal miejsca, w którym ją zostawił. Nie ukrywała się, ale jak każdy Elf posiadała naturalną umiejętność bezszelestnego stąpania tam, gdzie przedstawiciel każdej innej rasy dawno czynionym hałasem obwieściłby wszystkim żywym stworzeniom, że się zbliża. Wstrzymał oddech, kiedy chwyciła go za rękę, ale nie cofnął się, pozwalając jej zapleść ze sobą ich palce. Dłuższą chwilę po prostu stali, nie zmieniając pozycji, nie patrząc na siebie, a żadne z nich nie zakłóciło ciszy niepotrzebnym dźwiękiem. W końcu czarodziejka westchnęła ciężko, kończąc toczący się w jej wnętrzu zażarty spór, oparła głowę na jego ramieniu, czerpiąc pociechę i siłę z dotyku, którego nie odtrącił i odsłoniła przed nim swoje myśli.

Bez słów opowiedziała mu o orle i gołębiczy. O motylu na dłoni kata, pięknym

i zachwycająco nieświadomym grożącego mu niebezpieczeństwa. O ojcu i matce, których nigdy nie było i o zdrajcach, którzy ich udawali. O wioskach, które umrą w ogniu i we krwi. O młodej ludzkiej dziewczynie, którą kiedyś była, tej która przyszła do świątyni Jedynego Boga na długo przed jego narodzeniem, dzierżąc w rękach zakrwawioną włócznię, którą przy wejściu odebrali jej strażnicy. O wspomnieniach, które nagle zaczęły się pojawiać i składać w niepokojącą całość, odsłaniając przed nią nieznaną obraz samej siebie, który zresztą mógł być podsuniętą przez Lucyfera iluzją, jak wszystko inne w jej życiu. O strachu i bezradności i o tym, jak przyrzekła sobie, że żadnego z ich trójki nie straci.

Czuła nerwowe napięcie mięśni jego karku i to, jak bezwiednie zaciskał dłonie w pięści, ściskając delikatnie jej palce, ale nie odbierała żadnych uczuć. Ani śladu szoku, pogardy czy żalu, aprobaty czy też niesmaku, jakby wszelkie emocje wyciekły z niego, zostawiając miejsce tylko dla łagodnej akceptacji wszystkiego, cokolwiek mu nie powie. Kiedy skończyła, po prostu odwrócił się w jej stronę i patrząc jej w oczy, powoli unióś dłonie dziewczyny do ust. Prędko zamrugła powiekami, zakazując sobie rozczulania się nad sobą samą.

– Nie będę cię okłamywać, choć żywię szczerą nadzieję, że tobie pójdzie to o wiele lepiej – przemówiła na głos. – Nadejdzie noc, a po niej ranek, który wszystko zmieni. Ale nie będzie kolejnych nocy. Powstrzymam to, przysięgam. On pożałuje, że kiedykolwiek ośmielił się wykorzystać mnie do swojego planu i że postawił cię na mojej drodze. Jeszcze nie wiem jak, ale znajdę sposób. Nie będziesz niewolnikiem księżycy w nowiu. Kiedy nadejdzie noc, a wraz z nią moje demony staną się twoimi, będę przed tobą i nie pozwolę, by obłęd położył na tobie swoje zimne łapska. Powstrzymam to, bo... bo należę do ciebie. W sposób, jakiego nie pojmuję. Na mocy prawa, którego nie rozumiem, z którego istnienia niejasno tylko zdaję sobie sprawę, bo on robi wszystko, bym zapomniała. Należę do ciebie, kapłanie.

Czuł, że powinien coś powiedzieć, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Zamiast tego więc pochylił się i odszukał ustami jej usta. Napotkał opór.

– Teraz twoja kolej. Kłam. Powiedz, że kiedy wstanie dzień, nie zostawisz mnie samej.

– Nie zostawię cię samej, ani jutro, ani nigdy. Klnę się... – powstrzymały go jej palce na wargach.

– Nie prosiłam o zakłęcia. Nie prosiłam też o „nigdy”. Nadaj kłamstwu chociaż pozory prawdy. Nigdy to pojęcie cholernie rozległe i przytłacza mnogością możliwych interpretacji.

– Kiedy wstanie dzień, nie zostawię cię samej. Ale...

– Cicho. To wystarczy. Nie chcę słyszeć niczego więcej.

*I tak wiem, co musi się stać.*

Chciał zaprzeczyć, powiedzieć jej, że nie wie nic, że jest pieprzoną socjopatką, odrzucającą każdego i przerażoną każdym, kto ośmiela się żywić do niej cieplejsze uczucia. Chciał jej wygarnąć, jakie to chore, że właśnie jego boi się najbardziej ze wszystkich, podczas gdy on...

Nie pozwoliła mu dojsć do słowa, a wszelki protest, na jaki się zdobył, rozplynął się w niekontrolowanym, rwącym się westchnieniu, kiedy przyłgnęła do niego całym ciałem.

*Nic nie mów, nie myśl o niczym – przekazywała mu wśród pocałunków i pieszczot. Jest tylko tu i teraz, a tu i teraz to przepaść bez dna, o ściany której trzeba się w końcu rozbić, nie warto więc nawet krzyczeć.*

Przetaczając się na miękkiej pierzynie z mchu, wśród paproci, muskających ich nagie ciała przyjemnie ostrymi, pierzastymi blaszkami liści i czując na sobie jego ciężar, zrozumiała nagle, że to nie jest pierwszy raz. Ich spotkanie we wnętrzu Skalistej Warowni jej mistrza nie było pierwszym. Już wcześniej знаła jego twarz i barwę jego głosu. Znała jego imię, nie te, którym posługiwał się w tym życiu, lecz prawdziwe, które sama mu nadała dawno, dawno temu.

Przysięga, złożona jej u bram klasztoru, nie była pierwszą, a ta chwila, przepełniona niezwykłym poczuciem wzajemnej przynależności, również nie była pierwszą z chwil, gdy byli ze sobą tak cudownie blisko. Znieruchomiała.

– Elpis?...

Jego głos wyrwał ją z odrętwienia. Podniosła wzrok, napotykając wpatrzony w siebie pytające, zamglone spojrzenie błękitnych oczu. Oczu, które przecież знаła, dopóki Lucyfer nie ukradł jej wspomnienia o nich. Podniosła rękę, by dotknąć jego twarzy, zdjęta nagłym, absurdalnym strachem, że jego oblicze rozsypie się pod jej palcami niczym kruchy pergamin, a ona znów zapomni, jak wiele, nieskończenie wiele razy wcześniej. A jeśli pozwoli sobie zapomnieć tym razem, będzie bezpowrotnie zgubiona. Naznaczył pocałunkami wnętrze, a potem przegub jej dłoni.

– Co się stało, Elpis?

Potrząsnęła głową, strzepując czarne loki z ramion.

– Nic. Wszystko... Nie jestem pewna. Po prostu... coś zrozumiałam. Coś ważnego.

Odsunął się lekko, by lepiej widzieć jej twarz, ale nie wypuścił dziewczyny z objęć.

Patrzył na nią z pełnym niecierpliwej czci oczekiwaniem. Czowała, że powinna mu powiedzieć. I że nie potrafi.

– Jeszcze nie teraz, nie jestem gotowa, żeby się z tobą tym podzielić. Proszę, nie pytaj.

Muszę dopasować do siebie kilka rzeczy.

Z ociąganiem skinął głową, na znak, że rozumie. Ale nie rozumiał. Potwierdziły to słowa, które zaraz potem padły z jego ust.

– Pani, jeśli potrzebujesz teraz czasu dla siebie, jeśli mam przestać i...

– Nie waż się – gwałtownie wpadła mu w słowo. – Nie waż się przestawać – powtórzyła, widząc, że znów chce coś powiedzieć. – Wyciągasz dziwne wnioski. Przestań gadać. Przestań wnioskować. Kochaj mnie. Kochaj mnie tak, jakby jutro miało nigdy nie nadejść, jakby to był jedyny sposób na pokonanie śmierci. Milcz i chodź tu.

Przyciągnęła go do siebie. Po chwili świat wokół utonął, porwany przez chaotyczny wir, pełen rozbłysków światła i barw. Kiedy nieopodal nich eksplodowała jedna ze skał, grzebiąc w swoim wnętrzu jaskinię-grobowiec, którą dziś rano opuścili, czarodziejka uświadomiła sobie niejasno, że miała nie używać magii. Zdażyła jeszcze pomyśleć, że był to z całą pewnością najbardziej nieświadomie rzucony czar w jej wykonaniu. Zaraz potem dotarło do niej, że to on, a nie ona, doprowadził do wybuchu, nie racząc tego nawet zauważyć. Kiedy szalony wir porwał w powietrze drobnutkie skalne odłamki, roześmiała się głośno i radośnie, czując jednocześnie na policzkach gorące łzy. Śmiech zagłuszył imię, które kapłan szeptał gdzieś wśród jej włosów.

Jej prawdziwe imię. Straszne i potężne.

## Rozdział 24

### Córka zdrajcy

Kiedy opowiadała mu o nich, oboje leżeli obok siebie, przytuleni, odprowadzając wzrokiem kryjące się za drzewami słońce. Słuchał jej głosu, czasem coś wtrącając lub zadając pytanie i myślał, że żadne z jej słów nie jest aż tak przerażające i straszne, jak wydawało mu się jeszcze niedawno. Nawet gdy powiedziała, że to właśnie strach będzie w ich rękach najpotężniejszą bronią, a biegłość w posługiwaniu się nim wyrobili w sobie przez czas dłuższy, niż on jest w stanie objąć rozumem. Ani gdy zapewniła go, że nie zawahają się przed zdeptaniem i zbrukaniem wszelkich rzeczy, które on uznaje za święte; że może liczyć na krew, która jest zabójcza dla jego rasy, ogień, jako żywioł antagonistyczny wodzie, która się nim opiekuje czy śmierć, bo dla Elfa nie ma nic bardziej świętego i nietykalnego ponad życie. I gdy ostrzegła, że nieważne, czego dziś stanie się świadkiem i jak bardzo budzące grozę rzeczy dokonają się na jego oczach, nie wolno mu krzykiem zdradzić swego strachu, bo upiorna kohorta Lucyfera właśnie na to czeka. Najmniejszy objaw słabości miał stać się początkiem jego końca, tak jak krzyk miał przypieczętować poddanie, oddając go na zawsze pod władzę ósmego anioła, najbardziej potępionego ze wszystkich.

– Właściwie to nie do końca tak. Jeśli zrobisz coś równie głupiego jak krzyk czy upadek, zgubisz nas oboje. Bo ja skoczę zaraz za tobą. Masz moje słowo, że nie zawaham się nawet chwili. Więc skupże się wreszcie – wyszczała, oscylując na granicy wściekłości i rozbawienia, gdy nie poświęcając jej słowom niemal żadnej uwagi, z roztargnieniem przesuwając palcami w górę i w dół wzdłuż linii jej kręgosłupa.

Mimo żartobliwego tonu, potraktował groźbę poważnie i od tej pory usiłował słuchać każdego jej słowa. Niemal udało mu się tego dokonać, stracił wątek tylko dwa razy. Za pierwszym razem, gdy w koronie rosnącej tuż przed nimi olchy przysiadł kruk. Kapłan zapatrzył się na przeczesującego dziobem pióra na grzbiecie ptaka, zastanawiając się, jak wyglądałoby smukłe ciało leżącej obok niego Elfki, gdyby ubrać ją w płaszcz utkany z kruczych piór, czarnych jak jej włosy. Udało mu się wtedy wrócić do rzeczywistości, zanim zauważyła jego rozkojarzenie, przynajmniej miał taką nadzieję, dziewczyna nijak bowiem tego nie skomentowała. Za drugim razem odleciał myślami znacznie skuteczniej i na dłużej, gdy czarodziejka, znużona zbyt długim bezruchem, wstała i usiłowała kontynuować wykład, przechadzając się tanecznym krokiem wśród paproci. Kiedy zorientowała się, że mężczyzna nie potrafi oderwać od niej oczu, prychnęła wzgardliwie, machnęła ręką na Lucyfera i jego zastęp przeklętych jeźdźców i zanim zdążył choćby spróbować jakoś się usprawiedliwić, zniknęła wśród drzew. Dopadł jej, gdy dawała nura w kurewsko zimną wodę rzeki, w nurcie której kąpali się przed południem.

W efekcie ponownej kąpieli, gdy słońce skryło się za drzewami, a oni, drżący i przemoczeni, wdrapali się na szczyt parowu, gdzie pozostawili ubrania, ich ciała i włosy, które niemal zdążyły wyschnąć, znów były mokre. Ponadto Pistis ze zdumieniem odkrył, że ich odzież, już bez śladów krwi i błota, ale doszczętnie pokryta piaskiem i gruzem, na dodatek rozwleczona po całej polanie, wygląda gorzej niż przed przepierką. Elfka tylko pokiwała głową, kwitując tajemniczym uśmiechem i wzruszeniem ramion jego próby dociekania, co stało się z ich rzeczami oraz jaskinią, która jeszcze dziś rano była jego więzieniem, a teraz przypominała co najwyżej gruzowisko.

Wtedy Elpis po raz pierwszy przyzywała na pomoc magię. Nie zdążył nawet zauważyć, co zrobiła, szczerze wątpił, by uczyniła cokolwiek, poza sformułowaniem w myślach rozkazu. Po prostu w jednej chwili stał na polanie nagi i ociekający wodą, a mgnienie oka potem miał na sobie czarne spodnie i wams w tym samym kolorze, a ramiona okrywała mu długa do kostek peleryna z kapturem o miękkiej, aksamitnej podszewce w kolorze delikatnego błękitu. Poły płaszcz łączyła pod szyją srebrna zapinka ukształtowana na wzór rozpościerającego skrzydła drapieżnego ptaka. Całkiem suche, idealnie rozczesane włosy opadały mu na plecy. Z prawej strony głowy ze zdumieniem odkrył ciasno zapleciony na całej długości, cieńszy od palca czarny warkocz. Pociągnął za niego, czując, jak skóra głowy napina się pod wpływem szarpnięcia. Włosy były ponad wszelką wątpliwość jego, tyle że zmieniły kolor.

Kiedy spojrzął na Elpis, zamarł. Elfka miała na sobie wyzywający, śnieżnobiały, sznurowany na plecach gorset bez ramiączek, ozdobiony wyszytymi gdzieśgdzie srebrną nicią pęczkami kwiatów o połyskujących płatkach z maleńkich ognistych opali. Rozszerzana ku dołowi spódniczka, długa tylko na tyle, by zakryć blizny na udzie dziewczyny, składała się z dwóch warstw. Spodnią tworzył biały szyfon, wierzchnią drapowany tiul w tym samym kolorze. Okrywającą ją pelerynę o srebrzystym podbiciu spinał pod szyją czarny gagat w kształcie głowy Wilka. Całości dopełniały krótkie białe kozaki na wysokim obcasie i długie, wysadzone ognistymi opalami kolczyki w kształcie rąbów. Głowę dziewczyny zdobiła korona z misternie splecionych warkoczy, ale większość jej włosów pozostała luźna.

– Szarlataneria. Ale bywa praktyczna – mruknęła w odpowiedzi na jego wzrok.

Kiedy się odwróciła, zauważył, że zewnętrzną część jej peleryny na całej długości pokrywają krucze pióra. Przesunął palcami po materiale swojej, tu również je odnajdując. Uśmiechnął się sam do siebie. Miło było widzieć, że uwzględniła jego niewypowiedziane życzenie. Co prawda myślał raczej o piórach okrywających nagie ciało, ale...

– A to akurat byłoby cholernie niepraktyczne – zreplikowała, nie dając mu czasu na głośne wyrażenie swojej opinii.

\*\*\*\*

Kiedy leżeli obok siebie, wśród paproci i płonnika, wszystko wydawało się szalonym, odległym snem. Śnionym przez kogoś innego snem o nim, tak nierealnym, że aż śmiesznym. Kiedy mógł opierać policzek na jej nagim brzuchu, raz po raz całując jego gładką skórę, Lucyfer małał do pokręconego symbolu, który nie może go skrzywdzić, a jego diabelski orszak wywoływał w nim jedynie pobłażliwą wzdrgnięcie. Posunął się nawet do myśli, że los cwałującego po niebie na wilczym grzbiecie upiora, którego każdy się lęka, to całkiem odpowiednia pośmiertna dola dla kapłana, który po kolei złamał niemal każdą z reguł swojego bractwa, poczynając od braku wiary, a kończąc na upojnych chwilach na kobiercu z mchu z córką samego Lucyfera. Próbował wyobrazić sobie minę Elohima w chwili, gdy wrzeszcząc, jak na upiora przystało, przemknąłby razem z resztą umarłych przez środek klasztornego budynku, roztrzaskując najpierw wielki witraż z barwionego szkła, a potem główne wrota. Przestał, gdy poczuł zimną irytację Elpis i przypomniał sobie, że Elohim również jest martwy.

– Jesteś głupi. Tak nieskończenie głupi – warczała na niego coraz częściej, im bardziej zbliżała się noc. – Ale zmądrzejesz – dodawała ponuro.

Czuł wtedy nieprzyjemny dreszcz, przenikający go chłodem wzdłuż pleców. Nie chciał o tym myśleć.

A potem zapaliły się latarenki gwiazd i rozpoczęła się najgorsza noc w jego życiu. Bardzo prędko zrozumiał, że miała rację.

Był głupi. Beznadziejnie i nieskończenie.

\*\*\*\*

Wiele lat wcześniej, w klasztorze, w życiu, które się skończyło, Pistis wynalazł w jednej z ksiąg określenie, które teraz wydawało mu się niezwykle adekwatne do sytuacji, w której się znaleźli. Horror vacui – lęk przed pustką. Egzotycznie brzmiące słowa, których znaczenie można było odnieść na przykład do sztuki, przejawiające się w tendencji do tworzenia dekoracji, nie pozostawiających nawet skrawka pustego tła na obrazie czy fresku. Artyście, pracującemu przy użyciu tej techniki, nie wystarczało przedstawienie ludzi lub zwierząt. Z pieczołowitością godną lepszej sprawy musiał on zapłacić czymś, czymkolwiek, wszelkie puste miejsca na obrazie. Zupełnie jakby ze skrawka jasnego nieba mogły nagle wyjść straszdyła z nocnych koszmarów, jakby większa biała chmura była wrotami do otchłani, które otworzą się niechybnie, jeśli nie pokryją ich wzory i kształty. Nie było istotne, co budować będzie tło, ważne, by było tego jak najwięcej i jak najgęściej, żeby broń Boże nie pozostał jakiś, najmniejszy nawet niezapełniony fragment. Czasem sprowadzało się to do tego, że tam, gdzie zabrakło inwencji na barwne tło, jego rolę pełniły kropki czy kreski, zupełnie nie pasujące do konwencji dzieła gwiazdy, spirale... Cokolwiek, co zapełni pustkę. Fresk przeistaczał się w przerysowaną, męczącą dla oczu i niepokojącą nadmiarem bodźców rozmazaną plamę, a obserwującemu wydawało się nagle, że w tym obrazie coś jest zdecydowanie nie tak i że artysta znajdować się musiał na skraju szaleństwa, skoro aż tyle pozornie ze sobą nie związanych rzeczy zdołało w jednej chwili wykluczyć się z jego głowy.

Stojąc na polanie z Elpis u boku, zewsząd otoczony przez Wilki i barwny tłum demonów, czuł się, jakby sam stał się bohaterem dzieła takiego obłąkanego, lękającego się pustki artysty. Od nadmiaru budzących grozę istot i ich natrętnej bliskości kręciło mu się w głowie, w ustach czuł smak żółci.

Już kiedy pojawiły się małe martwe tancerki i wirując wokół nich, co jakiś czas chwyciły go za płaszcz lub rękę, jakby zapraszając do tańca, stracił rezon. Wiedział, że dziewczynki są tu dlatego, iż ich rodzice, oszaleli z bólu w obliczu straszliwej choroby i wizji rychłej śmierci dziecka, zdecydowali się na najgorszy z możliwych kroków. Zabiwszy swoje córki, wezwali Lucyfera, by przyjął je na tysiąc nocy w poczet swoich towarzyszy. W obłądzie, który kierował ich rękami i słowami, nie dostrzegli tego, co oczywiste. Żadne ze słodkich, niewinnych dzieci, wydane na pastwę Szału, nie miało prawa przetrwać bez okazania trwogi pierwszej nocy, wszystkie prędzej lub później – z reguły zresztą prędzej – płakały i krzyczały ze strachu, co czyniło je wiecznymi zakładnikami przekłętogo anioła. Dziewczynki budziły w nim po równi litość i trwogę. Wiedział, że jeśli jemu dziś się powiedzie, nie ujrzy ich więcej. One nie miały prawa uczestniczyć w dzisiejszej drodze, pojawiły się tylko, aby powitać nowego straceńca. Zarazem wiedział, że nigdy nie zdoła wyrzucić z pamięci ich pustych oczu i otwartych do niemego, rozszarpującego duszę wrzasku, ust.

Kiedy odtańczyły już swój taniec, wciąż wirując, usunęły się z polany, nurkując w ciemność wśród drzew. Dziś w nocy będą płaszc po ziemi wśród wiejskich domostw, a żywe dzieci będą budzić się z płaczem, którego nie ukoi nawet czuła piosenka matki. Zdawało mu się, że każda patrzy w jego twarz, ociągając się z odejściem, ale w końcu zniknęły.

I wtedy poczuł lodowate ukłucie w okolicach, gdzie u żywej istoty znajduje się serce. Bo na ziemi, kuląc się i tuląc do siebie nawzajem, pozostała dwójka dzieci. Nowi, tak jak on. Ale w przeciwieństwie do niego pozbawieni magii, pozbawieni jakiegokolwiek ochrony, skazani na to, by spaść, zanim jeszcze na dobre wzbiją się w górę.

Elpis złowiła jego spojrzenie, błagalne i pełne czci, zanim zdążył zorientować się, że na nią patrzy.

*Nie – pomyślała. Tylko nie to, nie dziś, nie teraz. Nie masz prawa i ja nie mam prawa.*

*Przestań. Wymagasz za wiele. Nie.*

*Kurwa – niemal natychmiast pojawiła się druga myśl. Co za po stokroć przeklęty dureń mógł posłać mu na żer takie maleństwo? Kto mógł być tak szalony?*

Mniejsze z dzieci mogło mieć najwyżej dwa lata. Dygotało i wyglądało na to, że zacznie wrzeszczeć, jeszcze zanim zjawi się tu Lucyfer. Większe, może sześciolatnia dziewczynka, płakało bezgłośnie, tuląc je do siebie. Trzecia myśl nadeszła nagle, przesywająco oczywista i jasna, pełna gniewu i buntu.

*Tak. Należą do mnie. Są moje. Tak samo jak te wszystkie dziewczynki, które odeszły. Są moje.*

Zdając sobie w pełni sprawę z tego, że to, co zamierza zrobić, jest całkowicie sprzeczne z logiką i nijak im nie pomoże, a co najwyżej zmniejszy ich szanse, a jednocześnie czując się dziwnie zdeterminowana i spokojna, pewnym krokiem ruszyła w stronę dzieci. Kapłan obserwował ze swojego miejsca, jak płaszcz z piór rozścielił się wokół niej czarnym półkolem, gdy czarodziejka klękała przed nimi na ziemi. Powiedziała coś do większej z dziewczynek, uzyskując rozedrganą, krótką odpowiedź. Nie zrozumiał słów, ale mógł wyłowić ich kojącą barwę i łagodny ton. Po chwili wstała i ponownie zajęła miejsce u jego boku, dźwigając na rękę mniejsze z dzieci. Większą, posłusznie za nią podążającą dziewczuszkę, prowadziła za rękę i na miejscu przekazała kapłanowi. Dziewuszka oderwała się od niej i natychmiast z całych sił wczepiła palce w jego dłoń. Mniejsze dziecko, które z bliska okazało się chudym chłopcem o ciemnych lokach, przylgnęło do czarodziejki niczym wielka, biała pijawka, gniotąc i brudząc smarkami gorset z białego szyfonu. Oboje mieli wilgotne oczy, ale powoli bezgłośnie spazmy płaczu ustąpiły miejsca nielicującemu z ich wiekiem spokojowi i wyciszeniu, a spojrzenia stały się nie do końca przytomne. Wiedział, co się z nimi działo. Elpis zrobiła im to samo, co jeszcze nie tak dawno jemu, zarzucając osobliwy rodzaj tarczy, przez którą ze znacznym utrudnieniem i opóźnieniem przenikały emocje. Lub, jeszcze częściej, nie przenikały wcale, rozbijając się o jej ściany i pozostając wewnątrz. W pewnym sensie zrobiło mu się ich żal, takie otępienie przypominało sytuację kogoś, w kogo ciele tylko oczy nie są ogarnięte paralizem, leżącego nago w gnieździe skorpionów. Pozorne opanowanie, przeczące wewnętrznej rozsypce. Wiedział jednak, że czar był konieczny. Lucyfera nie interesowało, co działo się z nimi w środku, on czyhał na bardziej spektakularne spotkanie – wrzask, błaganie o litość, ucieczkę. Zakłęcie, które nałożyła na nich Elpis, nie pozwalało na żadne z tych zachowań.

Ciężar dziecka coś jej przypominał, na nowo rozbudzając w jej duszy niepokój. Bo nagle po raz kolejny uświadomiła sobie, że woli nie pamiętać. Na zewnątrz zimna niczym ścinający jezioro lód, w środku szarpnęła się wściekle. Jak silne pieczęci nałożył na jej oczy i wolę?

*To nie ważne – pomyślała. Zetrę je w pył. Wszystkie, jedna po drugiej. Dziś. Teraz. Przyrzekłam.*

*Zabij mnie teraz i potem, ile razy będzie to konieczne, aż uczynisz ze mnie bestię, której nikt i nic nie pokona. Zrób to z pełną świadomością, że wtedy ta bestia przyjdzie po ciebie, by rozliczyć cię z każdej kropli ich krwi.*

Tak wtedy powiedziała.

*Kłątwa. To była Kłątwa, a ty pozwoliłeś...*

Na co?...

Do jakiego niewyobrażalnego zła dopuścił? Co sprawiło, że w ich przypadku miłość przekształciła się w nienawiść tak wielką, że nie potrafi o niej zapomnieć? Wybaczyć?

Gdy pomyślała o wybaczeniu, z jej gardła wydobył się dźwięk będący czymś pośrednim między śmiechem a warknięciem. Istnieją winy, za które nie ma rozgrzeszenia. Rany, których czas nie leczy. Był obciążony takim właśnie grzechem, a ona krwawiła z takiej rany, chociaż



wyparła z pamięci jej przyczynę. Co uczynił?

*Zabił...*

Kogo? Dalej, myśl.

Mały chłopiec na jej rękach poruszył się niespokojnie, mocniej wtulając umorusaną twarzyczkę w materiał gorsetu.

*Dzieci.*

Myśl pojawiła się nagle, świeża i natrętna. I niedorzeczna. Nie było żadnych dzieci. A nawet jeśli były... Jeśli w czasach, których nie pamiętała, okazała się na tyle szalona, by wydać na świat obciążone brzemieniem magii dziecko, a Kain je zabił? Świadczyłoby to tylko o jego rozsądku. O tym, że postąpił słusznie, tak, jak należało.

*Nie dziecko. Dzieci. Myśl.*

Trop wydawał się pozbawiony sensu. Przecież nawet nie lubiła dzieci. Były małe, bezradne, śmierzące i wiecznie zapłakane, a ona za nic nie potrafiła odgadnąć przyczyny płaczu. Wzdragała się przed dotknięciem Adama, tego chłopca też trzymała, jakby był gotowym kąsac skorpionem.

*To nie tak, Elpis – w jej głowie rozbrzmiał głos Pistisa. Ty się ich boisz, to wszystko. Twój stosunek do dzieci nie ma nic wspólnego z sympatią lub jej brakiem. Boisz się ich. I pragniesz.*

Otworzyła usta i niemal natychmiast znów je zamknęła, nie znajdując repliki. Motyl na dłoni. Cholerny, pieprzony, kolorowy motyl, którego zbyt łatwo skrzywdzić...

*Jest taka... choroba duszy. Dotyka tych, którzy widzieli zbyt wiele, tak wiele, że ich psychika nie jest w stanie udźwignąć tak silnego ładunku strachu i negatywnych emocji, załamuje się. Takie osoby potrafią wciąż na nowo rozważać traumę, której doświadczyły lub wyprzeć ją ze swojej głowy, co wcale zresztą nie pomaga, bo potwór zaczyna żyć własnym życiem. Boisz się straty, Elpis. Dlaczego? Co straciłaś?*

*Kogo – pierwsza myśl.*

A zaraz po niej pełen wzgardy uśmiech i wzruszenie ramion.

*Chyba choroba słabych. Kiedy coś cię przeraża, pędź ku temu. Tego mnie uczył. Kiedy spadniesz z konia, czym prędzej dosiądź jeszcze większego i bardziej narowistego. Gdy ugryzie cię Wilk, kolejnej nocy śpij pośród watahy. I nie pozwól się ponownie zrzucić ani ugryźć.*

*Każdy ma prawo do strachu, nawet najwięksi spośród wielkich. Unikasz bliskości, zamykasz się w sobie i budzisz z krzykiem. Jeśli byłaś matką, a on...*

*A on co?*

Miała ochotę na niego wrzasnąć, zachowała jednak kamienną twarz. Warknęła na istotę o wzroście dziecka i obliczu staruszki, która ujęła w zasuszone palce kosmyk jej włosów, z nabożeństwem mu się przyglądając.

*Oblakinia. Nazywają się oblakinie. Jedne są młode, inne stare. Małe jak pacholęta i szybkie niczym lasice. W porównaniu z innymi zgromadzonymi na polanie, śmiesznie niegroźne – przypomniał sobie.*

*Jeśli byłam na tyle głupia, by walczyć o magiczne dziecko, miałam szczęście, że znalazł się obok mnie ktoś obdarzony rozsądkiem.*

*Nie można tak po prostu wydrzeć matce lub ojcu dziecka. Więż...*

*Elfie brednie! Widziałam matki, duszące własne dzieci i wioskowe wiedźmy, które na równi zajmowały się przyjmowaniem porodów, jak i spędzaniem płodów. I ojców, których gównem to obchodziło.*

*Ludzkie brednie.*

Zasmarkany chłopiec ciążył jej na rękach. Przesunęła go na drugie biodro.

*Pani, jeśli chcesz, mogę...*

*Nie chcę. I nie możesz. Zabierz ręce.*

Nie umknął jego uwadze nerwowy pośpiech, z jakim zacisnęła dłonie na wtulonym w nią ciałku i to, że cofnęła się o pół kroku. Chciał ją przytulić i ukoić, ale wiedział, że mu nie wolno. Z trudem zmusił się do zachowania niewzruszonej postawy.

Tłum wokół nich gęstniał coraz bardziej. Jakieś pokraczne stworzenie o zielonkawej skórze i palcach połączonych błonami, odchodziło, ściskając w łapach pióro z jego płaszcza. Kiedy odprowadzał je wzrokiem, stworzenie odwróciło się i spoczęły na nim najbrzydsze i najbardziej odrażające, zażawione i zaczerwienione oczka, jakie zdarzyło mu się w życiu oglądać. Skóra na szyi stwora podniosła się, formując wielkie skrzela, z których wydobył się cichy, przepełniony złośliwością skrzek.

*Utopiec. Pod wodą jego wrzask mógłby mnie zabić, a z całą pewnością rozszarpałby mi bębenki na strzępy.*

Zaraz po nim zbliżył się do niego bezszelestnie wysoki i chudy tak niesłychanie, że dziwił, iż jego kończyny i kręgosłup nie składają się podczas drogi niczym połamane zapalki, staruszek w połatanym płaszczu i szerokim, skrywającym oczy kapeluszu. Kiedy znalazł się w zasięgu dotyku, wciągnął ze świstem powietrze, obwąchując go. Kapłan przymknął oczy i silniej ścisnął dłoń otępiełej dziewczynki, kryjącej się za jego plecami, gdy chudzielec pochylił się nad nim, węsząc intensywnie tam, gdzie pod ubraniem miał bliznę po wyrwanym sercu.

*Planetnik, zwany też chmurnikiem. Demon władający piorunami i chmurami gradowymi. Nie może mi nic uczynić – myślał gorączkowo, siłąc się na spokój.*

Wiedział, dlaczego upiór do niego przyszedł. Zastęp umarłych nie ścierpiałby wśród siebie kogoś, w kogo piersi bije żywe serce. Elfy często po śmierci stawały się latawcami, a latawce mógł strącić tylko piorun. Planetnik przyszedł po jego serce. I bardzo szybko zorientował się, że nie ma tu czego szukać. Niemal natychmiast zrozumiał też, komu to zawdzięcza. Przeniósł skryte pod rondem kapelusza oczy na Elpis i sięgnął po jej prawą dłoń, usiłując ją też zbliżyć do nosa.

To był błąd. Z palców czarodziejki wystrzeliły srebrne błyskawice, rażąc bez litości. Chmurnik wrzasnął, a początkowy ryk bólu zamienił się we wściekłość. Z gardła dziewczyny wydobył się ostrzegawczy syk, a zaraz potem krótki, wilczy szczek, na który odpowiedziały otaczające ich ze wszech stron Wilki wielkości koni. Chmurnik wycofał się równie bezszelestnie, jak nadszedł.

*Na Boga. Gdyby tylko mogła, stuliłaby uszy – pomyślał Elf, widząc, jak jego mistrzyni odprowadza go ponurym spojrzeniem, demonstrując wydłużone kły.*

Nie wiedział, czy dawno już martwy planetnik może obawiać się realnej krzywdy ze strony Wampira, ale ostrzeżenie zdecydowanie wystarczyło. Na jakiś czas zrobiło się wokół nich nieco luźniej, ale wystarczyło kilka sekund, by demonstracja grozy rozpoczęła się od nowa. Kolejno zbliżały się do niego podobne przebranym w suknie z wodorostów królowom rusalki o pozbawionych białek oczach i makabrycznych ustach, w ogóle nie widocznych, jeśli pozostawały zamknięte; nasuwający skojarzenie z okrutnie zagłodzonym psem wieszczcy, w którego wypełnione obłędem oczy nie był w stanie patrzeć dłużej, niż trwa oddech; dzikie i gwałtowne kobiety, które nie potrzebowały wierzchowców, bo górne połowy ich ciał, o nagich piersiach zasłoniętych tylko naszyjnikami z bursztynów lub koralami i głowach skrytych pod hełmami ze zwierzęcych czaszek, wyrastały wprost ze zwierzęcego tułowia, przypominającego łanię o delikatnej i smukłej budowie, z kępkami gęstego i długiego włosia na pęczkach i z przodu ciała, gdzie sierść przechodziła w gładką skórę. Był jeszcze duch lasu bez twarzy, zwany przez Elfy leszym, harpie o dwóch parach skrzydeł i oczu, czy całkiem oczu pozbawione strzygonie i strzygi o ptasich szponach, oraz całe mnóstwo stworzeń, na widok których włos jeżył się na

głowie. Nazw większości z nich nie potrafił sobie przypomnieć, a najprawdopodobniej nigdy ich po prostu nie słyszał. Część przypominała Ludzi bądź Elfy o zwierzęcych cechach, część raczej zwierzęta o cechach upodabniających je do humanoidów.

Pistis przez cały czas trwania tego dziwnego korowodu starał się zachować spokój, usilnie powtarzając sobie, że nie wolno mu nawet na chwilę stracić panowania nad do granic możliwości napiętymi nerwami. Ścisnął rączkę stojącej obok dziewczynki, myśląc o tym, że on również kimś się opiekuje i za kogoś odpowiada i że także dla niej musi wytrwać. Kilka razy chciał zapytać małą o imię, ale coś podpowiadało mu, że dziecku łatwiej będzie milczeć.

Niemal każdy z przemykających w pobliżu stworów usiłował dotknąć jego rąk czy włosów, albo chociaż płaszczą, wielu odchodziło, ściskając w łapach i szponach krucze pióra. Kapłan mógłby przysiąc, że dostrzega w oczach co niektórych coś bardzo dziwnego, co nie było bynajmniej niechęcią. Na Elpis umarli kierowali krótkie i ukradkowe spojrzenia płonące nienawiścią bądź uwielbieniem. Tego drugiego uczucia nie był pewien, tym bardziej, że żadne inne nie byłoby bardziej nie na miejscu. Jedyne co przychodziło mu do głowy, to myśl, że upiorne dzieci Lilith potrafiły dostrzec w ich wnętrzach cień swojej matki. Nie miał pojęcia, czy w ostatecznym rozrachunku pomoże im to, czy raczej zaszkodzi.

Wilki wyły gdzieś we mgle. Nie widział ich, ale czuł ich obecność.

Kiedy przemarsz dobiegł końca, demony utworzyły wokół nich krąg, z którego wyodrębniła się dwójka. Istota wyglądająca po prostu jak młoda, niezwykle piękna dziewczyna o wielkich i łagodnych oczach łani podeszła do niego, wysoki i smukły Elf z długim, kończącym się poniżej linii pasa jasnym warkoczem stanął naprzeciw czarodziejki. Włosy dziewczyny były niebieskie. Pistis nigdy wcześniej nie widział ludzkiej formy ondyny, wodnego żywiołaka, ale natychmiast zrozumiał, że nieznajoma tym właśnie jest. Jej przystojny towarzysz mógł być tylko latawcem.

Elpis domyśliła się, że zjawili się tu po to, by podać im krew. Niektórzy ze śmiazków wyzywających Szał, już na tym etapie zaczynali rzygać, wrzeszczeć i zarzekać się, że za nic w świecie, a w ogóle to chcą do domu. Raczej nie martwiła się o reakcję stojącego obok niej kapłana, wielokrotnie już dowiódł, że jest w stanie ścierpieć widok i smak krwi. Skrzywiła się za to z dezaprobatą na widok naczyń, w jakich trunek podano. Niedbale wysunęła do przodu wolną rękę i przejęła od latawca brudnobiałą elfią czaszkę wielkości jej zaciśniętej pięści, po brzegi wypełnioną karminową cieczą. Otępiła, zastygła w maskę grozy i bólu twarz Pistisa upewniła ją w przekonaniu, że ta tania, przepełniona zbędnym dramatyзмом sztuczka jest jednak efektywna i przynosi zamierzone rezultaty.

Wzmocniła działanie ochronnego zaklęcia, po czym przełożyła malutką czaszkę do ręki, na której trzymała chłopca i zanurzyła we krwi dwa palce wolnej dłoni, by następnie za ich pośrednictwem naznaczyć czerwienią wargi dziecka. Całą operację powtórzyła z dziewczynką. Potem, znacząco patrząc w oczy Pistisa, podniosła makabryczną czarkę do ust.

*Dalej, śmiało. Nie czekaj. Musisz tylko udowodnić, że potrafisz. Nie każą ci tego powtarzać.*

Kiedy odsunęła naczynie, jej wargi brukała świeża czerwień. Nie starła jej. Posłusznie poszedł w jej ślady, usilnie broniąc się przed wymiotami. Otępiłe ciało zachowywało się, jakby słuchało rozkazów kogoś innego, wiedział, że to wpływ jej czaru i nie mógł opędnąć się od poczucia dziecinnego, skierowanego w jej stronę żalu. Kiedy oddali puste czarki i kiedy ondyna i latawiec oddalili się i ponownie wsiąkli w tłum, poniewczasie nadeszła myśl, że kimkolwiek te dzieci były, zasłużyły na to, by pogrzebać ich kości.

Zaraz potem z nicości wychyły Wilki. Całe stada drapieżników wielkości koni, większe nawet od tych, jakie znali ze swojego świata, o różnym umaszczeniu, zazwyczaj szare lub czarne.

Przed nimi stanęła dwójka, różniąca się od siebie jak dzień od nocy, a jednak w jakiś dziwny, nieuchwytny sposób niezwykle podobna do siebie nawzajem. Wilk Elpis był czarny, a w jego łbie płonęły niezwykle czerwono-złote ślepie, patrzące dumnie i arogancko. Czarodziejka uśmiechnęła się, jakby rozpoznała w nim starego, dawno nie oglądanego przyjaciela.

*Witaj, Leviathan.*

*Martwego jeźdźca może ponieść tylko martwy wierzchowiec. Zabiłaś mnie, pani* – napłynęła odpowiedź, gdy wielki basior legł ciężko na ziemi.

*Owszem.*

Odrzekła dziewczyna po prostu, wdrapując się na jego grzbiet.

Mimo iż jedną ręką musiała podtrzymywać za nic nie chcącego się od niej odkleić chłopca, poszło jej to nadzwyczaj sprawnie. Wilk, który położył się przed Pistisem, miał sierść o barwie świeżego śniegu, a oczy jasnoblękitne, niemal białe, zimne i twarde niczym lód.

*Tylko martwy wierzchowiec* – potwierdził. *Zabiłeś mnie, panie.*

– Nieprawda... – zaprotestował Elf słabo.

*Zabiłeś mnie wśród ognia, w ciele niezliczonych tysięcy nietoperzy. Jestem Mammon, Trzeci z Siedmiu, ten który zginął, zanim poznaliście jego imię.*

Przed oczy kapłana powróciła scena sprzed wielu dni. Mistrz i jego uczeń klęczący w śniegu naprzeciw siebie, złączeni krwawiącymi dłońmi, wewnątrz ognistego kręgu. Coraz bardziej załamujący się i umierający. Zanim pomyślał o tym, co robi, oparł otwartą dłoń na piersi i pokłonił się.

– Zabiłem cię – przyznał szeptem. – Wybacz.

Elpis wzniosła oczy ku gwiazdom na tę nedorzecznosc, a jemu posłała spojrzenie, mogące zamrozić w locie wodospad.

*Co ty wyprawiasz? Może jeszcze uklęknieš? Po prostu go dosiędź. Jeśli zwęszy w tobie najmniejszy ślad słabości, podczas lotu będzie usiłował cię zrzucić. Ciężko ci będzie wtedy nie krzyczeć.*

*Ja daleki jestem od karmienia się złudzeniami i wiem, że nie ujrzę twojej słabości. Ale i tak dołożę wszelkich starań, by cię zrzucić* – wtrącił się demon, którego sama dosiadała.

*Śmiało.*

Poklepała go lekceważąco za uchem.

*Gdyby wściekłość mogła zabijać, byłabyś ostatecznie martwa* – pomyślał Elf, patrząc na Leviathana.

*Gdyby to było takie proste* – rozmarzyła się dziewczyna, mając na myśli samego Lucyfera.

Pistis ujął w talii dziewczynkę, chcąc posadzić ją pierwszą i zająć miejsce za jej plecami, ale Mammon obnażył kły, wstrzymując go w pół ruchu. Zrozumiał sugestię, gdy biały Wilk wskazał łbem na znacznie od niego mniejszego, rudo-szarego. Zawahał się. Nowoprzybyły wydawał mu się narowisty i groźny, a ze złośliwych, zielonych ślepi bił upór i gniew. Sprawiał wrażenie kogoś, komu zrzucenie dziecka gdzieś po drodze zdecydowanie poprawi humor. Popatrzył niepewnie na Elpis.

*Zrób to* – nakazała mu bez słów.

– Będę się trzymać blisko ciebie, dziecko i przysięgam, że nic złego cię nie spotka – powiedziała głośno do bladej jak kreda dziewczynki.

Pistis posadził małą na grzbiecie jej własnego Wilka, z radością zauważając, że nagle, jak za dotknięciem czarodziejkiej różdżki, drapieżnika opuściła cała hardość, jego oczy przygasły, łeb się pochylił, a ciało wyprężyło na ułamek sekundy, próbując podjąć walkę, ale poddając się niemal od razu. Obdarzył Elpis pełnym wdzięczności spojrzeniem, zastanawiając się

jednocześnie, jak wielka jest jej moc i ile stworzeń potrafi w ten sposób zniewolić. Niektórzy czarnoksiężnicy potrafili wejść w jaźń Wilka czy innego zwierzęcia, opanować go i zmusić do posłuszeństwa. Takie zwierzę zwano chowańcem, a tego, kto nim zawładnął, zmiennokształtnym, chociaż tak naprawdę wcale się nie zmieniał. Zazwyczaj leżał lub siedział bez ruchu, nie będąc w stanie obronić się przed nieuzbrojonym dzieckiem, mogącym go bez trudu udusić za pomocą poduszki. Czarnoksiężnicy dbali więc w pierwszej kolejności o bezpieczne ukrycie ciała. O bezpieczeństwo zwierzęcia również, bo posłana przez myśliwego strzała lub rany zadane mu w jakikolwiek inny sposób, dotykały też czarnoksiężnika.

Choć więc sztuczce nie można było odmówić spektakularności efektu, ten rodzaj magii traktowano raczej jako ciekawostkę, którą niewielu odważyłoby się rzeczywiście praktykować. Elpis na jego oczach w kilka sekund spętała i poddała sobie wolę Wilka, nie sprawiając wrażenia, by w najmniejszym stopniu ją to obeszło. Pozostawała mu tylko nadzieja, że druga część również nie znajduje w tym przypadku potwierdzenia i nawet, gdy Wilk zostanie ranny...

– Nie znajduje – zapewniła go, dusząc wątpliwości w zarodku.

– Dziękuję – odpowiedział, już z grzbietu Mammona.

Zaraz potem, mimo mnogości otaczających ich postaci, zaległa cisza jak makiem zasiał, a niezliczone rzesze Wilków i ich jeźdźców zaczęły się rozstępować, tworząc szpaler, na tyle szeroki, by zmieścili się w nim, ustawiając swoje wierzchowce bok w bok, łbami w kierunku wylotu żywego korytarza. W tej samej chwili Pistis poczuł irracjonalny lęk, z którego źródła prędko zdał sobie sprawę. To Elpis się bała. Mimo wczorajszego z nim spotkania, wizja ponownej konfrontacji z dawnym mistrzem, który w rzeczywistości był dla niej śmiertelnie niebezpiecznym wrogiem, napełniała ją przerażeniem. Znajdująca się pomiędzy nimi dwoma jasnowłosa dziewczynka również to wyczuła. Kapłan próbował, wzorem swojej mentorki, zarzucić na małą tarczę, ale odepchnęła go. Zanim podjął próbę po raz drugi, szarpnął się i zapłakał wtulony w czarodziejkę chłopiec. To wystarczyło, by Elpis wzięła się w garść, spychając swój lęk poza obręb świadomości i nie pozwalając, by ich dotknął. Dzieci uspokoiły się niemal natychmiast, on sam również poczuł, jak nagły przyływ ciepła i spokoju zalewa jego wnętrze.

– Ave Luciferus, morituri te salutant – mruknęła dziewczyna z ponurym uśmiechem, kiedy żywa fala, wbijająca się w zastępy upiorów niczym niewidzialny klin, dotarła do końca, a u wylotu korytarza zamajaczył im niewyraźny kształt.

Zaraz potem wyprostowała się i nakazała Leviathanowi ruszyć przed siebie. Mammon oraz Wilk dziewczynki poszły w jego ślady. Zwierzęta stąpały powoli, z hardo podniesionymi łbami. Elpis również zdawała się twarda niczym figurka wyciosana z kamienia i dumna jak królowa, ignorując kłapiące tuż obok niej paszcze Wilków umarłych i ich pełne nienawiści lub uwielbienia, straszne twarze. Za nimi upiory natychmiast wypełniały swoimi ciałami światło korytarza, zamykając im drogę odwrotu. Z przeciwnej strony, również się nie spiesząc, zdązał ku nim Lucyfer, ten, którego imię oznacza Światłość, anioł, który nie upadł.

Czarodziejka czuła narastający lęk, ale nie pozwoliła mu wziąć nad sobą przewagi, ani wyciec poza skorupę, którą się otoczyła. Ani na moment nie spuszczając wzroku z oblicza rosnącego w ich oczach czarnego anioła, chłodno i spokojnie udzielała swojemu uczniowi ostatnich instrukcji. Elf jechał obok, odgradzony od niej rudym Wilkiem i dosiadającą go dziewczuszką, starając się nie ustępować w odwadze swojej mistrzyni, spięty niczym pan młody w drodze do ołtarza.

*Bo to są zaślubiny, przyjacielu mego serca. Nasze prawdziwe zaślubiny. Takie, po których mnie znienawidzisz, a zarazem jedyne, jakie potrafię ci dać. Wilcze Gody. Nie przynieś mi więc wstydu. Cokolwiek by się nie działo, trzymaj się blisko mnie, chyba że wyraźnie nakażę ci coś*

*innego. Kiedy już przed nim staniemy, pokłoń się, jest przywódcą Szalu, powinieneś to zrobić, ale nie spuszczać wzroku. Nie jesteś jego niewolnikiem. Żadne głupie zasady z twojego klasztoru tu nie działają, możesz mówić co i kiedy chcesz, pod warunkiem, że nie będą to błagania o litość ani nic w ten deseń. Nie wolno ci krzyżeć, jeśli krzykniesz, będziesz zgubiony. Jeśli już musisz się modlić, rób to w swojej głowie. Nawet, gdy spadniesz, milcz. Złapię cię. Przrzekam. Przetrwaj.*

W normalnych warunkach ucieszyłby się z miana, jakie mu nadała, teraz nie potrafił nawet porządnie się uśmiechnąć.

Ostrzegła go, kim będzie ten, który nadejdzie. I jako kogo znali go wcześniej. Równie dobrze mogła tego nie robić. Gdyby nie dwugłowa Wilczyca, niemożliwa do pomylenia z kimkolwiek innym, za nic nie rozpoznałby dosiadającej ją osoby.

Lucyfer pojawił się przed nimi w swojej prawdziwej postaci, ukrywanie czegokolwiek było na tym etapie niepotrzebne i głupie. Od stóp do głów spowijała go czerni. Opadające na ramiona włosy również miał czarne, przetykane gdzieniegdzie bardziej białymi niż siwymi, układającymi się w sposób zaiste osobliwy, jakby ktoś w kilku miejscach cienkie pasma czerni pomalował białym barwnikiem. Ten niezwykle układ barw uświadomił mu coś niepokojącego. Elpis naznaczyła go czernią, do kogo należała biel? Przychodziła mu na myśl jedna kandydatka, ta, z której rąk przyjął ziele snów, cis i krew, a ona sama przyjęła śmierć z rąk podążającej u jego boku czarodziejki. Jeśli przypuszczenie było prawdziwe, stawiało ich to w niezwykle kłopotliwej sytuacji.

*Wcale cię nie naznaczyłam.*

Wtrąciła Elpis niemal z oburzeniem, na moment przenosząc wzrok na czarny warkocz, doskonale widoczny na kasztanowym tle.

Nie podjął polemiki. Ich wierzchowce i Szara Wilczyca o dwóch łbach zatrzymali się w odległości kilkunastu kroków od siebie. Świetlany i jego uczennica zsunęli się na ziemię w tym samym momencie, jakby połączeni niewidzialną nicią porozumienia, kapłan opuścił grzbiet Mammona chwilę później. Ostatnia była dziewczynka, której pomógł zejść. Ponownie razem, jak na dany z góry sygnał ruszyli w swoim kierunku, ale gdy Lucyfer się zatrzymał, ona wyminęła go bez słowa, o milimetry mijając czarne płomienie, w które dawno zamieniły się pióra jego skrzydeł. Pistis został naprzeciw przekłętą anioła, zatrzymany ruchem jej ręki. Gdy dziewczyna stanęła naprzeciw Wilczycy, a ich uszu doszedł złowrogi warkot, wydobywający się z trzech gardeł, przeklęty rozłożył ręce.

– Moja córka zawsze kochała się w ekstrawagancji i teatralnych gestach. Poczekajmy i pozwólmy jej odegrać swoje przedstawienie.

Elf przypomniał sobie, że Elpis kazała mu ukłonić się przed nim, ale nieposłuszny kark za nic nie chciał się zgiąć.

*Nie zrobisz tego* – postanowił nagle. *Nie ma mowy, nie zrobisz.*

– Nie jest i nigdy nie była twoją córką – powiedział za to, bardzo powoli i bardzo wyraźnie, sam nie pojmując, skąd bierze się ta nagła śmiałość.

Czarodziejka powiedziała kiedyś, że odwaga bardzo często idzie w parze z szaleństwem, być może to właśnie ono nim teraz powodowało. Nienawidził go niemal od pierwszego spotkania, zrazu nie rozumiejąc, skąd nienawiść pochodzi. Teraz, gdy pojął, co jest jej źródłem, zrozumiał zarazem, że w bezpośrednim starciu nie ma z nim najmniejszych szans, Elpis zresztą też nie. Była potężna, ale gdyby odwaga lub szaleństwo pchnęły ją do walki z ósmym aniołem, cała jej potęga mogła okazać się tanim kuglarstwem wobec jego mocy. Lucyfer nie przejął się jego uwagą. Popatrzył tylko spod wpeł przymkniętych powiek, jakby śmiał się z niego, a jednocześnie go żałował. Płonące fioletowym ogniem oczy były niezwykle, piękne i straszne tak bardzo, że paradoksalnie w zestawieniu z nimi czarne, różniące się wielkością ślepia

wieszczego wydawały się niemal normalne.

*Nikt, nie ważne czy jest Elfem, Człowiekiem, Wampirem czy aniołem, nie może mieć takich oczu – zdążył jeszcze pomyśleć kapłan.*

Potem usłyszał pełne bólu wycie i z rozpaczą zauważył, że jego mistrzyni klęczy, zgięta wpół.

\*\*\*\*

Wyminęła czarnego anioła, na pozór stoicko spokojna i opanowana, wewnątrz z trudem powstrzymując się od zaklinania go, by nie próbował jej zatrzymać. Gdyby zareagował w jakiś sposób, czy zdołałaby mu się przeciwstawić? Nie wiedziała i bez potrzeby wołała się o tym nie przekonywać. Najpierw musiała wymóc na dwugłowej Wilczycy potwierdzenie swoich domysłów.

Bo przypuszczenia Pistisa nie były prawdziwe. Oriole nie miała nic wspólnego z białymi pasmami we włosach Świetlanego. Elpis od wczorajszego spotkania wiedziała, kim była suka Lucyfera, dokładniej, jedna z jego suk, ta obecnie mniej znacząca. Żeby zyskać ostateczną pewność, potrzebowała imienia, siłą wyrwanego z jej gardła wśród wrzasku i wycia. Podjęcie próby teraz było niezwykle lekkomyślne, podczas drogi wśród chmur musiała osłonić poza sobą trzy osoby i trzymać w ryzach usiłujące strącić ich demony o kształtach Wilków, nie wykluczała też konieczności konfrontacji sił z resztą piekielnego orszaku. Niemniej jednak, jeśli chciała konsekwentnie grać rolę istoty z żelaza, nie miała wyjścia.

Wilczyca skuliła uszy i obnażyła kły, witając ją warczeniem, w którym pobrzmiwała jawna groźba. Elpis nie pozostała jej dłużna. Gniew dodawał jej sił.

*Przez tyle czasu, przekłeta, sprzedawałaś mi kłamstwa, patrząc prosto w oczy i kpiąc ze mnie. Ty i on... Wy oboje. Największe oszustwo, na jakie dałam się złapać. Ale już nigdy więcej. Uważałam się za twoją córkę, ale nigdy nią nie byłam, a ty nie byłaś moją matką. Nosisz wyklętą imię, a ja znam jego brzmienie.*

*Zradź swoje imię, a ja zdradzę swoje.*

Przez moment zawładnął nią niepokój, bo dziwacznie brzmiąca odpowiedź potężnej wadery zmuszała do zastanowienia się po raz kolejny nad kwestią, którą nie raz już bez powodzenia drążyła. Kim była ona sama, skąd i dlaczego posiadała moc, zdolną spętać wolę Siedmiu? Czy Lucyfer mógł obdarzyć tą mocą dowolną osobę po to, by wykorzystać ją do swoich celów, czy to od początku musiała być ona? A jeśli ta druga odpowiedź okazałaby się prawdziwą, pozostawało jeszcze pytanie, dlaczego?

*Chcesz, opowiem ci bajkę. Matki często opowiadają bajki swoim dzieciom, ja też kiedyś to robiłam. Bo byłam ci matką, choć ty nigdy nie byłaś moją córką. Kiedy się zorientowałam, było za późno. Teraz jest za późno na wszystko. Zarówno dla mnie jak i dla ciebie, więc czemu nie? Opowiem ci ostatnią bajkę. Chcesz?*

Coś w głosie Szarej Wilczycy sprawiło, że czarodziejka szczerze pożałowała, że nie oddała Pistisowi wtulonego w nią chłopca. Skoro jednak refleksja nadeszła poniewczasie, mogła tylko ze wszystkich sił walczyć o to, by go osłonić.

*Mam dość bajek i bredni. Chcę prawdy.*

Wilczyca znów warknęła, ale tym razem przypominało to raczej wzdrgnięty śmiech niż groźbę. Jakby dla jeszcze dobitniejszego zaakcentowania drwiny, legła ciężko na ziemi, opierając oba łby na skrzyżowanych przednich łapach. Cztery jarzące się czerwienią ślepia ani na moment nie przestały jej obserwować.

*Dobrze więc. Bajka będzie prawdziwa. Najprawdziwsza spośród wszystkiego, co do tej pory usłyszałaś. Ale strzeż się, moja nieszczęsna córko. Kłamstwo rani, ale to prawda zabija.*

*Tylko tych, którzy są zbyt słabi, by ją przyjąć.*

*Wszyscy są słabi. Nielicznym udaje się to dobrze maskować, ale to właśnie ich w końcu coś lub ktoś w niezwykle spektakularny sposób łamie i rzuca na kolana. Na tych, którzy całe życie spędzają, klęcząc, nie warto tracić czasu. Ale przecież to wiesz.*

*Twoja bajka.*

*Na początku, w świecie pozbawionym gwiazd i planet, był Bóg, jedyny i najpotężniejszy Pan, władca wszechmocny i doskonały, bla bla bla... Brzmi znajomo, prawda? Już nie raz słyszałaś podobne brednie. W takim razie teraz zapomnij, bo to była bajka, a ty czekasz na prawdę. A prawda wygląda zarazem tak samo i inaczej.*

*W świecie pozbawionym światła i cieni rzeczywiście przebudził się Bóg, ale nie był doskonały. Był taki jak każdy z nas, a może nawet gorszy, bo wszechmocny. Wszyscy myślą, że to w głowie Lucyfera po raz pierwszy przebudziło się szaleństwo i on pierwszy pognął na spotkanie chorych idei, zdradzając swojego twórcę, ale to też nie do końca prawda. Bo wiele miliardów lat wcześniej, zanim Światłany zamarzył o miłości, w głowie Najwyższego uroiła się doskonałość. Takim właśnie pragnął się stać i takim pokazać się swoim przyszłym wyznawcom. Zanim więc stworzył kogokolwiek, zrobił coś strasznego – podzielił swoją osobę na dwoje. Jedna z nich zawierała w sobie wszystko, co Jego zdaniem warte było zachowania – zdolność do trzeźwych osądów, siłę, odwagę, stałość i chłodny dystans, słowem – doskonałość. Ta właśnie część Jego istoty w Jego oczach pozostawała Nim.*

*Drugiej, mrocznej istocie, która była tych cech pozbawiona, odmówił prawa do boskości, wszystkiego jej odmówił. Zepchnął ją w najpodlejsze otchłanie wszechświata, tak, by nigdy nie zdołała odnaleźć drogi powrotnej. Zmusił ją, by zapomniała, kim była i od kogo pochodzi, by zapomniała o mocy, jaką posiada i o tym, co jest tej mocy przyczyną. W zamian podarował jej słabość, szaleństwo, niestałość, furię, gniew, nienawiść, upór... i zdolność do miłości. Bo przecież miłość niezmiennie stoi na drodze do osiągnięcia ideału. Nie może być inaczej, skoro nad własnym stawia dobro i szczęście ukochanej istoty, prowadzi do odsłonięcia się i wystawienia na cios. Jeśli kogoś pokochasz, przegrałaś. Pozwalasz na to, by cię skrzywdzono, a niewielu jest takich, którzy oprą się tej pokusie.*

*Bóg chciał, by Jego mroczna cząstka skarłata i zatraciła się wśród ciemności, ale tak się nie stało. Z szaleństwa uczyniła swoją siłę, z nienawiści tarczę, a z miłości marzenie, które nigdy tak naprawdę nie mogło się ziścić. Bo co może wiedzieć o miłości ktoś, kogo obrabowano z tego, co było w nim doskonałe? Tylko połączeni byli prawdziwą istotą, zdolną dać światu cokolwiek. Rozdzielając cechy hipotetycznie dobre od hipotetycznie złych Bóg wpadł we własne sidła, bo zarówno On jak i ona mieli do ofiarowania tylko namiastki prawdziwych uczuć.*

*Niemniej jednak przetrwała. Po to, by zjawić się przed Jego tronem w chwili, gdy zupełnie już przestał się jej spodziewać, nieświadoma swojej boskości i siły, pełna sprzeczności i pasji, wyrwana Otchłani przez fantazje szaleńca, które usłyszała i którym uległa. Przyszła, myśląc, że pokochała, a tak naprawdę nie mając pojęcia o miłości, doprowadziła więc do katastrofy prędzej niż ktokolwiek sobie wyobrażał.*

*– Belial... – wyszeptła Elpis, czując, że zaczyna jej się kręcić w głowie.*

*Belial – potwierdziła Wilczyca. Przeklęty pomiot Lucyfera, a potem jego po stokroć przeklęta kochanka, która odebrała mi wszystko. Gdyby miał blade pojęcie o tym, kim jest anielica o biało-złoty skrzydłach, nie odważyłby się. Ale nie wiedział. Ja też nie wiedziałam, do czasu aż Najwyższy nie wezwał mnie przed swoje oblicze i nie odsłonił przede mną tej tajemnicy. Dopóki nie udzielił mi łaski i błogosławieństwa, na mocy których miałam raz na zawsze położyć kres temu szaleństwu.*

*Lilith nic mi nie zrobiła, na swój sposób była słodkim dzieckiem, tak bardzo podobnym do tego, które nadeszło do mnie i Lucyfera spoza granic wszechświata, do tego, które przyjął*



*i pokochałam, dostając w zamian zdradę. Więc paradoksalnie to podobieństwo czyniło wszystko zarazem trudniejszym jak i prostszym...*

Mogłaby wtedy odejść. Zyskała pewność. Ale nie odeszła. Poznała jej imię, ale musiała usłyszeć je z jej ust, tylko wtedy, gdy demon bezpośrednio wyzna swoje miano, podda jej się, uznając jej wyższość. Chłopiec na jej rękach poruszył się, przypominając o swojej obecności. Osloniła go wolnym ramieniem. Nie było sensu wracać i przekazywać go Pistisowi.

– Znam cię, przeklęta. Wiem, kim jesteś. Jak mogłam przez tyle czasu nie zauważyć...

*Oczywiście, że mnie znasz. Znasz też historię, którą ci opowiedziałam, mimo iż pozwoliłaś sobie zapomnieć. Znasz ją lepiej ode mnie.*

W głosie Wilczycy była kpina i lekceważenie. W normalnych warunkach doprowadzałoby ją to do pasji, ale tu coś było stanowczo nie tak. Liczyło się nie to, co Pierwsza z Siedmiu mówiła, ale to, o czym milczała. Elpis potrząsnęła głową, czując że świat wokół zaczyna wirować. Wiedziała, że wadera i tak zauważy ukrywaną słabość, ale za nic nie chciała się z nią zdradzić.

– Twoje imię, przeklęta.

*Ty wiesz.*

Czarodziejka zacisnęła zęby, nie spuszczać wzroku z czerwonych ślepi. Bawi się ze mną – pomyślała.

– Wiem, ale ty i tak mi powiesz.

Wyprowadziła cios nagle i gwałtownie, nie dając Wilczycy szans na jakikolwiek kontratak. Na chwilę czerwień oczu drapieżnika rozżarzyła się dzikim ogniem, ale prędko przygasła. Oba łby poderwały się do góry, a łapy wyprężyły w daremnej próbie skoku. Demon w ciele Wilka miotał się dłuższą chwilę, uzyskując tylko coraz mocniejsze zaciskanie się niewidzialnej pętli wokół obu gardeł. Elpis podziwiała jej wytrzymałość, czar miazdżył całe jej ciało, zaciskając się wokół niego z mocą żelaznych kleszczy.

*Zaraz zaczną pękać kości* – pomyślała, wzmacniając siłę zaklęcia.

Wtedy Wilczyca zawyła, świdrująco i wściekle. Wycie przeszło w skowyt, a on urwał się niemal natychmiast, zakończony pełnym bólu i nienawiści akordem.

*Barbello. Tak mnie dawniej zwano.*

W chwili, w której zwolniła zaklęcie, osunęła się na kolana. Klęczała, jedną ręką tuląc do siebie ludzkie dziecko, a drugą podtrzymując się ziemi i patrzyła w znów spokojne, pełne pogardy ślepią Wilczycy. Niemal natychmiast znikąd zjawił się Pistis. Usiłował ją podtrzymać i mówił coś, ale zmusiła go tylko do przejścia od siebie dziecka i odprawiła ruchem ręki. Wziął chłopca, lecz nie odszedł. Wyczuwała jego obecność zaledwie krok za sobą, nie odwracała się jednak, by się o niej upewnić. Barbello nie wyglądała na kogoś, kto ma zamiar natychmiast zrewanżować się za atak na siebie, ale czarodziejka wcale nie ufała jej przez to bardziej niż przed kilkoma chwilami.

*To, czego mi nie mówi. Liczy się to, czego mi nie mówi.*

Czuła jak wokół jej własnego gardła zaciska się dławiąca pętla strachu.

*To zdecydowanie nie jest koniec.*

Zmusiła drętwe ciało do podniesienia się z ziemi. Pierwsza kochanka Lucyfera śledziła każdy jej ruch z umiarkowanym zainteresowaniem, ale Elpis nie dała się zwieść. Wilczyca szykowała się do ataku, do zadania jej miazdzącego ciosu, po którym ponowne podźwignięcie się może okazać się zadaniem ponad siły. Niemal słyszała treść pytania, jakie musi paść z ust przeklętej i wiedziała, że będzie musiała na nie odpowiedzieć. Istniał tylko jeden znany jej sposób ochrony przed ciosem. Musiała i tym razem zaatakować pierwsza.

Wysnuła myślową nić, delikatnie, lecz pewnie zakotwicząc się w jaźni dwugłowej

matki Wilków. Kiedy była już pewna, że ofiara jej się nie wymknie, triumfalny błysk w nieruchomym oku Wilczycy upewnił ją, że popełniła błąd. Szarpnęła, usiłując zerwać połączenie. Na próżno.

Kapłan musiał odebrać jej emocje, bo znów zrobił krok w jej stronę. Powstrzymała go wyrzuconym w tył ramieniem, odgradzając się od niego otwartą dłonią.

– Nie dotykaj mnie. Wróć do dziewczynki. Bądź z nią i z chłopcem. Nic mi nie będzie. Poradzę sobie, tylko nie pałętaj się pod nogami. Poradzę sobie, bo jestem...

*Kim?*

– Po prostu rób, co mówię. Ten jeden raz zwyczajnie mnie posłuchaj, nie pytając o nic – odrzekła sucho, nie patrząc na niego.

Miała serdecznie dość jego wiecznej niesubordynacji. Szanowała wolną wolę każdego ze swoich uczniów, za nic nie odebrałaby im możliwości samodzielnego decydowania o swoim losie i pozwalała na wiele w porównaniu z innymi czarnoksiężnikami, ale tym razem była po prostu zirytowana. Kiedy więc była już niemal pewna, że wykonał polecenie i nagle znów zorientowała się, że czyjaś ręka sięga po jej ramię, zwyczajnie straciła nad sobą panowanie. Targnęła się, wkładając w zryw o wiele więcej mocy niż wcześniej i poczuła, jak łańcuch, wiążący ją z Barbello, pęka. Zanim jeszcze nic cofnęła się i skryła w jej wnętrzu, zarzuciła ją po raz wtóry, tym razem sięgając do jaźni czającego się za nią Elfa. Chciała zmusić go, by poszedł precz, nic więcej. Zakłęcie zniewolenia nie należało do najłatwiejszych, ale robiła to już wcześniej, nie spodziewała się więc specjalnych trudności, tym bardziej, że nawiązując połączenie nagle, nie dała mu czasu na odgradzenie się od niej tarczą. Gdy więc wydała rozkaz i napotkała zdecydowany opór, odwróciła się, zaskoczona i pełna furii, chcąc wspomóc jego siłę wzrokowym kontaktem.

Zastygła w bezruchu, stając oko w oko z Lucyferem.

Nie miała czasu rozglądać się w poszukiwaniu swojego ucznia, musiała zadowolić się nadzieją, że wbrew jej wcześniejszym podejrzeniom, rzeczywiście wykonał jej polecenie. W skurczonych źrenicach Świetlanego zobaczyła niepewność i lęk. Co prawda te uczucia mignęły jej tam tylko przez czas nie dłuższy niż ułamek sekundy, ale uczepiła się ich z rozpaczliwą desperacją, natychmiast dostrzegając swoją szansę. Nie odważyłaby się bezpośrednio zaatakować właśnie jego, nie w taki sposób, ale teraz widząc wyraźnie, że czar działa, była zdecydowana zwiększać siłę nacisku aż anioł ugnie się i otworzy umysł, wpuszczając ją do środka i odsłaniając przed nią ukryte karty jej prawdziwej historii. Albo aż siła czaru nie zabije ich obojga.

Walczył, ale bez zbytniego przekonania, jakby przewaga zaskoczenia, którą dysponowała, zdecydowała o wszystkim. Mimo tego był jednak niezwykle silny i szybko udało mu się ochłonąć z pierwszego szoku. Właściwie od pierwszej chwili tego starcia skazana była na przegraną. Powinna przegrać. Nawet jeśli ekscytacja, zrodzona pod wpływem chwilowego triumfu kazała jej o tym zapomnieć, bardzo szybko znów to sobie uświadomiła, czując, jak z każdą chwilą czarny anioł wymyka jej się coraz bardziej. Kiedy na czoło wystąpiły jej krople potu, a dłonie zaczęły drżeć, on nadal stał nieruchomo.

*Nie, proszę. Obrabowałeś mnie z mojego życia, nie możesz tak po prostu mi się wymknąć. Nie jestem i już nigdy nie będę twoim narzędziem. Jako kto się narodziłam? Kim byłam, zanim...*

– Powiedz mi!!!

Ostatnie słowa wykrzyczała, nie mogąc znieść rozszarpującego ją na strzępy wewnętrznego napięcia. I to właśnie powinien być koniec. Pozwoliła emocjom wziąć nad sobą górę, pozwoliła wściekłości sobą zawładnąć, przerwała zakłęcie, zniszczyła wszystko. Ale nagle to poczuła. Wsparcie pochodzące z jej wnętrza, niezwykłą moc, większą od tej, jaką była

w stanie wygenerować sama, nawet najbardziej się starając. Niemal natychmiast pomyślała o Pistisie, ale to nie mogła być jego moc, ta siła porażała drapieżną gwałtownością, jakiej nigdy nie znalazła w zaklęciach rzucanych przez kapłana. Była w niej brutalność i mrok, zimna nienawiść i żal, furia i pasja, a wszystkie one przepływały przez nią i uderzały w Lucyfera.

Kiedy do tej mocy dołączyły kolejne, Elpis z zachwytem i przerażeniem zrozumiała, że to ona, ukrywająca się w jej wnętrzu Lilith, a w ślad za nią coraz to nowi jeźdźcy Szału, przyłączają się do jej zaklęcia. Nie miała czasu na to, by wnikać, dlaczego. Wciągnęła ze świstem powietrze, rozkoszując się nieprawdopodobną potęgą, której smak był jej słodko znany, choć jeszcze nie wiedziała, skąd, otwierając się na jej przyście, pozwalając ciemności i grozie wypełnić każdą komórkę swego ciała i nadając jej jeden cel.

Była Szałem. Była każdym z nich – leszym, wilą, latawcem, driadą, wodnikiem, Leviathanem i Mammonem, każdym Wilkiem i każdym martwym jeźdźcem. Patrzyła ich oczami. Widziała Leviathana i Mammona, którego dosiadał Pistis. Każdy z demonów dusił w pysku jedno z gardeł Szarej Wilczycy, a kapłan swoją mocą paraliżował nieszczęsną, utrzymując ją z daleka od niej i Lucyfera. Widziała martwą dziewczynkę i chłopca, zasiadających razem na grzbiecie rudo-szarego Wilka, przytulonych do siebie, otoczonych przez grupę wojowniczek o nagich piersiach. Widziała siebie, stojącą naprzeciw Lucyfera, okrytą płaszczem z kruczych piór, w delikatnej sukience z szyfonu i tiulu, na pozór kruchą, tak naprawdę śmiertelnie niebezpieczną, z ustami wykrzywionymi okrutnym grymasem, który w zamierzeniu miał być chyba uśmiechem, piękną i straszną.

Niewysłowioną przyjemność sprawiał jej widok samego Lucyfera, obserwowanie, jak jeden po drugim w gruzy sypią się szańce, jakie wokół siebie wznosił.

*Powiedz mi – chciała zaśpiewać. Powiedz mi.*

W końcu jej uległ, załamał się nagle i gwałtownie, jak życie, odebrane jednym czystym cięciem miecza. Głębia jego niezwykłych, fioletowych oczu wessała ją w swoje wnętrze, zniknął Szał, w nicości rozplątał się kapłan i dwójka nieznanych jej przed dzisiejszym wieczorem dzieci, zniknęli nawet oni sami. Tym, co pozostało, był...

...jeden z najbardziej upalnych dni piekielnie upalnego lata. Gorący wiatr, ciskający w twarz garście rozpalonego, czerwonego piasku, szarpał jej włosami i tuniką. Magdalena... W tym życiu nazywała się Magdalena. Była czyjąś córką, ktoś czekał na nią w chacie o ścianach z wapienia, ale to nie miało teraz kompletnie żadnego znaczenia. Liczył się tylko ten, który umierał, ten, którego śmierć paradoksalnie stanie się jego triumfem a jej klęską. A potem powiedzą, że to wcale nie tak, zrobią z nich nieszczęśliwych kochanków albo wylansują jakąś podobną niedorzeczność. Wszystko przekręcą, a ona uwierzy w kłamstwa na równi z całą resztą. Chyba że położy temu kres. Ale jak?

*Kłątwa.*

Powtarzała sobie raz za razem, mrużąc zapuchnięte od wiatru i uderzającego w nie piasku oczy.

*Wszystko sprowadza się do Kłątwy. Nie wolno mi zapomnieć. Szaleni czarnoksiężnicy czasem decydują się na tak desperacki krok i poświęcają własne życie, by nałożyć Kłątwę na swoich zabójców. Jak widać, czynią tak również szaleni i okrutni Bogowie. Kłątwa i zemsta. Nawet gdy już zapomnę, dlaczego, to będę pamiętać. Dwa słowa. Kłątwa. I zemsta.*

Na szczycie odsłoniętego zewsząd wzgórza, górującego nad miastem niczym iglica wieży, kładł się długi cień trzech drewnianych krzyży. Przybity do jednego z nich, umierał okrutny, mściwy Bóg, triumfujący, choć pozornie pokonany. Wśród tłumu Ludzi, Elfów i Wampirów, zebranych na górze, przemykał fałszywy starzec w płaszczu koloru piasku, z opadającym na oczy kapturem. Pozostające poza zasięgiem jej wzroku oczy, których niezdrowy

blask osłaniał pielgrzymi kaptur, były koloru czystego fioletu. Ten, który na to wszystko pozwolił, choć posiadał moc, zdolną przerwać kaźń i ocalić jej dzieci. Ten, który zdradził dla niej Boga-tyrana o siedmiu tysiącach oczu, wyciosanych z martwych brył błękitnego lodu, a teraz znów Mu się zaprzedał, występując przeciw niej.

Z całego serca pragnęła pobiec do któregoś z licznych tu centurionów, wyrwać mu włócznię i zagłębić jej grot w sercu Boga i Jego sługi. W tym życiu była jednak tylko słabą, ludzką kobietą, tak żałośnie powolną i niezdarną, że nie miała szans uśmiercić obu, zanim oszalały, żądny krwi motłoch ją rozszarpie. A tym razem aby powstać po śmierci, musiała zginąć z ręki anioła o fioletowym spojrzeniu. Tylko to ją powstrzymało. Nie mogła zostawić na pastwę żadnego z nich swoich niedoskonałych dzieci, bo wszyscy należeli do niej, a ona należała do nich, była za nich odpowiedzialna, teraz i zawsze. Pierworodny syn, który umarł i córka, uwięziona w czeluściach Doliny Jęku. Każdy Elf, Wampir, Człowiek, każda z istot, nazwanych potem Cieniem, nawet każdy Wilk, każdy lelek i każdy lis. Wszystkie istoty, jakie kiedykolwiek, nieważne, czy w zamierzchłej przeszłości czy w czasach, jakie dopiero miały nadejść, zostały zrodzone na tej planecie, były jej. Jej własne, prywatne horror vacui. Była jedyną tarczą, która osłaniała ich kruche życia, jedynym ratunkiem przed nimi samymi i zarazem ich zgubą. Być może rzeczywiście lepiej by się stało, gdyby nigdy nie powołała żadnego z nich do życia. Nie potrafiła okiełznać okrutnych, szalonych jak ona sama istot i wzdragała się przed narzuceniem im siłą swojej woli, ale teraz, kiedy już istniały, nie widziała przed sobą możliwości odwrotu.

*Kłątwa. I zemsta. Nauczę się rzucać Kłątwą i wedrę do Twojego królestwa. Zmuszę Cię do walki, której nie mam szans wygrać. I nie mam zamiaru. Nie dość było potopu, teraz jeszcze to. Nastanie taki czas, gdy nie dotkniesz już nigdy więcej mojego świata, a ja nie stracę już żadnego z moich dzieci. Kiedyś... Nie wiem, czy byłeś kiedykolwiek śmiertelny. Wiem, że będziesz. To nieważne, kto z nas zwycięży, a kto będzie pokonany. Bo jesteśmy jednym Bogiem w dwóch postaciach, nawet jeśli zapomniałam i jeśli znów zapomnę. Przypomnę sobie, jak nieskończoną ilość razy wcześniej. Przetrwałam w ciemności, a zapomnienie jest tylko innym rodzajem mroku. W nim też przetrwam. I powrócę. Z Kłątwą i zemstą.*

Gończy wiatr targał jej włosami i szatą. Błyskawice rozświetliły niebo. Nad miastem i górą przetoczył się grzmot, zapowiedź burzy. Ciemność gęstniała.

Dokonało się.

Wróciła, ale moc Lilith i Szału nadal nie opuściły jej ciała. Leviathan i Mammon uwolnili Szarą Wilczycę, która z trudem utrzymywała się na łapach, dysząc ciężko i tocząc wokół przekrwionym spojrzeniem. Pistis stał obok jasnowłosej dziewczynki, trzymając ją za rączkę. Na drugiej ręce Elfa znajdował się chłopiec.

Na chwilę straciła poczucie czasu. Nie była w stanie poruszyć się ani przemówić. Liczyły się tylko te oczy, fioletowe bezdenne sadzawki w nieruchomej twarzy wpatrującego się w nią anioła. Potem poraził ją nadmiar emocji. W jednej chwili zapragnęła rzucić się na niego z wraskiem i poszarpać paznokciami jego skórę, zacisnąć dłonie na jego gardle, wyrwać mu serce i wydrapać oczy, wygenerować strumień mocy, który ciśnie go na najbliższą skałę, gdzie z chrzęstem pękających kości rozprysnie się na krwawą miazgę, rozerwać mu gardło kłami lub ściąć głowę za pomocą sztyletu. Jakaś jej część chciała go po prostu z całych sił spoliczkować, napluć mu w twarz i wyzwać od tchórzy i morderców, a potem pocałować z pasją i szaleństwem, jak dawno temu u stóp potężnego Drzewa Życia, gdy poza tymi oczami nie istniało dla niej nic zasługującego na to, by zwać to pięknem. I znów spoliczkować. Zabić go. Kochać. Zetrzeć w pył. Natychmiast. Albo najpierw sprawić, że będzie cierpiał, jak jeszcze nikt nigdy nie cierpiał.

Milczała, nieruchoma jak głaz, nawet wtedy, gdy Świetlany uniósł rękę do jej policzka i delikatnie, z pieśczością starł z niego płynącą łzę.

– Płaczesz, dziecinko – stwierdził z ciepłem i troską w głosie.

Powoli pokręciła głową, zaprzeczając. Nie płakała. To była tylko jedna, jedyna łza.

Nagle przez obłęd przebiło się wspomnienie. Lucyfer, gdy jeszcze był Kainem, powtarzał jej z upodobaniem, że łzy są oznaką słabości, a kto pokazuje wrogowi swoją słabość, przegrywa, zanim jeszcze rozpocznie się walka. Za jedną twoją łzę musisz zabrać przeciwnikowi tysiiąc, mówił. I nagle zdała sobie sprawę, że w tym wypadku tysiiąc nie wystarczy.

Tak jak on przed chwilą, tak teraz ona podniosła rękę do jego twarzy i dotknęła policzka. Słyszała, jak stojący w odległości kilkunastu kroków od niej Elf gwałtownie wstrzymuje oddech. Przesuwała opuszkami palców po obliczu, które tak dobrze знаła, droższym jej ongiś nad wszystko na świecie. Dotykała kącików oczu i ust, słuchając, jak jego oddech staje się niespokojny i płytki, a puls przyspiesza. Pragnął jej. Nawet teraz, po takim czasie, po tym wszystkim, co uczynił. A gdy nie stała już między nimi żadna tajemnica, być może liczył na szaleństwo, które nią zawładnęło. Na twarzy dziewczyny pojawił się leciutki uśmiech. Była szalona. Ale nie w taki sposób.

Kiedy zyskała pewność, że nie zdąży zareagować, odjęła dłoń od jego twarzy i płynnym ruchem zagłębiła dwa palce w żywym ciele, między górną powieką a okiem. Zanim wrzasnął, zgięła palce i szarpnęła. Oko wydostało się z oczodołu z ohydny mokrym dźwiękiem, zagłuszonym przez krzyk. Odwróciła się od niego i coraz silniej zaciskając dłoń na swoim makabrycznym trofeum, spokojnym krokiem ruszyła w stronę Pistisa.

Być może chciał ją zatrzymać, ale zewsząd otoczyły go upiory Szału. Być może Szara Wilczyca zamierzała rzucić się mu na pomoc, ale Leviathan i Mammon po raz kolejny uniemożliwili jej jakikolwiek manewr. Czarodziejka zatrzymała się przy oszołomionym Pistisie, przejęła od niego chłopca, z ulgą i fascynacją czując, jak jeden z jej synów wtula się w jej ciało. Wolną dłonią odszukała jego dłoń. Kapłan poczuł falę mdłości, gdy lepki i ciepły, zmieszany z krwią śluz spłynął po ich splecionych palcach. Elpis spojrzała na niego. W bladej twarzy zielone oczy czarodziejki płonęły nefrytowym blaskiem.

– Belial – powiedziała głośno. – Mam na imię Belial.

## Rozdział 25

### Szał

Pozbawiony śladu wesołości śmiech przetoczył się w powietrzu, wypełniając sobą nabrzmiałą od niezadanych pytań ciszę, która zapadła, gdy przebrzmiało echo słów białowłosej Oriole. Śmiech trwał i rósł w siłę, rozbijając się o nierówności skalnych ścian i powracając, zwielokrotniony echem. W końcu umarł, równie gwałtownie, jak wybuchł, na powrót wessany w płuca Człowieka. Sylwan wzdrygnął się pod nagłym dotknięciem palców chłodu.

– Zamilcz. Straszysz Anate – warknął na towarzysza.

Anate przerwała na chwilę czyszczenie paznokci zaostrzonym kijkiem i podniosła na niego oczy, wyraźnie oburzona niesłusznym oskarżeniem. Zanim zdążyła jakoś się odciąć, przemówił Farys.

– Nie. Nie. To jakaś wyssana z palca kalumnia. Elpis... Belial. Ty? Nie...

Spojrzenie Oriole na dłużej zatrzymało się na jego twarzy, nurkując w brunatne oczy w poszukiwaniu zrozumienia i akceptacji, która nie chciała nadejść. Dziewczyna nie raz podsłuchiwała ich myśli i gładko prześlizgiwała się po wypełniających ich wnętrza wspomnieniach, gdy niczego nieświadomi, pogrążeni w głębokim śnie, byli dla niej niczym otwarte księgi. Dlatego wiedziała, że ludzki uczeń Elpis od początku wykazywał się irytującą ignorancją i negował wiele rzeczy. Może na dłuższą metę mogło to okazać się problemem, ale czarodziejka miała po swojej stronie magię i dzięki temu widziała dalej i jaśniej niż inni. Jego obiekcje nie były istotne. Przeznaczenie wyciągało po niego dłoń, która zamiast palców miała pióra. Oriole potrafiła już dostrzec jej cień nad jego głową.

– To niemożliwe – powtórzył, jakby uparte zaprzeczanie mogło cokolwiek zmienić. – Elpis jest czarnoksiężnikiem. Potężnym, zgoda. Wszyscy widzieliśmy jej moc. Ale to wszystko. To o czym nam opowiadasz jest nielogiczne i śmieszne. Czarnoksiężnik tak, ale Bóg?

Dziewczyna przeniosła skupione, poważne spojrzenie na Sylwana. Twarz Wampira w ciągu ostatnich kilku minut naznaczyły głębokie cienie, jakby w jakiś nadnaturalny sposób postarzał się nagle o kilkanaście lat albo śmiertelnie rozchorował.

– Wszyscy widzieliśmy też coś innego – jego cichy, aksamitny szept rażąco kontrastował z przepelnionym wzburzeniem, podniesionym głosem Człowieka. – Osobliwe i nielogiczne przywiązanie do małego chłopca, którego przywiodła do Warowni Kaina w dniu, w którym los po raz pierwszy postawił ją na naszej drodze. To, jak na niego patrzyła i jak bardzo starała się być wciąż możliwie najbliżej niego. Moment, gdy w jego obronie zaatakowała swojego własnego mistrza. I słyszeliśmy słowa, które padły wtedy z jej ust.

*Czy wymagasz ode mnie, bym poprowadziła wszystkich, łącznie z dzieckiem, na śmierć?*

*Nie dotkniesz go, Kain. Nie po tym, co powiedziałeś. Ostrzegam cię.*

*Każ mi zabić kogo tylko zechcesz, ale dziecko ocaleje. Nie po to zdejmowałam go z tego pieprzonego ołtarza i nie po to...*

– Potem bardzo często zdarzało mi się zagłębiać w jej myśli, bardziej lub mniej przypadkowo – kontynuował Wampir. – Czasem, jeśli na czas się zasłoniła, udawało mi się przechwycić wspomnienia o chłopcu, nawet imię, jakie mu nadała. To wszystko nie miało dla mnie większego znaczenia ni sensu. Kobiety zwykle tracą głowy dla różowych niemowląt. Nie sądziłem tylko, że dotyka to również takich kobiet, ale w sumie czemuż by nie? Kiedy powiedziała, że czarnoksiężnikom nie wolno płodzić ani wydawać na świat potomków, uznałem,

że jej marzenia biorą się z naturalnej tęsknoty za macierzyństwem, którego jej odmówiono. Teraz rozumiem, w jakim byłem błędzie. Elpis jest matką, której odebrano dzieci. Matką, której dzieci zamordowano. Zmuszono ją do wyrzucenia ich z pamięci, do zaprzeczenia ich istnienia nawet przed samą sobą, ale ona nigdy do końca nie zapomniała. Nie tak naprawdę. Wierzę ci, pani.

– Skąd możesz mieć pewność? – niemal wykrzyknął Farys.

– Mogę. I mam.

*Nisa...*

Mała driada podniosła głowę i obserwowała ich zaciekawiona. Twarz Wampira pozostała niewzruszona. Człowiek wznosił ręce w geście poddania.

– W porządku. Jesteś pewien. Mi to wystarczy. Co możemy zrobić? Dopiero teraz z całą mocą dostrzegam naszą marność, ale to właśnie my jesteśmy jej armią.

Oriole odgarnęła za ucho pasmo włosów.

– Jestem tylko posłańcem. Nie wolno mi radzić. Zaakceptuję każdy wasz wybór i pomogę wam, na ile będę w stanie, ale decyzję musicie podjąć samodzielnie.

Wampir pokiwał głową, a potem rzucił przeciągłe spojrzenie na twarz Farysa, jakby się wahając, ale nawet, jeśli były w nim wątpliwości, niemal natychmiast uległy rozproszeniu. Energicznie odepchnął ciało od ściany za plecami i prędkim krokiem podszedł do Oriole. Wzniesając płaszczem chmurę pyłu, opadł przed Panią Lasu na jedno kolano.

– Błagam o pozwolenie na opuszczenie twojego królestwa i możliwość powrotu do mojego świata.

Farys otworzył usta, ale nie znalazł słów, więc na powrót je zamknął.

– Elpis jest matką, której odebrano dziecko – powtórzył, nadal klęcząc, wpatrzony w kamienie pod swoimi kolanami. – Kiedy tylko ochłonie po odzyskaniu wspomnień, będzie chciała odzyskać też chłopca. Jak mniemam, nie jest jeszcze gotowa na starcie z czarnoksiężnikiem, jeśli ten objawi się z całą swoją mocą. By mogła się z nim równać, wszystkie elementy muszą znaleźć się na swoich miejscach, a nawet jeśli odzyska posłańca, nadal będzie brakowało jednej z części, być może tej najważniejszej. Ale ona i tak wyruszy. Ja również wiem, gdzie znajduje się chłopiec. Pozwól mi go dla niej odzyskać i powrócić z nim, zanim szaleństwo uczyni ją ślepą.

– Elpis nie jest szalona – zaprotestował Farys. – Z całą pewnością również będzie zdawać sobie sprawę z tego, że zanim cokolwiek uczyni, musi odnaleźć Belial.

– Jest matką – powtórzył Wampir z naciskiem.

Prośba Sylwana nie była całkiem nedorzeczną. Co prawda żaden z nich nie mógł, teraz, a pewnie i nigdy, równać się z Kainem, ale jeśli uderzą natychmiast, kiedy nie może się ich spodziewać, mają szansę go zaskoczyć. Człowiek przewrócił oczami i ukląkł obok towarzysza.

– Nie myślałeś chyba, że pozwolę ci iść samemu – rzekł w odpowiedzi na jego spojrzenie. – Co prawda nie trzymałem nigdy w ramionach własnego potomka, ale miałem matkę. Umarła, wydając na świat moją siostrę. To był jeden z tych porodów, kiedy wszystko, co może pójść nie tak, idzie jeszcze gorzej. Pamiętam jak leżała w kałuży krwi i coraz ciszej powtarzała, że niemowlę jest najpiękniejsze na świecie i że kocha nas wszystkich. Jeśli choć część z tego, co próbuje nam wytłumaczyć Oriole, jest prawdą, wkrótce w całym wszechświecie nie będzie istoty bardziej szalonej od Elpis. Ona rozpaczliwie potrzebuje tego chłopca, nawet jeśli jeszcze nie zdała sobie z tego sprawy.

Wampir uśmiechnął się z wdzięcznością, ale uśmiech zgasł jak płomień świecy, na którą ktoś nagle wylał wiadro wody, gdy po jego drugiej stronie ukląkła Anate.

– O, na pewno nie! – krzyknął na nią, zirytowany.

Mała driada spozjrzała na niego zaczepnie. W jej oczach dostrzegł otwarcie rzucone

wyzwanie.

– Zamilcz. Też miałam matkę.

\*\*\*\*

– Belial – powiedziała głośno. – Mam na imię Belial.

W jednej chwili zrozumiał, że ma przed sobą dwie drogi. Mógł zacząć się histerycznie śmiać lub równie histerycznie zaszlochać. Obie prowadziły donikąd. Obie oznaczały przegraną i upadek. Zanim zdążył o czymkolwiek zdecydować, zobaczył, że ze ściskającą kurczowo jego dłoń Elfką dzieje się coś bardzo niedobrego. Palce dziewczyny wpijały się w jego skórę z nienaturalną siłą, w daremnej próbie ukrycia drżenia, które jak pożoga, nad rozprzestrzenianiem się której nikt nie jest w stanie zapanować, brało we władanie jej ciało. Ze wszystkich stron tłoczyły się ku nim dzieci Lilith, będące także jej dziećmi, a dziewczyna wpatrywała się w ich twarze kamiennym, martwym spojrzeniem, gotowa w każdej chwili wybuchnąć od nadmiaru przepełniających ją uczuć. Zrozumiał, że tylko jego dłoń, zaciśnięta wokół jej dłoni i chłopiec, ufnie wtulony w biel gorsetu, powstrzymują ją przed zadaniem sobie samej obrażeń gorszych niż te, których doświadczył z jej strony Lucyfer.

Wtedy zrozumiał też, że istnieje jeszcze trzecia droga.

Kiedy zrobił krok naprzód, posłusznie za nim podążyła, rzucając mu niepewne, niemal spłoszone spojrzenie. Szli wśród upiorów, a umarli rozstępowali się przed nimi, aż dotarli do Leviathana, Mammona i rudo-szarego Wilka dziewczynki. Pomógł dziewczusce znaleźć się na jego grzbiecie. Potem oboje dosiedli swoich Wilków, ona czarnego, a on białego, tylko na tą krótką chwilę puszczać swoje dłonie. Zaraz potem znów chwycił ją za rękę. Dziewczynka i jej rudawy wierzchowiec ustawili się po jego prawicy. Pistis po raz ostatni uściśnął palce czarodziejki, by zaraz potem wczepić się ze wszystkich sił w sierść porastającą kark demona.

– Naprzód! Po koniec świata! – usłyszał swój własny krzyk, którego echo podjęły wszystkie Wilki i każdy z upiorów Cienia.

Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Łapy Wilków oderwały się od podłoża, a on znalazł się między niebem a ziemią, patrząc, jak gwiazdy mkną mu na spotkanie. Gdy zaczął pędzić, nareszcie przestał umierać ze strachu. Biegł. Wprost na fladry. Nie musiał się oglądać, by upewnić się, czy za nim podąża. Wiedział, że w tej chwili poszłaby wszędzie tam, gdzie ją poprowadzi.

\*\*\*\*

Później nie był w stanie tak naprawdę przypomnieć sobie tej nocy. Ilekroć próbował, jawiła mu się jako ciąg następujących po sobie, oderwanych od całości migawek, zupełnie jakby na przemian tracił i odzyskiwał przytomność. Wiedział, że to niemożliwe, gdyby zemdlął choć na chwilę, ceną za utratę świadomości musiałby być upadek, a przecież nie upadł.

Pamiętał, jak mknęła obok niego wśród chmur, ze szronem na rzęsach i zachwytem w oczach, biały anioł otulony w płaszcz z kruczych piór, dosiadający demona czarnego jak grzech. Jedną ręką obejmowała małego chłopca, drugą zanurzyła w gęstej sierści Leviathana. Pochylona jak na grzbiecie szarżującego rumaka. Czasem śmiała się lub śpiewała na głos, innym razem zapadała w niemą zadumę, nie reagując na nikogo i na nic.

Pamiętał, jak nurkowali ku ziemi, niemal rozbijając się o jej skały lub burząc dotykiem widmowych wilczych łap gładkie tafle jezior, po to, by poderwawszy się w ostatniej chwili, mknąć na spotkanie niebu. I to, że wszystkie Wilki wtedy wyły. I że Elpis w takich chwilach też otaczała usta dłońmi i wyła razem z nimi.

Pamiętał rozkwitające na niebie srebrzyste kwiaty błyskawic i siekące z nieba bicze ulewnego deszczu. Błyskawice wyczarowywała ona, deszcz był jego dziełem.

– Jaki jest twój ulubiony kwiat?! – wrzeszczała, usiłując przekrzyknąć ryk nawałnicy.



– Zgadnij! – odkrzykiwała ze śmiechem.

Kiedy tylko próbował, oddalała się poza zasięg głosu, zmuszając go do podążania za sobą przez ogień błyskawic i ścianę deszczu.

Pamiętał też jeden jedyny raz, kiedy naprawdę się przeraził. Moment, gdy Elpis siłą wstrzymała Leviathana i zmusiła go do cwału na łeb na szyję w kierunku, z którego przybyli. Pomknął za nią, początkowo przekonany, że to kolejny figiel, może wyzwanie do wyścigów, ale jej blada, ścięta paniką twarz prędko upewniła go, że nie tym razem. Pędził obok niej, krzyczał, zaklinał, prosił, ale nie zwracała na niego żadnej uwagi. Szaleni Jeźdźcy zostawali coraz bardziej za nimi, dziewczynka zapewne płakała. Próbował przemówić do niej w myślach, ale jego przekaz rozbijał się o gruby i twardy mur, ani razu do niej nie docierając. W końcu, gdy już stracił nadzieję, że zdoła utrzymać jej tempo, raczyła go dostrzec.

– Zabije go! Ma mojego syna! Zabije go! – spojrzenie, jakie mu posłała, ani na chwilę nie zwalnając, było spojrzeniem kogoś na wpół obłąkanego.

– Nie możesz!

Tym razem popatrzyła na niego jak na osobę niespełna rozumu i znów przestała go zauważać. Poniewczasie zrozumiał, że nie mówiła w swoich zamiarach względem Lucyfera, ale o obawach o życie pozostającego w jego rękach Adama. Przeklinając własną głupotę, zmusił Mammona do rozpaczliwego wysiłku i wybił się przed nią, zagrządzając jej drogę tak, że musiała osadzić swojego wierzchowca w miejscu lub stratować go i strącić w dół. Wybrała pierwszą opcję.

– Elpis...

– Nie jestem Elpis! Nigdy nie byłam!

– Belial. Pani. Proszę. Błagam. Wysłuchaj mnie... Mógł go skrzywdzić niezliczoną ilość razy, tak samo jak ciebie, gdy pozostawałaś nieświadoma. Nie uczyni tego – z każdym słowem zbliżał się do niej, a ona odsuwała się, potrząsając głową. – Odbijemy go najprędzej, jak to będzie możliwe, przyrzekam. Co z nimi, pani? Jeźdźcy Szału, dziewczynka i mały ludzki chłopiec... Oni wszyscy są twoimi dziećmi, należą do ciebie. Kto poprowadzi ich przez noc, kiedy ty ich opuścisz? – w końcu przestała się cofać i pozwoliła, by chwycił ją za rękę. – Wracajmy do nich, proszę.

Jej palce miażdżyły mu dłoń.

*Już dobrze Elpis, Belial, najdroższa. Trzymam cię. Trzymam cię, przyjaciółko.*

Pamiętał, że siedział wraz z nią na jednym Wilku, choć za nic nie umiał przypomnieć sobie, jakim niby cudem się tam znalazł ani który z Wilków to był. Chłopiec jechał wtedy z wojowniczkami o ciałach zwierząt lub z dziewczynką, nie był pewien. Miał ją za plecami, opierał głowę na jednym z jej ramion, a ona obejmowała go obiema rękami, przylegając do niego całym ciałem i piła z niego. Gdy przerywała, odwracał głowę i szukał ustami jej ust. Całował ją długo i gwałtownie, aż głupi organizm zaczynał domagać się powietrza, nie chcąc za nic uwierzyć, że oddech nie jest już potrzebny.

Pamiętał, że smakowała krwią i szaleństwem. Potem znów opierał głowę o jej ramię i drżąc z rozkoszy, pozwalał jej sięgnąć po swoją krew. Patrzył w górę, szeroko otwartymi, zachwyconymi oczyma, śledząc pęd gwiazd nad nimi i wydawało mu się, że Wilka nie ma, a oni mają własne skrzydła, wspólne skrzydła o czarnych piórach, a w ich piersi bije żywe, wspólne serce.

– Belial... – szeptał wtedy, całując jej czarne loki. – Moja Bell... – i był pijany grozą tego imienia.

Nie pamiętał, jak wraz z braskiem znaleźli się na ziemi i czy kochali się wśród traw pokrytych rosą i spadłymi z drzew liśćmi.

Pamiętał chwilę, gdy po raz pierwszy się przebudził, leżąc na ziemi z nią w objęciach, a wokół nich skupiali się ci z umarłych, którzy chodzą po świecie również za dnia. W pierwszej chwili się ich przestraszył, zaraz potem przestali się liczyć. Przerzuconym przez jej talię ramieniem przytulał ją do siebie, Elpis wciąż spała, odwrócona do niego plecami, z liśćmi i niteczkami babiego lata wśród potarganych warkoczy.

Pamiętał, jak pocałował jej włosy.

Nie pamiętał momentu, w którym znów zasnął.

Gdy przebudził się po raz drugi, był sam.

\*\*\*

Stała sztywno wyprostowana, opierając się o chropowatą korę rosłej wierzby. Kora była chłodna w dotyku, przesuwanie palcami po jej guzach i naroślach w dziwny sposób ją uspokajało. Jednostajny szept poruszanych podmuchami delikatnego wiatru wierzbowych witek pozwalał zakotwiczyć się na sobie rozbieganym myślom, a lekko pochylona strzała drzewa dawała pewne, twarde oparcie. Nie pozwalała upaść. A przecież nie wolno jej było pozwolić sobie na luksus upadku. Mroczna potęga, którą odzyskała niecałą dobę temu, na zawsze pozbawiła ją do niego prawa. Zgrubiałe narośla u podstawy pnia wprost prosiły ją o to, by osunęła się w dół i usiadła na nich, zanosząc się głośnym, histerycznym płaczem. Jednak prawo do płaczu również straciła. Podobnie jak prawo do miłości, dawno temu.

Czysty, jasny błękit oczu Elfa o włosach w kolorze jesiennych kasztanów zdołał na moment skłonić ją do tego, by zapomniała o tej stracie. Ale część wspomnień powróciła, brutalnie uświadamiając jej prawdy, które gdzieś po drodze zagubiła. Nie miała prawa do płaczu, do miłości, słabości, upadku ani zwątpienia. Jedynym, co posiadała, było prawo do zemsty. Tym razem nie wolno jej było zapomnieć.

A mimo to stała tu, wsłuchana w piosenkę licznych palców starej wierzby, łowiąc uchem odgłos płynących we wnętrzu drzewa soków i cichutkie trzaski wykluwających się z delikatnych łupinek kosmatych bazi. Słuchała świergotu wróbli, nawołujących się w powietrzu nad ich głowami, chrobotu ząbków ryjówki, ogryzającej we wnętrzu ziemnej jamki orzech lub kłacze jakiejś rośliny. Wszystkiego, byle tylko nie musieć skupiać się bez reszty na słowach, które przed chwilą przekazała jej białowłosa dziewczyna, która była jej zapomnianą częścią.

Wzrok spuściła na swoje własne nogi, w miejsce, gdzie pod strzępami białego tiulu, przez warstwę rozdartego szyfonu widoczne były blizny po nożu. Była czarnoksiężnikiem, bez większego wysiłku mogłaby pozbyć się ich dawno temu, ale zostawiła je jako memento tego, kim naprawdę był jej oszukany ojciec i kim ona sama była. Teraz to wiedziała, ale o tym również pozwoliła sobie zapomnieć. O wiele świeższa blizna na policzku pulsowała dziwnym bólem, jakiego nie czuła w niej od momentu, gdy ciało się zagoiło. Jej z całą pewnością powinna się pozbyć, niebezpiecznie było ją zachowywać, niebezpiecznie było pamiętać. Wiedziała jednak, że za nic się na to nie zdobędzie. Nie potrafiła zdecydować, czy bardziej lęka się momentu, w którym szrama zniknie, czy tego, gdy zapomni o tym, co oznacza. Prędzej była gotowa teraz, zaraz rozorać starą, zabliznioną ranę paznokciami, niż pozwolić ją sobie odebrać. Z niezachwianą pewnością, zrodzoną być może z obłądu, wiedziała, że jeśli ją straci, utraci również resztę tego, co kiedykolwiek było w niej ludzkie i godne. Bardzo możliwe, że podczas ponownego spotkania Lucyfer stanie przed nią bez skazy, z dwojgiem zdrowych, niepokojąco fioletowych oczu, ale Belial zawsze już będzie nosić na policzku bliznę, świadectwo tego, że popiół również potrafi coś poczuć i w coś uwierzyć.

– Więc stworzyła posłańca, który przechował te informacje, na stratę których nie mogła sobie pozwolić – powtórzyła bezbarwnym głosem, skubiąc paznokciami miękką korę.

– Nie ona. Ty. Stworzyłaś posłańca – cierpliwie poprawiła Oriole, już któryś raz z rzędu.

– Składającego się ze splecionych ze sobą języków czarnego i złotego ognia ptaka, który sam mógł stać się ogniem, wodą lub powietrzem i dzięki temu przeniknąć bariery nie do pokonania dla fizycznej istoty. A potem ulecieć na czarno-złoty skrzydłach i skryć się tam, gdzie nawet ty nie zdołasz go odnaleźć. I czekać. Cierpliwie czekać na dzień ponownego spotkania.

– Więc od początku wiedziałaś, kim jestem i co ze sobą wnoszę do twojego świata. Wiedziałaś, w jak wielkim niebezpieczeństwie znajdują się moi uczniowie przez sam fakt przebywania blisko mnie. Wiedziałaś, w czyich łapach znajduje się Adam i kim dla mnie jest. Wiedziałaś, kto we mnie zamieszkał, wiedziałaś, co stanie się z Pistisem, gdy wypije twoje diabelskie mikstury i co przebudzę, wybierając jedyny możliwy sposób ocalenia go.

– Wiedziałam – przyznała białowłosa.

– Więc jakim prawem zwlekałaś tak długo? Jak mogłaś pozwolić, by to wszystko się wydarzyło? Jakim cholernym prawem miałaś czelność podać mu krew i pozwolić, by umarł? Mogłabym cię teraz zabić. Wiesz o tym?

Przesuwała palcami po chropowatej korze wierzby. Jeśli choć na chwilę oderwie dłoń od drzewa, zaciśnie je na szyi stojącej przed nią dziewczyny, a wtedy będzie zgubiona. Fałszywa Pani Lasu nie wydawała się poruszona jej oświadczeniem.

– Wykonywałam twoją wolę, od początku do końca. Naszą wspólną wolę. A to, co uczynił kapłan, było jego własnym wyborem, do którego miał prawo. Od zawsze wolna wola i możliwość świadomego decydowania o własnym losie były dla ciebie najświętszym z wszystkich istniejących sacrum. Pozwalając mu sięgnąć po ziele snów i zabłądzić w świecie wizji, uszanowałam po prostu jego prawo do dokonywania wyborów. A on z tego prawa skorzystał, na przekór tobie, to prawda, ale przecież właśnie po to, by zaprotestować przeciwko dyktaturze tyrana, stworzyłaś i posłałaś mnie w świat.

Elpis zacisnęła powieki, nabrzmiała i obolała od niewypłakanych łez. We wnętrzu jej czaszki raz po raz eksplodował ostry ból, jakby małe, wredne stworki uparcie ostrzeliwały jej biedną głowę pokruszonymi gwoździemi z ramion miniaturowych trebuszy. Kiedyś miała na imię Elpis. Nadzieja. Kolejny żart czarnoksiężnika, wyjątkowo okrutny.

– Nic nie rozumiem – poskarżyła się głośno. – W klasztorze nawiązałam kontakt z Belial. Anielica, która wtedy do mnie przyszła, pozostawała odrębnym bytem, nie była mną. A przynajmniej nie zdawała sobie z tego sprawy w stopniu większym ode mnie. Jak bardzo jestem rozbita? Ile kawałków muszę do siebie dopasować, żeby odnaleźć prawdę?

– Bóg podzielił swoją osobowość na połowę – zaczęła po raz kolejny Oriole. – Jedną z tych części byłaś ty, Belial. Ta, która przetrwała w ciemności, ale nie zdołała ocalić wspomnień o swojej prawdziwej naturze. Drugie rozszczepienie miało miejsce, gdy wyodrębniłaś ze swojej jaźni posłańca, czyli mnie. To stało się na moment przed upadkiem. Byłaś ścigana i wiedziałaś, że nie zdołasz ująć, zresztą nie o to chodziło. Najpierw powołując do istnienia Przedwiecznego, którego pieczy powierzyłaś skrzydła...

– ...które odebrać może tylko ten, kto je podarował, czyli sam Bóg – zaśmiała się Elpis. – To wyjaśnia cały ten paradoks. Nie było możliwe, by Belial zdołała ukryć przed Bogiem skrzydła, ale skoro sama była Jego częścią...

– Właśnie. Wtedy mogła tego dokonać, bo otrzymała skrzydła od samej siebie, występującej pod inną postacią. Mogła więc sprawić, by znikły, lub przekazać je komuś innemu. Ale zachowanie pamięci o miejscu ukrycia powiernika było niezwykle niebezpieczne. Zaraz potem zamierzałaś oddać się w ręce tych, którzy na Jego rozkaz zawlekli cię przed Jego oblicze, by mógł między innymi wygłosić gadkę o grzechu i pokucie. Już kiedyś próbował się ciebie pozbyć, jednak nie umarłaś, na co liczył, nie przestałaś istnieć. Tym razem mógł okazać się bardziej skuteczny. Wysyłając wolno posłańca, fragment swojej duszy i swojego serca,

uzbrojonego w wiedzę, której sobie odmówiłaś, zapewniłaś sobie prawo do zemsty, to jedyne, z czego nigdy nie potrafiłaś zrezygnować.

– Wiesz, gdzie odnajdę Przedwiecznego?

– Przedwiecznego i troje aniołów, których przeznaczeniem jest podjąć twoje miecze, Drzewo Życia i Śmierci, a także Pana o siedmiu tysiącach błękitnych oczu.

Czarnowłosa czarodziejka skrzywiła się w kwaśnym uśmiechu na wzmiankę o mieczach. Zmusiła się, by oderwać dłonie od kory wierzby i z uwagą przyjrzała się własnym paznokciom. Chyba jednak powstrzyma się przed zabiciem swojego bezczelnego awatara.

– Cóż, wygląda na to, że w świątyni okradłam samą siebie. Nie myśl, że nie doceniam ironii. To wszystko... To o wiele więcej niż pragnęłabym wiedzieć, ale...

– Ale to jest właśnie twoja prawda – dokończyła za nią białowłosa.

Elpis skinęła głową, zrezygnowana, niemal spokojna.

– Moja prawda. Mów dalej. Muszę poznać całą. Skąd wziął się trzeci posłaniec?

– Belial... Czy raczej ta, którą do tej pory uważałaś za jedyną prawdziwą Belial, nie jest posłańcem. Ten element układanki nie został wyrwany całości przez ciebie. Istota, która na każdy cios oprawców mogła odpowiadać pogardliwym uśmiechem i wzruszeniem ramion, pewna że niezależnie od tego, jak wielki ból jej zadadzą i jak bezlitosna będzie tortura, nie uda im się wyciągnąć z jej umysłu nic ponad to, o czym już wiedzieli. Pamiętasz?

Zmarszczyła czoło i przyłożyła opuszki palców do skroni. Pamiętała. Zimno skał i zimno łańcuchów owiniętych wokół nadgarstków i kostek. Gorąco krwi, zalewającej oczy i wydostającej się czerwonymi strugami z nosa, ust i uszu, podczas gdy najpotężniejsi z nich zarzucali najbardziej gęste mentalne sieci, brodząc w jej umyśle, przeorując mózg tysiącem rozgrzanych do czerwoności żelaznych bron w poszukiwaniu jakiejś wskazówki. I swój własny śmiech, głośny i straszny, przerażający nawet ich.

*Nie mam pojęcia, gdzie jest to drzewo. W ogóle nic nie wiem o żadnym drzewie. Nie wiem, gdzie ukryli się wojownicy i nie wiem, co się stało z moimi skrzydłami. Nieważne, co ze mną zrobicie, nie usłyszycie z moich ust ani słowa na ich temat. Wygrałam. Zabijcie mnie, jeśli zdołacie. Tyle, że nie możecie. Wygrałam.*

Oczywiście, wszystko mogło wyglądać inaczej, przesłuchanie mogło odbyć się w bardziej cywilizowany sposób, ale zadbała o to, by nie było to możliwe. Konsekwentnym lekceważeniem i brakiem współpracy znakomicie nakłoniła ich do realizacji swoich własnych celów, nawet jeśli były nieco makabryczne, w jej szaleństwie była metoda. Bo podczas gdy oni próbowali wciąż i wciąż, pierwszy jednorożec i ognisty ptak, o których przecież sama nie pamiętała i na których trop nie mogła ich naprowadzić, byli coraz dalej i dalej, aż w końcu znaleźli się całkiem poza ich zasięgiem.

Gwałtownie przesunęła otwartymi dłońmi po twarzy i przyjrzała się ich wnętrzu. Z ulgą przyjęła to, że były czyste, krew była tylko wspomnieniem. Skinęła krótko głową. Pamiętała.

– Belial, którą Pan strącił w Otchłań i która upadła, była wycieńczona i głęboko zraniona, ale świadoma tego, czego chce – podjęła znów Oriole. – Gotowa na to, by odczekać jakiś czas i zgromadzić siły, a zaraz potem połączyć się z pośrednikiem i zanieść przed Jego tron krwawą wróżdę. Tak też z pewnością by się stało, gdyby nie to, że w tym momencie do gry wkroczył Lucyfer. Anioł, który nie upadł, ale z własnej woli poszybował w Otchłań za matką swoich dzieci. Od tej chwili nie potrafię ci nic logicznie wytłumaczyć. Pewne jest tylko to, że podźwignął cię z upadku i po raz kolejny umieścił w dwóch oddzielnych naczyniach. Jednej z powstałych istot pozostawił jaźń Belial, a ona najprawdopodobniej w którymś momencie wyrwała się jego kontroli i opuściła go. Druga była czystą kartką, którą czarnoksiężnik sam zapisał, co najmniej kilkakrotnie czyszcząc do cna niewygodne wspomnienia i uparcie

wmawiając fałszywą tożsamość. Tak stworzył podległą sobie i posłuszną hybrydę, którą się stałaś. Dalszą część znasz.

Elpis poczuła, że robi jej się niedobrze.

– Sprawiał, że znów go pokochałam i grał rolę dobrego ojca, mimo iż wielokrotne pranie mózgu było konieczne, by zdołał się w tej roli utrzymać. Nauczył mnie zabijać i pić krew moich dzieci... a potem wyprawił w świat jako jednego z jeźdźców zagłady. Dlaczego? Gdzie leży zarzewie tego szaleństwa? Dlaczego to zrobił?

*Dlaczego tak bardzo mnie nienawidził? Czy naprawdę tylko na tyle zasługiwałam?*

Nie wolno jej było zapomnieć zapytać go o to, zanim go zabije.

– Nie znam motywów czarnoksiężnika. Najprawdopodobniej chciał po prostu raz na zawsze wszystko zakończyć. Nigdy nie potrafił naprawdę pojąć miłości, jaką je darzysz, może trwająca zbyt długo szarpanina z Najwyższym wydała mu się zbyt niebezpieczną grą, a cel niewartym ryzyka, jakie ponosiliście. Klątwa, którą Chrystus nałożył na świat poprzez swoją śmierć, jest jasna – Elfy, Ludzie i Wampiry utopiają się we krwi, którą wytoczy ich przeklęta matka. Lucyfer mógł postawić wszystko na jedną kartę i w toczącej się wojnie opowiedzieć się po stronie domniemanego zwycięzcy, czyli tego stwórcy, którego znał, licząc na zbawienie lub chociaż śmierć.

– Śmierć? – roześmiała się Elfka. – Nie zasłużył na śmierć. Wystąpił przeciwko mnie i naszym wspólnym dzieciom. Okazał się tylko tchórzliwym sługą, nie wartym tego, by brudzić sobie nim ręce. Na domiar wszystkiego nie wiem, jak tego dokonał, ale zakłócił spokój mojego pierwotnego syna, za pomocą jakiegoś nekromantycznego szaleństwa przywołując go z powrotem i śmie przetrzymywać go, być może jako zakładnika. Sprawię, że każda sekunda jego życia stanie się niewyobrażalną udręką, że z każdym oddechem będzie błagał o śmierć. Płonące skrzydła to nic w porównaniu z pamiątką, jaką otrzyma ode mnie. Ale nie przyznam mu łaski śmierci.

Oriole milczała. Elpis wiedziała, że białowłosa przyszła tu nie tylko po to, by porozmawiać. Chciała ponownie się z nią połączyć. Czarodziejka była już niemal gotowa. Pozostawał problem Aniołów Apokalipsy. Nuada, Apollyon i Samael czekali gdzieś na nią, a jeśli pozwoli posłańcowi wniknąć w swoje ciało, pieczęcie ulegną strzaskaniu, a miejsce ich ukrycia przestanie być dla niej tajemnicą. Natomiast kiedy już ich odszuka...

*Gdy zabrzmi dźwięk trąb, a powietrze przesyje jęk potępionych, jeźdźcy zginą jako pierwsi.*

Na twarzy czarodziejki pojawił się zimny uśmiech.

– Wyruszę na wojnę. Najpierw z moim samozwańczym ojcem, a zaraz potem z błękitnookim tyranem. Ja i On. Starcie godne pieśni. Jak myślisz, kto zatriumfuje? Zresztą nieważne, zachowaj swoje myśli dla siebie. Jesteśmy dwoma królami, stojącymi w polu w noc poprzedzającą decydującą bitwę. Co robi król, gdy wyrusza na wojnę?

– Buduje wieże oblężnicze, tarany i katapulty – wzruszyła ramionami zapytana. – Gromadzi armie, jak najliczniejsze i jak najlepiej wyposażone oddziały żołnierzy, którzy będą ginąć za niego w szale walki na śmierć i życie, o racje, których być może nie uznają i pod sztandarem władcy, którego być może nigdy wcześniej nie widzieli.

– Właśnie – potwierdziła Elpis. – Chyba jeszcze nigdy w żadnej bitwie nie zdarzyło się, aby dwóch królów spotkało się na udeptanej ziemi i po prostu załatwiło swoje sprawy między sobą. Chociaż, zaraz... Źle mówię. Do tej pory tak to wygląda w pomniejszych plemionach i klanach, przynajmniej niektórych. Przystrojeni kośćmi i skórą mężczyźni walczą ze sobą, aż śmierć jednego nie stanie się triumfem drugiego. A przerośnięte, tchórzliwe dzieci, zwałe ich pogardliwie dzikusami, kryją się za plecami poddanych, których ich racje obchodzą mniej niż to,

czy jutro spadnie deszcz i pszenica obrodzi. A jednak stają i walczą, bo również są tchórzami. Gdyby tak wszyscy oni się zbuntowali, nadęte bufony na tronach nie miałyby innego wyboru, jak się nawzajem pozabijać, a prostaczkom dać spokój.

– Co zamierzasz? – zapytała w końcu pani biało-czarnego lasu, zniecierpliwiona jej przydługimi dywagacjami.

– To proste. Zrobię to, czego żaden król przede mną nie potrafił dokonać. Ruszę do szturm na szklany tron – sama. I sama ściągnę z niego Najwyższego.

Oriole przez chwilę przyglądała się jej podejrzliwie.

– Powinnaś dążyć do ponownego połączenia. Tylko wszystkie elementy układanki, zestawione razem, stworzą całość. Tylko połączeni będziecie prawdziwą istotą.

– Nigdy – jej głos był ostry jak brzytwa. – Połączyć się z szaleńcem, który skazał na śmierć część siebie tylko dlatego, że nie odpowiadała Jego modelowi doskonałości? Nigdy. Tylko On i ja, jeden przeciwko jednemu. Niech mnie zabije, jeśli zdoła. W przeciwnym wypadku ja stanę się Jego śmiercią. Oboje jesteśmy zgubą świata i oboje żyjemy stanowczo za długo.

– Masz do dyspozycji armię. Nie lekceważ jej.

– Aniołowie nie wezmą udziału w walce.

Drobna poprawka w strategii, tak skrupulatnie wykreślonej dawno temu. Kiedy połączy się z Oriole, odnajdzie drogę do aniołów. Ale nie po to, by pozwolić im zniszczyć swoich jeźdźców, a później wykorzystać jako broń, lecz w celu zgoła odmiennym. Po to, by przynieść im śmierć. Nie znała i nie pamiętała ich twarzy ni głosów, nic dla niej nie znaczyli, a moment gdy staną się znów naprawdę jej wspomnieniem, nie powinien wprowadzić większych zmian. Belial pewnie była niezwykle dumna ze swojego dzieła, ale nie kochała aniołów, byli dla niej raczej wspaniałym ryszunkiem. Obecna Belial wiedziała z całą pewnością, że nie zawaha się ani chwili, gdy przyjdzie jej wybierać pomiędzy najlepszymi nawet maszynami bojowymi, a istotami z krwi i kości, drogimi jej sercu. Aniołowie zginą, zanim zdołają zbliżyć się do jeźdźców. A dla zdobycia całkowitej pewności ukryje Pistisa, Farysa i Sylwana przed samą sobą, tak jak uczyniła to ongiś z Nuadą, Apollyonem i Samaelem.

– Zdrajca, który rościł sobie prawa do bycia moim ojcem, przekazał mi przez miriady lat mnóstwo kłamstw – powiedziała głośno, widząc niepewny wzrok Oriole – ale czasem zdarzało mu się powiedzieć coś z sensem i godnego zapamiętania. Jak na przykład: nigdy nie daj sobie wmówić, że nie masz wyboru. Nie dam. Potrafię się ich wyrzec, nie potrafię i nie chcę zgodzić się na ich śmierć.

Soki wierzby krążyły leniwie, za nic sobie mając problemy wielkich i małych tego świata. Jedna z wiotkich witek zaplatała się między czarne włosy. Kiedy dziewczyna ponownie podniosła wzrok, na miejscu białowłosej, wśród gałązek i liści, siedziała najpiękniejsza wilga, jaką kiedykolwiek zdarzyło jej się oglądać. Zamiast piór otulały ją czarno-złote płomienie. Spoza kurtyny płomieni, niczym dwa maleńkie gagaty, czerniły się oczy ptaka. Wilga przechyliła główkę.

*Ciemność jest nie tylko brakiem światła, jest czymś znacznie więcej. Gotowa na spotkanie z przeszłością?*

Wyprostowała się i oderwała plecy od bezpiecznej podpory drewna. Chciała po prostu powiedzieć, że tak, ale to krótkie słowo uwięzło jej w gardle. Uśmiechnęła się bezradnie i wzruszyła ramionami. Ostatecznie istota, którą miała przed sobą, była nią samą i za chwilę stanie się jej integralną częścią, więc chyba mogła ten raz pozwolić sobie na szczerość, zanim na zawsze i nieodwołalnie straci prawo do normalności.

– Nie. Niemniej jednak zrób to. Za pięć minut, godzinę, ani nawet wiek nie będę bardziej gotowa niż w tej chwili.

Wilga krzyknęła przesywając i poderwała się do lotu. Czarodziejka nie potrafiła powstrzymać westchnienia zachwytu, które wyrwało się z jej piersi, gdy ptak wzbił się w powietrze, ciągnąc za sobą ognistą serpentynę dwubarwnego ogona. Przez chwilę miała wrażenie, że żywy płomień zniknie, połknięty przez błękit. Bezwiednie zrobiła kilka kroków do przodu, podążając za nią i puszczać kore, na której wciąż trzymała opuszki palców. Kiedy niemal straciła ją z oczu, wilga zawróciła, zbliżając się coraz bardziej i bardziej, rosnąc i pochłaniając cały świat. Elpis otworzyła ramiona na jej przyjęcie. Gorący podmuch płonących skrzydeł tuż przy jej twarzy zmusił ją do zamknięcia oczu.

W tej samej chwili odebrała gwałtowne uderzenie i paraliżujące gorąco, wlewające się w jej ciało przez pierś. Zakrztusiła się powietrzem o smaku siarki i strzelających z ogniska iskier. Przez ułamek sekundy znów poczuła z całą gwałtownością ból przesuwających się we wnętrzu jej głowy myślowych macek nie znających litości przeciwników i gorąco krwi, zalewającej jej twarz. Nie zdołała zdusić w sobie wrzasku. Wszystko skończyło się równie gwałtownie, jak zaczęło.

Zorientowała się, że klęczy w trawie. Po raz drugi dzisiejszego dnia przesunęła dłońmi po twarzy, upewniając się, że krew jest tylko wytworem wyobraźni, a tamten dzień od dawna ma za sobą. Dłonie dygotały tak silnie, jakby należały do kogoś innego. Z całych sił zacisnęła je na trawie i zamknęła oczy, kołysząc się w przód i w tył, pozwalając, by obrazy i wspomnienia przepływały przez nią niczym woda przez strumień.

Było tak, jak mówiła Oriole. Wszystko wracało. Przed chwilą była Elpis. Jeszcze dawniej zwano ją Belial. Kim była istota, która właśnie przestała być Elpis, ale wciąż nie stała się prawdziwą Belial? Kiedy powróciła też świadomość trzech potężnych bytów, które powołała do życia miliardy lat temu i którym nadała miana aniołów, dziewczyna zbladła i skuliła się w sobie, jakby właśnie otrzymała cios buzdyganem między oczy.

*Jak mogłam? Jak mogłam być tak... okrutna. Bezwzględna. Potworna. Jak mogłam?*

Człowiek i Wampir obdarzyli ją zaufaniem, na które nie zasługiwała, a Elf miłością, której nie była godna. Była bestią, a oni jej ofiarami, nawet jeśli jeszcze o tym nie wiedzieli. Była ich śmiercią. Śmiercią ich i swojego świata.

Głowa okrutnie bolała. Małe, wredne stworzonka znów rozpoczęły obłąkanie i ostrzał ze swoich po stokroć przeklętych trebuszy. Opanowała się przy pomocy głębokich wdechów i powolnych wydechów. Powietrze na szczęście smakowało już tylko powietrzem.

Była potworem. Ale skruszonym. Zdecydowanym ocalić to, co jeszcze można było ocalić. Głównie ich. Za wszelką cenę. Wstała, wrywając kępki traw, zamknięte w więzieniu palców, które za nic nie chciały się otworzyć i sztywnym krokiem powlekła się między paprocie.

*Nigdy, nikomu nie daj sobie wmówić, że wyboru nie ma. Czasem jego dokonanie niewiele, albo niemal zupełnie nic nie zmienia w twoim położeniu, czasem może to być tylko tchórzliwe skamlenie lub odwaga i pogarda w obliczu wroga lub śmierci, ale liczy się świadomość tego, że nie jesteś bezwolną marionetką, za sznurki której ktoś pociąga. Rozumiesz?*

*Rozumiem, ojcie. Niezależnie od tego, jak bardzo usiłujesz mnie go pozbawić, nadal mam wybór. I nie zamierzam się przed nim uchylać.*

\*\*\*\*

Anate, nie zważając na ich protesty, zgrabnie przerzuciła nogę nad łbem konia, którego dzieliła z Sylwanem i zsunęła się na ziemię, tonąc po kolana w śniegu.

– Mówiliśmy chyba coś o posłuszeństwie, jeśli pamięć mi nie szwankuje. I to ty miałaś być posłuszna. Nie dotykaj go. Mówię poważnie.

Driada puściła całą tę tyradę mimo uszu i energicznym krokiem podeszła do trupa, zadzierając głowę, by dokładnie mu się przyjrzeć. Nieszczęśnika przybito do drzewa stosunkowo

niedawno, nieokreślona ilość jego poprzedników znajdowała się w stadium dalej posuniętego rozkładu. Często bezgłowe ciała o odrąbanych ramionach zdążyły już odpaść i walały się w bliższej lub dalszej okolicy „swoich” drzew. Na początku Farys z Sylwanem starali się omijać cuchnące, okrutnie okaleczone zwłoki, by oszczędzić małej driadzie ich widoku. Bardzo szybko okazało się to zadaniem niewykonalnym, było ich zbyt wielu, gdy naliczyli trzydziestu, przestali zawracać sobie głowę dochodzeniem, ilu dokładnie. O wiele poważniejszym problemem było raczej to, co do cholery wydarzyło się w ich świecie, odkąd go opuścili i jakim prawem wydarzyło się cokolwiek. Oriole przyrzekła im przecież zawiązanie swoistej pętli, dzięki której powrócą dokładnie w tą samą chwilę, którą opuścili. Mimo iż w świecie białego-czarnego lasu spędzili niemalże miesiąc, w tym nie powinna upłynąć nawet minuta.

– Anate, wracaj – Farys poparł przyjaciela. – On nie żyje. Daj mu spokój.

Równie dobrze mogliby przemawiać do kamienia i czekać, aż uprzejmie podejmie konwersację. Mała driada stała nieruchoma niczym słup soli, dając im jasno do zrozumienia, jak naiwne były ich obawy o to, iż widok trupów może ją przerazić oraz jak bardzo ceni sobie ich troskę. Denat, który wzbudził w niej takie ożywione zainteresowanie, został przytwierdzony do kory dębu za pomocą włóczni czy może harpuna, wbitego w pierś. Jego stopy musiały znajdować się kilka centymetrów nad ziemią, przynajmniej wtedy, gdy posiadał jeszcze stopy. W tej chwili bezgłowe ciało pozbawione było nie tylko przednich kończyn, które odrąbano ostrym narzędziem; jego nogi zaczynały się dopiero na wysokości kolan, z których sterczały groteskowo białawe kikuty kości, przebijające kokony sinych mięśni. Jakieś półtora metra powyżej tułowia znajdowała się brakująca głowa. Kruki zdążyły już dobrać się do oczu i języka, policzki ledwo napoczęły. Jeszcze wyżej, zaostrzonym drewnianym kołkiem przybito serce, na jego miejscu w pierśi trupa pozostała ziejąca jama, odsłaniająca zębra. Denat został również wykastrowany. Przyrodzenia nigdzie nie było widać, podobnie zresztą jak odrąbanych w łokciach ramion. Sylwanowi przyszło na myśl, że zważywszy na obrażenia, jakim poddano tego i innych nieszczęśników, nie można było wykluczyć opcji, że sadystyczny oprawca był równie skrzywionym psychicznie kolekcjonerem swego rodzaju groteskowych skalpów.

– Anate, zaraz wciągnę cię siłą na konia, a przy okazji najbliższego postoju zwyczajnie złożę ci skórę. Chodź tu, ale już!

– Nie rozumie – mruknęła poirytowana dziewczynka, sięgając po jedną z tkwiących w pierśi trupa strzał.

*Rozumiesz doskonale* – pomyślał, tracąc cierpliwość i również zeskakując.

W chwili, gdy Anate wyrwała strzałę, stało się coś, co spowodowało, że wreszcie straciła rezon. Odkryte mięśnie trupa zafalowały i skurczyły się, jakby w daremnej próbie zaczerpnięcia oddechu, a jedno z jego ramion wzniosło się o kilka centymetrów w górę, niemal natychmiast znów opadając. Pozostający wciąż na końskim grzbiecie Farys z głośnym świstem wessał w płuca powietrze, a driada cofnęła się o dwa kroki, wpadając na stojącego za nią Sylwana. Mężczyzna bez słowa podniósł ją w górę i umieścił na grzbiecie Nebuli, po czym włożył stopę w strzemień i prędko znalazł się tuż za nią. On jeden wydawał się nie być ani trochę zaskoczony, za to z sekundy na sekundę stawał się coraz bardziej ponury.

– Co to, na Boga, było? Czym był ten... to coś? – zapytał Człowiek, gdy za przykładem towarzysza zagłębiał się w gęstwą drzew.

Wzburzenie utrudniało mu znalezienie odpowiednich słów.

– Prawie martwy Wampir.

– Ale przecież...

– Nie tak łatwo nas zabić, trzeba czegoś więcej – przerwał mu Sylwan cicho. –

Doszczętnego zniszczenia ciała. Dopóki to nie nastąpi, Wampir pozostaje „prawie” martwym.



– Więc on... zregeneruje się i wstanie? – dziwny ucisk w gardle również nie ułatwiał mu mówienia.

– Głupiś. Oczywiście, że nie, jakim niby cudem? Nie da się wyhodować sobie nowej głowy, o mniej istotnym atrybutach nie wspomnę. W końcu ostatecznie umrze. Kiedy odpadnie ostatni zgniły fragment ciała, kiedy już nic nie zostanie.

– Pamiętam, jak mówiłeś, wtedy w Warowni, że nie znasz sposobu na zabicie... To znaczy... – Człowiek zawahał się, jakby dopiero teraz uświadamiając sobie, kim jest jego rozmówca. – Wybacz.

Przez jakiś czas przekopywali się przez śnieg w milczeniu, a Farys walczył o to, by zatrzymać dla siebie przepływające przez niego myśli. W końcu, kiedy obaj zrozumieli, że nie uda mu się tego dokonać, Sylwan westchnął ciężko i przystąpił do wyjaśnień.

– Nie spotkałem jeszcze nikogo, kto odważyłby się zrobić to sam sobie. Wszystko, co żywe, musi obrócić się w proch i nicość. Teoretycznie najprościej jest zwyczajnie wejść w płomień, ale dokona tego tylko ktoś obdarzony niezwykłą samodyscypliną, a i jemu w którymś momencie ból nakaze wyczołganie się z ich objęć. Bo ból pozostaje do samego pieprzonego końca. Dlatego też nie ma chyba szaleńca, który dobrowolnie oddałby się w czyjeś ręce, choćby nie wiem jak bardzo obmierzło mu wysysanie życia z innych. Jeśli ktoś, komu zaufasz, okazałby się takim jak nieznany oprawca tych tam – Wampir wykonał głową ruch w kierunku, z którego zmiierzali – albo zwyczajnie zabrakłoby mu w którymś momencie zimnej krwi i spartaczył by sprawę...

– Rozumiem.

*Czyżby?*

Człowiek zwiesił głowę i wlepił oczy w ognistorudą grzywę Flamme. Coś mu podpowiadało, że najlepiej zrobiłby, gdyby potrafił po prostu zamilknąć, ale straszne słowa, wypowiedziane pozornie obojętnym tonem przez silącego się na spokój Wampira, wciąż rozbrzmiewały echem w jego głowie. W końcu rozmyślenia nad ich treścią doprowadziły go do najbardziej ze wszystkich przerażającego wniosku. Ci, którzy dopuścili się okaleczenia i porzucenia na pastwę wron i szakali owych nieszczęśników, byli okrutni, ale mogło istnieć coś, co w jakiś sposób usprawiedliwiałoby ich postępowanie. Napaści młodych Wampirów, nie radzących sobie z piętnem, jakie na wieki przyszło im dźwigać, zdarzały się nader często, a strach przed silniejszym przeciwnikiem potrafił przemieniać ofiary w katów. Jeśli jednak rzeczywiście wydarzyło się coś, co było w stanie w stopniu choćby znikomym rozgrzeszyć broniących swoich żon i dzieci chłopów, nic nie rozgrzeszało ich. Kim byli, przejeżdżając obojętnie obok cierpiących, odartych z godności strzępów niegdysiejszych Wampirów, jeśli wystarczyło przystanąć na czas krótszy niż ten, który zmitrężyli przy ostatnim z nich, by rozpalić dla konających czarne płomienie? Oczywiście śmierć w ogniu nadal pozostawała męczarnią, ale zważywszy na to, jak długie cierpienia ich czekały, ogień był darem łaski.

– Nawet nie próbuj – przestrzegł go Sylwan.

– Powinniśmy... – usiłował zaprotestować.

– Zostawić za sobą płonący szlak, wskazujący tym, którzy to zrobili, prostą drogę do nas? Może zwyczajnie krzyknij, że na nich czekamy? Jeszcze jeden Wampir i Człowiek, driada jako atrakcja specjalna. Albo zatrzymajmy się gdziekolwiek i wywieśmy jakieś chorągwie. Nic nie powinniśmy. Poza poszukianiem dobrej kryjówki, w której przeczekamy dzień. I właśnie to mam zamiar zrobić. Nie pozwolę, żeby ktokolwiek ucierpiał przez współczucie dla istot, które nic dla nas nie znaczą.

– Jesteśmy czarnoksiężnikami, więc...

– Nie. Jesteśmy uczniami, którzy znają kilka sztuczek. A ten tam był Wampirem – znów

wskazał na drogę za ich plecami. – Wiesz jak wielkiej determinacji potrzeba, żeby Człowiek zdołał zrobić coś takiego Wampirowi? Ktokolwiek urządził tę obławę, determinacji mu nie braknie. Fantazji zresztą też nie. A z nami jest dziewczynka. Potrafisz sobie wyobrazić, co ludzkie bestie robią z dziewczynkami, zanim je zabiją? Nie masz pojęcia – uciął, zanim Człowiek zdołał otworzyć usta.

Nie usiłował już zaprzeczać. W ogóle postanowił się więcej nie odzywać, bo i co mógł odpowiedzieć?

Kluczyli wśród drzew i bezdroży, usiłując jak najbardziej oddalić się od rzeczywistego lub wymyślanego zagrożenia. Im dłużej jechali, nie znajdując nic, co mogłoby posłużyć jako kryjówek, tym czarniejsze myśli ogarniały Wampira. Ostatni, którego mijali, był przedstawicielem jego rasy, ale wśród gnijących wcześniej nieboszczyków przodowali Ludzie, rozpoznał też kilkoro Elfów. To nie była desperacka obrona przed napaścią wygłodzonych krwio pijców, jak chciał wierzyć jego towarzysz. Z całą pewnością nie było to też dzieło innych Wampirów. Żaden z dzieci nocy nie odważyłby się postąpić w ten sposób ze współplemieńcami, zbyt dobrze wiedziałby, co go czeka, gdy ich przyjaciele lub partnerzy go dopadną. Niewielu zdobyłoby się na to, by pozwolić mu obrócić się w proch przed upływem naprawdę długiego czasu.

Co najbardziej zastanawiało, obrażenia wszystkich, niezależnie od rasy, były niemal identyczne. Wszędzie powtarzał się motyw wyciętego serca. Na piersi kilku ktoś wydrapał brzytwą napis: „Niech przyjdą!” Na udach jednej z dwóch kobiet, tej ze zmasakrowaną od licznych ciosów twarzą i wyciętą z łona macicą, przybitą zaraz obok serca, wydrapano to samo hasło.

## Rozdział 26

### Cherem

Odnalazł ją klęczącą wśród paproci. Nad zielonym gąszczem górowała tylko czarna główka dziewczyny, całe jej ciało skrywały liście. Nie odwróciła się i nie powitała go, ale musiała wyczuć jego obecność, bo skinęła dłonią, wzywając go bezgłośnie. Brodząc po kolana w paprociach, dotarł do niej i przyklęknął obok. Wskazała mu coś ruchem ręki. By to dojrzeć, musiał zajrzeć przez jej ramię. Uśmiechnął się.

Na jednej z gałązek, wśród pierzastych liści pysznił się nieznany mu kwiat wielkości otwartej dłoni dziecka. Kwiat o wydłużonym kielichu, zwężonym u podstawy w stożek, z którego wyrastały promieniście długie i cienkie, ostro zakończone płatki o wywiniętych na zewnątrz czubkach. Zachwycał czysto błękitny kolor płatków, przywodzący na myśl motyla mieniaka, lapis lazuli i głębokie, górskie jezioro w pogodny zimowy dzień. Wśród błękitu, niczym maleńkie błyskawice, rozchodziły się mieniące się srebrzyście nitki nerwów.

– Jest cudowny.

– Jest dla ciebie – po raz pierwszy podniosła na niego oczy. – Nie powiedziałeś mi, jak wyglądałby kwiat paproci, gdyby mogła zakwitnąć, a ja nie powiedziałam ci, który z kwiatów jest moim ulubionym. To cereus, nazywany przez czarnoksiężników królową nocy. Kiedy nie kwitnie, jest zwyczajnym kaktusem, kwiatem z kolcami, jak róża, tylko większym i bardziej pospolitym. Sama roślina nie wyróżnia się niczym szczególnym, ale gdy otwierają się jej oczy, każde z nich jest maleńkim cudem natury. Mówią, że jest darem dla motyli, które latają nocą. Każdy z kwiatów rozkwita o zmierzchu po to, by umrzeć wraz z brzaskiem. Tylko jedna noc, krótkie i piękne życie, podczas którego odwiedzają go émy, a on jarzy się na lodydze kaktusa jak mała pochodnia, jak ulotna świeca, którą zdmuchuje świt. Kwiat, który nigdy nie ogląda słońca. W naturze takie połączenie barw byłoby niemożliwe, cereusy są białe albo liliowe, ale ten jest twój. I mój. Błękit i srebro. Nasze barwy.

Elf przesunął palcami po delikatnych płatkach, obserwując, jak maleńkie włoski, pokrywające całą ich powierzchnię, spieszą mu na spotkanie. Słońce stało już wysoko na niebie, więc wedle słów czarodziejki cereus powinien zgasnąć kilka godzin temu, ale ten był prawdziwy i wciąż pełen życia.

– Karmiłam go całą noc – odpowiedziała na nie zadane pytanie, tak jak to miała w zwyczaju. – A jakiś czas temu przyszedłam do niego i czekałam, aż się zbudzisz. Strasznie długo śpisz, kapłanie.

Objął ją ramionami i pocałował we włosy. Zaskoczyła go bierność dziewczyny, która zeszywniała pod jego dotykiem, spięta i niepewna. Prędko też odsunęła się od niego i pochyliła nad kwiatem, który zerwała, otaczając jego kielich obiema dłońmi. Potem wyciągnęła ręce w jego stronę i przekazała mu kwiat.

– Jest twój. Masz życzenie, kapłanie.

– Nie jestem kapłanem – zaprotestował machinalnie, przyjmując cereusa z jej rąk.

– W porządku – zgodziła się z cieniem uśmiechu. – Nie jesteś.

Roześmiał się w głos, pojmując, co takiego powiedział.

– Czy to się liczyło?

– Nie wiem. To ty znasz się na kwitnących paprociach.

– Więc się nie liczyło.

– W takim razie nadal masz życzenie.

Kiedy znów próbował ją pocałować, tym razem w usta, wywinęła mu się zrećnie i na pozór niechęć.

– Powiedz mi – zażądał, zdjęty nagłym strachem.

– Co takiego?

– Dwie rzeczy. Powiedz mi, co tak naprawdę uczyniłaś pod ścianą biało-czarnego lasu, co stało się z tobą z chwilą, gdy zniszczyłaś swój amulet. I to, o czym teraz milczysz.

Popatrzyła na niego z niechęcią i z lękiem, ale nie zaprotestowała.

– Dobrze. Pamiętaj tylko, że ten, kto ma odwagę zadać pytanie, powinien też znaleźć jej w sobie wystarczająco dużo, by przyjąć odpowiedź. Nie histeryzuj więc.

Objęła ramionami złęczone kolana i spojrzęła prosto w jego oczy. Tiulowe drapowanie na jej sukience było poszarpane i w wielu miejscach zwisało w smętnych, podobnych pajęcynom strzępach. Zaczynała go przerażać. Brwi dziewczyny uniosły się do góry w grymasie zdziwienia.

– Dopiero teraz? Mówię? Wczoraj zrobiłam wiele przerażających rzeczy.

– Milcząc, Elpis. Modłę się o chwilę, w której zaczniesz mówić.

Skrzywiła się na dźwięk imienia, którym ją nazwał, ale nie poprawiła go.

– Czy modlitwa nadal jest ważna i czy może być wysłuchana, jeśli nie jesteś już kapłanem?

– Każda modlitwa jest ważna i każda może zostać wysłuchana.

– A do kogo się modlisz po tym, czego się wczoraj dowiedziałeś?

Patrzyła z podszytym kpina zainteresowaniem, które w równym stopniu irytowało go i niepokoiło.

– W tej chwili do ciebie. Odpowiedz, proszę.

– Błżnisz – ponownie się skrzywiła. – Albo i nie. Pogubiłam się trochę.

– Elpis, na Boga, doprowadzasz mnie do szału. Sprawiasz, że mam ochotę...

– Tak? – poderwała głowę i spojrzęła na niego żywo.

W jej oczach płaął zielony ogień.

*Przewróć cię na ziemię i zedręć z ciebie tę białą sukieneczkę, w której tak bardzo przypominasz anioła. Co się ze mną dzieje? Nigdy wcześniej...*

– Nigdy wcześniej nie odważyłbyś się tak po prostu ubrać swoich pragnień w słowa? Igrasz z ogniem, a każdy płomień niszczy i spala. Głównie i najbardziej dotkliwie to, co jest mu najbliższe.

– Być może. Co się stało w momencie, gdy rozbiłaś amulet?

Błękitny kwiat cereusa jarzył się widmowym blaskiem na jego otwartych dłoniach. Czarodziejka westchnęła i zagryzła wargę.

– Pewnych rzeczy nie można wytłumaczyć – zaczęła z ociąganiem. – Nie można po prostu ich powiedzieć i liczyć na to, że zostanie się zrozumianym. Pozwól, że coś ci zademonstruję. Czy mogę prosić, byś zdjął z szyi własny amulet?

W pierwszym odruchu chciał zaprotestować i zażądać jasnej i zwięzłej odpowiedzi, zamiast głupiej demonstracji, z której zrozumie być może znacznie mniej niż ze słów, ale w końcu wzruszył tylko ramionami i sięgnął pod włosy, by spełnić jej polecenie. Błękitno-szary kamień tu i ówdzie przecinały jaśniejsze, cieniutkie nici. Wyciągnął opal w jej kierunku, podając go dziewczynie na otwartej dłoni. Poczł dziwną ulgę, gdy pokręciła przeczącą głowę. To było głupie, ale bez niego poczuł się niemal nagi. Elfka wstała i zaczęła, aż jej towarzyszy zrobi to samo.

Kiedy już poszedł za jej przykładem, niemal natychmiast cofnął się o krok. Nie zauważył momentu przejścia, ale nagle nie było wokół nich lasu i paproci. Znajdowali się na skale, u progu

przepaści. Elpis stała tam, gdzie kończyła się skała i zaczynała nicość.

– Chodź i niczego się nie bój. To przecież iluzja. Nadal jesteś na polanie, zarówno za tobą, jak i przed tobą, tam gdzie na pozór ziele przepaść, jest twarda ziemia, mech i paprocie. Nie możesz spaść.

Z wahaniem wykonał i to polecenie i zrównał się z nią.

– Świetnie. A teraz wyciągnij rękę i wyrzuć go.

– Proszę?

– Wyrzuć amulet. Powtarzam ci jeszcze raz, że przepaści wcale tu nie ma.

Wyciągnął rękę, ale nie potrafił zdobyć się na to, by rozluźnić chwyt. Wierzył jej, jednak... Spod jego stopy z chrzęstem usunął się kamyk i odbijając się od ścian urwiska, którego nie było, pomknął w dół. Pistis przełknęła ślinę, czując, że kręci mu się w głowie. Iluzoryczna skała wyglądała tak szalenie realnie. Nie chcąc wyjść w jej oczach na tchórzliwego głupca, powoli, z wysiłkiem, jakby siłując się z kimś, kto stara się go powstrzymać, odgiął i wyprostował jeden z palców. Po nim kolejny, kolejny i kolejny... Kiedy boudler kołysał się na srebrzystym łańcuszku podtrzymywany tylko kciukiem, zrozumiał, że nic z tego. W tej samej chwili przepaść znikła, a oni znów znajdowali się wśród traw i paproci. Pistis wzruszył przeprasząco ramionami, znów zaciskając dłoń w pięść.

– Nie potrafiłem, nie rozumiem...

– Oczywiście, że nie. Między czarnoksiężnikiem a jego uczniem od chwili złożenia przysięgi wiązuje się więź, a amulet jest jej namacalnym symbolem. Do czasu wyzwolenia adeptowi nie wolno nosić żadnych kamieni szlachetnych poza klejnotem jego mistrza, dlatego mój Wilk jest z gagatu, a twój orzeł ze srebra. Z czasem amulet staje się coraz ważniejszy, staje się częścią noszącej go osoby, jej sercem. Wyrwałam ci serce z piersi, ale nie przestaniesz normalnie funkcjonować, dopóki istnieje twój opal. Wtedy, przed wejściem do tego lasu, określając to obrazowo, otworzyłam swoją pierś i wycięłam z niej serce, a potem wdeptałam je w ziemię. Nie przerywaj mi teraz! Pytałeś... Musiałam to zrobić, nie miałam wyboru, umierałeś, a twoja śmierć pociągnęłaby mnie za sobą tak czy inaczej. Stałam się upiorem, który nie musi się pożywiać, nie musi oddychać, śmiać się ani płakać. Oczywiście, może robić to wszystko, tylko że... Nawet krew smakuje jak popiół, smak powietrza nie przynosi ulgi, a sen wypoczynku. Deszcz przestaje ziębić, a ogień nie potrafi ogrzać. Wiedziałam, na co się porywam i jakie będą konsekwencje, liczyłam się z ceną, ale nie spodziewałam się... Wczoraj... Wczoraj znów żyłam, krzyk smakował krzykiem, krew krwią, a pocałunki pocałunkami. A teraz znów jest jak wcześniej. Ogień się wypalił i nie pozostało już nic. To skomplikowane i nie do końca jasne nawet dla mnie.

– Elpis... – przerwał jej, niepewny, czy powinien czuć gniew, strach czy żal.

Potrząsnęła gwałtownie głową.

– Nie Elpis. Przestań to powtarzać. Ty przecież wiesz, że nie. Elpis nie istnieje, nigdy jej tu nie było. Jest bajką, sprzedaną nam przez czarnoksiężnika, zmyśloną przez niego od początku do końca. Historią, która nigdy się nie wydarzyła, ale została opowiedziana tak szalenie realnie, że nabraliśmy się na nią wszyscy. Nawet ja. Na jakiś czas. Ale koniec z tym. Nie istnieje albo umarła podczas próby wejścia do tego lasu. Wszystko jedno. Nazwij to, jak chcesz. Uwierź w wersję, z którą będzie ci łatwiej i nie zaczynaj się obwiniać, do ciężkiej cholery! Nie ma jej. Moje imię... Ty wiesz. Wypowiedz je.

– Elpis – wydusił z boleśnie zaciśniętego gardła, z jakimś dziwnym uporem, którego nie pojmował, czepiając się tego z całych sił. – Masz na imię Elpis. Moja Elpis. Moja Nadzieja.

Roześmiała się nerwowo i uchyliła przed jego dłonią, usiłującą dotknąć jej policzka.

– Proszę cię, wypowiedz moje imię. Teraz. W blasku dnia.

– Belial... – wyszeptał posłusznie.

– Głośniej.

– Belial.

Znów udało jej się umknąć przed jego dotykiem.

– Właśnie – rzekła sucho. – Słyszysz? Rozumiesz? Belial. Nie Elpis. Belial. Rozumiesz?

– Nie... – zaprzeczył, czując, jak grunt usuwa mu się spod stóp. – Powiedz mi. To, o czym milczysz.

Wbiła w jego twarz dwie widmowe latarenki oczu.

– Nie jesteś mi nic winien. Składałeś przysięgę Elpis, a Elpis umarła.

Chciał zaprzeczyć, tłumaczyć, rozeźmiać się, wziąć ją w ramiona i zapewnić, że jest gotów teraz, natychmiast uklęknąć przed nią jeszcze raz i powtórzyć słowa przysięgi, wzywając na świadków wszelkie istoty Szału, jeśli to dla niej takie ważne. Przez ułamek sekundy chciał zrobić to wszystko, ale nagle zrozumiał. Wszystkie słowa, które dziś padły z jej ust, sprowadzały się do jednego i wyrażały jedno – odejść.

– Nie... – jego własny głos zabrzmiał w jego uszach słabo i żałośnie. – Nie. Nie możesz.

– Nie mogę. Nie chcę. Jestem tą, która nie potrafiła zapobiec nałożeniu na świat Ludzi, Wampirów i Elfów Klątwy, która zaczęła się wypełniać i której mimowolnym wykonawcą się stałam. Jestem tą, która powołała do życia troje aniołów, mających stać się przyczyną śmierci jeźdźców. Jestem matką, która nie zdołała osłonić swoich dzieci, matką, która odżywia się ich krwią, zabijałam... – głos jej się załamał. – A teraz muszę spróbować zaopiekować się wszelkimi istotami Cienia, muszę wyruszyć na wojnę, najpierw przeciw Lucyferowi, a potem... Nie mogę i nie chcę już bardziej cię skrzywdzić.

– Ale przecież... Mówiłaś, że do mnie należysz, nie masz prawa...

– Należę do ciebie. Jesteś moim dzieckiem, jak każdy z nich.

– Nie – rozeźmiał się z goryczą. – Nie. To niedorzeczne.

– Moje zachowanie w ostatnim czasie było niedorzeczne. Wybacz mi.

– Pieprzenie – rzucił ze złością. – Nie możesz tak po prostu mnie przepędzić.

– Nie zdajesz sobie sprawy z tego, co ja mogę. Mogę sprawić, że z twojej głowy znikną wszelkie wspomnienia o mnie, mogę po prostu przeorać ci mózg, usunąć wszystko i wgrać tam, co zechcę. Mogę niemal wszystko, a wkrótce nie będzie już nic, czego nie mogłabym dokonać. To, że z tobą teraz rozmawiam, oznacza, że nie chcę cię do niczego zmuszać. Proszę cię.

– Pieprzenie!

– Proszę cię, żebyś się zastanowił, chociaż to. Nie można służyć zarówno światłu jak i ciemności. Zafascynowała cię noc, ale porą Elfa jest dzień. Jeśli teraz zobowiążę cię, byś został, znenawidzisz mnie, gdy gorączka minie, a ja nie będę już potrafiła zwrócić ci dnia. Nie na zawsze. Muszę coś zrobić, czegoś dokonać, dotrzymać pewnego ślubu i muszę być sama. Potem... Wrócisz, jeśli zechcesz. Przyrzekam. Nie chodzi o ciebie, a o mnie. Muszę być sama.

– Nikt nie powinien być sam w ciemności – zaprotestował. – Nikt.

– Odszukaj Farysa i Sylwana – ciągnęła, jakby go nie usłyszała. – Kazałam im się przede mną ukryć, nie wiem, gdzie są, ale między wami też jest więź, na twoje wołanie odpowiedzą. Gdy będzie po wszystkim, ja odzyskam was, masz moje słowo. A wtedy zdecydujesz, czego chcesz. Nie pozbawiaj się wyboru. Ja go nigdy nie miałam. Chcę tylko dać ci szansę trzeźwego przeliczenia sił na zamiary. Nie chcę znosić twojej nienawiści przez wieczność.

Ziemia pod jego stopami zachowywała się bardzo dziwnie, falując i utrudniając zachowanie równowagi, a wokół nie było nic, na czym mógłby się wesprzeć. Wiedział, że nie zmieni zdania. Ongiś kochała Lucyfera, ale nie zawahała się przed wypowiedzeniem mu otwarcie wojny, gdy nie poparł jej w walce o dobro ich zrodzonych z grzechu dzieci. A to, iż go kochała,

czyniło go najgroźniejszym z wrogów, bo dopóki był w pobliżu, mógł zachwiać jej decyzjami. Z nim nie chciała popełnić tego błędu. Na co liczył? Kim był, by okazać się dla niej ważniejszy od prawdziwego ojca jej dzieci? Widział przed sobą tylko jedną furtkę, która da mu pewność, że rzeczywiście nie straci jej na zawsze.

Poza tym był potomkiem dumnych Elfów. Elfy nie błagały o powtórne szanse.

– Dobrze – zgodził się cicho. – Odejdę, jeśli tego właśnie pragniesz. Im prędzej, tym lepiej. Ale najpierw chcę ci coś dać. Podarowałaś mi na pożegnanie najstraszliwszą i zarazem najpiękniejszą noc mojego życia, kwiat i życzenie. Też mam dla ciebie podarunek. Odwróć się, proszę.

Obrzuciła go niepewnym spojrzeniem, ale zrobiła, co kazał. Kiedy stanęła do niego tyłem, otworzył dłoń, w której wciąż ścisnął szaro-błękitny amulet i zawiesił go na jej szyi. Zesztywniała, jakby kamień ją oparzył.

– Nie możesz...

– Mogę – zreplikował ostro, z góry spodziewając się protestu. – I robię to.

– Adept nie może podarować swojego klejnotu mistrzowi.

– Mam to gdzieś. Wiele razy powtarzałaś, że jestem wolny. Mogę go więc podarować, komu zechcę. Jeśli jest moim sercem, to nigdy wcześniej nie znajdował się na właściwszym miejscu. Mam chyba prawo dowolnie dysponować swoim sercem? Zresztą, jeśli chcesz, proszę bardzo, potraktuj to jak pożyczkę, zwrócisz mi go, gdy ponownie się spotkamy – wyciągnął czarne włosy dziewczyny spod srebrnego łańcuszka i przytrzymał ją za ramiona. – Nie odwracaj się, proszę. Nie patrz teraz na mnie. Spójrz dopiero, gdy mnie już nie będzie, sama będziesz wiedziała, kiedy. I powiedz mi jeszcze jedno, jeśli możesz. Co zamierzasz?

*Zabiję Lucyfera i Barbello i wyrwę im mojego syna – napłynęła odpowiedź.*

*To również jego syn. Ma do niego takie same prawa, jak ty.*

*Nie uznaję jego praw zarówno do mnie, jak i do dzieci. Tak mnie nauczono. Taką mnie stworzyli. Oboje. Pan i sluga, który Go zdradził. Ale ja nigdy nie byłam slugą.*

Uśmiechnął się mimo woli. Nagle zrobiło mu się bardzo smutno.

Prosił ją, by się nie odwracała i usłuchała prośby, ale sam nie potrafił zdobyć się na to, by jeszcze choć raz na nią nie spojrzeć. Ze wszystkich stron otaczały ją martwe dziewczynki, jakby tylko czekające na chwilę, w której zaczną się oddalać. Ich obraz załamywał się i ginął, spowity rozedrganą mgłą. Elf, który kiedyś był kapłanem, zamrugał. Łzy popłynęły, mgła się nieco rozproszyła.

*Kiedyś, gdy jedynym światłem, rozpraszającym ciemności wokół ciebie będzie ogień, kiedy zostaniesz sama wśród morza ognia, będziesz kogoś potrzebować. Bo nikt nie powinien być sam wśród ciemności. Kiedy wyda ci się, że wszyscy cię opuścili, odwróć się, a ja będę tuż za tobą. Przysięgam, klnę się na wszystko, Belial. Będę wtedy przy tobie.*

Dopiero, gdy nie doczekał się żadnej odpowiedzi, zrozumiał, że w skrytości serca rzeczywiście na nią liczył.

Uniósł do twarzy dłoń z błękitnym kwiatem i chciwie posmakował jego woni. Był wszystkim, co mu pozostało. Zabrała jego serce i życie, dając w zamian jedną widmową latarenkę, kwiat króla upiorów. Nagle zdał sobie sprawę, że nie ma dokąd pójść. Odwrócił się plecami do niej i widmowych dzieci. Ruszył przed siebie.

\*\*\*\*

Rozwiązanie zagadki nieudanej próby zapętlenia czasoprzestrzeni objawiło się przed nim nagle, z jasnością błyskawicy. Gdy zrozumiał, nie potrafił żadnym sposobem ukryć swojego wzburzenia przed Farysem. Inna sprawa, że nawet przez chwilę nie myślał o tym, by cokolwiek zataić. Jego towarzysz zasługiwał w równym stopniu jak on na wiedzę o tym, przez co

najprawdopodobniej przyjdzie im ponieść klęskę. Zresztą kto mógł przewidzieć, czy niepowodzenie wystarczy, by zapłacić za jego głupotę? Wszystko bowiem wskazywało na to, że to on stał się mimowolnym sprawcą nieszczęścia. Jeszcze nie wiedział, co tak naprawdę jego błąd dla nich oznacza, ale zanim był w stanie przemówić głośno, w myślach przeklął się za jego popełnienie kilkakrotnie.

– Pętli nie wolno naruszyć, nawet minimalnie, rozumiesz? – zapytał w odpowiedzi na wzrok Farysa. – Na tym polega zakłęcie; stałość i nienaruszalność. To, co rzucono w pętlę, trzeba z niej wyciągnąć. Dosłownie – kontynuował, nie czekając na odpowiedź. – Weszliśmy do tamtego świata we czworo. Opuściliśmy go samotrzeć, dodatkowo jedno z nas nie jest osobą, która zapoczątkowała pętlę. Zeby wszystko się udało, musielibyśmy... Musielibyśmy opuścić jej świat w tym samym składzie – ja, ty, Pistis i Elpis. Inaczej nie miało prawa się udać. A ja... Cholera, ja uparłem się... Cholera.

Farys nie odpowiedział. Zapatrzył się bezmyślnie na strzałę, którą Anate obracała w palcach. Długi, jesionowy promień wieńczył pęczek szarych, gęsiich piór. Najstraszliwszy był jednak grot. Ostry szpikulec otaczało pierścieniem pięć długich wypustek. Strzały tego typu skonstruowano tak, by sprężyna zwalniała ukryte dodatkowo nożyki dopiero w momencie trafienia w cel. Dzięki temu w ciele ofiary łucznika otwierała się pięcioramienna gwiazda, która na podobieństwo stalowych szponów rozszarpała jego wnętrzności, znacznie zwiększając obrażenie, powodując prędko ubytek krwi i dziurę o średnicy jakiś pięciu centymetrów. W odpowiednich, sprawnych palcach, broń była niezawodna jak morgensztern w walce kontaktowej. Oczywiście, jeśli łucznik potrafił celnie wstrzelić się w niechronione zbroją fragmenty ciała. Od samego patrzenia na tak pomyślany grot robiło mu się niedobrze. Tu dodatkowo grozę potęgował fakt, że ostrza były oblepione zakrzepłą już krwią i maleńkimi strzępkami ciała, które driada pieczołowicie czyściła i zdrapywała paznokciami.

– Na Boga, Anate, wyrzuć tę ohydę. Możesz się skaleczyć, a to cholerstwo może być zatrute – jęknął Wampir, podążając za wzrokiem Człowieka.

Dziewczynka sprawiała wrażenie kogoś, kto chętnie podyskutuje o swoich racjach, więc zdecydowany nie dopuścić do polemiki, sam wyjął strzałę z jej rąk i cisnął w śnieg.

– Nie rozumiem – zdusił w zarodku jej protesty, gdy tylko spróbowała otworzyć usta.

Nadała się na niego, ale nie miał teraz głowy, by się tym przejmować. Uśmiechnął się melancholijnie, gdy wymruczała coś, co mogło brzmieć jak: rozumiesz doskonale, i z roztargnieniem zmierzwił jej włosy. Prychnęła, rozgniewana i w biegu zeskoczyła z grzbietu jego klaczy, niemal natychmiast wdrapując się przed Farysa. Cała ta zamiana miejsc zajęła jej mniej niż mgnienie oka. Mężczyźni nawet nie zdążyli się zdziwić ani wstrzymać zwierząt. Elpis kiedyś mówiła o cechującym driady niezwykłym talencie do jazdy na grzbiecie wszelkich stworzeń posiadających grzbiet i szybkie nogi.

Sylwan zmarszczył brwi. Elpis. Co zrobiłaby Elpis w ich sytuacji? Jeśli jego przypuszczenia były prawdziwe, a nie miał wielkiej nadziei, że jest inaczej, namieszali i to strasznie. Oriole przyprowadziła ich z powrotem do świata, z którego przybyli, nie uznając za stosowne podzielić się z nimi tym, że tym samym rozplącają pętlę. Nie potrafili wrócić do białego-czarnego lasu, który dopiero co opuścili. Mogli tylko iść naprzód, modląc się o to, by dla chłopca, po którego tu przybyli, nie było za późno. Minął niemal miesiąc, jeśli czarny ogień już się wypalił lub Kain znalazł sposób na to, by go oszukać, dziecko mogło być martwe.

*Nie. Proszę, nie. To byłoby zbyt...*

Okrutne?

A niby jakie było to, co widzieli do tej pory? Jak określić korowód trupów lub osób na pograniczu życia i śmierci, przybitych do drzew po uprzedniej dekapitacji i innych profanacjach,



jakich dopuścili się... Ci, którzy to zrobili, kimkolwiek są. Jakim innym słowem nazwać otwarcie brzucha i klatki piersiowej żywej wampirzej kobiecie, po to, by wywlec z niej macicę i serce?

Sylwan rzucił ponure, nerwowe spojrzenie na kołyszącą się w rytm kroków Flamme driadę. Wśród zabitych nie zaobserwowali dzieci, ale czy mieli prawo oczekiwać, że ten, kto dopuścił się podobnych czynów, oszczędzi dziecko? Sylwan zmusił swojego chudego, popielatego wierzchowca do zatrzymania, podejmując nagle decyzję. Farys i Anate jak na komendę zwrócili się w jego stronę.

– Proszę was, zaczekajcie tu na mnie. Tam, gdzie drzewa są najgęstsze. To zajmie tylko chwilę.

– Co zamierzasz?

Sam nie był pewien.

– Jest pewne zakłęcie. Posłuchaj. Podczas naszej nieobecności coś się zaczęło. Nie mamy pojęcia, co takiego i w jakim stopniu nam zagraża. Nie wiemy, jak się przed tym bronić i czy w ogóle trzeba. Być może porachunki już się zakończyły, ich mordercy również są martwi lub odeszli daleko stąd. A może nie – mówił, jakby starając się przekonać do swojego pomysłu nie tylko Człowieka, ale i siebie. – Nie sposób walczyć z nieznanym przeciwnikiem. Wróć do jednego z nich i spróbuj wejrzeć w jego umysł. Elpis powiedziała kiedyś, że potrafi wydobyć z nas, co tylko zechce, nawet gdy będziemy się opierać. A oni są słabi.

Jego rozmówca skrzywił się, jakby Wampir właśnie oznajmił mu, że zamierza pozbierać przytwierdzone do kory serca i przyrządzić z nich gulasz.

– Nekromancja? Oszalałeś.

– Oczywiście, że nie – zachnął się Sylwan. – Oni wciąż żyją. To nie zajmie wiele czasu, mam nadzieję.

– Są niemal martwi. Zostaw ich choć ty w spokoju.

– Nie będę niczego brał siłą. Poproszę.

Coś w jego głosie nakazywało Człowiekowi parsknąć śmiechem i odjechać. Powstrzymał się z wysiłkiem. Wiedza rzeczywiście była tu potrzebna. Jeśli już namieszali, dobrze byłoby zrozumieć, jak bardzo i dostać choćby mgliste wyobrażenie co do tego, co czynić dalej.

– Dobrze – zgodził się niechętnie. – Jedziemy.

Podjęmowane przez Wampira próby przeforsowania scenariusza, wedle którego miał jakoby samotnie wrócić do konającego na drzewie nieszczęśnika, utonęły w gorącym proteście Anate i zimnym lekceważeniu Farysa.

– Wyjaśnij mi coś, bo nie nadążam – warknął w końcu poirytowany Farys. – Kiedy to w naszej drużynie zmieniła się hierarchia i niby dlaczego ty wydajesz tu teraz rozkazy? Słuchałem Elpis, nawet jeśli nasze zdania były odmienne, ale ciebie nie zamierzam. Przynajmniej nie wtedy, gdy gadasz od rzeczy. Bez dyskusji. Wracamy.

Uderzył piętami boki Flamme i ruszył przodem. Miodowa główka Anate wyjrzała zza niego, obdarzając Wampira zadowolonym spojrzeniem.

– Bez dyskusji! – niemal krzyknęła, odjeżdżając.

– Bądźże chociaż cicho – rzucił, doganiając ich.

Na miejscu wszystko wyglądało dokładnie tak, jak w chwili, gdy je opuścili. Wampir zsunął się z siodła i podszedł do trupa, ignorując jasny i wyraźny głos przecucia, nakazujący brać nogi za pas, dopóki to jeszcze możliwe. Gdyby nie był tak bardzo przerażony, być może roześmiałby się z samego siebie. Jeśli komukolwiek przysługiwał tu strach przed trupem, to na pewno nie on był tą osobą. Mimo tego nie potrafił bez zgrozy patrzeć na posiniałe, niemal niezauważalne, ale nadal pracujące serce, pozbawione ciała, dla którego powinno bić i okaleczony tułów, w ranach którego czerwie złożyły jaja. Na głowę w ogóle starał się nie

patrzeć. Niemalże nieśmiertelność w wykonaniu Belial okazała się naprawdę ponurym żartem. Kiedy zbliżył się na odległość może pół metra, zebra i poszarpane płuca zadrżały w groteskowej parodii oddechu.

Sylwan zawahał się. Jeśli miał być z samym sobą szczery, nie miał pojęcia, jak zabrać się do rzucenia zaklęcia, o którym po prostu zdarzyło mu się usłyszeć co nieco z ust swojej mistrzyni. W końcu zdecydował się na wysnucie delikatnej nici, tak jak zrobiła to czarodziejka, gdy po raz pierwszy wyczuła w nich magię. Wyciągnął w stronę konającego rękę i zatrzymał palce w odległości kilku milimetrów od jego ciała, po czym zamknął oczy, starając się mimo tego nie stracić jego obrazu.

Nieznany mu, umierający Wampir odpowiedział niemal natychmiast. Ułamki sekund potem Sylwan zerwał połączenie i zrobił pospieszny krok do tyłu. Nie spodziewał się tak ogromnego ładunku skoncentrowanej nienawiści, bólu i furii, jaką odebrał od nieszczęśnika. Niemal natychmiast zrozumiał też, że nie mogło być inaczej. Na co innego liczył ze strony istoty, której odrąbano wszystkie członki i wycięto serce, każąc zdychać przez długie dni, pożeranej przez wrony i robaki? Było bardziej niż oczywiste, że umierającym zawładnął obłąd. Nie mieli szans dowiedzieć się od niego nic sensownego. Nie mieli jednak czasu na poszukiwanie lepszego informatora.

*Wybacz mi, proszę, jeśli potrafisz – pomyślał, próbując po raz kolejny. Nie dręczę cię dla zabawy ani dlatego, że po prostu potrafisz to zrobić. Muszę wiedzieć, kto stoi za bestialstwem, którego się tu dopuszczono i jakie motywy nim kierowały. Muszę to wiedzieć, by chronić tych, którzy są tu ze mną, a nie posiadają właściwej naszej rasie siły. Będę próbował do skutku, więc tylko od ciebie zależy... Och, Boże...*

W chwili, gdy nawiązał ponowne połączenie, okrutny ból każdego z mięśni powalił go na ziemię. Kiedy w końcu rozgrzane do czerwoności cęgi przestały szarpać każdy centymetr jego ciała, a z jego wnętrza cofnął się nóż niewidzialnego prześladowcy, krojący na kawałeczki narządy, o których istnieniu nie miał wcześniej pojęcia, zorientował się, że kuli się na ziemi, zbyt wstrząśnięty, by wydać z siebie choćby jęk. Pierwszym, co wyłoniło się z otaczającej go wokół czerni, była główka pochylonej nad nim Anate. Farys pojawił się zaraz po niej. Tylko dzięki ich pomocy udało mu się dźwignąć na nogi.

*On się boi* – pomyślał Człowiek, patrząc w czarne oczy Wampira.

– Nic ci nie jest?

Sylwan potrząsnął głową.

– Sam nie wiem, co się stało. Chyba w jakiś sposób, zamiast myśli, przechwytiłem jego odczucia. Może tak musi być, nie wiem, Elpis nie wspominała o podobnych komplikacjach. Spróbuję jeszcze raz, ale jeśli to się powtórzy... Nie wiem, czy dam radę. Wątpię.

– Może po prostu jedźmy?

– Jeszcze nie. Wracaj na konia i mniej oko na Anate. Proszę.

Ani trochę nie podobała mu się perspektywa podejmowania kolejnej próby, ale poszedł za jego radą i z czynnie protestującą przeciw podobnemu traktowaniu dziewczynką w ramionach, zajął miejsce na końskim grzbiecie. Spróbował wysnuć nić, łączącą go z towarzyszem, licząc na rozłożenie bólu na ich dwoje i niemal natychmiast skulił się, jakby jego ciało smagnęło jednocześnie tysiąc zakończonych haczykami biczów. Jakimś cudem udało mu się skłonić płuca do płytkiego oddechu i przy znacznej pomocy Anate, utrzymać się w siodle. Wśród wirujących płatków czerni nie widział, jak radzi sobie jego towarzysz, ale mógł być pewien tego, że przynajmniej udało mu się nie zerwać kontaktu.

Za czarnej kurtyny powoli wyłaniały się twarze o pozbawionych ostrości rysach. Morze pełnych nienawiści i przerażenia twarzy na tle bezmiarów ognia z płonących stosów. Dym ze

stosów nie jest po to, by spopielić czyjeś zwłoki, on ma dotrzeć do samego nieba i zmusić okrutną, krwawą boginię do odpowiedzi. Myśli tych, którzy w jego głowie dawno już złączyły się w morze nie wyrażających nic poza nienawiścią i przerażeniem twarzy, były chaotyczne i rozbiegane, skażone szaleństwem tak głębokim, jakie jest w stanie zawładnąć sercami tych, którym wmówiono, że tracą wszystko, jeśli nie pójdą jedyną słuszną ścieżką. Gwar zaszczutych i zdesperowanych głosów.

*Nadejdą wraz z dźwiękiem trąb. Zima, ponownie biorąca we władanie świat, właśnie teraz, gdy dawno powinna ustąpić pola wiosnie, jest jednym ze znaków. Płonący wiecznym ogniem klasztor jedynego prawdziwego Boga jest kolejnym. Nadejdą, by niszczyć i zabijać, by pozostawić za sobą spaloną ziemię, zgliszczą i popioły. Niosą ich zmiennokształtne bestie, potrafiące przybrać każdą dowolną postać, a prowadzi ich ta, która sama jest śmiercią. Krwawa bogini z martwym niemowlęciem u piersi. Będą niepokonani i potężni, ale ich czas jeszcze nie nadszedł. Na razie nie różnią się zbyt od nas, a nas jest więcej. I jest z nami zakapturzony czarnoksiężnik, który umarł i narodził się ponownie z płomieni wiecznego ognia. Niech przyjdą!*

Nim Sylwan zdążył choćby zdziwić się treścią usłyszanych słów i powiązać osobę czarnoksiężnika z jedyną znaną mu, odpowiadającą temu opisowi istotą, poczuł nagle szarpnięcie i coś przemocą wyrwało nieznanego z jego wnętrza. Starając się zapanować nad gwałtownym dygotaniem, obejmującym całe jego ciało, zwrócił się w stronę dwójki swoich przyjaciół.

W momencie, gdy na nich spojrział, driada wykrzykiwała jego imię. Kiedy ich oczy się spotkały, ulga, jaką dostrzegł w jej źrenicach, upewniła go co do tego, że nie wołała go po raz pierwszy. Farys wyglądał gorzej, niż należałoby, nawet uwzględniając czar, który wspólnie rzucili; zdawało się, że w jego twarzy nie pozostała nawet kropla krwi. Za to kiedy usiłował przemówić, krew popłynęła ustami. Człowiek zadrżał i zakrzuszył się. Sylwan zrozumiał, gdy Anate błyskawicznie wychyliła się z siodła i złapała w locie strzałę o szarych, gęsich piórach. Morderczy grot, ukształtowany na podobieństwo pięcioramiennego kwiatu, zakwitł w powietrzu. Druga świsnęła tuż obok niego, niemal kalecząc skórę. Gdy Flamme zwróciła się do niego bokiem, ze zgrozą dostrzegł jesionowe drzewce, niemal do połowy długości promienia tkwiące pod lewą łopatką Farysa.

Wampir w kilka chwil odzyskał panowanie nad sobą. W myślach prędko ocenił sytuację. Ich troje, w tym dziewczynka i jeden ranny, przeciw nieokreślonej ilości skrytych wśród drzew łuczników, zdesperowanych na tyle, by pozostawiać swoje ofiary w roli osobliwych dekoracji przydrożnych drzew. Podjęcie walki było ostatnim, na co powinni się zdecydować. W mgnieniu oka znalazł się przy dwójce towarzyszy.

– Anate, nie pozwól mu spaść z konia, rozumiesz? Jedź! – z całej siły uderzył ich klacz otwartą dłonią w zad, gdy tylko driada potwierdziła skinieniem głowy.

Dosiadając Nebuli, zauważył jeszcze, jak mała, nie zwalniająca, zgrabnie prześlizguje się na miejsce za plecami Człowieka i pewnie chwyta wodze, asekurować jednocześnie rannego ramionami. Zanim podążył ich tropem, zrobił wszystko, co potrafił, by osłonić siebie i ich tarczą. Niemal nie spartaczył zakłęcia, czując jak jeden z rozkładających się grotów eksploduje bólem w jego udzie. Kolejne nie dosięgły celu. Już jadąc, przywołał na pomoc mgłę i wiatr.

Gdy w końcu, po czasie, który wydał mu się małą wiecznością, łopocząc płaszczem, dopadł Farysa i Anate, z rozpaczą powitał widok prędko powiększającej się plamy błyszczącej czerwieni na plecach Człowieka. Farys słał się w siodle, głowę zwiesił na pierś, Sylwan był więcej niż pewien, że gdyby nie ramiona dziewczynki, dawno zwałiby się wprost pod końskie kopyta.

Wampir zaklął bezgłośnie i włożył wszystkie siły w podtrzymanie mocy wichury, jakiej w normalnych warunkach z pewnością nie zdołałby rozpuścić. Musiał liczyć na to, że mgła ukryje

ich przed wzrokiem łuczników, a wiatr zatrze ich ślady. Gdy przeskoczyli nad jednym z licznych wykrotów, mała driada wstrzymała gwałtownie konia. Wampir zrobił to samo, zeskoczył na ziemię i jakimś cudem znalazł się przy nich na czas, by podtrzymać osuwającego się na ziemię Człowieka.

Brodę i przód kamizelki Farysa pokrywała jasnoróżowa krew. Gdy mężczyzna usiłował się odezwać, powietrze dostało się do płuc z przeraźliwym świstem. Próby zakończyły się gwałtownym atakiem kaszlu, wypompowującym na zewnątrz kolejną porcję krwi. Sylwan położył go na ziemi, opierając głowę rannego na kolanach Anate. Sam przykleknął obok, niemal nie czując bólu, jaki sprawiała jego własna żelazna gwiazda, przemieszczająca się w mięśniach pod wpływem zmiany pozycji. Brunatne oczy Farysa patrzyły całkiem przytomnie, mężczyzna znów podjął próbę powiedzenia czegoś.

– Cicho bądź, na Boga, cicho... Przesznelili ci płuca. Jeśli zaczniesz gadać, udusisz się we własnej krwi – zaprotestował Wampir, gorączkowo usiłując przypomnieć sobie jakiegokolwiek zaklęcie.

W głowie miał idealną pustkę.

*On już się dusi – pomyślał. Cholera, dusi się... Płuca nie są przestrzelone, są rozszarpane przez te przekłete zadziory. Jakim niby cudem mam wyciągnąć to cholerstwo, nie zabijając go przy okazji?*

– My... zabiliśmy go... Prawda?

Wzdrygnął się, słysząc jego głos.

– Zamilcz.

– Krew, ziele snów. Ogień... Zabiliśmy go... Powiedz Elpis...

– Milcz. Jestem czarnoksiężnikiem – przypomniał sobie nagle, przesuwając nad jego raną otwartymi dłońmi, tak samo jak zrobił to z Anate w iluzorycznej jaskini. – Jestem czarnoksiężnikiem, a to tylko jedna strzała. Nie możesz umrzeć od jednej strzały. Nie tu. Nie teraz.

Zanim zdążył do końca rzucić zaklęcie, poczuł w opuszkach palców paralizujące zimno i ból tak ostry, jakby z impetem zanurzył dłonie w wiadrze pełnym pokruszonego szkła. Wrażenie było niesamowite, choć trwało tylko ułamek sekundy. Potem odeszło i mimo kilkakrotnych, rozpaczliwych prób, nie udało mu się nic już osiągnąć. W pewnej chwili zorientował się, że Anate szarpie go za rękaw płaszcza, każąc mu przestać. Spoczywający na jej kolanach Człowiek uśmiechał się lekko.

*Żaden z ciebie czarnoksiężnik.*

*Zdawał się mówić ten uśmiech.*

*Jesteś tylko uczniem, który zna kilka sztuczek.*

\*\*\*\*

Kiedy tylko wyczuła jego obecność w pobliżu, wzniosła barierę. Niemal natychmiast pomyślała, że od teraz niezależnie od okoliczności, choćby czuła się najbardziej na świecie bezpieczna, nieustannie otaczanie szczelną osłoną swoich myśli i uczuć powinno wejść jej w nawyk. Co prawda akurat w tej chwili określenie iż nie czuła się najlepiej, miało się do rzeczywistości mniej więcej tak jak nazwanie wściekłego lwa poirytowanym kociakiem. Jeśli zdecyduje się chronić myśli, może zabraknąć jej sił, by osłonić przed atakiem ciało, ale ostatecznie jej słabość była tylko jeszcze jednym argumentem za tym, by to zrobić. Zbyt wiele dziś odzyskała i zbyt wiele straciła, by pozwolić na dodanie do tego bilansu kolejnego czynnika.

Poczuła, jak powietrze wokół niej gęstnieje i jak z niebytu wyodrębnia się jego sylwetka. Zaciśnęła zęby, przyrzekając sobie, że na niego nie spojrzy. To nie był on. Nie naprawdę. Uwięziła go za ścianą czarnego ognia w świecie, gdzie czas przestał płynąć i nie ruszy z miejsca,

dopóki ona i jej uczniowie tu pozostaną. Na myśl, że wczoraj również miała do czynienia tylko z fantomem, poczuła suchość w gardle. Wyrwała mu oko, ale by go wystarczająco osłabić, potrzebowała wsparcia Szału. A przecież tak naprawdę walczyła z jego cieniem. Teraz, uzbrojona w tę wiedzę, czuła, jak jej wczorajsze zwycięstwo nabiera smaku popiołu. Mgnienie oka później postanowiła, że nie będzie tchórzliwie odwracać wzroku. Oboje byli upiorami, każdy na swój sposób, byli więc sobie równi. W tej chwili. A gdy połączy się z Belial, już zawsze będzie od niego silniejsza. Musiała w to uwierzyć.

Suchy, przepełniony pogardą śmiech wyrwał się z jej ust, gdy jej spojrzenie napotkało dwoje zdrowych, fiołkowych oczu.

– Kiedy spotkamy się w swoich cielesnych postaciach i znów ci to zrobię, również ukryjesz swoją ranę za zasłoną iluzji?

– Oboje kryjemy za różnymi iluzjami stare rany i blizny, inaczej śmiertelnicy uciekaliby z krzykiem na sam nasz widok.

Nie mogła odmówić mu słuszności. Długie życie nie szło w parze z atrakcyjnym wyglądem, nawet u kogoś, kto tak jak oni nie podlegał wpływowi czasu. Nieśmiertelność czyniła ukazywanie się innym w swojej rzeczywistej postaci, bez wzbudzania paniki, praktycznie niemożliwym. Szczególnie jeśli było się wojownikiem. Lucyfer wskazał ręką bliznę na jej policzku.

– Ty również mogłabyś...

– Zrób coś dla mnie i zamilcz, zanim powiesz coś równie głupiego jak: powinnaś albo musisz. Straciłeś prawo do pouczenia mnie dawno temu i nieodwołalnie. Czego chcesz?

– Tego co zawsze, Belle. Twojego dobra.

– W takim razie bądź tak dobry i zejdź mi sprzed oczu. Nie chcę cię oglądać ani chwili ponad to, co jest absolutnie konieczne, a w tej sekundzie twoja impertynencja przekracza wszelkie granice.

Czarny anioł bez słowa do niej podszedł. Stał tak blisko, że mogłaby go dotknąć, gdyby tego właśnie zapragnęła. W pierwszym odruchu chciała się cofnąć i zwiększyć dystans, ale zanim wprowadziła zamiar w życie, wydało jej się to posunięciem bardziej niż tchórzowskim. Podniosła oczy na jego twarz, wkładając naprawdę wiele wysiłku w to, by jej spojrzenie nie wyrażało absolutnie nic. Czy wyobrażnia płatała jej figle, czy rzeczywiście na dnie fioletu dostrzegła troskę i strach?

*Nawet jeśli, to tylko strach jest prawdziwy.*

Te oczy już raz ją zwiódły. Prędzej znajdzie sposób, by uzdrowić jego i siebie z chorej nieśmiertelności, niż dopuścić, by zdarzyło się to ponownie. Przez moment rozważała możliwość ponownego okaleczenia go, być może w jakiś bardziej wymyślny sposób, albo chociaż zwyczajnego wymierzenia majakowi siarczystego policzka. Skoro dotykane iluzji było możliwe, dlaczego miałyby odmawiać sobie tej nowo odkrytej przyjemności?

– Jesteś sama. Nigdzie nie widzę twoich jeźdźców – wyprzedził słowami jej działanie.

– Jednak są w pobliżu. Ukryci przed tobą, ale nie przede mną – skłamała bez zająknięcia.

Skinął krótko głową. Nie potrafiła wyczytać z tego drobnego gestu wiary w jej słowa ani jej braku. Mogła tylko żywić nadzieję, że jej twarz jest równie dobrą maską.

– To co zaszło dziś w nocy między tobą a kapłanem...

– Było i pozostaje tylko i wyłącznie naszą wspólną sprawą, a tobie nic do tego – przerwała spokojnie i tak cicho, że chcąc usłyszeć jej słowa, musiał zamilknąć. – To po pierwsze. Było też szaleństwem, które na chwilę zatarało we mnie obraz prawdziwego celu i które się nie powtórzy. Od teraz wszystkie moje siły, pragnienia i działania podporządkowane są temu celowi. I raczej tym martwiłabym się na twoim miejscu, bo na liście problemów w jego realizacji

zajmujesz dość wysoką pozycję.

– Było szaleństwem. Cieszę się, że to przyznajesz – całkowicie zignorował dalszą część jej wypowiedzi. – Chociaż w jednej kwestii się dziś zgadzamy. Zawsze to coś, choć kiedyś byliśmy jedną duszą i jednym ciałem.

Czarodziejka lekko wzniosła brwi do góry i prychnęła jak kotka.

– Jedną duszą i jednym ciałem – powtórzyła. – Na Jego dworze, we wszechświecie i poza jego granicami. W walce i ogniu namiętności. Pod Drzewem Życia i Śmierci, z kwiatami we włosach. A potem On przelał krew naszych dzieci, a ty zamknąłeś oczy, choć to ja ośleplam. To wiele o nas mówi, prawda? Oszczędź mi więc cikliwych opisów i przejdź do rzeczy – pod koniec tej wypowiedzi głos dziewczyny stał się ostrzejszy od katowskiego miecza.

Świetlany uśmiechnął się smutno. Natychmiast ponownie znienawidziła go za ten uśmiech. Po chwili nienawiść wzmożła się po stokroć. Lucyfer wyciągnął w górę otwartą dłoń i z nicości zmaterializował się w niej duży złoty puchar, wypełniony gęstym, karminowym płynem. Mężczyzna wyciągnął rękę z trunkiem z jej stronę.

– Co to jest?

– Krew, Belle.

– To widzę. Nie zrozumiałeś pytania. Pytanie brzmiało: co to za nowa sztuczka? Ostatnim razem, gdy piłam krew w twoim towarzystwie, usiłowałeś mnie otruć – przypomniła.

– Nie ciebie, lecz twoich towarzyszy. Gdybyś nie zawiązała połączenia między tobą a Elfem, trucizna w żaden sposób nie mogłaby na ciebie wpłynąć. To Elohim uparł się na dodanie ziół też do twojego pucharu. Zgodziłem się dla świętego spokoju, wiedząc, że nie mogą ci zaszkodzić.

Elpis przejęła kielich z jego rąk, nieufnie zbliżając naczynie do nosa.

– Wiesz, jakoś niespecjalnie mnie to przekonuje. Co to jest tym razem?

– Remedium na możliwe konsekwencje twojego nocnego szaleństwa, które w najmniejszym stopniu nie powinno mnie interesować. Żywię nadzieję, że nie jest potrzebne, jeśli jednak, lepiej by okazało się skuteczne.

Zrozumiała, wyodrębniając spośród zapachu wampirzej krwi mocną woń wrotyczu, ruty i sporyszu. Poczula, jak każdy mięsień jej ciała sztywnieje. Zmusiła się, by obrócić twarz w nieruchomą maskę chłodnego lekceważenia. Powoli na powrót podniosła oczy na jego oblicze, z mściwą satysfakcją widząc, że jak zwykle jej opanowanie w chwili, gdy Belial, jaką Lucyfer znał, dawno miotałaby błyskawice, nieco wytrąca go z równowagi.

– Doprawdy? – głos nawet jej nie drgnął. – Zagotowałeś je we krwi?

– Krew to jedyne, co przyjmie twój organizm.

– No tak. A czy jesteś pewien, że to wystarczy? Wiesz, użycie aż trzech toksyn, podczas gdy teoretycznie jedna poradzi sobie równie dobrze, wskazuje na sporą determinację. Szkoda by było, gdyby mimo takiej zapobiegliwości, coś poszło nie tak. Może by jeszcze, no nie wiem... Cykuta? Belladonna? Na wszelki wypadek?

– Belle, zapewniam cię, że sarkazm jest tu całkowicie zbędny. To niezwykle silna mieszanka, ale nie może ci zaszkodzić, bo twoje ciało jest odporne na wszelkie trucizny. Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić.

– Oczywiście.

*Oczywiście. Teraz też nie chcesz, cholerny sukinsynu. Ty usiłujesz tylko... jak to było? Zapobiec konsekwencjom.*

– Myślę, że dla całkowitej pewności powinnaś sporządzić podobny napar i pić go przez siedem kolejnych dni.

Tym razem nie odpowiedziała. Nie musiała. W jej oczach musiało pojawić się coś, co

w końcu zmusiło go do odwrócenia wzroku. Zakołysała naczyniem z krwią, obserwując, jak ciemna ciecz obmywa złote ścianki. Przez jedno uderzenie serca nosiła się z zamiarem zadania mu pytania o to, czy kiedykolwiek wcześniej, gdy była mu posłuszna, odważył się podać jej podobny dekolt. Szybko jednak stwierdziła, że sam fakt posiadania w tym względzie wątpliwości dowodzi jej naiwności, której nie trzeba dodatkowo potwierdzać słowami. Milcząc, czekała na chwilę, w której anioł znów na nią spojrzy. Kiedy to nastąpiło, chlusnęła mu zawartością kielicha prosto w oczy. Zanim odzyskał zdolność do reakcji, zdążyła jeszcze ręką uzbrojoną w kielich z furią zaatakować przystojną twarz Lucyfera, rozcinając brew. Chwilę potem iluzja rozplynęła się pod jej palcami. Elfka odrzuciła precz przekłete naczynie.

– Wynoś się! – wrzasnęła w pustkę. – Z mojego serca, z mojego życia, z mojej głowy, precz! Nie wiem, jak kiedykolwiek mogło być tam miejsce dla tchórza. Precz sprzed moich oczu! Precz!!!

Reszta słów utonęła w niekontrolowanym, zdającym się rozrywać płuca na tysiące strzępów wrzasku. Małe kamyczki i całkiem spore kamienie, zalegające wśród traw i piasku wokół niej, uniosły się w powietrze, porwane przez obłędny wir; gdzieś za jej plecami, wśród ogłuszającego huku eksplodował jeden z największych gładów. Na krótką chwilę dzień stał się nocą, rozświetlaną gęstą pajęczyną błyskawic, a grube i bezlitosne nahaje deszczu przypuściły szturm na zamarłą w trwodze ziemię. Obok czarodziejki, niczym strzała wypuszczona przez łucznika, w panicznej ucieczce przemknął przerażony koziołek.

Dziewczyna zacisnęła do bólu powiekę i pięści. Zmusiła się do umilknięcia.

*Uspokój się, do jasnej cholery, pieprzona histeryczko. On nie ma znaczenia, nie może ich już dotknąć, są poza jego zasięgiem.*

Powoli, bardzo powoli spokój wracał, a wiatr i deszcz znów zaczęły wykonywać jej polecenia. W końcu jedynym widocznym śladem po pandemonium, które przed chwilą rozpętała, były drzewa i trawa oprószone koldrą mokrego pyłu z rozbitych kamieni.

Elpis otworzyła oczy, mlecznobiałe i ślepe. Tak jak ostrzegła Oriole. Wszystko wracało.

Dłońmi odgarnęła z twarzy oblepiające ją, mokre włosy. Wysłała w przestrzeń impuls, odnajdując na gałązce nad jej głową czyszczącego piórka szczygła. Na moment pożyczyla jego oczy i odetchnęła z ulgą, widząc, że wilgoć, którą zgarnęły dłonie, była tylko deszczem. Potem ptak uciekł, a do niej powróciła ciemność.

*To już nie wróci. Jestem teraz silniejsza. Nie zrobicie mi tego po raz kolejny. Nie odbierzecie mi już nikogo. Żaden z was. Nie wiem, gdzie są. A to ja jestem Klątwa. Więc Klątwa ich nie dosięgnie. Niezależnie od tego, co się ze mną stanie, oni przetrwają.*

\*\*\*\*

*Jedna strzała. Tylko jedna strzała...* – pomyślał Wampir, odejmując drżące palce od szyi martwego Człowieka.

Sprawdził puls tylko po to, by dotykem przekonać samego siebie, że nie śni. I bez tego przecież wiedział.

*Karolina Małecka*

*luty – 2014*

*„A są rzeczy, których nie sposób zdobyć nawet magią. I są dary, których nie można przyjąć, jeśli nie jest się w stanie odwzajemnić ich... czymś równie cennym. W przeciwnym razie taki dar przecieknie przez palce. Stopi się niczym okrucuch lodu zaciśnięty w dłoni.”*

Andrzej Sapkowski

Przywiązanie, jakim pies obdarza człowieka, jest jednym z największych darów, jakie możemy otrzymać. A w spojrzeniu zwierzęcia, które nas kocha, dla którego jesteśmy całym światem, mieszka najpotężniejsza magia.

W bajkach aż roi się od dobrych wrózek, które jednym zaklęciem są zdolne odczynić wszelkie zło, popełnione przez ludzi w chwilowym zaślepieniu czy z zimną świadomością. Jednak nawet małe dzieci bardzo prędko uczą się, że w realnym świecie próżno szukać wróżki. Tu rolę walczącego ze złem musi przejąć sam człowiek.

Znam ludzi, którzy podjęli się tego trudnego zadania. Ludzi, którzy próbują zmienić świat. Którzy, mimo tego, iż często ręce zaciskają się w pięści z bezsilności, na przekór wszystkiemu rozkładają ramiona, gotowi obdarzyć miłością i poczuciem bezpieczeństwa kolejną istotę. To właśnie im postanowiłam przekazać wszystkie pieniądze, jakie zdoła uzbierać moja debiutancka książka. Wiem, że zostaną one zużytkowane w najlepszy z możliwych sposobów. Pomogą walczyć z bezdomnością – tą istniejącą, poprzez opiekę nad skrzywdzonymi przez człowieka psami i kotami, dla których Pies na Zakręcie szuka nowych, kochających domów; a także zapobiegać bezdomności, dzięki sterylizacji i kastracji zwierząt – zarówno znajdujących się pod opieką organizacji, jak i wolno żyjących kotów.

Czym jest Pies na Zakręcie? Najlepszą odpowiedzią na to pytanie będzie opowieść jednej z wolontariuszek – Moniki Wilk – nieoficjalnej, ale uznawanej przez wszystkich „podwładnych” szefowej organizacji:

„Pies na Zakręcie, skrzydło Fundacji Azylu Pod Psim Aniołem to grupa osób, które kierowane miłością do zwierząt poświęcają im swój wolny czas i energię.

Pies na Zakręcie działa od czerwca 2011 roku, a celem organizacji jest pomoc skrzywdzonym przez ludzi lub los, bezdomnym, bezbronnym zwierzętom.

Wszystkie osoby zaangażowane w działania na rzecz Psa na Zakręcie wykonują swoją pracę całkowicie bezpłatnie. Jedynym profitem jaki dostają w zamian za swoje zaangażowanie jest „uśmiech” na pyszczkach zwierzątek, podopiecznych organizacji.

Wolontariusze pomagają w wolnych chwilach, po pracy, szkole. Mają swoje rodziny, dzieci i zwierzęta.

Od momentu powstania Psa na Zakręcie szanse na nowe, szczęśliwe życie znalazło ponad tysiąc stworzeń. Są wśród nich psy, koty, szynszyle oraz szczurki.

Wszystkie stworzenia, które do nas trafiają otaczamy troskliwą opieką.

Czworonogi umieszczamy w tak zwanych „domach tymczasowych” czyli rodzinach zastępczych (osoby te również nie pobierają wynagrodzenia), lub w sprawdzonych hotelach dla zwierząt prowadzonych przez ludzi z wielkim sercem dla zwierząt, posiadających odpowiednią wiedzę i przygotowanie predysponujące do pracy ze skrzywdzonymi przez los psiakami.

Pod okiem swoich tymczasowych opiekunów zwierzęta są leczone, socjalizowane, poddawane zabiegom sterylizacji i kastracji. Uczą się także podstawowych zasad życia domowego, utrzymywania czystości (psy, koty), chodzenia na smyczy, obcowania z nieznanymi ludźmi oraz innymi zwierzętami.

Nasi podopieczni mają zapewnioną stałą opiekę weterynaryjną oraz, w razie potrzeby, opiekę behawiorysty (zwierzęcego psychologa).



Ale na tym nie koniec.

Każdy zwierzak ma swoje portfolio z dokładnym, zgodnym z rzeczywistością opisem swojego charakteru, predyspozycji, oraz potrzeb.

Każdy jest przez nas ogłaszany na portalach internetowych lub w klasyczny sposób, za pomocą papierowych plakatów.

Osoby zainteresowane adopcją weryfikujemy na podstawie ankiet oraz wizyt przedadopcyjnych. Finałem jest chwila, w której zwierzak trafia do nowego, wspaniałego domu, a my podpisujemy z jego właścicielami umowę adopcyjną.

Z nowymi rodzinami naszych podopiecznych pozostajemy w stałym kontakcie telefonicznym, mailowym, a od czasu do czasu również osobistym.

Jedynym źródłem które pozwala nam wyleczyć, wysterylizować oraz utrzymać nasze zwierzaki są dobrowolne wpłaty od naszych darczyńców – prywatnych osób o wielkich sercach.

Niestety bezdomność w Polsce jest wciąż na bardzo wysokim poziomie i ciągle brakuje funduszy na pomoc potrzebującym czworonogom.”

Jeśli chcecie dowiedzieć się czegoś więcej, przejrzeć albumy podopiecznych Psa na Zakręcie, może podarować któremuś z nich dom i szansę na nowe życie, zapraszam serdecznie na prowadzoną przez wolontariuszy stronę: <https://www.facebook.com/PiesNaZakrecie?fref=ts>

**Jeśli przeczytaliście moją historię, możecie i jesteście w stanie, bardzo proszę o wsparcie dowolną kwotą działań Psa na Zakręcie. To jedyna zapłata za moją pracę, o jaką proszę.**

„PIES NA ZAKRĘCIE”

Skrzydło FUNDACJI AZYLU POD PSIM ANIOŁEM

ul. Kosodrzewiny 7/9

04-979 Warszawa

30 1020 1042 0000 8702 0253 5086

dla przelewów zagranicznych:

Kod BIC (Swift): BPKOPLPW

IBAN: PL30 1020 1042 0000 8702 0253 5086

z dopiskiem "Cherem "

Z całego serca dziękuję!

Karolina

## Dziękuję!

- Pani Joannie Cwilkak z wydawnictwa eLitera, która zgodziła się za darmo wykonać e-booka mojej książki. Pani Joasiu – ogromny ukłon w Pani kierunku również od wszystkich podopiecznych Psa na Zakręcie.

- Monice Sanderse-Piórowskiej, której kiedyś opowiedziałam o historii, pisanej przeze mnie kilka lat temu i która namówiła mnie, by ściągnąć stare zapiski ze strychu i przerobić je oraz rozwinąć w dojrzalszy sposób. Gdyby nie Ty, pewnie nigdy bym do Elpis nie wróciła.

- Marcinowi Marchwińskiemu, pierwszej osobie, która przeczytała „Cherem” do końca. Nie znam Cię osobiście, ale Twoje uwagi zawsze były dla mnie bardzo cenne. Dziękuję za wyłapanie literówki. I oczywiście za możliwość przeczytania Twojej książki.

- Panu Pawłowi Grzegorzcykowi, wokaliście zespołu Hunter, za pewną historię (właściwie to były trzy zdania), po przeczytaniu której zrozumiałam, że chcę właśnie w taki, a nie inny sposób rozpowszechnić „Cherem” i że chcę, by wszelkie pieniądze dostały psiaki.

- Wspaniałym, cudownym zespołom, wykonującym najróżniejszą muzykę, która była dla mnie natchnieniem podczas pracy nad tą historią. Przede wszystkim polskiej grupie Hunter, której magiczne-fantastyczne utwory odkryłam chwile po tym, jak zaczęłam pisać. Wasze teksty mnie zaczarowały, poszczególnych albumów mogłabym słuchać i słuchać bez końca (co zresztą robiłam i robię nadal). Ostateczny kształt mojej książki to w dużej mierze Wasze dzieło. Poza Hunterem na muzykę tej historii w mniejszym lub większym stopniu składają się w mojej głowie: Within Temptation, Yiruma, Żywiolak, Percival Schuttenbach, Dark Sanctuary oraz Nightwish.

- Łukaszowi za strzały rozkładające, Siostrze Kasi za pewna rozmowę na Skype, z której zapamiętałam tylko, że trzeba dążyć do dużego celu małymi kroczkami, Mamie za wysłuchiwanie mojej muzyki o pierwszej w nocy, kiedy akurat dopadła mnie ochota, by pisać

- Każdemu z Was, którzy to przeczytają i zdecydują się wspomóc Psa na Zakręcie, za każdą złotówkę przekazaną na walkę z bezdomnością. Jeśli ktoś z Was zechce podzielić się ze mną wrażeniami z lektury, zapytać o coś czy podyskutować, oto mój adres e-mail: [sister20@op.pl](mailto:sister20@op.pl) Będę wdzięczna za wszelkie uwagi.

